Biblioteka
Warszawska

Mf 12445

Warszawa
1853 r.

t. 1-2

poz. Mf 12445

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1853 t.1-2,og.zb.49-50(m-c I-VI), sp.rzeczy

Oryg.:ZNiO sygn.117.152

neg. Mf 12445

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1853.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLIX.

P
217152

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.

—

1853.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1853.

Materyały historyczne.

Stron.

Przyczynek do objaśnienia historyi Statutu wiślickiego..... 1

Grobowiec Bolesława Śmiałego w Ossyachu, przez *Alexandra Przezdzieckiego.* Z ryciną..... 91

Spominki historyczne i artystyczne. VI: Niektóre wiadomości o posadzie, różnoczesnych kolejach, pobudowaniach i wewnętrznych przyozdobieniach zamku warszawskiego, jako przyczynek do ogólnych dziejów miasta Warszawy. — Potop czyli szpalery (Arazzi, gobeliny) przez Zygmunta Augusta nabyte, a za Stanisława Augusta do ozdoby zamku warszawskiego wzięte. Przez *Edwarda Rastawieckiego.*, 134

Starania domu rakuzkiego w XVI wieku dla pozyskania korony polskiéj. Tłumaczył z czeskiego *Julian Bartoszewicz*..... 213

Ułamki historyczne z XVIII wieku, przez *Tymoteusza Lipińskiego*..... 266

Wezwanie na tron króla Henryka. Opowiadanie ułożone z dyaryusza utrzymywanego przez dworzanina Andrzeja Górki kasztelana międzyrzeckiego. Przez *Seweryna Gołębiowskiego*..... 409

Obchód uroczystości Bożego Ciała w Warszawie w XVII i XVIII wieku. Przez *Alexandra Wejnerta*..... 567

Biografia.

Stron.

Jędrzéj Kitowicz, przez *K. Wł. Wojcickiego*..... 47
Wspomnienie o Aloizym Estrejcherze. Przez *Antoniego Wagę*..... 189
Gertruda Komorowska, przez *K. Wł. Wojcickiego*..... 575

Archeologia.

Wykopalisko ostołopowskie..... 394
Listy archeologiczne. II. Przez *Józefa Łepkowskiego*..... 513
Opisanie, co znaczy lewek z psią głową wykopany we wsi Kruchowie pod Trzemesznem, przez *H*..... 77

Opisy i podróże.

O uroczyskach i zwyczajach ludu pińskiego, oraz o charakterze jego pieśni, przez *Romualda Zienkiewicza*. (Dokończenie)..... 104
Stary ratuszny zégar w Ołomuńcu, przez *Jana K. Pietraszka*..... 397
O ofiarach ziemi składanych. (Z czeskiego *K. J. Erbena*). Tłum. *R. Zamarski*..... 473
Instytut politechniczny w Wiedniu. Przez *Jana K. Pietraszka*..... 578

Literatura.

Kronika z Paryża literacka, naukowa i artystyczna..... 66, 329, 528
Pogląd ogólny na poezyą Wschodu. Ułamek z obszerniejszego rękopisu, przez *Kazimierza Puchałę*..... 251
Północ skandynawska w ciągu ostatniego półwieku..... 305

Poezya.

Stary kapral. Tłum. *Wł. Syrokomla*..... 102
Dziécię i anioł, przez ***..... 279
Cicha noc w łużyckich górach..... 280
Piekło. Boskiéj Komedyi Dantego część piérwsza. Tłumaczenie *Ludwika Kamińskiego*..... 343
Do panny J. Z., przez *Kajetana Kożmiana*..... 370
Sen. Wiérsz do Andrzeja Kożmiana, przez *Deotymę*..... 522

Dramat.

Antygona. Tragedya Sofoklesa. Tłumaczył z greckiego *Kazimiérz Kaszewski*..... 423

Rozbiory.

Stron.

Piśmiennictwo polskie W. A. Maciejowskiego i t. d. Tom IIgi. Warszawa. 1852. Przez *J. Bartoszewicza*. 162

Opisanie roślin jednolistniowych lekarskich i przemysłowych przez Ignacego Raf. Czerwiakowskiego, doktora medycyny, dziekana wydziału filozoficznego, professora botaniki w uniwersytecie Jagiellońskim i t. d. Botaniki szczególnéj część druga. Kraków. 1852. Przez *A. W.* 185

Jana Krasińskiego Polska, czyli opisanie topograficzno-polityczne Polski w wieku XVI, oraz materyały do panowania Henryka Walezyusza, przetłumaczone i objaśnione przez Stanisława Budzińskiego. Warszawa. 1852. Przez *J. Bartoszewicza*..... 371

Powieści naszych czasów Seweryny z Żochowskich Pruszak. 4 tomy, Warszawa. 1853. Przez *T*..... 380

Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1850 r. przez hr. Kaz. Wodzickiego. Leszno. 1851. Przez *S. P.* 392

O klasztorze Jędrzejowskim i będącym tam nagrobku Pakosława kasztelana krakowskiego, przez A. Z. Helcla. Kraków. 1852. Przez *J. Bartoszewicza*..... 538

Pamiętniki o wyprawie Chocimskiéj r. 1621, Jana hrabi z Ostroroga, Prokopa Zbigniewskiego, Stanisława Lubomirskiego i Jakóba Sobieskiego. Z rękopismów współczesnych i druków mniéj znanych zebrał Żegota Pauli. Kraków. 1853. Przez *K. Wł. W*..... 547

Dzieje kościołów wyznania helweckiego w dawnéj Małejpolsce, przez J. Łukaszewicza. Poznań. 1853. Przez *J. Ł*..... 551

Ocena dzieła pod napisem: Justyniana Instytucye, z łacińskiego przełożył Alexander Cukrowicz O. P. D. Kraków. 1850. Przez *Franciszka Maciejowskiego*..... 554

Nauki przyrodzone.

Dodatki i sprostowania do spisu ptaków gubernii lubelskiéj. Przez *W. Taczanowskiego*. 194

Jaskinia z kościami zaginionych zwierząt, w kraju naszym odkryta..... 204

O nasionach spadłych w kraju naszym w czasie burzy, przez *J. S*..... 395

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych.

Fizyka, przez *S. P*..... 584

Chemia, przez *J. B...e*..... 587

Lingwistyka.

Słowo do piszących i czytających po polsku: o sprostowaniu niektórych pojęć grammatycznych i poprawie abecadła dzisiejszego, jako jedynym środku ustalenia pisowni polskiéj, przez *Adolfa Kudasiewicza*..... 282, 485

Korrespondencya.

Stron.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, od *Józefa Wydżgi*.... 386
Sprostowanie, przez *Seweryna Gołębiowskiego*..... 390
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, od *Adama Jochera*..... 400
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *P*..... 582
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Anast. K*..... 582

Kronika bibliograficzna.. ..... 206, 401, 590

Doniesienia literackie..... 207, 402, 591
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiém:
za miesiąc listopad r. z..... 209
— — grudzień r. z..... 405
— — styczeń r. b..... 593
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych, w obserwatoryum warszawskiém w r. 1852 robionych.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1853.

Stron.

Od redakcyi..... 184, 591

Materyały historyczne.

Wiadomość o materyałach do historyi polskiéj, znajdujących się w cesarskiéj bibliotece manuskryptów w Paryżu; przez *W. K.*..... 62

Wyprawa multańska z roku 1600, przez *Seweryna Gołębiowskiego*..... 267

Nawyknienia literackie, przez *Karola Szajnochę*..... 277

Swewi, Słowianie, Niemcy, przez *W. A. Maciejowskiego*..... 405

Imionnik cudzoziemców Adama Kazanowskiego, przez *Edwarda* bar. *Rastawieckiego*..... 441

Sprostowanie opisu dóbr po-jezuickich Kobełka z przyległościami, przez *Wincentego Matuszewskiego*..... 576

Biografia.

Stefan Chmielecki, przez *Seweryna Gołębiowskiego*..... 517

Andrzej Lisiecki, przez *Władysława Wieczorkowskiego*..... 571

Prawo.

Pogląd na prawnictwo krajowe co do spraw granicznych między dobrami ziemskiemi, przez *Augusta Heylmana*..... 290

Nauki społeczne.

Sprawozdanie z obrotu handlu zbożowego i drzewnego w roku 1852, przez *Alexandra Makowskiego* 361

Literatura.

Stron

Przysłowia i wyrażenia od gór i rzek, zebrał *Tymoteusz Lipiński*..... 52
Kronika z Paryża literacka, naukowa i artystyczna..... 107, 316
Krótki rys nowego pismiennictwa serbskiego, podług Jana Risticza, przez *Romana Zamarskiego*..... 197

Powieści.

Chata za wsią. Powieść *Józefa Ig. Kraszewskiego* (koniec tomu Igo)..... 1, 209
Stary Rybak. Obrazek przez *Leona Kunickiego*..... 87
Głowa i serce, opowieść *Adama Plugi*..... 480

Poezye.

Zachwycenie (z podań ludowych), przez *T. L.*..... 19
Wesele Maxyma Czernojewicza, przekład przez *Romana Zamarskiego*... 22
Wiochna, przez *T. L.*..... 262
Pan Jerzy. Obrazek przeszłości, przez *Ludwika Niemojowskiego*..... 284
Mój śmiech, przez *J. Ig. Kraszewskiego*..... 289
Ptaki. Improwizacya przez *Deotymę*..... 389
Mały świątek, przez *T. L.*..... 433
Ustęp z 3ciéj części poematu: „Stepy“, przez *Gustawa Zielińskiego*..... 550

Sztuki piękne.

Wspomnienia koncertowe: Kazimiérz Łada, Wilhelmina Neruda, Antoni Kątski, przez *Józefa Sikorskiego*..... 124
Krótka wiadomość o przygotowaném do druku dziełku przez Fryderyka Kanigowskiego, pod tytułem: O skrzypcach i innych instrumentach strunowych, przez *Antoniego Kątskiego*..... 380
Kompozycye do śpiewu Stanisława Moniuszki: Trzeci Śpiewnik domowy. Maciek, Kozak, Łódka, dwie piosnki z Nowych Wędrówek oryginała, przez *Józefa Sikorskiego*..... 553

Rozbiory.

Ocena dzieła pod napisem: Justyniana Instytucye, z łacińskiego przełożył Alexander Cukrowicz O. P. D. Kraków. 1850. Przez *Franciszka Maciejowskiego* (ciąg dalszy i dokończenie)..... 145, 345
Sto nowych powiastek dla dzieci, z dodaniem wierszyków moralnych, przez Stanisława Jachowicza. Warszawa. 1853. Przez *K. Wł. Wojcickiego*..... 174
Livoniae Commentarius, Gregorio XIII P. M. ab Antonio Possevino S. J. scriptus.... Rigae. 1852. Przez *J. Bartoszewicza*..... 331

Stron.

Sprawa i dzieje zajazdu na zamek tarnowski, dopełnionego w r. 1570 przez Stanisława Tarnowskiego, Albrychta Łaskiego i Jędrzeja Zborowskiego..... 341
Nowe wydanie Słownika języka polskiego B. S. Lindego, przez *K. Wł. W.* 565
Zakłady ku ulżeniu cierpieniom bliźnich obecnie w Krakowie istniejące, z krótką wzmianką o dawniejszych a dziś nieistniejących instytucyach tego rodzaju. Kraków. 1852, przez *A. K.*..... 567
Mappa Królestwa Polskiego, obejmująca wszystkie miasta ze statystyką, wsi znaczniejsze, miejsca fabryczne i trakty pocztowe, podług najnowszych urządzeń ułożona i wydana przez Józefa Herkner. Warszawa. 1853. Przez *J.*..... 570

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:
Fizyka, przez *S. P.*..... 580
Chemia, przez *J. B...e*..... 185, 585
Miesiąc marzec r. b. uważany pod względem stanu powietrza, przez *J. B.* 577

Lingwistyka.

Postrzeżenia i wnioski pisownicze, przez *T. Sierocińskiego*..... 176
Kronika bibliograficzna..... 187, 397, 587
Doniesienia literackie..... 189, 398, 589
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiém:
za miesięc luty r. b..... 193
— — marzec r. b..... 401
— — kwiecień r. b..... 593

SPROSTOWANIA.

W tym tomie.

Stron.	*wiérsz*	*zamiast*	*czytaj*
296	11	ampletatis	amputatis
—	16	tributur	tribuetur
-	19	jako niepotrzebny	jako nam tu niepotrzebny
—	21	ustawa XII	ustawa XII tablic
312	16	tant	tout

Na str. 384 i nstpn. wszędzie gdzie jest mowa o tonie c, *zamiast* wielkiego *C*, *czytaj* małe *c*.

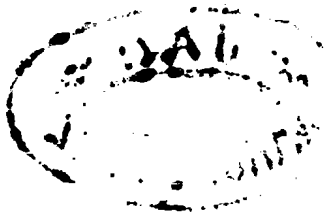

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

W Warszawie d. 26 grudnia 1852 roku.

Starszy Cenzor,

RADCA DWORU, **L. T. Tripplin.**

JAN NARBIELEWICZ

PRZYCZYNEK

DO OBJAŚNIENIA HISTORYI STATUTU WIŚLICKIEGO.

Przez kilka wieków w praktyce naszéj sądowéj i w ogólném przekonaniu narodu, nie objawiła się żadna wątpliwość względem pojmowania Statutu wiślickiego. Rozumiano pod tém nazwiskiem zbiór ustaw, składający się mniéj więcéj ze 150 oddzielnych postanowień czyli artykułów (rubryk, kapitułów), wydrukowany z polecenia Alexandra króla przez Łaskiego, pod nazwiskiem: *Statuta magni Casimiri secundi*, a następnie przedrukowany przez księży Pijarów w 1szym tomie ich Voluminów, pod niewiele co zmienionym napisem: *Statuta Casimiri magni Visliciae, anni* 1347. Jeszcze i za dni naszych, szanownéj pamięci Jan Wincenty Bandtkie ogłaszając drukiem krytyczne swe wydanie dawnych pomników prawodawstwa polskiego, temuż samemu zbiorowi nadał nazwanie: *Statuta Casimiri III Magni Visliciae an.* 1347 *promulgata.*

Co więcéj, mniemaniem powszechném było, że jakkolwiek kraj rządził się przed Kazimierzem Wielkim pewnemi prawami, te jednak albo nigdy nie były przyodziane w formę pisanych ustaw, albo przynajmniéj zaginęły; i że ułożona pod panowaniem Kazimierza na zjeździe w Wiślicy, przez zgromadzonych tam prałatów i baronów, księga ustaw, w téj formie, w jakiéj ją przedstawił Łaski, jest najdawniejszym pomnikiem prawodawstwa krajowego i ustawą, która od chwili gdy ogłoszoną została była prawem ogólném, mającém w całéj przestrzeni ówczesnéj Polski równą i wyłączną moc obowiązującą.

Powszechne to mniemanie, w części już zachwianém zostało przez ogłoszenie w Pamiętniku warszawskim z r. 1820

tak nazwanego Statutu wielkopolskiego, ułożonego za czasów tegoż samego Kazimierza Wielkiego, na zjeździe w Piotrkowie (1).

Takim sposobem obok Statutu wiślickiego, mającego być ogólnym dla całego kraju kodexem, zjawił się już jakiś kodex prowincyonalny, o którym wszakże nie można było stanowczo wyrzec: czy w istocie zastąpionym został przez późniejszy Statut wiślicki, czy téż, i w jakiéj mierze, poza Statutem wiślickim zachował pewne miejscowe w Wielkopolsce znaczenie.

Jeszcze więcéj dawniejsze nasze o prawodawstwie Kazimierza pojęcia wstrząśnione zostały, po ogłoszeniu w roku 1824 starych tłumaczeń polskich dawnych naszych statutów, za któremi wkrótce pojawiły się dwie ważne naukowe prace, w których skreślono ciekawy rys historyczny kształcenia się prawodawstwa polskiego aż do czasów Jagiellońskich, i podawano krytyczny rozbiór Statutów wiślickich (2).

Autor wspomnionych pism dowodził: że w tak nazwanych Statutach wiślickich znajdują się zachowane różne pomniki starożytnego krajowego prawodawstwa, a między innemi szczególniéj konstytucye ogłoszone przez Władysława Łokietka na zjeździe w Chęcinach; nadto, że Statut wiślicki powstał właściwie z połączenia statutów oddzielnych małopolskich i wielkopolskich, po odrzuceniu niektórych ustaw wielkopolskich, niedających się pogodzić z widokami prawodawcy wiślickiego.

Twierdzenia te oparte zostały częścią na szczęśliwych wywodach, wyprowadzonych z podań historyków i z samych tekstów prawa; częścią na wyraźném świadectwie Swiętosława z Wocieszyna, tłumaczącego na język polski w roku 1449 ustawy wiślickie, a rozróżniającego w nich artykuły małopolskie od postanowień wielkopolskich, i wskazującego, które przepisy ze statutów wielkopolskich przeniesione zostały do Statutu wiślickiego.

Badania obstawione licznemi dowodami i niepospolitym darem bystrych kombinacyj, musiały obudzić powątpiewania

(1) Wydawcą tego Statutu był zasłużony w historycznéj naszéj literaturze, Kownacki. Pamięt. Warsz. T. XVII, str 137.

(2) Piérwsza z tych prac nosi tytuł: *Historyczny rozbiór prawodawstwa polskiego, cywilnego i kryminalnego do czasów Jagiellońskich*; druga: *Krytyczny rozbiór Statutu wiślickiego*. Obie wydane zostały w T. XX Roczników Tow. Przyj. nauk w Warszawie, w r. 1830.

i silnie wstrząsnąć dotychczasowém zdaniem; pomimo tego nie ustalały jeszcze pewnych o rzeczy pojęć. Pozostawało zawsze wiele przedmiotów niewyjaśnionych, mnóstwo założeń wątpliwych, a twierdzenia niektóre choć przenikliwe i niezwykłym blaskiem świecące, nie mogły wzbudzić zupełnego przekonania.

Jeden tylko Bandtkie, który nagromadził znaczną liczbę starożytnych manuskryptów naszego dawnego statutowego prawodawstwa, posiadał możność rozwikłania tych wszystkich trudności i rozpostarcia przyzwoitego na cały przedmiot światła; bo tylko za pomocą gruntownego ocenienia i trafnego rozważenia rękopisów, przedstawiających legislacyą Kazimierza Wielkiego, można się było spodziewać dojść do zamierzonego kresu.

Bandtkie patrzył się jednak na nasz przedmiot z innego stanowiska, albo przynajmniéj nie chciał zagłębiać się w historyczne ocenienie rękopisów, które miał pod ręką, i ograniczył się jedynie na oznaczeniu niektórych tylko różnic czyli waryantów tekstu, ważniejsze zaś pominął.

Widzimy w wydaniu Bandtkiego, jak każdy artykuł tak zwanego Statutu wiślickiego w różnych rękopisach jest zredagowany, co do użytych w nim wyrażeń pojedynczych lub peryodów; ale nie widzimy, jak te artykuły są w różnych rękopisach ze sobą zestawione, w jakiéj kolei, ile ich jest: — a wszakże to jedynie mogłoby nas oświecić względem pierwiastkowéj formy Statutu i zmian, jakim ta forma mogła ulegać. Dostrzegamy tylko z tego, co tu lub owdzie o tém napomyka, iż właśnie pod tym względem rękopisa nadzwyczajnie się między sobą różnią i naprowadzają na przekonanie: że Statut nasz wiślicki ulegał ważnym pod względem składowych swych części zmianom i przerobieniom; i że początkowo występował w innéj formie, jak téj, którą mu Łaski nadał, a którą Bandtkie za podstawę swojego wydania przyjął.

Bandtkie obudził więc tylko naszę ciekawość, ale jéj nie zaspokoił.

Chcąc znowu w tych ważnych badaniach krok naprzód postąpić, potrzeba było na nowo zaopatrzyć się znacznym zapasem manuskryptów; co tém trudniejsze było, iż część rękopisów, które Bandtkie nagromadził, już może nazawsze stracona, albo przynajmniéj tak ukryta, iż niełatwo kiedyś na jaw pokaże się. Mając jednakże oddawna na przedmiot ten zwróconą

uwagę, powoli w różnych miejscach zdarzyło się mi odkryć jużto niektóre z Bandtkiego manuskryptów, już też napotkać na nowe, przez niego niedostrzeżone. Z początku było zamiarem zgromadzić przynajmniéj rękopisy legislacyi wiślickiéj, których miejsce znajdowania wiadome; gdy jednakże trudności w poszukiwaniu ich wszystkich niepodobne do przezwyciężenia, postanowiono ograniczyć się na tych materyałach, które nam dotąd szczęśliwy zbieg okoliczności nastręczył.

Poznamy późniéj dokładniéj pomniki te piśmienne w właściwych miejscach, w których z osobna o każdym mówić przyjdzie, analizując je i czyniąc z nich stosowne wywody; tymczasowo wspomnieć tylko wypada, iż mieliśmy ich w ogóle pod ręką dwanaście, tojest: rękopisów publicznych Cesarskiéj biblioteki w Petersburgu cztéry, Stronczyńskiego w Warszawie siedem, i jeden biblioteki Ossolińskich, o którym skróconą wiadomość nadesłał nam ze Lwowa Bielowski.

Porządkując rękopisa te latami, w których pisane były, stawiamy na czele rękopis lwowski z roku 1400; następnie rękopis biblioteki Cesarskiéj Jana kleryka krakowskiego z roku 1432; rękopis tak zwany Bandtkiego piérwszy z r. 1444; rękopis biblioteki Cesarskiéj Mateusza Petersolca ze Słupcy z roku 1449; rękopis Stronczyńskiego folio pisany roku 1452; rękopis biblioteki Cesarskiéj Pawła Kostki z Wojnicza z r. 1463; rękopis Stronczyńskiego in 4to, pisany przez Piotra z Sieradza po r. 1474, (bo obejmuje w sobie statuta opoczyńskie Kazimierza Jagiellończyka); wreszcie dawniejszy rękopis Bandtkiego, tak zwany drugi, pisany przez Mateusza, r. 1478. Rękopis pargaminowy dawniéj należący do biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk, obecnie zachowany w bibliotece Cesarskiéj, i trzy rękopisy tak zwane Sierakowskiego, nie przedstawiają żadnéj daty.

Prócz tego, użyliśmy do porównania manuskrypt cztérnastego wieku, Muczkowskiego, professora uniwersytetu Jagiellońskiego, wydrukowany całkowicie i ile się zdaje z dyplomatyczną dokładnością przez Bandtkiego w jego Pomnikach ustawodawstwa krajowego, i dwa tłumaczenia polskie: jedno Swiętosława z Wocieszyna z roku 1449, drukowane w Wilnie; drugie facsymilowane przez Stronczyńskiego z kodexu zachowanego w Archiwum głównem krajowém w Warszawie, znanego pod nazwiskiem „Vislicia"; a naostatek jeszcze i tłumaczenie ruskie Statutu Kazimierza, znajdujące się poprzednio w ręko-

pisie XV wieku Kormczéj w Sofijskim soborze w Nowogrodzie, obecnie znane tylko z mniéj dokładnéj kopii, którą z rękopisu tego sporządzić polecił dla swojéj biblioteki w Petersburgu kanclerz państwa Rumiancow i wydane przez Cesarską Kommissyą archeograficzną w tomie piérwszym Pamiątek zachodniéj Rusi.

Ograniczamy się na tych pomocniczych źródłach nie dlatego, abyśmy sądzili, że za pomocą ich dadzą się rozwiązać wszystkie trudności przedmiotu, który zamierzamy zgłębić; lecz dlatego, iż przekonani jesteśmy, że już i te pomniki rzucić są zdolne dość czyste światło na historyą ustawodawstwa wiślickiego, i że gdybyśmy obecnie nie korzystali z wolnéj chwili, dozwalającéj nam na nowo rozpatrzéé zgromadzone przez przeciąg lat kilkunastu materyały, może już nigdy nie przedstawiłaby się nam podobna sposobność. Pocieszamy się zresztą nadzieją, że ogłaszając następne uwagi nasze, choć może wymagające dopełnienia lub sprostowania, zachęcimy innych do doświadczenia sił swoich na tém polu, i do odkrycia nieprzystępnych nam dotąd źródeł.

Nie chcemy zapewniać ani o ważności tych poszukiwań, ani o świetności wypadków, jakie z nich będzie można wywieść na korzyść historyi naszego dawnego ustawodawstwa krajowego; powiemy tylko, iż przekonani jesteśmy, że bez podobnych studyów ani nie możemy miéć krytycznego wydania pomników starożytnéj naszéj legislacyi, ani téż przystąpić do badań historycznych nad prawem krajowém z czasów Kazimierza i bezpośrednich jego następców.

Mieliśmy kiedyś zamiar obok tych poszukiwań, skreślić zarazem i krótki przynajmniéj rys prawodawstwa Piastów i piérwszych Jagiellonów; ale czas, którym nam wolno rozrządzać, nie pozwala podobną zająć się pracą: zresztą łatwo już teraz będzie dopełnić tego zadania, mając drogę utorowaną i przełamać piérwsze trudności.

Zamiarem naszym jest skreślić historyą przekształceń tak zwanego Statutu wiślickiego. Aby zaś celu tego dopiąć, wypada wykazać: jaki był stan ustawodawstwa naszego przed zwołaniem wielkich wieców w Wiślicy; następnie co na nich zrobiono, i jak zbiór wiślickich postanowień w późniejszym czasie dopełniał się i przerabiał, aż przybrał formę urzędową, w któréj występuje w zbiorze Łaskiego.

Za środek do dania odpowiedzi na wszystkie te pytania, użyjemy w braku innych świadectw powyżéj wspomnione manuskrypta; w końcu wyłożymy myśli nasze względnie przyszłego krytycznego wydania dawnych statutów. Całą osnowę naszego pisma rozkładamy na kilka ustępów, aby porządniéj i łatwiéj ugrupować myśli nasze i uczynić wykład onych do pojęcia łatwiejszym, i niejako ożywić często oschłe i drobiazgowe badania, oparte na wielolicznych porównaniach i zestawieniach nie samych przepisów praw, ale tylko paragrafów, albo raczéj artykułów w których one są objęte (1).

§ 1. Przedwiślickie statuta małopolskie.

Nie podpada już dzisiaj żadnéj wątpliwości, że miały swoje osobne statuta Małopolska i Wielkopolska. Dowodem na to co do Wielkopolski:

1) exystencya oddzielnego (choć w ułamku) statutu wielkopolskiego w rękopisie Sierakowskiego, wydanym przez Kownackiego;

2) oddzielenie w tłumaczeniach Świętosława ustaw wielkopolskich od wiślickich i umieszczenie ich pod rubryką: *Sequitur liber secundus pro Magna Polonia*;

3) umieszczenie ustaw wielkopolskich w kodexie Jana kleryka krakowskiego z roku 1432, pod napisem: *Incipit Jus Majoris Poloniae*, a w rękopisie Piotra z Sieradza z roku 1474 pod rubryką: *Sic incipitur liber secundus Majoris Poloniae.*

Oddzielne istnienie małopolskich, pod wyłączném nazwaniem krakowskich, dowodzą także: dopiéro co powołany manuskrypt Jana kleryka, nadający piérwszéj części zbioru swego napis: *Incipiunt leges et Statuta regis Kazimiri terre Cracoviensis*, i rękopism Kostki z Wojnicza z roku 1463, obejmujący same tylko ustawy małopolskie pod rubryką: *Hic incipiuntur Constituta polonicalis juris Castri Cracoviensis perpetue conservata.*

(1) Żałujemy, iż nie możemy do pracy téj dołączyć wszystkich tabel porównawczych rękopisów, z powodu kosztów, jakieby drukowanie ich pociągnęło.

Miała tedy niewątpliwie Małopolska, a przynajmniéj ziemia krakowska swoje oddzielne *leges* i statuta. Pytanie tylko zachodzi: czy statuta te dopiéro zredagowane zostały za Kazimierza Wielkiego, czy téż już wcześniéj istniały? Na pytanie to starałem się odpowiedzieć w artykule: *O statutach ziemi krakowskiéj*, zamieszczonym w Tygodniku petersburskim z roku 1839. Ponieważ wywód ten mało komu jest znany i przedmiot niniejszego pisma wymaga, aby na osnowę jego i zawarte w nim dowody zwrócić uwagę: powtórzę zawarte w nim szczegóły.

Dowód istnienia przedwiślickiego statutu krakowskiego, opieram głównie na następujących faktach:

W zbiorze synodalnym konstytucyj prowincyi gnieźnieńskiéj, sporządzonym za czasów Jarosława Bogoryi arcybiskupa gnieźnieńskiego, zachowanym w rękopiśmie z XIV wieku, znajdującym się obecnie w Cesarskiéj publicznéj bibliotece w Petersburgu, tym samym, który opisuje Janocki w swoich *Janocianach*, a który miał być zwrócony ze Szwecyi, dokąd dostał się w czasie wojen szwedzkich, i ofiarowany został Stanisławowi Augustowi; po regestrze rubryk zawartych w nim postanowień synodalnych, znajdujemy napis: *Statuta Cracoviensia*; pod nim zaś, następujących 11 rubryk:

I. De judicibus; II. de citatione; III. de dolo et contumacia; IV. de eo qui ob rei contumaciam mittitur in possessionem; V. de prescriptionibus; VI. de sententia et re judicata; VII. de his qui ab intestato succedunt; VIII. de homicidio; IX. de raptoribus; X. de excessibus; XI. de injuriis.

Skazówki te jasno dowodzą, iż istniał kiedyś oddzielny statut krakowski, różny w układzie swym od statutów małopolskich, które znajdujemy u Świętosława, Jana kleryka krakowskiego i Pawła Kostki z Wojnicza.

Rozważając rubryki owego statutu krakowskiego, tak jak je podaje Sinodikon Jarosława, napotykamy widocznie na jakąś dotąd nieznaną nam legislacyą, porządną, systematycznie i kompletnie wyczerpującą cały zakres postanowień prawnych. Na czele są umieszczone przepisy o procedurze, potém idą postanowienia prawa prywatnego, a w zakończeniu umieszczone prawo kryminalne. Wyraźna tu myśl wyższa, władnąca umiejętnie materyałami, które obrabiała, i niemogąca być jak tylko wyrazem natchnienia doświadczonego prawodawcy. Nie jest

to zlewek niekształtnéj pracy różnych czasów, taki, jaki nam przedstawiają późniejsze prawa małopolskie. Już ta jedna okoliczność byłaby dostateczną, aby wlać w nas przekonanie: że był statut krakowski wcześniejszy, a zarazem systematyczniejszy od tych, które nam późniejsze pomniki pod nazwiskiem małopolskich statutów dochowały.

Lecz gdzie szukać dawnego statutu ziemi krakowskiéj? Czy jest nadzieja, abyśmy go kiedykolwiek odkryli? Synodikon podaje tylko rubryki statutu, ale nie umieszcza osnowy. Na szczęście nasze dochowała się nieskażoną ta droga pamiątka dawnego krajowego ustawodawstwa, i, jak to w powołanym poprzednio artykule Tygodnika udowodnioném zostało, stanowi piérwszą część rękopisu Muczkowskiego, wydanego oddzielnie przez Bandtkiego pod nazwiskiem: rękopisu czwartego Bandtkiego (1).

Rzeczywiście zastanawiając się bliżéj nad powołanym manuskryptem, dostrzegamy: iż takowy składa się wyraźnie z dwóch części. Piérwsze 24 artykuły onego są właśnie naszym starym statutem ziemi krakowskiéj; następne zaś od 25 do 59 włącznie, obejmują postanowienia zapadłe późniéj na wiecach w Wiślicy. Że tak jest, dowodzi z jednéj strony artykuł XXV, który dobitnie oddziela dawne postanowienia od nowych w Wiślicy zapadłych, stanowiąc: że nowe nie mają obowiązywać wstecz (2); z drugiéj strony ta okoliczność, iż piérwsze 24 artykuły są właśnie uporządkowane w sposobie oznaczonym przez Synodikon i zamieszczone pod rubrykami przez niego podanemi.

Dostrzeżenia te i dowody, znajdują potwierdzenie w porównaniu samego układu piérwszych artykułów z następnemi.

W piérwszych artykułach występuje sam panujący jako dający prawo, stanowiący przepis; odnoszą się więc widocznie do czasów, w których władza ustawodawcza panującego nie ulegała jeszcze wpływowi wyraźnego zgodzenia arystokracyi kraju; przeciwnie, w następnych artykułach nastręczają się już

(1) Jus Polonicum, pag. 126 – 142.

(2) Artykuł 25 tak brzmi: „Cum omnes Constitutiones et Statuta legem imponant rebus et negociis futuris et non preteritis, volumus, ut omnes nostre Constitutiones edite nunc in colloquio generali in Wislica non respiciant preterita, sed tantummodo presencia et futura.

formuły: *de nostrorum baronum consilio statuimus* (c. XXXII), *visum fuit nostris baronibus* (c. XXXVI), *visum extitit nobis et nostre militie* (c. XLIX), *proinde statuit nostrorum baronum auctoritas* (LI). Nadto, w artykułach późniejszych widoczny objawia się wpływ prawa rzymskiego i kanonicznego; przynajmniéj w motywach postanowień spotykamy liczne powoływania na reguły prawa rzymskiego, kanony, nowy i stary testament (c. XXV, XXXII, XXXV, LIII, LVIII), czego w dawnym statucie nie widać. Pomimowolnie stają tu nam przed oczy owi w prawie cywilném i kanoniczném biegli mężowie, którzy, podług doniesień Długosza, stanęli obok Kazimierza w Wiślicy, dla pomocy w przedsięwziętém dziele prawodawczém.

Ktokolwiek zresztą obznajmiony jest z pomnikami prawodawczemi wieków średnich, w układzie rękopisu Muczkowskiego nie powinien dostrzegać nic nadzwyczajnego; forma to była zwyczajna statutów średniowiekowych, że albo na początku mieściły w sobie dawniejsze prawa zwyczajnie w ściśle chronologicznym porządku, i dołączały do nich w końcu nowe przepisy modyfikujące lub dopełniające dawne rozporządzenia; albo też na początku stawiały nowe postanowienia, a potém dawne pod niemi wypisywały: częścią przez uszanowanie dla starożytności, głównie jednak dlatego, że loika ówczesnych układaczy prawa nie była jeszcze tyle silną, aby była zdolną przerobić dawne postanowienia i wciągnąć je zręcznie w zakres nowych rozporządzeń. Prócz tego, postanowienia tych czasów rzadko podnosiły się do pojęć ogólniejszych: były zwyczajnie z natury swojéj specyalne, urywkowe i urządzały to tylko, co wypadało koniecznie zmienić, bo poza nimi stał nietknięty cały systemat prawa zwyczajowego.

Podług wszelkiego podobieństwa, stary Statut krakowski ułożony został w połowie wieku XIIItego; że niewiele może być wcześniejszy, dowodzi sam systemat układu. Nosi on już na sobie piętno naukowo wykształconych pojęć, które w tym dopiéro czasie po Europie wschodniéj rozchodzić się zaczynały. Bardziéj starożytne prawa, zaczynają od postanowień kryminalnych, a często wyłącznie je obejmują, mimochodem tylko natrącając na przepisy prawa prywatnego i procedury. Domniemanie o wieku powstania naszego Statutu, popiera je-

szcze wzmianka Paprockiego o statutach z r. 1260 (1), na którą zwrócił moję uwagę uczony nasz Maciejowski. Może istotnie Paprocki znał i cytował nasz Statut.

Wydanym był dla ziemi krakowskiéj i sandomierskiéj, jak to wypływa z rozporządzeń piérwszego zaraz artykułu; niewątpliwie więc ogłoszenie jego odnosi się do czasów, w których obie te dzielnice stanowiły jednę całość. Z tego powodu mógłby być nawet słusznie nazwany Statutem krakowskim i sandomierskim.

Wzmianki, które znajdujemy w różnych artykułach Statutu naszego (art. XVI, XVII), przekonywają stanowczo: że poza obrębem jego istniały dawniejsze prawa, mające jeszcze moc obowiązującą w chwili ogłoszenia Statutu.

Że podobne luźne konstytucye wydawane bywały na wiecach, o tém przekonywają nas dawne nasze dyplomata, z których niektóre, ja sam w zbiorach moich posiadam.

Czy jednakże przy piérwszém pojawieniu swojém, składał się z 24ch artykułów, mocno o tém powątpiewam; mnie się zdaje i nie bez ważnych powodów, że artykuły VII, VIII, X, i XI, zamieszczone w Statucie nie pod napisem właściwéj rubryki, ale pod wyrażeniem: *de constitutionibus*, są dodatkami do pierwiastkowego Statutu, wziętemi albo z dawniejszych, albo, co podobniejsza, z nowych konstytucyj, i tylko podciągniętych pod rubryki odpowiednie ich treści. Że tak w istocie jest, zdaje się przekonywać porównanie dokładniejsze artykułu XI z postanowieniem art. IX. Artykuł nowy XI ogranicza wyrzeczenie kary siedmdziesiąt do czterech przypadków; a w artykule starym wspomniany przypadek użycia téjże kary, właściwie nieoznaczony w nowém postanowieniu. Zgadza się to zresztą z tém, co wiemy w ogólności o karze téj *niemiłościwéj*; wiadomo, że były czasy w których nadzwyczajnie nią szafowano, i późniéj dopiéro nadużycie to starano się powściągnąć.

Jak późniéj ze Statutu starego krakowskiego użytkowano, jak go spajano z nowemi postanowieniami i nowemi materyałami, zobaczymy późniéj. Zwracamy tylko w tém miejscu na niego raz jeszcze dlatego uwagę, że odkrycie onego wykazuje nam dotąd nieznany statut kraju naszego, o jeden wiek

(1) Herby rycerstwa, stron. 259.

starszy, jak tak zwany Statut wiślicki. Zdobycz to prawdziwa dla historyi naszego prawodawstwa!

Przechodzimy następnie do Statutu wielkopolskiego.

§ 2. Statuta Wielkopolskie.

Istnienie Statutu wielkopolskiego zaświadczają powyżéj powołane rękopisy: Jana, Świętosława, i Piotra z Sieradza, oddzielające go od Statutów małopolskich osobną intytulacyą. Były nawet rękopisy, w których oddzielnie od praw małopolskich umieszczany bywał, jak tego dowodzi manuskrypt Sierakowskiego. Pomieszczone w nim Statuta wielkopolskie, noszą nadpis: *Statuta majoris Poloniae in Piotrków.*

Czyli więc istniał i stanowił osobną całość?—o to już pytania być nie może; idzie tylko o to, aby wyśledzić jakim on był, i jak powstał.

Manuskrypt Jana kleryka krakowskiego z r. 1432 jest niecały i dochodzi tylko do artykułu 19 *de rapinis virginum*, obejmując z artykułu tego to, co jest zawarte w artykule 129 Bandtkiego edycyi, i początek artykułu 130 téjże edycyi do słów: *et virgo vel mulier violatoris vel oppressoris.*

Również niepełny zdaje się manuskrypt Sierakowskiego, dochodzący do artykułu 27 odpowiadającego artykułowi 133 edycyi Bandtkiego, i przerywający tenże artykuł na słowach: *pro quolibet quercu octo scottos, si vero tres succiderit tres fertones* (1).

Pełniejsze są rękopisy: Świętosława, Piotra z Sieradza, i tak zwany Bandtkiego drugi, będący także dzisiaj własnością Stronczyńskiego. Piérwszy z nich liczy artykułów 46, drugi artykułów 44, trzeci artykułów 50. Różnica ta jest jednak pozorną, i pochodzi raczéj z różnego sposobu rozdzielania artykułów, lub z opuszczeń przypadkowych. Tablica poniżéj umieszczona wystawia korrellacyą artykułów różnych rękopisów, z ukazaniem odpowiednich artykułów w wydaniu Bandtkiego. W istocie, Statut wielkopolski składał się z 44 artykułów. Przyczém uważać jeszcze należy, że artykuły te, we wszystkich znanych rękopisach idą tą samą zawsze koleją; co tém więcéj przemawia za samoistnością i jednolitością Statutu wielkopolskiego.

(1) W czwartym rękopisie Stronczyńskiego stoi: *si vero tres succiderit marcam.*

Rękopisy					Edycya Bandtkiego	
I. Sierakowskiego	II. Jana 1432 r.	III. Świętosława 1449 r.	IV. Piotra 1474 r.	V. Mateusza 1478 r.	VI. Statut wiślicki	VII. Statut piotrkowski
1	1	1	I	109	—	I
2	2	2, 3, 4	II	110	140	II, III
3	3	5	III	111	141	IV
4	4	6	IV	112	20	V
5	5	7	V	113	151	VI
6	6	8	VI	114	152	VII, VIII
7	7	9	VII	115	142	IX
8	8	10	VIII	116	—	X
9	9	11	IX	117	—	XI
10	10	12	X	118	148	XII
11	11	13	XI	119, 120	118, 119, 121, 122	XIV, XV, XVI
12	12	14, 15	XII	121, 122	144	XVII
13	13	16	XIII	123	146	XVIII
14	14	17	XIV	—	147	XIX
15	15	18	XV	124	124 ustęp 2gi	XX
16	16	19	XVI	125	128	XXI
17	17	20	XVII	126	—	XXII
18, 19	18	21	XVIII	127	63	XXIII
20	19	22	XIX	128	129, 130	XXIV
21		23	XX	129	131	XXV;
22		24	XXI	130	149	XXVI
23		25	XXII	131	—	XXVII
24		26	XXIII	132	19	XXVIII
25		27	XXIV	133	150	XXIX
26		28	XXV	134	132	XXX
27		29	XXVI	135	133	XXXI
		30, 31	XXVII	136	134, 135	XXXII, XXXIII
		32	XXVIII	137	136	XXXIV
		33	XXIX	138	155	XXXV
		34	XXX	139	—	XXXVI
		35	XXXI	140, 141	137	XXXVII
		36	XXXII	142	138	XXXVIII
		37	XXXIII	143	123 ustęp 1	—
		—	XXXIV	144	—	XL
		38	XXXV	145	124	XXXIX
		—	XXXVI	146	123 ustęp 2	XLI
		39	XXXVII	147	154	XLII
		40	XXXVIII	148	145	XLIX
		—	XXXIX	—	—	XLIII
		41	XL	149	139	XLIV
		42	XLI	150	153	XLV
		43	XLII	151	—	XLVI
		44	XLIII	152	—	XLVII
		45	XLIV	153	107 ustęp 2	XLVIII
		46		154	143	

Na czele Statutu w rękopisach Sierakowskiego, Jana kleryka i Piotra z Sieradza, stoi przedmowa, obszerniejsza u Jana i Piotra, krótsza u Sierakowskiego (1). Przedmowy te podaje Bandtkie w edycyi swéj piotrkowskiego Statutu (2). Mówi w niéj Kazimiérz, że pragnąc, aby poddani jego, mianowicie mieszkańcy *in terra Poloniae*, (czyli w Wielkopolsce, która się w czasach dawnych właściwie Polską nazywała) uczciwie żyli i jeden drugiego nie obrażali, i aby każdemu prawo wymierzane było; z rady Jarosława arcybiskupa gnieźnieńskiego, prałatów, wojewodów i innych baronów i szlachty ziemi polskiéj (de terra Poloniae) wydał poniżéj pisane statuta.

Za przedmową idą pojedyncze rozporządzenia. Każdy artykuł stoi pod oddzielnym napisem. Napisy są krótkie, podobne ze zwięzłości do rubryk starego Statutu krakowskiego, jak: *de judicibus*, *de citando*, *de raptore*. Lecz co do redakcyi samych postanowień, takowa znacznie się różni od małopolskiéj. W Statucie krakowskim artykuły rozdzielają się na dwie części: piérwsza obejmuje motywa przepisu, druga sam przepis; przeciwnie w Statucie wielkopolskim nie mają żadnych ustępów, tylko samo rozporządzenie, samo wyrażenie woli prawodawcy. Są z tego powodu w wysłowieniu zwięzłe, ucinkowe i zwyczajnie zaczynają się wprost od wyrażenia: *Statuimus*, *item statuimus*, *praeterea statuimus*. Wyjątków od téj reguły jest zaledwie kilka, i te tak mocno pod oczy padają, iż nastręczają zaraz domniemanie, że artykuły w innéj formie ułożone, przeszły do Statutu zkądinąd.

Wszystkie postanowienia wychodzą wprost od samego panującego, i panujący nie powołuje się w nich na przyzwolenie prałatów i baronów; niemniéj wszystkie postanowienia, tam gdzie wypadało wspomnieć o miejscowych stosunkach, wyraźnie miały tylko na względzie Wielkopolskę, czego dowodem wzmianki o ziemi poznańskiéj i kaliskiéj, o arcybiskupstwie gnieźnieńskiém, o generale (Capitaneus noster) czyli namiestniku wielkopolskim, o wojewodzie poznańskim.

(1) Obszerniejszą także przedmowę Statutów wielkopolskich podaje Świętosław w swojém tłumaczeniu, przenosząc ją tylko na czele wiślickiego Statutu, str. 76, 15.

(2) Jus polonicum, pag. 144. Przedmowa w manuskrypcie Sierakowskiego zaczyna się od słów: *Nos Casimirus*.

Jedném słowem, sama forma układu artykułów i powiązanie ich z sobą, bez innych nawet wskazówek, przy pilném i rozważném badaniu tekstu tak zwanego Statutu wiślickiego, mogłaby była już naprowadzić na przekonanie, że takowy składa się z dwóch różnorodnych elementów, i że w składzie tym, artykuły zwięźlejsze stanowić muszą oddzielną całość.

Odrębność ta tém więcéj występuje na jaw, im bardziéj zagłębiamy się w samą osnowę postanowień wielkopolskich. Napotykamy tu oczywiście w porównaniu do Małopolski kraj zupełnie inaczéj uorganizowany, społeczeństwo nierównie starsze i prostsze, pojęcia mniéj złożone, przepisy prawa wyrażające raczéj główne zasady, aniżeli zajmujące się rozstrzyganiem szczególnych wątpliwości i drugorzędnych pytań. Uderza także przy porównaniu osnowy obu statutów, że małopolski postanawia same niemal zmiany w dotychczasowych zwyczajach i porządkach; przeciwnie wielkopolski raczéj zdaje się tylko uświęcać, a przynajmniéj opisywać to, co istnieje. Małopolska, sądząc po jéj Statucie, jest siedliskiem ruchu, przekształcenia, a w pewnym względzie i niejakiego postępu; Wielkopolska zaś, krajem dawnego zwyczaju i nawyknienia, niezdobywającym się tak łatwo na reformy i ulepszenia.

Opierając się na tych wewnętrznych względach, nie wahałbym się ani na chwilę wyrzec: iż osnowa Statutu wielkopolskiego sięga dawniejszych czasów jak Statut małopolski XIIItego wieku. Redakcya jednak Statutu ta, którą nam przedstawiają nasze rękopisa, niewątpliwie jest późniejszą od redakcyi Statutu krakowskiego.

Twierdzenie to głównie opieram na tém: że układ Statutu wielkopolskiego jest wyraźnie naśladowaniem układu Statutu krakowskiego. W manuskrypcie Piotra z Sieradza, rubryki Statutu występują w téj saméj kolei, co w statutach małopolskich: de judicibus (c. 1), de citationibus (c. 7), de divisione bonorum (c. 17), de homicidio (c. 18), de raptore (c. 19), de excessibus (c. 23), de injuriis (c. 24).

Wprawdzie możnaby z podobieństwa tego chciéć wyprowadzić i wniosek odwrotny, i utrzymywać: że ponieważ Statut wielkopolski przedstawia w rozporządzeniach swoich cechy dawniejszego prawa, że przeto i układ jego powinien być o wiele dawniejszy od Statutu krakowskiego; i że nie Statut krakowski w układzie swym wielkopolskiemu, ale naodwrót drugi piér-

wszemu za wzór służył. Staje jednakże na przeszkodzie temu dopuszczeniu w części tenże sam układ, który, jak już wyżéj namienioném zostało, nie nosi na sobie cech układu piérwotnego, bardziéj starożytnego; nadto i ta okoliczność, że Statut wielkopolski przyswoił sobie w zupełności dwa postanowienia Statutu krakowskiego, które dosłownie w sobie pomieścił, tojest: artykuły VI, VII, z których piérwszy pomieszczony w Statucie wielkopolskim w artykule 23 (1), drugi w artykule 4; widocznie więc przy jego układzie był już miany na widoku Statut krakowski (2).

Okoliczności, które wyjaśnione zostaną poniżéj, czynią do prawdy podobném, że Statut wielkopolski zredagowany został bezpośrednio przed zjazdem wiślickim, a rękopis Sierakowskiego nastręcza domniemanie: iż to nastąpiło na zjeździe Wielkopolan w Piotrkowie. Nie stoi temu na przeszkodzie przepis dodany do artykułu 9go Statutu wielkopolskiego, mówiącego o przedawnieniu, że termin przedawnienia ma iść od niedzieli *laetare* (tojest 8 marca) roku 1347, czyli jak wiemy z Długosza, od dnia zjazdu wiślickiego; bo dodatek ten tak jak i przedmowa powyżéj wspomniana ułożone dopiéro zostały na wiecach w Wiślicy.

Dodać jeszcze należy, że Statut wielkopolski składa się, tak samo jak i krakowski, z dwóch części: piérwszéj przedwiślickiéj, idącéj aż do artykułu 32 włącznie; drugiéj wiślickiéj, obejmującéj resztę artykułów. Znajdziemy dowody na to w następującym paragrafie.

§ 8. Wiece wielkie w Wiślicy.

Długosz dający obszerną relacyą o zjeździe w Wiślicy, w treści donosi: iż Kazimiérz Wielki na wiecach tych, za radą osób w prawie boskiém i świeckiém biegłych, ułożył i ogłosił ogólne dla całego kraju prawa, poprawiając co niewłaściwie przez poprzedników było postanowione, dodając co było przez nich opuszczone, odrzucając wreszcie co było zbyteczne; przy-

(1) Cytuję tutaj artykuły podług rękopisu Piotra z Sieradza.

(2) Niemniéj artykuł 8 Statutu wielkopolskiego, wzięty z artykułu V krakowskiego; chyba, że chcielibyśmy przypuścić, że źródło obu dawniejsze.

czém wyraźnie miał postanowić oddzielną konstytucyą: iż wszyscy sędziowie i we wszystkich sądach całego królestwa, powinni odtąd sądzić podług praw nowo napisanych. (1)

Sąto w całém znaczeniu tego wyrazu same tylko ogólniki, dające się mniéj więcéj zastosować do każdego zjazdu prawodawczego; z nich nic wnioskować nie można, ani o tém w jakim stanie zastał prawodawstwo Kazimiérz, ani co właściwie i za pomocą jakich środków chciał osiągnąć. Widać tylko z całéj téj relacyi, iż Długosz miał przed oczyma przedmowę Kazimierza do Statutów małopolskich, późniéj zwyczajnie zamieszczaną na czele tak zwanego Statutu wiślickiego, w któréj ku końcowi powiada: że chce, aby ustała rozmaitość sądów i sędziowie ziem jego (terrarum nostrarum) odtąd sądzili podług niżéj pisanych statutów. Wszystko co oprócz tego mówi o prawodawczych pracach zjazdu wiślickiego, rzeczywiście jest bez wszelkiego znaczenia. Potrzeba więc na innéj drodze starać się zagadkę tę rozwiązać. Drogę do tego torują nam fakta dotąd wyjaśnione i dowody, które zaraz przytoczyć mamy.

Miała oddzielne swoje statuta Małopolska i Wielkopolska, ale już starodawny antagonizm, który między niemi istniał, chylił się ku upadkowi, a przynajmniéj przewaga, którą zyskiwała Małopolska, i ruch większy i wyższy, który w niéj rodził się, mógł nastręczać z jéj strony nietylko myśl o potrzebie zbliżenia prawodawstwa obu części, ale nawet i przodkowania w tym przekształceniu.

Jak się zdaje, zagadkę tę chciał rozwiązać Kazimiérz Wielki; wszakże samo przez się rozumié się, iż środki, jakie do tego użyć postanowił, nie mogły być inne jak te, któremi pozwalały mu zarządzać okoliczności i położenie stron zajmujących niejako jeszcze oddzielne stanowiska.

Opierając się na relacyi Długosza, możnaby mniemać, iż Kazimiérz postanowiwszy zwołać wielkie wieca prawodawcze

(1) **Casimirus personaliter in hujusmodi conventione praesidens, adhibitis viris doctis in lege divina et humana peritis..... leges condit Polonicales.... quae a praedecessoribus suis incondite constituta fuerunt, vigilanti studio corrigens, plurimas vero leges ab eis praetermissas salubriter adiciens, plerasque vero superfluas resecans..... mandatque constitutione districta.... ut veteribus judiciis statum regni et justitiam perturbantibus rejectis in omnibus judiciis.... in universo regno Poloniae, per judices quacumque fulgentes dignitate.... juxta leges tunc scriptas.... sententiae proferantur.**

do Wiślicy, polecił na nich przedstawić oba Statuta, i za pomocą zgromadzonych tam uczonych prawników dokonał ich rewizyi: co sprzecznego w nich znalazł, zgodził, co niepotrzebnego, odrzucił, a co niedostawało, dodał; i całość, pod formą ogólnego dla całego kraju kodexu, ogłosił.

Zapewne, gdyby wyższe oświecenie było już przygotowało pewne ogólne i wspólne pojęcia, gdyby pamięć oddzielności była już zniknęła, a różnica stosunków dwóch społeczeństw w części zupełnie inaczéj ukonstytuowanych była mniejszą; a z drugiéj strony, gdyby i władza od któréj wychodziła inicyatywa, była silniejszą i więcéj energiczną: możnaby było o czémś podobném pomyśléć, a nawet i zmiany błogie dokonać, ale w braku warunków podobnych z jednéj i drugiéj strony, mogło raczéj tylko chodzić o piérwsze porozumienie się i o zbliżenie; resztę trzeba było zostawić czasowi.

Mógł mieć Kazimiérz zamiar ujednostajnienia praw w całém wówczas jemu podległém królestwie; mogła nawet myśl jednego dla całego kraju kodexu owładnąć niektóre wyższe umysły: wszakże nie można jéj było jeszcze zrealizować, dość było zaszczepić ją. I usiłowanie podobne godne było wytężonych starań, i nie bez rzeczywistéj zasługi otoczyło imię Kazimierza świetnym przydomkiem prawodawcy.

Kto zastanawiał się nad historyą prawodawstwa Europy, wié bardzo dobrze: naprzód, jak późno myśl ujednostajnienia praw w krajach podległych jednemu berłu, wyradzała się; a następnie, jak trudno przychodziło ją w różnych stronach urzeczywistnieć. Wieki wykształcały ją, wieki wprowadzały w życie, i wszędzie za pomocą tylko właściwych środków. Dość dla przodków naszych chwały, że nie byli w tym względzie ostatniemi, a kto wié, czy nie jednemi z piérwszych.

Opierając się na pomnikach, które pod ręką mamy, a które chociaż nie wyjaśniają nam wszystkich okoliczności drobnych, towarzyszących ich powstaniu, przecież pokazują jasno i dobitnie osiągnięte rezultata, utrzymuję, iż zjazd w Wiślicy poprzedzić musiało wezwanie przyniesienia z sobą zredagowanych już i uporządkowanych praw miejscowych. Małopolska miała gotowy dawny swój statut z XIIIgo wieku, może tylko włożyła w niego kilka późniejszych postanowień; może być, że i Statut wielkopolski, modelowany wyraźnie na wzór małopol-

skiego, był także już gotów; podobniejszą jednak do prawdy jest rzeczą, że przybranie go w formę małopolską, i pomnożenie niektóremi przepisami, wziętemi z małopolskiego Statutu, wówczas dopiéro nastąpiło za inicyatywą samego Kazimierza, działającego pod wpływem myśli ujednostajnienia prawodawstwa, i słusznie uważającego fakt ten za piérwszy i najgłówniejszy środek do osiągnienia wielkich swych zamiarów. Podobném jest do prawdy, że w tym celu wielkopolscy prałaci i baronowie zjechali się wprzódy do Piotrkowa, i że tam właśnie Kazimiérz za pomocą Jarosława arcybiskupa gnieźnieńskiego, człowieka światłego (mającego z czasem także na łonie kościoła spełnić wielkie pomysły prawodawcze), i przewagą wpływu jego na Wielkopolan, wyjednał wspomnioną redakcyą Statutu wielkopolskiego, mającego stanowić piérwszą i główną rękojmią w przedsięwziętém dziele.

Stanąwszy w Wiślicy Wielkopolanie, i ukazując ułożony przez siebie statut, zapewne oświadczyli: iż uczynioném już zostało z ich strony wszystko, co można było po nich żądać; i zdaje się, że na tém poprzestano. Chciéć skłonić Wielkopolan, aby przyjęli wprost i bezwzględnie cały Statut małopolski i obowiązali się jego zastosowywać, było niepodobieństwem; bo istniały jeszcze zbyt widoczne między prawami prowincyonalnemi różnice, i Statut nawet wielkopolski w niektórych materyach był pełniejszy: zapewne więc rozsądek doradzał tymczasowo nie iść daléj.

Lecz Małopolanie biorący inicyatywę w całém dziele, przynieśli do Wiślicy nietylko dawny swój statut, ale i liczne nowo sporządzone do niego dodatki. Znajdujemy je w rękopisie Muczkowskiego, poczynając od art. XXVgo do końca, razem art. 35.

Że artykuły te stanowią osobną całość od stojącego na czele dawnego statutu, dowodzi nietylko piérwszy zaraz artykuł XXV, o którym powyżéj mówiliśmy, ale ta mianowicie okoliczność, iż w dodatkach mieszczą się wyraźnie przepisy zmieniające dawniejsze rozporządzenia.

I tak: artykuł XXX modyfikuje rozporządzenia artykułu IIIgo, który stanowił: że każdy, sam w kolei oznaczonéj przedstawiać ma sprawę swoję przed sądem; on przeciwnie, dozwala kobiétom użyć w zastępstwie swojém adwokatów lub prokuratorów. Daléj artykuł XL ogranicza preskrypcyą jednoletnią

na dochodzenie kradzieży, postanowioną w artykule XIII tylko do osób mieszkających w jednéj parafii; innym zaś osobom daje przedawnienie trzechletnie. Wreszcie artykuł XLIV zmieniając uświęconą w artykule XIII teoryą dowodów przy kradzieżach na korzyść nieposzlakowanego dotąd szlachcica, dozwala mu uwolnić się przysięgą od oskarżenia o kradzież lub łupiestwo.

Dowodzą niemniéj późniejszego powstania tych artykułów w stosunku do starego statutu, przepisy, które są niczém inném, jak dopełnieniem i dalszém rozwinięciem dawniejszych co do daty rozporządzeń. Do rzędu ich liczę mianowicie: postanowienia artykułów XLI, XLII i XLIII, dopełniające przepisy artykułu XVgo o preskrypcyach, przepisy art. XXIXgo uzupełniające artykuł IX i przepisy artykułu LXVI stanowiące karę na szlachcica, dopuszczającego się przeciw szlachcicowi obelg czynnych bez wylania krwi, w dopełnieniu postanowień artykułu XXI, stanowiącego kary za skaleczenie i rany.

Statut krakowski wzbogacony temi nowemi dodatkami, stanąć już teraz mógł śmiało obok Statutu wielkopolskiego. Wszakże nie chodziło Małopolanom wyłącznie o samo tylko uzupełnienie praw swych i obudzenie tym sposobem większego ruchu prawodawczego, który piérwsi wywołali; potrzeba im było jeszcze dać dowód, że jeżeli Wielkopolanie zgodzili się już ze swéj strony na zbliżenie ustaw swych do krakowskich postanowień, i oni także gotowi są korzystać z pracy świéżo dokonanéj w Piotrkowie, i nie wahają się wzbogacić statutu swego niektóremi postanowieniami Statutu wielkopolskiego. I w istocie, artykuły XXXVI, XLV, LI, LII i LVI dodatków wiślickich małopolskich, mieszczą w sobie albo powtórzenie, albo przynajmniéj zastosowanie już uświęconych w Statucie wielkopolskim zasad.

Artykuł XXXVI jest w części reprodukcyą postanowień zawartych w artykule XXXII Statutu wielkopolskiego, oznaczających przypadki w których wolno ma być kmieciom opuścić pana. Podobnie artykuł LI powtarza przepis paragrafu XXII wielkopolskiego, o wysokości procentu miesięcznego od pożyczek żydowskich. Niemniéj postanowienia artykułu LII o karach za nieprawe ścięcie cudzych drzew, a art. LVI o karach za obelgi czynne, są wyraźném naśladowaniem przepisów wielkopolskich, objętych w artykułach XXVI i XXV Statutu piotrkowskiego.

Najoczywiściéj jednak naśladownictwa tego udowadniają rozporządzenia piérwszego z powołanych artykułów. Nie mieli Małopolanie w Statucie swoim rozporządzeń o odwołaniu się od wyroków. W Wielkopolsce pozwolone było pociągać do odpowiedzialności sędziego ziemskiego stanowiącego nieprawy wyrok, lecz zarazem zastrzeżoném było, iż chcący się odwołać, przedstawić winien na przypadek nieusprawiedliwienia appellacyi, trzy grzywny, lub pewną ilość skór kunich. Małopolanie powtarzają to samo rozporządzenie, i aby nie było żadnéj wątpliwości, iż go wzięli od Wielkopolan, dodają w artykule XLV wyraźnie; *ut moris est in judicio polonicali* (t. j. w sądach wielkopolskich). Ponieważ zaś uważali za rzecz właściwą, oznaczyć na nieprawą appellacyą te same także kary, wyraźnie powiadają, iż czynią to dla zaprowadzenia jednostajności kar: *ut parilitas in penis habeatur.*

Czy można żądać jaśniejszych dowodów? Małopolanie nietylko pragną naśladować ustawy wielkopolskie, ale rzeczywiście przyswajają je sobie. Strony stawające w Wiślicy choć nieskłonne jeszcze ustąpić oddzielnego stanowiska, które zajmują, pełne jednakże najlepszych chęci porozumienia się i zbliżenia.

Potrzeba ujednostajnienia praw ziemskich była bez wątpienia najważniejszém zadaniem zjazdu wiślickiego; z drugiéj jednak strony i prawo niemieckie ściągać na siebie musiało baczną uwagę prawodawcy. Wprowadzone początkowo sposobem przywileju do niektórych osad miejskich i wiejskich, rozszerzyło się tak prędko po całym kraju, iż zaczęło niemal podkopywać znaczenie prawa ziemskiego. Mianowicie odwoływanie się osadników na prawie niemieckiém do sądów zagranicznych, ustalało w kraju wpływ obcéj władzy i wzbudzało niepłonne obawy. Małopolanie, którzy tak śmiało wystąpili na drodze zbawiennych reform, nie mogli zapomnieć i o tak ważnym przedmiocie. Nie mogło być zamiarem odrazu zniweczyć znaczenie przeważne prawa niemieckiego; chodziło przynajmniéj o ograniczenie jego zastosowania. Ważną tę zagadkę starali się Małopolanie także rozwiązać w dodatkowych swych artykułach. Paragrafy od XXXI do XXXV są wyłącznie zadaniu temu poświęcone.

Najważniejsze przepisy przedstawia art. XXXV, który stanowi: że każda osada na prawie niemieckiém, którąby dla jakichbądź powodów zaprzestała używać prawa niemieckiego,

już więcéj wracać do niego nie może, i tylko prawem polskiém nadal rządzić się winna.

Otóż piérwsza główna praca zjazdu wiślickiego. Niebawem posunięto się zaraz daléj. Dodatki przedstawione przez Małopolan do ich Statutu i wynikłe ztąd obrady, zachęciły bezwątpienia i Wielkopolan do dopełnienia jeszcze swego Statutu. Znalazły się zaraz między dodatkowemi postanowieniami małopolskiemi przepisy, które z powodu widocznéj użyteczności swojéj, zasługiwały na przeniesienie do Ustaw wielkopolskich. Zapewne przypomniano sobie także, że istnieją jeszcze w praktyce niektóre dość ważne reguły, któremiby wypadało, korzystając z okoliczności, wzbogacić przedstawiony Statut.

Zdecydowali się więc i Wielkopolanie do przedstawienia dodatków swoich. Zawarte one są podług zdania naszego w artykule XXXIII i następnych, rękopisów Stronczyńskiego i Świętosława.

Nowe rozporządzenia przedstawiają artykuły: XXXIV, XXXV, XXXVII, XXXVIII, XL, XLI i XLIV; rozporządzenia zaś wzięte z dodatków małopolskich, pomieszczone są w artykule XXXIX, XLII i XLIII. Między piérwszemi szczególniéj odznaczają się przepisy: o pożyczaniu piéniędzy od żydów nie na obligi, ale na zastaw, wzięte ze zwyczaju, a w części z postanowień w Wielkiéjpolsce już obowiązujących (art. XL) (1) i o spłacaniu siostrzenic przez stryjów (art. XLIV). Między drugiemi występują artykuły: XXXIX, powtarzający rozporządzenia art. XLVII dodatków małopolskich, zabraniające grać nie na gotowe pieniądze; art. XLIII o dowodzie szlachectwa, wzięty z art. XXXVIII małopolskich; i art. XLII naśladujący wyraźnie paragraf XLVIII tychże samych ustaw.

Nie wątpię, iż tak wyraźne chęci Wielkopolan uczynienia tylu ważnych ustąpień, mile przyjętemi zostały przez Kazimierza i osoby popierające widoki zjednoczenia się obu prawodawstw; sądzę jednak, że chciano pójść jeszcze daléj. Pamiątkę przynajmniéj tych dalszych usiłowań zachował nam art. XXXIII dodatków wielkopolskich.

Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, Małopolanie i Kazimiérz dostrzegłszy, iż nie będą mogli przeprowadzić myśli

(1) Ten artykuł powołuje się na *consvetudinem antiquitus servatam.*

nadania krajowi całemu jednego prawa, wymódz przynajmniéj chcieli od wielkopolskich panów, aby uznali moc pomocniczą ustaw małopolskich w Wielkopolsce, i skłonić ich, aby stosowny w tym względzie pomieścili w dodatkach artykuł. Nie dopięli jednak zamiaru swego, choć upozorowany był jednością panującego w obu prowincyach. Wielkopolanie przyznawali sprawiedliwość zasady, ale nie zgadzali się na ścisłość wyprowadzanéj z niéj konsekwencyi, i zgodzili się tylko na to, aby oznaczając w uchwałach swoich samo *principium*, przyznać, że słuszną jest rzeczą, by Krakowiacy i Polacy (tojest Wielkopolanie) sądzeni byli *jednym* i *równym sądem* (uno et equali judicio).

Nie miał się jeszcze kraj poddać jednemu i temu samemu prawu; uważano wszakże za stosowne i odpowiednie potrzebom czasu, aby nadać ile być może jednostajną organizacyą władzy sądowéj. Jak się zdaje, Wielkopolska znacznie się w tym względzie różniła od Małopolski; dlatego w następującym zaraz artykule (XXXIV) sądy kasztelańskie w Wielkopolsce z wyższą władzą występujące, w praktykach swych ograniczone zostały.

Nie mogąc Kazimiérz przeprowadzić założenia jednostajności praw, otrzymał przynajmniéj od Wielkopolan dwie ważne materyalne koncessye, a mianowicie: że zezwalają na jednę monetę w całym kraju, i że każdy zpomiędzy nich zobowiązywał się dla obrony kraju służyć wojskowo w miarę swych środków i majątku (art. XXXVI, XXXV).

Taką była druga praca zjazdu wiślickiego. Chodziło tylko w końcu o ogłoszenie tak dawnych statutów, jako i nowych uchwał, i nadanie monarszéj sankcyi. I to szczęśliwie dokonaném zostało. W rękopisach legislacyi wiślickiéj dochowały się dwie różne przedmowy, z których jedna postawioną była na czele statutów małopolskich, a druga wielkopolskich. Wspomnimy o treści jednéj i drugiéj dlatego, że w każdéj z nich różnym sposobem oznaczona jest moc obowiązująca Statutu, przed którym stoi.

W przedmowie do Statutu wielkopolskiego, mówi Kazimiérz: iż idąc za radą Jarosława arcybiskupa gnieźnieńskiego i prałatów, wojewodów, baronów i szlachty ziemi polskiéj (de terra Poloniae, tojest Wielkopolski), chce, aby on zachowywany był przez wszystkich we wzmiankowanéj ziemi polskiéj. (volentes: ut ipsa statuta in praedicta terra Poloniae a quibuslibet

observantur). Nie można było nic wyraźniejszego powiedzieć dla oznaczenia miejscowéj tylko mocy obowiązującéj statutów wielkopolskich.

Znacznie inne jest określenie mocy obowiązującéj statutów małopolskich. Różnicę tę nie uważamy za przypadkową, ale za wypadek zręcznie obrachowanych dalszych widoków.

W piérwszéj przedmowie obraca się Kazimiérz do mieszkańców Wielkopolski; w drugiéj, do sędziów, i powiada, że chce, aby podług tych statutów było sądzone przez wszystkich sędziów *ziem jego* (volentes: quod deinceps.... juxta infra scripta Statuta omnes et singuli judices *terrarum nostrarum*, debeant et teneantur judicare). Widoczna tu, choć niewyraźna, chęć przyznania niejakiéj ogólnéj mocy obowiązującéj statutom małopolskim, we wszystkich ziemiach całego królestwa; powiadamy niewyraźna, bo wyrażenie to, w związku z samym Statutem, który był właściwie tylko małopolskim, mogło téż było być uważane za ściągające się wyłącznie do ziem małopolskich. Przyznać należy, że zręcznie pokryto dwójznacznością wyrażenia wyższe zamiary, których nie wypadało jeszcze stanowczo wyrzec. W istocie, celem głównym usiłowań Kazimierza, chcącego wprowadzić do kraju jedno prawo, musiało być: nadać przewagę jednemu z dwóch statutów, a mianowicie małopolskiemu, który znamionowały widoki więcéj postępowe, i za którym przemawiała polityczna wyższość prowincyi, któréj był utworem.

W takiém świetle wystawiamy sobie prace zjazdu wiślickiego. Wszystko cokolwiek powiedzieliśmy, znalazło dostateczne poparcie. Mówiły za nas same teksta prawa. Zmudną była bez wątpienia droga, która nas do tych wypadków doprowadziła; ale jeżeli na niéj można tylko było dojść do odkrycia prawdy, chętnie zapewne każdy daruje, że go prowadziliśmy po tak utrudzających ścieszkach.

Lecz jeżeli tak jest, zmienia się zupełnie sposób nasz dotychczasowy pojmowania prac zjazdu wiślickiego. Nie jeden na nim statut spisany został, ani téż zlane zostały w jednę całość dwa różne statuta; ale przyjęte, pomnożone i zharmonizowane dwa oddzielne statuta, zyskały monarszą sankcyą.

Nie przyszło do skutku zjednoczenie prawa krajowego; poprzestano na zbliżeniu różnych praw, pozostawiając, jakeśmy już wyżéj przypuszczali, czasowi dokonanie wielkiego dzieła.

Przyczém nie mogło być rzeczą wątpliwą, że Małopolska w tym naturalnym processie atrakcyi i przerabiania, który tak zręcznie przygotowano, siłą objawiającéj się w niéj wyższéj działalności i energii, ostatecznie odnieść musi zwycięztwo.

Zobaczymy, jakim się to sposobem powoli ziściło.

§ 4. Przemiany zaszłe w Statucie małopolskim po wiecach w Wiślicy. — Zbiory systematyczne uchwał małopolskich.

Wkrótce po zatwierdzeniu Statutu małopolskiego w Wiślicy i wzbogaceniu tamże ważnemi dodatkami, napotykamy go w formie jeszcze pełniejszéj.

W rękopisie Muczkowskiego XIVgo wieku, cały Statut małopolski z dodatkami wiślickiemi liczy artykułów 59. W manuskrypcie zaś lwowskim biblioteki Ossolińskich, pisanym w roku 1400, mamy artykułów 106, zatém 47 więcéj jak u Muczkowskiego.

Niewiele co mniejszą liczbę artykułów, tojest 102 mieści w sobie rękopis Jana kleryka z roku 1432, a 105 rękopis Piotra z Sieradza. Więcéj znowu, bo 108 przedstawia rękopis Pawła Kostki z roku 1463.

Oscyllacye te pomnożonych ustaw małopolskich, tak jak je nam przedstawiają znane mi dotąd manuskrypta między 102 a 108 artykułami, uważam za rzecz zupełnie przypadkową, pochodzącą jużto z rozdzielenia niekiedy jednego artykułu na dwa, jużto z połączenia dwóch w jeden, już z przypadkowego przy przepisywaniu pominięcia tego lub owego artykułu. I tak np. w rękopisie Jana kleryka, niedostaje art. XVI, XXII i LVI Statutu małopolskiego wiślickiego; w rękopisie Piotra z Sieradza art. XLV tegoż Statutu, dwa razy powtórzony. Widocznie usterki przypadkowe!

Statut pomnożony małopolski powinien w istocie mieścić w sobie 106 artykułów, tak, jak go nam przedstawia rękopis Ossolińskiego, bo do wiślickiéj kodyfikacyi przybyło artykułów 47 nowych. Artykuły te w zastosowaniu do numeracyi przyjętéj w wydaniu Bandtkiego, są: 7—9, 11, 16, 22—24, 28, 34— 37, 39, 44— 47, 50— 54, 56, 61, 76 - 79, 90— 97, 100—110

Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, wszystkie te nowe artykuły powstały jeszcze za Kazimierza Wielkiego. Że

wyprzedzają czasy prawodawczéj czynności Władysława Jagiełły, dowodzi rękopis z roku 1400; że zaś po Kazimierzu nastały chwile zupełnego zamieszania w kraju i upadku sądownictwa, przeto twierdzić się godzi, że zapewne téż w tych czasach utworzonemi nie były. Nie pozostaje więc jak mniemać, że należą jeszcze do epoki pośredniéj między wiecami w Wiślicy, a śmiercią czynnego i ciągle bacznego na prawodawstwo Kazimierza.

Wpatrując się w one bliżéj, widzimy, iż 26 zpomiędzy nich są niewątpliwie prejudikatami, tojest wyrokami rozstrzygającemi w sposób stanowczy i ogólny kwestye wątpliwe, jakie przy stosowaniu Statutu przedstawiły się sądom, a nie były wyraźnie przez sam Statut zdecydowane; inne zaś pojedynczemi ustawami, dopełniającemi i rozwijającemi rozporządzenia poprzednie.

Artykuły przedstawiające prejudicata są: 34—37, 39, 44—47, 50—54, 56, 61, 76—79, 103—105, 108, 109. Nie będziemy poszczególe wskazywać w jakich materyach te 26 wyroków wydane zostały—nie wchodzi to w zakres naszéj pracy; winniśmy tylko usprawiedliwić, że to są w istocie prejudikata. Wynika to najwyraźniéj z formy rozporządzeń w tych artykułach zawartych. W każdym z nich oznaczane są z imienia strony, które przed sądem stanęły, następnie wyłożone czyny stanowiące przedmiot sprawy, wreszcie po wyrazach: *decernimus* albo *declaramus* wyrzeczona sentencya; niekiedy nawet przed sentencyą jeszcze są i motywa, na których opartą została (1).

Kto zna skład naszych dawnych sądów i przypomni sobie, iż sędzia wyrzekał wyrok albo w obecności króla, albo przynajmniéj w assystencyi baronów właściwéj ziemi, albo nawet wszystkich ziem (colloquia generalia), zapewne nie będzie się dziwił, iż sędziowie nie wahali się stanowczo raz nazawsze rozstrzygać wątpliwe kwestye prawne, nakazując: aby wyrok ich we wszystkich podobnych przypadkach zachowywany był, jak to i sama formuła niektórych takowych wyroków wskazywała, np. w wyroku umieszczonym w artykule 45tym, wyraźnie powiedziano: ***nos talibus casibus providere cupientes, declaramus et statuimus.***

(1) Cf. c. 39, 104.

Napotykamy prejudikata takie nietylko w Małopolsce, ale i w Wielkopolsce. Wydane przez Bandtkiego *Constitutiones Lancicienses*, w znacznéj części składają się także z prejudikatów. Równie i zebrane późniéj za czasów Alexandra króla i wydrukowane przez Łaskiego *Consuetudines terrae Cracoviensis*, z tego wypłynęły źródła.

Zwyczaj tworzenia całych niemal kodexów z prejudikatów, mianowicie Czechom był właściwy. Zbiór praw czeskich sporządzony za czasów Władysława Jagiellończyka jest niczém prawie inném, jak systematyczném, uporządkowaném zebraniem wyroków najwyższego sądu pragskiego.

Co się dotyczy pozostających 21 artykułów włączonych w téjże saméj epoce do statutów małopolskich, trudniéj trochę początek ich oznaczyć: niektóre jednak z nich choć mniéj wyraźnie, zdają się także w sobie zawiérać praejudicata. Nie ma w nich przytoczonych nazwisk stron przedstawiających sprawę, nie ma i tak dokładnie opisanego czynu; ale napotykamy w nich tak samo jak w powyższych wyrokach formułę sakramentalną: *decernimus, declaramus*. Prócz tego i pytania, które rozstrzygają, nastręczają myśl, że i one wyniknęły ze spraw do rozsądzenia przedstawionych. I tak, art. 96 wyrzeka: kiedy zabór ziarna karany być ma jak prosty zabór, kiedy zaś jako kradzież. Takież samo pytanie rozwiązuje art. 97, co do zaboru oziminy i jarzyny. Równie zdaje się, że przez wyroki rozstrzygnięte zostało, jak ma być uważane samowolne uszkodzenie i zabór własnych przedmiotów (art. 91, 92).

Reszta artykułów są zapewne niczém inném, jak wiecowemi postanowieniami, uchwalonemi nie na wiecach ogólnych prawodawczych, wyraźnie na ten cel zwołanych, ale na wiecach sądowych, przez assystujących sędziemu baronów, a późniéj za wyraźną zgodą panującego ogłoszonemi.

Przy przeglądaniu dawnych ksiąg ziemskich zdarzyło mi się nieraz napotykać na podobne postanowienia wieców sądowych; znajdujemy znaczną ich liczbę w przytoczonych powyżéj konstytucyach ziemi łęczyckiéj. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, uchwały te tak samo jak i praejudicata stanowione były początkowo dla saméj ziemi krakowskiéj, dopiéro późniéj przez użycie sądowe zyskały moc obowiązującą w całéj Małopolsce.

W rzędzie ich mieści się kilka rozporządzeń zupełnie nowych, niewchodzących wcale w zakres ani dawnego statutu, ani też dodatków wiślickich, jak np. postanowienie art. 7go zabraniające synom za życia ojca miéć własne pieczęcie; inne zaś, i tych jest więcéj, stanowią tylko dopełnienie, czyli dalsze rozwinięcie poprzednich postanowień, jak np. postanowienie umieszczone w artykule 100ym, które tworzy dodatek do poprzedniego art. XLV o naganach czyli apellacyach, mającego na widoku wyroki sądów ziemskich. Takież postanowienie art. 102, które uzupełnia przepisy dawniejszych XXI i LVI artykułów, i stanowi kary za zabicie i zranienie szlachcica przez kmiecia. Podobnie art. 106 jest niczém inném, jak zastosowaniem do wdów, przepisów umieszczonych w art. XLIX dodatków wiślickich. Artykuł wiślicki wyrzekł: co obowiązany dać wdowiec dzieciom z piérwszego małżeństwa spłodzonym, biorąc drugą żonę; artykuł zaś 106 stosuje też same zasady do wdów, na przypadek jeżeliby chciały znów wyjść za mąż.

Znajduje się zresztą między postanowieniami o których mówimy artykuł, który uchyla nawet zupełnie rozporządzenia starego statutu krakowskiego. Przypominamy sobie, iż statut polecał każdemu sprawę swoję osobiście sądowi przedstawiać. W Wiślicy zmodyfikowano tę zasadę, i pozwolono kobiétom bronić się przez adwokatów. W artykule 11tym wziętym z nowych uchwał, wyjątkowy przepis wiślicki zamieniony w ogólne prawidło, dozwalające każdemu stawać przez adwokatów lub prolokutora.

Postanowienie to zasługuje jeszcze i pod tym względem na uwagę: iż wyraźne pozwolenie stawania przez obrońców rozciąga do wszystkich sądów *całego królestwa* (in judiciis nostri regni). Być więc może, że jest albo ustawą wieców prawodawczych, albo przynajmniéj edyktem królewskim. Ostatnie domniemanie zdaje się nawet bardziéj prawdopodobne.

Tak prejudikaty, jako téż i nowe cząstkowe uchwały, zapisywały się do ksiąg ziemskich, i w krótkości oznaczane zaraz bywały na saméj księdze praw we właściwych miejscach, aby je łatwiéj było przypomniéć sobie i wynaléźć. Że zwyczaj robienia adnotacyj takich w księgach sądowych istniał u nas, dowodzą zachowane jeszcze do dni naszych księgi.

Dopiéro późniéj, gdy liczba podobnych cząstkowych dodatkowych postanowień wzrosła, nastręczała się potrzeba wniesie-

nia ich całkowicie do księgi praw. Czyli to uskutecznioném zostało przez samą władzę prawodawczą, o tém powątpiewać godzi się; zdaje się być nawet rzeczą pewną, iż zestawienia statutu wiślickiego małopolskiego z późniejszemi dopełniającemi go uchwałami, jest pracą prywatną. Utwierdza nas w tém przekonaniu ta mianowicie okoliczność, iż posiadamy dwa zupełnie różne tego rodzaju układy: jeden z nich przedstawia nam rękopis Jana kleryka; drugi, rękopis lwowski i kodex Pawła Kostki. Do składu obu wchodzą te same materyały, tylko są zupełnie inaczéj uszykowane. Gdyby układ był urzędowy, pewno nie byłoby téj różnicy w rękopisach.

Nazywać je będziemy *Zbiorami systematycznemi uchwał małopolskich*. Jakkolwiek bowiem w kopiach Jana kleryka i Pawła Kostki noszą tylko nazwanie praw krakowskich, sądzę wszakże, że nazwanie to jest im dane dlatego, iż samè zbiory powstały w ziemi krakowskiéj, a w części nawet z materyałów dostarczonych przez sam sąd ziemski krakowski. Nie może jednak podlegać wątpliwości, że moc ich obowiązująca była ogólniejszą, i rozciągała się na całą Małopolskę.

Opiszemy teraz szczegółowo oba zbiory. Materyał do uporządkowania stanowiły: stary statut ziemi krakowskiéj, następnie 35 artykułów dodanych w Wiślicy do dawnego statutu, i nowych 47 artykułów obejmujących w sobie opisane powyżéj prejudikata i uchwały wieców sądowych krakowskich.

Między temi materyałami jeden tylko dawny statut był systematycznie rozłożony na jedénaście rubryk; dodatkowe przepisy wiślickie nie przedstawiały żadnego prawie systematycznego układu, a nowe powiślickie materyały oczekiwały dopiéro na uporządkowanie.

Najprostszą zatém, jak się zdaje rzeczą, było, przystępując do uporządkowania tych wszystkich materyałów, wziąć za podstawę do nowego układu sam stary Statut; a wiślickie dodatki i późniejsze powiślickie uchwały, wstawiać tylko między artykuły starego Statutu, w miarę jak treścią swoją zbliżały się do jednego lub drugiego przepisu dawnych ustaw.

Myśl tę starał się urzeczywistnić autor rękopisu lwowskiego i Pawła Kostki. Zbiór praw małopolskich przez niego sporządzony, stawia zawsze na czele jeden z artykułów starego Statutu, w porządku w jakim one szły w samym statucie, (z nieznaczącemi tylko od téj reguły zboczeniami), następnie zaś do-

łącza do każdego z nich odpowiednie artykuły dodatków wiślickich, a potém łączące się z nimi nowe uchwały. Aby dać jaśniejsze wyobrażenie jak praca ta uskutecznioną została, a zarazem sposobność ocenienia wewnętrznéj jéj wartości, przytaczamy kilka przykładów.

Po artykule XIII umieszczonym w Statucie dawnym pod napisem: *de probacionibus*, urządzającym między powodem a pozwanym obowiązki dowodu; rękopis lwowski i Pawła Kostki stawiają art. XXXV i XXXVIII, o dowodach z dodatków wiślickich, a następnie art. 34, 35, 36, 37, 103 i 104, w których pomieszczone są także prejudicata urządzające teoryą dowodów. Podobnie po artykule XVII starego Statutu umieszczonym pod napisem: *de sententia et re judicata*, mieszczą oba rękopisy art. XLV dodatków wiślickich, także umieszczony w nich pod tym samym napisem, za nim zaś artykuły 50, 51, 52, 53, 54, 56 zawierające w sobie prejudikata, stanowiące między innemi, kiedy wyrok staje się prawomocnym (transit in rem judicatam). Również po artykule XVIII starego Statutu, *de his qui ab intestato succedunt*, znajduje się art. XLIX dodatków wiślickich o podziale majątku przy zawieraniu przez ojca nowych związków małżeńskich, i art. 106 i 107 z nowych uchwał, podających przepisy o podziale majątku na przypadek wejścia za mąż wdów, i o wyposażeniu córek po śmierci rodziców, i art. 61 mieszczący w sobie prejudikat oznaczający, że syn naturalny ma brać za głowę swéj matki.

Gdy jednak, trzymając się tego systematu, nie wszystkie materyały dały się podciągnąć pod rubryki starego Statutu; przeto z pozostałych utworzono jakby część wstępną do całego zbioru. W części téj pomieszczono mianowicie te artykuły statutu i dodatków, które nosiły na sobie rubrykę ogólną: *de constitutionibus*, *de consvetudine*, a w szczególności artykuły: VII, VIII, X, XXV, XXVI, XXVII, XXVIII, XXIX, dorzucając jeszsze do nich postanowienia o grach i o lichwie, które się nie dały podprowadzić pod żadną rubrykę starego Statutu (XLVI, XLVII, L).

Myśl dosyć prosta i w części uzasadniona, chociaż niebardzo zręcznie wykonana. Znajdowały się bez wątpienia między materyałami, które uporządkować należało, przepisy z natury swojéj ogólniejsze, które, ściśle mówiąc, trudno było wmieszczać w stary Statut; lecz za skazówkę do tego należało brać nie napis

nad niemi stojący, *de constitutionibus*, który, jak poprzednio objaśniliśmy, zupełnie co innego znaczył, ale treść onych. Wyniknęło ztąd między innemi, że art. VII, VIII i X starego Statutu, które w nim na właściwém miejscu stały, przeniesiono do części wstępnéj i oderwano ich tym sposobem od artykułów z któremi nierównie więcéj miały zetknięcia.

Względy te stały się zapewne powodem, że wkrótce zrobiono usiłowanie sporządzenia nowego i jak się zdawało więcéj systematyczniejszego układu ustaw małopolskich. Przedstawia go rękopis Jana kleryka krakowskiego z roku 1432. Dla nas jest mianowicie ważny dlatego, iż zyskał następnie przewagę nad poprzednim układem; znajdujemy go bowiem we wszystkich ważniejszych rękopisach, a nawet w edycyi Łaskiego.

W układzie tym na czele pomieszczony artykuł XXV, czyli artykuł piérwszy dodatków wiślickich, i nie bez racyi: bo w artykule tym wyrzeczoną jest niejako najogólniejsza zasada co do mocy obowiązującéj praw, tojest, że prawa nie obowiązują wstecz. Za nim dopiéro idą bezpośrednio artykuły od XXV do XXIX włącznie tychże dodatków wiślickich, ale znowu dlatego tylko, iż w dodatkach stały pod napisem ogólnym: *de constitutionibus*. Że do nich dołączone są, mianowicie artykuł 8 i 9 z nowych uchwał, oznaczające obowiązek służby wojskowéj sołtysów i duchownych, z powodu wyżéj pomieszczonego artykułu XXVII o prawie rycerskiém (de jure militari) dość usprawiedliwione. Potém idzie jeszcze artykuł XXX dodatków wiślickich o wolności danéj kobietom używania adwokatów, i art. 11, rozciągający tę wolność do wszystkich mieszkańców kraju, a za nimi dopiéro w kolei pierwiastkowéj wszystkie 24 artykuły starego Statutu, z dołączeniem tu i owdzie uzupełniających je dodatków wiślickich lub prejudikatów i nowych uchwał. Podobnie i tutaj jak w poprzednim układzie, po artykule XIII umieszczone artykuły XXXIV i XXXVIII z dodatków wiślickich, i artykuły 34, 35, 36 i 37. Za artykułem XVII pomieszczone artykuły 50, 51, 52, 53 i 54.

Pomimo usiłowania zrobienia coś lepszego, a mianowicie pomimo uporządkowania stosowniejszego części wstępnéj, która bez wątpienia w drugim tym układzie występuje we właściwszéj formie, dalszy układ nowego tego zbioru porównywany z poprzednim kodexu lwowskiego i Jana Kostki, jest bez wątpienia nieudolniejszy. Łatwo się o tém przekonać, porównywając ze-

stawienia niektórych artykułów starego Statutu z późniejszemi dodatkami, dopiéro co przytoczone, z odpowiedniemi częściami rękopisu lwowskiego i Kostki.

Brak ten systematu objawia się na nieszczęście jeszcze więcéj po 56 artykule rękopisu Jana, odpowiadającemu artykułowi XXIV starego Statutu. Za nim idą artykuły z dodatków wiślickich tak ułożone: od XXXI do XXXVII; potém XLIV, daléj od XLV do LIX; na końcu zaś artykuły XXXIX, XL do XLIII i ostatni artykuł XLV, mówiący o naganie. W układzie Kostki właściwiéj artykuł ten połączony jest z artykułem XVII starego Statutu. W każdym razie, za art. XLV powinien był iść art. 100 nowych uchwał, także o naganie, dopełniający jego przepisy; tymczasem artykuł ten postawiony u Jana jak najniewłaściwiéj między art. 95, mówiącym o zaborze wozu siana, i art. 101 stanowiącym: że przegrana syna nieoddzielonego, ma ciężyć jego część w spadku.

Jakim sposobem tak mało systematyczny układ mógł powstać, prawdziwie trudno wytłumaczyć sobie. Może kiedyś zagadka ta zostanie rozwiązaną, jeśli wynalezioną będzie większa jeszcze liczba rękopisów; nigdy jednak sam układ, który zeszpecił nasze wydania Statutu wiślickiego, nie da się usprawiedliwić.

Czy po zjeździe wiślickim wydane także jeszcze zostały uchwały dopełniające Statut wielkopolski?—nie tak łatwo rozstrzygnąć. Napotykamy wprawdzie na cztery takowych uchwał, które w wydaniu Bandtkiego pomieszczone są w art. 120, 125, 126 i 127, a w rękopisie Stronczyńskiego in fol. z roku 1452 dodane do wielkopolskich, i w edycyi Łaskiego także między niemi figurują; trudno wszakże powiedzieć zkąd się wzięły. Być może, że są uchwałami wielkopolskiemi, lecz może są i ustawami małopolskiemi i tylko przypadkiem połączonemi zostały ze Statutem wielkopolskim. Manuskrypta które mamy pod ręką, nie podają nam dosyć mocnego punktu oparcia się.

§ 5. Stosunek Statutów małopolskich i wielkopolskich za pierwszych Jagiellonów. Digesta krakowsko-wielkopolskie.

Zdaje się, że na początku wieku XVgo, stanowisko Małopolski i Wielkopolski pod względem prawodawstwa było

to samo, jakie wykształciło się skutkiem wiślickich obrad. Obie prowincye zbliżyły się znacznie do siebie, przejmując jedna od drugiéj przepisy zgodne z ich miejscowemi potrzebami; każda jednak zachowała swą oddzielność, z tą tylko różnicą, iż Małopolska przyjęła na siebie inicyatywę w uporządkowaniu krajowego prawodawstwa, a uważając rolę tę za wskazaną sobie przeznaczeniem, już jéj nie zrzekła się i ciągle w duchu potrzeby wykształcenia i ujednostajnienia praw, pracowała. Dowodem na to, że kiedy Wielkopolska, przy swoim w Wiślicy dopełnionym Statucie stanęła, i żadnych już prawie późniéj nie czyniła usiłowań dalszego rozwinięcia zawartych w nim przepisów; Małopolska więcéj czynna i pomna swego wyższego powołania, zaraz Statut swój dopełniła, a nawet niektóre jeszcze ogólne dla całego kraju postanowienia, wywołała; co poświadcza dowodnie powyżéj wzmiankowane rozporządzenie, zamieszczone w artykule 11 edycyi Bandtkiego Statutu wiślickiego.

Zupełną oddzielność prawodawstwa małopolskiego i wielkopolskiego w tych czasach najniewątpliwiéj udowadniają rękopisa, a mianowicie dwa ich rodzaje: naprzód te, które wyłącznie mieszczą w sobie tylko jednę z tych legislacyj, jakoto rękopis lwowski Ossolińskich biblioteki, rękopis Pawła Kostki i rękopis Sierakowskiego; następnie te, kóre chociaż łączą w jednę całość legislacyą małopolską i wielkopolską, oddzielają je jednak przez napisy. W rzędzie tych rękopisów piérwsze niewątpliwie trzyma miejsce manuskrypt Jana kleryka krakowskiego, który nad małopolskiemi ustawami stawia napis: *leges et statuta terre Cracoviensis*; nad wielkopolskiemi: *Sequitur jus majoris Polonie.* Podobnym jest rękopis Pawła z Sieradza, który nad Statutem wielkopolskim pomieszcza: *Et sic est finis primi libri. Hic incipitur liber secundus majoris Polonie.* Toż samo czyni rękopis Mikołaja z Obornik, pisany roku 1441, należący teraz do hrabiego Działyńskiego, oddzielający wielkopolskie od małopolskich ustaw, napisem: *sequitur rubrica de majori Polonia*, i dawniejszy puławski, pisany roku 1452, dający wielkopolskim ustawom taką samą niemal intytulacyą: *sequitur rubrica de magna Polonia.*

Jeżeli rękopisy przechodzące poza połowę wieku piętnastego, wyraźnie jeszcze oddzielają obie legislacye, pewno musiał być do tego powód praktyczny, tojest: że i w zastosowaniu obie prowincye, każda swojego trzymała się statutu.

Tymczasem prawodawstwo szło coraz daléj w duchu wyższych natchnień zjazdu wiślickiego. Postanowienia Jagiełły z roku 1420 w Warcie uchwalone, są już ogólnemi, cały kraj zarówno obowiązującemi prawami. Każda nowa uchwała, która się teraz wydaje, jest ustawą powszechną. Jagiełło zwraca wprawdzie uwagę na Małopolskę i Wielkopolskę, na statuta ich oddzielne; ale nie dlatego, aby oddzielność ich nowemi przepisami utwierdzać, lecz dlatego, aby dogadzając wznioślejszym prawodawczym widokom, istniejące jeszcze między niemi różnice zatrzéć i uchylić. Jakoż uchyla przepisy art. XXVI Statutu wielkopolskiego, i rozporządzenia art. 106 wziętego z nowych uchwał małopolskich. W tym samym duchu działając, przez art. 18 ustaw wartskich nakazuje brać pisarzom w Wielkopolsce te same opłaty, jakie pobierają pisarze w ziemi krakowskiéj i sandomierskiéj, a przez art. 14 stosuje zwyczaj istniejący w Wielkopolsce do Małopolski. Zgodnie także z temi widokami rozszerza przez art. 19 ustaw warckich postanowienia artykułu XL (1) Statutu wielkopolskiego na cały kraj, dodając jeszcze do nich nowe obostrzenia.

Takim sposobem powoli, różnice jakie zachodziły pomiędzy miejscowemi legislacyami, coraz więcéj zaczęły się zacierać; a przytém i sam czas, przez zbliżenie do siebie stron i wywołanie z pamięci dawnych niechęci i powodów do wyłączności, przykładał się niemało do stanowczego zjednoczenia obu prowincyonalnych, dotąd jeszcze różnych prawodawstw.

Niebawem nadeszła i chwila, w któréj pomyślano o stanowczém już zlaniu w jednę całość statutów wielkopolskich z małopolskiemi. Zapewne ustalił się był od niejakiego czasu zwyczaj w obu prowincyach używania nawzajem statutów swoich *jako prawa pomocniczego*. Dowodem tego sama exystencya tylu rękopisów, w których oba statuta, chociaż jeszcze nadpisami oddzielone, zarówno były pomieszczane.

Przedsięwzięcie podobne tém więcéj nie można było uważać za niestosowne, że już na drodze prawodawczéj, a pewno i praktyki sądowéj, uchylone zostały niektóre stanowcze różnice, i że właściwie oba statuta, tak Małopolski jako i Wielkopolski z jednego zapewne odleglejszego źródła wypłynęły i przed-

(1) Co w artykule tym postanowione, wykazane wyżéj.

stawiały wiele wspólnych widoków; nie mówiąc już o tém, że skutkiem prac wiślickich, jeszcze więcéj zbliżone do siebie zostały.

Z pracą zlania obu statutów w jednę całość, wystąpiła zapewne znowu Małopolska. Nawet inaczéj być nie mogło. Statut małopolski, mianowicie pomnożony nowemi uchwałami, liczący już w sobie 106 artykułów, obfitością przepisów i ich większém do potrzeb praktyki skierowaniem, miał niezaprzeczone pierwszeństwo. Z saméj więc natury rzeczy wyniknęło, że przy zjednoczeniu obu statutów, małopolski musiał być wzięty za zasadę całéj pracy; a wielkopolski użyty tylko za materyał do uzupełnienia przepisami, zgodnemi z zasadami praw małopolskich, albo przynajmniéj przez postanowienia ich wyraźnie nieuchylonemi.

Mam pod ręką rękopis, będący własnością Stronczyńskiego, pisany roku 1452, jak się zdaje w Krakowie, który przedstawia podobną pracę, tojest pomnożone statuta małopolskie z dodatkiem kilkunastu postanowień wybranych ze Statutu wielkopolskiego, a z niemi zgodnych (1).

Cały ten rękopis noszący napis: *Statuta Kazimiri*, poczyna się od przedmowy należącéj do statutów małopolskich, i mieści w sobie w jednym ciągu artykułów oddzielnych 132. Do artykułu 111 włącznie, idą artykuły statutu pomnożonego małopolskiego, w tym samym zupełnie porządku, (z małemi tylko bardzo odstąpieniami), jak w rękopisie Jana kleryka; poczynając zaś od artykułu 112 aż do końca, pomieszczone w liczbie 21, artykuły wzięte ze statutów wielkopolskich.

Artykuły wybrane ze Statutu wielkopolskiego są: XI, XVI, XIX, XX, XXV do XXVIII, XXXI, XXXII, XXXIII, XXXV i XL; nadto dołączone jeszcze do nich cztéry nowe uchwały, o których poprzednio wspomnieliśmy, a które pomieszczone są w artykułach 120, 125, 126 i 127 edycyi Bandtkiego (2).

(1) Zdaje się, iż w bibliotece Ossolińskich we Lwowie zachowuje się zupełnie podobny manuskrypt, który przez Alex. Batowskiego nazwany jest rękopisem *Lanckorońskiego*. Cf. Dziennik literacki z roku 1852, stron. 118. Równie i rękopis Mikołaja z Oborník pisany r. 1441 zdaje się przedstawiać tę samą redakcyą.

(2) Dla objaśnienia dodać należy, że w dygestach art. XI rozdzielony jest na trzy artykuły, a XIX i XXVII na dwa, co czyni nie 13, ale 17 artykułów nowych.

Nazywać będziemy nowy ten zbiór ustaw małopolskich i wielkopolskich: *Dygestami krakowsko-wielkopolskiemi.*

Taki sam rękopis, ale o trzy lata wcześniejszy, z r. 1449, jest manuskrypt pisany przez Mateusza Petersolza ze Słupcy, i manuskrypt tak zwany Bandtkiego piérwszy, jeszcze wcześniejszy, z r. 1444.

Podobny niemniéj układ dwóch statutów, przedstawia nam tłumaczenie polskie mistrza i doktora Świętosława z Wocieszyna, kustosza kościoła św. Jana w Warszawie, pisane roku 1449 (1).

I w tym układzie stoi naprzód 95 artykułów wziętych z ustaw małopolskich, następnie pomieszczonych artykułów 21, wziętych ze statutów wielkopolskich, wszakże bez odróżnienia jednych od drugich.

Różnica cała układu zawartego w rękopisie Stronczyńskiego a w tłumaczeniu Swiętosława, na tém polega: iż Swiętosław w porównaniu do piérwszego opuszcza część artykułu XIgo Statutu wielkopolskiego, którą rękopis Stronczyńskiego przedstawia w artykule 115, i że dodaje początek artykułu XIX tegoż statutu, pominięty w piérwszym, i na końcu stawia jeszcze artykuł XIVty wielkopolski, o ważności darowizn.

Powód, dlaczego Świętosław opuścił część artykułu XI. mówiącego o apellacyach i karach za nieuzasadnioną apellacyą, mógł być ten, że uważał, iż koniec tego artykułu, mianowicie o tyle, o ile się dotyczy kasztelanów i podsędków, zastąpiony był w zupełności przez art. 100, wzięty z nowych uchwał małopolskich, a umieszczony już wyżéj. Niezawodnie miał téż pod tym względem zupełną racyą. Równie bardzo właściwie dodaje do ustaw małopolskich Świętosław przepis o mocy darowizn, jako dający się pogodzić z pojęciami Małopolan. Mniéj stosownie ze stanowiska praktycznego wychodząc, wzbogaca kompilacyą swoją początkiem artykułu XIXgo Statutu wielkopolskiego (odpowiadającego artykułowi 129mu edycyi Bandtkiego), uchylonego już przez artykuł 8 ustaw wartckich Jagiełły.

Nie można się dziwić, że między obiema pracami, zupełnie zresztą do siebie podobnemi, takie zachodzą różnice, były

(1) Ruskie tłumaczenie dygestów krakowsko-wielkopolskich znajdujemy w rękopisie wydanym przez Kommissyą Archeograficzną petersburską, o którém wyżéj wspomnieliśmy.

one koniecznem następstwem trudności przywiązanych do saméj pracy. Naprzód w istocie złączenie w jednę całość dwóch ustaw chociaż podobnych, ale mających oddzielną każdego przepisu redakcyą, związaną ściśle z całą, że tak powiemy, historyą miejscową kształcenia się tego przepisu, nie jest tak łatwą rzeczą; często bowiem podobieństwo formy wysłowienia, może pokrywać zupełnie inne zasadnicze pojęcia, i co jednemu układaczowi może się zdawać niesprzecznem, inny w głąb rzeczy wglądający, uważać będzie za stanowczo różniące się; następnie przy układach tych sporządzonych zapewne po raz piérwszy po zjeździe w Warcie, musiało powstać pytanie, czy zamieszczać w nich z postanowień wielkopolskich takie rozporządzenia, które już na zjeździe tym przez Władysława Jagiełłę uchylone zostały?

Jeżeli więc układacze nasi w jednym albo w drugim względzie potknęli się, nietyle to przypisywać należy ich lekkomyślności, ile raczéj trudności samego zadania. Objaśnijmy tę rzecz jeszcze jednym przykładem.

Między artykułami wielkopolskiemi stało rozporządzenie o uposażeniu córek (art. XVI), i o spłacaniu ich z dóbr spadkowych przez krewnych. Prawa wielkopolskie urządzając ten przedmiot, odróżniały dobra odziedziczone i dobra nabyte. Ani w Statucie małopolskim, ani w nowych uchwałach dopełniających go, przedmiot ten nie był uregulowany. Zdawało się więc rzeczą bardzo właściwą w zlaniu obu statutów, użytkować z artykułu XVIgo Statutu wielkopolskiego, i wcielić go do praw małopolskich; trudność tylko zachodziła, czy przenosząc ten artykuł do ustaw małopolskich, zachować w nim wyrzeczoną różnicę między dobrami dziedzicznemi i nabytemi, któréj Małopolanie nie dopuszczali, czyli téż stosownie do widoków małopolskich zmodyfikować ustawę wielkopolską? Autor rękopisu Stronczyńskiego uważał za stosowne zmienić redakcyą wielkopolską; autor zaś układu, z którego tłumaczył Świętosław, niedość miał śmiałości targnąć się na text Statutu wielkopolskiego, i choć go łączył z ustawami małopolskiemi, niedopuszczającemi podobnych dystynkcyj, pozostawił oryginał nietknięty. Takich trudności było i więcéj, lecz ponieważ Dygesta, o których mówimy, i inne, których jeszcze może nie znamy, były tylko przedsięwzięciami prywatnemi, więc je rozmaitym sposobem załatwiano.

A może też różnice te powstały jeszcze i zkądinąd. Jeżeli dopuścimy, że jedne z tych układów miały na widoku Małopolskę, a drugie Wielkopolskę, słuszną byłoby dość rzeczą, widzieć w układach przeznaczonych dla Wielkopolski, zachowaną ściśléj dawną redakcyą Statutu wielkopolskiego; w układach zaś przeznaczonych dla Małopolski, redakcyą tę zmienioną i zastosowaną więcéj do miejscowych małopolskich widoków. Dlatego też może autor układu zawartego w rękopisie Stronczyńskiego zamienia w artykułach pochodzących ze Statutu wielkopolskiego wzmianki o biskupie poznańskim, o wojewodzie poznańskim, na biskupa krakowskiego i wojewodę krakowskiego i sandomierskiego; przeciwnie autor układu, który spolszczony został przez Świętosława, zachowuje wszystkie oryginalne zwroty tekstu wielkopolskiego (1).

Jakkolwiekbądź, za pomocą prac podobnych zacierała się kompletnie pierwotna różnica między legislacyą wielkopolską i małopolską, i kraj przyzwyczajał się do wyobrażenia, że jedném i z jednego źródła wypływającém prawem rządzi się; a nawet, że to prawo w formie takiéj w jakiéj wówczas zjawiło się, daném mu zostało przez Kazimierza na zjeździe w Wiślicy. Tylko ludzie głębiéj wglądający w stan rzeczy zachowywali pamięć oddzielnych dwóch legislacyj, i chociaż wiedzieli, iż w praktyce legislacye te już z sobą zlały się i że zawierają w sobie niektóre takie przepisy, które nie mają żadnego praktycznego zastosowania, dla uszanowania pamiątek dawnych, takowe skrzętnie przechowywali. Do rzędu tych ludzi należał mianowicie Świętosław. Będąc proszony przez Macieja z Rożana plebana czerskiego i pisarza księcia Bolesława mazowieckiego o udzielenie mu przekładu na język ojczysty zbioru praw ziemskich polskich, przesłał mu przekład jednego z takowych układów praw małopolskich i wielkopolskich; jednak dołączył do niego dla pamięci przekład i tych postanowień wielkopolskich, które układacze opuszczali, jako niebędące już w użyciu.

Wspomnieć jeszcze należy, że dygesta krakowsko-wielkopolskie we wszystkich znanych nam rękopisach w jednakowéj występują formie: zawsze naprzód idą ustawy małopolskie, po-

(1) Punkta te dadzą się wtedy objaśnić, gdy będziemy w możności porównać wszystkie dotąd znane a powyżéj powołane rękopisy, przedstawiające dygesta krakowsko-wielkopolskie.

tém wielkopolskie i w tym samym porządku. Niemniéj liczba artykułów jest wszędzie prawie ta sama, tojest: 106 małopolskich i 17 wielkopolskich, pomnożonych niekiedy czterema artykułami niewiadomego początku. Tylko artykuły te w różnych manuskryptach, różnie powiązane: czasami kilka razem połączonych, czasami znowu jeden rozdzielony; niekiedy jeden lub kilka opuszczonych. Ztąd pochodzi, że nominalna liczba artykułów dosyć różna; i tak, w rękopisie r. 1444 art. 136, w ręk. r. 1452 art. 132, u Petersolca art. 127, w tłumaczeniu ruskiém art. 138, a u Świętosława tylko 117.

Kończąc na tém rzecz o dygestach, winniśmy tylko jeszcze dodać, że dopiéro autorowie dygestów zrobili to, co w nowszych czasach zaczęto przypisywać samemu Kazimierzowi, i co uważano za pracę zjazdu wiślickiego. Przypominamy, iż na zjeździe wiślickim dwa oddzielne statuta sankcyą uzyskały; zjednoczenie zaś systematyczne onych, dopełnione dopiéro zostało w piérwszéj połowie XVgo wieku.

Dla dopełnienia skreślonego obrazu historyi legislacyi wiślickiéj, dodać jeszcze winniśmy słów kilka o naukowych obrobieniach tekstów wiślickich; nareszcie wskazać, jak uskutecznioną została urzędowa edycya Statutu wiślickiego przez Jana Łaskiego.

§ 6. Naukowe obrobienie tekstów prawa z wieku piętnastego.

Stosowanie prawa, potrzeba rozstrzygnięcia za pomocą niego licznych zwikłanych kwestyj prawnych i przypadków, prowadzi koniecznie do wyrozumienia ducha pojedynczych przepisów i wyprowadzenia z nich ogólnych pojęć. W krajach w których nauka prawa rzymskiego rozszerzyła się, za jéj pomocą wzięto się zaraz do naukowych traktatów nad prawami obowiązującemi, i do kommentarzów nad ich tekstami. U nas nie stała się nigdy powszechną; stroniono nawet od prawa rzymskiego z uprzedzenia, że uświęca zasady przeciwne duchowi praw krajowych. Wyniknęło ztąd, że naukowe obrobienie praw naszych ziemskich w téj epoce ograniczało się wyłącznie na dorabianiu obszerniejszych intytulacyj do pojedynczych artykułów legislacyi wiślickiéj, jak te, które w dawnych jéj tekstach znajdowa-

ły się, i na sporządzeniu summaryuszów, czyli skróconém oznaczeniu treści artykułów.

Wszakże i skromne te prace zasługują na największą naszę uwagę. Leży w nich nierównie więcéj jakby się na piérwszy rzut oka zdawać mogło: albowiem i jedne i drugie przedstawiając treść rozporządzeń w każdym artykule zawartą, tworzą tém samém z każdego szczegółowego przepisu ogólną regułę i podnoszą rozporządzenia, które miały na celu właściwie tylko oznaczenie jednego pojedynczego przedmiotu, do potęgi uogólnionéj zasady.

Utworzeniu summaryuszów przypisujemy rozszerzenie się w kraju pewnéj massy ogólnych pojęć prawnych, zkąd jako naturalny skutek, wynikało powolne zacieranie się partykularnych różnic prowincyonalnych prawodawstw, a nareszcie zlanie się onych w jednę całość; opuszczając bowiem w oznaczeniu treści przepisu drugorzędne okoliczności i rozporządzenia, które stanowią często wyłączną jego właściwość prowincyonalną, usuwają tém samém różnice miejscowe, jakie między tym przepisem a innemi analogicznemi zachodzą.

Summaryuszów istnieje znaczna liczba. Zwyczajnie poprzedzają one w rękopisach sam tekst prawa, niekiedy idą po tekście, niekiedy tworzą oddzielną całość i bez tekstu samego prawa (1). Mieliśmy sposobność w różnych czasach widzieć niemałą ich liczbę. Nie mając ich jednakże obecnie pod ręką, nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy się od siebie różnią i na czém różnica ich polega. Te które mamy przed sobą, tworzą jednę familią. Sąto summaryusze do dygestów krakowsko-wielkopolskich. Ma je manuskrypt Bandtkiego z r. 1444, Stronczyńskiego z r. 1452 i Świętosław.

Może znajdzie się z czasem ktoś, co obszerniéj nad tym przedmiotem zastanowi się; do naszego celu dostatecznem było wskazać, jaki wpływ summaryusze wywrzéć musiały na pojmowanie dawnych naszych prowincyonalnych ustaw. Zwracamy tylko uwagę na to, iż zachodzi najściślejszy związek między summaryuszami a dygestami. Natura pracy jedna i ta sama.

(1) Posiadam rękopis ustaw warckich, przy którym znajduje się summaryusz ustaw małopolskich bez ich tekstu.

§ 7. Edycya urzędowa Statutu wiślickiego.

Były wprawdzie statuta wiślickie drukiem ogłoszone przed Łaskim, lecz gdy praca ta była tylko przedsięwzięciem prywatném, możemy ją z zakresu naszych spostrzeżeń wyłączyć.

Jan Łaski kanclerz, przystępując z rozkazu króla Alexandra do ogłoszenia zbioru praw krajowych, i uważając za rzecz właściwą na czele zbioru tego pomieścić tak zwany Statut wiślicki, jako najdawniejszy i najważniejszy pomnik prawodawstwa krajowego, znalazł się bez wątpienia w nader trudném co do niego położeniu.

Przypuszczamy, iż za czasów Łaskiego zachowywały się jeszcze w archiwum koronném na zamku krakowskim oryginały uchwał zjazdu wiślickiego. Wziąwszy je do rąk, nietrudno było dostrzedz, iż takowe uświęcały zupełnie inny porządek jak ten, który praktycznie zdawna ustalił się. W nich występowały dwa zupełnie różne prawodawstwa; tymczasem za czasów Łaskiego, zaledwie już może kto znajdował się, komuby wiadomém było, że każda z prowincyj koronnych miała kiedyś swoje osobne statuta. W praktyce różnica ta praw oddawna zatarła się i kraj przyzwyczaił się był do stosowania jednego prawa. Drukować dawne teksta oryginalnych ustaw wiślickich byłoby tyle, co chciéć naród cofnąć na dawne stanowisko rozdwojenia i pozbawić go korzyści ujednostajnienia prawodawstwa, które z takim mozołem i tylko skutkiem nadzwyczajnych wysileń, kilku po sobie następujących generacyj, osiągniętemi zostały. Nie pozostawało zatém nic więcéj Łaskiemu, jak wziąć za zasadę edycyi urzędowéj tak zwanego Statutu wiślickiego, jeden z rękopisów mieszczących w sobie dygesta krakowsko-małopolskie, jako przedstawiających taki tekst ustaw Kazimierza, jaki był w praktycznem użyciu.

Tego wymagała praktyka. Z drugiéj jednak strony, musiał zarazem siebie samego zapytać Łaski, czy dając tekst dygestów, odpowiada najważniejszemu warunkowi zbioru swego, którego celem być miało przechować wszystkie dawne pomniki prawodawstwa krajowego w ich chronologicznym porządku, bez względu, czy niektóre ich części mają jeszcze lub nie mają mocy obowiązującéj?

W położeniu tak delikatném, nie pozostawało jak dopełnić tekst dygestów; dopełnienie zaś polegało na dodaniu artykułów wielkopolskich, które autorowie dygestów jako niepraktyczne ze zbiorów swych wyłączyli.

Powstał ztąd znowu układ ustaw Kazimierza, różniący się od wszystkich poprzednich.

Cały Statut wiślicki Łaskiego składa się ze 152 oddzielnych artykułów, mających każdy osobną intytulacyą i osobny na boku summaryusz. Piérwsze artykułów 114 obejmują całą legislacyą małopolską, tojest stary Statut krakowski, wszystkie dodatki wiślickie i późniejsze Kazimierzowskie dopełnienia; począwszy od artykułu 115, zaczynają się artykuły wielkopolskie, a mianowicie do 136 artykuły pomieszczone w dygestach w tym samym niemal porządku i liczbie, co w rękopisie z roku 1452 (1)); od artykułu zaś 137 do końca, czyli do artykułu 152 postanowienia dorzucone z ustaw wielkopolskich, a opuszczone w dygestach.

Porządek w jakim przedstawione są artykuły legislacyi małopolskiéj jest na nieszczęście ten sam, jaki znaleźliśmy wyżéj w rękopisie Jana kleryka krakowskiego z roku 1432. I tu także na czele stoi artykuł XXV Statutów małopolskich, piérwszy z dodanych w Wiślicy; za nim w téjże saméj niemal kolei inne, tak jak u Jana. Wprawdzie gdzieniegdzie dostrzegają się i małe przestawienia, lecz liczba ich jest nader szczupła. To tylko na pochwałę przestawień powiedzieć można, iż są dosyć trafne. I tak: w układzie Jana artykuł LVIII dodatków wiślickich wyłączający zabójcę od sukcessyi, postawiony jest między artykułem o karze za obelgi i artykułem o karze za uszkodzenie drzew. Przeciwnie u Łaskiego idzie po artykule 61 edycyi Bandtkiego, mówiącym o prawach, jakie ma syn naturalny po zabiciu matki jego. Pomimo tych sprostowań, układ cały nadzwyczajnie bałamutny.

Jeszcze większy nieład w drugiéj części Łaskiego edycyi Statutu wiślickiego, obejmującéj postanowienia wielkopolskie, co musiało już ztąd wyniknąć, że powstała z dwóch niejako

(1) Ostatnim artykułem układu z r. 1452 jest przepis zaczynający się od słów: *porro cum judaicae pravitatis....* Ten sam przepis obejmuje też i art. 136 Łaskiego.

odrywków dawnéj wielkopolskiéj legislacyi, utworzonych doryweżo i bez żadnego zamiaru utrzymania w nich jakiegobądź systematycznego wykładu.

Wszystko to nadaje całemu zbiorowi formę nadzwyczajnie odrażającą: przepisy zdają się na los rzucone, jedna i ta sama materya przerywana najniewłaściwszemi wstawkami; a gdy do tego weźmiemy na uwagę, że w istocie w zbiorze tym znajdują się rozporządzenia, jedne drugie modyfikujące: brak systematu do tego stopnia utrudza, iż traci się niemal odwagę i chęć wynalezienia w téj mieszaninie czegoś rozumnego. Dopiéro rozebrawszy legislacyą wiślicką na składowe jéj części, tak jak to poprzednio uczyniliśmy, możemy się w niéj cokolwiek zoryentować.

Lecz jeszcze kilka słów o edycyi Łaskiego.

W dygestach, które nam przedstawia rękopism z r. 1452, dołączonych zostało do ustaw małopolskich 13cie artykułów Statutu wielkopolskiego wiślickiego i 4ry późniejszych uchwał wielkopolskich. Łaski dodał do nich jeszcze 26 artykułów z dawnego zbioru wielkopolskiego. Tym sposobem edycya urzędowa zachowała nam po wyłączeniu 15stu artykułów, całą niemal legislacyą wielkopolską (1).

Do rzędu odrzuconych artykułów należą:

1) takie artykuły, które Wielkopolanie do Statutu swego wzięli albo z dawnego Statutu krakowskiego, lub też z dodatków wiślickich, a zatém, które już w piérwszéj części znajdują się, a mianowicie artykuły: I, IV, VIII, XXIII, XXXIX i XLIII;

2) takie artykuły, które obejmowały postanowienia przeciwne uchwałom małopolskim, a mianowicie o karze niemiłościwéj i o przymuszonym podziale między synów dóbr po matce pozostałych, czyli artykuły XVIII, XXX i XXXIV;

3) takie, które były zastąpione przez inne, lecz podobne przepisy małopolskie, a mianowicie artykuł IX o przedawnieniu i XVIII o karach za zabójstwo i skaleczenie.

Wreszcie opuścił jeszcze Łaski artykuł XV i XLII Statutu wielkopolskiego: o obowiązku i ciężarach służby wojskowéj,

(1) Opuszczonemi przez Łaskiego artykułami wielkopolskiemi, są: I, IV, VI II, IX, XV, XVII, XVIII, XXII, XXIII, XXX, XXXIV, XXXIX, XLII, XLIII, XLIV.

jako już zupełnie niepraktyczne i zastąpione przez różne oddzielne akta.

Łącząc Łaski w jednę całość dwie różne legislacye, musiał naturalnie dozwolić sobie niektórych zmian w redakcyi pojedynczych przepisów. Zmiany te wszakże nie są tak liczne, jakby się godziło domniemywać. Jedna stanowcza zaszła w artykule 128, wziętym z artykułu XVI Statutu wielkopolskiego, mówiącym o wyposażeniu i spłaceniu siostrzenic, gdzie zniknęła różnica między dobrami dziedzicznemi a nabytemi; lecz uprzedził już w tym względzie Łaskiego autor rękopisu z roku 1452, jak to już wyżéj objaśnioném zostało. Druga jeszcze ważniejsza uczynioną została w artykule 123, wziętym z artykułu XXXIII. Przypominamy sobie zapewne, iż w artykule tym powiedzianém było: że w kraju mającym jednego panującego, potrzeba także, aby mieszkańcy mieli jeden i podobny sąd (unum et aequale judicium). Łaski zamienia wyrażenie: *jeden i podobny sąd*, na *jedno i podobne prawo* (unum et aequale jus). Zmiana ta była w zupełności usprawiedliwioną sposobem, jakim pojmowano w owych czasach legislacyą Kazimierza Wielkiego; i ostatecznie zaciérała w wyobrażeniu powszechném pamięć dawnych stosunków.

Przy zmianach w innych artykułach zachowuje Łaski obroty małopolskie. I tak: zamiast o biskupie poznańskim, mówi o biskupie krakowskim; zamiast o wojewodzie poznańskim, wspomina o wojewodach krakowskim i sandomierskim. Zdaje się, byłoby nierównie właściwiéj, gdyby wychodząc z ogólniejszego swego stanowiska, był zachował wzmiankę o jednych i o drugich: boć Statut, który występował w jego wydaniu w formie jednolitéj, miał być właśnie prawem obowiązującém zarówno w Małopolsce jak i Wielkopolsce.

Z tego, co dotąd powiedzieliśmy o edycyi urzędowéj Statutu, zdawałoby się wynikać: iż przyznajemy samemu Łaskiemu wszystkie przekształcenia, które w niéj w porównaniu do rękopisów dygestów krakowsko - wielkopolskich znajdujemy. W istocie jednakże tak nie jest, bo już w edycyach z wieku XVgo, Statut wiślicki w téj saméj zdaje się występuje formie. Nie mając edycyj tych pod ręką, nie mogliśmy tego stanowczo wyrzec, i musieliśmy za całą robotę uczynić wyłącznie odpowiedzialnym samego Łaskiego, którego zresztą bynajmniéj nie usprawiedliwia przykład poprzedników, bo tamci występo-

wali z pracą prywatną, on zaś wykonywał dzieło rządowe, do którego powołany był zaufaniem króla i stanów.

Zresztą dodać jeszcze winniśmy, iż dotąd nie napotkaliśmy na żaden rękopis, któryby przedstawiał redakcyą Statutu taką, jaką w edycyi urzędowéj Łaskiego dostrzegamy (1). Natomiast zwraca uwagę naszę na siebie jeszcze jedna klassa rękopisów, o któréj dotąd nie wspominaliśmy. Sąto rękopisa, w których zawartą jest cała legislacya małopolska i Statut wielkopolski, z zachowaniem miejscowych ich właściwości, i porządku dawniejszego układu; jednak bez podziału całości na dwie części i odróżnienia ich przez oddzielne napisy i bez dołączenia do ustaw wielkopolskich czterech późniejszych dodatkowych uchwał. Znamy dwa podobne rękopisy: jeden łaciński, tak zwany Bandtkiego IIgi; drugi polski, znany pod nazwiskiem Wiślicyi, dwa razy już drukowany (2). Nie umiemy sobie dotąd wytłumaczyć potrzeby praktycznéj podobnych rękopisów; to tylko pewna, że rękopis Bandtkiego powstał późniéj jak dygesta krakowsko-wielkopolskie, bo mieści na czele summaryusz skrócony, odpowiadający układowi dygestów.

§ 8. Niektóre myśli względem przyszłéj krytycznéj edycyi prawodawstwa Kazimierza Wielkiego.

Wywody poprzednio umieszczone, zdają się być dosyć stanowczemi; przynajmniéj przekonywają nas, iż taki Statut Kazimierza, jaki znajdujemy w edycyi Łaskiego, za panowania tego króla nie istniał. Dzieło wydrukowane przez Łaskiego jest utworem drugiéj połowy wieku XVgo, najmniéj o wiek późniejszym od zjazdu wiślickiego, przedstawiającym nam legislacyą Kazimierza tak, jak wówczas ją pojmowano i w praktyce stosowano. Czém ona była za czasów samego Kazimierza Wielkiego, jak ją późniéj obrabiano i przekształcono, szczegółowo objaśnioném zostało.

(1) Domyślać tylko godzi się, że wydawcy wieku XV oparli wydanie swoje na wcześniejszych rękopisach. Czy manuskryptem podobnym nie jest rękp. Mikołaja z Rogoźna?

(2) Zdaje się, iż między manuskryptami biblioteki Ossolińskich we Lwowie, znajduje się także podobny rękopis.

Jakąż więc powinna być krytyczna edycya tego prawodawstwa?— Nie inna, jak tylko taka, któraby opierając się na rękopisach, przedstawiała nam wszystkie przekształcenia téj legislacyi. Czcigodny nasz ś. p. Bandtkie mylił się w tém mocno, iż szukał jakiegoś najkompletniejszego, najbardziéj oryginalnego tekstu Statutu Kazimierza, statutu sporządzonego w Wiślicy. Wychodząc z tego stanowiska, uważał wszystkie rękopisa, które od tego ideału oddalały się, za niekompletne, a dostrzeżone w nich różnice, za proste błędy przepisywaczy, lub za dowolne odstąpienia od tekstu oryginalnego.

Edycya krytyczna powinnaby w sobie obejmować w porządku chronologicznym:

1. *Stary Statut krakowski* z wieku XIIIgo, złożony z dwudziestu czterech artykułów podług rękopisu Muczkowskiego, z oznaczeniem nowszych w nim zawartych artykułów.

2. *Statut wielkopolski* składający się z 32 artykułów, ułożony na wzór Statutu krakowskiego, na zjeździe w Piotrkowie.

3. *Dodatki wiślickie do Statutu małopolskiego*, w liczbie 35 artykułów, także podług rękopisu Muczkowskiego; wraz z przedmową do całego Statutu małopolskiego.

4. *Dodatki wiślickie do Statutu wielkopolskiego* w liczbie 12 artykułów, wraz z przedmową do całego Statutu wielkopolskiego.

5. *Prejudicata i nowe uchwały uzupełniające Statut małopolski* z czasów Kazimierza.

6. Nowe uchwały uzupełniające Statut wielkopolski z czasów Kazimierza (?).

7. Dwa różne *zbiory systematyczne ustaw małopolskich*, z początku wieku XVgo: *jeden* podług rękopisu lwowskiego i Pawła Kostki; *drugi* podług rękopisu Jana kleryka krakowskiego.

8. Tak nazwane przezemnie *Dygesta ustaw krakowsko-wielkopolskich* z połowy wieku XVgo, podług rękopisu Stronczyńskiego z roku 1452 i innych jemu podobnych.

9. *Summaryusze* z wieku XVgo.

10. *Tekst Statutu wiślickiego urzędowy*, ogłoszony przez Łaskiego.

Dobrze byłoby do tekstów łacińskich dodać jeszcze dawne tłumaczenia polskie, a przynajmniéj tłumaczenie tak zwa-

néj Wiślicyi, i tłumaczenie ruskie dawne dygestów krakowsko-wielkopolskich (1).

Niepotrzeba wspominać, jak dalece wydanie podobne, koniecznie jest potrzebném: bez niego nie można pisać historyi naszego dawnego prawodawstwa.

W Warszawie, dnia 4 listopada 1852 roku.

(1) Manuskrypta same które miałem pod ręką, albo o których powziąć mogłem niektóre bliższe wiadomości, układają się w porządku chronologicznym w następujące gruppy:

Wiek XIV (*). 1. Statut krakowski czyli małopolski wiślicki, złożony ze statutu starego krakowskiego wieku XIII i dodatków wiślickich; manuskrypt Muczkowskiego.

2. Statut wielkopolski piotrkowski; manuskrypt Sierakowskiego.

3. Statut wielkopolski z dodatkami wiślickiemi, dotąd nieznaleziony w oddzielnym rękopisie, tylko zawsze połączony z małopolskiemi ustawami.

4. Układy systematyczne ustaw małopolskich dwóch gatunków:

Początek wieku XV. *a*) Jeden reprezentowany przez manuskrypt lwowski Ossolińskich biblioteki r. 1400, i Pawła Kostki r. 1453 biblioteki Cesarskiéj w Petersburgu;

b) drugi we wszystkich innych manuskryptach obejmujących w sobie ustawy małopolskie oddzielone od wielkopolskich, poczynając od manuskryptu Jana kleryka r. 1432 biblioteki Cesarskiéj w Petersburgu.

Po Wartskich. 5. Zbiory kompletne praw małopolskich i wielkopolskich, obejmujące w piérwszéj części ustawy małopolskie, w drugiéj wielkopolskie z oddzieleniem jednych od drugich przez napisy; manuskrypt Jana kleryka r. 1432, Piotra z Sieradza r. 1474, będący własnością Stronczyńskiego.

Przed połową XV wieku. 6. Dygesta krakowsko-wielkopolskie; manuskrypt (Mikołaja z Oborník r. 1441 u hr. Działyńskiego) (?), Bandtkiego I r. 1444, Petersolza r. 1449 w bibliotece Cesarskiéj, Świętosława r. 1449, Stronczyńskiego r. 1452, Lanckorońskiego biblioteki Ossolińskich, niewiadoméj daty, pargaminowy bibl. Cesarskiéj i tłumaczenie ruskie.

Druga połowa XV wieku. 7. Zbiory kompletne ustaw małopolskich i wielkopolskich, bez oddzielenia dwóch części osobnemi napisami; manuskrypt tak zwany Wiślicia r. 1460, Bandtkiego II r. 1478.

Koniec XV wieku. 8. Dygesta krakowsko-małopolskie z dodatkami niektórych jeszcze (18) ustaw wielkopolskich; (manuskrypt Mikołaja z Rogoźna r. 1472 u hr. Działyńskiego), (?) edycye Statutu Kazimierza z końca wieku XV i wydanie Łaskiego, i jedne i drugie oparte zapewne na rękopisach z końca XV wieku.

(*) Oznaczenie to nie ściąga się do dwóch następnych numerów.

JĘDRZÉJ KITOWICZ.

PRZEZ

K. W. Wojcickiego.

Imię Kitowicza niedawno z cienia zapomnienia wydobyto, bo niedawno téż dzieła jego historyczne w zupełności poznaliśmy. Wprawdzie, przed dwudziestą laty Łukasz Gołębiowski w wyjątkach dał nam poznać tego pisarza; ale z ułamków nie można było ocenić wysokiéj wartości prac dla historyi krajowéj Kitowicza. Karol Sienkiewicz dorywczą dał nam jego biografią. Szczęśliwym trafem otrzymawszy od jednego z pokrewnych naszego historyka kilkanaście listów, notat, i testament własnoręczny Kitowicza, możemy podać dokładniejszy życiorys (1).

Jędrzéj Kitowicz urodził się w listopadzie 1728 roku. Matka jego (urodzona w roku 1693) w trzydziestym roku życia poszedłszy za mąż, piérwsze powiła bliźnięta, po nich córkę

(1) Zawdzięczamy wszystkie rękopisma, które nam posłużyły do wyjaśnienia szczegółów życia, wnukowi Kitowicza: W. Adamowi Antoszewskiemu.

Oto jest notatka własnoręczna, jaką przesłał swojéj siostrze Ludwice Makowskiéj:

„Dla pamięci Jéj M. Pani Siotrze.

Matka nasza była panną lat 30 niezupełnych. W trzy ćwierci roku miała bliźnięta. Czyni miesięcy 9.

Pani siostra urodziła się po bliźniętach w rok 1. Jam się urodził po Pani Siostrze w lat 2 miesięcy 3.

Ojciec nasz umarł roku 1749 miesiąca 6: miałem wtedy gdy ojciec umarł, lat 21, miesięcy 7.

Ludwikę, po któréj urodził się nasz dziejopis. Przeżyła męża, i w stanie wdowim lat cztery z górą zostawała. W roku 1753 zmarła w 60 roku życia. Już był pełnoletnim Jędrzéj, bo miał skończonych lat 21, gdy go ojciec w roku 1749 odumarł. Ostatnie chwile rodzica silne wrażenie na jego umyśle zrobiły, gdy w 52 lat w liście do siostry pisze:

„Ile razy wspominam sobie śmierć ojca naszego, który pięć dni konał, lękam się takiego zgonu.“

Z młodych lat służył dworsko (jak sam mówi), późniéj był konfederatem barskim, a naostatku został księdzem. W tym potrójnym zawodzie życia nabył praktycznego wykształcenia i był do wszystkiego zdolnym. A naprzód widać, że był doświadczonym gospodarzem. Biskup kujawski Antoni Ostrowski zamyśla wieś kupić; wzywa Kitowicza, aby wartość jéj oszacował, i intratę wyciągnął. Przez długi czas zajmował się rachunkami w dobrach tegoż biskupa.

„Zaprzągłem się do téj roboty (pisze), jak do pługa; ale cóż, porzucić tego nie mogę, bez ruiny spodziewanego szczęścia, a najwięcéj po różnych stratach, bez ruiny pozostałego przy mnie dobrego imienia.“

Jako żołniérz był znawcą doskonałym koni: ich cnoty, zalety, defekta, facyendy, znał to na palcach. Myśliwiec, wiedział jak wybrać szczenię hodować, do właściwego pola ułożyć. Obarczony laty siedząc na probostwie w Rzeczycy, miał ulubioną ptasznicę fuzyjkę, z którą czasami polował na ptastwo i zające. Przyjaciel jego i dobroczyńca ks. referendarz Lipski potrzebuje wina; nie masz jak Kitowicz, który je wybierze, kupi, wyklaruje (1). Jakoż kupuje, nalewa na stary lagier. „Zdziwiłem się (pisze wielce uradowany) skosztowawszy, że wino tłuste, stare, które przeszłego roku było dobrze nadkwa-

Matka umarła roku 1753 miesiąca 11; była wdową lat 4 miesięcy 5 Żyła zatém wszystkiego lat 60 niezupełnych, ponieważ urodziła się przed św. Katarzyną na dwa dni, a umarła przed tymże świętym na dni 9. Powtóre poszła za mąż w roku 30tym nieskończonym, ale idącym: więc dobrze ja powiadam, że nie dożyła lat zupełnych 60. Proszę temu wierzyć, bo ja mam wszystkie lata zapisane.

Od śmierci ojca do dnia dzisiejszego jest lat 37, miesięcy 10, dni 22. Od śmierci matki do dnia dzisiejszego jest lat 33, miesięcy 6, dni 5.

Datt w Warszawie dnia 21 maja 1788 roku.“

(1) K. Sienkiewicz.

śniało, teraz najmniejszego nie ma kwasu; owszem, słodycz, tłustość i dryakiew dziwnie przyjemną. Słowem bibilissimus jest.“

Górującą w nim namiętnością było zbiérać i rozsiewać nowiny publiczne. Mieszkając w Warszawie, ma do tego obszerne pole: wié co się dzieje w najtajniejszych zakątkach, przewiduje na co się zanosi. Odradza Lipskiemu, aby w trudnych konjunkturach nie kwapił się do stolicy; dyktuje mu jak i do kogo ma pisać z exkuzą. Zakłopotany Zaremba (jeden z naczelników konfederacyi barskiéj, z którym żył Kitowicz w ścisłéj przyjaźni) po swojéj submissyi znajduje w nim doradcę, gdy przyszło pisać do posła pruskiego. Polityk starego kroju, Kitowicz w opiniach swoich nosi wybitną cechę czasu w którym żył, i stronnictwa do którego należał. W oczach jego wolność bez *liberum veto*, a maca żydowska bez krwi chrześciańskiéj, obejść się nie mogą. Podejrzliwém okiem pogląda na wszelkie reformy, niecierpi ich propagatorów. Mimo to niepokoją go burdy sejmikowe, zgiełki trybunalskie, hulatyka Radziwiłła; w konfederacyi w któréj miał udział, obok szlachetnego zapału, widzi opłakane mizerye intrygantów: zaczyna być sceptykiem politycznym, składa miecz, wstępuje do klasztoru. Suknia nic w nim nie zmienia.

W roku 1771 w październiku, już go widzimy w seminaryum pijarskiém; wyświęcenie jego doznawało niejakich trudności, a biskup kujawski po dwakroć musiał pisać do Rzymu o dyspensę dla niego. Był w młodości swéj na dworze Antoniego Ostrowskiego prymasa. Księdza Lipskiego pisarza koronnego, a późniéj referendarza, mieni być szczególnym swoim dobroczyńcą. „Dla niego (pisze) i drzwiami skrzypać miłoby mi było, byle to miało pozór przysługi.“ Nie zapomniał Kitowicz dobrodziejstw sobie świadczonych, gdy w testamencie przeznacza sześć tysięcy złotych polskich kapitule wolborskiéj: „A to na anniwersarz czyli rocznicę za duszę świętéj pamięci Antoniego Ostrowskiego prymasa niegdyś korony polskiéj, i Michała Lipskiego sekretarza wielkiego koronnego, których dobrodziejstwa jako byłem uczestnikiem za żywota i prawie cały majątek z ich łaski powstał, tak chcę, aby wdzięczność moja ku nim, przez cały trakt życia mego Ich duszom okazywana, rozciągała się dla nich i po śmierci mojéj“ (1).

(1) Zobacz testament na końcu przywiedziony.

Od chwili przyobleczenia sukni zakonnéj, przez lat 17 nie mamy żadnych o Kitowiczu szczegółów, do roku 1788. Właśnie dożył lat sześćdziesięciu i zaczął myśléć o uporządkowaniu swoich rękopisów i wygotował następną przemowę do czytelnika, którą jako nieznaną wcale, w całości przywodzę.

„Pospolicie niemal każdy, zaczynający czytać jaką książkę, ciekawym jest wiedziéć autora, a to dlatego, żeby z charakteru jego mógł sądzić o dziele. Lecz ta proba nie jest koniecznie pewna. Widziały wieki dawniejsze, i mój wiek napatrzył się bardzo wiele ludzi, urodzeniem i godnością wielkich, mający umysł zaprzątniony zdaniami nikczemnemi, fraszkami, bajkami, szalbierstwami i podłemi pochlebstwami, którzy w pismach swoich, potomności zostawionych, albo szukali dla imienia swego zalety, albo komu pochlebowali, albo się płodem rozumów swoich jak matki dzieckiem, delektowali. Bywali przeciwnie i są ludzie, z między gminu pospolitego nic nie wyniesieni, dlatego téż nieznaczni. Tém przyrównaniem chcę ostrzedz czytelnika mego, że więcéj powinien wierzyć takiemu pisarzowi, który rzeczy jakie pierworodnie pisze, na które oczami własnemi patrzał, lub od ludzi wiary godnych zaraz po zdarzeniu ich słyszał, niż temu, który je z drugiego przepisuje, albo w sto lat jaką historyą pisze, albo mieszkając w Ameryce pisze kroniki państwa jakiego europejskiego: bo naprzykład gdyby admirał okrętowy wydał sztukę wożenia karetą, który bicza w ręku nie miał, i takąż sztukę opisał jaki człowiek, który na koźle osiwiał, zapewne prędzéjbyśmy skłonili się do sztuki tego drugiego, niż do admiralskiéj, chociażby ten drugi nie był stangretem królewskim, ale tylko fiakrem albo woźnicą Bernardyńskim."

„Z takowéj uwagi czyniąc zadosyć czytelnikowi memu, donoszę mu, iż jestem rodowity Polak. Prosto ze szkół udawszy się w dworską służbę, a potém do konfederacyi krajowéj, a nakoniec do duchownego stanu. Niemal całe życie na publice strawiwszy, i zawsze między ludźmi najpierwszemi w kraju mieszczący się. Wszystko com w tych pamiętnikach napisał, albom oczami własnemi na to patrzał, albo z ust bardzo wiary godnych nieodwłocznie słyszał, a w wielu okolicznościach samem się znajdował: przeto pismu memu wiara bez bojaźni zawodu, może być dana."

„Miejscem i czasem bliższy swego dzieła pisarz, powinien być przeniesiony nad dalszego. Obywatel, niebędący ani w ła-

skach monarchy, ani w nienawiści jego, piszący o dziejach jego, powinien znajdować więcéj wiary nad dwóch następujących: nad jednego, który tchnie zawziętością ku królowi, nad drugiego, który żyje z pochlebstwa królewskiego."

„Kto szuka prawdy, ten ją znajdzie (1), kto szuka wdzięku stylu i powabnego rzeczy układu, przepraszam, tego u siebie nie mam: albowiem przez większą połowę życia mego, rozmaite z miejsca na miejsce odprawując przenosiny, nie miałem czasu robić pod sznur i cyrkuł peryodów; ledwo mię stać było na to, żem przypadek wydarzony, krótko a węzłowato zanotował na kawałkach papieru, chowając w jedném złożeniu, a dopiéro w roku 1788, zaś 60 wieku mego, zacząłem je w jednę książkę zbierać, nie uważając ani na porządek rzeczy, ani na gładkość stylu, obawiając się, aby mię bawiącego około tych powierzchownych okras, śmierć nie zaskoczyła, i wszystkiego dzieła razem z życiem nie wydarła. Powtóre, kto chce w ułożeniu należytém pisać historyą, musi czekać aż dzieła staną; w biegu ich szykować nie można. Przyczyna piérwsza do notowania zdarzeń za życia mego była, naturalne przywiązanie do dziejów albo historyi, którą, mojém zdaniem, mam za mistrzynią umysłu, i oświecicielkę najprzedniejszą. Druga: dostało mi się czytać różne opisanie dziejów za Augusta II, Augusta III i teraźniejszego, (2) jużto przez narodowych pisarzów, jużto przez zagranicznych. Ci lchmość nietylko same dzieła opisali, ale nawet myśli i środki sprawców, któremi swoje dzieła wykonali, z taką dobitnością, jakby w sercach tych, których akcye opisali, siedzieli; ale to wszystko bardzo odmiennie od rzeczy, jak się działy. Przeto będąc ja niemal wszystkich dziejów od roku 1743, aż do roku ostatniego, na którym skończę, oczywistym świadkiem: umyśliłem wydać i zostawić potomności moje pamiętniki, aby prawda zagmatwana piórami postronnych pisarzów, lub pochlebców, nie zginęła. Że zaś ja rzeczy moje tylko same opisuję jak się stały, nie przydając im żadnych ani pochwał, ani nagan, ani przyczyn z których, ani konsekwencyj dla których zaszły: przeto każdy skombinowawszy moje pismo z innemi pismami, łatwo wyrozumié i znajdzie prawdę."

(1) Przypominamy czytelnikowi, że to jest wstęp do Pamiętników Kitowicza. (2) Stanisława Poniatowskiego.

„Tę zaś nagość i skromność zachowuję tylko w opisowaniu samych dziejów, gdzie piszę jako świadek; bo gdzie piszę o jakich osobach wystawując na widok potomności ich obraz i sądząc o nich, tam piszę sądząc, nietylko świadcząc. W takiém sądzeniu wolno iść za mojém zdaniem, wolno za inném, dosyć, że ja do mego takiego a nie innego sądzenia trzymałem się pobudek jak najdoskonalszych, z czynów tychże samych osób o których piszę wziętych, oglądając się na sumienie, abym nikogo niesłusznie nie posądzał, dopieroż w potomności dobrego za złego nie podawał."

„Ze zaś temi czasy bardzo w modę weszło czytanie historyi, a nawet w szkołach za wiele potrzebną dają ją iekcyą, a pospolicie rzeczy wesołe, i niejako igraszki lepiéj się wbijają w pamięć młodzieży szkolnéj, niż poważne i surowe; przeto zdało to mi się za rzecz niezłą, to moje dzieło przyprawić częstokroć żartobliwemi wyrażeniami. Za co poważnego czytelnika przepraszam: młodemu, wesołość lubiącemu, wszystko co jest śmiesznego ofiaruję; całe zaś dzieło przypisuję wszystkim, którzy go dostaną."

„To dzieło zrobiłem nie dla samych statystów, ale dla wszelkiego gatunku ludzi: i wielkich i małych. Dlatego pokładłem w niego nietylko znaczne dzieje, ale też i małe zdarzenia; nietylko publiczne, ale też i szczególne; nietylko ziemskie rewolucye, ale też nadziemskie czyli sublunarne: bo nie wiem co się komu przyda, a radbym się każdemu przysłużył."

„Piérwszą książkę tych dziejów kończę z rokiem 1788, drugą zacznę z początkiem roku 1789. Jak daleko zajdę w lata, wiedzieć nie mogę; dlatego też peryodu ostatniego pisaniu memu nie zakładam: będę pisał, póki będę mógł, a w którym miejscu i czasie ustanę, ten będzie końcem pracy mojéj" (1).

W roku 1799, już Kitowicz jako kantor wolborski i kanonik kaliski podpisywał się, a siedział na probostwie w Rzeczycy. Siostra jego Ludwika, zamężna Makowska, miała trzy córek wszystkie wydane już za mąż: Juliannę Białobrzeską,

(1) Przepisaliśmy cały ten wstęp z oryginalnego autografu Kitowicza. Tu pod względem pisowni zwrócić muszę uwagę, że jotę wszędzie i trafnie używa, jak w tych wyrazach: *przepisuję, jaką, w kraju, dziejów, już, moje, opisuję, zachowuję, ja, oglądając, wbijają.* W listach też swoich wszędzie jotę zachowuje.

Maryannę Popławską, i Józefę Rutkowską. W roku 1799 Białobrzeska była wdową. Kitowicz utrzymywał częstą korrespondencyą z Rutkowskim sekretarzem Jego Królewskiej Mości, a mężem siostrzenicy, Józefy. W roku 1801 za pruskich jak zwano czasów, rozpoczął proces o dziesięcinę wytyczną, należną do probostwa rzeczyckiego. Sprawa ta żywo go zajmowała: list za listem posyła do Rutkowskiego, aby mu pilnował w Rejencyi procesu; pisze do tego długie objaśnienia, i w jednym z listów tak się wyraża:

„Byłobyto ze wstydem całego domu naszego, żebyśmy w nim mieli najstarszą głowę takiego tchórza, jakim stałbym się, gdybym zacząwszy proces, uciekł od niego dla wątpliwéj wygranéj.“

Nie malujeż się w tych wyrazach dosadnie Kitowicz, nie widaćże w nich, że w nim zawsze bije krew starego z czasów Augustowskich szlachcica?

Do siostry swojéj pisywał ciągle. W liście z daty 27 kwietnia 1801 r. pisze:

„Nie mam co więcéj donieść o sobie W. M. Pani Dobrodziéjce, tylko że prócz choroby mojéj na kamień, którą czasem cierpię, wreszcie jestem zdrów; ale co na fortunie, upadłem ze wszystkiém, ponieważ kupiec w Poznaniu u którego miałem cokolwiek grosza, podał się za bankruta: muszę teraz żyć tylko z szczupłych funduszów plebanii.“

Pomimo przywiązania do siostry, nie rad był, żeby go odwiedzała. Przesyłając jéj w darze kurzego owocu (jaj) tłumaczy się, że nie miałby czém jéj dobrze przyjąć, że często wyjeżdża to do Wolborza, to do Piotrkowa. Kończy uwagą: „starym najlepsza wygoda w domu.“

Kiedy siostra doniosła mu, że obarczonéj wiekiem trudno już pisywać; Kitowicz taki list jéj przesyła (20 maja 1801 r. z Rzeczycy):

„Sercem najukochańsza Mościa Pani siostro i Dobrodziejko!“

„Kiedy W. M. Pani Dobrodziejce przykre jest pisanie, to pewnie i czytanie: więc nie fatygując jéj długiém pismem donoszę, żem zdrów, że szkatuła moja nie boi się złodzieja. Żem

jéj przeszłym razem posłał dwie kopy kurzego owocu, i że tegoż samego drugie tyle posyłam. Życzę jéj jak najlepszego zdrowia, i dla krótkości ten list kończę francuzkim stylem. Pozdrowienie, braterstwo i uszanowanie.“

Ks. Jędrzéj Kitowicz.

Pod tąż samą datą mamy ciekawy list naszego historyka, którym odpisuje na propozycye Rutkowskiego, aby się przeniósł do domu jego. Przywiedziemy go tu w całości:

„Za przychylne oświadczenia ku mnie W. M. Pana Dobrodzieja, wyczytane z listu pisanego dnia 9 teraźniejszego miesiąca, obowiązane zasyłam mu dzięki. Ale W. M. Pan Dobrodziéj nie zreflektowałeś się na jakość osoby, któréj ofiarujesz w tymże liście swoje względy. Najprzód, ja w tym domu, z którym mię krew siostry mojéj łączy, nie jestem bratem, ale starszą głową. Zatém tekst użyty od W. Pana Dobr. z pisma Świętego: „Ecce quam bonum, et quam jucundum, habitare fratres in unum“, nie służy mi: bardziéjby mi służył następujący wyraz (gdybym się chciał w domu W. Pana lokować): „O quam ridiculum est, senem delilare inter pueros.“ Już tedy propozycya przeniesienia się do W. Pana Dobr. z pomienionéj uwagi nie jest dla mnie. Również i druga względem dzierżawienia Przesławic nie wypada ani na stan mój, ani na lata moje. Tożbym ja dla doczesnych widoków miał się oddalać od kościoła, którego przyjąłem służbę, i z któréj mam zdać kiedyś rachunek Panu Najwyższemu. Tożbym w podeszłym wieku moim potrzebującym spoczynku, miał się spuszczać na chléb najpracowitszy jakim jest ekonomika? Z tych tedy uwag powtarzam, żeś się W. M. Pan na mnie dobrze nie obejrzał, podając mi takie propozycye.

„Dobrze mi przy kościele rzeczyckim, choć przy szczupłych teraźniejszych dochodach jeszcze się mogę używić, nie stając się nikomu ciężarem. Co się tyczy sumki mojéj w Poznaniu, ta jeszcze nie przepadła, lubo jest w niebezpieczeństwie, dla podania substancyi swojéj na tablice dłużnika. Wszakże z okoliczności, które mam doniesione od przyjaciół biorę nadzieję, że wybrnie z tego niebezpieczeństwa bez szwanku, ponieważ mój dłużnik podniósł konkurs dla pociągnienia dłużników swoich do prędszego oddania mu należących kredytów i dla rozstrychnięcia się z bracią swemi utracyuszami. W ta-

kowych terminach nic mi czynić nie wypada, jak temporyzować: czego też po mnie wymaga mój pomieniony dłużnik z assekuracyą bezpieczeństwa.

„Jestem ja zdrów co do całéj konstytucyi zdrowia. Lecz jeden moment może mnie życia pozbawić, gdy kamień, który cierpię od lat trzech, zawali upust wodny raz jeden. Na ten przypadek mam napisany testament. I choćby go nie było, to W. M. Pan jako mający wstęp do Regencyi przez syna, nie byłbyś uszkodzony w sukcessyi, tak dla siebie, jako i dla drugich współsukcessorów. Lubo mię wstyd, że o takich bagatelach z jakich się mój majątek składa, rezonuję przed sukcessorami krociowemi, ale po śmierci nie będę się wstydził. Co zastaniecie, to weźmiecie.

„Dla zabawy posyłam W. M. Panu pismo, które wpadło w ręce moje, i które dla niego przepisałem: po przeczytaniu którego życzyłbym sobie, aby było odesłane Jmci księdzu Wolińskiemu ex-wizytatorowi missyonarskiemu, ale nie powiadając od kogo wyszło, tylko go oddawszy posłańcem nieznajomym (1). Jeżeli pomieniony Jść ksiądz Woliński nie znajduje się w Warszawie, uczyń W. M. Pan z tém pismem co zechcesz. Ja zaś za fatygę moję, upraszam W. M. Pana Dobr., ażebyś kupił dla mnie i przysłał przez niniejszego posłańca książkę, któréj tytuł: „Ksiądz małżonek nic nowego, nic dziwnego". Nagana téj książki wielu duchownych statecznych zaostrzyła we mnie ciekawość, abym i ja mógł ganić, bo naśladować nie myślę, choćby to było nietylko pozwoleniem, ale przykazaniem: już wtenczas lata moje dawałyby mi exempcyą."

W roku 1799 napisał testament, a w nim o swoich pamiętnikach tak mówi:

„Dwa rękopisma moje, jeden o obyczajach polskich, drugi historya polska, dotąd obadwa niedokończone, oddać proszę do biblioteki Ichmościom księżom Missyonarzom warszawskim. Liche te pisma co do stylu i składu rzeczy, zawierają jednak w sobie wiele takowych dziejów, o których żyjący dziś młodzi ludzie nie słyszeli, i których dla drobności wielcy pisarze nie dotknęli. Które przecie drobiazgi z wielkiemi dziełami znie-

(1) Nie mamy żadnego śladu treści tego pisma, które tak tajnie Kitowicz poleca wręczyć; domyślać się tylko musimy, że było to pewien rodzaj satyry.

sione, najdoskonalszy rysują obraz gieniuszu rządu, i maxym narodu. Dlatego warte są jakiego kącika w bibliotece (1).“

Z rękopismów przecież Kitowicza widać, że w następnych latach prowadził daléj i wykończał swoje pamiętniki: składały się one z 12 seksternów, jak się okazuje z listu ks. Sokołowskiego, wikarego w Rzeczycy, który zdawał wszystkie rzeczy po naszym historyku (2).

Szczegółów śmierci Kitowicza nie mamy żadnych. Umarł na początku 1804 roku, mając lat 76 wieku. Długo tajono tę smutną wiadomość przed przywiązaną do niego siostrą, Makowską, która jakkolwiek starsza, przeżyła brata (3).

Kitowicz nie wypuszczał pióra z ręki do samego zgonu. W ustroniu, oddalony od gwaru światowego, który go tyle niegdyś zajmował, pracował, wykończał swoje pamiętniki, przepisywał ulotne, a zastosowane do chwilowych okoliczności wierszyki i pisma, i rozsyłał je przyjaciołom i znajomym. Do ostatnich niemal prac jego należy bardzo ważny obraz statystyczny Polski z 1790 roku, który mamy przed oczyma. Jest on w rubrykach ułożony, wykazujący obszerność ziemi, ilość miast i wsi, dymów wiejskich i miejskich, oraz ludności, podatków czyli przychodu i wydatków.

Do saméj śmierci zachował czerstwość; nie czuł zgrzybiałości, choć dożył późnego wieku. Samo pismo Kitowicza szybko a krzepko kreślone, wyraziste, okazuje, że mu ręka nie drżała.

(1) Rękopisma Kitowicza, pomimo jego woli wyrażonéj w testamencie, ażeby pomieszczone zostały w bibliotece księży Missyonarzy warszawskich, dostały się do księgozbioru księży Pijarów; obecnie już ich tam nie ma, bo wziął je przed kilkunastą laty ś. p. Edward hr. Raczyński w celu wydania.

(2) W liście tym 1 Junii 1804 r. z Rzeczycy pisanym przez księdza Sokołowskiego wikarego, wyczytuję, że rękopisma Kitowicza składały się z 12 seksternów, które „bierze z sobą do Warszawy JP. aktuarynsz Mittag.“ Przytém odesłał siostrzenicy naszego historyka jego książkę do nabożeństwa, i rękopism: Podział Polski w trzech aktach.

(3) Siostrzenica Kitowicza Białobrzeska, córka Ludwiki z Kitowiczów Makowskiéj, tak pisze w swoim liście do siostry, dnia 30 kwietnia 1804 roku:

„Żałuję bardzo, że nie byłam tak szczęśliwa widzieć się aby raz z księdzem wujem. Kiedy się Bogu podobało, niech z Bogiem spoczywać. Dobrze, że matce naszéj nie powiész, bo to przyspieszyłoby jéj śmierć, ile była tak przywiązana do brata. Jedźcie tam, a donieście czyli tam będzie jaka pamiątka, a jeżeliby było po co, tobym i ja przywlekła się.“

Pozostałe rękopisma Kitowicza podzielić można na trzy oddziały. Do piérwszego należy: „Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta IIIgo". Dzieło to policzyć możemy do najważniejszych w gałęzi historyi, dające nam najwyborniejszy obraz we wszystkich szczegółach życia domowego. Począwszy od kolebki dziécięcia, wchodzi do szkół, zaziera do zakątków klasztornych, biesiaduje z palestrą i towarzyszami rot pancernych i husarskich, przedziera się do gotowalni kobiét wielkiego świata. Jestto galerya obrazów ówczesnego życia polskiego. Duchowieństwo, studenci, trybunały, wojsko, jego autoramenta i pułki, Kozacy i hajdamaki, dwory i dworzanie; uczty, bankiety, potrawy, trunki i pijatyka; pałace i domy, meble i stroje, zjazdy publiczne, zapusty, kuliki, sejmy: wszystko to objął w swém dziele Kitowicz. Układ cały wybornie pomyślany, równie jak wykonany: a styl pełen życia i obrazowości, dodaje więcéj jeszcze wdzięku i uroku.

„Prawdziwe te malowidła (mówi K. Sienkiewicz) szkoły flamandzkiéj ciągną ci oczy szczerotą rysunku, sumiennością szczegółów, bujnością i swobodą przygód: oglądasz tam ciekawie to nawet, co lichém i drobiazgowém osądzisz".

Zaprawdę, dziełem tém dowiódł Kitowicz, że był artystą i artystą znakomitym, bo umiał, jakby uderzeniem różczki czarodziejskiéj, przeszłość z całą ułudą życia przed oczy czytelnika stawić, ten świat wywołany z grobu ciałem przyoblec, ruch mu nadać; a gdy przemówił jeszcze do nas na rozkaz swego mistrza, każdemu się zdaje, że żyje w nim pełném życiem, że śmierć i chłód mogiły nigdy nad nim nie powiały (1).

Do drugiego oddziału rękopismów należą Pamiętniki, w których objął panowanie Augusta IIIgo i Stanisława Augusta,

Jak się pokazuje z piérwszego rozdziału, sam Kitowicz mówi, że zaczął układać już swoje notaty w roku 1743, a zatém mając lat 15 wieku. Odtąd ciągle zbierał, zapisywał

(1) Wyjątki z tego rękopismu ogłosił w urywkach Brodziński redagując Pamiętnik Warszawski. Łukasz Gołębiowski w pismach swoich: Lud polski, Ubiory polskie, Domy i dwory, podobnież w urywkach wiele z rękopismu Kitowicza pomieszczał. Te fragmenta nie mogły dać żadnego wyobrażenia o całości dzieła. Rękopism obejmujący opis zwyczajów nie jest zupełny: brakuje piérwszych dwóch lub czterech kart. Zresztą do końca jest w całości.

wszystko, co tylko się przydarzyło przez lat sześćdziesiąt życia. Byłoto jedynym jego celem czy dworsko służył, czy z szablą jak konfederat walczył, czy przybrawszy duchowną szatę, w spokojném ustroniu osiadłszy, pełnił obowiązki sługi ołtarza. Pamiętniki te bogate w mnóstwo szczegółow nieznanych, rozjaśniły nam wielce okres dziejów dotąd ciemny: styl jasny i potoczysty a prosty, godnie wykładowi odpowiada. Małe uchybienia, czasem mylność podania co do zdarzeń i do osób, nie cięży na Kitowiczu. Pisał on w chwili, gdy się wielki dramat w dziejach krajowych odgrywał; pisał pod wpływem jeszcze żywych namiętności i niezakończonych w zupełności faktów, gdy nie ostygły myśl i czucie wzburzone, gdy je jeszcze przeszłość nie przyjęła w swoje progi: dlatego też te ustępy pełne życia, musi krytyka historyczna ocenić, a w pomoc jéj ciągle przybywają coraz nowe źródła wydobyte z pyłu zapomnienia i ukrycia, i ogłaszane drukiem. Mimo to, Kitowicz sumienie miał zawsze za przewodnika; a jeżeli się błąd wcisnął, był on odgłosem owoczesnéj opinii, a nie złośliwości naszego dziejopisarza.

Do ostatniego oddziału rękopismów pozostałych policzamy listy. Kitowicz prowadził obszerną korrespondencyą z rozmaitemi osobami: tak do jednéj tylko pisane, a zebrane razem, wynoszą 130 listów. Że ciągle pracował, że lubił pisać, i w ostatnich niemal chwilach życia to było jego miłém zajęciem: dowodzą częste listy pisywane do siostry i krewnych, gdy osiadł na probostwie w Rzeczycy.

Zebrane razem wszystkie rękopisma Kitowicza, nadają mu prawo do zajęcia jednego z chlubnych a ważniejszych miejsc w dziejach literatury polskiéj.

Dołączamy tu w wiernym odpisie testament Kitowicza, napisany własnoręcznie przez niego na stęplowym papierze:

W Imię Trójcy Przenajświętszéj Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

„Ja niżéj na podpisie wyrażony ksiądz Jędrzéj Kitowicz, znając się być śmiertelnym, lecz godziny śmierci niewiadomym; póki jestem zdrów na ciele i umyśle, takowe zwłoków moich

i majątku mego, po skończoném tém życiu pozostałych, czynię rozporządzenie:

Najprzód co do zwłoków: proszę mię prędzéj nie grzebać, dopiéro wtenczas, gdy ciało moje zacznie swędem swoim obrażać nosy żyjących. Tę zaś ostrożność dlatego czynię, ażeby mnie żywcem, poczytawszy za umarłego (jak się to niejednemu przedemną stało), nie pochowano. Jeżeli umrę w drodze, ksiądz który mnie pochowa, ma się kontentować od pogrzebu ze wszystkiém trzemaset złotych polskich. Rzeczy zaś wszystkie, które przy mnie będą, i pod dozór jego tymczasowy podpadną, odda wiernie exekutorom téj ostatniéj woli mojéj. Jeżeli umrę w Kaliszu, pogrzeb mój ma być w kollegiacie, i ma kosztować tysiąc jeden złotych polskich. Jeżeli umrę w Wolborzu, siedmset. Jeżeli tu w Rzeczycy, pięćset złp. a nie więcéj. Te zaś kwoty do rąk i rozporządzenia zawiadowców pomienionych kościołów, czyli raczéj jedna z tych kwot zawiadowcy kościoła, przy którym legnę, za najpiérwszą sposobnością ma być oddana i wyliczona. W zastaw który rzeczy moje przy mnie będące służyć mają, i nie prędzéj aż po zapłaceniu kwoty pogrzebowéj exekutorom oddane być powinny. Gdziekolwiek zaś umrę, chcę leżéć w ziemi w głębokim dole, nie w grobie. Tu w Rzeczycy obieram sobie miejsce na cmentarzu za wielkim ołtarzem.

Powtóre: oddawszy ziemi zwłoki moje, Ichmość panowie exekutorowie, lub przez inne osoby w piérwszym artykule wspomnione oddanemi znalazłszy, przystąpią do spisania majątku mego, jaki się po śmierci mojéj w ruchomościach, w inwentarzach żyjących i w gotowym groszu znajdować będzie: i co tylko nie jest piéniędzmi i nie jest nikomu legowane, w szczególności przez aukcyą sprzedadzą. Potém odbiorą sumkę od Ichmościów panów Taronich kupców poznańskich, jako się z zapisu téjże, po wytrąceniu tego com wybrał za żywota z kapitału pokaże; procent zaś jaki się będzie należał od téj sumki od ostatniego kwitu, pomienionym Ich. panom Taronim darowany miéć chcę, na znak wdzięczności za szacowną ich dla mnie przyjaźń. Przepraszam ich, iż im tak mały podarunek ofiaruję, gdy większego szczupły majątek mój uczynić im nie dozwala. Odebrawszy pomieniony kapitalik i złączywszy z nim kwotę za rzeczy przez aukcyą sprzedane wynikłą, z tego dwojga jednę masę majątku ustanowią.

Potrzecie. Z któréjto massy wypłacą i oddadzą najprzód kapitule wolborskiéj sześć tysięcy złotych polskich, a to na anniwersarz czyli rocznicę za duszę świętéj pamięci Antoniego Ostrowskiego prymasa niegdyś korony polskiéj i Michała Lipskiego sekretarza wielkiego koronnego, których dobrodziejstwa jako ja byłem uczestnikiem za żywota, i prawie cały majątek mój z ich łaski powstał; tak chcę, aby wdzięczność moja ku nim przez cały trakt życia mego ich duszom okazywana, rozciągała się dla nich i po śmierci mojéj. Gdyby nawet pozostałość moja tak była szczupła, iżby na inne legacye i sukcessye niżéj wymienić się mające, wystarczyć nie mogła: tedy chcę, proszę i obowiązuję na wszystkie obowiązki ludzkości i sprawiedliwości, ażeby wspomniona wyżéj kwota sześciu tysięcy złp. pomienionéj kapitule wolborskiéj najpiérwéj wypłaconą była; którąto kwotę rzeczona kapituła ulokuje na jakich dobrach stałych i bezpiecznych, z procentem prawem krajowém dla summ duchownych przepisanego. A ten procent w czasie obrad swych generalnych dzielić będzie na dwie połowy równe: piérwsza połowa dostawać się ma Wielmożnym prałatom i kanonikom aktualnym; druga połowa Ichmość księżom wikaryuszom, dyrektorowi szkoły, organiście, zakrystyanowi i ubogim szpitalnym. Prałaci i kanonicy, którzy nie będą śpiéwać nokturnu, po dwie mszy czytane odprawić w czasie i kościele którymkolwiek są obowiązani, za wspomnione wyżéj dusze Antoniego i Michała. Któryby zaś prałat lub kanonik śpiewał nokturn z wikaryuszami; ten tylko jednę mszą czytaną odprawić powinien; a porcyą równą z innemi prałatami i kanonikami z części prowizyi na nich oddzielonéj odbierze. Wikaryuszowie odśpiewać powinni jeden nokturn i odprawić po jednéj mszy czytanéj; prócz tego, który będzie miał śpiewaną, a zatém od czytanéj wolnego. Ta rocznica w którymkolwiek czasie nabożeństwu żałobnemu służącym, w kollegiacie wolborskiéj odprawioną raz w rok każdy być powinna; składać się ma (jako się wyżéj po części namieniło) z jednego nokturnu *cum laudibus*, z jednéj mszy śpiewanéj i z tylu czytanych, ile ich tego dnia przez miejscowe duchowieństwo, innemi dawniejszemi obligacyami niezajęte, odprawionych być będzie mogło. A które msze funduszowym dnia tego ustępujące, innego dnia odprawione być powinny. Ktokolwiek zaś czy z prałatów lub kanoników, czy z wikaryuszów mszą do téj rocznicy należącą śpiewać będzie; temu własne Capitulum z swo-

jéj części, cztery złote polskie za taką mszą prócz porcyi z drugiemi równéj zapłaci. Dyrektorowi szkoły za śpiewanie nokturnu z wikaryuszami, organiście za granie mszy śpiewanéj, a zaś kościelnemu czyli zakrystyanowi za posługę i strojenie katafalku, po dwa złote. Szpitalowi zaś za koronkę odmówioną tego dnia za dusze wyżéj wyrażone być mającą, trzy złote polskie Ichmość księża wikaryuszowie z swéj części oddzielą i wypłacą. To rozporządzenie procentu od pomienionéj summy sześciu tysięcy złotych polskich, proszę aby było zawsze zachowane, czy to się ten procent podwyższać, czy zniżać będzie.

Po 4te. Kościołowi rzeczyckiemu leguję i odkazuję niniejszym testamentem dwa tysiące złotych polskich, które Ichmość exekutorowie ulokują na jakich dobrach stałych, zaraz piérwszego roku po śmierci mojéj. Od któréj sumki procent odbierać będzie na swój pożytek rządca kościoła tegoż, czyli jak się nazywa po łacinie *Vicarius perpetuus*. A kiedyby tego nie było, iżby takowy wikaryat nie exystował, to sam proboszcz. A za tę prowizyą odprawi co rok za duszę moję exekwie jednego nokturnu *cum laudibus* i mszą śpiewaną, i co kwartał jednę czytaną, żeby wszystkich mszy corocznie za duszę moję było cztery. Niemniéj udzieli z tego procentu organiście za granie śpiéwanéj mszy, i za nokturnu śpiewanie z księdzem, złotych polskich trzy. Kościelnemu czyli witrykowi za posługę około katafalku złotych polskich dwa. Dziadowi i babie kościelnym za podobnąż usługę, za dzwonienie na toż nabożeństwo, tudzież za zmówienie przy niém koronki za duszę moję, złp. dwa; resztę sobie otrzyma, bez żadnych większych, prócz wyżéj wyrażonych, obowiązków.

Po 5te. Gdyby kapituła wolborska prałatów i kanoników była zniesiona, tak, iżby kościół wolborski w randze kollegiaty teraz będący został tylko parochialnym, pod rządem i usługą jednego tylko proboszcza z wikaryuszami; to cały procent od summy 6000 złp. wyżéj wyrażony ma służyć zostającemu przy tymże kościele, a parochialny zwrócony duchowieństwu i sługom kościelnym z szpitalem w artykule 3 wyżéj wyrażonym, sposobem co do sług i szpitala tamże opisanym. Ale duchowieństwo pozostałe przy kościele za część z duchowieństwa zniesionego na siebie spadającą, dwa anniwersarze do roku za wspomnione dusze Antoniego i Michała odprawiać i msze święte co do jednéj podług liczby prałatów i kanoników dzi-

siejszych przyjąć na siebie i do mszy swego wydziału przyłączyć, oraz wszystkiemu zadosyć uczynić za prałatów i kanoników zniesionych, i za siebie samych powinni będą. Gdyby zaś pomienione kościoły wolborski i rzeczycki fizycznie lub moralnie z dzisiejszej swojej exystencyi katolickiéj zniknąć miały, tak, iżby moje legacye dopiéro uczynione swego w nich końca odbierać, ani też do innych katolickich kościołów z summami swemi przeniesione być nie mogły; o co przy zadziwiających świat cały odmianach teraźniejszych zakładać się szkoda: tedy chcę i postanawiam, aby przerzeczone wyżéj dwie summy sześć tysięcy i dwa tysiące złotych polskich, do sukcessorów moich krwią najbliższych zwrócone były, i im się do wolnego niemi rozrządzenia dostały.

Po 6te. Służącym moim przy boku i czeladzi folwarcznéj, która w służbie u mnie przy śmierci mojéj znajdować się będzie, oprócz należytości za czas wysłużony, z księgi dużéj w szary papiér oprawnéj do wymiarkowania łatwéj; chcę ażeby każdemu obojéj płci usłużeniu, bez żadnéj między dawnemi i niedawnemi różnicy, po sto złotych polskich jak najprędzéj wypłacone zostało.

Po 7me. Oprócz zasług należących, oprócz stu złotych podarunkiem każdemu z służących zarówno (jako jest pod artykułem 6 wyrażono) naznaczonych, oddadzą Ichm. panowie exekutorowie Jagnieszce gospodyni dwie krowy najlepsze z cielętami, jeżeli podtenczas pod niemi przy cycku będą. A jeżeli nie, to bez cieląt; także becik czerwony kitajkowy, spodek, wałek, dwie poduszki z powłokami i dwoma prześcieradłami najlepszemi. A to za to: iż służąc u mnie, nie miała wolności żadnego przychowku, ani brania pierza z gęsi bitych, lub podskubowanych. Józefowi Dodyńskiemu służącemu przy boku moim, a mającemu chęć do gospodarstwa, parę wołów najlepszych, pług, radło z żelazkami, parę bron żelaznych i jeden wóz szybowany. A gdyby nie było, to dwie krowy i jednego konia z siodłem, z porządkami wyżéj opisanemi, lub gotowizną zapłacą mu walor tego, czegoby z legowanych mu dopiéro rzeczy nie było. Grzegorzowi Łodyńskiemu chłopcu odkazuję fuzyjkę ptaszynkę (1), róg i pulwersak dubeltowy z torbą skórzaną podwójną, 6 funtów śrótu i funt prochu, ponieważ ma

(1) Byłato strzelba ulubiona Kitowicza.

ochotę do polowania. Także konia jednego z siodłem. Z taką wyprawą może znaleźć służbę podług swojéj skłonności. Ktokolwiek zaś z tych trzech dopiéro wymienionych osób nie będzie się znajdował w służbie mojéj przy śmierci mojéj, jemu legacye powyższe służyć nie mają, a rzeczy dla niego legowane, do massy przyłączone być powinny.

Po 8me. Długami żadnemi aż do dnia dzisiejszego obciążony nie jestem; wszakże gdybym w dalszym czasie dług jaki zaciągnął i ten dokumentem ręki mojéj był dowiedziony ma być zapłacony rzetelnie.

Po 9te. Przeciwnie zaś Jmć Pan Jan Turzański sołtys tutejszy rzeczycki winien mi jest czerwonych złotych 46 w złocie: których pożyczył odemnie na kupno tegoż sołtystwa rzeczyckiego w roku 1788. Tychże dziś żona jego opuszczona od niego nie jest w stanie oddać; proszę tego długu nie upominać się u niéj, póki będzie w dzisiejszym niedostatku, chyba gdyby przyszła do lepszego majątku, albo mąż do niéj w szczęściu powrócił, albo gdyby po zejściu obojga lub ustąpieniu z sołtystwa, syn ich najstarszy Jm Pan Onufry Turzański wziął się do sukcessyi; w takim razie którymkolwiek dług wyżéj wyrażony ożyć powinien i do niego się ściągać. mianowicie po rodzicach do wspomnionego syna, który najwięcéj od nich partycypował. Dlaczego proszę kartę na wspomnione duk. 46 służącą, oddać Jmć Panu Stanisławowi Rutkowskiemu siostrzanowi memu. Coby zaś z tego długu zyskał, niech to jemu samemu służy.

Chłopi rzeczyccy cokolwiekby się pokazało z regestrów moich, iż mi są winni; to im wszystko daruję. Dlatego długów ich nie wyszczególniam, ani dłużników imion nie wyrażam.

Po 10te. Dwa rękopisma moje: jeden o obyczajach polskich, drugi Historya polska, dotąd obadwa niedokończone, oddać proszę do biblioteki Ichmościom księżom Missyonarzom warszawskim. Liche te pisma co do stylu i składu rzeczy, zawierają jednak w sobie wiele takowych dziejów, o których żyjący dziś młodzi ludzie nie słyszeli, i których dla drobności wielcy pisarze nie dotknęli; które przecie drobiazgi z wielkiemi dziełami zniesione, najdoskonalszy rysują obraz gieniuszu rządu i maxym narodu, dlatego warte są jakiego kącika w bibliotece.

Po 11ste. Książka francuzka pod tytułem „Process monarchów, i przetłumaczenie jéj na polski język oddane być po-

winny Jmci pani Karwincy kupcowéj wrocławskiéj, od któréj téj książki pożyczyłem z obowiązkiem oddania wraz z przetłumaczeniem. A że mi się nieumiejącemu języka francuzkiego nierychło tłumacz zdarzył i nieporządnie pisał; dlatego ta książka od lat 20 więcéj pożyczona u mnie, zalegała. Niewiele warta ta książka, jako z samych drwinek złożona; ztémwszystkiém że nie jest moją, właścicielce oddaną być powinna.

Także książka stara Knapskiego czyli Słownik łaciński z polskim nie jest moja, lecz Jmć ks. Wojciecha Grzegorzewskiego Filipina z Studziannego. A Synonyma polska z łacińskim, tutejszego wikarego Jmć ks. Wojciecha Przybyłowicza. Trzecia pod tytułem: Życie Jerzego Ossolińskiego, jest W. Jmć Pana Pruszaka szambelana. Każdą z tych książek należy oddać swemu właścicielowi z podziękowaniem, imieniem mojém, za pożyczenie.

Po 12ste. Bieliznę wszystką, która się zda do tego, leguję do zakrystyi rzeczyckiéj; która się nie zda, oddać ją szpitalowi.

Po 13ste. Resztę majątku mego od wyżéj wyszczególnionych legacyów i zapisów, tudzież od opłaty approbacyi testamentu, jako téż gratyfikacyi tym, którzy od rządu krajowego podług zwyczaju, do spisania po śmierci mojéj inwentarza majątku mego przydani będą, pozostałego, leguję i zapisuję siostrze mojéj rodzonéj Ludwice Makowskiéj w Warszawie na Krakowskiém-Przedmieściu, przed kościołem missyonarskim mieszkającéj, która jako matka kochająca podzieli się nim z córkami swemi. A gdyby ta wyprzedziła mię do grobu, z porządku starszeństwa, jako półtrzecia roku więcéj odemnie mająca, to cały spadek czyli sukcessyą po mnie, od zapisów i legatów wyżéj wyrażonych zostającą, zabiorą i równym działem między siebie podzielą jéj córki, a moje siostrzenice: tojest Julianna Białobrzeska, Maryanna Popławska i Józefa Rutkowska, których ostatnich dwóch żyjący dziś mężowie: Wojciech Popławski i Stanisław Rutkowski, będą oraz exekutorami tego mego testamentu. Spuszczam się zupełnie na ich wiarę i poczciwość, iż tę wolę i rozporządzenie moje wiernie wykonają. Za fatygę nic im z osobna nie naznaczam, gdyż będąc exekutorami, będą oraz i sukcessorami.

Ten testament ważność swą otrzymać powinien, nie podpadając bynajmniéj prawu duchownemu, ponieważ wszystko co po mnie zostaje, nie z duchownego chleba nabyte jest, lecz

z świeckiego starania, z którym nabytkiem wszedłem do probostwa rzeczyckiego, wielce spustoszonego, na którego reparacyą łożyłem wszystkie jego dochody i do nich przyłożyłem z mojéj własnéj kieszeni kilka tysięcy; jako tego łatwo każdy, kto zechce, z książki regestrowéj w mieniony papiér oprawnéj, dociec może, w któréj zapisywać zwykłem każdego roku perceptę i expensę, com zebrał, com wydał na reparacyą budynków, na dobycie pól i łąk zarosłych, na wprowadzenie inwentarzy i porządków gospodarskich, na procesa, na ocalenie dochodów tegoż probostwa, kosztownie prowadzone. Zgoła na wszystko cokolwiek się znajduje w témże probostwie, w budynkach, inwentarzach i ocalonych przez prawo dochodach; nic a nic w niém, tylko same pustki, bez najmniejszego inwentarza nie zastawszy.

Także nie powinna nic szkodzić temu testamentowi nielegalność papieru, że nie jest na dwutalarowym arkuszu zaczęty, ponieważ dwa arkusze talarowe użyte do niego, tyle nie importują do skarbu królewskiego, ile jeden dwutalarowy, którego pod ręką nie miałem, tylko dwa talarowe.

Któryto testament, przy dobrém zdrowiu i rozmyśle ręką moją własną pisany, tąż ręką podpisuję, zachowując sobie wolność ujęcia z niego, lub przydania do niego, albo odmiany w nim co mi się z czasem będzie podobało, bo *humana voluntas est ambulatoria.*

Działo się w Rzeczycy, dnia 9 lutego, roku 1799.

Ksiądz Jędrzéj Kitowicz,
(L. S.). kantor wolborski, proboszcz rzeczycki,
kanonik kaliski.

Oryginał tego testamentu jest pod pieczęcią w szkatułce czarnéj, który oddany być powinien w całości, nie ruszając pieczęci, exekutorom, pod którą pieczęcią jest i karta na summkę u Imć pp. Taronich zostającą."

KRONIKA Z PARYŻA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Stagnacya w życiu literackiém.—Śmierć trzech artystów.— Pradier i jego zasługi i dzieła.—Tony Johannot.— Alfred d'Orsay, jego pamiętnik, korrespondencya z lordem Byron.—Lady Blessington i hrabina d'Orsay.—Gore-House.— Opinie polityczne, stosunki i prace hr. d'Orsay.— Walka Universa z dziennikami o nauki klassyczne.— Pan Janin i jego artykuł.—Wynalazek p. Giffard.—Kolej żelazna powietrzna p. Mellera.—Odkrycie nowéj planety i atlas p. Valza.

Nauki i sztuki, mawiano, sąto istoty płochliwe, dzieci pogody, ciepłego powiewu—dzieci pokoju! Wczorajszy czy jutrzejszy horyzont chmurny zarówno je straszy: jeden wspomnieniem, drugi niepewnością. Aby rosły i kwitnęły, potrzebują pewnéj zabezpieczonéj przestrzeni miejsca i czasu!

Tak mawiano, i może tak dawniéj było w istocie, kiedy muzy młodemi jeszcze były dziewczynkami. Dzisiaj podstarzały się, z ludzką biédą ochrastały, z dobrem i złem oswoiły; do duszy rodu ludzkiego przylgnęły, pobratały się z cywilizacyą, razem z nią, z jéj warunkami życia istnieją. Ile w społeczeństwie jest ducha, tyle go téż znajduje się w sztukach i naukach; co prąd życia społecznego przycienia, od tego także dowcip i myśl ludzka tępieją.

Bywa i spokój czasem niebezpieczny, bo życie wystudza. Na nadmiar życia wszędzie i zawsze znajdzie się lekarstwo; na brak, nie masz żadnego. Milczenie jest zaraźliwe. Któż np. nie spostrzegł w salonie, że gdy jeden z gości celniejszych uprze się milczéć, rozmowa upada. W towarzystwie ludzkiém, mianowicie do życia czynnego tak przywykłém jak francuzkie, skoro jeden z działaczów znieruchomieje, martwość poczyna się rozszerzać, przenosi się z jednego do drugiego kółka organizmu narodowego, ze sfery politycznéj do literatury, do sztuk pięknych, nawet do przemysłu. Bo,

jak słusznie zauważano: przemysł francuzki nie opiera się jak angielski na niezmiernych pokładach węgla i metalu w ziemi zakopanych; jego wyłączną potęgą jest gust i dowcip narodu. Otóż kopalnia ta jest grymaśna i pełna wybrednych zachceń, których nie czuje robotnik w zamkniętém pracujący miejscu.

Ta moja uwaga jest przedwczesną i niebezpieczeństwo dalekie. Ale pisząc sprawozdanie literackie, trudno uchu pamiętającemu gwar dawniejszy w świecie intellektualnym nie usłyszéć tego milczenia, które jest czémś więcéj niźli pokojem. Wychodzą wprawdzie książki—książkom zdaje się brak końca; pojawiają się w dziennikach artykuły—artykułom zbywa na konkluzyi. Ów język francuzki jasny, dobitny, przezroczysty staje się językiem logogryfów; owa literatura dziennikarska głośna i gadatliwa, staje się literaturą lakoniczną, zagadkową.

Kiedy więc żywi nie wołają na nas, abyśmy o nich mówić spieszyli się, zacznijmy od umarłych. W krótkim czasie straciła sztuka we Francyi trzech niepospolitych artystów; w przeciągu pół roku umarł Pradier, Tony Johannot i hr. d'Orsay. Wszyscy trzej wielkiego talentu, ale nie wszystkim los dozwolił go zarówno rozwinąć, nie wszystkim dozwolił pokazać się na polu właściwém.

Francuzi nazywają Pradier'a największym rzeźbiarzem XIXgo wieku, z zwykłą arogancyą narodu, który innokrajowców nie zna lub znać nie chce. Był Pradier niepospolity, ale tylko w jednéj sferze: on się rozmiłował w świecie greckim, w świecie stworzonym przez Homera, Fidyasza, Praxytelesa, Zeuxisa; innéj ojczyzny nie znał. Namiętny wielbiciel formy kobiecéj, nie podniósł się nigdy do surowości religijnéj. Marmur w jego rękach nie był zdolny płakać, bo choć pojmował symboliczny język chrześciaństwa, chociaż na rozkaz rzezał figury *Chrystusów*, *świętych*, *N. Dziewic*; jednakże widno, iż język to był dla niego trudny: Święci Pańscy przypominali bohaterów greckich, a Madonny Fornarynę. Ale w czém ukazał największą siłę, potęgę samorodnego talentu, oto, iż wśród okoliczności, które jego młodości towarzyszyły, poszedł drogą na któréj został.

Urodzony w roku 1792, uczył się sztuki w piérwszych latach naszego wieku, tojest wówczas, kiedy Dawid, ów dyktator, piérwszy konsul i cesarz sztuk pięknych tronował samowładnie, ciągnąc za sobą mnogie szeregi artystów, których dzisiaj zapomniano prawie aż do imienia. Zpod tego wpływu despotycznego, Pradier aczkolwiek uczeń Lemota, wyzwolić się umiał. Już jako uczeń

szkoły sztuk pięknych, uwieńczony w Instytucie, wyjechał w roku 1817 do Rzymu. Ztamtąd przysłał on dzieła, które zwróciły na niego uwagę, pozyskały mu w roku 1819 piérwszy medal, następnie krzyż legii honorowéj; a kiedy w roku 1822 głośną poprzedzony sławą powrócił, zarzucono go obstalunkami to dla miasta, do kościołów, do muzeów, to wreszcie dla dworu królewskiego. Byłoby trudno wyliczyć dzieła tego płodnego artysty; przez lat trzydzieści pracował ciągle, zaludnił muzea francuzkie, ozdobił place, ogrody. W Tuillerach jest sławny jego *Fidyasz*, na łuku tryumfalnym cztery kolosalne figury, w kościele Magdaleny *Matka Boska* i *czterech apostołów*, w muzeum wersalskiém *trzy gracye*, *dwie muzy* przy fontannie Moliera, *dwaj gieniusze* w cyrku i mnóstwo rzeźb, statuj, płaskorzeźb, popiersi w muzeach departamentowych, w zbiorach prywatnych, po kościołach i t. d.

Dzieła jego w rzeźbiarstwie francuzkiém zrobiły rewolucyą. Za powrotem z Włoch zastał we Francyi sztukę niejako skazaną na ustawiczne powtarzanie stałych form akademicznych. Jego prawdziwe poczucie sztuki, wykarmione głęboką znajomością czystych pomników greckich, zaprotestowało szeregiem dzieł niepospolitych, w których talent nowy pokazał się. Przed życiem jego, młodością i dzielnością ustąpiła stara szkoła. Pradier przyniósł z sobą przejęcie się sztuki greckiéj; z niéj zrobił podstawę teoryi swéj i praktyki, wnosząc tylko małe modyfikacye, które mu nakazała natura rzeczy i duch nowożytny. Cześć dla sztuki téj styl jego ubezpieczyła, a ciągłe studyowanie natury dało dziełom jego życie, którém one drgają w każdym gieście, w każdéj cząstce. Ludzie mający poczucie artystyczne oddali mu wkrótce pierwszeństwo, za nimi poszła opinia, i lat dziesięć od przyjazdu Pradiera nie upłynęło, a już imię nowego mistrza zapisano w księdze Instytutu. Od tego czasu sława jego rosła ciągle, bo téż talent nie osłabł aż do ostatniego utworu.

Znał on zarówno sztukę, jak jéj cechy, ducha i przeobrażenia historyczne, chociaż książek mało czytał, biblioteki nie posiadał. Jak Cuvier z jednéj kosteczki odgadywał budowę przedpotopowego stworzenia; tak on z małego kawałka rzeźby średniowiecznéj wysnuwał całość, odkrywał piękności i tworzył teoryą rzeźbiarstwa upłynionych wieków. Czasem pod względem archeologicznym improwizacya unosiła go zadaleko; ale pod względem technicznym, ten wzrok jego wewnętrzny nie chybił nigdy. Był on dla młodych artystów otwartą księgą, z któréj się i sztuki i jéj

przeszłości uczyli. Młodzież garnęła się do niego ochoczo: był dla niéj przyjacielski, otwarty; w salonie czy przy pracy—wesoły, dowcipny; rozmowa jego zachwycała, przynęcała wszystkich.

Kiedy ostatnie dzieło swe, *Safo*, dał na wystawę tegoroczną, już nie usłyszał pochwał, któremi publiczność obsypywała ulubionego mistrza. Czarna krepa na białym marmurze Safo zawieszona, dała znać o śmierci artysty. Przysięgli przyznali mu *honorowy medal*, do którego przywiązana jest pensya roczna 4000 fr. Dochód ten poszedł na korzyść dzieci, a rząd zakupił *Safo* za summę 13,000 franków.

Podobnie jak Pradier, Tony Johannot miał ten przywiléj, iż umysł jego był zawsze młodym. Tyle w dziełach jego było lekkości i świeżości, że kiedy umarł, nie bez zdziwienia usłyszano, że miał lat pięćdziesiąt. Wpływ jego na sztukę we Francyi choć nie był wielkim, był niezaprzeczony. Razem z Klemensem Nanteuil stworzył on rodzaj pism, tyle dzisiaj mających wziętości, *illustracye*. Liczba rysunków jego jest nieskończona; a choć w pośpiechu wiele zpod rylca jego wyszło niewykończonych, we wszystkich znajduje się cząstka tego dowcipu, lekkości i gracyi, których tajemnicę uniósł z sobą do grobu. Równie niepospolity w sztychu jak w drzeworytach, zbogacił niemało nakładców; — sam nie dorobił się majątku. Dzięki jego illustracyom, mnóstwo książek choć nieczytanych rozeszło się po świecie. Nawał roboty nie dawał mu chwili wytchnienia, nie dozwolił mu porzucić ołówka a jąć się pędzla, do którego wzdychał ciągle. Dopiéro pod koniec życia, kiedy już nie każdy nakładca był dla niego pożądanym gościem, kupił sobie mały domek w Tivoli, i tam kochając namiętnie kwiaty, miał na rok przyszły w ogrodzie zimowym urządzić dla siebie warsztat malarski; gdy w tém zaskoczyła go śmierć, i kazała mu zejść z tego świata rytownikiem.

Inna była karyera hrabiego d'Orsay, bo inne warunki towarzyszyły jego przyjściu na świat. Jeśli, mówiąc o Pradierze lub Johannocie, mogłem się ograniczyć na ich życiu artystycznem; życie hr. d'Orsay ciekawsze jest jako historya obyczajów i stosunków towarzyskich, niżli jako historya możnego pana-artysty. On, Francuz, popularnym był w salonach angielskich, gdzie go przyjmowano, zapraszano, uwielbiano wszędzie. Purytanizm angielski wypędził z Londynu lorda Byrona; hr. d'Orsay bez wątpienia nie był od zarzutu wolniejszym od angielskiego poety, a jednak w lat kilka po odjeździe Byrona, stał się miłym gościem dla Albionu.

Zapewne niejeden szczegół z życia hr. d'Orsay doszedł do moich czytelników, tych mianowicie, którzy poznali nieco świat towarzyski Paryża i Londynu. Bez wątpienia niejedno też wpadło w ich rękę pismo angielskie lub francuzkie z biografią hr. d'Orsay; biografią niesłychanie ostrożną, niekompletną, niezamieszczającą ani jednéj cząstki tego, co z ust do ust po salonach znaczniejszych tutaj przechodzi. Nie masz artysty, literata lub człowieka z wyższego towarzystwa w Paryżu lub Londynie, któryby o hr. d'Orsay nie wiedział jakiéj anegdoty, któryby tego niedostatku po pismach publicznych uzupełnić nie potrafił. Lecz nietylko we Francyi, nawet w Anglii, w tym kraju swobody i niedyskrecyi dziennikarskiéj, nie wszystko się drukuje o czém się z wielkiém zajęciem rozmawia. Życie jest świéże, wypadki niedawne, osoby jeszcze żyjące. Co do mnie, nie mogąc pominąć człowieka, który i sam był niepospolitym artystą, i z ruchem artystycznym i literackim w dwóch krajach ściśle związany; nad którego śmiercią żal publiczny wynurzyli najznakomitsi pisarze: nie widzę wszelako powodów, dla którychbym miał się trzymać tych samych granic, w jakich zmuszone są pozostać dzienniki paryzkie i londyńskie. Trzystomilowa odległość pisma i czytelników upoważnia do pewnéj wolności piszącego.

Hr. Alfred d'Orsay urodził się w Paryżu 1798 r. Ojciec jego był generałem, i za czasów cesarstwa był jednym z najpiękniejszych ludzi. Piękność w téj rodzinie była dziedziczną. W roku 1819 pojechał Alfred do Anglii; imię jego, przymioty wrodzone, postawa i czarujące obejście, zjednały mu w salonach tryumf, który go atoli nie zaślepił. Podobał się powszechnie i wiedział o tém, ale w wieku, w którym tak łatwo ulega się próżności i popędom serca, umiał być panem siebie; bystrym był obserwatorem, a co większa, miał czas zapisywać starannie swoje uwagi. Z tychto zapisków i obserwacyj utworzył się manuskrypt, rodzaj pamiętnika towarzystw londyńskich, z którym powrócił do swéj ojczyzny. Znał jego wartość; ale nietylko wtedy, dziś jeszcze publikacya jego byłaby zawczesną. We Francyi zanosiło się naówczas na wojnę z Hiszpanią. Książe Angoulême z wojskiem zgromadzoném w pobliżu Pyreneów czekał rozkazu wkroczenia. Byłoto w r. 1822. Młody Alfred idąc w ślady ojcowskie wstępuje do wojska i wkrótce otrzymuje stopień porucznika. Pułk jego stał załogą w Walencyi i tylko co miał wyruszyć. Bliskość kampanii radowała młodego oficera, podobnie jak jego kolegów: bo synowi generała wol-

no było bez wątpienia marzyć o innych szlifach, niż porucznikowskich, które dotąd nosił.

Dnia 15 listopada 1822 r.—ten dzień był pamiętnym w jego życiu—przed bramą hotelu, w którym stołowali się razem oficerowie pułku, zatrzymał się pojazd lorda angielskiego, jadącego z całym domem na zimę do Włoch. Z karety wysiadła dziwnéj piękności milady, a oficerowie spostrzegłszy ją, jednozgodnie przyznali, że jeszcze nigdy twarzy tak ślicznéj, kibici tak zgrabnéj, postawy tak wspaniałéj i zachwycającéj nie widzieli. Milady, jak każda piękna kobieta, poznała odrazu, jakie wrażenie na młodych oficerach zrobiła, i jéj téż wzrok zatrzymał się dłużéj na jednym z nich—na Alfredzie d'Orsay. Łatwo pojąć, jak mu zazdrościli koledzy szczęśliwego przywileju, iż umiał po angielsku, był w Anglii, znał obyczaje i towarzystwa angielskie, zgoła, iż wszelkie okoliczności sprzyjały mu, w zawarciu znajomości z piękną podróżną.

Któż była ta czarodziejka?

Córka właściciela z Irlandyi, Edmunda Power de Curragheen, Miss Małgorzata, w 15 r. życia poślubiona kapitanowi Saint-Leger Tarmer, nie mając ani skłonności, ani wstrętu do swego małżonka, który ją téż wkrótce wdową zostawił. Wnet dwaj nowi zalotnicy, podobnież wojskowi, stali się niewolnikami jéj wdzięków: kapitan Jenkim i Jego Dostojność lord Blessington. Przez czas niejaki obydwom robiła nadzieje, obu utrzymując w pewném oddaleniu. Nareszcie kapitanowi Jenkim sprzykrzyły się konkury, a bardziéj jeszcze zaloty rywala: chciał być sam tylko wielbicielem pięknéj wdowy i o rękę jéj prosił. Po téj prośbie, Miss Małgorzata oznajmiła lordowi, że musi się wyrzec widywania Jego Dostojności i że woli być żoną kapitana Jenkim, niźli metressą lorda Blessington. Naówczas zakochany lord, już także wdowiec, nie wahał się chwili, oświadczył się o rękę i odprawił z niczém kapitana Jenkim. Miss Małgorzata została żoną para Anglii, hrabiną, panią wielkich bogactw.

Lady Blessington wydała jak wiadomo podróż swą do Włoch. W pamiętniku tym mówi ona obszernie o Walencyi i pobyt swój szczegółowo opisuje. Miasteczko to ma niektóre archeologiczne osobliwości, których w ciągu 24 godzin można się napamięć wyuczyć. Zatrzymały one nieco dłużéj hrabiego i hrabinę. Milady w podróży swojéj opowiada, jako jeszcze przed rewolucyą francuzką mieszkał w Walencyi młody oficer artyleryi, nazwiskiem—Napoleon Bounaparte! Otóż w tym krótkim jego pobycie szukała

piękna turystka śladów przyszłego cesarza. Gdzie mieszkał, w jakich domach bywał, czy miał przeczucia przyszłéj wielkości, czy prawda jak niektórzy mówią, że tu był zakochany:— obszerne w istocie pole do badania dla tak ciekawéj i dowcipnéj autorki, która pamięta i zapisuje wszystkie wrażenia swe i pamiątki. Nietrudno odgadnąć, że milady wiele stronnic poświęca w swym dzienniku oficerowi artyleryi zeszłego wieku, lecz o młodym poruczniku, który ją niezawodnie więcéj od cesarza Napoleona obchodził, ani słowa! Pióro niewieście ma dziwne dystrakcye.

Cóżkolwiekbądź lord Blessington niemniéj od swojéj żony rad był ze znajomości Alfreda d'Orsay; co większa, czy dlatego, że go tak wielce polubił, czy téż, że był pewnym zrobienia przyjemności swéj żonie, powiększając jéj towarzystwo: zaproponował Alfredowi aby z niemi jechał do Włoch. Propozycya była drażliwa. Opuścić pułk, który już się wybierał na kampanią, wystawić się na żarty towarzyszy, a może i na pojedynek, jeśli który z nich zawiele zaufa swemu dowcipowi; nie dość na tém, wyrzec się kampanii, karyery ojca, przyszłéj sławy i marzeń tryumfalnych, i to właśnie w mieście, gdzie młodemu oficerowi wolno było pochlebiać sobie, iż i on kiedyś będzie miał własne Marengo, Austerlitz, Wagram: niebezpieczeństwo to i poświęcenie wielkie; lecz milady była tak piękna, tak słodka, hrabia tak przyjacielski i w prośbach tak natarczywy, że hr. Alfred żądaniom jego uległ i puścił się w drogę, dokąd go jego i lorda Blessington przeznaczenie wołało.

Odtąd już piękny towarzysz podróży nie opuścił hrabstwa; lecz znowu nie ma o nim wzmianki w dzienniku lady Blessington, chociaż ona tak nadobnie opisuje i niebo błękitne Genui, i pomniki starożytne, arcydzieła nowoczesnéj sztuki, towarzystwo włoskie, a nawet rozmowy swe i korrespondencye z Byronem, do którego miała list od Tomasza Moore. Aby naprawić milczenie téj nowéj Armidy, musimy się uciec do listów Byrona.

Lord Byron odpowiadając z Genui Tomaszowi Moore na d. 2 kwietnia 1823 r., tak pisze: „....Twoi przyjaciele (bardzo dobrzy ludzie) *milor* Blessington i jego *małżonka*, podróżują z nieoszacowanym towarzyszem, pod postacią francuzkiego hrabiego, który ma minę Kupidyna. Jest on rzadką *próbką* owych Francuzów, których widzieliśmy przed rewolucyą. Typ ożywiony, którego już nie spodziewałem się widzieć; stary przyjaciel w młodéj postaci. . . . . Milady zdaje się być wielką literatką, a co do lorda, jestto dobra dusza, lecz obłaskawiony."

Wspomniałem o rękopisie Alfreda d'Orsay, opisującym towarzystwa londyńskie. Lord Blessington pożyczył go lordowi Byron, a ten zwracając go, w ten sposób pisze we trzy dni po liście powyżéj przywiedzionym: „Odsyłam dziennik hrabiego, jestto utwór niepospolity, a na nieszczęście prawdziwy we wszystkiém, co się tyczy wielkiego świata w Anglii. Znałem ja większą część osób lub towarzystw, które opisuje d'Orsay. Wrażenia jakich wówczas doznałem, po odczytaniu jego uwag odżyły w mojéj pamięci jakoby były wczorajsze. Rzecz szczególna, zkąd on mógł odgadnąć nie *istotę*, ale *tajemnicę* nudów angielskich w 22 roku swego życia. Ja w tym samym roku też same porobiłem odkrycia i w tychże towarzystwach, alebym ich nigdy nie potrafił tak dobrze opisać, jak on. Na to trzeba być Francuzem.... Krótko mówiąc, dzieło twego przyjaciela jest produkcyą bardzo potężną. Czytałem je z wielką uwagą i pokazałem je młodéj damie włoskiéj, wysokiego rodu i ukształcenia. Powiedziała mi, że z niego lepiéj poznała towarzystwa angielskie, niźli z metafizycznych dyssertacyj pani Stael."

W następnych listach lord Byron często zawraca do pamiętnika Alfreda d'Orsay, zowiąc go młodym filozofem. „Ukłony moje lady Blessington i waszemu Alfredowi. Mojém zdaniem, od czasów JKMości tegoż nazwiska, nie było w Londynie tak uczonego inspektora społeczeństwa Saxonów." W innym liście: „Pozdrawiam dostojnego kawalera hr. d'Orsay, który spodziewam się, pisać będzie daléj historyą swoich czasów. Dziwne są zetknięcia między jego pismem, a pewnym moim poematem. Szczególniéj też w opisie tego, co młodemu człowiekowi, dopóki jest w modzie, ujdzie w Londynie bezkarnie."

Ten pewien poemat o którym Byron wspomina, jest don Juan, a mianowicie ustęp o jego pobycie w Londynie.

Podajemy na zakończenie tych przytoczeń list lorda Byrona do samegoż hrabiego d'Orsay, pisany z Genui:

„Kochany hr. d'Orsay! (jeżeli pozwolisz, abym do ciebie mówił tak poufale) powinienbyś poprzestać na tém, iż piszesz w swoim języku, a nie awanturować się w naszym barbarzyńskim dyalekcie, który znasz lepiéj, niźli on na to zasługuje. Pochwały moje, jak je łaskawie nazywasz, są bardzo szczere, chociaż może niezupełnie bezinteresowne. Kocham mój kraj, ale rodaków moich, przynajmniéj dzisiejszych, nie lubię. Lękam się, czy oprócz ponęty zdolności i dowcipu w twojém dziele, nie wabi mnie do niego

uczucie zemsty. Wiele z tego *widziałem* i *czułem*, co tak dobrze opisujesz. Znałem osoby i zebrania (tojest po większéj części), a portrety tak podobne, iż trzeba zarazem i twórcę i twory podziwiać. Ale o ciebie się lękam. Bo jeśli w tym wieku już tak dobrze znasz świat, cóż to będzie, kiedy wszelkie złudzenia spadną z oczu? Mniejsza o to: ruszaj naprzód, żyj dopóki możesz, i używaj przywilejów twojéj młodości, talentów i zdolności."

Nie ziściły się przepowiednie Byrona: bo czy dlatego, że Alfred zawczasu serce swoje obwarował uczuciem, które dla niego było podstawą exystencyi, czy téż, iż dusza jego nie była tak zużytą, jak sądził o sobie sam, pisząc pamiętniki tyle przez poetę uwielbiane, dosyć, że nigdy nie został takim sarkastycznym mizantropem, jakim był autor don Juana. A jeżeli w ciągu dalszego życia, gdzie było dosyć powodów, iżby go purytanizm angielski ukamienował; jeżeli w dalszém życiu tyle znalazł i zachował przyjacielskich stosunków, to dlatego, że obok bystrego poglądu, obok ujmującéj powierzchowności, było w hr. d'Orsay coś szczerze sympatycznego. Sam Byron uległ temu wpływowi i o dobroci jego serca rozmawiał. Wyjeżdżając do Grecyi posłał upominki całemu domowi Blessington, między innemi pierścionek dla hr. d'Orsay. „Znajdziesz pani, pisze on do lady Blessington, pierścionek; proszę, aby go Alfred zachował. Zawielki jest, aby go mógł nosić na palcu, ale jest z ławy i dlatego przypada dobrze do jego młodości i do jego charakteru."

Ale jakiż był stosunek tego *młodzieńca o sercu z ławy*, a lordem Blessington i piękną hrabiną? We Włoszech nic zwyczajniejszego, zgodniejszego z tradycyami miejscowemi, jak rola *przyjaciela domu*, *cavaliere serviente*, *patito* i t. p. Taka pozycya między małżeństwem, ani taki stosunek nikogo nie dziwi. Ale wtedy dopiéro dziwiono się naprawdę, gdy lordowi Blessington przyszła osobliwsza myśl: dla związania Alfreda nazawsze z swym domem, proponować mu w małżeństwo córkę swą z piérwszego łoża. Miss Harries Gardiner byłato piękna dziewczyna, ledwo szesnastoletnia; z pensyi przywołał ją ojciec prosto do ślubu. Młoda Irlandka widząc tak nadobnego oblubieńca, czyż mogła nie zgadzać się ze zdaniem ojca? Ideały pensyonarki o wiele znalazły się przewyższone.

Tylko że ten ideał nie był dla niéj! W obec tak niespodziewanéj i niewczesnéj propozycyi lorda, trudne było położenie miladi i hrabiego. Alfred d'Orsay odmawiając ręki Miss Harries mu-

siałby się wydalić z domu lorda Blessington, a nie pojmował wcale możności podobnego rozłączenia. Aby zostać, trzeba było się ożenić, a kochając jednę, niegodziło mu się ślubować drugiéj dla któréj nie miał żadnego uczucia. Wszelako gwałtowna miłość przemogła inne względy: zawarto ów ślub nieszczęśliwy.

We trzy lata po tym przymusowym związku, umarł lord Blessington. Hrabia i hrabina d'Orsay rozłączyli się dobrowolnie: lady Blessington wróciła do Anglii, hrabina d'Orsay została w Paryżu, a hrabia osiadł w Londynie. Tutaj lady zajęła wspaniały hotel *Gore-House* naprzeciw parku Keningston, który dotąd każdemu podróżującemu pokazują. Hrabina d'Orsay nie widziała się już więcéj z mężem, trwając mocno w postanowieniu, ułożoném po ślubie, niezawierania z nikim żadnych więcéj stosunków.

Wkrótce Gore-House w Londynie stał się schadzką wszystkich osób znakomitych z arystokracyi angielskiéj, z artystycznego i literackiego świata. Pani tego hotelu królowała nietylko modą i pięknością. Namiętnie zakochana w sztukach i literaturze, pisząc sama romanse, wrażenia podróży, artykuły do magazynów i keepsaków, blaskiem sztuk i literatury podwoiła świetność swego majątku, wdzięków i rangi. Każdy artysta witany bywał w jéj salonach z takiemi względami, jak par Anglii: bo lady posiadała w wysokim stopniu wykwintny takt salonowy i umiała ośmielać młode talenta, podwyższać te istoty najpokorniejsze i zarazem najdrażliwsze w świecie. Wnet każdy czuł się przy niéj na swojém miejscu: tyle było uprzejmości w jéj delikatnych pochwałach, tyle słodyczy w jéj uśmiechu, który dodawał odwagi wstępującemu w świat artyście lub młodemu pisarzowi. Na tych świetnych zgromadzeniach była piérwszą pomiędzy wszystkiemi, bo była najuprzejmiejszą; wszelkie stroje były jéj do twarzy, wszelka rozmowa z nią szczęśliwa; a jéj bystry dowcip przechodząc przez piękne usta tak łagodniał, że jeszcze nigdy autorka nie była mniéj podobną do owego trywialnego typu autorek, na nieszczęście dość znanego, ani do owego kobiecego gieniuszu, którego Byron nawet w pani Stael cierpiéć nie mógł. Wszystko, aż do umeblowania zapalało imaginacyą w tym czarownym pałacu *Gore-House*; był tam zbytek, ale taki, o jakim mógł marzyć młody artysta w piérwszéj chwili po zdobyciu sławy Van-Dycka lub Rubensa.

Aby królować tak szczęśliwie, potrzebowała lady Blessington niepospolitego szambelana. Był w tym pałacu codziennym gościem Francuz, który miał obejście książęce, powierzchowność bohatéra

romansu, który mówił o malarstwie jak malarz, o rzeźbiarstwie jak rzeźbiarz, o literaturze jak literat, o ekonomii politycznéj jak ekonomista, o przemyśle jak fabrykant. A w jakimkolwiekbądź przedmiocie prowadził rozmowę, unikał ogólników, lub tych sądów stanowczych, które najwięcéj dowodzą niepospolitego zarozumienia. Zawsze pełen gustu, skwapliwie wyglądał sposobności, aby się czémś przysłużyć. Takim był hr. Alfred d'Orsay. Wolne od obowiązków towarzyskich chwile poświęcił rzeźbiarstwu, a liczne jego choć pomniejsze w Londynie dokonane prace, dowodzą rzeczywistego powołania artystycznego. Lecz nie zaniedbał korzystać dla pożytku ziomków swych z wysokich stosunków, jakie mu dawało położenie jego w społeczeństwie. Każdy Francuz, o którego pracach, zdolnościach lub nieszczęściu posłyszał, miał prawo do jego protekcyi. Dla nieszczęśliwych ufundował kassę filantropijną. Różność zdań politycznych nie odstręczała go wcale: ztąd sprzeczność uderzająca w jego stosunkach. Niegdyś poufale zażyły z Ludwikiem Napoleonem, do salonów angielskich wprowadził późniéj Caussidiera; wielbiciel i przyjaciel Lamartina, wielkie miał względy dla Pawła Kocka. Miał nieco usposobienia legitymistycznego, z tradycyj i stosunków był poniekąd Bonapartystą, a z przekonania republikaninem.

Znaczna ilość ogłoszonych po dziennikach listów jego świadczy, iż się wielce zajmował kolejami żelaznemi; mianowicie wszystkie przypadki na drogach tych obchodziły go wielce. Oddawna zaprzyjaźniony z Dickensem, kiedy ten do Francyi i do Włoch w roku 1844 i 1845 wyjechał, ciągłą z nim utrzymywał korrespondencyą.

Był stronnikiem reformy praw zbożowych, chociaż w skutek zniesienia *Cornbillu* dochody jego i dóbr lady Blessington w Irlandyi położonych, dotkliwy poniosły uszczerbek. Przez całe trzy lata *farmery* irlandcy nie wypłacali się wcale; ale salony *Gore-House* utrzymywały się w takiéj świetności, jakby majątek żadnego szwanku nie poniósł. To przyspieszyło chwilową ruinę hrabiego i lady Blessington. Nadszedł dzień, w którym trzeba było sprzedać nietylko *Gore-House*, ale i jego kosztowne umeblowanie, w którém statuetki dłuta hrabiego nienajmniejszą były kosztownością. Żegnając się z temi rozkosznemi penatami i przenosząc się do Paryża, milady i hrabia téj przynajmniéj doznali pociechy, że we Francyi znaleźli drugą ojczyznę. Zastali w niéj licznych przyjaciół, z których jedni, jak Lamartine, dopiéro co z wła-

dzy ustąpili, drudzy, jak Ludwik Napoleon, do władzy przyszli. Wszyscy wszakże podziwiali moc charakteru hr. d'Orsay, iż przez lat trzydzieści żyjąc jako wielki pan, niemal przy schyłku życia postanowił utrzymywać się z własnych artystycznych zdolności. Ale republika, choć Lamartine był jéj ojcem, a przynajmniéj ojcem chrzestnym, dla sztuk pięknych okazała się macochą. Nietrudno było hrabiemu znaléźć atelier, opuszczone dopiéro co przez artystę, który czynszu nie miał czém zapłacić. Jeden ze znakomitych malarzy morskich, ofiarował w swoim warsztacie gościnność dłutom rzeźbiarskim Alfreda d'Orsay. Tam hrabia pracował przez długi czas nad głównem swém dziełem: statuą konną Napoleona. Ci, co tę pracę widzieli, mówili, że p. Nieuwekerke miał słuszność obawiać się rywalizacyi d'Orsay'a.

Powiadają, że przyjeżdżając do Francyi miał zamiar starać się o ambassadę, do czego otwierała mu się sposobność za Lamartina, a nawet późniéj za Ludwika Napoleona. Utrzymywali inni, że miał być powołany na dyrektora muzeów, którato posada jeszcze zgodniejszą zdawała się z całą jego przeszłością. Lecz d'Orsay, ten wielki pan-artysta, zapomniał, iż republika lubi także suplikantów. Zbyt otwarcie i cierpko opinie swoje z początku wypowiadał, zbyt szczerze objawiał swoje przekonanie prezydentowi, mianowicie po dokonanym zamachu na dniu 2 grudnia. Bolał on nad republiką, w któréj republikanów nie widział, a listy jego współczesne, nacechowane są głębokim żalem. Lecz jeszcze straszniejsza miała go spotkać klęska. W r. 1849, kobieta dla któréj dwa razy zmienił ojczyznę, dla któréj wyrzekł się karyery wojskowéj i znaczenia w świecie politycznym — umarła. Łatwo pojąć, jak okropnie uderzył go ten cios; jeden z listów z owéj epoki dochowany, maluje jego usposobienie. W roku 1850 d'Orsay pisał do jednego z swych przyjaciół mieszkających w Londynie..... „Uwielbiam moję starą Anglią, a lękam się do niéj powrócić. Żaden człowiek tyle nie wycierpiał co ja, po stracie, jakiéj doznałem. Bawią mię ci ludzie religijni, którzy w boleści szukają osłód religijnych, aby się *prędko* pocieszyć. Szaleni! oni nie wiedzą, że większa i daleko większa jest religia w tym prawdziwym bólu, który się nie da zagoić!... Inną razą pisać ci będę o polityce; na dzisiaj przedmiot zbyt to dla mnie przykry.“

Dzienniki angielskie po dniu 2im grudnia niezmiernie podnosiły opozycyą hrabiego d'Orsay, przeciw Ludwikowi Napoleonowi. Jest w tém nieco przesady. Hr. d'Orsay nie był wielbi-

cielem republiki z r. 1849 i 1850. Radził on Ludwikowi Napoleonowi, aby się oparł na partyi liberalnéj. „Mój hrabio—odpowiedział mu prezydent—ja chcę się oprzéć na mojéj partyi, a inne niech się na mnie opierają." Inną razą wyrzucał mu hrabia d'Orsay prześladowanie niektórych dzienników. „Myśl książę o karcie, rzecze on, którą historya o tobie napisze." „Jabym chciał, odpowiedział prezydent, aby historya niejednę kartę o mnie napisała; i dlatego nie mogę zezwolić, aby przeciw mnie ogłaszano całe tomy."

Wszelako mimo téj różności zdań, stosunki przyjazne ściśle się między nimi dochowały. Hr. d'Orsay używał nieraz wpływu swego, który posiadał w Elizée, na korzyść skazanych za polityczne przestępstwa, i był w instancyach swych szczęśliwym, za co mu G. Sand i Emil de Girardin publiczne składali podziękowania. Ten ostatni po jego śmierci, te słowa napisał: „Śmierć jego, stratą jest niepowetowaną dla sztuk i artystów, ale jeszcze boleśniejszą dla prawdy i prezydenta Rzpltéj. Prawda ma tylko dwie bramy do pałaców: bramę przyjaźni i—bramę nieszczęścia." Namawiano L. Napoleona, aby d'Orsay'a powołał do wyższych godności; jeden z bywałych w Elizée, mówił raz te słowa do prezydenta: „Wszyscy utrzymują, że książę powinienbyś go zamianować ambassadorem." Ludwik Napoleon odpowiedział: „Mimo życzliwości jaką mam dla d'Orsay'a i względów, które staram się zachować dla wszystkich, często nie jestem zdania d'Orsaya, ani też nie podzielam opinij wszystkich."

Niedawno temu mianował go prezydent nadintendentem sztuk pięknych. Byłoto dzieło przyjaźni, posada umyślnie dla d'Orsaya stworzona poza hierarchią administracyjną. Ale już niepodobna było myśléć, aby d'Orsay czynności tego urzędu sprawował: śmierć lady Blessington zachwiała jego zdrowiem i zwolna zaprowadziła go do grobu. W roku 1852 na wiosnę, doktorzy wysłali go do Dieppe, lecz tam choroba jeszcze bardziéj się wzmogła. W końcu lipca przywieziono go do Paryża, już bardzo znękanego; złożony w domu siostry swéj ks. Grammont, w dniu 4 sierpnia przyjął ostatnie Sakramenta z rąk arcybiskupa paryzkiego, i tegoż dnia Bogu ducha oddał.

Wszystkie dzienniki bez różnicy opinij, zarówno polityczne jak i literackie, z wielkim żalem doniosły o jego śmierci. W Anglii niemniejszy jak w Paryżu okazano smutek po jego stracie; opłakiwano artystę, miłego w salonach towarzysza i człowieka,

który wysokich swych wpływów na korzyść nieszczęśliwych umiał i chciał używać.

Przejdźmy teraz na inne pole, na pole dyskussyi, która jedna tylko od dnia 2 grudnia prowadzoną była zacięcie i mogła być bez niebezpieczeństwa utrzymywaną przez wszystkich. Starato walka uniwersytetu z duchowieństwem, zaczęta w wieku XIII przez Dominikanów i Franciszkanów, w wieku XVI i XVII przez Jezuitów, za restauracyi znowu przez Jezuitów, za Ludwika Filipa przez całe prowadzona duchowieństwo, a która w bieżącym roku, po uznanéj prawem z d. 15 marca (1850) wolności wychowania, przerodziła się w krucyatę przeciw autorom łacińskim. Na polu tak napozór niewinném i od polityki dalekiém wszyscy pospieszyli wziąć udział: literaci, publicyści, a w końcu biskupi i kardynałowie francuzcy. Jak wiadomo, wywołał polemikę ks. Gaum ogłosiwszy książkę p. t. *Le Ver Rongeur*. Co jest wedle niego tym robakiem toczącym społeczeństwo, psującym młodzież, rozsiewającym ducha zarazy, zaszczepiającym niewiarę, herezyą, uczucia i opinie pogańskie?—Nic innego, jak tylko nauka starożytności, mitologia rzymska i grecka, autorowie klassyczni, których młodzież się uczy. Dzieci zawczasu dowiadują się o pracach Herkulesa, a o życiu św. Pawła nie wiedzą; zatruta doktryna politeizmu psuje ich serca; po szkołach nie o to się spierają, czy było 12 lub 13 apostołów, lecz czy był jeden lub dwóch Neptunów: jeden wód lądowych, a drugi morskich! Mitologia stworzyła w w. XVI herezyą, a my jesteśmy apostołami herezyi, oswajając niemal od kolebki umysł dziécięcia z uczuciami i maxymami pogańskiemi.

Czytając te zarzuty, piérwsza myśl jaka nam się nasuwa, jest, czy autor nie mówi tego żartem: czy doprawdy lęka on się tak bardzo pogaństwa; czy w istocie nauki klassyczne tak szkodliwe chrześciaństwu przyniosły skutki? Czytelnik pyta siebie samego, czy dzisiaj, w lat trzysta po w. XVI, godzi się za herezyą naukę języków starożytnych poczytywać? W w. XVI w akademii krakowskiéj klątwy ciążyły na hellenistach; piérwszy nasz hellenista Liban niemałe miał do stoczenia walki z podejrzliwemi akademikami. Lecz u nas księża, biskupi piérwsi naukę starożytności zaszczepili; wszak Długosz przywoził z Rzymu autorów klassycznych, Grzegorz z Sanoka wykładał Georgigi, a w w. XII nie mieliśmy biskupa, któryby zarazem nie był uczonym filologiem, protektorem, mecenasem starożytności. U nas więc polemika taka byłaby niepodobną; u nas duchowieństwo jeszcze przed trzema wiekami za-

nadto dobrze tuszyło o potędze ewangelii, aby się dla niéj miało obawiać rywalizacyi w jakimś traktacie *De Diis*, w Iliadzie lub Enejdzie. We Francyi inaczéj: bo wreszcie u nas nikt, najzapamiętalszy nawet nieprzyjaciel autorów klassycznych, nie mógłby się skarżyć, iż młodzież zbytnie oddaje się językom starożytnym.

Cóż w miejsce autorów klassycznych proponuje ks. Gaum i jego zwolennicy? Czy nauki matematyczne, przyrodzone? Gdyby przynajmniéj takie było ich zdanie, mieliby za sobą opinią Rabelego, który powiadał, że wszystkie wiadomości ówczesnych uczonych są głupstwem i pedantyzmem; opinią Montaigna, który zamiast języka łacińskiego i greckiego, kazał się uczyć języków sąsiednich, żyjących; opinią Helwecyusza, który śmiał się z nauczycieli, iż przez lat 10 uczą młodzież słów a rzeczy nie uczą, ćwiczą w języku łacińskim i greckim, a francuzkiego zaniedbują; opinią Diderota który twierdził, że możnaby użyć korzystniéj czasu strawionego na naukach klassycznych; opinią Lockego, większéj części zgromadzeń ustawodawczych od r. 1792 do 1802, opinią wszystkich fabrykantów, wielu matematyków, dzisiejszych ekonomistów, którzy doradzają, aby nie marnować lat na naukach próżnych teoretycznych, a młodzieńca odrazu do specyalności, do powołania użytecznego sposobić. Lecz uchowaj Boże, słyszałem ortodoxów utrzymujących na seryo, że ludzkość cofnęła się dopiéro odkąd zakwitnęły nauki przyrodzone i matematyczne. Ks. Gaum radzi klassyków łacińskich zastąpić pismami ojców kościoła. „Poza dziełami św. Chryzostoma, św. Bazylego, św. Grzegorza Nazyaneńskiego, św. Bernarda, św. Augustyna i Hieronima; poza nauką teologiczną, myślami prawdziwie filozoficznemi: w autorach łacińskich dla młodzieży nic zdrowego się nie znajdzie." Rozumowanie zaprawdę wyjęte z ust kalifa Omara! Albo to, co w tych książkach znajduje się (mówił on o bibliotece Alexandryjskiéj skazanéj na spalenie) jest w koranie, a wtedy są zbyteczne; albo téż nie ma, a wtedy są szkodliwe!

Cóżkolwiekbądź, kiedy redaktor *Universa* wyprowadził na plac opinie ks. Gauma i poparł je nieporównanym swym talentem polemicznym, z początku odpowiadano mu tylko żartami. Późniéj zrozumiano, że *Univers* godząc niby w naukę starożytności, wymierza w istocie cios na uniwersytet, a wtedy *Debaty*, *Siècle*, a nawet *l'Union* w obronie starożytności odezwały się. Jedna *Presa* milczała i p. Girardin obrońca wychowania praktycznego, acz-

kolwiek nieprzyjacielem jest wychowania opartego na łacinie i greczyznie, z *Universem* razem walczyć przeciw klassykom nie chciał.

Wkrótce pojawiać się poczęły oświadczenia biskupów: jedni potępiali *Universa*, a naganiając mu szczególnie jego zapalczywość polemiczną, wyrzekali się tego dziennika; innych listy aczkolwiek niemniéj stanowcze, oszczędzały więcéj p. Veuillot. W ogóle czterdziestu kilku biskupów francuzkich stanęło w obronie autorów starożytnych, doradzając wszakże, aby ich oczyszczono z miejsc niestosownych lub szkodliwych dla młodzieży. Większa część chwyciła się bardzo naturalnéj w ustach duchownego opinii: aby obok autorów rzymskich i greckich, czytano w szkołach pisarzy kościelnych, których język jest klassyczny. To już po części istniało w liceach od czasów dawnych: uczniowie czytali i czytają nietylko Bossueta i Fenelona, ale wybór ojców greckich i ewangelią św. Łukasza.

Ta propozycya nie przypadała do myśli ks. Gaume i p. Veuillot. W dziele swém: *Lettres sur le Paganisme* (p. 219 i 225) ks. Gaum powiada: „Niektórzy mówią: zachowajmy arcydzieła starożytności pogańskiéj, lecz współcześnie wprowadźmy do każdéj klassy dzieło greckie lub łacińskie ojców kościoła; ta wspólna nauka potrzebna jest dla znajomości łaciny i greczyzny. Ja sądzę, że ta współczesna w każdéj klassie nauka, może być właśnie jedynym środkiem, aby się nie nauczyć łaciny i greczyzny, i poniżyć stopień wykształcenia już i tak dość nizki.... Z tego wynika, że połączenie chrystyanizmu z poganizmem w autorach klassycznych w każdéj klassie nic niewarto, ani pod literackim, ani pod moralnym względem. Tylko jedność może złemu zaradzić. Trzeba naprzód uczyć języka łacińskiego kościelnego i moralności kościelnéj, a poźniéj, kiedy młodzież dostatecznie napoi się wiarą, skoro nauczy się dobrze języka łacińskiego, chrześciańskiego, uczcie potém, jeśli to uznacie za stosowne, autorów pogańskich. Wszelki inny system jest fałszywy, bezpłodny, niebezpieczny."

Już polemika trwała od kilku miesięcy, lecz *Univers* i niektórzy zapalczywi anti-łacinnicy nie chcieli poddać się ani argumentom pisarzy świeckich, ani powadze listów i napomnień biskupich. Wówczas Jules Janin, ten najdowcipniejszy z erudytów francuzkich, zabrał niespodzianie głos w *Revue des deux Mondes*. Mówiono tak długo o ojcach kościoła, radzono o nich, a bez nich. Otóż

p. Janin przytoczył dowód niezbity, bo do walki wprowadził samychże ojców kościoła, wyłożył ich zdania i opinie o nauce starożytności łacińskich i greckich. Podczas kiedy żyli ci dostojni pisarze, niebezpieczeństwo z czytania autorów starożytnych w istocie mogło być groźne: katachumeni chrześciańscy niedawno jeszcze byli poganami; zwyczaje, tradycye, obrządki pogańskie jeszcze przechowały się żywe w społeczeństwie, niepotrzebowano ich uczyć się z ksiąg jak dzisiaj, bo one żyły w towarzystwie, a urok poetów i filozofów starożytnych mógł odrodzić cześć dla zwalonych dopiéro co bogów. Ojcowie kościoła względem starożytności w takim byli stosunku, jak apostołowie chrześciaństwa w Polsce i na Litwie względem czci Radegasta i Światowida. Trudno naszym apostołom brać za złe (i jeden tylko Chodakówski o to się gniewał naprawdę), że bałwany słowiańskie niszczyli; nie możnaby téż było obwiniać ojców kościoła, gdyby w obawie o dopiéro rosnące chrześciaństwo, potępiali czytanie autorów pogańskich!

A przecież rzecz się miała inaczéj: Laktancyusz kochał pisma Cycerona, Hieronim wielbicielem był Quintyliana, św. Ambroży odwoływał się często do powagi obu Pliniuszów. Nic więc słuszniejszego, że p. Janin wśród téj nowéj krucyaty przeciw pogaństwu, przyzwał ojców kościoła, powagę arcydzieł chrześciaństwa, na pomoc mistrzom pogańskim, arcydziełom starożytności, tak nielitościwie dzisiaj poniewieranym. I zkąd ta poniewierka? czemu to pospolite ruszenie przeciw starożytnemu Parnasowi, zkąd ta nienawiść do Apollina? Jakażto powódź Homerowych i Wirgilowych wierszy zagrażała Francyi? Czyżby Francya pokochała do tego stopnia gieniusz starożytności, iżby miała się wyrzec swego, iżby miała odstąpić Boga i ewangelii za Jowisza, iżby w miejsce dzisiejszych ołtarzów, stawiała bogi pogańskie, których imię dochowało się dodziśdnia jako igraszka poezyi?

Ani dzisiaj, ani dawniéj nie było tego niebezpieczeństwa. Nie było go dawniéj, choć do Matki Boskiéj (i to nawet w Polsce) układano ody jakoby do Junony i Wenus; nie było go nawet w Rzymie w wieku XV i XVI, kiedy po zdobyciu Konstantynopola trzeba było dla uratowania pomników starożytnéj cywilizacyi, aby ludzie przejęli się dla nich czcią niemal bałwochwalczą. Wówczasto Mikołaj Vty przyzywał do siebie wielkich łacinników, jak: Poggo, Jerzego z Trebizondu, Leonarda d'Arezzo, Laurentego Valla. Szukano na gwałt zabytków starożytności; znajdowano rękopisa św. Bazylego, znów księgi Xenofonta. Cieszono się to

z Laktancyusza i Irenego, to z Herodota i Polibiusza. Ów papież za 1500 skudów kupił tłumaczenie Strabona, 500 dukatów zapłacił za tłumaczenie Polibiusza, 10000 skudów ofiarował za tłumaczenie Homera. Mawiał on: „Trzeba szanować i kochać ludzi uczonych, a hańba temu, kto ich krzywdzi."

Za Leona Xgo uwielbienie to dla starożytności jeszcze daléj posunięto. Wówczasto tłumaczono językiem starego Katona tajemnice chrześciaństwa, bulle papiezkie formę pogańską przybierały, a nawet klątwy wychodziły *w imieniu Bogów nieśmiertelnych!*

Lecz dzisiaj od tych wieków, od tego uwielbienia, od téj inwazyi autorów pogańskich już bardzo daleko. „Dzisiaj jedno tylko zostało uwielbienie dla cyfry—mówi p. Janin;—dzisiaj wpośród pary, ogniów i piorunów, ręką ludzką oswojonych, już tylko mała liczba młodzieży pozostaje wierną naukom klassycznym: dzisiaj więc deklamować zaciekle przeciw językom starożytnym niemal od wszystkich zapomnianym, jest dziwactwem, szaleństwem!" I nikt téż nie pojmował zkąd się wzięły te gniewy, kto dał tę myśl owéj cudacznéj wyprawy na młyny wietrzne starożytności. „Mówcie co chcecie—mówi p. Janin—jeszcze nic lepszego nie mamy nad mistrzów starożytnych. *Nihil antiquius habui*, przed trzema wiekami powiedział Estienne, chcąc dać do zrozumienia, że nic nad autorów klassycznych nie widział bardziéj poszanowania godnego."

Posłuchajmy razem z p. Janin ojców kościoła. Ich powaga wiekami, tradycyą i uznaniem kościoła zatwierdzona, lepiéj niż cokolwiekbądź przekona, ażali się godzi lub niegodzi dawać w ręce młodzieży autorów starożytnych. Św. Ireny w przedmowie swojéj do księgi *Herezye* żali się, że już zapomniał pięknego języka starożytnych. „Życie moje przepędziłem wpośród Celtów, przyzwyczaiłem się do ich barbarzyńskiéj mowy, i teraz napróżno szukałbym pięknych wyrażeń poetów starożytnych". A znał je kiedyś ten dostojny biskup Lyonu, bo czytał poetów starożytnych, umiał ich napamięć, pisał po grecku i po łacinie.

Św. Justyn nim został ojcem kościoła, przechodził kolejnie wszystkie szkoły pogańskie. Opowiada sam, że się naprzód zaciągnął pod chorągiew stoika, który mu prawił szeroko, że może nie ma Boga! Od stoika przeszedł do perypatetyka: ten kazał sobie z góry zapłacić i uczył go muzyki, geometryi i astronomii. Nakoniec w szkole Platona zdawało mu się iż znalazł to, czego tak skwapliwie szukał. Nowa nauka odpowiadała jego rączemu umysłowi, zatapianie się w rozmyślaniu dodawało skrzydeł jego duchowi; po

nich spodziewał się on doleciéć do sfer najwyższéj mądrości. Nawet późniéj, kiedy poznał ewangelią, z wdzięcznością i uwielbieniem wspominał jeszcze Platona. Przyznawał on, że mu poezya i filozofia starożytna pomocną nieraz była. „Czemu, zapytuje on poganów, poczytujecie chrześcianom za złe takie dogmata, które się znajdują w waszych pisarzach? Ale są u nas wyższe, bo najsławniejszy z waszych filozofów Sokrates nie znalazł żadnego ucznia, coby chciał umrzéć za jego prawdę. Co do mnie, będąc wielbicielem Platona, kiedym ujrzał chrześcian idących na śmierć, ujrzałem zarazem, że oni przestali być niewolnikami ziemi." To wspomnienie Sokratesa i Platona, azaliż nie dodaje mocy téj nauce?

Św. Klemens z Alexandryi na wzór braci swoich ze Wschodu powstaje także na teologią pogańską, odpowiada na zarzuty Rzymian, wszystkie kościoły starożytne jeden po drugim przetrząsa, otwiera, wszystkich ludzi znakomitych wspomina: Orfeusza, Hezyoda, Eurypidesa, Antystenesa, Kleanta, Platona. Mało kto nad niego bieglejszym był w tajemnicach starożytności: zna on wszystkich bogów, wié o zbrodniach wszystkich bogiń, policzył do jednéj wszystkie bezbożne ofiary; lecz kiedy spotyka się z Platonem, z uszanowaniem zatrzymuje się i uchyla głowy, wołając: „Gdzież o Platonie, boski marzycielu, dowiedziałeś się téj wielkiéj prawdy że Bóg jest jeden, niecielesny, nieśmiertelny?"

W pismach ojców kościoła z każdym krokiem znachodzi się przewagę starożytności: raz ona występuje jako groźba, drugi raz jako nadzieja; to siłą jest, to ozdobą pisarza. Wspomniany już Klemens z Alexandryi ułożył książkę pod tytułem: *Stromates* (jakoby *Zbieranka*), którą porównywa do łąki emaliowanéj kwieciem, do kosza z którego każdy czerpać może pełną garścią. W niéj biskup ów powiada, że poznanie starożytnéj filozofii jest wybornym wstępem do ewangelii, która stała się jéj udoskonaleniem. „Potrzeba znać starożytność; jest ona użyteczna, chociaż niedostateczna. Te żywe nasiona czekały rosy niebieskiéj i wydawały krzewy mniéj więcéj zdrowe aż do czasu, kiedy przyszedł Ten, co mógł im zapewnić owoc rodzajny." Nie chce on burzyć dzieł Opatrzności „bo ona nie dozwalała nigdy, aby prawda była przytłumiona, aby panowało kłamstwo spokojnie, nie lękając się światła. Filozofia starożytna jest jakoby ogrodzeniem około winnéj latorośli; pocóż psuć ogrodzenie, skoro ono krzew zasłaniał? Filozofia (dodaje św. Klemens) jest przedsionkiem, jest przejściem do *Sanctuarium*. Prawdziwy chrześcianin nie zaniedbuje ludz-

kich umiejętności: one mu służą albo za niewinną rozrywkę, jeśli chce spocząć po ważniejszych pracach, albo też ku poznaniu prawdy lub jéj obronie. Bóg dał Grekom filozofią, dał Hebrajczykom zakon, aby one doprowadziły do ewangelii. Jak nieodzowną była filozofia przed przyjściem Jezusa Chrystusa, tak jest teraz pożyteczną do ugruntowania zasad wiary, do ich udowodnienia."

Św. Bazyli nietylko słowem, ale przykładem do nauk starożytnych zachęcał, i dziecię które adoptował, posłał do mistrza dla poznania poetów rzymskich. Św. Grzegórz Nazyaneński arcyb. konstantynopol., którego wymowa przyciągała tłumy pogan i heretyków, uczył się w szkołach ateńskich wymowy, kochał poetów i do nauk starożytnych tęsknił. Jan Chryzostom, ten najprzedniejszy mowca chrześciański, tłumaczył w młodości komedye Arystofanesa i w naśladowaniu tego poety (słowa są ojca Levavasseur) znalazł on życie i koloryt, któremi jaśnieją jego obrazy obyczajów tamtego wieku. W tych komedyach wyuczył się także elegancyi i czystości języka, które w mowach jego zachwycają.

Św. Hieronim biegły był w literaturze łacińskiéj: wielkie imiona starożytności często znajdują się pod jego piórem, co chwila wspomina Rzym, lata kiedy w nim przebywał i uczył się. Ale bardziéj niż ktokolwiek św. Augustyn dzieckiem jest poezyi starożytnéj: ona go mlékiem swojém wykarmiła, do szkół wprowadziła kartagińskich. A kiedy wyczerpał Wirgiliusza, Homera, Teokryta, Owidyusza, Anakreonta; kiedy go młodzieńcze namiętności zawiodły na bezdroża, cóż go ku upamiętaniu przywołało?—Księga dzisiaj zaginiona filozofa rzymskiego, *Hortensius* Cycerona. Ona to skłoniła go do filozofii, do spokoju, rozwagi, pogardy złych namiętności. Nawrócenie swoje winien Cyceronowi; rzekłbyś, że Cycero wziąwszy za rękę młodzieńca oddał go w objęcia św. Pawła. „Młodzieńcze, weź księgę i czytaj"—rzekł do niego filozof.

P. Janin przez długie jeszcze karty przeprowadza cytacye ojców kościoła. Są one wszystkie zarówno przyjazne naukom starożytności; lecz na zakończenie przytacza dowód niezbity, niezachronny, dowód z dziejów początkowych chrześciaństwa. „Kiedy Julian Apostata przyszedł do władzy imperatorskiéj (słowa są rzymskiego retora Libaniusa), ci co szli za zepsutą religią (nauką Chrystusa), spodziewali się męczarni daleko okrutniejszych, jak za imperatorów poprzednich". Ale nie przeczuwali chrześcianie, jaką wymyślną nienawiść Juliana poda mu radę. „Nietrzeba, rzekł on, wiec gwałtem Galilejczyków do naszych ołtarzy; niech oni

są źli, jak głupi: nie należy ich nienawidzieć, ale żałować. Postępujcie z nimi łagodnie, a czas dokona reszty". Po tym wstępie dodaje: „Rzecz oczywista, że byłoby nierozsądnie i niepotrzebnie tłumaczyć synom chrześciańskim naszych dawnych filozofów, poetów i bogów rzymskich: po co im znać te wielkie potęgi, które religia chrześciańska potępia? Wszakże Homer, Hezyod, Demostenes, Tukidydes, Sokrates i Lizyasz, byli gorliwemi wyznawcami tych właśnie bogów, których chrześcianie nazywają fałszywemi bogami". Z tych motywów wychodząc, podpisał Julian na dniu 17 czerwca 362 roku ów sławny dekret, zakazujący chrześcianom chodzić do szkół, w których wykładano pisarzy pogańskich.

Czegoż innego żądają ks. Gaum i p. Veuillot? Mógłże kto lepiéj życzeniom ich dogodzić? Zabronić dzieciom chrześciańskim autorów pogańskich, jedno jest, co zabronić im herezyi!

Wszelako innego zdania był św. Grzegorz Nazyaneński. Ledwo dowiedział się o dekrecie, w grzmiących słowach powstał przeciw niemu z kazalnicy: „Wiem ja, słowa są jego, do kogo mówię: do ludzi poważnych, umysłów oświeconych, a każdy mąż uczciwy, znający wdzięk nauki, łatwo pojmie moje oburzenie. Nad nauki nie znam rozkoszy godniejszéj umysłu. I kto wziąć zechce, z chęcią mu ustąpię zaszczytów i dóbr ziemskich. Rad wyrzekę się chwały, majątku, znaczenia, zgoła wszystkiego, co ludzie szanują na ziemi: tych próżności marnych i bezpłodnych. Ale nauka ma wartość rzeczywistą, i nigdy do tyla nie będę niewdzięczny, abym miał nie uznać wielkich prac podjętych przez męże sławne, co są nam mistrzami w sztuce wszelakiéj. Co za zły duch natchnął Apostatę, gdy nam zamyka drogę do nauk i poezyi: jestto niesprawiedliwość i okrucieństwo, nad które nie znam straszniejszego."

W ten sposób św. Grzegorz Nazyaneński odpowiedział Julianowi Apostacie, który jakby myśli *Universa* wyrażał. Zostawmy *Universa*, który na ten dowcipny i uczony artykuł p. Janina nie dał żadnéj odpowiedzi, i wystrzelawszy przeciw filologii wszystkie ładunki, z nową zaciętością rzucił się na naukę historyi starożytnéj w szkołach; zostawmy ten plac czczych bojów: czeka nas walka szlachetniejsza, piękniejsza i pożyteczniejsza — walka wysileń ludzkich z przeciwnościami natury, praca Prometeusza, wydzierającego ogień światłu niebieskiemu.

Chcę mówić o nowym wynalazku, czy probie wynalazku, *lokomotyw powietrznych*. Rzecz prawdziwie godna podziwienia, z jaką wytrwałością, zapałem i poświęceniem pracują inżynie-

rowie i mechanicy w Anglii, we Francyi, w Stanach Zjednoczonych, a nawet w Hiszpanii, nad odkryciem sposobu kierowania balonów. Proby tak liczne, które się nie udały, zawody tak częste, tyle zmarnowanego czasu i kapitału, nie mogły dotąd zniechęcić tych pracowitych górników, co z kopalni potęg i tajemnic natury usiłują wydrzeć jednę z największych. Zda się, iż niesłychana rewolucya, jakąby wynalazek ten wprowadził we wszystkie stosunki ludzkie, ogromna potęga, którą dzięki jemu człowiekby sobie przyswoił, sława wiekopomna wynalazcy i istotnego dobrodzieja ludzkości, zapala te umysły, i do ofiar ich, do wytrwałości podnieca. Rzadko upłynie miesiąc, abyśmy o nowych nie czytali wysileniach. W roku zeszłym mechanik jakiś pod Nowym-Yorkiem uzbroił się w przyrząd ptasi, i z pomocą ogromnych skrzydeł, dość długo po powietrzu szybował. Na początku zeszłego miesiąca w Hiszpanii za pomocą małego balonu i systemu parasoli wzniósł się w powietrze wysoko młody Hiszpan, i w niém pływał do woli z wiatrem lub przeciw wiatrowi. Nareszcie pod koniec września b. r., inżynier francuzki p. Giffard ogłosił, iż kwestya tak długo rozstrząsana, tajemnica tak długo zakryta, stała się rozwiązaną, odkrytą. 24 września miała się odbyć piérwsza proba w hipodromie paryzkim.

Publiczność po tylekroć zawiedziona, mniéj licznie niż sądzono zebrała się. P. Giffard, któremu w pracach pomagali inżynierowie David i Sciama, uczniowie dawni szkoły centralnéj, ukazał nam balon połączony z machiną parową. Balon był podłużny, miał 12 metrów szerokości, a 44 długości; obejmował 2500 metrów sześ. gazu i otoczony był siecią sznurków, schodzących się razem około belki pod balonem umocowanéj i opatrzonéj żaglem. Belka ta może obracać się i służy za oś machiny i za stér tego okrętu powietrznego.

O sześć metrów niżéj od téj belki zamieszczona jest machina parowa ze wszystkiemi przyrządami. Spoczywa ona na pewnego rodzaju tragach, których cztery końce przymocowane są sznurami, w pośrodku są deski, na których mogą stać ludzie, zapas wody i węgla. Kocioł jest prostopadły, zamknięty w osłonie z blachy, która dozwala i lepiéj zużytkować ciepło i zniża temperaturę gazu wydobywającego się z paliwa. Komin idzie z góry na dół; para, która się do niego z wielką siłą z walca wydostaje wypycha dym w kierunku przeciwnym balonowi, a zarazem oziębia temperaturę dymu. Węgiel pali się na kracie zamkniętéj w szufladzie

z popiołem, tak, że niepodobna jest w istocie widzieć najmniejszego śladu ognia. Utworzona para przechodzi natychmiast w właściwą machinę, tojest w walec pionowy. Walec śrubowy umieszczony powyżéj służy za punkt oparcia w powietrzu i popycha cały narząd. Śruba obraca się 110 razy na minutę; siła machiny do jego obrotu zużyta wyobraża siłę 3 koni, tojest 25 do 30 ludzi.

Wynalazca tłumaczył daléj, że ciężar machiny, balonu i całego przyrządu z ludźmi wynosi 1560 kil. Siła balonu mogłaby być 2800 kil., lecz przy trudności wydobycia tak wielkiéj ilości gazu czystego, gdy zmuszonym został zastąpić go gazem do oświecania używanym; wypada odtrącić z téj siły 1000 kil. tak, że przewyżka balonu nad ciężar przyrządu zaledwo 250 kil. wynosi. Dodał także, że dla wielkich kosztów w przyrządzaniu machiny musiał się ograniczyć na machinie mniejszéj, i że siła jéj nie będzie dostateczną do przezwyciężenia mocnego wiatru. Właśnie téż podówczas wiatr dął gwałtowny; zapowiedział zatém, że przeciw niemu płynąć nie odważy się, ale puści się z ukosa lub wpoprzek.

Po tych objaśnieniach ten nowy Fulton powietrznéj żeglugi stanął przy machinie, odwiązano sznury balonu i wśród oklasków powszechnych, aeronauta wzniósł się w powietrze. Było to widok wspaniały i uroczysty: machina parowa po raz piérwszy uniosła się nad ziemię. Z uczuciem dumy, ale i pewną obawą patrzyliśmy za nim długo, dopóki nam z oczu nie znikł. Z nim razem uciekała od nas nowa myśl, wynalazek wielki, zaszczyt rodu ludzkiego.

Już nazajutrz czytaliśmy w Pressie, że p. Giffard wrócił szczęśliwie do Paryża. Oto wyjątek z jego listu „Uniosłem się z hipodromu sam d. 24 o godzinie 5 1/4 wieczorem. Wiatr był gwałtowny. Ani na chwilę nie myślałem walczyć wprost przeciw niemu, bo nie dozwalała mi tego siła machiny, którą obrachowałem i wypadek rachunku przewidziałem, lecz najpomyślniéj dokonałem ruchów obrotowych i skośnych. Podniosłem się do wysokości 1500 metrów; machina i jéj ster były zupełnie posłuszne méj ręce.

„Ponieważ noc się zbliżała, a lękałem się dłużéj zostać w atmosferze, począłem przygaszać ogień piaskiem, wypuściłem parę, która buchnęła z straszliwym łoskotem, tak, że obawiałem się jakiego fenomenu elektrycznego i przez czas jakiś otoczony byłem mgłą, która mi nic widzieć nie dozwoliła. Balon znajdował się wówczas na wysokości 1800 metrów. Zająłem się natychmiast spuszczeniem, i w gminie Elancourt, z machiny mojéj zeszedłem na ziemię. Pod-

czas zstąpienia machina została nieco uszkodzoną; ale jak tylko zostanie naprawioną, niebawem albo sam, albo przez moich towarzyszy doświadczenie to powtórzę."

Zanim ta druga próba nastąpi, wspomnieć muszę o nowych usiłowaniach inżyniera w Bordeaux. P. Prosper Meller ogłosił broszurę p. t. *Des aerostats.* Autor, jak twierdzi, ślubował poświęcić wszystką swą pracę żegludze powietrznéj; jéj udoskonalenie jedyném jest jego dążeniem. Ofiarował jéj życie swe i siły. Nie sądzimy, aby p. Meller (jak twierdzi) imię swoje unieśmiertelnił już tym wynalazkiem, ale jest dosyć już zasługi dążyć do chwały téj czynnie. Opowiem pokrótce jego projekt.

Jestto myśl bardzo oryginalna *Kolei żelaznéj powietrznéj.* Proponuje on użycie balonu, zamkniętego sznurami i przywiązanego do ogniw, które się posuwać mają na sznurach metalowych, wyciągniętych od jednéj do drugiéj piramidy. Sznury te wyobrażające koléj, poprowadzone są w zygzak z góry na dół i z dołu na górę. Aby balon posuwał się z góry na dół, potrzeba iżby ciężar przy nim będący, większym był od jego siły; aby zaś z dołu na górę postępował, dość odrzucić ten ciężar, a balon posunie się własną mocą.

To jest zasada nowego projektu. P. Meller przeprowadza ją starannie przez wszystkie szczegóły całego przyrządu, wszystkie cząstki machiny opowiada, przewiduje niebezpieczeństwa i przeszkody, i dowodzi, że koléj żelazna powietrzna wraz z balonami i wagonami kosztować będzie na myryametr 500,006 fr., kiedy taka przestrzeń kolei zwykłéj kosztuje 4,500,000 franków. Niebezpieczeństwa zwyczajnéj podróży towarzyszące nie istnieją wcale w tym oryginalnym sposobie podróżowania.

Może inną razą powrócę do tego projektu, skoro opinia ludzi biegłych w sztuce wskaże, iż nad nim warto się dłużéj zatrzymać. Czy jest praktyczny, przewidzieć trudno, ale jest w nim strona dobra, iż góry i skały będące największą dla kolei zwykłych przeszkodą, według projektu p. Mellera mogą być użyte jako piramidy do utwierdzenia sznurów metalowych, że zatém nie ma takich nierówności i wysokości, po którychby machina parowa posuwać się nie mogła. Gdzie nas dzisiaj para nie zawiedzie! Ród ludzki podbiwszy jéj siłę, znalazł jakoby nowego ducha.

Jeszcze o jedném odkryciu na zakończenie. Pan Chacornac w Marsylii, a pan Gasparis w Neapolu jednocześnie odkryli małą

planetę, któreto odkrycie podniosło ilość planet teleskopowych aż do 20. Nowa planeta zowie się Massilia. Jestże ich więcéj, i ile ich jest? O tém może wkrótce dowiemy się, skoro wyjdzie atlas pana Valza, dyrektora obserwatoryum w Marsylii. Akademia zajęła się jego publikacyą na wniosek p. Arago; tym kartom winien p. Chacornac nową planetę, i twierdzi, że z ich pomocą będzie można odszukać wszystkie w przeciągu kilku lat.

REX·BOLESLAVS·PO
LONIE·OCCISOR·SANCTI
·STANISLAI·EPI·CRACOV
ENSIS

GROBOWIEC
BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO
W OSSYACHU.

PRZEZ

Alexandra Przezdzieckiego.

Wyjątek z rękopisu przygotowanego do druku, pod tyt.: Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach).

Z rycin 4.

Ponad pięknem jeziorem, u stóp Alpów słowiańskich, w Karyntyi, niedaleko miasta *Clagenfurth*, pomiędzy mieścinami *Villach* i *Sanct-Veit*, wznosi się podziśdzień kościół, którego założenie VIIgo wieku po Chrystusie sięga. Syn pana słowiańskiego, *Ossyusza*, imieniem *Poppon*, na początku VIIgo wieku zawędrował do Rzymu, gdzie przyjąwszy wiarę chrześciańską i stan duchowny, dostąpił godności patryarchy akwilejskiego. Za jego sprawą nawrócili się i rodzice jego, a *Ossyusz* zbudował kościół na cześć N. M. Panny, i klasztor Benedyktynów, od imienia jego nazwany *Ossyackim* (1).

(1) *Valvassor* (*Topographia Archiducatus Carinthiae. Nürnberg, 1688, in fol. p. 152 et seq.*) opisuje te szczegóły, po większéj części, jak powiada, z rękopisów i oryginalnych dokumentów ossyackich, dziś zaginionych. Cytuje nawet listy *Ossyusza* i syna jego *Poppona*, z języka *wendzkiego* czyli *słowiańskiego* na łaciński tłomaczone, a za jego czasów znajdujące się w Ossyachu; oraz napisy odnoszące się do fundatorów, w kościele umieszczone, i nagrobki *Ossyusza* i żony jego *Irenburgi* w tymże kościele będące.

Opaci tego miejsca zależeli naprzód od patryarchów akwilejskich, później od arcybiskupów salcburskich. Po zniesieniu Benedyktynów w 1781 r. kościół został parafialnym, a w murach klasztornych umieszczono stado wojskowe austryackie.

Samo nazwisko *Ossyachu* obudza w nas dziwne wrażenie ciekawości i niedowiarstwa; przywiązuje się bowiem do niego legenda o pokucie Bolesława Śmiałego, zabójcy św. Stanisława, i myśl o tajemniczym kamieniu grobowym króla-pokutnika.

Już w kilkanaście lat po wygnaniu Bolesława, tajemnica pokrywała ostatnie lata jego życia. *Gallus*, który pod synowcem tego króla dzieje polskie pisał, nic pewnego o rodzaju jego śmierci nie wié: „*Mówią*, że nienawiść Węgrów przyspieszyła mu dzień ostatni (1)". *Kadłubek* o sto lat późniejszy, opowiada, że: „nadzwyczajną chorobą dotknięty, Bolesław sam sobie śmierć zadał (2)". To samo podanie powtarza autor *Żywota św. Stanisława* (z XIIIgo wieku) z dodatkiem, że: „podobno drugiego roku wygnania swojego, wpadł w szaleństwo, i śmierć sobie zadał (3)". *Baszko* pisze, że: „Bolesław wkrótce po wygnaniu swojém do Węgier, życie nędznie zakończył (4)". *Janek* kronikarz XIVgo wieku zgadza się zupełnie z Baszkiem (5). *Kronikarz szlązki* także z XIVgo wieku, wié tylko o nędznéj śmierci Bolesława w Węgrzech (6). O tém jednak kronikarze węgierscy nic nie wiedzą (7).

Piérwszy *Jan Dąbrówka* przypiśnik Kadłubka, na początku XVgo wieku, wspomina że: „*według niektórych* król Bolesław strawił resztę żywota na pokucie, *w jakimś klasztorze* na granicy Austryi i Karyntyi, i że tam w zupełnéj skrusze życie zakończył. Na grobie jego, dodaje, jest napis: *Hic jacet Boleslaus Rex Poloniae occisor Sancti Stanislai, Episcopi Cracoviensis.* U nas jednak o tém się nie mówi i nie rozgłasza przed ludem, aby łatwość przebaczenia nie dała pochopu do winy" (8). *Długosz* powtarzając podanie najdawniejszych kronikarzy naszych o śmierci Bolesława Śmiałego, dołącza do nich powieść

(1) *Gallus*, wydanie Bandtkiego str. 115. (2) *Kadłubek*, wydanie Kownackiego cz. I, str. 141. (3) *Przy Gallu*, wyd. Bandtkiego str. 377. (4) *Baszko* u Sommersberga. T. I, str. 28. (5) U *Stenzla* T. I, str. 12. (6) U *Stenzla* T. I, str. 63. (7) Porównać: *Fessler's* Geschichte der Ungarn. T. I, str. 471. (8) *Kadłubek* przy Długoszu wyd. lipsk. T. II, str. 667.

o pokucie tego króla w klasztorze *Vilthina* (niedaleko Inspruku) (1), a *Miechowita* dodaje, że żadnego śladu Bolesława odkryć tam nie mógł; dodaje wprawdzie nawiasem, że ani też w Ossyachu; ale tam być nie musiał, gdyż napis grobowy Bolesława, już na początku XV wieku *Jan Dąbrówka* cytuje (2).

Zbliżano się jednak powoli do prawdy. W połowie XVIgo wieku, *Walenty Kuczborski* młody szlachcic polski, następnie archidyakon pomorski, kanonik krakowski i warmiński († 1573 r.) odwiedził *Ossyach*, jadąc do Rzymu ze Stanisławem Hozyuszem, jeszcze nie kardynałem podówczas. I widział tam na grobie Bolesława konia z siodłem z marmuru uciosanego, z napisem: *Boleslaus Rex Poloniae, occisor Sancti Stanislai Episcopi Cracoviensis*; a więc ten sam, który *Jan Dąbrówka* na początku XVgo wieku przytaczał, z dodaniem dwóch słów: *hic jacet*. To opowiadanie Kuczborskiego przywiedzione przez *Kromera* (3), umieścił zaraz w Kronice swojéj *Stryjkowski* (4), a ze Stryjkowskiego wypisał do Roczników swoich *Sarnicki*, świéżo przeczytawszy; do czego sam się przyznaje (5).

Po Kuczborskim odwiedził Ossyach ks. *Marcin Białobrzeski* biskup kamieniecki, opat mogilski (klasztoru Benedyktynów fundacyi Bolesława Śmiałego), zmarły roku 1586. Było to zapewne w czasie odprawionéj legacyi od Stefana Batorego do cesarza Maxymiliana w roku 1576. Widział on w kaplicy okrągło zmurowanéj przed wielkim ołtarzem kamień grobowy *siedm stóp męzkich długi*, a na nim wyrytego konia z napisem: *Hic jacet Boleslaus* i t. d. Od opata ossyackiego (6) dowiedział się biskup kamieniecki o podaniach klasztornych (*traditiones patrum*) co do zakonnego życia Bolesława, i opowiedział je za powrotem do kraju *Bartoszowi Paprockiemu*, który to całe opowiadanie w *Herbach rycerstwa polskiego*, pod klejnotem *Orzeł* umieścił (7).

„Przyszedł do klasztoru Osia, dostał tam służby w klasztorze, został *confratrem* zakonnikom; tam będąc służył, robił, piece palił, w kuchni posługował, a we dnie i w nocy, kie-

(1) *Długosz* wyd. lipsk. T. I, ks. III, str. 288. (2) *Miechowita* wyd. krak. str. 50. (3) *Kromer* wyd. kolońskie, str. 60. (4) *Stryjkowski* wydanie królewieckie str. 191. (5) *Sarnicki* Annales, przy *Długoszu* wyd. lipskie T. II, str. 1055. (6) *Petrus Greblacher* był opatem ossyackim od r. 1556 do 1587. (7) *Paprocki Herby rycerstwa, o Orle klejnocie Królestwa Pols.*

dy się ułacnił, u drzwi kościelnych Panu Bogu się modlił. Bacząc tę do niego zakonnicy pilność w posługach, ktemu y nabożeństwo wielkie, mieli o nim dobre mniemanie. Był tam czas niemały, a gdy już *terminus vitae* przychodził, wyznał przed spowiednikiem co zacz był, y co uczynił: *Confessor* to usłyszawszy szedł do opata, który gdy do niego przyszedł, wyznał też toż przed nim, a dowodząc mu tego że thak iest, kazał sobie tłumok swóy przynieść; ten otworzywszy, ukazał niemało kleynotów kosztownych y pierścień *secret*, który na palcu nosił; zatym umarł. Rozmyślali się zakonnicy gdzie go pochować, *conclusum* od wszystkich, iż za cmyntarzem nie na święconéy ziemi, y tak uczynili. A maiąc tak wielkie kleynoty iego, starał się opat z zakonniki u papieża, aby był *absolutus*, a iżby dopuścił ciało przenieść na święconą ziemię, co wszystko snadnie otrzymali, gdy pokazali, że umarł na pokucie. Także nie ruszając go z onego sklepu, gdzie go byli pochowali, przyczynili cmyntarza, a nad ciałem iego kaplicę okrągłą zmurowali, która aż po ten czas stoi, właśnie nad grobem ołtarz wielki, y kazali wyryć na tym kamieniu konia, ten text nad nim napisawszy: *Hic jacet Boleslaus* i t. d."

Odtąd przez dwa wieki milczenie u nas o Ossyachu; przerywa je mąż uczony Tadeusz Czacki, w przypisku do Naruszewicza Historyi narodu polskiego (1): „Ten grobowy kamień dotychczas jest w Ossiaku. Charakter, ile z odrysowania sądzić mogłem, jest wieku XIII, a może XIV; znajduje się w tym klasztorze opisanie kończącego się życia Bolesława. Lecz całe opisanie jest lichą ramotą i taką mieszaniną, że bardziéj zdaje się być przepisaną słownie od przechodniów, i bajkami przeplataną powieścią, niżeli częścią dziejów".

Ztąd już i *Naruszewicz* legendę ossyacką w wątpliwość podaje, a z późniejszych dziejopisów *J. S. Bandtkie*, który zna i cytuje źródła miejscowe (2), ale nowego dokładnego opisu Ossyachu i grobu Bolesława nie podaje.

(1) Wydanie Mostowskiego T. II, str. 481.

(2) *Bandtkie* Dzieje N. P. wyd. 3cie T. I, str. 197; *Gazeta literacka wiedeńska* z r. 1813 kwiecień; *Intelligenzblatt Carinthia* 9 i 16, October 1813, artykuły Dra *Jenull*; *Megisser Kärntnische Chronik*. *Valvassor Topographia Carinthiae*; *Josephi Walner*: *Annus millesimus Ossiacensis* (Clagenfurti 1766) *Virgilii Gleissenbergii*, De Boleslao II rege Ossiaci paenitente Poema r. 1722. *Stanislai de Golanka Golaniski*, *Boleslaus II Rex Polonorum S. Stanislai.... Occisor...*

A. Oleszczyński wysztychował grobowiec Bolesława, w połączeniu z daleko świeższym obrazem, przedstawiającym sceny z pokuty jego; ale nie ma w tym sztychu wierności archeologicznéj ani w rysach płaskorzeźby, ani w kształcie liter w napisie.

W r. 1837 hrabia Władysław Ostrowski zajął się gorliwie zebraniem wiadomości o Ossyachu, i kazał zrobić obrazek olejny grobu Bolesława, który wraz z całym zbiorem wiadomości, kommunikował autorowi *Ksiąg Bibliograficznych;* w roku zaś 1851 łaskawie do rąk moich wszystko to przesłać raczył. Z samego porównania tego obrazku ze sztychem Oleszczyńskiego okazała się różnica i potrzeba dokładniejszego, archeologiczno-artystycznego zwiedzenia i opisania grobowca Bolesława Śmiałego; zwłaszcza, gdy umieszczone nowe opisy Ossyachu w roku XIV P. L. (T. 1 str. 77) z ryciną powtarzającą sztych Oleszczyńskiego, a w T. II str. 315 z historycznym wywodem, oraz w *Athenaeum* na r. 1842 (T. III str. 151) nie objaśniły wcale wątpliwości archeologicznych co do tego grobowca. Wątpliwości te nierozwiązane są dotąd: co do kształtu liter w napisie, co do znaczenia samego napisu, co do charakteru rzeźby na marmurze; nakoniec co do samego *faktu*, czyli znajduje się w istocie grób Bolesława w Ossyachu, jak chcą tradycye miejscowe wsparte kamieniem grobowym, z tyle razy przytoczonym napisem?

Korzystałem z wyjazdu do Rzymu młodego i utalentowanego malarza p. *Jana Drewaczyńskiego*, i ze znajomego mi zamiłowania jego do pamiątek religijnych i dziejowych, dla poruczenia mu kommissu zdjęcia na miejscu widoków najwierniejszych kamienia grobowego Bolesława, i samego kościoła. Miał także obejrzéć starannie budowę kościoła, jego kaplice i sklepy, dla przekonania się, czy znajduje się rzeczywiście *grób* Bolesława Śmiałego w Ossyachu?

Jak dalece wywiązał się z tego zlecenia, najlepiéj dowiodą wyjątki z listów jego pisanych z Ossyachu 18 i 21 października 1852 r.

„Położenie Ossyachu jest nad brzegiem jeziora tegoż nazwiska, długiego na trzy godziny drogi, a szerokiego w niektórych miejscach na pół godziny. Po obu stronach ciągną się pasma gór od *Feldkirchen* niższe, od *Villach* wyższe, z wierzchołkami pokrytemi śniegiem; tworzą one zamkniętą w sobie cichą i malowniczą dolinę. U podnóża gór, ponad samém je-

ziorem, kilka zabudowań otacza kościół: jestto *Ossyach*, niegdyś opactwo Benedyktynów, dziś stajnia dla stada wojskowego.

Po drugiéj stronie jeziora, u podnóża wyższych jeszcze gór, po wyniosłościach rozsiane chatki, kryjące się nawpół w przerzedzonym lesie, tworzą okolicę zwaną *Sanct-Joseph*.

Kościół jest długą, nizką, zewsząd skarpami podpartą budową, jakby przybudowaną do kaplicy w półokrąg téj zupełnie podobnéj do naszych Duninowskich kościołków, którą już biskup Białobrzeski w połowie XVI wieku starożytną nazywał. Do téj kaplicy dotyka grobowiec Bolesława, w ścianę północną kościoła wmurowany. Poza grobowcem ciągnie się część kościoła w XV wieku przybudowana, a daléj gdzie dziś wielki ołtarz stoi, pod dzwonnicą, przybudowanie jeszcze nowsze. Facyata z drzwiami głównemi niczém się nie odznacza. Grobowiec składa się z grubéj tablicy z marmuru karraryjskiego niegdyś białego, dziś pożółkłego ze starości, z głębokiém wyżłobieniem na środku, o trzech bokach prostokątnych, a czwarty u góry w kształcie zakrzywiony. Pośrodku wyżłobienia stoi na czterech nogach koń wypukłą rzeźbą wykuty, z kawałkiem lejców na grzywie, i siodłem nawpół startém na grzbiecie; uszu, oczu i nozdrzy zupełnie startych dopatrzéć się nie można. Na szerokim brzegu wokoło wyżłobienia środkowego, wyraźnemi literami łacińskiemi, noszącemi cechę XIIIgo wieku napisano: *Rex Boleslaus Polonie occisor Sancti Stanislai Epi. Cracoviensis.* Słów *hic jacet* nie było nigdy, gdyż i miejsca po nich nie zostało. Słowo *Polonie* nie pisane przez *ae*, a więc w każdym razie poprzedza wiek XVI. Marmur wysoki na łokci polskich 2 cal 1, długi łok. 2 cali 20; grubość wystająca od muru cali 4; sam koń od łba wysoki łokci 1 cali 3 (1).

Nad kamieniem grobowym (który podobno kilka razy miejsce przemieniał na téj saméj ścianie północnéj kościoła), ponad daszkiem z desek, stoi we framudze obraz, przedstawiający rycerza w zbroi, z hełmem na koronie, otoczonego siedmią medalionami, na których malowane olejno sceny z życia Bolesława Śmiałego: 1) biskup krakowski wyrzuca Bolesławowi

(1) Długość na miarę wiedeńską wynosi 4 stopy (Schuh) 11 cali; a wysokość 3 stopy 8 cali.

jego życie występne; 2) biskup modli się, klęcząc przed krzyżem jaśniejącym na niebie; 3) Bolesław zabija biskupa odprawiającego mszą św.; 4) Bolesław w odzieży pielgrzyma; 5) Bolesław nosi drwa do kuchni klasztornéj; 6) Bolesław na łożu śmiertelném otoczony zakonnikami; 7) zakonnicy niosą zwłoki Bolesława do grobu. Obraz pierwiastkowy malowany był, zdaje się, pod koniec XVIgo wieku, po odwiedzinach Walentego Kuczborskiego i biskupa Białobrzeskiego, którzy o nim nie wspominają; odnowiony został w r. 1680 przez opata Krzysztofa.

Przed kilkunastą laty, obalony przez wicher i potrzaskany, zachowuje się dziś w kościele; ale zaledwie widać ślady rycerza i siedmiu obrazków dość nędznego pędzla.

Pod tym obrazem napisane były następne wiersze:

Occidit, Romam pergit, placet Ossiach illi. Ignotus servit, notus pia lumina claudit, Ossiach hinc placat tibi, Stanislae, tyrannum; mitem quod factum coelestibus intulit astris.

Zabił, szedł do Rzymu, Ossyach mu się podobał. Nieznany służył, znany, pobożne oczy zawarł. Ossyach dlatego pojednywa z tobą Stanisławie, tyrana, że czyn pokorny pod niebiosa podniósł.

* * *

W niektórych kopiach tych wierszy błędnie wypisano *placeat*, zamiast *placat*; ztąd wielka zmiana w sensie; a autor *Ksiąg Bibliograficznych* sądził nawet potrzebę czytania wierszy w innym porządku. Wersyą niniejszą wypisuję ze znanego dzieła *Valvassora*; a podobnież przepisano je na dzisiejszym obrazie, (którychto wierszy kopią przysłał mi w listach swoich p. Drewaczyński).

W dawnym rękopisie przechowywanym za czasów *Valvassora* (r. 1688) w archiwum ossyackiém, czytano jeszcze następne wiersze:

Rex homicida ego sum, profugus et scelere dives.
Hic latui, luxi, deplorans facinus audax,
Ne tamen ob crimen coelestis vindicet ultor,
Sanguine purpureo tingentem sidera Olympi
Te Stanislae rogo, precantis advoca causam.

* * *

Król-zabójca jestem, wygnaniec, i w zbrodnie bogaty. Tu ukrywałem się i opłakałem w żałobie czyn zuchwały. Lecz aby mściciel Niebieski nie karał za zbrodnię, Ciebie Stanisławie błagam, którego krew purpurowa gwiazdy Olimpu rumieni, bądź orędownikiem sprawy tego, który się do Ciebie modli!

Obraz dzisiejszy jest kopią w 1839 roku sporządzoną; oprawny w ramy drewniane i daszkiem blaszanym przykryty. Naokoło całego grobu ułożono wtedy posadzkę kamienną i ogrodzono ją kratą żelazną z drzwiczkami i napisem literami mosiężnemi: *Sarmatis peregrinantibus salus.* (Polakom podróżnym pozdrowienie)! (1.)

Poza kamieniem grobowym w kościele w blizkości starożytnéj kapliczki okrągłéj, jest framuga wysoka na 1 łok: 19 cali pośrodku; długa łok. 3 cal. 10, a głęboka łok. 1 cal. 13. Wedle tradycyj miejscowych, sięga czasów Bolesława, który w tém miejscu miał być pochowany głową do kościoła, a nogami do cmentarza. Teraz dwie czaszki i kości nakrzyż złożone, stanowią całą ozdobę grobową téj framugi.

Wewnątrz kościoła ponad oknami są freski w jednym kolorze, w kształcie podłużnym, przedstawiające daleko lepiéj, niż obraz olejny na drzewie, owe siedm scen z życia Bolesława (2). W starożytnéj kapliczce jest ołtarz gotycki i kilka grobowców dawnych opatów (może i fundatorów *Ossyusza i Iremburgi*?). Pośrodku posadzki kamiennéj wejście do sklepu. W kościele, między wielkim ołtarzem a głównemi drzwiami, leży pięć kamieni grobowych, z herbami i nazwiskami opatów.

Roku 1839 poprawiając kościół, przystąpiono do otworzenia grobu pod framugą, którą tradycya miejscowa od wieków nazywała grobem Bolesława Śmiałego. Byłoto w obecności proboszcza i urzędników miejscowych. Znaleziono całą czasz-

(1) Na probostwie zachowany jest arkusz papieru, na którym spisane są nazwiska osób, które w 1839 r. zrobiły składkę na umieszczenie kamienia grobowego w tém miejscu (był o kilkanaście kroków daléj), i opatrzenie go kratą żelazną i nowym obrazem. Byłito hr. hr. Stanisław *Uniszek*, Jan *Stadnicki*, Alfred *Potocki*, Alexander *Stadnicki*, Karol *Krasiński*, Maurycy *Potocki*, książę Henryk *Lubomirski*, hr. Seweryn *Drohojewski*, hr. Leopold *Krasiński*, *Wodnicki*, *Federowicz*, Maciéj *Miączyński*, Seweryna z hr. Potockich *Sobańska*, (dziś hrabina *Colloredo*). (2) Pędzla podobno *Frohmüllera*.

kę i kilka kości; a pod czaszką tkwiła spinka mosiężna (*fibula*) niegdyś pozłacana, takiego kształtu:

służąca do spinania płaszcza pod szyją. Grób zamurowano napowrót nad szczątkami króla Bolesława, a *spinkę* przytwierdzono sznurkiem do aktu urzędowego, opisującego to odkrycie, dla zachowania w archiwum klasztorném.

Kopią z tego aktu z oryginału przepisaną i wydaną przez dzisiejszego proboszcza, umieszczamy tu w tłumaczeniu polskiém, jako dokument autentyczny:

„Gdy 21 czerwca 1839 roku grób króla Bolesława, w obecności niżéj podpisanych świadków otworzono, znalazłem oprócz kilku kości i ćwieków żelaznych, (zapewne od trumny) *spinkę* zachowującą jeszcze ślad pozłoty. Sądzimy po tém, że musiał być pochowany w odzieniu pielgrzyma, i że ta spinka służyła mu do zapinania kołnierza lub płaszcza pod szyją. Na świadectwo prawdy, iż niniejsza *spinka* rzeczywiście w grobie Bolesława znalezioną została, i dla nadania jéj autentyczności, kładziemy tu podpisy nasze i pieczęcie:

(L. S.). Franciszek *Karl* mp. proboszcz w Ossyachu.

(L. S.). Józef baron *von Saamen*, mp. major i komendant stada wojskowego w Ossyachu.

(L. S.). Rudolf hrabia *Goess* mp. c. k. szambelan, radca górnictwa i członek komitetu stanów Karyntyi.

(L. S.). Jerzy *Bardel* mp. c. k. podporucznik przy stadzie wojskowém w Ossyachu.

(L. S.). Jan *Unzeitig* mp. c. k. starszy lekarz przy stadzie wojskowém w Ossyachu.

Kopia niniejsza zdjęta została z oryginału znajdującego się w archiwum tutejszém, przeze mnie Józefa *Linser*, dzisiejszego proboszcza w Ossyachu.

Ossyach, 18 października 1852 roku.

Józef *Linser* mp. proboszcz.

Odkrycie to zdaje się usuwać wszelką wątpliwość co do autentyczności grobu i szczątków Bolesława Śmiałego w Ossyachu. Przemawiała już za nią długowieczna tradycya miejsco-

wa, niewypielęgnowana, niepodsycana żadną wieścią z Polski. Wszak w XV wieku znajdujemy piérwszy ślad napisu grobowego w kommentarzu *Jana Dąbrówki* do Kadłubka. Długosz jeszcze, umieszcza go nie w Ossyachu, ale w *Wilthinie* pod Insprukiem. W połowie XVI wieku dopiéro Walenty Kuczborski, i biskup Białobrzeski widzą grobowiec ossyacki, mający już dla nich cechę starożytności. Kogóż tu posądzać o sfałszowanie tradycyi, zkąd źródło wiadomości potrzebnych do podobnego fałszu, i jaki cel tylu zabiegów?

Zastanawiając się z uwagą nad całém wydarzeniem, zdaje się, iż tak z łatwością tłumaczyć się daje:

Głosem sumienia pędzony opuszcza Bolesław Śmiały kraj węgierski oburzony na jego dumę nieznośną, i zostawiając syna młodego na opiece pokrewnego króla węgierskiego Władysława, idzie w świat w ubiorze pielgrzymim. Można przypuścić, że do Rzymu dążył; że nie doszedł tam, to więcéj jak pewno. Pokuta jego byłaby się stała równie głośną, jak w 90 lat późniéj Henryka IIgo króla angielskiego za zabójstwo Tomasza Beketa, gdyby był Bolesław Śmiały ukląkł u stóp Grzegorza VII w czasie soboru lateraneńskiego w r. 1081, którego summaryusz znajduje się w Rocznikach Baroniusza, wyjęty z listów Grzegorza. Ale papiéż ten straszną walką z cesarzem Henrykiem IV zajęty, wkrótce potém wygnany został z Rzymu, gdzie na jego miejsce ukoronowano antypapieża Gwiberta; mimo tego mógł zajmować się jeszcze prawami odleglejszych krajów np. Danii, jak o tém dzieje kościelne wspominają. Klątwa rzucona przez Grzegorza VII na całą Polskę z powodu zabójstwa biskupa krakowskiego i pozbawienie za to jéj monarchów korony i tytułu królewskiego, sąto bajki, które archiwa watykańskie zupełném milczeniem zbijają (1).

Po drodze do Rzymu musiał Bolesław zatrzymać się w malowniczéj okolicy Ossyachu, i niedziw, że obrał sobie miejsce pokuty na ziemi słowiańskiéj, w klasztorze Benedyktynów, których poważał, jak świadczy fundacya uczyniona dla nich w Mogilnie. Tu maluje go nam legenda ossyacka, odbierającego kawał chleba w jałmużnie od odźwiernego; nie mógł już i nie

(1) *Baronius* w Rocznikach swoich pod r. 1079 opowiada zabójstwo św. Stanisława przez króla Bolesława i następstwa jego słowami Długosza, w braku wszelkiego dowodu z archiwów watykańskich.

chciał iść daléj; pozostał więc, nosił drwa do kuchni, nieczystość wszelką wynosił, zamiatał cele, najcięższą robotę robił, udając niemowę aż do śmierci, tojest przez lat 9. Gdy nakoniec zachorował w r. 1089 i pomiarkował, że ostatnia godzina jego nadeszła, zaczął mówić: przywołał zakonników i opata Teuchona do siebie, i wyznał, że jest królem polskim Bolesławem, i zabójcą biskupa krakowskiego Stanisława. Na znak że prawdę mówi, wydobył z zanadrza sygnet królewski, pewne pisma, i inne ważne przedmioty, i oddał je zakonnikom. Po spowiedzi przyjął ostatnie sakramenta, i wyzionął ducha w obecności mnichów, ktorzy sprawili mu pogrzeb uroczysty (1).

Grób Bolesława Śmiałego przez lat 750 w tradycyi przechowany (lubo kamień grobowy po kilkakrotnie przenoszony bywał), a w roku 1839 dopiéro otwarty, przechował *czaszkę* jego i *spinkę* od ubogiego płaszcza. Czy kamień grobowy z koniem bez jeźdźca spółczesny jest śmierci króla, wątpliwość o tém nie osłabia prawdziwości tradycyi miejscowéj. To pewna, że napis późniejszy. Od umierającego króla nie mogli byli zakonnicy tak dobrze wyrozumiéć i zapamiętać imion polskich, aby je z największą dokładnością na grobie jego wyryć. Ale w 160 lat późniéj, gdy krzyżowali się na téj drodze posłowie polscy do Rzymu, a papiezcy do Polski w sprawie kanonizacyi biskupa krakowskiego, gdy w Assyżu r. 1253 papiéż Innocenty IV kanonizował uroczyście biskupa męczennika, a odtąd już *Świętego* Stanisława, rzucając jakoby pogrobową klątwę na pamięć jego zabójcy; wtedy mnisi ossyaccy mając u siebie grób tego zabójcy, a wiedząc dobrze o jego długoletniéj i świętobliwéj pokucie, nie wyrzucili go z kościoła, ale kazali wyryć na marmurze: *Rex Boleslaus Polonie occisor Sancti Stanislai Epi. Cracoviensis.*

(1) *Valvassor* p. 156. Sygnet ten pokazywany w skarbcu ossyackim wszystkim podróżnym, zwłaszcza Polakom, miał być zręcznie wyniesiony przez jakiegoś Polaka przed r. 1748.

STARY KAPRAL.

Naprzód! naprzód! marsz rębacze!
Broń na ramię!—wszak nabita;
Dajcie fajkę—precz te płacze,
Pożegnajcie mię i kwita.
Osiwiłem w służbie włosy,
Czym źle zrobił? trudno dociec;
Lecz na musztrach—ej młokosy
Byłem dla was jako ojciec.
Naprzód wiara!
Iść przytomnie!
Tylko wara
Płakać po mnie!

Młody rotmistrz mi uwłacza,
Więc mu pięścią dałem busi;
Sąd wojenny nie przebacza:
Stary kapral umrzéć musi.
Tak potrzeba—na przestrogę
Żem zimniejszéj krwi nie użył;
Lecz obelgi znieść nie mogę,
Jam bohaterowi służył!
Naprzód wiara!
Iść przytomnie!
Tylko wara
Płakać po mnie!

Bądźcie mężni, o kamraci!
Nieście w służbie krew i zdrowie;
Choć się noga, ręka straci,
Krzyż ozdobi honorowie:
Jam go zyskał w dobréj sprawie.
Ej, bywało bracia mili,

Ja wam dawne boje prawię,
Wy gorzałkęście płacili.
Naprzód wiara!
Iść przytomnie!
Tylko wara
Płakać po mnie!

Robert! chłopcze z naszéj wioski,
Wracaj do mnie paść twe trzody.
Patrz! jak piękne klony, brzozki,
Teraz na wsi kwiecień młody.
Ja bywało o téj porze
Wdziękiem sioła oczy pieszczę.
O mój Boże! o mój Boże!
Moja matka żyje jeszcze!
Naprzód wiara!
Iść przytomnie!
Tylko wara
Płakać po mnie!

Kto tam słocha? Znam po jęku,
Żona trębacza hussarzy!
Niosłem syna jéj na ręku,
Idąc z Moskwy w przedniéj straży.
Jéjby przyszło w dzikim stepie
Zginąć w śnieżnéj zawierusze,
Dziś niewiasta paciérz trzepie:
Niech się modli za mą duszę.
Naprzód wiara!
Iść przytomnie!
Tylko wara
Płakać po mnie!

Tam do licha! fajka zgasła!
O nie... jeszcze! już my w kole.
Do szeregu! czekać hasła!
Oczu wiązać nie pozwolę.
Ej kamraci! ej najszczersi!
Wara płakać—broń gotowa?
Strzelać celno, w same piersi!
I niech Pan Bóg was zachowa!
Naprzód wiara!
Iść przytomnie!
Tylko wara
Płakać po mnie!

Tłum. *Wład. Syrokomla.*

O UROCZYSKACH
I ZWYCZAJACH LUDU PIŃSKIEGO,

oraz

O CHARAKTERZE JEGO PIEŚNI.

PRZEZ

Romualda Zienkiewicza.

(Dokończenie).

---

3. Kust.

Pod koniec lutego, zaledwie słońce zacznie cieplejszém okiem spoglądać na ziemię przykrytą śniegiem stężałym, wnet młodzież wiejska zbiéra się w gromadki dokoła chatek, klaszcze w dłonie i wesołą pieśnią wywołuje wiosnę. Wzniosło się słońce jeszcze wyżéj, miłośniejszém wejrzeniem ziemię objęło, stajały śniegi; pękły lodowe więzy znad rzek łona, bystra, rozigrana woda zalała szeroko łąki i pola, i rozbiegła się w lasy. Kmiotek wiozący siano ze stogów zimowych zaledwie miał czas wyprządz konie lub woły, i sam na nich uciec. Zanucił skowronek ponad mogiłą piaszczystą, trzepocą skrzydłami spłoszone z podnioślejszéj roli siwe gołębie, zaklekotał bocian na rodzinném gnieździe, ponad rozlewami czajka zajęczała, rozgospodarzyła się na mostkach i daszkach grobowych ruchawa pliszka. Wierzba pączki puściła, a i trawka wysypała się z ziemi. Wtenczas pieśni wiosenne rozbiegają się po całéj okolicy: słychać je z łódek, dębów, szubalei i obijaników pluskających

po rozległych rozlewach, czyto stada na paszę, na suche ostrowy przewożą, czy co spławiają. Słychać je po lasach przy wyrobach smoły i dziegciu i słychać na roli; ani uprzykrzające się komary, ani zjadliwa muszka wzbijająca się wysokiemi słupami, nie tamują pieśni. W pieśniach tych jużto odzywa się tęsknota miłości, jużto żal po utraconéj niewinności, droższéj nad złoto, jużto niedola rzewnie przemawia. Pieśni wielkanocnych czyli tak zwanych włoczebnych tu nie ma, nie dało mi się téż słyszéć tutaj i pieśni śto-jerskich; dopiéro na drugi dzień Zielonych-Świątek śpiéwają pieśni przy obrzędzie *kust* zwanym. W tym dniu właśnie zbiera się wioskowa gromada niewiast, wybierają zpomiędzy siebie od dziesięciu do dwunastu lat zaledwie mającą dziewicę, uplatają z zielonych liści klonowych przepaskę szeroką, a na kilka sążni długą, uwieńczają nią czoło wybranéj dziewoi, twarz, szyję, obwodzą ramiona i ręce, tak jednak, aby wolny ruch miały, i otaczają całą jéj postać aż poniżéj kolan. Liście przepaski obwijającéj dziewczynę, spadając jedne na drugie, zupełnie ją zakrywają i robią z niéj zielony krzak ruchomy. Wyraz *kust* daje się za nazwisko tak umajonéj kapłance. Postawiwszy ją na czele, stawają za nią parami mężatki młode, potém dziewice starsze, młodsze, a na końcu dzieci. Kust ze swym długim orszakiem, przy śpiewach, ciągnie przez ulice wioski, zachodzi do jéj gospodarzy, lub idzie do dworu; przyjęty, podwaja swe śpiewy, i przy nich tańcuje pod odkrytém niebem. W tańcu orszak rozdziela się na dwie linie przeciwległe; obie linie tanecznic tańcząc, zbliżają się ku sobie współcześnie i cofają się nazad w też same tropy; a dla odmiany jużto para za parą wkółko tańcują, jużto wiążą się w jedno wspólne koło. Drugi taniec, przy kuście Pińszczan postrzegany i uważający się za istotny i konieczny temu obrzędowi, zależy na okręcaniu się wkółko po parze, czyto samych kobiét ze sobą, czy kobiét z mężczyznami, oraz na podskakiwaniu kobiét pojedynczo do umordowania się i zupełnego znużenia. Po skończonych tańcach i śpiewach, otrzymawszy dar z napoju i pokarmów, kust wraca do wsi; wybierają mu chatę na gospodę, jéj gospodarzowi oddają przyniesione dary. Kust tam wchodzi, a za nim ciągnący orszak odzywa się w te słowa: „Ot tut kustu da pity i jesty dati, ot tut kustu da na stanceje stati!" Tojest: tu kustowi i jeść i pić dać, tu kustowi, tu gospodą stać!—Gospodarz wyprawia

ucztę, po niéj znowu tańce i śpiewy, aż przez noc całą. Śpiewy przy tym obrzędzie słyszéć się dające niewiele go objaśniają: znać dla bardzo wielkiéj jego starożytności. Te pieśni wspominają jednak o krasnéj pannie, o dębie otoczonym zieloną dąbrową; błaga się w nich, aby zielonego gaju nie wyrąbywano, a krasna panna przyrzeka się temu, kto powyrywa gęstą soczewicę około kusta, tojest krzewu, rosnącą. W innych kustowych piosenkach, co zrazu zdają się miéć z obrzędem jeszcze mniéj blizki związek, zawiera się wynurzenie miłości, życzenie małżeńskiego związku takiego a nie innego, wspomnienie o rozlewach i wielkiéj burzy na nich, co uniosła i czółno i wiosło, oraz tęskność do pomyślnéj doli. Pieśni tak kustowe jak i wszystkie od Zielonych-Świątek aż do wigilii św. Jana, czyli do *kupała* tu śpiewane, lud tutejszy nazywa pieśniami Trójcy, tojest we własném jego wyrażeniu: Trojca; kust zaś sam czyli dziewica w zieloność ubrana, zdaje się obie płci obejmować, bo wyraz kust w tutejszym języku ludowym jest rodzaju męzkiego.

Pan K. Wł. Wojcicki, w Bibliotece Warszawskiéj na rok 1851, w zeszycie listopadowym, rozbierając pieśni ludu pińskiego w tymże 1851 roku w Kownie wydane, widzi w obrzędzie kusta obrząd zupełnie podobny do tego, jaki Wuk Stefanowicz Karadzicz, zbieracz pieśni serbskich, w swojéj Dannicy opisał, i za przechowujący się od wieków u Serbów podał. Tę tylko jedyną różnicę między kustem pińskim a podobnym obrzędem serbskim pan Wojcicki znajduje, iż dziewczyna w maj ustrojona u Serbów zowie się Dodola.

4. Kupało.

Przekwitły wonne fijołki po dąbrowach wodą oblanych, ustały po cienistych puszczach przedjutrzenkowe głuszców pieśni, gdzieniegdzie tylko na wyższych ugorach podleśnych tokują jeszcze cietrzewie; wszędzie zieloność gęsta, majem pokryła ziemię i drzewa; okruszone kwiaty czeremchy, jarzębin i kaliny, osypały ich podnóża jakby śniegiem białym. Konwalie drobne, bujniejsze i zielonkawe podłużne, co z wysokich łodyg tchną wonią miłą dokoła, powiędły już i ustąpiły miejsca rozkosznie pachnącym orchisom, po suchych łąkach podgajowych rosnącym. Słowik już rzadziéj i krócéj pieśń swą rozwodzi po zaroślach,

nie tak często odzywa się tęskna kukułka, i skowronek nie tak ochoczo wzbija się pod niebo ze swą piosenką wieśniaczą—minęła już wiosna. Rozlewy znacznie opadły i oschły: Pińszczanin żeglując po swéj okolicy zakrzywioną łódką, nie rozgania już wodnych szczurów po zaroślach; po czeretach bąk długonogi szyją opasawszy trzcinę swobodnie bucha w wodzie; łódka już nie wszędzie naprost się dostanie, dalszą już krąży drogą i po rzekach pełnych, czy jeziorach, przebiega przez duże zielone liście lilij białych, co z dna samego na niezmierzonéj łodydze wypływają nad wodę, aby świeżém powietrzem odetchnąć. (1) Najechane tylko stada rozlicznych kaczek zerwą się z krzykiem w powietrze, i wrzaskliwe krzyczki białawe, z dziobem zakrzywionym, mniejsze i większe, krążą z przeraźliwym piskiem nad głowami płynących. Słońce czerwcowe wznosi się już najwyżéj: zajrzało wszędzie, nawet w najciemniejsze lasy. Miłato pora, nieraz milsza od maja, często wilgotnego i chłodnego. Przyrodzenie pełniejszą jeszcze dłonią rozsypuje w niéj swe dary, z oschłych nawet moczarów czyli bagnisk pokazały się kwiaty, wybiegł wysoko złotawy kosaciec (irys) i odgiął ku słońcu swe dziwnie rysowane łono. Po łanach żyto wysoko już faluje, a z jego zielonych krassujących kłosów kwiaty wypłynęły i zawisły bisiorami wonnemi. W tych zbożowych pachnących gajach przepiórka pećpele, i z czubkiem ognistym dudek duda, a po łąkach bujnych derkacz przeciągłém derkaniem mimowolnie oznajmia wieśniakowi, iż czas, aby ostrzył kosę na kośbę. Po ogródkach zapłoniły się piwonie, zakwitły róże, zaczerwieniały jabłka i wiśnie po sadach, poziomki po wzgórkach, po lasach orzyny, a po zaroślach nadwodnych porzeczki.

Starożytne niewynaturzone jeszcze ludy czuły mocno dobrodziejstwo boże rozlewane w przyrodzeniu; szczera wdzięczność wiodła je jużto na wyżyny, jużto w gaje zielone, na łąki kwieciste, lub ponad rzeki. Tam wielbili Stwórcę pieśniami, tańcem, rozpalaniem ogniów i innemi obrzędami. W wieczór przed teraźniejszym św. Janem, tojest 23 czerwca, Litwini całomiesięczny obchód święta Lado kończyli uroczystością *Rossa* zwaną. Polacy wyprawiali Sobótkę, na podziękowanie za takież dary Bogu; a u Pińszczan i podziśdzień daje się jeszcze

(1) Zdaje się, iż nazwisko systematyczne téj rośliny jest: Grzybień biały, (Nymphaea alba).

widzieć wieczorem dnia tego, obrząd Kupało zwany. Wznoszą oni ponad wodą stos z chrustu i innych szczątków palnych, najczęściéj z łyczanego obuwia zużytego, czyli tak zwanych postołów, na stosie stawiają łucznik okopcony, tojest komin drewniany, który im przez rok cały dym z chaty ponad dach wypuszczał, zapalają stos tak przygotowany, ogień bucha i przez dymnik rozrzuca wysoko iskry. Młodzież płci obojéj klaszcze w dłonie, skacze przez ogień stosu, wołając: Kupało! Kupało! śpiewa pieśni, i na błoniu tańcuje tak jak przy obrzędzie kusta, jużto kręcąc się z sobą parami, jużto osobno w górę podskakując aż do unużenia się zupełnego. Po oborach zatykają pokrzywę, zawieszają gromnice i zioła święcone dla odpędzenia czarownicy czyli wiedźmy, odbierającéj, wedle ich mniemania, krowom nabiał, i wrota przy chatkach przystrajają w wieńce. Mniemanie o téj czarownicy wspólne jest wielu stronom. Rzeczywiście, pod koniec czerwca mniéj dają mleka trzody. W tym czasie zaorane już są ugory, pastwiska więc mniéj wygodne i nieobfite pozostają, a i węże po wielu miejscach z wymion krów mleko wysyssają. Naocznie widziano w Pińszczyznie, jak wśród pasącéj się trzody wąż obwinąwszy się około nogi krówki, mleko z niéj wyssysał O podobnych zdarzeniach opowiadają na Polesiu wołyńskiém, w miasteczku Lubomlu, i w Litwie, w Jewii, o 5 mil od Wilna na drodze do Kowna położoném. W Lubomlu krówka po zabiciu węża wysyssającego ją miała z tęsknoty zmarnieć, a w Jewii, kiedy w inne miejsce przeprowadzono krowę z obory, w któréj podejrzywano węża, krowa przez czas długi tęskniła i ryczała jakby po utracie cielęcia; w oborze zaś gdzie przedtém nocowała, wyśledzono w podściole mnóstwo jaj wężowych i samegoż ogromnego węża. Czy z tych, czy z innych a dosyć prostych przyczyn zmniejsza się udój w tym czasie, lud wszystkie przyczyny ożywiając w obrazowe postaci, utworzył sobie wiedźmę, nabiałowi nieprzyjazną i broni się od niéj, łaskę bożą jednając opisanym tu obrzędem. Jak w innych, tak i w stronach pińskich lud mniema, iż o północy przed dniem św. Jana paproć rozkwita i drobny swój kwiatek wnet traci, a ktoby go posiadł, wiedziałby o wszystkich skarbach ukrytych, o przeszłości, przyszłości i wszystkich tajemnicach ludzkich. Ci, których tak kuszące własności mniemanego kwiatka nęcą, udają się téj nocy do lasów i między paprocią czekają na chwilę szczęśliwą, nie spadnieli na nich kwiatek tak cudowny, jak spadł na obuwie

łyczane owego w bajce wieśniaka; a jużby oni nie zmienili swych łapci na bóty, aby nie wytrząsnąć i nie stracić wskaziciela bogactw i tajemnic, jak go stracił, rozzuwając się ów bajeczny szczęśliwy i wkrótce znowu nieborak. Noc więc przed śto-jańska, wedle mniemania ludu naszego, może obdarzyć niewyczerpaném źródłem bogactw; mniemanie to jest wspólne Słowianom i Litwinom; Litwini noc tę poświęcali ku czci bogini Lado.

Obrząd Święto-Jański świadczy téż, jak starożytni czuli się do głębokiéj wdzięczności Bogu za wyprowadzone z łona źródła i rzeki, w których nietylko odmładzające, ale nawet i odżywiające własności widzieli. I podziśdzień w Warszawie na rzekę Wisłę, a w Rydze na Dźwinę zielne wianki rzucają, co przypomina święta kryniczne dawnych Greków i Rzymian na cześć Najad, z zawieszaniem nad źródłami wieńców z ziół uwitych i rzucaniem takichże na wody obchodzone; z tą tylko różnicą, że znacznie późniéj, bo aż 30 października. Może nie obojętném będzie jeszcze tu namienić, że w Rydze w dzień świętego Jana płyną na wyspę Achi, na Dźwinie leżącą, i tam w kościołku podczas nabożeństwa poświęcają jabłka; w Warszawie był zwyczaj, że w wigilią Bożego Narodzenia dziewice idąc na mszą pasterską opatrują się w jabłka, kosztują je spotkawszy się z mężczyznami i pytają o imię; imię przez tak spotkanego mężczyznę wymówione, ma być imieniem narzeczonego pytającéj dziewicy. Godne uwagi, że i u Greczynek jabłka służyły za wróżbę dziewiczą.

5. Dożynki.

W lipcu, około N. P. Maryi Szkaplerznéj, złocą się już łany zbożowe. Skowronek pieśnią rolniczą już wykołysał żyto: ono dojrzało, on umilkł. Bujne i plenne kłosy na lepiéj uprawionych i zasilonych zagonach, a drobne i lekkie na rolach nędzniejszych kłaniają się przechodniom i proszą o zdjęcie ich na użytek zpod skwarnego słońca. Wieśniaczki biorą za sierpy i opuszczają chaty. Ta z sierpem wzięła w kobiałkę niemowlę o pierś do niéj kwilące, ta zapiéra wewnątrz zasuwką drewnianą drzwi swego mieszkania, zostawia w niém dzieci drobne, i sama przez okienko świetlicy wyłazi; a inna, mniéj obaczna chatkę swą z niemowlętami otworem zostawia, nie

oglądając się na to, iż wilk w rozorach poza domem może już na jéj dziatki czatuje, niecierpliwy chwili ich osamotnienia. Wiadome są powszechnie smutne przypadki z dziećmi podczas żniwa zostawianemi bez żadnego dozoru po wioskach. Może Bóg da, że właściciele dóbr pomyślą z czasem u nas o domach ochrony po wsiach, że skorzystają z tak ważnych w tym względzie uwag pana Cieszkowskiego; a w każdéj wiosce, z przyłożeniem się samychże nawet włościan, stanie dom ochrony dla wiejskich dzieci, gdzie i dozór pod nieobecność ich matek, i wykształcenie stosowne do swego stanu znajdą. Żniwiarki zażąwszy zboże z Bogiem, żną pracowicie i ochoczo; słońce dopieka, nachylanie się ciągłe do stóp zboża dokucza, a chrzęst sierpów nie ustaje; podcięte przygarści chwiejąc się kłosami, krążą koło głów szybko, i pieśni ponad łany rozlegają się daleko. Kiedy zaś dożyna się już żyto, zostawiają z niego krzew najpiękniejszy na kilka przygarści, wybrana z dziewic żniwiarka obwija go pod kłos pasem czerwonym, zażyna na ukos kłosy przewiązane, zżyna téż i pozostałą od nich słomę. Kłosy oddaje towarzyszkom na wieniec dla gospodarzy, a słomę rozdziela na dwie połowy, układa z nich krzyż na ścierniu, a na krzyżu stawia bochenek chleba z solą. Po uwiciu z kłosów wieńca, przy śpiewach, taż wybrana żniwiarka zawiesza go na swych skroniach, po obu jéj stronach stawają dwie inne także dziewice, w drugim rzędzie pomocnicze śpiewaczki, daléj cała gromada żniwiarek z sierpami na ramionach, i tak ciągną do dworu śpiewając wesoło. Tam gospodarzom, ze zwykłém powinszowaniem, składa wieniec zbożowy przewodnicząca żniwiarkom dziewica; gospodarze przyjmują uprzejmie swych pracowitych, plon im dających gości, i wyprawiają dla nich ucztę z tańcami.

6. Dziady czyli obchody zaduszne.

Wszystkie narody, najdawniejsze nawet, wierzyły w nieśmiertelność duszy, chociaż nie były jeszcze oświecone religią chrześciańską. Żyjąc na łonie przyrodzenia, widziały jasno jego ciągłe zmartwychwstawanie. Kropla rosy uczyła ich o trwałém istnieniu wody pod coraz nową postacią: to pary, to kropel spadających, płynnych czy skrzepłych, i z pełnych łożysk znowu ulatniających się w górne przestworza na życie nowe.

Wrodzone zaś uczucie prawd odwiecznych w duszy i w sercu człowieka złożone, uczyło go jeszcze lepiéj, iż dusza jego jest nieśmiertelna, tak jak jest nieśmiertelny Stwórca, który ją weń wlał tchnieniem swojém, na podobieństwo swoje. Mocno o tém przekonani, starożytni szli odważnie na boje za kraj i wiarę, chętnie dawali swe życie dla dobra współbraci; wyprawiali uroczyste pogrzeby dla zmarłych, i pewne dni roku poświęcali na obchody ku ich pamięci.

Religia chrześciańska objawiwszy prawdy przedwieczne z najczystszego źródła, uświęciła żałobne obchody, i dzień po Wszystkich Świętych na dzień zaduszny ku pamięci wszystkich zmarłych wyznaczyła; ale w wielu miejscach trwają jeszcze przedchrześciańskie żałobne obrzędy; w Pińszczyznie dochowały się one i podziśdzień, choć w części, w listopadzie pod nazwiskiem *Dziadów* tam obchodzone. Listopad już i sam nasuwa myśli poważne o tém, co objawiało życie a żyć przed naszém okiem przestało: po polach już same tylko ostre podnoszą się ściernie zbóż ściętych, ucichły pieśni na nich i po lasach; na drzewie ani pod niém nie nuci już pastuszek, pożółkłe i poczerwieniałe liście osypują się z wierzchołków niegdyś zielonych, i ścielą smutne wezgłowie umiérającemu przyrodzeniu na sen zimowy. Cicho i głucho: pienia ptasząt umilkły, tylko pstrokaty dzięcioł odezwie się, kując w łono wyschłe dębu, tylko czasem dadzą się słyszéć odlatujących żórawi smutne, jak płaczek pogrzebowych, głosy. Posępnie i ponuro: nie widać słońca, mgła gęsta od niebios do ziemi zawisła. Tylko długim wieczorem i w nocy rozjaśnia się niebo płomiennemi łunami, jużto od pieców smolanych, jużto od ogniów rozlewających się daleko po trawach błotnych, zapalonych dla ulepszenia bagnistéj sianożęci. Rzekłbyś, że to ze zgliszcz łuny od stosu zapalonego przy pogrzebie przyrodzenia. Ale na łąkach zebrane siano licznemi wznosi się stogami, na polach stoją jak domki w długich rzędach stérty zbożowe, i w zagrody wieśniaków jesień plenna natrzęsła z pełnego rogu i ziarn i owoców ziemi. W rolniczych więc chatach myśl dobra, spokojna; mają czas wspomnieć o przodkach swoich, którym życie, czerstwe zdrowie i swój dobytek, jako spuściznę po nich winni, którzy i Boga chwalić i żyć na świecie ich nauczyli; mają czas teraz wywiązać się z długu wdzięczności duszom swych przodków, przez obchód ku ich pamięci, i wyprawiają Dziady.

W Pińszczyznie, w dniu przed Dziadami, czyli wieczerzą dla zmarłych, gospodyni oczyszcza starannie cały swój dom i sprzęty, rozmieszcza po kątach wszystkie narzędzia gospodarskie, aby nie zawadzały w izbie mającym zejść się tam duchom na biesiadę. Nazajutrz całą prawie rodzinną gromadką idą na mogiły, padają na nie, płaczą głośno i modlą się za swych zmarłych. Wróciwszy do domu, krzątają się około przygotowań do wieczerzy zadusznéj, zachowując się aż do niéj przez dzień cały naczczo. Wieczorem nakrywają stół białym obrusem, na jego środku zapalają wódkę dla przypomnienia płomieni piekielnych i rozweselenia umysłu wytrawionym przez ogień napojem; rzucają sól na węgle rozżarzone, aby usłyszéć mowę tajemniczego jéj trzasku. Oświeciwszy stół świécą woskową, zastawiają go bobem lub grochem z miodową sytą, polewkami z ryb i mięs na kwaśno i przaśno, słoniną smażoną, oładkami, jajecznicą z kiełbasami, kaszą jaglaną lub gryczaną, mlékiem makowém i mlékiem kwaśném. Wśród potraw umieszczają na stole bułkę chleba, i chlebem krajanym lub małemi bondeczkami stół dokoła okładają, tak, aby trzy bułeczki były w szeregu obok siebie na piérwszém miejscu stołu. Tuż przy tym piérwszém miejscu, czyli na pokuciu zawieszają szabelkę z drzewa wyrobioną, i przy niéj ożóg w niedostatku dzidy, jeżeli kto z przodków gospodarza bawił się żołnierką. Tak przygotowawszy obfitą dla naddziadów wieczerzę, aby ich duchy we własnym niegdyś ich domu hojnie przyjąć i wszystkiego im dostarczyć, otwierają okna i drzwi, starsi z rodziny obchodzą dom naokoło, modlą się, spoglądają na mogiły i zapraszają zmarłych. Powróciwszy do izby, zasiadają w cichości zdala od stołu, i przypatrują się mniemanéj biesiadzie duchów. Kiedy w rozumieniu gospodyni nasycą się już duchy, ona znak daje, gospodarz siada do stołu, i całą doń rodzinę z obecnemi zaprasza. Sam naprzód zaczerpnie, począwszy od syty z bobem czy grochem, czyli tak zwanéj *kucii*, i trzy jéj najpiérwsze łyżki do oddzielnego naczynia dla zmarłych odleje; za nim toż robi gospodyni, poczém wszyscy już jedzą. Tymże porządkiem gospodarz z gospodynią oddzielają duchów część i z każdéj innéj potrawy. Toż samo robią pijąc wódkę: gospodarstwo nim samo zbliży do ust czarę, wprzód z niéj część na obrus wylewa dla zmarłych, a i dzieciom, choćby nawet przed tą wieczerzą, w dniu tym podając wodę, zlewają piérwéj trochę z niéj

na stół. Z kaszy zaś, oprócz oddzielonéj już dla zmarłych części, kładą dla nich jeszcze kilka jéj kawałków za oknem od podwórza. Po skończonéj uczcie, cząstki jéj dla duchów wydzielone, jedni oddają do zjedzenia dzieciom, aby im nie szkodziły burze, błyskawice i pioruny; drudzy wynoszą swéj trzodzie, a inni jużto na żér ptakom stawiają na dachu swojego domu, jużto do rzek, jezior, lub sadzawek wylewają dla posilenia tych duchów, co przez wodę rozstały się z ciałem. Pozostałe pokarmy od téj biesiady niektórzy niosą téż i na mogiły, i tam niemi wespół z zgromadzoném ubóstwem zaduszną wieczerzę kończą. Przed kilkudziesięcią latami, przy obrzędzie Dziadów zawiązywano oczy najśmielszéj wybranéj na to dziewczynie czy kobiécie, i sadzano ją na słupie wkopanym do posadzki przy piecu. Kapłanka ta, naczczo, przypatrywała się przybywającym w jéj mniemaniu duchom, miała rozpoznawać znajomych swych i krewnych, widziała w swém rojeniu, jak dusze powinowatych i przyjaciół zbliżały się przyjaźnie do siedzących koło stołu, trwożyła się na widok postaci duchów jéj domowi nieznanych i obcych, a obciążonych przekleństwem za krzywdy i przywłaszczenia. Postaciami tych tułających się, najezdniczych duchów, przerażała się czasem aż do upadnienia bez zmysłów na ziemię, i przerażała tém innych.

7. Zwyczaje pogrzebowe.

Każdéj rodzinie i społeczności bolesna jest utracić zpośród siebie członka, który na ich miłość zasłużył, a cóż dopiéro rodzinom rolniczym, u których i dziewięcioletnie dziécię jest już użyteczne w zatrudnieniach gospodarczych. Płacze więc lud rzewnie i głośno po śmierci swych krewnych. Żal głośny w chatce, na podwórku i na ulicy, czyto przez osieroconą wdowę, czy przez osamotnioną matkę rozwodzony ze śpiewem boleści, ze wspomnieniami sercu drogiemi o zmarłéj osobie, cześć jéj oddaje wymowniéj aniżeli wszelkie najwykwintniejsze pogrzebowe mowy pochwalne. Płacz ten głośny i śpiewny jest tu, jak i w innych stronach, u ludu konieczny przy zmarłych. Jeżeliby pozostałéj żonie żal głos w piersiach zatamował, to jéj przypominają nawet, aby rozwodziła żale głośne: „Nuże hołosi!" Po umyciu i ubraniu ciała zmarłego, kładą je na ławie

ciągnącéj się wzdłuż ściany pod oknem na ulicę wychodzącém. Nawiedzających przyjmują gościnnie i częstują. Złożywszy ciało nieboszczyka do trumny, zbożem posypują ławę z któréj on został zdjęty, i na talerzu bułkę chleba kładą na ławie w tém miejscu, gdzie nieboszczyka plecy leżały. Na kilka chwil przed wyniesieniem z domu zwłok zmarłego, mężczyzna i kobiéta zasiadają po obu stronach bułki chleba na ławie ziarnem posypanéj. Zboże i chléb wśród téj pary ludzi, wyobrażającéj człowieczeństwo, prawdziwém jest godłem rolnika, pracą swą żywiącego ludzkość, i najstosowniejszym dla niego pomnikiem. Wszakże ten obrząd robi się może i dlatego, aby przypomnieć kładziony przed laty do trumien dla zmarłych posiłek na wieczność, lub palenie żywych na stosie ze zmarłym (co i niezbyt jeszcze dawno w Pińszczyznie w odkopanéj trumnie znaleziono przy zwłokach już przetlałych butelkę z wódką). Ale dziś lud już nie umié zdać sprawy z tego. Przy wynoszeniu z domu ciał zmarłych stanu wyższego, kobiéty wiejskie czasem kładą bułkę chleba na tapczanie, na którym nieboszczyk leżał, obsiadają tapczan wokoło bułki, podskakują na nim kiwając nogami i wykrzykują: „oby mu tak dobrze było na tamtym świecie, jak on na tym był dobry dla nas.” Kiedy już wyprowadzają ciało zmarłego kmiotka z chaty, para siedząca dotąd po obu stronach bułki na ławie zbożem posypanéj powstaje i udaje się za trumną; bułkę przyjmują na użytek domowy, a ziarno z ławy kurom oddają. Ciągnie przez ulicę pochód pogrzebowy za trumną czterodeskową czyto na marach, czy na wózku o zaprzęgu wołowym złożoną, a kobiéty opłakując zmarłego, żale swe donośnie rozwodzą. Wtenczas zdarza się niekiedy widzieć niewiastę z dzieckiem na ręku zbliżającą się do trumny i przykładającą swe niemowlę do jéj szczeliny między wiekiem a deską boczną. Zapytana kobiéta taka: na co to robi? odpowiada, iż to uchowa jéj dziécię od febry. Odpowiedź ta nie jest zaspokajająca. Pińszczanie wspólnie z Litwinami mają przesąd, iż po pewnych przygotowaniach, spojrzawszy przez dziurę deski na któréj nieboszczyk leżał, nabywa się daru widzenia duchów; dar ten potrzebny był kapłankom przy obrzędzie Dziadów; zbliżanie więc to dzieci do szczeliny trumny może być w celu usposobienia ich i przygotowania na takie kapłanki, zwłaszcza że może gdzie i teraz jeszcze są one używane przy obrzędzie Dziadów. Po oddaniu napowrót ziemi

i zagrzebaniu ciała zmarłego, powracający z pogrzebu do domów kmiotkowie biorą w porze zimowéj przygarść śniegu i ręce nim ocierają, w innych porach robią toż samo piaskiém. Dlaczego zaś to czynią?—sami już tego nie wiedzą; zapytani o tém mówią tylko, że w niedostatku śniegu, biorą piasek w dłonie i choć piaskiem ręce ocierają. Pozostali po zmarłym chodzą na grób jego przez dni kilka rano i wieczorem, padają twarzą na mogiłę, głośno płaczą, i wywołują z niéj swego krewnego, czyli, jak mówią, budzą go. W piérwszym zaraz roku starają się mu położyć nad jego dołem nagrobek: kłodę graniasto ociosaną, zwaną przykładem (prykład), lub utkwić przy nim krzyżyk drewniany. Jeżeli w piérwszym roku tego nie dokonają, to godzi się im zrobić tylko już w trzecim albo dopiéro aż w siódmym roku. Kładzenie nagrobków i stawianie krzyżów na mogiłach odbywa się zazwyczaj przed zapustami wielkopostnemi i Zielonemi Świątkami; po niém tak jako i po pogrzebie wyprawia się w domu stypa, zwana téż Dziadami, jak i listopadowa wieczerza dla zmarłych. I na téj stypie wspominają swych przodków zasługi, zalety i wady, jedzą *kucią*, piją sytę miodową, i kładą za oknem kilka kawałków kaszy stypowéj dla dusz zmarłych; ale nie powtarzają wszystkich obrzędów dających się postrzegać na właściwych Dziadach w jesieni obchodzonych. Mając zaś zawsze swych przodków w żywéj pamięci, lud w święta Wielkanocne składa na mogiłach krewnych swych i przyjaciół jaja malowane. W pewnym nawet dworze, w którym do niańczenia dzieci użyta była kobiéta z wioski, dla utrzymania związku z ludem i wiadomości o jego potrzebach niezawsze dociskającéj się do pałacowych podwojów, postrzeżono w święta Wielkanocne krasne jaje zawieszone na portrecie dziecka już zmarłego, tuż u rysów jego twarzyczki. Niańka-to owa, z całą serdecznością i mocném swém przekonaniem, zawiesiła je dla ducha niegdyś jéj piastuna ukochanego; wierna wyobrażeniom, od swych naddziadów przyjętym, o duszach zmarłych.

8. Wróżby w wigilią św. Andrzeja.

Jak św. Katarzyna jest patronką młodzianów, tak św. Andrzéj jest patronem dziewic, o związku małżeńskim zamyślających. Zwyczaj powszechny nadał mężczyznom przywilej swo-

bodnego wybierania dozgonnéj towarzyszki; nie potrzebuje zatém młodzian uciekać się do wróżb, dla uchylenia zasłony przyszłości, aby w niéj ujrzéć, jak prędko i z kim się ożeni? Byleby tylko był poczciwy i pracowity, byleby tylko twarz jego, choćby i nie powabną, zdrowie czerstwe i zasługa krasiły, byleby nie kartownik, nie hulaka, i miał z czego dostatecznie żonę utrzymać—może być pewny, iż osiągnie rękę każdéj dziewicy z odpowiedniego stanu, gruntownéj, nieprzeczulonéj, nie marzącéj po krainach urojeń, a mającéj w duszy wykształconéj, w sercu i zdrowiu niewyczerpane skarby szczęścia, które wespół z ręką wniesie mu do domu. Niewiasty nie mają téj swobody: choćby ich rozum i serce wybrały już kogo sobie na przewodnika, podporę i towarzysza całego życia, skromność dziewicza i towarzyskie zwyczaje nie pozwalają niewieście objawić się z tajemnym jéj wyborem; przyzwoitość nakazuje jéj czekać aż wybraniec sam się oświadczy, a czy oświadczy się on rzeczywiście? —sama nawet o tém nie wié. Ztąd uciekanie się dziewic do wróżb w wieczór przed św. Andrzejem, 29 listopada, aby zajrzéć w swą przyszłość. Tuczność ani nawet sytość pełna, przy ziemi myśl za skrzydła przytrzymując, nie da jéj wzleciéć, a cóż dopiéro wznieść się ponad zasłonę przyszłości; post więc szczery przez cały dzień i aż do jutra jest tu najpiérwszym przygotowaniem i koniecznym warunkiem, aby wróżby nie zawiodły dziewic. Pieką one w wigilią św. Andrzeja pszenne bułeczki, naznaczone układają nizko, i wieczorem wpuszczają tam psa wygłodzonego; czyją bułeczką pies wierny głód swój naprzód zaspokoi, ta z dziewic ciekawych wyjdzie naprzód za mąż. Radzą się téż o tém koguta i gąsiora. Stawają dokoła, jedna z nich podkłada głowę koguta pod jego skrzydła, kręci nim kilka razy w powietrzu, i stawia na ziemi; kur odurzony do któréj z dziewic naprzód podejdzie, ta piérwsza dziewosłębów miéć będzie, i to jeszcze od tego, kogo ma w swéj myśli. Gąsior obwieszcza dziewicom toż samo, nie będąc jak kur na odurzenie się narażany. Gąska była niegdyś Junonie kojarzącéj małżeństwa poświęcona. Gąsiorowi zatém dosyć już tylko pończochę dziewiczą na głowę i szyję naciągnąć, a zbliży się poważnie wśród koła wróżących do téj, którą najpiérwszą w zamęzcie ma obwieścić, potrząsając zwieszającą się mu z głowy pończochą. Zdejmują z nóg po trzewiku, kładą je na ziemi jeden za drugim, każdy ostatni stawią po kolei na pierwszém miejscu, i tym spo-

sobem pomagają im od ściany drzwiom przeciwległéj wychodzić za próg; któréj trzewik w tym pochodzie będzie piérwszy na progu, ta piérwsza wyjdzie za mąż w przeciągu roku. Również ta piérwszą w tém będzie, któréj trzewik naprzód wypadnie na ziemię z niecółki przy jéj lekkiém poruszaniu w górę, czyli tak zwaném opałaniu trzewików. Wychodzą na dziedziniec, biorą się rękoma za kołki płotu, od rozmaitych jego części poczynając, i mówią: „młodzieniec, wdowiec, nic;" jaki wyraz na ostatni kołek przypadnie, podług tego wróżąca albo ma pójść za młodzieńca, albo za wdowca, albo za żadnego. Pod oknami lub drzwiami domów przysłuchują się prowadzonym tam rozmowom; wyrazy: pójdź, idź sobie! są dobrą dla dziewczyny wróżbą; przeciwnie zaś, słowa: stój, siedź! wyrazami są złowieszczemi. O témże samém dowiadują się ciekawe i od woskowéj świeczki. Małą taką świeczkę naprędce zrobioną zapalają, zapaloną przewracają na dół płomieniem, przylepiają koniec jéj do komina i podstawiają w nim pod świeczkę gorejącą naczynie z wodą. Wosk z topniejącéj świéczki spływa kroplami do zimnéj wody, syczy, trzaska, i tajemniczo gada. Przysłuchuje się wróżąca, odgaduje tę mowę. Wyda-li jéj z naczynia głos w wodzie: pójdź, pójdź! to i ma pójść za mąż dziewica. Usłyszyli wyrazy: siedź, siedź! to bierze je za przepowiednią, iż za mąż nie pójdzie. Ma téż zostać się sama dziewica, jeżeli wziąwszy naręcze drewek nie naliczy ich do pary. Chcąc dowiedzieć się, z jakiego stanu przyszły mąż będzie, podkładają pod głębokie naczynie: pieniądze, rzemyk, trzaskę, kość, kubek z wodą, kawałek papieru zapisanego, garstkę ziemi i ułamek czerepka. Sięgnąwszy ręką pod to naczynie, ta co wyciągnie pieniądze ma pójść za bogacza; rzemyk zapowié męża rymarza, lub szewca; trzaska—stolarza; kość—kucharza: kubek z wodą—rybaka; papiér—biuralistę; garstka ziemi—rychłą śmierć oznacza, a ułomek czerepka, godło nędzy, daje za męża—lokaja. Smutna myśl, iż stanu tego taka jest przyszłość w powszechném prawie mniemaniu. Życzyćby należało, aby lokaje postarali się je odmienić. Mogliby zaś to osiągnąć, gdyby ze zmianą ubogiéj odzieży na cienką, kształcili swą duszę i serce, a na przedpokojach w czasie wolnym zajmowali się pożyteczną pracą, któraby ich byt przyszły od niedoli uchowała. Dziewice, które sercem wybrały już sobie przyszłych, zapalają dwie wiązeczki ze lnu uwite, i podrzucają je w górę współcześnie: zbiegnąli się nawzajem płomieniami nie-

bodnego wybierania dozgonnéj towarzyszki; nie potrzebuje zatém młodzian uciekać się do wróżb, dla uchylenia zasłony przyszłości, aby w niéj ujrzéć, jak prędko i z kim się ożeni? Byleby tylko był poczciwy i pracowity, byleby tylko twarz jego, choćby i nie powabną, zdrowie czerstwe i zasługa krasiły, byleby nie kartownik, nie hulaka, i miał z czego dostatecznie żonę utrzymać—może być pewny, iż osiągnie rękę każdéj dziewicy z odpowiedniego stanu, gruntownéj, nieprzeczulonéj, nie marzącéj po krainach urojeń, a mającéj w duszy wykształconéj, w sercu i zdrowiu niewyczerpane skarby szczęścia, które wespół z ręką wniesie mu do domu. Niewiasty nie mają téj swobody: choćby ich rozum i serce wybrały już kogo sobie na przewodnika, podporę i towarzysza całego życia, skromność dziewicza i towarzyskie zwyczaje nie pozwalają niewieście objawić się z tajemnym jéj wyborem; przyzwoitość nakazuje jéj czekać aż wybraniec sam się oświadczy, a czy oświadczy się on rzeczywiście? —sama nawet o tém nie wié. Ztąd uciekanie się dziewic do wróżb w wieczór przed św. Andrzejem, 29 listopada, aby zajrzéć w swą przyszłość. Tuczność ani nawet sytość pełna, przy ziemi myśl za skrzydła przytrzymując, nie da jéj wzleciéć, a cóż dopiéro wznieść się ponad zasłonę przyszłości; post więc szczery przez cały dzień i aż do jutra jest tu najpiérwszym przygotowaniem i koniecznym warunkiem, aby wróżby nie zawiodły dziewic. Pieką one w wigilią św. Andrzeja pszenne bułeczki, naznaczone układają nizko, i wieczorem wpuszczają tam psa wygłodzonego; czyją bułeczką pies wierny głód swój naprzód zaspokoi, ta z dziewic ciekawych wyjdzie naprzód za mąż. Radzą się téż o tém koguta i gąsiora. Stawają dokoła, jedna z nich podkłada głowę koguta pod jego skrzydła, kręci nim kilka razy w powietrzu, i stawia na ziemi; kur odurzony do któréj z dziewic naprzód podejdzie, ta piérwsza dziewosłębów miéć będzie, i to jeszcze od tego, kogo ma w swéj myśli. Gąsior obwieszcza dziewicom toż samo, nie będąc jak kur na odurzenie się narażany. Gąska była niegdyś Junonie kojarzącéj małżeństwa poświęcona. Gąsiorowi zatém dosyć już tylko pończochę dziewiczą na głowę i szyję naciągnąć, a zbliży się poważnie wśród koła wróżących do téj, którą najpiérwszą w zamęzcie ma obwieścić, potrząsając zwieszającą się mu z głowy pończochą. Zdejmują z nóg po trzewiku, kładą je na ziemi jeden za drugim, każdy ostatni stawią po kolei na pierwszém miejscu, i tym spo-

sobem pomagają im od ściany drzwiom przeciwległéj wychodzić za próg; któréj trzewik w tym pochodzie będzie piérwszy na progu, ta piérwsza wyjdzie za mąż w przeciągu roku. Również ta piérwszą w tém będzie, któréj trzewik naprzód wypadnie na ziemię z niecółki przy jéj lekkiém poruszaniu w górę, czyli tak zwaném opałaniu trzewików. Wychodzą na dziedziniec, biorą się rękoma za kołki płotu, od rozmaitych jego części poczynając, i mówią: „młodzieniec, wdowiec, nic;" jaki wyraz na ostatni kołek przypadnie, podług tego wróżąca albo ma pójść za młodzieńca, albo za wdowca, albo za żadnego. Pod oknami lub drzwiami domów przysłuchują się prowadzonym tam rozmowom; wyrazy: pójdź, idź sobie! są dobrą dla dziewczyny wróżbą; przeciwnie zaś, słowa: stój, siedź! wyrazami są złowieszczemi. O témże samém dowiadują się ciekawe i od woskowéj świeczki. Małą taką świeczkę naprędce zrobioną zapalają, zapaloną przewracają na dół płomieniem, przylepiają koniec jéj do komina i podstawiają w nim pod świeczkę gorejącą naczynie z wodą. Wosk z topniejącéj świéczki spływa kroplami do zimnéj wody, syczy, trzaska, i tajemniczo gada. Przysłuchuje się wróżąca, odgaduje tę mowę. Wyda-li jéj z naczynia głos w wodzie: pójdź, pójdź! to i ma pójść za mąż dziewica. Usłyszyli wyrazy: siedź, siedź! to bierze je za przepowiednią, iż za mąż nie pójdzie. Ma téż zostać się sama dziewica, jeżeli wziąwszy naręcze drewek nie naliczy ich do pary. Chcąc dowiedzieć się, z jakiego stanu przyszły mąż będzie, podkładają pod głębokie naczynie: pieniądze, rzemyk, trzaskę, kość, kubek z wodą, kawałek papieru zapisanego, garstkę ziemi i ułamek czerepka. Sięgnąwszy ręką pod to naczynie, ta co wyciągnie pieniądze ma pójść za bogacza; rzemyk zapowié męża rymarza, lub szewca; trzaska—stolarza; kość—kucharza; kubek z wodą—rybaka; papiér—biuralistę; garstka ziemi—rychłą śmierć oznacza, a ułomek czerepka, godło nędzy, daje za męża—lokaja. Smutna myśl, iż stanu tego taka jest przyszłość w powszechném prawie mniemaniu. Życzyćby należało, aby lokaje postarali się je odmienić. Mogliby zaś to osiągnąć, gdyby ze zmianą ubogiéj odzieży na cienką, kształcili swą duszę i serce, a na przedpokojach w czasie wolnym zajmowali się pożyteczną pracą, któraby ich byt przyszły od niedoli uchowała. Dziewice, które sercem wybrały już sobie przyszłych, zapalają dwie wiązeczki ze lnu uwite, i podrzucają je w górę współcześnie: zbiegnąli się nawzajem płomieniami nie-

sione, lub jednę od drugiéj wstecz oddali powiew przeciwny? W piérwszym razie połączy się dziewica ze swym obmyślonym, w drugim, nie dla niéj on przeznaczony. O témże dowiadują się i od dwóch gałeczek chlebowych na wodę w naczyniu puszczonych, zbliżających się lub oddalających: jeśliby utonęła gałeczka czyja, zapowiednia to już śmierci dla osoby nią oznaczonéj. Idąc spać, stawią pod łóżkiem naczynie z wodą i na niéj mostek układają. Kto we śnie przeprowadzać będzie przez mostek dziewicę, ten ma już jako mąż prowadzić ją po kruchym moście nad burzliwemi wodami życia tego. Nakoniec, piśmienne piszą na karteczkach rozmaite imiona męzkie, lub litery początkowe abecadła, dodają do tego kartki z napisami: grochowy wianek, klasztor, i kartki czyste. Zwijają je wszystkie w trąbkę, biorą z nich po trzy na los z talerza i kładą na noc pod poduszki. Nazajutrz kartka losem z trzech wyciągnięta, ma badającéj oznajmić o jéj przyszłości. Ale nad wszystkie tu wymienione wróżby najważniejszą jest to, co się przyśni dziewicy podczas téj nocy; dlatego więc niedość, że kładą się spać naczczo, ale nadto jeszcze na twardéj pościeli z cegiełką pod głowę.

Te są mi wiadome zwyczaje Pińszczan, nad rzekami: Piną, Prypecią i Cną; zastanowimy się tu jeszcze nieco i nad ich pieśniami.

O charakterze pieśni gminnych ludu pińskiego.

Pieśni pińskie w znacznéj ich części napiętnowane głęboką starożytnością, przedstawiają nam obraz pełen rozmaitości i rozlicznéj barwy. Tu szumi dąbrowa, skarżąc się na tatarskie napady z XVIgo wieku; tu płoną pożary z czasów zawichrzeń kozackich z połowy XVIIgo stulecia; zpod wilgotnéj ziemi cień męczennika przypomina się o pogrzeb, z téjże saméjli opoki cień błogosławionego Boboli Jezuity, czy może Antoniego z czasów litewskiego pogaństwa? Tu wśród rozlewów poświęcone gaje około dębu: cis z czerwoną jagodą u wiecznie zielonych śpilek, sosna, leszczyna, wierzba, rozwieszają swe gałęzie; kalina, ruta, mięta, rozmaj, niewyraźne już trójziele i mak, uświęcone niegdyś, czerwienią się tu lub zielenią.

Pawie chodzą po łąkach, łabędzie pływają po Dunaju. Dunajżeto Pińszczan, Herodotowych Wudynów, własny? Ichże

to, wedle Ejchwalda, Tana, Pina? czyto raczéj Dunaj, co skrapiał Herodotowych Getów osady? Z południo-zachodu ryczą bałwany Siniego morza, od północy morze Baltyckie przewalającemi się falami bursztyn z dna swego wyrzuca, i wyspa Rugia odbija się na pińskiém niebie. Owdzie powiewa brzozka złoto-kora z rajskiemi ptaszkami, rolnik orze sochą złotą, dziewczyna pod wierzbą nadmorską rozsypuje złoto z podołka. Wspomnienieżto zamożności i bogactw dawniejszych w tych stronach, czy odblask starożytnych Agaftyrsów, dzisiejszéj Transylwanii mieszkańców? W głębi obrazu wschodzi księżyc i słońce; Krewe-krywejto przy roznieconym ogniu podnosi oczy; z odleglejszych cieniów wyglądają mitologiczne postaci Grecyi i Rzymu. Cały obraz przeszłości zamierzchłéj wychyla się tu dosyć jeszcze wyraźnie, z barwą zupełną kolorytu, choć już pociemniałego. A teraźniejszość nadobną świeżością miejscowéj przyrody dopełnia całości, i piersią tkliwą, czułą na dary Boże, budzi nas do uczuć szlachetnych, i wypowiada rzewnie o doli obecnéj. Nim historycy i starożytnicy obraz ten rozwikłają i wyjaśnią, ośmielam się wedle Zbioru pieśni pińskich w 1851 roku wydanego, wykazać w nim barwy i charaktery następujące: 1) ogólno-słowiański; 2) polski; 3) serbski; 4) rugijski; 5) litewski i 6) grecko-rzymski.

1) Zbytecznem byłoby rozszerzać się nad wykazywaniem charakteru ogólno-słowiańskiego w pieśniach pińskich; jest on tu wydatny. Słowianie pod postacią dziadka czyli starca wyobrażali istność Najwyższą; w wielkiém poszanowaniu mieli zioła, krzewy i drzewa pożyteczne, i wspomnieniami o nich ozdabiali swe pieśni. Nie obejdzie się w nich bez barwinku, rozmaju, kaliny, leszczyny, wierzby i zielonego dębu. Pawie téż, tak same jako i ich pióra, oraz gwiazdy i większe z nich, tak zwane zorze, grają ważną rolę w słowiańskich piosenkach. Toż samo widzimy i w pieśniach pińskich: stary dziadek chodzi w nich po świecie i pod postacią żebraka doświadcza ludzkiéj litości. Barwinek, rozmaj, kalina i inne wyżéj wymienione krzewy i drzewa, oraz pióro pawie ubarwiają téż pieśni pińskie, i na ich tle również świécą gwiazdy i żarzą się zorze. A sam język pieśni pińskich znajduje odgłos w mowie niemal wszystkich plemion słowiańskich, odgłos mniéj więcéj wyraźny lub przytłumiony. Oprócz tego, wiele jest pieśni pińskich zupełnie podobnych do pieśni

śpiewanych przez inne pokolenia słowiańskiego szczepu. I tak: pieśń pińska, „Pojechał Jasieńko na polowanie“, umieszczona w Zbiorze piosnek gminnych ludu pińskiego w oddziale pieśni rozmaitych, czyli w różnym czasie śpiewających się, (pod nr. 4, na str. 266), podobna jest do galicyjskiéj 2, przywiedzionéj przez Szaffarzyka w jego Słowiańskim Narodopisie, oraz do znajdującéj się w Zbiorze pieśni wieśniaczych Czeczota. Na str. 346 Zbioru pieśni pińskich, pieśń rozmaita 34: „Słowiku malutki, czegożeś tak smutny?“, przypomina pieśń bółgarską: „Dziéweczko młoda, kochana, nie mijaj mnie idąc przez dwór, nie zadawajże mi żalu!“. Pieśń ta bółgarska znajduje się téż w Słowiańskim Narodopisie Szaffarzyka, na str. 194, w przekładzie polskim przez Piotra Dahlman, (wydanym we Wrocławiu w 1843 roku). W téj zaś bółgarskiéj jak i we wspomnionéj pińskiéj piosence, kochanek chce odmalować rysy swéj ulubionéj, i jak w jednéj tak i w drugiéj pieśni, dziewczyna ulubiona zmuszona jest przechodzić mimo mieszkania kochanka zażalonego, i tém żal mu powiększa. Pieśń pińska, z rozmaitych 31, (w Zbiorze na str. 338), przedstawiająca dziewczynę żałującą swych wdzięków przeszłych, przypomina chorwacką 3, w Słowiańskim Narodopisie Szaffarzyka znajdującą się (na str. 202). Pińskie, z rozmaitych 25 i 47, piosenki śpiewają się prawie zupełnie podobnie na Wołyniu i Ukrainie, a wiele innych nacechowanych jest kozaczyzną tak jak ukraińskie.

2) Cechy polskie wyraźne są w pieśniach pińskich: między innemi, w weselnéj poślubnéj 50; w kustowéj 13; w letniéj 7 i 19; w religijnéj 1; z rozmaitych w 2, 7, 9, 11, 26 i 29. Z wymienionych zaś tu z oddziału rozmaitych, pieśń 2 o rozbójniku, 11 o dzieciobójczyni i 29 o siostrze trującéj brata, prawie zupełnie są podobne w swéj treści do pieśni ludowych polskich, śpiéwanych jużto w Krakowskiém i Mazowieckiém, jużto w okolicach Babiéj-góry, a całą różnicę między niemi język tylko i oddanie stanowią. Nadto, w obrzędzie weselnym stron pińskich, przemówienia starosty i swatów noszą na sobie barwę zwyczajową polską za Rplitéj. Między innemi przemówieniami, starosta przed wyjazdem młodego po pannę-młodą, odzywa się do godowego orszaku: „Król zaprasza nas do siebie, ale my wolimy pojechać do teścia, bo u teścia bawią się wesoło i swobodnie, a u króla tną i rąbają.“ To przypomina nawet prawo Opola czyli Vicinia, wedle którego, jak mówi W.

A. Maciejowski w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy na str. 270, gmina powinna była do mieszkania królewskiego, oprócz innych rzeczy, dostarczać drwa i rąbać je.

3) Niemniéj wydatne są w pieśniach pińskich i piętna serbskie. W pińskiéj pieśni kolędowéj 10 (na stron. 26), jaskółka kąpie się na skale wśród Siniego morza; a w letniéj 18, (na stron. 218), gospodyni budząc zrana synową, mówi jéj, iż rybacy oddawna już na Siniem morzu zapuszczają sieci. Sinie morze, barwa to serbszczyzny. Chociaż albowiem o Siniem morzu wspominają wołyńskie, galicyjskie, wielko-ruskie, a nawet i nowo-greckie pieśni, atoli to nazwisko morza znajduje się przy siedzibach Serbów. Szaffarzyk właśnie w swoim Słowiańskim Narodopisie, (na stron. 57, w przekładzie polskim przez Piotra Dahlman), oprowadzając granice narzecza serbskiego, ciągnie je od południo-zachodu na południo-wschód przez morze Adryatyckie i nazywa je Siniem morzem. Serbszczyzna odbija się i w pieśni pińskiéj wiosennéj 11, (na str. 152), tudzież z rozmaitych w 5 (na stron. 272). W piérwszéj z nich dziewczyna sieje dołę nad wodą: a właśnie dawni Serbowie połabscy czyli nadelbiańscy u źródła i bagna niedaleko od Elby w Miśnii znajdującego się, jakby u wieszczka radzili się o losach swoich. O tym zwyczaju Serbów mówi Naruszewicz (w Historyi narodu pol. w tomie II, w księd. 3, w rozd. 4, na stron. 35, wydania N. Bobrowicza). W drugiéj, najmłodsza z sióstr wyprawiających brata do wojska: „kiedy braciszku, pyta się go, powrócisz do domu?" „Wtedy powrócę, siostrzyczko, brat odpowiada, kiedy pióro strusie na dno potonie, a biały kamień na wiérzch wypłynie." Podobne porównanie znajdujemy i w pieśni serbskiéj umieszczonéj w Wizerunkach Naukowych (na r. 1835), w tomie 12. W niéj Marko bohater, gotując się na śmierć na górze nadmorskiéj, rozściela swoję Dolomę na zielonéj trawie, nasuwa sobie na oczy soboli kołpak, kładzie się, bierze swą straszliwą maczugę w potężną prawicę, ciska ją z góry Urwiny daleko w bałwany błękitnego, ponurego morza, i mówi: „W dniu, w którym ta maczuga wypłynie na wiérzch wody, w tym dniu tylko ukaże się wojownik równy synowi królewskiemu, Markowi." A jeszcześ i język piński ma niemało wyrazów podobnych do serbskich. Szaffarzyk w Słowiańskim narodopisie, na str. 119, mówiąc o narzeczu górno-łużyckiem języka łużycko-serb-

skiego, używaném jeszcze dzisiaj w królestwie saskiém i pruskiém, z ludów wysłowiających się tém narzeczem wymienia i Holanów, mieszkańców lasów państwa wojreckiego i mużakowskiego. Wyrazy zaś tego narzecza w znacznéj części znajdują echo dosyć wyraźne w mowie Pińszczan, u których nawet jest wyraz *holje*, oznaczający gałązkę, a Holanie wytłumaczyłoby się przez nich na Poleszuków. Z tego wszystkiego jasno widać barwę serbską w pieśniach pińskich.

4) Można w nich téż dojrzéć i barwy rugijskiéj. W pieśni kolędowéj pińskiéj 11 (na str. 28), sokół w szczodry wieczór pociesza dziewczynę: „nie martw się moje dziécię, pojedziemy do miasta Ilmowa, dokupimy sukna drogiego, nadtoczym twoję sukienkę.“ Weselna przedślubna 6 piosenka (na str. 62), weselnikom przed kościołem stojącym powiada: „Nie ma księdza w domu, pojechał do Lmowa kupić klucze do kościoła.“ Pieśń weselna poślubna 21 (na str. 88), nuci: „Ej, huknęli swatowie, ciągnąc przez miasto Ilmowe: wszystkali nasza miła gromadka Ilmów przejechała?“ Tak więc Pińszczanie, w pieśniach kolędowych a szczególniéj w weselnych często wspominają miasto zowiące się w ich wysłowieniu Ilmów albo Lmów. Przypomina ono lud Lemowiów; Lemonowie zaś, wedle opisu starożytnéj Germanii przez Tacyta, wespół z Rugianami mieszkali tuż przy Gotynach na brzegu oceanu, czyli dzisiejszego Baltyckiego morza. O téj siedzibie Lemowiów znajdujemy wzmiankę i w Pierwotnych Dziejach Polski i Litwy pana W. A. Maciejowskiego (na str. 157 i 161). W weselnéj poślubnéj 36 pieśni (na str. 108), przy podpalaniu kosy pannie-młodéj, Pińszczanie śpiewają: „I czyjaż świéca jaśniéj się pali? młodego, czy młodéj?“ i po każdym wierszu wykrzykują: „Ranom! Ranom!“ przedłużając głoskę ostatnią. Wykrzyknik ten, powtarzający się i w weselnéj poślubnéj 54 (na str. 130), jako téż i w poślubnych innych, przypomina bożka Porońca, czczonego przez Rugianów czyli Ranów, na Rugii wyspie morza Baltyckiego zamieszkałych. Bożek ten właśnie był uważany za opiekuna kobiét poczynających zawód matek, i miał karać lubieżne niewstydy. A obrząd piński podpalania kosy pannie-młodéj jużto ją poświęca na matkę, jużto ostrzega, iż ma zachowywać się skromnie. Porońca opisuje Naruszewicz (w Historyi narodu polskiego. w tomie II, księdze 3, rozdziale 4, na str. 88, wydania N. Bobrowicza). W pieśni pińskiéj letniéj 3 (na str. 186),

niewiasta użalając się na swą niedolę, przemawia: „Dolo moja, dolo! gdzieżeś się podziała? czy w ogniu zgorzałaś, czy się utopiłaś? Jeśliś w ogniu zgorzała, to leż choć w popiele“ i t. d. Wzywanie doli przez kobiétę téj pieśni, aby choć w popiele dla niéj została, cechą jest rugijską. bo chociaż Słowianie popiołom z pieca bogom poświęconego przypisywali moc uleczającą największą, niczém nawet nieuleczoną chorobę, atoli kobiéty Rugienu dowiadywały się o swoim losie u popiołu. Siadały przed roznieconém ogniskiem, wygrzebywały z niego popiół, i na popiele rysowały kreski. Liczba krések parzysta wróżyła dolę pomyślną, nieparzysta zaś niepomyślność zapowiadała. Nakoniec na dowód charakterystyki rugijskiéj w pieśniach pińskich i to przywieść można, że w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy W. A. Maciejowskiego (na str. 313), między wyrazami miejsc na wyspie Rugii i dalszém Pomorzu, znajdujemy i Konotop czyli Konotopie. Nazwisko to bowiem służy i teraz jeszcze w Pińszczyznie uroczysku w blizkości małéj Płotnicy, wsi pomiędzy Chotyniczami a Bohdanówką znajdującéj się, od Pińska na północo-wschód drogą letnią około mil siedmiu odległéj.

5) W pieśniach pińskich dosyć są wydatne piętna litewszczyzny. Już brać można za nie *cis*, i liczbę *siedm* tak często wspominane w pieśniach gminnych ludu pińskiego. Cis wprawdzie i w starożytnéj Słowiańszczyznie był w poszanowaniu, i używano go tam do czarów; w Krakowskiém weselne piosnki nucą o okiennicach cisowych; a nawet i w Przemianach Owidyusza cis (Taxus) wspomniany. Ale drzewo to głównie rośnie, wedle ks. S. Jundzilła w puszczach preńskich nad Niemnem i w lasach około Rossień na Żmudzi. Liczba siedm ważną gra rolę u wielu ludów w czasach przedchrześciańskich: siedm kroć pije Serb za zdrowie przyjaciela, siedm często wspomina się w pieśniach polskich i ruskich; słowiański bożek wojny Rugiewit miał siedm mieczów u bioder i siedm głów z tyluż twarzami. (Zapewne ideał urody bohaterskiéj, bo malarze dla pięknéj postaci męzkiéj naznaczają rozmiar siedmiu głów, tojest miarę głowy siedm razy wzdłuż postawy powtórzoną; przez coby wytłumaczyć można i Herodotowe w Budynów jeziorze kuny o czterech spiczastych pyszczkach, biorąc je za miarę powtarzającą się na długości ciała tych zwierząt). Oprócz tego liczba siedm wspomina się często i w biblii. Ale litewski Krewe-krewejto ubie-

rając się do ofiar, obwijał się pasem z płótna białego siedm razy siedm. Krewe takimże pasem opasywał się siedm razy; nadto, wedle Litwy starożytnéj pana J. I. Kraszewskiego (tomu 1, str. 295), o siedmiu morzach wzmiankują podania litewskie. Ztąd więc liczbę siedm tak często powtarzaną w pieśniach pińskich możnaby uważać za cechę litewską. Jednakże litewszczyzna wykazuje się w nich jaśniéj z tego, co następuje. Pieśń pińska zaręczynowa 2 (na str. 50), nuci: „Nie jeść już ci matko jagódek, upuściłaś z rąk złoty kubeczek. Tobie jagody jeść świekro! tyś kubek złoty w dłonie podchwyciła". Nosi to na sobie cechę litewską. Właśnie w starożytnéj Litwie ofiarnik Wurszajtos spełniając ofiarę wypijał kubek piwa, przerzucał go przez głowę, a obecni podchwytywali aby nie upadł na ziemię; bo upuszczenie kubka zapowiadało nieszczęście, a pochwycenie zręczne rokowało pomyślność. W weselnéj przedślubnéj 1 (na str. 58), dziewczyna opowiada sen, a w nim, między innemi, że widziała jak gołębie rozsypały żywe złoto. Matka sen ten wykładając, żywe złoto przez łzy tłumaczy. W Dziejach zaś litewskich T. Narbutta, w tomie I znajdujemy, iż łzy Lietuwy, litewskiéj bogini swobód i miłości, zmieniły się w krople czystego złota. Weselna poślubna 16 piosenka, (na str. 82), radzi swatowi późno w drogę nie jechać, nie zatrzymywać się w niéj pod jedliną, ale stawać raczéj pod sosną. J. I. Kraszewski w liście swym do redakcyi Gazety Warszawskiéj (umieszczonym w niéj pod dniem 6 i 9 listopada 1851 roku, w numerach 295 i 298), rozbierając Piosnki gminne ludu pińskiego w tymże 1851 roku wydane, widzi w piosence tu wymienionéj, poślubnéj 16, podanie z litewskiéj mitologii o Egli przemienionéj w jodłę. W weselnéj pieśni poślubnéj 17, na str. 84, przy wyjeździe młodego po młodą, Pińszczanie wołają: „Ej na bok, na bok wrogi! nie przechodźcie nam drogi!" A właśnie, wedle Litwy starożytnéj J. I. Kraszewskiego (T. I, str. 125) u Litwinów przejście drogi i spotkanie pewnych ludzi i zwierząt uważano za zły znak, złą wróżbę. W weselnéj poślubnéj 41, na str. 114, użalają się, że młoda nie wpuściła koni wronych, tojest czarnych, do sadu, aby tam podeptały jéj rutę i miętę i czerwone wasilki. Toż w pieśni wiosennéj 10, (na str. 150), pogoń na koniach czarnych za uwodzicielem. W téjże zaś Litwie starożytnéj w tomie I, (na str. 117), J. I. Kraszewski utrzymuje, iż u Litwinów godłem bożka wojny Kawas zwanego był

koń czarny i kogut czarny, i te jemu ofiarowano. Tudzież W. A. Maciejowski w Pierwotnych Dziejach Polski i Litwy (na str. 445), mówiąc o koniach, powiada, że u Litwinów czarny kolor popłacał. W weselnéj pieśni poślubnéj 45 (na str. 118), przy odjeździe panny-młodéj, Pińszczanie śpiewając o jéj podróży do młodego, wymieniają, iż w drodze złoty kubek rozbili. W téj pieśni kubek rozbity przypomina tę część obrzędu weselnego u starożytnych Litwinów, w któréj Swalgon czyli kapłan godowy rzucał pod nogi młodych kubek z piwem, a młody go deptał na znak, że gardzi rozwięzłą miłością. Wprawdzie coś podobnego widzieć się daje i dziś jeszcze na Podolu: tam pan-młody powróciwszy od ślubu pije ze dzbanuszka jakiś napój owsiany, dzbanuszek wyrzuca w górę, a chłopcy rozbijają go na powietrzu kijami. Ale i to jest zwyczaj litewski. Wszak i podziśdzień znajdujące się w teraźniejszéj przeddnieprskiéj Ukrainie na prawym brzegu Dniepru uroczyska z nazwiskami: Krewo, Kiejdany, Koltus, Prusy, Sieniawa i t. d. są pochodzenia litewskiego, co T. Narbutt w swéj skróconéj historyi litewskiéj str. 10 tłumaczy przez poruszenie się i wędrówki Gotów z zachodu na wschód-południe w II i III wieku po Chrystusie, w którychto wędrówkach i litewskie plemiona mieli z sobą pociągać. W pińskiéj pieśni weselnéj poślubnéj 49, na str. 124, matka każe synowi biedz w ślady za córką, a syn jéj odpowiada, iż biegał już za nią ale napróżno, bo już słyszał głos jéj u świekra na górze. I w weselnéj poślubnéj 56 (na str. 132), kiedy matka odwiedza swą córkę zamężną, śpiewają: „Gdzież nasza gołąbka, co od nas odleciała, a przypadła w kwitnącym Jasia sadeczku?" Obie te pieśni przypominają starożytny zwyczaj weselny litewski ucieczki panien z domu rodzicielskiego przed ślubem i porywania ich przez narzeczonych. W pieśni pińskiéj weselnéj poślubnéj 51 (na str. 126), kiedy młody wprowadza na ręczniku swą młodą do sieni, wtedy śpiéwają: „wstąpiła niewiasta w Jury dzień." Wiadomo z Litwy starożytnéj J. I. Kraszewskiego (tomu Igo, na str. 31 i 33), iż Jura była boginią i królową morza Baltyckiego, w którego głębiach wznoszące się jéj bursztynowe gmachy, Perkun miał potrzaskać piorunem, za tajne miłostki Jury z rybakiem. Siedziby Litwinów rozciągały się aż po Baltyckie morze; otrzymało ono nawet nazwę litewską, od wyrazu litewskiego *baltas*, biały. A i podziśdzień rzeka Jura, wpadająca przy Jurborgu do

Niemna, przez Żmudź przebiega w rosieńskim i telszewskim powiecie. Pieśń zaś pińska tu przywiedziona ma na celu przypomnieć nowo-zamężnéj obowiązki niepokalanéj wierności dla męża. Wspomnienie więc Jury w téj pieśni jest piętnem litewskiém. W wiosennéj 3 (na str. 138), w kustowéj 5 (na str. 164), i wielu innych piosnkach pińskich, dziewczęta dbają głównie o ojca, i wszystko tam do niego odnosi się w pożyciu domowém. U Litwinów też ojciec był głową domu. W pieśni kustowéj 20 (na str. 174), dla zmarłéj dziewczyny u ojca pierożki maślane. Wybitnato w téj pieśni pińskiéj cecha litewska. Właśnie W. A. Maciejowski (w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy, na str. 469), mówi: iż Litwini grzebiąc zmarłych, opatrywali ich w pokarmy, suknie i t. d.; i dodaje, że Słowianie tego nie robili. W pieśni letniéj 13 (na str. 206), niewiasta umywszy się i utarłszy się przed oknem, widzi wschodzące razem księżyc i słońce, ubolewa nad swą niedolą i mówi: „do księżyca wysoko, ojciec matka daleko!“ W Starożytnéj Litwie J. I. Kraszewskiego (na str. 412) znajdujemy, iż w podaniach litewskich często napotkać można przodkom litewskim dawaną nazwę synów księżyca. A i sam księżyc (wedle str. 411 tegoż dzieła), jak opiewa stara pieśń litewska, razem chodził ze słońcem poślubioném sobie za żonę, nim rozcięty przez nią za przeniewierzenie się, nie począł błąkać się samotnie. W pińskiéj pieśni z rozmaitych 20 (na str. 306), syn przy odjeździe z domu do wojska, prosi matkę aby kazała skuć dla niego trzy dudy. Ludwik z Pokiewia w swéj Litwie pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów (na str. 198), między narzędziami muzycznemi litewskiemi wymienia dudkę (wundzis), skręcaną z kory wierzbowéj, lipowéj lub jarzębinowéj; i tamże (na str. 200), do narodowych narzędzi muzycznych litewskich zalicza trąby zwane *trymytaj* albo *sutartinéj*, na kilka sążni długie, robione z wydrążonego drzewa, spojonego kilka razy. Dudki takie korowe i podobneż do litewskich trąby z drzewa drążone, węższe u góry a coraz szersze u dołu, długie i z kilku części składające się, robią się i do grania używają w Pińszczyznie. Oprócz tego w obrzędzie weselnym Pińszczan, pan-młody przybywający że swą drużyną po młodą, po przełamaniu u drzwi oporu, przyjmowany przed wejściem do izby wódką z rąk świekry, trzy kieliszki tego napoju wylewa przez głowę na ziemię. Wszedłszy zaś do izby

godowéj, pozostaje w niéj z czapką na głowie przez cały czas obrzędu. I jedno i drugie cechą jest litewską: bo Litwini starożytni na ofiarę Ziemieńnikowi wylewali piwo na ziemię, a przez nakładanie na głowę czapki przysięgali. O tém znajdujemy w Litwie starożytnéj J. I. Kraszewskiego (w tomie I, na str. 119 i 206). Wiele téż i w innych częściach obrzędu weselnego pińskiego jest podobieństwa do obrzędów weselnych litewskich, jak się to już pokazało przy opisie zwyczajów pińskich; a i zwyczaj rolniczy Pińszczan układania zboża w sterty nakryte daszkami i zostawiania ich pod otwartém niebem aż do chwili użycia, wspólny téż był i starożytnym Litwinom. Właśnie J. I. Kraszewski (w swéj Litwie starożytnéj, w tomie I, na str. 241) mówi, iż Litwini żyto na polu w stertach z daszkami zostawiali. Niemało więc w Pińszczyznie jest cech charakterystycznych litewskich. I nie dziw: w tych stronach albowiem wzdłuż Prypeci, w okolicach Śniatynia nad rzekami: Tunią, Marocz i Naczą, T. Narbutt osadza Litwinów przed zaprowadzeniem ich nad Niemen i morze Baltyckie. Aż tu i daléj na południo-wschód zachodziły ludy wędrujące od morza Baltyckiego, a z nich, wedle Pierwotnych dziejów Polski i Litwy W. A. Maciejowskiego (str. 161), Rugianie pewno: sąsiedzi zaś Rugian Lemowiowie mogli być pomieszani z litewskiemi plemionami. Nadto strony pińskie od drugiéj połowy XIIgo wieku zostawały w ścisłych stosunkach z Litwą właściwą, i od jéj granic nie są dalekie. Z tych zatém danych możnaby co przyjąć za główną i rzeczywistą przyczynę tak wybitnych cech litewszczyzny w pińszczyznie; jednakże istotne naznaczenie przyczyny tego zostawuję historykom.

6) W pieśniach pińskich można dostrzedz mniéj więcéj i barw grecko-rzymskich. Pieśń kolędowa 5ta (na stronnicy 12téj), nuci o kukułce i krasnéj pannie. Krasna panna chodzi w niéj po łące za pawiami i z piór ich splata wianek. Panna ta przypomina Junonę starożytnych Greków i Rzymian. Oni jéj albowiem poświęcali pawia, wyobrażali ją z wiankiem na skroniach, trzymającą w jednéj ręce jabłko granatowe, a w drugiéj berło z kukułką na niém. Nadto, pieśń tu przywiedziona kończy się darami i śpiewa się w wigilią Nowego Roku, a Rzymianie piérwszy dzień roku poświęcali Janusowi i Junonie, i w dniu tym dary dawali. O darach na nowe lato wspominają

i inne pieśni kolędowe pińskie. Junonę zdaje się téż przypominać i pieśń kolędowa 7 pińska, (na str. 18). Krasna panna téj pieśni, odpędziwszy ptaszki od złotéj brzozy, zbiéra korę i każe z niéj robić przepaskę, obrączkę i wianek — godła weselne; a właśnie Junona opiekowała się związkiem małżeńskim. W pieśni kolędowéj 14, (na str. 34), w Turowie świątynia o trzech oknach zdaje się przypominać starożytną rzymską świątynię Janusa. (Wedle Słownika mitologicznego A. Osińskiego, jedne świątynie miał Janus o dwóch podwojach (bifrontis), a drugie o cztérech (quadrifrontis), z trzema oknami w każdéj ze czterech ścian, dla oznaczenia wszystkich odmian czasu niebieskiego. Nie opisuje A. Osiński postaci piérwszéj świątyni, ale i trzy okna w każdéj ścianie świątyni drugiéj, mniéj więcéj przemawiają za charakterem rzymskości w pińskiéj piosence o świątyni turowskiéj.) Jeżeli tylko ona nie jest zabytkiem jakichś wspomnień z Turowa znajdującego się niegdyś między osadami Meklemburgii, ponad Bałtyckiém morzem. W. A. Maciejowski (w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy, na str. 312) między innemi nazwiskami osad Meklemburgii wymienia właśnie i Turów. W pieśni kolędowéj 15, (na str. 40), koza przywodzi na pamięć obrząd kozła u starożytnych Litwinów, oraz zwyczaj Słowian, przez który, pod postacią kozy odzieranéj i pożeranéj przez wilka, wystawiali nędzę uciskanego ludu. Ale wspomniany w téj pieśni dziad siwo-brody, co z tęgiego łuku strzałę wypuszcza, przypomina Charona greckiego. On albowiem był wyobrażany jako starzec sędziwy z łukiem i strzałą śmierć niosącą, jak to widać z pieśni nowo-greckiéj: Charon i dziewczyna, znajdującéj się w Poezyach A. Chodźki, w Petersburgu 1829 roku wydanych, na str. 108, między pieśniami nowo-greckiemi przełożonemi przezeń ze zbioru Fauriela. Oprócz tego, pieśń pińska w mowie tu będąca doradza kozie, aby dobrze przysłuchała się: gdzie muzyka i trąby grają? To może mieć związek ze starożytnościami rzymskiemi, bo przywodzi na myśl krwawe ofiary z ludzi czynione w starożytności dla Saturna, przy których starano się dźwiękami narzędzi muzycznych jęki ofiar zagłuszyć. W miejsce ludzi poświęcano potém Saturnowi na też krwawą ofiarę bydlęta; stosownémby więc było ostrzedz kozę o grożącém jéj niebezpieczeństwie, a właśnie w téj piosence kozę ostrzegają. (O Saturnie i ofiarach dla niego, obszernie mówi A. Osiński w Słowniku mitologicznym, w tomie 2

na str. 383). W weselnéj zaręczynowéj 6 (na str. 54): „Wyszła Hanneczka aż za wroteczka, pod kaliną stanęła“ i t. d. W każdéj zwrotce, po dwóch pięciozgłoskowych wierszach, trzeci następuje zawsze siedmio lub ośmiozgłoskowy. Takiż sam rozmiar i tok wierszy jest i w piosnce weselnéj poślubnéj 12, (na str. 74), w piosnce również smutnéj treści jak i wymieniona zaręczynowa 6. Taż sama miara jest i w nowo-greckich Hryjach czyli pieśniach pogrzebowych, mających formę i miarę wierszy wyłącznie sobie właściwą. Widzieć to można w pieśniach nowo-greckich przełożonych przez A. Chodźkę w zbiorze jego poezyj (na str. 83 i 84). A i sam płacz i głośne żale pogrzebowe kobiét Pińszczyzny również są u nich koniecznością obrzędu pogrzebowego, tak jak i u kobiét nowo-greckich. Wedle zaś słów A. Chodźki (na str. 15) jego wstępu do swych Poezyj, w pałacu Pryama toż samo się działo przy zwłokach Hektora, co się dzisiaj dzieje w domu wieśniaka greckiego nad zwłokami syna; żale Bryzejdy nad trupem Patrokla w niczém się nie różnią od dzisiejszej Hryi. Tragicy i poeci elegiczni greccy jeszcze więcéj dać mogą do tego przykładów. A oto i same wyżéj wspomniane Hryje nowo-greckie w przekładzie A. Chodźki.

Żga.

..... Kogo szukałeś,
Co tam widziałeś,
Na dzikim brzegu Dunaju?
Czém ci niemiło,
Czém ci źle było
W rodzinnym z nami żyć kraju?

Mchy i powoje,
Gdzie wrota twoje;
Ogród twój zżółkły i suchy.
Ściany bez broni,
Stajnie bez koni,
Dziedziniec pusty i głuchy.

Gdy ci się chciało
Gonić za chwałą,
Gdy nie żal kraju, ni domu;
Ach! czy wspomniałeś,
Czy pamiętałeś,
Że jest zapłakać w nich komu!...

Żela.

Zagora na śmierć swego męża.

Korzystaj, korzystaj z życia!
Czas uraganem,
Świat oceanem,
Ty łodzią blizką rozbicia.

Patrz, wczoraj był tu przed bojem,
Te usta tchnęły,
Lica płonęły,
To serce biło przy mojém!

Dzisiaj, o srogi widoku!
Zimna pierś, dłonie,
Z czoła chłód zionie,
Śmierć w szklistém błyszczy się oku.

Was, moje dzieci jedyne,
Was, o! synowie,
I serce wdowie
Woła i serce matczyne!

Łzy me utulcie, pocieszcie!
Ty od zachodu,
Ty z Carogrodu,
Lotem jaskółki pośpieszcie!...

W pińskiéj pieśni weselnéj poślubnéj 7, (na str. 70), ojciec zaprasza sąsiadki, aby robiły korowaj i ozdobiły go kwiatkami, przepiórkami i drogiemi makówkami.

Junonie, starożytnych Greków i Rzymian bogini małżeństw, między innemi ziołami i mak poświęcano; jak to znajdujemy i w Słowniku mitologicznym A. Osińskiego w T. 2, na stronicy 325.

W weselnéj poślubnéj 12 (na str. 74), sierota posyła po ojca na wesele, a ojciec z grobu odzywa się, iż ziemia surowa zaległa mu drzwi od mogiły, i okienko zasłoniła. Wyraźny tu ślad greczyzny. W Grecyi, do głęboko wykopanéj prostokątnéj jamy, kamiennemi płytami zewnątrz wyłożonéj, wpuszczano trumnę bez wieka; nad wysoką i swobodną przestrzenią, jamę zasklepiano podobnemi kamieniami i narzucano ziemią. W pieśni nowo-greckiéj: Grób Dima, w przekładzie A. Chodźki (na str. 56), Kleft, czyli góral grecki a waleczny obrońca swego kraju przez Turków już najechanego, prosi przy swéj śmierci:

„Wykopcie mi jamę, niech się trumna zmieści,
I jeszcze zostanie miejsce tak przestronne,
Bym stojąc mógł strzelać prosto i ukośnie.
Okno mi wmurujcie od prawego kraju,
By co raz jaskółka dała znać o wiośnie,
I słowik mi nucił piosenkę o maju."

Nadto forma zewnętrzna pińskiéj piosenki, w mowie tu będącéj, bardzo przypomina Hryję, czyli pieśń pogrzebową grecką. W pińskiéj pieśni weselnéj poślubnéj 33, (na str. 106), gęsi lecąc przez sad, wzywają pannę-młodą na posadę. U starożytnych Greków i Rzymian, Junonie, oprócz innego ptastwa, i gąska była poświęcona. W obrzędzie więc weselnym właściwą byłaby gąsce czynność w posłannictwie od jéj pani a opiekunki małżeństw. W pieśni kupalnéj 2, na str. 180, Pińszczanie, między innemi śpiewają: „Kupalnéj nocy, wydarł bies wiedźmie oczy." Wedle A. Chodźki, we wstępie do pieśni nowogreckich (na str. 19), Grecy nadając rozmaite postaci zarazie, wyobrażali ją téż jako ślepą wiedźmę na szczudłach, która idąc omackiem poza murami i płotami, samém dotknięciem się zabijała nieostrożnych. Pińska pieśń letnia 5, na stronnicy 192: „Mój zamorski słowiku, dawnoże ty z za morza?" przypomina początek nowogreckiéj piosenki o wiosennéj jaskółce: „Z za białego morza jaskółka wróciła," czyli wedle objaśnienia pana A. Chodźki, z za Śródziemnego. O téj piosence mówi Chodźko na str. 14 wstępu do pieśni nowo-greckich przez niego przełożonych. To jeszcze godne uwagi, iż Turcy morze Śródziemne nazywają białém, zwąc go po swojemu *Akdeniz*, tojest białe morze, a na wzór ich również je mianują i inne wschodnie narody. Godne to uwagi tém bardziéj, że i morze Baltyckie z języka litewskiego od wyrazu *baltas*, znaczy białe morze. Nakoniec w pieśniach pińskich dosyć często spotykają się wyrazy *lileje, polilej*. Sąto słowa od *lilać* pochodzące, brane jużto za czynne, już za nijakie, a znaczą: pieścić, popieścić, oraz igrać swobodnie po dziecinnemu, rozkoszować się. Wyrazy te pińskie bardzo przypominają słowo greckie λαλέω (laleo, paplam, szczebioczę). Jakkolwiek zaś one zdają się na piérwszy rzut oka różnić w znaczeniu od wyrazu greckiego tu przywiedzionego, ztémwszystkiém znaczenie ich wewnętrzne dosyć jest zbliżone, a brzmienie bardzo podobne. Wyrazy pińskie, o które tu chodzi, znajdują się w pieśni weselnéj poślubnéj 35 (na str. 106), i w poślubnéj 43, (na str. 116). W piérwszéj z nich,

panna-młoda przemawia do rozczesanéj swéj kosy: „Poigraj jeszcze swobodnie raz ostatni po moim pasie złotym"; a w drugiéj taż młoda, przy wyjeździe nazawsze z domu matki, odzywa się do niéj, aby choć przez chwilę jeszcze ją popieściła jako swe dziécię rodzone.

Z tego co dotąd powiedziało się, nietylko charakterystyczne cechy słowiańskie i litewskie są widoczne w pieśniach pińskich, ale nadto daje się w nich dostrzegać barwa grecka i rzymska. Zkąd w Pińszczyznie greczyzna? Możnaby to wytłumaczyć tém, co Herodot w czwartéj księdze swéj historyi mówi o Budynach, czyli Wudynach. Pan Ejchwald professor, ze znajomością rzeczy i gruntownie dowiódł, że siedziby tych Herodotowych Budynów sąto miejsca przez dzisiejszych Pińszczan zajmowane, a Herodot o swych Budynach tak powiada: „Budyni, naród liczny i czerwony. U nich znajduje się gród mocny drewniany, którego nazwisko jest Gielon. Ściana każda grodu ma 30 stadyów długości, jest cała z drzewa, jak i same domy i świątynie. Tam są heleńskim bóstwom przybytki wystawione na wzór greckich, ze świętemi wizerunkami, ołtarzami i mieszkaniami. Co trzy lata obchodzą święto Bachusa, i na cześć jego weselą się. Gielony, pochodzący od Helenów, wygnani z pierwotnych siedzib, osiedli u Budynów, i mówią językiem napół scytyjskim, napół heleńskim. Lecz Budyni używają niejednakowego narzecza z Gielonami; i w ogóle, obraz ich życia nie jest jednaki. Budyni, pierwotny tego kraju naród, są koczujący; Gielony przeciwnie są rolnikami i ogrodnikami, zupełnie innéj postaci i innego koloru ciała. Ztémwszystkiém Budyni u Greków uchodzą za Gielonów, co jest bardzo mylne. Kraj ich jest zarosły gęstemi lasami, i w samym odwiecznym borze jest wielkie, pełne wody jezioro, okrążone trzęsawicą i trzcinami; a w tém jeziorze poławiają się wydry, bobry i inne zwierzęta z czterema spiczastemi mordami. Ogonami tych zwierząt okładają suknie, a nerki z onych pomocne są na słabości hysteryczne". To szczegółowe i dokładne przez Herodota uczynione opisanie obszernéj budyńskiéj okolicy, jest tu przywiedzione z rozprawy prof. Ejchwalda o starożytnych siedzibach plemion słowiańskich, fińskich, tureckich i t. d. w przekładzie p. Sylwestra Grozy, umieszczonéj w Athenæum na r. 1847, w t. 2 (od str. 5). Nadto, na sześć wieków przed Chrystusem Grecy prowadzili handel ze Słowianami, mieszkającemi nad Dnieprem, a właśnie rzeka Prypeć

Pińszczyznę przebiegająca, wpada do Dniepru. To wszystko mogłoby usprawiedliwić wykazywaną tu barwę grecką w pieśniach pińskich. Barwa zaś w nich rzymska usprawiedliwiłaby się przez litewszczyznę; Litwini albowiem przyjęli, jak wiadomo, wiele wyobrażeń mitologicznych i od Rzymian, a litewszczyzna tak wyraźnie przebija się w Pińszczyznie. Oprócz tego, nieobojętném będzie jeszcze nadmienić, że w stronach pińskich, o mil kilka od Kożangródka, znajduje się wieś Mohilna; wieś podobnegoż nazwiska jest i w Chrobacyi, pod Tatrami za Sączem, w blizkości drogi greckiéj, od Węgier ponad Dunajem ciągnącéj się. W téj zaś wsi chrobackiéj, Mogilno zwanéj, wedle Pierwotnych dziejów Polski i Litwy W. A. Maciejowskiego, (stron. 603) wykopują się srébrne i złote monety cesarzów rzymskich, i tam, między I a IV wiekiem po Chrystusie, miały stać obozem wojska rzymskie, jużto dla opiekowania się handlową drogą grecką, jużto dla bronienia mieszkańcom tamecznym przejścia za Karpaty.

Ten jest, w tém pisemku, na charakter pieśni ludu pińskiego pogląd. Niechybnyli on lub zawodny? — Przynajmniéj wywoła o tym przedmiocie zdanie badaczy.

W Wilnie, d 19 marca 1852 r.

VI.

Niektóre wiadomości z rękopiśmiennych dokumentów wyczerpane, o posadzie, różnoczesnych kolejach, pobudowaniach i wewnętrznych przyozdobieniach zamku warszawskiego, jako przyczynek do ogólnych dziejów miasta Warszawy. —Potop czyli szpalery (Arazzi, gobeliny) przez króla Zygmunta Augusta nabyte, za króla Stanisława Augusta do ozdoby zamku warszawskiego wzięte.

Dzieje miasta Warszawy, jak się to dla tyle przeważnego i okazałego grodu należało, uzyskały w ostatnich czasach znakomitych badaczów. Po opisach Święckiego, Łukasza Gołębiowskiego, okazały się prace Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego, ks. Xawerego Kurowskiego, F. M. Sobieszczańskiego, Alexandra Wejnerta i Juliana Bartoszewicza: świetne i pełne zalet historyczne zarysy jużto całości miasta, już częściowe główniejszych jego miejscowości, zakładów i gmachów, czy też zdarzeń tu nastąpionych. Przy dalszych tak odznaczonych pracowników usiłowaniach wątpić nie można, że wszelkie szczegóły przeszłości miasta dotyczące się z całą gruntownością wyjaśnionemi zostaną. Nie pominiemy tu wszakże wynurzenia żalu, iż dotąd całkowita historya miasta Warszawy przez ks. Kurowskiego skreślona, długoletnich poszukiwań i wytrawnéj pracy owoc, w zatajeniu rękopiśmiennem jeszcze spoczywa; łączyć więc wypada życzenia, iżby wielce szacowne to dzieło, bez odwłoki dalszéj, ku pożytkowi powszechnemu na jaw wydaném zostało.—Mając pod ręką kilka rękopiśmiennych dokumentów, bliższe rzucających światło na dzieje zamku warszaw-

skiego, mniemam nieść słabą przysługę głębszym badaczom, czerpiąc z materyałów rzeczonych niektóre wiadomości o posadzie, pobudowaniach, okazałych ozdobach i różnych kolejach zamku warszawskiego.

1. Wiadomo jest powszechnie, że król Stanisław August podźwignął najokazaléj tę długoletnią rezydencyą królewską, przyozdabiając ją z niesłychanym nakładem a zasobami niepospolitéj sztuki, wysokiego znawstwa i smaku. Łożone były potemu summy ze skarbu państwa przez stany oznaczane; lecz gdy częstokroć nie były one dostateczne, a raczéj dla niemożności czasowéj niedochodzące, zastępował je król hojnym wykładem z własnéj szkatuły. W następstwie zdarzeń, kiedy Rzeczpospolita runęła, kiedy sam król opuścił nazawsze zamek i daleko już od niego przebywał: przypomniał sobie czynione nań w paśmie lat długich z własnych funduszów nakłady, i mniemał, że mu się onych powrót słusznie należy. W tym celu pod swojém okiem wygotować dał memoryał, prawa te jego jakoby do bonifikacyi tamtych kosztów wyłożyć i udowodnić mający. Dokument ten nosi tytuł następujący:

„Wiadomość historyczna o zamku warszawskim, pierwiastkowéj onego pozycyi, rozciągłości, zasadzie gruntu jego, piérwszéj i następnych jego budowach, aż do ostatecznéj z przyczynieniem tak placów jako i budowań nastąpionéj, o łożonych nań kosztach, z wywodem onychże legalności, tudzież o fundamencie i prawie należnéj za nie skarbowi Najjaśniejszego Stanisława Augusta króla polskiego bonifikacyi".

Memoryał powyższy składa się z dwóch części i zamknięcia. Część druga i zamknięcie zajmują się wywodem zasady i prawności owych z szkatuły królewskiéj na zamek warszawski wykładów, tudzież wypływających ztąd praw Stanisława Augusta jakoby do tych wydatków zwrotu. Że podobny wywód obojętnym się dziś zupełnie staje, przeto i ta część memoryału nie ma dla nas szczególniejszego zajęcia; atoli część piérwsza przedstawia zarys dziejów zamku warszawskiego, a że ten mógł być i był w istocie skreślony na zasadach gruntownéj rzeczy świadomości: ma więc w sobie wyższą historyczną wartość, i z tego téż powodu całą tę część przenosimy tu w wiernym odpisie.

Część pierwsza.

„O położeniu zamku warszawskiego, jego zasadzie, okolicy, rozciągłości gruntu, pierwiastkowéj i następnéj strukturze, o zaszłéj ruinie i jéj przyczynach, zaniechanéj i dlaczego reparacyi, następnie przedsięwziętéj, przez Jego Królewską Mość Stanisława Augusta kontynuowanéj i w jakim dziś znajduje się stanie doprowadzonéj, o kosztach na ten objekt z własnego skarbu tegoż króla wyłożonych, i do sprawiedliwéj bonifikacyi pozostających.

Pierwiastkową posadę i strukturę zamku warszawskiego książąt niegdy mazowieckich, ciągnącego się od Kanoniów ku stronie Przedmieścia, wskazują znajdujące się jeszcze przy tychże Kanoniach szczątki z bramą wychodzącą na taras, i z dziedzińcem dziś kuchenny zwanym, zachowujące dotąd imię starego zamku. Pozycya ta j z rozpoznania lokalnego i z opisów historycznych okazuje się, że była w obrębie miasta i murów jego, które w pierwiastkach otaczały to miasto, czyniąc go niejaką twierdzą dostateczną w owe czasy przeciwko najazdom z strony Prus i Litwy. Struktury rozciąg nie był dzisiejszemu podobny, bo proporcyonalny wówczas do rozciągłości obwodu miasta, ani też miał imię zamku, lecz tylko dworu książęcego, jak się dowodzi z świadectwa historyj opisującéj kongres 1339 roku za panowania Kazimierza Wielkiego przez kommissarzów rozmaitych mocarstw w sprawie i zatargach między Polską i Krzyżakami w tém mieście odbyty, tudzież z umowy księcia mazowieckiego z miastem Warszawą, obowiązującéj toż miasto do mocniejszego murami opasania, i na fundusz tego nadającéj onemuż niektóre bliższe wsie do niejakiego czasu.

Mury otaczające miasto jak daleko rozciągały się, okazują pozostające ich ślady, i napadane dawniéj częstokroć onychże fundamenta; tudzież przy nich dawniejsze fossów ślady, lochy czyli kazamaty, tojest że ciągnęły się równo z bramami dotąd exystującemi: krakowską, poboczną, nowomiejską, niemniéj wieżą podówczas basztę czyniącą, następnie wieżą marszałkowską zwaną.

Brama krakowska nie była jak dziś dwoista, lecz pojedyńcza, tojest ta co od miasta; ta bowiem, która dziś jest od Przedmieścia, późniéj na dawnéj fossie i wale, tak jak i domy pomiędzy tąż bramą i obok jéj są wystawione. Oznacza to samaż

struktura bramy i herb na niéj Jana IIIgo, dowodzą przywileje na place przy téjże bramie do budowy na dawnych wałach i fossie, dowodzi utrzymujące się dotąd samo nazwisko Podwala.

Dukt murów miasto otaczających, co do innych stron opuszczając, bierze się do okazania szczególnie w téj stronie, jak zamek, iż w stronie téj ku zamkowi szedł od węgła wewnątrz miasta będącego bramy krakowskiéj nieprostą wciąż linią, lecz załamując się w niejakim odstępie ku Przedmieściowi Krakowskiemu, gdzie miał basztę czyli strzelnicę długo trwającą i nazywaną Wieża złamana, jako z rozmaitych tranzakcyj się okazuje; od téj zaś strzelnicy daléj ku Wiśle i na dół, że ciągnął się w przeciwny znowu ukos i załamek, tojest ustępujący od Przedmieścia, a cofnięty wewnątrz, i w końcu téj dyrekcyi miał znowu basztę; okazuje to ślad téjże baszty w oficynie dolnéj tarasowéj znajdujący się.

W obrębie tak ciągnących się murów była budowa zamku czyli dworu owego książąt mazowieckich, i ta że nie podciągała się pod sam mur miasto otaczający z strony Przedmieścia, lecz między pobudową zamku i tymże murem plac się znajdował, sprawiedliwie zatwierdza się z saméjże zasady, którą ten dwór miał więcéj w stronie od kościoła, i w dyrekcyi niejako korrespondującéj środkowi miasta.

Za murem przerzeczonym otaczającym miasto w téjże stronie zamku i Przedmieścia, ciągnęły się grunta książęce, ciągiem lat. i za ustaniem inkursyi, poszły w zaniechanie mury, tudzież wałów i foss utrzymywanie; książęta grunta tuż pod mury i nawet bramy same podchodzące, różnym nadawali, jako to przywileja nadawcze okazują, wyrażające ubikacyą i extensyą rzeczonych darowizn, wzmiankujące wyjście z bramy miasta w stronę Wisły ku wieży złamanéj. Takie właśnie place były w tém miejscu, jak się obraca idąc z miasta przez bramę krakowską w lewą stronę ku Wiśle, place Wodyńskich, Zbrożków, Łoskich, które następnie PP. Bernardynkom dostały się, i czyniły ich jurydykę, tak dalece, że te place i na nich budowy zagradzały zamek od Przedmieścia, w téj stronie jak brama krakowska, a tylko z zamku tegoż był przejazd na toż Przedmieście między przerzeczonemi pobudowami podle kościoła Bernardynek, ku kościołowi ks. Bernardynów, i drugi przejazd podobnież między innemi w tyle piérwszych będącemi, a różnym także rozdarowanemi placami, i na nich pobudowami ku Wiśle.

Te place wtyle piérwszych nad Wisłą leżące, były Żylińskich, Jeżewskich, Zaliwskich, a najbliżéj owéjto wieży złamanéj i murów w swéj dyrekcyi jak w téj stronie ciągnęły się, dochodzący był plac, dom i ogród Pruszyńskiego, którato Pruszyńskiego possesya następnie pod rokiem 1596, osobistą i prywatną została possesyą królowéj Anny Jagiellonki, wdowy po Stefanie królu, a ciotki Zygmunta IIIgo.

Stan takowéj pozycyi téjto w owym czasie okolicy, gruntuje się na tranzakcyach to wskazujących.

W takowém właśnie téj okolicy położeniu, Zygmunt IIIci znajdując przeznaczoną być Warszawę za rezydencyonalne miasto, przedsięwziął około roku 1607 budowę zamku nowego, pociągając go od starego ku Przedmieściu Krakowskiemu, w figurę jak dotąd znajduje się pentagonu, i na podobieństwo, podług trwającéj o tém powieści zamku w Szwecyi, któren matka jego Katarzyna Jagiellonka królowa szwedzka w mieście Drottingholm na wyspie Lafon wystawiła. Synowie jego Władysław IVty i Jan Kazimiérz też fabrykę kontynuowali, przez użytych do tego swoich architektów: Affaitę, Mollego, Boratiniego. Herby tych królów z familii Wazów, tudzież nazwiska wieży i wschodów od imion ich nadane, zaświadczają tę od nich czynioną budowę.

Zasada téj budowy pociągnięta od zamku dawnego ku Przedmieściowi Krakowskiemu, podług lokalnéj widoczności, zajęła skrzydłem linię ową murów miasto otaczających na proporcyą ukośności mniéj lub więcéj, tak dalece, że winkiel tego zamku w stronie od Wisły połączony został z ową tą wzmiankowaną wyżéj wieżą złamaną, w któréj dziś znajduje się kaplica.

Bramą z zamku tego w skrzydle od Przedmieścia-Krakowskiego będącą, że nie był inny przejazd na Krakowskie-Przedmieście, jak tylko między pobudowami jurydyki podówczas panien Bernardynek, uliczką podle ich kościoła ku Bernardynom, a drugi przejazd ku Wiśle uliczką w tyle tychże Bernardynek klasztoru, między ogrodem i zabudowaniem Pruszyńskiego, które późniéj stały się osobistą własnością królowéj Anny, a po niéj Zygmunta IIIgo, jak się to wyżéj nadmieniło.

Władysław IV dopiéro 1643 roku otworzył przejazd na toż Przedmieście ku bramie krakowskiéj, skupiwszy od Bernardynek place i domy ich podciągające się aż po bramę samą, na plac statuy ojca swego Zygmunta, a zaś z téjże saméj strony

zamku od tegoż Przedmieścia ku Wiśle rozciągał się dawny ogród ów Pruszyńskiego, następnie zwany królewski, partykularną possessyą królów Wazów po swéj ciotce będący, a podług swéj oryginalnéj rozciągłości po mury dawniejszego obwodu miasta pochodzący, wychodził za tył zamku do baszty dolnéj ponad Wisłę załamek murów owych miasta oznaczającéj; ten ogród w czasie poza tył zamku daléj rozciągnął się, przez założony drugi ogród tamże wciąż za zamkiem na placu wał zamkowy dawniéj, dziś taras zwanym.

Ogrody te a mianowicie ogród ów pierwiastkowo Pruszyńskiego a potém królowéj Anny, po niéj zaś allodyalną sukcessyą Zygmunta IIIgo będący, synowie jego królowie Władysław IV i Jan Kazimiérz następnie kawałkami na place do budowania się porozdawali różnym, mianowicie swoim służącym, jakimi byli Reffusowie, Schierowie, Kromlaffowie, Hajkowie, a to częścią przywilejami donacyj wiecznych, częścią prawem emphiteuseos, z warunkiem czynić się niemających depossesyj i ustępowania, chyba za spłaceniem, a w tym sposobie istotnie prawem wieczystém. Na tych placach ogrodu przerzeczonego rozmaicie rozdanych, i przez różne ręce w possesyi swéj przechodzących, a nakoniec w possesyą książąt Lubomirskich doszłych, znajduje się budowa pałacu pod blachą zwanego, i onegoż własność gruntu nierówno z samą tylko swą pobudową, ale daléj poza tył zamku należną rozciągłość, i podług pierwiastkowéj ubikacyi, i podług przywilejów, równo z basztą nadwiślaną w zabudowie oficyn dolnych tarasowych zamku znajdującą się mająca, czego nawet dowodem są piwnice tegoż pałacu pod tarasem zamkowym ciągnące się.

To się wykłada w dowód powyższego opisania, jako struktura zamku, przez Zygmunta IIIgo pociągnięta została w stronę Krakowskiego-Przedmieścia po szczątki dawnych murów miasto otaczających w ich dyrekcyi, i że ztąd uczyniona wskazuje się szachownica gruntów, dawniéj przed tą zamku budową przez książęta mazowieckie po mury przerzeczone, podług ich wówczas dyrekcyi rozdanych, jakim gruntem był i ten ogród Pruszyńskiego, następnie w prywatną, jak wyżéj rzekło, possesyą Zygmunta weszły, i od synów jego, królów Władysława IV i Jana Kazimierza rozdarowany.

Rozdawnictwo rodzaju tego czynione od królów było zawsze legalne, tu zaś we względzie i objektu rozdanego i kró-

lów rozdających tém więcéj było legalniejsze, że od królów Wazów, których ta okolica była prywatną własnością, i którzy prócz tytułu władzy panującym służącéj, mieli tytuł łożonych swoich kosztów na wystawienie zamku, któryto tytuł służył im nawet do budowy *directe* swojéj prywatnéj w samymże zamku starego obrębie pałacu, dla jednego z swych braci królewicza Ferdynanda, który pałac rewolucyą szwedzką został zdemolowany, a w ruderach swoich przez donacye tychże i następnych królów, za czasów jeszcze Augusta IIgo, w possesyi wysłużonego królom polskim nadwornego ich malarza rzymskiego kawalera Jana Reznera zostawał; zawsze albowiem w mocy królów polskich niereklamowane było w rodzaju takim rozdawnictwa prawo, i przez nich nadawcze przywileja zawsze świętobliwie uważane były, tak przez sądownicze jako przez prowodawcze narodu władze za niewzruszone; tak dalece, że przez nich, i w innych stronach tegoż zamku rozdane place, gdy uznane były potrzebnemi dla tegoż zamku, nieinaczéj zwracały się do niego, jak za nastąpioną umową z właścicielami, z którymi o to traktować sejmy nawet zlecały, co następowało to drogą kupna i przyzwoitéj opłaty. Tym sposobem przyłączyły się napowrót do zamku place Rowennowskie, Boratynowskie z swą pobudową Płochockich zwaną, dawniéj od królów rozdane; a nawet gdy dla rozprzestrzenienia ulicy na łacniejszy i przyzwoitszy przejazd do tegoż zamku z Krakowskiego-Przedmieścia wskazywała się potrzeba użyć nieco gruntu od wzmiankowanego pałacu pod blachą, użycie takowe nie nastąpiło arbitralnym, w uwadze publicznéj potrzeby, lub pozorze przyległości zamkowéj, a tém mniéj jeszcze z przyczyny, że to wyszło od królów, zaborem, lecz przez urzędowny między kommisyą Rplitéj skarbową i księciem Lubomirskim, dziedzicem podówczas tego pałacu uczyniony układ, a ten jeszcze sejmem 1766 r., *Vol.* 7, *pag.* 445, *titulo*: utwierdzenie kontraktu o plac do zamku przykupiony od ur. Lubomirskiego zaaprobowany.

W téj tedy cyrkumferencyi i dyrekcyi linii obwodu dawnych murów otaczających miasto, w téj pozycyi sąsiadujących, jak powyżéj wyrażono, placów, a ściślejszém nad inne niejako wspólnictwie z placem i ogrodem, na których dziś pałac pod blachą, z przyczyny, że ten plac i ogród był w czasie budowy zamku jednéjże, lubo różnym tytułem własności panującego króla Zygmunta III zamku tego fundatora, rozpoczęta przez nie-

goż, a przez synów jego dokończona zamku budowa, w témże wspólnictwie podobnież dla zaszłéj jednéjże i zamku i pałacu oddzielnemi tytułami possessyi czyniona została od Najjaśniejszego Stanisława Augusta restauracya, większą jeszcze jak dawniéj wzajemną między obojgiem kommunikacyą mająca, chcąc albowiem Jego Królewska Mość uczynić w przedsięwziętéj restauracyi wygodniejszym i okazalszym tento zamek, nabył przerzeczony pałac tak ściśle sąsiadujący zamkowi, w myśli zapewne, jak liczne i hojne ofiary jego narodowi uczynione wnosić to dają, przyłączyć go do zamku; za zmianą atoli okoliczności pałac pod blachą, jako rzeczywistą i osobistą swoję własność, ustąpił synowcowi swemu księciu Józefowi Poniatowskiemu.

Rozciągłość zatém pałacu pod blachą, w pobudowie od Jego Królewskiéj Mości uczynionéj, podchodząca między grunt zamkowy i linią dawniejszéj tegoż pałacu oficyny przechodzić zdająca się, będąc oryginalnie onegoż własnością, wróciła się do pierwiastkowéj postaci historycznemi i autentycznemi dowodami okazanéj, a przez czynioną reparacyą zamku pozostająca między obojgiem kommunikacya, podpada potrzebnemu i sprawiedliwemu w téj mierze układowi.

Jakowe zaś téj restauracyi zamku były przyczyny, powody i fundament, czyni się wypis następujący.

Zaczęty budować się od Zygmunta IIIgo, jak powyżéj jest rzeczono, a przez synów jego zaledwie ukończony zamek ten, pamiętna owa wojna przez Gustawa króla szwedzkiego za Jana Kazimierza, dla wiadomych w niéj i z niéj wypadków równie fizycznéj jako politycznéj ruiny kraju przez wzięcie Warszawy, a w zamku przez założenie koszarów i inkwaterowanie wojska, zrujnowała tenże zamek i ogołociła go.

Po ustałéj wojnie, dźwigniony był cokolwiek i utrzymywany tylko, żeby w czasie publicznych aktów wyciągających bytności i rezydencyi królewskiéj mógł być mieszkalnym; doskonalsze zaś wyporządzenie jego zostawione było czasowi, że prawie wiek cały upłynął; co tém łatwiéj nastąpiło, że wyjąwszy zjazdy narodowe, dla których zamek był przeznaczony, królowie bądź przez upodobanie, bądź dla interesu, w różnych miejscach przemieszkiwali.

Tak Jan Kazimiérz mieszkał częścią w swoim pałacu w Warszawie Kazimiérowski zwanym, częścią w Ujazdowskim

pod Warszawą, a częścią w własnych dobrach Nieporęcie i Białołęce pod Warszawą także leżących.

Michała króla półpięta roku panowanie, w czasie zamieszań i inkursyów dobrze wiadomych, upłynęło na podróżach i mieszkaniu we Lwowie, gdzie i umarł.

Jana IIIgo rezydencya była w Jaworowie, Żółkwi i Willanowie.

August IIgi przemieszkiwał częścią w Dreznie, częścią w Warszawie w pałacu saskim i w Willanowie; podobnież i August IIIci.

Za Augusta IIgo tyle tylko w zamku tym zrobiono, że izba senatorska z jednego skrzydła przeniesiona do drugiego, i tamże nowo uformowana została, a w miejscu dawniejszéj izby senatorskiéj pomierny apartament sporządzony.

Za Augusta IIIgo, skarb publiczny pod rządem podskarbiego Grabowskiego, wystawił na miejscu szczątków starego zamku i połączył z nowym Zygmuntowskim zamkiem, korpus mający front i facyatę od Wisły, a drugą stroną wychodzący na dziedziniec zamku starego, tudzież ciągły parapet murów z dolnemi sklepami od Wisły górę zamkową utrzymujący; lecz to wszystko co do murów tylko samych, bez urządzenia wewnątrz gmachu całego, prócz małéj tylko cząstki bliższéj zamku Zygmuntowski zwanego przez podskarbiego Sedlnickiego nieco wyporządzonéj, ta fabryka że kosztowała złp. 785,34º gr. 9, obejmują rachunki sejmowe 1746 roku.

Prócz tych dwóch artykułów roboty około zamku warszawskiego w ciągu wieku całego, nie masz żadnego innego śladu; wiekiem zaniedbane z opisanych w powyższéj osnowie przyczyn staranie, łacno dowodzić może, jaki stan być musiał zamku.

Między tylu dowodami pieczołowitości i przywiązania królewskiego do kraju, był i ten, przez utrzymywanych do tego ludzi zbierać wszelkie tak dawne jako i tymczesne kraju w wszelkich rodzajach i szczegółach tyczące się wiadomości, z tych rewizya zamku tego po śmierci Augusta IIIgo, z urzędu podskarbińskiego wówczas Wessla czyniona, stan jego okazuje szczupłość pokojów pryncypalnego piętra, w części skrzydła od Wisły cokolwiek przyzwoitszych, zaledwie na wypadkową rezydencyą zdolnych, w innych skrzydłach same przechody i ordynaryjne pomieszkania po części zrujnowane; toż na drugiém

piętrzę, dół zaś same prawie zawierał sklepy, prócz niektórych użytych na kancellarye i ich archiwa, wreszcie na skład rozmaity używany, prócz cokolwiek lepszych pomieszkań od jurysdykcyi sędziów warszawskich z prawa zamieszkalnych, tudzież burgrabiego; nikczemność reszty pomieszkań wskazują w nich lokatorowie, saméj tylko niższéj służby tamże podówczas rozłożeni.

Po zejściu Augusta III, rząd krajowy w stanach swoich na sejmie przeznaczając zamek ten na stałą królów rezydencyą, determinował reparacyą jego, a w téj determinacyi odkrył myśl i wolę swoję, iżby ta reparacya, rozszerzenie i reforma, była oznaczającą okazałość narodu i jego króla, wygodnym i dostatecznym tak osoby jako i dworu swego pomieszkaniem, zamierzył exekucyą podanych planów i abrysów przez swych budowniczych, z zostawioną wolnością gustu i wyboru królowi; uznał tenże rząd potrzebę znacznych na to nakładów, po znacznych onychże wyłożeniu, dalsze również znaczne dysponował, przekonanym będąc w rozpoczętéj robocie, o wynikającéj koniecznie potrzebie w wszelkich szczegółach i prawie fundamentach samych i murach magistralnych onegoż wzmacniania, przelamywania, ku bezpieczeństwu kominów i wewnętrznego na nowo rozporządzenia, i nowéj wszystkiego roboty, a to konstytucyami 1764, 1766 i 1768 roku.

Znaczne wyłożone z skarbu publicznego summy, rachunkami sejmowemi objęte, a z przyczyny pożaru części już zreparowanéj pomnożone, co w tymże zamku uskuteczniły inwentarz 1769 roku sporządzony zawiera, a co jeszcze pozostawało, nauczyć może, iż część ku Kanoniom w całym prawie korpusie za podskarbiego Grabowskiego wystawionym, doczesnie tylko była nieco urządzona, do ukończenia zamierzonego od rządu krajowego planu wiele jeszcze niedostawało. Zdarzone zamieszania krajowe były przeszkodą skarbowi publicznemu, dostarczania regularnego na powyżéj zamierzoną robotę oznaczonych corocznie summ, skarb królewski tę niesposobność zastępował, do wypadającego w téj mierze między obiema skarbami porachunku, i uskutecznianéj lubo nie we wszystkiém, z tegoż skarbu publicznego skarbowi królewskiemu satysfakcyi, aż do roku 1775.

Od epoki roku tego, zamierzone konstytucyami według planów udoskonalenia przerzeczonego zamku dzieło, Jego Królewska Mość z własnego swego skarbu ukończał.

Przystępując zaś do specyfikacyi tego, co skarb Najjaśniejszego króla Jmci polskiego na takowe dzieło wyłożył, baczny na znaną delikatność króla pana swego, bynajmniéj na artykuł ten nie rachuje, co na utrzymanie *sartorum tectorum*, lubo do tego nie będąc obowiązanym, lecz z własnéj szczególnie czułości we względzie dożywotniego swego użycia wyłożył; artykuł wszakże ten dachów, pieców, okien, z oddzielną dla bezpieczeństwa od ognia przeszło z 20 ludzi składającą ogniową strażą i narzędziami, wynosił na rok expensy fl. 20,000, co przez przeciąg lat 30 wynosi do fl. 600,000; nie rachuje także co wyłożył na drobniejsze pobudowy w ustronniejszych miejscach i przyległościach zamkowych, tudzież na wypadkowe reparacye; artykułu tego latami w rachunkach specyfikujący się ryczałt przenosi fl. 400,000. Bierze szczególnie w rachunek tylko to, co na fundamencie oznaczonéj konstytucyami myśli i woli narodu, względem przyzwoitego i ozdobnego stanu zamku, pądług zamierzonych planów tenże skarb J. K. Mci na budowę wszelką, strukturę stałą i z miejsca odjąć się niemogącą wyłożył; tego zaś expens z rachunków okazuje się następujący:

Od roku 1775 marca 11 do 1777 kwietnia 14 na fabrykę zamku warszawskiego, tojest audyencyonalnéj sali, z strony Krakowskiego Przedmieścia, z podmurowaniem onéjże w piwnicach, pokoju senatorskiego, kaplicy, i zgoła całego piętra aż ku poselskiéj izbie i kredens nowy . . . . . fl. 200,249

Od roku 1777 in Aprili do 1786, appartamenta sali wielkiéj mozajkowanéj, sali audyencyonalnéj, portretowéj i gabinetu portretowego . . . . . fl. 675,010

Do tego rachunku wypada umieścić meble będące oddzielną rzeczą, ale skład appartamentów po wielkiéj części czyniącą, i wzruszać się bez uszkodzenia tak tychże meblów, jako i appartamentów niemogącą, których koszt z rachunków okazuje się. fl. 169,496

fl. 1,044,755

Nie wchodzi jeszcze, a wchodzićby powinna ewaluacya szacunku tych wszystkich amplojowanych sztuk, ozdób i monumentów, które przez Attelier kosztem J. K. Mci założone i utrzymywane, czynione były, a w rachunki expens na też appartamenta nie umieszczała się; tych szacunek powiększy powyższą summę.

Nie wchodzi także w ten porachunek budowa biblioteki, w uwadze, że ta lubo swą kommunikacyą łączy się z zamkiem

i swą ozdobą właśnie wypada być onemu przyłączoną, jest wszakże inną przez swą gruntu posadę od zamkowéj i innego rodzaju własności królewskiéj, i w innéj klassie własności onegoż umieszczona zostaje.

Prócz téj restauracyi samego zamku, Jego Królewska Mość swoim i z własnego skarbu kosztem przysposobił onegoż rozszerzenie co do gruntu nad Wisłą, i uformowanie tamże drogi a ztąd i publicznéj wygody, przez otwarty tą stroną ku Wiśle przejazd, podług następującego opisu.

Stan Warszawy po zejściu Najjaśniejszego Króla Augusta III, znajdował się właśnie bez pewnych brzegów Wisły, która nurtowała same prawie wzgórza, na których zasada jest miasta; nie było zgoła i wygodnych przejazdów i przystępów z miasta do téjże Wisły i od Wisły do miasta; téjże saméj niewygodzie podpadał zamek, nie mając żadnego przejazdu ku Wiśle przez zawadzanie przejazdowi temu uformowanéj z wywozów wszelkiego fecessu góry gnojową nazywanéj, któréj rozległość zachodziła na grunta tylne Kanoniów warszawskich, obok gruntu zamkowego będące. Góra ta składała się z śmieciów warszawskich nieporządnie rozrzuconych, a na tych mieli nikczemne domy wyrobnicy czynsz kanoniom opłacający.

Zaszło z zlecenia rządu podówczas krajowego traktowanie Kommissyi Rplitéj Skarbu z prześwietną kapitułą o te grunta, i następne stanęło ułożenie, najprzód: spłacenia prawa i domków czynszowników, a potém kontrakt emphiteutyczny z postąpieniem zwykłego *in recognitionem Dominii* czynszu, po 100 złotych na rok; wzięcie gruntu tego jedyny zamiar miało, uformowania drogi i przejazdu z zamku ku Wiśle, dla ogólnéj tak tegoż zamku, jako i publiczności wygody. Rozległości tych gruntów i granic wyrażone są w kontrakcie.

Formowanie przerzeczonéj drogi i przejazdu z górnego tarassu zamku na dół ku Wiśle, skopywaniem góry, planowaniem i onéjże kontraskarpowaniem przez mury w głębi ziemi zasadzane, i w górę wyprowadzone, rozpoczęte, a dla wypadków kraju intratę tamujących zaniechane, własną skarbu królewskiego expensą było kontynuowane, i jak dziś widzieć się daje, jest ukończone i wybrukowane.

W tymże samym czasie z mocy rządu krajowego ustanowiona Kommissya Porządkowa, obracając staranie na odparcie

wartem swoim bijącéj na miasto Wisły, a w tym sposobie przyczynienie potrzebnych lądów, i sama czyniła, i wszystkim zalecała w gruntach jakie kto posiadał, czynić tamy i wysypki, z zapewnieniem każdemu użytkowania z wyłożonych na to kosztów.

Skarb zatém królewski prócz ukończonéj powyższéj drogi tak na górnym jako i na dolnym tarassie, rozprzestrzenił też grunta biciem tamów, i odsypywaniem tak dalekiém, iż właśnie myślą było za zwrotem Wisły, tyle podług brzegu onéjże na dół przyczynić odsypanego gruntu, iżby uformowana została wciąż ponad rzeką droga aż pod koszary gwardyi koronnéj, i ciągłego tamże bulwarku sposobność, pamięć żyjących to zasięga. Objekt tego wszystkiego, że niezmiernie kosztował, łacno wnosić można.

Na pierwiastkową robotę formowania drogi, tak górnéj jako i dolnéj, tamów bicia, przerabiania sklepów dolnych w oficynie tarassowéj na pomieszkania, koszt znaczny nie może tu być wyszczególniony, będąc czynionym nie przez kamerę, ale z kieszeni królewskiéj, zkąd także utrzymywani byli i majtkowie, wozy z zaprzęgiem, i z téj saméj szkatuły dostarczane narzędzia i materyały, coby słusznie do rachunku kosztów przyłączyć należało.

Następnych robót względem tychże placów i tamów, mianowicie w trzech latach 1770, 1771 i 1772 i dalszych przez kassę generalną łożonego kosztu expens, znajduje się w manuałach rachunkowych w kamerze znajdujących się i tych ogół wynosi złp. 123,921.“

W odpisie powyższym, tyle obfitym w ciekawe szczegóły, posady i różnoczesnych pobudowań zamku dotyczących się, natrafiamy jeszcze niektóre napomknienia o kilku artystach krajowych. Tak jest tam powiedziane, że dwaj synowie Zygmunta III, królowie Władysław IV i Jan Kazimiérz, posuwając budowę ojca, używali do tego swoich budowniczych Affajtę, Mollego, Boratiniego. Affajt ów jestto zapewne Ludwik Affati, który późniéj za Jana III podawał plany do budowy kościoła OO. Kapucynów w Warszawie. Molle, raczéj Molla, gdyż to w sztuce włoskiéj odznaczona jest nazwa. Boratini zapewne krewny tyle głośnego dzierżawcy mennicy Tytusa Liviusza Boratini Włocha, co kraj podłą miedzianą monetą zalał, a przecie r. 1658 indygenat otrzymał i wkrótce potém starostwem osieckiém obdarzony został. Daléj wspomniany jest plac podzamkowy rodzinie Kromlaffów służący, a przez Jana Kazimierza

nadany, później za Augusta II w posiadaniu wysłużonego królom polskim nadwornego ich malarza rzymskiego kawalera Jana Reznera zostający. O tym ostatnim malarzu, a ubocznie o stolarzu i budowniczym zamku warszawskiego za Jana Kazimierza Kasprze Kromlaffie, wyśledzone i zebrane wiadomości, zamieściłem w Słowniku malarzów. Okazało się tam, że Kasper Kromlaff otrzymał był od Jana Kazimierza r. 1651 plac do pobudowania się podzamkowy. Własność ta przeszła następnie w działach majątkowych r. 1696 do malarza Jana Rejznera, z Cecylią Kromlaffówną zaślubionego. Ten Jan Rejzner był przez lat 20 nadwornym malarzem króla Sobieskiego, a następnie jeszcze Augusta II, który przywilejem z r. 1698 posiadłość rzeczoną Rajznerowi przydatkiem jeszcze gruntu rozprzestrzenił.

2) Przywiedziony wyżéj memoryał wspomina o pobudowaniach na zamku za rządów Augusta IIIgo wykonanych, niemniéj o lustracyi zamku po śmierci tegoż króla przez podskarbiego Wessla dokonanéj, stan ówczesny zamku wykazującéj. Lustracya ta rzeczywiście najdokładniejszym jest obrazem stanu wewnętrznego zamku warszawskiego za czasów panowania Augusta IIIgo. Dokument ten przeto wypisujemy tu w całości.

„Rewizya zamku warszawskiego i rezydencyi w nim, z dyspozycyi JW. Pana Wessla podskarbiego w. kor., *post fata* Najjaśniejszego Króla JMci Augusta IIIgo uczyniona. Wchodząc z dziedzińca zamkowego, gdzie była rezydencya Najjaśniejszego królewicza JMci Karola księcia kurlandzkiego, odrzwi kamienne; na górę idąc na piérwsze piętro, schody kamienne, miejscami nadrujnowane, przy których poręcz w ślimaka żelazna o ośmnastu balasach mosiężnych, z których idzie sionka niewielka, w niéj podłoga z tarcic sosnowych. Z téj wchodząc do pokojów, których jest nr. 3, czwarta sala, w tych pokojach i w sali posadzka taflowa dębowa woskowana, w których pokojach kominów trzy paryzkich kamiennych przednich i pieców dwa saskich: jeden zielono-pstry, drugi biało pozłocisty. Lamperye i drzwi we wszystkich pokojach, niektóre biało malowane ze złotem, a niektóre żółtawo także ze złotem; przy tych drzwiach zamki francuzkie z kapami mosiężnemi. Klucze od wszystkich pokojów są u pana Millera tapicera niegdy Najjaśniejszego Króla JMci, które ma od niego odebrać p. Dąbrowski budowniczy zamkowy. Także we wszystkich pokojach

superportów nad drzwiami i nad kominami in nr. 18, a zwierściadeł nad kominami pięć, dworskim kosztem sprawionych, w superportach figury malowane i kwiaty, niektóre mają być sprawione z skarbu Najjaśniejszego Króla Jci, a drugie przez JWnych Ichmość Panów podskarbich koronnych za panowania Króla Jmci Augusta IIgo, aż do trzeciego, o czém dostatecznie informować nie mogli tak pan Wiminko burgrabia, jako i pan Dąbrowski, tak i pan Miller tapicer dworski. Z tych pokojów na lewéj ręce jest gabinecik mały okrągły, w którym podłoga dębowa woskowana i lamperye białe pozłacane. W tych wszystkich pokojach od Wisły jest okien dubeltowych dziewięć, w niektórych szyby potłuczone, u tychże okien krat żelaznych ślusarską robotą 6. Z tych pokojów *alias* sali wychodząc, jest druga sala, w któréj zwierściadło 1 nad kominem, superportów 5, które wchodzą w regestr wzwyż napisanych 18, jako też i zwierściadło, piec biały polski, komin kamienny, drzwi dwoje, jedne w piérwszym rachunku położone, troje dopiéro teraz konnotowane, u których drzwi dwa żelazne zamki, a trzeci mosiężny, do dwóch gabinetów jeden z drugiego z kaplicy króla Jana przerobionych. Między temi gabinetami są drzwi jedne, w których zamek z mosiężną kapą, komin kamienny, piec biały mały saski z trąbą żelazną. Z téj sali prosto w piec, jest korytarz z trzema drzwiami, u których są zamki żelazne z kluczami, które *similiter* jak od piérwszych pokojów JP. Dąbrowski ma odebrać od JP. Millera tapicera królewskiego. Na boku jest gabinecik mały z tego korytarza do pokojów wyżéj opisanych, z dwoma drzwiami, zamkami i kluczami, które ma odebrać p. Dąbrowski. Z téj sali wychodząc na prawą rękę ku izbie poselskiéj jest pokój, w którym piec biały polski staroświecki, okno jedno, lamperya stolarską robotą biała z lisztewkami żółto malowanemi, okiennice proste dwie. Z tego pokoju jest drugi pokój, gdzie warta stawała; w nim piec prosty na żelaznéj skrzyni, okno jedno z okiennicami drewnianemi. Na boku z tego pokoju znowu jest mały korytarzyk, do którego są dwoje drzwi podwójne z żelaznemi zamkami. Drzwi przy schodach z zamkiem podwójnym bez klucza, drzwi w korytarzu podwójne, ku poselskiéj izbie, gdzie kassa królewska. Na boku pokoje ku pannom Bernardynkom, w których kassa królewska była, lecz te zapieczętowane od JP. Renalta generała wojsk saskich, i nie są rewidowane; ztamtąd idąc prosto, poselska izba, która

ad praesens jest w reparacyi z dyspozycyi JW. podskarbiego w. kor. *Ex opposito* izby poselskiéj idąc korytarzem, na boku są trzy gabinety przy izbie senatorskiéj; w jednym są pułki i dwie szafy, gdzie były różne rzeczy królewskie, stół wielki. U tych gabinetów są zamki we drzwiach, wszystkie żelazne, od których klucze ma odebrać p. Dąbrowski od p. Millera. Za temi gabinetami zaczyna się izba senatorska, w któréj są zwierściadła dwa i krzeseł senatorskich siedmdziesiąt, od któréj izby senatorskiéj klucze i krzesła senatorskie ma odebrać p. Dąbrowski od p. Millera. Dalsze pokoje za izbą senatorską nie opisują się, bo są pod dyspozycyą p. Dąbrowskiego budowniczego zamkowego, od JW. podskarbiego w. kor. ustanowionego. Za któremi pokojami, przy tych pokojach, gdzie Najjaśniejszy królewicz a książę kurlandzki rezydował, jest gabinecik, który się nazywa złoty, znacznym kosztem przez JW. Sedlnickiego podskarbiego w. kor. wystawiony, w nim komin z marmuru białego przedniego, na ścianach gerydanników 7, a ósmy dawniéj wziął p. Leuillier naówczas tapicer królewski, od którego pan Dąbrowski żadnym sposobem odebrać nie mógł; aby w tym gabineciku jakowa szkoda nie była, ma mieć dozór i baczność pan Dąbrowski. Także w marmurowym pokoju jest 28 portretów dawnych królów polskich domu Jagiellońskiego i familii ich, jako i Najjaśniejszego Augusta IIIgo, do których portretów p. Miller tapicer dworski deklarował oddać portret Najjaśniejszéj Królowéj Jéjmości nieboszczki ostatniéj, który ma odebrać p. Dąbrowski, a o dawnych mieć dozór, żeby żaden nie zginął. Notandum: iż idąc gankami do kościoła farnego są dwie izdebki, które *ad praesens* p. pisarz fabryczny od JW. podskarbiego w. kor. postanowiony reperuje; te będą do mieszkania wygodne."

Drugie piętro.

„Na którém mieszkania każde *seorsive* się opisuje.

1) Wszedłszy schodami drewnianemi do izby senatorskiéj, na lewéj ręce od wschodów izby trzy, i jedna z nich przeforsztowana na dwie, kuchnia i spiżarnia w niéj przeforsztowana, w których izbach drzwi i okna całe. W téj rezydencyi mieszka pani Millerowa cyruliczka dworska, wdowa; klucze od niéj ma odebrać pan Dąbrowski.

2) Podle téj rezydencyi sionka, pokojów dwa i wkoło korytarzyk osobno się zamykający, pozabijany tarcicami; gdzie drzwi powinny być, tam *ad praesens* mieszkający ma schowanie. W tych izbach mieszka p. Frase do kapeli dworskiéj; przy wyprowadzeniu się ma odebrać klucze p. Dąbrowski.

3) W końcu tego korytarza rezydencya, która była wygotowana dla JW. graffa Brühla, tojest 4 pokoje, sala, gabinecik i izba przedpokojowa. Te pokoje są oknami, piecami drzwiami i zamkami doskonale opatrzone. Od téj rezydencyi w gabineciku mieszka p. Brawer pisarz meblów królewskich; od całéj rezydencyi ma odebrać klucze p. Dąbrowski.

4) Przy senatorskiéj izbie na drugiém piętrze nad gabinetami, trzy izby, kuchenka i loża o trzech oknach, z któréj damy patrzają do senatorskiéj izby; piece, okna, drzwi, zamki, wszystko całe. W téj rezydencyi mieszka p. Arnoldowa wdowa doktora dworskiego; klucze ma odebrać p. Dąbrowski.

5) Od téj rezydencyi są schody na trzecie piętro pod zegarem, gdzie jest izdebek maleńkich trzy i kuchnia, kosztem JW. podskarbiego teraźniejszego reparowana. W tych pokojach mieszka Schepka zegarmistrz pod wieżą zegaru doglądający.

Item rezydencya na drugiém piętrze, gdzie książę kurlandzki rezydował nad pokojami.

6) Nad marmurowym pokojem i innemi pokojami królewskiemi, idąc ze wschodów, po lewéj ręce sień, z téj pokój w którym zrobiona kuchenka, daléj prosto idą 2 pokoje, za niemi gabinecik, po bokach obudwóch dwoje schowania ciemne, przy tychże pokojach na boku od Wisły są znowu 2 pokoje piękne, gebinetów dwa po prawéj ręce, i dwa po lewéj gabinety i ciemna retyratka. W całéj téj rezydencyi w 3 pokojach są piece białe polskie, w drugich pokojach i niektórych gabinetach kominy, okna, drzwi, zamki w nich całe. W tych wszystkich pokojach i całéj rezydencyi mieszka p. Miller tapicer królewski; p. Dąbrowski od tych wszystkich pokojów i gabinetów jak widział, ma klucze odebrać od p. Millera.

7) Wyszedłszy z téj rezydencyi, jest izba sama jedna z piecem dobrym polskim białym i trąbą żelazną o dwóch kolanach i okno jedno w niéj dobre, drzwi do izby z zamkiem żelaznym; sionka do téj izby z tarcic przeforsztowana, drzwi do

sionki téj z skoblem żelaznym. Ta izba *ad praesens* próżna stoi, ma klucz odebrać p. Dąbrowski od p. Millera.

8) Daléj idąc korytarzem, podle téj izby, jest izba druga z piecem polskim, o jedném oknie z przeforsztowaniem, drzwi u niéj z zamkiem dobrym. Ta izba *ad praesens* próżna stoi; klucz ma odebrać p. Dąbrowski od p. Millera.

9) Tymże samym idąc korytarzem, trzecia izba z piecem dobrym polskim białym i trąbą żelazną o dwóch kolanach; przy téj izbie gabinecik z piecem saskim na skrzyni żelaznéj i trąbą żelazną o dwóch kolanach; okno podwójne w izbie całe, w gabineciku także podwójne, ale dwóch kwater w niém dolnych nie masz. Także od tego gabinetu jest garderóbka przeforsztowana; przy téj izbie drzwi troje z zamkami i kluczami, także są drzwiczki od kominów chędożenia, żelazne. Ta izba *ad praesens* próżna stoi, klucz ma odebrać p. Dąbrowski od p. Millera.

10) Na tymże samym korytarzu dwie izby jedna z drugiéj; w jednéj jest piec polski z trąbą żelazną, drzwi troje w tych izbach, okna 2 podwójne, całe, zamki i klucze u trojga drzwi dobre. Te izby *similiter* próżne, od nich klucze ma odebrać p. Dąbrowski od p. Millera.

11) Tymże samym korytarzem idąc, 2 izby; w każdéj izbie jest piec polski biały, dobry, drzwi dwoje z zamkami i kluczami, okien podwójnych dwoje. W tych dwóch izbach stoi p. Bertikier konsyliarz J. K. Mci.

12) W końcu tego korytarza jest izba z sienią, w téj izbie jest piec o jedném kolanie z rurą żelazną, biały polski, okien 4, na galeryą drzwi szklanne wychodzące, a drugie wchodząc do téj izby z zamkami i kluczami. W téj izbie stoi billard Najjaśniejszego ks. kurlandzkiego.

13) *Ex opposito* tego korytarza, na prawéj ręce jest izdebka mała i sionka z piecem białym polskim, okno 1, drzwi z zamkiem i kluczem. W téj izbie mieszka lokaj p. Betikiera, od którego klucze ma odebrać p. Dąbrowski.

14) Obracając się z tego korytarza na stronę zamkową od PP. Bernardynek, jest najpiérwéj izba, w niéj piec biały, polski na kamiennym postumencie, okno 1, drzwi 2, z zamkami i kluczami. Z téjże izby idzie druga izba, w któréj piec polski biały na skrzyni żelaznéj, z trąbą o dwóch kolanach, okno 1, komin kamienny, przy któréj izbie garderóbka o 3 oknach, w niéj piec biały z rurą o jedném kolanie, drzwi 3 z zamkami i klu-

czami; z téj zaś izby wyszedłszy, sień, przez którą przeszedłszy pokojów 3, w tych pieców 2: jeden polski, drugi saski, okien 5. W tych 3 pokojach pojedynczych drzwi 2, a trzecie ku garderobie z zamkami i kluczami. Te wszystkie 5 pokojów, ma na mieszkanie JP. Heyking szambelan JKM. starosta kurlandzki.

15) Wyszedłszy z tych pokojów, sień, przez którą pokojów 3, w których piec 1 biały polski, a drugi saski mały, okien 5; w tych 3 pokojach drzwi dwoje, a trzecie do garderóbki, z zamkiem i kluczami. *Item* wyszedłszy z tych pokojów przez sionkę, gdzie szyldwach stoi, pokojów 4 i gabinecik, w których pokojach pieców 5 saskich na skrzyniach żelaznych i postumentach kamiennych, u 4 pieców rury z kolanami dwiema, okien 6 pojedynczych od PP. Bernardynek, a od dziedzińca zamkowego okien 3 pojedynczych; drzwi 9 z zamkami, od których nie wszystkie są klucze. Te pokoje wszystkie stoją próżne; klucze od nich i absetlassy ma odebrać p. Dąbrowski od p. Millera tapicera dworskiego."

Trzecie piętro.

16) „Ku PP. Bernardynkom, które jest bardzo niebezpieczne od ognia, racyi ciężkiego a przez to rzadkiego ochędożenia kominów, oraz nad tém piętrem są dachy bardzo złe; okno zaś szklanne, które jest w samym dachu dla widoku zrobione, bardzo mocno deszczami i gradami potłuczone, w którém jest dziura duża którą się woda leje, od których pułapy i sufity na niższych piętrach gniją.

17) Wszedłszy schodami na to piętro po lewéj ręce, są 4 izby każda zosobna; te pozamykane i kluczów do nich dopytać się nie mogliśmy. W tych stali ludzie od kapeli królewskiéj, wyjeżdżając pozamykali, lecz mają być próżne.

18) *Item* po téjże ręce izba z kuchenką zamknięta.

19) Daléj wszedłszy drzwiami w prawą rękę na drugi korytarzyk, izdebka z piecem saskim i kominkiem. W téj stoi p. Treptau od kapeli królewskiéj.

20) Od téj izdebki idąc korytarzem, izba z piecem złym i zamkiem wyłamanym. Próżna bez zamknięcia.

21) *Item* daléj idąc tymże korytarzem, izdebka z piecem i kominem, drzwi 1, okno 1, zamek dobry, klucz i drzwi. W téj mieszka p. Smuchstte.

22) *Item* podle téj, izdebka tamże z piecem, okno w niéj 1, drzwi z zamkiem i kluczem zamknięte. Próżno stoi, klucze ma odebrać p. Dąbrowski.

23) *Item* w samym końcu tego piętra, sionka, przez którą przeszedłszy, izba przeforsztowana z komnatką, w któréj piec biały polski, okno 1, drzwi z zamkiem i kluczem. W téj mieszka p. Laskowski skarbnik nurski, dworzanin JKMci.

Dolne mieszkania zamkowe.

24) Schodząc na dół do bramy od PP. Bernardynek zamkowéj stojącéj, idąc w prawą rękę jest hauptwacht gwardyacki, dla niego izba officerska i kurdygarda dla żołnierzy. W téj officerowie i żołnierze stoją.

25) Za tą kurdygardą idąc w prawą rękę, w kącie samym jest sklep o jedném oknie, w którym piec biały polski; przy tym sklepie sień wielka z przeforsztowaniem dwa razy, z którego przeforsztowania okna dwa wychodzące na taras zamkowy. W tym sklepie mieszka Leman bednarz królewski; ma od niego przy wyprowadzeniu klucze odebrać p. Dąbrowski.

26) Przy tymże sklepie są dwa sklepiki małe, po jedném oknie mające; drzwi do nich dobre i zamki z kluczami. W tych sklepikach stawały szkła królewskie.

27) Od tych sklepów idąc po prawéj ręce są 3 izby, te obrócone były na kamerę Kommissyi Skarbowéj JKMci; we dwóch izbach jest archiwum z dóbr ekonomicznych skarbowych stołowych, zapieczętowane pieczęcią JW. podskarbiego w. kor., w trzeciéj na dwie przeforsztowanéj mieszka Albert kopiista kameralny, który się z swojéj rezydencyi wyprowadził, ustępujący na stancyą p. Tillemu pisarzowi Skarbu Koronnego.

28) Przy tych izbach jest izdebka mała z piecem. Mieszka palacz królewski.

29) Przed sienią tych izbów są dwa schowania kawałkiem blachy pobite; w jedném stoi piec saski. Te obydwa pod dyspozycyą palacza królewskiego. W jednéj Tomasz palacz ma rzeczy, w drugiéj drwa p. Alberta.

30) W tyle tych izbów gdzie archiwum skarbu królewskiego, jest dwoje schowania małego *ad instar* komórek: *Notandum*, że z tego schowania są drzwi tylne do izbów, gdzie archiwum, które dziś *ad praesens* zapieczętowane. To jedno

schowanie trzyma p. Wiminko burgrabia, w drugiém są rzeczy gabinetu królewskiego.

31) Pominąwszy schody do królewskich pokojów jest sień, izbów dwie i dwa gabineciki z piecami saskiemi. W tych izbach mieszka p. Wiminko burgrabia zamkowy.

32) Przy tychże samych izbach, izba jedna i gabinet, okno jedno na taras wychodzące, piec biały polski. W téj izbie mieszka p. Marteau malarz.

33) Daléj idąc od téj rezydencyi, w kącie dziedzińca zamkowego jest izba z przeforsztowaniem i z sienią sporą, w téj izbie kuchenka, piec biały polski, okno na Wisłę wychodzące, drzwi z zamkiem i kluczem. W téj izbie mieszka p. Burgraff pisarz drew królewskich.

34) Przy téj rezydencyi jest izba wielka *alias* Forat, w któréj materace, kołdry i inne rzeczy królewskie. Od téj izby klucze odbierze p. Dąbrowski od p. Millera tapicera.

35) Idąc daléj u rogu dziedzińca zamkowego, druga izba *alias* Forat wielki na 4 słupach, pod samą okrągłą salą, w któréj izbie okien 7 z kratami żelaznemi, drzwi dobre z kluczem, w niéj *ad praesens* są rzeczy różne królewskie. Ta izba zdałaby się na sądy kapturowe na lato, bo pieca w niéj niemasz; klucze odbierze p. Dąbrowski od p. Millera tapicera.

36) W bramie po prawéj ręce ku staremu zamkowi idąc, są trzy izby, w nich okien 4, piece dwa białe polskie, drzwi wszystkie dobre; tam w tych izbach przedtém był kredens Najjaśniejszych królów polskich. W tych izbach mieszka p. Wolff kredencerz Naj. królewicza polskiego.

37) Naprzeciwko tych izbów pod pokojami przy izbie senatorskiéj, jest izdebka z piecem i dwoma oknami; tam bywała pralnia królewska. Praczka wyprowadziła się, kluczów dopytać się nie można.

38) Idąc daléj w prawą rękę ponad senatorską izbę, jest sklep z drzwiami żelaznemi jeden. W tym sklepie archiwum jest królewskie, z Krakowa sprowadzone.

39) Przy tym sklepie jest sień z kuchnią, izbów dwie i schowanie duże. Te izby dla p. Tillego pisarza skarbu koronnego.

40) Daléj od téj rezydencyi idąc do bramy ku Augustynom stojącéj, jest izba jedna z piecem i sionką w któréj komin. W niéj mieszka piwniczny księcia kurlandzkiego.

41) Pominąwszy bramę, na téj saméj stronie jest izb dwie z kuchenką i sionką przeforsztowaną. Tam mieszkał p. Flugbeil; klucza nie oddał, którego się upomni p. Dąbrowski.

42) Daléj idąc ku wieży szlacheckiéj po téj saméj stronie jest izba z sienią; pieca ani komina nie masz. W téj skład rzeczy fabrycznych skarbu koronnego.

43) Przy wieży szlacheckiéj jest izbów dwie. W nich kurdygarda starościńska.

44) Za kurdygardą starościńską jest sklep, gdzie przedtém archiwum Metryki koronnéj było. Tam jest skład fabryczny skarbu koronnego żelaza i ołowiu.

Notandum. Na dziedzińcu przed poselską izbą są dwa domy: jeden apteka królewska, a w drugim sklep p. Leopolda i sklep porcelanowy. Przy bramie którą największy wjazd do zamku, są dwa sklepiki blacharskie, któremi furtki przy bramach dla przejścia pieszym ludziom pozwalane; teby porozrzucać potrzeba, aby pieszym przy wielkim konkursie mogło być wolno wnijść, co *supererit* woli pańskiéj.

Stary zamek.

46) Wyszedłszy z bramy zamku nowego, nad kanałem wchodząc jest sień, izbów 2 wielkich, w których pieców 2 białych polskich, okien 4, drzwi 3, zamki i klucze u nich dobre. W tych izbach mieszka Ludwik cukiernik ks. kurlandzkiego; klucze ma odebrać p. Dąbrowski.

47) Obok tych izbów po lewéj ręce wchodząc, także takich izbów 2; w jednéj piec biały polski z rurą żelazną o 2 kolanach, w drugiéj pieca nie masz tylko kuchenka; okien 4, drzwi 4, z zamkami dobremi i kluczami. W tych izbach mieszka Sielerowa wdowa z zięciem Grelem, który aukcyą trzyma; klucze ma odebrać p. Dąbrowski.

48) Idąc daléj, po lewéj ręce dziedzińca, na starym zamku jest izba z przeforsztowaniem i kuchenka także z przeforsztowaniem; piec biały polski, okien 2, zamki dobre. W téj mieszka p. Dąbrowski budowniczy zamkowy.

49) Obok 3 izby, sklep z alkierzem, okien 3, ku Wiśle wychodzące z kratami żelaznemi. W tym sklepie jest archiwum Metryki koronnéj.

50) *Ex opposito* tego sklepu jest sklepik mały. Depozyt rzeczy JW. podskarbiego w. kor.

51) Daléj idąc dziedzińcem starym do zamku jest sklep ciemny. Depozyt rzeczy Hermana sprycmajstra.

52) Daléj w bramę wchodząc ku Wiśle, są 2 sklepiki ciemne. W jednym koń sprycmajstra stoi, w drugim stangret Wiemionka.

53) Przy tych sklepikach jest stajenka mała. W néj konie p. Wiemionka.

54) Od téj stajni idąc po prawéj ręce nad tarasem, jest izdebka. W téj jest gips skarbowy.

55) Ponad tą izbą na górze jest izdebka. Mieszka dozorca fabryczny.

56) Idąc daléj po téj saméj stronie ku bramie od Fary, jest izdebków 2 i kuchnia; w izbie piec biały polski, okien 2, drzwi troje pojedyncze z zamkami i kluczami. W tych izbach mieszka Herman sprycmajster, ma ludzi 6, sikawek 6, dla ostrożności ognia.

Kuchnie królewskie.

57) Obróciwszy się na drugą stronę ku nowemu zamkowi, jest kuchnia wielka królewska, tudzież spiżarnia i piekarnia, z małemi dwiema przy niéj spiżarkami, jako téż na boku osobny dom, który zowią pomywalnią: na dole jest izdebka mała, piec biały polski, okien 2, drzwi z zamkami i kluczami. W téj izdebce przy kuchni mieszka Hejner furyer księcia kurlandzkiego; klucze od niego ma odebrać p. Dąbrowski.

58) Na górze nad temi kuchniami jest izbów 4. W jednéj mieszka Frimond kuchmistrz ks. kurlandzkiego, w drugiéj Wittal szafarz, w trzeciéj Hermanowa kuchmistrzowa, w czwartéj p. Klar stary porucznik *quondam* saski.

59) Na drugiém piętrze jest izdebka mała z piecem. Mieszka stróż od kamery.

Piwnice zamkowe.

60) Piérwsza pod archiwum skarbu JKMci, gdzie kamera była. W téj były wina ministrowskie.

61) Druga pod rezydencyą gdzie p. burgrabia mieszka. W téj stały wina królewskie.

62) Trzecia przy wieży szlacheckiéj. Trzyma pan Wiemionko.

63) Czwarta pod izbą poselską.

Piąta pod izbą senatorską; wina ks. kurlandzkiego. Od tych piwnic klucze ma odebrać p. Dąbrowski, jedne od Lehmana bednarza królewskiego, drugie od p. Dama budowniczego królewskiego."

Lustracya powyższa objawia nam dobitnie podupadły stan zamku warszawskiego za rządów Augusta III króla. Na piętrze głównem widzimy dwie izby sejmowe, z których poselska tak podniszczona, że ją zaraz nowe rządy odnawiać musiały. Ze wspaniałego mieszkania Zygmunta III, puste i nagie tylko stały już ściany. Część tych pokoi przystojniéj cokolwiek przybrana, zpomiędzy których jeden wyłącznie odznaczał się gabinet złotym nazywany; część ta mówię pomieszkania głównego, zajmowana była przez królewskiego syna Karola Krystyana ks. kurlandzkiego, (syn trzeci Augusta III, urodzony 1733 r. † 1796, zaślubił 1760 Franciszkę Krasińską, otrzymał inwestyturę na księztwo kurlandzkie r. 1759 d. 8 stycznia, ustąpił z tego księztwa r. 1762). Na piętrze drugiém było nieco staranniéj przyrządzone mieszkanie dla ministra Brühla, zapewne zanim sobie zbudował i zamieszkał wspaniały gmach obok pałacu saskiego. Na dole znajdowało się archiwum Metryki koronnéj, tudzież tak zwana kamera kommissyi skarbowéj królewskiéj, wraz z archiwum dóbr stołowych. Reszta pomieszkań stała częścią pusta, częścią obrócona na składy lub przez podrzędną służbę dworską zajęta. Pomiędzy tą zauważyliśmy malarza Ludwika Marteau, który na dole zamku mieścił się w dwóch pokojach z widokiem na taras; pokazuje się ztąd, że ten słynny w ciągu całego panowania Stanisława Augusta malarz portretowy, już za Augusta III znajdował się w Warszawie, a musiał w służbie jego zostawać, kiedy na zamku wyznaczone miał mieszkanie.

Co się tyczy rezydencyi w Warszawie królów Sasów, pobudowanego przez nich i okazale przyrządzonego pałacu saskiego, przydać winienem, iż przed kilkunastą laty oglądałem bardzo ciekawy rękopis, szczegółowy opis téj całéj fabryki, w mnogie architektoniczne plany zaopatrzony. Rękopis ten nabył i do bogatych swych zbiorów dołączył uczony bibliofil, a mąż najszacowniejszéj pamięci Józef hrabia Dzieduszycki. W późniejszych czasach pragnąłem mieć sobie udzielone to dzieło do

bliższego naukowego użytku; lecz gdy mi się to nie udało, zwracam nań uwagę badaczy, jako na ważne źródło do ówczesnych dziejów Warszawy, jak niemniéj budownictwa i innych sztuk kraju naszego.

3) *Przydatek do wiadomości o potopie, tak u nas nazywanych drogocennych szpalerach, przez króla Zygmunta Augusta nabytych.*—Zygmunt August jako pan wielce w najkosztowniejszych wyrobach sztuki zamiłowany, zakupił za summę 100,000 czerwonych złotych odznaczającéj się piękności szpalery (Arazzi, gobelliny), tkaniny na tle złotém lub srebrném jedwabne, zdarzenia z pisma śgo wyobrażające, wedle obrazów Rafaela Sanzio z Urbino, z dziwną dokładnością jakby malowane obrazy wykonane; było zaś ich w ogóle sztuk 24. O tych wspaniałych Zygmunta Augusta szpalerach, najpiérwszą a bardzo szacowną wiadomość przekazał Stanisław Orzechowski, w dziele: „Panegiricus Nuptiarum Sigism. Aug. Pol. Regis. Cracoviae anno 1553, gdzie opowiadając uroczystości obrzędu ślubnego Zygmunta Augusta z Katarzyną Austryaczką, opisuje przyozdobienia komnat królewskich na zamku krakowskim, których ściany szpalerami owemi przystrojone wówczas były. Szpalery rzeczone zwano u nas następnie, nie wiedzieć dla jakiéj przyczyny, potop; a dalsze onych przygody śledził i opisał troskliwie najgorliwszy starożytności naszych szperacz: Ambroży Grabowski (Ojczyste spominki. Kraków, 1845 I, 238—240). Nie powtarzając źródeł, powiemy pokrótce za Grabowskim, że te szpalery były pożyczane OO. Jezuitom; że 3 sztuki z nich Ossoliński pełniąc poselstwo w Rzymie imieniem króla złożył papieżowi Urbanowi VIII. Za Jana Kazimierza były one już przewiezione do Warszawy, bo tu r. 1655, w czasie nabożeństwa żałobnego za królewicza Karola Ferdynanda biskupa wrocławskiego i płockiego, służyły do przyozdobienia kościoła jezuickiego, gdzie się ten obrząd odbywał. Król Jan Kazimiérz w chwilach srogich niepowodzeń krajowych, zastawił potop w Gdańsku niejakim Grattom w 100,000 zł.; tam walały się długo te kosztowne tkaniny, a stany o wykup onych upominały się kilkakrotnie, jeszcze r. 1720. W następnych czasach, zapewne za Augusta II, wykupione one zostały rzeczywiście kosztem skarbu państwa i zwiezione do Warszawy. Kiedy król Stanisław August wstąpił na tron i mieszkanie na zamku warszawskim zajął, zapragnął do przyozdobienia onego mieć sobie

wydane obicia potopowe: jakoż w miesiącu sierpniu wydanie to nastąpiło z polecenia podskarbiego w. kor. Teodora Wessla. Dowodzi to akt urzędowy owego wydania, a ciekawym jest bardzo, jako opisujący dochowane wówczas od Zygmunta Augusta szpalery, z których potopu samego całkowity zbiór sztuk 21, innych haftów sztuk 135, a razem w ogóle sztuk 156. Spis tedy rzeczony podajemy tu przepisany dosłownie.

„Conotacya wydanego obicia potopowego Rzpltéj, z dyspozycyi JWJci pana Teodora Wessla podskarbiego w. kor. do adornowania pokojów JKMci Stanisława Augusta w zamku warszawskim, przy obecności WJci pana Schmita starosty brodnickiego, Jci pana Fontaniego architekta JKMci i rzeczypospolitéj.

Mianowicie:

Sub Die 4 Augusti 1764 Anno, WJmci Panu de Schmidowi staroście brodnickiemu wydałem z obicia potopowego:

Sub nr. 3 sztuka
— 12 sztuka
— 32 sztuka
} lantszafty nadedrzwi sub literis S. A. (cyfry Zygmunta Augusta).

Sub Die 14 Augusti 1764 Anno.

Sub nr. 1 sztuka piérwsza szeroka na łokci 15, cum Inscriptione Deus Adae et Evae ne Pomo Ligni vescerentur perciperat. Gen. 3.

2ga sztuka szeroka na łokci 9 1/4, cum Inscriptione: Jubet Deus Adamo operati terram. Gen. 3.

3 sztuka szeroka na łokci 10, cum Inscriptione: per fidem Abel meliorem. Gen. 4. Hebr. XI.

4 sztuka szeroka na łokci 4 1/4, cum Inscriptione: Egrediamur foras.

5 sztuka szeroka na łokci 9 1/2, cum Inscriptione: Iniustus Cain Iracundiae suggestu. Gen. 4.

6 sztuka szeroka na łokci 9, cum Inscriptione: Cain a Deo correptus. Gen. 4.

7 sztuka szeroka na łokci 10 1/4, cum Inscriptione: Noe ambulat cum Deo. Gen. 6.

8 sztuka szeroka na łokci 15, cum Inscriptione: Noe per fidem ad Salutem. Gen. 7. Hebr. 11.

9 sztuka szeroka na łokci 13 1/2, cum Inscriptione: Noe cum omni Familia cunctisq. Gen. 7.

10ta sztuka szeroka na łokci 14½, cum Inscriptione: Aquis inundantibus omnia pereunt, sola medijs tempestatibus servatur Arca. Gen. 7.

11 sztuka szeroka na łokci 15¾, cum Inscriptione: Deus aquis cessantibus servat. Noe cum Familia, cunctisq. animantibus educit ex Arca. Gen. 8.

12 sztuka szeroka na łokci 13½, cum Inscriptione: Noe exstructo altari Deo offert Holocausta. Gen. 8.

13 sztuka szeroka na łokci 10½, cum Inscriptione: Deus Benedicit Noe. Gen. 9.

Sub nr. 14 szeroka na łokci 10½, cum Inscriptione: Noe inebriatus iacens. Gen. 9.

Sub nr. 15 szeroka na łokci 14½, cum Inscriptione: Nimrot etc. Gen. 11.

Sub nr. 16 szeroka na łokci 7½, cum Inscriptione: Descendit autem Dominus. Gen. 22.

Sub nr. 17 szeroka na łokci 5½, cum Inscriptione: Confundamus Lingvam Eorum.

Sub nr. 18 szeroka na łokci 4¾, cum Inscriptione: Dispersit Eos Dominus.

Sub nr. 19 szeroka na łokci 3¾, cum Tygride.

Sub nr. 20 wielka, cum Inscriptione: Suspecta Sauli Puellarum modulatio etc.

Sub nr. 21 wielka, na któréj lew i dzik. Sztuka wielka, cum Inscriptione: Ob Impiorum Gigantuum et Tyrannorum mala exempta, et Violentias Deus minatur, exitium Mundo. Gen. 6.

Item:

Sub nr. 1 sztuka spora, na któréj jeleń.
— 2 — wązka, długa, na któréj wielbląd.
— 3 — na któréj liszka dusi ptaka.
— 4 — wązka, długa, na któréj lampart.
— 5 — wązka, długa, na któréj lampart.
— 6 — mniejsza z ptakami.
— 7 — mniejsza na któréj Rynoceres.
ditto na któréj tygrys.
— 8 — wązka, długa, na któréj orzeł.
— 9 — wązka, na któréj tygrys i papuga.
— 13 — wązka, długa, na któréj małpa.
— 14 — wązka, długa.
— 15 — wązka, długa.

Sub nr. 16 sztuka wielka z pawiami i żórawiami.
— 17 — wązka, długa, na któréj morskie świnie.
— 18 — wązka, na któréj jeleń i kot.
— 20 — wązka, na któréj struś.
— 23 — wązka, długa, na któréj czaple.
— 26 — wązka, na któréj żmija i kaczki.
— 28 — szersza, na któréj jeleń i koń.
— 30 — wązka, długa, na któréj jeleń z sarną.

P. M.

Potopu sztuk	21
Item z herbami	11
Szpalerów	47
Taboretów	12
Z cyframi S. A.	15
Różnych kawał.	50
Summa.	156."

Gdzieby się te obicia teraz znajdowały, zapytuje Grabowski, nie jest wiadomo. Wydawca Pamiętników o dawnéj Polsce w tom. Vtym, zamieszczając Orzechowskiego opis, dodaje w przypisku, że sam za Stanisława Augusta w roku 1764 widział jeszcze szpalery zwane potop, i że takowe z kraju wywiezione zostały. Ks. Sebastyan Ciampi powiada, iż szpalery Zygmunta Augusta wyszukał w galeryi drezdeńskiéj. Grabowski dołącza wzmiankę o będących w Dreznie sześciu kobiercach wedle Rafaelowskich obrazów utkanych, niemniéj o podobnych szpalerach Rafaelowskich w Londynie znajdujących się. Cóżkolwiekbądź, zostajemy wraz z Grabowskim w niepewności o ostatecznéj kolei Zygmuntowskiego potopu. Przydać mogliśmy wszakże wiadomość o istnieniu onego na zamku warszawskim w r. 1764, gdzie razem z wielą innemi tego rodzaju po Zygmuncie Auguście dotrwalemi wyrobami, wzięty był ku ozdobie mieszkań przez Stanisława Augusta; wykaz onych urzędowy, przekazuje nam téż dość szczegółowy wszystkich pod tę porę opis.

E. Rastawiecki.

KRONIKA LITERACKA.

Piśmiennictwo polskie W. A. Maciejowskiego i t. d. Tom IIgi. Warszawa. 1852.

W planie, jaki sobie pan Maciejowski w opowiadaniu dziejów literatury polskiéj zakreślił, tom drugi jest rozwinięciem piérwszego, a trzeci będzie dopełnieniem drugiego tomu. Autor postawił nam przed oczy naprzód zwroty, w których się literatura rozwijała w ustach ludu i w pracach mężów, którzy pisali. Wypadło z tego, że p. Maciejowski zwrócił naprzód uwagę czytelników swoich na same rażące ogromem i znaczeniem punkta, na mężów największego wpływu. Skupił w jedném ognisku najświetniejsze promienie literackiego życia Rplitéj, od zawiązania się narodu, aż po r. 1650. Każdy mąż, którego w piérwszym tomie przedstawił, samym sobą przedstawiał jakąś stronę postępu, rozwijał naukę, stwarzał nową gałąź wiedzy polskiéj; jeżeli nie każdy był gieniuszem, to przynajmniéj spełnił posłannictwo wielkie i stworzył naśladowców. Otoż wewnętrzne ruchy tych głównych zwrotów, jakie pan Maciejowski w piérwszym planie swojego dzieła zakreślił, mają nam przedstawić tom drugi i trzeci *Piśmiennictwa*. W tych następnych częściach znakomitego dzieła swojego, daje nam autor poznać, jak sam się wyraża, obroty głównych zwrotów. Że zaś na rozwój literatury wiele wpływało obcych pierwiastków; że naród pismienny kształcić zię musiał i rozrastać w zdolnościach umysłowych i wiedzy swojéj; pan Maciejowski w obrotach tych pomieścił wiele innych rzeczy, uwag i spostrzeżeń, które rzadko kiedy spotyka czytelnik w książkach historyi jakiéj literatury poświęconych. W dziele pana Maciejowskiego znajdują się istotnie dane do charakterystyki wewnętrznego życia, tojest życia umysłowego narodu.

Przedewszystkiém spotykamy w dziele autora: *Szkoły*. Pan Maciejowski nie lubi powtarzać się, i ztąd, jak uważaliśmy już, wszystkie jego naukowe prace mają pomiędzy sobą powinowactwo w myśli; jedno drugie dopełnia, a wszystkie stanowią pewną całość: niby są częściami obrazu. Pan Maciejowski nie lubi téż powtarzać innych, i dlatego jeżeli zdarzy mu się kiedy, że obrabia przedmiot, który już przed nim obrabiano, nie powtarza znowu cudzych odkryć, ale swojemi, po-

przedników prace rozwija, prostuje i dopełnia. Tak obraz szkół jest dodatkiem do dzieł Gąsiorowskiego, Muczkowskiego, Wiszniewskiego i Łukaszewicza. Sam pan Maciejowski wziął się do tego przedmiotu po raz czwarty (str. 76).

Nie będziem się zastanawiali nad historyą szkół i nad uniwersytetem krakowskim, bo to przedmiot w naszych czasach dość często obrabiany. Ale zwrócimy uwagę na akademią Zamojską, dla której dziejów mamy bardzo mało zebranych materyałów. Łukaszewicz nie przejrzał dobrze akt ordynacyi Zamojskiéj i dlatego niewiele przydał światła do przedmiotu; lubo i tutaj trudno mu zaprzeczyć zasługi. Pan Maciejowski powiedział nam więcéj od niego o akademii wielkiego kanclerza, i pokazuje się: że téj szkole na piérwszych potrzebach do życia zbywało, że naturalnie już tém samém nie mogła wywierać tak zbawiennego wpływu na naród, jakiego sobie życzył pan Zamojski. Była w Zamościu uosobiona nędza: professorowie nie mieli gdzie mieszkać i co jeść. Kanclerz aczkolwiek był bardzo bogatym panem, nie mógł przecież starczyć swoim majątkiem na ogromne potrzeby szkoły. Potém, chcąc wiedzieć o wszystkiém, otoczył uniwersytet tajemnym nadzorem, co oczywiście paraliżowało pracę professorów. Kiedy do trzech dawniejszych wydziałów dodał założyciel czwarty, teologiczny, a papież biskupa chełmskiego mianował kanclerzem uniwersytetu; szkoła ta już poddana drugiemu nadzorowi duchowieństwa, coraz bardziéj zaczynała się w stronniczą przybierać sukienkę i tracić na pierwiastkowéj swojéj ladajakiéj wartości. Od roku 1595 do roku 1630 trwa epoka najświetniejsza akademii Zamojskiéj. Filozofią wykładano tutaj z większym smakiem i z głębszą nauką, niż w Krakowie; matematyki uczono z korzyścią. Ale największe zasługi położyli prawnicy. Kanclerz gniewał się na uniwersytet krakowski, że był stronnym w wykładzie prawa polskiego, i że kierując wyłącznie interesem szlachty, nie dbał nic o prawo miejskie. W tém się pokazuje obywatelska myśl kanclerza i myśl reformy politycznéj kraju, albo przynajmniéj chęć, przez naukę wpływania na opinią. Dziwna jednak rzecz, że Zygmunt IIIci dbał widać o podniesienie miast, kiedy Adam Burski professor Zamojski, z polecenia króla zajął się nowém tego prawa wydaniem, które świat ujrzało w roku 1602 i także w Zamościu. Najznakomitszym professorem prawa w nowéj akademii był Tomasz Drezner, który w istocie wykładał swój przedmiot z wielkim zasobem nauki i wszechstronnością ile naówczas. Autor daje mu w XVIIIym wieku taką odegrywać rolę, jaką późniéj w nauce prawa odegrali Montesquieu i Edward Gans, co jest w istocie wielką dla Dreznera pochwałą. Zamojski, że na wszystko zwracał bystrą uwagę, sprowadzał i uczonych lekarzy do swojego miasta; ale krótko w jego akademii trwała sława medycznego wydziału. W ogóle o szkole Zamojskiéj podał nam autor *Piśmiennictwa* wiele ciekawych i nieznanych szczegółów, które zbogacają nasz skarb wiadomości o rodzinnéj nauce.

Rusini niepołączeni z kościołem rzymskim, mieli w Kijowie swoję akademią, która była na bardzo nizkim stopniu oświaty. Zacny metropolita Sylwester Kossow nie uwodził się dla niéj żadném uprze-

dzeniem. Ztąd Ruś chętnie uczęszczała do szkół rzymskich, do Jezuitów i do akademii w Krakowie; bez ubliżenia swojéj narodowości i wierze mogła się tam czegoś pożytecznego nauczyć. Inne też odrębności religijne i narodowe rozwijały się w Polsce swobodnie, kiedy naraz ten cały spokój zamącili ludzie stronnictwa, nie kraju. Wystąpili ze swojemi roszczeniami protestanci. Wprawdzie ich szkoły, instrukcyą i wewnętrznem urządzeniem swojém mogły być wzorem dla innych, ale w tém szkoły te pobłądziły, że w nich rozwijało się sekciarstwo. Główną tam rzeczą było wyznanie; oświecenie rzetelne umysłu, podrzędną. A raczéj, postawimy tutaj w całości rozrzuconą w dziele myśl pana Maciejowskiego: uroili sobie protestanci, że wyznanie jest owocem najwyżéj posuniętego światła, i silili się gwałtem wszystkich ludzi do tego światła nawrócić. Pod tym względem protestanci zupełnie się różnili od katolików, którzy z tolerancyą na wszystkie wiary i wyznania w Rplitéj patrzyli. Wtedy, t. j. przed tém pomieszaniem się wyobrażeń, nie unikał brat brata, że odmiennego był przekonania; owszem, nawzajem się wszyscy oświecali. Piotr Kmita zarówno wspierał katolickie jak i protestanckie szkoły. Tak było przed pojawieniem się Jezuitów.

Z pojawieniem się tego zakonu, i w katolicyzmie pokazała się wyłączność, a protestantyzm powrócił znowu do roli swojéj dawnéj, do oppozycyi, i znowu zaskarbił sobie spółczucie mass niekatolickich. Za ciężkie grzechy pokutują w książce pana Maciejowskiego Jezuici. Autor powiada, że chcieli oni dobra własnego, ale nie wiary, że umyślnie ociemniali naród, że nie dopuszczali naprawy Rplitéj, i że ogarnąwszy hierarchią naukową, zagasili resztę światła w narodzie i t. d. Jezuici mieli za sobą w Polsce: kościół, stany, oświatę, całą literaturę; jedném słowem, panowali w Rplitéj jak podbitym przez siebie Paraguay'u.

Za *Szkołami* idzie rozdział *O naukach*. Łacina zapoznała nas z literaturą rzymską a daléj z grecką. Otóż łacina była podstawą naukowości polskiéj i z niéj wzięło się zamiłowanie do pracy literackiéj i rozwój dalszy piśmiennictwa. Autor tutaj zwraca uwagę na dzieje filologii starożytnéj w Polsce i dopełnia niedawno wydane w tym przedmiocie dzieła Raczyńskiego, Mecherzyńskiego i Jochera. W rozdziale więc o naukach mieści się historya literatury łacińskiéj i greckiéj w Polsce, historya i bibliografia grammatyk, słowników, wydań autorów, tłumaczeń, kommentarzów, objaśnień i t. d.; wreszcie prac oryginalnych, poświęconych wyrozumieniu stosunków i historyi świata starożytnego. Autor układa sam bibliografią łacińską, opuszczoną przez Jochera, którą z czasem myśli drukiem ogłosić; poprzedzi ją rozprawa o duchu łaciny i jéj stosunku do nauk europejskich, a przez to autor przyłoży się znacznie do uzupełnienia wielkiego słownika Ducange'a, który źródeł naszych, t. j. naszéj łaciny nie powiemy że nie wyczerpał, bo wcale do niéj nie zaglądał. Praca ważna, zasługująca na wszelkie spółczucie uczonego świata.

Autor podnosi tutaj sławną w swoim czasie kwestyą o tém, kto był właściwie autorem dzieła Jana Zamojskiego *De senatu romano*. Zdaje się, że teraz już wszelkie zniknąć powinny wątpliwości, po rozu-

mowaniach p. Maciejowskiego. Autor w bibliotece ordynacyi zamojskiéj znalazł wiele pism szkolnych przyszłego kanclerza, a w nich materyały do dzieła *De senatu romano*, jego własną ręką skreślone. Czy to były notaty z prelekcyj akademickich, czy wypisy z dzieł autorów starożytnych — zawsze stanowiły gruby materyał, z którego Zamojski swoje dzieło napisał (str. 117—119). Z różnicy tekstu rękopisów tych i samego dzieła, pan Maciejowski dowodzi, że Sygomusz mógł co najwięcéj poprawić w kilku miejscach styl swojego znakomitego ucznia. Stanisław Kobierzycki napisał także dzieło o życiu Rzymian domowém, jak sam wyznaje, z odczytów swoich nauczycieli, a przecież nikt mu autorstwa nie zaprzeczył. W Zamojskim nie ma nawet śladów do twierdzenia, że nie zbadał sam własnym zasobem erudycyi swojego przedmiotu. A potém zdaje się, człowiek tak uczony jakim był Zamojski, dawał już w zdolnościach swoich i znajomości literatury bardzo dostateczną rękojmię, że mógł coś podobnego napisać.

Kommentarze czyli objaśnienia do autorów starożytnych (tak nazwane *claves*, klucze), już bardzo dawno pojawiły się w Polsce. Treter i Drożeński porobili takie klucze do Horacyusza, i podali wzór Europie. Przyjął ten klucz do swojego wydania sławny Bentlej, a późniejsi filologowie niemieccy, aż dodziśdnia na téj pracy polskiéj objaśnienia swoje fundują. Jako wzór uczonego i krytycznego filologa, słynie z tego czasu Jędrzéj Patrycy Nidecki, którego dzisiaj nikt nawet nie przeszedł w objaśnianiu i prostowaniu zepsutego tekstu dzieł starożytnych.

Byli jeszcze niedawno pisarze, którzy narzekali na zbytni wpływ łaciny w Polsce, i złorzeczyli temu wpływowi. Wiszniewski i Jocher narzekali, że Polacy dali się odurzyć przychodnim z Zachodu mędrcom, którzy ich własną mową pogardzać nauczyli, i woleliby, żeby pradziadowie nasi kształcili się raczéj na literaturze greckiéj. Pokochanie się w łacinie, podług nich, opóźniło postęp cywilizacyi polskiéj. P. Maciejowski nie jest tego mniemania; owszem dziękuje łacinie, że nas zapoznała z literaturą i oświatą zachodnią, a przez to wpłynęła przeważnie i na rozwój narodowego pierwiastku. Jeżeli błędy jakie były w rozwoju cywilizacyi polskiéj, to błędy te płynęły raczéj z winy przodków naszych, nie z winy Rzymian. Dlaczego dawni Polacy, pyta się pan Maciejowski, mając czystsze od starożytnych obyczaje i własne o rządzie kraju wyobrażenie i chrześciańską politykę, dali się nazbyt obłąkać pojęciom i zasadom rzymskiego świata, które tak mało przystały do ich natury? Łacina, a zwłaszcza poezya łacińsko-polska dała nas jeszcze poznać Europie. Pan Maciejowski rozwija następnie obraz korzyści i szwanków, jakie poniosły nauka, sztuki piękne i umiejętności z łaciny.

W wydziale kunsztów na akademii krakowskiéj, epokę stanowią Grzegorz z Sanoka i Jakób Górski; daléj Jan ze Stobnicy chciał opracować geografów starożytnych, ale wyręczył go Gdańszczanin Filip Kluwer; Struś chciał wyłożyć mitologią przez astronomią, a Nidecki obrabiał krytycznie Cycerona. Za to prawnicy polscy zbłądzili, kiedy wykładając zasady rzymskie, chcieli je zastosować do swojego narodu. Dążność

ta pokazuje się w szkołach jezuickich: nie było jéj w Zamościu. Istotnie był w tém błąd, żeby zasady obce wcielać w narodowe życie przodków naszych; czemu raczéj nie było lepiéj swoje rozwijać? Uczyć się trzeba było u Rzymian i poznać ich prawo, ale dla porównania a nie dla naśladowania. Nauka wprawdzie objaśnia, ale nie tworzy systematu, do którego nie wszystko należy ślepo naciągać. Prawo rzymskie nie mogło się stać prawem dla Rolitéj; Polacy go niecierpieli, a dlaczego?—powiedział już dawno Orzechowski. Dopiéro Zamojski utworzył w swojéj akademii kurs prawa rzymskiego dla nauki, ale nie jako wzór, na jaki naród polski ma się urabiać. Wydział teologiczny w uniwersytecie krakowskim był z początku bardzo śmiałym, ale wprędce bardzo upadł i rozlał się w ramoty. Wydział lekarski także nie wydał wiele użytku. Jeden Głogowczyk uderza gienialnym pomysłem, ale nie poznali się na nim spółcześni, i dopiéro w naszych prawie czasach Lavater uchwycił za myśl pierwiastkowo zrodzoną na ziemi polskiéj. Języki wschodnie także niebardzo zakwitły u nas, chociaż dyssydenci wspierali ich uprawę. Tak po kolei przechodzi p. Maciejowski historyą języka niemieckiego, włoskiego, francuzkiego, angielskiego i słowiańskich w Polsce. Sąto małe szkice, które następcy autora wypełnią. Jeden tylko Mecherzyński skreślił niedawno w Dwutygodniku literacl im historyą języka niemieckiego w Polsce, i znalazł o niéj dosyć faktów: bo język ten jeden z cudzoziemskich był w szkołach naszych publicznie wykładany.

Streścimy znowu w krótkich wyrazach myśl p. Maciejowskiego, którą przewiódł w swoim rozdziale *O naukach*. Łacina wiele dobrego nam zrobiła; uczyli się na niéj dawni Polacy. Z początku zabłysnęli gieniusze nauki, którzy nas z łaciny i po łacinie uczyli; ale kiedy zabrakło gieniuszów, a popęd przez nich nadany został do pracy, mędrki naśladować zaczęli i środek wzięli za cel. Powinni byli daléj rozwijać się po swojemu i w życiu i w literaturze, a oni pracowali nad rozwijaniem łaciny. Język rzymski miał być narzędziem, a stał się w ich rękach nauką. Zrobili, co chcieli. Jezuici podrzucali nam wyobrażenia z prawa rzymskiego, a mędrki wprowadzali do literatury pojęcia i zasady rzymskie i zarazili narodową wiedzę, stworzyli średnie wieki w literaturze bez myśli i bez czucia. W ich ręku stała się *sztuka*, a miało być *życie*.

Rzut oka ogólny na pisarzów wzorowych i pisarków, oraz mecenasów prawdziwych i udanych, dopełnia piérwszego obrotu literatury w dziele p. Maciejowskiego. Jest kommentarzem ten obrót piérwszy nietylko dziejów literatury, ale i dziejów narodu polskiego. Uczy bowiem, jak naród ten prowadził się w politycznem i domowém życiu za pośrednictwem szkoły, nauki i pisarzów. Piękne i poetyczne jest porównanie literatury polskiéj z naturą ziemi, która wszystko rodzi, ale ma téż i chwile swojego gniewu, i wtenczas zboże się na niéj nawet nie udaje. Literatura polska kilka razy odżywiała i upadała w jakieś uśpienie, ale zawsze postępuje naprzód.

Język jest podstawą nietylko piśmiennictwa, ale i literatury; zatém wykład literatury należy zacząć obrazem języka polskiego. Au-

tor przedstawia więc w obrocie *drugim* pismiennictwa obraz tego języka, rozwijającego się w duchu słowiańskiéj mowy pod wpływem łaciny.

W obrocie *drugim* Piśmiennictwa mieści się piérwsza część obrazu języka i stylu polskiego, bo dalsze części będą w tomach następujących. Jak dziś bieży Dunaj, najwspanialsza Słowian rzeka, powiada p. Maciejowski, tak odwiecznie płynęła polska mowa bystro i głęboko z poza Łaby, od dzisiejszego Hanoweru aż do koryta téj rzeki, przez zniemczone następnie Połabów kraje tocząc swoje nurty. Zatamowano tutaj jéj bieg dalszy, więc mowa polska przeskoczyła brzeg połabskiego strumienia i pchała daléj swe wody wśród łęgowatych nizin dawnego Łużyca. Ztąd sterując się ku wschodowi, ginęła chwilowo w nowych niby zaspach piasczystych, które około Zgorzelca przez Szlązk narzucili Niemcy, chcąc zatamować jéj postęp. Ale mowa polska przenurtowała piaski, już swobodnie i wspaniąle płynęła bez przeszkód po lewym brzegu Warty. Rozprężliwa jednakże, przeskoczyła San i toczy się daléj w przerywanym biegu aż pod mury starego Kijowa, aż po brzegi malownicze i wodospady starszego jeszcze Dniepru.

Trudne, ale bardzo ważne podjął w tym rozdziale autor zadanie, t. j. chciał nam przedstawić dzieje form językowych. Jestto, że tak się wyrazim, grammatyka historyczna mowy naszéj, i tym razem będzie ona znowu dopełnieniem, uzupełnieniem licznych prac nowych, które się na tém polu zjawiają. W niejednem miejscu, rozprawa p. Maciejowskiego rozwidni grammatykom drogę przyszłych badań.

Napisawszy historyą każdéj pojedynczo głoski, autor odkreślił zasługi dla alfabetu polskiego Parkosza, Zaborowskiego i Seklucyana. Z zasadami pisowni piérwszy wystąpił Parkosz, który zaczął kréskować spółgłoski dla zmiękczenia ich i oznaczył lepiéj mowne dźwięki; ale pomylił się w ustanowieniu pisowni brzmień syczących i twardych, np. *s*, *sz*, *z*, *ź*, *ż*, bo raz dla wyrażenia *sz* podwajał i potrajał spółgłoski, drugi raz ogonkami je znaczył. Zaborowski rozwijał Parkosza i zbliżył alfabet polski do czeskiego, kropkując i akcentując spółgłoski i samogłoski. Radę jego przyjęły druki, ale nie rękopisy, które albo poszły za starą pisownią, albo trzymały się swojéj. Nie wszystkie druki nawet przyjęły reformę Zaborowskiego. Wietor np. drukował Żywot Pana Jezusa Opecia swoją oryginalną pisownią, w któréj i stare błędy powtórzył, i wiele zasad powikłał, i nowe zasady wprowadzał w życie. Zamęt ten jeszcze więcéj pomnożył Seklucyan, który zepsuł swój język w Królewcu; ale podawszy nowe zasady pisowni, nie trzymał się ich w swoich następnych wydaniach. Piotr Stoiński i Jan Ursyn zapatrując się na druki Łazarza, w swoich grammatykach polskich ustalili alfabet, a ich reforma z małemi zmianami utrzymała się aż do naszéj chwili, chociaż Januszowski dziedzic Łazarza, rozwijał także niefortunne swoje pomysły o pisowni.

W historyi odmian językowych, przechodzi p. Maciejowski historycznie kształtowanie się wszystkich części mowy, od rzeczowników zacząwszy. Liczba podwójna w imionach naszych zginęła przez naśladowanie łaciny, i wiele innych faktów w przeglądzie p. Maciejowskie-

go świadczy za tém, jak mocno język polski kształcił się na wzór łaciny. Wyrażenia całe, składnia jest często w mowie naszéj łacińska: zatarły się pierworodne słowiańskie rysy języka i przyjęły obce formy. Ale to co zginęło, zginęło już bezpowrotnie, i żadne usiłowania uczonych nie wskrzeszą form już zamarłych. Dlatego dziwną nam się wydaje, że mimochodem i tego trącimy się przedmiotu, myśl p. Żochowskiego, który w *Mowni* swojéj chce koniecznie do życia przywrócić tę liczbę podwójną, na téj zasadzie, że naród, który dzisiaj jéj nie używa, może używać jéj będzie kiedyś za przykładem przodków. Zbyteczna to zawsze ta troskliwość o jutro. Każdy historyk ma zauważać fakt, który jest już w życiu, ale nie ten, który dopiero będzie kiedyś, albo o którym się domyśla historyk że będzie; grammatyk każdy jest historykiem języka i powinien notować objawy jego na które patrzy, a nie rozrządzać przyszłością. Jeżeli powróci liczba podwójna do języka, i jeżeli używać jéj będziemy, wtedy nastanie czas dla grammatyka zaciągnąć ten fakt do *Mowni*, wtenczas dla imion naszych, grammatyk ułoży modły (mówiąc słowami p. Żochowskiego) dla trzech liczb: pojedynczéj, podwójnéj i mnogiéj. Ale dzisiaj nie ma tego faktu; zginął on dla nas przez naśladowanie łaciny i tak się zespoliła ta nowa forma z duchem języka polskiego, że nic w niéj nienarodowego dzisiaj nie widzimy (1). I p. Maciejowski ukazuje wprawdzie wszędzie liczbę podwójną i w imionach i w słowach, ale tutaj nic dziwnego: autor Piśmiennictwa nie pisze grammatyki języka, ale historyą jego rozwoju i jego form nadobnych. Wygląda to na archeologią mowy polskiéj.

Historya daléj przymiotników i słów, ciekawa. Przymiotniki tworzyły się z rzeczowników i słów. Czas przeszły w słowach miał kiedyś odmianę swoję własną i dopiéro potém formować się zaczął od imiesłowu przeszłego; inne czasy pierwotne także zaginęły, a poskładały się z imiesłowów i słowa *jestem*; widoczny w tém wszystkiém wpływ łaciny. Autor mówi daléj o częściach mowy nieodmiennych i przechodzi do iloczasu, którego także kreśli historyą. I tutaj wpływ łaciny dawny iloczas słowiańsko-polski zagłuszył. Od czasu jak nastały rymy z końcówką, przez naśladowanie sławnych *versus leonini*, wiersz polski z miarowego stał się rytmicznym; zamiast iloczasu przyswoił sobie przycisk czyli akcent. Jednakże Kochanowski jeszcze probował pisać wierszem miarowym i hexametrem, co mu się niebardzo udawało. Kto dsisiaj na to się sili, chce rzeczy niepotrzebnéj i niepodobnéj; niepotrzebnéj, bo inne mamy zasady od starożytnych, rytmicznéj piękności; niepodobnéj, gdyż nikt głoskom naszym nie nada ciężkości i długości, obcéj uczuciu narodowemu.

Język polski do śmierci Kopczyńskiego przebył dwie doby, a obecnie przechodzi trzecią. W drugiéj ozwały się różne powiatowszczy-

(1) Słusznie mówi p. Kudasiewicz, że liczby właściwie podwójnéj nie ma nawet i w mowie ludu prostego: jest tylko zakończenie dawnéj liczby podwójnéj, ale nie znaczenie. Kiedy wieśniak powié: „zkąd idzieta", nie powié tego do *dwóch* osób idących, ale do jednéj częstokroć przez uszanowanie. Ta liczba podwójna zastępuje *wy* ruskie, *vous* francuzkie, a w mowie naszéj ukształceńszéj klassy wyraz *pan*.

zny i w drukach z sobą walczyły. żeby się stać piśmiennym narodu polskiego językiem. Wielkopolskie, szlązkie, połabskie, łużyckie i kaszubskie odcienie chciały się ukształtować w język, ale małopolska mowa przeważyła z krakowskiemi drukami. Język stołecznego grodu stał się językiem całego plemienia. P. Maciejowski uważa, że podług zeznania nawet greckich pisarzy, język Słowian był w ogóle syczący, i dlatego wpada na domysł, że szeplenienie jak u Mazurów jest napływowym pierwiastkiem. Od ujścia Wisły aż po okolice Nowogrodu Wielkiego na Rusi, lud cały szeplenił wbrew naturze języka słowiańskiego; za to w innych krainach odwiecznie przez praojców naszych zamieszkiwanych, lud nigdy nie szeplenił, ale syczał. P. Maciejowski wnosi, że te okolice, które oddawna miały z Niemcami stosunki, przejęły od nich to szeplenienie, ile że mowa pierwotna Niemców brzmiała zupełnie jak *platt deutsch* dzisiejsze; i naodwrót: lud niemiecki w tych stronach, gdzie stykał się ze Słowianami, porzucał szeplenienie, a przejmował słowiańskie *rz*, *cz* i t. d. Dzisiaj wszystkie narzecza zachodniéj Słowiańszczyzny są powiatowszczyznami języka polskiego: i kaszubska i łużycka mowa, chociaż Szaffarzyk chciał z nich osobne potworzyć słowiańskie języki.

Na Rusi złagodniał, wypieścił się język polski tak, że dzisiaj po włoskim jest najdelikatniejszym co do brzmienia ze wszystkich języków europejskich. Linde błąd popełnił, że zamiast na Rusi, upatrywał podobieństwa zdrobniałości mowy naszych przodków za Alpami; tymczasem ta pieszczotliwość była jak wtenczas cechą języka polskiego, nim włoski zaczął wywierać wpływ na rozwój naszego piśmiennictwa.

Styl polski kształcił się również jak język pod przewagą łaciny, i dlatego nie mógł się rozwinąć oryginalnie. Wreszcie rozłamał się na dwie połowy, jak naród: tojest reprezentował osobno szlacheckie, a osobno pańskie stronnictwo. Rej wesoły, rubaszny, pełen przypowieści i porównań, igrał wyrazami miejscowemi, w pewnéj tylko stronie zrozumiałemi: był męzki, jędrny, malowniczy a staroświecki, ztąd szlachcie podobać się musiał. Górnicki, człowiek wyższego ukształcenia i dworak, przedstawia styl pański: wymuskany i gładki. Jego sposób wyrażania się nie ubliżał nikomu, chociaż autor pisał satyry na wszystko, co widział w panach wyższych; tylko te satyry umiał tak ubrać, ubarwić w grzeczności, że ganiąc chwalił, a kiedy chwalił, to nieraz zdawało się, że ganił. Jednakże Górnicki cnotę i naród szczerze kochał, i nie dworował tam, gdzie należało mówić prawdę. Zalety stylu łagodziły wszystko, a najostrzejsza satyra na swój rząd *(Rozmowa Polaka z Włochem)*, nie dała spostrzedz panom głębokiéj ironii. Skargi styl środkuje między temi dwoma: niby ogniwo, co Reja z Górnickim spajało. Wydaje się on najlepiéj na ambonie, a mianowicie w kazaniach sejmowych. Nazwano go sprawiedliwie cudotworcą języka i przemożnym panem; ale fałsz jest w długo powtarzaném twierdzeniu, że Skarga najlepiéj pisał po polsku. Owszem, nikt tyle co on języka swojego do form łacińskich

nie naginał, nikt tyle w duchu łaciny wyrazów polskich nie utworzył, co Skarga. Nasz złotousty unika wprawdzie makaronizmów, zaokrągla peryody na sposób cyceroński, wyraża się pięknie i malowniczo: i to są główne jego zalety, do których i ta niepoślednia zaleta jeszcze może się liczyć, że Skarga jest zawsze z uczucia Polakiem i to do tego stopnia, że, jak powiada p. Maciejowski, gdyby zakon uwziął się wyzuć go z rodzinnego uczucia, w żadenby sposób dokazać tego na nim nie potrafił.

Obrot *trzeci* przedstawia nam piérwszą część obrazu poezyi polskiéj. Autor zakreśla tylko ogólne rysy tego obrazu, jakby wskazując na fakta, które w następnym dopiéro tomie rozwinięte będą. Wskazuje nam ducha, jaki ożywiał poezyą naszę w jéj rozlicznych drogach i rozgałęzieniach, wylicza pieśniarzy i innych poetów, ale nie rozbierając każdego szczegółowo, zbiera tylko kwiatki ze wszystkich do jednego wieńca, który mu poezyą polską przedstawia.

Wygórowała pieśń religijna polska nad inne rodzaje poezyi, które jednakże nie wiele zdradziły w nas życia; lubo byli wieszczowie, którzy się o epikę, dramat i lirykę wyższą pokusili śmiało, przecież lotu swojego natchnienia wysoko nie wznieśli, bo nie mieli twórczości. W hymnie tylko i dumce sprostali poeci nasi znakomitym wieszczom starożytnego świata i włoskim. Lepiéj się muzyce polskiéj powiodło, która uderza swoją oryginalnością.

Poezya religijna zaczęła się u nas od psalmów, potém już tworzyła szczytne pieśni i hymny, ale tylko w kościele rzymskim, bo protestanckie kancyonały nie mogły równać się w żaden sposób z wzniosłością katolickich pieni. Szarzyński, Grochowski i Miaskowski do najwyższego stopnia posunęli ten rodzaj poezyi, który się rozlał na tylu formach, mniéj albo więcéj nadobnych. *Godzinki* np. sięgają niepamiętnych czasów, kiedy je miał śpiewać jeszcze Bolesław Krzywousty; pisał je Wujek, Grochowski i Suski, a praca ta była wdzięczną, widać, dla piewców naszych, bo sam zapewne przedmiot, tojest nabożeństwo do Najś. Panny, było czémś narodowém w nutach polskich. To też Godzinki układali nasi pisarze dobrze już nawet po epoce, którą sobie wybrał p. Maciejowski; i przed stą laty jeszcze pobożny generał miechowski ksiądz Jakób Radliński, autor wielu dzieł i dziełek pisał Godzinki o Zwiastowaniu Najśw. Panny Maryi i t. d. które drukował w Krakowie u Jakóba Matyaszkiewicza w r. 1726. (1).

Kiedy się rozmnożyło wiele tych pieśni, poeci i drukarze zaczęli zbierać je w osobne kancyonały, których znowu koleją namnożyło się wiele. Różniły się one od kantyczek i zewnętrznie i wewnętrznie, chociaż i kantyczki stanowiły także zbiory pieśni. Kancyonały opatrywane były nutami i wyłącznie nabożeństwu poświęcone; w kanty-

(1) W rękopismie naszym, który obecnie posiadamy, a o którym w roku 1849 dał wiadomość w Bibl. Warsz. p. Tym. Lipiński, na str. 156, Radliński pisze: „ta książeczka już wyginęła tak, że jéj i ja sam nie mam, więc ją tu wpisać umyśliłem" I całą istotnie wypisuje: „Zacznijcie wargi moje chwalić Pannę świętą."

czkach zawierały się różnéj treści pisemka, lóżno wychodzące, a potém w jednę całość zebrane i przeznaczone do śpiewania: pobożne i światowe. Bez nich jednakże dlatego w kancyonałach kochali się dyssydenci, a kantyczki były wyłącznie katolickie. Tytuł ten *kantyczek* powstał około roku 1660, jak wnosi p. Maciejowski z exemplarza takiego zbioru, zachowanego w bibliotece dzikowskiéj, gdzie dwa wiersze wyraźnie o téj epoce dają świadectwo..

Treny i rozmyślania najmniéj zajmują miejsca w poezyi polskiéj. Głoskowski napisał *Zegarek albo pamiątkę* gorzkiéj męki; co spowodowało, powiada p. Maciejowski napisanie w XVIIIym wieku owych sławnych wierszy, które znamy pod tytułem *Gorzkich żali*. *Gorzkie żale* pod względem poetycznym zapewne niewielkiéj są wagi; ale w historyi nabożności przodków naszych zajęły już niepoślednie stanowisko. Dlatego zwrócimy tutaj uwagę czytelników naszych na pewną okoliczność, któréj autor rozwijać nie potrzebował w swoim systemacie opowiadania dziejów *piśmiennictwa*, bo téż z dziejami piśmiennictwa nie mają żadnego związku. Rzadko któréj pieśni tak dobrze jak *Gorzkich żali* znamy genealogią, a przynajmniéj historyą nabożeństwa passyjnego, na którém śpiewają się *Gorzkie żale*. Bractwo św. Rocha przy kościele parafialnym św. Krzyża w Warszawie, postanowiło obchodzić uroczyściéj jak dawniéj pamiątkę męki Zbawiciela; zwłaszcza, że ta pamiątka przypadała zaraz po dniach szumnych karnawału. Nabożeństwo passyjne tedy urodziło się na łonie tego bractwa, a potém rozpłynęło się na całą Polskę. *Gorzkie żale* stały się historyczną, powszechnie znajomą pieśnią. Piérwszy raz to nabożeństwo odbyło się 16 lutego 1698 roku w niedzielę piérwszą postu.

W świeckiéj poezyi nie mamy wcale gienialnych płodów. Było u nas dość zdolnych piewców, ale nie było poetów we właściwém tego wyrazu znaczeniu. Liryka niezbyt piękne wydała owoce. Najśpiewniejszy z poetów lirycznych Kochanowski unosił się po polsku na skrzydłach Horacyuszowych, i naśladował wieszcza rzymskiego w zewnętrznych ruchach, a nawet w mierze wiersza. Podania ludu piérwszy Jan Achacy Kmita zaczął przerabiać na poezyą, i dlatego ze względu na swój pomysł został w dziejach literatury, bo wykonanie zresztą w nim nędzne. Dźwigała się jednak powoli epika, i jak pieśń religijna w bardzo różnych objawiała się kształtach. Zdobyła się nawet na kilka powieści, na epopee, oczywiście mierne, które już z końcem XV wieku pojawiają się, i suną nudno w czasy następne, jak autor powiada. Naprzód poeci układali w rymy zdarzenia historyczne, wzięte z jakiéjkolwiek piérwszéj lepszéj historyi; potém tworzyć sami zaczęli. Usiłowania ich zasługują na wszelką pochwałę, bo pokazywały, że naród potrzebował wielkich pieśni, i że rozwijał się ku dzielniejszemu życiu. *Albertusy*, *Klechy*, *Matyasze* sąto epopee komiczne, bo za przykładem starożytnych i na ten tor nasi poeci wpadali. Pod względem sztuki mierneto zawsze utwory, ale w nich narodowe tkwią postaci, które radzi studyujem, żeby tajemnice dawnego życia przodków odsłonić. Poeci nasi malowniczo umieli przedstawiać charaktery i namiętności ludzkie; opisywali okolice ziem, a są w nich miejsca tak

piękne, że i dzisiejszym obrazkom natchnionych wieszczów mogą wyrównać (np. opis ładny ogrodu i wiejskiego ustronia, jaki daje Rej w swoim Wizerunku, u Maciej. str. 408). Sielanka za to polska nie była pieśnią improwizowaną od ludu, ale marzeniem poety, i przedstawiała świat, który tylko istniał w jego fantazyi. Dlatego, lubo piękne mamy utwory i w téj gałęzi literatury poetycznéj, zawsze sielanka pozostała bez rzeczywistego na świat i sztukę wpływu. Pieśni historyczne układali najzawołańsi poeci, ale od czasu ukazania się opisu Wenecyi Krzysztofa Warszewickiego (w roku 1572), robiono w nich alluzye polityczne; nikt przecież, lubo znakomite talenta i téj drogi się czepiały, nie mógł wyrównać pierwowzorowi. Mieliśmy też z poezyi dydaktycznéj bajkę i satyrę, która nie jak osobny rodzaj poezyi rozwijała się u nas, ale która rozlewała się w całéj literaturze: jednocześnie i epos, i liryka, i proza przemawiały do przodków naszych ironią i satyrą. Po wszystkich dziełach Reja rozlana jest satyra; Kochanowski, Klonowicz, Grochowski odznaczyli się na tém polu. Jędrzéj Gałka stworzył paszkwile, które za Zygmunta IIIgo odrodziły się z całą potęgą tłumionéj długo zawiści politycznéj i religijnéj.

Dramat polski zaczął się od religijnych przedstawień (misterya), ale wkrótce przeszedł granice przyzwoitości, i już arcybiskup Jan Kotwicz (um. 1341 r.) musiał go zakazywać. Płynęły te misterye do nas z zagranicy przez naśladownictwo; ale był i pierwiastek rodowy, z czasów pogańskich zaleciały. Lud nasz przedstawiał sobie sceniczne w czasie zapust zabawy, a na dworach królów i możniejszéj szlachty poeci dla takich widowisk pisywali dyalogi i wprowadzali na scenę czarownice i duchy. Z czasem ukształceńsza klassa narodu niedługo zaczęła tęsknić za czémś lepszém; zaczął się nasz dramat rozwijać pod wpływem obczyzny. Dyalogi z XVI wieku są dzieciństwem sztuki dramatycznéj; lepsze, gorsze, zawsze były dyalogami. Naśladownictwo późniéj usiłowania poetów zabiło, bo oderwało ich od źródła rodzinnéj poezyi, na jakie natrafili. I dzisiaj jeszcze nie mamy czego sobie powinszować pod względem poezyi dramatycznéj. Ale niech wieszczowie nasi powrócą do źródła rodzinnych natchnień, niechaj myśl w pisarzach XVI wieku, lekko nasunięta, rozwinie się w pełni; a literatura polska będzie miała dramat nowy, Europie nieznany, wyższy nad wszystko, co dzisiaj jedna sobie sympatyą serc naszych, wyższy nad dramat Szyllera i Szekspira. Taką świetną przyszłość dramatowi polskiemu przepowiada p. Maciejowski.

Pierwsza część obrazu prozy polskiéj do r. 1650, to *czwarty* obrot. Jak poeci nasi, mówi p. Maciejowski, zacelowali tylko w hymnie, dumce i obrazach malowniczych; tak prozaiści tylko w kaznodziejstwie i dziejach, i stali się przez to artystami. W innych oddziałach poezyi zdobyli się na pomysł, ale nigdy na wykonanie. Co do prozy, na rozwinięcie się jéj wpłynęły przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, stronnictwa polityczne, które nurtowały w narodzie. Charakter słowiański, miękki jak wosk—powiada autor daléj—co chcesz z niego zrobisz; ale nauka miała to zadanie, żeby obudziła w narodzie rozum i nadała jakiś hart temu zmiennemu charakterowi. Na słabość tę na-

szę spekulowali zagraniczni reformatorowie; istotnie nowinki geneweńskie i wittembergskie znalazły w Polsce dość wielki rozkup. Reforma rozbiła się u nas na kilka mass oddzielnie stojących, ale żadna nie miała siły; jeżeli znaczyła co, to przewagą swoich przewódzców: to też z ich śmiercią zwykle kończyło się wszystko. Książę pruski z początku rozmiłował się nadzwyczaj w polszczyznie, do Królewca ściągał uczonych Polaków i drukował dzieła polskie: pokazało się, że to czynił dla interesu, nie dla rzetelnego rozkochania się w narodowości polskiéj. Kiedy poznał, że wyznanie augsburskie nie ma się czego obawiać od Rzplitéj, rzucił patryotyzm na stronę. Wtedy i duchowieństwo katolickie poznawszy, że reforma gruntu serca narodu nie tknęła, wniosło sprawiedliwie, że prędzéj jak reforma dokaże swego i przeciągnie napowrót zbłąkany naród ku wierze przodków. Król Stefan, który w téj chwili przebudzenia się panował, wspierał silnie duchowieństwo katolickie w tych chwalebnych usiłowaniach.

I tutaj p. Maciejowski kreśli śmiałą ręką zarysy osób historycznych, którzy stanowiskiem swojém i czynami wpływali przeważnie na kolej przeznaczeń narodu. Na czele tych mężów występuje Jan Zamojski. Jednato, z wielkości naszéj historyi, jednato z tych osobistości potężnych politycznych i umysłowych, która powinna zająć poważne miejsce w dziejach całéj ludzkości i cywilizacyi. Zauważano to już oddawna, że w Rzplitéj polskiéj byli cnotliwi mężowie, dzielni mówcy, dzielniejsi jeszcze hetmani; że było tam wiele ciepła i poświęcenia się i zapału, ale że cała historya nasza niezbyt obfituje w mężów stanu, t. j. że mądrych kierowników narodu w niéj nie było. Jedném słowem, zarzucają nam brak gieniuszów politycznych narodowych. Jeżeli ten niedostatek kiedykolwiek uderza, to najwięcéj wtenczas, kiedy na myśl przychodzi Jan Zamojski, który dziwném zdarzeniem, lubo nie panujący, ma w dziejach naszych *Wielkiego* przezwisko. To dowód, że Zamojski był ideałem narodowego męża stanu, i że jeżeli zbłądził, zbłądził wierny charakterowi, jaki mu nadało pochodzenie polskie. Nie wzniósł się nad charakter swojego ludu, i niechcący wprawdzie, ale dał się rozwinąć pierwiastkom zgubnym, które potém spowodowały upadek Rplitéj. Już w piérwszym tomie *Piśmiennictwa* obwiniał Zamojskiego p. Maciejowski o pewne błędy, nie wypowiedziawszy całkiem zdania swojego. W recenzyi naszéj pytaliśmy się autora: w czém podług niego zawinił Zamojski? P. Maciejowski kreśląc teraz charakter znakomitego kanclerza, odpowiada na pytanie nasze. Przedmiot to wielkiéj wagi, ta charakterystyka osób historycznych, któréj dzisiaj probujemy. Z tego powodu wejdziem i my w pewne szczegóły, być może dość obojętne na piérwszy rzut oka dla dziejów saméj literatury, ale nieobojętne dla historyi narodu. Sposób myślenia albo postępowania ludzi wielkich, nadaje często kierunek myśli ogólnéj, i wpływa takim sposobem pośrednio na rozwój saméj literatury, która jest odbiciem się ducha narodowego.

Jan Zamojski, powiada p. Maciejowski, trzymał się doraźnéj polityki, tojest działał w duchu swojego czasu, nie oglądając się na przyszłość. Uczucie miało u niego przewagę nad rozumem; ztąd Zamoj-

ski występuje jako agitator i trybun narodu, który wreszcie daléj postępuje, jak go miał ten trybun zaprowadzić. Wtajemniczony w sprawy wielkiego i rozumnego króla, Zamojski zostawszy kanclerzem, to się znaczy przodkującym mężem stanu w Rplitéj, ujrzał nagle przepaść, do któréj mimowolnie naród przez szlachtę prowadził i stał się nagle innym człowiekiem. Odtąd życie jego spłynęło na bojowaniu; lawirował mądrze pomiędzy różnemi stronnictwami narodu. i wstrzymywał wszystko od ostateczności. Był prawowiernym synem kościoła, ale nie sekciarzem; dlatego hamował porywy jezuickiego zakonu, a protestantom pobłażał. Byłoto jeszcze dobrze za życia króla Stefana, ale kiedy w osobie Zygmunta IIIgo nastąpił na tron polski człowiek wyłącznie jednego stronnictwa, kiedy sekciarstwo podnosiło głowę: Zamojski chciał nauką oświecić naród. W tym celu założył uniwersytet, do którego nie dopuścił Jezuitów, w tym celu kazał wykładać prawo miejskie, w tym celu z instytucyami rzymskiemi obznajmiał naród, jakby chciał przeszczepić prawa Justyniańskie do Polski. To oczywiście mu się nie-udało. W czémże więc głównie zawinił Zamojski? P. Maciejowski nie wypowiada zwykle całéj myśli swojéj, rozrzuca ją po różnych miejscach i wiele domyślać się każe samemu; ale domysł już łatwy, kiedy autor wskaże światło i ocieniuje jaką postać. Jak więc dawniéj tak i teraz rozkryjemy tajemnicę myśli p. Maciejowskiego, a raczéj skupiemy ją w sobie. Zamojski w tém pobłądził, że nie trzymał się jednego systematu, że nie był konsekwentny sam z sobą, że raz o tém, drugi raz o czém inném myślał, że raz tych, drugi raz innych używał środków, aby poprowadzić nić przeznaczeń narodu; więc słusznie powiedział p. Maciejowski, że w nim był gorliwy obywatel, zacny człowiek, ale żaden mąż stanu: bo działał w duchu swojego czasu, ale nie dla dalekiéj przyszłości. Za młodu żywy i energiczny, rozruchawszy szlachtę, winien był nie cofać się potém i rozwijać daléj instytucye, które dał Polsce, na wszechogrom Rplitéj, na miasta i wioski; powinien był kraj swój rodzinny zabrukować berbami, jak mówiono w czasie czteroletniego sejmu, albo przynajmniéj na ten tor powinien był pchnąć nawę Rplitéj. Zamojski jednak nie działał, ale hamował stronnictwa, a naród chciał nauczyć rozumu: długa droga, bo nimby się naród wyuczył, potrzeba było, żeby żadnych nie miał przed sobą przeszkód, przez kilka może pokoleń, a sekciarstwo stało jak mur w Rplitéj, i miało do niéj wkroczyć ze śmiercią kanclerza, którego się dotąd obawiało. Albo kiedy był przekonany Zamojski, że skoncentrowanie władzy, że wzmocnienie powagi królewskiéj podniesie siłę narodu: po cóż w latach młodych agitował, po co wyłącznie jednemu stanowi licznemu, a mało uczonemu, mało tém bardziéj świadomemu spraw publicznych, oddawał całe znaczenie, cały głos w Rplitéj? Kiedy był młodym Zamojski, starosta bełzki i nie senator jeszcze, działał jako republikanin; kanclerz działał jak rojalista, a potém żal mu było jednéj i drugiéj formy rządowéj. I tu i tam, wszędzie serce nim kierowało, nie rozum, a powinno było kierować jedno i drugie: wtenczasby się pewno o bałwany morskie i skały nie rozbił. Był Zamojski kanclerzem i hetmanem; hetmanem był z przypadku, a jednak wszędzie raził wrogów Rplitéj:

światły, oczytany, rozumny, wielki mówca, był z natury rzeczy kanclerzem, a jednak źle się zasłużył dla Rplitéj. Na stare lata nie śmiał wymówić całéj prawdy i odkryć niebezpieczeństw przed narodem, z obawy, żeby nie utracił popularności; używał więc półśrodków. Chęć oświecenia szlachty rozbijała się o fizyczną niemożność jednego pana, i widzieliśmy wyżéj, jak wiele uniwersytetowi Zamojskiemu pod tym względem brakowało. Znał dobrze błędy swojéj polityki, a nie dał ich odkryć Górnickiemu. Więc nie sekciarz w sprawie wiary—w sprawie rządu był sekciarzem, tojest jednostronnym człowiekiem. To téż ze śmiercią kanclerza wszystko kłoniło się do upadku w Rplitéj.

Karłem obok tego olbrzyma był Zygmunt IIIci, który Polsce i sobie zguby życzył, aby nie dać Rusi tego, co jéj się sprawiedliwie należało. Zamiast utrzymywać równowagę między wyznaniami, na czém Rplita dobrze wychodziła, Zygmunt IIIci chciał podnieść powagę kościoła panującego w Rplitéj, dla którego sekty znały uszanowanie. Oddał się więc Jezuitom, których się królem nazywać pozwolił, widząc w tém chlubę dla siebie. I cóż się stało? Unia religijna, któraby sama z siebie przyszła do skutku, w rękach Jezuitów przerodziła się w jakąś propagandę narodowości, jednéj przeciwko drugiéj. Książę Konstanty Ostrogski zwolennik gorliwy unii, dla formy w jakiéj ją wprowadzono, stał się głównym nieprzyjacielem roboty Jezuitów i wchodził w sojusz z protestantami, którzy tak samo wrogami byli wyznania rzymskiego, jak i cerkwi wschodniéj. Daléj Szczęsny Herburt przez niechęć dla Zygmunta IIIgo, pokazał się gorliwym przyjacielem niezjednoczonych z Rzymem Rusinów, (nie wiemy powodu, dlaczego p. Maciejowski nazywa Herburta Morawianinem zniemczonym, a potém Rusinem. Herburtowie za Zygmunta IIIgo od pięciu do sześciu pokoleń byli już szlachtą czysto polską, a popieranie sprawy ruskiéj nie robi jeszcze Polaka Rusinem). Wpośród tych rozbujałych niepotrzebnie namiętności pokazuje się wielki człowiek, większy nierównie od Zamojskiego podniosłością ducha i zrozumieniem swojéj roli, prawdziwy mąż stanu, który nie wahał się nigdy pomiędzy popularnością a obowiązkiem, jedyny, wielki kierownik przeznaczeń narodowych. Znakomitszych rządowych zdolności w dziejach naszych nie znajdziem, jakie miał Lew Sapieha. Sam gorliwy katolik, nie pozwolił na żadne nadużycie katolicyzmowi; gromił również księży łacińskich, jak unią i dyssydentów, jeżeli w czém nad sprawiedliwość śmiało wykraczali. Za Zygmunta IIIgo powstrzymywał skutecznie namiętności na Litwie; nawet wbrew królowi przekonał Władysława IVgo, że jego systemat wiedzie za sobą szczęście Rplitéj, ale kiedy następca Zygmunta działać zaczął, już było zapóźno. Kość rzucono. Naród już wtenczas był sfanatyzowany, przyszła do tego mocna gorączka: szlachta rwała sejmy i nie baczyła na przyszłość Rplitéj.

Oto koleje, oto historya myśli kilku znakomitości, którym w pewnéj chwili życia narodu, władza dostała się w ręce. Literatura zostawiona ludziom, którzy wzrośli pod ich rządem, musiała mieć odblask swojéj chwili. Jak w polityce, tak i w piśmiennictwie nie mieliśmy gieniuszów, którzyby wcześnie otwarli oczy na nie-

bezpieczeństwo. — Przejdziemy zaraz do dalszego przeglądu dzieła p. Maciejowskiego; tutaj jeszcze rzucimy myśli kilka o Zamojskim.

Charakter tego męża zbyt stronniczo dotąd pojmowaliśmy. Bohomolec napisał prawdziwy panegiryk Zamojskiemu, na przyjętą aryngę u Stanisławowskich historyków do pisania życiorysów. Staszic wziąwszy także jednę świetną tylko stronę znakomitego żywota, wystawił w nim dla współczesnych i potomności wzór prawego obywatela, który żadnych nie miał przed sobą osobistych widoków, a jedno szczęście ojczyzny. To mniemanie aż do nas przetrwało, i aż do nas wszyscy Zamojskiego przezywali *Wielkim*. Zapewne mąż to znakomity pod bardzo wielą względami, ale jako człowiek musiał mieć i miał swoje wady. P. Maciejowski odsłonił w części drugą stronę tego charakteru, ale nie odszkicował go zupełnie, tylko o tyle, o ile to do dziejów literatury należało. Nowsi zbieracze znaleźli kanclerzowi wiele do zarzucenia w sprawie Samuela Zborowskiego, a tak powoli, powoli i wady wielkiego Jana wychodzą na wierzch. Kanclerz ordynacyą budował na przeciwwagę demokratycznym wyobrażeniom szlachty; jakże dziwny półśrodek! Kanclerz tworzył całą literaturę bezimienną dworaków, których płacił, a ci odzywali się do narodu, nibyto niebezpieczeństwa i wady rządu wskazując; jakże i to dziwny półśrodek! Napomykamy tutaj umyślnie o tych okolicznościach, że właśnie w jednym z nowszych utworów powieściowych literatury naszéj, znaleźliśmy postać Zamojskiego nakreśloną zupełnie fantastycznie, nie na wzór Bohomolca wprawdzie, ale na wzór Staszica. W *Zamku Krakowskim* znakomitego autora Listopada, Zamojski jest główną figurą, naokoło któréj gruppują się wszystkie wypadki. Soplica nasz chciał w nim wystawić wzór zacnego i światłego obywatela Rzplitéj pod koniec XVIgo wieku. Starożytny Xenofont napisał życie Cyrusa, ale zaraz powiedziano, że autor grecki wziął tylko imię Cyrusa i główną kanwę jego wypadków, ale że na niéj utkał fantastyczny obraz prawodawcy Persów, i chciał w tym obrazie więcéj wystawić wzór dobrego i rządnego monarchy, jak Cyrusa; wybrał zaś go a nie innego prawodawcę lub wodza dlatego, że Cyrus najbliżéj podchodził pod ideał, jaki sobie historyk utworzył o dobrym królu. Tak Xenofont ukrył błędy, a rozwinął cnoty Cyrusa, i dopełnił z imaginacyi wspaniałego obrazu. Można toż samo powiedzieć i o téj głównéj postaci w *Zamku Krakowskim*. Autor wybrał sobie Zamojskiego, dlatego, że chciał wystawić typ narodowy zacnego Polaka XVIgo wieku. jak powiedzieliśmy, a Zamojski najwięcéj pod ten typ podchodził. Ztąd wady jego umyślnie ukrył, a raczéj nie domyślał się żadnych wad w Zamojskim i rozwinął same zalety. Zamojski występuje nieraz w *Zamku Krakowskim* przed czasem i w gronie swych senatorów, którzy go słuchają, bo on im wykłada prawo tolerancyi i zasady swobód szlachty polskiéj. W *Zamku* Zamojski właśnie jest takim, jakim byćby powinien dla dobra kraju. Każda scena w któréj występuje, przedziwna. Całą konstytucyą Rzpltéj Batorowskiéj nosił w sercu swojém i w rozumie ten Zamojski z *Zamku*, i mógł ją daléj na zasadach

sprawiedliwości rozwijać. Postać historyczna podniesiona w powieści do ideału. Dlatego szczerze żałujem, że ginie w *Zamku Krakowskim* złudzenie, lubo nam zawsze został typ przecudny, typ taki, jak *Podstoli* Krasickiego, ale na dwa wieki dawniejszy.

Wracamy do Piśmiennictwa p. Maciejowskiego.

Jeżeli gdzie, to u nas najwięcéj pisarz każdy był człowiekiem publicznym; jeżeli nie dawało mu praw równych z innemi obywatelami wyznanie, to je miał jako szlachcic, jako uczony, jako dworak, jako wreszcie człowiek pewnego stronnictwa w narodzie. Dla tego samego literatura więcéj u nas jak gdzieindziéj była reprezentantem uczuć i myśli narodu Wszystkie wyznania, wszystkie wiary i wiarki miały w Polsce swoje tłumaczenie biblii, swoich kaznodziejów i wykładaczów. Potrzeba sama zniewoliła do przekładania Pisma św. i do pisywania o niém po polsku. Ztąd w odległéj już starożytności miał swoję bibliotekę rękopismienną kapłan katolicki, złożoną z kazań, modlitw, pieśni nabożnych i kościelnego nabożeństwa; miał ją i ksiądz hussyta, a późniéj i ministrowie protestanccy wszelkich odcieni. Pismiennictwo religijne płynęło u nas jednakże z początku wspaniałém korytem i nie obfitowało w dziełka, które się potém coraz częściéj pojawiały, a które były wyskokiem rozumu rozdrażnionego fanatyzmem. Dopiéroto po śmierci Zamojskiego Jezuici zarzucili Polskę tłumaczeniami z włoskiego i hiszpańskiego języka, a potém na wzór tych tłumaczeń, klecili różne tego rodzaju pisaniny. Kiedy się spór zawiązał o dogmata pomiędzy różnemi wyznaniami, katolicy pisali na protestantów, a ci nawzajem na katolików, bez żadnéj ztąd dla siebie szkody. To dowodziło zawsze pierwiastku tolerancyi, który głęboko w łonie naszego towarzystwa spoczywał, a którego Jezuici zagłuszyć nie mogli. Jedni tylko Aryanie źle wyszli na tych sporach; ale bo téż cel mieli tajny, niereligijny: burzyli w narodzie wiarę, podnosząc takie kwestye, które nie były sporne dla żadnego wyznania, np. kwestya, czy Jezus Crystus był synem bożym, czy Bóg jest w Trójcy św. jedyny? i t. p. Kłótnia o sakramenta, o grzechu pierworodnym, o stworzeniu świata, nie ożywiała tak bardzo namiętności, jak spór o te przedmioty, które i dla katolików i dla protestantów zarówno były święte. Ale i tutaj zawinili więcéj Jezuici, bo aryanizm pierwiastkowo nie w to zmierzał, do czego się potém skierował; a że się skierował w inną stronę, winni temu byli Jezuici, którzy go nie zostawili w pokoju. Bez ich gorliwości, aryanizm byłby zgnuśniał, jak inne sekty. Deizmem i materyalizmem przesiąknięty, rozgniewany aryanizm powstawał przeciw Rzpltéj i wylał się na wszystko; to téż nie przeżył czasów Jana Kazimiérza, a inne sekty protestanckie przeżyły do upadku samodzielności narodu.

Duchowieństwo katolickie nie tamowało oświacie postępu; owszem, chciało ją rozwijać daléj; nie broniło młodzieży przystępu do szkół, ale narzekało na tę młodzież, kiedy z zagranicy przynosiła lekceważenie wiary i cnoty narodowéj. Duchowieństwo lękało się roz-

wolnienia wszystkich form społeczeńskiego porządku u nas, jak w Niemczech; lękało się powstania chłopów, jakie było nad brzegami Renu i jakie szlachta musiała przytłumiać. Był kościół katolicki silny za Rplitéj, bo nawet służący mu biskupi jakim był np. prymas Uchański, nie o skomponowaniu innéj wiary myśleli, ale chcieli oderwać się od papieża, albo wytargować chcieli na nim niepodległość kościoła. Protestantyzm zginąłby sam pod własnym ciężarem, bo długo nie miał męczenników, którzyby chcieli życie swojego wyznania, życiem własném okupić. Ale prześladowanie przez Jezuitów zaczęte pod Zygmuntem III, i protestantyzm podniosło do godności zasady.

Zarody téj nietolerancyi jeszcze posiano w czasach Zygmunta Augusta, bo wtenczas już nuncyusz usiłował nakłonić króla, aby wydobył miecz z pochew na heretyków. Orzechowski więc dowodził, że król polski jest niczém, a prymas podnóżek papieża szafuje wszystkiém. Krasiński, świeżo wydany po polsku, twierdził, że król polski ma całą swoję świetność i władzę od prymasa, który papieża zastępuje. Hozyusz, do r. 1569 światły mąż stanu i senator, nagle staje się jednostronnym; kiedy wprzódy łagodził namiętności i bronił się na odporném stanowisku, zaczyna zwracać się ku prześladowaniom, nawracaniom i podmowom. Rokosz Zebrzydowskiego był ostatniém oparciem się świata dawnego, wyłącznemu panowaniu Jezuitów.

I p. Maciejowski tutaj wykrywa błędy zakonu jezuickiego. Jestto druga odpowiedź na pytanie stawione przez nas przy recenzyi piérwszego tomu. Jezuici powinni byli trzymać się polemiki, jak się téż jéj trzymali, ale nie nawracać. Obowiązani byli stanowiąc opozycyą, oglądać się na położenie kraju. Działaliby poczciwie, gdyby za podstawę swoich sporów wzięli Rzplitę i bogacili naukę nie chytrością; gdyby rzeczywiście chcieli dobra kościoła, a nie swego własnego; gdyby chcieli oświecać nas, gdyby sami obfitując w dostatki, nie skąpili ubogim grosza, nie odgrażali się zemstą i t. d.: wtenczas mając już duchowieństwo i świeckich ludzi za sobą, wywołaliby światło, rozwinęliby literaturę i zasłużyliby się dobrze względem narodu. Postępując jak postępowali, zagasili to światło przez fanatyzm i stworzenie literatury polemicznéj, stali się utrapieńcami Rzplitéj. Tak utrzymuje p. Maciejowski; a w słowach jego jest może cokolwiek przesady, kiedy, jak powiedzieliśmy, zupełny Paraguaj ogląda w Polsce. Ale i w Paraguaju więcéj cywilizującą odegrali Jezuici rolę.

W kaznodziejskiéj wymowie wygórowali u nas Skarga i Birkowski, lubo szereg kaznodziejów ogromny. Protestanci na téj drodze zupełnego pierwszeństwa ustąpili katolikom; nic dziwnego: przemawiali do samego rozumu. Z kościołów swoich wyrzucili obrazy święte, więc logicznie postępując, z mów swoich wyrzucili wszystkie środki, które wrota kaznodziejstwa podnoszą. Osamieli téż i w pustych przemawiali świątyniach.

Nad dziejami kościoła zaczęli pracować Polacy dopiéro za czasów już protestantyzmu, kiedy sporne kwestye zajmowały wszystkich. Zapał do badań tego rodzaju powiększył się od czasu rozdzielenia się Rusi na dwa nieprzyjazne obozy. Badania zaczęły się od żywotów

świętych. Pisali Polacy te żywoty po polsku, a Rusini po rusku; ale od czasu kiedy powiedzieli Jezuici, że tylko święci kościoła rzymskiego mogą tworzyć cuda, tylko księża łacińscy wypędzać czartów (tak utrzymywał Wujek), Rusini zaczęli pisać żywoty świętych swoich po polsku. Piérwszy pod tym względem wystąpił metropolita Sylwester Kossow, który w roku 1635 wydał Pateryk, tojest żywoty świętych z pieczar kijowskich; za nim poszedł Kalnofojski, który pisał o samych cudach; daléj Mohiła tworzył plan ogromny, który nie przyszedł do skutku. W kościele katolickim od czasów żywota św. Jadwigi, przez cały wiek XV nie pokazało się żadne w tym przedmiocie dzieło, dlatego, że w czasie sporów religijnych, jakie od czasu Hussytów miały miejsce, ustała ich wiara w świątobliwość i świętych. Jezuici piérwsi wystąpili z żywotem Ignacego Lojoli (Szymon Wysocki), i odtąd coraz więcéj mnożyło się prac tego rodzaju. Szymon Turnowski protestant rozwinął skrzydła do podniośléjszego lotu i trącił o krytyczne dzieje kościoła. Turnowski twierdził, że nie wyznaje żadnéj nowéj wiary, ale prawdziwą katolicką i staropolską. To wyznanie dało pochop do sporów, w których stronom chodziło nie o prawdę, ale o jéj pozory, i dlatego w tych sporach zyskała polemika, ale nie dzieje kościoła. Polemika zamiast ukoić, wzniecíła jeszcze bardziéj niechęci wzajemne Rusi do Polski, chociaż godni ludzie jakiemi byli metropolici, zacny Piotr Mohiła i Sylwester Kossow, spór na właściwą drogę odrzucili i chcieli dla Polski zaskarbić serce swoich współwyznawców. Byli to światli ludzie, na których powstawała ciemnota.

Do historyi bractw kościelnych, które wprowadzili do nas Dominikanie, a które rozwinęli na większą skalę Jezuici, do historyi pojedynczych zgromadzeń zakonnych i kościołów, są w zabytkach piśmiennictwa polskiego wielkie materyały. Protestanci także nie zalegali pola i opisywali swoje zjazdy, nabożeństwa i zbory. Co do zborów, bronili im katolicy naprawiać stare, budować nowe, a piérwszym powodem był na téj drodze Piotr Skarga.

Co do prawa kościelnego najwięcéj się w literaturze odbiły spory co do dziesięcin. W polityce zaś duchownéj grają rolę spory o synody, odpusty, jubileusze, kalendarz i t. d. O kalendarz nie z protestantami, tylko z Rusinami walczyli katolicy. Solikowski arcybiskup naglił władykę lwowskiego, aby kalendarz przyjął; ale władyka udał się do króla, który gwałt wstrzymał: obrano więc drogę przekonania, i Grodzicki w Wilnie powiedział dwa kazania o poprawie kalendarza, wprawdzie rozsądnie i uczenie, ale Rusi jednak nie przekonał, tém bardziéj, że professor krakowski Jan Latosz powstał przeciw niemu.

Proza świecka zaczęła się w Polsce od gminnych powieści, potém dopiéro podniosła się do allegoryi i romansu historycznego. Achacy Knita czasy przedhistoryczne ubierał w powieść; Tomasz Budny po prostu opowiadał o tém, co dzieje krajowe podały o mężach i niewiastach sławnych; Mirecki przedstawiał żyda wiecznego tułacza, i prawił przeciw protestantom, a inni tłumaczyli Marchołta, Gryzelę, Meluzynę, Magiellonę i t. d. Urodził się humor polski w żartach Smolika i Stańczyka, który odzywa się jeszcze w opowiadaniach księcia Radzi-

wiła panie-kochanku. Górnicki miał przeczucie powieści historycznéj naszego czasu.

Kalendarze znowu się stały składami postrzeżeń gospodarskich, i rozwinęły tę gałąź piśmiennictwa polskiego. Dzieła, które mamy, stosunkowo do czasu w którym wyszły są wielkiéj wagi, a nic równego nie mogą pokazać Czesi, ani Niemcy. Lekarska sztuka bierze środki swoje od natury; ztąd w kraju rolniczym i ta literatura musiała się rozwinąć. Już Rej zachęcał ziemianina polskiego do rozważania tajemnic przyrody i trafił mu do przekonania. Ztąd już z roku 1423 posiadamy swój zielnik, a raczéj mamy pewność, że wtenczas był napisany dla Gastolda wojewody trockiego, a Falimiérz, Spiczyński i Siennik z niego korzystali. Narodową medycynę ustalił Marcin z Urzędowa, który twierdził, że lekarz ten nie jest dobrym Polakiem, który z polskich ziemiopłodów nie robi lekarstw, ale wyciska je z zamorskich, albo nawet gotowe sprowadza z zagranicy; i powstał szereg znamienity uczonych lekarzy polskich, którzy się wielce zasłużyli dla nauki. Jan Zamojski kołatał do zagranicznych akademij, i prosił o rozprawy o kołtunie. Pożytek wód mineralnych odgadywali już Oczko i Petrycy. Weterynarya, chirurgia, akuszerya kwitnęły u nas. O anatomii, fizyologii, medycynie policyjnéj, rządowéj, mamy tylko dzieła pisane po łacinie.

O wojskowości w literaturze zagaił hetman Tarnowski, ale wyżéj nad niego wzleciał Albrycht książę pruski, którego dzieło przetłumaczył Strubicz. Pracowali w tym zawodzie: Marcin Bielski, hetman Zamojski, ale po nich wyłącznie artylerya zajmowała pisarzów wojskowych polskich. Stanisław Pachołowicz za króla Stefana wyrysował mappy księztwa połockiego, które za staraniem autora Piśmiennictwa przed kilkunastą laty odbito w Petersburgu. Dzieł o budownictwie nie napisali wiele przodkowie nasi, bo zagraniczni budowniczowie czerpali swoje wiadomości z ksiąg cudzoziemskich, a krajowi sami dla siebie byli chodzącą architektoniczną księgą, kiedy w budowaniu trzymali się odwiecznie, tradycyjnie sobie przekazanych zasad.

Wszystko, o czém dotąd rozprawiał p. Maciejowski, wcielając w to i matematykę, stanowiło podług niego czytelnią użyteczną ludziom wszelkiego stanu. Ale była w literaturze polskiéj druga czytelnia dla ludzi wyższe ukształcenie mających: tu należały dzieje, ziemiopisarstwo, prawo, polityka, filozofia i wymowa.

Dzieje zaczęły się w Polsce od roczników, potém opowiadane były w kronikach. Chwalczewski piérwszy pisał w języku ojczystym lubo i przed nim byli kronikarze, którzy probowali wyzuć się z uprzedzenia dla łaciny. Żywotów od Piotra Duńczyka aż do Kallimacha mamy dość. Genealogią piérwszy Długosz zaczął spisywać; potém zjawiają się pamiętniki, których wiele znajduje się wydanych, a więcéj zapewne niewydanych; wreszcie lóżne pisemka, które w swoim czasie pełniły służbę dzisiejszych gazet: *pomniki, nowiny, relacye,* stanowią bogate źródło do naszéj historyi. Czasami te pisemka układano w osobne zbiory, jakiemi były sławne *Acta Tomiciana, teki Naruszewicza* i t. d. Z tych źródeł układali najprzód swoje kroniki Mateusz i Wincenty, ale

że w nich więcéj było o Krakowie, jak o innych stronach Polski; ujęli się za swojém gniazdem Bogufał i Baszko, którzy o Wielkopolsce wiele podali szczegółów. Długosz dwa te prądy zlał w jednę rzekę. Naśladowali go następcy, którzy także szukali po kronikach, ale nikt nie stworzył pomiędzy niemi takiego ogromu, jak Stryjkowski. Po Stryjkowskim nikt u nas nie pisał o Rusi, lubo mieliśmy kilka dzieł o Lisowczykach, o Tatarach, o Turkach, o Pomorzu. Dzieje powszechne mieliśmy tylko w Bielskim, i o szczególnych tylko wypadkach zagranicznych pojawiały się broszurki i *nowiny*.

Pięknie wskazuje p. Maciejowski na rozwój myśli polsko-dziejowéj. Kronikarze nasi niewiele myśleli o sztuce pisania historyi: kłopotali się tylko o fakta i wyszukiwali coraz nowsze źródła, ale nie zgłębili dostatecznie przedmiotu, i aż do XVI wieku nie wyrobili sobie żadnéj metody historycznéj. Naśladowali Sallustyusza i Liwiusza, którzy w ich pojęciu najpiękniejszy dali wzór pisania dziejów. Widmo rzymskie stało im ciągle przed oczami i zawsze podług wzorów starożytnych nietylko prace własne, ale i bohaterów i wypadki ojczyste mierzyli. Byłoto dobrze póty, póki historya służyła dla rozrywki; ale kiedy powiedziano, że w historyi nie o to idzie, by z niéj się nauczyć jak być cnotliwym (tego nauczy ksiądz z ambony), ale o to, ażeby mając dzieje za matkę rozumu i ludzkich mądrości, nauczyć się roztrząsać zdarzenie, a roztrząsnąwszy je, wierzyć w prawdę z miłości dla niéj: dotychczasowe obrabianie historyi nie odpowiadało już oczekiwaniom narodu. Dopiéro Naruszewicz, a za nim Czacki i Lelewel na tę drogę lepszego pojmowania dziejów wstąpili.

Nie idzie za tém, żeby podnioślejsze umysły nie miały czystszych w tym przedmiocie wyobrażeń. Może to jeszcze wszystko było przedwcześnie. Sam p. Maciejowski rozdziela dawnych dziejopisarzy naszych na kronikarzy i historyków. Tamci mają miłą prostotę, chętniéj sprawdzają jak rozumują, odsłaniają tajemnice spraw, sprężyny, bez żadnego na osoby względu; drudzy zdradzają pretensyą do dzisiejszéj filozofii i dziejów. Piérwszym powodem do tego rozdwojenia był Kochanowski swoją rozprawą o Lechu. Zarażony w Bononii krytyką Sygoniusza, zaprzeczył polskiemu Lechowi i porodził szkołę mędrców, krytykujących i filozofujących. Nie podniósł się więc u nas kunszt historyczny. Wiszniewski tego faktu widzi w tém przyczynę, że nie było w Polsce mianowanego przez rząd krajowy historyografa, na którego dopiéro fundusz wyznaczył człowiek prywatny Sebastyan Petrycy, i że długo nie pisano u nas historyi spółczesnych. P. Maciejowski sprawiedliwiéj powiada, że kunszt historyczny dlatego u nas nie powstał, że nie było wyrobionego pojęcia o historyi: jedni chcieli od niéj panegiryku, drudzy Homera stawili na równi z Tucydydesem i Kromerem.

Po kronikarzach, Długosz jest także źródłem ziemiopisarstwa polskiego. Za nim poszli Jędrzéj Glaber z Kobylina, który tłumaczył Miechowitę, Paszkowski, który Gwagnina pomnożył i t. d. Rej w Zwierzyńcu zdobył się piérwszy na malowniczy opis Polski. Przez podróże Polaków za granicę, zyskała historya narodu, ale nie historya literatury

naszéj. Ślady najdawniejszych pamiętników podróżnych znajdują się w Paprockiego Herbach rycerstwa. Ale dopiéro przekład pielgrzymki księcia Mikołaja Sierotki Radziwiłła przez Tretera, rozpoczął szereg płodów w tym rodzaju, rzeczywistą mających wartość. Opisów jednak podróży po kraju ojczystym ma literatura nasza mało, i to więcéj zrobionych przez cudzoziemców. Od Wulfstana i Benjamina z Tudeli aż do Gilberta de Launay i Contaraniego w XV wieku, mimy szereg dzieł, niepróżnych interesu. Późniejszych streszczono w Zbiorze Pamiętników. Za to statystyką dość zajmowali się Polacy; szkoda jednak, że pisali po większéj części po łacinie. Kromer i Jan Krasiński położyli pod tym względem krok piérwszy i umiejętny. Ksiądz Łęczycki Bernardyn przełożywszy z włoskiego dzieło Bottera, dał sposobność ziemianom polskim, nieznającym obcych języków, obeznać się bliżéj ze statystyką Europy.

O prawie pisał dużo p. Maciejowski, we wszystkich swoich poprzednich dziełach; w dziejach więc literatury nie rozwijał organizacyi instytucyi i praw rodzinnych. Wskazawszy tylko na treść rodowych i politycznych praw, przystąpił odrazu do faktów i rozdziela je na trzy gałęzie: na zbiory praw, na wykład ich i pomoce naukowe. Rozprawa o postępie staropolskiego prawodawstwa kończy ten rozdział.

Wielkich polityków, którzy mu dobrze radzili nie wspierał naród, bo ich nie pojmował, i ztąd utracił wszystkie nieraz korzyści, jakie mu nieśli ludzie z rozumem i z sercem. Długosz, Modrzewski, dobrze radzili. Orzechowski ojciec broszurowo-politycznego piśmiennictwa, zaślepiony namiętnością, źle radził. Ostroróg trafił na czas, i wszczepił mądre rady w życie narodu. W czynach odznaczyli się: Zamojski i Sapieha, a ich słowo, jak powiada p. Maciejowski, stawszy się ciałem zamieszkało między nami na szczęście i nieszczęście Polski. Inni politycy byli sekciarzami. Rozprawa p. Maciejowskiego, która rozwija tę politykę Polski wewnętrzną i zewnętrzną, potrąca raz jeszcze to ważne pytanie o Jezuitach i Zamojskim, o których już wyżéj zdaliśmy sprawę. Rozwija obraz, który wiele ma w sobie prawdy, i który dla następnych badaczy naszych służyć będzie za punkt wyjścia. Nasi politycy podzielali się w sympatyach swoich za Platonem i Arystotelesem. Orzechowski marzył nakształt Platona który prawa swoje pisał dla (Aten.) Lew Sapieha, w duchu Arystotelesa przemawiał, ale ze ścisłém do miejscowości zastosowaniem się. Zamojski gonił za wzorami rzymskiemi. P. Maciejowski nie wierzy, by mógł się chwilowo nawet udać w Polsce zamysł Kallimacha, który narzekał na zaślepienie narodu, dowodząc, że forma republikańska rządu nie przystoi państwu Jagiellońskiemu. Książęta litewscy zostawszy królami polskiemi, opierali się na szlachcie, więc dobrze robili obaj Zygmuntowie, kiedy starali się w ładzie być ze szlachtą. Ich zwłoka i wyrozumiałość, były mądrością stanu W tymże właśnie duchu przemawiał Fryc Modrzewski, który po Ostrorogu najlepiéj pojmował zdrową politykę, jakiéj się powinna była Polska trzymać dla szczęścia swojego. Ten światły człowiek uprzedził w pomysłach wielkich mędrców, jak Bec-

caria, Montesquieu, Filangieri; główszczyznę potępiał; w morderstwie, czy szlachcica czy chłopa, widział jednakową zawsze zbrodnię. Rozpisał się też o rządzie kościoła, nie dlatego, żeby wszystkie wyznania chrześciańskie w jedno stopić, ale dlatego, żeby pogodzić katolików z protestantami: żeby dopiąć tego łatwiéj, nie radził porzucać kościoła rzymskiego, ale hierarchią duchowną poprawić.

Filozofia scholastyczna jak wszędzie, tak i u nas panowała. Grzegorz z Sanoka oprócz etyki nie cierpiał żadnéj filozofii starożytnéj, a byłto człowiek postępowy. Naród jednakże gardził formą, ale nie rzeczą; kiedy tylko doszła do publicznéj wiedzy jaka powabna myśl filozofa starożytnego, kiedy jaki pisarz poruszył przedmiot, który na siebie zwracał uwagę: wnet wyradzała się naokoło téj myśli i pisarza cała literatura polemiczna. Dzieła o wychowaniu młodzieży tutaj należały; po polsku Erazm Gliczner piérwszy wystąpił na tém polu.

Już w XVII wieku byli w Polsce znakomici mówcy, a założenie akademii w Krakowie przyczyniło się wielce do rozwinięcia się téj gałęzi literatury. Krasomówstwo wykładano publicznie w Zamościu po łacinie. Po polsku prawidła wymowy piérwszy podał Sakowicz. Jako owoc nauki i talentu posiadamy mowy sejmowe, sądowe, pochwalne, ale najwięcéj pogrzebowych. Brak gruntownego ukształcenia sprawił, że wymowa łacińska w Polsce stała wyżéj od polskiéj; sławę jednak europejską posiadających łacińskich świeckich mowców trzech tylko mieliśmy: Kromera, Orzechowskiego i Modrzewskiego.

W obrocie *piątym* śledzi p. Maciejowski wpływ literatury na charakter i życie narodu, religijne, moralne, domowe, polityczne, i nawzajem wpływ narodu na literaturę; daléj wykazuje stosunek jéj do sztuk pięknych i do pismiennictwa ościennych ludów. Pod tym ostatnim względem, autor w swojém dziele daje przyczynek do historyi sztuk pięknych, niedawno co ogłoszonéj drukiem przez Sobieszczańskiego i rozwija pomysły swoje o wpływie literatury polskiéj na Białą Ruś, Niemcy, Litwę i za-karpacką Słowiańszczyznę. Najciekawsze tutaj badania są o Rusi; i nic dziwnego—tyle już Polskę z nią stosunków wiązało. Autor zachowując się na przyszłość z obrazem szczegółowym polsko-ruskiéj literatury, wylicza tymczasem dzieła polskie na język ruski tłumaczone, a dotąd w rękopismach zachowujące się, oraz wymienia dzieła pisane oryginalnie po rusku, przez naśladowanie literatury polskiéj. Co do Niemców, ci nie wywarli żadnego wpływu na nas: oprócz jednéj i drugiéj piosenki, nic od nich nie mamy; owszem, oni przejmowali od nas katechizmy, wymowę, ludowe opowieści, jak np. o Sowizrzale. Nasi Niemcy wiele żywili się z literatury polskiéj, i jeżeli literatura tego narodu wywarła wpływ jaki na naszę, to chyba bardzo późno, dopiéro w XVIII wieku. Wtenczas powstali uczeni badacze jak Lengnich, którzy się stali głową i podporą naszego pismiennictwa, którzy opracowali prawodawstwo polskie polityczne, dzieje i bibliografią. Litwa ocknęła się pod sam koniec XVI wieku i zdobyła się na jaką taką literaturę. Na Słowian za-karpackich nie wpłynęła wiele oświata polska; bo wtenczas, kiedy ojcowie nasi w tamtych stronach panowali, nie mieli jeszcze literatury, a pó-

źniéj Czesi wyłącznie zagarnęli umysłowe panowanie nad tym krajem, albo cerkiew grecka.

Autor kończy ten tom drugi *Piśmiennictwa*, ocenieniem źródeł, z których czerpał. Wziął za zasadę nie mówić o żadnéj książce, którejby nie miał w rękach: przeglądał też i śmieci literackie. Opowiada najprzód i spisuje biblioteki, które zwiedził. Nie miał przystępu do biblioteki kapitulnéj krakowskiéj i do bogatego księgozbioru p. Konstantego Świdzińskiego, który posiadał białe kruki, dzisiaj jak na nieszczęście, przez dwukrotny pożar zniszczone. Daléj p. Maciejowski czerpał z dzieł pomocniczych, tojest z druków i rękopisów. Wielki zasiłek znalazł u bibliografów polskich, daléj w życiorysach, jakie kreślili Ossoliński, Juszyński, Siarczyński i t. d. Dzieje pierwotne pojedynczych plemion polskich także dostarczyły materyału; wreszcie prace około historyi saméj literatury, zacząwszy od Bentkowskiego do Kondratowicza. Oto jak autor prace swoich poprzedników tłumaczy:

Bentkowski nie sięgał wyżéj nad bibliografią, a w zdaniach swoich przypominał przepisy retoryki i poetyki obcéj, która do nas nie przystała. Ma jednakże dzieło jego i dzisiaj wartość.

Łukaszewicz ułożył dziełko swoje z celem, żeby było przewodnikiem nauczycielom, przy wykładzie historyi literatury i bibliografii, naśladując formę z dziełka niemieckiego Pischona.

Wojcicki Łukaszewicza rozwinął wypisami ze wzorowych pisarzy, a pisarków zostawił na łowy bibliografom i bibliomanom.

Te dzieła dogadzały chwilowéj nagłéj potrzebie.

Wiszniewski piérwszym tomem obudził wielkie nadzieje, które coraz daléj nikły. Nie miał on należytego usposobienia do takiéj pracy, bo nie ukształcił się na literaturze klassycznéj, a nie miał takiego poczucia narodowości polskiéj, jakie miał Brodziński. Gdyby Brodziński za młodu odebrał naukowe ukształcenie, jedenby mógł odpowiedzieć wysokiemu przeznaczeniu i napisałby dzieje literatury polskiéj. Wiszniewskiego ramy były zaogromne; chciał pomieścić najprzód *wszystko* w swojém dziele, i dotrzymał słowa w epoce pierwiastkowéj, ale za Jagiellonów już o tych tylko mówił, którzy pisali książki, a w XVI wieku dla wielkiéj ich obfitości, ograniczył się na tych, którzy lepsze pisali. Jest w Wiszniewskim rzecz i nadmiar rzeczy; jest ogół, obok szczegółów wielu. Jest w nim myśl ważna i następstwa téj myśli, ale wszystkiego jest tylko potrosze. Wszystko na wielką skalę zamierzone, ale nie wymierzone, wszędzie pretensyonalność ogromna.

Dembowski nie baczył na źródła i według własnéj skali rozumując, dawał wyroki o ludziach, których znał ledwie z imienia. Jego dzieło ma to być polityczna historya literatury.

Majorkiewicz napisał dobre dzieło, bo już drugie wydanie wyszło w ciągu lat kilku: ale złe, że zwrotów literatury szukał w wierze i w rozumie, nie w narodowości.

Kondratowicz najlepiéj obznajmia publiczność z poezyą łacińsko-polską, ale praca jego jest kompilacyą z poprzedników, niepotrzebną wcale po dziele Majorkiewicza.

Zgadzamy się chętnie na wszystkie te recenzye p. Maciejowskiego, ale stajemy w obronie Syrokomli. Majorkiewicza zabardzo czuć prelekcyami uniwersyteckiemi: zawiele w nim filozofii niemieckiéj. Zwrot ostatni tak słabo opracowany (może z powodu utraty rękopisu pierwotnego przy druku), że w drugiém wydaniu trzeba było rozprawę *Goszczyńskiego* o *poezyi nowéj* dołączyć, a jednakże zupełnie przedmiotu nie wyczerpuje, bo nietylko poezyą żyjemy dzisiaj w literaturze. Niechaj zresztą w Syrokomli będzie tylko nadobna forma, przyznamy mu i tak zasługę względem ogółu. Owszem, my mamy tę nadzieję, że jako podręczna książka, dzieło Syrokomli zastąpi literaturę Majorkiewicza.

Z niecierpliwością oczekujemy 3go tomu *Piśmiennictwa*, który nam najgłębsze tajemnice literatury polskiéj rozkryje. Wtenczas będzie można powiedzieć coś i o wartości ogólnego dzieła, i o zasłudze p. Maciejowskiego, bo dzisiaj można tylko o niém pisać relacye.

D. 3 listopada 1852 r. *J. B.*

Opisanie roślin jednolistniowych lekarskich i przemysłowych, przez Ignacego Raf. Czerwiakowskiego, doktora medycyny, dziekana wydziału filozoficznego, professora botaniki w uniwersytecie Jagiellońskim i t. d. (Botaniki szczególnéj część druga). Kraków, w drukarni uniw. 1852, str. od 263 do 821 in-8.

Jednemu z najgorliwszych a najczynniejszych professorów Jagiellońskiego uniwersytetu, panu Ignacemu Rafałowi Czerwiakowskiemu winni jesteśmy, że i naszéj literaturze przybywają piękne i szacowne umiejętnościowe dzieła: tém zaś miléj je przyjmujemy, że botanika tak sama przez się jak i w zastosowaniu, jest tą gałęzią wielkiego drzewa wiadomości ludzkich, któréj zieloność i bujność każdemu się podoba, i z któréjby każdy rad smakował owoców. Nie to wszakże tylko przejmuje nas wdzięcznością i czcią dla autora, którego może niedługo naszym ulubionym zwać będziemy. P. Czerwiakowski mocno nas zastanawia, kiedy pomyślimy, że to on, co z takiém staraniem a takim gustem botaniczny ogród krakowski utrzymuje, co ciągle natęża siły, ażeby temu zakładowi nie dozwolić zostać się za postronnemi, a obok tego tak troskliwie krajową florę bada; co od tylu lat brzemię uczącego dźwiga: on, zaledwie wytchnąwszy po napisaniu dwutomowéj Botaniki

ogólnéj, dzieła nader pracowicie dokonanego (1), już wydaje i szczególnéj botaniki najprzód (w roku 1849) część piérwszą, a teraz i drugą, i pomimo tę nękającą pracę, umié być nietylko autorem dokładnym, ale oraz pisarzem miłym, tłumaczącym się jasno i czystości swojego języka strzegącym. A jeśli z głębszą jeszcze uwagą wczytamy się w książkę p. Czerwiakowskiego, szukając w niéj botaniki, postrzeżemy, że on jest wyobrazicielem obranéj przez siebie umiejętności prawdziwie postępowym.

Botanika szczególna p. Czerwiakowskiego, sąto opisy roślin lekarskich i przemysłowych, a pod taki tytuł niemało się da gatunków podciągnąć. Jakoż piérwsza jéj część w roku 1849 wydana, jedynie skrytopłciowych opisaniu poświęcona, stanowi książkę o 262 stronnicach, podającą dokładne i ciekawe wiadomości o 153 rodzajach, z czego można wnosić ile ogarnęła gatunków. Przy samym rodzaju bedłek (*Agaricus*) liczymy ich 60! Taką liczbę skrytopłciowych roślin, piérwsza dopiéro polska książka opisuje. Ani zaś możemy wątpić o dokładności tych opisów skreślonych piórem autora, który z zamiłowania i z powołania botanice jest oddany. Mało prawda pomiędzy nami znajdzie się botaników z professyi, lecz niemało jest w każdéj stronie kraju miłośników roślin. Bardzo miłym i użytecznym będzie darem dla nich, ta piérwsza część pracy p. Czerwiakowskiego. Przebiegających lasy, jakże często zajmie, nawet zachwyci uwagę i ta melancholiczna, niekwitnąca flora: ileżto zewsząd nie obudzają pytań te zdradzające się dziwacznością kształtów, a czasem nawet i krzykliwością barw, skryte, poziome, tylko z wilgocią i cieniem przyjaźniące się wegietacye: powołane do życia, a tak dalece na małém przestające, że tylko zepsuciem żyją. Na wszystkie te pytania odpowié Czerwiakowskiego książka, a przynajmniéj drogi do ich rozwiązania wskaże, ucząc jak użytecznemi lub przydatnemi są ze swoją nieśmiałą zielonością paprocie i mchy suchawe, jak szkodliwemi lub niebezpiecznemi te nieprzeliczone bdły i pleśnie, aż do zatrważających nas sławną kartofli zarazą korzeniaków (*Rhizosporium*), albo zbożowych śnieci (*Ustilago*).

Jeżeli więc tyle pożytku przyniosła nam ta piérwsza część Botaniki szczególnéj p. Czerwiakowskiego, z jakąż radością ujrzeliśmy drugą, z jakiém ją przeglądamy zajęciem! Książka o 600 blizko stronnicach, poświęcona wyczerpnieniu tego, co wielki oddział jednolistniowych (*monocotyledoneae*) roślin ogarnia, musi być zaiste dziełem wartości niemałéj, zwłaszcza opatrzona firmą autora, którego poprzednie prace w rzędzie najznakomitszych botaników naszych stawiły. Pamiętajmy bowiem, że to już w tym oddziale mieszczą się najużyteczniejsze dla człowieka rośliny, trawowate zboża i wiele łąkowych czyli pastewnych: w tym oddziale najosobliwsze, palmy, których samo opisanie porywa nas i zdumionych w najodleglejsze okolice ziemi zanosi; w tym oddziale najpiękniejsze, liliowate i tak powszechnie dziś upodobane storczykowate (*orchideae*) i t. d. Ileżto w rzeczy saméj wiadomości nowych przybywa nam z przeczytania téj książki! Są tu opisane gatunki ze 300

(1) Zob. Bibl. Warsz. z r. 1842 tom II, str. 671.

blizko rodzajów. Opisy p. Czerwiakowskiego są metodyczne, a takie, mimo ich wielość, nie utrudzą już dlatego samego, że muszą być krótkie; nie ściągną też i zarzutu niedostateczności, bo téj sama metoda nie dopuszcza (1). Najmniéj uczony czytelnik uczuje w dziele p. Czerwiakowskiego coś, co tylko mistrze nauki mają: śmiałość opowiadania, która idzie za pewnością wiedzenia, i tak sprzyjającą jasności prostość tłumaczenia się właściwą tym, którzy swojego tylko przedmiotu pilnują. Oto np. jak opisuje zwyczajne proso (str. 281): „Proso zwyczajne lub jagielne (*Panicum miliaceum* Lin.), zwane jagłą. Korzeń włóknisty, roczny. Źdźbło 1—4' wysokie, obłe, krésowane (2), czasem nieco gałęziste, wydatnie węzłowate. Liście dość długie, równie jak i cała roślina włosiste. Wiécha wielka, podłużna, prawie jednostronna. Kłoski pojedyncze, odległe, szypułeczkowe. Plewy kończyste. Plewki z przyrostkiem dwuzębówym. Ziarno jajowate, gładkie, 5prążkowe, lśniące, szare, czarne, żółte, białe albo czerwone. Pochodzi z Indyj Wschodnich; lecz uprawianém bywa niemal we wszystkich częściach świata jako zboże. Dawniéj nasienie prosa (*Semen milii*) miało zastosowanie lekarskie w biegunkach a zewnętrznie do obkładów. W gospodarstwie używa się na pokarm omielonych ziarn jako *kaszy jaglanéj*, ale nigdy jako mąki na chléb. Karmią niém także trzodę i drób'." Jak po prostu i wdzięcznie wyraża się na końcu opisu kokoryczki pospolitéj (*Polygonatum vulgare*) (stron. 598): „bardzo pospolita po pagórkowatych, obrzednich a suchych lasach Europy. Dawniéj słodko-kleisty i bezwonny korzeń (*Radix sigilli Salomonis*) używany bywał, jako łagodzący i rozpędzający; na rany, potłuczenia, zapalenia, oraz do bielidła; w Szwecyi i innych północnych krajach mąki jego dodają do chleba, a młode wypustki jadają jakby szparagi" i t. d. P. Czerwiakowski objął swojém dziełem wiele takich roślin, których opisanie w naszym języku po raz piérwszy się zjawia. Opisanie palmy *Livistona rotundifolia* (str. 446) tak zakończa: „Tworzy całe lasy na niektórych z wysp Sandwichskich i Moluckich. Z rdzenia wyrabiają *sago*: młodą wszędy jedzą za jarzynę. Z liści robią słońcochrony i wachlarze, oraz cygara, zawijając w nie tytuń; służą także do obwijania towarów. Drzewo wyrabiają na drzewca włóczni i różne sprzęty". Inna palma z rodzaju Kopernikówka (*Copernicia* Mart.), „na pamiątkę naszego rodaka przezwana, rośnie pojedynczo lub towarzysko po polach Bahii i Pernambuku, ponad rzeką św. Franciszka. Otrzymują z niéj głównie wosk palmowy miléj woni, tak wysączający się na liściach i kłodzinie, jako też i wywarzany z takowych;

(1) Sam tu porządek wywoła potrzebne szczegóły i nie dozwoli zapomnieć o żadnym, bo nawet niepoznanemu zawaruje miejsce, jak widzimy tego przykład w Bot. szczeg. p. Czerwiakowskiego pod *Beesha* (str. 310), gdzie jest: „Kwiaty 2 stronne; niższe męzkie lub bezpłciowe, 1-plewkowe. Plewy.... Plewki 2. nieco kończyste, bezostne. Pleweczki..... Pręcików 6" i t. d. (*W jakiéj liczbie i jakie są w tym rodzaju* plewy i pleweczki *pozostaje jeszcze do dojścia*).

(2) Swoję terminologią podał p. Czerwiakowski w piérwszem dziele: *Botaniki ogólnéj* i t. d.

tameczni nawet wprost wziętych i wysuszonych części téj rośliny używają za pochodnie i t. d."

P. Czerwiakowski do tego stopnia posuwa staranie o czystość języka którym pisze, że każda niemal roślina ma u niego nazwisko polskie. Jeżeli go dla któréj nie znalazł, umié je sam utworzyć (1). Jest-to więc jeszcze jedna i niemała tego pisarza zaleta. Nie że u niego rodzaj ma czasem po dwa i więcéj nazwań polskich: niekiedy wszakże wolelibyśmy, ażeby przyjętém było to, które jest tylko przytoczoném, jak np. *sięźyber* za *manneczka* (str. 294), *ryżyca* za *grochówka* (327), *darzyna* za *wilchelmka* (455), *przekwitnica* za *medeola* (595), *wiostolin* za *libercya* (670) i t. p. jako wyraźliwsze, lub że jest polskie. Ale mniejsza o wyrazy, kiedy rzecz jest dobra. Zresztą nomenklatura polska roślin musi się z czasem wykształcić, kiedy tacy będą pisarze jak p. Czerwiakowski. Z całego serca mu życzymy ukończenia dzieła według zamierzonego planu (2), i dziękujemy, że nie dał w wieku naszym zamrzéć sławie Krakowa, która temu miastu od Falimierza jeszcze przez Spiczyńskiego, Siennika, Urzędowa i Syreniusza w spadku się dostawała. Dziękujemy i temu Towarzystwu naukowemu, które tak użyteczną książkę polską, tak odpowiednio wartości jéj wydało. *A. W.*

(1) Żałujemy jeśli gdzie tego nie uczynił, bo takie wyrazy jak *Livistona*, *Danae*, *Flüggea*, *Fourcroya* i t. p. nie będą mogły nigdy uzyskać obywatelstwa polskiego.

(2) Autor postanowił każdą część swojego dzieła uczynić odrębną całością i to oznajmił na końcu przedmowy do pierwszéj części; wszakże liczbowanie stronnic w drugiéj nie zaczyna się na nowo.

ROZMAITOŚCI.

Wspomnienie o Aloizym Estrejcherze.

Ktokolwiek skreślać będzie rys postępu historyi naturalnéj u nas, za miły obowiązek poczyta wspomnienie Aloizego Estrejchera, tak szacowanego i kochanego a dziś tak żałowanego przez wszystkich którzy bliżéj go znali. Ten niedawno zmarły naturalista polski (1), nie zajaśniał wprawdzie jako autor lub obserwator; nawet jako miłośnik umiejętności mniéj ją niżeli samą naturę kochał: ależ tę ostatnią można tak umiłować, że nikną dla niéj jednéj wszystkie chwile najczynniejszego życia, od saméj młodości zajętego *zbieraniem kollekcyi* na to, ażeby i na starość nie uspokoić się przekonaniem że *już kompletna*! Dlatego Estrejcher na exkursyach i w podróżach wiek swój przeżył Dawnoż odbyłem z nim jednę, nie wiedząc że ostatnia, w tych koło Warszawy lasach? To tylko parę lat temu, jak pod Młocińskim borkiem upędzał się chyżéj ode mnie za białym jak włos jego głowy motylem, chcąc mi okazać dzielność swojéj siatki, któréj jeszcze z Dahlem (2) koło Wiednia używał. Czy mogłem wtedy wierzyć że ten współzawodnik lekkiego owada, jest już od 1786 roku mieszkańcem ziemi, po któréj go w 1850 ściga? (3).

(1) Bibl. Warsz. r. z. za Wrzesień str. 586.

(2) Jerzy Dahl w Wiedniu, zmarły 1823 r. osobliwy posiadał talent wyszukiwania rzadkich owadów, szczególnie motylów i chrząszczów. Sztuka ta jego zasadzała się na dokładnéj wiadomości w jakiéj czego porze szukać należy. Niektóre, jak *Hoplia auricollis*, przed wschodem słońca na wierzchołkach gałęzi znajdował po sto, gdy po południu zaledwie dwa takie chrząszcze mógł znaleść. Znalazłszy okaz rzadkiéj prządki, *Bombyx casta*, pod Schönbrunn, doszedł z tego jednego że rzeczona ćma niesie jaja na *Asperula cynanchica* i tyle potém naznajdował gąsienic, iż co tylko trzy dotąd znane były okazy téj prządki, on je odtąd na sta rozliczał. Byłto jeden z przyjaciół Estrejchera, z którym się często znosił.

(3) Urodz. r. 1786, był synem Dominika Estrejchera, malarza z czasów Stanisława Augusta, którego życiorys podaliśmy już w Bibl. Warsz. na r. 1847, tom II, str. 644.

W rzeczy saméj Estrejcher już od r. 1805, 19letni młodzian, był odznaczającym się professorem Jagiellońskiego uniwersytetu w Krakowie. i tam, koleją lat uczył weterynaryi, chemii, mineralogii, a nadewszystko botaniki i zoologii. Zaledwie ubiegnie rok szkolny, on porzuca dom i śpieszy daleko po minerały, rośliny, owady; nowe zdobycze powiększają i wiadomości i zbiory jego. Tak od 1804 r. corocznie po Galicyi wędrując, ileż on razy ten swój rodzinny kraj we wszystkich kierunkach zbiegał; iluż poszukiwaniami natury jego nie przetrząsł w tych uczonych podróżach to z Szultesem, to z Hacketem, z Fortunatem Chrystyanim, Polaischkiem, Besserem i t. d. Takie wycieczki naukowe, corocznie po trzy blizko miesiące czasu mu zajmujące, od 1844 roku, często do 6 i więcéj miesięcy przedłużał, ale to już były wyprawy naukowe, formalne podróże do postronnych krajów, które od ich stolic aż do ich lasów badał, tam w muzeach, tu w kniejach godziny i dnie przepędzając. Nikt nad niego prędzéj nie skłaniał się na stronę wyjechania daleko, ilekroć najmniejsza okoliczność podawała się do tego.. Nie pominę co mi opowiadano o nim. Raz przybiega do domu, gdzie już stół do obiadu nakryty zastał, by oznajmić że tylko o półgodzinny przeciąg drogi oddala się za Kraków, z odjeżdżającym naturalistą z którym się tam ma pożegnać. Przywiązana żona czeka go wraz z domownikami godzinę; do wieczora obiad opóźnia, lecz.... dopiéro nazajutrz odbiera listowną prośbę, aby nie czekała, i zawiadomienie że uważając na okoliczności przyjazne, puszcza się w drogę z przyjacielem na kilka dni do Wiednia. Dla powszechnie znanego ładnéj nie czyniły zwłoki pasportowe lub inne ustawy. Kto umié jak on, od razu sprawić że mu każdy serce swe otworzy, dla tego żadna surowość władzy wrót nie zamyka. Kilkadziesiąt do samych Niemiec odbył podróży; kilka razy był we Włoszech, zwiedził Francyą, Anglią, Szwecyą, Danią, całą Galicyą, Wołyń, Podole, Litwę, Kurlandyą. Naliczono czterdzieści i sześć podróży jego. Zachodził po dwakroć na szczyt Babiéj Góry, był na szczycie góry Mont-Blanc i Wezuwiusza. Gdzie tylko się obrócił, przybywali mu przyjaciele i wierni korrespondenci. Z trzystu około miejsc odbierał naukowe listy, a między temi miejscami były najcelniejsze miasta: Amsterdam, Wiedeń, Berlin, Hamburg, Haarlem, Genewa, Paryż, Londyn, Rzym, Neapol, Petersburg, Tyflis, Pest, Warszawa, Lwów, Poznań, Krzemieniec, Bruxella, Kopenhaga, New Hawe w Ameryce, Baath, Sztokolm, i t. d. Pod mnóstwem listów do niego pisanych, których przeszło 2,000 po nim zostało, czytamy znane w historyi nauk imiona: Bonato, Opitz, Jahn, Kosteletzky, Kollar, Litrowowie, Friwaldszky, Sacher, Thouin, Decandolle, J. Sabine, Moris, Dahl, Preussler, Grimm, Lichtenstein, Reichenbach i t. d. i t. d. W samym Wiedniu mieszkało blizko 100 osób z któremi miał listowne związki. Estrejcher był wyobrazicielem naturalistów polskich dla obcych. Jeżeli nie osobiście, to pismem podawał wiadomości od nas na wszystkie zgromadzania się coroczne naturalistów niemieckich (1), na którychto zjazdach z Okenem, Humboldtem

(1) Był na takich, o ile mi wiadomo, w Berlinie, Hamburgu, Wiedniu, Pradze, Dreznie, i w kilku miastach włoskich.

i t. p. ulubioną im wiódł rozmowę o stanie nauk przyrodzonych u nas. Prawda, że oprócz ośmiu pojedynczych pisemek, prócz corocznych katalogów ogrodu botanicznego krakowskiego (którego był dyrektorem), przez 37 lat wydawanych, nic drukiem nie ogłosił, a w r. 1843 stosy rękopisów swoich spalił (1): wszakże niektóre listy jego byłyto naukowe rozprawy. Brignolemu z Modeny opisał w roku 1828 tak prywatne jako i publiczne ogrody w Polsce; dla niego także wypracował polską bibliografią ogrodnictwa, gospodarstwa, medycyny, górnictwa, mineralogii i zoologii. Dla Meyera z Królewca i Dekandola z Genewy opisał roślinność Polski, a mianowicie florę Krakowa. Nowosilcowowi senatorowi podał wiadomość o roślinności Litwy, a mianowicie o wegietacyi niektórych okolic Krzemieńca, któréj bujność uderzyła go podczas botanicznéj podróży odbywanéj tam w r. 1820. Lucas z Paryża otrzymał od niego wiadomość o stanie mineralogii i botaniki w Polsce i t. d. i t. d. Pod wielu owadami polskiemi czytamy nazwisko Estrejchera w dziełach entomologów cudzoziemskich, jakoto Sturma, Dejeana i t. d., a znakomity nasz Besser rozszerzył pamięć imienia jego do nomenklatury owadów, nazwaniem pewnéj szczypawki podolskiéj *Carabus Estreicheri.*

Całe więc życie Estrejchera spływało się z życiem ulubionéj jego umiejętności, a bardziéj z nieśmiertelném życiem natury. Radby w jéj wszystkie utwory wniknąć, kto takie stanowisko obrał. Jak wódz zwycięztwo miłujący, chciałby każdego ze swych żołnierzy mieć w oku i sercu, tak namiętny miłośnik przyrody wszystkie jéj dzieła w swój szyk zebrane, radby że tak rzekę, do serca przytulić: żyć z niemi ażeby je kochać, poznawać je ażeby je podziwiać, szczycić się wielością zebranych, ażeby ich coraz więcéj zgromadzać, i łudzić się dobrowolnie tém nigdy niedotrzymaném obiecywaniem sobie, że naostatek wszystkie posiądzie. Skutkiem to téj słabości i błędu jego zbiór rośnie, nim naostatek przeważy nad złudzeniem rzeczywistość, która policzy lata ubiegłe. Estrejcher dwa razy umierał: nim się rozłączył z życiem, rozłączył się z zbiorami. Dzięki światłu osób nasz rząd składających, zbiory te ubogacają dziś nasze muzea warszawskie (2). Rzeczywiście brakowało ostatnim, co obejmowały piérwsze. Kollekcya entomolo-

(1) Ocalał jednak dosyć obszerny historyczny opis zakładów naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, któremi blizko przez 40 lat zawiadywał, a między temi najobszerniéj skréślone dzieje tamecznego ogrodu botanicznego, praca, którą już za życia przygotował do druku dawszy do niéj wylitografować rycinę naczelną i plany.

(2) Były one już w 1845 wystawione na sprzedaż, i z tego powodu opisane w Bibl. Warsz. 1845 tom IV str. 698. Według tego opisu, muzeum entomologiczne obejmowało wtedy z pająkami i czerwiami 8500 gat., a 26.000 okazów. Liczba ta okazów wzrosła do 31,000 w r. 1850, w którym pomienione zbiory przez nasz rząd zakupione, do Warszawy przeszły. Odróżnić wszakże należy w zbiorze tym nadewszystko europejskie motyle *(Lepidoptera)*, które w takiém uzupełnieniu w jakiém je Estrejcher posiadał, i przedstawione okazami które przechodziły przez ręce sławnych mikro-lepidopterologów wiedeńskich, Treitschkego, Fischera von Röslerstamm i t. p. stanowią przedmiot większéj naukowéj wartości i użyteczności którą oszacować trudno.

giczna, owoc całowiecznych starań pojedynczego człowieka, przydała Warszawie to, czém każde niemal miasto znaczniejsze w postronnych krajach wywyższało się nad nasze. Jéj część jedna może jest nawet do pozazdroszczenia nam, w tych dopiéro czasach poczynającym widzieć, że zapał miłości choćby ku motylom, jest tym piérwszym momentem, w którym narody życie nadają najczyściejszéj prawdzie umiejętnościowéj, i jéj zastosowaniu do wynalazków, wiek teraźniejszy wiekiem cudów czyniących.

Sam przeprowadził ulubiony zbiór do Warszawy, sam go tu ułożył i do wszystkiego co w nim było, swoje życzenia przydał. Widziałem, jak potém tęsknił: jedno tylko pomyślenie żal jego koiło, że to co tak kocha, zostawia rodakom. „Zdaje mi się (napisał do mnie stanąwszy w Krakowie), żem ulubioną córkę za mąż do was wydał; bądźcie tam jéj opiekunami i przyjaciołmi." Ale Estrejcher, który umiał przez całe życie swoje nie poddać się tym wrogom duszy: zgryzocie i smutkom, zaledwie przekonywać się zaczął że już nie jest właścicielem zbioru który przez lat 30 tworzył: zaledwie wytchnął po trudach przeprowadzenia go w inne strony i ułożenia, już nowe przedsiębierze podróże; sprowadza w r. 1850 z Niemiec i Galicyi do 700 minerałów świeżo nabytych, a w grudniu 1851 r. przywozi z Wiednia do Krakowa mnogie między innemi entomologiczne nabytki, przeszło 15,000 owadów, i mimo najstraszliwsze artrytyzmu bole, z kamienną wytrzymałością dosiaduje na miejscu, ażeby jak najprędzéj te szczegóły w stanie pożądanéj całości i zamierzonego uporządkowania ujrzéć; w 66 roku życia na nowo otoczyć się zbiorem odstąpionemu podobnym! Zamiłowanie natury jedyną jest namiętnością szlachetną, która nie stygnie z wiekiem, lecz którą owszem rozżarza postęp jego. Przytoczę następujące wyjątki z ostatniego listu Estrejchera, który napisał do mnie z Krakowa już w roku zgonu swojego, 1852, 18 stycznia: „Zdrów i wesół bawiłem się z Wami w roku zeszłym, zdrów i wesół wyjechałem na lato za granicę, bawiłem tak w Anglii jako i we Francyi bez dolegliwości i żadnego na zdrowiu nie ponosząc szwanku, chodziłem wiele, oglądałem wszędzie muzea i zbiory różne aż do późnéj jesieni, zatrzymując się po miastach, to w Dreźnie, to w Pradze tydzień cały, to nareszcie w okolicach wiedeńskich. Na początku listopada odwiedziłem poczciwego Friwaldszkiego w Peszcie; *tam mi słotą zaszkodziły.*" Tu opisuje w poruszający sposób chorobę, któréj uległ za powrotem z Pesztu do Wiednia i która przyśpieszyła odjazd jego do Krakowa. „Jakbym przeczuwał (mówi niżéj), zimową nóg nieudolność w tym roku; zaopatrzyłem się w robotę, która mi wiele sprawiła przyjemności i któréj cały czas od rana do nocy poświęcam; mogąc się tylko przejść od łóżka do stolika i od stolika do łóżka, w sypialnym pokoju cały warsztat roboty założyłem. Zakupiłem bowiem po trzech entomologach zbiory nowe. Najważniejszy jest *coleopterów* (owadów chrząszczowatych) Holzera i Preysiera, półpięta tysiąca gatunków i przeszło dwapaście tysięcy exemplarzy obejmujący, z wielu pięknemi dubletami i exotycznemi gatunkami. Cały czas układam, porządkuję, determinuję, uzupełniam z pudełek nowo przygotowane tam

exemplarze, spisuję inwentarz, i tak całą zimę zajęty będąc, skończę robotę z inwentarzem systematycznie sporządzonym, na Wielkanoc." Istotnie skończył, co postanowił, w maju. Byłato już jednak praca nad siły zbolałego ciała, zatrudnienie które sprawiło że zasiedział się, podczas gdy mu radzono wiosenne przechadzki i leczenie się prawidłowe. W połowie czerwca udał się do wód do Iwonicza, z taką nadzieją zupełnego wyzdrowienia, że się zaopatrzył w siatki i chwytki na owady, w materyały do suszenia i układania roślin i t. p. Nie to wszakże było w wyrokach Przedwiecznego. Po kilku kąpielach i szklankach iwonickiéj wody, zbyt gwałtowne jéj skutki osłabiły go zupełnie. Stał się prawie szkieletem, i musiano go dźwigać lub nosić. Czułość tych pań znakomitych, które podówczas u wód iwonickich gościły, okazała się uwielbienia godną w niesieniu mu pomocy, i zadziwiającą w bezinteresowności, ponieważ one nie znały go przedtém. Czemuż skromność, zaiste wielkim tylko cnotom towarzysząca, zapobiegła dojściu do nas szanownego imienia téj, która, lubo go nigdy przedtém nie widziała, ażeby cierpiącemu przynajmniéj strudzeń powozu pośpiesznego (Eilwagen) oszczędzić, wysłała umyślnie do dóbr swoich po kocz i konie, i te ofiarowała mu aż do Krakowa, dokąd w połowie lipca powrócił. Już tylko pół miesiąca wtedy należało do zakresu żywota jego. Dnia 1 sierpnia skonał z uderzeniem godziny 9téj rano.

W liście z którego wyżéj kilka wyrazów przywiodłem, Estreicher zaletnie wspomina Friwaldszkiego, zapalonego pewnie węgierskiego entomologa, który: „trzech ludzi utrzymywał w Bulgaryi, dawnéj Macedonii, i okolicach Bałkanu przez lat półtrzecia, a dwóch przez dwa lata na wyspie Kandyi" do umyślnego wyszukiwania tam owadów. W rzeczy saméj, majętny ten szlachcic węgierski, cały największą życzliwością dla narodu swojego przejęty, niemało się przyłożył i do postępu entomologii, dawszy poznać uczonemu światu te gatunki, które się ukrywały w najtajniejszym Europy zakącie: Turcyi i Grecyi. Jego przywiązanie do historyi naturalnéj z przywiązaniem do ojczyzny złączone, jego pisma o owadach po większéj części w narodowym języku ogłoszone, znane są Europie całéj. Estreicher z uniesieniem mówi o jego zbiorach które oglądał. „Szkoda (dodaje) że słoty nie dozwoliły mi być w jego willi na Schwabenberg za Budą i widzieć zbiór ptaków wypychanych w wielkim bardzo komplecie co do węgierskich gatunków. Zdaje się, że będą przeznaczone do narodowego muzeum węgierskiego, które się mieści w pięknym nowym gmachu, umyślnie na ten cel wystawionym, posiada znaczne fundusze i pod każdym względem należycie jest wyposażone."

Przytoczyłem z przyjacielskiego listu wyjątek, jako świadectwo szacunku który Estreicher miał dla Friwaldszkiego, a godnym był zaszczytu i ukontentowania, które mu węgierski pan niespodzianie uczynić postanowił. Ale najwyższa wola ostrzega nas niekiedy wyraźniéj o działaniu swojem. Przyniesiono z poczty list adresowany do Estreichera, w samą chwilę jego skonania. Byłoto właśnie uwiadomienie

Friwaldszkiego, uprzedzające że z całą swoją rodziną przybywa na kilka dni do Krakowa, ażeby przyjaciela odwiedzić. Jakoż stawił się nazajutrz, a na téj z przygotowanym uśmiechem twarzy, jakiż zaległ smutek, kiedy się ujrzał przed zwłokami przyjaciela: zapłakał i pożegnawszy martwe ciało, niedługo opuścił Kraków.

Niepodobna było i rzeczypospolitéj któréj Estrejcher był obywatelem, nie widzieć w nim odznaczającego się męża, i jeśli do obżałowania zgonu użytecznego człowieka potrzeba komu wiadomości jakim go wyrazem czczono za życia, powiem że Aloizy Estrejcher był senatorem, był zastępcą prezesa senatu i rzeczypospolitéj, był rektorem uniwersytetu i członkiem czterech naukowych towarzystw: w Krakowie, Pradze, Londynie i Bruxelli.

Antoni Waga.

Dodatki i sprostowania do spisu ptaków gubernii Lubelskiéj.

Dwa lata niespełna upłynęło od czasu, jak podałem do Biblioteki Warszawskiéj spis ptaków gubernii Lubelskiéj; od tego czasu nastręczyło się kilka sprostowań i dodatków, które dla miłośników tego przedmiotu mogą być interesujące i użyteczne.

Zacząć mi wypada od poprawienia błędu, w który popadłem przez zamieszczenie między ptaki krajowe orła łomignata (*Falco leucocephalus*), który zdaje się, że nietylko nie jest naszym ptakiem, ale nawet wcale do Europy nie zalatuje. W błąd ten wprowadziły mnie exemplarze orła bielika (*Falco albicilla*) bardzo stare, które dawniéj widywałem, niedokładne opisy po dziełach ornitologicznych, a mianowicie różnice kształtu ogona, i złe opisy ptaków w gniazdowéj odzieży. Należy go zatém z liczby ptaków krajowych wykreślić, i zostawić rozstrzygnięcie téj wątpliwości, do czasu dokładniejszego poznania fauny krajowéj. W miejscu tego należy zamieścić pięć gatunków, o których przebywaniu u nas, przekonałem się dopiero w ostatnich czasach, a temi są następujące.

1. **Sęp płowy** Tyz. *Vultur fulvus* Briss. Sęp rdzawy Wodz. Vautour Griffon Temm. Le Perenoptère Buff. Przez hr. Tyzenhauza ze znakiem zapytania w Karpatach umieszczony, a według świadectwa hr. Wodzickiego, gnieździ się tam, chociaż jest daleko rzadszym od sępa kasztanowatego (*Vultur arrianus*). U nas zapewne do największych rzadkości ornitologicznych należy, za dowód jednak tego że zalatuje, posłużyć najlepiéj może samiec ubity w okolicach Zamościa przy końcu grudnia roku przeszłego, a który w zbiorze moim znajduje się; następnie w sierpniu para tych ptaków zaleciała do Nieborowa pod Warszawą; zabitą z nich samicę rozpięto

na stajni, przypadkiem dopiero ks. Wyszyński dowiedział się o tém i ochronił ją od zniszczenia.

2. Sokół orzeł zyz Wodz. *Falco chrysaëtos* Linn. Dotąd mieszano go razem z orłem przednim (*Falco fulvus*) i za jeden gatunek uważano; nowsi dopiéro naturaliści rozpoznawszy znaczne różnice tych ptaków, tak pod względem rozmiarów i kształtów, jako też pod względem niektórych obyczajów, za oddzielny go gatunek uznali. Obydwa gnieżdżą się w górach Sandeckich; hr. Wodzicki, który je tam obserwował, młode posiada w swoim zbiorze, a różnice charakterystyczne i ciekawe spostrzeżenia w Wycieczce ornitologicznéj zamieścił. U nas ponieważ się nigdzie nie gnieżdżą, lecz tylko przylatują corocznie na zimę, mogłem tylko porównać exemplarze po zbiorach prywatnych znajdujące się i tym sposobem przekonałem się, że obadwa tu bywają. Zyz jest pospolity, orzeł zaś przedni daleko rzadszy i zaledwie parę exemplarzy po tychże zbiorach posiadają.

3. Sokół orzeł włochaty Tyz. *Falco pennatus* Linn. Aigle botté Temm. Oddawna już spodziewałem się, że orzeł ten wejdzie do liczby naszych ptaków, i ciągle go między ptakami krajowemi z należytą bacznością uważałem. W maju dopiéro roku przeszłego ubito pod Lubartowem samca; równocześnie prawie dostałem samicę na Polesiu, w powiecie Kowalskim, bardzo blizko naszéj granicy, i w sierpniu widziałem w okolicach Lublina w locie bardzo podobnego do mojéj samicy; w tym zaś roku żadnego w czasie lęgowym nie widziałem, przy końcu dopiéro sierpnia ubito samczyka przeszłorocznego, który dopiéro odzież gniazdową zmieniać zaczynał oprócz tego, kilka innych widziałem w téj porze. Nie mam dotąd żadnéj pewności czy się tu gnieżdżą lub nie, spodziewać się jednak tego należy, po czasie w którym tamte ubito, tém bardziéj, że w tym roku hr. Wodzicki wynalazł 7 gniazd tych ptaków na Podolu galicyjskiém w cyrkule brzeżańskim. Zdaje się, że te ptaki powinny być równie pospolite na Podolu i Wołyniu. Hr. Tyzenhauz orła tego w Spisie swoim za bardzo rzadkiego na Podolu podaje, a prof. Zawadzki zamieścił go między ptakami krajowemi w Faunie galicyjskiéj, nie wszędzie na wiarę zasługującéj. Teraz okazuje się że nie jest tak rzadkim jak dotąd mniemano, i zapewne w wielu jeszcze miejscowościach zostanie wykryty.

4. Gajówka wierzbówka Tyz. *Sylvia luscinioïdes* Savi. Bec-fine des Saules, Temm. Dotąd postrzegana tylko we Włoszech i Holandyi, Spisem hr. Tyzenhauza wcale nie objęta, przecież u nas znajduje się w wielu miejscowościach, w gubernii Lubelskiéj corocznie się gnieździ w okolicach Lubartowa i Włodawy; na Polesiu nad Prypecią, Turcem i Stochodem daleko pospolitsza, a na Podolu galicyjskiém hr. Wodzicki także ją postrzegał; jest więc nadzieja, że w wielu jeszcze miejscach kraju naszego będzie odkryta. Obszerniejszą wiadomość o tym ciekawym ptaku umieszczam niżéj, razem z bardzo blizkiemi mu gatunkami.

5. **Mewa blada** Tyz. *Larus glaucus* Brünn. *Larus giganteus* Benicke. Przypadkowa, bardzo rzadka. Jako dowód tego że do nas zalatuje, mam tylko jeden exemplarz ubity w Lubelskiém przy końcu listopada r. b.

Powiększa się oraz nadzieja że **czapla modronos** Jar. *Ardea comata* Pall., wejdzie także do liczby ptaków krajowych: wnosząc z opisu ptaka ubitego w roku przeszłym w powiecie Lubelskim, a który mnie przez lekceważenie téj nauki nie doszedł; niczém on inném być nie mógł, jak tylko tą czaplą; z pewnością go jednak nie zamieszczam, lecz przestaję tymczasowo na téj wzmiance, ażeby zwrócić na nią uwagę badaczy krajowych.

Zapewne także i następującę ptaki, które bardzo blizko gubernii lubelskiéj bywają, i tu dostrzeżone będą, póki jednak nie będzie pewności, obejmować ich nie należy.

Ortolan (*Emberiza hortulana*) co rok prawie jest pospolitszym około Warszawy, a mianowicie w okolice Wilanowa znaczna ilość tych ptaków na łąg przylatuje; tam są prawie tak pospolite jak trznadle (*Em. citrinella*). Samice są skryte, dlatego téż mało ich dotąd po zbiorach posiadają; szkoda, że nie postarano się o gniazdo z jajami; młode tylko w piérwszéj odzieży służą za dowód, że się tam ortolany gnieżdżą. Bawią bardzo krótko, i odlatują skoro tylko młode są zdatne do podróży.

Mieszkańce Ameryki północnéj **krzyżodzioby białoskrzydłe** (*Loxia leucoptera*), które dość często ptasznicy, w okolicach Warszawy między innemi krzyżodziobami łowią, w zimie roku 1851 kilka żywych na targ dostawili, a około Krakowa przez hr. Wodzickiego u ptaszników widywane, zapewne i w Lubelskie zalatują. Toż samo być może z **łuszczakiem górnickim** (*Fringilla flavirostris*), którę toż samo ptasznicy w ciężkie śnieżne zimy około Warszawy łowią, i na targu pod nazwiskiem rzepołuszczów sprzedają.

Najwięcéj zaś zapewne przybędzie z ptaków wodnych i błotnych, które w swych podróżach są najniestałsze, a niektóre gatunki od rodzinnych stron zapędzają się bardzo daleko. Z tego więc względu na nie baczną uwagę zwrócić należy. Nieraz przytaczano mi przykłady ubicia i opisywano ptaki o których nawet wierzyć nie śmiałem; pomiędzy innemi rzadkiemi exemplarzami ptaków przypadkowych, które Gabinet warszawski posiada, znajduje się **kaczka eidredonowa** (*Anas mollissima*) w okolicach Warszawy zabitą.

Sokoła wędrownego (*Falco peregrinus*) umieściłem jako ptaka przypadkowego, bardzo rzadkiego; rzeczywiście jest on dość rzadki, ale po dużych lasach corocznie się gnieździ. W tym roku w lasach lubartowskich miały dwa gniazda, a myśliwi miejscowi zapewniają, że corocznie się tam wywodzą. Same tu gniazd nie ścielą, ale zajmują zwykle dawne po orłach, rybołowach i innych dużych drapieżnych ptakach; na wysokich drzewach założone. Niektóre u nas zimują.

Sokół kobuzek (*Falco rufipes*), u nas gnieździ się bardzo rzadko, i to tylko we wschodniéj części gubernii do Polesia przytykającéj; na Polesiu daleko więcéj się ich wywodzi.

Sokół pustołeczka (*Falco tinnunculoides*) wcale nie jest rzadka, i corocznie się gnieździ, ale tylko w niektórych miejscowościach; najwięcéj ich dotąd widywałem w lasach lubartowskich; w okolicach Lublina suchych, wzgórzystych, w lasy ubogich, wcale ich nie ma; na Polesiu bywają i gnieżdżą się. W tym roku daleko mniéj ich było jak zwykle: zapewne późna wiosna, w chrabąszcze uboga, była tego powodem.

Zdaje się, że **sowa jarzębata** (*Strix funerea*), wcale się tu nie gnieździ, ale tylko na zimę, i to w liczbie bardzo ograniczonéj zalatuje; nigdy ich w innéj porze, jak tylko zimowéj nie widywałem.

Trzcionki: strumieniowa (*Sylvia fluviatilis*), swierszczak (*Sylvia locustella*) i wierzbówka (*Sylvia luscinioides*) są bardzo interesujące, a mało znane z powodu skrytych nader obyczajów, dlatego też obszerniéj się o nich rozpiszę. Te trzy gatunki są tak do siebie zbliżone, budową i zewnętrznemi kształtami, a obyczaje przytém tak mają podobne, i tak są odznaczające się w całym rodzaju, a nawet oddziale, że mogłyby tworzyć oddzielną grupę, bardzo charakterystyczną. Cechuje ją postać długa, wysmukła; skrzydła krótkie, zaokrąglone, złożone do połowy ogona końcami nie dostają; ogon przedłużony, szeroki, znacznie stopniowany; nogi długie z długiemi dość palcami; uda potężne ze skostniałemi ściągaczami; dziób przy nasadzie szeroki, ku końcowi nagle i znacznie zeszczuplony; suto pokrywy podogonowe sięgające prawie końca sterówek; pióra na całém ciele miękkie i delikatne. Wszystkie te cechy są tym trzem gatunkom wspólne, i na piérwsze wejrzenie od innych je odznaczają. Ptaki te możnaby pod pewnemi względami porównać z chróścielami (*Rallus*); do niektórych też nawet gatunków świerszczak (*S. locustella*) pstrokaciznę ma zbliżoną. Obyczaje ich są także podobne do obyczajów chróścieli. Wszystkie żyją po gąszczach, gdzie się starannie jak tamte kryją, a krótkie zaokrąglone skrzydełka i silne nogi same przez się okazują, że trzcionki te są więcéj usposobione do biegania po ziemi, aniżeli do lotu.

Ptaki te są u nas pospolitsze aniżeli się na pozór wydaje; najrzadszą z nich bez wątpienia jest wierzbówka (*S. luscinioïdes*), która tylko bywa w niektórych miejscowościach, i mało gdzie stosowne dla siebie siedziby wynaléźć może. Zamieszkuje głównie obszerne niedostępne stawy, gęstą trzciną i krzakami zarośnięte, brzegi jezior i niektóre błota, gdzie rosną łozy, gęste krzaki olszowe i trzcina. Świerszczak (*S. locustella*) jest pospolitsza we wschodniéj błotnistéj części gubernii Lubelskiéj z Polesiem graniczącéj; mieszka tam i gnieździ się dość obficie po błotach krzaczkami drobnemi zrzadka zarośniętych; oprócz tego widywałem je w czasie lęgowym po gęstych zbożach w innych niebłotnych okolicach, zdaje się zatém, że i w nich się gnieździ, a w żniwa na przelocie wszędzie je znaléźć można. Chowa się w nich bardzo skrycie, zrywa się tylko w ostateczności, blizko zapada i piechotą umyka; dlatego też trzeba znawcy, ażeby ją dojrzéć potrafił. W okolicach Warszawy jest tak pospolita jak u nas; na Polesiu jeszcze pospolitsza.

Strumieniowa (*S. fluviatilis*) może z nich wszystkich najpospolitsza, ostrożniejsza jednak i skrytsza, dlatego też trudniejsza do poznania. Znajduje się wszędzie prawie po mokrych olszowych lasach, dużemi gęstemi trawami i chwastami zarośniętych, w gęstych łozach nad Wisłą i pomniejszemi rzekami, a nawet po wielu łąkach. Około Warszawy równie obfita. Wszystkie te gatunki odznaczają się oryginalnym świerczącym głosem, który z żadnym innym ptakiem tego rzędu porównać się nie da. Przyczepione pionowo na gałązce lub trzcinie z głową do góry wyciągniętą, po całych dniach świerszczą, zawsze jednak z krótkiemi częstemi przerwami; po zachodzie dopiéro słońca, całą noc bez przestanku tym sposobem śpiéwają. Zwyczaj ten może się także przyczynić do porównania ich z chróścielami, które przez całą noc bez przerwy krzyczą lub gwiżdżą, a we dnie tylko w przestankach się odzywają. Za zbliżeniem się człowieka śpiewać przestają, spuszczają się ku ziemi i ukrywają w gęstwinie, póki się ten nie oddali. Chcący ją dostać naturalista, musi częstokroć godziny całe z wielką cierpliwością oczekiwać, wśród nieznośnego natręctwa komarów, póki mu się nie pokaże; najczęściéj jednak z niczém odejść musi. Skoro się tylko oddali, ptaszyna pełza napowrót ku wierzchołkowi trzciny lub gałązki, i na nowo swe dziwaczne pienia rozpoczyna.

Śpiéw świerszczaka i strumieniowéj jest prawie jednakowy, zbliżony do śpiewu świerszcza polnego. Strumieniowéj głos jest mocniejszy i donośniejszy, i po tém tylko rozróżniony być może. Śpiéw zaś wierzbówki raczéj brzęczeniem nazwaćby można, i jest tak silny, że zblizka słyszany sprawia mocny szum w uszach.

Jak wszystkie obyczaje, tak téż i gnieżdżenie się tych ptasząt jest bardzo skryte; dotąd pomimo usilnych poszukiwań nie mogłem wynaléźć gniazda wierzbówki; zdaje się, że i ona tak jak dwa inne gatunki kryje je na ziemi, między gęstemi chwastami. Znalazłem tylko dwa gniazda z jajami i jedno z pisklętami świerszczaka; wszystkie były usłane na ziemi w krzakach pod gęstą, suchą trawą, nie tak starannie i sztucznie zbudowane, jak tych trzciniaków które je po trzcinach i krzakach zawieszają; mają kształt mniéj więcéj półkulisty, z suchéj trawy uwite, wewnątrz cokolwiek włosieniem wysłane. Zdaje się że znalazłem także jedno gniazdko strumieniowéj w wilgotnym olszowym lesie, między gęstą pokrzywą i rzeżuchą ukryte, budową do poprzedzających bardzo podobne; nie mam jednak pewności, czyli rzeczywiście było tego a nie innego ptaka, gdyż go ani złowić ani zobaczyć nie można było. Jajka świerszczaka są delikatne i bardzo ozdobne, koloru bladoróżowego, drobniutkiemi czerwonemi kropkami regularnie i całkowicie upstrzone. Drugie zaś są cokolwiek większe, białe, podobnemi czarniawemi kropkami tak samo nakrapiane.

Ponieważ te ptaki są tak interesujące, nie od rzeczy zatém będzie, gdy opis ich szczegółowy załączę.

Pokrzówka wierzbówka (*Sylvia luscinioïdes*) z koloru podobna do słowika szarego (*Sylvia philomela*); na ogonie tegoż samego co i wiérzch ciała koloru, ma ciemniejsze poprzeczne prążki, pod pewném tylko nachyleniem światła widoczne; u samca na szyi kilka ciemniej-

szych niezbyt wyraźnych plamek; nogi brudno cieliste, tęcze brunatne wnętrze dzioba jasno-cieliste, wielkość słowika, znacznie jednak szczuplejsza.

Pokrzéwka strumieniowa (*Sylvia fluviatilis*) kształtem i wielkością zupełnie do niéj podobna; z wierzchu jednostajnie oliwkowa, na gardziel i środek brzucha białawy, piersi i boki szaro oliwkowe, na piersiach ciemniejsze pędzelkowate plamy, mniéj więcéj wyraźne, jakby rozlane, tęcze brunatne, nogi cieliste, na sterówkach pręgi takie same jak u poprzedzającéj.

Pokrzéwka świerszczak (*Sylvia locustella*) jest znacznie mniejsza i szczuplejsza, z wierzchu oliwkowa, czarniawo-brunatnemi plamami gęsto upstrzona: plamy te są regularnie ułożone, na wierzchu głowy tworzą sześć podłużnych prążek z których skrajne znacznie są od innych węższe, na grzbiecie 5 szerszych, z większych plam ułożonych. Gardziel i środek brzucha białawy, szyja, piersi i boki szaro-oliwkowe, na piersiach drobniutkie ciemne plamki, których niektóre indywidua wcale nie mają, pokrywy podogonowe płowe, środek każdy brunatny, tęcze brunatne, obwódki wokoło powiek zielonawo-żółte, nogi różowo-cieliste, dziób brunatno-szary. Barwa młodych ciemniejsza, większe i wyraźniejsze plamki na piersiach i szyi, niektóre gniazda wcale ich także nie mają.

Pokrzéwka wodniczka. (*Sylvia aquatica*) pospolita na obszernych błotach wschodniéj części Lubelskiego i Podlasia, a w przelotach wszędzie prawie po kapustach, kartoflach i mokradłach zapada; wiele także obserwacyj nastręcza. Gniazdko jéj i jaja są dotąd nieznane, a tak trudne do wykrycia, że ich przez dwie wiosny bezskutecznie szukałem; to tylko pewna, że nie gnieździ się po krzaczkach; obszukałem wszystkie w wielu miejscach gdzie te ptaszki przebywały: nigdzie ich gniazdka nie było. Zapewne więc mieści je wprost w gęstéj trawie, na ziemi, a kto tylko szukaniem gniazd się zajmował, zna trudności jakie wynajdowanie ich po trawach przedstawia, zwłaszcza z ptakami, które nie zrywają się wprost z gniazda, gdy się człowiek lub pies przybliża, ale pieszo po trawie ustępują. Pokrzéwka ta najbardziéj jest do rokitniczki (*Sylvia phragmitis*) zbliżona; różni się na piérwszy rzut oka trzema kresami płowemi na wierzchu głowy, ostro zakończonemi sterówkami i strzałkowatemi plamkami na piersiach i bokach. W ogólności zaś barwa ich jest jaśniejsza, więcéj żółtawa, po czém i w locie rozpoznać je można; śpiéw także odmienny i odmienne miejsca po większéj części zamieszkują.

Gil dziwoni (*Pyrrhula erythrina*). Od kilku lat już uważałem że ptaki te corocznie między 15 maja i 15 czerwca pokazują się po błotach, krzakami olszowemi i łoziną zarośniętych; niekiedy i około św. Jana widzieć się je zdarza. Czas ten przemawia za tém, że się tu gnieździć powinny, tymczasem ani w lecie ani w jesieni żadnego nie widziałem. Ptak ten nader skrycie żyjący, łatwo przed człowiekiem ukryć się może; na wiosnę tylko donośnym i bardzo charakterystycznym głosem bytność swą zdradza, czerwoność je-

dnak samca starego jest tak uderzająca, że w każdym razie zwróci uwagę obserwatora. Dotąd więc nie mam pewności czy się tu gnieździ lub nie. W roku 1851 widywałem je po błotach na Polesiu, w tym samym czasie co i u nas, ale o gniażdżeniu się nic się nie dowiedziałem. Koło Warszawy jest daleko pospolitszy: stadka ich przybywają w kwietniu i natychmiast rozlatują się po kępach olszowych wśród błot rosnących; wprawdzie gniazda dotąd nie znaleziono, ale bito młode które świeżo gniazda opuściły, i wypróto z samicy jajko zupełnie już ukształcone. Tym więc sposobem nie ma żadnéj wątpliwości że się tam gnieżdżą; bawią bardzo krótko, i zaraz po wyhodowaniu potomstwa odlatują.

Dzięcioł białogrzbietny (*Picus leuconotus.*) Gnieździ się u nas wszędzie po lasach liściastych, ale wszędzie dość rzadki; dotąd nie mogłem znaleźć jaj jego, ale tylko młode, które są, podobnie jak innych tego rodzaju gatunków, odmienne od starych. Dzięcioły te są mniéj mnożne od innych: znoszą tylko po dwa, a najwięcéj trzy jaja. Jaja ich są dotąd nieznane naturalistom, ważnąby się oddało nam usługę, gdyby je wynaleźć można, lecz wypada złowić na nich jedno przynajmniéj z rodziców, i skórkę lub głowę dla pewności dołączyć.

Dżdżownik obrożny (*Charadrius hiaticula*). Nad Wisłą pospolity, gnieździ się po wyspach i brzegach piaszczystych téj rzeki, w niektórych miejscach jest równie pospolity jak dżdżownik rzeczny (*Charadrius minor*). Raz tylko nad Wieprzem ubiłem samica w piérwszych dniach czérwca, zapewne gdzieś w bliskości samica na jajach siedziała; jeżeli zatém gnieździ się gdzie jeszcze oprócz brzegów Wisły, trafia się to bardzo rzadko. Na przelocie jesiennym częściéj się je nad jeziorami i rzekami mniejszemi po piaskach napotyka. Ptak ten jest z pozoru bardzo podobny do dżdżownika rzecznego, dlatego też mało znany i często za tamtego uważany. Tymczasem łatwo go poznać po głosie, który chociaż jest podobny do głosu tamtego, tak jednak odmienny, że łatwo go rozróżnić; nie jest przytém zbyt lękliwy, i dość blizko człowiekowi zbliżyć się do siebie dozwala, a w takim razie można go po żółtych nogach rozpoznać.

Czapla purpurowa (*Ardea purpurea*). W przelotach ją tylko dotąd postrzegałem, i nie mam żadnéj wiadomości, ażeby się gdzie w gubernii Lubelskiéj gnieździła. Przeloty ich nie każdego roku są jednakowe; stare na wiosnę są bardzo rzadkie, młode pod jesień częściéj bywają. W roku 1844 były pospolite; w roku 1851 w takiém mnóstwie przelatywały, że wszędzie się je spotykało, i nieledwie były pospolitsze od czapli siwych; w latach zaś pośrednich, były bardzo rzadkie. Na Podolu galicyjskiém gnieżdżą się każdego roku.

Biegus zmienny (*Tringa alpina*). W wędrówkach tylko tu zalatuje, na wiosnę bardzo rzadki, w powrocie z północy pospolity. Samce stare osobno wędrują — w końcu lipca i przez sierpień pojedynczo je ponad brzegiem Wisły widzieć można, w barwie zupełnie jeszcze godowéj; stada dopiéro młodych w końcu września

i początku października wszędzie ponad jeziorami i po piaszczystych brzegach wszystkich wód zapadają. Ciągi te nie każdego roku są równie obfite. Inne gatunki tego rodzaju są rzadsze, małe ich stadka lub pojedyncze indywidua w jesieni przeciągają, na wiosnę w ogólności są bardzo rzadkie.

Rybołówka białoczelna (*Sterna minuta*). Nad Wisłą pospolita, i gnieździ się wszędzie, gdzie tylko są obszerne wyspy i brzegi piaszczyste; rzadsza jednak od rybołówki zwyczajnéj (*Sterna hirundo*), do któréj bardzo jest podobna. Oprócz znakomitéj różnicy w wielkości, różni się także od niej białém czołem, kresą czarną przez oczy, stosunkowo krótszemi skrajnemi sterówkami, żółtym dziobem i nogami, a młode są więcéj na wierzchu upstrzone. Rybołówka ta ze wszystkich krajowych najpiękniejsza: sama małość wiele już jéj powabu dodaje, a zwinnością i lekkością ruchów między niemi celuje. Lata prędzéj, zawsze prawie nizko nad wodą, często wznosi się na kilka sążni nad powierzchnią i tak jak srokosz zatrzymuje się w miejscu, przez nagłe trzepotanie skrzydeł: wtenczas tak jest do tego ptaka podobną, że może niejednego omylić. Gdy zdobycz zobaczy, przewraca się nagle w powietrzu i w mgnieniu oka do wody dopada.

Rybołówka białoskrzydła (*Sterna leucoptera*). W okolicach Lublina bardzo rzadko się pokazuje, na błotach powiatu radzyńskiego częściéj je na przelotach widzieć można. Na Polesiu gnieździ się ich nieprzebrana ilość, a mianowicie nad Prypecią i Turcem i okolicznych niektórych bagnach wodą zalanych; na niektórych są tak obfite, że można je z pewnością za najpospolitsze ptaki uważać. Na rozległém błocie w Worokomlu gdziekolwiek spojrzéć, widzi się mnóstwo tych ptaków przelatujących w rozmaitych kierunkach, nad wszystkiemi polami i błotami wokoło; w każdym czasie trzęsie ich się tak wiele iż niezawodnie powié się prawdę, że w okolicy téj obfitsze są od wróbli i skowronków. Na błocie tém same tylko mieszkają, ponad rzekami i niektóremi bagnami mieszają się z niemi i krzyczki (*Sterna nigra*), zawsze jednak te są w mniejszéj ilości i na pierwsze wejrzenie rozpoznać je można; latają wyżéj od białoskrzydłych i odmienne w powietrzu odbywają ruchy; głos także mają odmienny. Stada lecące w odległości łatwo rozpoznać. Krzyczki lecą zwykle dość wysoko: 40 do 60 stóp w górze, często nawet wyżéj; rozproszone na znacznéj przestrzeni dążą w jednym kierunku; białoskrzydłe przelatują zwykle nizko nad ziemią, stadem znacznie skupionem. Krzyczki za zbliżeniem się do gniazd człowieka, nieustannie nabijają; białoskrzydłych stado razem z krzykiem nadleci, pokręci się chwilę i odleci, wkrótce powróci, lecz nigdy długo na raz nie zabawi. Gnieżdżą się po kępach wśród bagien, nie tak nagromadzone jak krzyczki, ale rozsiane na znacznych przestrzeniach. Ścielą małe gniazdka z suchego siowia, i niosą po dwa lub trzy jaja, tak podobne z kształtu, wielkości i ubarwienia do jaj tamtych, że niepodobnaby niektórych rozpoznać; więcéj jednak między niemi jest zielonych, a nawet tak zielonych jakich się między

tamtemi nie napotyka; po zarośniętych stawach wcale gniazd nie zakładają, i na nich same się tylko krzyczki wywodzą. Młode skoro tylko latać zaczną, przelatują się razem z rodzicami w bliskości rodzinnego błota, następnie łączą się z innemi rodzinami i lęgowe błoto opuszczają, w końcu lipca już są bardzo rzadkie, same tylko spóźnione gniazdka pozostają. W czasie wędrówki często zalatują do okolic sąsiednich, gdzie się nie gnieżdżą, same albo razem z krzyczkami; jeżeli wędrują same, rzadko latają nad błotami, ale po większéj części unoszą się nad zbożem i tam owady w locie chwytają.

Rybołówka ta, ze wszystkich krajowych pod względem barwy najpiękniejsza, niedokładnie jest poznana, dlatego też przez wielu naturalistów za oddzielny gatunek nie uznana, i mieszana razem z krzyczkami; przecież tak odmienna, że żadnéj wątpliwości nie zostawia. Ażeby lepiéj zwrócić na nią uwagę badaczów krajowych, krótki opis dołączam.

U starego samca głowa, kark, cały spód i pokrywy podskrzydłowe czarne, z zielonym połyskiem do światła; plecy siwo-czarniawe: barki, szranki skrzydeł, ogon i pokrywy podogonowe białe, skrzydła światło-popielate, trzy lotki skrajne od następnych ciemniejsze białawo popylone, dziób brunatny, nogi czerwone, tęcze ciemno-brunatne. Samica mniéj ozdobna, czarny kolor samca ma zastąpiony przez czarniawo-szary, na skrzydłach ma mniéj białego, sterówki popielato pociągnięte. Na zimę zmieniają się zupełnie: cała głowa, kark i spód ciała bieleje, a grzbiet i ogon przybiera kolor jasno-popielaty, skrzydła tylko takie same zostają. Młode w piérwszéj odzieży są bardzo podobne do krzyczek młodych; rozpoznać je można po krótszym dziobie, innym kroju ogona, odmiennéj cokolwiek pstrokaciźnie na wierzchu; oprócz tego mają więcéj szarego odcienia na czole, karku, bokach i szyi.

Czas pierzenia się starych nie jest jednostajny. Około świętego Jana wiele już ich bywa pstrokatych, a mianowicie na głowie i szyi wiele mają białych piórek, niektóre jednak w tym czasie są jeszcze zupełnie nieznienione; w końcu lipca te które jeszcze pozostały, nie więcéj są pstrokate jak tamte były w czerwcu, w téj okolicy zatém zupełnéj zmiany pierza nie odbywają. Oprócz tego, okoliczność ta nastręcza następujące uwagi:

1. Że póty tylko tam bawią, póki młodych nie wyhodują, i natychmiast odlatują, skoro te już do podróży zdatne.

2. Że pierzenie się starych jest w związku z gniażdżeniem, to jest wtenczas zaczynają piérwsze pióra zrzucać, kiedy młode się wylęgają; a skoro te już z gniazda wylecą, stare znacznie w pierzeniu postąpiły.

Dziwna rzecz, dlaczego hr. Tyzenhauz, znający dokładnie Polesie i często o niém w pismach swoich wspominający, ptaka tego tak w Ornitologii powszechnéj, jako też w Spisie swoim, za bardzo rzadkiego tam podaje.

Mewa śmieszka (*Larus ridibundus*). W przelotach wszędzie prawie nad wodami bywa, na lęg pozostaje tylko w błotnistéj okolicy

powiatu radzyńskiego, w jeziora obfitującéj, położonéj między Wieprzem i Bugiem. Na niektórych jeziorach gnieżdżą się gromadnie. W roku 1849 widziałem ich liczną osadę na bagnistym niedostępnym brzegu jeziora Wytyckiego: tam ich ze 300 par razem gnieździło się. Na każdéj kępie było małe gniazdo suchém sitowiem wysłane, te zaś którym kęp zabrakło, usłały gniazda szczególnego kształtu: wprost na płytkiéj wodzie pomiędzy kępami, które już inne przejmowały, z tegoż samego materyału co tamte, podobne do babki wielkanocnéj, węższe u spodu, szersze u wierzchu, i wklęsłością zakończone, wysokie przeszło na łokieć. W każdém gnieździe były 3 jaja, tak podobne do jaj rycyka (*Limosa melanura*), że niektórych niepodobnaby było rozpoznać. Gdy się człowiek do tego miejsca zbliżył, wszystkie na to zrywały się z ogromnym wrzaskiem, na to inne zlatywały się z całéj okolicy, i cała ta gromada, jak rój pszczół krążyła nad głową, mieszając się w rozmaitych kierunkach. Były jednak dość ostrożne i wysoko latały, ale gdy się jednę zabiło, mnóstwo ich uderzało na spadającą, i tym sposobem można było do woli nastrzelać. Od tego czasu więcéj ich tam nie widziałem; dowiedziałem się dopiéro późniéj, że miejsce to zupełnie opuściły w skutek prześladowań, gdyż im corocznie korcami jaja zabierano, i przeniosły się na mniejsze, niedostępne jeziorka, gdzie się po spławach swobodnie wywodzą.

Głos mają podobny do innych mew i rybołówek, a na zbliżającego się nieprzyjaciela do gniazd, krzyczą przeraźliwie głosem do wron podobnym. To zapewne przyczyniło się do nazwania ich wronami morskiemi, pod któremto nazwiskiem pospolicie je u nas znają.

W czerwcu, kiedy ugory zaczynają podkładać, mewy te wylatują nad pola, i dążą gdzie tylko sochy dostrzegą; kręcą się nieustannie między ludźmi, przelatują się tuż nad ich głowami i upatrują świeżo wyorane pędraki, ich poczwarki, i inne gąsienice w ziemi żyjące: rzucają się na nie z góry, i nie siadając chwytają. Zmęczone jednak ciągłém latanem, siadają na ziemi i za sochami chodzą. Znakomite tym sposobem oddają rolnikom usługi, przez tępienie znacznéj ilości tych szkodliwych owadów. Wtenczas najwięcéj się je widuje ponad polami sąsiedniemi jezior na których się gnieżdżą; zapędzają się jednak o parę mil od nich, lecz w tych wycieczkach nie wydalają się wcale z okolicy błotnistéj naszego Polesia.

Chociaż mewy te są tak śmiałe i dowierzające przy orzących ludziach, za pokazaniem się jednak człowieka inaczéj ubranego, wzajemnie się krzykiem ostrzegają, wzbijają się w górę, krążą przez chwilę w znacznéj wysokości, i gdzieindziéj odlatują. Najpłochliwsze są wtenczas kiedy przezorniejsze od nich wrony, razem z niemi za sochami żerują, a postrzegłszy podejrzanego człowieka, zrywają się z krzykiem i mewy do ucieczki skłaniają. Chcąc je strzelać, trzeba się zbliżyć nieznacznie do soch, i chodzić ciągle tuż za ratajem: wtenczas którakolwiek z uwijających się mew, blizko nadleci; po strzale wszystkie wzbijają się w górę i odlatują, ale po chwili nazad wracają.

Ze względu znakomitych usług, jakie ptaki te świadczą okolicy, tak obfitującéj w szkodliwe owady, powinny na większe względy za-

sługiwać, tém bardziéj, że żadnych z nich pożytków gastronomicznych ciągnąć niepodobna; mięso ich jest czarne, niesmaczne, podobnie jak wszystkich im pokrewnych gatunków. Nadewszystko zaś należałoby oszczędzać ich gniazda, gdyż jak się pokazuje, są bardzo przezorne, i opuszczają miejsca gdzie się je prześladuje, a byłaby wielka szkoda gdyby się zupełnie wyniosły.

W. Taczanowski.

Jaskinia z kościami zaginionych zwierząt, w kraju naszym odkryta.

We wsi Potok, należącéj dziś do generała jazdy Wincentego hrabi Krasińskiego, odkryła się w jednéj wapiennéj skale jaskinia z kościami zwierząt zaginionych, zwykle przedpotopowemi zwanych. Wieś ta położoną jest w stronie Olsztyna, niedaleko Częstochowy, a liczne w niéj skały wapienia bukami pokryte, należą do tego samego pasma, które przez Ojców przechodzi. U spodu jednéj z nich, blizko przepływającego strumyka, na wzgórzu wzniesionéj, sam właściciel objeżdżając nowo nabytą włość podczas lata, spostrzegł łukowatą jamistość, i domyśliwszy się że ona może być częścią jaskini nad zatykającym ją mułem który nie dochodził po samo sklepienie, rozkazał kopać mulisty grunt wzgórza pod skałą, gdzie natychmiast odkryły się pod stalagmitami zęby i różne inne kości zwierząt dziś po większéj części obcych naszéj faunie, jakoto słonia, nosorożca i t. d. Jestto więc prawdziwa jaskinia kościodajna (*Grotte ossifère, Caverne à ossements fossiles*) jakich wiele w Niemczech, w Belgii, Anglii, Francyi i t. d. wsławiono i o jakiéj świeżém odkryciu w Bagnères w Pireneach, niedawno jeszcze donoszono (zob. *L'Indép. Belge*, 22 *nov.* 1852). Z polecenia dziedzica, którego miłość i szacunek dla sztuk pięknych i umiejętności są tyle znanemi, dotąd pozbierane szczątki, starannie przewiezione zostały do Warszawy, gdzie professor Waga zajmuje się ich naukowém oznaczeniem i uporządkowaniem, mając te badania w piśmie obszerniejszém ogłosić. W resztach dotąd odkopanych znalazł on przeszło 12 odmiennych gatunków zwierząt ssących, jakoto: mamuta (słonia przedpotop.), nosorożca, konia, wołu (*Bos primigenius*), najmniéj 3 jelenie (między temi renifer), świni, niedźwiedzia jaskiniowego (*Ursus spelaeus* var. *arctoid.*), wilka kopalnego, kuny, kota, zająca. Kości te leżały w pokładzie rozrzucone w całém znaczeniu tego wyrazu; nie odkrył się żaden skielet całkowity. Z pojedynczych niektóre, zwłaszcza w górnéj części pokładu, dochowały zadziwiającą całość i świeżość, ale z większéj głębokości wykopywane, okazują widoczniejszą cechę dawności, a niekiedy zepsucie, nawet w najdoskonalszych częściach tkanki. P. Kotarbiński, rządca miejscowy, zgodnie z celami nauki,

kierując pracami odkopujących, gorliwie ocala to, co zpośród stalagmitów wydobywane, łatwo uszkodzeniom podpaść może. Poszukiwania dalsze odłożone zostały do wiosny. Wnętrzem jaskinia ta nie różni się od znajomych dawniéj koło Ojcowa, Olsztyna i t. d.; przedstawia liczne załomki, których granic, osobliwie z prawéj strony, nie oznaczono jeszcze. Nie ma wątpliwości że w odległych wiekach wiadomą była ówczesnym mieszkańcom téj okolicy. W głębokości kilku stóp, pomiędzy kościami nosorożca, w tak nazwanym mule kościowym (*limon ossifère*), znalazła się zardzewiała odłamana połowa nożyc żelaznych, jakie się używają do strzyżenia wełny na owcach. Przy samej skale, prawie na wstępie do groty, odkryły się także liczne urny, te znane archeologom naszym pamiątki z przedchrześciańskich wieków, prawie wszędzie w kraju naszym odkopywane.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1852.

145. Kazanie ks. Karola Antoniewicza na żałobném nabożeństwie za duszę ś. p. Stefanii z Małachowskich Platerowéj, odbytém w Śremie na dniu 23 sierpnia 1852 roku. 8ka. Leszno. 1852. Nakład i druk E. Günthera. Str. 12. Kop. 20.

146. Kwiateczki missyjne, ludowi wielkopolskiemu na pamiątkę missyi odbytéj w roku 1852 ofiarowane przez ks. Karola Antoniewicza. T. J. 16ka. Leszno. 1852. Nakład i druk E. Günthera. Str. 60. Kop. 15.

147. Missya, czyli: przysposobienie się do missyi, jéj działania i skutki. Wydanie drugie. 16ka. Leszno. 1852. Nakład i druk E. Günthera. Str. 92. Kop. 20.

148. Pismo Święte uważane jako jedyny i najpewniejszy środek moralnego ukształcenia człowieka i uczynienia go zdolnym dojścia do doskonałości, będącéj przeznaczeniem istot nieśmiertelnych. Z godłem:

I wiem, że rozkazanie Jego jest żywot wieczny; przetoż to, co ja wam mówię, jako mi powiedział Ojciec, tak mówię.

Jan 12, 50.

16ka. Wilno. 1852. Druk J. Zawadzkiego. Str. 275. Kop. 75.

149. Zakłady ku ulżeniu cierpieniom bliźnich, obecnie w Krakowie istniejące, z krótką wzmianką o dawniejszych, a dziś nieistniejących instytucyach tego rodzaju, opisał Józef Teodor Głębocki wice-prezes Towarzystwa Dobroczynności. 8ka. Kraków. 1852. W drukarni Czasu. Str. 365.

1853.

5. Dzieje kościołów wyznania helweckiego w dawnéj Małéj Polsce przez Józefa Łukaszewicza. Z godłem:

Tros, Rutulusve fuat, nullo discrimine habebo.

Virgil. Aen.

8ka. Poznań. 1853. Nakładem J. K. Żupańskiego, druk W. Deckera i Spółki. Stron. X, rejestru karta 1 i str. 435.

6. Józefa Unger Kalendarz Warszawski popularno-naukowy na rok zwyczajny 1853, który ma dni 365. Wydany staraniem Sk. Rok ósmy. 8ka wielka. Warszawa. Nakładem i drukiem wydawcy. Nadpisów i kalendarza str. XVI, 104 i 40. Kop. 40.

7. Polska czyli o położeniu, obyczajach, urzędach i Rzeczypospolitéj Królestwa Polskiego, przez Marcina Kromera, Koadjutora i Nominata Biskupa Warmińskiego. Xiąg dwoje. Przełożył z łacińskiego, notami i życiorysem autora uzupełnił Władysław Syrokomla. 8ka. Wilno. 1853. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. XLVIII i 152. Rsr. 1.

8. Poradnik lekarski w chorobach hemoroidalnych, obejmujący rozliczne pojawy tych chorób, a następnie porządek życia, sposoby

leczenia, oraz przepisy lekarskie z najsławniejszych dzieł wyjęte przez M. Studenckiego lekarza kl. I i akuszera w Warszawie. 12ka. Warszawa. 1853. Druk Orgelbranda. Kart. 2 i str. 99. Kop. 50.

9. Powieści naszych czasów Seweryny z Żochowskich Pruszak. W czterech tomach. 8ka. Warszawa. 1853. Nakład G. Sennewalda, druk Ungra. Tom I, str. 250. II, 276. III, 286. IV, 301. Rsr. 3 k. 60.

10. Rozrywki na dni świąteczne dla dzieci małych i dorastających z czterema rycinami. 16ka. Warszawa. 1853. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. 119. Kop. 75.

11. Rys chronologiczno-historyczny państw nowożytnych od V wieku do dziś dnia, z kilkunastu (ą) mapkami i kilkudziesięciu genealogijami, ułożony przez Alexandra Zdanowicza Nauczyciela Historyi w wileń. Dworzań. Instytucie. Wydanie nowe znacznie pomnożone. 8ka. Wilno. 1853. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. VIII i 616. Rsr. 3 k. 90. (Do tego dzieła należą: Genealogie do Rysu chronologiczno-historycznego, ułożonego przez Alexandra Zdanowicza. Str. 23).

12. Sto nowych Powiastek dla dzieci z dodaniem wierszyków moralnych, przez Stanisława Jachowicza. 12ka. Warszawa. 1853. Druk St. Strąbskiego. Napisów kart 3, str. XI i 175 Rejestru kart 4. Rsr. 1.

13. Złota książeczka czyli zbiór ciekawych i nauczających powiastek Fryderyka Hoffmann, przełożył T. Nowosielski. Z 5 rycinami kolorowemi. 16ka. Warszawa. 1853. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 3 i str. 144. Kop. 75.

14. Złote jabłko przez J. I. Kraszewskiego. 12ka. 4 tomy. Warszawa. 1853. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 266. II, 254. III, 272. IV, 276, i w każdym tomie nadpisów kart 2. Rsr. 4.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Piśmiennictwo W. A. Maciejowskiego, wedle prospektu już w zupełności wyszło zpod prasy drukarskiéj nakładem S. Orgelbranda —Tegoż nakładem wyjdą w r. b. *Pisma historyczne Dominika Szulca*, i wyborny przekład Kallimacha przez M. Gliszczyńskiego.

— J. I. Kraszewski zajęty obecnie *Ikonotheką*, przygotowuje do druku wydanie drugie powieści: *Ulana*, *Pan i szewc* i *Pamiętniki nieznajomego*. *Komedyanci* w nowém wydaniu ukażą się także. Pisze powieść p. n. *Djabeł*, która ma być drukowaną w Gazecie Warszawskiéj: tło jéj będzie historyczne z czasów Stanisława Augusta.

— Zygmunt Helcel wykończył już w obszerniejszych ramach pracę nader ważną o sejmie i Statucie wiślickim.

— Dr. T. Tripplin wkrótce ogłosi t. XII swoich Wspomnień z podróży. Tom ten, którego treścią jest opis Paryża, składać się ma z dwóch oddzielnych części.

— Opis powiatu wasilkowskiego p. Rulikowskiego, wkrótce opuści prasę drukarską.

— Leon Glücksberg drukuje nową powieść A. Kosińskiego p. n.: Ostatni książęta mazowieccy; ma być trzy tomy. Wydrukowany jest tylko tom piérwszy.

— W drukarni zakładu Ossolińskich we Lwowie wyszedł IV i ostatni tom: „Wiadomości historyczno-krytycznych". Obejmuje w 34 arkuszach druku następujące żywoty: Dantyszka Jana, Piotra z Goniądza, Hozyusza Stanisława, Janickiego Klemensa, Krowickiego Marcina, Krzyckiego Jędrzeja, Lutomirskiego Stanisława, Łubieńskiego Stanisława, Maciejowskiego Samuela, Modrzewskiego Jędrzeja, Niemojewskiego Jana, trzech Ossolińskich, mianowicie: Hieronima, Krzysztofa i Zbigniewa (ten ostatni pisał pamiętniki, i część ich w rękopiśmie współczesnym dochowana znajduje się w bibl. Ossol. we Lwowie), Grzegorza z Brzezin Pawlego, Pstrokońskiego Macieja, czterech Rozrażewskich: Hieronima, Jana, Krzysztofa i Stanisława, Rutki Teofila, Skrzetuskiego Rafała, Stankara Franciszka, Solikowskiego Jana i Piotra Tomickiego. W przedmowie do tego tomu zdał sprawę wydawca jego August Bielowski z owych żywotów, które się w zarysach ułamkowych lub materyałach, po makulaturach Ossolińskiego rozrzucone znajdują, a w końcu tomu tego dołączył abecadłowy spis żywotów wszystkich czterech tomów.

— Drukuje się tamże tom drugi znanego i powszechnie chwalonego dzieła Kazimierza hr. Stadnickiego, pod napisem *Synowie Gedymina*, tudzież historya *miasta Lwowa* przez Józefowicza, napisana niegdyś po łacinie, a przez Piwockiego na język polski przełożona.

— Nakładem G. L. Glücksberga wyszedł „Teatr dla dzieci" przez Z. H. Obszerniejszy przegląd poświęcimy temu dziełku.

— Nakładem J. Zawadzkiego wyszły dawniéj zapowiedziane dzieła: Polska Marcina Kromera z dodanym życiorysem przez tłumacza Wł. Syrokomlę.— Nowa Wędrówka po małych drogach, Kazimierza Bujnickiego, w 2 tomach.—Wspomnienia z podróży do Syberyi, pobytu w Berezowie i w Saratowie, przez Ewę Felińską, tom 2gi nieznany wcale, bo piérwszy był drukowany w Athenaeum i odbity w małéj liczbie exempl. Tom ten obejmuje pobyt w Saratowie.

— Nakładem Rubena Rafałowicza wyszło: Bezkrólewie po Janie III Sobieskim; dzieło Bizardiera przetłumaczone i objaśnione przypiskami przez J. Bartoszewicza. Tygodnik peters. przywodząc wyjątki z Wstępu tłumacza, pisze: że obecnie jako tłumacze i wydawcy pomników mogą być tylko uważani pp. Mikołaj Malinowski i Julian Bartoszewicz. Sądzimy, że będzie należało tu miejsce i dla Wł. Syrokomli.

— W Krakowie wyszły Pamiętniki o wyprawie Chocimskiéj 1621 r., wydane przez Żegotę Pauli. Wydanie Józefa Czecha. Przegląd obszerniejszy podamy w jednym z następnych zeszytów Bibl. Warsz.

— W Pradze czeskiéj wyszły jeszcze w 1850 r. ale dopiéro w z. r. odebraliśmy: „Dźie Królowstwi Českého" napisane przez Władiwoja Tomka. Nieobojętną jest dla naszych dziejów ta ważna praca.—Bolesław Podstransky wydał w r. z. Słownik kieszonkowy polsko-czeski (Kapesní Slovnik).

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Listopad, 1852.

Listopad 1852. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obse watoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morz jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ᵍ. 14ᵐ. 45ˢ., 7
czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschó względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god r.	4 god. w.	10 god. w.	dészczu	śniegu
1		744.12	746.23	749.74	753.27	+ 3°.4	+ 2°.7	+ 1°.7	— 0°.4	83.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnZ.	Pn.	PnZ.	PnZ.	4.0	
2		756.23	757.36	756.35	755.99	— 0 6	— 0.8	+ 0.0	— 0.9	93.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	Pn.	Pd.	Pd.		
3		753.27	752.71	750.72	751.06	— 2.0	+ 1.6	+ 5 9	+ 4.5	85.5	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.	3.6	
4		751.88	752.85	752.83	753.28	+ 5.6	+ 8.3	+ 8.4	+ 6.6	98.5	mgła gruba	mgła	mgła gruba	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Pd.	4 0	
5	☾	752.56	753.54	753.62	754.39	+ 7.3	+ 9.1	+ 8.8	+ 8.1	98.8	poch. mg. g.	poch. mg. g.	mgła	mgła gruba	Pd.	—	PdZ.	Z.		
6		754.85	755.11	754.51	755.58	+ 5.0	+ 7.5	+ 8 2	+ 4.9	95.2	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	W.	W.	PdW.		
7		756.63	759.07	761.64	762 57	+ 4.2	+ 3.3	+ 2.2	+ 0.5	100.0	dészcz	pochmurny	poch. mży	pochmurny	PdW.	W.	PdW.	PdW.	1.9	
8		760.12	758.56	754.39	751.79	+ 0.8	+ 2.7	+ 6.5	+ 9.3	97.0	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.	2.4	
9		741.60	742.87	742.91	742.57	+ 11.6	+ 9.4	+ 8 6	+ 4.8	78.0	poch. dész.	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z	Z.	9.6	
10		739.55	739.13	741.27	743.41	+ 3.7	+ 4.8	+ 2.8	+ 0 2	82.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
11	●	747.08	749.25	749 46	748.59	— 2.4	— 2.2	+ 0 0	— 3.5	96.2	pr. pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	PdW.		
12		741.41	738.99	739.29	744.26	— 2.7	+ 0.4	— 1.7	— 3.8	94.5	poch. śnieg	śnieg	pochmurny	pr. pogodny	PdW.	PdZ.	PnZ.	PnZ.		5.2
13		750.82	752.21	749.98	745.52	— 11.8	— 7.1	— 7 6	— 9.5	—	pogodny	pr. pogod.	pr. pogodny	napół pog.	PdZ.	Pd.	PdW.	PdW.		
14		739.61	738.83	739.30	741.91	— 5.0	— 1.1	— 1.6	— 3.1	—	pochmurny	śnieg	śnieg	pochmurny	Pd.	Pd.	PnW.	Pn.		1.8
15		745.06	746 67	747.29	747.25	— 3.5	— 2.7	— 2 8	— 3.6	95.3	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	PnW.	PnW.	W.	PdW.		1.6
16		746.52	745.75	745.24	745.03	— 0.4	+ 1.5	+ 2.3	+ 2.6	100.0	poch. mg. g.	mgła gruba	pogodny	pr. pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
17		744.16	744.42	742.63	741.68	+ 2.7	+ 5.0	+ 7.5	+ 9.5	96.5	pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
18	☽	743.32	743.27	744.45	747.29	+ 3.0	+ 6.7	+ 8.9	+ 5.8	97.5	mgła gruba	pogodny	dészcz dr.	pogodny	Pd.	PdW.	Z.	Z.		
19		748.04	748.78	749.39	750.50	+ 3.5	+ 5.4	+ 6 9	+ 3.2	86.2	pogodny	poch. dész.	pochmurny	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	1.0	
20		749.49	748.66	746.48	745 20	— 0.4	+ 1.9	+ 4.5	+ 3.6	94.5	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
21		743.30	742.26	740.23	739.27	+ 4.6	+ 5.6	+ 7.3	+ 5.8	97.7	poch. lek. m.	poch. mgła.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
22		738.45	738.15	736.93	736.15	+ 5 3	+ 6.5	+ 6.0	+ 5.3	97.5	mgła gruba	poch. mg. g.	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
23		735.13	735.93	734.20	736.19	+ 6.1	+ 7.6	+ 8 0	+ 7.5	96.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochm. mg.	—	—	—	—	8.0	
24		735.11	734.85	735 39	737.07	+ 7.1	+ 9.3	+ 8.7	+ 7.5	98.8	poch. d. m.	poch. mgła.	poch. mgła.	pochmurny	—	—	—	—	8.1	
25		739 91	742.89	746.34	749.87	+ 6.4	+ 5.1	+ 4 2	+ 4.0	95.5	dészcz	dészcz	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		•
26	☾	752.49	754.18	755.06	756 70	+ 3.3	+ 3 7	+ 4.6	+ 1.8	89.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
27		757.66	757 56	755.85	754 87	— 1.6	— 1.0	+ 0.1	— 0.4	98.5	poch. mgła	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
28		753.37	753.51	753 11	752.64	+ 0.5	+ 2.3	+ 2.6	+ 2.4	96.7	pochmurny	pochmurny	poch. mgła.	pochm. mg.	—	—	—	—		
29		750.73	750.37	749.49	749 83	+ 2.5	+ 3 3	+ 3.9	+ 3 5	96.3	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
30		750.92	752.02	751.11	751.62	+ 3.6	+ 4.9	+ 5.4	+ 4.8	96 0	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	—	—	—	—		
Śre.		747.446	747,866	747.640	748.178	+1°.99	+ 3°.46	+4° 01	+ 2°.70	94.1									42.6	8.6

	mm.	c.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.782	27	7.488
Najwyżéj dochodził — d. 7 o g. 10 w.	762.57	28	2.045
Najniżéj — — d. 23 o g. 4 w.	734.30	27	1.468
Średnia zmiana dzienna barometru	4.693		2.080
Największa zmiana dzienna barometru d. 8—9 o g. 6 r.	18.52		8.210
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	2.340		1.038
	750.122	27	8.526
Średnia temperatura listopada wynosi:	+ 3°.04 C.		+ 2°.43 R.
i ta jest wyższa o	1.52 „		1.22 „
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	+ 1.52 „		+ 1.21 „
Największe ciepło dochodziło d. 9 o godz. 6 rano.	+ 11.6 „		+ 9.28 „
Największe zimno d. 13 o g. 6 r.	— 11.8 „		— 9.44 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.111 „		2.489 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 8—9 o g. 6 r.	10.8 „		8.64 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +9°.4 R. d. 9 rano.
Minimum: —9°.7 „ d. 13 rano.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości: 42,6 milim. czyli 18,88 lin. par.; z śniegu 8.6 mil. czyli 3.81 lin. par., razem z deszczu i śniegu 51.2 mil. czyli 22.69 lin. par.: ilość ta wody jest większa o 2,43 lin. par. od téj ilości jaka zwykle u nas w listopadzie spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 94,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 6,09 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 0,04 od normalnéj.

Dni pogodnych było 2, napół pogodnych 4, pochmurnych 24.
— dészczu 13 (d. 1, 3, 7, 8, 9, 10, 18, 19, 23, 24, 27, 28, 30).
— śniegu 3 (d. 11, 12, 14).
— mgły 11 (d. 4, 5, 6, 13, 16, 18, 21, 22, 23, 24, 27, 28).
Wichrów było 5 (2 PdZ., 1 Z., 1 PnZ., 1 PdW.).
Wiatrów mocnych 13 (4 PnZ., 7 Z., 1 PdW., 1 Pd.).
Wiatr panujący: Południowo-Wschodni, częste były także Południowe i Zachodnie.

Listopad r. b. był niepogodny, wilgotny, mglisty, w dészcz obfity, przeszło o jeden stopień R. cieplejszy niż zwykle. Piérwsze dziesięć dni były ciepłe, następne pięć mroźne; druga połowa miesiąca była ciepła. Najcieplejsze dni były: 4, 5, 8, 17, 23, 24. Najzimniejsze d. 11, 12, 13, 14, 15. Dzień 13 był tak zimny iż średnia jego temperatura dzienna wynosiła—7,2 stop. R. Zmiany barometru osobliwie przy wichrach były znaczne i częste. W nocy z d. 8 na 9 w przeciągu ośmiu godzin, barometr spadł na 4,5 lin. par. Mgły częste i nader wilgotny stan powietrza miesiąc ten odznaczały, osobliwie w dniach 4, 5, 24 mgła trwała przez cały dzień. Wilgotność powietrza jest o 4 setne większa niż zwykle. Najwilgotniejsze dni były: 4, 5, 7, 16, 24, 27; najmniéj wilgotne d. 1, 9, 10. Elektryczność atmosferyczna w dniach 1, 4, 5, 8, 11, 13, 17, 18, 21, była bardzo silna, osobliwie w dniu 13 po spadnieniu śniegu, przy znacznym mrozie elektrometr pokazywał 50 stopni natężenia; przeciwnie w dniach 2, 7, 19, elektryczność była słaba.

Dnia 1, 19 pokazywały się plamy na słońcu.
D. 11 o godz. 8 min. 22 widziano *Zorzę północną*.

STARANIA

DOMU RAKUZKIEGO W XVI WIEKU DLA POZYSKANIA KORONY POLSKIEJ.

(Z czeskiego).

Bardzo to niedobrze z naszéj strony, że tak mało zajmujemy się spółczesną literaturą czeską. Zachodni pobratymcy nasi mają nierównie więcéj spółczucia dla wszystkich plemion słowiańskich; przetłumaczyli już wiele z polskiego na swój język powieści, rozpraw naukowych, a nawet poematów, wtenczas, kiedy my z odgłosu znamy tylko Córę sławy Kollara, i kiedy zamiast jakich wiadomości o literaturze czeskiéj, nauczyliśmy się napamięć kilku głośniejszych spółczesnych imion Hanki, Szafarzyka, Czelakowskiego i t. d. Porzuciwszy już inne względy, powinnibyśmy dla saméj historyi czytać po czesku, dlatego przynajmniéj, że wiele tam znajdziem i dla siebie. Kodex dyplomatyczny Boczka, tak dobrze należy do naszéj literatury, jak do czeskiéj; a przyszli badacze tak z tego zbioru czerpać będą, jak dzisiaj już czerpać zaczynają z kodexów Rzyszczewskiego i Raczyńskiego. Palacky historyą Czech ogłasza; to wcale nieznane a bardzo ważne źródło dla wyrozumienia naszéj odległéj, bo Piastowéj przeszłości. Żałować bardzo przychodzi, że nikt nie zajął się dotąd przekładem na język polski tego klassycznego dzieła, które i pomysłem i wykonaniem należy do najcelniejszych prac spółczesnych i jest chlubą wieku swojego. Historyi Czech w ogóle nie znamy, a ileżto w dawnych latach stosunków mieli pradziadowie nasi z tym potężnym niegdyś sąsiadem! Zacząwszy od Bolesława Chrobrego, aż do czasów króla Zygmun-

ta Wazy, Polska ciągle się znosiła z niepodległém i elekcyjném królestwem czeskiém. Dawniéj nieraz wpływowi pobratymczego narodu ulegała; potém tyle razy podawała mu rękę niedołężnéj pomocy przeciwko Niemcom, którzy się w słowiańszczyznę wdzierali. Przed czasami Łokietka cała Polska uległa Czechom, a i sama postać tego bohatera XIV wieku, z początku pokorna i nieśmiała przed potęgą Wacławów, bardzo wiele zyskała na wyrazistości przez nowe odkrycia Palackiego, dokonane w archiwach czeskich. Trzeba przyznać, że Czesi lepiéj umieli korzystać wtenczas z okoliczności, jak my późniéj już w następnych wiekach po Łokietku. Przez zbyt szlachetną, niepodbójczą politykę Polski, Czechy może zginęły.

Ale wracamy do literatury. Zdaje nam się, że Palacky, pisarz naturalnie bardzo wpływowy, już zrobił swoje: bo późniejsze prace dziejowe, które się w Czechach pojawiły, noszą na sobie już cechę wewnętrznéj myśli, oryginalniejszych badań, śmielszych zarysów. W Czasopiśie muzeum czeskiego, już kilka takich dzielnych rozpraw czytaliśmy. Znaleźliśmy tam nieraz rzeczy bliżéj nas obchodzące. Z najnowszym tego rodzaju owocem postanowiliśmy czytelników naszych zapoznać.

Oto p. Wacław Władywoj Tomek zaczął świeżo ogłaszać swoje badania o zabiegach domu rakuzkiego w XVI wieku dla pozyskania korony polskiéj. Tomek zajmuje się tym przedmiotem jako Czech, bo to ustęp dziejów jego ojczyzny: dynastya rakuzka była już wtedy dziedziczną narodową dynastyą czeską.

P. Tomek, dzisiaj professor historyi austryackiéj w uniwersytecie pragskim, a od r. 1848 członek *Matici*, jest jednym z najcelniejszych spółczesnych pisarzy czeskich. Od lat już kilku pracuje wciąż gorliwie nad historyą. Napisał już *Dzieje uniwersytetu pragskiego* (dzieło na obszerniejszy zakres zacęte i jeszcze dotąd nieukończone); potém do małéj encyklopedyi czeskiéj napisał *Dzieje państwa Rakuzkiego*, w Pradze 1845 r. (tom 1) i *Dzieje ziemi czeskiéj z trzema mappkami*, w Pradze, 1843 r. (także tom 1). Z téjże encyklopedyi napisał *Krótką historyą powszechną* i wydał ją w Pradze 1842 roku. O ile wiemy, to było najpiérwsze jego dzieło. Człowiek to jeszcze w sile wieku, i zanim coś wielkiego zbuduje, pisze rozprawy dziejowe. Sąto niby ustępy i wycieczki w świat, które zawsze plon przynoszą do wspólnego ogniska.

Dla czytelników polskich nie znajdzie się wiele nowego w rozprawie Tomka, o któréj chcemy dać wiadomość. Znajduje się w niéj opis elekcyi Henryka Walezego i wielkiego Stefana, rzeczy już dobrze znajome. W rozprawie nawet bardzo często spotykaliśmy się z temi wiadomościami, które zawarł Albertrandi w dziele swojém o téj epoce. Widać, że i Tomek i uczony nasz biskup z jednych źródeł czerpali. Ale nawet trudno byłoby wymagać po Tomku, żeby w zakresie małéj rozprawy objaśniał tajemnice przeszłości polskiéj. Jemu o co innego chodziło: nie rozwijał obrazu dwojga elekcyj, tylko wskazywał na starania się domu austryackiego w Polsce i obrachowywał siły stronnictwa niemieckiego w Polsce. Cesarz nie powstawał przeciw prawnéj elekcyi Henryka, ale nieformalności pewne, które się po ucieczce tego króla zdarzyły i rozdwojenie elekcyi, wywiodło na jasnią całą sieć dyplomacyi rakuzkiéj. Cesarzowi ubliżało, że hołdownik turecki, książę bez rodu i prawie jego poddany wydzierał mu koronę, która miała stać się nową perłą w wieńcu monarchii austryackiéj. Od grudnia 1576 r., zatém przez kilka miesięcy ciągle z Batorym parlamentował; te właśnie stosunki dwóch panów chrześciańskich, którzy poza obrębem Polski o Polskę traktowali, nieznane przez naszych historyków, opuszczone zupełnie przez Albertrandego, będą ciekawą dla literatury polskiéj nowością. Tomek cytował tutaj źródła jakie miał w listach osób, które odgrywały rolę w téj dyplomacyi. Z listów tych nawet wyjątki przywodzi po niemiecku. Cały ten ustęp rozprawy wiernie przytoczyliśmy, bo objaśnia to wielce nasze stosunki w XVIym wieku. Zresztą oryginalny pogląd autora na wypadki, może zająć. Nie bierzem za niego żadnéj odpowiedzialności, bo niejednę rzecz widzieliśmy w inném świetle, w jakiém ją nam Tomek wystawia; niejedna jego uwaga, albo krytyka wypadków, pokazała się nam zbyt jednostronną, a więc niezasługującą wcale na głębszy rozbiór. Ale celem naszym było dać poznać nietylko samo opowiadanie Tomka, ale i jego samego pogląd na rzeczy. Przerabiać autora nie chcieliśmy; wszędzie się téż tłumaczym jego wyrazami, streszczamy tylko mniéj ważne ustępy. Oto np. jak zaczyna swoje rozumowania:

„Po wygaśnięciu rodziny Jagiellońskiéj przez śmierć Zygmunta Augusta, zaczęła się w Polsce doba owych wielkich niepokojów, z powodu wolnego obioru królów, które się skończyły

upadkiem Rzplitéj po dwustoletniém bezrządném panowaniu szlachty, na korzyść sąsiadom. Można z pewnością powiedzieć, że nie przyszłoby nigdy do tego smutnego upadku, gdyby się udało któréjkolwiek z rodzin panujących w Polsce, po śmierci Zygmunta Augusta utwierdzić na nowo dziedziczność tronu. Udałoby to się pewnie najlepiéj domowi rakuzkiemu, ale nigdy tak szczęśliwie losem nie wypadło, żeby chociaż raz jeden który z arcyksiążąt był obrany królem polskim. I Czechy i Węgry miały także swoję dobę swawoli i bezrządu i szlachta tych krajów także się pyszniła swoją wolną elekcyą królów, a nie chciała znosić dziedzicznego tronu. I w Czechach i w Węgrzech pokazały się już w XV wieku szkodliwe następstwa téj zasady, przez którą Polska upadła nie znalazłszy lekarza. Ale w Czechach i Węgrach już Ferdynand I umiał obalić wolną elekcyą, i jako zasadę postawił swoje dziedziczne prawo do tych dwojga królestw, których nabył przez uroczyste traktaty z panującemi; zatém władza jego królewska spoiła jedność rozerwanych stosunków społecznych i ta jedność utwierdziła się coraz bardziéj w obudwu państwach wtenczas właśnie, kiedy Polska dążyła coraz swobodniéj do nieuniknionego upadku".

„Nie dynastyczne przyczyny spowodowały dom rakuzki, że szczerze się ubiegał o koronę polską; owszem, rozsądna i ostrożna polityka więcéj mu kazała troszczyć się o pomyślność swoich własnych królestw. Cesarz Maxymilian IIgi i doradcy jego mieli zawsze przed oczyma przykład, mianowicie Ferdynanda Igo, kiedy się starał o nabycie Węgier. To królewstwo już za panowania Ludwika IIgo dojrzało zupełnie do swojego upadku i znajdowało się prawie w tym stanie, jak Polska była w XVIII wieku. Groźne, widoczne niebezpieczeństwo od strasznéj potęgi Solimana nie otworzyło jeszcze oczu szlachcie węgierskiéj, która bawiła się ciągle w gnuśne domowe rozterki wtenczas, kiedy władza królewska do szczętu upadała. Przed wyprawą pod Mohacz, wojsko Solimana już się zbierało u granic, a panowie węgierscy jeszcze się spokojnie kłócili i waśnili rozdzieleni na stronnictwa na Rakuszach".

„Z maleńką garstką ludu, z 25,000 wojska, w którém wiele było jeszcze obcej pomocy, musiał się Ludwik odważyć na bój z 200,000 ludzi Solimana i zginął pod Mohaczem. Gdyby Ferdynand zostawił Węgry ich losowi, całe to królewstwo dostałoby się pewnie w ręce tureckie, a do dziedzicznych ziem

jego, aż po granice Krainy, Styryi, Rakusz i Moraw, byłby się wróg chrześciaństwa rozciągnął, jako bezpośredni sąsiad cesarstwa. Tego wcale nie spostrzegła szlachta węgierska, a przynajmniéj część jéj do prędszych kroków pochopniejsza i jakoby na złość podniosła na tron największego przeciwnika ostatnich dwóch królów, Jana Zapolskiego. Przeciw Ferdynandowi, który orężem chciał dochodzić praw swoich, powołał teraz na pomoc Solimana sam Zapolski. I sułtan nie czekając wcale na te zaprosiny, wszedł do Węgier i łatwoby mógł utwierdzić panowanie swoje w téj ziemi, gdyby wszyscy obywatele stanęli za jedno. Skończyły się nareszcie te wielkie bitwy pomiędzy Ferdynandem a Solimanem, rozpadnięciem się Węgier na trzy oddzielne kęsy (1541). Władcy rakuzcy wydarli dla siebie części górzyste Węgier, tojest całe dzisiejsze ziemie słowiańskie i zachodnie krainy przy granicach rakuzkich i styryjskich, a oprócz tego Chorwacyą. Soliman wziął cały pas ziemi pomiędzy Dunajem a Cissą od południowych granic aż na północ i zachód całą ziemię do Komorna, Wesprymu i jeziora Blateńskiego; granica ta z czasem daléj się rozszerzała, aż do Raby i Wielkiéj Kamiszy. Ostatek dostał się Janowi Zygmuntowi synowi Zapolskiego, który został dziedzicznym księciem siedmiogrodzkim i dannikiem Porty.

Pożądliwie spoglądał w przyszłość Ferdynand, a po nim syn jego cesarz Maxymilian, i oczekiwał téj nieszczęśliwéj chwili, ażby śmierć Zygmunta Augusta w Polsce porodziła te same przyczyny i skutki. I tutaj była obawa, że Turek zechce korzystać z wewnętrznych zamieszek Polski, tém bardziéj, że już oddawna knuł chciwe zamysły względem tego kraju. Ferdynand chciał utrzymać historyczne stosunki przyjaźni z rodziną Jagiellońską i dlatego obiedwie córki swoje oddał w zamężcie Zygmuntowi Augustowi: naprzód Elżbietę (r. 1543 um. 1545), a potém Katarzynę, owdowiałą księżnę mantuańską. Małżeństwa te były jednak niepłodne, bo też z obiema arcyksiężniczkami król polski nie żył tak przykładnie jakby się należało i patrzał innych niewiast. Pięknéj Elżbiety niecierpiała matka królewska, niegodziwa Bona, tak dalece, że posądzano ją nawet o danie trucizny synowéj. Katarzyna zaś nie mogła znieść niełaski męża i odjechała od niego tajemnie w r. 1567 z pomocą samego posła Maxymilianowego. Bezdzietność Zygmunta obchodziła wielce Ferdynanda, który starał się nakłonić zięcia, żeby jednego z arcyksiążąt jego synów, a chociażby najstarsze-

go Maxymiliana obrał swoim dziedzicem i następcą, naturalnie za pozwoleniem stanów polskich. Nastawał na to ciągle, nie mógł przecież nigdy otrzymać od Zygmunta stanowczéj odpowiedzi. Domyślał się zatém i bardzo sprawiedliwie, bo miał powody tak sądzić, że król polski gotował tron swój młodemu wojewodzie siedmiogrodzkiemu, którego matką była Izabella, jego rodzona siostra. Gdyby Zapolski był obrany na tron Jagiellonów, cesarz miał się czego obawiać o własne ziemie: książę ten był zależny od Porty, a rękę zawsze wyciągał po całe Węgry, zwłaszcza po kęs, który się dostał cesarzowi. Rzesza polska nie była urządzoną należycie, zatém wdzierał się dwór tak do Polski, jak poprzednio do Węgier. Przedwczesna śmierć Jana Zygmunta Zapolskiego wybawiła z tego strachu Maxymiliana (1571 r.), a wszakże śmiercią tą nie skończyły się inne obawy, i były jeszcze powody do myślenia, że Turek nie zechce stracić szczęśliwych okoliczności i nie wyrzeknie się wpływu swojego na Polskę."

„W tém i Zygmunt August umarł dnia 7 lipca 1572 r. w Knyszynie. Na piérwszą o tém wiadomość wysłał bez zwłoki cesarz Maxymilian gońców swoich do osieroconéj po bracie królewny Anny Jagiellonki i niektórych co przedniejszych wielkoradców polskich. Wyrażał przed niemi naprzód smutek z powodu bolesnéj straty, i oznajmiał, że wkrótce wyśle sławniejsze poselstwo do Rzplitéj, z powodu wyboru nowego króla. W Polsce znajdował się wtenczas radny wysłaniec, czyli orator cesarski, Jan Cyrus, który mógł téż pracować z panami i nakłaniać ich umysły stosownie do nadziei Maxymilianowych. Nastręczał téż wtenczas cesarz Polakom za króla drugiego swojego syna Ernesta, który miał lat 19. Na to poselstwo sławniejsze, które Maxymilian obiecywał, a które miało przedstawić arcyksięcia, jako kandydata do korony stanom polskim, wyznaczeni zostali dwaj najcelniejsi ówcześni panowie czescy: Wilhelm z Rozenberka najwyższy burgrabia, i Wratisław z Perustajnu kanclerz wielki królestwa czeskiego. Ogromny poczet innego państwa i rycerstwa z Czech i służby dworskiéj, prowadzili za sobą posłowie i pomnażali świetność książęcego orszaku. Poselstwo wyprawiło się w drogę już 17 sierpnia, a 28 tegoż miesiąca już się znajdowało w Krakowie.

„Polska już wtenczas stała na wulkanie dla licznych stronnictw politycznych i religijnych. Pytali się wszyscy jedni dru-

gich i zgodzić się nie mogli o sposób i miejsce wybrania króla. Pierwszyto raz brała się do tego Rzplita, a nie miała jeszcze żadnych praw, żadnych konstytucyj, żadnego zwyczaju przed sobą. Naprzód prowincye osobno naradzały się w tym względzie na wielkich zjazdach swoich. Małopolanie złożyli zjazd w Krakowie, na którym przewodził marszałek koronny wojewoda krakowski Jan Firlej, dumny pan, który sam marzył o koronie. Inny zjazd ziemski nakazał w Łowiczu prymas Uchański, który opierając się na dawnych przykładach, sobie jednemu chciał przywłaszczyć prawo rządzenia Rzplitą w czasach bezkrólewia. Postanowiono tedy na zjeździe łowickim, żeby zwołać sejm ogólny wszystkich ziem polskich do Knyszyna, dla obrania króla. Nawet już dzień 10 sierpnia wyznaczono na otwarcie tego sejmu. W istocie, na czas przez prymasa zakreślony, zebrała się znaczna moc panów w Knyszynie i zagajono obrady, ale sejm nie mógł się odbywać prawnie, bo nie ze wszystkich stron zjechali się senatorowie i posłowie, a do tego jeszcze nadeszła do Knyszyna wieść o śmierci królowéj (24 sierpnia). Postanowiono zwołać nowy sejm na dzień 13 października do Lublina. Wyprawiono z tego zjazdu poselstwa do wszystkich monarchów chrześciańskich, nawet do Porty Ottomańskiéj z wynurzeniami żałoby z powodu śmierci królewskiéj i z zapewnieniami, że Polska chce dotrzymać pokoju wszystkim swoim sąsiadom. Co do posłów cudzoziemskich postanowiono, żeby opuścili Rzplitą, bo Polska chciała zgodnie, bez zamieszań i kłótni obrać sobie króla. W kilka dni po rozejściu się zjazdu knyszyńskiego, zebrali się Wielkopolanie na swój prowincyonalny sejmik do Środy (dnia 7 października) na którym prymas z marszałkiem koronnym spierali się o prawo zwoływania zjazdów narodowych, i wygrał prymas, ale położono mu warunek, żeby czas i miejsce wprzódy wyznaczał za wolą i wiedzą stanów. Oczywiście, stronnictwo prymasowskie przyjęło te warunki, i dlatego zgodzili się wszyscy, żeby sejm październikowy wszystkich ziem Rzplitéj, zgromadził się na polach pod Warszawą, zamiast pod Lublinem. Firlej opuszczony przez wielką część Małopolanów, których od niego bracia Zborowscy odciągnęli, opuszczony także przez Litwę, musiał się koniecznie poddać woli ogólnéj, a tém samém upadła w nim i duma, że już więcéj nie marzył o koronie Jagiellonów dla siebie."

„Długie to były spory i dla nich przeciągnęło się na czas nieoznaczony posłuchanie posłów cesarskich; tymczasem zazdrość stronnictw, czyniła ich położenie w Polsce dość nieprzyjemném. Już piérwsi posłowie, którzy przyjechali z ubolewaniami, nie byli przyjęci z wielką miłością od Polaków; tak się téż źle wiodło na wielu miejscach i drugiemu poselstwu. Listy cesarskie do Rosenberka albo Pernsztajna bywały często przejmowane po drodze od przeciwników politycznych Rakusz; czytano je publicznie na zjazdach i sejmikach powiatowych, wykładano podstępnie, domyślano się z nich tego, czego tam nie było, a dziwne wieści rozsiewano pomiędzy ludem. Przy długiéj niepewności, gdzie i kiedy odbędzie się sejm powszechny, na którym mieli panowie czescy odbyć swoje poselstwo, myśleli co teraz robić. Z Krakowa wyjechali naprzód do Knyszyna, byli w Sandomiérzu i Zawichoście, przejeżdżali się to tu, to tam, sądząc, że sejm zbierze się do Lublina. Ale kiedy stanowczo wybrano na ten cel Warszawę, posłowie zawrócili się i stanąwszy w stosownéj chwili w stolicy mazowieckiéj, oznajmili to zaraz stanom Rzplitéj (8 października 1572 r.). Zgromadzone stany przyznały także arcybiskupowi gnieźnieńskiemu prawo zwoływania sejmów, i razem z nim wybrały Warszawę na miejsce, a dzień 6 stycznia 1573 r. za czas następującego sejmu. Tam dopiéro mieli otrzymać posłuchanie posłowie cudzoziemscy, ale powtórzono znowu warunek, żeby zaraz potém wynosili się za granicę przed elekcyą króla i tam dopiéro oczekiwali skutku swojego poselstwa. Toż samo oświadczano i poselstwu cesarskiemu, a stany koronne, za miejsce tymczasowego pobytu aż do sejmu wyznaczyły Rozenberkowi i Pernsztajnowi miasto Urzędów niedaleko od Lublina. Pan na Rozenberku, ponieważ zanosiło się jeszcze na dłuższe czekanie, odesłał prosto z Warszawy do Czech część swojego dworu i kilka chorych osób, których z trudnością mógł utrzymać w Polsce, bo tam ciągle był jakby w podróży. Dwór ten po drodze doznał wiele prześladowania. Nigdzie dobrowolnie nie chciano Czechów przyjmować do gospód, ani sprzedawać im żywności dla ludzi a obroku dla koni, musieli sobie to wszystko zdobywać przemocą; czego dostali, to musieli podwójnie zapłacić. Dwoje chorych umarło na téj powrotnéj podróży do ojczyzny, a wiele zapłacić potrzeba było, żeby sprawić im pogrzeb po chrześciańsku. Gorsza wszelako przy-

goda spotkała około tegoż czasu wysłańca cesarskiego Jana Cyrusa. Zabawiwszy nieco w Prusiech, gdzie miasta i stany pomorskie zagrzewał do przyjęcia strony cesarza, był raz napadnięty od przeciwnego sobie stronnictwa i zaprowadzony do więzienia w Malborgu. Napróżno domagał się cesarz w listach do przedniejszych panów polskich, aby go Rzplita uwolniła; napomykał Maxymilian o zgwałconém prawie narodów i obiecywał dać wszelkie zadosyćuczynienie za Cyrusa, jeżeli on się czego niesprawiedliwego dopuścił: chciał tylko wiedzieć o co idzie. Posłaniec cesarski zatrzymany był do trzech miesięcy w Malborgu, a potém na styczniowym sejmie warszawskim wniesiono do izby skrzynkę Cyrusa z jego pismami, które zabrano: otworzyli ją posłowie i publicznie przeczytano wszystkie jego listy tam znalezione, przed obliczem Rzplitéj. Teraz dopiéro, gdy nic podejrzanego nie znaleziono w tych listach, Cyrus był puszczony na wolność."

„Nie przyszło jeszcze na tym sejmie do wyboru króla i elekcyą ostatecznie odłożono na dzień 7 kwietnia 1573 r. Miała się odbyć także w Warszawie. Uchwalono, że ten, na kogo szlachta się zgodzi, ma być mianowany przez prymasa, a ogłoszony przez marszałka koronnego. Dotąd jeszcze do żadnéj osoby nie przechylały się losy Rzplitéj, lubo wiele o przyszłym królu po rozmaitych zjazdach i sejmikach rozprawiano. Jeszcze w początkach 1573 r. pisał z Urzędowa Wilhelm pan na Rozenberku, do brata swojego Piotra Woka: „Kto zostanie królem polskim, dotychczas zupełnie jeszcze nie wiemy; cicho jest, i sami panowie Polacy nic jeszcze w tym względzie nie wiedzą". Z obcych kandydatów, słychać było tylko o trzech imionach książąt, którzy się starali o koronę Jagiellońską: Ernest syn cesarski, Zygmunt sześcio-letni syn Jana króla szwedzkiego, który szczyci się bliskiém pokrewieństwem z rodziną Zygmunta Augusta, i Henryk brat Karola IX króla francuzkiego. Przeciw wyborowi Ernesta odzywała się wielka część szlachty, mianowicie drobnéj, i wielkie krzyki podniosła w ogóle przeciw domowi rakuzkiemu: wszyscy wrzeszczeli, że Ernest obrany królem, zniesie wolną elekcyą, jak rodzina jego zrobiła to już w Czechach i Węgrzech. Zygmuntowi szwedzkiemu to najwięcéj właściwie szkodziło, że się przyznawał do bliskich związków familijnych z Jagiellonami; stronnictwo jego było ze wszystkich trzech najsłabsze. Za to Henryk Valois miał wiel-

kiego protektora w osobie sułtana tureckiego, i szlachta też sądziła, że książę francuzki będzie większym miłośnikiem wolnéj elekcyi, jak ojcowie drugich dwóch kandydatów. Między Francyą a Turcyą, od czasu wojen Karola V z Franciszkiem V było wiele serdeczności; obadwa te mocarstwa zawsze w zgodzie z sobą, usiłowały obalić potęgę domu habsburgskiego, i dlatego elekcya Henryka na króla polskiego, wielce pochlebiała Turcyi. Posłowie z Knyszyna jeszcze wyprawieni do Konstantynopola, mieli polecenie od stanów koronnych wybadać usposobienie Turcyi w tym względzie, a Porta wcale się ze swojemi myślami nie taiła. Sułtan posłał z listem do stanów polskich na sejm czausza, który miał bardzo lakoniczne instrukcye. Miał dowiedzieć się dlaczego Polacy tak długo króla nie obierają, bo ta zwłoka nie rokuje nic dobrego, i zresztą sułtan im radził, żeby naprzód do elekcyi przystąpili i wybrali kogokolwiek zpomiędzy siebie; a gdyby nie chcieli Polaka, to brata króla francuzkiego, który jest wielkim przyjacielem Porty, i wiernie jéj dochowuje miru; kogo innego, oświadczał sułtan, że nie będzie mógł ścierpieć. I na dowód tego, że szczerze myśli, co mówi, sułtan mocno się zbroił w Bulgaryi, a w Węgrzech jednocześnie zagrażał i cesarzowi i Polsce."

„Wpośród takich okoliczności zebrał się sejm elekcyjny w polu pod Warszawą u Pragi. Pokazały się i tutaj jeszcze niektóre usiłowania pomiędzy niższą szlachtą, żeby na tron powołać jakiego Polaka, czyli jak mówiono, Piasta, jednomyślnym okrzykiem; ale Jan Zamojski (1) zabił ten wniosek, kiedy zażądał, żeby Polak, który przedstawia się za kandydata do korony, oddalił się natychmiast od sejmu i stanął dopiéro na wyraźny rozkaz Rzplitéj. Na to oczywiście nikt się nie odważył i sejm przystąpił do wysłuchania żądań obcych monarchów. Wilhelm z Rozenberka wyjechał już 28 marca z Urzędowa do Warszawy. Miał obszerną mowę do Polaków 10 kwietnia. Pomiędzy dowodami które przytaczał za Ernestem, wiele wagi przywiązywał do pochodzenia wspólnego Polaków i Czechów, wskazywał na jednę mowę, a potém na związki przyjacielskie, jakie szla-

(1) Tomek nazywa tutaj Zamojskiego przedwcześnie kanclerzem. Jan był wtenczas tylko starostą bełzkim od r. 1572. Po śmierci ojca, podkanclerzym został dopiéro mianowany przez Stefana na jego sejmie koronacyjnym d. 16 maja 1576 r. (Metr. ks. 114, fol. 2).

chta polska zawierała z czeską ostatniemi czasy. Popierało go drugie poselstwo wyprawione od samych stanów czeskich, które pod niebiosa wynosiło przymioty cesarza Maxymiliana, jego wiadomości, sprawiedliwość, pobożność, święte poszanowanie dla praw i wolności ziemskich. Potém mówiło poselstwo od Filipa hiszpańskiego i czwarte od elektorów niemieckich wyprawione w imieniu rzeszy. Wszystkie popierały sprawę Ernesta. Ale obrotny Jan Montluc biskup Walencyi pomyślnie prowadził rzeczy Henryka de Valois, a najwięcéj księciu francuzkiemu robiło przyjaciół pomiędzy szlachtą to właśnie, że wszystko obiecywał, czego tylko od niego żądano, nie oglądając się, czy będzie mógł kiedy spełnić swoje obietnice."

„Kiedy się skończyły te mowy i poselstwa, sejm wszystkim dyplomatom powyznaczał stosowne miejsca, na które się usunąć byli powinni i tam czekać skutku elekcyi. Pan Rozenberkski odprowadzony był do Łowicza. Odjechał tam już 3 maja, a nazajutrz 4 stany przystąpiły do obioru. Trzy dni trwały rokowania stronnictw pomiędzy sobą i zdawało się, że Ernest zwycięży: wszystkie głosy rozdzieliły się pomiędzy nim a Henrykiem. Zdawało się jednak prymasowi, że większość była po stronie Francuza, i dlatego na dniu 7 maja mianował go królem polskim. Montluc natychmiast przyjął wszystkie podane sobie warunki, a już 17 maja i marszałek koron. Walezego publicznie królem ogłosił. Zatém poselstwo cesarskie powróciło się z niczém do Wiednia. Stronnictwo jednak rakuzkie na sejmie warszawskim stawiło z początku pewien opór elekcyi Henryka, a najwięcéj miasta pruskie. Ale umilkło niedługo. Do cesarza wyprawili wtenczas Polacy posła, który miał donieść o zgodnéj elekcyi i upraszać zarazem Maxymiliana, żeby raczył uświetnić swojém poselstwem pogrzeb i nabożeństwo za duszę zmarłego króla Zygmunta Augusta, które się miało odbyć w Krakowie. Prosiła też Rplita o wolny przejazd posłom polskim, którzy się udawali po Henryka do Paryża. Maxymilian pozwolił na wszystko i obiecał jeszcze wdać się jak najrychléj do książąt niemieckich, ażeby przez swoje ziemie puścili poselstwo do Francyi. Jednakże nie mógł tego przenieść na sobie, żeby Rplitéj nie wymówił naprzód niegościnności, potém niedobrego obchodzenia się z jego posłami i nareszcie mów obraźliwych mianych na sejmie, ubliżających domowi rakuzkiemu (w lipcu 1573)."

„Całe ośm miesięcy upłynęło od dnia elekcyi aż do chwili, kiedy nowy król polski Henryk stanął na granicach Rplitéj. Nie była powodem tego opóźnienia się zbytnia odległość Francyi, ale zwłoka Karola IX. I sam Henryk, następca tronu, w przypadku bezdzietnego zejścia brata, wahał się i ociągał, jak tylko długo mógł, z odjazdem swoim do Polski. Zdawało mu się, że Karol długo nie pożyje i że doczeka się jeszcze jego śmierci. Nareszcie 25 stycznia 1574 r. stanął Henryk na granicach Polski, bo w 4 tygodnie potém, 21 lutego, koronowany był w Krakowie. Sprzykrzyła mu się prędko ta cierniowa korona: lekkomyślny Henryk chciał bawić się całe życie, a tutaj do Polski przyjechał na pracę; trzeba było ciągle walczyć i spierać się z butną szlachtą. W kilka miesięcy po swojéj koronacyi dowiedział się o śmierci brata swojego Karola (umarł 30 maja 1574 r.). W paktach konwentach miał artykuł, że nie będzie mu wolno wyjechać z Polski, chyba za wyraźném pozwoleniem sejmu. Henryk nie chciał się wdawać w prośby dla niego nieprzyjemne, sprosił tylko do siebie na dzień 17 lipca panów polskich obecnych w Krakowie na ucztę, a kiedy się goście jego późno w noc porządnie rozweselili i snem znużeni pospali się, król tajnie wsiadł do powozu i z kilką dworzan odjechał pospiesznie ku granicom szlązkim. Rano paziowie znaleźli tylko na zamku jego listy adresowane do najznakomitszych wielkoradców, w których oznajmiał im przyczyny swego prędkiego i tajemnego wyjazdu: nie mógł odkładać téj sprawy do sejmu, bo we Francyi mogli się tymczasem na prawdę rozbujać nieprzyjaciele, którzyby go pozbawili dziedzicznego tronu; wyjechał zaś w tajemnicy dlatego, że lękał się jakiego dla siebie niebezpieczeństwa po drodze, gdy wiedział, jak protestanci niemieccy niecierpią katolików."

„Jednakże Henryk ani jechał przez ziemie niemieckich książąt do Francyi, ani tak się ogromnie spieszył, jakby można było sądzić po ucieczce jego z Krakowa. Jechał prosto na Wiedeń, gdzie stanął 24 lipca. Zatrzymał się tam dni kilka u dworu cesarskiego. Polacy nie chcieli się wystawiać na śmiéch sąsiadów, z powodu tak dziwnéj przygody, która ich spotkała, i dlatego zaraz nazajutrz puścili się w pogoń za Henrykiem. Ale doścignęli go już na ziemi cesarskiéj, pomiędzy Oświecimiem a Pszczynem. Prosili żeby wrócił, ale nadaremnie. Jeszcze Hen-

ryk bawił w Wiedniu, kiedy uwiadomili Polacy cesarza urzędownie o ucieczce króla (22 lipca): nie bez tego, żeby tych poselstw i do innych państw nie powyprawiali. Tłumaczyli się, że oni wcale nie winni ucieczce króla i że nie dali Henrykowi najmniejszéj przyczyny do żalu, że okazywali mu zawsze cześć należytą i powinne wszędzie posłuszeństwo. Henryk odpowiedział im jeszcze z Wiednia osobnym listem, pisanym dnia 29 lipca, w którym oświadczał Rplitéj, że li jedynie ważne powody znagliły go do takiego kroku; obiecywał, że jak tylko będzie mógł najprędzéj, powróci, urządziwszy sprawy francuzkie; prosił wreszcie, żeby Rplita wyprawiła do niego posłów, z któremi chciał załatwiać bieżące sprawy polskie, nareszcie oznajmiał, że jeszcze przed swoim odjazdem z Wiednia, królestwo polskie poruczy w opiekę cesarzowi Maxymilianowi, którego dobremu sąsiedztwu mocno ufa, i że napisze sam do sułtana, drugiego swojego przyjaciela, żeby i z téj strony Rplita nie miała powodu czego się lękać."

„Te piękne obietnice nie oszukały Polaków. Prymas zwołał natychmiast sejm do Warszawy na dzień 24 sierpnia, dla opatrzenia osierociałego królestwa. Było niewiele nadziei, żeby Henryk chciał kiedy powrócić do Polski, z którą się w tak dziwny sposób rozłączył. Turcy przewidzieli naprzód, że nowa elekcya nastąpić musi i pchnęli znowu na sejm czausza z poradą, żeby Polacy do nowego obioru przystępowali, i żeby nie oddawali korony żadnemu Niemcowi, ale Piastowi; a jeżeli na Piasta wszyscy się nie zgodzą, sułtan podawał za kandydatów do tronu królewicza szwedzkiego, albo Stefana Batorego, który był wojewodą siedmiogrodzkim. Z Polaków, sułtan jednego tylko po imieniu wyraził, wojewodę sandomierskiego Jana Kostkę. Czausz wypowiedział te żądania pana swojego przed sejmem Rzplitéj; ale sejm nic nie postanowił, tylko naznaczył zakres powrotu Henrykowi do Polski na dzień 30 maja 1575 r. Gdyby się do tego czasu nie wrócił, Rzplita miała przystąpić do nowéj elekcyi".

„Stało się, co przewidywali wszyscy: Henryk do Polski nie powrócił. Sejm otwarty na dniu 12 maja 1575 r. ogłosił króla za pozbawionego korony (26 maja) i ogłosił nową elekcyą na dzień 4 października w Warszawie. Nim się czas tego sejmu, odłożonego późniéj na dzień 7 listopada przybliżył, posłał sułtan Amurat nowe pismo do Polaków. „Słyszałem,

mówił sułtan, że król Henryk dobry mój przyjaciel odjechał od was, boście mu nieposłuszni byli i że więcéj już do was nie powróci. Słyszałem téż, że innego sobie chcecie obierać króla, cesarza niemieckiego, albo kniazia moskiewskiego; dumni to ludzie, a moi wielcy nieprzyjaciele. A ja wam radzę, żebyście sobie jakiego Polaka obrali; wszakże macie dosyć pomiędzy sobą godnych mężów. Gdyby wam się to jednak nie zdało, macie w sąsiedztwie innego męża statecznego i zacnego Stefana wojewodę w Siedmiogrodzie, wybierzcie jego. Gdybyście jednak na radę moję nie zważali, a chcieli obrać jednego z owych dwóch, przysięgam wam, że królestwo wasze zburzę i zniszczę do gruntu, że pozbawię was wszystkich swobód, a synów i córki wasze każę zabrać, a stolice wasze Kraków i Lwów, ludźmi mojemi zbrojnemi obsadzę".

„Ten styl dyplomatyczny wysokiéj Porty ma swoję śmieszną stronę, i zdaje się, że sprawił wcale przeciwne wrażenie, jakiego sułtan oczekiwał. Dumni ze swojéj wolności Polacy, pysznili się nią po całym świecie. Ale nic nie pokazuje lepiéj próżności owéj dumy, a lekkomyślności i krótkiego wzroku ówczesnéj szlachty polskiéj i węgierskiéj, jak ta gonitwa za książętami. Turcy nie przestawali na pogróżkach, ale owszem wszelkiemi siłami chcieli osłabić swojego polskiego sąsiada. Hospodar wołoski Iwonia, który się oddał pod opiekę polską, był od sułtana ogłoszony za wyjętego zpod praw, a godności jego posiadł Piotr wojewoda multański; żeby zaś Polaków wstrzymać od dania pomocy Iwonie, z wiedzy i dopuszczenia Porty han krymski ruszył z ogromném i dzikiém wojskiem swojém ku granicom Rzplitéj i zaczął je okropnie pustoszyć: kraje koronne Podole i Halicz aż do Lwowa płomień wypalił, znęcano się nad dziećmi i kobietami, najmniéj 20,000 ludzi pojmano w jassyr do niewoli tureckiéj. Nigdzie Tatarzy najmniejszego nie spotkali oporu, i dopiéro kiedy powracali do siebie, oczekiwał ich poczet szlachty uzbrojonéj na granicach, żeby najezdnikom odebrać łupy".

„Ta straszliwa napaść miała miejsce przed samym sejmem elekcyjnym w Warszawie. Nieszczęścia kraju nic jednak rozumu nie nauczyły szlachty polskiéj. Prawo swobodnéj elekcyi króla było tém niebezpieczniejsze dla dobra narodu polskiego, im mniéj sam sposób obierania był konstytucyami określony. Kto ma krola obierać? trzeba było naprzód rozwiązać to py-

tanie. Za dawnych czasów, kiedy wymarła jedna albo druga dynastya, elekcya była koniecznością i wtenczas dawali głos swój biskupi, senatorowie i wyżsi urzędnicy ziemscy, a szlachta niższa bardzo mało miała tam znaczenia na elekcyi: przychodziła zawsze do gotowego. To wszystko jednak pochodziło ze starodawnego zwyczaju, bo żadne prawo dotąd nie ustanowiło jeszcze różnicy pomiędzy wyższą a niższą szlachtą. Powszechne głosowanie ziemian, zdawało się, przeciwne było rozumowi, a przy wielkiéj liczbie drobnéj szlachty, którzy nie mieli ani majątku ani ukształcenia wyższego, jak prosty kmieć i poddany, taka zasada oczywiście prowadziła do największych poróżnień. Do tego wszystko kłoniło się w Polsce. Szlachta więc nabywszy tak wielkiego znaczenia w Rzplitéj, była wybornem narzędziem dla ambitnych zamysłów. Książęta obcy pochlebiali jéj ulubionym namiętnościom, rozprawiali przed nią zawsze o jéj wolnościach i używali innych jeszcze stosownych środków. Kandydaci do korony musieli być szczodrzy w obietnicach, zawczasu już rozdawali godności i królewszczyzny, tak szlachcie ziemskiéj, jako i tym wielkoradcom, którzy za niemi umieli przemawiać tak, że zaćmiewali innych kandydatów. Odtąd, wolne elekcye stały się w Polsce jakby kontraktami: ten zyskał, kto więcéj przyjaciół sobie kupił, i owszem, zamiast zmniejszać się, handel rozwijał się coraz bardziéj na większą skalę, bo narzędzia nabywały doświadczenia. Prawa nie było, a przy tym głównym niedostatku coraz więcéj nabywało obywatelstwo mniemania, że jednomyślności całéj szlachty potrzeba do prawnéj elekcyi króla. Jakże znowu rozumiéć tę jednomyślność? Każde stronnictwo inaczej to sobie tłumaczyło. Jednomyślnością tą nie była większość wszystkich głosów, ani téż jednomyślność panów".

Szczegółów dokładniejszych o téj piérwszéj elekcyi i usiłowaniach rakuzkich nauczym się z Pamiętników Orzelskiego. Przekonywa o tém sama treść tych pamiętników, którą w opisie rękopisów biblioteki Ossolińskich we Lwowie ogłosił Alexander Batowski. Koźmian dla wyświecenia dziejów owego czasu, wykrył także nowe źródło w *rękopiśmie dworzanina wychowańca Zygmunta Augusta*, który dał nam poznać w wyciągach. Dotąd w opowiadaniu Tomka często spotykaliśmy się z podaniami tego rękopisu. W Albertrandim mało szczegółów. Ale teraz staje się jakiś rozmowniejszy Albertrandi: ma te same

fakta co i Tomek o poselstwie polskiém w Wiedniu. Zresztą powieść jego ze źródeł niemieckich da się teraz więcéj zaokrąglić. Oto daléj słowa Tomka:

„Elekcya druga z r. 1575 była już daleko burzliwsza jak poprzednia, po śmierci ostatniego Jagiełły. Siedmiu obcych kandydatów zgłosiło się ze swoją pretensyą do korony: arcyksiąże rakuzki Ernest, a gdyby stany nie chciały go, tedy sam cesarz Maxymilian, albo brat jego Ferdynand tyrolski; potém Zygmunt królewicz szwedzki, Alfons książę Ferrary i Modeny, Stefan Batory wojewoda siedmiogrodzki i Wilhelm z Rozenberka magnat czeski."

„Wilhelm z Rozenberka podobał się wielu panom polskim, kiedy jeszcze piérwsze sprawiał poselstwo, bo całe dziesięć miesięcy bawił w Rzplitéj. Ztąd ci sami panowie poddawali myśl Wilhelmowi, żeby się podał za kandydata do korony; nie wypierał się tego, ale téż z góry zapowiedział przyjaciołom swoim, że wpraszać się, ani téż wkupywać się do królestwa polskiego nie będzie: gdyby jednak wybrany był prawnie i jednomyślnie, wyborem tym pewnieby nie wzgardził. Dwie wycieczki do Polski dworzanina jego Jana Katolickiego w r. 1574, o których obszerniéj rozprawia Wacław Brzezan w życiorysie Wilhelma (1) wykazały temu panu, że ma wielu przyjaciół w Polsce; rozpoczęto zatém układy. Te układy jednak nie miały żadnego pożądanego skutku; owszem niechcący Wilhelm zarobił sobie na niełaskę cesarza i wpadł w podejrzenie, że za przeszłego poselstwa więcéj dla siebie jak dla domu rakuzkiego jednał przyjaciół. Z tego zarzutu uznał za potrzebne wytłumaczyć się. Wielkie zachowanie jakie miał Wilhelm u Maxymiliana tak przed tym jak i po tym wypadku, jakiém go jeszcze cesarz Rudolf zaszczycał, przekonywa aż nadto, że podejrzenie to czy słuszne, czy niesłuszne, upadło zupełnie przez usprawiedliwienie się Wilhelma."

„Maxymilian teraz jak wprzódy, nastręczał Polakom Ernesta. Zatém w jego sprawie jechali do Polski posłowie wyprawieni od korony czeskiéj: Marcin Gerstman biskup wrocławski, od r. 1564 do r. 1585 najwyższy gubernator Szlązka, Jędrzéj Dudycz, dawniejszy poseł cesarski w Polsce, i Mateusz

(1) Tomek wspomina tutaj o dziełku Brzezana: Żiwot Wiléma II Rosenberka, które wyszło w Pradze w r. 1847. Wartoby to dziełko wydać w tłumaczeniu polskiém.

z Łojowa, gubernator księztwa świdnickiego i jaworskiego. Posłowie kurfirsztów niemieckich i Ferdynanda z Tyrola, popierać także mieli Ernesta. Car Iwan Wasilewicz, do którego Maxymilian wyprawił tego roku świetne poselstwo, obiecywał także swoję pomoc. Przyjechali również na sejm do Warszawy posłowie księcia Ferrary, króla szwedzkiego i siedmiogrodzcy. Stefan Batory wyrabiał swój interes w głębokiéj tajemnicy; nie żałował piéniędzy i rozsypywał je hojnie pomiędzy Polakami, których chciał dla siebie ująć, a nawet był piérwszą przyczyną owych listów tureckich, które go podawały do tronu: oczywiście Porta wdawała się za swoim hołdownikiem. Jerzy Blandrata lekarz nadworny Stefana i tajny jego radca, który sprawiał to poselstwo na sejmie elekcyjnym, musiał na oko wiele mówić ku sławie domu rakuzkiego, któremu, jak powiadał, sam Batory wiele jest winien dobrodziejstw."

„Posłowie tych obcych spółzawodników do korony byli wysłuchani na sejmie warszawskim dnia 13 listopada. Na pochwałę arcyksięcia Ernesta posłowie czescy przytaczali, że czytaniem ksiąg i rozmową z dworzany bardzo dobrze wyuczył się po czesku i dzisiaj może z każdym w tym języku się rozmówić; ztąd rodziła się nadzieja, że jak to był książę wielkich zdolności, łatwo wyuczy się jeszcze i po polsku. Oprócz tego, powiadano o nim, że dobrze zna łacinę, jakby umyślnie dla Polaków. Za to posłowie arcyksięcia Ferdynanda chwalili swojego pana, że umié już dobrze po polsku, i że mógłby już sprawy Rzplitéj w języku narodowym odprawiać. Ale stanom niewiele na sercu leżała ta znajomość mowy polskiéj kandydatów niemieckich: dowodem jest sam wybór Batorego, który jako rodowity Madziar, nigdy, do śmierci nawet po polsku nie nauczył się. Rzplita miała inne swoje widoki."

„Sejm rozdzielił się na dwie połowy. Jedna, zdaje się, spostrzegała niebezpieczeństwa, jakie groziły ojczyznie z tego wciąż zmiennego stanu rzeczy i lgnęła do rodziny rakuzkiéj dlatego, że spodziewała się od niéj zaprowadzenia jakiegoś stalszego rządu, a może i dziedziczności tronu; druga połowa dążyła przedewszystkiém do utrzymania w karbach władzy królewskiéj, a wyglądała takiego kandydata, przy którymby najłatwiéj doszła do swojego celu."

„Po wysłuchaniu posłów obcych, cztery dni podawali głosy swoje biskupi i panowie. Obecnych senatorów na sejmie by-

ło 56; z nich większość 35 była za domem rakuzkim, tojest 19 za samym tylko cesarzem Maxymilianem, 12 za Ernestem, 4 tylko w ogóle oświadczyło się za kimkolwiek z domu rakuzkiego, nie wymieniając osoby. Cała ta większość jeszcze się ściśléj potém połączyła na cesarza, dlatego, że uzyskał najwięcéj głosów. Inni panowie rozdzielili się pomiędzy drugich kandydatów. Pięć głosów oświadczyło się za księciem Ferrary, pięć za Zygmuntem szwedzkim, dwa głosy za Anną Jagiellonką, ale z warunkiem, żeby poszła za mąż za Ernesta, jeden za Wilhelmem Rozenberkskim, a ośm za Piastem nie wymieniając osoby. Za Stefanem Batorym nikt się zgoła nie oświadczył, bo stronnictwo przeciw-rakuzkie chwyciło się takiéj taktyki umyślnie, żeby się nie wydać przed czasem. Przyjaciele Batorego w izbie senatorskiéj milczeli. Tak np. postąpili obadwaj bracia Zborowscy, Jędrzej i Piotr, najszczersi stronnicy Stefana, a nawet przez związki krwi skoligaceni z nim. Piotr dał głos jedyny za Wilhelmem z Rozenberka, a Jędrzéj oświadczył się za księciem Ferrary. Piotr był wojewodą krakowskim, a Jędrzéj marszałkiem nadwornym koronnym; zaś Samuel, trzeci ich brat, bawił wtenczas na wygnaniu w Siedmiogrodzie na dworze Stefana Batorego, za śmierć Wapowskiego podczas koronacyi króla Henryka 1574 roku."

„Na czele stronnictwa przeciw-rakuzkiego, oprócz braci Zborowskich stanął Jan Zamojski starosta bełzki. Widząc przewagę na stronie cesarza, bo do téj partyi przylgnęli i ci nawet, co z początku głosowali za innemi kandydatami, a utrzymać się z niemi nie mogli, ci trzéj panowie zaczęli podburzać szlachtę i wygadywali wiele na dom rakuzki. Hasłem ich było: „obrać Piasta, króla rodaka i precz z cudzoziemcem!" Piastów dwóch się przedstawiało do korony: jeden wojewoda sandomierski Jan Kostka, którego zalecał sułtan; i wojewoda bełzki, Jędrzéj Tęczyński. Ale żaden z nich ani jeden, ani drugi nie ubiegali się o koronę. Największa część szlachty poddała się wpływowi Zamojskiego i Zborowskich; rozpaliły ją mowy trzech panów i pieniądze Batorego. Ta szlachta wszelkiemi siłami popierała Piasta. Nadaremnie przemawiali do niéj stronnicy cesarza, i obalając zręcznie dowody przeciwników napomykali: „chcecie Piasta, to wybierzcie Annę Jagiellonkę i wydajcie ją za Ernesta." Szlachta obstawała wciąż za Piastem i nie

chciała słyszéć o takim warunku, chociaż sama i nie miała i nie wymieniała żadnego kandydata."

„Ta niepewność i zamieszanie trwały na sejmie aż trzy niedziele. Prymas nareszcie postanowił użyć prawa swojego i mianować króla. Ogłoszono, że nominacya odbędzie się dnia 9 grudnia. Ale gdy strona przeciwna nie pozwalała na to, odłożono tę ważną sprawę na dzień jeden, drugi i trzeci, wreszcie postanowiono, że 12 grudnia koniecznie wybór nastąpić musi. Tego dnia stronnictwo przeciw-rakuzkie wyciągnęło na pole sejmowe, uzbrojone jak należy i groziło cesarskim. Napróżno prymas i urzędnicy ziemscy zaklinali szlachtę, żeby broń złożyła i nie narażała spokojności publicznéj w czasie sejmu. Przywódzcy szlachty żądali, żeby stronnictwo prymasowskie porzuciło dom rakuzki i zapewniali, że pod tym jedynie warunkiem gotowi są opuścić Piasta, którego popierali. Mieli wtenczas w myśli Stefana Batorego. Ustąpiła przed szlachtą na inne miejscè strona rakuzka, gdzie zdawało się jéj, że będzie bezpieczniejszą. Tam na poradach upłynął cały dzień ten aż do wieczora. Nareszcie za zgodą senatorów i małéj części szlachty, która szła za nim, arcybiskup gnieźnieński przystąpił do nominacyi i wśród okrzyków radości ogłosił królem cesarza Maxymiliana. 17 grudnia spisano *pacta conventa*, a nazajutrz marszałek w. k. dopełnił ostatnich formalności ogłoszeniem publiczném nowego króla. Wyprawiono do cesarza poselstwo, a już 16 grudnia cesarz dowiedział się w Wiedniu o swojéj elekcyi."

„Ośmielili się przez tę nominacyą Maxymilianową przywódzcy przeciwnego stronnictwa. Byłoto dla nich hasło do pociągnięcia niższéj szlachty za sobą. Czyn prymasa nazwano uzurpacyą, przez którą szlachta miała być pozbawioną drogiego prawa swojego —wolnéj elekcyi. Zamojski powiedział, że na polu sejmowém obrać potrzeba króla i wskazał na Annę Jagiellonkę, z warunkiem jednak, żeby oddała rękę Stefanowi Batoremu. W dwa dni więc po nominacyi Maxymiliana, obrano królem wojewodę siedmiogrodzkiego. Mianował go za zgodą wszystkich przytomnych ksiądz Jan Sieniński (14 grudnia). Tegoż dnia jeszcze spisano *pacta conventa* z Jerzym Blandratą i kanclerzem Marcinem Berzewiczem, tak, że już nazajutrz, na trzy dni przed uroczystém ogłoszeniem Maxymiliana, Stefan Batory ogłoszony był publicznie królem przez Jana Tarłę wojewodę lu-

belskiego (15 grudnia). Stronnictwo siedmiogrodzkie zaraz tego dnia oznajmiło listem cesarzowi, że elekcya jego jest nieprawna, bo była dziełem tylko kilku osób, które dobrowolnie sejmu odstąpiły przeciw woli większości szlachty i senatorów, a prawo widoczne, że król ma być mianowany za zgodą wszystkich. Postanowiła też w roku przyszłym dnia 18 stycznia złożyć sejm w Jędrzejowie, na który miała szlachta stawić się zbrojno dla obrony praw i swobód narodowych przeciw wszelkiemu nieprzyjacielowi. Na tymże sejmie miano rozpatrzyć sprawę prymasa, który dopuścił się gwałtu przeciwko woli wszystkich."

„Przeciw tym pretensyom, ogłosiła strona rakuzka manifest swój, w którym broniła swojéj elekcyi (19 grudnia) jeszcze nie rozjeżdżając się z sejmu; pisała też do Stefana Batorego, że Maxymilian jest prawym królem, i że elekcyą wojewody sprawiła tylko część szlachty, która usunęła się od sejmu. Rakuzanie wyjawiali nadzieję, że Stefan tyle będzie miał rozsądku, że korony nie przyjmie; przypominali mu własne słowa posłów siedmiogrodzkich, że jeżeli wojewoda stara się o głosy Polaków, to nie dlatego, żeby ubliżyć domowi rakuzkiemu, któremu pierwszeństwa zawsze ustępuje."

„Cesarz odpowiedział na list stronnictwa Batorowego z d. 29 grudnia 1575 r. że nie uważa swego wyboru za nieprawny, bo i za przeszłych elekcyj, a mianowicie za elekcyi Henryka także tak samo się przytrafiło, że pewna część stanów nie była zbyt kontenta z tego wyboru, ale potém uspokoić się musiała. Cesarz żądał tedy po nich, żeby go uznali za króla, i przypominał im, że wiele z niego korzyści odnieść może ojczyzna polska, bo będzie miała i lżejszą obronę przeciw Turkom i przyjaźń z wielkim kniaziem moskiewskim."

„Żeby zaś Batorego nakłonić do zrzeczenia się korony polskiéj, cesarz wyprawił do niego w poselstwie jednego z wodzów swoich Krzysztofa z Teuffenbachu, który mieszkał wtenczas w Satmarze na granicach Siédmiogrodu (1 stycznia 1576 r.). Teuffenbach miał przekonać Batorego; oświadczał też przed nim, że cesarz ma szczerą chęć odwdzięczyć się wojewodzie, jeżeli tylko wyrzeknie się nadziei i korony polskiéj. Tak samo cesarz prosił arcybiskupa gnieźnieńskiego, żeby się podjął poselstwa do Anny Jagiellonki (3 stycznia). Uchański miał przekonać królewnę, że nie powinna być nieprzyjaciołką cesarza, i że

nie może oddaniem ręki swéj pomagać Batoremu do korony. Trzecie poselstwo wyprawił cesarz na zbrojny zjazd jędrzejowski (9 stycznia), żeby go nakłonić do porzucenia wojewody siedmiogrodzkiego, a gdyby to się nie udało i Anna Jagiellonka miała się utrzymać przy tronie, prosił cesarz, żeby ją przynajmniéj za Ernesta wydali. Prawdę powiedziawszy, cesarz wolał widzieć na tronie polskim syna, jak siebie samego. To ostatnie wcale nieprzyjemne poselstwo dostało się znowu panu Wilhelmowi z Rozenberka i Mateuszowi z Łojowa, który był rządcą księztwa świdnickiego i jaworskiego.

Nim wyjechał Rozenberk do Polski, przybyło do Wiednia poselstwo od Rzplitéj, które miało przed cesarzem zdać sprawę o jego elekcyi i prosić go do objęcia korony. Na czele 10ciu panów, którzy znajdowali się w tym orszaku, był Wojciech Łaski wojewoda sier., który już 5 stycznia przed innemi stanął w Wiedniu. Samo poselstwo odbyło wjazd świetny dopiéro 14 stycznia. Dworzanie cesarscy wyjechali naprzeciw Polakom w 50 powozach, aż do długiego mostu tuborskiego na Dunaju, a na ich czele był znowu pan Wratisław z Pernsztajnu, najwyższy kanclerz czeski. Pomieszczono posłów w pałacu arcyksięcia Karola styryjskiego, brata cesarza, który stał niedaleko od miasta."

„Dzień 17 stycznia był naznaczony na uroczyste posłuchanie u cesarza poselstwa polskiego. Odłożono jednak na inny czas tę ceremonią, bo Maxymilian zachorował; zawsze był nędzny, a teraz ciągle upadał jakoś na zdrowiu."

„Zatém nazajutrz dopiéro, 18 stycznia, byli posłowie przyjmowani przez cesarza w wielkiéj sali, przeznaczonéj na wesele i gody królewskie, jako téż inne największe uroczystości. Cesarz jeszcze był słaby i dlatego służba zamkowa zaniosła go w lektyce do téj sali. Obok niego koło tronu stali synowie, arcyksiążęta Maciéj i Maxymilian, bo dwaj inni Rudolf i Ernest znajdowali się wtenczas w Presburgu na sejmie węgierskim. Stała téż w téj komnacie szlachta przybrana strojnie i moc gości zaproszonych na uroczystość. Wojciech Łaski zbliżył się do tronu na czele poselstwa trzymając list w ręku, i pozdrowił naprzód cesarza krótkiemi słowy powitania. Maxymilian i jemu i posłom podał także swoję rękę. Łaski potém znowu miał przemowę do cesarza po polsku, w któréj pomiędzy innemi rzeczami dowodził, że stany Rzplitéj wolały oddać koro-

nę samemu cesarzowi, a nie arcyksiążęciu, bo to nakazywało samo położenie Polski; doświadczony mąż lepszy był u rządu wśród powikłanych tak bardzo stosunków Rzplitéj."

„Kiedy skończył Łaski i list oddał, Maxymilian zdjął kapelusz z głowy i wymawiał się ze zwykłą sobie grzecznością, że po polsku nie umié, że jeżeli na to posłowie pozwolą, odpowié im po czesku. I zaczął potém mówić do nich po czesku, i to tak płynnie, jak gdyby ten język był mu rodowitym, i jak gdyby ciągle mieszkał w Czechach. Dziękował głównie za cześć mu wyrządzoną i przychylność, a co się tyczy listu, odpowiedział, że da odpowiedź jak się naradzi osobno ze swemi panami rady, bo sprawa tak ważna koniecznie potrzebowała wielkiego namysłu. Potém posłowie podali mu znowu swoje ręce i dworzanom jego, a wtenczas cesarz przypuścił ich do poufalszéj z sobą rozmowy, którą już miał sam na sam z posłami, bez przytomności dworzan."

Oto rzeczy zupełnie nowe dla historyi polskiéj:

„Dwór cesarski łudził się jakiś czas nadzieją, że Batory nie przyjmie korony, którą mu ofiarowali Polacy. Tą pewnością ubezpieczywszy się, wysłał tylko z przełożeniami Teuffenbacha do Siedmiogrodu. Na téj nadziei spoczywała inna, że stronnictwo nieprzyjazne cesarzowi w Polsce samo się rozpadnie, i że poselstwo Wilhelma Rozenberkskiego do Jędrzejowa osiągnie cel zamierzony. Cesarz zwlekał więc i czekał na skutek obojga tych poselstw, i dlatego zatrzymywał Polaków w Wiedniu, żeby im coś stanowczego powiedzieć."

„Nim jednakże Teuffenbach otrzymał listy cesarskie z poleceniem, aby się udał do Batorego, miał już pewne nowiny jak to zwykle bywa, z najbliższego sąsiedztwa, które mu wskazywały w inném zupełnie świetle usposobienie wojewody siedmiogrodzkiego, jak o tém myślano w Wiedniu. Na piérwszą wieść o wyborze Batorego, brat jego Krzysztof żupan wielko-waradski 28 grudnia 1575 r. wyjechał czémprędzéj do Białogrodu siedmiogrodzkiego, na poradę familijną. W sam Nowy Rok 1576 ogłoszono z kazalnic w Dysseku, Somlowie i Waradzie o elekcyi Stefana, jak o szczęśliwym wypadku: toż samo i w innych jeszcze miejscach sąsiednich okolicom, w których mieszkał Teuffenbach. Oczywiście wnosić należało, że takim sposobem głoszono tę wieść w kościołach całego Siedmiogrodu. Strzelano wszędzie z dział na wiwat i wyrażano rozmaicie radość z tego

powodu. Teuffenbach uwiadomił o tém wszystkiém cesarza już listem z d. 3 stycznia; donosił téż, że wojewoda miał w tych dniach wyprawić na Nowy Rok wspaniałe dary w srébrze, paszy budyńskiemu."

„Toż samo donosił cesarzowi i Hans Rueber najwyższy gubernator w górnych Węgrzech, który przesiadywał w Koszycach (8 stycznia). Urzędnik ten ostrzegał cesarza, żeby Batoremu w niczém nie wierzył, bo wojewoda chce go okłamać pięknemi słowami i wytrzymać tak aż do chwili, kiedy się zupełnie ułatwi ze swojemi sprawami na Siedmiogrodzie. Miał on wiadomość z Polski, że wojewoda już dwa razy posyłał piéniądze do królestwa i że za nie najmuje się wojsko. Radził, żeby cesarz użył natychmiast stanowczych środków i podniósł swoję elekcyą, a w tym celu dobrzeby było, żeby wysłał znaczny poczet wojska z Czech, Moraw i Szlązka ku granicom Rzplitéj. Prosił téż Rueber, żeby jego cesarz wsparł oddziałem 500 jazdy dla lepszego opatrzenia granic węgierskich. Obiecał wtenczas czuwać nad poselstwami, które przejeżdżały z Polski do Siedmiogrodu i nawzajem".

„Batory chciał ująć dla siebie podarunkami paszę budyńskiego, bo dotąd żyli z sobą w nienajlepszéj przyjaźni oddawna. Ale sułtan ujął się za wojewodą więcéj, jakby się tego sam Batory spodziewał: byłoto dla Turcyi bardzo szczęśliwe zdarzenie. Na piérwszą wieść z Polski, Amurat wysłał czausza z listem do Siedmiogrodu (28 grudnia 1575), w którym radził wojewodzie, żeby przyjął koronę i nie zważał wcale na dumę króla wiedeńskiego. Gdyby jeden albo drugi omylony spółzawodnik zagrażali mu za to wojną, sułtan obiecywał wszelką pomoc, a przeciw cesarzowi kazał tylko zawezwać paszów węgierskich, którzy rządzili w Budyniu i Temeswarze: odebrali oni rozkaz iść Batoremu natychmiast na pomoc ze swojemi wojskami. Oprócz tego sułtan darował Stefanowi haracz na rok ostatni, aby się za to przystojnie mógł wybrać w drogę. Jednocześnie prawie pisał i pasza budyński do cesarza z groźbami i przestrogami, żeby się o panowanie nad królestwem polskiém nie pokuszał, bo ta ziemia, która już od lat 30 znajduje się pod opieką i rządem Porty tureckiéj, nie może być państwem cesarza; inaczéj narazi na szkody, nieszczęścia i zgubę własne swoje siedziby (12 stycznia 1576 roku)".

„Takie było położenie rzeczy, kiedy Teuffenbach odebrał rozkazy, żeby się udał do Siedmiogrodu. Właśnie na dwa dni przed jego przybyciem do Białogrodu, wrócili się z Polski posłowie Batorego (11 stycznia), oprócz jednego tylko doktora Blandraty, i od nich dowiedział się wojewoda lepiéj o wszystkiém, co się działo w Rzplitéj. Stefan widział że lepiéj stoi, i dlatego odpowiedział ni tak ni owak Teuffenbachowi: że nic stanowczego przedsiębrać nie chce i nie może przed wysłuchaniem poselstwa polskiego, którego się w tych dniach właśnie spodziewa. Zresztą Batory mówił, że chodziło mu przedewszystkiém o utrzymanie dobrego rządu i zgody w królestwie polskiém; zatém wprzódy zanimby mógł stanowczo coś odpowiedzieć, chciałby mieć pewne wiadomości w jaki sposób chce się cesarz zachować, żeby dawniejsza zgoda powróciła pomiędzy stany polskie. Batory pisał sam o tém do cesarza i obiecywał, że dwadzieścia dni będzie spokojnie czekał jego odpowiedzi. 16 stycznia Teuffenbach posyłał już gońca do Maxymiliana, donosząc mu o wszystkiém: wiózł ten posłaniec i list Batorego".

„Teuffenbach nie uważał posłannictwa swojego dopóty za skończone, póki nie otrzymał pomyślniejszéj jakiéj odpowiedzi, i dlatego został w Białogrodzie, bo miał rozkaz czuwania wciąż zblizka nad Batorym i zdawania o tém wiernéj sprawy przed cesarzem. Niedługo po wysłaniu owego gońca do Wiednia, przyjechał do Białogrodu doktor Blandrata z Polski i oprócz tego jakiś czausz turecki Mustafa, który zapowiedział w ciągu dni czterech przybycie drugiego. Teuffenbach niespokojny żądał raz jeszcze rozmowy z Batorym i chciał koniecznie odgadnąć jego zamiary. Ale wojewoda wciąż jednę dawał odpowiedź, teraz jak i dawniéj, i puszczał się tylko z Teuffenbachem w rozprawy o prawności swojéj elekcyi; dowodził, że téj prawności nic nie ujmuje okoliczność, że go wojewoda lubelski mianował zamiast prymas, że to wcale nie sprzeciwia się prawom zasadniczym Rzplitéj; nareszcie oświadczył, że ani Polacy nie odstąpią, ani też Turek na to zezwoli, żeby odstąpili od jego elekcyi; mówił, że Polacy nicby przeciwko cesarzowi nie mieli i chętnieby go wybrali za króla, ale wiedzieli, że Turcy nieradziby to widzieli, a lękali się, żeby przez to nie oburzyli Porty naprzeciw siebie".

„W kilka dni potém otrzymał Teuffenbach najpewniejszą wiadomość, że Batory pisał list do zjazdu jędrzejowskiego i że go już pocztą przesłał dnia 19 stycznia; w liście tym, przyjmował wybór swój za króla i podpisał się: *Stephanus electus Rex Poloniae.* Już za dni kilka miał być otwarty sejm w Medyaszu, na który prosto udawało się uroczyste poselstwo polskie, żeby Batorego zaprosić imieniem Rzplitéj do korony. Mówiono Teuffenbachowi, że Stefan Batory chciał na tym sejmie zalecić brata swojego Krzysztofa panom siedmiogrodzkim za następcę swojego w księztwie, a Krzysztofa Hagymasza na jego miejsce jako najwyższego hetmana polnego i żupana w Waradzie."

„Wśród takich okoliczności, przytomność Teuffenbacha w Białogrodzie była bardzo nie na rękę Stefanowi, który szukał zręcznego sposobu, żeby się pozbyć nieproszonego świadka. Posłał więc do niego kanclerza Berzewicza z uwiadomieniem, że czausz Mustafa mając posłuch u księcia pytał się go, co tutaj w Siedmiogrodzie porabia Teuffenbach. Batory odpowiedzieć miał czauszowi, że ten pan przyjechał dla zgodzenia pewnych spraw pogranicznych i wzajemnego wydania sobie niektórych zajętych ludzi. Ale czausz nie chciał przestać na téj odpowiedzi; Berzewicz zatém pytał się Teuffenbacha, jak ma książę przed gońcem Porty obecność jego usprawiedliwić. Nie chciał mu wyjawić prawdziwéj przyczyny, a lękał się téż wpaść w podejrzenie u Turka, boby z tego mogło wypaść jakie nieszczęście dla Siedmiogrodu, a i Teuffenbach sam możeby także na tém źle wyszedł. Na tę dziwną mowę poseł cesarski odpowiedział, że wojewoda może czynić co mu się podoba, ale że nie ma żadnego powodu taić celu jego przybycia, gdy cesarz prawnie obrany został królem polskim, nie Batory, a on przyjechał dlatego, żeby wojewodę skłonić do zrzeczenia się wszelkich pretensyj. Berzewicz prawił: „To wszystko prawda, ale Turcy są dziwni ludzie i wojewoda musi ich słuchać; gdyby téż np., jak tego bardzo lękać się należy, przyszedł jaki rozkaz od Porty, żeby przedsięwziąć co przeciw Teuffenbachowi: zapewne ani jednemu, ani drugiemu nie byłoby to bardzo przyjemne, ale wojewoda wbrew chęciom swoim musiałby coś postanowić" (1). Teuffenbach odparł: „Sądzę, że wojewoda bę-

(1) Tego Berzewicza mianował potém król Stefan baronem w Inflantach; p. Bibl. Warsz. 1851 r. T. III rozprawę Bentkowskiego.

dzie umiał uszanować prawa narodów, jak szanują je i sami Turcy; jeżeli chce mnie się pozbyć, wszak to zależy od niego samego; niechaj da odpowiedź stanowczą, czy się zrzeka korony polskiéj, czyli też nie, bo co do mnie, mam od cesarza wyraźny rozkaz bez takiéj odpowiedzi nie wracać. Przeciw przemocy oczywiście bronićbym się nie mógł, ale jako posłuszny sługa, gotów jestem i życie moje położyć za pana mojego".

„Niedługo po téj rozmowie z kanclerzem, Teuffenbach od zaufanéj osoby otrzymał ostrzeżenie, że na dworze wojewody myślą o tém, jakby go nazajutrz z całém poselstwem uwięzić. Teuffenbach znowu więc żądał posłuchania u Batorego i pytał się raz ostatni, czy da mu teraz odpowiedź, czyli też ma z nim jechać aż do Medyaszu i tam dopiéro czekać na stanowcze słowo. Batory na to odrzekł, że nie radzi posłowi jechać do Medyaszu, bo bawi tutaj jeden czausz turecki, a drugi właśnie tam oczekiwany za dni kilka; że w istocie nie ma końca z temi czauszami tureckiemi, którzy to odjeżdżają, to przejeżdżają raz wraz; że podałby się przez to w podejrzenie u sułtana, któryby go oskarżyć gotów o jakie spiski z Niemcami i tajne umowy bez wiedzy jego i pozwolenia. Nie radby Batory ściągać na Siedmiogród tak ciężkiéj odpowiedzialności, nie życzyłby też sobie na rozkaz Turka przedsięwziąć coś przeciw cesarzowi. Oprócz tego, mówił książę, będzie w Medyaszu drobny poczet Polaków, a z niemi przybędzie może jaka ladaco czeladź, któraby mogła jakiego figla wypłatać Teuffenbachowi. Batory oświadczał wreszcie, że chce czekać na odpowiedź cesarza, a gdyby Teuffenbach miał jeszcze jakie instrukcye, któreby wymagały układów, że radzi mu wyjechać do jakiego miasta bliższego granicy, w którémby te sprawy nawzajem z obustronną korzyścią ukończyć się mogły".

„Widoczne już było, że Batory nie zrzecze się dobrowolnie korony. Teuffenbach zatém 20 stycznia wyjechał z Białogrodu napowrót do Satmaru. W Fordzie doszedł go nowy rozkaz od cesarza, zatém wysłał do wojewody sekretarza swego Franc. Peszte do Medyaszu, domagając się naprzód o stanowczą odpowiedź, a potém pytając się, czy ma przyjechać na sejm siedmiogrodzki. I to poselstwo było bez skutku, Teuffenbach mieszkał więc w Satmarze. Już w Fordzie spotkał się z Polakami, którzy jechali po Batorego na koniach, wozach i saniach,

a było ich do 200 ludzi, po większéj części zbrojnych (1). Jechali na Marmarosz i zamek Hust, który wtenczas z całą okoliczną krainą należał do książąt siedmiogrodzkich."

„Mało téż bardzo zrobił Wilhelm z Rozenberka w Jędrzejowie. Stronnictwo Batorego rozwinęło niesłychaną czynność po całéj ziemi dla utrzymania swojéj elekcyi. Na wielu sejmikach tylko przyjaciele Zamojskiego podnosili głos, a osoby niemiłe temu stronnictwu ani się śmiały pokazać gdzie pomiędzy szlachtą; podobnież było i w Jędrzejowie na zjeździe, który się rozpoczął w drugiéj połowie stycznia. 20,000 zbrojnéj szlachty zebrało się do tego miasteczka (28 stycznia) i nikt tam nie odważył się stanąć, kto już naprzód nie był za Batorym. Hasłem zjazdu było zachowanie wolności i przywilejów, które na sztych wystawił znienawidzony od wszystkich prymas. Wezwano go żeby wyrzekł się Maxymiliana, ale kiedy nikt z jego stronnictwa nie chciał na to przystać, wszystkich razem ogłoszono za nieprzyjaciół ojczyzny. Sejm zatwierdził uroczyście i jednomyślnie w imieniu całego królestwa jednę prawną elekcyą Batorego i od Hieronima Filipowskiego, który posłował od wojewody, odebrał listy, w których Stefan oświadczał, że przyjmuje koronę. Wszyscy obecni na zjeździe zawiązali zaraz konfederacyą na utrzymanie prawnéj elekcyi. Wyznaczono osoby, które miały króla przywitać na granicy i przyprowadzić do Krakowa; wyznaczono dzień 3 marca na koronacyą jego i Anny Jagiellonki. Wszystkie te uchwały już były wydane poprzednio, kiedy Wilhelmowi z Rozenberka dano posłuchanie. Poseł przemawiał więc do szlachty. Otrzymał tę jedynie odpowiedź, że zjazd wyprawi swoich posłów do cesarza. Zatém 14 lutego powrócił Rozenberg z niczém do Wiednia. Dopiéro w pięć tygodni po nim (23 marca) przyjechali do stolicy cesarstwa posłowie od zjazdu jędrzejowskiego: Krzysztof Lanckoroński kasztelan małogoski i Marcin Białobrzeski biskup laodycejski. Obadwaj mieli w instrukcyi swojéj (2 lutego), że elekcya Batorego była prawną, a cesarza nieprawną."

„Kiedy się to działo w Polsce i Siedmiogrodzie, cesarz jeszcze się wahał i nie dawał wcale odpowiedzi poselstwu war-

(1) Und ist das meist ein übel genuant gesindel. Man spürt ausdrucklichen, das die lent allirdatum auf den Turcken setzen. — List Teuffenbacha do cesarza z Fordy 22 stycznia 1576 roku.

szawskiemu. Przeszkody do osiągnięcia korony większe się wydawały teraz jak z początku. Cesarz otrzymawszy list od Batorego (pod koniec stycznia), który przywiózł goniec od Teuffenbacha, nie chciał bez poradzenia się posłów polskich nic odpowiedzieć wojewodzie. Polacy radzili więc żeby w żadne korrespondencye z Batorym się nie wdawał i nie odradzał mu niczego, bo to ubliżało i godności jego i nie zgadzało się ze swobodami narodu polskiego. Za jedyną odpowiedź, cesarz, podług nich, miał co prędzéj pospieszyć do Polski i uprzedzić Batorego. Listy, które posłowie odbierali z ojczyzny, potwierdzały tę pewność, że kto z dwóch spółzawodników stanie prędzéj na ziemi polskiéj a przynajmniéj na granicy, do tego wszyscy radzi i nieradzi przybiegną. Rueber i Teuffenbach w podobnéjże myśli pisali do cesarza, żeby przedewszystkiém zapewnił sobie miasto Kraków. Obadwaj nie mogli doczekać się rozkazu, żeby ruszyć ku granicom polskim, znosili się tylko listownie i ubolewali nad zaślepieniem rady cesarskiéj, która ich własnemu zostawiała losowi i nie dawała żadnéj pomocy (1).

„Cesarz jednak chciał zgody, i jeszcze 31 stycznia posłał do Teuffenbacha rozkaz, żeby układał się z Batorym, lubo sam już widział, jak niczego spodziewać się nie może z téj strony. I Krakowa też nie opanował, co mu radzili generałowie; z tego strona przeciwna korzystać umiała. Prosto z Jędrzejowa, przy rozejściu się zjazdu, moc szlachty pod wodzą wojewodów krakowskich, ruskiego i bełzkiego z uzbrojoną czeladzią udała się do Krakowa. Wygnano z miasta stronników cesarskich, a szlachta zbrojna rozłożyła się jakby na leżach wojskowych; po ca-

(1) Teuffenbach pisze do Ruebera dnia 4 lutego: „Edler und gestrenger etc. lieber herr vetter und bruder! Mir sein deine zwei schreiben vom 30 januarii und ersten diss sambt den einschlüssen wol zukhomben; und ist eigendlichen nicht allein hoch zu verwundern, sondern woll zu erparmen, das man in unsern hoff die so wichtige ernstliche sachen dermassen langsam und so gar hinlassig mit aller kleinmethigkeit tractiren thuet. Vielleicht mein die leicht. das inen die pradtner vogel ins maul fliegen sollen. Die gegenwerdtige versaumnuss und schadt mochte man etwas verklagen, wann nur der baldt khunftige jammer und elendt und das vor der thür prunde verdurwen darmit verhuett wurde. Will nun Ihre Kais. Maj. sambt derselben geheimen rätten ihrer treuen diener wollmeinem vermonen und gutherzig vermarnen .... nicht beherzigen so ist der schadt ire; gleichwoll ehs alsdann über uns arme underthanen auch ausgehendt etc.

łém mieście, na Kazimierzu i na zamku udawała dalszy ciąg zjazdu jędrzejowskiego, przedstawiającego całą Rplitę."

„Tymczasem w Siedmiogrodzie zanim doszedł Teuffenbacha nowy rozkaz, wszystko już było skończone pomiędzy Batorym a posłami polskiemi. Na sejm do Medyaszu przyjechali jeszcze oprócz Polaków posłowie wołoscy, multańscy (3 lutego) z któremi Batory zawarł przymierze; przyjechał i oddawna już oczekiwany czausz turecki z pełnomocnictwami od Wysokiéj Porty (6 lutego). Teraz dopiéro książę wezwał do siebie sekretarza Teuffenbacha, Franc. Peszte, który w Medyaszu mieszkał, dnia 6 lutego o 6téj godzinie rano i oznajmił mu, że czekał całe 20 dni na odpowiedź cesarza, ale ponieważ jéj nie otrzymał i nie wié, co cesarz zamyśla, postanowił jeszcze tego dnia złożyć przysięgę przed poselstwem, jako obrany król polski. W istocie o 11téj godzinie w kościele nastąpił ten uroczysty obrządek. Jan Tarło wojewoda lubelski, jako głowa poselstwa złożonego z 13 panów polskich, czytał naprzód *pacta conventa*, na które gdy Batory przysiągł, zaraz Polacy w imieniu całego królestwa zaręczyli mu posłuszeństwo i wierność. Tamże zaślubioną mu została Anna Jagiellonka; zaśpiewano uroczyste *Te Deum* przy bębnach i kotłach, strzelaniu z dział, dzwonieniu wszystkich dzwonów w mieście. Stany siedmiogrodzkie uznały Krzysztofa Batorego księciem, a Krzysztofa Hagymasza najwyższym hetmanem polnym. Czausz turecki Mehmet miał pełnomocnictwo od sułtana, żeby wręczyć mu chorągiew i inne oznaki dostojności hetmańskiéj."

„Po wspaniałym obiedzie, który nastąpił zaraz po tych obrzędach kościelnych, książę wezwał znowu do siebie Franc. Peszte o 5téj godzinie po południu i powiedział mu, że może teraz wracać do Teuffenbacha i prosić go, żeby starał się utrzymać pokój pomiędzy nim a cesarzem; bo co do niego, obiecuje zachowywać się jako dobry sąsiad, jeżeli tylko nikt go nie zaczepi. Oprócz tego wypowiadał cesarzowi rozmaite rzeczy, dla których musiał użyć pomocy tureckiéj w osiągnieniu tronu polskiego; wyznawał np. że cesarz przeciw niemu wspierał tajnie Kacpra Bekieszę, pana siedmiogrodzkiego, który w latach poprzednich podniósł bunt, żeby go tronu pozbawić. Gdyby teraz cesarz chciał zamieszać spokojność księztwa siedmiogrodzkiego przez zemstę, niechże wié, mówił Batory, że wszyscy okoliczni paszowie temeswarski, budzyński i boseński mają roz-

kaz za najmniejszym krokiem nieprzyjaźni, wkroczyć do ziem cesarskich."

„Peszty wstrzymał się do 3go dnia ze swoim wyjazdem po téj rozmowie, bo nazajutrz poróżnił się król Stefan z Krzysztofem Hagymaszem. Ten pan na zgromadzeniu stanów siedmiogrodzkich uroczyście oświadczył, że nie przyjmie wcale godności najwyższego hetmana polnego (9 lutego), a to dlatego, że Batory razem z tym urzędem nie chciał mu dać wszystkich dochodów z żupaństwa waradyńskiego, które miał poprzednio nowy książę siedmiogrodzki. Krzysztof Hagymasz miał tegoż dnia tajną rozmowę z Pesztym, w któréj oświadczał się z gotowością wejścia do służby cesarskiéj przeciw Batoremu. Jednakże spór ten nie miał wielkich skutków, bo król polski pogodził się zaraz z Hagymaszem i wysłuchał jego żądań. Batory wyprawił tegoż dnia świetną ucztę dla posłów, których połowa wracała już do Polski, a z drugą połową, 11 lutego, wyjechał do Białogrodu dla załatwienia jeszcze innych spraw. Peszty zaś odjechał z Médyaszu tego samego dnia, a właśnie wtenczas w sam dzień przysięgi Batorego, Teuffenbach, który dopiéro 7 lutego otrzymał nowy rozkaz cesarski, wyprawił do Stefana drugiego swojego sekretarza Marcina Radeka, który już w Białogrodzie zastał wojewodę."

„Maxymilian wprzód nim się o tych zdarzeniach w Medyaszu dowiedział, dał nareszcie Rueberowi po długiém naleganiu rozkaz, żeby na wszelki wypadek zaciągał wojsko i pilnował Batorego po drodze, jeżeli wojewoda zechce, co prawdopodobne było, wyprawić się do Polski przez Hunt, bo tędy właśnie najbliżéj miał do granic Rzplitéj (11 lutego). Wydał także rozkaz, żeby 500 jeźdźców, o których Rueber jeszcze przed miesiącem się upominał, posłać mu natychmiast. Na sejmie niższéj Rakuszy, który tegoż właśnie czasu zgromadził się w Wiedniu, żądano od stanów zapomogi 150,000 złotych na koronacyą w Krakowie (10 lutego), z czego widocznie każdy się przekonywał, że cesarz nic wyrzeka się swoich pretensyj do tronu polskiego. Rueber mając już szczerą wolę wydobyć miecz z pochew, przedstawiał znowu cesarzowi potrzebę uderzenia na Kraków. Żądał 11 lutego, żeby cesarz wyprawił tylko 1000 ludzi, tak nazwanéj jazdy niemieckiéj, w tajemnicy i natychmiast ze Szlązka ku granicom polskim, w pewne oznaczone miejsce; żeby téż w pomoc mu dał 3000 ludzi dobrze zbrojnych, oprócz

załogi, która miała bronić kraju. Panowie polscy z okolic, a trzymający się strony cesarza byli gotowi pomódz; zebrali już także 500 jazdy, a między niemi rej wodził Lubomirski. Mówił też, że mieszczanie krakowscy codziennie o pomoc i wyswobodzenie błagają. Z temi siłami łatwo będzie, mówił Rueber przerazić Kraków, który zaraz bramy otworzy, a szlachta wtedy ucieknie, bo to lud źle zbrojny, a nienawykły do karności i porządku (1). Ta nadzieja tém mocniejszą była, że w kilka dni potém (15 lutego) odebrał Rueber nowe wieści z Krakowa, że większa część szlachty i panów rozjechała się z Krakowa do swoich wsi i majątków, ażeby się lepiéj przystroić na koronacyą, i że w Krakowie pozostała tylko mała garść ludu."

„Ale cesarz nie umiał tak prędko i stanowczo odważyć się na coś, jakby tego chcieli gubernatorowie węgierscy. Na początku lutego powołał on do Wiednia przedniejszych urzędników ziemskich i panów, którzy zasiadali w stanach jego państwa, tak z Rakusz jak z Czech i z Węgier; chciał się ich wszystkich poradzić, jak ma sobie postąpić. Na czele panów czeskich znajdował się kanclerz Wratisław z Pernsztajnu, z Rakusz Richard Strein, który najwięcéj znaczył wtedy pomiędzy protestantami w dolnéj Austryi; ośm mów jego mianych w téj sprawie na radzie cesarskiéj, zachowało się aż do naszego czasu w rękopismie. Trudności i niebezpieczeństwa z obydwu stron się przedstawiały, czyby cesarz przyjął, czy odrzucił koronę polską. Przyjąć, to widoczna wojna z Turkami. Wszelką gotowość do tego pokazywało pismo wielkiego wezyra Mehemeta paszy do cesarza z Carogrodu, 30 stycznia datowane, które do Wiednia mogło dojść dopiéro w końcu lutego. Wielki wezyr tak samo odzywał się o Polsce, jak wprzódy pasza budzyński: że to jest ziemia znajdująca się oddawna pod skrzydłem i opieką wielkomocnego sułtana. Kiedy umarł król polski ostatniego rodu, przysyłali panowie polscy do Wysokiéj Porty i pozwolono im z władzy sułtańskiéj, żeby sobie brata króla francuzkiego do korony obrali. Tak samo i po ucieczce Henryka przyjechało znowu poselstwo i oświadczyło dywanowi, że Polska radaby obrać tego za króla, kogo Jego Wysokość wskaże, chociażby

(1) Dass es gar ein schlects, ungerustes, unwerhaftes, gemein aufgeklaubtes gesindl sei... und seie sonderlich under ihnen kein regiment noch ordnung oder observanz.

nawet jednego zpomiędzy siebie, a sułtan im wskazał na wojewodę siedmiogrodzkiego Stefana. Gdyby więc cesarz chciał coś przeciwko temu postanowić, Porta każdy krok jego uważać będzie za naruszenie pokoju."

„Wojna z Turcyą mogła być wtedy niebezpieczniejszą dla cesarza, jak kiedyindziéj, bo oprócz niéj i Siedmiogród i stronnictwo Batorego w Polsce byłyby się pewno przeciw Maxymilianowi z sobą sprzymierzyły: do tego jeszcze ziemie cesarskie nie uspokoiły się jeszcze od ostatniego pokoju zawartego z Turcyą w r. 1568. Za to Strein i inni panowie ukazywali na niebezpieczeństwa w przyszłości, na które się cesarz narażał odrzuceniem korony polskiéj. Gdyby Batory osiadł na tronie, na wschodzie Europy przeważyłaby polityka turecka, a przy całéj niepewności pokoju z Turkami, który przy najlepszych umowach trwał zawsze dopóty, dopóki to podobało się Porcie; trzeba się było zawsze obawiać téj potężnéj koalicyi przeciw cesarzowi Turcyi, Siedmiogrodu i Polski. Wszelkie obawy także obudzał niespokojny stan Węgier, bo od czasu piérwszéj walki pomiędzy Ferdynandem I a Janem Zapolskim, nawet i w części kraju tego, która do cesarza należała, żyło i poruszało się w tajemnicy stronnictwo narodowe żądne walki i przewrotów, które wzrok swój tęskliwy zwracało ku książętom siedmiogrodzkim. I dzisiaj to stronnictwo podnosiło głowę, wielkie pokładając nadzieje w téj okoliczności, że Batory został królem polskim. Śmiałość tego stronnictwa była tém większa, im zaślepienie dworu cesarskiego na jego ruchy mocniejsze. Rueber jeszcze na początku lutego donosił do Wiednia o tajnych knowaniach. O cesarzu szlachta i panowie rozmawiali wtenczas bardzo nieżyczliwie, a pod niebiosa wynosili księcia siedmiogrodzkiego. Niedługo to trwało, a już Rueber natrafił na ślady wielkiego spisku, który miał za cel oderwać zupełnie górne Węgry od państwa cesarskiego, a przyłączyć je do Siedmiogrodu. Przedniejsi z panów madziarskich należeli do téj zmowy, i czekali tylko chwili aż Batory ostanie się na tronie polskim. Te i podobne tym obawy o blizką, albo o dalszą cokolwiek przyszłość, trafiały w myśl rajców cesarskich i wiodły prosto do celu: Maxymilian musiał koniecznie śmiałą nogą wystąpić w Polsce, żeby zniszczyć na raz zamiary i Turków i swoich nieprzyjaciół. Na przypadek zaś wojny z Portą, zostawała jeszcze nadzieja pomocy od wielkiego kniazia mo-

skiewskiego, któremu wassal Turcyi był tak nie na rękę w Polsce, jako i cesarzowi".

„Była jednakże pewna jeszcze okoliczność, że cesarz wśród takich trudności, nie mógł się prędko zdecydować, czy ma się udać do Polski: oto, że zapadał ciągle na zdrowiu. Pomimo więc tych przełożeń, Maxymilian gotów był nareszcie wyrzec się zupełnie prawa swojego: szło jedynie o to, żeby to zrobić z pewną godnością, majestatowi przyzwoitą. Zatém dopiéro około 20 lutego dano piérwszą odpowiedź posłom polskim, bawiącym ciągle w stolicy: cesarz żądał od nich zmiany niektórych artykułów w paktach konwentach. Były tam niektóre warunki trudne do spełnienia, ile przy nadzwyczajném osłabieniu władzy królewskiéj w Polsce; ale posłowie powoływali się wciąż na swoje instrukcye i odpowiadali, że nie mają prawa pozwolić na najmniejszą zmianę warunków, które sejm nakreślił. Radzili téż, żeby cesarz dla ocalenia swojéj sprawy w Polsce, co najprędzéj oświadczył się, że koronę przyjmuje, żeby wyprawił nowe poselstwo do królewny Anny, bo poprzednie pozostały bez skutku, żeby ją wydał za arcyksięcia Ernesta, przysiągł na *pacta* bez odmiany, i żeby natychmiast wyjeżdżał do Polski".

„Cesarz odpowiedział posłom (24 lutego), że myśli wyprawić swoich kilku panów razem z niemi na sejm do Łowicza, aby tam skończyć raz już sprawę o zmianę niektórych artykułów i przyprowadzić do skutku małżeństwo Ernesta z królewną. Podawał jednakże i od siebie sposób uniknięcia nowych trudności, a byłto wniosek, żeby Ernest zaraz był z nią koronowany na króla polskiego. Do Łowicza zjechali się wtedy na zaprosiny arcybiskupa gnieźnieńskiego panowie strony rakuzkiéj (28 lutego), żeby się wzmocnić jako przeciw zjazdowi jędrzejowskiemu. Posłowie polscy odradzili tę myśl cesarzowi, bo naprzód, mówili, zjazd w Łowiczu nie będzie miał żadnego prawa traktować rzeczy tak ważnych, które interesują kraj cały, a powtóre, sami posłowie od całéj téj sprawy umywali ręce, bo nie mogli wdawać się w rzeczy, do których upoważnienia żadnego od stanów koronnych nie mieli (około 29 lutego). Cesarz nie wiedział co począć, kiedy 11 marca przyszło do Wiednia pismo od zjazdu łowickiego datowane 5 t. m., w którém panowie narzekali na długą zwłokę, na jaką cesarz naraził ich i swoję spra-

wej. Oznajmiali téż, że muszą przedsięwziąć inne jakie sposoby uspokojenia ojczyzny i zaprowadzenia w niéj zgody, i że na ten cel zwołali nowy sejm do Warszawy na dzień 9 kwietnia. Ostrzegali cesarza, żeby się spieszył, bo w razie dłuższéj zwłoki, musieliby wejść w jakie układy z przeciwnikami."

„Po otrzymaniu tego listu, cesarz myślał, że stany polskie szczerze się interesują jego sprawą i dał następną odpowiedź posłom w Wiedniu, prostą, bez dyplomatycznych wykrętów: że jak zawsze głównie miał na pieczy dobro ich ojczyzny, tak i dzisiaj chętnie przystaje na ich zdanie i chce złożyć zjazd dla uspokojenia tych domowych niezgód bez wewnętrznéj walki."

„Na to oświadczenie posłowie polscy w pamiętnym memoryale swoim, podanym cesarzowi na dniu 6 marca, naglili go do prędkiego postanowienia."

Opuszczamy kilka wierszy.

„Strein przedstawiał cesarzowi tém mocniéj wszelkie szkodliwe następstwa, któreby mogły wypłynąć z powodu nieprzyjęcia korony polskiéj, bo przestaniem na téj jedynie odpowiedzi, cesarz od siebie odwróciłby nawet stronnictwo rakuzkie w Polsce, a przymnożył sobie nieprzyjaciół. Te a inne powody zważywszy Maxymilian, postanowił ostatecznie przyjąć koronę polską i zmienił poprzednią swoję odpowiedź, jaką dał posłom i zjazdowi łowickiemu w ten sposób: iż myśli na sejm warszawski wyprawić pełnomocniki swe opatrzone władzą do wynalezienia wszelkich środków, jakby królestwo przyprowadzić do pokoju i zgody bez pogorszenia spraw cesarskich, tojest, ażeby pierwszeństwa do korony nie oddawać Batoremu, który w godności bardzo wiele ustępuje Maxymilianowi. Tymże posłom swym cesarz myśli dać zupełną moc, aby układali się o małżeństwo Ernesta z królewną Anną, gdyby to stanom polskim podobało się. Gdyby jednakże strona przeciwna w żaden sposób do ogólnéj ugody przystąpić nie chciała, cesarz oświadczał swoim wiernym, że ma stanowczą wolę pospieszyć im na pomoc, gdyby tego po nim żądali. Na ten cel, według obietnicy swojéj, uczynionéj sejmowi warszawskiemu, myśli dać 100,000 zł. na potrzeby królestwa, a oprócz tego trzymać będzie wojsko na pogotowiu, na piérwsze zawołanie."

„Dla większéj pewności, cesarz w przytomności posłów polskich złożył zaraz uroczystą przysięgę na *pacta conventa* (23

marca) i wydał przywileje, w których potwierdził prawo i swobody ziemskie, a przyjął od posłów imieniem stanów polskich akt swojéj elekcyi."

„Ale Stefan Batory prędzéj i śmieléj postępował. Miał i on rozmaite przeszkody, dla których nie mógł tak prędko odjechać z Siedmiogrodu. Po sejmie w Medyaszu, zatrzymał się jeszcze trzy niedziele w Białogrodzie dla urządzenia spraw swoich. Tymczasem posłowie polscy ze swoją czeladzią bawili częścią w témże mieście, a częścią w Sibinie, i skracali sobie czas rozmaitemi nieprzystojnemi zabawami, które podawały powód do częstych kłótni z mieszczanami. Ostatniego posła od Teuffenbacha, który do niego przyjechał, jakeśmy mówili już, do Białogrodu, zatrzymał u siebie Batory całe dziewięć dni, nibyto się jeszcze namyślał; nareszcie 19 lutego wypuścił go z listem, w którym donosił Teuffenbachowi, że już przyjął koronę polską i nie cofnie się."

„Dwie drogi były po których mógł jechać Batory: jedna krótsza przez Hunt i Marmarosz na któréj czyhał na niego Rueber; dalsza ale bezpieczniejsza, przez Multany. Trzecią drogę radzili mu baszowie węgierscy przez swoich czauszów, którzy ustawicznie się przemykali po Siedmiogrodzie, tojest żeby się udał prosto przez Koszyce, miasto, w którém mieszkał gubernator cesarskich górnych Węgier, a to dla większéj pogardy Niemców. Ale Batory do ostatniéj chwili milczał i nie zdradzał się. Rueber dowiedział się jakoś pod koniec lutego, że wojewoda myśli 10 marca dopiéro wyruszyć w drogę, a naprzód do Fordy, gdzie złoży książęcą koronę, bo ją w témże samém mieście otrzymał, a potém przez Kolocz, daléj ku Marmaroszy, a ztąd do Polski. Batory więc zebrawszy potrzebne wojska, i uspokoiwszy Krzysztofa Hagymasza, wyjechał 3 marca z częścią posłów polskich do Sibina. Orszak jego zbrojny wynosił 1,500 jazdy, 2,000 piechoty i 12 armat. W Sibinie połączyli się z nim inni posłowie polscy i pojechali wszyscy razem do Braszowa. Tutaj rozgłosił, że dni kilka zatrzyma się, czekając niby na nowy oddział swojego wojska; ale w głębokiéj tajemnicy, nic nikomu nie mówiąc, wojewoda z orszakiem 30 koni tylko puścił się drogą do Multan, a to tak skromnie i cicho, że jego własni ludzie myśleli czas jakiś, że on pomiędzy niemi bawi w Braszowie, a Batory był już daleko (6 marca). Krzysztof brat jego przyjechał do Koloczy (11 marca) na sejm

siedmiogrodzki, i był tam książęciem uznany uroczyście, przez rycerstwo swojéj ziemi".

„W Polsce tymczasem wszystko zbliżało się do końca. Stronnicy Batorego znowu sejmowali w Krakowie, dokąd na dniu 28 lutego przyjechała królewna Anna, która szczerze popierała ich stronę; niepokoił ją tylko tak długo opóźniony przyjazd Stefana, bo zdawało się jéj, że on zaraz z samego początku być powinien".

„Anna nie chciała zawrzéć związków małżeńskich z posłem Batorego Hieronimem Filipowskim przez zastępstwo, do czego ją namawiano: za powód podała tę okoliczność, że ojciec posła był przed kilkudziesięcią laty ćwiertowany z rozkazu siostry jéj Izabelli wdowy po Janie Zapolskim. Niższa szlachta zaś dąsała się na Filipowskiego za to, że przywiózł z sobą mniéj pieniędzy jak się spodziewała (1). W ogóle jednakże stronnictwo Batorego rozwijało wielką czynność: wszędzie występowało z bronią, i mocno naciskało przyjaciół cesarza, którzy coraz więcéj upadali na duchu. Zresztą przyjazd Batorego do szczętu rozproszył stronników rakuzkich".

„Prymas jednakże dotrzymał słowa i złożył sejm w Warszawie na dniu 19 kwietnia. Oprócz części szlachty mazowieckiéj, zjechały się tam stany litewskie i pruskie. Cesarz według obietnicy przysłał na ten sejm pana Popiela z Lobkowic, ale zanim ten pan dojechał do Warszawy, Batory był już w Polsce. Popiel stanął na miejscu dopiéro 13 kwietnia, a w cztery dni potém (17 kwietnia) między 11 a 12 godziną przed południem, miał uroczyste posłuchanie u stanów Rzplitéj w kościele św. Jana, i powtórzył tylko rozkazy cesarza. Sejm był wtedy już nie swój, i odroczył się do 3 czerwca, co się ró-

(1) Rueber w liście do cesarza z d. 17 marca pisze: „Die kunigin hat sich mit das Weida abgesandten, welcher ungefar mit vier personen zu Cracau ankomen, anstat des Weida nicht vermahlen wollen lassen, unter andern aus der ursach, das ire schwester, die kunigin Isabella, sein des gesandten vatter umb etlicher begangnen misshandlung vor jaren virhailen hab lassen. Sy die kunigin rede vor sein Bathori person nicht allerdings zum besten, sonderlich das er einen rinnenden tollerchänkel und bei der nasen auch eine stets rinnende warzen hab. Der gesandte ist nicht fast angenemb gewest.... Meniglich hat ein anschenliche summa geldes bei ime, dem gesandten gehoft; so hat er nicht mehr als 10,000 ducaten gebracht, druber vil ansehenliche herren, und sonderlich der gemein adel, dem es nur umbs gelt zu thun, ubi zufriden; ir vill fallen ime ab.

wnało prawie samobójstwu. Panu Popielowi dano odpowiedź, że musi czekać, aż sejm znowu nastąpi z limity i postanowi co robić. Przyjechali z Krakowa posłowie Batorego do Warszawy, podając rękę do zgody; ale zaraz nazajutrz po daném posłuchaniu Popielowi, odparli cesarscy, że to na nic się nie zdało (18 kwietnia). Sejm warszawski uważał wybór Maxymiliana za prawny i wskazywał przeciwnikom na jawne niebezpieczeństwo, na jakie się podaje Rzplita od Turka przez wybranie Batorego: I dzisiaj już, mówili, sułtan w listach swoich do cesarza śmié Polaków nazywać swojemi poddanemi i utrzymywać, że na tron wzięli Siedmiogrodzianina dla jego rozkazu. Owszem, warszawscy zawiadamiając Krakowianów, że nowy sejm naznaczyli, zapraszali ich z sobą do jedności i zgody".

„Właśnie w ten sam dzień, kiedy strona prymasa pisała ten list, Batory odbył wjazd świetny do Krakowa (1 maja) i nazajutrz ożenił się z Anną Jagiellonką. Walny sejm koronacyjny, na który zjechało się całe Batorowe stronnictwo, zatwierdził wszelkie postanowienia zjazdu jędrzejowskiego przeciw prymasowi i ogłosił jego stronników za nieprzyjaciół ojczyzny. Wszędzie pobrzękiwano bronią dla spełnienia wyroku. Wprawdzie Łaski się porwał i inni panowie chcąc stawić opór; ale usiłowania ich były wszędzie słabe i bez związku".

„Panowie rakuzcy jeden po drugim rzucali stronę cesarską. Sam prymas nie uważał się za dosyć pewnego w Warszawie i odjechał razem z posłem cesarskim do Łowicza, chcąc mieć więcéj bezpieczeństwa we własnym zamku, wśród swoich. Po niedługim czasie i on uznał Stefana Batorego za króla, kiedy widział, że nic nie zrobi przeciw potędze nowego władcy. Tak też zrobiły potém stany litewskie; jedne tylko Prusy z orężem w ręku powstały na Batorego, a Gdańsk znajdował się na czele niechętnych. Ale Batory odbył świetną wyprawę na Pomorze i zdławił wszelki opór, bo Prusy napróżno ufały w pomoc cesarską, która nie przyszła."

„I cesarz Maxymilian mając przed oczyma niebezpieczeństwa, które mu zagrażały od Turka, nie mogąc się zdobyć na jakąś demonstrancyą wojenną przeciw Batoremu, w piérwszéj zaraz chwili musiał się zrzec wszelkiéj nadziei osiągnięcia korony polskiéj. Zwrócił myśl swoję teraz do tego, żeby się lepiéj na przyszłość ochronić od Turka, którego sąsiedztwo coraz było dla rakuzkiéj monarchii przykrzejsze. W tym celu złożył sejm

rzeszy w Rzeźnie (Ratysbona), który rozpoczął się w początkach lipca. Starał się na nim przedewszystkiém o prawa książąt niemieckich wojskowe i pieniężne, gdyby przyszło do zerwania pokoju z tém mocarstwem. Zarówno téż zaczął traktować w dalszym ciągu z carem Iwanem Wasilewiczem, który pokazywał gotowość do walki z Batorym. Posłowie cara przyjechali na ten sejm rzeszy niemieckiéj, na którym również rozprawiano o sprawie inflanckiéj: i car i rzesza rościli sobie do téj ziemi pretensye."

„Ale wprzód, zanim stanęło coś pewnego pomiędzy cesarzem a Iwanem Wasilewiczem, umarł Maxymilian IIgi nagle, zachwycony od choroby, dnia 11 października 1576 r. w chwili, kiedy czytano konstytucye sejmu rzeszy, który dnia tego się kończył."

Na tém się kończy opowiadanie Tomka, a raczéj piérwsza część jego.

Julian Bartoszewicz.

D. 4 maja 1852 r.

POGLĄD OGÓLNY NA POEZYĄ WSCHODU.

(UŁAMEK Z OBSZERNIEJSZEGO RĘKOPISU).

PRZEZ

Kazimierza Puchałę.

Wschód, co był kolebką cywilizacyi świata i dał mu trzy księgi religijne: Biblią, Ewangelią i Koran, zasługuje abyśmy zwrócili uwagę na ducha jego, zwanego *oryentalizmem*, odbijającego się najżywiéj w poezyi. Ujmując ją pod ogólny pogląd, spostrzeżemy, że nią nie rządzi dowcip, tém mniéj czucie, lecz tylko fantazya taka, jaką poeta niemiecki Fr. Rückert uosobnił, wyrażając: „Fantazya, olbrzymia niewiasta, siedziała na górze wyniosłéj, mając nad sobą dla rozrywki *dowcip* karła. Fantazya podniosła się do połowy ku niebu, uchwyciła gwiazdę i ciskała nią dokoła, tak że iskry sypała blizko i daleko. Fantazya dłoń wyciągnęła ku chmurom przelatującym, przyciągnęła do siebie obłok szkarłatny, i okryła nim swoje ramiona."

Dlatego poezyi wschodniéj niedostaje artystycznego powabu, i że się wyrażę, trzeźwości; upojona z odurzającego kielicha fantazyi, unosi się w swoich objawach jak Bachantka, nie pomna, że wszelka *piękność* na harmonii *całości* polega.

Wstępującym dotąd przez *propilee* do świątyni sztuki greckiéj, lub odbywającym z bardami pielgrzymkę przez romantyczne gaje północy do źródła Iduny, dziwnie zdawać się będzie wchodzić fantastyczną bramą, wiodącą do zaczarowanéj krainy, gdzie poezya tronu swego nie wznosi na Parnasie, lecz otaczając swe skronie wieńcem spłecionym z róż białych i różowych, *Kassidetu* mistycznego i *Gazelli* erotycznéj, w szatach

iskrzących gwiazdami, rozrzucając perły i kwiaty, otoczona *gieniuszami* napowietrznemi, przeciągając w tryumfie przez niebios błękity, wstępuje do świątyni *nieśmiertelności.*

Są tacy, co mało ceniąc poezyą Wschodu, uderzają na nią gromami europejskiego smaku, które jednakże zwycięzko odpierają bezstronni oryentaliści, pomiędzy któremi jaśnieją, że wielu z młodszą sławą pominę, zaszczytnie znane nazwiska: Sylwestra de Sacy, Abla Remusat, Reinauda, Caussin de Perceval, Quatremere Stefana, Jauberta, Garcin de Tassy, Hase, Herdera, Goethego, którego *Dywan zachodnio-wschodni* wykrył piękności, jak stal wydobywa iskrę zawartą w krzemieniu.

Poezya Wschodu nie ma powabu dla krytyka, który w nią niewtajemniczony, rozbiera jéj piękności jakby obrywał listki centyfolii, niszcząc wdzięk *całości* i pozbawiając woni nagromadzonéj w jéj sercu; ani dla grammatyka, coby po niéj prowadził swój skalpel jak po anatomicznym trupie. Inaczéj ją pojmować należy: bo poezya ludów wschodnich jest najwierniejszém zwierciadłem ich pojęć, gieniuszu i charakteru. Z tego stanowiska uważając jest ona jednym z kolosalnych słupów wspierających sklepienie téj cudownéj budowli, wznoszonéj od tylu wieków przez ducha ludzkiego; nie obeznawszy się z nią, nie pojmiemy architektoniki pracy olbrzymiéj tylu pokoleń.

Już Wschód przestał być obumarłym i pełen jest głuchego i wewnętrznego szmeru; wszystko każe wierzyć, że jego społeczność głęboko jest wstrząśnioną i chwieje się na swoich podstawach, spełniając słowo pisma świętego: że plemię Jafeta zasiądzie pod namiotami pokoleń Semitycznych. Europa, która już raz z zwycięztwami orłów rzymskich wdarła się była aż ku brzegom Eufratu, powtórnie przez Opatrzność wezwaną została wywierać na Azyą wpływ nietylko samym orężem, lecz zarazem rozszerzać wiarę Chrystusa i oświatę zachodnią. Wszystko zwraca się ku Wschodowi: filozofia śledząc historyą kolebki rodu ludzkiego, woła: *ze Wschodu światło*; poezya europejska zużyta, szuka tam nowego natchnienia, i ogrzanych słońcem Wschodu: Byrona, Goethego, Rückerta, Puszkina obdarza świeżemi palmami. Malarstwo pędzlem czarownym Verneta odtwarza sceny arabskiego życia; sama nawet muzyka w kompozycyach Antona professora w Würtenbergu dodaje swego uroku pieśniom Salomona, a Dawid w konserwatoryum paryzkiém zachwyca wzniosłą symfonią pod nazwiskiem *Puszcza.*

Mamyż pozostać obojętnemi widzami na téj drodze, na któréj tak nas wyprzedzono? Jeżeli nie posiadamy takich zasobów jak inni, i z powodu mało jeszcze u nas upowszechnionéj znajomości Wschodu, nie mamy oryentalistów poświęcających się temu zawodowi; zbierajmyż przynajmniéj na téj świeżéj niwie pozostawione kłosy, i związawszy je w snop chociaż niebogaty, krzepmy się w pracy słowami rzymskiego poety:

In magnis voluisse, sat est.

Uważając poezyą za taką, o jakiéj starożytni mniemali że z nieba zstąpiła rzucać kwiaty na ciernistą drogę człowieka, dostrzeżemy, że ją naprzód zbudziło uczucie religijne. Gdy zabłysnął promień wschodzącego słońca i głosy ptasząt zlały się w pieśń jednę: wówczas i hymn dla Stwórcy wydobył się z piersi człowieka, który na widok piękności ziemi i wspaniałości nieba, usiłował wysłowić się mową ożywioną, wzniosłą, i wśród tego uniesienia zrodziła się na Wschodzie poezya. Pieśń, córka chwili, uczuć nagłych i wzruszeń silnych, najprzód zabrzmiała; następnie opowiadanie zdarzenia, które przywoływało je do życia, dało początek poezyi epicznéj. Taką koleją rozwijała się poezya Wschodu. Lecz uderzającém jest zjawiskiem, że ludy Semityczne nie mają poezyi bohaterskiéj w takim stopniu, w jakim kwitnęła nad Gangesem; zależy to od różnicy charakteru tych dwóch plemion, gdyż powściąganie natchnienia również jest obcém plemieniom Semityczným, jak właściwém ludom Hindostanu. Nagłość uczucia dającego się łatwo wzruszyć, jest przymiotem mieszkańców brzegów Eufratu i Tygru; ztąd rodzą się lirykami, lecz nie poetami epicznemi. Do tego przydać należy: że kiedy w poezyi, ludom Hindostanu przychodzi w pomoc mitologia; przeciwnie religia Hebreów i Islamu jest poważną i surową.

Gdy poezya jest wewnętrznego ducha objawem, odbijającym myśl narodu i jego charakter: warto zastanowić się, jakim sposobem gieniusz poezyi wywiązywał się i przelewał z jednego do drugiego ludu. Uczucie, pojęcie piękności, rozwija się tak jak wszelkie władze umysłu ludzkiego wedle pewnych i koniecznych praw, pod wpływem rozmaitych okoliczności. Każda literatura ma udział w ogólnym pochodzie, przez który ludzkość wznosi się stopniowo z jednego szczebla na drugi: z wieku dziecinnego do młodości, od téj do dojrza-

łości; lecz ta dążność ogólna krzyżuje się i kombinuje zawsze z dążnościami szczegółowemi, popychającemi naprzód lub wstrzymującemi. Klimat, stan społeczny, religia i tysiąc innych okoliczności wpływ wywierają, nadając oddzielną fizyonomią miejscową, charakter indywidualny, piękności i wady właściwe, i stopień oznaczony na skali sztuki. Tak poezya Wschodu, chociaż zachowuje ogólny charakter dający się wyjaśnić z wspólnéj lub z pokrewnionéj religii, formy rządu, sposobu życia, po części z historyi i pochodzenia, przecież u różnych narodów ma właściwe odcienia. Same ich języki, lubo wszystkie wedle swéj składni i ducha wymagają zwięzłości, różnią się jednakże. Język hebrajski, ubogi w formy i znaki do przedstawienia oderwanych pojęć, większe za to posiada bogactwo wyrażeń zmysłowych. Arabski, stanowiący południową gałąź pnia Semityczuych narzeczy, zachował czystość wolną od wszelkiego obcego przymieszania; nie jest złożonym z innych języków, lecz jak grecki jest pierwotnym; nie uległ pod jarzmem żadnego zwycięzcy, ale często narzucał prawa obcym językom, a nigdy ich nie przyjmował. Wdarł się do Egiptu, Hiszpanii, Persyi, Turcyi aż do Indyi; wszędzie zostawił ślady swego przechodu, nie tracąc swojéj czystości. Możnaby o nim powiedzieć, co poeta wyrzekł o Aretuzie, że „toczy wody zawsze czyste, których zmienić nie może gorycz morza." Persowie zrobili go narzeczem więcéj giętkiém, lecz mniéj jędrném, które posłużyło poezyi może świetniejszéj, lecz mniéj śmiałéj, mającéj w swém zniewieściałém natchnieniu jakieś wspomnienie niewolnictwa. Język zaś turecki złożony jest z arabskiego i perskiego. Pod nazwiskiem poezyi Wschodu obejmując poezyą rozmaitych ludów i czasów Azyi, dostrzeżemy, że miały trzy epoki zupełnie odmienne: indyjska uważaną być może za starożytną, za nowoczesną zaś arabska, perska i turecka, a za łączące ogniwo hebrajska.

Pamiątki ducha starego Wschodu przechowały tylko zwaliska świątyń, pałaców i grobów, i utajone są w językach zamarłych; a jeżeli je po tysiącach lat, prace nad ich odcyfrowaniem podjęte, jakby czarnoksięzkiém zaklęciem wywołują do życia, i dla obecnych czasów Wschód nie jest już więcéj księgą siedmioma pieczęciami zawarowaną: to jednakże czytać w niéj może tylko niewielu wtajemniczonych w głęboką naukę, jak niegdyś egipscy Hierofanty w tajemnicach elezuiskich. Nie tak

jest z ludami Semitycznemi: tych poezya czasów naszych doszła, i nad nią zastanawiać się można.

Poezya hebrajska powstała całkiem oryginalnie, wykształciła się samodzielnie, zupełnie, bez obcego wpływu; a jeżeli nie jest tak bogatą jak Indu i Hellady, to przecież pełną jest prostoty i naturalności. Porównana z poezyą innych starożytnych ludów, okazuje się jakby pochodzącą z czasów jeszcze młodocianego wieku ludzkości, gdzie przeważało wewnętrzne czucie i mało dbano o przepisy sztuki. Rozwijając się wśród boleści i ucisku Izraela, jest smętną jak jego losy, wzniosłą jak jego wiara w *Jehowę* – Boga. Oryginalność, jędrność i moc są jéj właściwemi przymiotami, którym winna swą uroczystość; i słusznie o niéj Wiliam Jones powiedział, że: „w wyrażeniach świetna, w zdaniach wspaniała, w układzie godna podziwienia, początku jakby boskiego."

Układana w języku, który nie wzniósł się do doskonałości, gdyż jako narodowy zaprędko ustał, uważać jéj nie można jak tylko za wcześnie przekwitłe dziécię, córkę młodości rozpierzchnionego ludu; jednakże jéj bogactwa są wielkie, chociaż niewszędzie równym blaskiem jaśniejące. Potrzeba jéj perły wydobyć jakby z głębi morza, jéj złoto oczyścić, by poznać jego wartość. Długi czas nie uważano jéj w właściwém świetle; zapatrywano się na nią ze stanowiska biblii, jako na jéj niewolnicę, i gdy świetny pyłek ze skrzydeł jéj gieniuszu niezręcznie ścierano, niszczono jego urocze barwy.

Za Dawida i Salomona nastał wiek kwitnący poezyi hebrajskiéj. W czasach religijnego i politycznego rozdwojenia Izraela, prorocy napominali, gromili słowem. Wówczas wykształciła się idea o Messyaszu, owoc wiary w nadzieję lepszéj przyszłości: z niéjto płynął balsam kojący zbolałe serce ludu, gdy pozbawiony ojczyzny jęczał w niewoli babilońskiéj. Tak poezya hebrajska przebiegła wszystkie stopnie w których rozwijała swą siłę i zadanie, i śmiało utrzymywać można, że jéj obrazy były wyrazistemi i naturalnemi, branemi bezpośrednio z otaczających przedmiotów, uzasadnionych na ideach narodowych i obyczajach ludu, którego poezye czytając, zdaje się, żeśmy przeniesieni do Judei. Wszędzie widać palmy i cedry Libanu; wspaniałość Syonu, krajobraz brzegów Jordanu, właściwość klimatu, zwyczaje, uroczystości obrzędów, ciągle przedstawiają się pod nowemi kształtami. Porównania, których używają poeci

hebrajscy, są w ogóle krótkie: nie wskazują jak jeden punkt podobieństwa, nie czyniąc z niego pewnego rodzaju ustępów. W tym względzie może mają piérwszeństwo nad poetami Grecyi i Rzymu, których porównania przez swą rozciągłość przecinają opowiadanie, i dają łatwo poznać pracę pisarza; u Hebreów są przeciwnie błyskami płomieni, pochodzącemi z wyobraźni ognistéj, oświetlającemi nagle przedmioty na które padają. Obrazy przez ich poetów przedstawiane są odzwierciedleniem otaczającéj przyrody; dlatego dla ocenienia ich potrzeba zapatrywać się z ich stanowiska. Uważając pod tym względem poetów hebrajskich, znajdziemy, że w swych przenośniach i porównaniach przedziwnie malują przyrodę swoich okolic, również jak i miejscowe obyczaje. Nie należy tracić z oczu, że odnoszą się do szczególnych zjawisk właściwych krainie, którą zamieszkał lud Izraela. Tak podczas lata, dészcz prawie nigdy nie odświeżał tam ziemi, a gdy przedłużał się upał, kraj stawał się łupem straszliwéj posuszy. Jeśli spadł dészcz obfity, widok przyrody natychmiast się zmieniał i sprawiał radość powszechną. Ztądto w malowaniu nieszczęść, poeci często czynią zastosowania do ziemi spiekłéj, lub długi czas pozbawionéj orzeźwienia wodą; do wyrażenia zmiany z przeciwności w pomyślność używają przenośni, że zdrój wytrysnął w puszczy. Z drugiéj strony, gdy Judea była krajem wzgórzystym, wystawioną była w czasie pory deszczów na częste zalewy, spowodowane nagłym spadkiem potoków niszczących wszystko co spotkały w swym biegu; dlatego téż wielkie klęski przyrównywano do spustoszeń sprawionych gwałtownością wezbranych potoków.

Dwiema najznakomitszemi górami w Judei były Liban i Karmel. Piérwszy sławny swoją wysokością i lasami wspaniałych cedrów, któremi był zarośnięty; drugi odznaczający się wybornemi winnicami i oliwnemi gajami. Tak więc Liban jest obrazem wszystkiego co jest wielkie, silne, wspaniałe; Karmel wszystkiego co powabne i piękne.

Prócz obrazów odnoszących się do płodów i zjawisk przyrody kraju, poeci hebrajscy używali jeszcze innych, wypływających z obrzędów religijnych, obyczajów i zwyczajów Izraela. Lud ten był właściwie rolniczym i pasterskim, oddzielony od reszty świata przez prawa i wiarę. Często téż w swych poezyach przedstawiał życie pasterskie, pastwiska zielone, wody

spokojne, starania i czujność pasterzy nad trzodami: obrazy piękne i pełne słodyczy. Homer również często je wspomina, chociaż pod tym względem okazuje się niższym od poetów hebrajskich, którzy przez wielkość i godność wyrażenia wznoszą swoje porównania do wysokości swego przedmiotu.

Lecz figurą poetycką, która najwięcéj przyczynia się do nadania poezyi hebrajskiéj wzniosłości, śmiałości, szczytności, jestto prosopopea czyli uosobistnienie. W tém poeci hebrajscy rozwinęli wielkość i wspaniałość, których inni nie dosięgnęli. Rozlewają życie na całą przyrodę, szczególniéj gdy mówią o zjawieniu się Przedwiecznego i dziełach Jego. „Zniszczenie poprzedzało go. O wielki Boże! wody Ciebie ujrzały i przerażone zostały trwogą; góry Ciebie dostrzegły i zadrżały.” Tak w księdze Izajasza szczytnym jest opis upadku króla Assyryi: „Jodły i cedry Libanu zadrżały z radości; piekło wysłało zmarłych na jego spotkanie, królowie ziemi wystąpili z swych grobów i wznieśli swe głosy, by wielbić to wielkie zdarzenie.”

Widzimy, że poezya hebrajska pełna jest ognia, śmiałości i życia; nie znajdziemy w niéj poprawności, ani regularności wyrażenia: jestto zapał natchnienia. Sceny zamiast być zimno opisane, przesuwają się przed nami. Każda rzecz, każda osoba przywiedzioną jest aby odpowiadać, lub zwracać do nas swoję mowę. Często przejścia są zanagłe, związek łączący trudny do pochwycenia, osoby zmieniają się nagromadzone jedne na drugie. Charakterem téż tego stylu nie jest wygładzenie, tylko śmiała szczytność. Dusza poety zdaje się wznosić sama nad siebie i czynić wysilenie do wyrażenia idei zbyt wielkich na mowę człowieka.

Poezya hebrajska została rośliną Wschodu przesadzaną w różne kraje, gdzie nie zapierając się swego pochodzenia, kwitnęła; i choć czas niszczący zatarł na Syonie ślady grodu Dawida i zburzył jaśniejącą przepychem świątynię Salomona, przetrwała wieki. Jéjto duch natchnął szczytnością nowoczesnych wieszczów: Miltona, Rasyna, Klopstoka, króla wymowy Bossueta, i wielkiego mistrza sztuki *Odrodzenia* Michała-Anioła, gdy rzeźbił niezrównany dotąd posąg Mojżesza. I Byron obwiany jéj tchnieniem naśladował w swych *Melodyach hebrajskich* dźwięki arfy Dawida; a szczególniejszém jest zjawiskiem, że nowoczesna dramatyka tak zajmuje się przedmiotami biblijnemi. Już dawniéj Rasyn, późniéj Alfieri, obecnie niemieccy

poeci: Beck, Müller, Mejsner, czerpali w nich osnowy do swoich tragedyj. I w naszéj poezyi XVI stulecia, gdy pierwiastek religijny przeważał, Kochanowski, Rej, podawali sobie arfę Dawida. Karpiński przelał psalmy na język polski, lecz nie z pierwowzoru, tylko z łacińskiego tłumaczenia, zastosowanego nie do ducha poezyi hebrajskiéj, lecz do użytku kościoła; przez co te pieśni straciły właściwy rytm i świeżość, stając się jakby zasuszonym kwiatem, który wprawdzie zatrzymał zewnętrzną postać, lecz którego barwy wypłowiały, a woń uleciała. Za dni naszych Woronicz wystąpił jako prorok innych czasów i innych ludzi. Przerażający obraz zniszczenia, klęsk i nieszczęść, wstrząsnął duszę poety; podobnym wtedy jest do syońskich proroków, okazuje charakter wieszczów biblijnych, i śmiało powiedzieć można, że żaden z poetów duchem ich nie przejął się więcéj nad niego, ani ich wierniéj w swych pieniach nie powtórzył.

* * *

Siostra poezyi hebrajskiéj, arabska, wiele ma z nią wspólnego; niższa od niéj w oryginalności i głębokości ducha, przewyższa ją w niepowściągnionéj fantazyi. Z samoistnego pnia wzrosła, tém odznacza się, że nic nie pożyczając od obcych, znajdowała źródła sama w sobie, będąc wiernym odciskiem ludu, który ją utworzył.

Przyroda kraju w ścisłym jest związku z objawem ducha jego mieszkańców. Szczególnie w Arabii Skalistéj niewiele zostaje miejsc zdatnych pod uprawę rolniczą, lecz po większéj części obracane są na pastwiska, i od dawnych czasów znaczna część pokoleń koczujących wiodła i wiedzie życie pasterskie. Na tychże samych oazach, wśród morza piasków, przy tychże samych cysternach, jak przed lat tysiącem i dziś jeszcze zbierają się Beduini, a dwa drogie im zwierzęta: koń i wielbłąd, piérwszy nierozdzielny towarzysz, drugi posłuszny niewolnik, stanowią ich bogactwo.

Głównem piętnem takiego życia jest swoboda; Arab przenosząc ją nad wygody i bogactwa, jest ognisty jak promienie palącego słońca; skłonny do uniesień, posiada żywą i śmiałą wyobraźnią, i łatwiéj nim władać potęgą słowa, niźli przemocą berła lub miecza. Dumny jest ze swojéj swobody, nieulękniony, wytrwały, wspaniałomyślny, gościnny, lecz zarazem namiętny i mściwy.

Przyroda kraju bogata wprawdzie nie w miłe, ale wielkie i dzikie widoki, wycieczki w bezludnych stepach pełne niebezpieczeństw, nieustanne boje pokoleń pomiędzy sobą, zemsta ścigająca każdego, ktoby chciał wyrządzić krzywdę przyjacielowi, a ztąd poważanie odwagi i waleczności: wszystko to u ludu, którego wyobraźnia z powodu strefy pod którą żyje, w wysokim stopniu jest żywą i ognistą, było żywiołami ducha poetyckiego, i musiało mu nadać całkiem właściwy kierunek, gdy ten boje, które wywalczać pomagał, potém opiewał. Na takimto gruncie rozwinięta poezya arabska, stała się właściwą synom Izmaela, których głównemi sprawami życia były boje i miłość, cnotami odwaga i waleczność, a przymiotem gościnność, jaką dopełniał Abraham, a opiewał Homer. Poezya ich jest odbiciem życia stepowego; ztąd pieśń Araba jest jednostajną jak jego puszcze, ognistą jak żar jego słońca; stepy, koń lub wielbłąd, kochanka i bój są obrazami, które nieustannie powtarza, mówiąc. „Trzy dary dał Bóg Arabom: piérwszym jest zawój, bo ten lepiéj stroi, niźli korony; potém namiot, bo wygodniejszy nad pałac świetny; trzecim jatagan ostry, bo lepiéj broni jak wzniosłe mury. Nakoniec sztukę, piękną i świeżą, swobodnéj pieśni. Daleko wyżéj stawić ją trzeba nad to, co drudzy zbierają z trudem, składając zmudnie w piśmie i księgach. Wojownik jestem, szlachetności rodu i mocy duszy statecznie wierny; zawsze na straży, jak tego wymaga i czas bojowy i niebezpieczeństw. I lwem zuchwałym, co zawsze świadczy, że moc i śmiałość w Arabów rodzie jest świeżą i wieczną. O! jestem synem górzystéj ziemi, tak, synem puszczy, rozległéj wokoło; i synem gniewu z wspaniałą myślą, i synem lotu na rączym koniu, i synem mowy, która tchnie dźwiękiem i słodkim śpiewem. Z stali me ramię, z żelaza serce; we wszystkich sztukach co wieńczą skronie wzniosłą nagrodą, duch mój kształcony: i na téj ziemi nic się zawielkiém, trudném, wysokiém dla mnie nie zdaje, bo nie znam trwogi, co wstydem płonie."

Lub na inném miejscu: „My troje jedno: ja, koń i dziryt; tę trójkę jednę, tę śmiałą całość obacz wśród walki, obacz wśród blasku, którym jaśnieją w bojowym tańcu".

Lecz obok wojowniczego zapału, Arab upaja się wonnościami Jemenu, obiera ustroń cienistą nad brzegami czystych strumieni, i zrywa kwiatek błękitny, aby go porównać z niebieskiém okiem kochanki, albo zbiera perły *Ommanu*, chcąc ob-

darzyć ją niemi. Piętnem téj poezyi jest moc i zwięzłość; skupia się w jędrne przysłowia i stroi w śmiałe przenośnie, w których się wzniosła ukrywa nauka, jak n. p. w téj rozmowie chorągwi z kobiercem:

„W Bagdadzie, w pałacu szacha, rzekła chorągiew do kobierca: Oboje słudzy jednego pana, a jak różna nasza nagroda! Ja omdlała od wypraw, bez odpoczynku jestem w podróży, narażona na niebezpieczeństwa; ty daleka puszcz, kurzu i trudów, daleka bojów, przebywasz pomiędzy pięknemi odaliskami. Ja w ręku służalców jestem igrzyskiem wiatrów, lub stoję w zakątku gmachu.—Kobierzec odrzekł: Za to też wznosisz ku gwiazdom swoje dumne czoło, a ja leżę rozesłany u stóp mego pana, i jestem tylko jak niewolnik czczony. Kto chciwy sławy, głowę swoję wznosi, i na wysokości szuka niebezpieczeństw i burzy."

Lud puszczy, granicząc z jednéj strony z Palestyną, z drugiéj z Iranem, przetrawił dwa żywioły: z Zachodu przyniesiony hebraizm, którego poezyą Muhamed wznowił w koranie; i świat fantastyczny czarodziejstw, co przeszedł ze Wschodu od Persów. W jego poezyi styl żywy jak pęd szybkiego potoku, obrazy śmiałe jak serce Beduina, błyszczące jak gwiazdy na jego niebie w czasie pogodnéj nocy, słowa skąpo udzielane jak rosa na stepy Iraku.

Dawny poeta arabski był zarazem wojownikiem; u niego czyn i pieśń w jedno się splatały. Duch niepodległości, męztwo, wierność w przyjaźni, stateczność w nienawiści napełniały jego duszę; do tego dołączała się miłość namiętna, jużto zanurzająca się w zmysłowych rozkoszach, już unosząca się najwyższą tkliwością jaka tylko istnieć mogła w owych czasach, w których kobieta jeszcze nie została wtrąconą do haremu, i pozbawioną własnéj woli niewolnicą, jak nastąpiło z Islamem, i wyśpiewać mogła: „Co mnie zadowalnia Arabii wolną córkę, co wam się wydaje ostrém, a mnie przyjemném i łagodném, ogłaszam w jednę pieśń ujęte: lekki namiot, po którym wiatry szeleszczą, i sen na twardém wezgłowiu są mi milszemi nad złote pałace. Pies, co się stara od méj biednéj chaty odstraszać wszelkie złe kroki, milszym mi nad gnuśność opasłego kota. Młody wielbląd, którego żadne cugle nie wiodą, radośnie pasący się na mojém błoniu, milszym mi nad osła obładowanego ciężarem.

„Prosta odzież również skromna jak wygodna. bez żadnych ozdób osłaniająca me ciało, milszą mi nad przepychu stroje. Młodzieć stepów wysmukły, dziarski i zwinny, co go nic nie zastraszy, nie przerazi trwogą, milszym mi nad miast mieszkańca, co w rozkoszach tonie."

Takie żywioły składały pierwotną poezyą Arabów, zanim Muhamed nadał im koran, rozszerzając go z gwałtownością uraganu. Zapał jaki wzbudził ten prorok, po jego śmierci utworzył kalifat, który wkrótce opromieniony został podwójną chwałą: oręża i nauk. Późniejsza poezya arabska stała się więcéj wykształconą, lecz nie wypływała już z czystych źródeł właściwego poetyckiego życia:—niedostawało jéj prawdziwego natchnienia. Podziwiamy poezyą syna stepów, poety przyrody, jak wielbłąd dźwiga go wśród burzy przez nieprzejrzane puszcze; lub gdy opisuje miejsca, gdzie niegdyś przebywał z kochanką. Podzielamy tęsknotę jego za opuszczoną siedzibą; przysłuchujemy się, gdy wychwala swoję i swego pokolenia odwagę i męztwo: spieszymy za nim w wrzawę bojów. W tych obrazach wieje świeże życie: sąto czyste wylewy serca, które głęboko i silnie wdzierają się do duszy. Lecz kiedy poeta trawiący zniewieściałe życie na dworze kalifów, zaczyna na ich pochwałę pieśń dawnym sposobem, jak na wielbłądzie przebywa niebezpieczne drogi, wiodące go do tych, którym śpiewa Kassidety, w nadziei pozyskania nagrody; tu podziwiamy piękne formy, lecz czujemy że ta poezya nie płynie z serca, nie jest echem duszy, lecz tylko płodem sztuki; że stała się pochlebstwem, i popadła w nadętość.

* * *

Przejście od poezyi Arabów do poezyi Persów jest jakby z obozu spahów do haremu. Dziwną sprzeczność stanowi z tém, co gieniusz ma męzkiego: dowcip zniewieściały, szorstkość pierwotnego barbarzyństwa z ogładą ostateczną, wiek niemowlęcy sztuki z jéj zgrzybiałością stykające się; same słodycze i wonie, naród niewolniczy, poezya pochlebstw.

Lubo poezya perska późniejszą jest od arabskiéj, przecież na własnym gruncie wzrosła, i jest kwiatem poezyi Wschodu. Szczególniéj zakwitła liryką; jest poezyą wesołości, trosk zapomnienia: puhar i miłość stanowią osnowę pieśni, upajających

rozkoszą, jak wiosenne powietrze. Lecz w swém rozwijaniu nie zabłysnęła owocem uczuć, myśli i ducha narodowego; zostawszy poezyą dworu, od jego gorącego tchnienia zwiędła jéj świeżość; od niego jedynie otrzymując pożywne soki, była tylko kwiecistą latoroślą wypielęgnowaną łaską padiszachów. Ożywiana ich względami, kwitła sztucznie wysilona, jak krzew w cieplarni pozbawiony właściwéj rosy i słońca.

Obok tego Islamizm wydał inne owoce w Iranie niźli w Jemanie: u Arabów obudził zapał do podbojów; u Persów przyczynił się do zniewieściałości indyjskiéj, zbliżającéj się do stanu *zachwycenia* nazwanego *sofizmem*, tojest mądrością zatopioną w Bogu. Gdy Azya pod kopytami koni Mogołów zadrżała od łoskotu walącego się dawnego tronu kalifów, a Persya gorzała wielkim pożarem rozszerzanym przez Dżengis-hana: zwrócił się wewnątrz siebie duch poezyi, któremu świat zewnętrzny przedstawiał tylko dziki odmęt zgrozy, podbojów i niewoli, i szukał w *rozmyślaniu* wynagrodzenia za smutne rzeczywiste życie. Gdy mistycyzm na Zachodzie wtrącał do klasztorów, na Wschodzie tworzył poetów nucących:

Póki jeszcze kwiat świeży zdobi gałąź drzewa,
Głupi, kto chce rwać owoc, chociaż czas nie sprzyja;
Gdy kwiat opada, owoc dopiéro dojrzewa,
Kiedy ciało niszczeje, duch skrzydła rozwija.

Jakkolwiek poezya perska nosi ogólne piętno Wschodu: fantazyą wybujałą, przepych ozdób, w opisach jaskrawość barw lśniących, i zachowuje zewnętrzne formy, rym, ulubione przeplatanie prozy wierszami, i ma wspólne rodzaje poezyi, jakiemi są: Mesnewi, Gazelle, Kassidety i inne; przecież odmienna od arabskiéj i tureckiéj, bo duch wschodni jest jakby sokiem użyzniającym ziemię, która wydaje drzewa różniące się wzrostem, owocem i liściem. Pers również jak Arab niewyczerpanym jest w pochwałach swojéj kochanki, lecz w pochlebstwie przesadza:

Słońce swym blaskiem rozwesela świat
I z pączka krasny wydobywa kwiat;
Lecz samo słońce błyska z wysoka
Przez promień tylko twojego oka.

A kiedy Arab dumny z odniesionego w boju zwycięztwa, wesoło nuci:

Zakwita błonie i świat się śmieje,
A dziewczę w puhar złoty sok leje

Pers zniewieściały narzeka: „Tyś jest księżycem, ja lilią i słowikiem, którego głos nadaremnie przez całą noc letnią poświęca ci modły."

Wszyscy jednakże poeci wschodni mówią często o próżności świata, o znikomości lub też zmienności szczęścia. Powodem do tego jest ich położenie kraju, forma rządu, religia. Czyż nie depczą po szczątkach najpotężniejszych niegdyś królestw, najbogatszych miast, najwspanialszych pomników starożytności? Czyż one nie przemawiają do nich o próżności przepychu i bogactw? Od puszcz syryjskich, wśród których sterczą olbrzymie rozwaliny Palmiry, aż do zatoki Omanu, i z szczytów Horebu nie widzą jak gruzy świątyń i grodów, aż ich wzrok spocznie na piramidach i grobach Faraonów, a pamięć przywołuje owe wielkie narody, które wzniosły te dzieła. Poecie. żyjącemu pod brzemieniem religii i rządu, które były niszczycielami téj starożytnéj świetności świata, można przebaczyć, gdy się pociesza nad próżnością świata, jego znikomością; lecz i w tym względzie poeci nie są posępnemi krukami, tylko rzewliwemi słowikami, opiewającemi nietrwałość róży.

Gdy Arab poważny i surowy nie zna mytów, Pers właściwe sobie stwarza: zapełnia powietrze nadzwyczajnemi istotami, uroczemi *Peri*, zaludnia skały złowrogiemi *Dschinami*, wprowadza Eblisa, szatana wschodniego, i wierzy w czarodziejstwa. Gdy arabskie poemata są czysto bohaterskiemi; perskie jeśli nie są treści mistycznéj, to zawsze allegorycznéj, jak *Gulistan* (ogród rozkoszy), *Beheristan* (ogród wiosny), *Mantiketair* (rozmowa ptaków), lubiące przesadę aż w samych tytułach dzieł, które dopiéro brzmią pięknie, gdy są rymowane.

Jak Persya w ogólności pozbawiona wody, potrzebowała żeby w tém sztuka zastępowała naturę; tak się też dzieje z jéj poezyą: ztądto od arabskiéj różni się przez nienaturalne wyrażenie. Gdy głos Araba z głębi piersi brzmi po rozległéj puszczy; Pers stłumia głos natury, w nagrodę zatykając usta perłami lub liściami różanemi.

* * *

Poezya turecka rozpoczynająca się nie liryką ani epopeą, lecz poematem dydaktycznym, nie będącym płodem poezyi ludu, tylko wykształconéj już sztuki rymotworczéj; nie odznaczająca się żadnym właściwym charakterem: jest księżycem otrzymują-

cym blask swój od słońca poezyi arabskiéj i perskiéj. Przecież przywłaszczyła sobie wszystkie ich skarby duchowe i zostaje w stosunku do poezyi Arabów i Persów jak poezya Rzymian do Greków. Jak Homer odzwierciadla się w Wirgilim, Safo i Anakreon w Horacym; tak poezya Arabów i Persów w poezyi Osmanów. Wiele, czego z dwóch piérwszych poezyj odszukać nie było można przechowało się w jéj tłumaczeniach i naśladowaniach, nie jak zasuszone w zielnikach kwiaty z wypłowiałemi barwami i postradaną świeżością, lecz jak krople wody i listki róż, zachowane bez uszkodzenia w przezroczystym bursztynie.

Że u ludów Semitycznych nie ma sztuki dramatycznéj, pochodzi to z ich charakteru i sposobu życia. U Arabów tak zwani *Medduch* tojest *opowiadacze powieści* zastępują widowiska dramatyczne. Persowie mają pewien rodzaj przedstawień, przypominających misterye wieków średnich: sąto uroczystości zwane *Tazieh*, przeznaczone do odświeżania w pamięci wielkiéj zmiany religijnéj, która wyzwoliła Persyą zpod stronników Omara. Przedstawiający je śpiewają i deklamują, a ruchy ich działają żywo na słuchaczy, odpowiadających najpatetyczniejszym zwrotkom jękami przeraźliwemi. Alex. Chodźko, który długo po Wschodzie podróżował, podał w *Revue indépendente* (lipiec 1844 r.) szczegółowe wiadomości o tych dramatycznych improwizacyach. Turcy zaś, których plemię, jak nauczają najdawniejsze podania, zalawszy Azyą, stykali się z Chinami, przejęli od nich tak zwane *cienie chińskie*, zastępujące u nich widowiska sceniczne.

Rozbierając nakoniec poezyą Wschodu jak promień słońca przez pryzmat, dostrzeżemy, że poezyi trzech ludów, składającéj potrójny wieniec poezyi Azyi zachodniéj, niedostaje greckiéj harmonii i eurytmii, lecz że przeważa w niéj wyraz i moc języka, że jest uczuciową, mówiącą bezpośrednio do serca, odpowiadającą przyrodzie krajów, w których zakwitła. Palestyna z majestatycznym Libanem miała téż poezyą majestatyczną i wzniosłą jak jéj cedry i palmy; poezya Arabii spalonéj od słońca dobywającego z drzew wonne balsamy, tchnie jakby skwarném powietrzem przepełnioném aromatami. Nie zna ona przepisów: jestto rumak hasający bez wędzidła po stepach. Pers siedzący w miłym chłodzie palm daktylowych, słuchając słowika zalotnego do róży, ma poezyą świetną jak barwy ptastwa unoszącego się nad kwiatem szafranu, tchnącą

rozkoszą, jak wonią wietrzyki powiewające z Schiraz wsławionego róż ogrodami.

Lecz nietylko gieniusz Azyi, ale nawet jéj języki widzimy najprzydatniejsze do poezyi; gdyż jak Wilhelm Münnich professor w uniwersytecie Jagiellońskim mówi: „Przyjemność ma język perski, gładkość i moc arabski, przedziwną godność posiada turecki; piérwszy bawi, drugi szczytnie zadziwia, trzeci jest wzniosłym nie bez pewnéj wykwintności i piękności. Przeto do igraszek i miłostek mowa perska, do poematów bohaterskich i wymowy arabska, do pism moralnych turecka zdaje się być najwłaściwszą.”

Potrójny ten charakter trafnie przedstawia zdanie wschodnie: „Arab przekonywa, gdy Pers pochlebia, a Turek napomina.”

UŁAMKI HISTORYCZNE

Z XVIII WIEKU.

Od niezbyt dawnéj chwili jak zajęto się skrzętnie poszukiwaniem i wydobywaniem z ukrycia rękopismiennych zabytków, coraz obfitsze pojawiają się plony, a mianowicie: listy, dzienniki, pamiętniki i tym podobne przez przodków naszych kreślone w domowéj zagrodzie wspomnienia wydarzeń swoich czasów. W przeciągu lat dwudziestu Raczyński, Przezdziecki, Wojcicki, Kraszewski, Amb. Grabowski, Stronczyński, Rzyszczewski i inni, nieocenione położyli zasługi w odszukaniu i ogłoszeniu drukiem różnorodnéj treści rękopisów. Szacowne sąto skarby, jako przyczynki do wyjaśnienia lub uzupełnienia niejednéj okoliczności dziejowéj, monografii jakiego miejsca, żywotów znakomitych mężów i t. d. Do takich materyałów słusznie policzyć należy i *Gazety pisane*, o których podałem był wiadomość w Bibliotece Warszawskiéj 1845 r. tom IV, str. 184. Z nichto i z pojawiających się od końca 1729 r. Kurverów drukowanych sprostować można uchybienia Niesieckiego względem dat mianowania i zgonu dygnitarzów, senatorów i różnych urzędników, jako téż należycie dopełnić te szeregi od epoki, na któréj poprzestał nasz heraldyk. Dodatki bowiem przez Bobrowicza uskutecznione są najniedokładniejsze, pełne błędów co do lat nominacyi i śmierci osób; słowem, wszelkiéj pozbawione wiarogodności, jak o tém miałem sposobność przekonania się, porównywając tak zwane dystrybuta wakansów, zamieszczone w ręc-

kopismiennych i drukowanych gazetach, oraz znajdujące się w księgach Metryki koronnéj, z Herbarzem w Lipsku wydanym.

Chociaż gazety pisane upowszechnione były w kraju i znaczna ich ilość latała po rękach, mimo to trudno się z niemi gdzie spotkać w większéj ilości, i tylko urywkowe exemplarze z niektórych lat tu i owdzie ujrzéć się zdarzy przechowywane po zbiorach, lub butwiejące u niebacznego, obojętnego posiadacza w poniewierce. W tych dniach szczęśliwe zdarzenie miéć chciało, że znaczny zbiór takowych gazet dostał mi się do przejrzenia. Poczynają się one od 1697 r. i obejmują całe prawie panowanie obu Augustów Sasów; zachodzą jednak luki w latach, żadnego zaś nie ma roku w zupełnéj całości. Z czasów Stanisława Augusta znalazłem w rzeczonym zbiorze tylko po kilka lub kilkanaście numerów z 1770, 1771, 1772 i 1773 r. Wszystkich format jest ćwiartkowy, z dwóch składający się stronnic. Gazety te z Warszawy pisane i raz na tydzień pocztą przesyłane, mają na czele wyrażony dzień miesiąca i rok bieżący. Na niektórych znajduje się podpis korrespondenta, który usprawiedliwia się przed swoim pryncypałem, że dla braku czasu, albo téż z powodu słabości krótkie czyni doniesienia, co wszakże wynagrodzić przyrzeka.

Otarłszy z pleśni drogocenne dla mnie te nabytki, i wypisawszy z nich rozliczne nieznane mi fakta i zajmujące szczegóły bądźto kraju, bądź miejscowości lub pojedynczych osób dotyczące; zamieszczam poniżéj niektóre wyciągi chronologicznym porządkiem, zachowując z największą ściłością tok mowy i wysłowienie makaronizmami nastrzępione, przez co żywiéj stawi się przed oczy, i, że tak rzekę, dotykalniejszym ukaże się obraz upłynionego wieku w właściwéj swojéj barwie.

— Z Krakowa *die* 16 *septembris* 1702. Wczora Szwedzi w wieczór o godzinie 9, czyli z złości, czyli z nieostrożności zapalili zamek. Wszytkie pokoje począwszy od Kurzéj Stopy, aż ku kościołowi samemu w popiół poszły i dwie kaplice przed *cymborium* zgorzały; nic nie można uratować było. A że zdaleka zdawało się w obozie szwedzkim, że całe miasto w ogniu było, więc przybiegł sam król szwedzki z obozu do miasta. Po wszytkich ulicach znalazłby był szeląg, tak była jasność z wielkiego pożaru.

Z Warszawy *die* 24 *julii* 1711. W przeszłą niedzielę odprawił się akt solenny *consecrationis* JMćX. Załuskiego sufragana płockiego na biskupstwo Arbeńskie *in Regio Monte ad Varsaviam* na Bielanach. Consekratorem był JMćX. biskup Ludwik Załuski biskup płocki.

Z Jarosławia 1711. Piszą ztamtąd, że Car Jmść *die* 29 *augusti* wsiadszy na szkuty, płynie ku Warszawie.

Następne doniesienie brzmi w tych wyrazach: „Car Jmść *die* 6 *septembris* z ludźmi, których miał na dziesięciu statkach granatyerów i z ministrami swymi, także generałami, xięciem Rakoczym, *in assistentia* dworu swego stanął pod Warszawą, któremu zajechali drogę xżę Radziwiłł (Karol Stanisław) kanclerz W. L. z Jmć P. miecznikiem koronnym (Stan. Dönhoff) i witali. Pan miecznik zaprosił na traktament Cara z Carową Jmścią i damami dworu jéj. Car Jmść czynił relacyą bataliej z Turczynem, także i o traktacie z nim uczynionym: potém pożegnawszy xięcia i p. miecznika, którzy go odprowadzali do szkuty, ruszył ztąd w niedzielę o godzinie 4 po południu" (1).

Rok 1724.

Z Warszawy d. 23 *martii*. Król Jmść częściéj w Czerniakowie rezyduje, aniżeli w Warszawie, i tam Ichmość panowie senatorowie uczęszczają. Nuncyusz odebrawszy wiadomość o śmierci *Summi Pontifici Innocencii* XIII, z tą niepocieszną nowiną pobiegł zrana do króla Jmści do Czerniakowa (2).

Z Warszawy d. 4 *maii*. Król Jmść często i niemal codzień dywertując do Czerniakowa i Ujazdowa, na maj zaś przeniesie rezydencyą swoję do Marymontu, byle tam zakończona była reparacya tamecznego pałacyku— *Die* 12 *maii* król Jmść *diverterat* do Czerniakowa, około południa *redux* do pałacu swego.

(1) Tenże Dönhoff wielce lubiony od Augusta II, oprócz mieczniktwa piastował zarazem i buławę polną lit.

(2) Wiadomość o Czerniakowie uzupełniam z gazet pisanych, znajdujących się w bibliotece uniw. krak. „Z Warszawy 13 *aprilis* 1720. JKmość Ujazdów i Czerniaków bierze w possessyą *ex permissione* starosty spiskiego Lubomirskiego. W tych dniach król Jmść do dóbr pomienionych ma brać intromissyą, a zawczoremu sam je lustrował". Musiał tedy August II wznieść tam dworzec czyli tak zwany pałac, gdzie, jak się okazuje, lubił przebywać w tém smętném i piaszczystém ustroniu.

Z Warszawy d. 25 *maii*. Król Jmść *intentus* fabryce pałacowéj, którą *de novo erigere* począł *conjungendo* pałac swój z pałacem niegdy JP. starosty sendomierskiego, i już tam ulica między OO: Reformatami zgubiona.—*Die* 1 *junii*. Król Jmść około fabryki swojéj pałacowéj *in continua attentione* sam *disponit* rzeczy.

Z Warszawy d. 22 *junii*. Solenna processya odbyła się w niedzielę z parochiej świętokrzyskiéj do pałacu królewskiego. *In arca* przed pałacem był ołtarz wystawiony na siedmiu gradusach we 4 kolumny, na których był imperyał, na nim korona królewska; *circumcirca* ołtarza drzewa pomarańczowe, cytrynowe i cisowe, między niemi na lichtarzach lane białe świece, od ołtarza ulicą do saméj bramy szpalery z drzew pomarańczowych, cytrynowych i cisowych w wazach wyrobione. Koło ołtarza *in circulo* stali drabanci *in armis*, regiment zaś gwardyi trzema liniami stał z téj i owéj strony za drzewami wzwyż wspomnionemi. Processyą solennizował Jmć ks. biskup kamieniecki (Stan. Hozyusz), któréj processyi za rozkazem JKMci *assistebat* miasto *in armis sub signis*. Gdy processya wychodziła od ś. Krzyża, król Jmść *descendit* z pałacu *in assistentia majestati suae* Jmci ks. nuncyusza, biskupa poznańskiego (Jana Tarły), nominata inflantskiego (Augustyna Adama Wessla opata jędrzejowskiego), księcia wojewody krakowskiego (Janusza Wiśniowieckiego), kasztelanów: wileńskiego i kujawskiego, kanclerza, podskarbiego wielkich koronnych, podskarbiego nadwornego, podczaszego, kuchmistrza koronnych, pisarza polnego W. X. L., *praeeunte* z laską Jmć P. marszałka W. K. (Józefa Mniszcha) i szedł *per arcam* do saméj bramy, która styka się z publiczną drogą Krakowskiego Przedmieścia, i tam czekał *sanctissimum venerabile*, za którém szedł ze świecą i wszyscy Jchmość także ze świecami. *Ad introitum* w bramę processyi, ze 12 sztuk armaty dawano ognia, także i z ręcznéj strzelby drabanci i gwardya. Po prześpiewanéj ewangeliej *ad benedictionem iterum* dawano ognia, *in exitu* processyi także. Odprowadził król Jmść processyą aż do saméj bramy, potém *cum sua majestatica assistentia* wrócił się do pałacu wesoły i kontent z tak wielkiéj frekwencyi ludzi, których wielka moc była, a processya dalszy swój kurs miała *in assistentia* cechów do innych ołtarzów. Po processyi cechy prezentowały się królowi Jmści z wywijaniem chorągwi.

O processyi staromiejskiéj donosi korrespondent pod d. 22 czerwca: „Processya solenna na dniu dzisiejszym odprawiła się, którą solennizował Jmść x. biskup poznański. W rynku były wystawione trzy ołtarze, czwarty w zamku adornowany owém Rzplitéj obiciem *potop* nazwaném, które Jmć P. podskarbi W. K. (Jan Przebendowski) wykupił od sukcessorów ś. p. pana Gratty. Król Jmść nie assystował téj processyi".

Na końcu gazety pod d. 8 lipca dopisał korrespondent J. I. Bogucki skarbnik ziemi nurskiéj: „Posyłam WMPanu specyfikacyą dział królewicza Konstantego Sobieskiego, które kazał do Wrocławia sprowadzić podobno na sprzedanie, więc temu *obstitit* JMP. krakowski (Adam Sieniawski kasztelan krak., hetman W. K.) i doniósł to kanclerzowi W. K. (Janowi Szembekowi), aby do instrukcyi włożył i podał do wiadomości Rplitéj".

„Specyfikacya dział, mozdzerzów etc. najjaśn. królewica Konstantyna w cekauzie Żółkiewskim znajdujących się, zlustrowana i spisana *die* 28 *maii* 1724:

Mozdzerze spiżowe: 46 funtowych dwa—40 funtowy jeden—12 funtowy jeden.

Działa spiżowe: 30 funtowe kaliber długości ma 18, jedno—24 funtowych pięknych, kaliber długości 20, N^ro^ cztery—12 funt. mających długości kaliber 26, N^ro^ dwa—6 funt. kolubryn, każda ma kaliber długości 22, N^ro^ cztery—czterofuntowe działo z herbem Daniłowiczów (Sas) kaliber 36 długości, jedno—4 funt. dział krótkich o dwóch rurach bodemsztyki (sic) do siebie przylanych, między sobą mających szykapy, na których w lawecie *perpendiculariter* obracając się każda rura, ma po 8 kaliber długości, N^ro^ dwa—Dział organkowych dwa. W tych każda mająca w sobie po siedm rur 26 łutowych; każda rura ma długości kaliber po 45. Te działa mają po trzy zapały, z których srzedni zapał ognia wydaje ze trzech rur razem, z pobocznych zapałów ze dwóch rur razem. — Ośmiołutowych szmigownic *alias* falkonety, każda po 62 kaliber długa, N^ro^ dwa.

Działa żelazne: Trzyfuntowych dział, każde ma w sobie długości kaliber 28, N^ro^ trzy—Dwufuntowe działo ma długości kaliber 35—Jednofuntowe działo skórzane ma długości kaliber 40.

W srzodku i w szykapach metal: Kul różnéj sorsy znajduje się *quantitas*, tylko *in calculo* nie poszła dla krótkości czasu. Granatów próżnych 30 funtowych, N^ro^ dwieście. Do niektórych dział znajdują się lawety i koła, lecz niektóre potrzebują reperacyi."

Z Warszawy *die* 24 *augusti*. Dzień jutrzejszy *dies festivus* św. Ludwika *in favorem* imienin Jejm. P. Marszałkowéj W. K. wdowy (po Kazim. Bielińskim), solennie *celebrabitur* od JKMci już nie w wilanowskim, ale czerniakowskim pałacu, gdzie król traktować będzie i damy, które konno tam z kawalerami pojadą *festive* w przepisanych sobie strojach.

Z Warszawy d. 31 *augusti*. Pisało się tygodniową pocztą, że król Jmść miał *festivum agere diem* imienin marszałkowéj W. K, dziś rewokuje się *hic titulus*, bo ten festejn był *reciprocus in honorem* króla francuzkiego i dotychczas *continuatur*, *continuaturque* przez dni trzynaście. *Ipso die s. Ludovici* kawalerowie i damy w kawalerskim stroju, jakoto: Jmć pani Pociejowa wojew. wileńska hetmanowa wielka W. X. L., panny Rutowska (1), Dastelle i Francose konno *comparuerunt* w Czerniakowie, gdzie téż i Jmść x. nuncyusz zjechał. W wieczór była kolacya *solennis* w sali pałacowéj przy illuminacyi, potém fejerwerk ogniów artyficyalnych tak górnych rakietów, jako i wodnych na jeziorze czerniakowskiém, przez które most zbudowany, przy biciu z armat i muzyce *varii generis*. Przy tańcach i wielkiéj wesołości trwała ochota aż do trzeciéj z północy, i tak codziennie *continuatur* te dywertymenta, ale już bez ogniów, częścią w Czerniakowie, częścią w Wilanowie.

Z Warszawy d. 7 *septembris*. Król Jmść zabawny dywertymentami swojemi, to w Czerniakowie, to w Wilanowie, to w hypokrenie ujazdowskiéj, gdzie na dniu onegdajszym była komedya, po niéj kolacya przy sześciu stołach, potém tańce. Wczora przy expiracyi trzynastego dnia, król Jmść *imposuit finem* pomienionym dywertymentom w Marymoncie, dokąd solennie wszyscy jeździli przez miasto wieczorem.

(1) Córka Augusta II i Fatimy rodem Turczynki, która dzieckiem jeszcze dostała się do niewoli podczas oblężenia Budy gener. brandeburskiemu Schoning; ochrzcona w Berlinie, zostawała następnie na dworze Przebendowskiéj podskarbiny W. K.

Z Warszawy d. 28 *septembris*. Król Jmść w pałacu swoim *continuo* rezyduje, *intentus dispositioni* aktu przyszłoniedzielnego weselnego, który tam *celebrabitur* między P. Bielińskim starostą malborskim, rodzonym p. cześnika koronnego, a panną baronessą Rutowską, któréj w posagu król obiecuje 50 tysięcy talerów.

Rok 1725.

Z Warszawy d. 25 *octobris*. Dnia wczorajszego w Marymoncie przy zbieraniu wina z winogradu tamecznego, król Jmść częstował wszytkich tu *magnates* przytomnych i wszytkie damy, gdzie też grona winne tłoczono i prasowano.

Z Warszawy d. 8 *novembris*. Król Jmść pomieszkawszy tydzień w Czerniakowie, *ob incuriam* teraźniejszéj jesiennéj aeryi i niewygodnéj tam rezydencyi, powrócił w sobotę do pałacu swego, w którym rezyduje, niżeli zamek wyreperują.

Z Warszawy d. 29 *novembris*. W przeszły czwartek przy odprawieniu festynu *de la naissance de madame la comtesse Orzelska* (1), dostała taż bukiet od JKMści w klejnotach na 40 tysięcy talerów. *Subsecuta* kolacya, komedya i bal.

Z Warszawy d. 13 *decembris*. Nieomylna jest nadzieja przybycia królewicostwa z Saxoniej: dla czego król Jmść kazał z reperacyą pokojów w zamku pośpieszyć. Wszystkie pokoje reparują, nawet i te w których tak pan podskarbi W. K., jako i pani Bielińska marszałkowa W. K. stała. Pokoje wszystkie adornowane będą axamitem zwykłego koloru i galonem złotym.

Z Warszawy d. 27 *decembris*. Najaśn. królewicz Jmść *die* 20 *presentis* przybył tu i rezyduje w pałacu królewskim. *Magnates concurrebant* na pałac i witali tak wielkiego gościa. W niedzielę król Jmść słuchał mszy w pałacu, a królewicz piechotą przez ogród do Bonifratrów przeszedł, i tam mszy słuchał klęcząc (2).

(1) Córka Augusta II i Henryety Duval, któréj ojciec był kupcem handlu winnego w Warszawie. Wielce lubioną Anusię przezwał król Orzelską i wydał 1730 r. za ks. Holstein-Beck półkow. wojsk saskich.

(2) Kościół ten ze szpitalem Braci Miłosierdzia począł stawiać Jan Jędrzej Morsztyn referendarz koronny, ukończył zaś 1677 r. będąc podskarbim W. K.—Ob. niżéj pod rokiem 1728.

Rok 1726.

Z Warszawy d. 7 *martii*. *Die* 1 *praesentis* król Jmść z królewicem przenieśli rezydencyą swoję do zamku na karnawał, gdzie przez ostatnie trzy dni odprawowały się reduty. Dnia ostatniego wjeżdżało nad wieczorem do zamku pięć band: 1ą prowadził marszałek W. K. (Józef Mniszech), 2ą marszałek N. K. (Stanisław Chomętowski), 3ą feldmarszałek Flemming, 4ą graf Manteufel, 5a była miejska z prezydentem miasta. W pokojach JKMści było siedm stołów, przy których bandy siedziały, a trzy stoły dla tych, którzy bez maszek były. Banda miejska *a parte* była przy izbie poselskiéj, dla któréj trzy stoły było wystawionych. Ochota trwała aż do godziny szóstéj zrana.

Z Rzymu piszą, iż graf Lagnasco za oddany od JKMści bogaty ornat odebrał w prezencie od Ojca św. Benedykta XIII dla króla Jmci przyłbicę i miecz, *ut moris est pro defensione fidei*, który prezent wiozą do Warszawy.

Z Warszawy d. 14 *augusti*. Ceremonia oddania *munerum apostolicorum* miecza i *galeae* królewicowi Jmci odprawiła się przeszłéj niedzieli w kollegiacie św. Jana. Jmść x. nuncyusz celebrował mszą, poczém x. Miastkowski ablegat papiezki *brevi sermone* do królewica, oddał *breve apostolicum*, które x. archidyakon płocki otworzywszy, czytał. Królewic *accessit* do ołtarza, *et flexis genibus* na węzgłowiu, odebrał *sacra arma* z rąk nuncyusza miecz goły, a potém *galeam*. Ta była axamitu purpurowego, złotem awtowana, *ad partem sinistram* Duch św. perłami wysadzony. Poczém królewic częstował *assistentes* na zamku, król zaś prywatnie w drugim pokoju obiadował z damami. *Die* 24 *augusti* odjachał królewic Jmść do Saxonii.

Z Warszawy d. 4 *septembris*. Król Jmść zaczoł jubileusz przeszłéj niedzieli, *et continuat* codziennie obchody kościołów rano o 5 godzinie, który zakończywszy, dnia 10go wyjedzie na sejm do Grodna.

Król Jmść *die* 9 *sept.* podochociwszy dobrze u marszałka W. K., przebył Wisłę przy pochodniach po 10 w noc batami. *La comtesse* Orzelska i inne damy razem się przewiozły z królem Jmcią.

Rok 1728.

Z Warszawy d. 10 *junii*. Przybył tu Jmć x. biskup płocki (Jędrzéj Stan. Załuski), który wydał proces przeciwko Żydom, aby ich eliminować z xięztwa mazowieckiego *secundum praescripta legum*.

Z Warszawy d. 12 *maii*. Jmć x. biskup poznański (Jan Joachim Tarło) w niedzielę konsekrował kościół Bonifratellów (1).

Z Poznania d. 1 *octobris*. W poniedziałek przeszły *ad sonum* bębna pozwany od regimentu tutejszego Mr. Argille komendant toruński, który uszedł do Francyi zabrawszy z sobą 60,000 złp. regimentowych, aby się w sześć niedziel stawił, *sinsecus* go szelmować będą i *effigiem* jego na szubienicy przybiją.

Rok 1736.

Z Warszawy d. 22 *decembris*. Publikowano ostatni raz dekret trybunału prześwietnego koronnego w Piotrkowie otrzymany *ad instantiam instigatoriae regni* na Żydów, przeciwko prawu xięztwu mazowieckiemu nadanemu, tu w Warszawie i po ziemi warszawskiéj arędami, rzemiesłem i różnemi sposobami bawiących się, sposoby katolikom do żywności odejmujących, mieszkania sobie po dworkach i pałacach najmujących, rezydencye rok od roku zakładających, handle różne prowadzących: aby nietylko z Warszawy, ale z całego Xstwa mazowieckiego rugowani byli; i ktoby Żyda znalazł uporczywego, tu się jeszcze rezydencyą, lub ziemi tutejszéj bawiącego i do trybunału zaprowadził, zaraz mieczem taki Żyd karany będzie. Tenże dekret i z ambon promulgowany. Jeżeliby zaś kto subsystencyi u siebie Żydom pozwalał: takowy w exkomunikę popada.

Rok 1737.

Poseł turecki Mustaffa Efendi wracając ze Wschowy, dokąd jeździł do króla Jmci *cum recognitione majestatis et ap-*

(1) Wzniesiony on został na gruncie *Parysowskim*, gdyż istniejący kościół z klasztorem, wraz z należącemi gruntami, zakupił August II dnia 11 maja 1726 r. w zamiarze rozprzestrzenienia swego ogrodu przy pałacu *Suskim* zwanym.

precatione throni, oraz żeby się Rzplita według dawnych ligów i ścisłéj przyjaźni, w żadne kointelligencye z cesarzową rossyjską przeciwko Porcie nie wdawała, przybył do Warszawy, i nawiedził 26 *julii* w Wilanowie Xcia Wdę ruskiego (Augusta Czartoryskiego), który go solennie w pałacu i ogrodzie traktował.

Z Wilna d. 11 *augusti*. We srzodę przeszłą agitowała się sprawa kryminalna JP, B..... starościca duckiego, o zabicie ojca *cum complicibus*: kucharzem, chłopcem i kozaczkiem. B.... osądzony z kucharzem, przez mistrza kleszczami rozpalonemi na 4 rogach ratusza, na każdym rogu po trzy razy z urwaniem ciała, aby byli szczypani, a potém obudwom obie ręce mają być ucięte, poczém żywo ćwiertowani; chłopiec ścięciem, a potém ćwiertowany, kozaczek tylko ścięciem. W piątek przeszły ta exekucya nad kucharzem, chłopcem i kozaczkiem odprawiona, przy któréj B... był *praesens*, exekucya zaś jego do jutra odłożona, i spodziewa się jakiéj dla siebie folgi.

Z Warszawy d. 26 *octobris*. Jmć P. starosta chwejdański (Józef Pac), przybył tu przed kilką dniami, który w dobrach swoich bliższych Warszawy w Belwederze *subsistit*, dla zlustrowania pałacu *de nova radice* dość pięknie wymurowanego.

Z Warszawy d. 12 *decembris*. W przeszłą niedzielę odprawiły się tu ceremonie chrztu dzwonów do kościoła farnego św. Krzyża ulanych. *Patrini fuere*: Xię Kazimierz Czartoryski kasztelan wileński i Jmć P. Rybiński gener. artyl. kor., Xna kasztelanowa wileńska i kaszt. małogoska wdowa.

Rok 1744.

Z Warszawy d. 16 *martii*. *Die* 14 *praesentis* wojewoda lubelski (Adam Tarło) i podkomorzy kor. Poniatowski wyjechali na pojedynek pod Marymont. Najpierwéj się strzelali, ale żaden żadnemu nic nie uczynił; w tém jak się do szpad rzucili i skoczyli do siebie, wojewoda zukosa w piersi pchnął, a szpada o kość się oparła i zawołał: otóż masz! W tém podkomorzy pchnął wojewodę w bok, że tylko dwa razy wymówił Jezus! — padł i umarł. Zawieziono trupa do pałacu, którego miasto nie płacze, ale jęcząc ryczy. Xię wojewoda krak. (Teodor Lubomirski) przydał wartę do pałacu, i trupa uwinąwszy

w materace, powieziono w nocy do dóbr jego. U Xcia kardynała (1) starają się, aby z umarłego zdjąć exkomunikę. *Pridie* pojedynku wojewoda ludziom swoim popłacił, nazajutrz był w grodzie i uczynił plenipotencyą dyspozycyi dóbr i dworu swego (2).

Musiała można rodzina pokrewniona z Poniatowskim ubłagać króla, skoro wróciwszy t. r. August III z dziedzicznych swych krajów, wysłuchał 8 czerwca Kazimierza Poniatowskiego przysięgi na podkomorstwo (3); o czém donosząc korespondent dodaje: że oddawał mu N. Pan klucz szczerozłoty kamieniami drogiemi osadzony.

Z Warszawy d. 6 *augusti*. *Die* 3 obchodził dwór z wielką magnificencyą fest JKMści i orderu *Aquilae Albae* przy dawaniu 200 razy ognia z armat o godzinie 6 zrana i illuminacyach ogrodu królewskiego. Przed południem zjechawszy się Ichmość na pokoje królewskie, ordery *Aquilae Albae* mający, w sukniach jednegoż koloru amarantowego, galonem srebrnym szamerowanych przybrani, jedli obiad z najaśn. królestwem przy biciu z dział, trąb i kotłów ogłoszeniu, wraz z Ichmościmi orderami *noviter* przyozdobionymi, które im N. Pan konferował, jakoto: x. Kobielskiemu bisk. łuckiemu, Poniatowskiemu podkomorzemu, Wielopolskiemu cześnikowi, Lubomirskiemu podstolemu, Czartoryskiemu łowczemu koronnym; Mniszchowi podkomorzemu, Sapiehi stolnikowi, Sapiehi pisarzowi polnemu, Załuskiemu kuchmistrzowi, Sapiehi łowczemu litewskim, a nieprzytomnym: x. Tyszkiewiczowi bis. żmudzkiemu i grafowi Flemmingowi gen. art. lit., który *in charactere* ablegata wyprawiony do carowéj Jmci rossyjskiéj odjechał. Po obiedzie najaśn. królestwo z Ichmościami ordery mającemi, w ogrodzie swoim

(1) Był nim Jan Alex. Lipski biskup krak. książę siewierski, ostatni z rodaków dostojeństwem kardynalskiém zaszczycony. Zmarł w Kielcach 20 lutego 1746 r.

(2) Rękopis wydany przez Raczyńskiego w dziele: (*Obraz Polaków i Polski w XVIII wieku*), z większemi wprawdzie szczegółami opisuje ten pojedynek w T. I, str. 10, ale różni się co do dnia i mylnie podaje, że Tarło nie miał żadnego pogrzebu, i t. d. W dalszym ciągu donosi tażgazeta pisana: po zdjęciu exkomuniki z nieboszczyka, pochowano go u Reformatów w Lublinie.

(3) Nabył jeżza znaczną summę jeszcze w 1742 r. od Krzysztofa Towiańskiego, który podług gazety pisanéj 1749 r. *circa 1 junii desiit vivere* w Paryżu.

strzelało do tarcz czternastu aż do nocy *in magna frequentia* państwa *utriusque sexus*. Po rozdanych praemiach poszło wszystko państwo do sali z najaś. państwem, gdzie solenna kolacya była dana.

Rok 1745.

Z Warszawy d. 29 *aprilis*. Jmć P. Gruszczyński szambelan JKMci odebrał od grafa Brühla imieniem króla dany mu ordynans w Dreznie, aby tu oświadczył: że JKMość, gdyby *ex interesse boni publici* rzeszy niemieckiéj dla przywrócenia onéj powszechnego uspokojenia musiał akceptować koronę cesarską, nie inszyby się stało kondycyą, tylko żeby mu *status imperii* na taką pozwolił kapitulacyą, któraby *cum pactis conventis* jego z Rzplitą polską we wszystkiém była *compatibilis* i zgadzająca się.

Rok 1746.

Spokrewnieni z zabitym w pojedynku Tarłem wdą lubelskim, zapozwali byli podkomorzego kor. i jego sekundantów, jako zdradziecko działających, do trybunału koronnego, i otrzymali na nich wyrok w tym roku zapadły. Łagodna i mało znacząca była kara, jak o niéj wyczytuję z gazety pisanéj pod 23 lutego: „Zasiedli dziś wieżą grodu warszawskiego dekretem trybunalskim naznaczoną: Jmć P. podkomorzy kor. na niedziel sześć, a Jmć P. Flemming generał art. lit. i kapitan Korff na niedziel dwie." — Późniejsze doniesienie opiewa: „Generał art. lit. i kapitan Korff d. 9 marca *officiose* wyśli z wieży, odsiedziawszy po dwa tygodnie, a Jmć P. podkomorzy w wielką środę dopiéro wynidzie z niéj".

Rok 1758.

Donoszą z Krakowa na początku *junii*, iż województwo tameczne zdało się być ziemią żydowską, gdyż podobne albowiem Bóg tam dobrodziejstwa świadczy, jako niegdyś Żydom. Oto pod Olkuszem kasza z nieba spadła, któréj na pokazanie przywieziono trzy czwiertnie do Krakowa. Ta kasza podobna jaglanéj, tylko że każde ziarno ma dziurki w sobie (1).

(1) O tych właśnie ziarnach, z atmosfery niekiedy spadających, znajduje się wiadomość naukowa niżéj w Rozmaitościach. *P. R.*

Na tém zakończam urywkowe te wiadomości, które dadzą poznać ile są ważne gazety pisane, i ile się w nich mieści zasobów pod wielorakim względem ciekawych; znajdują się w nich wcale nieznane drobiazgowe szczegóły, które rzucić mogą światło na niedość dokładnie świadome nam zdarzenia, sprostować je i niejednokrotną rozwiązać wątpliwość. Żałować należy, że trudniący się pismiennictwem i skrzętni bibliomani nie zwrócili na nie wcześniéj uwagi, przez coby ocalić zdołano od zatraty błahe te napozór szpargały. Jeśliby zatém utaiły się jeszcze przypadkowo w jakim zakątku domowym gazety pisane, zanosimy literacką prośbę do ich właścicieli, ażeby je w większém mieli poszanowaniu, nie przeznaczali nadal na pastwę mólom, a co gorsza nie niszczyli wandalską ręką. Niemal z pewnością twierdzić można, że nietyle ząb czasu i grabieże szwedzkie, ile własna nasza obojętność i niedbałość przyczyniły się do zagłady mnóstwa pomników pismiennéj przeszłości.

Pisałemw styczniu 1853 roku.

Tymoteusz Lipiński.

DZIĘCIĘ I ANIOŁ.

„Co ciebie czeka?—powiédz dziecino—
Co ci ten złudny zwiastuje świat?
Prędkoż łzy gorzkie z ócz twych popłyną?
Zwiędnież pod burzą śliczny twój kwiat?
I wdzięczny uśmiéch zniknież w zamieci
Ziemskiego bólu? Jasną twą skroń,
Co tak promiennie w kołysce świeci,
Prędkoż niedoli poorze dłoń?
Czemuż pierś matki, jak tarcza w boju,
O dziécię! piersi nie skryje twéj?
Czyż ci choć ręka matki wśród znoju,
Z czoła trud zetrze, a z oczu łzy?"

Tak nad kołyską dzieciny sennéj,
Nuciła matka, a głos jéj drżał;
A u kołyski cichy, promienny,
W białym obłoku Anioł-Stróż stał.
Matka nie widzi jasnego lica
Posłańca niebios, i tylko on
Gdy jéj złowieszczo błyszczy źrenica,
Pieśń jéj dośpiewał na rzewny ton.

„Biédnież ty dziécię, samotnie, łzawo
Przez pusty obszar przemkniesz jak cień;
Wnet burza łuną otoczy krwawą
Życia twojego wschodzący dzień.
Biédnież ty dziécię, wichrem zgniecione
W poranku życia, jak dziki bluszcz,
Daremnie zechcesz opleść zielone
Konary dębu, olbrzyma puszcz;
Daremnie z życiem w ciężkie zapasy,
Na falę puścisz słabą łódź twę:
W walce pozbędziesz młodzieńczéj krasy,
Z walki odniesiesz znój, ból i łzę.

Uschnie od spieku tęskna twa głowa,
I będziesz boleć, marzyć i śnić,
I ból w natchnione obleczesz słowa,
I będziesz kochać, cierpieć i żyć.
A gdy się styra biała twa szata
Od walk i marzeń, ułud i snów;
Myśl twa powstanie znowu skrzydlata,
Z mętnego kału strząśnie się znów.
Z siłą sokole roztoczysz pióra,
I ponad ziemski ulecisz świat;
I chociaż ziemię zćmi noc ponura,
Jasno twój biały zaświeci kwiat.
Bo czyje siłą hartowne łono,
Kto strawi boleść, gorycz i jad;
Ten w zdroju czystym zagładzi pono
Mętów żywota bolesny ślad."

A na te słowa matka struchlała,
Do łona ciśnie dziecinę swę;
A twarz dzieciny nadobnie pała,
Bo jéj się anioł objawił w śnie.

***

CICHA NOC

W ŁUŻYCKICH GÓRACH (*).

Boże! słonko do gospody
Zaszło do snu złożyć skroń.
Mgły wilgotne wstają z wody,
Z łąk wieczorna wieje woń.
W wieńcu gwiazd,
W płaszczu chmur,
Cicha noc
Zchodzi z gór.

Zadumany, cichy, senny,
Otulony w srebrnéj mgle
Księżyc, uścisk swój promienny
Rozmarzonéj ziemi śle.
W błogich snów
Rajski kwiat,
Cicha noc
Stroi świat.

(*) Piosnka pod melodyę łużycką.

I wzburzone moje łono
Błogo tchnie jéj cichy czar:
Ciche wiatry chłodem wioną,
Na rozdartéj piersi żar;
Z trosk i dum,
Czarnych tucz (1)
Zdroje łez
Płyną z ócz!

Ach! kiedyż mi będzie dano
Ujrzéć cichy nocy wschód?
I księżyca twarz rumianą,
W przezroczy ojczystych wód!
Serca ból
W Wiśle zmyć,
I z jéj fal
Spokój pić!....

(1) Tucza—burza.

SŁOWO

DO PISZĄCYCH I CZYTAJĄCYCH PO POLSKU:

O SPROSTOWANIU NIEKTÓRYCH POJĘĆ GRAMMATYCZNYCH I POPRAWIE ABECADŁA DZISIEJSZEGO,

JAKO JEDYNYM ŚRODKU USTALENIA PISOWNI POLSKIÉJ.

PRZEZ

Adolfa Kudasiewicza.

A jako kto może, ku dobru publicznemu niechaj dopomoże.

Pod zasłoną znanych nam dobrze słów architekta języka naszego, Jana z Czarnolesia, podążam dorzucić wdowi grosz swéj początkowéj pracy, na ołtarz publicznego dobra.

Różni w różnych piszą materyach: więc i mnie zapewne będzie wolno wystąpić z rzeczą (1) o téj, która mi jest trochę znaną; tém bardziéj, że mam głębokie o jéj potrzebie i pożytku przekonanie.

Nie tajno mi wprawdzie, iż przedmioty mało nam znane, mało nas obchodzą, i dlatego rzucamy w kąt pisma o nich traktujące: atoli wiadomo mi także, iż dziś ustaje pociąg do czytania pism treści iekkiéj, a budzi się smak do dzieł poważnych i nauczających.

(1) Wyraz *rzecz* nie stoi tu w znaczeniu przeciwieństwa (oppositum) osoby, ale znaczy wykład, rozprawę, traktat, wywód: zkąd mieć rzecz, znaczy tyle, co mówić o czém.

Otóż przedmiot, o którym pisać zamierzyłem, nie jest nikomu obcym, ktokolwiek jest Polakiem, albo przynajmniéj umié pisać i czytać po polsku; a nikogo nie znudzi, komu drogi jest język i każdy postęp jego.

Zewnętrzną i że tak powiem formalną stroną języka jest pisownia, która zostając w związku z pojęciami grammatycznemi, o tyle ulepszać się może, o ile omieciemy je z pajęczyny fałszu, oczyścimy z pyłu naniesionych wyobrażeń obcych i na pewnych ustawimy ją podwalinach. Mimo wielu grammatyk dodziśdnia dziedzinę pismiennictwa naszego zalegających, grammatyka tak zwana przez Kopczyńskiego Narodowa, z małemi bardzo wyjątkami była biblijną prawie powagą naszą. Autor jéj jednakże sam wyrzekł o swojém dziele: „Dzieło ludzkie od wszelkiéj przywary wolném być nie może.... Nietylko więc wolno, ale koniecznie potrzeba, aby każdy, kto tylko może, przeglądał—a czy dodaniem, czy odmianą, czy ujęciem (byle wedle zwyczaju narodowego i natury mowy ludzkiéj), początkowe to poprawiał dzieło." Korzystając z pozwolenia i zachęcenia takiego ku badaniu języka, starałem się zwrócić szczególną uwagę na pojęcia grammatyczne miane dotychczas za niewzruszone, osobliwie, o ile te zostają w związku z prawidłami pisowni. W téj mierze widzę wielkie niedostatki, niedoskonałości i błędy, i ośmielam się to dziś ziomkom swoim we względzie pisowni powiedzieć, co jeszcze Januszowski w XVI wieku wyrzekł: „Nie ortografia to, ale tautografia. Używamy bowiem liter w pisaniu więcéj, niż potrzeba; kładziemy opak litery, nie tak, jak trzeba; podczas liter nie dokładamy, gdzie trzeba: *in summa* krzywdę wielką a sromotę przyrodzeniu sławnego języka naszego czynimy." Te proste, z całą serdecznością dobrych chęci wyrzeczone słowa, stosują się, powtarzam, dziś jeszcze do nas w całéj zupełności. Cóżto bowiem dziś za kłopot dla piszącego: *gdy ten żadnéj nie zna nad sobą powagi zasad, któraby miała wejrzenie powszechnego prawa.* Co kraina—co ziemia—co stronnictwo pisarskie—co dziennik—co pisarz: to inna pisownia! Czyż to zjawisko znane nam wszystkim nie dowodzi potrzeby zwrócenia bacznego oka, na wynalezienie środków ku odparciu złego? Że dotąd niewiele zdziałano, czyjaż w tém wina? Każdy sobie ręce od początkowania (inicyatywy) umywa; każdy tęskném na drugiego spogląda okiem, dopóki z niém nie wystąpi; rzadko kto wié na jakim gruncie prawdy, czy niepra-

wdy stoi: a przecież wszyscy, tojest każdy zosobna, zdają się posiadać monopol nieomylności w pisowni swojéj. Kto nie tak pisze jak inny, zaraz od niego usłyszy bolesne słowo dla inteligencyi: *źle*, które jest synonimem wyrazu: *głupio*; albo jeśli nie, to lęka się, aby ktoś nad jego pisownią nie roześmiał się, co może jeszcze boleśniéj. Gdy nam się zaś zdaje, że za sobą pewność mamy i że naszéj nikt zganić nie powinien pisowni, zasłaniamy się powagą uczonych. Pisał, mówimy, tak: Śniadecki, Brodziński, Feliński, i t. d. Cudna rzecz! Mamy ortografią: Śniadeckich, Brodzińskich, Felińskich i t. d., tojest mamy ortografią uczonych; gdzież jest ortografia polska? Czyż uczący się pisać, czytał wszystkich znakomitszych pisarzy naszego piśmiennictwa? a chociażby czytał, czy każdy z polskich pisarzy jest w zgodzie z drugiemi, i czy sobie czytający nie obierze za normę najfałszywszéj właśnie pisowni, ale do swojego sposobu widzenia rzeczy przystającéj? Tak, mamy dużo pisowni różnéj, między lepszemi nawet pisarzami w piśmiennictwie naszém; ale czyż czytający posiada jaki probierz w ręku do wybrania tych właśnie, którzy najzgodniejszéj z duchem języka używają pisowni? Bo dziś przynajmniéj o tém wiemy, że nietylko w XVIym wieku pisali dobrze; pisano i w XVIIIym i w naszym jest wielu dzielnych mistrzów języka. Odwoływać się więc do powagi dobrych pisarzy w przedmiocie ortografii nie zaradza złemu, bo żadnéj nie daje *jednéj zasady*. Zasady uczonych nie są zasadami naukowemi, ale indywidualnemi: jako takie nie mają charakteru powszechności — nie mają *charakteru naukowego*. Ta indywidualność zasady stała się tak zaraźliwą chorobą czasu naszego, iż drukarz musi się prawie uczyć pisowni każdego nowego pisarza.

Pisownia polska ma być pisownią każdego piszącego po polsku, bez względu na jego patent autorski, doktorską togę, lub biret magistra: bo co nie jest powszechném, nie jest ludzkiém, nie odpowiada bowiem owéj jedności ducha ludzkiego, w każdém indywiduum boską swoją świecącego stroną. Jak nie zna dowolności życie fizyczne, nie zna życie moralne, nie zna umysłowe; tak nie zna swawoli język, nie zna pisownia. Tu konieczność, owo starożytne fatum, którego sami nawet bogowie słuchali; konieczność, albo jeśli wolimy: celowość, samowładnie panuje w krainie ducha: wszelka indywidualność uczona i nieuczona słuchać jéj musi. Potrzeba ortografii naszéj zasad, bez których nie będzie nauką.

Przewiduję zarzut, jaki optymiści, tojest ci, którym najlepiéj jest z tém, co jest obecnie, zrobić mi mogą. „A już dość tych poprawek—rzekną—nasza pisownia w porównaniu do innych pisowni jest wyborną". Nie porównywajmy złego z gorszém, ale z lepszém. Gdy bowiem porównywamy złe z gorszém, to ono w naszych oczach będzie dobrém, wybornem. Porównywając złe z dobrem albo lepszém, dostrzeżemy łatwo, że to, co nam się zdawało być dobrem, jeśli nie jest zupełnie złe, to mogłoby być lepsze. Tak się ma rzecz i z naszą pisownią: ona może być lepszą, prostszą, jednostajniejszą, pewniejszą i rozumniejszą. To, co dobrego ma w sobie, zostawmy, a na miejsce urojonego dobrego wprowadźmy rzeczywiste, na przyrodzie języka oparte. Gruntem naszéj poprawy niech będzie oko i ucho nasze, tam gdzie, powody loiczne temu na zawadzie nie stoją. Niedosyć bowiem widziéć, trzeba i słyszéć:—niedość słyszéć, trzeba i widziéć. Boski pomysł pisma jest wydobyciem na jaw' dla oka głosu, budzącego w nas: życie świata i ludzi—życie myśli, aby to oko przeniosło się w świat dla siebie nowy i ujrzało niejako głos cichemi znakami mówiący. W pismie słowo staje się pojawem wzroku dla ucha, pojawem słuchu dla oka.

Niniejszą pracą przedsięwziąłem zwrócić uwagę ziomków na główniejsze niedostatki, błędy i sprzeczności znajdujące się w grammatykach, o ile te mają związek z pisownią, i podać im na nie skuteczne lekarstwa, ze skarbnicy samego języka wyjęte; podając im zarazem łatwy sposób sprawdzenia tego przez się samych, o czém mówić będę.

Chcąc poprawić pisownią, przedewszystkiém wiedzieć należy, co jest do poprawy; gdyż tu ogólniki na nic się nie przydadzą a czcza deklamacya nie zastąpi dowodów. W tym razie zamierzając próbować dobroci i stosowności lub niestosowności pisowni jakiéj, potrzeba pismo uważać z 3ch stanowisk: *historycznego, fonetycznego i loicznego. Zasada fonetyczna* jest wiernem odbiciem artykułowanego głosu. Jéj prawidło główne brzmi: pisz jak mówisz. *Historyczna* rozpada się na dwie połowy, tojest: na *etymologiczną*, od greckiego wyrazu „etymon" co znaczy: pierwiastek, rdzeń, źródło, dochodząca w wyrazach danych ich pochodzenia; i *zwyczajową* czyli *tradycyonalną*, na wprawie i nawyknieniu uzasadnioną (magister usus). *Loiczna* zasada godzi

dwie inne z sobą, dobierając stosownych znaków pismiennych, w celu wprowadzenia w pismo większéj jasności i zrozumienia rzeczy łatwiejszego.

Rozważalibyśmy byli pisownią naszę w tych trzech dobach; gdy jednakże zasada fonetyczna jest zawsze najszerszą pod względem rozległości, loiczna zaś najgłębsza pod względem powodowości niektórych zmian w fonetyzmie: te dwie zasady jako się nawzajem dopełniające wspólnie wykładać będę, powiedziawszy słowo o zasadzie historycznéj, bez czego nie moglibyśmy się porozumieć. Tak więc powiemy sobie: najprzód co jest *etymologia*; 2re *co jest zwyczaj* i o ile nań zwracać uwagę należy. Na tych dwóch ustępach ograniczymy uwagi nasze nad pisownią ze stanowiska historycznego. Daléj stanąwszy na polu fonetyczno-loicznem, zastanowimy się nad tém, o ile głośna mowa zgadza się z pisaną w naszéj ortografii; gdy wszakże, jak to wykażemy, błędy grammatyczne wpłynęły na pisownią, a pisownia znowu na samo wymawianie oddziaływa: z tego powodu chcąc wypowiedzieć myśl naszę w zupełności, poprzedzić nam to wypadnie ustępami: 1) O głoskach twardych i miękkich. 2) O głoskach słabych i mocnych. W ten sposób całość niniejszego pisemka rozdzieli się na 6 ustępów: 1) O etymologii czyli źródłosłowie. 2) O zwyczaju. 3) O głoskach twardych i miękkich. 4) O głoskach słabych i mocnych. 5) O użyciu rozleglejszém głosek *f* i *j*. 6) O *i* jako znamieniu miękczenia, tudzież o głoskach: cz, dz, dź, dż, ch, rz, sz, szcz.

Chociaż materya, o któréj pisać zamierzyłem, zdaje się być napozór oschłą i mało ponętną; można jednakże, mówiąc o niéj z przekonaniem, obudzić pewne w czytelnikach zajęcie. Gdy ona jest więcéj z dziedziny formy, niż treści, w chęci podniesienia jéj na wyższy szczebel zajęcia, pozwoliłem sobie przeplatać różnemi uwagami i zwrotami rzecz samą o pismie: rad bowiem jestem godzić treść z formą, i przy budzeniu rozumu ogrzewać uczucie.

Z przejęcia się ważnością przedmiotu, zdarzyło mi się może nieraz unieść i zboczyć z toru swojéj materyi, przez co mogłem się dopuścić wykroczenia przeciw ścisłości czysto naukowéj; gdy jednakże pismo to ma nietylko uczyć, ale i przekonywać, a przekonanie na zimno się nie udziela: dla celu za uchybienie przeciw umiejętnéj formie, wytłumaczonym być mogę. Zdarzyło się powtarzać jedno w różnych miejscach, z powodu

jedności przedmiotu w rozmaitości szczegółów; błąd to może, ale zdawać mi się mogło, iż nigdy dosyć nie powtarza się tego, o czém drugich przekonać chcemy. Tu więc także małe te chropowatości, myślą o celu zagładźmy, albo jeśli nie, to uważajmy je jako płaskorzeźbę z umysłu wykonaną.

USTĘP Iszy.

O etymologii czyli źródłosłowie.

Nim o etymologii powiem, należy mi przedewszystkiém choć pokrótce napomknąć o historyi pisowni naszéj. W początkach, dopóki jeszcze język nasz, jako tylko gałąź Słowiańszczyzny, w osobne nie rozrósł się drzewo, przylegając do pnia wspólnego używał zapewne kirylicy czyli początkowego pisma starosłowiańskiego. Kiedy ją opuścił, nie mamy na to żadnych pomników pismiennych. Późniéj osobną zaczynając stanowić całość i odrębnie się a po swojemu kształcąc, zawsze więcéj pod wpływem kultury zachodnio-rzymskiéj, wyróżnił się w pisowni od swoich plemieńców. Gockiemi literami drukowano od 1450 do końca prawie XVIIgo wieku, przeplatając jednakże niekiedy dopiski pobrzeżne głoskami łacińskiemi. Następnie alfabet łaciński w całéj swéj pełności wystąpił. Trudna była pisownia przed swojém ustaleniem, i dlatego radziéj po łacinie, niż po polsku pisano. Suszono sobie głowy, jak wyrażać skromnym alfabetem łacińskim, nierównie liczniejsze brzmienia języka naszego. Kto czuł tylko siły w sobie, pisał abecadło polskie głoskami łacińskiemi, wyrażając po swojemu brzmienia, których biédna, w porównaniu z naszą, fonetyka języka łacińskiego nie miała w sobie. Każdy następca poprawiał swojego poprzednika, lub brał z niego pomysły i te mało przekształciwszy, podawał za swoje. Najznakomitsze położyli w tym względzie zasługi:

1. Parkosz w dziełku swojém: „Antiquissimus de orthographia polonica libellus, r. 1446.“ Tu pisownia ważyła się między germańską a czeską, jak mówi Bandtkie.

2. Zaborowski w pismie: „Orthographia seu modus recte scribendi polonicum idioma, quam utilissimus. 1518 r.

3. Seklucyan, który najpiérwszą ortografią pisał po polsku, przy tłumaczonym przez siebie Nowym Testamencie. 1551.

4. Januszowski, który prócz swojego abecadła: Nowy karakter polski z drukarni Łazarzowéj, wydał także Karakter Kochanowskiego i Górnickiego. Prócz usiłowań teoretycznych że tak powiem, drukarze nasi: Szarfenbergerowie, Łazarze, Piotrkowczyki, Wirzbiety, na drodze praktycznéj, mimo różnéj pisowni autorów, sprowadzili ją do jakiéjś jedności formy.

Nateraz dość nam na téj wzmiance; w ciągu rzeczy nieraz nam do wymienionych i innych źródeł odnieść się będzie potrzeba. Wróćmy do swego.

Pamiętać o tém nadewszystko potrzeba, iż pisownia, jako cichy odcisk głośnéj myśli znakami oddanéj, należy do ogółu narodu danym mówiącego językiem. Jeśli tak jest, zobaczmy, czy w pisowni ma być dawany wzgląd na etymologią, o ile, i jakiego to ma być rodzaju owo uwzględnienie źródłosłowowe! Nasamprzód stańmy na czysto z pojęciem, jakie mamy o etymologii czyli źródłosłowie: mętne bowiem o tém zdanie i nieprzedstawione jasno, przyprawia nas częstokroć o biédzenie się kłopotliwe z wyrazem, jaki nam pisać wypadnie, ażali pisownia jego zgodna jest z etymologią lub nie.

Przez *etymologią* czyli *źródłosłów* w szczególności rozumié się naukę wywodzenia czyli wyprowadzania jednych wyrazów z drugich. Względem więc na etymologią w tém znaczeniu będzie zachowywanie w pisowni pewnych głosek wykazujących toż pochodzenie wyrazu. Gdy wiadoma jest rzecz, iż wszystkie języki mają do siebie pewne podobieństwo i wskazują na początek jednéj niegdyś wspólnéj mowy; chcąc więc znać etymologią wszystkich wyrazów, potrzebaby wszystkie umiéć języki i to nietylko żyjące, ale i martwe. Takich etymologów nie było jeszcze i nie wiemy, czy się gdzie i kiedy znajdą: raz dlatego, iż wszystkie języki od owéj nieszczęsnéj wieży Babel są pomieszane, i żaden w sobie nie jest czystym; *powtóre*, że wiele ludów tak zwanych barbarzyńskich, które żyły na ziemi i były w jakimś z innemi historycznemi narodami związku, nie posiadało swojéj literatury, swojéj historyi, swojéj grammatyki, bo pisma nie znały; *potrzecie*, iż w narodach piśmiennych samych trudno znać wszystkie różnice narzeczy (dyalektów). Takie zadanie, jak widzimy, przechodzi siły ludzkie; dlatego téż urzeczywistnienie takiego etymologa, jeśli nie nazawsze, to na długo — na długo

pozostanie—pobożném życzeniem. O etymologii więc powszechnéj ani nam marzyć, a tém bardziéj uwzględnienie jéj w pisowni nazawsze z myśli wyrugować!

Pozostaje etymologia szczególna, tojest wynajdywanie początku i wywód wyrazu w danym jakimś języku, który jest odziomkiem pnia jakiegoś. Zadanie to niemałego jest także rozmiaru; wymaga bowiem znajomości dokładnéj prajęzyka, który był pniem, z którego się odziomki w osobne porozradzały drzewa, tudzież znajomości języków współplemiennych. Niedosyć na tém: wymaga jeszcze znajomości historyi, literatury ludów danych i stosunków swego ludu z niemi. Czyż te stosunki były tylko czysto między-plemienne? Może najmniéj z tego wszystkiego, bo tu się znowu nastręczają inne, obce ludy, z któremi nowa powstaje trudność. Choćby nawet i nie to, czyż domysły nie tronują tu wszechwładnie? Któryż naród posiada piérwszą alfę w alfabecie swojéj historyi, tojest jasny wywód swego początku? Któryż potrafił zedrzéć grubą oponę z początku piśmiennictwa swego? Któryż nie pokrywa się aureolą cudowności, poezyą złudną podań mętnych? Któremuż nareszcie krytyka dziejowa niekiedy więcéj nie szkodzi niźli pomaga, odrzucając częstokroć jakieś podania niby niewytrzymujące proby rozumu zdrowego, któreby wiele światła na język zlać mogły? Przypuściwszy nawet, żeby tych wszystkich przeszkód nie było, czyżby podobna było wszelkie przemiany wyrazów z języków obcych do naszego przeniesione, etymologicznie głoskami wyrazić? Czyżbyśmy go nie zeszpecili obnażając go ze wszystkich napływów późniejszych, stanowiących dziś indywidualność językową w postaci pełnéj, wyokrąglonéj?

Zobaczmy przynajmniéj w małéj próbce (według Lindego) przemiany wyrazowe w różnych językach, abyśmy się przekonali, że po nas wszystkich takich wiadomości pisownia wymagać nie może. 1. Spółgłoski jedno-organne na siebie przechodzą: *f* na *b* np. *F*leck *b*łoto; *f* na p: *Pf*affe *pop*, *f*lamen (łac.) płomień, *F*rater=*b*ruder=*b*rat. W Prusach wschodnich przeistaczają *w* na *h* np. woda, hoda; widzę, hidzę, wódz, hódz. W samym nawet naszym języku *r* na *l* np. murarz mularz, a *z* przechodzi na *s*, np. mazło od mazać, masło; powrózło od powróz, powrósło. Spółgłoski przechodzą w samogłoski, np. *F*lorencya Fio*r*enza; Fructus. Frucht, fruit. *Ł* przemienia się w *j* lub *u*; np. człowiek, u południowych Słowian, jakoto: Dalmatów, Ra-

guzanów, wymawia się: cjowiek, u Bulgarów čovék; złoto u Serbów luzackich: zwoto; Laurentius, Wawrzyniec. H przedzierzga się w s lub z np. *Helios*(gr), *sol*, *Sonne*, *słońce*; Hima sanskryckie: hiems, zima. K w *hi* s; *t*, *d*, *z*, w *c* np. *kardia*(gr) *cor*, *cordis*. *Herz*, heart (ang.) serce. 2. Często przybywają spółgłoski *w*, *l*, *j* np. czeskie *uhel*, rossyjskie *ugoł*, węgiel, *Winkel*; abo albo; obrzym olbrzym. 3. Często całe zgłoski przemieniają się: np. *Vorhang*, firanka; Kreützgang, krużganek; uryański, oryencki; crux, croix, Kreutz, krzyż. 4. Nietylko się głoski i zgłoski przemieniają, ale i znaczenie według potrzeby przeistacza; np. (łac.) *volo* (greckie) *bule*, bulomai (polskie) *wolę*, dzisiaj się nie pozostało w swojém dawném znaczeniu, teraz przez *chcę* wyrażaném, ale znaczy obór, wybór. Cóż dopiéro mówić o przekładaniu spółgłosek i zgłosek, przerabianiu ich po narodowemu, a tém bardziéj o wszystkich dotąd przywiedzionych przemianach razem!

Wzgląd na etymologią w pisowni tak przepaścisty nie będzie. Ogół narodu, jak mówi Mroziński, wcale się o to nie troszczy, od jakiego pierwiastku powstały słowa: „O tak, w pisowni chodzi tylko o wydanie źródłosłowu i pokrewieństwa brzmiennego wyrazów pochodnych, w samym jakimś danym języku przekształconych. To uwydatnienie pokrewieństwa wyrazowego familijne że tak powiem, przez jasne wykazanie przemian samogłosek i spółgłosek w tymże języku znajdujących się, szczególniéj tam widoczne być powinno, gdzieby fałszywa pisownia łacno w znaczeniu wyrazu błąd sprowadzała.“ Niepotrzeba tu, jak widzimy, na to zbyt uczonego rozumu; dosyć jest chwilowego zastanowienia się, aby do wyrazu pewną wątpliwą głoskę mającego, dobrać inną pokrewną znaczeniem, i już trudność usunięta. Takie koło zakreślone cyrklem możebności nie jest bez granic, a powierzchnia jego nie jest przepaścią niezgłębioną. Zatém pisownia każda, aby była dla oczu i dla myśli, musi te głoski pismem wykazywać, jakie w wyrazie takie a takie do siebie znaczenie przywiązane mającém, znajdować się powinny. W téj mierze język nasz niezrównanéj jest jasności i prostoty, a subtelności wszelkich unika, aby nie suszyć próżno głowy piszących. Ztąd jeremiada niektórych na współczesnych, że dzisiaj zatarli różnicę dwóch niegdyś osobnych wyrazów: *s* i *z*, jako też usiłowanie, aby je na nowo do pisowni wprowadzić, pozostanie głosem wołającego na puszczy. Mówią oni, iż *z*

znaczyło rozłączenie, i odpowiadało łacińskiemu *ex*, ruskiemu *iz*, *izo*, windyckiemu *is*; *s* zaś znaczyło to, co łacińskie *cum*, ruskie *s* lub *so*, windyckie *s*, *ś*, *se*. Zgoda, aleśmy się już z pisownią Bielskich, Białobrzeskich rozstali; teraz swobodniéj zaczynamy pisać po polsku. Język nasz w swojéj czystości i przezroczystości dowodzi, iż wszelkie zbyteczne metafizykowanie w odznaczaniu różnicy myśli przez pisownią wyrazów w brzmieniach do siebie podobnych, prowadzi do Ciemnogrodu. Gdybyśmy bowiem należycie różnicę tę w wyrazach szczególniéj złożonych oddać chcieli, myślby suchot dostać mogła. Np. *zejść* się powinnoby się pisać przez *s*, a zatém *sejść* się, bo tu *s* znaczy złączenie; *zejść* (z góry) znowu trzebaby pisać przez *z*, bo *z* znaczy rozłączenie się, punkt wyjścia np. z miasta, z kościoła i t. d. Toż *składać* znaczy prawie tyle, co *gromadzić*, *zbiérać*, powinno się pisać przez *s*; *składać*, co znaczy *zdejmować*, musiałoby się pisać przez *z*. Pisownia więc nasza w tym razie nie jest błędną, jak Linde utrzymywał, ale postępową, wyrzucającą precz łamigłówki niepotrzebne.

Dla wspomagania umysłu naszego w wywodach brzmień i głosów mamy w naszym języku prócz głosek samoistnych, jeszcze źródłosłowowe. Te są: ó, é, ą, ę, cz, ć, rz, dz, dź, dż, ś, sz. Gdy niektóre końcowe spółgłoski są nam trudne do wypisania, a nieraz przez zamianę ich zmieniłoby się znaczenie wyrazu; zróbmy z nim jakąkolwiek przemianę: *deklinacyjną*, jeśli to jest imię, np. dziad, dziada, dziatki, dziatek; *konjugacyjną*, jeśli jest słowo, np. wieźć, wiozę; nieść, niosę; znaléźć, znalazłem: w tym bowiem razie głoska wątpliwa oparłszy się na samogłosce lub na innéj spółgłosce, wątpliwe swoje brzmienie wyraźnie i dokładnie słyszéć daje. W wyrazach danych przyjętych dowolnie nie można zmieniać pisowni przez wzgląd na źródłosłów odległy, ani przydawać brzmień, ani ujmować, ani przekształcać po swojemu; takie bowiem samowolne postępowanie podkopuje fundament języka i otwiera pole paczeniu i przekrzywianiu pojęć do wyrazów przywiązanych. „Każde słowo, jak mówi Mroziński, wzięło początek w innem jakowémś brzmieniu, i albo było naśladowaniem naturalnego głosu, albo powstało od słowa już utworzonego. Lecz słowa nie mogłyby się nawet utworzyć, gdyby się u nich z czasami znaki pochodzenia nie zacierały. Słowo wtenczas dopiéro może dać początek innym, gdy samo odróżni się od słowa, z którego powstało. Dopóki

słowo, oprócz pomysłu który maluje, przypomina jeszcze pomysł, przez znaki swego pochodzenia, dopóty jest tylko słowem naciągnioném, czyli że tak powiem pożyczoném." Niekiedy w pochodnikach przybywa głoska, którą w pierwocie zarzucono; przywracać jéj więc niewolno, bo to według praw powszechnych się dzieje i powodu eufonicznego, tojest albo miłodźwięku, albo łatwości wymówienia dla organu. Np. *serce* ma wyraz pochodny *serdeczny*. Tu *d* przybywa w pochodniku, bo niegdyś w pierwocie być musiało: *serdce*, jak dodziśdnia jest jeszcze tak samo w języku rossyjskim. Podobnyż ubyt widać w wyrazach: *obłok* za *obwłok*, *obłóczyny* za *obwłoczyny*, *obyczaj* za *obwyczaj*, *słać* za *sćłać* (ścielę). W wyrazach z obcego języka przyswojonych, ortografia wypisuje je po swojemu, stosownie do środków, jakie jéj alfabet podaje. Ztąd fałszywie piszemy: Jakób (Jacobus), Józef (Josephus), róża, rosa; rose, Rose; hamburgski, petersburgski; ale mamy pisać: Jakub, Juzef, ruża, petersburski, hamburski; każdy bowiem wyraz przyjęty już całkowicie do naszego języka, o ile możności *naszość* czyli *swojskość* odciskać powinien, a nie bójmy się, aby etymolog który nie miał nam wskazać jego pochodzenia, albo jak my mówimy, pokrewieństwa z wyrazami innych języków. Co nasze, to nasze; mniejsza zkądeśmy wzięli, bo czasem nawet nie wzięliśmy od drugich tego, co za wzięte poczytujemy: tylko, albo wyraz nasz urodził się i powstał fonetycznie na téj saméj drodze, jak w innych językach, mając tło jedno, tojest język niegdyś wspólny, środki te same, tojest organy i treść tego samego ducha ludzkiego; albo nawet obcy od nas to wzięli, co my za od nich przyjęte poczytujem; albo nareszcie źródło wspólnego im pochodzenia wyschło równie dla nas, jak i innych języków. Zatém 1): w przemianach tylko wewnętrznych wyrazów, wzgląd etymologiczny zachodzić może; 2) samą bezpośrednią, nie zaś pośrednią przemianę wewnątrz wyrazów w pisowni wyrażać mamy: przemian przeto pośrednich wymagających trudniejszego wywodu, pisownia oznaczać nie nakazuje. Ztąd np. *Szlązki* pisze się przez *z*, bo się mówi *Szlązak*; *paryzki* przez *z*, bo jest *paryżanin*, ale nie będziem pisać *bozki*, *mnóztwo* przez *z*, bo tu dopiéro pośrednio *z*, z *g* powstaje; pisać więc należy: *boski*, *mnóstwo*.

Gdy więc etymologia bezpośrednie wywody brzmień w wyrazach przez dobór odpowiednich głosek wykłada i na pisownią obcych narodów oglądać się nie każe; piszmy te wyrazy głoska-

mi bezźródłosłowemi, które żadnym wewnętrznym przemianom w języku naszym nie podlegają. Takiemi są: *but, pułk, płutno, curka, drut, pruba, dziub, furta, wrubel, włukno, gdyracz, gura, pruszyć, kulczyk, krul, tul, luzem, żuraw', luźny, nura, ogut, szczeguł, rusztowanie, ruwny, rużny, ruzga, żułw', struż, tchurz, chrust,* i w pochodnikach ich. Równie w tych jak i innych wyrazach piszą się *y*, lub *u*, ilekroć te ani w pierwocie, ani w odmianach swoich, ani w pochodnikach nie swobodnieją na *o* lub *e*, albo nareszcie „kiedy etymologia wyrazu jest niepewna lub niebezpośrednia. Ztąd piszmy *źrudło*, jak probował autor znany w naszém pismiennictwie, Dominik Szulc; *źrudło* bowiem dawniéj, jak dziś jeszcze niektórzy piszą, wyrażało się tak: *zrzódło*; nie *rodzić* więc, *ród*, jest tu może pierwotem, ale pewniéj *rzut* i dlatego takby go sobie wywodzić należało z–rzut–ło. Cokolwiekbądź, choćby kto 10 innych szczęśliwszych odemnie wywodów tego wyrazu podał (otwarte wrota!)—to pewna, iż język zawsze w razie wątpliwości zródłosłowowéj głoski wyrazu podaje nam miecz Alexandra, do rozcięcia zadziergu węzła gordyjskiego pisowni, gdzie się tenże z łatwością rozwiązać nie daje.

Złe zapatrywanie się niektórych grammatyków na odmiany słowa, wprowadziło w pisownią fałszywe prawidło kréskowania *e* w trybie rozkazującym przed *j*, tam, gdzie żadnego słusznego powodu rozum dopatrzyć się nie potrafi; nie od rzeczy będzie dać i w téj mierze pewne pojaśnienie i sprostować błąd, na niewłaściwie upatrzonéj między słowami analogii uzasadzony. Wiadomo jest, że słowa w trzeciéj osobie czasu teraźniejszego liczby pojedynczéj na *eje* zakończone, po odrzuceniu końcówki *e* tworzą tryb rozkazujący; lecz ponieważ *j* opierało się na samogłosce po niéj następującéj, a ta odrzucona, opierać się więc musi na samogłosce *e* poprzedzającéj ją: i ta kreskuje się dlatego; np. *śmieje, śmiéj; wieje, wiéj; leje, léj; grzeje, grzéj; sieje; siéj.* To prawidło pojmujemy. Są inne słowa, które w téjże osobie trzeciéj mają tylko *e*; np. *żnie, gnie, tnie, trze, wrze, mrze, mknie* i t. d. W tych słowach kazano nam pisać także *e* kreskowane, a to dla wykazania pochodzenia trybu rozkazującego od téjże końcówki na *e*; musieliśmy zatém pisać: *żniéj, gniéj, tniéj, trzéj, wrzéj, umrzéj, umkniéj.* Lecz ponieważ tryb rozkazujący w większéj części słów tworzy się przez odrzucenie końcówki osobowéj czasu teraźniejszego, jak np. *maże,*

maż; *czyni*, *czyń*; *robi*, *rób*;— w innych zaś przybiera tylko *j* dla odróżnienia osoby trzeciéj czasu teraźniejszego od trybu rozkazującego; np. *spij*, *drzyj*, gdy końcówki osobowéj odrzucić nie można: poprzednie prawidło jest zbyteczne, tojest żadnego kreskowania w podobnych wyżéj wskazanym słowom niepotrzeba. Pisać należy: *żnij*, *gnij* (łatwo z toku rzeczy odróżnialne od *gnij* (gnić), *zamknij*, *umrzyj*, *utnij*. Tu bowiem *i* i *y* są tylko podtrzymywaczami głosek pierwotnych: *żń*, *gń*, *mkń*, *umrz*, *tń*, bez których też głoski wymówićby się nie dały. Wszakże mamy na to dowodów mnóstwo na innych słowach, które miały *i* tam, gdzie go dziś nie mają, i mówiono: *chodzi*, *przydzi*, *weźmi*, *uczyni*, *wielmoży*, *weseli się* i t. d. Otóż na wzór tych, które miały dawniéj *i* na końcu, a nawet *ij*, a to *i* teraz odpadło; w odwrotnym stosunku mają owe, że tak powiem, pierwiastki słowa przydane sobie *i* i *y*, a zamiast: *żni*, *gni*, *mkni*, *tni*, mają dźwięczne: *żnij*, *gnij*, *mknij*, *tnij*, *trzyj*, *wesprzyj* i t. d. Kreskowanie więc głoski *e* w tych przypadkach nie zgadza się z pojęciem, jakie o formowaniu trybu rozkazującego mamy i wprowadza tam jakiś powód rozumowy, gdzie go nie ma. Odtąd więc o jeden kłopot mniéj znowu w pisowni.

USTĘP II^gi.

O zwyczaju.

Zwyczaj, jako tradycya pismienna, ma swoje znaczenie w historyi rozwijania się języka, ale nie w loice językowéj, że tak powiem, którego odróżnienia zapominać nie można. Tradycya jest szacowną, świętą, nietykalną jako relikwie przeszłości; ale stanowiąc pewien moment czyli dobę historyczną, nie jest z żywotem prawdy przedmiotowéj całkującą częścią (partie intégrante). Tradycya jest podwaliną przeszłości, dlatego ją szanować trzeba, ale nie jest koniecznie tłem teraźniejszości; bo jeżeli z niéj ten duch uleciał, który jéj bytu użyczał, żyje tylko w kraju nieboszczyków, żywotem wiekuistym. Rozbierzmy jednakże znaczenie zwyczaju jako powagi, abyśmy, nie zrozumiawszy tego, nie odurzali się niewłaściwym urokiem i nie kazili godności umysłu swego nikczemném bałwochwalstwem. Niestety! w naszych grammatykach i pisowni częsty bardzo czynimy rekurs do

tak zwanego zwyczaju, zasłaniając się wszędzie jego powagą, gdziekolwiek przyczyn rozumowych języka nie doglądamy. Jestto prawdziwe *azylum* Romulusowe dla wszystkich piszących dobréj i złéj woli otwarte, gdyż nieraz tam uciekamy się, choć nam loika językowa jasne i wyraźne przedstawia wywody; z uporem obstajem przy tém, jak było dawniéj, i przeciw zwyczajowi wykroczyć, znaczy to samo, co dopuścić się zbrodni obrażonego majestatu rozumu. Zastanówmy się więc co to jest zwyczaj jako *powaga zasady* i o ile on obowiązywać może. Według mnie, zwyczaj w pisowni jest *zgodą uczonych, dających ton w pismiennictwie, co do obranego sposobu wypisywania się w danym przypadku:* jest więc rzeczą konwencyonalną, ugodną. Wszelka ugoda jest obwarowana *czasem i możnością. Czasem*, bo nieznająca terminu, byłaby nieśmiertelną i jako taka, przestałaby być udziałem śmiertelnych. *Możnością*, ugoda bowiem przekraczająca granice praw nam służących nie jest ugodą, ale uzurpacyą, przywłaszczeniem. Ale uczeni z pojęciami swemi, właściwemi czasowi w którym żyli, nie mogą stanowić praw dla języka na całą przyszłość jego rozwoju; gdyż język jest własnością narodu nim mówiącego, a naród nie może się zrzec ulepszeń, zwyczajem nieobjętych, gdy ich potrzeby rozum jego jasno dostrzega. Naród otwiera pole uprawy indywiduom, ale żadne indywiduum choćby najgienialniejsze tu tronować nie może, gdzie sam duch języka jest wielowładnym panem. Zwyczaj zatém nie jest żadną powagą; on dobry jest na czas złotego wieku, w którym panował Saturn niewiadomości, ale gdy ten zepchnięty zostanie ze swéj królewskiéj stolicy, przez Jowisza postępu zasad rozumowych języka: odtąd darmo kusić się będzie powrócić do pierwiastkowéj swojéj godności. Cóż to za powaga, żyjąca życiem motyla! Dziś czołobitność indywiduom oddawać sobie każe, a jutro ją lada śmiałek z siedziby tronowéj ściągnąć jest mocen! Duch języka i zwyczaj stanowią dwuwładztwo; są sobie zgoła przeciwni, a wszelki rząd w rządzie, władza we władzy jest tronem anarchicznym: albo jednego z nich trzymać się musim, albo drugiego. Ale zwyczaj jako przyjazny naszemu lenistwu i owemu błogiemu „dolce farniente" coraz więcéj w terrytoryum tamtego się wdziéra, przez co niedługobyśmy prawa loiczne języka dla robienia attencyi zwyczajowi, wyrugowali. Rozum, dany nam z góry jako iskra Niebios, wprawia nasze władze umysłowe w ruch i działanie, nie dozwala żadnych dybów na siebie

wkładać: przyjmując powagę zwyczaju, dobrowolnie kark nasz pod jarzmo podstawiamy. Zwyczaj nie może stanowić praw, bo nie zna ich żadnéj sankcyi, którą jest *powodowość*; prawa zatém jego są tylko dla słabych, niby pajęczyna w któréj mucha ulgnie, ale ją lada szerszeń przerwie. Zresztą zastąpmy ładnie brzmiące miano zwyczaju, inném prawdziwszém a dobitniejszém, a wtenczas natura jego i znaczenie wyraźniéj się oczom przedstawią: tém jego mianem jest *nawyknienie*, *nałóg*. Nałóg nic nie ma w sobie chwalebnego, a zatém szanownego, aby go do znaczenia powagi w pisowni podnosić. Nałóg łatwo się wkrada, gdy rozum na czacie nie stoi; gdy jednakże języka się nie tworzy ani pisma za naradą, ugodą, ale je tworzy duch ludzki boską twórczością natchniony i niejako z objawienia bożego; w ducha się więc języka wmyślać należy, a wiele nam zagadek zostanie rozwiązanych, wiele prawd nowych odkrytych: wtedy zwyczaj pójdzie *ad acta* do archiwum historyi języka. Patrzmy zresztą na jego obrońców, a łatwo dostrzeżem, jakich się najwięksi pisarze nasi jemu hołdujący sprzeczności dopuszczali. I tak Brodziński (o łagodzeniu języka) powiada: „Bardzoby źle czyniła ortografia, gdyby zwyczajowi zupełnie ulegać miała. Ona powinna upatrywać w zwyczaju dążenie języka od natury mu wskazane, w tém go popiérać, bronić od nałogów nadużycia i mody.” Znamy jędrność języka wielkiego tego pisarza; znamy jego jasność w wykładzie swojéj rzeczy; ale dlatego, że na fałszywém stanowisku strony zwyczaju stanął, trudno go zrozumiéć. Uważmy co mówi: zwyczaj jest niejako dążeniem języka od natury mu wskazaném, i jako taki ma być popiérany przez ortografią!!—bronionym od nałogów!!!—nadużycia i mody!!! Co to wszystko znaczy? Jakto najdzielniejsze pióro, gdy nie rzeczywistości chce dowodzić i chimerę za byt uważa, pląta się i gmatwa, a to dlatego, iż wyraża myśl, która nie rzeczywisty przedmiot obrazu nasuwa, ale jakieś, że tak rzekę, złudzenie optyczne umysłu.—Uważmy znowu słowa Mrozińskiego, czy ten zkądinąd potężny loik nie stawa z sobą w sprzeczności, gdy mu o zwyczaju wyrokować przychodzi. „We wszystkich językach, mówi, brzmienia zmieniają się z wiekami, ale brzmienie, które zwyczaj wprowadził, przyjemne czy nieprzyjemne, musi pozostać w języku, dopóki go znowu sam zwyczaj nie zmieni.” Tu więc zwyczaj jeden jako jedna powaga, występuje przeciw drugiemu zwyczajowi, jako większéj powadze! Zwyczaj który

jest, godzi przeciw zwyczajowi, którego nie ma! To prawdziwie nie po polsku, bo niezrozumiale. I znowu gienialny Mroziński pisze na inném miejscu: „Zwyczaj nie dozwala zmienić głoski jednéj na drugą;" i indziéj: „Ortografia powinna wskazać, gdzie zwyczaj każe wymówić samogłoskę otwartą." Tam więc zwyczaj jeden, że tak powiem starszy, ustąpić musi zwyczajowi młodszemu; tu znowu zwyczaj jest niewzruszonym i rozrozkazy wydaje. Co to znaczy, pytam się, obok tego, co gdzieindziéj mówi Mroziński? „Każdy teraz żąda, aby go przekonano. Na prawidła dane bez gruntownego rozbioru, nikt już teraz nie zważa."

Umyślniem tu wprowadził sprzeczności loiczne dzielnych pisarzy naszych, abyśmy się lepiéj przypatrzyli temu, jak wyraz jakiś nieszczęśliwie w naukę wprowadzony i sztucznie podtrzymywany przez uczonych, do mętnego i niezrozumiałego tłumaczenia myśli prowadzi, a nie dopuszcza zrozumienia rzeczy nieistotnéj, tojest żadnéj rzeczywistéj egzystencyi niemającéj. Sztuka wymowy i nadstawianie słówkami na nic się tu nie przydadzą, gdy zasada jest złą lub żadną. Jeśli coś jest w języku do zbadania, powiedzmy lepiéj: „to jeszcze niewyjaśnione"— „to pozostaje do zbadania" aby ziomkowie probowali sił własnych na drodze doświadczenia rozumem naukowym popartego; ale nie zasłaniajmy się laską pismiennego zwyczaju przed deszczem badania rozumowego, bo to nie deszczochron. Inaczéj jakiżto będzie postęp, gdy zwyczaj będzie rozpisywał prawa. Czyż sam Mroziński nie mówi jeszcze przeciw sobie w postrzeżeniach nad niektóremi szczegółami rozprawy Brodzińskiego, gdy się wyraża: „Najdzielniéj przyczynia się do postępu nauki, kto w innych umié wzbudzić chęć rozmyślania nad przedmiotem". Któż się poważy rozmyślać nad nim, gdy, jak powiedział wyżéj Mroziński, zwyczaj tego i tego nie dozwala? Widzimy z tego, co mamy trzymać o zwyczaju pismiennym. W naukach formalnych równie jak i w rzeczowych nie można fantazyować, ale trzeba, że tak powiem, zejść na grunt i przekonać się. Nie dorzucajmy do miejsc niezbadanych w języku pisarskiego widzimisię, ale cząstkę przedmiotową prawdy przez siebie zbadaną podajmy w naukę, aby postępowała daléj. W ten sposób nauka postępować będzie, gdy nam w niéj nie o wielkość naszę, ale o ważność i wartość prawdy przedmiotowéj chodzić będzie. Mało bowiem jeszcze znamy tego, co jest poświęce-

nie się indywidualne dla prawdy, odrębnéj od nas, bo w samym duchu ludzkim byt swój mającéj! Mało mamy hartu rozumu i męzkości woli, gdy przekonanie koniecznie nam się przy huku trąb i kotłów uczoności pargaminami i pieczątkami zwyczaju obłożonéj udzielać musi! Nie robię żadnego szczegółowego zastosowania błędów zwyczajowych, bo mi co krok prawie z nim w ciągu rzeczy spotykać się przyjdzie i o każdą piędź ziemi postępu i ulepszeń koniecznych, ze zwyczajem spór toczyć potrzeba będzie.

USTĘP III^ci.

O głoskach twardych i miękkich.

W początkach naszéj pisowni rozróżniano głoski miękkie od twardych odmiennemi postaciami. I tak: Parkosz zna *b* twarde i *b'* miękkie; *p* twarde i *p'* miękkie; *ł* pisze przez *l*, miękkie zaś *l* wyraża *l*; *m* grube przez *m*, miękkie zas przez *m*; *n* grube przez *η*, miękkie zaś przez *n* (1). Co do innych rozmaicie je przedstawia; nie odróżnia miękkich od twardych osobnemi znakami, czasami kładzie *y*, czasami *z* za znak miękczenia, np. dwa *z* znaczy *ź* np. *zzele* (ziele) *zzima* (zima); zawsze jednakże ma pisownią niejednostajną. Nieco przed Zaborowskim używano jednych kształtów na oba te rodzaje brzmienia, ale miękkie odróżniano głoską *y* po twardych położoną. Zaborowski, który bezsprzecznie był najznakomitszym z ustawodawców pisowni, a którego jednak najmniéj słuchano, wprowadza dwie kropki nad głoską twardą w celu jéj zmiękczenia. Seklucyan idzie za Zaborowskim, ale przed samogłoską nie kropkuje swoich miękkich tylko *i* kładzie. Dzisiaj już miękczymy twarde kładąc kreskę powyżéj spółgłoski twardéj, a przed samogłoskami spółgłoskę twardą miękczymy za pośrednictwem *i*. Ważną jest nadzwyczajnie rzeczą rozróżnienie dokładne miękkich od twardych głosek, dlatego nie od rzeczy będzie rozebrać bliżéj ten przedmiot, gdyż do całkowitego zrozumienia myśli naszéj jest niezbędne poznanie natury głosów i brzmień.

(1) Dla braku takich czcionek, jakich używa Parkosz, tychże nie zamieszczamy.

Samogłoski są albo udzielnym głosem i odrębny wyraz stanowią, albo służą do podtrzymywania spółgłosek w organizmie języka; w żadnym razie nie mogą być twarde albo miękkie: owszem są obojętne, bo z wszystkiemi spółgłoskami stać mogą.

Wyjątek co do tego zrobił język wprowadzając na samogłoskę *i* dwa kształty: *i* i *y*, na dwa stany poprzedzającéj spółgłoski miękkiéj lub twardéj. To odróżnienie stało się dzisiaj kardynalném piętnem brzmień poprzedzających spółgłosek twardych lub miękkich, tojest: iż odtąd każda spółgłoska po któréj stoi *i* jest miękką, po któréj zaś *y* następuje, twardą.

Wiadomo jest, iż dwulicowa postać samogłoski *i* w łacińskim języku żadnéj fonetycznéj nie znała różnicy. Piérwszéj postaci *i* używano w wyrazach czysto łacińskich, drugą *y* posługiwano się, gdy początek grecki wyrazów uwydatnić potrzeba było. Z tego téż powodu pisano u nas raz *i*, drugi raz *y*, bez względu na twardość lub miękkość poprzednich spółgłosek. Tak np. Parkosz pisze: *bodri* za *biodry* (biodra), *sviklem pismem* (zwykłém pismem); *gfzik polski* (język polski); *abi pissał* (aby pisał). Zaborowski powiada, iż głoska *i* u nas ma dwojakie brzmienie: jedno *właściwe*, *niewłaściwe* drugie. Właściwe jak w wyrazach łacińskich: *nisi*, *similiter*; w polskich zaś: *liska* (*vulpes*), *list*. Niewłaściwe zaś, kiedy twardo się wymawia jak w wyrazach: *pycha*, *mydło*, które radzi pisać: *picha*, *midło*, mówiąc o samogłosce *y*, że jest niepotrzebna. Pisarze mniéj oględni na naturę spółgłosek naszych i wahający się w wyborze jednéj lub drugiéj z tych głosek, pisali na chybi-trafi raz *i*, drugi raz *y*; przez co łatwo naturę niektórych spółgłosek twardych zaciérali. Mając zresztą ciągle na uwadze alfabet łaciński i bez wyboru idąc za pisownią łacińską, wprowadzali w pisownią naszę zamęt, z którego się dotąd jeszcze nie otrząsnęła. Gdy jednakże co do tego pisownia dzisiejsza ustaliła się, i po miękkiéj spółgłosce kładziemy *i*, po twardéj *y*; należy nam starannie przejrzéć, ażali gdzie jeszcze nie chodzą samopas błędy, które sam zwyczaj uświęcił.

Powtarzam jeszcze, że i dziś w gruncie nie ma różnicy w wygłaszaniu samogłosek *i* i *y*, bo one będąc samym głosem nie mają brzmienia, które dopiéro jest twardém lub miękkiém; że zatém są tylko dwiema postaciami jednego głosu, dopiéro przy współbrzmieniu miękkich lub twardych spółgłosek

dobieranemi. Dowodem tego jest, że niektóre wyrazy piszące się przez *y* cienko wymawiamy, np. Indyanie, Kappadocya, passya, gdzie *y* z przyciskiem i grubo się nie wymawia. Trzeba to dobrze pamiętać, bo ważne z uznania téj fundamentalnéj prawdy następności wynikną.

Że te dwie głoski nie były rozróżniane dawniéj, tak, jak je dziś rozróżniamy, to jeszcze i z tego widać, że ich przemiennie (alternative), tojest raz jednéj drugi raz drugiéj za znak miękczenia używano.

Między spółgłoskami są jedne mające bezpośrednio miękkie, są inne, które ich nie mają, ale dopiéro za pośrednictwem różnych poprzednich przemian. Bezpośrednio miękkie mają *b*, *c*, *dz*, *f*, *ł*, *m*, *n*, *p*, *s*, *w*, *z*, te miękkie wyrażają się *b'*, *c*, *dz*, *f*, *l*, *m'*, *ń*, *p'*, *ś*, *w'*, *ź*. Inne dopiéro pośrednio miękczyć się mogą, takiemi są: *cz*, *dż*, *d*, *r*, *sz*, *t*. Po tych jako twardych, *i* stać nie powinno, co łatwo uczuć w pisaniu brzmień: *czi*, *żi*, *di*, *dzi*, *ri*, *rzi*, *szi*, *ti*. Wiadome są te przepisy, a jednakże widzimy w książkach zkądinąd wzorowo pisanych, jak np. w Prelekcyach o filologii klassycznéj pisownią dwojaką: raz z umysłu oddagerotypowaną łacińską w wyrazach: *encyklopedia*, *studia*, *komedie*, *materiał*, *historia*, *auditorium*, *utilitarność*, *sympatie*, *patriarchalny*, i znowu pisownią tych wyrazów spolszczoną: historyi, encyklopedyi i t. d. Cóż nas tu uderza? Oto ta sama niestałość zasad; oto nieśmiałość z jaką przyswojonych w języku wyrazów po polsku pisać się wahamy, lub indywidualność poglądu z sobą nieraz w sprzeczność popadającego. Nie boleźże tu nad zmiennością pisowni, gdy bogaci treścią pisarze mało na te zważają drobiazgi! Umyślniem te przykłady przywiódł, abyśmy na powagę indywidualną, na powagę uczonych się nie oglądali, ale starali się sprowadzić pisownią polską do jakiéjś jednostajności zasad, wszystkich obowiązujących. W nauce bowiem nie ma żadnych *ustaw dowolnych*, ale są *prawa przedmiotowe* samemi warunkami ducha, stającego się ciałem, ograniczone. Z nauki więc pisowni przedewszystkiém ludzkie *ja* wyrugować należy i w niéj przynajmniéj znieść ten rozbrat między owém: „tak jest" a owém: „tak być powinno." Zresztą błędy takie napozór mikroskopicznemi się wydają, przeto jednakże nie przestają kazić pisowni naszéj, która po otrząśnieniu się z niektórych jeszcze niedoskonałości, może się stać *pisownią typową* dla drugich pod względem jasności, prostoty i dziwnéj loiczności.

USTĘP IV[ty].

O głoskach mocnych i słabych.

Mylność pojęcia pociąga za sobą mylność nazwy, a z téj znowu rodzi się fałsz klassyfikacyi. Podziały są potrzebne dla umysłu, i obok szczegółów muszą być dlań pewne ogóły; myśl nasza bowiem koniecznie wymaga pewnéj drabiny pojęć, po któréj szczeblach podnosi się lub schodzi, a z niższego lub wyższego stanowiska spoglądając na swój przedmiot, ma przed sobą mniejszy lub rozleglejszy widnokrąg prawdy. Ale, aby te podziały mogły dostarczyć naszemu rozumowaniu ogólników, muszą się opierać na przyrodzie rzeczy, tojest na prawdzie szczegółów.

Naśladownicze i bezmyślne po drugich powtarzanie klassyfikacyi pojęć głosów słabych i mocnych, tudzież wprowadzenie jéj żywcem do naszéj grammatyki, spowodowało mylne tłumaczenie fenomenu pochylania się samogłosek. Trafny zkądinąd Mroziński taką daje różnicę głosek słabych od mocnych: „Słabe (*b, w, d, dz, z, dź, dż, ź, ż, g, j, h*), wymagają takiéj saméj ilości powietrza jak samogłoski; drugie zaś (*p, f, t, c, s, ć, cz, ś, sz, k, ch*), więcéj.“ W ten sposób pojmując naturę spółgłosek tak zwanych przez niego słabych i mocnych, znakomity ten grammatyki naszéj badacz, objaśnia następnie pojaw pochylania się samogłosek *o, e*, do ó, é: „Spółgłoska słaba (w jego rozumieniu) opierając się na poprzedzającéj samogłosce, jest artykulacyą brzmienia téj samogłoski. Spółgłoska zaś mocna nie jest bezpośrednio połączona z samogłoską; przedziela ją maleńki przestanek, w czasie którego zgęszczamy w ustach powietrze dla wydania głoski mocniejszéj niż samogłoska. Gdyby nie ten przedział między samogłoską i następującą po niéj spółgłoską mocną, który wynika z przejścia od brzmienia słabego do mocnego, dla przyciągnienia spółgłoski mocnéj—pochylalibyśmy samogłoskę tak. jak ją pochylamy dla przyciągnięcia spółgłoski słabéj. W słowach: *łoza, osa*, głoska *o* nie jest pochyloną, bo następująca po niéj spółgłoska należąc do innéj sylaby, jest tém samém od samogłoski oddzielona; w słowie: *łoz*, dla uchwycenia głoski *z*, pochylamy samogłoskę *o*; *z* nie może być bez-

pośrednie i przedziela je przejście od brzmienia słabszego do mocniejszego." (Odpowiedź na recenzyą). Tak wytłumaczywszy to zjawisko, dodaje znowu: „Daléj samogłoski mogły się pochylić z powodu spłynienia kilku spółgłosek miękkich, tojest wyrabiających się w kanale ust ściśnionym." W tym dodatku zacny Mroziński był już blizko prawdy, ale odskoczył od niéj na bok, przechylając się na stronę wyżéj przywiedzionego rozumowania. Mylnik tu popełniony jest nadzwyczajnie subtelny z powodu cząstkowéj trafności sądu, obok wypadku mijającego się z prawdą. Nie wprowadzano nigdy podziału głosek w grammatykę, o większéj lub mniejszéj ilości powietrza, bo to jest raczéj rzeczą budowy piersi i pełni zdrowia w organizmie indywiduów; ale wszędzie klassyfikowano głoski według organów, któremi lub w których też brzmienia wyrabiano: bo organy są podstawą brzmień, i wszystkim ludom bez wyjątku są dane. Daléj trzeba wiedzieć, iż te spółgłoski zbliżają się więcéj do samogłosek, które nie ilość powietrza mają zbliżoną do nich, ale które w trwałości do nich przystają. Ta ich więc trwałość lub nikłość robi zbliżenie się spółgłosek lub oddalenie ich od samogłosek. Z tego powodu nazwane przez Mrozińskiego spółgłoski mocne, przezwałbym tylko trwałemi, bo ich brzmienie jest dłuższe, przeciąglejsze od im odpowiednich nikłych, i że zawsze są jednakie, tojest nie tracą jakości swojéj czy się opierają na poprzedzającéj, czyli téż następującéj samogłosce; zwane zaś przez niego słabe, nazwałbym nikłemi, bo po samogłosce będąc, brzmienie swoje gubią, a zlewają się w jakości swojéj z tak nazwanemi przez niego mocnemi. Trwałość jednakże lub nikłość nie są jeszcze cechy odróżniające w zupełności spółgłoski słabe od mocnych: to są dopiéro piętna podrzędne. Głównym wyciskiem charakteru obojga jest słabsze lub mocniejsze natężenie czyli napięcie stosownych organów mowy przy ich wymawianiu. Od większego zatém lub mniejszego natężenia organów przy wymawianiu spółgłosek urasta podział ich na *słabe* i *mocne*, czyli co prawie to samo znaczy: *łatwiejsze i trudniejsze* albo *ciężkie* i *lekkie*. Zobaczmy teraz, czy w podanéj wyżéj klassyfikacyi spółgłosek słabych i mocnych jest to przez nas wskazane piętno. Jako żywo! wcale naopak. Gdy z uwagą wymawiać będziemy głosy *b*, *w*, *d*, *z*, i t. d., dostrzeżem przy ich wymawianiu większego usiłowania naszego, niż przy wymawianiu *p*, *f*, *t*, *s*, i t. d.; to dowodzi większego napięcia czyli

natężenia organów mowy przy tak nazwanych przez Mrozińskiego słabych, a mniejszego ich wytężenia przy tak nazwanych przez niego mocnych. Słabe więc jego są rzeczywiście *mocnemi*, a mocne słabemi. Nie widzieliśmyż, jak przenoszone z obcych języków wyrazy nabierają u nas niekiedy w niektórych spółgłoskach przekształcenia na mocniejsze, np. cabinet, gabinet. Nie zdarzyłoż nam się słyszéć cudzoziemców przekręcających *s* na *z*; np. smysły za zmysły, saras za zaraz: *s* im więc przychodzi łatwiéj wymówić, więc mniejszego wymaga usiłowania naszego w wymawianiu: jest więc słabsze w porównaniu do *z*. Zresztą do wymawiania mocnych spółgłosek trzeba więcéj siły i sprężystości w krtani, a wiadomo jest że osoby na krtań chore wymawiają za *d*: *t*, za *b*: *p*. Tak więc jasno jak na dłoni, iż spółgłoskami słabemi są:

p, f, t, s, ś, sz, c, ć, dz, k. obojętnemi n, l, t, r.
mocnemi zaś b, w, d, z, ź, ż, dz, dź: dż, g.

Taki podział niepożyczony od obcych grammatyk, ale nasz własny, polski, z własnych postrzeżeń, na własnych organach w wymawianiu dokonany, jest jak widzimy wręcz przeciwny temu, który się po naszych grammatykach uwijał. Może być, że inne ludy mają inne organa, albo zdają się miéć; niech im się zdaje, ale my swoich nikomu nie odstępujmy, aby, mówiąc na wiarę za drugiemi, nie wystawić się na śmiéch, iż nam samodzielności niedostaje.

Poznawszy teraz naturę spółgłosek mocnych i słabych, łatwo zrozumiemy zjawisko pochylania się samogłosek *o* i *e* na *ó* i *é*. Zpomiędzy samogłosek, *krańcowemi* i najbardziéj ścieśnionemi są *u*, *i* i *y*; *a* jest *najszérszą*, *o* i *e* są *pośrednie*. Ponieważ jedném z kardynalnych praw fonologii jest kombinacya głosek z sobą taka, iżby ztąd i ucho miało dźwięk pewny i przyjemność, a organ łatwość w wymówieniu; teorya pochylania się samogłosek łatwo się da zrozumiéć. Spółgłoski mocne z natężeniem się wymawiają, organ więc już odpowiedni ścieśniając kanał ust nie dozwala wymawiać otwarto poprzedzającéj samogłoski otwartéj. Spółgłoski mocne ciężkością swoją opierając się na poprzednich samogłoskach, pochylają je, tojest odbiérają swobodność głoskom *o* i *e*, ścieśniając je na *ó* i *é*. Jak spółgłoski mocne, tak podobnie płynne nieodbijające się i miękkie węższym kanałem ust wymawiające się, aby ze samogłoskami współbrzmiéć mogły, powodują przemianę otwartych samogło-

sek na ścieśnione, aby przez to zbliżyć naturę głosów do brzmień, dopomódz organowi do większéj płynności i ułatwić wymawianie samo. Jakżeby bowiem trudne było organowi do wyrażenia, przejście od samogłosek większego otwarcia ust wymagających do spółgłosek w ciasnym kanale ust urabianych, na których też spółgłoski opiérać się muszą. Nie jest tu żadna attrakcya samogłoskowa, bo samogłoski jéj wywierać nie mogą, nie mając brzmienia, ale po prostu ciężkość spółgłoskowa wywarta na samogłoskach, z któremi spółgłoski łączyć się muszą; gdzie ta przyczyna ustaje, ustaje zarazem i skutek, tojest samogłoski *o* i *e* nie ścieśniają się. Samogłoski *ó* i *é* są tém samém, czém *o* i *y*, ale są w języku dla wykazania źródłosłowu, i ztąd się *źródłosłownemi* zowią.

(Dokończenie nastąpi).

PÓŁNOC SKANDYNAWSKA

W CIĄGU OSTATNIEGO PÓŁWIEKU.

Ruch umysłowy w Szwecyi.

Przystąpmy do Szwecyi od strony Baltyku. Podróżnik wyruszywszy z Kopenhagi lub Stralsundu, z równin duńskich lub obszernych płaszczyzn Pomorza, gdy ujrzy wielki archipelag zwany Skär-Gart, poprzedzający Sztokholm; przekona się, że się znajduje wobec zupełnie innéj przyrody niż na stałym lądzie Europy. Tu albowiem sterczą skały granitowe skruszone ręką czasu, z których połowa porwana pędem wody, przepłynąwszy Baltyk i łożyska wielkich rzek niemieckich, zaległa głąb niemieckiéj ziemi; druga zaś połowa wstrzymana własnym ogromem, na kilka mil od morskiego wybrzeża otoczyła się zwolna cieniem ponurych jodeł. Żaden ptak nie przerwie ciszy owych głuchych lasów, żadna rybka nie pluska tu w czystéj wodzie, któréj kamienny pokład nie żywi ani robaczka, ani najmniejszego owadu. Nie widać tu innego śladu roślinności oprócz owych jodeł, suchych, prostych i wyniosłych, pokrytych u wierzchołków jednostajnemi barwami.

Stolica sama zaledwie przytwierdzona jedném z przedmieść do stałego lądu Szwecyi, zbudowaną jest na drobnych wyspach, pomiędzy jeziorem Meler i jeziorem Słoném, czyli właściwie mówiąc morzem, którego fale płyną spokojnie, rozbite wielokrotnie o tysiące drobniuchnych wysepek, poprzedzających przystań morską. Jestto północna Wenecya, któréj brak tylko kwiatów i sztuki włoskiéj. Ale Szwed nie bez powodu

chlubi się wspaniałą postawą swéj stolicy, oraz atmosferą czystą i ożywczą, nadającą szlachetnemu narodowi siłę i zdrowie tak ciała, jako i duszy.

W Sztokholmie lato wprawdzie krótko panuje, ale za to suche bywa i pogodne; w zimie zaś, gdy jeziora pokryte są grubym lodem, mnóstwo sań snuje się po nich przy połysku bladego słońca, którego promienie odbijają jasno w dyamentowych kryształach śniegu. Meler, sławny z swych wybrzeży, otoczony jest niezmierzonym widnokręgiem. Ponury jego majestat, budzi zarazem uczucie podziwienia i smutku. Zaledwie wzdłuż niezliczonych zatok oko dojrzy niekiedy dęby rosnące gdzieniegdzie między sosnami. Cała północno-wschodnia strona Szwecyi, tojest okolica Sztokholmu i Upsalu, przedstawia widok zupełnie jednostajny. W zachodniéj i środkowéj części kraju, roślinność obfitsza i nietyle ponura, przypomina więcéj ląd stały; ale za to ziemia poprzerzynana niezliczoném mnóstwem jezior, potoków i kanałów, nadaje okolicy pewną oddzielną barwę, któréj nie brak wielkości i powagi.

Takim jest ogólny widok Szwecyi. Zdumione oko podróżnego podziwia naprzemiany: to ogrom przestrzeni, to jeziora i wyspy niezliczone, to ziemię najeżoną granitem, na któréj zboże nie dojrzewa corocznie, to wreszcie chłodne i ponure pustkowia. A ową wielką przestrzeń, która stanowi piątą część Francyi, zamieszkuje zaledwie 3,500,000 ludności!

Dzieje Szwecyi podobne są do jéj fizycznéj postawy; odznaczają się bowiem wielkiemi rysami, częstokroć nawet krwawemi. Liczne zamki szwedzkie bogate są w straszne wspomnienia, a poszukiwacze starożytności odkrywają w nich corocznie ślady dawnych walk i zbroje starych Wikingów. Szwecya, owa ojczyzna Tegnera, autora sag, i Gejera, który wyszukiwał w jéj dziejach bohaterskiéj strony, jest rzeczywiście ojczyzną północnéj epopei.

Dania przeciwnie, najmniejszego nie ma z Szwecyą podobieństwa. Skoro tylko rzucimy okiem na wybrzeża Sundu, różnica staje sie widoczną. Tu znajdujemy znów rozmiękczoną Europę. W miejscu owych wielkich chat szwedzkich z drzewa, malowanych czerwono, wznoszących się gdzieniegdzie wpośród sosen i pustyń skalistych; ujrzysz tu obszerne włości, których dworki ceglane, wdzięcznie wyglądają zpośród świeżéj zieleni. Im bardziéj zbliżamy się do Kopenhagi, przebywając

Sund z północy na południe, tém bardziéj ożywia się krajobraz. Minąwszy ładne miasteczko Elseneur, widzimy obszerne łąki i lasy, a poza niemi spostrzegać się daje pyszna królewska rezydencya Fredensborg. Śliczne ogrody w Klampenborg i Charlottenlund, przedstawiają daléj rozkoszny widok, jakiego nie napotykamy nigdzie na wybrzeżu szwedzkiém, rozciągającém się właśnie naprzeciwko, i pod tym samym stopniem geograficznéj szerokości. Lud tutejszy jest żywy, lekki, pełen dowcipu i serca. Z przyjemnością słuchamy w Kopenhadze opowiadania, jak duńska flota blokowała pruskie porta, jak umarł dzielny generał Rye, oraz szczegóły obrony Frederikstadtu i bitwy pod Idstedt, wygranéj przez generała Meza. Ciekawym jest widok żołnierzy i dzieci ludu, zgromadzonych przed sklepem rycin, jak sobie nawzajem tłumaczą wypadki w których czynny brali udział. Lud duński lubi opowiadania połączone z mimiką, ma oraz upodobanie w pieśniach. Gieniusz dramatyczny przemaga wyraźnie w ojczyznie Holberga i Oehlenschlägera.

Bardziéj liryczne natchnienie, czerpali poeci i artyści norwegscy w czytaniu starych sag skandynawskich, oraz w pysznych widokach dzikiéj swéj przyrody. Śpiéw narodowy Norwegczyków wyraża w sposób charakterystyczny: wzniosłą dążność, odbijającą się w całéj ich literaturze. „Jak wspaniałym jest mój kraj, mówi pieśń, jak piękną jest stara Norwegia, oblana morzem dokoła! Patrz na te dawne twierdze z granitu, które stawiają czoło wiekom! Owe grobowce piérwszéj epoki świata pozostają same jedne wśród wzburzonéj ziemi, jakoby rycerze w sinéj zbroi w hełmie srébrnym na czole! Na lodach Norwegii, bóg Thor założył swoję stolicę: kiedy rozpuści wóz swój po szarém niebie, chmury powtarzają stokrotnie jego imię i opowiadają Północy jego chwałę, oraz chwałę starych bohaterów".

Szwecya, Dania i Norwegia, trzy narody odmiennéj wcale postaci, odzywają się także, każdy właściwym sobie tonem, w koncercie narodów europejskich. Ostatni przybysze w wielkiéj chrześciańskiéj rodzinie, trzy owe narody zachowały dotąd niezatartą pamięć wspólnéj kolebki. Dokładne objaśnienie ciekawéj rozprawy Tacyta o religii i obyczajach piérwszych Germanów, znajduje się w sagach islandzkich. Wspaniałe muzeum skandynawskie w Kopenhadze, podaje nam ciekawe szczegóły względem ich piérwotnego pochodzenia, a narzecza germańskie odkrywają wiele ważnych tajemnic tym, którzy

zbadali północne języki. Państwa skandynawskie zawdzięczają naprzód chrześciaństwu, następnie zaś Francyi udział swój w sferze kontynentalnéj polityki; zachowały téż ztąd dla Francyi synowskie niejako współczucie.

Francya nie może więc patrzéć obojętném okiem na wewnętrzny niepokój, burzący od lat kilku łono trzech wspomnionych narodów. Dania była jéj najwierniejszym i ostatnim sprzymierzeńcem w walce przeciw całéj Europie. Szwecya wpisała w swe roczniki dwie daty, ważne zarówno w dziejach Francyi: rok 1648 i 1812. Norwegia połączona od 1814 roku z państwem szwedzkiém, więcéj zachowała swobód w swych instytucyach, niżeli niejedna rzeczpospolita. Owe trzy państwa położone na północ starego lądu, pomiędzy Anglią i Rossyą, mogą w razie rozterków europejskich służyć za przeciwwagę, lub téż być średnim punktem najważniejszych działań.

Wobec tylu niebezpieczeństw, ludy skandynawskie trzymają się silnie. W roku 1849 Dania odniosła przewagę nad Niemcami pod Frederycią i Idstedt... Zarówno objawiła się myśl nowego zjednoczenia pomiędzy ludami skandynawskiemi, a każdy z trzech narodów pochwycił ją gorliwie. Obecny ruch polityczny objawił się poprzednio w ruchu literackim w tenże sam sposób, jak we Francyi w piérwszéj połowie XIX wieku. Od lat pięciudziesiąt, pewne odrodzenie ożywia literaturę ludów północnych. Nowa szkoła poetów, zwana u Szwedów *Fosforystami*, zrzuciła jarzmo francuzkiego smaku (który rozszerzył się do najwyższego stopnia za panowania Gustawa IIIgo) i dała początek szkole tak zwanéj *gotyckiéj*. Szkoła ta czysto narodowa, otrząsła się z wszelkich obcych wpływów i wygnała wszelkie naśladownictwo. Poeci szukając wyłącznie natchnienia w przeszłości swego narodu, wskrzesili dawną skandynawską sławę i zbudzili instynkt narodowy nietylko w Szwecyi, ale zarazem w Danii i Norwegii. Pamięć wspólnego pochodzenia i dawnego przymierza obudziła wstręt do domowych wojen; trzy narody północne w wzajemnych walkach nabrawszy wzajemnego dla siebie szacunku, zapragnęły poznać się bliżéj, aby się lepiéj pokochać; a poeci, piérwsi rzucili myśl nowego zjednoczenia, odnosząc do wspólnego źródła ich język i literaturę.

Z trzech narodów skandynawskich, Szwecya niewątpliwie najgorliwiéj zajętą była wewnętrzną pracą, przez ostatnie pół

wieku. Nazywają niekiedy Szwedów *Francuzami Północy*; a jeden z najpiérwszych szwedzkich krytyków, Ehrensvärd, słuszniéj jeszcze powiedział: że Szwedzi są narodem zarazem powolnym i żywym. Powolność w wykonaniu, obok żywości w pojęciu; oto rzeczywista zaleta szwedzkiego narodu. Szwecya piérwsza dała popęd ruchowi literackiemu, jaki się objawił na Północy od lat pięciudziesiąt, jako téż idei skandynawskiéj; a jednak konstytucya jéj ułożona naprędce w roku 1809 skutkiem rewolucyi militarnéj i uznana za niedokładną, pozostała w wykonaniu aż dotąd, z małoznaczącemi zmianami. Reforma téjże konstytucyi jest od lat kilku celem powszechnych życzeń narodu szwedzkiego, a jednak usiłowania komitetów i dzienników, okazały się dotąd bez skutku. Odbicie wypadków lutowych 1848 r. dało się czuć i w Szwecyi, nie przyspieszyło to wszakże stanowczego rozstrzygnienia. Szczęściem dla Szwecyi, że posiada w własnym narodowym gieniuszu skuteczne środki na wszelkie niebezpieczeństwa, w jakie może ją wciągnąć charakter narodowy. Nie ma ona powodu obawiać się wstrząśnień politycznych, albowiem lud szwedzki ma głęboko zaszczepione uczucie religijne. Szwecya zatém jako główny teatr odrodzenia umysłowego i politycznego, objawiającego się dziś na Północy, zasługuje podwójnie na uwagę i może być ciekawą skazówką ruchu, wstrząsającego dziś krajami skandynawskiemi.

I. Fosforyści i szkoła gotycka.

Ścisłe węzły wiążą Szwecyą do Francyi. Kiedy na początku XVIIgo wieku Henryk IVty podniósł piérwszy w Europie sztandar swobody religijnéj w obec zagorzałéj Hiszpanii, oraz sztandar równowagi europejskiéj w obec zaborów austryackiego domu; kiedy Richelieu i Mazarini uświęcili chwalebnym traktatem 1648 roku owe podwójne zwycięztwo; kiedy nakoniec Ludwik XIVty (według wyrażenia jednego z pisarzy) rozsiał szeroko po Europie woń lilii zwycięzkiéj: wówczas Szwecya połączoną była z Francyą stałém i ścisłém przymierzem. Francya zbierała wojenne wawrzyny wraz z *Gustawem Adolfem*, *Banerem*, *Torstensonem* i *Wranglem*, a cesarskie woj-

ska usuwały się przed królem arcychrześciańskim, połączonym z lutrami Północy. Francya zawdzięczając Szwecyi wierne przymierze, wprowadziła ją na łono europejskiego społeczeństwa. Szwecya z swéj strony wycisnęła na sobie wyraźne francuzkie piętno; duch i charakter narodowy skłaniały się ku naśladownictwu.

Za czasów Gustawa IIIgo duch francuzki panował zarówno w obyczajach jako i literaturze szwedzkiéj.

Gustaw sam wielbił Woltera i miłował Rasyna. Lubił on wyłącznie francuzkie książki, gardził Szekspirem i nienawidził zarówno z tabaką, język i literaturę niemiecką. Czytywał on w obozie w czasie wojny finlandzkiéj powieści Marmontela. romanse pani Lafayette, a tłumaczył Henryadę. Podczas powtórnéj podróży do Paryża, gdy 15 czerwca 1784 roku, po przyjęciu Monteskieugo do akademii francuzkiéj, książę marszałek de Duras przedstawił królowi szwedzkiemu wszystkich swoich współkolegów; Gustaw powitał członków akademii cytacyami z ważniejszych ich dzieł, nie wyłączając nawet grammatyka Beanzee, któremu nie szczędził słów pochlebnych.

Na teatrze sztokholmskim, otworzonym przez Gustawa, odegrywano w obec dworu znaczniejsze sztuki francuzkie, oraz szwedzkie naśladownictwa. Król sam przewodniczył wyborowi sztuk, i zachęcał aktorów obecnością swą nietylko na przedstawieniach, ale nawet i na probach. Grywano nawet pod pseudonimem wiele komedyj samego króla, które tworzył w ulubioném swojém małém ustroniu Haga (lille Haga), prześlicznym zameczku, leżącym o milę odległości na północ Sztokholmu, wpośród pysznego parku, założonego według planu samego Gustawa w rodzaju Trianon. Tamto dodziśdnia mieszkańcy Sztokholmu lubią oddychać świeżém powietrzem i przypatrywać się ucztom królewskiéj rodziny.

Rozpowszechniając smak w teatralnych przedstawieniach, Gustaw natchnął Szwedów zamiłowaniem opery, maskarady i turnieju. Wymagał on od kobiét i szlachty wielkiego zbytku w strojach. Ubiór galowy był jedwabny z niebieskiego atłasu lub innéj tkaniny, podszyty biało; król sam nosił strój fantastyczny jedwabny, na wierzchu zaś purpurowy bogato haftowany złotem. W roku 1776 wydano 50,000 talarów na turnieje, a Gustaw przebrany za obcego rycerza walczył w szran-

kach, utrzymując orężem zdanie: „że miłość panuje z największą siłą i stałością w sercach, które ją późno poznały."

Chcąc nadać pracom poetów i dramatyków popęd jednostajny i ogólny, Gustaw IIIci założył w roku 1786 akademią, złożoną z ośmnastu członków, któréj wyłącznym obowiązkiem było utrzymać kwitnącym w Szwecyi dobry smak wersalskiego dworu. Jakkolwiek przejęty zasadami filozoficznemi, Gustaw lubił jednak okazałość, i namiętne miał zamiłowanie w pełnych wytwornego smaku ówczesnych obyczajach dworskich; a gdy późniéj nieco uniesiony rycerskim duchem, postanowił uczynić wyprawę w celu przywrócenia na tron Ludwika XVIgo: niepomału podniecały królewski zapał tkliwe wspomnienia rogówek i fryzur wersalskich. Pisarze szwedzcy przyjęli bez trudu kierunek, jaki im z góry wskazywano. Dwór popisywał się na wyścigi z miastem, z piękną francuzką wymową i ubiegał się w czytaniu francuzkich klassyków. Język szwedzki niedawno wyrobiony, napełnił się wyrażeniami obcemi, i niemal że nie pozbył się nazawsze własnéj oryginalności. Łatwo było odgadnąć, co ztąd wyniknie. Ślepe naśladownictwo nie dopuszczało rozwinięcia się samoistnego, a forma pochłaniała rzecz samą, tak, że nietylko styl i gieniusz szwedzki postradał barwę czysto narodową, ale i gieniusz francuzki przedstawiał się jedynie poetom szwedzkim w potrójnéj jedności: w Alexandrynach i dydaktyzmie. Ośmnastu nieśmiertelnych umyśliło dla swego pożytku ulać poetyczną formę, do któréj każdy z ubiegających się o akademicką palmę, musiał się bezwarunkowo naginać. Gustaw IIIci był piérwszém bóstwem na owym Parnasie. Wieńczono wielokrotnie jego tragedye i rozprawy historyczne, i uprawiano na sztucznym i jałowym gruncie kwiaty bez życia i woni, egzotycznéj retoryki.

Głównym bohaterem owéj urzędowéj literatury był radca kancellaryi Leopold, który w satyrze dał dowód pewnéj zdolności, lecz za to dzieła jego dramatyczne są jedynie naśladownictwem zimném i jednostajném francuzkich klassycznych arcydzieł, a proza pełną przesady i skażonego smaku. Duch ówcześnie panujący w Sztokholmie przyodziewał w nowożytne szaty mitologią grecką i starożytność klassyczną, oraz przekształcał haniebnie bohaterów starożytnych skandynawskich bajek. Leopold posunął do najwyższéj przesady ten rodzaj, i nieszczęściem, stworzył szkołę. Pani Lenngren, kobiéta pełna

dowcipu, pisząca w owym czasie, obróciła w śmieszność to ubieganie się za fałszywym blaskiem. W nader ciekawym ustępie, ukazuje nam Olimp przeistoczony w sztokholmski salon: bogowie rozmawiają między sobą, lub grają w loteryą, podczas gdy Jowisz bawi się spokojnie z piorunem i pije nektar ciekący mu po brodzie. Mars czytając dziennik, woła zachwycony: „Bravo Bonaparte!" Wulkan stojący z młotem w ręku kuje pioruny i przeklina zcicha wielkiego władcę Olimpu. Bachus w zwykłém upojeniu, tkliwy jest i wesół, a Apollo przygrywa na lirze.

Już w końcu panowania Gustawa III zaczęła świtać zorza odrodzenia. Minęły czasy fantastycznych zmyśleń, a wśród nowego ruchu, jaki wzbudziły w Europie francuzkie wypadki, literatura miała także niepoślednią rolę: zbudzenie i obronę różnych narodowości. Potok pędzący z Francyi, jakby z rozhukanego oceanu, zalał niebawem Niemcy, a państwa skandynawskie uczuły ostateczne jego odbicie. Nowe wyobrażenia wzrastały bujnie; Niemcy ocknęli się z uśpienia z zapałem i męzką samodzielnością. Schiller, Goëthe, Wieland, Jean Paul i Schlegel, nadali ojczyznie swéj wiek literatury, zapowiedziany przez Klopstoka i Lessynga. W Szwecyi także zrodziła się nowa szkoła poetów, któréj natchnienia bardziéj jeszcze były niepodległe.

Kellgren, jakkolwiek samodzielniejszy lubo mniéj wyćwiczony od Leopolda, nie zapowiadał jeszcze nowéj szkoły. Utwory jego należą wyłącznie, tak duchem i zdolnością pisarza, jako téż wyraźną dążnością, do wieku Gustawa III. Wallenberg, Lidner i Thorild, stanowią dopiéro prawdziwe przejście z owéj epoki do epoki odrodzenia szwedzkiego. Pełni życia i oryginalności, w chwili gdy ich współziomkowie naśladowali i powtarzali niezręcznie cudzoziemców; oni oświadczyli stanowczo: że gieniusz narodowy dość jest bogatym, aby się mógł obejść bez obcych wzorów, że wymaga tylko głębokiéj uprawy umysłowéj. Wallenberg, duch fantastyczny i szyderczy, bogaty w to, co Anglicy nazywają „*humour*" nie szczędził w poetycznych swych urywkach żartów i zręcznéj gry wyrazów; a niewyczerpany jego dowcip jaśniał czystém światłem, obok fałszywego blasku z czasu panowania Gustawa III. Pomijając jego podróż do Indyj, znaną powszechnie na Północy, ogromna panowała różnica pomiędzy przesadną skromnością utworów akademickich,

a wesołym dowcipem, jaki odbija się w śmiałém oświadczeniu poety: „Jestem człowiekiem (mówi on), nie chcę więc bynajmniéj poddać karku pod jarzmo grammatyków. Niech Quintylian i Donat pozostaną na szkolnych ławkach: formuły są martwém brzemieniem, ciążącém bez litości na umyśle pełnym życia. Niechaj rozum będzie sam sobie przewodnikiem! Ktokolwiek nie ma w sobie uczucia piękności, wielkości i prostoty, temu nie nada ich Arystoteles. Homer nie czytał zasad rymotworczych; a Pliniusz młodszy mówi o znanym krasomówcy, który nigdy nie zboczył z wymagalnéj formy, ale któremu brakło ognia i wzniosłości: jedyną jego wadą jest to, że nie ma wady. Oblicze, które przyroda ozdobiła z niechcenia pełnym uroku wdziękiem, więcéj porywa serce, niżeli postać Wenery rozmierzona cyrklem. Jeżeli Helena była tylko regularną pięknością, szaleni byli Grecy, że się o nią przez lat dziesięć spierali."

Takieto nieklassyczne zdania objawiał Wallenberg, za piérwszych jeszcze lat panowania Gustawa III; akademia ośmnastu zbijała z zapałem owe śmiałe zasady. W niewiele lat potém, dał się słyszéć głos nierównie bardziéj namiętny: Lidner obdarzony duszą ognistą, dał się unieść bez hamulca gwałtownéj wyobraźni. Życie jego było istnym romansem pełnym nadużyć, a muza wydobywała naprzemiany z jego lutni natchnione pieśni, lub téż najdziksze tony. W *Medei* napotykamy ustępy pełne energii i wiele scen skreślonych z niezrównaną siłą; ale nieszczęściem, charakter osobisty Lidnera nie stał na równi z jego poetyczną zdolnością: poeta więc nie szczędzi nadzwyczajnych pochlebstw dla Gustawa, które nie ustępują bynajmniéj, co do piękności wyrażenia, jego odzie do Washingtona i Amerykanów, oraz innym utworom tego rodzaju.

Thorild, mniéj gwałtowny od Lidnera, ale surowszy i wymowniejszy, ułożył w pewną systematyczną zasadę to, co Wallenberg powiedział mimochodem o swobodzie potrzebnéj w poezyi. Oburzony, że kraj jego stał się „przedpokojem Francyi" odważył się piérwszy wobec panującego francuzkiego wpływu wymówić nazwiska Szekspira, Klopstoka, Goethego i Ossyana. Thorild był głębokim i samodzielnym myślicielem; kochał z zapałem poezyą, czuł jéj piękność w najdelikatniejszych odcieniach. Poemat jego „*Namiętności*" napisany wierszem nierymowym, dowodzi nawyknienia do filozoficznych rozmyślań. Swoboda umysłu i sądu, charakteryzująca Thorilda, wskazywa-

ła go zawczasu, jako nieprzebłaganego wroga klassycyzmu i francuzczyzny. Kiedy roku 1791 ogłosił swój *projekt do prawodawstwa w świecie intellektualnym*; akademik Leopold odpowiedział mu pisemkiem pod tytułem „Kwestya o nowym projekcie do prawodawstwa w świecie intellektualnym.“ Obrońca klassycznéj szkoły, zebrał w pomienioném piśmie niesłychaną liczbę słabych i źle rozwiniętych dowodzeń. Thorild odpowiedział na nie broszurą pełną życia i dowcipu; wiele wprawdzie umysłów przeciągnął na swoję stronę, ale niemniéj téż zgotował sobie wielu zaciętych nieprzyjaciół. Dzieło jego: *O swobodzie intellektualnéj*, ogłoszone w 1792 roku, sprawiło, iż go powołano przed trybunał i skazano na deportacyą. Przecież opinia publiczna szanowała Thorilda, i zaczęła dzielić jego zasady; a kiedy przyjazne mu zdania głośno objawiać się zaczęły, rząd poprzestając na oddaleniu go z Sztokkolmu, mianował go professorem w Grejfswald w Pomeranii.

Franzen powitał nakoniec melodyjnemi śpiewy nową jutrzenkę wschodzącą nad Szwecyą. Dziécię Finlandyi, urodzony w 1772 roku w Uleaborg, Franzen był najprzód professorem w Abo. Uczciwszy z szlachetnym zapałem dzielność wojsk francuzkiéj rzeczypospolitéj, przedsięwziął podróż do Niemiec, Danii i Francyi. Dziś Franzen jest od lat dwudziestu biskupem w Hernösand, stolicy Aagermanlandu, a jego jurysdykcya rozciąga się aż do wschodnich kończyn Szwecyi i obejmuje koczujące pokolenia Laponów. Porównywano często poezye Franzena, do Medytacyj harmonijnych i religijnych Lamartina; ale natchnienie szwedzkiego poety więcéj ma naiwności i żywsze budzi współczucie. „Spij dziécię (mówi Franzen w jednéj z najwdzięczniejszych swych pieśni)—matka śpiewa, a dziecina słucha. Perła spoczywa na dnie kielicha kwiatu—dziécię spoczywa na łonie matki. Strzeżcie się drobne ptaszęta, nie trąćcie skrzydełkiem kwiatu, nie strząśnijcie perły. Uciszcie się psy i koty, wierni stróże domu, nie zbudźcie dzieciny. Pocałunek matki koi spłakane dziécię; kwiat zamyka kielich—dziécie mróży powieki, odmyka oczki, ale już nie płacze. Oto spoczywa w cichéj kołysce. Głos matki, ręka matki: oto cały świat jego—całe jego życie. Ale niestety, ziarno przyszłości spoczywa w owém uśpieniu. Ślepe uciechy, zwodne nadzieje, czyhają tu jako robak ukryty, który kiedyś splugawi kwiat świeży, skazi owoc i podkopie szczęście! Wkrótce skrzydeł-

ka odrosną—i ptaszyna poleci daleko! daleko! Niestety, w którąż ulecí stronę?"

Wiek XIXty nadszedł nakoniec, a wraz z nim filozofia Kanta, Fichtego i Schelinga; pisma Herdera, Goethego, Schillera, Schleglów i Tiecka, otworzyły poetom i myślicielom Północy świat jeszcze nietknięty. Oehlenschläger był w Danii piérwszym tłumaczem objawiającego się ducha. W Szwecyi Atterbom i kilku innych młodych pisarzy, założyli w Upsalu 1807 roku stowarzyszenie literackie, nazwane ze znaczeniem: „Jutrzenką" (Aurora). Czytali oni, tłumaczyli i badali nowe dzieła niemieckie, znienawidzili chłodne i wyczerpane utwory, jakie zamiłowanie francuzczyzny rozpowszechniło w ich ojczyźnie, nakoniec postanowili uposażyć ją w samodzielniejsze literackie utwory. Należało nasamprzód oczyścić grunt zajęty wyłącznie przez klassyków. Akademia ośmnastu była najsilniejszą twierdzą przeciwnego stronnictwa; należało ją koniecznie zdobyć szturmem, wystawiając przeciw niéj ostrą broń rozpraw i polemiki. Dziennik: „*Phosphoros*" od 1810 do 1815 roku, i „*Polyphême*" od 1810 do 1812 roku, wzięły na siebie ten obowiązek.

Zastęp nowatorów obrócił się najprzód przeciw radcy kancellaryi *Leopoldowi*, głowie akademickiéj szkoły. List krytyczny rozbierający jego dzieła, ułożony przez jednego z członków stowarzyszenia Aurory, dał piérwszy hasło zaczepki. Akademia wydała jęk boleści. Skoro nie szanowano już *Aleksandrynów*, mogłoż cośkolwiek pozostać świętém i nietkniętém? Wallmark w piśmie napół urzędowém, podjął się obrony klassyków. Był on szczerym ich wielbicielem, czego dowiódł ogłaszając około 1804 roku poemat opisowy i dydaktyczny *o ręce*, który akademia ukoronowała. Wallmark więc począł krzyczéć przeciw anarchii i powszechnéj zagładzie: „Noc bogów nadchodzi—mówi on w swoim dzienniku—niech niebo ulituje się nad nami wiernemi sługami majestatu."

Atterbom stanął na czele *Phosphorystów*, a jako poeta liryczny, podniósł walkę. Urywki poetyczne umieszczone w Phosphorasie i Polyphêmie, studya literackie i estetyczne pisane przez niego, jako téż i jego współkolegów, nie były dostateczne do rozstrzygnienia owéj walki; trzeba było powszechnéj i stanowczéj napaści, którą nakoniec Atterbom przedsięwziął. Najważniejszą był mu pomocą Hammarsköld dowcipny polemista,

który rozpoczął z Tegnerem żywą walkę na epigrammaty. Fosforyści pod wodzą dzielnych swych naczelników, pokonali wkrótce Wallmarka i jego *gazetę*, a niemiłosierni nawet po dokonaném zwycięztwie, ogłosili śmieszny poemat: „*Nocy bezsenne Markalla*" jako pogrzebowy panegiryk dla wrogów.

Phosphoryści nie złożyli broni mimo zwycięztwa i nieustannie jeszcze ścigali przeciwników. Sam Atterbom obdarzony wyobraźnią ognistą, wpadł w ostateczność przeciwną téj, jaką obalić usiłował. Nieprzyjaciel zawołany francuzkiego naśladownictwa, przyjął na oślep teutonizm mistyczny, którego fałszywy połysk nie przystawał bynajmniéj do ducha szwedzkiego. Był on na Północy piérwszym uczniem Schellinga, i przejął od filozofii niemieckiéj pozorną głębokość i nadętość języka pełną przesady. O ile więc w swoich romansach i poematach ludowych okazał się prostym i naiwnym, o tyle stał się późniéj dziwacznym i nienaturalnym. Piérwsze jego utwory, jakoto: Kwiaty, Życzenia i inne, pełne są świeżego wdzięku i uczucia.

Wyspa szczęścia, poemat napisany pod wpływem filozofii Schellinga, nie może z niemi wytrzymać porównania.

Jeżeli sam naczelnik romantycznéj szkoły tak fałszywą obrał drogę, cóż się miało stać z jego uczniami? *Palmblad*, dziś professor greckiego języka w uniwersytecie upsalskim, doskonały geograf, równie jak i pisarz znakomity, rozbił swój namiot w romantycznéj strefie Wschodu. Prace braci Szleglów nad językiem sanskryckim i buddyzmem, obudziły w Niemczech szalone uwielbienie. Piérwszym odgłosem jego w Szwecyi był poemat *Amala*, układu Palmblada. Tłum młodych pisarzy puścił się jego śladem, wzywając na wyścigi w poetyczném natchnieniu wspomnień Indyi, jéj palm, paryów, oraz poświęcanych gajów. Palmblad był piérwszym szwedzkim braminem, i niewiele brakło, aby miasteczko Upsala, stara skarbnica skandynawskich wspomnień, nie zamieniła się w indyjską pagodę.

Zarówno jak Wschód, tak i wieki średnie miały swoich wielbicieli. Staguelius zakochał się w gotyckich katedrach, w ich łukach i rzeźbach; usiłował on wskrzesić piérwsze wieki chrześciaństwa, przesiadywał w katakumbach i zaledwie że nie został Anachoretą. Muza jego zamiłowała *Eony* i *Demurgi*, zamieszkała wśród pałaców z kryształu, zdobnych w perły i szmaragdy. Wieki rycerskie z swojemi duchami, wróżkami i staremi bohaterami skandynawskiemi, natchnęły pieśni jego

zapałem mistycznym; a gorąca wyobraźnia poety, owiana chorobliwą fantasmagoryą, uczyniła go w końcu gnostykiem i zwolennikiem Swedenborga. Ling nakoniec dziki i odludny, przejął się wzgardą i politowaniem dla owego nędznego świata, wśród którego rzucił go traf nieszczęśliwy. Excentryczny poeta, zaledwie mógł dać wiarę, że owi Szwedzi chudzi i jasnowłosy, jego współrodacy, mogli być prawemi potomkami dzielnych i potężnych Berserkiersów. Rozgniewany i upokorzony takowym upadkiem ludzkiego plemienia, przejął się dziwacznym i ponurym liryzmem. Leżąc na ziemi z kredą lub węglem w ręku, pisał on na podłodze, na murze, lub też na świstku papieru wiersze, które przyjaciele jego starannie zbierali. Tym sposobem ogłoszono kilka jego utworów dramatycznych, oraz wielkie poemata o starożytném plemieniu Azów i o Gylfie władcy szwedzkim, poprzedniku Odyna. Poezya jego jest pełną ognia; niekiedy dzika, ale zawsze wzniosła i szlachetna. Ling ukazywał się zwykle owinięty wilczą skórą, która okrywała go całego; widać tylko było zpod niéj małą głowę i wzrok przenikliwy poety. Rosły i krzepki, lubił on nadewszystko ćwiczenia ciała: jeździł konno, biegał i pływał naprzemiany, badał z szczególném zamiłowaniem gimnastykę, opierając ją na zasadach anatomii i fizyologii: dwóch nauk, które, jak mówił, dają nam poznać arcydzieło stworzenia, ciało ludzkie, i które objawiają zarazem człowiekowi jego wielkość i nieudolność. Wielbiciel wychowania spartańskiego, Ling głosił, że gimnastyka tylko może odrodzić Szwecyą, a systemat jego zastosowany w roku 1813 w szkołach państwa jako też i w wojsku, przyjętym został wkrótce przez Danią i Niemcy. Dziś nawet jeszcze Branting, wierny uczeń Linga, rozwija z wielkiém powodzeniem w Sztokholmie naukę, któréj Ling położył piérwsze zasady.

Nie sam tylko Ling powziął myśl nadania Szwecyi nowéj siły i dzielności, wskazując jéj na wzór dawnych jéj bohaterów, oraz dzieje pierwotnych jéj wieków; Tegner i Gejer, dwa największe imiona z literatury szwedzkiéj, dumni z swego rodu, wyobrazili sobie zarówno, że przeszłość Szwecyi dość była wielką, dość bogatą w chwalebne przykłady i poetyczne obrazy, aby natchnąć poetów, żołnierzy, słowem całe ludy skandynawskie. Wraz z opisem bohaterskich wypraw, których Wiking i Berserker głównemi byli bohaterami, połączyli oni pyszny

obraz wspaniałéj północnéj przyrody. Szlachetnym celem ich szkoły (któréj nadano nazwę gotyckiéj) było zbudzenie głębokiéj czci dla pięknéj ojczyzny Skandynawów, zachęcenie historyków i poetów do uprawy tak bujnéj niegdyś niwy, otworzenie im bogatéj skarbnicy starożytnych sag; słowem zwrócenie ich z drogi ślepego naśladownictwa obcéj literatury, do czystego i obfitego źródła domowéj poezyi. Szkoła gotycka połączyła się z Fosforystami, ale zarazem oznaczyła mądrze granice swoich działań. Fosforyści, którzy obalili klassyków z czasów Gustawa III, sami naśladowali jeszcze obce literatury, stali się bowiem uczniami Anglii i Niemiec, porzuciwszy francuzkie wzory; poeci gotyccy przeciwnie, usiłowali pozostać czysto-skandynawskiemi. Gejer, przyjaciel i kolega Atterboma, nie uległ jak on dziwacznym i excentrycznym uniesieniom. Podniecony przykładem wielkiego duńskiego poety Oehlenschlägera, który w miejscu czczéj i sztywnéj poezyi Baggesena, położył zasady czysto narodowéj literatury; Gejer zajął się w 1811 roku wydaniem pisma pod tytułem: „*Iduna*", w którém zamieścił swoje najpiękniejsze utwory, jakoto: *Ostatniego Skalda*, *Wikinga* i inne. Owe prześliczne poezye, pełne prostoty i siły, zdziwiły Szwecyą. Rozeszła się z nich po kraju jakoby woń żywiczna sosen, przypominająca starożytne puszcze Północy. Słowa Gejera przejęły wskróś serca Szwedów, gdy poeta zmienił się w dziejopisarza. Jego historya Szwecyi na wielką ułożona skalę, któréj zaledwie część piérwsza ukazała się, dała nowe zupełnie znaczenie mitologii skandynawskiéj i odkryła w niéj nieznane dotąd światło. Jakoż nie jestże najpiękniejszym przywilejem historyka odgrzebywać z gruzów zapadłéj przeszłości szlachetne czyny narodu, doprowadzić go do pojęcia wszystkiego co wielkie i piękne, przez wspomnienie własnych jego dzieł!

Najwyższym tryumfem szkoły gotyckiéj była *saga Frithiof*, Tegnera. Szwecya zdobyła odtąd narodową epopeę; nie mogła więc już powątpiewać o przyszłości nowéj literatury, osiągnęła bowiem przepowiedziane jéj cuda.

Poeta nie przepomniał o niczém: ani o dzikiéj piękności starożytnych puszcz, ani o rycerskich czynach Wigingsów, ani o wdzięku niewinnym skandynawskich dziewic. Poemata *Axel* i *Piérwsza kommunia*, niemniéj dotykały żyłki narodowéj; piérwszy z nich bowiem przywodził drogie Szwecyi wspomnie-

nie Karola XIIgo; drugi opiewał obyczaje głęboko religijne wiejskiego ludu. Szkoła gotycka przynosiła więc, jak widzimy, potężne wsparcie Fosforystom naprzeciw szkole klassyków, która już i bez tego zupełnie była pokonaną. Pokój został zawartym; Atterbom piérwszy żądał pojednania. Udał się sam do Leopolda, z którym tak długo toczył niegdyś walkę, zasiadł obok ślepego poety i korząc się, powtarzał najpiękniejsze ustępy klassycznéj poezyi utworu samegoż Leopolda. Starzec odpowiedział na to, przytaczając urywki z poezyi Atterboma, z *Axela*, *Frithiofa* i *słońca* Tegnera, z *Swante Sture*, *Franzena*. Pamiętne to spotkanie o którém wspomina Tegner, zbliżyło obiedwie szkoły, które od téj chwili połączyły się nawzajem i zjednoczyły wspólne usiłowania, aby nadać Szwecyi narodową poezyą.

Następcami owego ruchu poetycznego i literackiego, który usiłowaliśmy skreślić, są znakomite imiona dzisiejszych pisarzy, tak w rodzaju pięknéj literatury, jako téż w utworach dramatycznych i powieści. Dwa dramata Börjessona: „Śmierć Eryka XIV, i: Śmierć syna Erykowego" otrzymały wielkie powodzenie. Blanche, autor tragedyi p. n.: „Engelbrecht" utworzył wiele sztuk teatralnych i kilka popularnych powieści. Obrazy z życia Fryderyki Bremer, i powieści moralne pani Carlen, znalazły wielu czytelników w Szwecyi i Anglii. *Jolin* i *Nybom* zjednali sobie w kraju sławę, pisząc urywkowe poezye, *Mellin* odznaczył się w historycznéj powieści, a *Wennerberg* w śpiewkach p. n.: „*Gluntz*, *Almqwist*"; napisał on jakie pięćdziesiąt tomów nie bez pewnych zalet, ale zgubił się sam zbyt fantastycznym humorem. *Malström*, młody wychowaniec upsalskiego uniwersytetu, dał dowód niepospolitego talentu i piękną rokuje przyszłość. Nakoniec wielu poetów fińskich przyczyniło się od lat kilku znakomitemi swemi pracami, do utrzymania literackiego ruchu w Szwecyi. Ów nowy popęd, zwany przez Niemców Finomanią, objawił się niedawno pomiędzy Finami. Nauka starożytnego fińskiego języka, poezye ludowe, żyjące podania, szczególnie pomiędzy mieszkańcami Karelii, stały się piérwszym żywiołem nowego zwrotu. Przegląd literacki i filozoficzny, drukowany w języku szwedzkim pod napisem: „*Suomi*" zajmujący się wyłącznie Finlandyą, oraz dziennik finlandzki „*Suometar*" wzięły sobie za cel zjednoczyć rozproszone prace. Ów popęd narodowy wydał już słownik fiń-

ski *Reunwalla* w 1826 roku, ogłoszenie wielkiéj epopei *Kalewala* w 1835 r. i *Kanteletara* czyli zbiór starożytnych krajowych śpiewów, w 1841 roku, staraniem uczonego Eliasza *Lönrot*. Wielu poetów finlandzkich zjednało sobie znakomite imię w literaturze szwedzkiéj. *Kellgren* i *Franzen* urodzili się w Finlandyi; *Snellman* (którego dziennik drukowany w *Kuopio* pod napisem: *Literatur-Blad*, przez długi czas był jednym z najlepszych organów krytyki północno-skandynawskiéj), jest dziś kupcem w *Helsingfors*; *Cygnasus* ogłosił zbiór pięknych poezyj; *Topelius*, który wydaje obecnie Dziennik helsingforski, okazał się jako poeta liryczny, godnym następcą Franzena; *Berndtson* nakoniec znany z swych lekkich poezyj, ogłosił w roku zeszłym dramat wierszem, którego treść wziętą jest z wypadków 1809 roku, pod napisem: „*Karta jedna z walki życia.*" Dramat ten mieści go w rzędzie piérwszych narodowych finlandzkich poetów, oraz piérwszych dramatyków północnéj Skandynawii. *Runeberg* nadewszystko, professor gimnazyum w blizkości *Helsingfors*, wzniósł się do szczytu poezyi i prawdy w swych poematach, pod napisem: „*Noc zazdrości*" i „*Opowieści Stala.*" Obrazy jego pełne życia zyskały popularność. *Runeberg* i *Malmström*, piérwsze dziś trzymają miejsce pomiędzy poetami szwedzkiemi. Ażeby dać wyobrażenie o ich talencie, przytaczamy tu kilka urywków w tłumaczeniu. *Runeberg* ujął w czysto narodowe ramy swoje poetyczne opowieści; mały jego poemat pod napisem: „*Wieśniaczka*" który tu umieszczamy, pełen jest powagi i wdzięku.

Wieśniaczka.

„Słońce zachodzi i wieczór się zbliża; miły wieczór letni. Ciepła łuna napół pokonana szarym pomrokiem, otacza jeszcze chaty i pola. Gromada wieśniaków strudzonych dzienną pracą, wolnym powraca krokiem. Spełnili oni ważne dzieło, dokonali żniwa, obfitego żniwa: pobili bowiem wroga. Słońce wschodziło gdy szli na bój krwawy; wieczorem bój skończony.

Niedaleko pola bitwy, nad brzegiem drogi, jest wioska napół bezludna. Na progu biednéj chaty stoi wieśniaczka; nie mówiąc słowa patrzy na gromadę postępującą w milczeniu: zda się, jakby kogoś szukała. I któż myśl jéj odgadnie? Lica jéj

krasi rumieniec, podniesiony jeszcze świetną barwą nieba; stoi w milczeniu, ale pierś jéj wznosi się niespokojem: można policzyć uderzenia jéj serca.

Gromada ludu postępuje naprzód, a wieśniaczka przebiega okiem każdy szereg, każdego zosobna człowieka. Wzrok jéj jest zapytaniem, zapytaniem drżącém i lękliwém, zapytaniem bez odpowiedzi, zapytaniem bardziéj głuchém i milczącém, niż ów jęk wydzierający się z jéj wezbranéj piersi.

Skoro gromada ludu przeszła od piérwszego aż do ostatniego, zmącił się spokój kobiety: złamana jéj siła. Milczy jeszcze, ale czoło zaciska dłonią, a łzy obfite spływają zwolna na zapłonione lica.

„Czego płaczesz? córko moja—pyta matka—nie trać odwagi, łzy twoje daremne. Ten, którego szukasz napróżno, nie zginął: żyje on ztąd daleko, żyje z myślą o tobie. Myśląc o tobie usłuchał méj rady, by się nie rzucał ślepo na bój krwawy. Temi słowy żegnałam go gdy odchodził. Znaglony poszedł z innemi, ale nie pragnął walki. Żałował nazbyt życia i ciebie".

Na te słowa, dziewczyna drżąc cała wzniosła oczy w niebo; jakby złowieszcze przeczucie zakłóciło cichy żal jéj serca. I spojrzy w stronę gdzie się rozciąga pole walki, i bieży jak strzała, bieży nie oglądając się i niknie wokamgnieniu. Godzina upływa, godzina jeszcze. Noc nadchodzi. Obłok srébrny błyszczy na niebie, ale ziemia pogrążona w głębokiéj ciemności. „Córko moja! wróć do chaty, obawa twa daremna; jutro nim wzejdzie piérwszy brzask zorzy, narzeczony twój wróci."

Dziéwczę powraca cichym krokiem, w milczeniu zbliża się do matki. Łza nie błyszczy w łagodném jéj oku, ale dłoń jéj wyciągnięta z współczuciem, chłodna jest jak wicher nocy, a lica jéj blade, jakoby mgła na niebiosach.

„Przyrządź mi grób, matko ukochana, nadeszła moja godzina. Ten, który mi przysiągł wiarę, uciekł haniebnie z pola. Myślał o mnie, myślał o sobie: usłuchał twéj rady, zawiódł nadzieję braci. Opłakiwałam go przed chwilą w mniemaniu, że leży wraz z poległymi na polu walki. Opłakiwałam go, ale drogą mi była moja boleść; pragnęłam żyć wieki, aby łzy nad nim wylewać. O matko! szukałam go na polu walki przy gasnącym brzasku, ale żaden trup nie nosił zbyt drogich jego rysów. Nie chcę żyć dłużéj na ziemi: nie było go wśród poległych, matko moja! dlatego umrzéć pragnę."

* * *

Inny poeta finlandzki, *Malmström*, mniéj ma życia może od Runeberga. Skłonność do marzenia nie ujmuje mu jednak dosadności myśli. Kilka wierszy *Malmströma* p. n. „*Czemu słychać jęk w głębi boru*“ mogą dać wyobrażenie o wyłącznym charakterze jego talentu, oraz o duchu poezyi finlandzkiéj.

* * *

„Małe pacholę w ciemny jesienny wieczór, igra pod młodemi lipami. I widzi przez gęstwinę jak gwiazdy błyszczą na mieszkaniu Boga Ojca, i słyszy szelest wichrem strąconych liści. Ale podczas gdy duma, noc wrześniowa rozciągła się ponad lasem, i słyszy jęk ponury w głębi boru.

Pacholę słucha, i przejęte strachem tajemniczym bieży naprzód. Głowę jego mącą złe myśli, puls bije mu z pośpiechem, błądzi nakoniec w dąbrowie. Ojciec. matka i siostry przychodzą mu na pamięć, „Boże! zlituj się nademną małym . . . o czemuż nie jestem w domu?“ Wtém słyszy jęk ponury w głębi boru.

Księżyc postępuje milczący wśród obłoków zachodzących mu drogę, i rzuca srebrną zasłonę na ziemię. Cień pada szeroko od podnóża gór, złośliwe duchy uciekają na północ, szczyty gór błyszczą zdala, ale ciemność panuje dokoła; tylko puszczyk powtarza śpiéw żałobny na brzozie deszczem spłukanéj, i słychać jęk głuchy w głębi boru.

Pacholę bieży, bieży po murawie, i stare wieści krążą mu w myśli. Gwiazdy coraz jaśniéj błyszczą na niebie, noc coraz bardziéj zapada, i nie znajduje drogi. „Miłe gwiazdki co świecicie ponad drogą, i wy drobne powiędłe kwiateczki, mówcie, o mówcie, kto tak ponuro jęczy w głębi boru.“

Ale gwiazdy milczą, i kwiatek drobny milczy, a małe pacholę płacze. Ale oto napotkał siedzibę małych Elfów. Drobnym krokiem wpada w ich lekkie koło. „O wy, co pląsacie po murawie, wy piękne małe siostrzyczki, powiédzcie mi, kto tak jęczy w głębi boru? “

I mała królowa Elfów uśmiecha się drobnemi usty, i pieści świeże lica pacholęcia: „Nie płacz, rzecze mu, choć się zabłąkałeś: pójdź, siadaj obok mnie na miękkiéj murawie, otrzéj łzy, a opowiem ci, co tak jęczy w głębi boru.

„Kiedy noc ponura otoczy ziemię i morze, kiedy gwar dzienny uciszać się zaczyna, kiedy morskie fale zasypiają na zieloném wybrzeżu, gdy piękne gwiazdy zapalają się jasnym bla-

skiem, wówczas sklepienie niebios czystém jest jak zwierciadło, a tłum drobnych aniołków przebiega po niebie w milczeniu, i łzy ich srébrne spływają na ziemię."

„Wówczas biédna ziemia widzi odbite w niebie swe oblicze, wówczas widzi się ciemną i nikczemną, wówczas spowiada się z swych błędów i kłamstw, próżności i mordów, które, niestety! ciążą na niéj brzemieniem przez wieki. Dreszcz śmiertelny przejmuje jéj członki. Wówczasto modli się dolina, góra; każda wypowiada stare grzechy i słychać jęk głuchy w głębi boru."

O! dzięki ci królowo Elfów, nie zapomnę nigdy słów twoich. Nie lękam się już samotnéj drogi: księżyc oświeca ją swym promieniem. Żegnam cię, nie zapomnijmy nigdy o sobie. Jestem biédne pacholę, nie mam złota ani srébra; ale będę chwalił Boga, abym z méj strony nic nie przyczynił jęku, do ponurych jęków, które słyszę w głębi boru."

* * *

Gdyby Szwecya liczyć mogła obecnie wielu poetów takich jak *Runeberg* i *Malmström*; gdyby czytanie ich utworów było o tyle rozpowszechnione: aby skierować mogło na dobrą drogę smak współrodaków: nie byłoby powodu lękać się o przyszłość intellektualną tego kraju. Ale w liczbie przyjemnych lecz cokolwiek lekkich pisarzy, jacy się pojawiają od lat kilku, nie znajdujemy żywego odbicia gieniuszu narodowego, który był chlubą poetów gotyckiéj szkoły. A potém wpośród ludności szwedzkiéj, mianowicie po miastach, inne dzieła znajdują powodzenie. Szwecya, trzeba wyznać, stała się pastwą skażonéj literatury; drukarnie dostarczają na wyścigi publiczności sztokholmskiéj mnóstwo romansów francuzkich, przybranych w złą szwedzką prozę. Tajemnice Paryża i Żyd tułacz, lub téż cyniczne utwory Pigault-Lebrun'a, są powszechnym pokarmem Szwedów.

Najmniéj znane, najsłabsze z francuzkich wodewillów, przekształcone nieznośnie i pozbawione wszelkiéj barwy, stanowią zwykły repertoar teatrów: *Diurgard* i *Humlegard* w Sztokholmie. Szwedzi czytają i mówią z łatwością po francuzku; zachowali ów zwyczaj od czasów Gustawa IIIgo i Karola-Jana, a znakomite dzieła francuzkiéj literatury utrzymają zapewne na długi czas w Szwecyi popularność, jakiéj używa język francuzki. Ale kontrabanda belgicka, wraz z exploatacyą kilku szwedzkich

księgarzy, rozsiewa po kraju w nadzwyczaj nizkiéj cenie, z niegodziwą ortografią wszystko to, cokolwiek najgorszego pojawia się we Francyi. Szwecya winna wdzięczność panu *Bergstedt* (professorowi uniwersytetu upsalskiego i redaktorowi jedynego pisma zbiorowego czysto literackiéj treści, wychodzącego na Północy) iż niedawno w swym artykule o skażonéj literaturze, wychłostał energicznie autorów i wydawców owych bezecnych piśmideł.

Co się tyczy autorów, z tych niektórych pan *Bergstedt* dobrowolnie oszczędza, wielu z nich bowiem nędza i potrzeba podała pióro do ręki; ale chciwi wydawcy, zasługują wyłącznie na jego wzgardę. Wydawca, według niego, odpowiada za szkodliwe dzieło; on uganiając się za bezecnym zyskiem, powinien otrzymać hańbę w dodatku do zebranych pieniędzy. Światły i sumienny wydawca przynosi krajowi równą niemal usługę, jak pisarz którego zachęca. Wspominając imię Walter-Skotta, nasuwa nam się mimowoli *Constable*, jego wydawca; a pan *Bergstedt* przytacza z wdzięcznością nazwiska dwóch wydawców: panów *Häggström* i *Glesrup*, którzy przez czas długoletniego zawodu, zbogacali literaturę szwedzką wydawnictwem dzieł znakomitych i ważnych, lubo niewiele przynoszących im korzyści.

Wobec skażonéj literatury zalewającéj Szwecyą, z łona uniwersytetu upsalskiego powstał głos przemożny, usiłujący skierować opinią publiczną na właściwszą drogę; widzimy zatém, że Szwecya na wszelkie złe zewnętrzne posiada w sobie właściwe środki. Niechaj więc pozostanie wierną swym szlachetnym literackim podaniom, probując zarazem sił na nowéj drodze. Nie ma już dzisiaj mowy o Fosforystach i Gotach, utworzyła się bowiem nowa szkoła, zasługująca ze wszech względów na imię *nowoczesnéj szkoły*. Jakby odpowiadając potrzebom wieku, historya, ekonomia polityczna i nauki przyrodzone rozwijają się w Szwecyi zarówno jak i w innych europejskich krajach, kosztem nawet poezyi i pięknéj literatury. *Atterbom* sam poświęca dziś świetnym życiorysom poetów szwedzkich swą zdolność prozatorską, wyrównywającą jego poetyckiéj zasłudze. Żyje spokojnie w Upsalu, ciesząc się pozyskaną sławą, otoczony czcią współziomków; a cudzoziemiec przebiegający Szwecyą, ma sobie za powinność, odwiedzając go, złożyć zarazem hołd wielkiemu poecie i szlachetnemu sercu.

Opowiadania popularne i świetne pana *Fryxell*, który z niezrównanym wdziękiem skreślił ważniejsze ustępy dziejów swego narodu, oraz długie roczniki pana *Strinnholm* są wraz z ostatniém wspomnioném dopiéro dziełem *Atterboma*, najlepszemi płodami szkoły historycznéj szwedzkiéj, stworzonéj przez Gejera. Nauka prawa i ekonomii politycznéj wydała piękne dzieło o starożytnych prawach szwedzkich *Schlytera*; oraz znakomite i nader poszukiwane dzieło sławnego archiwisty sztokholmskiego *Nordströma*: *o utworzeniu się społeczeństwa szwedzkiego*. *Bergstedt*, bracia *Malmström*, *Posse* i *Stiffe*, odznaczać się poczynają w prawnictwie i ekonomii politycznéj. Piérwsze ich prace umieszczone były w piśmie zbiorowém, i zapowiadają w owych młodych umysłach, obok głębokiéj nauki, wyraźną dążność do kwestyj praktycznych. Król szwedzki będąc jeszcze następcą tronu, sam ogłosił dzieło o handlu zbożowém, oraz inne o wychowaniu żołnierza w czasie wojny, nakoniec dzieło o karach i więzieniach, w którém powstaje przeciw karze śmierci i plagom cielesnym z pełnym wymowy zapałem. Syn jego, obecnie następca tronu, nakreślił własną ręką wiele statystycznych kart i wydał jednę z nich znacznéj wielkości. Młody książę zachęca tym sposobem własnym przykładem statystyczne prace, których Szwecya bardzo potrzebuje; zwłaszcza obecnie, gdy na wzór innych krajów europejskich, pragnie miéć drogę żelazną. *Forsell* i *Tham* zajmowali się dotąd wyłącznie tym przedmiotem, który dziś rozpowszechnia się coraz bardziéj. Wszystkie niemal gałęzie literatury wydały znakomite dzieła. Przytoczymy między innemi: *Dzieje literatury szwedzkiéj* przez *Wieselgren'a*, a inne dzieło w tymże przedmiocie *Lenströma*; zbiory dawnych pieśni skandynawskich ogłoszone przez *Arwidsona*, *Cawalliusa* i innych; doskonały przekład Szekspira, piérwszy w języku szwedzkim przez *Hagberga*, professora w *Sund*; nakoniec zajmujące prace *Holmberga*, o starożytnych śladach dziejowych z czasów dawnéj Skandynawii, pozostałych wśród skał południowéj Szwecyi.

W takim natłoku prac umysłowych widzimy dowód wielkiéj intellektualnéj czynności. Tu należałoby zapytać wprawdzie: czyli takowa czynność nie oddala nazbyt od drogi, jaką szkoła Fosforystów otworzyła literaturze szwedzkiéj? Porzuciwszy francuzkie wzory, Szwecya poszła śladem Niemców;

kto wié, czy obecnie nie dąży do naśladowania Anglików? Pomimo usiłowań ostatnich swych poetów, Szwecya nie wydaje dostatecznéj liczby dzieł czysto-oryginalnych. Bodajby unikała wszelkiego naśladownictwa tak w literaturze, jako téż i w polityce; niech będzie sama sobą, niech ufa własnym siłom. Jeżeli zechce zręcznie i umiejętnie użyć właściwéj sobie intelligencyi, jaką otrzymała w podziale; owéj intelligencyi pełnéj życia, prostoty i szlachetnych uczuć, mało dotąd skażonych staro-europejskim sceptycyzmem: mniemamy wraz z Gejerem i Tegnerem, że znajdzie niebawem, szukając jedynie własnych wspomnień, bogate źródło poetycznego natchnienia, oraz bujny zaród nowéj samoistnéj literatury.

Myśl płodna nie ginie. Owi poeci ufni w narodowość szwedzką, wzywając swych uczniów, aby czerpali siłę w gieniuszu skandynawskim, zdobyli zarówno (pomnąc na braterstwo pokoleń północnych) inną nadzieję, która nagle zapaliła umysły; mówimy tu o owym ruchu zbudzonym przed trzydziestą laty w uniwersytetach szwedzkich, który zwolna zajął Danią i Norwegią tak zwanym powszechnie na Północy *skandynawizmem*. Trzy państwa skandynawskie przeświadczyły się od roku 1812, że cała ich siła spoczywa w ścisłéj jedności i potrójném nierozerwaném przymierzu. Już Szwecya i Norwegia złączone są pod jedném berłem. Związek Kalmarski nieszczęśliwym był wprawdzie, ależ odtąd Oehlenschläger uzbrojony młotem Thora, rozbił mur niezgody i zawiści, dzielący dotąd dwa narody. *Gejer* i *Tegner* szperając w dziejach mitologii północnéj, naznaczyli wspólny początek *Nora*, *Suea* i *Dana*. Sund nie powinienby już być źródłem wojny domowéj, ale raczéj węzłem łączącym dwa kraje, a wyspa *Seeland* przyjaznem ramieniem Danii, wyciągniętém ku Szwecyi. Idea skandynawska ma już swoje dzieje; poezya szwedzka wydała je nasamprzód. Franzen w imieniu Szwecyi przemówił do poety duńskiego *Frankenau* po bratersku, na co tamten odpowiedział pieniem pełném współczucia. Ziściły się życzenia Franzena, gdy w roku 1829 *Oehlenschläger* wezwanym został do *Lundu*, dla otrzymania z rąk *Tegnera* doktorskiego wieńca. Dwaj poeci na parnasie *lunduńskiéj* katedry, (tak nazywają wyniesienie urządzone z umysłu w czasie obrzędów akademickich) uścisnęli się wobec professorów i uczniów. Tegoż samego roku uczniowie z Lund udali się do Kopenhagi, wraz z mistrzem

swym *Tegnerem*, celem odwiedzenia *Oehlenschlägera*. Zima z roku 1837 na 1838 uzbroiła Sund mostem z lodu; w miesiącu lutym uczniowie z Kopenhagi i Lundu, spotykali się nawzajem. Skandynawizm był ich hasłem, a pieśnią wspólną uczcili: *Wodana*, *Thora*, i *Fraja* trzech bogów skandynawskich.

Owe odwiedziny odnawiały się odtąd corocznie. W lecie 1842 r. uczniowie dwóch uniwersytetów przedsięwzięli zwiedzić wspólnie Upsalę. Upsala jest sercem Szwecyi, tak jak głową jéj Sztokholm. Był on niegdyś ostatnim przytułkiem pogaństwa, dziś jest miastem świętém zreformowanéj Północy. W małéj odległości od Upsali, obok kościoła *Gamla Upsala* (*starego Upsala*), zbudowanego jak się zdaje na zgliszczach pogańskiéj bożnicy, widać dziś jeszcze trzy wyniosłe pagórki, które podanie mieni być grobowcami wielkich skandynawskich bożyszcz. Niedawne poszukiwania, przedsiębrane staraniem następcy tronu, dopomogły rzeczywiście do odkrycia w nich wielkiéj liczby starożytnych naczyń, popiołów i szczątków metalu, które złożono częścią w muzeum starożytności w Sztokholmie, częścią w podziemiu galeryi, w miejscu gdzie owe przedmioty były wynalezione. Wycieczka w 1843 roku celem zwiedzenia owych starożytnych pomników narodowości skandynawskiéj, była niejako uroczystém uświęceniem pamięci dawnego przymierza bogów. Upsala przyjęła uczniów z Lundu, stu pięćdziesięciu uczniów z Kopenhagi i deputacyą uniwersytetu z Chrystyanii.

Odwiedziny, które znów Upsala w roku 1845 oddała uniwersytetowi w Kopenhadze, stanowią ważny ustęp w dziejach skandynawskich. PP. *Monrad*, *Clausen* i *Orla Lehmann* wsławieni późniéj jako mówcy duńscy, przemawiali z niezrównanym zapałem wobec zgromadzenia, zebranego w cyrku kopenhagskim.

Ruch ten umysłowy nie pozostał przecież bez skutku. Wojna szlezwicko-holsztyńska wykazała nam dostatecznie ducha jedności panującego między ludami skandynawskiemi. Pisarze stronnictwa skandynawskiego wspominali z zapałem ów piękny poranek, gdy statki szwedzkie i norwegskie przyszły w pomoc Duńczykom. Wybito medal na cześć ochotników skandynawskich, który sławny sztycharz *Petersen* uwiecznił swoim rylcem. Widzimy na nim z jednéj strony *Heimdala* strzegącego *Asgard* (siedzibę bogów) stojącego na tęczy; w jednéj ręce trzyma miecz, a w drugiéj trąbę wojenną. U stóp jego kogut

zda się krzyczéć i trzepać skrzydłami, a ponad głową wypisany jest wiérsz staréj pieśni: „Oto wojna powstaje w Jutlandyi.” Przeciwna strona przedstawia statek wojenny skandynawski, z głową smoczą na przodzie; żagle wzdęte są pomyślnym wiatrem, dwa gołąbki krążąc ponad nim, wiodą go w imię bogów. Do wielkiego masztu przytwierdzone są tarcze skandynawskie; tarcza szwedzka ma na sobie trzy korony, norwegska lwa uzbrojonego toporem. Szwed stojący na pokładzie pogląda na wybrzeża duńskie niecierpliwie, a za nim Norwegczyk wsparty na starym toporze, dumny i spokojny, zasłania oczy ręką, jakby olśniony niezwykłym dlań widokiem wojska i obszernéj płaszczyzny.

Trudno przewidzieć, jaki będzie skutek owych usiłowań Północy. Ostatnie lata zwichnęły obudzone nadzieje. Trzeba wyznać nakoniec: trzy narody skandynawskie nie mają dla siebie współczucia, mimo chwilowych popędów! Ochotnicy przybyli wprawdzie z Sztokholmu i Chrystyanii na pomoc Duńczykom, ale posiłki przysłane przez króla Oskara pozostały w Fionii i nie miały w walce żadnego udziału. Rząd szwedzki zda się nie wierzyć w ideę skandynawską. Należy się jednak spodziewać, że owe marzenia podadzą w wieczną nienawiść narodom skandynawskim dawne ich rozterki i zwady. Owe niesnaski, dziś bardziéj niż kiedykolwiek mogłyby być szkodliwe, a jedność trzech narodów może z czasem przynieść plon obfity.

KRONIKA Z PARYŻA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uwielbienie pisarzy katolickich we Francyi dla wieków średnich.— Trzej apologiści wieków średnich: ks. Ventura, Donoso Cortes i ks. Gaum.— Rozbiór dzieł tych autorów przez p. de Broglie.—Stagnacya w literaturze.—Nowe dzieła nie wywierają żadnego wrażenia. — Publikacye legitymistyczne. — Życie Ludwika XVIIgo przez p. Beauchane.— Geographie du moyen-age.

Kiedy w poprzednim liście zdawałem sprawę z cierpkiéj, długiéj a zaprawdę niepotrzebnéj polemiki, jaką rozpoczął ks. Gaum, rzucając klątwę na wszystko co nam wieki starożytne przekazały, co z pomników owoczesnych, z dorobku ducha ludzkiego owych epok odległych, co z greckiéj i rzymskiéj cywilizacyi przeszło w krew i ciało cywilizacyi naszéj; kiedym donosił, jak tego niewczesnego reformatora edukacyi publicznéj, p. Janin wprowadziwszy do dyskussyi powagę ojców kościoła, własną pobił bronią: współcześnie znakomity mąż stanu i pisarz głęboki p. de Broglie, raz jeszcze wziął pod pryzmat rozbiorczy dzieło ks. Gauma. Postawiwszy je obok innych publikacyj, co choć przez różnych ludzi i na różném miejscu pisane, jednakiém wydatne są dążeniem, ukazał, iż pismo ks. Gauma jest tylko jedną stroną attaku, który odważnie z wielu stron wymierzono. Radykalne przemiany proponowane przez ks. Gauma w zakresie wychowania, literatury i sztuk pięknych, odpowiadają słowo w słowo klątwom, które ks. Ventura cisnął niemal ze stopni ołtarza na wszystkie dzieła filozoficzne, z wyjątkiem *Summy* św. Tomasza z Akwinu, a w sferze politycznéj odbijają się w uwielbieniu, jakie p. Donoso Cortes (margr. Valdegamas) wyznaje głośno dla wieków średnich z nietajoną pogardą dla wszystkie-

go, w czém się układ towarzyski XIXgo wieku od społeczeństwa średniowiecznego wyróżnia.

Już po wiekroć, to z dzieł, to z ust pisarzy katolickich miałem sposobność przekonać się o ich czci religijnéj dla wieków średnich. Mojém zdaniem nie ma w tém nic, coby zadziwiać mogło. Zwykle z miłością oglądają się ludzie na epokę swego życia, w któréj sobie pomnik wystawili wzniosłością swego ducha i zasługami ludzkości oddanemi. Że w pisarzach tych z drugiéj strony nie ma admiracyi dla wieków późniejszych, że rzadko który z nich uznaje zasługi wieków ostatnich, a mianowicie naszego, i w tém znowu nic dziwnego nie widzę. Trzeba wielkiéj sumienności, aby oddać hołd należny pracom, choć się w nich udziału nie brało.

Jednostronność ta dzisiejszych pisarzy partyi katolickiéj we Francyi, którzy z niepospolitą śmiałością nie wahają się przeczyć wszelkiego pożytku z prac poza ich obrębem dokonanych; jednostronność ta narażając ich często na sąd krzywy i uwłaczający charakterowi religii *powszechnéj*, któréj prawowiernemi wyznawcami się głoszą, zadaje im jeszcze cięższą szkodę, bo ich pozbawia cechy należnéj pisarzom religijnym, tojest pozbawia ich spokoju w sądzie ducha zgody, i stawia ich niezaprzeczenie w rzędzie szermierzy partyj politycznych. Że w nich bowiem nie ma spokojnego sądu i ducha zgody, to czytelnik zapewne obaczył już nieraz z pism peryodycznych francuzkich, z których żadne z tak wielką cierpkością i z tak rażącém nieuszanowaniem jakiéjbądź zasługi (nieprzynoszącéj im pożytku), nie prowadzą polemiki, jak te właśnie, co uchodzą za organa partyi katolickiéj we Francyi. Nie inną téż, między innemi, wadę spostrzegamy w trzech powyżéj zacytowanych dziełach, tojest: *Konferencye z r.* 1851 ks. Ventury, *Katolicyzm, Liberalizm i Socyalizm* p. Donoso Cortes, i w znajomém już *Ver rongeur de l'education moderne* ks. Gauma. Ponieważ w dziełach tych znajdują się myśli oparte nieraz na wielkiéj powadze, ale zawsze myśli osobiste i pod osobistą odpowiedzialnością ogłoszone; ponieważ one nie mają nic wspólnego z dogmatami religijnemi: zatém krytycznemu rozbiorowi ulegać mogą. Sąto bowiem pomysły o filozofii religijnéj, o polityce religijnéj i o literaturze religijnéj: tworzące razem jedno troiste zadanie, mające na celu zamknąć w obrębie katolicyzmu całą sferę doczesną i świecką intelligencyi i działania ludzkiego,

i utworzyć społeczeństwo w którémby wszystko a wszystko: myśli, prawa i sztuki, rodziły się, wzrastały i działały wedle prawideł kościoła katolickiego. Jednakowy cel jest tych trzech autorów, jednakowe ich konkluzye: dla ludzkości, którą chcą zreformować, szukają typu w przeszłości, szukają wzoru wszechstronnéj doskonałości pełnego — w wiekach średnich.

Zasady dwóch piérwszych autorów opuszczamy i wprost przechodzimy do dzieła ks. Gauma. Ani tego cośmy o niém powiedzieli, ani owéj długiéj, ckliwéj i często miernéj dyskussyi powtarzać nie chcemy; w kilku słowach wyłożymy teoryą ks. Gauma. Według niego są dwie literatury, dwa rodzaje piękności: pogańska i chrześciańska, szkodliwa i zbawienna, potępiona i święta. Kto miesza jednę z drugą, dopuszcza się profanacyi; kto zaś chce znaléźć literaturę chrześciańską w całéj niepokalanéj jéj czystości, nie może jéj szukać gdzieindziéj, jak w epoce od upadku Rzymu do odrodzenia się nauk klassycznych: w téj właśnie epoce, którą my, jakby ks. Gaum powiedział poganie, przyuczyliśmy się nazywać okresem ciemnoty i barbarzyństwa, a przynajmniéj walki światła z ciemnością, walki naniesionego z dzikiemi ludami barbarzyństwa z cywilizacyą, mającą zaród swój w chrześciaństwie lub w chrześciaństwie przechowaną. Że do odrzucenia literatury średniowiecznéj, do rozkwitnienia nauk klassycznych przyczynili się niepomału papieże; że za to cywilizacya wieczną wdzięczność kościołowi katolickiemu chowa: on na to bynajmniéj nie zważa. On utrzymuje, że właśnie z początkiem XVI wieku obudziła się nieszczęśliwa cześć dla pomników starożytności, i to, co nazywano odrodzeniem literatury, jest tylko odrodzeniem pogaństwa. Jak się to stało? za przyczyną kościoła czy nie, mniejsza o to; dość, że od tego czasu literatura, umiejętności, sztuki, język nawet, to wszystko przestało być chrześciańskiém, wszystko napoiło się, przesiąkło herezyą. Nie ma więc żadnéj wątpliwości: dla katolika nie masz literatury ani sztuk, jak tylko w wiekach średnich. Poza architekturą gotycką, wszelka inna jest pogańska; choćby nawet owa bazylika, na któréj wybudowanie cały świat chrześciański łożył; owa świątynia, która jest miastem dla siebie i ma swoich mieszkańców i swoję atmosferę—kościół św. Piotra. Poza Giottem, Cimabuem, św. Bernardem, Bonawenturą, a w końcu Dantem, wszystko choćby Rafael, Michał Anioł, Szekspir, a w nowych czasach Goethe i Torwaldsen; wszystkie kolory cywilizacyi, wszystko czém się ludzkość szczyci

i w sobie saméj uwielbia jest herezyą, pogaństwem, skazaném na zapomnienie i potępienie. Michał Anioł zanadto zapatrzył się w posągi starożytne, Rafael zanadto pokochał formy antyków, Bossuet zanadto rozmiłował się w Tacycie i Liwiuszu!

Idąc zatém za ową potrójną wskazówką, za systemem wyłożonym jednocześnie przez uczonego kapłana, biegłego mówcę i śmiałego reformatora edukacyi publicznéj, wieki średnie a katolicyzm jest jedno: wieki średnie w myśli i czynie były realizacyą ideału katolickiego! Aby wrócić do katolicyzmu, trzeba myślą, uczuciem i obyczajami wrócić się do wieków średnich; trzeba polityki, literatury i sztuki uczyć się od mistrzów średniowiecznych, a zapomnieć wszystkiego, przez co ludzkość w trzech ostatnich wiekach przeszła, czego się nauczyła, co utworzyła, bo ludzkość nie żyła przez ten czas; gorzéj nawet niż nie żyła: — ludzkość była w pogaństwie!

Taka jest treść tych trzech autorów, których, jak widzimy, aby zupełnie zrozumieć, trzeba jednocześnie rozważać tak, jak jednocześnie z dziełami swemi wystąpili; których myśli osobno wyrzeczone wiążą się, uzupełniają i tworzą jeden system. P. de Broglie ocenia ich przeto razem i stawiając twierdzenia ich wobec historyi, rozumu i prawdy, każdéj hypotezie odpowiada faktem, każdemu złudzeniu rzeczywistością; obiera ich pisma z wszelkiego dowodu i zostawia konkluzye niepoparte niczém, niemające nic za sobą, nic zgoła, oprócz śmiałości ich twórców. Ta praca p. de Broglie nacechowana zarówno wielką erudycyą, jak bystrą i przenikliwą krytyką, musiałaby tutaj być całkowicie powtórzoną, gdybyśmy czytelnikom chcieli dać sprawiedliwe wyobrażenie o jéj wartości.

Wśród obecnéj ciszy politycznéj, p. de Broglie nie mógł nie spostrzedz, że ze wszystkich opinij, które niedawno temu wstrząsały i rozrywały Francyą, jedne tylko opinie religijne wytrzymały zwycięzko trudne przesilenie. Gwałtowny wicher co tamte zagasił, dla tych stał się nową podnietą; a nadzwyczajny spokój, który nastąpił po tylu wstrząśnieniach, nic ostatnim nie odjął żywości. One były pewne siebie wśród powszechnéj niepewności; one stały mocno, gdy wszystko wokoło nich kruszyło się; przy nich została silna nadzieja i chęć działania, gdy dookoła nastało rozczarowanie i zniechęcenie. Opinie ludzkie podobne są w téj chwili do wędrownika, celu swéj

podróży nieznającego; po piaskach i bezdrożach nabłąkawszy się przez czas długi, zmęczony usiadł i nie wié kiedy wstać do marszu, ani którą puścić się drogą. A gdy tak na pół drogi spoczywa, obok niego przechodzi hufiec ludzi dobrze wyćwiczonych, utrzymanych w silnéj karności, postępujący naprzód a naprzód, niepytający jak daleka droga, nieskarżący się na cierpienia podróży. Kiedy z jednéj strony ogarnęła taka bezsilność, a z drugiéj widoczna jest energia, bierze ochota nawet tych, co z hufcem owym nic wspólnego nie mają, iść za nim: bo ludzie, którzy mają w sobie dar wielkiéj czynności, wywierają wokół siebie atrakcyą, często nieprzezwyciężoną. Tak więc na drodze, którędy postępuje rydwan katolicyzmu we Francyi, ciśnie się grono widzów zdjętych podziwieniem, nieledwie uwielbieniem, i którzy co najmniéj radziby dowiedzieć się, jakich tajemnic używa kościół katolicki, aby utrzymać życie intellektualne i moralne niezbędne ludziom, którym ani cierpienia, ani rozkosze materyalne nie wystarczają. Chwila obecna droga jest dla katolicyzmu we Francyi: bezsilne rzesze pragną od kościoła pokarmu; i zaprawdę, w epoce kiedy wszystkie zabiegi ludzkie rozbite, cele zwichnięte, ideały rozwiane i rozczarowane, trudno znaleźć innego pożywienia, coby zmęczone siły mogło pokrzepić. Rzesze przychodzą do kościoła; lecz czyli ich powrót będzie trwały i nada Francyi ten spokój i pewność, na których jéj dotąd zbywało, czy téż ma być chwilową modą i fantazyą: odpowiedź na to pytanie zależy w części od przyszłych wypadków, w części téż, i to znaczniejszéj, od ludzi, którzy we Francyi wzięli na siebie apostolstwo katolicyzmu.

Azaliż dzieła takie, o jakich mówiliśmy, zdolne są przywiązać rzesze do kościoła? P. de Broglie odpowiada, że w obec konkluzyi tych trzech pisarzy nie jest grzechem uczuć w sobie pewien wstręt i przerażenie. Przerażenie to nie pochodzi z odziedziczonéj po wieku XVIII niechęci do średnich wieków; ich niepopularność już minęła, ona ludzi sumiennych od przyznania sprawiedliwości powstrzymać nie może. Ale spoglądając na Francyą, na Europę nowożytną, trudno nie przyznać, żeśmy od wieków średnich już bardzo odeszli. Nie ma nic wspólnego między XIII a XIX wiekiem; tradycye wszelkie zerwane, wszelkie zbliżenie się jest marzeniem. Kto od dzisiejszéj cywilizacyi żąda, aby się zmieniła w średniowieczną: ten żąda od ludz-

kości, iżby się wyrzekła wszystkich myśli i czynów, całego bez wyjątku swego życia, całéj swojéj natury.

Takżeto kościół katolicki w piérwszych wiekach naszéj ery postępował! Gdyby był chciał burzyć społeczeństwo i po swojemu je gwałtem przebudować, nie miał nigdy sposobniejszéj pory jak w chwili kiedy Konstanty wyrzekł się pogaństwa. Przy powszechnym upadku ducha, obok przeczucia strasznéj burzy w przyszłości, wszystko był naówczas mocen zrobić kościół; a przecież w historyi IVgo wieku nie znajdzie p. Donoso Cortes ani jednego czynu, którymby kościół pośrednio lub bezpośrednio dążył do politycznéj przemiany cesarstwa. Mieli wszelką władzę naówczas biskupi, ale jéj tylko na to używali, aby cesarzy przed ołtarz zaprowadzić: szanowali zaś ich powagę na tronie. Byłato zupełnie inna metoda niźli w wiekach średnich; a przecież przyzna każdy, że nigdy wiara nowa między wyznawcami Chrystusa jaśniejszém nie gorzała światłem, jak w wiekach piérwszych chrześciaństwa.

Kiedy najezdcy zbliżali się pod mury stolicy, potrwożeni mieszkańcy znosili wszystkie pomniki cywilizacyi starożytnéj: księgi, obrazy, rzeźby złote i marmurowe do kościołów. Czuli w nich moc daną od Boga, aby dla téj przyszłości, która pod straszną otwiera się wróżbą, zachować przeszłość. I w istocie: tylko kościołowi winniśmy, iż dla nas cywilizacya starożytna nie przepadła nazawsze; gdyby nie on, tylebyśmy dziś wiedzieli o Grekach i Rzymianach, ile nas doszła wieści o cywilizacyi egipskiéj, assyryjskiéj i etruskiéj. Kościół chrześciański skrzydłami swemi osłonił cywilizacyą rzymską, pomniki jéj przyjął do swych świątyń, z jéj pomocą pokonywał dzikich barbarzyńców. Rzym stary upadł; kościół odziedziczył po nim wszystkie skarby jego wiedzy, wszystkię jego pamiątki i sztuk pomniki: i w takiémto towarzystwie, w uroczystym orszaku wiekowéj pracy ludzkiéj wyszedł Leon Wielki na spotkanie „bicza bożego" Atylli.

Od chwili tego spotkania rozpoczęły się dla Europy wieki średnie; kościół otworzył negocyacyą z barbarzyństwem, a w niéj nie traktował o sprawy swoje, ale o sprawę cywilizacyi, o puściznę tę, która nas doszła po Grekach i Rzymianach. A nietylko w wiekach tych dał on opiekę cywilizacyi, ale jéj zabytkami posługując się przewodniczył tworzeniu się nowego społeczeństwa. Kiedy Europa stała się polem wyścigów dla rozpasanéj siły materyalnéj, on był jedynym przybytkiem sprawiedliwości, jedy-

ném schronieniem dla myśli i imaginacyi. Oprócz apostolstwa wiary wziął na siebie nauczycielstwo: polityki, literatury, filozofii; jednakowoż tych ludzkich usiłowań nieomylnością dogmatów religijnych nie poświęcał. Już nie kościół, ale jego doktorowie, tojest ludzie wykładali filozofią, która nieomylną nie jest; nie kościół, ale jego ministrowie, także ludzie, trzymali się pewnych systemów politycznych, które wolnemi od błędów nie są; nie kościół, ale jego wyznawcy, także ludzie, silili się na rozmaite proby w sztuce i literaturze, które dalekie są od absolutnéj piękności. Kościół tylko w rzeczach religii jest samym sobą; a kiedy on, a raczéj kiedy jego ministrowie lub wyznawcy imają się rzeczy ludzkich: muszą je robić po ludzku, tojest niedoskonale i doczesnie, jako człowiek zrobić może.

Wieki średnie można nazwać epoką narodzin nowego świata, epoką fermentacyi wielu dawnych i wielu nowych żywiołów, które mieszały się, kłóciły, w różnych zarodach i w różnych kształtach jawiły, jak to bywa w każdym procesie chemicznym. Czegoż nie było w polityce średniowiecznéj? — wszystko złe i próby wszystkiego dobrego; wszystkie systemata polityczne, wszystkie formy rządów, wszystkie organizacye społeczeństwa. Z kolei jawiły się proby te rozliczne w miarę charakteru narodów, ich sposobu życia, położenia geograficznego, mocniejszych tradycyj pogańskich lub głębszego wkorzenienia się chrześciaństwa. Co jest, czegoby nie można znaléźć w X-wiekowéj historyi ludzkości, jeszcze tak zmieszanéj, tak różnorodnéj, jak nią była w średnich wiekach? Do czego więc doprowadzą dyskussye nad zaletami lub wadami systemów średniowiecznych.

Tym samym trybem co polityka, co literatura, szła i filozofia średniowieczna. Brano trochę z dogmatów religijnych, trochę z mistrzów pogańskich i z tych kompilacyj tworzono systemy filozoficzne. Wszakżeż św. Tomasz dwóch ma mistrzów: jednego Chrystusa, drugiego Arystotelesa. Jeżeli jego tylko systemat ma być katolicki, więc nikt nie może być katolikiem, kto nie jest perypatetykiem! A jeśli katolicyzm może posługiwać się jedną szkołą, choć ta początku chrześciańskiego nie miała: czemuż innych szkół przyzwać do pomocy nie może? Żadna więc filozofia, nawet scholastyczna, nie jest wyłącznie chrześciańską. Prawdy metafizyczne zasłonił Bóg przed naszemi oczyma; odsłania nam je zwolna jednę po drugiéj, z postępem i pracą wieków.

Kościół katolicki nie jest matką cywilizacyi, ale wypełnił względem niéj wszystkie macierzyńskie obowiązki. Bezsilną przyjął na swoje łono; w złéj godzinie przestrzegał i czuwał nad nią, i póty wychowywał, póki ona sił nie nabrała, póki własną mocą stać i chodzić nie zaczęła. Choć się od niéj tego doczekał, czego nieraz doznają matki od swych dzieci, tojest naprzód zapomnienia, a potém niewdzięczności: nie ma potrzeby żałować niczego, co w téj mierze uczynił. Po gorączkowém wstrząśnieniu XVIII wieku, które było potrzebne aby ludzkości nadać siłę do rozpoczęcia nowéj epoki, rozum świecki przyszedł do sądu spokojniejszego niż dawniéj, do uznania prawdy gdzie ją spotyka, i do bezstronności.

W wiekach średnich nie ma on potrzeby szukać dla siebie wzoru; „raczéj — jak mówi kończąc swą pracę p. de Broglie — raczéj pisarze dzisiejsi katoliccy powinni w wiekach średnich uczyć się téj rozumnéj zgody ze wszelakim rozwojem inteligencyi ludzkiéj, zgody, którą kościół okazywał. Powinni pójść śladem średniowiecznego kościoła, ale nie w jego metodzie filozoficznéj, politycznéj lub literackiéj, tylko w téj wyższości niezaprzeczonéj ducha, która go na każdém miejscu stawiała na przodzie. Nic się naówczas dla ludzkości zbawiennego nie zdarzyło, w czémby on nie przodkował; szli katolicy piérwsi wszystkiemi drogami rozumu ludzkiego i piérwsi żeglowali po wszystkich strumieniach cywilizacyi. Tak rozstawieni na odległych czatach łatwo panowali społeczeństwu, bo byli najmędrsi i najzacniejsi ze wszystkich. Przechowywali u siebie skarb owoczesnéj oświaty i doświaczeni byli w sztuce rządzenia; sprawili zatém, że kościół był politycznym i uczonym: co znowu koniecznie wywoływać musiało, że nawzajem polityka, literatura i sztuki były religijne". Te są tylko jedyne dla katolików tradycye średniowieczne, tradycye ducha nieustannie żyjącego, który zgasnąć nie może, choć z jednéj do drugiéj formy przechodzi. Spoczywają ludzie i instytucye; ludzkość i cywilizacya nie spoczywa nigdy. Dość częste są, jak dzisiaj, żale na niereligijność wieku; ale żale te lub krzyki (podobne jak zacytowanych powyżéj autorów) zdają się być objawem oburzenia takich ludzi, którzy spali przez dwa wieki z górą, aż ocknąwszy się ujrzeli z przerażeniem, jak daleko wyprzedzili ich towarzysze drogi w różnych kierunkach. Więc zamiast zebrać siły i towarzyszy doścignąć, wołają na nich: „Ludzie! wróćcie się,

złą drogą poszliście! Chcecieli iść daléj bez grzechu, powróćcie na to miejsce zkądeście nas odeszli; na błędnéj drodze zatrzéjcie ślady nóg waszych, a potém razem pójdziemy!"

Skończyły się wieki średnie, a z niemi nie skończyło się ani chrześciaństwo, ani cywilizacya. Bezbożnie mówi, kto pracy wieków zaprzecza; bezbożnie czyni i szalenie, kto chce ją zniszczyć. „Wszelka reakcya chwilowa jest, wszelkie naśladowanie bezsilne".— mówi p. de Broglie.

Zamknąwszy rzecz o ruchu religijnym we Francyi, sprawozdawca w niemałym musi być kłopocie. wyszukując w téj chwili objawów życia na inném polu: moralném lub literackiém. W kraju podzielonym na stronnictwa polityczne tak mocno, że może nie ma ani jednego człowieka całéj Francyi, a są tylko ludzie pewnych partyj; w kraju w którym polityka związała się z życiem codziennem: musi i literatura nosić na sobie cechy partyj politycznych i takie ukazywać usposobienie, jakie stronnictwom tym jest współcześnie właściwe. Ztąd, jakem to już przeszłą razą powiedział, brak życia politycznego odbija się w braku życia literackiego; nie dlatego, iżby świeże płody nie wychodziły, iżby księgarnie i teatra nie dostarczały co tydzień dzieł nowych i sztuk dramatycznych: ale utwory te napiętnowane są niemocą, ogólnym brakiem interesu, pojawiają się nie wywierając żadnego wrażenia, i zapomniane wnet znikają. Fatalność jakaś cięży na dniach obecnych, iż wszystko, co się podtenczas pokaże nie obchodzi publiczności; dzienniki nawet z dzieł nie zdają sprawy, recenzye ich teatralne słabe i wcale niezachęcające. Pisać w takich czasach, ogłaszać swoje pomysły i badania—to najprostsza droga do zużycia swego imienia.

Z pism peryodycznych codziennych lub zbiorowych. oprócz katolickich, legitymistyczne okazują najwięcéj energii i wiary. Czy dlatego, że z upadkiem Rzplitéj zasady ich odniosły cząstkowy tryumf, czy téż że uśmiecha im się nadzieja, iż z nowym obrotem dynastycznego koła we Francyi, dni pożądane dla nich nadejdą— odpowiedzieć nie umiem; ale to pewna, że ich dzienniki i pisma mniéj niż inne uległy ogólnéj odrętwiałości.

Na jednę z ostatnich legitymistycznych publikacyj zwrócę uwagę czytelników: raz dlatego, że jest objawem ruchu o którym mówię; powtóre, że autor chociaż traktował przedmiot znany i w historyi powszechnéj mniéj ważny, po kilkunastu latach usilnego badania potrafił znaléźć wiele nowych szczegó-

łów, które księgę tradycyj legitymistycznych uzupełniły. Jestto historya dziecka 10letniego, Ludwika XVII, napisana w dwóch tomach przez p. Beauchesne.

Dwa główne powody skłaniały autora, aby tak wiele czasu i pracy swojéj poświęcić temu przedmiotowi: chodziło mu naprzód o sprawiedliwość historyi, iżby ręka życzliwa i uważna skreśliła rysy téj łagodnéj i melancholicznéj postaci, która już gasnąć w oddaleniu poczęła. Należało przytém, aby ta sama ręka, która przypomni cierpienia królewskiego dziecka, oznaczyła je dokładnie, aby żadna wątpliwość nie pozostała na téj krótkiéj exystencyi, żadna mistyczność, żadna legenda z nią się nie mieszała, aby uniknąć wszelkiego zbałamucenia w umysłach dzisiejszych rojalistów we Francyi. Takie autor miał powody; więcéj polityczne i moralne, niźli historyczne lub literackie. Czy oprócz wymienionych, inne pobudki nie skłoniły go do ogłoszenia dzieła w tym właśnie czasie?—nic o tém w przedmowie nie czytamy.

Historya Ludwika XVIIgo dzieli się na dwie części: piérwsza od kolebki aż do więzienia (de Versailles à Temple), druga od chwili uwięzienia aż do śmierci. W piérwszéj autor historyografem jest niemowlęctwa, wzrastającego wśród ostatnich świetności dworu i piérwszych błyskawic nadchodzącéj burzy. Pozostał on wierny swemu przedmiotowi: biografii Ludwika XVIIgo nie pomieszał z historyą słabości i nieszczęść Ludwika XVI. Bohatera swojéj książki kładzie ciągle na przodzie sceny, a mimo to uniknął zręcznie drobnostek, opowiadań dziecinnych, sentymentalnych bzdurstw, i umiał zachować ton poważny, nawet surowy, jak gdyby niedaleki już całun rzucał cień przedwczesnéj dojrzałości na tę śmiejącą się kolebkę. Niemal na każdéj karcie widać, że autor gorącym jest legitymistą, że historya jego aczkolwiek wierna, pisana jest w celu politycznym. Z nieukrytą miłością, ale i z planem obrachowanym zatrzymuje się długo nad kolebką czteroletniego dziecięcia, wypieszczonym pędzlem kreśli wdzięki drobnéj jego figury i budzącego się w niéj ducha; chce bowiem zatrzymać uwagę czytelnika nad tém, czém był Ludwik XVII w Wersalu, aby tém większą ohydę rzucić na morderców słabego stworzenia, aby pokazać odległość drogi, którą dziecię to przebiegło, i straszny jego upadek, to w izbie szewca Szymona, to w więzieniu. Lecz jakkolwiek karty te nacechowane są niepospoli-

tym talentem, przerzucimy je, woląc raczéj zatrzymać się dłużéj nad faktami, które jeśli niezupełnie są znane, to przecież nigdy dotąd ugrupowane nie były z taką precyzyą, niedozwalającą już żadnéj wątpliwości.

D. 1 lipca 1793 r. wyszedł dekret: „Komitet dobra publicznego stanowi, aby syn Capeta wzięty był od matki i oddany w ręce nauczyciela wybranego przez wolną radę gminy." Ludwik XVII miał wówczas lat 8 i miesięcy 3; w tymto wieku poruczono go staraniom szewca Szymona.

Simon Instituteur, taki jest tytuł XIIgo rozdziału historyi pana Beauchesne, ustęp straszliwy, którego bez boleści i oburzenia czytać nie można. Z początku mniemał nauczyciel, że chodziło jedynie o poniżenie majestatu królewskiego w dziecięciu; lecz późniéj powątpiewać zaczął, ażali dobrze odgadł zamiary komitetu. „Obywatele! zapytał on z zupełną szczerością: co każecie robić z chłopcem? Nauczono go zuchwalstwa, ja go potrafię oduczyć; tém gorzéj dla niego, jeśli nie wytrzyma. Ale ostrzegam, że w takim razie nie biorę odpowiedzialności za jego życie."—Milczenie.— „Powiédzcie zatém, co chcecie z nim zrobić? Czy deportować go?" — „Nie!" — „Czy zabić?" — „Nie!" — „Czy otruć?" — „Nie!" — „Więc cóż?" — „Pozbyć się go!"

Prześladowania Szymona nie miały końca; w piérwszych chwilach dziecko jeszcze mocniejsze na ciele, opierało się jak mogło. „Chłopiec twardy jest, mawiał do niego Szymon. Milczéć Capet, a nie, to pokażę obywatelom, jak się ja z tobą obchodzę, kiedy się źle sprawujesz." Zdarzało się, iż dziecko oburzone niegodném obejściem nie chciało jeść; wówczas spadały na niego razy, dopóki wola Szymona nie odniosła zwycięztwa nad tą wątłą i chwiejącą się organizacyą. Wiadomość o śmierci Marata, o rozbiciu armii francuzkiéj pod Saumur, rozjątrzały dzikiego nauczyciela. Już twarz Ludwika straciła zdrową cerę; oczy jego, z których żywość i blask wypłynęły ze łzami, przywykły patrzéć w ziemię. Te powolne męczarnie, opowiada p. Beauchesne, dzień po dniu, przedstawiają dobitnie owe okropne crescendo prześladowań wszelkiego rodzaju, niweczenia ciała przez ducha, i ducha przez ciało, upadku i coraz to boleśniejszéj przemiany postaci, którą tak piękną i tak świeżą odmalował nam niedawno. Lecz Szymon znudził się nakoniec strasznym swym obowiązkiem, i d. 19 stycznia 1794 opu-

ścił Temple. Naówczas dozorcy więzienia (Chaumette i Hebert) uradzili, że chłopiec nie potrzebuje nauczyciela: ażeby się zaś względem niego ubezpieczyć, wystarczą materyalne środki ostrożności. Zaraz więc nazajutrz przeniesiono Ludwika do ciemnéj izdebki, zakratowano w niéj okno i drzwi zamknięto na zawsze; pozostawiono tylko mały przy drzwiach otwór, którędy światło nocą wpadało i którędy podawano dziecku chléb i wodę. Zamknięto go samego i w takiéj samotności trzymano przez sześć miesięcy do dnia 27 lipca 1794 r.; przez cały ten czas 9cioletni chłopiec ani razu z izby nie wyszedł, a co większa, żadna żyjąca istota przez ten czas w mieszkaniu tém nie odwiedziła go.

Jak wiele czasu upłynęło dla biédnego dziecięcia w tém okropném więzieniu, to tylko Bóg ocenić może. Tygodnie, miesiące upływały bez znaku w jego myśli; trudno mu nawet było odróżnić dzień jeden od drugiego, bo przez wszystkie cierpiał jednakowo. Taki jest przedmiot rozdziału XIIIgo w książce p. Beauchesne, noszącego tytuł: *Solitude de Louis XVII.* Biédna istota nie mając nic więcéj oprócz nędznego posłania, kawałka chleba i dzbanka wody dzień w dzień, przejmowała jeszcze strachem swoich prześladowców. Z jednego do drugiego cierpienia przechodząc, Ludwik XVIIty popadł w taki stan, że wszystko stało mu się obojętném; brakło mu sił zamieść izbę, przypełzać się do kraty po chléb i po wodę, które mu podawała ręka nieznajoma. Posłanie jego zmieniło się w próchno; szczury i cuchnące robactwo opanowały jego mieszkanie, wyrywały mu pożywienie, biegały po jego okryciu i ciele. Do uszu jego nie dochodzi nic, jak tylko brzęk kluczy i kroki dozorcy, który zagląda przez kratę, czyli więzień-dziecko jeszcze żyje.

Wkrótce nie było już dla niego różnicy między snem a czuwaniem; nie wiedział czy exystencya jego była życiem lub śmiercią; życie jego zlodowaciało jako śmierć, a ten stan nieżywy miał wszystkie gorączkowe cierpienia życiu właściwe. Czarne widziadła chodziły mu po głowie. Nie rozbierał się więcéj, nie wstawał; ciało jego obmywał zimny pot, który spływał obficie. Oczy otwarte i bezmyślnie w jeden punkt wlepione, usta niedomknięte. Skończyło się wszystko: radość i łzy, modlitwa i rozpacz; został się tylko żywy trup, który coraz bardziéj rozkładał się, i promyk ducha, który gasnął. „A to, co wam mó-

wię (przerywa p. Beauchesne) jest żywą prawdą. Patrzcie na to coś, co wegetuje, na kości i skórę trzęsące się, na skrzywioną kibić, uginające się nogi, zapadłe piersi, wyschłe i bezsilnie wiszące ręce, na policzki zwisłe w których oczy jako szkło malowane bez żadnego połysku; i to wszystko w dziecku 9cio-letniém, te prześladowania wymierzone na dziecko 9cio-letnie!"

Nakoniec dzień 9 *termidora* przyniósł pewną ulgę w nieszczęściu. 24 lipca 1794 roku Barras poruczył straż Templu i dzieci Ludwika XVIgo obywatelowi Laurent, człowiekowi zdolnemu uczuć litość. Ale ta litość przyszła zapóźno. W piérwszych dniach dziecko przyuczone do złego obejścia, nie odpowiadało na pytania; umiejąc język francuzki jedynie z ust Szymona, nie rozumiało słów życzliwych. Laurent przerażony widokiem mieszkania i nieszczęśliwéj istoty, zawstydził się za oprawców i przedsięwziął naprawę. Napróżno—zapóźno!

A jednakże sierota ma jeszcze żyć 11 miesięcy, podczas których obudzi się w niéj uczucie cierpienia, a choroba dokończy to, co zaczęły męczarnie. Dozorcy jego Gaumin i Lasne, których p. Beauchesne znał osobiście, życzliwością i poświęceniem tyle przynajmniéj dokazali, że dziecko potrafiło za ich dobroć dziękować uśmiechem. 4 maja 1795 r. Gaumin i Lasne donoszą: „że mały Capet jest chory"; nazajutrz: „że chory jest niebezpiecznie". 7 maja „że zachodzi obawa o jego życie". Wówczas rząd nadesłał lekarza p. Desault, a piérwsze widzenie chorego przekonało doktora, że tu już zachodzi taki wypadek, w którym medycyna jest zbyteczna. Za całe lekarstwo przepisał odmianę mieszkania, powietrza i sposobu życia. Nie słuchano jego rady, wszelako dzięki staraniom doktora, choć nie polepszyło się zdrowie Ludwika, umysł jego odżył poniekąd. Desault umarł nagle; po śmierci jego komitet w dniu 5 czerwca 1795 delegował nowego lekarza p. Pelletan. Ten znalazł chorego już w tak złym stanie, że naprzód zażądał kolegi do pomocy, następnie nie pytając o pozwolenie władzy, zmienił pomieszkanie Ludwika i wprowadził go do pokoju przestronnego, ze świéżém powietrzem i ze światłem słonecznem.

Autor opowiada śmierć Ludwika XVIIgo z uczuciem głębokiém; opis jego prosty i patetyczny, a bez deklamacyi i cierpkich zarzutów, uzupełnia ogólne wrażenie książki. Chodzi mu bowiem aby dzieło jego nie było owocem zemsty, ani stronni-

czym aktem zaskarżenia, ale tylko życzliwém i wiernėm wspomnieniem. Co się dzieje poza łóżkiem chorego, jakie namiętności polityczne zrywają się i cichną, jaki widokrąg odkrywa się dla społeczeństwa oblanego łzami i krwią, jakie zwycięztwa przyświecają pogrzebnym całunom:—autor o tém nie wié i wiedzieć nie chce. Stojąc nad umierającém dzieckiem, obok doktora i życzliwych dozorców mówi: „ono płacze i do płaczu pobudza". W trzy dni po przywołaniu p. Pelletana, 8 czerwca 1795 r. Ludwik XVIIty oddał ducha Bogu.

Ze śmiercią jego historyk nie zamknął swéj pracy. Dołączył raporta urzędowe, papiery autentyczne, świadectwa 20 przeszło osób. Prowadzi nas na pogrzeb i wszystkie szczegóły jego opisuje. Orszak pogrzebny złożony z dwóch dozorców, kilku kommissarzy cywilnych i plutona żołnierzy, przeszedł miasto wśród białego dnia na cmentarz św. Małgorzaty. Autor nie mógł odszukać miejsca, gdzie spoczywa Ludwik XVIIty; napróżno po kilka razy zwiedzał cmentarz, wszystkie kamienie przeglądał, mnóstwo osób wypytywał: nie zgadzały się świadectwa, z licznych podań prawdziwego wniosku wyprowadzić nie było podobna.

PIEKŁO.

BOSKIÉJ KOMEDYI DANTEGO

CZĘŚĆ PIÉRWSZA.

WSTĘP.

Przedsiębiorąc nader mozolną a mało wdzięczną pracę tego przekładu, miałem jedynie na celu dać poznać Danta ziomkom moim; Danta, który powszechnie więcéj jest spominany jak znany; Danta, jaki się podobno u nas dotąd nie pojawił, tojest w zupełnym jego średniowiecznym stroju, przy ścisłém zachowaniu formy, w któréj swoję pieśń odlał. Na dopełnienie tego zamiaru nie potrzebowałem zajmować się całą Boską komedyą, co bieglejszemu zostawiam pióru; ani którymkolwiek z jéj trzech działów w szczególności: dosyć mi było spolszczyć kilka początkowych pieśni części piérwszéj Piekła, aby dać wyobrażenie o tym Homerze włoskim, doświadczyć oraz sił własnych i zdania szczupłéj liczby osób, których dziś jeszcze obchodzi poezya. Ale jeżeli czytając jakiego autora czujemy potrzebę poznania bliżéj człowieka; to zwłaszcza przystępując do Boskiéj komedyi staje się ta potrzeba koniecznością. Dlatego mam sobie za obowiązek skreślić tu choć najpobieżniéj główne zarysy życia Dantego i wieku w którym je spędził, bacząc wszakże starannie, żeby ten wstęp odpowiadał zwięzłością swoją ograniczonym textu mego rozmiarom.

W XIIItém stuleciu podzielone były całe Włochy na mnóstwo drobnych państw rozmaitéj formy rządu, które ustawicznie duma, zawiść lub chciwość między sobą waśniły i do krwawych pobudzały rozpraw. Owi atoli różnobarwni zapaśnicy

szykowali się zawsze pod dwie główne i przeciwne sobie chorągwie polityczne; służyli im bowiem wtenczas za rozejmców, pośredników lub podżegaczy, dwaj władcy zarówno się ubiegający do przewodniczenia Italii. Z jednéj strony papież jako ojciec powszechny chrześciaństwa, pan środkowych Włoch i Rzymu, oraz spólnéj narodowości obrońca, stał na czele stronnictwa Gwelfów; z drugiéj strony przywodził Gibellinom cesarz niemiecko-rzymski, który z tytułu następstwa Cezarów, i zawikłanych z wielu panującemi w Italii rodzinami stosunków powinowactwa, rościł sobie prawo do zwierzchnictwa, protektoratu i spadkobierstwa na półwyspie. Wrzała ta dziedziczna walka między papieżem Bonifacym VIII a cesarzem Henrykiem VII w całym zapale, kiedy Dante Alighieri urodzony roku 1265 we Florencyi, podówczas rzeczypospolitéj i głównéj Gwelfów siedzibie, przeszedł z częścią spółwyznawców politycznych, a równie jak on niezadowolonych z obrotu rzeczy, pod znaki Gibellinów. Za ten krok nierzadki w rozterkach domowych, został on w ojczyznie na wygnanie skazany, które aż do jego śmierci roku 1321 w Rawennie nastąpionéj trwało, cały zaś majątek ogarnęli szczęśliwi przeciwnicy. Podczas tego dwudziestoletniego wygnania, po większéj części na tułactwie spędzonego, napisał Dante swoje poema, i objął w niém, często z rozdrażnieniem swojemu położeniu właściwém, wszelkie ówczesne wypadki Włoch, których jako przed laty członek zarządu ojczystego kraju, zbrojny obrońca jego w potrzebie, lub poseł do ościennych dworów, był razem świadkiem i aktorem. Ale w chwili spółczesnéj niemal opiewanym zdarzeniom, wiele jeszcze przedmiotów do uwzględnienia pozostawało; ztąd nosi utwór Dantego owę ciemną, posępną barwę mistyczno-allegoryczną, któréj za tło poważne służy polityka, filozofia i teologia. Wszystko to obejmował nasz poeta z wielką bystrością, gdyż był niezaprzeczenie nadzwyczajnym gieniuszem, o wiele czas swój prześcigającym, lubo piętna epoki swojéj (1), przedświtu odrodzenia nauk, pozbyć się na szczęście nie mógł. Téjto winniśmy okoliczności, że średnie wieki nigdzie trafniejszego nie znalazły przedstawienia, jak w Dantego komedyi; komedyą bowiem poprostu dzieło swoje nazwał, a dopiéro późniéj zdumienie powszechne dodało jéj

(1) Epoce Dantego odpowiada u nas panowanie Władysława Łokietka. Poprzedziła ona wynalazek sztuki drukarskiéj o półtora wieku.

przydomek *boskiéj*, który zatwierdziła potomność. Słusznie zresztą uważany jest Dante za ojca poezyi włoskiéj, gdyż on piérwszy użył do wyższych przedmiotów wiązanéj mowy ojczystéj, zaledwie wtedy wysnuwającéj się z zepsutéj łaciny, przybiérając, jak niegdyś Homer, wszelkie narzecza krajowe, lub w potrzebie czerpiąc w pobratymczych źródłach Latynów i Prowansalów. Z tychto więc filologicznych oraz historyczno-allegorycznych powodów, potrzebuje Boska komedya tego ogromu kommentarzy, które text objaśniając, czytanie jego utrudzają, a do tych i my zmuszeni jesteśmy czytelników naszych odesłać. I cóż w tém dziwnego, kiedy dla samych Włochów wykładają Dantego osobne na ten cel ustanowione katedry?

PIEŚŃ PIÉRWSZA.

OSNOWA.

Dante znajduje się nocną porą w dolinie gęstym lasem zarosłéj, dokąd snem zmorzony sam nie wié jak się dostał. O wschodzie słońca postrzegłszy przed sobą pagórek, zmierza prosto ku niemu, ale troje dzikich zwierząt: pantera, lew i wilczyca, stają mu na przeszkodzie i bronią wnijścia na górę. Odparty z przerażeniem na dół, postrzega cień Wirgiliusza. Ztąd pełen radości wzywa go o pomoc przeciw owym zwierzętom, a mianowicie przeciwko wilczycy. Wirgiliusz odpowiada, że ta dopiéro późniéj przez charta zgładzoną zostanie, i że teraz jéj opór niepodobném czyni wdarcie się z téj strony na wzgórze. Wszakże inną drogą przyrzeka go z ohydnéj wyprowadzić puszczy, a to przez piekło i czyściec, zkąd na zwidzenie raju duch czystszy przewodniczyć mu będzie. Dante zdaje się zupełnie na radę Wirgiliusza, i oba ruszają w drogę pospołu.

1. Na środku ziemskiéj tego życia drogi,
Nagle w posępnym znalazłem się lesie,
Zbłądziwszy z toru zemdlonemi nogi.
2. Trudno wyrazić w zwykłym słów okresie,
Jak straszną była gęstwa owéj dziczy,
Co dotąd trwogę do duszy méj niesie;

Uwaga. Winienem tu ostrzedz, że kommentatorowie Boskiéj komedyi różnią się bardzo w swoich wykładach, jużto ze względu odmiennego zapatrywania się na usposobienie autora, już w miarę nastręczających im się dokumentów. Przy następnych notach piérwsza liczba odnosi się do zwrotki, druga do objaśnianego wiersza.

1. 1. Środek życia ludzkiego przypada według pisma Sgo na rok 35; w tym przeto wieku rozpoczyna Dante swoję pielgrzymkę.

1. 2. Przez las ma się rozumiéć lud pospolity, którego srogie podówczas usposobienie maluje zwrotka druga; znalazł się zaś w nim poeta

3. Sama śmierć mało ma więcéj goryczy.
Przecież w dojrzanych tam rzeczy wykładzie,
Głos mój wraz z dobrem i resztę wyliczy.
4. Nie wiem jak ku téj zboczyłem posadzie,
Bo mi sen wówczas tak zmysły obciążył,
Że po właściwym nie szedłem już śladzie.
5. Lecz gdym nakoniec pod pagórek zdążył,
Z owych padołu wybrnąwszy zacieni,
Gdzie zimny postrach po sercu mi krążył;
6. Podniosłem oczy, a szatę promieni
Już mu na barki włożył ów planeta,
Co wszystkich prosto wiedzie po przestrzeni.
7. Wtenczas ta jasna mnie zrzeźwiła meta,
I znikł strach z serca, który w niém tkwił na dnie,
Gdy mi śród nocy gasła sił podnieta.
8. Jak ów zdyszony, co brzegów dopadnie
Uniosłszy życie z oceanu fali,
Wstecz okiem rzuca na toń lśniącą zdradnie;
9. Tak i mój umysł jeszcze rad ujść w dali,
Spojrzał za siebie na tę otchłań srogą,
Z któréj śmiertelni nie wychodzą cali.
10. Potém przez chwilę wypocząwszy błogą,
Znów na pustynią wyprościłem kroki,
Wciąż głębiéj krzepszą następując nogą.
11. Wtém u podnóża téj stroméj opoki,
Lekka pantera uwinnego rodu,
Zdobna pstrą skórą rącze sadzi skoki.
12. Ta mi się ciągle nasuwając z przodu,
Tak przejścia bronić jęła nieznękana,
Żem kilkakrotnie miał się do odwodu.

przez zboczenie z „toru“ z drogi Pana. Inni uważają ten las za życie ludzkie, pasmo namiętności zwykle pełnych goryczy.

4. 2. Zbłądzenie z drogi właściwéj, czyli poddanie się grzechowi, wychodzi na sen, na niewiedzę. Ten stan bowiem ułomności uważać można za przyćmienie światła, za nieprzytomność duszy, za sen umysłowy.

5. 1. Ten pagórek, następnie przez Wirgiliusza w zwrotce 26 téjże pieśni podstawą wszelkich uciech nazwany, oznacza spokój duszy, który tylko na drodze wiary jest do osiągnienia w tém ziemskiém życiu.

6. 2. Jestto słońce, godło jasności, przy któréj wszelkie drogi na ziemi rozpoznać można.

11. 2. Panterę, lwa i wilczycę, uważali dawniejsi kommentatorowie za trzy stopnie umysłowego zepsucia. Ich zdaniem: pstra, lekka pantera wyobraża rozwiozłość; lew z wzniesioną głową, dumę; a niegodziwy krzywd ludzkich sprawca, chciwość, przedstawiona jest przez wilczycę. Nowsi zaś objaśniacze widzą w panterze Florencyą i Gwelfów stronnictwo; we lwie Francyą z niemi sprzymierzoną, a mianowicie Karola Walezyusza, brata Filipa Pięknego króla francuzkiego; w wilczycy zaś Kuryą rzymską.

13. Właśnie świt dojrzał pogodnego rana,
Słońce wschodziło z całym gwiazd orszakiem
Który mu służył, gdy prawica Pana
14. W ruch cudny, utwór jednym pchnęła znakiem.
Otuchę przeto w méj duszy wzbudziły:
I skóra zwierza z centkowanym szlakiem,
15. I wdzięczna pora, i dnia powrót miły.
Lecz niemniéj wszakże przejął mnie obawą
Lew niespodzianie z ubocza przybyły.
16. Ten zdał się ku mnie zwracać napaść żwawą:
Z wzniesioną głową srożył się krwi chciwy;
Zadrżała przestrzeń za jego pojawą.
17. Z nim szła wilczyca, głodu obraz żywy,
Potwór na całém wychudzony ciele,
Mnóstwa krzywd ludzkich sprawca niegodziwy.
18. Ta zaraz na mnie naległa tak śmiele,
Że ją postrzegłszy straciłem nadzieję
Czy dopnę szczytu, i czy wytrwam w dziele.
19. Jak ów, co same znał szczęścia koleje,
Jeśli go strata przypadkiem spotyka,
Smuci się w duszy i żalu łzy leje;
20. Tak ja bolałem, gdy poczwara dzika
Wzmaganiem coraz bliższego natarcia,
Tam mnie zepchnęła, gdzie dźwięk sfer nie wnika.
21. Skorom więc na dół runął bez oparcia,
Mąż się mojemu przedstawił spojrzeniu,
Jakby ochrzypły z długiego ust zwarcia.
22. Tego ujrzawszy w mojém utrapieniu,
—„Zlituj się, przebóg!" krzyknąłem z zapałem,
„Ktokolwiek jesteś, człowieku lub cieniu!"

13. 1. W tych wierszach, zdaniem niektórych, przebija przeznaczenie 25go marca, do któregoto dnia odnoszą stworzenie świata, zwiastowanie anioła Pannie Maryi i śmierć Chrystusa. Ma to także być dzień rozpoczęcia podróży Dantego.

17. 3. Trafnie zauważano w allegoryi przytoczonych dopiéro trzech zwierząt, szczere zeznania poety: że młodzianowi w początku zawodu życia, stanęła najprzód rozwiozłość na przeszkodzie do spokoju duszy, następnie duma od tego oddalała go celu, a ostatnia nakoniec namiętność człowieka—chciwość, wszelkich krzywd matka, całkiem go z téj zepchnęła drogi w przepaść.

20. 3. Głęboko rzeczywiście musiał upaść Dante, skoro znalazł się odrazu, gdzie, jak sam powiada: „słońce milczy" tojest gdzie dźwięk sfer nie wnika.

21. 3. Ten wiérsz trafnie maluje długie zapomnienie, w jakie pisma Wirgiliusza po najściu barbarzyńców popadły.

23. A on: „Człowiekiem dawno być przestałem;
Rodzice moi śród lombardzkiéj strony
Żyli pod Mantuą, w mieniu przodków małém.
24. Zrodzon *sub Julio,* lubo opóźniony,
Dni wiodłem w Rzymie za czasów Augusta,
W których świat sprosnym bił bóstwom pokłony.
25. Byłem poetą; śpiewały me usta
Syna Anchiza co przybył od Troi,
Gdy z Ilionu dzicz stała się pusta.
26. Ale dlaczego śród tych ślęczysz znoi?
Czemuż na wzgórek nie wstąpisz wspaniały,
Co za podstawę wszelkich uciech stoi?"
27. —„Tyżeś Wirgili, źródło godne chwały,
Rzekę wymowy lejące obficie?"
Odpowiedziałem zapłoniony cały.
28. „O ty, najpiérwszych poetów zaszczycie!
Chlubię się z trudów i zamiłowania,
Którym winienem dzieł twoich nabycie.
29. Tyś mistrz mój; serce ku tobie mnie skłania,
Tobie styl piękny zawdzięczam jedynie,
Co tak pochlebne już zjednał mi zdania.
30. Widzisz to zwierzę przed którém zwrot czynię?
Broń mnie od niego, broń o mędrcu słynny,
Gdyż na myśl o niém dreszcz mi w żyłach płynie!"
31. —„Winieneś drodze dać kierunek inny,"
Odrzekł Wirgili, widząc mnie w łez toni,
„Jeśli chcesz rzucić ten kraj niegościnny;
32. Gdyż ta poczwara, co za tobą goni,
Każdego zwykle wędrowca napada,
I dręczy póty, aż duszę uroni.
33. Tak zaś drapieżna nią natura włada,
Że najobfitsze jéj nie syci jadło:
Tém jest głodniejsza, im więcéj ciał zjada.

24. 1. Te wyrazy łacińskie oryginału włoskiego musiałem pozostawić nietknięte, żeby nie zaginęła w nich zamieszczona alluzya. W lipcu bowiem, *sub Julio,* r. 654 po założeniu Rzymu, urodził się Juliusz Cezar, od którego imienia następnie ten miesiąc nazwano. Tegoż miesiąca, lecz w roku 683, przyszedł na świat Wirgiliusz, a zatém o 29 lat późniéj; co może chciał Dante wyrazić w tych ciemnych słowach: „lubo opóźniony."

27. 1. W całéj Boskiéj Komedyi przebija nadzwyczajne poważanie Dantego dla doskonałości Wirgiliusza; jest on w niéj więcéj jak poetą, bo staje się godłem mądrości i filozofii. W średnich wiekach, po przerwaniu letargu długiéj ciemnoty, zdumiony zabobon potężném światłem jednego męża starożytności pogańskiéj, uważał Wirgiliusza za świadomego nadludzkich wiadomości, za czarnoksiężnika nakształt naszego Twardowskiego.

34. Z wielą się twory już związała w stadło
I zwiąże jeszcze, aż się chart pojawi,
By przed nim w bólach sprosne zwierzę padło.
35. Ten sobie z kruszcu, z ziem pastwy nie sprawi,
Lecz mądrość, miłość, cnoty go zasilą;
A śród dwu Feltrów kraj swym rodem wsławi.
36. On dźwignie Włochy co się w przepaść chylą,
Za które Nisus z Euryalem razem,
I Turnus poległ z dziewiczą Kamillą.
37. On zewsząd wyprze to zwierzę żelazem,
Aż je pod piekła nazad wpędzi władzę,
Zkąd swym je zawiść wysłała rozkazem.
38. Więc dla własnego tobie dobra radzę,
Żebyś szedł za mną odważnego czoła,
A ja do wiecznych cię siedlisk wprowadzę.
39. Tam krzyk rozpaczy usłyszysz dokoła,
Ujrzysz cierpiących mękę nieskończoną,
Z których wciąż każdy drugiéj śmierci woła.
40. Potém tych zoczysz, co choć w ogniu płoną,
Przecież nadzieja pospołu ich cieszy,
Że kiedyś świętych zabłysną koroną.
41. Do tych zaś jasnéj gdy zechcesz przejść rzeszy,
To w moje miejsce duch czystszéj natury
Na przewodnika do ciebie pośpieszy:

34. 1. W tém miejscu staje się allegorya wyraźnie polityczną. Przytoczonym tu chartem jest *Can grande della Scala*, książę Werony i Wicenzy, znakomitych zdolności młodzian, głowa gibelińskiego stronnictwa po cesarzu, a którego dzielność miała poskromić domagania się Kuryi rzymskiéj. Samo imię jego *Can*, zarówno po włosku psa oznaczające, dało pochop poecie, do wystawienia go tu w postaci charta. Ten mąż głównie wojną zajęty, był przecież mecenasem uczonych w ogólności, a Dantego na wygnaniu szczególnym przyjacielem i dobrodziejem.

35. 3. Miasto Werona stolica domu *della Scala*, czyli *Scaligerów*, w którém *Can grande* się urodził, ma po jednéj stronie ku Trydentowi zamek Feltre, a po drugiéj ku Urbinowi Feltro, czyli Montefeltro.

36. 2. Osoby z Eneidy Wirgiliusza. Turnus był synem Daunusa króla Rutulów; Kamilla córką Metaba króla Wolsków; Nisus i Euryalus bohaterowie trojańscy. Wszyscy czterej polegli w boju o posiadanie Italii, gdy do niéj Eneasz po upadku Ilionu zawinął.

37. 3. To wyrażenie zdaje się odnosić do słów pisma św. „a z nienawiści djabelskiéj weszła śmierć na okrąg ziemie" (Mądrości Salomona 2. 24)

39. 3. Po śmierci ciała pragną śmierci duszy dla zakończenia nieznośnych cierpień, ale jéj wzywają daremnie.

41. 2. Tym duchem czystszéj natury jest Beatryxa Portinari, piérwsza kochanka młodości Dantego, którą przedwcześnie śmierć mu wydarła,

42. Wszechwładca bowiem wzniesiony nad chmury
Nie chce, by grzeszny co żył w pogan błędzie,
Wprowadził kogo w jego świetne mury.
43. Tam on króluje lubo rządzi wszędzie,
Tam jest tron jego i stolica błoga;
Szczęśliwy, kto tam przypuszczony będzie!"
44. Ja doń: „Poeto! proszę cię na Boga,
Którego w ziemskim nie znałeś żywocie,
Daj mi ztąd najprzód ujść strasznego wroga,
45. I wiedź, gdzie chciałeś prowadzić w istocie,
Żebym świętego ujrzał Piotra bramę
I tych, co wiecznie mąk ponoszą krocie!"
Ruszył, jam za nim szedł w stronę tę samę.

PIEŚŃ DRUGA.

Wieczór. Dante wzywa muz natchnienia, i opowiada jak zwątpił na samém rozpoczęciu wędrówki, ażali mu na tak daleką drogę wystarczą siły. Pod tym względem porównywa się z Eneaszem i Pawłem, z których piérwszy zwiedził za życia świat podziemny i był tego odznaczenia godny z powodu wysokich przeznaczeń swoich jako przodek założyciela Rzymu, téj stolicy najprzód władzy świeckiéj państwa rzymskiego, a następnie duchownego papieżów zwierzchnictwa; drugi zaś, Paweł, już jako apostoł zasłużył na wzgląd tego rodzaju; sam atoli, obok żadnego z nich postawićby się nie ważył. Na przełożenie téj wątpliwości Wirgiliusz zarzuca mu brak męztwa, i oznajmia przyczynę swego pojawienia, tojest, że przez Beatryxę wezwany przybył na ratunek Dantego, i że Beatryxa miała w téj mierze przestrogę od Lucyi, któréj takową wyższa jeszcze udzieliła niebianka. Po tém objaśnieniu nabiéra serca Dante i oba wędrowcy w dalszą puszczają się podróż.

1. Dzień gasł stopniowo; zmrok głuchy dokoła
Zwolna ukajał wszelkie ziemskie zwierzę
W błogim spoczynku; ja sam jeden zgoła

ale któréj pamięć najdroższą ubóstwiał całe życie. Przekonamy się w dalszym ciągu Boskiéj Komedyi, że to z polecenia Beatryxy przedstawiającéj w niéj naukę boską, teologią, obwodzi Wirgiliusz Dantego po piekle i czyscu, i że ona sama wprowadza go do raju. Nie chce Bóg, według téj nauki, ażeby ziemskie poznanie zjednywało nam zbawienie, które jedynie łaska z nieba samego w nagrodę sprawiedliwym zesłana, udzielić im może.

45. 1. Tojest do piekła i czysca, dokąd Wirgiliusz jako zmarły w roku od założenia Rzymu 734, tojest na lat 20 przed narodzeniem Chrystusa, a zatém poganin, mógł tylko miéć przystęp. Co do spomnianéj w téj zwrotce bramy, jestto zapewne ta, którą opisuje Dante na wstępie do Czysca (pieśń 9ta, zwrotka 26ta), a przy któréj czuwa anioł w urzędzie Piotra.

2. Walczyć w nieznanéj wybrałem się sferze,
Z trudem podróży i z duszy cierpieniem,
Które tu pragnę opowiedzieć szczerze.
3. O Muzy, szczytném wznieście mnie natchnieniem!
A ty pamięci, com widział na jawie,
To godnie teraz daj ogłosić pieniem!
4. Jam rzekł: „Poeto, wodzu, zważ łaskawie
Czy dosyć dzielna ożywia mnie dusza,
Żebym ci zdołał w téj dotrwać wyprawie.
5. Mówisz, że niegdyś ojciec Sylwiusza,
Człowiek śmiertelny, przystępnemi szlaki
Zwiedził tę otchłań, któréj czas nie wzrusza;
6. Mógł jemu swoich dać względów oznaki
Przeciwnik złego, gdyż wznioślejszym stanem
Znał kogo uczcić, wiedział mąż to jaki.
7. Zdaniem téż w zdrowym rozsądku czerpaném,
Wart on był, żeby Ten, co niebem włada,
Obrał go Rzymu i ojcem i panem.
8. Rzym i kraj bowiem, co z nim państwo składa,
Już to na przyszłość miejsce uświęcone,
Starszego Piotra następcy posada.
9. Przez to zwidzenie twą pieśnią sławione.
Wykrył on rzeczy, co w zwycięztw wawrzynie
Jemu cześć wniosły, papieżom koronę.
10 Potém apostoł, wybrane naczynie,
Zstąpił tam, czystą czując w sobie żądzę
Poparcia wiary, zkąd zbawienie płynie.

2. 2. Chrześcianin winien pokonać w sobie litość, jakąby w nim męki potępieńców piekła wzbudzały, gdyż te są skutkiem sprawiedliwości Boga.

5. 1. Opowiada to Wirgiliusz w księdze VI swojéj Eneidy, w któréj ojciec Sylwiusza, Eneasz, przez Kumajską wiedziony Sybillę odwiedza podziemia Tartaru.

6. 2. Przeciwnikiem złego jest Bóg, który w przyszłych widokach swoich założenia Rzymu, pozwolił Eneaszowi odwiedzić świat duchów.

8. 3. Apostoł Piotr jest tu nazwany starszym, w stosunku do innych tego nazwiska świętych.

9. 1. Eneasz otrzymał od ojca swego Anchizesa, w czasie swoich do Tartaru odwiedzin, wiadomości proroctwa, które spowodowały mu zwycięztwo: ten piérwszy kamień węgielny do założenia państwa rzymskiego, mającego z następstwem wieków stać się pościeżną namiestników Chrystusa na ziemi.

10. 1. Sam Chrystus nazwał Pawła „naczyniem wybranem", jak świadczą *Dzieje Apostolskie* w rozdziale 9 wierszu 15. Paweł wszakże nie zstąpił do piekła, ale w zachwyceniu do trzeciego nieba uniesiony został.

11. Lecz mnie kto wzywa? po co tam zabłądzę?
Jam nie Eneasz, ani Paweł nowy,
Mnie nikt, sam siebie ja godnym nie sądzę.
12. Lękam się przeto, że wpływ twéj namowy
Do niedorzecznéj wędrówki mnie znęci.
Tyś mędrcu pojął, com źle skreślił słowy.
13. Jak kiedy własnéj kto odbiega chęci
I nagle inne pochwyciwszy zdanie,
Całkiem mu pomysł piérwotny poświęci;
14. W takim śród zmroku jam zostawał stanie,
A zamiar z chyżym powzięty zapałem,
Zwolna rozważne zachwiało dumanie.
15 —„Jeśli twe słowa dobrze zrozumiałem,"
Cień mi ów odrzekł szlachetnego męża,
„Toś duszę zmazał obawy zakałem.
16. Onato często człowieka zwycięża
Tak, iż się zwraca od wzniosłego dzieła,
Jak zwiérz w pomroku, gdy źle wzrok wytęża.
17. Żeby zaś zgubnéj przewagi nie wzięła,
Wiédz, po com przyszedł, i jak mnie to boli,
Com słyszał, skoro cię troska dotknęła
18. Byłem gdzie tęsknią zawieszeni w doli,
Gdy mnie wezwała tak święta dziewica,
Tak piękna, żem biegł po objaw jéj woli.
19. Połyskiem gwiazdy lśniła jéj źrenica,
Głos, którym słodko do mnie się ozwała,
Jak pieśń anielska dotąd mnie zachwyca.
20. — „Synu Mantui, o duszo spaniała
Słynąca ciągle śród świata rozgłosu,
Któréj z wiekami jeszcze wzrośnie chwała!
21. Tam mój przyjaciel w niełasce u losu;
Tyle na puszczy doznał nieszczęść w drodze,
Że ledwie uszedł ostatniego ciosu.
22. Drżę, by w tułactwie znękanemu srodze
Zapóźno pomoc moja nie przybyła,
Po udzielonéj mi w niebie przestrodze.
23. Idź więc, niech twoja wymowa tak miła,
Wespół z innemi środki go ocala,
Żeby pociecha ztąd we mnie wstąpiła!

18. 1. Wirgiliusz jest w liczbie zatrzymanych na przedpiekle, gdzie mieszczą się poganie z czasów przedchrześciańskich, zawieszeni w wątpliwości o przyszłą dolę swoję, czyli w pośredniém znajdujący się stanie między bolem i spokojem w oczekiwaniu sądu ostatecznego.

21. 1. Przyjaciel w ustach Beatryxy oznacza koniecznie Dantego, który ją ubóstwiał w młodości i zawcześnie przez zaszłą jéj śmierć utracił.

24. Beatryx jestem, z prośbą przyszłam zdala,
A tam, zkąd idę, pragnę być z powrotem;
Miłość mnie zsyła i mówić zniewala.
25. Gdy się do Pana nazad wzniosę lotem,
Często mu wdzięcznie o twym spomnę czynie."
Tu już zamilkła, jam ozwał się potém:
26. — Dziewico cnoty, któréjto jedynie
Człowiek pod mniejszém żyjąc niebios kołem,
Zawdzięcza wyższość z jakiéj dotąd słynie;
27. Przed twym rozkazem tak rad biję czołem,
Że już żałuję upłynionéj zwłoki;
Mysl twoję zresztą w całości pojąłem.
28. Ale jak śmiałaś w ten padoł głęboki
Z niezmierzonego spuścić się przestworu,
Dokąd chcesz nazad jeszcze zwrócić kroki?"
29. „Gdy żądasz zbadać rzecz dziwną z pozoru"
Odrzekła, „zwięźle ci przeto objawię,
Czemu do tego śmiałam znijść otworu.
30. To tylko winno dać pochop obawie,
Co rzeczywiście ma moc nam szkodzenia;
Reszta w łudzącéj zastrasza postawie.
31. Jam tak stworzona z boskiego zrządzenia,
Że ani waszéj lękam się katuszy,
Ni ztamtąd wybuch mnie sięga płomienia.
32. Jest w niebie Pani, co tak z głębi duszy
Ku zdanéj tobie skłania się potrzebie,
Że aż przeznaczeń twardy wyrok kruszy.

26. 2. Jeżeli Beatryxa oznacza mądrość boską, teologią, to w Wirgilim uosobiona jest mądrość ludzka, filozofia. Dla piérwszéj służy wielkie koło, którém słońce wszechświat obiega; dla drugiéj księżyc, towarzysz ziemi, mniejsze zakreśla koło.

31. 3. Lubo Wirgiliusz wraz z resztą cnotliwych pogan, nie podlega na przedpiekle żadnéj katuszy, ani im tam bynajmniéj nie dokucza płomień; przecież nie są niewłaściwemi Beatryxy słowa, jako dotyczące ogółu piekła, do którego i ta część należy.

32. 1. Ta Pani w niebie jestto Marya, która sama mogła wstawieniem swojém wyrok skruszyć przeznaczenia, a któréj najświętszego imienia nie godziło się w piekle wymówić. Lucya, od wyrazu łacińskiego *Lux*, jasność, biorąca nazwanie, i dotąd u wielu chrześcian o pomoc w dolegliwości oczu wzywana, ma sobie niejako poruczoną opiekę światła w obu jego znaczeniach: fizycznem i moralném; a dlatego uczony Dante tu jako jéj wierny jest wskazany. Według teologii scholastycznéj oznaczają te dwie niewiasty wraz z Beatryxą trzy gracye chrześciańskie, czyli trzy łaski boskie mające wpływ na zbawienie duszy. Piérwsza jest łaska *uprzedzająca*, która obudza w niéj wolą, druga, *oświecająca*, udziela jéj moc i oświatę; trzecia nakoniec *uskuteczniająca*, uszczęśliwia ją dokonaniem.

33. Ta więc Lucyą ściągnąwszy do siebie,
Rzekła: „Twój wierny dziś pomocy wzywa,
Ja tobie zatém polecam go w niebie!"
34. Lucya zawsze na ból obcy tkliwa,
Wnet przybywając gdzie śród miłych grona
Siedziała przy mnie Rachela sędziwa,
35. Mówi: „Beatryx Bogu ulubiona!
Spiesz bronić tego, co cię kochał tyle,
Co się dla ciebie z gminu wyniósł łona!
36. Czyż łkań nie słyszysz w których spędza chwile?
Nie widzisz śmierci, z którą walkę toczy
W prądzie potoku równym morza sile?
37. Pewnie nikt w świecie chyżéj nie wyskoczy,
Bądź klęski stroni, bądź za zyskiem dyszy,
Jak ja skoczyłam na jéj głos uroczy;
38. I aż tu zeszłam z méj rajskiéj zaciszy,
Przez zaufanie w twéj wymowie prawéj,
Któréj cześć z tobą dzieli, kto ją słyszy."
39. Po téj odezwie blask źrenicy łzawéj
Wdzięcznie z spójrzeniem odwróciła miłém,
Co do posługi znagliło mnie żwawéj.
40. I jak kazała, do ciebie przybyłem
Zwolnić od zwierza, które cię wstrzymało
U pięknéj góry, na wnijściu pochyłém.
41. Czemuż więc, czemuż masz chęci tak mało?
Czemuż twe serce trwogą jest przejęte?
Czemuż z ufnością nie postąpi śmiało?
42. Wszakżeto ciebie trzy niewiasty święte
Mają w opiece na niebieskim dworze,
I ja tak miłą skréślam ci ponętę."
43. Jak kwiatki zimnem w nocnéj zwarte porze,
Chylą się smutnie, a prężą korony,
Kiedy im słońce zabłyśnie w przestworze;
44. Tak i ja byłem na sercu zwątlony.
Wnet zaś w niém tyle zawrzała odwaga,
Żem się swobodnie odezwał z méj strony:
45. — „O jak łaskawa ta, co mnie wspomaga!
Jakżeś ty względny, żeś jéj bez wahania
Usłuchał głosu, który za mną błaga!
46. Przemowa twoja tak mi serce skłania
Ku wskazanemu celowi zawodu,
Że do piérwszego rad powracam zdania.
47. Idźmy więc, spólną mamy chęć pochodu,
Tyś moim mistrzem, panem, przewodnikiem!"
Tak rzekłem; na to on wyruszył z przodu,
I daléj wzgórzem dążyliśmy dzikiém.

36. 3. Potok rozhukanych namiętności wiodący do otchłani piekielnéj.

PIEŚŃ TRZECIA.

Obadwa poeci dochodzą razem do bramy piekła. Dante czyta napis z przerażeniem, lecz mu Wirgiliusz dodaje odwagi i do wnijścia nakłania. Tu uderzają ich westchnienia, skargi i wrzaski ze strony próżniaków i nikczemników, którzy bez chwały i bez hańby nieużyteczne spędzili życie, a teraz błądzą w pomroce wieczystéj jak piasek burzą miotany, lub spieszą nadzy za ciągle uchodzącą chorągwią, sieczeni do krwi przez bąki i osy. Następnie przybywają dwaj wieszcze nasi nad Acheron, gdzie u brzegu czeka nieprzeliczona moc dusz na przewóz, który tam stary Charon bez przerwy dopełnia, i opieszałych wiosłem do czółna swego napędza. Wszakże Dantego, jako żyjącego wzbrania się on przeprawić, ale go uspokaja Wirgiliusz wydaném z góry do téj drogi upoważnieniem. Oczekujące dusze wsiadają więc na statek i odpływają; brzeg zaś Acheronu ulega trzęsieniu ziemi, powstaje burza, błyska się, a Dante pada zemdlały na ziemię.

1. „Jam wchód do grodu żałości i trwogi,
Jam wchód na męki bez końca i miana,
Jam wchód w straszliwe potępieńców progi.
2. Byt mój zrządziła sprawiedliwość Pana,
Moc Boska w mojém wzniesieniu jaśnieje,
Mądrość najwyższa, miłość niezrównana.
3. Sam utwór wieczny przedemną istnieje,
Ale i moja wieczną jest budowa.
Wchodzący, wszelką porzućcie nadzieję!"
4. Te ponad bramą skorom postrzegł słowa,
Czarnemi zgłoski wyryte na głazie,
Rzekłem: „Mnie, mistrzu, trwoży ich osnowa!"
5. Na to on godnie w trudnym odparł razie:
— „Wszelka nieufność tu już nie ma wątku,
Tu kres wytknięty wszelkiéj życia zmazie.
6. Ujrzysz, gdzie wnijdziem, com wróżył z początku:
Ludzi płaczących na dni swych gorycze,
Którzy stracili błogi dar rozsądku."
7. Potém weselsze przybrawszy oblicze,
Daną mi dłonią zbudził siły życia,
I powiódł w pieczar wnętrze tajemnicze.
8. Tam wciąż westchnienia, i łkania, i wycia,
Tak pod sklepieniem bezgwiazdowém brzmiały,
Żem łzy jął ronić po chwili przybycia.

3. 3. Otóż ów wiérsz sławny, tak głośny w świecie, że powszechność nic więcéj o Dancie nie wié; nawet tego, że sam jeden on nie stanowi całego napisu na bramie piekielnéj, lecz go tylko godnie zakończa. Brama ta wypływem jest sprawiedliwości Boga trójjednego, którego moc odnosi się do Ojca, mądrość do Syna, a miłość do Ducha świętego. Co do utworów przed piekłem istniejących, temi są: niebo, ziemia i aniołowie. Dopiéro kiedy tych ostatnich część zbuntowana strąconą została do środka ziemi, rozwarła się otchłań piekielna na ich przyjęcie. Ewang. św. Mateusza r. 25. w. 41.

9. Różne języki, krzyk gniewu zuchwały.
Okropne klątwy, bolu skarga drżąca,
Wszystko to wrzało śród razów nawały;
10. A straszny odgłos tych dźwięków tysiąca,
Krążył w powietrzu co nie zna barw czasu,
Jak krąży piasek, gdy go burza zmąca.
11. Ja zaś śród tego odurzon hałasu,
Spytałem: „Mistrzu, zkąd ten zgiełk zawiły?
Czy to jęk ofiar krwawego zapasu?"
12. A on: „Z nałogu tak płuc trwonią siły
Nędzne te dusze, co niegdyś na ziemi
Bez żadnéj chwały i bez hańby żyły.
13. Tu one goszczą z anioły owemi,
Co samolubnie stroniąc kroków czynnych,
Acz nie buntowni, nie byli wiernemi.
14. Niebo w czystości pozbyło się winnych,
Piekło zaś w głębsze nie przyjęło tonie,
By w pychę nie wzbić potępieńców innych."
15. Więc ja: „Cóż, mistrzu, dręczy ich w téj stronie,
Że z takim jękiem dobywają głosu?"
— „To, odrzekł, w kilku ci słowach odsłonię:
16. Dla nich nadzieja znikła śmierci ciosu;
Gdy zaś tu nędzne dni ich muszą płynąć,
Zazdroszczą teraz jakiegobądź losu.
17. Świat im i w wieści nie dozwala słynąć,
A słuszna litość gardzi gronem całém.
Lecz dość już o nich, dość spojrzéć i minąć."
18. Jakoż spojrzawszy, chorągiew ujrzałem,
Co się w tak chyżym rozwijała pędzie,
Iż spocząć była niegodna z tym szałem.
19. Za nią dusz tyle cisnęło się wszędzie,
Żem zdumiał widząc ludzkiego plemienia
Już część tak wielką w śmierci ofiar rzędzie.

10. 2. W wiecznéj nocy piekła nie ma rozmaitych odcieni światła, jakie na ziemi odznaczają wschód, południe i zachód słońca, zmianę pogody lub następujące po sobie pory roku.

13. 1. Do pospolitéj tłuszczy nikczemników i próżniaków policzeni są tu owi aniołowie, którzy podczas rokoszu szatana w niebie, nie przychylili się do żadnéj strony dla braku ducha na poparcie złéj lub dobréj sprawy. Tu więc pośrednie także zajmują miejsce, między niebem a piekłem właściwém.

16. 1. Dla nich nie ma nadziei zupełnego zniszczenia, wieczną zatém być musi ich niedola; kiedy przeciwnie inni na sądzie ostatecznym złagodzenia losu spodziewać się mogą.

18. 1. Chorągiew nikczemników nie spoczywa nigdy i zawsze w ruchu wstecznym się obraca; tłum za nią nieprzeliczony.

20. Kształt niejednego tu poznawszy cienia,
I tegom dostrzegł, co z podłości ducha
Do niezmiernego przystąpił zrzeczenia.
21. Wnet pewna we mnie wstąpiła otucha,
Że to część ludzi bezbożnym niemiła,
Któréj zarówno i sam Bóg nie słucha.
22. Nędzną tę rzeszę co nigdy nie żyła,
Nateraz nagą, bez litości siekły
Bąki i osy, jakich ćma się wiła.
23. One krwią całkiem jéj lica powlekły,
Którą wciąż u stóp spijały robaki,
Razem z jéj łzami co pospołu ciekły.
24. Potém wzrok w dalsze posunąwszy szlaki,
Ujrzałem ciżbę u rzecznéj pobrzeży;
Więc rzekłem: „Mistrzu, a to tłum jest jaki?
25. Wskazać mi powód od ciebie zależy,
Czemu, jak śledzę przy świetle zmroczoném,
Ten lud na przełaj do przewozu bieży?"
26 A on: „Dowiész się o zjawisku oném,
Skoro minąwszy przestwór niedaleki,
Nad smętnopłynnym staniem Acheronem."
27. Wówczas wstydliwie spuściwszy powieki,
Oraz badania kończąc uciążliwe,
Szedłem w milczeniu aż do saméj rzeki.
28. Wtém starzec raźny mimo włosy siwe,
Zbliżył się ku nam na czółnie szerokiém,
Krzycząc: „Biada wam, dusze niegodziwe!

20. 2. W téj ciżbie niewartéj spomnienia, poznaje przecież Dante kilka cieni głośniejszych, a mianowicie tego: *Co z podłości ducha do niezmiernego przystąpił zrzeczenia.* Nie dociekli dotąd kommentatorowie, kogo przez to rozumiał poeta; wszakże dosyć prawdopodobnie sądzą niektórzy, że tu jest wzmianka o papieżu Celestynie Vtym, który z namowy Bonifacego VIIIgo swego następcy, zrzekł się tyary i wrócił do pustelni, zkąd chwilowo na papieztwo go wyniesiono.

22. 3. Krew nikczemników zarówno od nieba jak i od piekła wzgardzona, służyć tylko może na pastwę robaków.

28. 1. Jestto Charon, dawnego Erebu głośny przewoźnik; w średnich bowiem wiekach policzano wszelkiego rodzaju osoby mitologii starożytnych do demonów chrześciańskich, i Dante w całém dziele swojém trzyma się téj zasady. Słowa zaś gniewnego starca tyczą się oczywiście reszty dusz grzesznych, a występniejszych od poprzedniéj nikczemnych próżniaków rzeszy, które do głębszego udają się piekła, gdzie według rozporządzenia Minosa mają być w stosownym obwodzie pomieszczone. Co do stopniowania tych obwodów, to dzieje się z ścisłém zachowaniem następstwa trzech głównych działów, tojest: ciemności, płomienia i mrozu. Ten ostatni znajduje się na samém dnie piekła u Dantego, jako każdy wymiar najsurowszy.

29. Nie tuszcie niebios cieszyć się widokiem;
Ja wnet na drugim was brzegu umieszczę,
W lodach i żarach pod wieczystym zmrokiem.
30. A ty tu po co, duszo żywa jeszcze?
Idź ztąd, w umarłych nie mieszaj się sprawy!"
Lecz gdy wciąż stałem mimo trwogi wieszcze,
31. Dodał: „Dla twojéj potrzeba przeprawy
Innéj przystani, innéj wcale drogi,
I nadewszystko znacznie lżejszéj nawy."
32. A wódz mój: „Uśmiérz Charonie gniéw srogi;
Tak chce Ten, który co rzeknie w uchwale,
To spełnić może; czcze więc skończ przestrogi!"
33. Odtąd lic wyraz drgających w zapale,
Zwolnił przewoźnik na siarczystym prądzie,
Choć płomień oczy okrążał mu stale.
34. Lecz dusze nagie, strudzone na lądzie,
Zmieniły cerę, zębami szczęknęły,
Słysząc z ust jego o straszliwym sądzie.
35. Boga, społeczność, rodziców swych klęły,
I przyjścia na świat miejsce, dzień, godzinę,
I dzieci z płodem jakiby poczęły.
36. Potém ze łkaniem szły na brzeg w dolinę,
Na brzeg złowrogi, gdzie dążą grzesznicy,
Co łaskę Boga przez swą tracą winę.
37. Charon, czart iskry sypiący z źrenicy,
Skinieniem wszystkich sprowadzał do łodzi,
Nagląc spóźnionych wiosłem w swéj prawicy.
38. Jak lecą liście, gdy jesień nadchodzi,
Jeden po drugim opada na ziemię,
Aż się obnaży gałąź co je rodzi;
39. Tak się kolejno złe Adama plemię
Rzucało z brzegu na pokład statkowy:
Istny zbieg ptastwa na wabia lub siemię.
40. W ten sposób strumień przepływają płowy,
A nim na drugiéj zdążą wysiąść stronie,
Już się tymczasem tłum tu zbiéra nowy.
41. — „Synu!" mistrz do mnie w łagodnym rzekł tonie,
„Tu się z wszelakich stron świata gromadzą
Ci, co gniéw boski ponoszą przy zgonie,

31. 2. Pocieszającém było to zapowiedzenie dla Dantego, kiedy zważymy, że tu nadarzona droga służyła wyłącznie dla wielkich przestępców bezpowrotnie do piekła skazanych.—Patrz następne zwrotki 41 i 43 w téjże pieśni.

32. 1. Téj potężnéj przemowy, wszelkie przeszkody w podróży jego usuwającéj, używa Dante kilkakrotnie i dosłownie w Boskiéj Komedyi. Piekło p. V, 8.

38. 1. Porównanie wzięte z Eneidy Wirgiliusza księgi szóstéj.

42. I tu się zawsze z chęcią przewieźć dadzą:
W tę żądzę bowiem zmienia się ich trwoga
Sprawiedliwości wszechmocnego władzą.
43. Nie jestto wcale dla dusz dobrych droga;
A jeśli Charon tam ciebie nie woła,
To wiész, co jego znaczyła przestroga."
44. Ledwie zakończył, gdy przestrzeń dokoła
Z taką się mocą wstrzęsła niespodzianie,
Że przy spomnieniu pot mi ciecze z czoła.
45. Ziemia łez pękła, rozwarła otchłanie,
I błysk z wnętrzności zionęła czerwony,
Który mi zmysłów odebrał władanie.
Padłem natychmiast jak nagle uśpiony.

PIEŚŃ CZWARTA.

Odzyskawszy zmysły znajduje się Dante na drugim brzegu Acheronu, i w dalszéj drodze zstępuje na piérwszy obwód piekła. Tu zamiast skarg głośnych słychać tylko westchnienia. Jestto siedlisko przed chrztem zmarłych dzieci, oraz szlachetnych i cnotliwych pogan, przed przyjściem Chrystusa zeszłych ze świata. Rozczulony ich losem Dante, zapytuje dla utwierdzenia swéj wiary w samém nawet piekle, czyli nikt ztąd oswobodzony nie został, i otrzymuje od Wirgiliusza odpowiedź, iż Chrystus część dusz z tego okręgu już wprowadził do nieba. Daléj idą lasem dusz pospolitych, aż nakoniec spotykają mężów wielką okrytych chwałą, jakoto: Homera, Horacego, Owidyusza i Lukana, którzy pozdrawiają wracającego do nich Wirgiliusza, i przyjmują Danta do swego orszaku. Ciągną więc pospołu ku zdala postrzeżonemu światłu i do pysznego dostają się zamku, siedmią murami i strumieniem otoczonego. Znalazłszy zielony smug wewnątrz, przypatrują się z wyniosłego miejsca przebywającym tam duszom. Sąto cienie bohaterów i mędrców piérwszego rzędu, dotąd głośnych w świecie. Śród piérwszych wylicza tych poeta, którzy mają styczność z Troją, ojczyzną Eneasza, lub z ugruntowaném następnie przez niego państwem rzymskiém. Między mędrcami zaś najwyższe trzyma miejsce Arystoteles, ojciec scholastycznéj filozofii. Po tym przeglądzie Dante z Wirgilim w dalszą zapuszczają się drogę.

1. Grzmot tak potężny spędził mi sen z powiek,
Że się zerwałem przy zmysłów powrocie,
Właśnie jak gwałtem przebudzony człowiek.
2. Wkoło toczyłem po każdym przedmiocie
Przetartém okiem, nie szczędząc mozołu
Dla rozpoznania gdzie byłem w istocie.

45. 3. Ponieważ w początku następéj pieśni widzimy obu poetów na drugiéj stronie Acheronu, zostaje pytanie, jak się tam dostali nie przewiozłszy się na Charona nawie? Tego wszakże szczegółu nie objaśnia wcale Dante, i w téj właśnie tajemnicy jest coś nader poetycznego, nakształt nadprzyrodzonych zjawisk, które w wielu bohaterskich poematach z rozkoszą podziwiamy.

1. 3. Grzmot jęków i krzyków który przebudził Dantego, pochodził z saméj głębi piekła, którego kształt lejkowaty był usposobiony do przenoszenia głosów w coraz szersze jego obwody górne.

3. I znalazłem się nad krańcem padołu,
W którego łonie wieczne tętnią żale,
Gdzie wszelkich bolów grzmią krzyki pospołu.
4. Czarna ta otchłań mgłą zamierzchła stale,
Tak była w środku głęboka, że na dnie
Nic już rozróżnić wzrok nie zdołał wcale.
5. „Teraz świat ciemny zwiedzić nam wypadnie!“
Wniósł mój przewodnik coraz więcéj blady:
„Pójdę wprzód, za mną ty postąpisz snadnie!“
6. A ja te widząc w nim zmieszania ślady,
„Mogęż iść, rzekłem, gdyś ty uległ trwodze,
Ty, który swemi krzepiłeś mię rady?“
7. On na to: „Boleść dręczonych tam srodze;
Twarz mą wyrazem litości powlekła,
Co mienisz stratą odwagi w téj drodze.
8. Lecz spieszmy naprzód, nagli chęć zaciekła!“
Rzekł i pospołu zeszliśmy niebawnie
Na piérwszy okrąg wieńczący głąb piekła.
9. Tu się płacz znikąd nie odzywał jawnie,
Tylko szmer westchnień szumiał przez odmęty,
Drżenie w powietrzu sprawując ustawnie.
10. Byłto głos w bolu nie w mękach poczęty,
Głos mnogich tłumów powolnie wznoszony
Z ust mężów, niewiast, razem z niemowlęty.
11. „Cóż to, nie pytasz,“ rzekł mistrz uwielbiony
„Jakich dusz widok w obecnéj masz dobie?
Chcę, byś je poznał nim rzucisz te strony.
12. Ci nie grzeszyli, w złych nie drżą żałobie,
Lecz nie dość na tém:—chrztu bowiem nie znali,
Téj bramy wiary otworzonéj tobie.
13. Już przed Chrystusem w świecie zamieszkali,
Boga nieprawém bluźnili błaganiem;
Z tymi na równéj i ja stoję szali.
14. Przez ten brak jeden zgubieni zostaniem,
Lubo nam tylko na każń naznaczono
Żyć bez nadziei z wieczystém żądaniem.“
15. Na to ból wielki wskróś mi przeszył łono,
Gdyż znałem ludzi znakomitych wielu,
Których zaszczytne tu zawarło grono.
16. „Powiédz mój mistrzu, mój nauczycielu“
Rzekłem wbrew błędom co przed prawdą gasną,
I mając wiary stwierdzenie na celu:

13. 2. Ponieważ na podobieństwo cnotliwych mężów hebrajskich nie wierzyli w przyszłego Zbawiciela.

14. 3. Taki jest stan zwyczajny tych wszystkich ludzi na ziemi, którzy prowadzą i kończą doczesne życie swoje, żadnéj w duszy nie posiadając wiary.

17. „Czy ztąd kto wyszedł przez zasługę własną,
Albo przez obcą, i czy dopiął raju?“
A on pojąwszy tę mowę niejasną.
18. Odparł: „Zaledwiem w tym zamieszkał kraju,
Gdy przybył mocarz uwieńczon wawrzynem,
Według dawnego zwycięzców zwyczaju.
19. On ztąd Adama wywiódł z Ablem synem,
Z nim poszedł Noe, Mojżesz, ów mąż cudu,
Co prawo boskie objawił przed gminem.
20. Dawid, Abraham patryarcha ludu,
Izrael z ojcem, śród synów spaniały,
Razem z Rachelą, swą nagrodą trudu,
21. I wielu innych on wyniósł do chwały;
Żadne atoli przed jego pojawą,
Ztąd zbawionemi dusze nie zostały.“
22. Tak szliśmy daléj zajęci rozprawą,
Wciąż lasem dążąc w rozległéj przestrzeni,
Lasem dusz, mówię, pod zamroką mgławą.
23. Jeszcześmy byli mało oddaleni
Od miejsc gdziem usnął, gdym postrzegł ognisko,
Które jaśniało śród półkola cieni.
24. Wprawdzie się ono nie świeciło blizko,
Przecież poznałem po chwili zadumu,
Iż zacnéj rzeszy tam było siedlisko.
25. — „Powiédz ozdobo ludzkiego rozumu,
Kto są ci, których szlachetność prawdziwa
Tyle odznacza od śmiertelnych tłumu?“
26. Na to on do mnie: „Sława sprawiedliwa
Co ich zalety na ziemi ocenia,
Równie tu niebios im względy zjednywa.“
27. Tymczasem oddźwięk usłyszałem brzmienia:
„Cześć, cześć powinna wielkiemu poecie!
Cień jego do nas wraca z oddalenia.“
28. Gdy ów głos zamilkł w tym podziemnym świecie,
Cztéry nam wielkie zaszły cienie z przodu,
Niezbyt wesołe i niesmutne przecie.

17. 2. Dante szukał oczywiście stwierdzenia podań dawno mu z nauki kościoła wiadomych; pytanie zaś swoje może dlatego nazywa niejasném, że w niém Chrystusa wprost nie wymienił.

18. 2. Wszakże tym mocarzem był właśnie Bóg-człowiek, który w lat 52 po śmierci Wirgiliusza ukrzyżowan, wstąpił do piekła dla wybawienia ztamtąd tych, którzy w nim pokładali nadzieję, a między innemi Izraela, co 14 lat dosługiwał się Racheli u Labana jéj ojca.

22. 3. Las dusz pospolitych po których żadna nie została pamięć, leży w zamroce zapomnienia.

27. 2 To powitanie z grona dusz znakomitych pochodzące, dotyczy wyraźnie Wirgiliusza.

29. A mistrz mój z tego przemówił powodu:
— „Przypatrz się temu, co na mieczu wsparty,
Sam trzech poprzedza niby wódz pochodu.
30. To Homer, wieszczów wzór laty niestarty;
Za nim Horacy satyryk się bieli,
Trzeci Owidy, a Lukan jest czwarty.
31. Gdy zaś z nich każdy ze mną imię dzieli,
Którém ów okrzyk w obecnéj brzmiał porze;
Słusznie mnie przeto z zaszczytem przyjęli."
32. Tak więc ujrzałem w zupełnym doborze
Tę szkołę twórcy pieśni niezrównanych,
Co wzbiegł nad innych jak orzeł w przestworze.
33. Po chwili rozmów z sobą zawiązanych,
Ruszyli ku mnie z pozdrowienia znakiem,
A mistrz śród mężów uśmiechał się znanych.
34. Ci mnie uczcili odznaczeniem takiém,
Że szósty między owemi poety,
Z ich się uprzejmym złączyłem orszakiem.
35. Więc dążyliśmy aż do światłéj mety,
Prawiąc o rzeczach których dziś nie spomnę,
Aczkolwiek wtenczas miały swe zalety.
36. Doszliśmy wreszcie pod mury ogromne,
Co siedmkroć zamek spaniały wieńczyły,
A wkoło strumyk sączył wody skromne.
37. Te przekroczywszy, jakby wyschłe były,
Przez siedm bram wszedłem z mędrcami wyprawy
Na piękny trawnik, gdzie chłód krążył miły.
38. Tu byli ludzie dostojnéj postawy,
Z zastanowieniem i powagą w oku,
Mówiący mało i bez próżnéj wrzawy.

29. 2. Miecz w ręku Homera służy za godło bohaterskiego wiérsza. Jeszcze do niego odnosi się porównanie z orłem w zwrotce 32.

31 1. Każdy bowiem z mężów w tém zgromadzeniu był równie poetą jak Wirgiliusz.

34. 2. To naiwne uznanie własnéj wartości, które tak mocno nie od rzeczywistéj skromności, lecz od hypokryzyi nowszych czasów odbija, jest zupełnie w obyczajach mężów starożytnych, z którymi w téj chwili przestaje Dante.

36. 1. Przez owe siedm murów rozumieją niektórzy kommentatorowie siedm cnót głównych przez Arystotelesa wytkniętych, jakoto: męztwo, umiarkowanie, hojność, łagodność, sprawiedliwość, spaniałość i właściwe uczucie honoru. Inni widzą znów w nich siedm sztuk wyzwolonych: grammatykę, retorykę, dyalektykę, arytmetykę, muzykę, geometryą i astronomią. Mały strumyk pod murami się snujący, zatrzymuje tylko pomiernych umysłów zarozumiałość, ale prawdziwie wielcy poeci przekraczają go na sucho, i przez siedmiu cnót bramy wstępują na wiecznie zielone bohaterów wzgórze, których są piewcami i do których towarzystwa należą.

39. My stanęliśmy nadciągnąwszy z boku
Na miejscu wzniosłém, dobrze oświeconém,
By całość objąć téj rzeszy widoku.
40, Tam mi wskazano na błoniu zieloném,
Cienie przeszłością znakomite swoją;
Aż rosłem w duszy przed ich chwały plonem.
41. Tam mogłem w mężach co z Elektrą stoją,
Poznać Hektora, Eneasza lice;
Tu z sępiém okiem Cezara pod zbroją.
42. Daléj Kamillę, wojenną dziewicę,
Pentesileę, i króla Latyna,
Gdzie miał z swą córą Lawinią stolicę.
43. Widziałem Bruta pogromcę Tarkwina,
Julią, Lukrecyą, Marcyą, z Grachów matką,
A na osobnéj stronie Saladyna.
44. Wyżéj gdym w przestrzeń wzrok zapuścił rzadką,
Widziałem mistrza filozofów kola,
Jak śród nich dumał nad wiedzy zagadką.
45. Wszystkie z podziwem jemu biły czoła.
Sokrates, Plato, przed tym mędrców wzorem
Tam stali bliżéj, niż kto dotrzéć zdoła.
46. Demokryt, co świat mienił losu tworem,
Tales, Empedokl obok Heraklity,
Dyogen, Zeno, wraz z Anaxagorem.
47. I Dioskoryd badacz znamienity,
Orfeusz, Linus, Cycero poprawny,
Seneka cnoty kreślący zaszczyty.

41. 1. Tu przytoczona Elektra nie jest Agamemnona, lecz Atlasa córą, matką Dardanusa założyciela Troi. Przy niéj są główni Ilionu obrońcy: Hektor i Eneasz, któryto ostatni dał następnie początek państwu rzymskiemu. Blizko stoi Cezar, wywodzący ród od Jula, syna Eneasza, a sam będący głową cesarzów rzymskich.

42. 2. Kamilla już była w pieśni 1 spomniana. Pentesilea królowa Amazonek na pomoc Troi podczas jéj oblężenia przybyła. Latynus król Aborygenów ojciec Lawinii poślubionéj Eneaszowi. Julia córka Cezara, żona wielkiego Pompeusza. Marcya, żona Katona z Utyki. Lukrecya żona Kollatyna; matka Grachów, Kornelia. Za pomieszczenie tu Saladyna pogromcy krzyżowych chrześcian w Palestynie, podziwiać należy bezstronność Dantego.

44. 2. Przez uszanowanie nie nazwany tu jest Arystoteles uczniem Sokrata i Platona, lecz wyżéj od nich ceniony w średnich wiekach, dla których był ojcem wszelkiéj nauki i wyrocznią filozofii. W zwrotce 46 wymienia siedmiu filozofów greckich, a w następnych pomieszczeni są trzéj lekarze greccy: Dioskorydes, Gallen i Hipokrates; jeden arabski: Awicenna; dwóch matematyków greckich: Euklides i Ptolomeusz; jeden poeta grecki: Orfeusz; jeden laciński: Linus; dwóch filozofów rzymskich: Cycero i Seneka, oraz jeden arabski, Awerroes, który kommentował Arystotelesa.

48. Ptolomej. Euklid geometra dawny,
Galen, Awicen, Hippokrat w swéj chwale.
I Awerroes z komentarzów sławny.

49. Wszystkich wyliczyć nie zamierzam wcale;
Długie mam dzieło, a czasu zbyt mało,
Aż słów brak często w przedmiotów nawale.

50. Dwóch teraz z sześciu razem nas zostało;
Wódz w inną stronę moje zwrócił kroki,
Z pogody w zamęt przejmujący ciało,
Gdzie żaden promyk nie spędza pomroki.

PIEŚŃ PIĄTA.

Na wstępie do drugiego obwodu znajduje Dante w straszliwéj postaci Minosa. Ten sędzia piekielny objawia duszom przez Charona dostawionym, zapadły na nie wyrok, tojest liczbą okręceń ogona około ciała swojego, oznacza grzesznikom właściwą ich w piekle dzielnicę. Minos odzywa się zrazu gniewnie do Danta, jak Charon w pieśni trzeciéj: wpuszcza go przecież, gdy do niego przemawia Wirgiliusz w tych samych słowach, co do tamtego. Tu odzywają się krzyki, narzekania i bluźnierstwa, a okropna nawałnica szerzy się ciągle śród zupełnéj ciemności. Udręcza owa burza pomieszczonych w tym okręgu rozwiozłych niegdyś śmiertelników, i wyobraża szalony na ziemi ich zapałów popęd. Wirgiliusz wymienia swemu towarzyszowi niektóre ofiary nierządnych namiętności, którym przewodniczy najwyuzdańsza z nich Semiramis. Dwie dusze zawsze w parze z sobą dążące ściągają uwagę Dantego, który je do rozmowy przyzywa. Jestto Paolo Malatesta da Rimini z bratową swoją Franciszką. Ucisza się chwilowo nawałnica; Dante słucha smutnéj powieści o nieszczęśliwéj ich miłości, i zdjęty żałością pada jak nieżywy.

1. Tak więc z piérwszego zszedłem w okrąg drugi,
Który zawiera w mniéj obszernem kole
Boleść tém większą, jęk ciężki i długi.

2. Tu z zgrzytem zębów, z pogrozą na czole,
Minos wchodzących winowajców bada
I swym ogonem rozstrzyga ich dolę.

49. 1. Takowe wyliczanie znakomitości starożytnych, aczkolwiek niedokładne, przecież niekrótkie na zakres poezyi, niesłychane nastręczało trudności w przekładzie. Ażeby tyle nazwisk cudzoziemskich, nie opuszczając dla wierności żadnego, pomieścić w wierszu danéj formy, musiałem pozwolić sobie licencyi, bez któréj nie było możności wyjść z téj walki zwycięzko. Oto uciekłem się wyjątkowo do pewnéj pisowni, już wprawdzie nierzadko u nas używanéj, ale któréj z przekonania nie będąc bynajmniéj zwolennikiem, uznałem potrzebę tu moje załączyć wytłumaczenie.

1. 2. Ponieważ otchłań piekielna jest w kształcie lejka wydrążona, przeto zakreślone w niéj obwody zmniejszają się w miarę swego zagłębiania.

2. 3. Minos przedstawia wchodzącym do piekła grzesznikom ich własne sumienie uosobione; przepasywanie się tego strasznego sędziego ogonem, smagłość węża przypominającym, wyobraża tu powtarzane udręczenia wewnętrzne winowajców, w miarę zbrodni przez nich popełnionych.

3. Gdy bowiem dusza przed nim się spowiada.
Sprośnemi w życiu dzieły zeszpecona;
Wtenczas on świadom, która jest posada
4. Dla takich zbrodni w piekle przeznaczona,
Tylekroć ogon wkoło siebie winie,
Ile ta stopni ma być w głąb strącona.
5. Ich tłum potokiem wciąż ku niemu płynie,
Każda do sądu w zawód się przeciska,
Zeznaje, słucha i w otchłani ginie.
6. — „O ty, co zwiedzasz te straszne siedliska"
Rzekł Minos mierząc mnie spojrzeniem dzikiém,
I trud przerwawszy swego stanowiska:
7. „Zważ, jak tu wszedłeś, kto twym przewodnikiem,
Niech te przystępne nie łudzą cię progi!"
A wódz mój: „Czegóż tak powstajesz z krzykiem?
8. Wskazanéj z góry nie wzbraniaj mu drogi!
Tak chce Ten, który co rzeknie w uchwale,
To spełnić może; czcze więc skończ przestrogi!"
9. Teraz śród jęków szerzące się żale
Słuch mój raziły; szedłem bowiem w strony
Gdzie odgłos płaczu rozlega się stale.
10. W grubych ciemnościach byłem pogrążony,
A huk grzmiał zewsząd jak mórz nawałnica,
Gdy sporne wichry kłócą odmęt słony.
11. Huragan który sam się wciąż podsyca,
Tu silném parciem pędzi duchów krocie,
Tych bijąc, dręcząc, co w swój wir pochwyca;
12. Aż nad przepaścią stanąwszy w zawrocie,
Swoje znów łkania wszczynają i jęki,
Razem z przekleństwy przeciw boskiéj cnocie.
13. Słyszałem wówczas, że na takie męki
Skazani byli grzeszący cieleśnie,
Których z rozumu żądz wyzuły wdzięki.
14. Jak od nas szpaki chłód wygania wcześnie,
Gdy ród ich znaczną się liczbą zasili;
Tak wiatr te dusze naciska boleśnie,
15. Pcha na bok, w górę, i znów na dół chyli:
Ani nadzieja cieszy ich łaskawie,
Nie już mąk końca, lecz wytchnienia chwili.

7. 2. Szeroka i ujmująca jest występku droga, ale jakże w odwrocie do przebycia trudna!

12. 3. Uderza ten obraz straszliwą trafnością swoją. Kiedy nawałnica namiętności wtrąci grzesznika w nieszczęście, wyrzuca on wtenczas niesprawiedliwość niebu, zamiast samego siebie obwiniać.

16. Jak lecą głosząc pieśń swoję żurawie,
W składzie długiego na powietrzu rzędu;
Tak tu widziałem jęczące w przeprawie
17. Dusze niesione od burzy zapędu.
Więc rzekłem: „Mistrzu, wichrów kaźń surowa
Jakąż to rzeszę tak ściga bez względu?"
18. —„Piérwszą jest w tłumie, o którym tu mowa,"
Odparł przewódzca na moje pytanie,
„Różnojęzykich niegdyś państw królowa.
19. Ta sprosny żywot w wzniosłym wiodąc stanie,
Bezwstyd stwierdziła urządzeniem prawném,
By zań przestała podlegać naganie.
20. To Semiramis, co w małżeństwie jawném
Z synem Ninusem niecny tron posiadła;
Dziś sułtan rządzi jéj królestwem dawném.
21. Tamta ofiarą swéj miłości padła,
Żona niewierna Sycheja pamięci.
Tu Kleopatra, którą chuć owładła.
22. Daléj Helena przyczyna niechęci
I klęsk w swym czasie. Za nią Achil dzielny,
Który swym zgonem moc miłości święci.
23. Tam Parys, Trystan." Mimo zmrok piekielny,
Jeszcze on palcem wskazał mi tłum cieni,
Którym zadała miłość cios śmiertelny.
24. Gdy tak przez mistrza w kolej wymienieni
Przeszli z paniami dawniejsi rycerze,
Serce mi ścisnął widok téj przestrzeni.

20. 1. O Semiramidzie jest podanie, iż prawem upoważniła związki ślubne synów z własnemi matkami, i że nawet sama wybrała sobie syna za małżonka, z którego ręki następnie zginęła. Słusznie przeto uważał ją Dante za przewodniczącą całéj rozpustników rzeszy. Państwo jéj babilońsko-assyryjskie, do którego i Egipt wraz z Syryą należał, jest dziś w posiadaniu władców tureckich. Dido wsławiona przez Wirgiliusza w czwartéj pieśni jego Eneidy, owdowiawszy po Sycheuszu któremu poprzysięgła od powtórnych wstrzymać się związków, uległa późniéj miłości Eneasza, a przez tegoż opuszczona, odebrała sobie życie. Kleopatra królowa Egiptu, nader głośna z rozwiozłéj miłości i tragicznego zgonu swego; dla niéjto tryumwir Markus Antoniusz poświęcił panowanie nad światem rzymskim.

22. 1. Helena, żona Menelausa uwieziona przez Parysa, dała powód do wojny trojańskiéj. Achilles podczas ślubu swego z Polixeną, zginął ranny strzałą Parysa w piętę, jedyną część śmiertelną ciała swojego. Parys syn Pryama króla Ilionu, tyle razy już spomniany. Trystan piérwszy rycerz błędny, wnuk Markusa króla Kornwalii, którego żonie Izocie stał się miłym i z téj przyczyny przez tegoż zabity.

25. —„Poeto! rzekłem, radbym, wyznam szczerze,
Pomówić z temi, którzy wciąż we dwoje
Tam lecą z wiatrem w oznaczonéj sferze."
26. A on: „Krążenie wnet tu zwrócą swoje;
Poprosisz wtenczas, a twój głos ich skłoni:
Przyjdą, na miłość zaklęci obojé."
27. Więc zawołałem, gdy w chyżéj pogoni
Wiatr ich nam zbliżył: „Chodźcie dusze smętne,
Pomówim z sobą, jeśli kto nie wzbroni!"
28. Jak pod żądz wodzą na gniazdo ponętne,
Dążą gołąbki w napowietrznym szlaku,
Lekko niesione przez uczucia chętne;
29. Tak ci z Dydony wybiegli orszaku,
Mimo cisnące zjadliwéj mgły brzemię;
Taka moc była danego im znaku.
30. —„Ty, co dobrocią ludzkie zdobisz plemię,
Co nas odwiedzasz śród téj łez dziedziny,
Nas, którzy niegdyś krwią zlaliśmy ziemię;
31. Gdyby król świata słuchał prośb z głębiny,
My o twój spokój modłybyśmy słali
Za litość, którą dla naszéj masz winy.
32. Co słyszéć, mówić, twój rozkaz uchwali,
To słyszéć, mówić my będziemy w zgodzie,
Póki dozwala ten przestanek fali.
33. Ja się w nadmorskim urodziłam grodzie,
Przy którym szumnie *Po* dobiega mety,
By wytchnął swojéj i lenników wodzie.

33. 1. Tym grodem jest Rawenna, przy ujściu rzeki Po do morza Adryatyckiego położona. W nim urodziła się tu przemawiająca Franciszka, córka tamże panującego księcia Gwido da Polenta. O niéj następujące daje objaśnienie sławny Boccacio w komentarzu swoim do Boskiéj Komedyi. Długoletnie toczyły się walki między Gwidem z Polenty panem na Rawennie, a rodziną Malatesta z Rimini. Wszakże te spory uspokoiły się z czasem, a na utwierdzenie zgody uchwalono zamęzcie Franciszki, pięknéj córy Gwida, z Gianciottem synem Malatesty. Wtém jeden z przyjaciół Gwida uczynił mu uwagę, że córka jego wyniosłą posiadająca duszę, z trudnością pozwoli na oddanie swéj ręki Gianciottowi, który był szpetny i kulawy; sądził przeto, że ten ostatni zamiast się stawić osobiście, powinien raczéj przysłać którego z braci swoich do zawarcia ślubu w jego imieniu. Usłuchał rady Gwido pragnący mieć zięciem Gianciotta znanego mu z rozumu, a którego za następcę na państwo po ojcu uważano. Przybył więc do Rawenny dla zaślubienia Franciszki jeden z braci Gianciotta, Paolo, piękny, wysoko wykształcony i uprzejmy młodzieniec. Postrzegła go z okna jedna z jéj niewiast służących, właśnie gdy do pomieszkania Gwidów wchodził, i rzekła do swéj pani: „Oto twój przyszły małżonek!" Uwierzyła temu Franciszka i pokochała go natychmiast.

34. Miłość w cnych sercach budząca podniety,
Tego mym wdziękiem zdjęła młodocianym,
A tak mi srodze wydartym niestety!
35. Miłość, co kochać zaleca kochanym,
Tak mnie dlań dzielnym zapałem ubodła,
Że w nim trwam dotąd jak w świeżo doznanym.
36. Miłość do jednéj nas śmierci przywiodła,
A na mordercę tu Kaina czeka!"
Z tych słów doszedłem ich boleści źródła.
37. Słysząc jak rzewnie ta dusza narzeka,
Schyliłem głowę, i tak ją trzymałem
Aż rzekł poeta: „Cóż twa myśl docieka?"

Spisano ugodę ślubną stosownie do poprzedniéj umowy, a po spełnionym obrzędzie, Paolo odprowadził do Rimini bratowę, która dopiéro nazajutrz rano postrzegła oszukanie, gdy przebudziwszy się ujrzała obok siebie spoczywającego Gianciotta. Taką oburzona zdradą, powzięła do niego tém większą odrazę, że już raz dla Paola zatlonéj w sercu miłości stłumić nie była w stanie. Zresztą wzajemném ku sobie pałający uczuciem kochankowie, z łatwością mogli spólnéj żądzy puścić wodze przy każdém wydaleniu się z domu samego Gianciotta, jeszcze żadném niezdjętego podejrzeniem. Ztąd też fatalna zgubiła ich nieostrożność. Jeden bowiem z Gianciotta służących, pomiarkowawszy ich czułą poufałość, wyśledził wszystkie ich kroki, i pospieszył zawiadomić o tém pana swego, podejmując się uczynić go świadkiem tak występnych żony i brata stosunków. Wrócił zatém potajemnie do Rimini wściekłością miotany Gianciotto, a wnet dostrzegłszy wchodzącego Paola do komnaty Franciszki, poskoczył skwapliwie za nim i potężnie jął się dobijać do drzwi od strony wewnętrznéj zamkniętych, wołając po imieniu na żonę. Poznali straszny ten głos kochankowie, a wtenczas nakłonił Paolo Franciszkę do otworzenia mężowi, sam mając nadzieję dla ocalenia jéj honoru, ujść ukrytym wychodem. W pośpiechu atoli uczepił się suknią o żelazny hak zapory miejscowéj, właśnie kiedy brat jego wpadał do pokoju i dobytym nań godził orężem. Zawczasu niebezpieczeństwo zważywszy, rzuciła się Franciszka między męża a kochanka, i w pierś własną przyjęła cios temu ostatniemu przeznaczony. Nie mógł bowiem już wstrzymać Gianciotto zamachu podniesionéj broni i z przerażeniem ujrzał zabitą żonę u stóp swoich. Z tém większą przeto wściekłością zwrócił skrwawioną stal na brata i trupem go położył. Następnego poranku oboje kochankowie, przy rzewnych łzach wszystkich obecnych, zostali pospołu w jednym złożeni grobie. Ten ustęp o Franciszce z Rimini liczony jest do najpiękniejszych w Boskiéj Komedyi. Wydał go Dante z tkliwém spółczuciem, gdyż znał osobiście Franciszkę, przebywając wiele lat swego wygnania w domu jéj ojca a przyjaciela swojego Gwida z Polenty.

34. 2. Zwrot ten dotyczy obok stojącego Paola, równie jak w dalszym ciągu jéj mowy. (Patrz zwrotki 42 i 45).

36. 2. Kaina, jeden z najgłębiéj pogrążonych obwodów piekła, dla bratobójców przeznaczony.

38. Naówczas: „Przebóg!" krzyknąłem z zapałem.
„Ileżto roszczeń, jak błogie dumania,
Dziś ich w cierpieniu grążą wieczno-trwałém!"
39. Potém znów do nich zwróciwszy badania,
Rzekłem: „Franciszko, twój los nieszczęśliwy
Ściska mi serce, i do płaczu skłania.
40. Lecz powiédz: kiedy, i jakiemi wpływy
Miłość duszami tak zawładła dwiema,
Żeście żądz urok poznali wątpliwy?"
41. A ona: „Słusznie ów mędrzec twój mniema,
Że nad zgasłego szczęścia przypomnienie.
Sroższéj boleści dla nędzarza nie ma.
42. Lecz skoro poznać szczere masz życzenie
Miłości naszéj najpiérwsze pojawy,
Opowiem lejąc, jak ten, łez strumienie.
43. Raz czytaliśmy dla spólnéj zabawy,
O schnącym w marnéj żądzy Lancilocie;
Byliśmy sami, bez złego obawy.
44. Podczas czytania często się w przelocie
Wzrok nasz spotykał, i lica bledniały;
Jeden zaś okres zgubił nas wistocie.
45 Czytając bowiem, jak ów rycerz śmiały
Całował uśmiéch wszczęty niespodzianie;
Ten, z którym losy wiecznie mnie związały,
46. Drżąc ustom moim dał pocałowanie.
Pokusą książka z pisarzem swym była!
W tym dniu już dłużéj nie trwało czytanie."
47. Gdy jedna dusza w ten sposób mówiła,
Tak łkała druga, że się wnet zawarły
Me oczy, wszelka odbiegła mnie siła,
I padłem w końcu jak człowiek umarły.

41. 1. Tym mędrcem jest Boecyusz, filozof rzymski, ulubiony pisarz Dantego. Powyżéj przytoczone słowa znajdują się w dziele jego: *De consolatione.*

43. 2. Lancilotto i Ginewra, romans średniowieczny. Lancilotto znany jest jako dzielny rycerz okrągłego stołu króla Artusa, i żony jego ulubieniec.

DO PANNY J. L. (*).

Bujaj nadludzkie dziéwczę nad obłoki,
Skoro ci skrzydła zesłali anieli;
Mnie ciągnie ziemia, grób czeka na zwłoki:
Duch zgasły w piersiach lotu nie ośmieli.

Tobie, gdy z ognia niebieskiego błyskiem
Wieszcze natchnienie mdłe piersi przenika;
Z lotem skowronka łączysz głos słowika,
Co jest w twéj wiośnie zjawiskiem.

Jak zwać, co samym mędrcom podziw czyni?
Przychodzą, młode podchwycić pojęcia:
Odpowiedź w rymach płynie z ust dziecięcia
Jak Kumejskiéj prorokini.

Dziwiąc się, razem troszczę się o ciebie:
Gdy wzlecisz w górę nieścigniona okiem,
By, zachwyceni twych pieśni urokiem,
Nie zatrzymali cię anieli w niebie.

Nie same zwiedzaj nadpowietrzne światy,
Skieruj ku ziemi i lot i źrenicę:
Są na niéj ciernie, ale są i kwiaty:
Wieńcz niemi siebie, braci i rodzice.

A jeśli mojéj zaprzeczysz obawie
I w wyższych sferach wsławisz pierś dziecinną;
Witam cię! starą ręką błogosławię,
Rośnij dla Polski,—druga w niéj Korynno.

Kajetan Kośmian, w 81 r. życia.

W Piotrkowicach, d. 4 listopada 1852 r.

(*) Jestto odpowiedź na wiérsz p. n.: „Podróżni", który umieścił Dziennik Warszawski w nr. 20 na r. b.

KRONIKA LITERACKA.

Jana Krasińskiego Polska, czyli opisanie topograficzno-polityczne Polski w wieku XVI, oraz materyały do panowania Henryka Walezyusza, przetłumaczone i objaśnione przez Stanisława Budzińskiego. *Warszawa.* 1852, *w* 12*ce.*

W epoce zbierania przedewszystkiém materyałów historycznych dla przyszłego dziejopisa Rplitéj, o niczém tak często mówić nam nie przychodzi, jak o książkach, w których składa się ten kapitał materyałów. Rzadko dzisiaj spotykamy dzieło, któreby nam obraz przeszłości z dawnych pomników teraz utworzony, przedstawiało. Prędzéj znajdziemy książkę z jakiemi listami, z erekcyą, dyaryuszem, z dyplomatami, przy których wydawca pomieścił tylko w przypiskach swoje sprostowania i dopełnienia.

W książce, którą dał teraz literaturze p. Budziński, są dwie części, ale w obudwóch zawsze ten materyał; w jednéj Krasiński kantor krakowski opisuje Polskę, jaką była w roku 1574, tojest w czasie elekcyi na króla Henryka Walezyusza; w drugiéj autor zebrał rozmaite wiadomości z listów i dawnych broszur o pobycie w Polsce Henryka Walezyusza. Takim sposobem możemy słówko powiedzieć i o samym Krasińskim, i w ogóle o materyałach jakie nam dał poznać wydawca.

Krasiński pisał na prośbę Sygoniusza, swojego nauczyciela w Bononii. Europa była względem Polski tąż samą w XVI wieku, jaką jest i dzisiaj: tojest mało wiedziała ostosunkach naszych, o nas samych i o literaturze wtenczas, kiedy Rzplita znajdowała się w epoce swojego blasku. Europa zawsze nas miała i ma za jakiś lud dziki Botokudów, nie godzien uwagi historyi: ludzkość dla Francyi kończy się na wschodnich granicach Niemiec. Nic więc dziwnego, że kiedy Henryk Walezy obrany był królem polskim, zaciekawieni cudzoziemcy chcieli coś więcéj o nas wiedzieć, i że nauczyć ich mógł całéj prawdy Polak, który kraj swój kochał, i poznał się bliżéj z jego instytucyami. Krasiński zatém, powiadamy, na prośbę Sygoniusza pisał dla Europy o pochodzeniu Polski, o religii, o miastach, o formie rządu w Polsce, o elekcyi króla, o sejmach, o szlachcie, senacie i gminie wiejskim; pisał o sposobie

wojowania przodków naszych, o urodzajności ziemi; zakreślał granice Rplitéj, liczył jéj prowincye, księztwa, tytuły, ziemie: jedném słowem pisał o wszystkiém, co wiedział i co interesować cudzoziemców mogło. Takim sposobem nie wiedząc sam o tém, był jednym z najpiérwszych prawodawców, którzy nowéj nauce statystyki zakładali pewne podstawy, ile, że od Franciszka Sansovino i roku 1567, w którym dzieło jego (*del governo et amministrazione di diversi regni e republiche cosi antiche come moderne*) narodzenie się statystyki rachują. Krasiński w swojém dziele, któremu nadał tytuł *Polonia*, przyrzucał piękny i bogaty materyał dla książki Sansovina, ile że mu był spółczesny, a *Polonia* jego ledwie o siedm lat młodszą była od dzieła *Del governo*.

W Krasińskim dwie rzeczy zwracają naszę uwagę; naprzód on sam, a powtóre fakta, które podał. Co do piérwszego, mamy go jak na dłoni; wiemy co myślał o rządzie Polski, gdyż w opisie swoim sam się dokładnie odmalował. Cieszył się on widocznie z rządu, jaki miała ojczyzna, jako szlachcic i z tego względu kandydat do korony. Z dziejów starożytnych powziął to przekonanie, że źle tam, gdzie lud rządzi; otóż chwali bardzo systemat Polski, który pomiędzy szlachtą a gminem nieprzełamane wzniósł zapory. Pod tarczą szlachty, która broniła swobód i granic kraju, mógł swobodne prowadzić życie gmin miejski i włościanie; a jako szlachcic był podporą kraju, tak nic wcale dziwnego, że dźwigał rząd Rplitéj. Na samym szczycie towarzyskiéj drabiny w Polsce stał król, który nie na mocy prawa wstępował na tron ojców, ale którego wolnemi głosami szlachta obierała. Krasiński zatém powtarzał tym razem prawdę jasną jak słońce, i wszystkim w Polsce wiadomą, któréj jednakże ksiądz Hugo podkanclerzy i jego stronnicy zrozumiéć nie chcieli. Powaga senatu w Polsce dawna była, jak saméj Polski; panowie wybierani z zasłużonych rodzin dla kraju swobodnie radzili w senacie, a czasem zbyt nawet ostro zdanie swoje przeciw królowi objawiali; i sprawiedliwie, jak mówi Krasiński, bo do nich obrona Rzplitéj należy. Że Krasiński był księdzem i przemawiał tutaj *pro domo sua*, widać z tego, że zawiele wagi przypisywał arcybiskupowi gnieźnieńskiemu wobec króla; opisując albowiem prawa prymasa, że prezyduje na sejmach, ogłasza króla, namaszcza i koronuje, powiada razem, że król otrzymuje władzę od arcybiskupa, który w tym razie miejsce papieża zastępował; że spełnia w tém jedynie prymas wolę szlachty, tego Krasiński nie widzi. Że był gorliwym księdzem, widać i z drugiéj jego uwagi: opisując władzę sejmu i przyznawszy, że szlachta i sejmy są wszystkiém w Rplitéj, nie spostrzega złego i nie widzi zarodów nierządu, jakie już widoczne były dla kardynała Commendoniego (w r. 1564—5). „Chętnie, powiada, oddałbym posłom sprawiedliwą pochwałę, gdyby czasem nie przywłaszczali sobie prawa rozprawiania o zasadach religii chrześciańskiéj i obrządkach kościelnych, co przecież wcale do nich nie należy" (str. 74). Miał słuszność po sobie Krasiński, kiedy kreślił te wyrazy; ale dziwim się, że nie znalazł nic więcéj do przygany stanowi rycerskiemu w Polsce, jak tylko te pretensye rozprawiania na sejmach o wierze. Zresztą był Krasiński człowiekiem światłym i wyrozumiałym: opisując gmin polski ubolewa nad

jego losem i przewagą panów, dla których nie szczędzi wyrzutów i na dowód przytacza fakta. Źle było w Koronie, ale gorzéj jeszcze pod tym względem na Litwie, na któréj ogromne były majątki i pany prawie samowładne (str. 70—99). W tém widzimy dowód dobrego serca autora i wzniesienia się nad przesądy chwilowe. Otoż i wszystkie fakta, w których się odmalował Krasiński. W książce, że tak powiemy politycznéj, odmalował swój sposób myślenia pod względem li tylko politycznym. Kto chce go poznać na innéj drodze życia, musi z innych źródeł studyować nad jego charakterem.

Jako autor przedstawia nam się także Krasiński z bardzo pochlebnéj strony. Książka jego jest artystyczną, chociaż małą w sobie całostką. Umiał pisać z pewną powagą, i w dziele jego przebija się dość majestatycznie poważna postać Jagiellońskiéj Rzplitéj. Ojczyznę swoję przyrównywa do wielkiego miasta, które nie skupiło się w sobie, ale które rozrzuciło swoje budowle na ogromnéj przestrzeni; rycerstwo polskie żyje w tych budowlach, a kiedy wspólna potrzeba zgromadzi je do wspólnego ogniska, to forum rzymskie zaraz przedstawia się oczom nawykłym do wielkich, wspaniałych widowisk (str. 72). Szlachta polska podnosi, uszlachetnia ten majestat Rzplitéj; pięknie i dość obszernie rozumuje o jéj zasługach Krasiński. Szlachta założyła Rzplitę, rozszerzyła ją, zdobyła dla niéj swobody, które jéj królowie nadawali przez wdzięczność. To téż szlachta posiadała za niego władzę, pałace, dobra, liczne stada koni szlachetnéj rasy; posiadała lasy w zwierzynę, a wody w rybę obfite: niejeden pan trzymał na dworze wojsko, a wszyscy liczne gromady dworzan. Panowie polscy sami na swoję rękę prowadzili wojny; równali się przepychem i wspaniałością z książętami Neapolu i z hercogami Niemiec. Nic wspanialszego nie było w świecie nad polskie rycerstwo. Jednakże równość była tam wszędzie od najuboższego szlachcica do wojewody. „Gdyby się mnie kto zapytał, powiada Krasiński, jakie są wpośród tak licznéj szlachty najpiérwsze i najznakomitsze rodziny, na tobym mu odpowiedział: te, które ciągle i prawie nieprzerwaną koleją najwyższe urzędy i dostojeństwa piastowały. Ale nie umiałbym ich wyliczyć, a gdybym nawet umiał, tobym nie chciał: bo jeżelibym kogo opuścił, popełniłbym niegodziwość, a gdybym niewłaściwym je wyliczył porządkiem, dopuściłbym się potwarzy" (str. 68). Te słowa najlepszém są świadectwem ducha, jaki utworzył szlachetne rycerstwo polskie.

W istocie, cudzoziemcy XVI stulecia z dzieła Krasińskiego mogli nabyć dokładnego wyobrażenia o Polsce Jagiellońskiéj. Spółcześni Polacy winni byli za to autorowi wdzięczność, lubo w dziele jego nie znaleźli wiele dla siebie nauki. Niejeden fakt przecież, który ich nie uderzał, nas po upływie tylu wieków uderza. Kilka razy przy opisie rozmaitych prowincyj, prawi Krasiński o takiém życiu w Polsce. Król miał do kilkakroć sto tysięcy czerwonych złotych rocznego dochodu; mniéj wprawdzie od innych królów, ale téż żył za bezcen w ziemi, która mlekiem i miodem płynęła. Najpotężniejszym i najbogatszym był król tą szlachtą, o któréj tyle razy już mówił. Kiedy, bywało, na wojnę zgromadził król niezliczone szeregi jezdnych ochotników, po-

łączone siły wszystkich monarchów europejskich nie sprostały wtenczas jego potędze. Z saméj Korony 150,000 stawało ciężko i lekko uzbrojonéj jazdy, z Litwy do 40,000. Byłoto bogactwo narodowe i króla, bo gdzieindziéj, jak np. we Francyi, monarcha prowadząc wojnę kosztem skarbu państwa, który tak dobrze był i jego własnością, utrzymywać musiał wojsko; a w Polsce szlachta biegła sama pod chorągwie, i utrzymanie zbrojnych ani halerza Rzplitéj nie kosztowało. Senatorowie najbogatsi mają po 40—80,000 czerw. zł. dochodu; inni po 10—30,000, najubożsi po 3—4,000. Majątek ich jest także majątkiem kraju, bo służą mu w radzie i na wojnie i żywią tysiące ubogiéj szlachty. To też król ich *wielmożnemi, szlachetnemi, wierną radą* swoją nazywa: przychodzących do niego przyjmuje ze słodyczą i powagą, głowę przed niemi odkrywa, i siedzieć prosi (str. 60). Wylicza następnie Krasiński szereg dostojników duchownych i świeckich Rzplitéj; szereg ten kończą kasztelanowie, którzy za jego czasów jeszcze mieli władzę administracyjną, bo rządzili ziemiami i powiatami. Wszystkiego w Polsce podostatkiem: i wygody, i taniości, i bogactwa, i wspaniałości, i swobody. Nawet złoto było w ziemi, ale mieszkańcy nie dbali o nie, tak wszystkiego mieli po uszy (str. 92).

Przegląd także ziem polskich w dziele Krasińskiego jest raczéj wspaniałym krajobrazem. Opisując ziemie i osobliwości w nich, wylicza autor i miasta; ale tutaj właściwéj Polsce najmniéj się dostało. Jest tylko wzmianka o Gnieznie, Krakowie, Poznaniu i Włocławku; Kalisz, Sieradz, Łęczyca, Sandomiérz, pominięte. Jako Mazur, Krasiński Mazowsze wydzielił osobno z Polski i pisze o téj ojczyznie swojéj z miłością, przesadzając może cokolwiek, kiedy twierdzi, że ta ziemia najwięcéj uczonych mężów i wojowników wydała. Na całém Mazowszu jednak, dwa tylko miasta uważał za godne, żeby je poznali cudzoziemcy: tojest Warszawę i Płock. W Warszawie największy na Północy most król August wystawił. Prusy znowu, to perła pomiędzy prowincyami Rplitéj: ludna, bogata, urodzajna, prześliczna. Gdańsk, który tutaj nad Bałtykiem króluje, jest rynkiem handlowym najwięcéj uczęszczanym, nietylko na całéj Północy, ale na całéj ziemi. To też do niego przybiegła najcelniejsza rzeka w Sarmacyi, Wisła, a okręty secinami przypływają do portu. Kilka zaledwie miast w Europie jest tak pięknych i bogatych jak Gdańsk, posiadający jeszcze kościół jeden z najpiękniejszych w świecie i miedzianą chrzcielnicę, jakiéj podobnéj nie ma w Europie. Obok Gdańska jaśnieją na Pomorzu: Elbląg, Toruń, Malborg i uczony Królewiec. Na Litwie, gdzie jeszcze przewodzą feudalne pany, Krasiński widzi przedewszystkiém księcia słuckiego, Radziwiłłów i Jana Chodkiewicza, którym jednakże wszelką sprawiedliwość oddaje. Jedno jest tylko wielkie miasto na Litwie, Wilno, pomiędzy innemi grodami, i tém znakomite, że w tameczném kollegium jezuickiém (omyłką zwie Krasiński założyciela Jezuitów wileńskich biskupem Walentym) kwitną wszelkie umiejętności, a tylu jest tam doktorów publiczne nauki wykładających i scholastyków, że możnaby to kollegium nazwać nie prywatną szkołą, lecz świetną akademią. Tak było jeszcze przed

Stefanem Batorym w kollegium jezuickiém. Na rynku wileńskim tyle rzeczy zawsze na sprzedaż, że wystarczyłyby na utrzymanie ogromnego wojska. O Żmudzi osobny artykuł. Co do Rusi, autor rozdzielił ją na dwie połowy: na moskiewską i litewsko-polską. Kraj ten, należący do Rplitéj, miał podostatkiem ryb, miał żubry na Podolu i w stepach jeszcze dzikie konie. Stosunkowo najwięcéj miast wyliczył na Rusi Krasiński; jest tutaj o Lwowie, Kamieńcu, Łucku, Kijowie i Przemyślu. Nie wiemy jednak, dlaczego Lublin, stary gród małopolski, dostał się pomiędzy te czerwieńskie grody. Są też o Inflantach i Żmudzi osobne artykuły. W Inflantach wzmianka o Rydze, Rewlu, Dorpacie, ale na Żmudzi autor nie zauważał żadnego miasta. Kraj to był i za niego widać patryarchalny.

Opisując Litwę i Ruś, Krasiński osobne poświęcił rozdziały, wykazaniu praw Polski do tych krajów; opisuje jakim sposobem ziemia ta jedna i druga przylgnęła do wspólnego ciała Rplitéj. O przeszłości jednakże samoistnéj tych krajów nic nie wié, i poprostu tą niewiadomością się zasłania.

Wierny jednak swojemu założeniu, nie pomija i ludzi, a przebiegając ziemie, zawsze wspomina i ważne osoby Rplitéj, które mu były spółczesne: tutaj w tém mieście jest wojewodą ten, a tam biskupem tamten. Niewszędzie jednak trzyma się tego systematu, żeby za granice dziełka nie przekroczyć, i jak się zdaje, wybiera umyślnie te osoby, które szanuje. Chwali bo każdą, ale w inny sposób. Jak w każdéj ziemi znalazł coś charakterystycznego do zauważania, tak i w ludziach. W tym jego przeglądzie poznajem więc biskupów: Hozyusza, Karnkowskiego, prymasa Uchańskiego, Konarskiego i rodzonego stryja autora, który był biskupem krakowskim. Ze świeckich autorów poznajem księcia wojewodę kijowskiego Konstantyna, starostę żmudzkiego Jana Chodkiewicza i t. d.

Krasiński dzieło swoje podzielił na dwie księgi: w piérwszéj mówi o saméj Polsce, w drugiéj o prowincyach. Z tego samego już wypływa, że na Polskę głównie zwracał swoję uwagę i że stosunkowo najwięcéj o niéj powiedział. W Rplitéj Polacy piérwsze miejsce zajmowali i na ich sposób urabiało się wszystko i w Litwie i na Rusi. Szlacheckie życie z Polski płynęło na Ruś, Litwę i odleglejsze prowincye. Polskę, ale nie Litwę i Ruś dawał poznać Europie Krasiński. Nie dziwim się tedy rozkładowi dzieła, ale temu się dziwim, czemu Żmudź oddzielił od Litwy, a Mazowsze od Korony. Prędzéj Inflanty możnaby oddzielić od Litwy, Prusy od Polski, chociaż to byłoby zawsze sztucznie. Przynajmniéj natoby powinien zwrócić oczy Europy, że pomimo tylu oddzielnych prowincyj i tytułów króla polskiego w Rplitéj, były trzy narodowości: polska, litewska i ruska.

Wady dzieła Krasińskiego nie są tak liczne, jak jego zalety; ale jak każdy, ma i on swoje ale. Lubi się np. powtarzać, bo nie zakreślił sobie systematu pewnego, tak, żeby ramy rozdziałów jedne za drugie nie zachodziły. O biskupach mówi tam, gdzie i o duchowieństwie, a osobno w opisie senatu; trzeci raz wspomina ich pod

miastami, które przebiega. Toż samo potrzeba mówić i o innych miejscach, gdzie się powtarza przy zdarzonéj okoliczności. Złym téż porządkiem wylicza biskupów, kładąc poznańskiego przed kujawskim i wileńskim, przemyślskiego przed łuckim, chełmskiego przed żmudzkim, a chełmińskiego zupełnie pomija (str. 59). Dla cudzoziemców zapewne ten a inny porządek niewiele miał znaczenia, ale dlaczegoż poświęcać dokładność dzieła nieoględności jakiéjsiś? Nie ma téż Krasiński krytyki dziejowéj, a raczéj powtarza ślepo za poprzednikami stare błędy i wywody etymologiczne, np. o pochodzeniu Polaków i Polski. Lech, Gniezno, Sarmaci, Rozsieje, Boruski, zjawiają się w nim w pierwotnym swoim staro-kronikarskim kształcie. Masław daje nazwę Mazowszu, Słowianie weszli do Europy za cesarza Maurycyusza i t. d. Sąto baśnie wzięte z Kromera i Długosza. Z Wapowskiego, którego znał w całości, bo kilka razy go cytuje, powypisywał wiele dziecińśtw o Krakusie i Krakowie. Zważywszy jednak, że te wszystkie wiadomości etymologiczne i bajeczne są mimochodem powtarzane, bo nie o to przecież Krasińskiemu chodziło, można mu tę erudycyą przebaczyć, na którą wielu spółczesnych mu chorowało. Nareszcie Krasiński lubi bajeczki. Rozpowiada z zimną krwią bez śmiechu, że żubry w litewskich lasach tak są wielkie, że trzech dobrego wzrostu mężczyzn, zmieścić się może pomiędzy ich rogami. Albo tedy żubrów nie widział, albo przechwala się umyślnie z ojczyzną swoją, żeby téż coś w guście Marco Polo rozpowiedzieć ciekawéj Europie o swoich stronach. Daléj powiada, że miasto Moskwa ciągnie się nad rzeką tegoż nazwiska długo na 5 mil, a liczba w niém budowli wynosi przeszło 42,000 (str. 135). To coś nakształt powieści o zaczarowanych pałacach. Wierzy wreszcie Krasiński w wyprawę duńską Bolesława Krzywoustego, którego w rozdziale o sposobie wojowania Polaków wyniósł tak wysoko, że wystawił wyżéj nawet nad wielkiego naddziada Chrobrego, z którym Krzywousty równać się przecież nie może, chociażby rozumem politycznym, jeżeli nie męztwem, które samo przez się wielkości nie stanowi.

Pana Budzińskiego tłumaczenie *Polski* jest dobre; język gładki. Radzibyśmy jednak nie widzieli nigdy po polsku w żadném tłumaczeniu tych przymiotników dzikich z łacińska na polskie uformowanych, jak np. książę andegaweński, książę sztetyński, biskup mutyński, Maryenburg i t. d. To stara moda, któréj dzisiaj uznawać nie należy, bo przyjdzie potrzeba uczyć się podwójnéj geografii, z których jedna będzie zawsze łacińska. Tylko uczeni wiedzą, że książę andegaweński znaczy księcia d'Anjou, i że biskup mutyński, ma znaczyć modeńskiego. Uczeni jednak, gdyby im był potrzebny Krasiński, trafiliby do niego samego, do oryginału. Nie dla nich książka o któréj mówim. Tłumacz nie wydał dziełka swojego dla uczonych, ale dla ogólnego użytku; to właśnie mieć powinien był na głównym względzie. Maryenburg już zupełnie źle brzmi po polsku. *Legatus natus* tłumaczyć *legatem urodzonym*, także niedobrze, bo takie tłumaczenie mącąc pojęcie, potrzebuje zaraz przypisku i objaśnienia;

lepiéj powiedzieć *legat z urzędu*. Przełożony kościoła płockiego, który miał władzę książęcą udzielną, źle także nazwany przełożonym; byłto proboszcz (praepositus). Nareszcie do błędów tłumaczenia należy to, że p. Budziński ciągle prawi o jakimsiś sejmie w Jedlinie, złożonym przez Jagiełłą w r. 1430. To *qui pro quo*. Przypiski tłumacza także niezbyt zaspokajają. Jeżeli już postanowim co objaśniać, nie róbmy tego przez połowę. Kilka wypisów ze znanych źródeł historycznych w dopisku o potrąconym w tekscie przedmiocie, ani może wyczerpać rzeczy, ani dzieła ozdobić większą jak należy dokładnością. Potém te objaśnienia p. Budzińskiego sięgają zwykle dobrze czasów późniejszych, jak jest epoka, którą Krasiński w swojéj *Polsce* przedstawia. My sądzim z tytułu książki, że zobaczym w niéj Rplitą Henryka Walezego, spółczesną Jagiellonom, ale tłumacz odrywa więcéj od téj Rplitéj uwagę naszę, albo krótką historyą prawa królewskiego co do nobilitacyi, którato historya aż na roku 1775 kończy się (str 52), albo tą niezupełnie wreszcie sprawiedliwą uwagą, że kasztelanowie mniejsi byli tylko w Małéjpolsce i na Mazurach, kiedy ich moc znajdujem i na Wielkopolsce, a od r. 1793 nawet i na Litwie (str. 57).

Dość o Krasińskim, jego *Polsce* i tłumaczeniu.

Drugą połowę książki p. Budzińskiego składają materyały piérwszy raz ogłoszone w języku polskim, częścią z broszur francuzkich, częścią zaś z rękopisów. Wprawdzie nic w nich nie ma tak bardzo ważnego i ciekawego, ale w każdym razie i te szczegółów kilka nie będą dla dziejów zbyteczne. Autor kilka z nich ogłosił razem w oryginale i w tłumaczeniu, nie rozumiemy dobrze dlaczego. Jeżelić dlatego, że je piérwszy raz z papierów drukuje, mały pozór, bo właśnie te listy, o których mówim, nietylko nie są tak wielkiego znaczenia, żeby aż obok tłumaczenia kłaść niby jako dowód sam oryginał; ale powiemy więcéj, nie mają żadnéj historycznéj rzeczywistéj wartości. Autorowi każdy z nas zawierzy, że list oryginalny widział i czytał. Inna rzecz, kiedy się wydaje np. taki Wapowski; dzieło wielkie, kilkotomowe, nieznane, a świeżo odkryte. Tłumacz Wapowskiego może się obawiać, że osłabi wiarę cokolwiek w swojego autora, jeżeli odkrywszy dzieło, wyda je samo li tylko w tłumaczeniu. (Nie mamy tu na myśli szanownego Mikołaja Malinowskiego, którego każde słowo, każdy czyn jest faktem, a którego Wapowski nic na wiarogodności nie straci, chociażby raz jeszcze przepadł gdzie oryginał). Ale p. Budziński powinien był to pojąć, że troskliwość z jego strony jest bardzo zbyteczną, kiedy idzie np. o list panów polskich, który do Francyi zawiózł podług jego wniosku, opartego na prawdopodobieństwie, p. Kossobudzki herbu Pobóg. W tym liście nie ma żadnych tajemnic, żadnych faktów, jest tylko poprostu prośba, żeby oddawcy wiarę dano; po polsku takie pismo nazywa się w świecie dyplomatycznym listem wierzytelnym. Obojętna to rzecz wcale, czy ten list powiózł do Francyi jaki Kossobudzki czy nie, i obojętna dla historyi, czy ten list drukowany czy nie; i dziwim się znowu tłumaczowi, że tak szeroko o tym wniosku swoim rozprawia. Mimochodem i to powiemy, że z treści trudno się

domyśléć, żeby to koniecznie miał być Kossobudzki. Wracając jednak do przedmiotu, zapytamy się autora, dlaczego Krasińskiego nie wydał po łacinie? To oczywista, że nie szło mu o upowszechnienie saméj *Polski*, ale o upowszechnienie wiadomości między czytelnikami, jakie *Polska* w sobie zawiera. A więc i z tego względu, makaronizm ten w dziele jego niepotrzebny.

W tych materyałach dał nam poznać p. Budziński dzieło francuzkie: „Archives curieuses de l'histoire de France depuis Louis XI jusqu'a Louis XVIII. par M. L. Aniber et T. Danjou. Paris. 1836." Jestto całe archiwum, którego serya każda obejmuje po kilkanaście tomów. Z rozmaitych części tego archiwum wytłumaczył p. Budziński różne artykuły tyczące się Polski. To opisują się w nich uroczystości jakie miały miejsce w Paryżu po odebraniu wiadomości, że Henryk Walezy królem został obrany; to oświadczenie panów polskich względem powrotu króla do Francyi; to wreszcie pamflet polityczny przeciw Henrykowi i jego ucieczce. Daléj wyjątki z żywota p. Guy du Four. Pana z Pibrak dał nam poznać już poprzednio Ursyn w Zbiorze pamiętników o dawnéj Polsce, ale z wielkiemi błędami (np. zamiast *Sędziwój z Czarnkowa*, tłumaczy Ursyn, *sędziwy Karnkowski*; zabawne *qui pro quo*, bo i Sędziwoj Czarnkowski i biskup Karnkowski razem żyli i wielki wpływ wywierali na losy Rzplitéj). Żałować należy, że ten żywot Pibraka, nie podaje nam wiele szczegółów o pobycie Henryka w Polsce; prosto z koronacyi autor biegnie do ucieczki Walezego, a potém rozpowiada o swoich przygodach, dość wprawdzie komicznych, ale zdaje nam się, że z opisu jego wygląda wielomowność i zarozumiałość francuzka: biédny pan Pibrak siedział raz w błocie przed chłopami, drugi raz czekał wyroku śmierci od senatorów. Widocznie przesadzał swoje niebezpieczeństwa, żeby lepiéj się odbiło jego poświęcenie dla króla i barbarzyństwo (bo jużci tak wierzył pewno w prostocie ducha) świetnych, rycerskich, ukształconych Polaków epoki Zygmuntowskiéj. Więcéj ma Pibrak treści w opisaniu, które potém następuje, poselstwa jego z Francyi do Polski, już po ucieczce Henryka; ale zawsze mało: że nie byłto wielki dyplomata, widać po wszystkiém.

Najciekawsze są te urywki z materyałów wydanych przez p. Budzińskiego, w których Henryk Walezy występuje jako prawny król polski już po sejmie stężyckim, kiedy już wypowiedziano mu posłuszeństwo. Nuncyusz papiezki Wincenty Laureo, biskup de Monte regali, któremu Papież nakazał, żeby sprawę Henryka popierał w Polsce, zdaje się, że piérwszy podał myśl królowi, utrzymania razem na swojéj głowie dwóch koron: francuzkiéj i polskiéj (12 czerwca 1575 r. z Warszawy). Radził Henrykowi, żeby polecił stanom jakiego księcia obcego do wyboru, niby swojego namiestnika. Widać, ta myśl podobała się Walezemu, bo tron przeznaczał naprzód bratu swemu księciu d' Alençon, ale więcéj dla polityki; wreszcie całe nadzieje swoje obrócił na Alfonsa bogatego księcia Ferrary. Tutaj w tych intrygach na plac czynnie występuje poseł francuzki p. d' Espeisses, który więcéj nierównie od Pibraka interesuje. Mamy kilka listów p. d'Espeisses

z Polski, bo z Ferrary prosto przybiegł ten poseł do Rplitéj; mamy téż i instrukcyą, którą mu Henryk kazał wydać ze swojéj kancellaryi. Nie ma śladu, żeby książę Ferrary przyjął warunki Walezego, ale występował Alfons jako kandydat do korony w bezkrólewiu; może piérwszą myśl podał mu wtedy Henryk, ale zdaje się, że książę sam już na swoję rękę występował, nie opierając się na traktacie z Henrykiem, bo sprawy jego nie popierała wtedy Francya. Gdyby książę Ferrary przyjął warunki, jakie niósł d'Espeisses dla niego, w istocie byłby naprawdę tylko namiestnikiem w Polsce i tron oddałby daléj drogą przysposobionego wyboru dzieciom Henryka.

Zawsze jednakże i księciu Ferrary i d' Alençonowi za warunek kładziono, żeby się ożenili z Anną Jagiellonką. Ta ostatnia odrośl Jagiellońskiego szczepu urodziła się widać na królowę polską, bo każdy kandydat do korony starać się musiał o jéj rękę, żeby sobie ująć szlachtę przywiązaną do krwi Jagiellońskiéj. Henryk szczerze odkrył całą w tym względzie prawdę przed księciem Alfonsem i przestrzegał go po przyjacielsku, że jeżeli nie on, to rakuszanin który, syn cesarski, chętnie z koroną przyjmie tę rękę Jagiellonki. Jest w niniejszym zbiorze p. Budzińskiego list niejakiegoś Pawła Magnifico czy Magico, (zdaje nam się, że prędzéj piérwsze jak drugie, bo w przeciwnym razie, pocóż byłoby używać skrócenia Mag^{co}, gdyby się jedno tylko *i* wyrzucało?). Ten Paweł był dworzaninem Henryka i zachował nam tak żekilka ciekawych bardzo szczegółów o stosunkach młodego króla do Anny Jagiellonki. Wiadomo, że Walezy niebardzo się spieszył do zaślubienia téj córki Zygmunta Igo, a jednak bardzo był dla niéj czuły: Paweł opisuje kilka scen, na które sam patrzał, Anny z Henrykiem. Król czule rękę infantki ściskał, pochlebiał jéj w żywe oczy, a ona płakała na los swój, osierocenie i niedostatek. Z téj strony najmniéj znaliśmy naszego Walezyusza. Te fakta zapełnią pewną lukę w dziejach królewny, są one zupełnie dla nas nowe. W liście Pawła Mag^{co} są błędy; dziwna, że ich autor nie spostrzegł. Datowany list dnia 17 lutego 1574 r., rozpowiada jednak o wjeździe królewskim do Krakowa, który się odbył 18 lutego i o koronacyi, która miała miejsce 20 t. m. i o gonitwach rycerskich, które nastąpiły w dniu czwartym po koronacyi.

Ciekawe są także dwa listy Troilo Ursino, posła toskańskiego w Polsce. Jeden opisuje dzień, kiedy odebrano wiadomość w Krakowie o śmierci Karola IXgo; a drugi dzień po ucieczce Henryka. Król był bardzo łaskaw dla posła, i zaraz w piérwszéj chwili przed ucieczką jeszcze, zwierzał mu się o swoich zamiarach względem księcia d'Alençon. Była na niego łaskawa i Anna Jagiellonka, u któréj był Ursino z biskupem chełmskim po ucieczce króla. Żywo dość maluje poseł toskański wrażenie, ty n niespodzianym wypadkiem wywołane. Od pochodni, któremi oświecano drogę przedniejszym panom udającym się wtedy na zamek, było widno jakby w dzień, a mnóstwo jeźdźców tam i nazad przebiegało ulice. Cały ten dzień tysiące dziwacznych wieści biegało po Krakowie, a sejm odbywał tymczasem narady.

Mówiliśmy już o p. Jakóbie Faye d'Espeisses. Kilka listów jego do króla Henryka i odpowiedź Walezego ciekawe są. Tłumacz chce z nich widzieć fakt, że na zjeździe stężyckim w maju 1575 r., sprawa Henry-

ka straconą nie była, jak Tuan podaje. Po co się zsyłał na Tuana, kiedy ma swojskie źródła, a prawdziwsze? Wreszcie list Hozyusza z Rzymu z dnia 8 stycznia 1575 do tegoż pana d'Espeisses, o wiecznym temacie starań kardynała, tojest o kozłach elbląskich i o nowinkach elsebeńskich, dopełnia charakterystyki tego wielkiego męża, jednego z najznakomitszych, jakich Polska kiedy wydała. Kardynał wierzył jeszcze w Henryka, jako w króla polskiego i sprawę swojego kościoła panu d'Espeisses polecał.

Życiorys Krasińskiego, który podał p. Budziński na początku swojego dzieła, nie zawiera nowych ciekawych faktów. Jestto kompilacya z kilku naszych autorów źródłowych. Więcéj materyałów, a przynajmniéj dat, dostarczy do téj biografii ważne dzieło, które ksiądz Łętowski teraz w Krakowie drukuje.

W każdym razie, p. Budziński położył już zasługę dla literatury: sądzim, że to dopiéro piękny początek, i szczerze życzym dalszego powodzenia autorowi. *J. B.*

Dnia 23 września 1852 r.

Powieści naszych czasów Seweryny z Żochowskich Pruszak. 4 tomy. Warszawa. 1853 *r.*

Wieki zwane złotemi w naszéj literaturze, obfite nam przekazały pomniki. Z czasów tych mamy pisma stanu, olbrzymie teologiczne traktaty, olbrzymie kroniki, poezye w różnych ich kształtach i t. p. Z pism tych dosyć jasno i szczegółowie wiedzieć możemy: co kraj nasz myślił, co czynił w każdym roku, miesiącu i prawie dniu z owych wieków. Jest wszakże szczegół dziejowy i jeden z głównych, którego nie poznajemy z nich: nie znamy domowego pożycia, domowych charakterów, serc, towarzyskich stosunków, nawet towarzyskiego języka naszego z owych czasów. Dopiéro od wydania Pamiętników Paska, którego notatki szczęśliwym trafem były nietylko historyczne, ale i dramatyczne, nasze powieści odnoszące się do końca XVII wieku ukazały się z kolorytem właściwszym; koloryt w powieściach i dramatach historycznych do czasów dalszych zawsze jest tylko domyślnym.

Na ten brak, na niedostatek przekazanych obrazów życia domowego i towarzyskiego swych przodków nie będzie się mogła użalać nasza potomność. Nie wiemy na jakich literaturze naszéj z wieku XIX zbywać będzie gałęziach i szczegółach, ale na towarzyskich obrazach z połowy tego wieku braknąć nie będzie. I niejednego tylko miasta lub jednéj prowincyi otrzymają widoki nasi potomni. Obrazy towarzystw znad Dniepru, znad Wilii, znad Dźwiny, Dniestru, Wisły i t. p. przejdą do nich żywe i wierne. Mówimy przejdą, istotnie bowiem znacznéj ich części możemy wróżyć to dojście.

Myśl tę nastręczył nam właśnie świeżo wydany zbiorek, niedługich, ale oryginalnych powiastek p. n. *Powieści naszych czasów*, treścią którego są także spółczesne nam obyczaje, tojest obrazy życia domowego i towarzyskiego znad Wisły.

Autorka tych powieści (pani Pruszak), piérwszy raz prawie wydaniem tém poznać się nam daje. Sąto przeto dopiéro piérwsze kroki autorki. Powiastki te jéj, powiédzmy to z góry, nie dochodzą skali swych poprzedniczek. Pomiędzy obrazami z różnych stron kraju, piérwszeństwo przyznać dotąd musimy obrazom znad Dniepru. Wszakże zalety pióra autorki, jako pióra, są liczne; główne strony w tych jéj powieściach dodatnie; widna nawet pewna właściwość w kroku autorki. O powieściach tych przeto, jako o dobréj wróżby przybytku, wspomnimy tu.

Dzieje serc, powiedziano to nieraz i powiedzieliśmy nieraz, to nie igraszka nikła; dzieje serc to podstawa i cząstka ogólnych dziejów. W obec tych zmian i wypadków wielkich i głośnych, które się stają, stają się też, rozwijają i dzieje drobne domowe, i w swém rozwiciu i składzie wpływają na dalsze zmiany. Różność, stopnie i zwroty tu nieskończone. Ile milionów serc, tyle odcieni ich. Węzły, maleńkie cuda, maleńkie missye, plączą się: tu, rozwijają i rozgrywają w dramata na swe skale. Dramat wszelki domowy ma więc swą stronę zewnętrzną i stronę wewnętrzną; powszechność zna tylko *pozór*, a zadaniem powieści jako powieści (t. j. jako opowiadania podnoszącego potoczny obraz do stopnia sztuki) jest: przedstawiać go w swojéj *całości*. Powieść ma być obrazem nietylko owych pozornych szczegółów, lecz też rzetelnych; być tłumaczem nietylko skutków, ale i przyczyn, nietylko czynów osób, ale i źródła tych czynów, ich charakterów; ma wykładać tych czynów związek, harmonią, stosunek do bliższych celów, stosunek do dalszych celów i t. p. Tak też właśnie pojęła powieść autorka o któréj mówimy; i jeżeli z jednéj strony opowiadania jéj są zbiorem i przedstawieniem licznych domowych dramatów, z drugiéj strony rzec można, iż dramata te użyte tylko zostały jako forma do opowiadania i wykładu celów moralnych.

Cel, który założyła sobie autorka i który w każdéj powieści ma na widoku, jest: okazać i dowieść, iż jako dla ludzi w ogóle, tak też dla kobiety w szczególe, jedynym, rzetelnym środkiem zdobycia szczęścia jest: szukać go nie w świecie, lecz w sobie. Świat przynosi lub *zawód*, lub *przesyt*, a szczęściem jest tylko pokój. Celem każdéj kobiéty chcącéj zostać szczęśliwą ma więc być: nie szukanie życia na świecie, lecz w ścianach domu; kształcenie go nie bogactwem zewnętrznem, ale wewnętrznem; nie oddawanie się samolubne biegowi życia, lecz praca; nie żądanie dla siebie poświęceń, lecz poświęcanie się.

Wyrozumowaniem tego celu jest właśnie położony na czele powieści fantastyczny fragment: *Fantazya*.

Myśl, ideał, fantazya—to sfera ducha. Duch to nie świat nasz; każdy więc który zapragnie żyć w owéj sferze, musi się skłócić ze światem; lecz jeśli się nie cofnie od kłótni, zaprze się świata, tém samém (w odniesieniu do siebie) przemoże go, i nowe, wyższe niż zwykłe ziemskie pozna rozkosze.. Taka jest treść Fantazyi.

Myśl tę stosuje daléj autorka do wypadków praktycznych życia, i tło jéj służy za treść i morał każdéj powiastki. Powiastki składające 4 tomy *Powieści naszych czasów* są w liczbie 8, i noszą następne na-

pisy: *Noc popielcowa*, *Sierota*, *Dwór i chata*, *Rachunek z przeszłością*, *Justyna*, *Ojciec Salezy*, *Dwie drogi* i *Dwie niewiasty*.

Dla bliższéj charakterystyki tych opowiadań, przytoczymy tu szczegółowiéj treść jednéj z powiastek. Wybieramy *Sierotę*.

— W Śliwinie na Mazowszu mieszkali dziedzice téj wsi, państwo Gruszczyńscy. Dom pp. Gruszczyńskich był jednym z tych, jakie najczęściéj potykać się daje na wsi. Byłto dom zamożny i rządny, lecz zamożność ta nie dochodziła do skali zbytków. PP. Gruszczyńscy mieli siedmioro dzieci: dwóch synów i pięć córek. Córeczki te byłyto osoby milutkie, hoże, niebrzydkie; wychowane w wygodach, pod opieką i przychylnością rodziców, nie pojmowały iżby gdzie mogło być lepiéj lub gorzéj jak w domu rodziców, nie znały i nie myślały o innym świecie. Najstarsza imieniem Walerya była wprawdzie w Warszawie na pensyi, lecz z Warszawy poznała tylko pensyą. Razem z niemi wychowywała się téż i mieszkała razem w Śliwinie młoda ich rówieniczka, nie tak jednak wesoła i nie tak szczęśliwa:— *sierota*, imieniem *Józia*.

Jak *Walerka*, *Michasia*, tak téż i *Józia* nie byłato żadna idealna istota; położenie jéj wszakże więcéj smutne, odosobnione, obowiązek uciekania się pod opiekę tylko do siebie i rachowania daléj tylko na siebie, pamięć wreszcie na przestrogi przekazane jéj przy śmierci przez matkę: podniosły i wyrobiły były w niéj więcéj stronę moralną.

„Rysy Józi, mówi autorka, na piérwszy rzut oka nie uderzały pięknością. Wyraz jéj twarzy zdawał się zrazu nic nieznaczący. Oko jéj jakby strudzone błądziło zwykle bez celu. Ale gdy najlżejsze wzruszenie wzbudziło jéj wyobraźnią, gdy widok pięknego kwiatu lub drzewa, gdy znany odgłos piosenki sprowadził myśl na gładkie jéj czoło: wówczas rysy dziewczęcia cudownym, jakby w głębi duszy zapalonym jaśniały ogniem, i natchnienie opromieniało smętny wyraz jéj twarzy. Wówczas Józia piękną była prawdziwie, bo piękność jéj wypływała wprost z duszy."

„Bez opieki na ziemi, miała częściéj przed myślą opiekę wyższą; śród potrąceń przez ludzi umiała wynajdywać świadectwa jéj i godzić się z swoim losem."

„Nieraz pamiętam, będąc małém dzieckiem,—mówiła raz do przyjaciołki Walerki—z żalem patrzałam na zabawki i łakocie, któremi obsypywano dzieci wujostwa, gdy tymczasem dla mnie ledwie się z litości co kiedy zostało. Ileżto razy zasypiałam spłakana! Ale jakem rano wstawała, jakem wybiegła do ogródka, jakem spojrzała na niebo błękitne, na słońce, na zielone drzewa i kwiatki: o! to przecież Bóg stworzył dla wszystkich, pomyślałam z rozkoszą; do tego wszakże i sierota ma prawo."

Józia wszakże zaskromnie sądziła będąc dzieckiem, i gdy wyrosła, ujrzała, iż nie same tylko drzewa i kwiatki były jéj sądzone.

Jednym z częstych gości w Śliwinie bywał kuzyn pp. Gruszczyńskich: *Wacław*. Wacław miał majętność niewielką, lecz czystą, i zdaje się, iż pp. Gruszczyńscy mile go przyjmowali nietylko jako kuzyna; głównym wszakże przedmiotem zajęcia się Wacława w ich do-

mu stała się Józia, i byłoto bardzo naturalném, iż nie miał niewzajemności.

W Śliwinie obchodzono dzień imienin pp. Gruszczyńskich: zjazd gości był nietylko z sąsiedztwa, i czytelnik poznaje tu drugą bohaterkę powieści, kontrast Józi—przybyłą z Warszawy z matką: pannę *Laurę*.

W powieści tomu IV: *Dwie niewiasty*, dwie małe kuzynki i towarzyszki, *Zosia* i *Marya* taką raz o swojéj przyszłości prowadziły rozmowę:

„Jak ja pójdę za mąż, mówiła *Zosia*, będę miała dzielne konie, piękne pojazdy, najświeższe sprzęty i stroje, a każdy stawiać mnie będzie za wzór dobrego smaku i mody. Pojadę do Paryża, do Londynu, do Włoch, wydoskonalę się w muzyce i *wszystkim* głowy zawracać będę.

„Jak ja urosnę, mówiła zcicha Marya, nie będę szukać obcych krajów, ni gorącego Włoch nieba. Osiądę ponad moją kochaną Wisłą, założę śliczny ogródek, w tym ogródku wiele kwiatów posadzę, codzień je będę własną pielęgnować ręką i *będę zawsze kochać wszystkich i wszystko*."

Jak do owéj *Zosi* miała się *Marya*, tak właśnie do panny Laury miały się młode mieszkanki Śliwina, a zwłaszcza Józia. Panna Laura na pensyi była towarzyszką i przyjaciołką Walerki, i dlatego też przyjechała odwiedzić ją na wsi; ale niedługi przeciąg dalszego życia, życia w mieście i na wsi, nieznacznie ale o wiele już zmienił był dwie towarzyszki. Panna Laura wybierając się do Śliwina nie myślała nawet może o tém, aby zaimponować; wszakże przybywszy tu znalazła się jakby nie w swoim żywiole, w świecie jakowymś niższym. Panna Laura odróżniała się znacznie od reszty zebrania: strojem, układem, samemi szczegółami rozmowy; zapewne potknęła się nieraz idąc nie po woskowéj posadzce, i z trwogą o ubiór usiadała na krześle które nie aksamitem i złotem było obite. Zabawa nie szła; Walerka poprowadziła gości do gabinetu, gdzie stały między innemi oprawne książki: Krasicki, Karpiński, Brodziński, ale na ścianie wisiał portret madamy z pensyi: i pannę Laurę odstraszył. Niewiele pomógł Wacław wtrącaniem swych słów wiejsko-szlacheckich. Walerka aby zabawić usiadła do fortepianu, wybrała do śpiewu piosnkę, która najmiléj była słuchaną w kole rodzinném i którą śpiewała wdzięcznie; lecz panna Laura zgorszyła się, że to nie była arya włoska (byłato znana, a wtedy niedawna jeszcze dumka *Nad szumnym Dniestrem*). Szczęściem jednak nadjechał z Warszawy hr. Alfons i odżywił pannę Laurę prowadząc rozmowę po francuzku i o paryzkiéj operze.

Matka panny Laury, pani Borońska, mieszkała z córką w Warszawie prowadząc dom świetnie. Majątek pani Borońskiéj był przy upadku; lecz by ratować siebie i córkę, musiała ją wydać za mąż bogato, i dlatego mieszkała świetnie. Laura była piękną i zgłosił się o jéj rękę stary, ale bogaty *szambelan*. Przedmiotem zajęcia się serca panny Laury był wtedy *Zdzisław* i nie chciała słuchać o szambelanie; odpowiedziano jéj jednak, iż od kwartału trzeba się będzie przenieść

na Nalewki. Panna Laura poprosiła o tydzień namysłu, i poszła za szambelana.

Józia w tym czasie z Śliwina przeniosła się do *Nizina*. Sierota, bez rodziców, miała Józia ciotkę panią Jarońską. Ciotka ta mając majątek niewielki i odłużony, przytém syna którego wychowaniem była zajęta, nie spieszyła po odebranie Józi, którą pp. Gruszczyńscy przyjęli po śmierci matki; lecz zaledwie poznała swą siostrzenicę, pokochała ją jak swą córkę i zabrała do siebie. Józia bawiąc w Nizinie widywała nieraz Wacława, który w sąsiedztwie trzymał małą dzierżawkę, zajmowała się pracą, i gotowała się na dalsze życie odczytując przestrogi czyli notatki, które jéj umierająca matka zostawiła.

Notatki te sąto waryanty tych trafnych uwag i przestróg, które autorka w każdéj powieści w różnych kształtach odnawia, i dlatego przytoczymy tu z nich kilka ustępów.

Matka Józi tak w nich np. pisała o świecie, który już sama żegnała, i na który córkę swą wysyłała:

„Świat, moje dziécię, to pstra mieszanina dobrego i złego, zlepka gliny i złota. Nie tak zły i nikczemny jak sądzą o nim niektórzy, bo go myśl Boża otoczyła dokoła; ani tak doskonały, jakimby go inni miéć chcieli, bo ludzki, bo skażony. Słaby i niedołężny, jeżeli go uważać zechcemy cząstkowo; wielki i potężny w całości, bo każda z milionowych jego cząstek dąży do urzeczywistnienia i wyrażenia wielkiéj myśli Boga. I ty, moje dziécię, jakkolwiek słaba i wątła, jesteś ogniwem w wielkiéj społecznéj budowie. Pamiętaj o tém i staraj się godnie spełniać przeznaczenie twoje; staraj się przejść przez życie czystą i nieskażoną stopą, a dokażesz tego, postępując zawsze drogą prawdy.“

„Życie, moje dziécię, to ciężka i nużąca pielgrzymka od kolébki do grobu. Nikt z żyjących nie wyłamie się od dźwigania swego krzyża; idzie tylko o to, aby jego brzemię lżejszém i znośniejszém uczynić. Uważaj życie jako ciągłą walkę, jako nieustające poświęcenie; ale nie szukaj w niém osobistego szczęścia. Kto szczęścia szuka na ziemi, nie znajdzie go nigdy, bo go tam nie ma, a wszystko co ludzi jego pozorem, kłamstwem jest i złudzeniem. Szczęście znajdziesz dopiéro w Bogu w pełni, tu zaś wtedy poznasz jego odblask, gdy Bóg zamieszka w twém sercu!“

„Módl się dziécię i pracuj: w tych dwóch słowach zamyka się cała mądrość.“

Głównym wierzycielem pani *Jarońskiéj* (ciotki) był pan *referendarz Z.* mieszkający w Warszawie. Ten pan referendarz za czasów swych młodych (za Księztwa Warszawskiego) przedmiot powszechnych uwielbień dam, postrach mężów, przez ciąg życia zebrał był znaczny majątek, lecz nie ożenił się; zrazu sięgał wysoko, potém jakoś i niżéj nie udawało się; nareszcie postanowił ożenić się chociażby i nie bogato, lecz według serca: uczynił wybór, a wybór ten wypadł na Józię. Pani Jarońska nie mogła opłacić narosłych długów, majątek jéj był w ręku referendarza, i jedynym środkiem ratunku było zaproponowane przezeń małżeństwo. Józia wiedziała

o tém; ratować swą opiekunkę poczytała za obowiązek, i mimo przedstawień saméj dobréj ciotki, mimo miłość swą dla Wacława, pomimo wstręt jaki w niéj obudził do siebie próżny a odziany w sztuczne włosy i zęby referendarz, oddała mu swą rękę.

Józia uratowała ciotkę, ale zgubiła siebie. Nawet miłość referendarza nie była trwała. Pani szambelanowa Laura błyszczała w świecie, lecz podróżami, trudzącém, wystawném życiem wpędziła wkrótce męża swego do grobu i z nim majątek. Ratunkiem Laurze mogły być miliony referendarza, którego poznała: jeden umizg zawrócił mu głowę; za pieniądze mógł za żonę mieć Laurę, pozbyć się piérwszéj. Józia odrzuciła jałmużnę, lecz dręczona dziwactwy, grubiaństwem męża, z wierną sługą wyniosła się potajemnie z mieszkania; z ulicy Senatorskiéj przeniosła się do małego pokoiku na 3m piętrze na placu Zygmunta i tu zamieszkała utrzymując się z dawanych lekcyj rysunku i ręcznych robotek.

Wkrótce przybyła ze wsi pani Jarońska zabrała ją do siebie. Z radością powitało ją dawne sąsiedztwo, tylko z niejaką trwogą Walerka, od lat dwóch żona Wacława. I istotnie, dawne uczucia wznowiły się wkrótce w sercu Wacława, i wznowiły się w sercu Józi. Lecz Józia, która uczyniła już była raz ofiarę dla ciotki, drugi raz dla męża, nie wahała się uczynić jéj i dla przyjaciołki i znikła z sąsiedztwa.

W ostatnim rozdziale powieści autorka opisuje szczęśliwość Józi. Przeznaczona na same zawody, potrzebę ofiar, Józia przemogłszy passye, nauczywszy się przestawać na małém, kochać dokoła wszystko, cieszyć nadzieją wyższą, nietylko śród niedostatków, w nowém uczuciu zewnętrznem znalazła pokój, lecz nawet szczęście.

I kiedy Laura dotknięta chorobą ospy i jéj skutkami, znienawidzona od męża (referendarza), opuszczona od świata, śród dostatków umiała tylko złorzeczyć światu i matce; Józia dziwiła się nawet, że na świecie mogą być nieszczęśliwi.

„Nieraz ja myślę, ciociu (mówiła raz do ciotki, która przy niéj zamieszkała domek z ogródkiem i gruntem), czemu to ludzie nie są szczęśliwi, kiedy Bóg wskazał im do szczęścia nieomylną drogę. Tyle ludzi łaknie, nie pomnąc, że słowo Boże, byle je do serca przycisnąć umieli, nasyciłoby wszystkich; tyle piersi pragnie, a źródło wiary i miłości stoi dla wszystkich otworem. Szczęścia! szczęścia! wołają wszyscy, nie pomnąc, że szczęście nie zstąpi z obłoków, ale spoczywa w sercu każdego, a jedyną do niego drogą: praca, poświęcenie i miłość bliźniego."

Taka jest treść *Sieroty*, i w ogóle charakterystyka opowiadań pani Pruszak. Słabą stroną powieści tych jest ich artystyczna budowa. Nie brak fantazyi mamy do zarzucenia autorce, owszem, jéj zbytek. Autorka pomyślała zarazem taką ilość akcyj i sytuacyj, iż każda jéj powiastka nie kilka, ale kilkanaście ma bohaterów i bohaterek. Naturalném następstwem musiało być: niewykończenie i zbyt częsta zmiana obrazów. Jestto własnością w ogóle umysłu kobiét, iż żywiéj i czuléj dany przedmiot pojmując, całość jego na drobniejsze szczegóły rozróżniają; w piśmie jednę myśl, jeden obraz w krociach lekkich rozróżnień i odcieni lubią przedstawiać. Dlatego téż ogólną własnością

stylu poetek wszystkich krajów jest rozwlekłość; dlatego też zdaje się nam, iż wszystkie powieści autorki są nietylko podobnéj, ale jednéj i téjże treści. Odcienia charakterów i sere rzeczywiście w świecie są niezliczone; lecz odcienia te o tyle tylko rozróżnić możemy w obrazie, o ile je rozróżnia akcya lub określenie. Główne zaś szczegóły wszystkich powieści o których mówimy, są prawie też same: piérwsza miłość, dwie inne w dalszym ciągu życia, niedobrane małżeństwa (w saméj powieści np. któréj treść przytoczyliśmy, jest cztery niedobranych małżeństw: szambelan i Laura, Józia i referendarz, referendarz i Laura, Walerka i Wacław); zakochanie się w świecie, ofiara z świata, sny złowróżbe i t. p. jestto treść każdéj. Też nauki, przestrogi, morały powtarzają się w każdéj w mało zmienionych formach (jak *dyalogi*, *listy*, *notatki* i t. p.); jakoż napis jednéj powiastki równie dobrze mógłby służyć i każdéj innéj. Każda np. równém prawem mogłaby nosić nazwisko: *Dwie drogi*, *Dwie niewiasty*, *Noc popielcowa* (czyli sprawdzenie się snu), *Rachunek z przeszłością* i t. p.

Szereg ten zbyt podobnych do siebie stronnie sprawia monotonność obrazów, a zkądinąd, pomyślany tłum sytuacyj sprawić to musiał, iż tylko zaczęcia powieści i niekiedy szczególnych odstępów są wypracowane.

Jesteśmy pewni, że ta obfitość imaginacyi autorki *Powieści naszych czasów* uprości się, iż te marzone liczne ideały ukształcą się kiedyś w jeden ideał i dadzą nam daléj utwór pewniejszéj artystycznéj budowy; poręką tego jest właśnie ostatnia powieść autorki nie będąca w tym zbiorze, a którą w roku zeszłym poznali czytelnicy Biblioteki (*Córka poety*). *T.*

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W zeszycie Biblioteki Warszawskiéj na miesiąc grudzień r. z. wyczytawszy recenzyą p. Seweryna Gołębiowskiego przeciw panu Kazimierzowi Władysławowi Wójcickiemu wydawcy Pamiętnika Jana Stefana Wydżgi, mam powinność odpowiedzieć. Pan Saweryn Gołębiowski ujął się za błędem ojca swego, tak szanownego i użytecznego dla dziejów ojczystych, który mając bardzo ułatwioną sposobność przy bibliotece poryckiéj, przy sławnym z wiadomości dziejowych Czackim, zebrał, spisał i podał wielkie i korzystne materyały dla wzbogacenia faktów w historyi krajowéj, i zasłużył na wdzięczną i sprawiedliwie należną dla niego pamięć. Pan Gołębiowski jednak w zdaniu swojém co do Pamiętnika Jana Stefana Wydżgi, tyle pism, tyle legend różnych mając pod ręką, nie zgłębiając i nie wyszukując narodowych wspomnień, z podań stanowczo i nierozważnie utrzymywał kłamliwie zdanie cudzoziemskie Brauna. A syn, pan Seweryn Gołębiowski, powodowany chwalebném przywiązaniem dla ojca, chce dziś to kłamliwe zdanie w istną prawdę przybrać. Trzymając się

wiernie Brauna, powtarza, że Wydżga poświęcał tylko pismo swoje pochwale Maryi Ludwiki, i że zajmują go tylko czyny, rady i przymioty królowéj, a cel tego pisma, dla złagodzenia rozjątrzonych umysłów przeciw królowéj, wymierza. Pozwalam na to twierdzenie, bo niewiele naliczyć możemy małżonek królów obieralnych, któreby zasługiwały na pochwały, a może ujść mogły nagany. Marya Ludwika z pochodzenia włoskich panujących książąt (ale nie Bona), wychowana i zamieszkała weFrancyi, zostawszy królową polską, całą duszą przywiązała się do nowéj ojczyzny swojéj: w razach najnieszczęśliwszego położenia rzeczypospolitéj, radami, wsparciem swoich własnych funduszów, odstąpieniem starostwa lubomlskiego i innych, jako stołowych jéj dóbr, własnych klejnotów i sreber wspierała swą ojczyznę przybraną z zupełną czynnością i poświęceniem się osobistém. Nadto są znane te wypadki, a powtarzać i wyliczać je szczegółowo byłoby zbytecznem. Marya Ludwika królowa obieralna, bezpotomna, żadnych widoków osobistych dla siebie znaléźć nie mogła; znosiła trudy i tułactwo, i nie można wcale wyśledzić jéj intryg przeciwnych i niekorzystnych z gabinetami obcemi, dla kraju i rzeczypospolitéj. Zdołała ona utrzymać ducha i wytrwałość króla Jana Kazimierza w tak gnębiących go i uciążliwych klęskach kraju: sam pomysł i usiłowanie jéj, wybrania następcy księcia francuzkiego d'Enghien, a następnie zaprowadzenia tronu dziedzicznego, już ją stawiają w rzędzie najżyczliwszych dla Polski królowych; a doradcę jéj Wydżgę, który ten pomysł wspierał, i doprowadzić całą siłą starał się, wydaje w całém świetle jako rozumnego człowieka i niepospolitego dyplomatę. Któż poważy się zaprzeczyć téj matematycznéj i wyrozumowanéj prawdzie, co zapewnie spodziewam się że i recenzent to przyzna, że tylko wolna elekcya królów, zniszczyła samoistność i następnie zgubiła Polskę. Kiedy Dania, Szwecya, Węgry, zrzekły się tego zgubnego dla siebie przywileju; Polska tylko jedna niebacznie starała się to nieszczęście dla siebie pielęgnować aż do ostatniéj zagłady swojéj. Przypuśćmy przypadkiem, żeby książę francuzki, który późniéj tytułowany był księciem Kondeuszem, męztwem i dzielnościa za Ludwika XIV wsławiony, był obranym na dziedzicznego króla polskiego: czyby takie skutki dla niéj nastąpiły? Zasłużyła zatém Marya Ludwika na wdzięczne pochwały i wspomnienia, a Wydżga miał słuszne powody, w piśmie swojém oddać takowe Maryi Ludwice.

Daléj w recenzyi swojéj pan S. G. obstaje przy rzeczywistości fałszywego zdania cudzoziemca Brauna: mówi, że Wydżga obowiązany był za otrzymane od niéj dostojeństwa. Nie rozważył przecież recenzent, że na dostojeństwa Wydżgi składało się czterech polskich królów, bo służył królom i rzeczypospolitéj od Władysława IV aż do Jana III; że oczywiście znaleźli w nim królowie i rzeczpospolita znamienite zdolności i nauki, a te utorowały mu drogę do najwyższych dostojeństw. Mówi recenzent, że sekretarstwo wielkie, infułę łucką, a nawet wielkich intrat warmińską i podkanclerstwo koronne, winien staranności królowéj; a wszakże Wydżga pieczęć mniejszą koronną otrzymał od Jana III. Nie wspomina tego recenzent, że późniéj Wydżga za tegoż króla został kanclerzem wielkim koronnym, choć przy bi-

skupstwie warmińskiém; to samo dowodzi, jakie zdolności i rozum stanu posiadał Wydżga: bo zapewne wiedzieć recenzent musi, że pieczęci mniejszéj ani wielkiéj, przy biskupstwie warmińskiém, wraz z przyłączoném księztwem bardzo intratném, równie przy krakowskiém, poznańskiém i kijowskiém biskupstwach; w Litwie przy wileńskiém, nikt piastować nie mógł, i to konstytucyami zastrzeżone było. Jedynie tylko stany rzeczypospolitéj na sejmie dla Wydżgi wyłącznie i szczególnie przez uchwałę swoję zezwoliły na utrzymanie jéj przy biskupstwie warmińskiém. Nie jestżeto oczywisty dowód że królowie i naród w stanach rzeczypospolitéj zebrani, umieli poznać się i ocenić ważne zasługi, rozum i niepospolite zdolności Wydżgi, które dziś jeden tylko pan Seweryn Gołębiowski bezpośrednio, uroczyście zaprzecza. Późniéj był nominowany od króla Jana IIIgo prymasem. Daléj recenzent trzyma się zdania Brauna, że pismo swoje cytatami łacińskiemi najeżył, i dlatego uważa je za niezaletne i poniżające zdolności Wydżgi. Nie zastanowił się pan Seweryn Gołębiowski że to pismo wydane niemal przed dwoma wiekami: wtenczas piśmiennictwo wymagało gruntownéj i zasadniczéj wiadomości starożytnych klassyków. Kto chciał wtenczas uchodzić za uczonego, musiał posiadać wiadomości gruntownie czerpane z filozofów, mowców i prawodawców greckich i rzymskich, niemi się przejąć, ich naśladować, a zdania swoje własne trafnie do nich regulować. Zapewne dziwnie się to wydaje panu recenzentowi przy teraźniejszym postępie oświaty. Teraźniejsi tak wielkich talentów pisarze, sami tworzą pomysły i natchnienia, nie potrzebują szukać i zgłębiać zdań mędrców dawno umarłych, a nawet pogrzebanych narodów; potrzebują natchnień własnych, imaginacyi poetycznéj. Starożytne piśmiennictwo ciężkie i napuszone, tylko dla uczonych do pojęcia; młodzież dzisiejsza nie potrzebuje wiedzieć co myśleli i robili Grecy i Rzymianie. Co ich obchodzić może sentymentalny Seneka, historyczny Plutarch, Tacyt, ostrych cnót Katon, albo satyrycznie uszczypliwy Juwenalis. Młodzież tegoczesna skwapliwie czyta z wielkim talentem i wiadomościami wydawane powieści: bawią ich, a razem nauczają; widzi w nich swoje obrazy, wady i namiętności; postrzega się, sposobi i formuje. Z czasem pojętniejsi czytelnicy probują się do napisania podobnych, a nawet czasem porywają się i do recenzyj takich pism wsławionych już autorów, które bynajmniéj na nią nie zasługują. Jakże się może wydać pamiętnik Wydżgi? Lecz pozwoli recenzent zwrócić uwagę jego: dlaczegoż przed wydaniem teraźniejszém pamiętnika Wydżgi, światli i uczeni literaci, pisarze dziejów, którzy starannie zbierają i że tak wyrażę się odkopują gruzami czasu i okoliczności zasypane pomniki dziejów przeszłości, z wielkim pożytkiem dla kraju, tylokrotnie pochwalili, zapowiadali w pismach publicznych, wydać się mający pamiętnik Wydżgi? Dlaczegoż wielce zasłużony dla literatury i dziejów wydawca, wielbiony i słynnéj opinii w piśmiennictwie autor, nie zraził się wydać go dla publiczności? Nastąpiło to, myślę, po rozwadze zapewne zebranych na posiedzeniu uczonych literatów warszawskich.

W dalszéj recenzyi nie przyznaje pan S. G. Wydżdze prawości obywatela, dlatego, że nie chciał królowi Janowi III udzielić pieniędzy na wy-

prawę wiedeńską; ale mający wiadomość rzeczy nie pochwala wiedeńskiéj wyprawy. Wydźga téj wyprawie jako niepolitycznéj był słusznie przeciwny. Okryła ona sławą bohaterską Jana III, i to tylko przez pisarzów polskich i Rzym ogłoszoną; lecz jako wdzięczność, pisarze niemieccy przyznają zwycięztwo i bohaterstwo książętom de Waldek i lotaryńskiemu, dowodzącym wojskami rzeszy niemieckiéj, ledwie wspominając, że był przy obronie Wiednia i król polski Jan III. A zimne, obojętne, niewdzięczne i krótkie przywitanie króla polskiego po zwycięztwie przez dumnego Leopolda cesarza, to potwierdza. Jan IIIci winien zwycięztwo i sławę z niego osobistéj waleczności, ale nie wiadomościom strategicznym. Zapędziwszy się za zwyciężonemi, jak wiemy, pod Parkanami odparł go dzielny i młody wezyr, pobił z klęską i stratą dzielnych i znakomitych rodzin rycerzy, a nawet z osobistém niebezpieczeństwem króla, i dopiéro pod Strygoniem postarał się podnieść zwycięztwem sławę oręża. Nie ma potrzeby powtarzać, jakie dla rzeczypospolitéj i kraju krzywdy, straty prowincyom i inne złe skutki ta niepolityczna pod Wiedeń wyprawa ściągnęła: bardzo są znane i wiadome, a Turcy ciągle odwzajemniali się królowi. Niesprawiedliwie przeto recenzent odmawia prawości obywatelstwa Wydźdze, a nie postrzega znajomości dyplomatycznéj, dobrych chęci i rad dla rzeczypospolitéj. Dalsze zdania recenzenta co do uraczania pasztetami ze szczurów, są małego znaczenia, jednak z tych powodów nie przyznaje prymasowi dowcipu, tak w dawniejszych, jak i w tegoczesnych różnych pismach wspominanego i przyznanego; nawet w klassach szkolnych w Grammatyce niemieckiéj Kamińskiego, recenzent wspomnienie o dowcipie jego znaléźć musiał. Prawda, że Wydźga nieodstępny w nieszczęściu i tułactwie Jana Kazimiérza doradca, a więc naoczny świadek tego, że tak powiem peryodu zaślepienia, kiedy wiele rodzin naśladując niegodną pamięć Radziejowskiego, odstępując króla, łączyło się przeciw niemu, przeciw własnéj sprawie z Karolem Gustawem szwedzkim: zostawszy prymasem z odrazą, z żartami i przycinkami przyjmował w domu swoim potomków tych rodzin szlacheckich; tak przyjął, jak Niesiecki wspomniał, powracającego z cudzych krajów młodzieńca znakomitego domu L. Panu S. G. zapewne wiadomo, że w dawnéj Polsce, w domach panów polskich zamożnych, w czasie uczt, chwil swobody i uradowania, przy stołach ogromnych bywały tak zwane krotofile, że na szary koniec, przez żarty i uciechy obnoszono i częstowano potrawami z niedźwiedzi, frykasami z lisów, posyłano puhary napełnione winem z wróblem lub myszą. Były to żarty tylko z uciechy, ale to nie zrobiło poróżnienia, dobréj harmonii nie zwaśniło, a szlachcic w tych domach znalazł pomoc i wsparcie w potrzebach i protekcyą. Pasztety wspomnione byłyto żarty. Recenzent ten żart wziął zanadto czule i dotkliwie, i nawet wyraził się ze wzburzeniem żółci.

Zarzut dla wydawcy Pamiętnika, dlaczego obok Kordeckiego, Czarnieckiego i Maryi Ludwiki nie umieścił Jerzego Lubomirskiego,

nie jest właściwym. Lubomirski, jak recenzent mówi, był dumnym i burzliwym, nie dodał że był i możnym, a duma i burzliwość przy wielkiéj fortunie, dla rzeczypospolitéj i dla każdego rządu jest niezno̊sną, niebezpieczną i najczęściéj szkodliwą. Dowiódł tego Lubomirski: był on mężnym i walecznym, ale wzniecił domową wojnę, podniósł rokosz, domierzył klęsk zniszczeń szwedzkich i przelał krew bratnią: nie może i nie zasługuje mieć miejsca obok Czarnieckiego, Kordeckiego i Maryi Ludwiki, przeciwnym będąc ich sprawie. Już Kazimiérz szczerze życzliwy dla Polski król, nie miał jednak duszy Stefana Batorego. Nie ukarał przykładnie zdradziecko występnego Radziejowskiego, rozciągając tylko banicyą, a Lubomirskiemu kryjącemu się w Szlązku przebaczenie, powrócenie do kraju i do urzędów udzielił. Sprawiedliwym też był i dla zasłużonego Czarnieckiego, bo kiedy w senacie imieniem króla wniósł Wydżga projekt nadania za zasługi Czarnieckiemu dobra Tykocin, czego bez zezwolenia stanów rzeczypospolitéj zrobić nie można było, powstały w senacie tak sprzeczne, tak przeciwne zdania dlatego tylko, że Czarniecki szlachcic polski, nie liczył w rodzinie swojéj znakomitych antenatów dawniejszych dat: że wtenczas Jan Kazimiérz powstawszy, przemówić musiał: „Jeżeli tak ważne dla rzeczypospolitéj i dla nas wszystkich zasługi Czarnieckiego, jeszcze u was względu zyskać nie mogą: tedy zasługi przodków moich, zasługi całego domu Jagiellońskiego, z którym tak spokrewniony jestem, na dopiar zasług Czarnieckiego pokładam;" i wtenczasto nasz Cyncynat wskazując na bliznę w dolnéj szczęce twarzy w boju pod Monasterzyskami odniesioną przeciw Tatarom, te pamiętne wyrzekł słowa: „ja nie z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli urosłem." To samo spowodowało spóźnienie oddania mu buławy; jednak dobra Tykocin otrzymał Czarniecki na własność. Prawdziwie była to tylko słabość ówczesnéj arystokracyi rodowéj.

Tę odpowiedź na recenzyą p. Seweryna Gołębiowskiego dopełnić, jako potomny imiennik Wydżgi czuję się w obowiązku, a zawsze pochwalam i uwielbiam synowską miłość recenzenta dla zmarłego ojca, która jest piérwszą cnotą domową.

Składając tę moję odpowiedź szanownéj redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, przy wyrazie wysokiego szacunku, upraszam o zamieszczenie w zeszycie Biblioteki Warszawskiéj.

Józef Wydżga.

Dutrów, dnia 16 grudnia 1852 roku.

Sprostowanie.

Pan Józef Wydżga, obywatel powiatu brubieszowskiego, stanął w obronie Pamiętnika wydanego przez K. W. Wojcickiego. Na samym wstępie utrzymuje, żem napisał recenzyą przeciw K. W. Wojci-

ckiemu. Myli się pan Wydżga: nie pisałem recenzyi przeciw wydawcy, ale zdanie sprawy o dziele historycznem. Daléj powiada, że mój ojciec utrzymywał kłamliwe zdanie cudzoziemca Brauna, nie korzystając z rozmaitych legend, wspomnień i podań, które miał pod ręką. Zostawując na stronie legendy, wspomnienia i podania, jako niemające związku z rzeczą, powtarzam, że Braun nic więcéj nie powiedział, tylko: że Jan Stefan Wydżga pismo swoje poświęcił na pochwałę Maryi Ludwiki, i że je najeżył cytatami z greckich i łacińskich autorów. Na piérwsze pan Wydżga się zgadza i dowodzi to, o czém nikt nie wątpi, że Marya Ludwika zasługiwała na pochwałę; na drugie także się zgadza, powiadając, że Jan Stefan Wydżga zdania swoje trafnie do autorów greckich i łacińskich regulował. O wyrazy spierać się nie będziemy, dosyć, że oba zgadzamy się na jedno.

Daléj następuje żartobliwa wzmianka o teraźniejszéj młodzieży, która nie troszcząc się o to, co pisali historycy Plutarch, sentymentalny Seneka, ostrych cnót Kato i t. d., we własnéj głowie szuka pomysłów; która czyta powieści i pisze powieści, a pojętniejsi posuwają się nawet do recenzyj takich pism wsławionych, jak Pamiętnik Jana Stefana Wydżgi. Na to nie mogę się zgodzić: łatwiéj napisać recenzyą albo odpowiedź na nią, jak dobrą powieść.

Myli się pan Wydżga kiedy utrzymuje, że wydanie Pamiętnika Jana Stefana Wydżgi nastąpiło w skutek narady zebranych na posiedzeniu literatów warszawskich; winni jesteśmy to wydanie światłéj gorliwości K. W. Wojcickiego o upowszechnienie rzadkich dzieł historycznych, które mogą posłużyć do rozjaśnienia przeszłości krajowéj. Myli się kiedy utrzymuje, że ja powiedziałem: że Jan Stefan Wydżga za staraniem królowéj otrzymał pieczęć mniejszą; tego w mojéj recenzyi nie ma, a wzmianka o tém, że był kanclerzem kor. przez omyłkę została opuszczona. Nie pisałem biografii J. St. Wydżgi, i w ogóle wspomniałem tylko jakie stopnie hierarchii rządowéj przechodził, wiedząc o tém, że na te dostojeństwa składało się dla niego czterech, a właściwie mówiąc, trzech królów.

W dalszym ciągu pan Wydżga staje w obronie prymasa, że ze względów dyplomatycznych nie dał pieniędzy na wiedeńską wyprawę; fakt zostaje, że odprawił wotywę na podziękowanie panu Bogu, że pod Wiedniem obeszło się bez jego pieniędzy. Pan Wydżga na dowód, że prymas miał dowcip, powołuje się na Grammatykę niemiecką Kamińskiego; piérwszy raz spotkał ją ten zaszczyt, że została powagą historyczną. Utrzymuje pan Wydżga, że to były żarty, kiedy prymas karmił niemiłych sobie gości pasztetem ze szczurów i poił kwaśném piwem z zapylonego kufla. I ja mówię że to były żarty, ale grube i niesmaczne żarty, nad któremi się nie rozczulam i o których mówię bez wzburzonéj żółci. Z mojéj strony zrobię uwagę, że pan Wydżga niepotrzebnie w dwóch miejscach wspomina o mniemanéj opozycyi przeciw arystokracyi rodowéj; sąto nowomodne wyrazy: dzisiaj mamy nawet arystokracyą powiatową. Onego czasu byli magnaci, którzy posiadali rozległe dobra, i z dziadów pradziadów zajmowali najpiérwsze w kraju urzędy. A prócz magnatów była szlachta osiadła, i nieje-

den mógł się pochlubić, że jego przodkowie zasiadali w senacie. Jan Stefan Wydżga, syn rotmistrza i podsędka ziemi lwowskiéj, urodzony z Kiemliczówny, szlachcic tak dobry jak i drudzy, własnym zasługom i łasce królów winien był swoje wyniesienie, a nie wspomnieniu o tém, że przed czterema wiekami któryś z Jastrzębczyków był kasztelanem krakowskim. Kiedy w senacie imieniem królewskiém wnosił projekt nadania za zasługi Czarnieckiemu Tykocina, nie było to zaślepienie, jak pan Wydżga utrzymuje, arystokracyi rodowéj: bo tak samo jak Czarniecki cnotą i pracą dobił się znaczenia, i mógł być podporą swojéj rodziny.

Wyznaję, że jestem czcicielem cnót rodzinnych i publicznych; nikomu nie ubliżam, a napadnięty, bronić się muszę. Zresztą całą sprawę oddaję pod sąd czytających, którzy zechcą porównać moje zdanie sprawy z odpowiedzią pana Wydżgi, któremu o to idzie, że pochwała *vulgo* panegiryk na cześć Maryi Ludwiki jest arcydziełem wyższém nad wszelką krytykę, i że Jan Stefan Wydżga należał do arystokracyi rodowéj.

Seweryn Gołębiowski.

Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1850 *r. przez* hr. Kaz. Wodzickiego. *Leszno.* 1851.

Od pewnego czasu, często w pismach peryodycznych czytać można ustępy noszące tytuł wycieczek, w których turyści krajowi zdają sprawę publiczności z wrażeń, jakiemi natchnęła ich piękność okolic; częściéj opisy podróży przedsiębranych w celu zwiedzenia gospodarstw wzorowych lub cukrowarni krajowych; niekiedy bardzo ważne, ogół obchodzące zdania sprawy z odgrzebania historycznych pamiątek, z śledzenia na miejscu archiwów i podań miejscowych. Jakkolwiek takie opisy różną posiadają wartość, a to względnie do usposobienia naukowego osób, i samych przedmiotów; trudno jednak zaprzeczyć téj ich wspólności, że poznają nas dokładniéj z własnym kawałkiem ziemi, wskazują na jego bogactwo, podtrzymują przekonanie, choć niestety niezbyt dawno zdobyte, że i u nas są piękności, których i obczyzna pozazdrościć może. Z drugiéj strony obudzają zamiłowanie i ochranianie starych zabytków, pobudzają do wspólnéj pracy, za pomocą któréj tylko wielkie rezultata osiągnięte być mogą. Dość tu przytoczyć popęd, jaki w powszechności istnieje do archeologii krajowéj od czasu kilku pięknie napisanych wycieczek archeologicznych.

Bardzo jednak rzadko natrafiamy na opisy podróży lub wycieczek przedsiębranych w celu dokładniejszego poznania niektórych okolic pod względem czysto-naukowym; a jednak podobne wycieczki z sa-

néj Warszawy w różne strony królestwa, o ile nam wiadomo rok rocznie prawie się ponawiają. Trudno odgadnąć przyczynę tego milczenia. Publiczność nasza jest wyrozumiałą; pojmuje dobrze, że pobyt kilkudniowy lub kilkutygodniowy w pewnéj okolicy nie wystarcza na poznanie przyrody, nawet pod jednym względem. Przeczuwamy jednak, że gdyby nasi koledzy zechcieli udzielać wspomnień i uwag zebranych w swych podróżach, powoli zyskiwalibyśmy pojedyncze dane do gruntowniejszego poznania ziemioznawstwa, fauny i flory krajowéj; a pośrednio obudzali zamiłowanie w miejscowych obywatelach, którzy czyto przez zainteresowanie dla dobra nauki, czy dla innych mniéj ważnych pobudek, pospieszyliby odpowiedzieć, o ile ich możność dozwala, wspólnemu interesowi. Przez to może i w młodszém pokoleniu obudziłby się tyle pożądany u nas popęd do nauk naturalnych. Nie sąto zbytnie wymagania; czytać nieraz można, że na Szlązku lub tam gdzieś na Niemczyznie, jakiś leśny lub pastor przy słabych środkach posiada zbiór szacowny to ptaków, to owadów miejscowych; u nas dotąd nie słychać o podobnych niekorzystnych wprawdzie dla kieszeni, lecz pożytecznych dla nauki przedsięwzięciach. Zachętę do takich zdań spraw, podał nam znany ornitolog Kazimiérz hr. Wodzicki w niniejszéj broszurce, zawierającéj spostrzeżenia nad ptastwem ożywiającém Tatry i Karpaty galicyjskie. Nie jestto ornitologia krajowa, lecz wyliczenie i zapoznanie bliższe z temi rodzajami i gatunkami ptaków, których istnienie w naszych górach poczytywaném było za hypotetyczne lub mało bardzo poznane.

Słusznie twierdzi szanowny autor, że nasz kraj przeznaczonym jest do zbadania wielu tajników, dotyczących rodziny ptasiéj, rozstrzygnięcia wielu wątpliwych pytań o sposobie życia i lęgnięcia. U nas bowiem natrafić jeszcze można na licznych powietrznych mieszkańców, wyniszczonych już w stronach przeludnionéj Europy, gdzie głodni lub chciwi mieszkańcy trzebią bez litości i wyboru ozdobę swych lasów i gór.

Niniejsza książka jest niewielką ze względu objętości, lecz za to bogatą w treść i sumienną pracę; jestto wypadek badań połączonych z licznemi trudami towarzyszącemi wycieczkom w dzikie i nieludne góry. Autor niewiele ufa podaniom lub analogii; opisuje tylko to, co widział, miał w ręku: dlatego śmiało rozstrzyga istniejące dotąd wątpliwości. Na początku, zapewne dla dopełnienia, autor wspomina o góralach, przywodzi ich strój i skreśla smutny obraz zmiany, jaka od pewnego czasu nastąpiła w tyle sławionym ich charakterze; dziś nieufność i podejrzliwość zastąpiły dawną szczerość i uprzejmość góralską. W jednym tylko szałasie przyjęto autora gościnnie, nie chciano nawet wziąć pieniędzy; lecz na widok srébra, staruszek, miejscowy gazda, dał się uprosić mówiąc: „Dziękuję wam Panie; dobrze wam z oczu patrzy, niech was Bóg błogosławi i do nas znowu sprowadzi". I my dziękując autorowi w imieniu nauki, powtarzamy słowa starca. *S. P.*

ROZMAITOŚCI.

Wykopalisko ostołopowskie.

Na wiosnę 1849 roku na Podolu między Winnicą a Bracławiem, na gruntach wsi Ostołopowa, włościanin orząc na równém polu, gdy nieco głębiéj pług zapuścił, wyorał niewielki garnek gliniany, w którym znajdowały się: sztabka srébrna, rozmaite ozdoby srébrne i 45 monet kufickich. Sztabka wspomniana długa około 5 ½ cali warszawskich, a szeroka ⅛ cala, mająca wagi 15 ¾ łuta, próby 14, nie jest z rodzaju znanych we wschodniéj słowiańszczyznie odcinków czyli rubłów, ale jest zlewkiem, gdyż od spodu i po końcach zaokrąglonych nosi widocznie ślady formy, a powierzchnią ma chropowatą z jednéj strony, gdzie metal na wolném powietrzu zastygał. Sztabka ta mogła służyć za środek zamiany, bo w połowie swéj długości, jak gdyby od częstego trzymania w ręku, ma boki znacznie wytarte. Nie od rzeczy będzie zrobić uwagę, że waga sztabki równa się wadze 70 monet kufickich razem z nią znalezionych. Zpomiędzy tych monet prawie jednakowéj wielkości, dziesięć na los wziętych ważyło 2 ¼ łuta. Z ozdób tam znalezionych zwracają naprzód uwagę srébrne wisiory podobne z kształtu do zausznic; sześć takich wisiorów jeden za drugi zaczepionych, stanowiło snać część noszenia na szyję, albo też rzędu na konia. Dwa środkowe są większe, po obu zaś bokach znajdują się tegoż kształtu, ale cokolwiek mniejsze. Składają się one z kółka z dwiema lub czterema perełkowemi obrączkami, na niém jest zawieszona gruszka ze srébrnych pereł rozmaitéj wielkości, ułożonych rzędami i poprzedzielanych sznurkiem srébrnym. Wisiory te przez długie noszenie z jednéj strony mocno są przytarte. Wykopalisko ostołopowskie zawierało jeszcze naszyjnik średnicy około 7 ½ cali, zrobiony z pręta srébrnego grubości przeszło ćwierć cala, którego końce do zaczepiania się urządzone były. Naszyjnik ten gładkiéj i prostéj roboty, przed włożeniem do garnka porąbany został na 7 części, z których 5 się tylko znalazło, po trzy cale długich. Dwa kółka z grubego srébrnego drutu, średnicy 1 ¼ cala mające, jedno za drugie założone, i ułamki czterech kó-

łek mniejszych jednocalowéj średnicy, służyły zapewne także do jakiegoś ubrania lub rzędu. Razem z wymienionemi przedmiotami znalezionych zostało 43 monet kufickich rozmaitego stępla, wielkości naszéj dwuzłotówki, ale znacznie od niéj cieńszych, i pięć ćwiartek z różnych monet. Większa część tych monet jest pogięta i przekłuta. Posiadacz zbioru będzie się starał z czasem dać dokładniejsze opisanie; rysunek przedmiotów wymienionych i kilku sztuk monet można będzie znaleźć w Pamiętniku Sztuk Pięknych na rok 1853, wydawanym przez Bolesława Podczaszyńskiego. Wykopalisko ostołopowskie znajduje się obecnie w posiadaniu p. Seweryna Gołębiowskiego.

O nasionach spadłych w kraju naszym w czasie burzy.

Kilkakrotnie spadłe w kraju naszym nasiona podczas burzy, jakoto: w roku 1758 w okolicach *ołkuskich*, w roku 1818 w okolicach *Małogoszczy*, a roku 1852 w miesiącu czerwcu na polach wsi *Bodzechowice*, położonéj między Nowém-Miastem Korczynem a Solcem, i około *Rohatyna* między Jarosławiem a Przemyślem, dały powód do rozmaitych wniosków.

Kształt i skład tego nasienia, na piérwszy rzut oka podobnego do kaszy jaglanéj, dość jest szczególny; ziarna podobne niby do łupiny z orzecha lub do łódki okrągławéj, mają bowiem dość obszerne i głębokie wydrążenie, a na przeciwnéj stronie są wypukłe, cała powierzchnia nieco pomarszczona, kolor zaś mają brudno-żółtawy; do środka wydrążenia przyrośnięty jest dość duży, nieco spłaszczony grzebiuszek. Pokrycie ziarnka jest tak cienkie i tak mocno do perysperma przystaje, że go odróżnić, ani odłączyć nie można; perysperm zaś jest przezroczysty, jak gdyby rogowy, przez niego więc dostrzedz można, jak zarodek w nim jest ułożony (1). Nasiona tego rodzaju mieliśmy sposobność oglądać nadesłane z *Bodzechowic* do *redakcyi Kuryera Warszawskiego* (patrz numer 196 i 209).

Już w roku 1818, kiedy spadły podobne nasiona w okolicach Małogoszczy, poczęły krążyć rozmaite wnioski o tym napozór dziwnym fenomenie; jedni bowiem upatrywali w tém jako stwierdzony

(1) Perysperm składa się z samych tylko komórek często nieregularnych, których ściany zwykle są cienkie i nietrwałe; komórki tkanki perysperm składające, napełnione są ciałami różnorodnemi, stosownie do rozmaitego jego składu. Przeznaczeniem peryspermu jest dostarczać pokarmu rozrastającemu się zarodkowi; w wilgoci do wschodzenia potrzebnéj rozpuszcza się i w zarodek wciska. Perysperm w roślinach ziarnowych, jak np. w zbożu zawsze jest mączysty; w lipie, rączniku, wilczém łyku olejny; w Mirabilis jalapa nadzwyczaj kruchy; w palmach, daktylu, kawie, kosaćcu twardy, do rogu podobny. Rozmaitość ta jednak przeznaczenia peryspermu nie odmienia, albowiem łatwo się w wilgoci rozpuszcza.

fakt historyczny o *mannie żydowskiéj*; drudzy utrzymywali, że to jest utwór górnych warstw atmosfery. Wszakże pomimo tych i wielu innych sprzecznych z rzeczywistością wniosków, znakomity nasz botanik *M. Szubert* po ścisłém zbadaniu przesłanych mu nasion, stanowczo oświadczył, że to są nasiona rośliny dwulistnéj.

Powtórzymy tu artykuł umieszczony w *Gazecie Warszawskiéj* r. 1818; powtórne bowiem jego ogłoszenie, bez wątpienia najprościéj objaśni, zbije fałszywe wnioski, a przedewszystkiém zaspokoi ciekawość.

„Próbkę mniemanéj manny, która w takiéj ilości w czasie burzy z deszczem spadła około Małogoszczy, iż ją ubodzy wieśniacy przetakami zbierali i na pokarm używali, przysłano do Kommissyi Spraw Wewnętrznych. Z bliższego uważania przekonano się, że ta mniemana manna jest nasieniem jakiéjś rośliny dwulistnéj, bo zarodek takim się okazał. Trudno było z samego nasienia poznać, z jakiéj rośliny ono pochodzi, a domniemania mogły być różne. Najciekawsze do zaspokojenia było pytanie: czyli te nasiona z jakiéj w odległych krajach rosnącéj rośliny były przeniesione, czyli téż jaka w blizkości rosnąca roślina je wydaje? Późniéj na wyraźne zlecenie przysłano ministrowi Spraw Wewnętrznych większą ilość tych nasion i roślinę, na któréj się rozwijają; przekonano się zaraz z największą pewnością, że to jest *Przetacznik bluszczykowy* Kl. (Veronica hederifolia L.) Roślina ta kwitnie w marcu lub kwietniu, a zatém może już w czerwcu mieć nasiona dojrzałe, zwłaszcza, że jest rośliną roczną, na któréj się nasiona prędko rozwijają, co i na wielu innych gatunkach tego rodzaju widzimy. Po dojrzeniu owocu roślina ta, jako roczna, obumiera i nasiona swe w znacznéj ilości rozsiewa. Rośnie ona na polach uprawnych, na miejscach opuszczonych i przy drogach w znacznéj ilości, i ma największe nasiona zpomiędzy wszystkich gatunków tego rodzaju. Nasienie to większe nieco od prosa zwyczajnego, najłatwiéj poznać można po szczególnym dołku głębokim, znajdującym się na stronie jego wewnętrznéj, gdzie w owocu przymocowaném było; kolor jego jest brudno-żółtawy, a twardość dosyć znaczna. Roślina ta nic nie ma podobnego do rośliny *Kostrzewa trawa manniana* Kl. (Festuca fluitans), z któréj pospolitą, oddawna znaną mannę, wieśniacy przetakami przed wschodem słońca zbierają".

„Roślinę *Veronica hederifolia* wszyscy botanicy, którzy tylko o roślinach europejskich pisali, pod tém nazwiskiem w swych dziełach umieścili, gdyż ona wszędzie rośnie; żaden jednak nie wspomina, że jéj nasiona są jadalne; przypadkowe więc zjawisko w kraju naszym spostrzeżone, może dać powód do głębszego zastanawiania się nad jéj nasionami z rozmaitego względu."

Krótka ta wiadomość udziela się dla zaspokojenia słusznie wzbudzonéj ciekawości, która może niejednego badacza naprowadzi na drogę dalszego uważania własności téj rośliny. Gdyby istotnie jéj nasiona za pokarm pożywny i zdrowy zostały uznane, wtedyby jéj hodowanie tę jeszcze szczególną miało zaletę, że dojrzewa przed wielą innemi roślinami: po latach zatém nieurodzajoych, wcześniéjby nad inne brak pożywienia mogła zaspokoić.

Że w naszym kraju w czasie burzy częstokroć spadają tylko nasiona przetacznika bluszczykowego, szczególnie w okolicach krakowskich, to zapewne nie inna przyczyna, jak ta, że w porze roku, kiedy u nas panują burze i wichry, nasiona téj rośliny już są zupełnie dojrzałe, a zatém one jedynie mogą być z innemi ciałami ziemnemi unoszone wichrami w górne warstwy powietrza, i że okolice krakowskie są najbogatsze w przetacznik bluszczykowy.

Opis szczegółowy wspomnionego *przetacznika*, rośliny rocznéj, któréj korzenie są gałęziste, łodyga przeszło na pół ćwierci łokcia długa, z liściem ciemno-zielonym, mięsistym, owalnym i włochatym, z kwiatem białym lub blado-niebieskim w kształcie kielicha; a przedewszystkiém opis jego nasienia, które zupełnie jest podobne do ziarn spadłych w roku przeszłym w miesiącu czerwcu we wsi *Bodzechowice*, ciekawi znajdą w rozprawie: *„O składzie nasienia, początkowém rozrastaniu się zarodka i głównych różnicach składu wewnętrznego roślin"*, przez *Michała Szuberta*. *J. S.*

Stary ratuszny zegar w Ołomuńcu.

Wiadomość o zegarze ołomunieckim, która u nas tylko z tradycyi jest znana, sądzę, że jest wielkiéj wartości. Bawiąc w Galicyi w okolicach Wadowic, gdzie młodzieńcze przepędziłem chwile, słyszałem nieraz opowiadania o nim, ale przyćmione różnemi domysłami i w allegoryczne kształty przystrojone; aż szczęśliwa okoliczność pozwoliła mi przypatrzéć się bliżéj temu tak ważnemu zabytkowi starożytności.

Zpomiędzy księgozbiorów wiedeńskich, swą szczególnością i bogactwem odznacza się biblioteka cesarska. W niéjto przepędzając wolne chwile od zatrudnień moich, napadłem na opis owego zegaru, takowy w treści na miejscu przełożyłem na język polski, i szanownéj redakcyi do zamieszczenia go w kolumnach swojego pisma, mam sobie za przyjemność przesłać.

Jan Krystyn Pietraszek.

Wiedeń, dnia 9 stycznia 1853 r.

Ów pomnik starożytności, który dawniéj podróżnych i mieszkańców Ołomuńca, jako nadzwyczajne dzieło sztuki zachwycał, dzisiaj w ruinach spoczywa. To bez wątpienia wspaniałe, sztuczne i rzadkie dzieło, jak się wyraża Józef Władysław Fischer historyograf tego miasta (1808), jakiém żadne z miast państwa austryackiego, prócz Pragi, szczycić się nie może, zaczęte było r. 1419 przez niejakiego Antoniego Pohl rodem Saksończyka. Powód do założenia tego zegaru był następujący: wspomniony Saksończyk przez różne mechaniczne dzieła zyskał był sobie powszechną sławę znakomitego zegarmistrza. Magistrat pragski chcąc swój ratusz upiększyć, tegoż zegarmistrza do stolicy Czech powołać postanowił. Zgodził się na to Pohl, przybył

do Pragi, i w r. 1420 był już zégar zupełnie ukończony. Potém Pohl udał się do Ołomuńca w Morawii, aby to znakomite miasto równie pięknym zegarem ubogacić, któryby tak dla ozdoby jak i dla użytku powszechności mógł służyć. Zgodził się na to magistrat, który wraz z gminą żadnych nie szczędził nakładów, aby tylko dzieło do skutku jak najrychléj przywieść; zwłaszcza, że wieża ratuszna ołomuniecka niedawno ukończoną została. Pohl z pomocą jednego czeladnika ukończył ów zegar r. 1422, zkąd udał się do Wrocławia. Tradycya niesie, że majstrowi Pohl z zazdrości zapewne wyjęto oczy. Nieszczęśliwy (chcąc się na niewdzięcznych pomścić), prosił, aby go jeszcze raz do zegaru zaprowadzono, dla uskutecznienia w nim małéj poprawki. Stało się wedle jego życzenia, ale Pohl zamiast poprawić, zerwał drut, który był motorem całéj machiny, i dzieło zepsuł.

Zégar ten był w następujący urządzony sposób: składał się z szesnastu dzwonów, które za każdą godziną pewne wydawały harmonie; oprócz tego zdobiły ten zégar różne drewniane figury, które o pewnym czasie, różne wykonywały ruchy. Za tém wszystkiém od zewnątrz niewidzialne znachodziło się schowanie, w którém mocny, żelazny narząd kółkowy był zachowany, który wprawiał w ruch ów zegar, czeskim nazywany dlatego, że był o 24 godzinach. Lecz to uderzające dzieło, przez nieumiejętność i niedbalstwo dozorców, w późniejszych czasach takiemu uległo zepsuciu, iż zaledwie godzinny zegar i niektóre figury w dawniejszy sposób wykonywały ruchy. W takim stanie znachodził się lat kilkadziesiąt, aż się przecież znalazł zdolny mąż nazwiskiem Jan Pohl, potomek Antoniego Pohla, zegarmistrz z Oleśnicy na Szlązku, który ów zegar wraz z znakomitym Pawłem Fabrycyuszem Laubensis professorem sztuki lekarskiéj i matematyki w szkole głównéj wiedeńskéj r. 1572 z ruiny wyprowadził (1). Fabrycyusz urządził przy tym zegarze astrolabium; zégar 24godzinowy na 12-godzinny t. j. niemiecki zamieniono, wprowadzono wiele figur i grę dzwonową na organową zmieniono. Ponieważ zaś tak odnowione dzieło, oddano pod dozór zdolnych i pilnych ludzi; trwało przeto aż do r. 1644, w którym Szwedzi do Ołomuńca wtargnęli. Ośmioletni ich pobyt, wiele się przyłożył do zepsucia tego zegaru, który dopiéro 1661 r. na nowo był poprawiany. Dotrwał on w tym stanie aż do połowy XVIII stulecia, i wtedy dopiéro niektóre części i malatura uległy zniszczeniu. W r. 1746 była również jego restauracya. W roku tym tak ten zegar był urządzony: na wysokości wieży ratusznéj pod galeryą, widać z czterech stron zwyczajne tarcze zegarowe. Na piérwszéj stronie, w spodniéj części są wszystkie dni całego roku głoskami i liczbami oznaczone, które na stronie stojący anioł, skazówką dzień po dniu pokazuje. Na téj saméj tablicy znachodzi się ka-

(1). Szkoła główna wiedeńska założona była r. 1365, a zatém rokiem późniéj po założeniu akademii krakowskiéj we wsi Bawół, dziś w mieście Kazmierzu. Radymiński utrzymuje, iż już r. 1347 akademia krakowska istniała, ale na to nie daje dostatecznych i przekonywających dowodów; dlatego r. 1364 za rzeczywisty uważać winniśmy. (Michał Wiszniewski w Historyi Lit.).

lendarz aż do roku 1849, a zatém na 103 lat naprzód, z każdą niedzielną głoską roku, Epaktą, z złotą liczbą i t. d., z wyrażeniem na który dzień w każdym roku Wielkanoc przypada, przez co każdy wiedzieć może, w którym dniu początek postu, dzień popielcowy, Wniebowstąpienie Pańskie, Zielone Świątki, Boże Ciało, i niedziele między Zielonemi Świątkami i adwentem, a nakoniec sam adwent bywa. W drugim oddziale w górze jest Astrolabium 75 cali wielkości. Około téj tarczy jest 24 godzin, t. j. długość dnia i nocy, z dwiema różnemi skazówkami: piérwsza, która dzień wskazuje, zakończona słońcem, zaś skazówka dla nocy, księżyc na swoim końcu nosi. W tym drugim oddziale poniżéj, znachodzą się małe tabliczki; piérwsza wyobraża minuty i kwadranse, druga pokazuje 12 godzin. Trzecia tablica przedstawia pół zegaru, t. j. dwanaście godzin, przecież w niezwykłéj proporcyi, gdyż od 12 do 6 godziny tylko ¼ część, pozostałe zaś 6 godzin ¾ tablicy zajmują. Nie posuwa się tu skazówka od czasu do czasu, lecz stoi na każdéj liczbie jednę godzinę nieporuszona, a dopiéro z końcem godziny robi skok na następną godzinę z wszelką dokładnością. Czwarta tablica jestto koło spółśrodkowe, które planety i godziny z początkiem każdéj godziny odkrywa. Z tego oddziału i narządu zegarowego, kommunikuje osobna sztanga ze stosownym przyrządem do zegaru staro-czeskiego w izbie magistrackiéj, z jedną skazówką. W trzecim oddziale narządu zegarowego w środku jest 16 aniołów snycerskiéj roboty, z których każdy dzwonkiem i młotkiem jest uzbrojony. Ci grają, gdy zegarowi nada się ruch stosowny, cztery sztuki najprzyjemniejszéj harmonii. Z drugiéj strony poniżéj wychodzą trzéj królowie, powyżéj Marya z Jezusem i Józefem w ucieczce do Egiptu, przy odgłosie pewnéj harmonii i przechodzą na drugą stronę. Naprzeciwko jest statua św. Wacława króla czeskiego, a nad nim św. Jerzy na koniu ze smokiem. Św. Wacław skłania głowę za poruszeniem się pendułu na jednę i na drugą stronę; Św. Jerzy zaś ze smokiem kryje się i pokazuje. Nieco daléj, powyżéj, w trzecim oddziale, znajduje się czterech mnichów; piérwszy trzyma sznur w ręce i dzwoni, drugi trzyma w lewéj ręce na sznurku dwanaście korali, rękę zaś prawą trzyma przygotowaną do liczenia; trzeci mnich stoi przy dzwonie z młotkiem w ręce, jak długo godziny biją, uderza w dzwonek równocześnie, i liczy nietylko prawą ręką, ale i ustami godziny; czwarty trzyma trąbę, i gra na niéj dopóki zégar bije. Czwarty oddział przedstawia Maryą Teressę królową węgierską i czeską.

W ten sposób ów zegar w r. 1748 był urządzony. W r. 1758, t. j. w dziesięć lat późniéj oblężenie pruskie sprawiło to, iż zegar zupełnemu uległ zniszczeniu, i dodziśdnia w takim znachodzi się stanie.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Otrzymując bardzo częste zapytania od różnych osób o dalszy ciąg dzieła: „*Obraz Bibliograficzno - historyczny literatury i nauk w Polsce*, które nakładem drukarni pp. Zawadzkich od r. 1840 wydawałem w Wilnie: z jednéj strony, najżywszą wdzięczność moję oświadczam za udział i interes, jaki ta praca nie przestaje obudzać u światłéj publiczności; z drugiéj, widzę się w potrzebie zawiadomić, iż lubo od czasu, od którego wezwany do niéj od wydawców zostałem, tojest od r. 1837 jedyném usiłowaniem mojém było, uczynić ją, ile tylko mogłem, odpowiednią swemu celowi, i lubo i dziś ta sama jest dla niéj gotowość moja i chęci: nic o niéj jednak nadal pewnego, ani o zamiarach wydawców wiadomém mi nie jest. Do tego materyały wszelkie do téj pracy, już będące własnością wydawców, już moje własne, znajdując się w ręku tychże wydawców, dalszy ciąg téj publikacyi bynajmniéj nie odemnie, ale od ich chęci i woli zawisł; o tyle przynajmniéj, o ile się to godzić może z prawem niejakiém, które położoną już dla wielkiéj całkowitości dzieła, wieloletnią pracą mniemam żem nabył; o ile się to może godzić z tém stanowiskiem moralném, jakie w niém ostatecznie sam jeden zajmuję.

Co się tyczy téj cząstki dzieła, któréj wyjścia na widok prenumeratorowie jeszcze oczekują, to część bibliograficzna oddawna już prasę opuściła, a dopełnienie czyli wstęp do tomów 2 i 3, tojest do działu nauk teologicznych, którego dokonanie najściśléj do mnie należy, na świeże wezwanie p. Adama Zawadzkiego będzie piérwszém mojém staraniem wygotować, jak tylko się od innego rozpoczętego zatrudnienia uwolnię.

Adam Jocher.

Wilno, dnia 5 grudnia 1852 roku.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

122. Rozprawy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Tom czwarty i piąty. 8ka. Lwów. 1848. T. IVty, druk Piotra Pillera. Napisów i rej. kart 2 i str. 188. T. Vty druk zakładu narod. Ossolińskich. Napisów i rejestru kart 2 i str. 216. (W tomie IVtym do stron 48 dodano mappę dóbr).

1849.

99. Los sieroty, czyli powieść wystawiająca zgrozę nieludzkości, srogość zawiści i dotkliwość nędzy, skuteczność wiary i cnót; wzorowość miłosierdzia i szczodrobliwość Opatrzności. Przekład użytecznemi myślami w połowie pomnożony przez ks. A. Pokojskiego. Brodnica. 1849. Nakład i druk C. A. Kälfert. Str. 92.

100. Rozprawy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Tom szósty, siódmy. 8ka. Lwów. 1849. Druk zakładu narodowego Ossolińskich. T. VI, napisów i rejestru kart 2 i str. 208. (Do str. 59 dodana jest tabella druk., a do str. 86 i 154 po jednéj lit. ryc). T. VII kart 2 i str. 226. (Do str. 188 dodano 2 druk. wykazy).

101. Wiadomości z fizyki, chemii i mechaniki dla użytku gospodarzy wiejskich. Przez Augusta Kunzeka, Doktora Filozofii, byłego professora Fizyki stosowanéj na C. K. Uniwersytecie lwowskim, wysłużonego Dziekana i Rektora tegoż Uniwersytetu, członka C. K. galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Wolny przekład z niemieckiego, wydany nakładem Towarzystwa Gospodarskiego. 8ka. Lwów. 1849. Druk Zakładu narodowego Ossolińskich. Str. 90 i rejestru karta 1.

1850.

116. Początkownik polski dla dobrych i pilnych dzieci. Napisany podług zasad filozoficznych języka polskiego, i przez pisanie uczący nauki czytania, przez Aloizego Kalixta Kozłowskiego Jurowlanina, Autora Grammatyki polskiéj i Arytmetyki rozumowo-przykładowéj. (Kosztem autora). 8ka. Kijów. 1850. Druk Teofila Glücksberga. Kart 2 str. 59, i rejestru karta 1. Kop. 25.

117. Rozprawy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Tom ósmy. 8ka. Lwów. 1850. Druk zakładu narod. Ossolińskich. Kart 2 i str. 202. (Przy str. 116 znajduje się mappka).

118. Wohlmeinung der K. K. Galizischen Landwirthschafts - Gesellschaft über die vom Hohen Ministerio des Ackerbaues und Bergwesens Projektirte und in Galizien zu errichtende Forstschule. 8vo. Lemberg. 1850. Druck des Ossolinkisschen National Instituts. Str 19.

119. Zdanie Towarzystwa Gospodarskiego o zaprojektowanéj przez Ministerstwo rolnictwa szkole leśniczéj dla Galicyi. Ułożył Jacenty Ło-

barzewski, zastępca professora historyi naturalnéj na uniwersytecie lwowskim. 8ka. Lwów. 1850. Druk Zakładu narodowego Ossolińskich. Str. 15.

1851.

145. List pasterski arcybiskupa paryzkiego, z francuzkiego na język polski przełożony, za staraniem redakcyi dziennika Czasu. 18ka. Kraków. 1851. Str. 47.

146. Przykłady do tłumaczenia z łacińskiego na polskie i z polskiego na łacińskie, do Etymologii Łacińskiéj Grammatyki przez A. Poplińskiego ułożone. Część 2ga zawierająca nieregularne formy na quintę. Edycya 2ga. 8ka. Poznań. 1851. Karta 1 i str. 137. Kop. 45.

147. Rachunki gospodarskie podług najprostszych zasad, ułożył Kazimiérz hr. Krasicki. (Przedruk z t. 9go Rozpraw Towarzystwa gospodarskiego gal.). 8ka. Lwów. 1851. Druk Zakładu narodowego Ossolińskich. Str. 15. (Z 5 druk. tabellami).

148. Rozprawy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Tom dziewiąty, dziesiąty, jedenasty. 8ka. Lwów. 1851. Druk zakładu narod. Ossolińskich. T. IX kart 2 i str. 188 (Przy str. 94 znajduje się 5 ark. tabel gospodarskich, a przy str. 156 dwie kolor. ryciny owadów). T. X kart 2 i str. 174. T. XI kart 2, str. 250 i rejestru karta 1.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

P. Kazimiérz Kaszewski przełożył z greckiego wierszem tragedyą Sofoklesa, Antygona. Tłumaczenie to należy do wybornych.

— Ksiądz *Bogdan* znany tak z wymowy kaznodziejskiéj, jak i na polu literackiém, rozpoczął druk własnego układu *Gorzkich żalów* sąto też same myśli, uczucia chrześciańskie przy prostocie ludowéj, ale ujęte w kształtną formę poezyi.

— Księgarz Merzbach z ostatnim poszytem XII „Księgi świata", ukończył 2gą seryą tego użytecznego działa. Skończonym także został „Obraz świata", w powtórném wydaniu poprawném i pomnożoném.

— Pamiętniki Jerlicza z rękopismu ogłoszone przez K. Wł. Wojcickiego, wyszły nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu w 2ch tomach.

— Dzwonu Literackiego oddziału 2go tom 2gi wyszedł nakładem J. Jaworskiego. Z powodu nieprzewidzianych okoliczności, oddział ten nie we 4ch jak piérwszy, lecz w 2ch tomach się zamyka. Cały przeto zbiór kompletny tego pisma mieści się w 6ciu tomach, a w 2ch oddziałach niezależnych od siebie.

— Dzieło radcy tajnego *Tęgoborskiego* p. n.: Siły produkcyjne Rossyi, przełożył na język polski Wojciech Szymanowski.

— We Lwowie wyszedł przekład *Oberona* w XII pieśniach, z niemieckiego Wielanda, przez Wiktora z Baworowa. Wyszedł także: „Zbiór mów, rozprawek i rozbiorów filozoficznych, oraz odpowiedzi recenzen-

tom języka polskiego“ w Rzeszowie 1846 r. wydany przez J. N. Deszkiewicza.

— Tom 2gi „Badań filozoficznych o chrystyanizmie, w wybornym przekładzie Ignacego Badeniego, wyjdzie wkrótce zpod prasy drukarskiéj.

— Na teatrze w Hamburgu ma być wkrótce przedstawiona w tłumaczeniu komedya Józefa Korzeniowskiego „Wąsy i peruka“. Typy w niéj prawdziwie polskich postaci, a ztąd i znakomita wartość całego utworu, muszą na obcéj scenie i w przekładzie wiele stracić.

— Znany tak zaszczytnie nasz historyk Mikołaj Malinowski pracuje nad obszerną historyą Jagiellonów w Węgrzech, którą już do połowy doprowadził. Obiecuje p. Malinowski skończyć tłumaczenie i wydanie 4go tomu Kroniki Wapowskiego, na który od lat tylu napróżno wyglądamy.

— Tom IVty Żywotów Arcybiskupów gnieźnieńskich, przekład ks. Szyszki, do którego dodał przypisy p. Malinowski, ma wkrótce wyjść zpod prasy.

— Michał Baliński przygotowywa ciekawe dzieło: Korrespondencya Jana Śniadeckiego z T. Czackim.

— Nakładem S. Orgelbranda wyjdzie ważne pod względem badań czasów Piastowskich dziełko Alexandra Przezdzieckiego p. n: „Ślady Bolesławów polskich za granicą“.

—W Paryżu w litografii Lemercier'a wyszedł piérwszy poszyt: Teki Michała Kuleszy; zbiór widoków krajowych rysowanych z natury. Zawiéra 6ść widoków: 1) Ruiny zamku w Łucku. 2) Kołoża w Grodnie. 3) Kamieniec Podolski. 4) Druskieniki. 5) Pieskowa-skała. 6) Mereczowszczyzna.

— Nakładem H. Natansona wyszedł „Wyboru przekładów z wzorowych pisarzów zagranicznych“ tom Vty: Córki prezesa, powieść Fryderyki Bremer. W dalszym ciągu zapowiedział wydawca wyjście następnych przekładów: *Bulwera*: Familia Caxton; *Dickens'a*: Dawid Copperfield; *Maryata*: Jafet czyli syn szukający swego ojca; *Disraeli*, Contarini Fleming; *Tieck'a*, Vittoria Accorombona.

—J. I. Kraszewski wykończa powieść w 2ch tomach p. n. „Chata za wsią“, któréj druk rozpoczniemy w naszém piśmie w jednym z następnych zeszytów.

— Leon Kunicki, znany pisarz obrazków i zarysów krajowych, ukończył powieść większych rozmiarów p. n. „Poczciwa szlachta“.

—W Wilnie ma się drukować powieść Jana K. Gregorowicza: „Dziewice nauczycielki,“ a w jednem z naszych pism obrazek wiejski p. n. „Proszaki“.

— Seweryn Gołębiowski opracowywa obecnie życiorys sławnego Stefana Chmieleckiego pogromcy Tatarów, którego pamięć pieśń nam cudnie piękna przechowała. Praca ta na tém większą zasługuję uwagę, że badacz wiele czerpał z nieznanych dotąd rękopisów.

—Posąg Kopernika dla miasta Torunia już na wykończeniu. N. król pruski uzupełnił znaczną ofiarą fundusz na ten cel zebrany.

—Pamiętny kościół na wzgórzu *Kahlenberg* pod Wiedniem, zwaném inaczéj górą św. Józefa, leżał oddawna w ruinie. Obywatel wiedeński

p. *Finsterle* odbudował go w 1852 r. i otrzymał od Ojca św. złoty medal: „bene merenti" w upominku, wraz z pismem nuncyusza papiezkiego w Wiedniu *Viale Prela*, i od tego ostatniego kosztowny kielich, z napisem łacińskim wokoło rzniętym, téj treści: „Na pamiątkę szczęśliwego zwycięztwa dnia 12 września 1683 r. w którym Jan Sobieski król polski w kościele Kamedułów na Kahlenbergu, zburzonym przez dziką wściekłość Turków, wystawił ołtarz, u stóp którego przy mszy św. przyjmował N. Sakrament, a potém na czele walecznych zastępów swoich, rozegnał nieprzyjaciela i zniszczył go, i przez to nietylko Wiedeń wyswobodził, ale i całéj strwożonéj Europie opiekę i bezpieczeństwo dał: Michał Viale Prela, papiezki nuncyusz przy dworze cesarza Franciszka Józefa, ofiarował ten kielich do świątyni Pańskiéj prześladowaniem czasu zniszczonéj, a przez obywatela wiedeńskiego Jana Finsterle najozdobniéj odnowionéj, i oddał go w dniu 8 grudnia 1852 r. jako w święto Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi."

— Ostatniém dziełem zmarłego Fr. Czelakowskiego był zbiór przysłów, które nakładem Czeskiego Muzeum wydane zostały p. n. „Mudroslovi narodu slovańskieho ve prislovich". V Praze 1852 r. Jakkolwiek już rok blizko jak dzieło powyższe wyszło zpod prasy drukarskiéj, jednak dotąd w Warszawie ani jednego nie ma egzemplarza. Po umyślném zapisaniu takowego, wkrótce zdać sprawy nie omieszkamy naszym czytelnikom.

—Zwracamy uwagę na wydanie wielu dzieł czeskich, które zasługują, abyśmy się z niemi zapoznali: wypiszemy tu ich tytuły: Hlasové o potřebě jednoty spisovneho jazyka pro Čechy, Morawany, a Slováky. Dejiny narodu Ceskeho o Cechach a o Moravě dle původnich pramenů vypravuje Fr. Palacky. Praga 1848—1851. Josefa Jungmanna historie literatury Česke. Wydanie drugie 1849 r. 8ka. Deje university Pražské. Wartałoby, aby pp. księgarze nasi utrzymywali Czasopism czeskiego muzeum, bo w néim znaleźliby wierny spis wszystkich dzieł, jakie w Czechii wychodzą, i jakie najżywiéj obchodzić nas mogą.

—W Berlinie na tamecznym teatrze Wilhelmstadt dnia 22 z. m. grana była z wielkiém powodzeniem komedya J. Korzeniowskiego: „Okno na piérwszém piętrze", w wybornym przekładzie p. *Winther*.

—W Schemnitz (w Sztawnicy) w Węgrzech wyszła: „Kwetna Slovenska". (Flora) czyli opis jawno-płciowych roślin ziemi słowackiéj podług systematu *Decandolla*, z dodaniem terminologii botanicznéj, ułożonéj przez Gustawa Reussa.—W Wiedniu w drukarni księży ormiańskich (Mechitarystów) wyszedł narodowy serbski kalendarz na r. 1853 p. n. „Vojvodianin": wydany przez *Rašica*. Szkolna kommissya księztwa serbskiego wezwała Jovana Milenkowicza urzędnika komory w Belgradzie, do skreślenia nowéj mappy Serbii, ostatnia bowiem wydana przez *Bugarskiego* w 1845 r. okazała się niedokładną. Nowa mappa już się odbija.—W Pradze, Tomiczka czeskiéj grammatyki wyszło już trzecie, *Tomka* piąte wydanie; Vlasak swoję Grammatykę wydał w drugiéj edycyi.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Grudzień, 1852.

Grudzień 1852. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obs[erwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.]

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom mor[za] jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ᵍ· 14ᵐ· 45ˢ·, 7 czyli w łuku 18°41′25,″5 na wsch[ód] względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé szczu	śnie-gu
1		752.43	753.57	753.42	753.08	+ 4°.4	+ 6°.5	+ 8°.0	+ 6°.3	94.5	pochmurny	poch. mgła.	pochmurny	pochmurny	Z.	—	Pd.	Pd.	1.0	
2		750.60	750.69	747.47	745.91	+ 4.0	+ 3.8	+ 8.0	+ 7.4	96.5	pochmurny	pogodny	pochmurny	pochmurny	—	Pd.	Pd.	PdZ.		
3		748.12	749.90	750.07	750.36	+ 3.0	+ 3.5	+ 4.0	+ 3.3	94.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	4.8	
4		750.57	751.42	751.54	751.38	+ 2.9	+ 3.5	+ 3.6	+ 3.3	91.0	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.6	
5		747.51	746.91	745.49	744.54	+ 2.1	+ 5.4	+ 8.2	+ 8.4	99.7	poch. dész.	poch. mgła.	poch. d. m.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	11.0	
6		743.88	745.34	744.24	739.28	+ 8.7	+ 8.1	+ 7.4	+ 7.2	96.0	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	poch. dész.	Z.	Z.	Z.	Z.	2.0	
7		741.78	746.67	747.61	748.06	+ 7.1	+ 4.2	+ 4.4	+ 4.2	93.7	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	Z.	PnZ.	Pd.	Z.	5.0	
8		749.70	750.96	748.95	744.44	+ 2.0	+ 2.2	+ 2.0	+ 1.2	94.3	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	Pd.	PdW.	PdW.		
9		740.54	739.56	739.89	740.40	+ 3.5	+ 4.2	+ 5.9	+ 5.2	92.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdZ.	Z.	Z.	3.0	
10		741.33	743.82	747.53	751.64	+ 4.2	+ 4.7	+ 5.2	+ 2.7	96.0	poch. dész.	pochmurny	poch dész.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	4.8	
11		755.34	757.28	757.93	758.60	+ 0.2	+ 1.4	+ 1.0	— 0.7	98.8	pogodny	lek. pochm.	pogodny	pogodny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.		
12		758.16	758.62	756.86	755.96	— 1.9	— 0.2	+ 1.3	— 1.3	97.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	Pd.	PdW.		
13		754.71	754.92	752.99	752.35	— 3.1	+ 0.1	+ 1.0	— 2.9	91.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.		
14		750.93	751.07	749.47	749.13	— 2.9	— 2.4	— 0.7	— 3.1	—	poch. mgła	lek. zam. mg.	pr. pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		
15		747.35	746.34	744.44	742.71	— 3.8	— 1.9	— 0.4	— 1.4	—	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
16		741.77	741.79	742.05	743.48	— 3.4	— 0.5	+ 1.7	+ 2.1	99.0	pogodny	lek. zamato.	lek. pochm.	pochmurny	Pd.	PdW.	Pd.	Z.		
17		746.46	745.68	742.47	741.98	+ 1.9	+ 2.7	+ 4.4	+ 4.1	90.3	pochmurny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
18		740.79	741.53	742.29	745.80	+ 4.0	+ 4.8	+ 4.6	+ 2.7	91.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PnZ.		
19		757.90	760.38	760.91	761.49	— 1.3	— 1.1	— 0.1	— 0.2	96.2	pogodny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
20		758.61	756.79	753.14	748.50	— 0.7	— 0.4	+ 1.4	+ 0.8	93.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
21		740.25	738.30	739.82	737.57	+ 4.9	+ 6.6	+ 5.0	+ 4.0	79.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
22		737.54	737.68	738.19	741.21	+ 0.5	+ 0.8	+ 0.7	— 1.7	83.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	PnZ.	Z.		
23		743.88	745.76	747.69	750.43	— 5.7	— 5.0	— 3.6	— 5.9	—	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	Z.	PnZ.	Z.		2.0
24		753.27	755.88	757.51	758.36	— 4.8	— 3.3	— 3.8	— 6.7	96.0	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
25		755.04	753.83	751.30	750.40	— 6.7	— 2.1	+ 1.7	+ 3.5	90.2	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ	PdZ.	Z.		
26		749.40	749.06	748.84	749.49	+ 4.0	+ 4.8	+ 6.0	+ 5.4	85.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	PdZ.	0.8	
27		751.70	751.75	749.52	747.66	+ 2.9	+ 3.3	+ 4.5	+ 3.1	91.0	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Pd.		
28		746.67	747.16	747.20	747.19	+ 3.0	+ 4.6	+ 4.1	— 0.9	84.2	lek. pochm.	lek. pochm.	napół pog.	pogodny	Pd.	Pdſ.	Pd.	Pd.		
29		745.01	746.45	750.61	754.85	+ 1.9	+ 3.5	+ 4.4	+ 1.0	97.3	lek. pochm	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	2.4	
30		757.81	759.53	759.56	757.75	— 0.5	+ 0.5	+ 0.5	— 0.7	98.7	pogodny	pogodny	mgła gruba	pogodny	Z.	Pd.	Pd.	Pd.		
31		755.60	756.63	758.31	760.28	+ 0.2	+ 1.8	+ 1.8	+ 2.4	94.5	pogodny	pochmurny	poch. mgła.	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
Śre.		748.866	749,531	749.268	749.170	+0°.99	+ 2°.07	+2° 97	+ 1°.70	93.1									37.4	2.0

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.209	27	8.122
Najwyżéj dochodził — d. 19 o g. 10 w.	761.49	28	1.531
Najniżéj — — d. 22 o g. 6 r.	737.54	27	2.949
Średnia zmiana dzienna barometru	5.159		2.287
Największa zmiana dzienna barometru d. 18—19 o g. 10 r.	18.85		8.356
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	2.660		1.179
	751.869	27	9.301
Średnia temperatura grudnia wynosi:	+ 1°.93 C.	+ 1°.54	R.
i ta jest wyższa o	4.32 „	3.45	„
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	— 2.39 „	— 1.91	„
Największe ciepło dochodziło d. 6 o godz. 6 rano.	+ 8.7 „	+ 6.96	„
Największe zimno d. 24 o g. 10 w. i d. 25 og. 6 r.	— 6.7 „	— 5.36	„
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.455 „	1.964	„
Największa zmiana dzienna temperatury d. 25—26 o g. 6 r.	10.7 „	8.56	„

Termometrograf wskazał:
Maximum: +7°.6 R. d. 6 rano.
Minimum: —7°.2 „ d. 25 rano.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości: 37,4 milim. czyli 16,58 lin. par.; z śniegu 2.0 mil. czyli 0.89 lin. par., razem z deszczu i śniegu 39.4 mil. czyli 17.47 lin. par.: ilość ta wody jest większa o 1,20 lin. par. od normalnéj.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 93,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 5,64 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0,01 od normalnéj.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 2, pochmurnych 23.
— dészczu 14 (d. 1, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 18, 21, 26, 29, 31).
— śniegu 5 (d. 8, 19, 20, 22, 23).
— mgły 5 (d. 1, 5, 14, 30, 31).
— gradu (krup) 2 (d. 4, 19).
Wichrów 5 (4 Z., 1 PnZ.).
Wiatrów mocnych 9 (5 Z., 3 PnZ., 1 PdZ.).
Wiatr panujący: Zachodni, częste także były Południowe.

Grudzień był pogodny, blizko o 3,5 stop. R. cieplejszy niż zwykle, więcéj do jesiennego niż zimowego miesiąca podobny. Pierwsze jedenaście dni były ciepłe, następne czternaście zimne, ostatnie sześć ciepłe. Deszcze padały często i obficie; śniegu spadło bardzo mało. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 5, 6; najzimniejsze d. 14, 23, 26. Zmiany barometru osobliwie przy wichrach były częste i znaczne. W nocy z d. 18 na 19 przy silnym wichrze Północno-Zachodnim barometr znacznie się podniósł i w przeciągu 8 godzin wzniósł się na 5,36 lin. par. co się rzadko u nas zdarza. Przez dwa dni 21 i 22 wiał silny wicher Zachodni i Północno-Zachodni. Dnia 5 przez całą noc dészcz padał. Dni najwilgotniejsze były: d. 5, 6, 11, 16, 29, 30. Najmniéj wilgotne d. 21, 22, 26, 28. Elektryczność atmosferyczna w dniach 7, 11, 12, 15, 24, 25 była bardzo silna; przeciwnie w dniach 9, 10, 13, 19, 23, 26, 28 słaba. Wiatry panujące Zachodnie i Południowe były przyczyną łagodnego stanu powietrza w tym miesiącu. Wiatrów Północnych i Wschodnich wcale nie było.

Dnia 11, 12, 13, 15, 28, 30 pokazywały się plamy na słońcu.

Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatoryum Warszawskiém w roku 1852 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,05 metrów nad poziom morza, jego szerokość geograficzna 52°13′5,″ długość w czasie 1ʰ 14ᵐ 45,ˢ 7, czyli w łuku 18° 41′ 25,″5 na wschód względem południka paryzkiego.

ROK 1852	WYSOKOŚĆ BAROMETRU w milimetrach sprowadzona do 0°							TEMPERATURA podług termometru stustopniowego							PSYCHROMETR. Wilgotność średnia biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza							STAN NIEBA								Ilość wody spadłej w milimetr.		KIERUNEK WIATRU							Elektryczność atmosferyczna średnia
	średnia					Najwyższa	Najniższa	średnia					Najwyższa	Najniższa	średnia							Dni pogod.	Dni pół pogo.	Dni pochmur.	Dni deszczu	Dni śniegu	Gradów	Mgły	Grzmotów	Błyskawic bez grzmotów	Wichrów	deszczu	śniegu	Północny	Północno-wschodni	Wschodni	Południowo-wschodni	Południowy	Południowo-zachodni	Zachodni	Północno-zachodni	Stopień natężenia
Miesiące	6 go rano	10 go. rano	4 go. wiecz	10 go. wiecz	miesięczna			6 go. rano	10 go. rano	4 go. wiecz	10 go. wiecz	miesięczna			6 go. rano	10 go. rano	4 go. wiecz	10 go. wiecz	miesięczna																				
Styczeń	750.382	751.162	750.833	750.975	750.838	761.30 d. 29	739.26 d. 9	— 1°.12	— 0°.10	+ 0°.63	— 0°.62	— 0°.30	+ 7°.2 d. 13	— 11°.9 d. 30	95.0	92.0	90.6	94.1	92.9	3	7	21	12	9	2	5	—	—	1	33.3	10.3	10	4	2	23	24	27	20	5	—
Luty	748.478	748.649	747.883	748.272	748.310	769.57 d. 24	720.31 d. 18	— 3.51	— 1.83	— 0.60	— 2.70	— 2.16	+ 6.9 d. 10	— 12.7 d. 27	97.6	92.0	91.5	95.4	94.1	5	3	21	6	13	2	3	—	—	4	17.7	19.2	6	13	11	16	19	23	24	4	—
Marzec	752.395	752.729	752.430	752.678	752.533	773.83 d. 6	732.81 d. 24	— 3.87	— 0.60	+ 1.83	— 1.88	— 1.13	+ 17.1 d. 31	— 11.5 d. 6, 14	96.0	86.8	83.6	92.4	89.5	5	13	13	3	11	2	—	—	11	2.2	9.2	32	11	1	7	11	12	32	18	—
Kwiecień	752.039	752.347	751.517	751.810	751.928	760.86 d. 5	735.55 d. 30	+ 0.20	+ 3.96	+ 6.70	+ 2.54	+ 3.37	+ 18.4 d. 1	— 7.1 d. 16	88.9	67.1	58.9	79.4	73.6	9	8	13	5	8	1	—	—	9	—	13.7	40	28	5	9	7	4	8	19	—
Maj	748.810	749.165	748.686	748.916	748.894	756.61 d. 17	735.11 d. 1	+ 10.26	+ 14.85	+ 16.95	+ 11.81	+ 13.17	+ 27.5 d. 26	+ 0.2 d. 3	79.4	58.2	49.5	72.1	64.8	11	4	16	15	—	—	1	1	—	66.7	—	22	18	9	9	12	13	21	20	—
Czerwiec	747.567	747.829	747.076	747.391	747.416	751.96 d. 2	737.06 d. 10	+ 15.78	+ 20.13	+ 22.64	+ 16.46	+ 18.83	+ 31.6 d. 24	+ 9.0 d. 12	78.2	57.2	49.2	76.1	65.2	6	11	13	13	—	—	6	3	2	81.4	—	17	6	2	19	13	13	30	18	—
Lipiec	750.102	750.182	749.332	749.825	749.861	757.86 d. 3	742.99 d. 23	+ 15.51	+ 20.87	+ 23.57	+ 17.30	+ 19.32	+ 30.1 d. 11	+ 8.2 d. 3	79.6	56.2	46.1	71.0	63.2	10	13	8	10	—	—	6	5	7	41.9	—	32	38	6	—	6	4	14	22	—
Sierpień	748.975	749.178	748.431	748.889	748.867	761.83 d. 29	735.24 d. 13	+ 14.51	+ 20.01	+ 22.85	+ 16.62	+ 18.50	+ 30.4 d. 9	+ 6.6 d. 26	87.8	63.9	51.8	80.7	71.1	9	8	14	13	—	—	1	5	5	8	37.9	—	11	26	6	17	19	5	20	11	10°.4
Wrzesień	750.726	751.186	750.429	750.779	750.782	763.31 d. 25	738.71 d. 12	+ 10.28	+ 15.61	+ 17.75	+ 12.01	+ 13.91	+ 28.3 d. 1	+ 3.4 d. 19	88.5	65.7	56.5	82.6	73.3	11	7	12	11	—	2	2	3	3	14	32.4	—	1	6	11	30	14	17	37	4	16.2
Październik	749.537	750.132	749.250	749.616	749.661	761.69 d. 15	733.82 d. 5	+ 4.16	+ 7.59	+ 9.22	+ 6.05	+ 6.83	+ 22.5 d. 2	— 3.5 d. 17	90.6	74.9	67.2	85.2	79.5	1	8	22	12	1	—	9	—	—	18	42.6	8.6	3	5	4	19	15	13	15	9	21.6
Listopad	747.446	747.866	747.610	748.178	747.782	762.57 d. 7	733.20 d. 23	+ 1.99	+ 3.46	+ 4.01	+ 2.70	+ 3.04	+ 9.4 d. 9	— 9.7 d. 13	97.3	92.6	91.1	95.5	93.1	2	4	24	13	3	—	11	—	—	18	37.4	2.0	—	1	—	8	35	23	47	8	19.5
Grudzień	748.866	749.331	749.268	749.170	749.209	761.39 d. 19	737.54 d. 22	+ 0.99	+ 2.07	+ 2.97	+ 1.70	+ 1.93	+ 7.6 d. 6	— 7.2 d. 25	94.1	92.0	91.0	95.1	93.1	6	2	23	14	5	2	5	—	—	14										
Średnia roczna	749.612	749.980	749.395	749.708	749.674	773.83 d. 6 Marca	720.31 d. 18 Lutego	+ 5°.46	+ 8°.87	+ 10°.71	+ 6°.83	+ 7°.07	+ 31°.6 d. 24 Czerwca	— 12°.7 d. 27 Lutego	89.4	74.9	68.9	85.0	79.5	78	88	200	127	50	11	37	21	17	103	408.2	66.6	183	168	70	169	187	182	315	147	

	milim.	c.	l.
Średnia wysokość roczna barometru	749.674	27	8.328
Najwyżej barometr dochodził d. 6 Marca	773.83	28	7.036
Najniżej d. 18 Lutego	720.31	26	7.310
Zmiana roczna barometru	53.52	1	11.716
Średnia zmiana miesięczna	1.974		0.875
Średnia zmiana dzienna	3.791		1.681
Największa zmiana dzienna przypadła d. 23—24 Marca o g. 4 wieczór	19.35		8.582
W ciągu lat 26 poprzednich barometr nie stał tak nizko jak d. 18 Lutego, a tak wysoko jak d. 6 Marca.			
Średnia wysokość bar. jest miejsza o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	0.231		0.102
	749.905	27	8.430
Średnia wysokość barometru w miesiącach: Styczniu, Marcu, Kwietniu, Lipcu była większa; przeciwnie w Lutym, Maju, Czerwcu, Sierpniu, Wrześniu, Październiku, Listopadzie i Grudniu miejsza niż w stanie normalnym.			
Średnia temper. roczna wynosi:	+ 7°.97	C=	+ 6°.38 R.
i ta jest wyższą o	0.62	„	0.50 „
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	+ 7.35	„	+ 5.88 „
Największe ciepło dochodziło d. 24 Czerwca po południu	+ 31.6	„	+ 25.3 „
Największe zimno d. 27 Lutego rano	— 12.7	„	— 10.2 „
Zmiana roczna temperatury	44.3	„	35.5 „

Średnia zmiana miesięczna tem. 3°.629 C. 2°.903 R.
Średnia zmiana dzienna temper. 2.414 „ 1.931 „
Największa zmiana dzienna tem.
d. 1—2 Kwietnia o g. 4 w. 12.6 „ 10.08 „
i d. 9—10 Czerwca o g. 4 w.

Uważając miesiące: Grudzień (1851 r.), Styczeń, Luty r. b. za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień, Maj, za wiosenne; Czerwiec, Lipiec, Sierpień, za letnie; Wrzesień, Październik, Listopad, za jesienne; wypada:

Temperatura zimy	— 0°.98 C. i ta jest wyższą o	4°.73 C.
wiosny	+ 5.24 „	niższą o 2.03 „
lata	+ 18.88 „	wyższą o 0.78 „
jesieni	+ 7.93 „	wyższą o 0.13 „

od temperatury tychże pór w stanie normalnym.

Miesiące cieplejsze od stanu normalnego, były: Styczeń, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Listopad, Grudzień; przeciwnie miesiące: Marzec, Kwiecień, Maj, Październik, zimniejsze niż w stanie normalnym.

Miesiąc Styczeń miał średnią temperaturę tak wysoką jak w żadnym z 26 lat poprzednich.

W ogóle rok ten należy do lat ciepłych, pomimo iż wiosna była znacznie zimniejszą jak zwykle, lecz natomiast zima i lato były znacznie cieplejsze.

Wilgotność średnia roczna jest 79.5, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 6.89 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 0.02 mniejsza od normalnéj. c. l.

Ilość wody z deszczu wynosi 408.2 mil. czyli 15 1.0
z śniegu 66.6 2 5.5
razem z deszczu i śniegu 474.8 17 6.5

tojest o 137.6 mil. czyli 5 cali 1.0 lin. par. mniéj od ilości wody (612.4 mil. czyli 22 c. 7.5 l.) jaka zwykle w roku u nas spada.

W miesiącach: Styczniu, Lutym, Maju, Czerwcu, Listopadzie, Grudniu wody spadło więcéj niż w stanie normalnym; przeciwnie w miesiącach: Marcu, Kwietniu, Lipcu, Sierpniu, Wrześniu, Październiku, mniéj. Najmniéj wody spadło w Marcu i Wrześniu, gdyż tylko trzecia część téj ilości jaka średnio w tych miesiącach spada. W miesiącu Kwietniu ilość wody z śniegu przewyższa 02.8 lin. par. ilość wody z deszczu, a razem woda z deszcz i śniegu jest tylko połową całéj ilości, jaka średnio w Kwitniu spada.

W całym roku było lat pogodnych 78; napół pogodnych 88, pochmurnych 200; dni deszczu 127; śniegu 50; gradów 11, mgły 37, grzmotów21, błyskawic bez grzmotów 17, wichrów i wiatrów mocnych 103. Wiatr panujący był zachodni.

Jeżeli rok uważać będziemy jako całość podzieloną na 100 równych części i w tyle częściach wyrazimy dni pogodne, napół pogodne i pochmurne, wypadnie w średniém przecięciu z 26 lat poprzedzających (1826—1852) stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jak 16.0 : 34.1 : 49.9. W roku 1852 stósunek tych dni jest 21.3 : 24.0 : 54.7; co pokazuje że rok ten od względem pogody zbliżał się do stanu normalnego. Miesiące najpogodniejsze były: Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień; niepogodne Styczeń, Luty, Październik.

Postrzeżenia nad elektryczności atmosferyczną zaczęto robić od Sierpnia. Natężenie siły elektrycznéj w Sierpniu było bardzo słabe, dopiéro od 24 t. m. powiększać się zaczęło. W miesiącu Wrześniu d. 1, 2, 3, 9, 10, 19, 20. 21; w październiku d. 1. 3, 7, 12, 13, 14, 15, 16, 28, 29; w listopadzie d. 4, 5, 11, 13, 17, 18, 21; w grudniu d. 7, 11, 12, 15, 24, 25, natężenie było znaczne, w innych zaś dniach słabe.

Zima była niepogodna, wilgotna, słotna, więcéj w dészcz aniżeli śnieg obfita, nadzwyczaj ciepła, szczególniéj środek téj pory był tak ciepłym, jak w żadnym z 26 lat poprzednich; koniec téj pory był chłodny; w ogóle o 4.73 stop. C. cieplejsza niż zwykle. Największy mróz dochodził 12.7 stop. C. d. 27 Lutego.

Wiosna z początku pogodna, zimna. w dészcz i śnieg nie obfita; środek jéj był pogodny, suchy, bardzo zimny, w śnieg obfity; koniec ciepły; w ogóle o 2 03 stop. C. zimniejsza niż zwykle. W skutek mrozów roślinność znacznie opóźnioną została.

Lato pogodne, suche, gorące, w ogóle o 0.78 stop. C. cieplejsze niż zwykle. Pomimo że w miesiącu Lipcu i piérwszéj połowie Sierpnia powietrze było suche a nawet parne, grzmotów i błyskawic nie było; dopiéro w drugiéj połowie Sierpnia grzmoty dały się słyszéć. W d. 8 Lipca w Warszawie zjawiła się epidemia cholery i trwała przez trzy miesiące.

Jesień z początku pogodna, sucha, dość ciepła; środek jéj był niepogodny, chłodny, mglisty; koniec niepogodny, mglisty, lecz ciepły; w ogóle o 0.13 stop. C. cieplejsza niż zwykle. Wichry i wiatry mocne często w téj porze panowały i szczególniéj ją odznaczały.

Z wiosny ostatni śnieg pruszył d 24 Kwietnia, a ostatni mróz był d. 22 Kwietnia. Dnia 3 Maja termometr wskazywał tylko ciepła +0.2 stop. R.

Piérwszy mróz w jesieni —1.4 stop. R. wynoszący był d. 14 Października.

Piérwszy zaś śnieg, w jesieni pruszył w nocy z d. 18—19 Października i śniegu spadło na 2 cale wysoko.

Dnia 7 Stycznia o g. 5 min. 45 rano całkowite zaćmienie Księżyca widzialne w Warszawie.

Dnia 3 Lutego widziano świetną kulę ognistą.

Plamy na słońcu pokazywały się d. 30 Stycznia; d. 6, 26, 27 Kwietnia; d. 18, 27 Maja; d. 1, 22. 27, 30 Czerwca; d. 3, 19 Lipca; d. 29, 30, 31 Sierpnia; d. 17, 19 Października; d. 1, 9 Listopada; d. 11, 12, 13, 15. 28, 30 Grudnia.

Koła białe otaczały księżyc d. 29 Stycznia i d. 27 Maja.

Zorza północna pokazała się d. 20 Lutego w mieście Prenach guberni augustowskiéj i w Krakowie, a d. 25 Marca i 14 Listopada w Warszawie.

Zorza zodyakalna świeciła d. 12, 13, 14, 15 Lutego.

W tym roku Wisła pod Warszawą nie stanęła.

WEZWANIE NA TRON KRÓLA HENRYKA.

Opowiadanie ułożone z dyaryusza utrzymywanego przez dworzanina Andrzeja Górki kasztelana międzyrzeckiego (1).

PRZEZ

Seweryna Gołębiowskiego.

Od stanów Korony Polskiéj i Wielkiego Księztwa Litewskiego wyprawieni zostali do Francyi posłowie: Adam Konarski biskup poznański, Albert Łaski wojewoda sieradzki, Jan Tęczyński kasztelan wojnicki, Jan Tomicki kasztelan gnieźnieński, Andrzéj hrabia z Górki kasztelan międzyrzecki. Jan Herburt z Fulsztyna kasztelan sanocki, Mikołaj Krzysztof Radziwiłł marszałek nadworny litewski, Jan Zamojski Szary (Schari) starosta bełzki, Mikołaj Firlej z Dąbrowicy starosta kaźmirski, Jan Zborowski starosta odolanowski, Alexander Proński wojewodzic kijowski i Mikołaj Tomicki.

Posłowie niepewni byli bezpiecznego przejazdu przez kraje należące do rzeszy niemieckiéj, mając na uwadze, że cesarz odmówił Stanisławowi Słupeckiemu kasztelanowi lubelskiemu, posłowi od korony polskiéj, żądanego dla nich paszportu. Postanowili tedy różnemi drogami jechać, i jak kto może przedzierać się do Francyi; do króla list wyprawili prosząc, żeby wprost do Polski jechał, gdyby ich nie było do 3 sierpnia 1573 r.

(1) Księga in folio w czarną skórę oprawna, z wytłoczonym napisem: ***Fragmenta mortis Augusti et Expeditio Polonorum pro Henrico. Andreeja Lissieckiego anno Dni 1612.*** Dyaryusz, którego karta tytułowa wydarta, znajduje się w tym rękopisie od karty 77 do 295.

Większa część posłów razem odbyła tę podróż z Adamem Konarskim biskupem poznańskim na czele; raz tylko zatrzymani w Lipsku z rozkazu kurfirszta saskiego, uzyskali pozwolenie przejazdu przez jego ziemię, i bez dalszych przeszkód d. 4 sierpnia dostali się do granicy francuzkiéj. Jan Tęczyński kasztelan wojnicki zatrzymany w Nissie na Szlązku z rozkazu cesarza, powrócił do Krakowa. Albert Łaski i Radziwiłł swoim dworem jadąc, naprzód przybyli do Mecu, a chociaż mieli pewną wiadomość, że drudzy za nimi spieszą, puścili się do Paryża i wyrobili sobie prywatne posłuchanie u Henryka, który oczekiwał na posłów odciągnąwszy od Roszelli.

Kiedy posłowie byli w Moguncyi, do Jana Tomickiego i do Andrzeja Górki przyszło trzech szlachciców francuzkich wygnanych z powodu wiary, i prosili ich z serdecznym żalem, a ledwie nie z krwawemi łzami, żeby wstawili się za nimi do króla francuzkiego, żeby mogli chwalić miłego Boga w kościołach swéj ziemi.

Na spotkanie posłów wyjechał do Mecu poseł francuzki hrabia de Brienne, a w kilka dni potém drugi poseł biskup lingoneński, który razem z hrabią de Brienne towarzyszył im w drodze do Paryża.

W Mean zjechali się z Albertem Łaskim i Mikołajem Radziwiłłem, którzy przez ten czas bawili przy królu w Paryżu. Radziwiłł domagał się, żeby mu naznaczono miejsce wyższe nad to, które zajmował w senacie, żeby nie stał jak niema cyfra między posłami, będąc przedstawicielem Rzplitéj litewskiéj. A gdyby nie miał wyznaczonego sobie miejsca podług dostojeństwa Wielkiego Księztwa Litewskiego, tedy miał w poruczeniu od panów litewskich, żeby osobno imieniem Wielkiego Księztwa rzecz do króla czynił. Posłowie prosili, żeby waśni bez potrzeby nie wszczynał i zajął swoje miejsce, okazując mu to, że oni zgodnie a nierozdzielnie od wszystkiéj Rzplitéj są posłami. Marszałek upierał się przy swojém.

D. 19 sierpnia posłowie odbyli wjazd do Paryża. Zajechało im drogę niemało książąt, markizów, hrabiów i wielki poczet szlachty, a z miasta wysypały się tłumy ludu. D. 21 sierpnia powitali króla francuzkiego, potém królową matkę i młodą królowę. Następnego dnia powitali obranego króla, który wespół z królem nawarskim wyszedł przeciwko nim prawie ku samym

drzwiom. Powitali go jak swego pana, wszyscy z kolei, a potém rzecz uczynił ksiądz biskup poznański. Król Henryk sam dziękował, a po skończonych mowach witali go wszyscy szlachcice słudzy posłów, zachowując w tém stary polski zwyczaj. Król Henryk zeszedł z majestatu i przemówił do posłów po łacinie: „Bardzo się cieszę, miłościwi panowie, żeście w dobrém zdrowiu do nas przybyli; spodziewam się, że i ja szczęśliwie dostanę się do Polski, co wkrótce da Pan Bóg nastąpi. Życzliwości naszéj wszyscy i każdy w szczególności doznawać będzie." Zapytał posłów, czy nie zechcą odwiedzić króla francuzkiego w jego pokoju i sam ich poprowadził. Król francuzki grzecznie ich przyjął, i dziękowanie im piękne uczynił, że brata jego za króla obrali.

26 sierpnia na żądanie Henryka posłowie odczytali mu *pacta conventa*, ułożone w Kamieniu pod Warszawą 16 maja 1573 r., a zaprzysiężone przez posłów francuzkich: Montluca, Egidiusza de Noailles i Lansaca. Naprzód zawarowane zostało wieczne przymierze między Polską a Francyą. W razie wojny, Karol IXty zobowiązał się dostawić 4,000 gaskońskiéj piechoty i zapłacić im żołd za 6 miesięcy; za drugie półrocze miał zapłacić król Henryk z własnych dochodów. W jednem z miast portowych francuzkich miał być ustanowiony skład na towary polskie. Król Henryk przyrzekł flotę wystawić, z dóbr francuzkich wnosić do Polski 450,000 zł. i obracać je na użytek publiczny. Długi zaciągnięte od czasów Zygmunta Augusta swojemi pieniędzmi zapłacić. Starać się o podniesienie i utrzymanie w świetnym stanie akademii krakowskiéj. Stu młodzieży utrzymywać swoim kosztem w akademii krakowskiéj lub paryzkiéj, albo gdyby tego potrzeba wymagała, połowę oddać na nauki, a drugą połowę do służby wojennéj albo na dwory zagranicznych książąt. Urzędy i dygnitarstwa Polakom tylko rozdawać, cudzoziemców z sobą nie naprowadzać, a tych niewielu, którzy z nim przyjadą, odprawić po upływie krótkiego czasu. Wszelkie prawa, swobody i przywileje potwierdzić. Prócz tego, posłowie francuzcy wydali osobne zobowiązanie, że król Henryk ożeni się z Anną Jagiellonką.

Gdy odczytano *pacta conventa*, Henryk tak do posłów przemówił: „Ponieważ lepiéj językiem swoim umiem mówić niż łacińskim, a między wami niektórzy ten język rozumieją; tedy proszę żebyście to odemnie wdzięcznie przyjęli, że językiem

swoim mówić będę. Z czytania tych artykułów zrozumiałem, do czego zobowiązali się panowie posłowie. Wprawdzie niektóre warunki są twarde, jednak ja na nich przestać chcę; wszakże jeden warunek zda mi się trudny, żebym Francuzów nie miał chować przy sobie. Braterstwo i przyjaźń pójdzie za złączeniem obu narodów. Wolno Polakom we Francyi mieszkać, wolno było waszym panom na dworze swoim obcych ludzi chować: nie wiem, czemuby mnie taż wolność służyć nie miała, jeśli przeciw prawom waszym urzędów ani godności Francuzom dawać nie będę. Z wami stanowić o tém nie mogę, proszę was tylko o to, żebyście mi dopomogli starać się u stanów, aby w tém umiarkowanie było uczynione".

Posłowie naradzili się mało odstąpiwszy, a potém w imieniu wszystkich głos zabrał Zamojski, przekładając, że artykuł nie jest tak ostro napisany, aby JKMść do posługi swojéj Francuzów miéć nie mógł, a z czasem za zezwoleniem stanów nieco odmienić się może.

Dnia 29 września posłowie czytali królowi Henrykowi artykuły uchwalone przez stany koronne 17 maja 1573 w Kamieniu pod Warszawą, niezależnie od *pactów conventów*. Prosili, żeby te artykuły polskim językiem w przywileju napisać kazał, dlatego, że w języku polskim ozdobniéj to jest pisano, czego językiem łacińskim wymówić tak nie można; prócz tego bracia którzy ich posłali tego wymagają, żeby zrozumiéć mogli, jako im posłowie w téj mierze służyli. Oto jest treść tych artykułów: Że król za żywota nie ma prawa mianować następcy. Pokój między różnowiercami zachowa. Poselstw do cudzych krajów wysyłać nie będzie bez rady senatu. O wojnie stanowić nie będzie bez pozwolenia sejmu, ani pospolitego ruszenia za granicę nie wyprowadzi. Jeśli zdania senatorów nie będą zgodne, król przyrzeka tego zdania się trzymać, które najbliżéj zgadza się z dobrem Rplitéj. Na każdym sejmie walnym, z wiadomością wszech stanów, mianowanych będzie 16tu senatorów, którzyby ustawicznie byli przy królu, i bez których rady nic nie ma czynić w sprawach potocznych. Z tych 16stu co pół roku czterej mają być przy królu: jeden biskup, jeden wojewoda i dwóch kasztelanów. Biskupi z ruskich krajów i senatorowie świeccy opatrzenie mają miéć ze skarbu, każdy za swoje pół roku po 500 zł.; a biskupi z polskich krajów tego nie potrzebują, gdyż są dobrze opatrzeni. Sejm walny co dwa lata ma być

składany, a dłużéj trwać nie ma jak sześć tygodni. Sejmiki główne prowincyonalne mają się odbywać w Kole, w Korczynie i w Wołkowysku. Żeby nie było wątpliwości żadnéj co do gruntów szlacheckich, król zapewnia ich własność ze wszystkiemi pożytkami, jakie się na nich ukazują, a mianowicie z kruszcami i z oknami solnemi. Król nie może podatków stanowić, ani monopolium nadawać. A iż na małżeństwie królewskiém wiele Rplitéj zależy, obiecuje nie zawierać małżeństwa bez wiadomości i przyzwolenia rad koronnych obojego narodu. A jeśliby, czego Boże uchowaj, co przeciw wolnościom, artykułom, kondycyom wykroczył, albo czego nie wypełnił; tedy obywatelów obojego narodu od posłuszeństwa i wiary wolnemi czyni.

Gdy czytano te artykuły i do drugiego artykułu przyszło, zapewniającego pokój między różnowiercami, ksiądz biskup poznański protestował imieniem duchowieństwa.

Wojewoda sieradzki Olbrycht Łaski tak mówił: „Znam się do tego Najjaśniejszy a Miłościwy królu, żem ja na konfederacyą zezwalał i na nią się podpisał, alem to uczynił dlatego, żeby był pokój w ojczyznie mojéj zachowan, albowiem nie radbym tego nigdy widział, aby się krew chrześciańska rozlewać miała; a jeśliże gdzieindziéj pogotowiu w ojczyznie mojéj, i ile do pokoju zachowania, tedy na to pozwalam. Ale aby się wolność wiar i sekt rozmaitych pozwalać miała, któremi się bluźni Imię Pańskie, jakom się wonczas protestował w senacie, tak się i teraz protestuję przed W. Kr. Mcią, że na to nie pozwalam".

Po nim głos zabrał Jan Tomicki kasztelan gnieźnieński: „Przy wydawaniu przysięgi posłom W. Kr. Mci protestowali panowie duchowni, ale żaden ze świeckich panów i z rycerskiego stanu, o czém od posłów swoich dostateczną sprawę W. K. Mść wziąć możesz. Nie żądamy nowych rzeczy; od 30 lat, jeszcze za Zygmunta Starego, potém za Zygmunta Augusta używaliśmy téj wolności, i nie wątpimy, że W. Kr. Mść zachować nas przy niéj raczysz".

Andrzéj Górka zezwolił na wotum pana gnieźnieńskiego, co także uczynił Zborowski i Alexander Proński. Radziwiłł wotował tak jak wojewoda sieradzki. Herburt, Zamojski, Firlej i Mikołaj Tomicki zgodzili się na jedno, żeby pokój zachować.

Potém Monluk powiedział: „Ja W. Kr. Mci dobrą wiarą wszystko powiem" i powtórzył: „dobrą wiarą powiem. Najja-

śniejszy ramel gdym przyszedł do wielkiego namiotu ze swoimi towarzyszami, kazano nam przystąpić do stolika, przy którym biskup krakowski czytał nam przysięgę, a gdy skończył, drugą przysięgę odczytał pan marszałek koronny. Chciałem ją moderować, ale gdy na to nie pozwalali, wykonałem taką przysięgę, jaka była czytana od marszałka. Co się tyczy protestacyi, od nikogo tam nie była czyniona, chociaż było wielkie koło senatu i rycerstwa. Tylko ksiądz arcybiskup z dwoma albo trzema wyrzekł to słowo: *protestor.*"

Król chciał odłożyć przysięgę do sejmu koronacyjnego i podał w wątpliwość artykuły, jako ubliżające powadze królewskiéj; wszakże ustąpił, gdy posłowie zgodnie nalegać zaczęli.

D. 4 września traktowano, podług jakiéj formy przywileje mają być spisane. Gdy przyszło do artykułu o wnoszeniu pieniędzy do Korony, król na tém się zaciął, że nie może czasu oznaczyć kiedy wnoszone będą; a ponieważ dochody z Francyi zostają w jego szafunku, nie widzi powodu, dlaczegoby miał się z tém komu opowiadać, kiedy mu je przyniosą. Posłowie utrzymywali, że król Jmść temi pieniędzmi szafować może, ale na potrzeby Rplitéj: słuszna przeto, żeby Rplita wiedziała o tém, na jakie potrzeby będą się obracały. Posłowie zgodnie stali przy tym artykule; król ustąpił i pozwolił na to, że gdy pieniądze z Francyi zostaną przywiezione, pokaże je podskarbiemu koronnemu i da przeliczyć, ale inny podskarbi będzie niemi szafował podług jego woli.

Na przysięgę, zgody między posłami nie było; biskup poznański protestował, że na taką przysięgę nie pozwala, jaka królowi przez innych posłów została podana. Stanęło na tém, że posłowie zgodzili się, żeby przysięgę czytał królowi Jan Herburt kasztelan sanocki, a księdzu biskupowi zostawili wolność protestowania przed wykonaniem przysięgi. Co do małżeństwa z Anną Jagiellonką, namowę o tém król odłożył do swojego przyjazdu do Polski, i przyrzekł iść za radą panów koronnych.

Dnia 10 września posłowie zeszli się u biskupa i udali się do kościoła Panny Maryi. Wkrótce potém przybył król francuzki, król polski i król nawarski, królowe, księżne i fraucymeru bardzo wiele. Odprawiono mszą śpiewaną, potém królowie francuzki i polski przystąpili do ołtarza i naprzeciwko sie-

bie uklękli. Ksiądz biskup poznański zbliżył się do króla Henryka i protestował, że na taką przysięgę jak drudzy posłowie podali, nie pozwala. Posłowie polscy wkoło króla obstąpili, a Jan Herburt klęcząc czytał słowa przysięgi, które Henryk za nim powtarzał. Gdy skończył, wstał i przemówił do brata, dziękując mu za pomoc okazaną do uzyskania królestwa i prosząc, żeby zaprzysiągł te artykuły, które przez posłów francuzkich zostały przyjęte. Gdy to mówił, łzy mu z oczu padały. Król francuzki odpowiedział bratu i wykonał przysięgę, którą mu czytał kanclerz Birago. Gdy się ta ceremonia odprawiła, herald z ganku obwołał królem Henryka w te słowa: „Niech żyje! niech żyje! niech żyje najwyższy, najpotężniejszy, najszlachetniejszy książę Henryk, syn i brat królów chrześciańskich najwyższych panów naszych, z łaski bożéj obrany król polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, żmudzki, pomorski, inflancki, książę andegaweński, i t. d." I znowu: „niech żyje! niech żyje najszlachetniejszy książę zwycięztwy i trofeami okryty, Henryk obrany król polski!"

Potém posłowie odprowadzili królów do pałacu i tam z nimi jedli; po obiedzie poszli do stajen zamkowych, gdzie wyprowadzano piękne konie, na które królowie wsiadali popisując się jak koniem toczą.

Dyplom elekcyi posłowie wręczyli królowi 13 września, w obec zgromadzonéj rodziny królewskiéj i dworu, w pałacu parlamentu. Biskup poznański w imieniu Korony, Radziwiłł w imieniu Litwy, ogłosili go królem polskim i wielkim księciem litewskim; odśpiewano *Te Deum laudamus*, posłowie zanieśli skrzynkę z dyplomem do kaplicy pałacowéj i wysłuchali nieszpornego nabożeństwa. Pan starosta bełzki przy oddawaniu dyplomu miał mieć mowę; nie miał jéj wprawdzie, ale podziwiali ją ludzie, że to była mowa cudnie napisana.

Dnia 14 września król Henryk odbył wjazd uroczysty do Paryża. Przed królem dwaj sztafierowie prowadzili konia nakrytego axamitem brunatnym; dek był zahaftowany złotemi liliami; na koniu na poduszce była skrzynka złota, w niéj korona i pieczęć francuzka. Miało to być znakiem, że Karol IXty podał bratu rząd państwa, dopóki z granic nie wyjedzie, żeby wszystkiem podług woli swéj zawiadywał i rządził. Król Henryk jechał między bratem swoim Franciszkiem a Henrykiem królem nawarskim. Przed nim i za nim jechali członkowie

parlamentu, dworzanie, panięta, znakomici dygnitarze, posłowie mocarstw i książęta krwi. Na ulicach tłoczyła się niezliczona moc ludu. Do miasta wjazd silnie się spóźnił, tak, że król o godzinie 1 w nocy przyjechał do kościoła Panny Maryi. Mało zetrwawszy w kościele udał się do pałacu, gdzie go częstował król francuzki z matką. Po wieczerzy rozeszli się, jedno trzy razy przetańcowawszy.

Nazajutrz posłowie wezwani zostali na bankiet do królowéj matki. Wodą płynęli razem z królem francuzkim i jego żoną, a gdy na brzeg wysiedli, powitała ich królowa matka i król Henryk, i poprowadzili ich przez ogród do ganku, na którym stała zastawiona wieczerza; a nietylko panów, ale i sługi wszystkich Polaków częstowano. Przy téj wieczerzy była muzyka, przy któréj śpiewała białogłowa bardzo wdzięcznym głosem. Po skończonéj wieczerzy udali się do teatru, pięknem wiązaniem z maju i złocistych ozdób chędogo przystrojonego. Tam zastali wielką mnogość ludzi po gankach i po ławach siedzących, tak mężczyzn jak białychgłów. Gdy wszyscy swoje miejsca zajęli, wyszli trzej skoczkowie, którzy z wielką zręcznością przed nimi skakali i galardy tańcowali; te skoki trwały przez godzinę. Potém odsłonięto ganek zakryty płótnem i ukazała się dziwna struktura nakształt skały, na któréj siedziała pięknie ubrana białogłowa; u stóp skały siedziały dwoma rzędami białogłowy, jedne w bieli, drugie w czerwieni, a tak usadzone, że się barwa przeplatała czerwona z białą. Trochę niżéj na przodzie siedziała druga białogłowa z lutnią. Całą tę strukturę posuwało naprzód sześciu chłopów, których widać nie było; przed nią szło dziesięciu małych karlików z mieczami, po francuzku jednak dosyć pięknie ubranych. Wytoczyła się struktura do połowy teatru; ludzie wewnątrz ukryci grać zaczęli i śpiewać cicho ozdobnemi głosy; potém struktura obróciła się wkoło i przytoczyła do majestatu na którym królowie siedzieli, a wtedy białogłowa siedząca na wierzchu skały, która miała wyobrażać państwo francuzkie, poczęła osobliwym głosam śpiewać, dziękując królowi polskiemu, że ją bronił od nieprzyjaciół i życząc mu szczęśliwego panowania. Potém druga białogłowa na przedzie siedząca grać na lutni i śpiewać zaczęła. Po dokonanym śpiewie zatoczono strukturę na swoje miejsce, białogłowy wyszły na środek sali i tańcowały bardzo misternie rozmaite tańce. A potém szły przed króla polskiego

i każda z nich podała mu pocałowawszy piękny puszyk piór, na którym był herb prowincyi, którą ta białogłowa wyobrażała. Na żądanie królowéj matki zdjęły z twarzy maszkary i tańcowały tańce, a były to co najpiękniejsze białogłowy szlacheckiego urodzenia, z któremi królowa matka chciała się pokazać. Potém królestwo Ichmość tańcowali; zabawę zakończyła wieczerza złożona z cukrów, marcypanów i innych słodkich rzeczy.

D. 23 września posłowie oddali królowi rekognicyą swojemi pieczęciami zapieczętowaną, jako dyplom oddali. Przy téj zręczności pan starosta bełzki imieniem posłów uczynił cudną oracyą.

D. 24 września pięciu posłów podało królowi prośbę od wygnańców za wiarę z Francyi, przekładając, że gdy one zamieszki uspokoi, nietylko tu sobie błogosławieństwo zjedna, ale i w Polsce dobre serce dla siebie uczyni. Król przyrzekł za wygnańcami wstawić się do brata.

D. 26 września oddano posłom dary od Karola IX. Staroście bełzkiemu dostał się łańcuch złoty wartujący 2000 szkudów, kubek srébrny pozłocisty i pieniędzmi 2000 szkudów hiszpańskich.

Za staraniem króla francuzkiego, król Henryk uzyskał od cesarza list glejtowny na dwanaście set koni i wolny przejazd przez kraje rzeszy niemieckiéj. Wyjazd odwlókł się z powodu choroby króla francuzkiego. Posłowie udali się naprzód małemi noclegami aż do Ligny, gdzie ich doszły wieści o chorobie Karola IX i o zatrzymaniu się króla Henryka w Paryżu. Obawiając się, żeby nie chciał kto królowi Henrykowi doradzać, żeby czekał wyzdrowienia brata, pisali do króla przedstawiając mu potrzeby koronne i niebezpieczeństwa jakie zajść mogą, prosząc żeby wyjazdu zwlekać nie raczył.

W Polsce był pokój w domu i z sąsiadami. Sejmiki odprawiły się spokojnie, car przedłużył rozejm do d. 15 sierpnia 1574 r. Kozacy tylko wielką szkodę uczynili Turkom, o którą sułtan groźny list pisał. Senatorowie wyprawili kommissarza z poleceniem, żeby szkoda była wynagrodzona.

Jan Groźny w liście swoim do panów rad koronnych z Nowogrodu d. 15 lipca 1573 r., uskarżał się, że mnodzy panowie i pisarze Wielkiego Księztwa Litewskiego pisali do niego listy bałamutne, prosząc żeby odprawił syna swego carewicza Teodora na hospodarstwo, a drudzy prosili, żeby posłał go z woj-

skiem, a im żeby przysłał upominki, sobole i lisy, co się nie dzieje w żadnych państwach, żeby hospodar miał jechać bez postanowienia; więc na te bałamutne listy nie patrzał, a szukał czego gruntowniejszego ku pożytkowi wszystkiego chrześciaństwa. Jakoż Waleryan biskup wileński, Mikołaj Pac biskup kijowski, Mikołaj Radziwiłł wojewoda wileński i kanclerz litewski, Stefan Zbaraski wojewoda trocki, Ostafi Wołowicz pan trocki i podkanclerzy litew., Jan Chodkiewicz starosta żmudzki mar. ziem. litew., Stanisław Pac wojewoda witebski, Jurgi Siemowicz dzierżawca lepelski, Jurgi Wołowicz kasztelan nowogrodzki, Paweł Pac kasztelan witebski. Mikołaj Naruszewicz podskarbi ziemski, Mikołaj Krzysztof Radziwiłł mar. nad. litew., Jan Kiszka krajczy litew. i insi panowie rady wyprawili pisarza przysięgłego Haraburdę, zapraszając cara na hospodarstwo, żeby im wolę swoję objawił, jako ma być na Królestwie Polskiém i Wielkiém Księztwie Litewskiém. Jan Groźny własnemi usty zapewnił Haraburdę, że praw i wolności w niczém naruszać nie będzie, i że oczekuje wielkich posłów na dzień św. Trójcy, a najdaléj na zapusty św. Piotra (1). Wtém nad jego spodziewanie przybyli gońcy Andrzéj Taranowski i Teodor Woropej z listem, w którym panowie rady zawiadamiali go o wyborze na państwo Henryka księcia andegaweńskiego. Taranowski zapytany przez carskiego marszałka Wasila Kołyczowa, dlaczego Polacy cara nie obrali hospodarem, odpowiedział, że w Polsce jest obyczaj, że gdy niestanie hospodara, monarchowie i książęta z obcych państw przysyłają posłów starając się o hospodarstwo; a gdy z Moskwy posłów nie przysłano, szukali innego pana. Gdyby król Henryk nie przyjechał do św. Marcina, Polacy będą sobie szukać nowego hospodara. Zatém car wyprawił do Polski posłów Michała Kołyczowa namiestnika iwangrodzkiego i dyaka Piotra Michajłowa; kazał wydać list glejtowny dla posłów polskich i przedłużył rozejm do Wniebowzięcia Panny Maryi 7082 r., dla postanowienia w ciągu tego czasu stałego pokoju między hospodarstwami.

D. 15 listopada zjechali się w Mecu ksiądz biskup poznański, pan starosta bełzki, pan starosta kazimierski, pan wojewodzic kijowski, i zastali tam czekającego już na siebie Andrzeja Górkę. Za wspólną radą niektórzy z nich pojechali do Nansi

(1) Czas przed postem zwanym Petrowka.

do króla, prosząc go, żeby odjazdu nie zwlekał, i przypominając mu potrzeby i niebezpieczeństwa koronne. Król wdzięcznie przyjął to ich napominanie, i zapewnił, że na chęci jego i pilném gotowaniu się nie schodzi, ale żadnym sposobem wcześniéj wyjechać nie może z Nansi jak d. 23 listopada, bo tu musi czekać na swego marszałka, który z dworem i z rzeczami za nim jedzie; wszakże to swoje omieszkanie chce nagrodzić jechaniem prędkiém i wielkiemi noclegami w drodze. Wiedzieli o tém, że cała przyczyna zwłoki ta była, że Karol IX mało czuł polepszenia w swojéj chorobie, a Henryk, któremu uśmiechała się nadzieja osiągnienia korony we własnym kraju, zatrzymywał się oczekując przesilenia.

Króla do granicy odprowadzała królowa matka, książę d'Alençon brat jego młodszy, królowa nawarska, Karol książę lotaryński, kardynał lotaryński, kardynał Burbon, kardynał Gwiziusz i wielu książąt francuzkich. D. 2 grudnia w Blamoncie król pożegnał matkę i przyjacioły; przy tém żegnaniu żal i płacz był wielki. Król nawarski i książę Konde nie odprowadzali Henryka; powiadali niektórzy, że im nie ufano żeby za granicę nie zbiegli, bo do tego czasu jeszcze nie byli wolni, mając zawdy nad sobą gwardyą królewską.

Król jechał na Falcberg, Cabber, Hagenau, gdzie go witali panięta polscy, którzy się uczyli w Sztrasburgu, ze swoim mistrzem Sturmiusem. Falcgraf Krzysztof przez którego ziemie jechał, syna swego wyprawił, który w 600 koni króla Henryka glejtował; sam na jego spotkanie nie jeździł, wymawiając się chorobą. Król Henryk postanowił zjechać z drogi i odwiedzić go w Openhejmie. Radził się posłów polskich, powiadając, że go król francuzki i matka z pilnością prosili, żeby widział się z kurfirszty i traktował z nimi, żeby jazdy na pomoc hugonotom nie puszczali, ani posyłali do królestwa francuzkiego. Posłowie odradzali żeby tego nie czynił, przekładając mu, że byłoby ubliżeniem jego godności, żeby będąc królem polskim miał szukać po domach kurfirsztów; a téż niebezpieczne tam jechanie, bo przy kurfirszcie jest wielu wygnańców, którzy ważyć się mogą na jego życie. Król rady ich nie przyjął, i wezwawszy Krzysztofa syna kurfirsztowego, opowiedział mu, że ma zamiar ojca jego odwiedzić. Ciężary do Worms odesłał, a sam w lekkim poczcie z dworzany się puścił; wszakże miał przy sobie niemałą assystencyą dworzan. W Spirze na jego przyjęcie lud sprawiono

jak do boju: ulice pozaciągano łańcuchami, wytoczono działa, a przy działach stali puszkarze z zapalonemi lontami. Na drugi dzień po obiedzie ze Spiry wyjechał do Hejdelberga. Zajechał mu drogę książę Krzysztof, ale ani kurfirszt, ani żona jego na spotkanie nie wyszli; sam do gmachu wchodził, i niewielką mu tam wdzięczność pokazano. Przy kurfirsztowéj w fraucymerze stała panna de Montpensier, zacnego rodu i powinowata królewska, mniszka, która z klasztoru uciekła; był tam także na dworze syn zabitego admirała Coligny. Król Henryk kiedy się dowiedział że w kuchni mięso tylko gotowano, nie chciał iść na wieczerzę, bo to był dzień piątkowy; ale drugim Francuzom, którzy do stołu siedli mięso tylko dawano, a chociaż były na stole półmiski rybne, wnet je przestawiano na służbę.

Na drugi dzień król Henryk był w zawarciu z kurfirsztem i przez cztery godziny sami tylko rozmawiali; także i po obiedzie przez kilka godzin. Po wieczerzy puszczano kule ogniste, race i strzelbę; tego dnia król i Francuzowie większą wdzięczność znali. Król posłał dary w klejnotach żonie kurfirszta, jego synowi Kazimierzowi i dziewce; posłał téż i téj mniszce, która z klasztoru uciekła, i posag jéj dać obiecał, kiedy za mąż pójdzie.

D. 13 grudnia nocował w Worms, 14 w Openhejmie, 15 przyjechał do Moguncyi. Na spotkanie wyjechał elektor arcybiskup Daniel Brendel, mając w swoim orszaku 12 grafów i 500 koni dworu, koni osobnych i chłopów czystych. Przywitawszy króla z wielką uczciwością prowadził go do miasta, a potém do zamku, i potrzebami wszystkiemi hojnie opatrował.

D. 16 grudnia król odpoczywał w Moguncyi. Tam do króla przyjechał sługa Stanisława Karnkowskiego biskupa kujawskiego Hannovius, i prywatnie list mu oddał; co było w liście, żaden z panów polskich nie wiedział, bo te listy były przed nimi zakryte; ale niedarmo Hannoviusowi łańcuch z kilkuset koron na szyję zawieszono. Ten poseł zdał sprawę, że do żadnego z panów posłów listu nie miał; ale się jednak wynurzyło, że niektórym listy pocichu pooddawał, których towarzyszom swoim ukazać nie chcieli.

D. 17 grudnia król przyjechał do Frankfurtu; 18 cały dzień tam odpoczywał. W tém mieście przygoda się trafiła, którą od początku taką być powiadają:

Gdy się mieszczanie frankfurtcy dowiedzieli, że król polski będzie w ich mieście, postanowili u siebie okazywanie, i na-

znaczyli miejsce za miastem, żeby się tam każdy we zbroi stawił. Gdy się mieszczanie zeszli, wygnańcy z Francyi i Niderlandu we Frankfurcie osiedli, nie chcieli iść do jednéj gromady z Niemcami, ale osobnym hufcem stanęli; nie mogli się jednak ustrzedz, żeby kilku Niemców do nich się nie przyplątało. Tam w onéj kupie stojąc jęli między sobą radzić, jakby konspiracyą przeciw tym Francuzom, którzy z królem jechali, uczynili i one pobili. Niemcy ostrzegli urząd miejski, który nie do końca temu nie wierzył; kazał jednak wziąć do więzienia dwóch albo trzech, na których padało podejrzenie. Ta rzecz ucichła między mieszczany, aż do tego dnia, kiedy król do miasta wjechał, konspiracya na jaw wyszła. Wygnańcy Francuzowie jęli się mieszać między sługi dworskie pod pretekstem posługi, a między sobą uradzili, żeby téj nocy ogień w kilku gospodach podłożyć, a kiedy miasto palić się zacznie, okrzyk uczynić, dając znać pospolitemu człowiekowi, że Francuzowie miasto zapalili, a wtém rzucić się na nich i pobić. Odkryły się niecnotliwe zamysły i kilkunastu do więzienia wzięto. Chociaż się z tém mieszczanie bardzo taili, doszła wieść do króla. Posłowie polscy radzili, żeby co rychléj z Frankfurtu wyjeżdżał. Rada ich nie miała miejsca. Król Jmść tegoż dnia z dwoma Francuzami jeździł w karetce po mieście bez dworzan i bez gwardyi; potém wysiadł do jednego kupca i oglądał sobole i klejnoty, czego ludzie królowi nie chwalili. Na drugi dzień słuchał publicznie nabożeństwa w kościele, potém jeździł w karetce po mieście i był w bożnicy, do czego mu Francuzowie pomagali i niektórzy posłowie polscy. Tamże oglądał kredens księcia Oranii, który był u żydów w zastawie.

D. 20 grudnia wyjechał z Frankfurtu, nocował o 2 mile. D. 21 miał nocleg w Golhausen, 22 w Steinie an der Strassen, 23 w Fuldzie, 24 po obiedzie był na nieszporze u Jezuitów, którzy go witali oracyami łacińskiemi, greckiemi i francuzkiemi, co niemało czasu wzięło. Na ścianach gmachu siła wierszów i oracyj było rozwieszonych. Święta Bożego Narodzenia przepędził w Fuldzie. Drugiego dnia świąt od Rambouillet z Polski przyjechał Francuz de Voie, i zdał sprawę z poselstwa w obec panów polskich. Treść jego mowy ta była, że do Krakowa przyjechał Jan Chodkiewicz starosta żmudzki, opowiadając panom koronnym, że car trzema wojskami gotuje się wejść do Litwy, o czém mają pewną wiadomość od szpiegów

i od zbiegów. Sam car głową swoją ciągnie do Połocka z jedném wojskiem, a z drugiém syna posyła do Witebska, a z trzeciém Magnusa do Inflant. Prosił tedy panów polskich imieniem Wielkiego Księztwa Litewskiego o pomoc i ratunek. Panowie koronni wezwali Rambouilleta i z nim radzili, co mają czynić. Ratunku dać nie możem, powiadali, jeno pieniędzmi, bo choćbyśmy chcieli ziemie ruszyć, stan rycerski zasłoni się swojemi przywilejami. W skarbie pieniędzy nie ma, a bez zezwolenia stanu rycerskiego podatku nałożyć nie możemy. Jedyna nadzieja na króla, który przyrzekł ratować nas pieniędzmi na opatrzenie granic. Rambouillet wymawiał się tém, że pieniędzy nie ma, król téż rychło nadjedzie; w końcu postąpił 10,000 złp., które oddano staroście żmudzkiemu, żeby za te pieniądze żołnierzy przyjął.

Potém goniec zdał sprawę, że w Prusiech wszystko spokojnie, albowiem gdy pan kasztelan gdański lud zbrojny, który chował pod Gdańskiem, rozpuścił; Gdańszczanie rozpuścili swoich knechtów i gotują się królowi, jak przyjedzie, okazać wierność i posłuszeństwo. Żołnierze kwarciani, którzy na elekcyi otrzymali pozwolenie wjechania w dobra koronne, wstrzymali się od tego, oczekując na przyjazd królewski. Naostatek tém zamknął, że króla Jmści wszyscy z wielką radością oczekują.

D. 27 król z Fuldy wyjechawszy nocował w miasteczku Geisen. 28 przyjechał do Fachu. Na spotkanie wyjechał Wilhelm landgraf heski, witał króla uprzejmie i przypominał spowinowacenie, które miał Kazimiérz Wielki z domem landgrafów. Nazajutrz mając z królem rozmowę w obec posłów, wstawiał się za Zofią księżną brunświcką, żeby nie była ukrzywdzona i otrzymała spadek, który jéj z prawa i z testamentu należy po zmarłym królu Zygmuncie Auguście. Król odpowiedział, że bez naradzenia się z panami rady nic w téj mierze stanowić nie może; wszakże wątpić nietrzeba, że królewna ukrzywdzona nie będzie w tém, co jéj z prawa należy.

Tegoż dnia pan międzyrzecki pożegnawszy króla pojechał naprzód do Polski. Dworzanin utrzymujący dziennik kończy temi słowami: „Co się potém w drodze z królem Jmścią działo, sprawy dostatecznéj nie mając, pisać nie mogę, ponieważem z Jmścią panem międzyrzeckim moim miłościwym panem odjechał.“

ANTYGONA.

TRAGEDYA

SOFOKLESA.

TŁUMACZYŁ Z GRECKIEGO

Kazimierz Kaszewski.

Poezya nim się ozwie w pieśni, nim znajdzie swoich piastunów i kapłanów, wcześniéj już ma byt przedziemski: istnieje w duchu unoszącym się ponad ziemią, sama jest *duchem*. Zstępując ze świata wyższego do krain zmysłowych, przynosi z sobą pierwiastek cywilizacyi, i w dalszym rozwoju, według ludzkich warunków, przetwarza się w sztukę. Poezya jako *słowo* brzmi nasamprzód w pieniach religijnych, trzyma z bóstwem, jest najbliższą źródła z którego wyszła. Następnie, kiedy lud działa w obszerniejszéj sferze zewnętrznéj, gdy ukazują się tu i ówdzie jednostki dźwigające cały ciężar społecznego zadania; poezya przygląda się im w samym ogniu działań, podziwia, i przejęta współczuciem, po najodleglejszych zakątkach rozpowiada wrażenia swoje:—to epos, które wszakże nie tamuje swobodnego rozwijania się liryzmu, owszem nastręcza mu nowéj treści. Kiedy wreszcie lud, po pewném przejściu, namyśla się nad tém, co zdziałał; dopiéro ukazuje się dramat. On tedy jest budową, do któréj materyału dostarczają liryka i epos; nie poprzestaje on na chwilowych, obecnych, i pojedynczych wrażeniach, ale stając na zrębie dokonanéj epoki, przejmuje się całym jéj ciągiem i chłonie wszystkie jéj pierwiastki składowe.

Takim jest niezaprzeczenie dramat grecki, uważany, rozumié się, nie ułamkowo, ale w poglądzie na całkowitość rozwoju. Ma on trzech przedstawicieli w Grecyi, i ci różnią się między sobą albo większą lub mniejszą doskonałością formy, albo téż stopniami czystości pojęć; charakter wszakże w nich jeden i tenże sam, duch jaśniejący wszystkiemi ogniami narodowości promienieje z utworów każdego.

Gdy pod koniec Vgo przed Chrystusem wieku nacisk barbarzyństwa wschodniego rozbijał się o piersi synów Hellady; Eschiles, ojciec greckiéj tragedyi, pod murami Aten czynnie przykładał się do jego odparcia. Jednocześnie na wysepce Salaminie i podobno w saméj chwili wiekopomnych zapasów Wschodu z Zachodem przyszedł na świat Eurypides. Sofokles naówczas młodzieniaszek należał do chóru opiewającego chwałę zwycięzców. Tak przynajmniéj lud z owym świetnym dniem Salaminy istotę trzech swych ulubieńców związał ogniwem podania.

Eschylesa zwą ojcem tragedyi nie dlatego, iżby mu przypisywano sławę wynalazku, bo takie rzeczy jak dramat nie są wynikiem namysłu lub natchnienia jednego człowieka, ale wolnym wyrobem myśli i uczucia zbiorowego; Eschyl jest tylko reformatorem tego, co już zdawna praca ludu całego przygotowała. Przed nim wszakże tragedya była tylko chórem lirycznym na cześć bóstwa: on wprowadził doń opowiadanie czynów jakiego boga lub hohatera, i tym sposobem rzecz samą wzbogacił zajęciem i urozmaiceniem. Ztémwszystkiém liryczność jest jeszcze u niego przeważna: dopiéro Sofokl chórom naznaczył podrzędne stanowisko, a natomiast podniósł i wypełnił akcyą.

Rzecz godna uwagi, że poezya dramatyczna rodzi się w Grecyi nieco przed Peryklesem i spieszy rozwinąć się w jego wieku, w owym czasie sławy i wypoczynku Aten, jakby wiedziona przeczuciem, że za chwilę już będzie zapóźno, że gród Minerwy upadając, w rozsypce moralnéj i politycznéj pociągnie za sobą zarazem upadek ducha i poezyi, że nie będzie komu przedstawić żywota narodowego tak, jak go właśnie dramat grecki przedstawia.

W istocie, zapatrując się ze stanowiska względnego do czasu i obyczajów, przekonamy się o jego kształtach dociągniętych i zupełnie wykończonych. Najwyraźniejszą jego cechą jest to, co chrześcianin nazwałby *cudownością*, a co w języku poganina

zwie się *musem* (μοιρα, fatum). Nic nie dzieje się na ziemi, coby wprzód nie było obmyślaném i upragnioném w świecie nadzmysłowym; żadna przypadkowość miejsca nie ma: każda kwestya ziemska zawiązuje się naprzód w niebie i rozstrzyga się pod jego widocznym wpływem. Wola wyższa wyznacza ludziom role jakie mają odegrywać, wola wyższa nadaje im siły do dźwignienia odpowiedzialności, jakie na nich wkłada. Człowiek nie może się wyłamać zpod przeznaczenia, ale ztémwszystkiém nie jest on prostą igraszką przemocy sił obcych, ma bowiem na wytkniętéj drodze wolny wybór środków i od niego samego już zależy wywiązanie się z zagadki życia:—tryumf lub upadek, to rzecz kierunku, jaki sam nada działaniom swoim, stosując je do pewnych danych. W tém widzimy już, że dramatycy greccy idąc za wiarą ogółu ludowego, nienajgorsze obrali sobie stanowisko wśród walki wolnéj woli z koniecznością; gdy, przypatrując się jéj, pochód ludzkości czynią zależnym od woli wyższéj, a czyny pojedyncze od woli człowieka, mieniąc go *pobożnym* w miarę tego, jak zrozumié i spełnia wymagania bóstwa. Bóstwo więc jest normą tragedyj greckich; wola jego, to oś obrotu czynności ludzkich i tak widoma, jak w dzisiejszych dramatach uczucie miłości. Około téj woli bogów układa się, wije i porusza wszystko, tak, że nie ma ani jednego momentu życia na ziemi, któryby nie miał sobie odpowiedniego w niebie; tak jak nie ma ani jednego punktu na powierzchni ziemskiéj, któryby nie był przeciwległym innemu na półkuli niebios. Pomijając innych, Sofokles koncentruje w sobie ów udoskonalony politeizm, i w utworach swych wysokie miejsce bóstwu naznacza; gdzieniegdzie tylko, i zbyt to rażąca jego ujemnia, spycha je do poziomu. W jego np. Ajaxie, Minerwa zstępuje na ziemię, aby tumanić biednego Trojan zwycięzcę, i tym sposobem dogodzić osobistemu pragnieniu pomsty; ale jestto szczegół nie ujmujący wcale czci i powagi, jakiemi tragik grecki wszędzie otacza bóstwo.

Ten charakter religijny starożytnego dramatu znalazł echo i w świecie chrześciańskim; średniowieczne mysterye i nasze dyalogi odpowiadają temu, co było w Grecyi przed Eschylem: tylko że poezya chrześciańska nie umiała korzystać z tych przedłużonych legend i urwała je, nadając zupełnie inny zwrot dramatowi, sprowadzając go do ciasnéj sfery historyzmu lub do

ciaśniejszego jeszcze domego kółka. Tym sposobem ta cudowność, co przeszła w żywot dramatu greckiego, i z którą mu tak dobrze, z dzisiejszego usunięta, zabrała z sobą nić wiążącą ziemię z niebem, i stało się to z wielką szkodą dramatu, bo mu ujęło pełności. Dziwna to rzecz zaprawdę, że chrześcianizm przejąwszy z rąk pogańskich Greków sztukę niepokalaną, z niezatartém wyższości piętnem, mógł ścierpieć tak krzyczącą jéj degradacyą: w oczach jego architektura stała się rzemiosłem, rzeźba zstąpiła do figur woskowych, malarstwo do dagerotypów, muzyka do katarynkowych kurantów, a poezya do bulwarowych błazeństw; słowem, każda sztuka znalazła sobie odpowiednią parodyą. A zdaje się, że właśnie stosunek winienby być przeciwnym: chrześcianizm wszystko naokoło siebie uszlachetnia, podnosi, wzmaga; i nie zaprzeczamy, że ten błogi wpływ pod pewnym względem odbił się w dzisiejszéj sztuce. Pod ręką jéj gieniuszów powstały olbrzymie indywidualności, wyrabiające się na warunkach czasu, pod wpływem nowych pojęć. Utwory Szekspira i jego szkoły dają nam już po części zadatki, że dramat dzisiejszy może kiedyś przedstawić chrześciaństwu to, co grecki ukazał poganizmowi.

Ale zaszlibyśmy zadaleko wdając się w porównanie dzisiejszéj sztuki z dawną; jestto kwestya innéj natury, do któréj zboczyliśmy jedynie dla ukazania na zasługi szkoły starożytnéj, jaśniejące już nader widocznie w saméj różności przeznaczenia teatru. Dziś jest on przybytkiem zabawy; napełnia się widzami tęskniącemi za wrażeniem imaginacyi: jestto powszednia rozrywka pomiędzy wizytą a wieczerzą. Teatr w Grecyi był instytucyą narodową, religijno-polityczną; przedstawienia odbywały się w długich przerwach, w dniach poświęconych peryodycznym uroczystościom, na które gromadziła się powszechność grecka; i z tegoto względu był on pośrednio jednym ze stawów wiążących różne członki tego politycznego ciała. Ludność udawała się na widowisko w skupieniu ducha, przygotowana poprzednio do słuchania prawd religijnych i politycznych, jakie sztuka miała objawić, i autor byle czém zbyć widzów nie mógł, bo teatr był dla Grecyi potrzebą piérwszego rzędu. Jak Rzymianin wołał o chléb i krwawe igrzyska; tak Grek domagał się teatru za życia, a pieśni na grobie. Osobna na jego utrzymanie rubryka przeznaczona była w funduszach państwa; ale pośrednictwo pieniądza nie łączyło bynajmniéj ludu z autorem: lud

inne przeznaczał mu nagrody, inaczéj, po swojemu wdzięczność swoję objawiał. Dość tu przytoczyć, że Sofoklesowi po przedstawieniu Antygony dano dowództwo wyprawy przeciw wyspie Samos; i choć dziwną się nam dziś musi wydać ta wymiana darów, ale jakżeż wymownie świadczy na stronę uczuć ogółu, który jednocześnie wywiązuje się z długu wdzięczności i zawierza ziomkowi, że zdrowe zasady polityczne, które objawił w utworze swym jako poeta, będzie umiał przeprowadzić i w życie jako mąż stanu.

Zapewne zawiódłby się bardzo, ktoby oceniając dramat grecki mierzył jego piękności według dzisiejszéj stopy. Jak różne stanowisko, tak różne i objawy piękna. Plastyczność form homerycznych przeniknęła tam aż do dramatu; jest on tylko waryantem epopei, a przeto przyzwyczajonemu do wytworności i liryzmu dzisiejszéj dykcyi, do ruchliwości akcyi, która i z nędzotki treściowéj potrafi coś uczynić: dramat grecki wyda się zasuchym, zaspokojnym i jednostajnym. Bo w saméj rzeczy o ile obfituje on w zdania, o ile odznacza się prostotą, prawdą i pierwotną siłą; o tyle zbywa mu na cieniowaniu i wielostronnych objawach uczuć; tak jak w ogóle sztuka grecka nie wdaje się w mozajkowanie, ale więcéj kreśli rysy całkowite od jednego pociągu. Kto zaś zna dokładnie pojęcia i obyczaje świata starożytnego, ten przyzna, że cała duchowość Grecyi odbiła się w jéj dramacie i nie zdziwi się bynajmniéj nie napotykając w nim tego właśnie, co w dzisiejszych jest formułą sakramentalną. Miłość np. to przewodnie uczucie nowéj szkoły trafia się i w greckiéj, ale z powodu odmienności stanu społeczeństwa nie jest głównym węzłem sztuki; intryga, to rzecz dla niéj obca, a razić publiczność niespodziewanemi cięciami (coups de théâtre), zdobywać się na efekta, Grek nie potrafił, i wymagania widzów po to nie sięgały. Ile dziś oglądanie się na gust publiczności zmarnowało sił twórczych w prawdziwych talentach; jak dalece wstrzymało rozwój dramatu prawdziwie chrześciańskiego; dlaczego w takim tłumie nowoczesnych utworów mamy dopiéro jednego Fausta, jedne Dziady:—zostawiamy to do uznania ludzi w téj kwestyi interesowanych, i nie zatrzymując się dłużéj nad tym przedmiotem, rzucimy okiem na pojedynczy utwór Sofoklesa, któryśmy ośmielili się podać w przekładzie polskim.

Przyglądając się *Antygonie* dostrzeżemy w niéj wierny obraz pogańskiéj córy greckiego typu, ideał obowiązków rodziny zakreślonych przez samą naturę, a przez poetę, czciciela natury, urzeczywistniony w braterskiéj pobożności, któréj tu miłością nie nazwiemy. Nie powiemy, żeby ta grecka dziewica kochała brata uczuciem bezwzględném, jednostkowém; tego w sztuce nie widać: poświęca wszakże dla jego sprawy życie przez to tylko, że będąc siostrą, powinna była ten czyn poświęcenia spełnić nie względem osoby Polinika, ale względem ideału rodziny: jestto więc posłuszeństwo głosowi natury. Ztąd téż indywidualność jéj nie polega na tém co ona ma zdziałać, ale na tém jak działa: tojest na niezachwianéj dzielności z jaką przebija się przez straszliwe groźby królewskie, pomija widoki szczęścia ziemskiego i rzuca się na drogę męczarni, po któréj ma dojść do celu pobożnych usiłowań. Oczywisty poganizm jéj w tém, że z dumną surowością, z wyrazem dotkliwéj pogardy powstaje na Ismenę poczciwą zkądinąd siostrę, z całéj duszy do niéj przywiązaną, która wszakże słabsza charakterem od Antygony, nie może się odważyć na uczestnictwo w jéj wielkiém, ale niebezpiecznem przedsięwzięciu. Dziewica chrześciańska, jako ideał odpowiedni Antygonie, byłaby z natury rzeczy wyrozumialszą: ukryłaby owszem tę ujmę w drugim przed jego własnemi oczyma, i podniosłaby się o całą miarę pokory, cnoty nieznanéj pogańskiemu światu. Poganizm widoczniejszy jeszcze w tém, że Antygona po dokonaniu czynu, którego wzniosłość ma śmiercią opłacić, pomimo całego przekonania o prawości swych postępków, żałuje życia, utyskuje na wyrok wydzierający ją naturze wprzód, nim się zdołała względem niéj wywiązać z długu jako żona i matka. Nie jest to prosta słabość kobieca, która znalazła chwilę wydać przenikający okrzyk; ale jestto religijne przekonanie o niezupełności szczęścia, jakie się już nie powróci i niczém opłacić nie da, nawet po śmierci. Bo i jakiż wreszcie ideał zaziemskiéj szczęśliwości poganina?— nieśmiertelna przechadzka po ogrodach, gaje, strumyki i kaskady: dalszy ciąg raju ziemskiego; gdzie nie ma żadnéj pociechy wyższéj, którąby zdołała wypełnić próżnią małżeńskich i macierzyńskich pociech na ziemi.

Hemon jestto także poganin od stóp do głów, a wszakże idealny. Nie zna on różnicy sposobu, jakim należy prawdę mówić w oczy obcemu człowiekowi a własnemu ojcu; dopuszcza

się względem niego obelg słownych i czynnych; uważa się za upoważnionego do zerwania z prawami natury, bo w Kreonie widzi nie już rodzica, ale tyrana godzącego na zgubę jego kochanki z nadwerężeniem swobód rzeczypospolitéj. Miłość jego dla Antygony wybornie charakteryzuje tu wyobrażenia świata greckiego o przyzwoitości, jaką autor snadź miał na uwadze i rzeczy tak nakierował, że Hemon w ciągu dramatu ani słówka do Antygony nie przemawia, bo objawić jéj wobec uczucia byłoby to skazić jéj czystość: Hemon więc nie widzi jéj nawet; dopiéro w kamiennéj jaskini, w chwili stanowczéj, na trupie swéj oblubienicy, domawia ostatnich słów miłości i z własnéj ręki ginie.

Kreon ojciec jego a król Teb, prześladowca Antygony, jest doskonałém przedstawieniem nietylko miejscowości, ale i pory, nietyle może odpowiedniéj jego historycznéj egzystencyi, jak spółczesnéj poecie. Kto wié, czyli to nie było alluzyą, bo Kreon człowiek absolutny i gwałtowny, tłumaczy kroki swoje niezgodne z obowiązkami człowieka i władcy jakiemiś sofizmami, właśnie według ducha, jaki panował w Grecyi, dopóki nie uległ przed potężném słowem Sokratesa. Ztąd téż sypie gradem sentencye często prawdziwe, zmierzające do wyświecenia zasad politycznych, to znowu naciągane do widoków osobistych; czego téż poeta, tu już organ powszechności, nie puścił mu płazem, owszem stawił szereg kar dowodzących sympatyi bogów dla sprawy ludowéj.

Inne charaktery mniéj więcéj pomocnicze służą do rozwinięcia dramatu jako sztuki, a zarazem stanowią osobne typy i ściśle są do harmonii obrazowo-historycznéj potrzebne.

O wewnętrznym układzie nic nie wspominamy, bo powiedzieliśmy już z góry, że dramat grecki nie zna bynajmniéj powikłania sprężyn działalności, jakie drgają w utworach dzisiejszych, ale jest tylko pewném przeistoczeniem epopei. Ztąd wiele zdarzeń należących do dramatu dzieje się poza sceną, dopiéro widzowie dowiadują się o nich z ust świadków obecnych temu, co zaszło. Forma ta jest zapewne niedołęztwem, które chyba pierwotnoscią rozwoju da się usprawiedliwić, i w tém naturalnie nieskończona jest wyższość dzisiejszéj sztuki.

Jak wszędzie, tak i w obecnym dramacie szczególnym charakterem jest *chór*, niejako głos opinii ludu, oceniający według siebie zdania i czyny jednostek charakterystycznych, mają-

cych udział w akcyi. Chór w *Antygonie* złożony ze starców, jest nieco bezbarwnym; wydatna na nim cecha starości, nie téj, co silna skupieniem całéj pracy młodych lat, ale zobojętniałéj, blizkiéj upadku, trącącéj martwością i grobem.

Wskazaliśmy główne punkta dramatu nie wdając się w szczegółowe ocenienie, w przekonaniu, że czytelnik sam je sobie należycie uzupełni; że zobaczy w nim obraz Grecyi wyraźniejszy niż w dziele naukowém, i dostrzeże tam w zbiorze idei pogańskich gdzieniegdzie jakby jakiś przedbrzask wyższego światła, mianowicie w słowach Antygony.

Pisałem w Warszawie, dnia 15 grudnia 1852 r.

OSOBY TRAGEDYI.

Antygona córka Edypa,		Tirezyas kapłan.
Ismena jéj siostra,		Strażnik.
Kreon król Teb.		Poseł (αγγελλος).
Hemon syn	Kreona.	Pachołek (επαγγελλος).
Eurydyka małżonka		Chór starców tebańskich.

Rzecz dzieje się w Tebach w bliskości królewskiego dworca w XIV wieku przed Chr.

Nazwy bogów greckich w brzmieniu łacińskiém zamieszczamy przy końcu.

ZAJŚCIA POPRZEDNIE.

Synowie Edypa króla tebańskiego: Eteokles i Polinik, po śmierci ojca długo z zawziętością walczyli o władzę nad Tebami; nareszcie Polinik pobity i wygnany z miasta, schronił się do Adrastesa króla Argos, którego do współudziału w sprawie swojéj nakłonił. W skutek tego Adrastes wraz z Polinikiem podstąpili pod Teby i oblegli zamek. Nastąpiła ogólna bitwa, w któréj dwaj bracia, wzajem uderzając na siebie, jednocześnie polegli; Adrastes zaś doczekawszy nocy, ustąpił. Na opustoszałym tronie Teb zasiadł krewny Edypa, Kreon, który idąc za popędem obywatelskich przekonań, rozkazał wyprawić świetny pogrzeb Eteoklesowi, jako walczącemu w obronie kraju; przeciwnie, odmówił czci pośmiertnéj Polinikowi za to, iż ten sprowadził nieprzyjaciół na gród ojczysty i groził mu zniszczeniem. Kazał więc ciało jego wyrzucić obnażone na pole i postawił straż, iżby nikt nie ważył się go pogrzebać; na nieposłusznych zaś nałożył surową odpowiedzialność. Tymczasem *Antygona*, siostra nieszczęśliwych współzawodników, powodowana uczuciem bratniém, postanawia jakąbądź ofiarą dopełnić wzbronionego pogrzebu.

Antygona, Ismena.

ANTYGONA.

Ismeno! siostro po krwi i niedoli!
Już pono wszystkie winy Edypowe
Zeus zwalił w klęskach na potomstwa głowę....
Wszak myśmy wszystko, co smuci i boli
Musieli cierpieć cały ciąg żywota:
Dziś jeszcze hańby grozi nam sromota!
Czy znasz okrutny wyrok króla nowy,
O którym różne w mieście krążą mowy?...
Słyszałaś?... wiész-że co on w sobie mieści?...
Cios nowéj dla nas z rąk wrogów boleści!

ISMENA.

Nie, Antygono! ja nie wiem nic zgoła.
Mnie, odkąd bracia, po długiéj rozterce
Dwa razem groty w bratnie wbili serce,
Żadna wieść smutna, ni żadna wesoła.
A gdy straż Argów podczas nocnéj doby
Umknęła z miasta; nic nie widzę, coby
Mogło pogorszyć dolę lub poprawić.

ANTYGONA.

Wiem; po toż z dworca wiodę cię tajemnie,
Byś sama wszystko słyszała odemnie.

ISMENA.

Cóż to jest?... masz mi coś strasznego zjawić?!

ANTYGONA.

Kreon mym braciom różny pogrzeb sprawił:
Jednego uczcił, drugiego zniesławił.

Wszak Eteokla zacnie, po zwyczaju
Do ziemi schował według praw; że śmiało,
Godnie mógł zstąpić do umarłych kraju.
A nieszczęsnego Polinika ciało
Wzbrania wszem ziomkom, wzbrania mnie i tobie
Złożyć do grobu, zapłakać przy grobie.
Bez łzy pogrzebnéj leży, aż nań z góry
Drapieżne ptaków uderzą pazury.
Takąto dobry Kreon, taką wolę
Rzuca na twoję i moję niedolę.
Sam on tu przyjdzie jeszcze ją objawić
Tym, co nie wiedzą; ceni ją wysoce:
A ktoby ważył się jéj opór stawić,
I wbrew zakazom pogrzeb mu wyprawić;
Tego kamieńmi lud na śmierć zdruzgoce.
Teraz więc pora, abyś okazała
Co jest w krwie twojéj: wielkość czy zakała!

ISMENA.

O nieszczęśliwa! co téż ci się marzy!
Mój czyn, me słowo, co w téj biédzie waży?

ANTYGONA.

Pytam: chcesz ze mną swe zjednoczyć siły?

ISMENA.

Lecz jakież myśli twojéj jest dążenie?

ANTYGONA.

Pomóż mi ciało złożyć do mogiły.

ISMENA.

I tyżbyś śmiała? mimo ogłoszenie!...

ANTYGONA.

O tak! dokonam, bodajby bez ciebie:
Któż nazwie zbrodnią, że brata pogrzebię?

ISMENA.

Niebaczna! jakto? wbrew Kreona woli!

ANTYGONA.

Nie uczcić brata on mię nie zniewoli.

ISMENA

Przebóg—o siostro! rozważ los ojcowy:
On zmarł pod hańby i przekleństwa tłokiem;
On, przerażony zbrodni swych widokiem,
Własną prawicą wydarł oczy z głowy.
A matka jego i zarazem żona
Marnie w pętlicy zaciśniętéj kona.

A nasi bracia, ich nieszczęsne syny,
Wzajemnie zbrojąc nienawistne dłonie,
Upadli razem w bratobójczym zgonie.
Myśmy zostały jak szczątek jedyny:
Więc zważ, o ile gorzéjby nam było
Pogardzać władców i wyroków siłą.
Pomnij i na to, że nie my, kobiety,
Z mężami możem mierzyć się, niestety!
Raczéj, dźwigając konieczną niewolę,
Znieść te, a choćby i gorętsze bole.
Więc ja, rzucając opór nadaremny,
Przebłagam za to bogów świat podziemny,
I rozkaz władzy miéć będę na pieczy.
—Nierozum żądać niepodobnych rzeczy.

ANTYGONA.

Ja cię nie zmuszam; jestem owszem rada,
Że to do twojéj myśli nie przypada.
Czyń jak chcesz: brata ja sama pogrzebię,
A potém umrę śmiercią świętéj zbrodni.
O! piękną śmiercią; i tak nieodrodni
Wzajemną miłość złożym obok siebie.
Ja się chcę bogom zasłużyć, bo z niemi
Dłużéj mi bywać, niż z ludźmi na ziemi.
A ty, czyń według własnych uczuć tajni:
Gardź tém, co bogi szanować zwyczajni.

ISMENA.

Ja tém nie gardzę, ale mamże siłę
Zdolną rozbroić wszystkie miasta straże?

ANTYGONA.

To twe wymówki; lecz ja się odważę
Drogiemu bratu usypać mogiłę.

ISMENA.

O nieszczęśliwa! lękam się o ciebie.

ANTYGONA.

Nie trwoż się o mnie: dźwignij raczéj siebie.

ISMENA.

Niech o tém ucho nie słyszy niczyje;
Ukryj swój zamiar i ja go ukryję.

ANTYGONA.

Nie!... głoś! mnie jeszcze gorszą byś się zdała,
Gdybyś milczeniem czyn mój pokryć chciała.

ISMENA.

Gorąca krew cię z zimnéj myśli zwodzi.

ANTYGONA.

Lecz zjednam bogów, o których mi chodzi.

ISMENA.

Jeśli-ć się uda zbyt śmiałe żądanie.

ANTYGONA.

Wtedy dam pokój, gdy mi sił niestanie.

ISMENA.

W niepodobieństwach już sam wstęp jest błędem.

ANTYGONA.

Przestań tych uwag, bo cię znienawidzę,
Bo cię przed zmarłym i słusznie ohydzę.
Co bądź, ja pójdę za myśli mych pędem:
Choć niepomyślność stanie mi na przedzie,
Przecz mnie od pięknéj śmierci nie odwiedzie.

ISMENA.

Więc czyń jak myślisz, kiedy chcesz koniecznie:
Błądzisz ty zdaniem, lecz kochasz statecznie.

Chór.

1.

O! promieniu słońca, ty!
Któryś dziś rozświecił nam
Ponad siedm tebańskich bram
Najpiękniejszy z pięknych dni:
Złote oko dnia! twój bieg
Złotem barwi Dyrcyi brzeg (1).
Jako spieszny pochód twój,
Tak w ucieczce, ów potężny
Pierzchał od nas wróg orężny,
Biało-tarczny Argów wój.
Gwoli Polinika zdrad,
W przeraźliwy okrzyk z góry,
Jako orzeł śnieżno-pióry,
On na ziemię naszą padł.
A wystąpił groźny, zbrojny;
A hełm jego włosiem strojny.

2.

On przy murach naszych stał,
Dzid morderczych stawiąc wał

(1) *Dyrcya*, jestto krynica czyli strumyk sączący się u podnoża eb.

Koło siedmiu miasta bram;
Lecz nim krew wytoczył nam,
Nim płomieniem buchnął w gród,
Sam haniebnie umknął wprzód.
Tak Haresa grzmiący krok
Rzuca na wstecz wrogów szyk;
Tak na groźny jego krzyk
Nieprzyjaciel pierzcha smok.
Pyszny język—Zeusa gniéw:
Więc on widząc złota blask,
Ich orężów dumny trzask,
Ich przedwczesny chluby śpiéw;
Zionął grom—wróg runął z góry
I ucichły zwycięztw chóry.

3.

Zadrżał ów witeź co z ogniem stał
I rozjuszony na ziemię legł,
A złością wściekłą na miasto ział,
A tchem przekleństwa powietrze siekł.
Na innych inne rozrzuca klęski
Z bojowéj dłoni Hares zwycięzki.
W siedmiu, przed siedmią Tebów bramami
Cięli się wodze z siedmią wodzami;
I wszystkich zbroje i wszystkich broń
Przeszła jak trofej na Zeusa dłoń.
Lecz najbiedniejsi dwaj zapaśnicy
Z jednego ojca, jednéj rodzicy,
Co długo walcząc o ojców tron,
Wspólny w zwycięztwie znaleźli zgon.

4.

Zwycięztwo!.. huknie radosna wieść
Na wozo-słynny tebański gród.
Ucichły klęski i cały lud
Ciągnie do świątyń; bogom na cześć
Przez noc, noc całą pląsy zawiedzie,
A Bach rozkoszny Tebom na przedzie.
I otoż właśnie zbliża się sam,
Zbliża się Kreon syn Menojkowy,
Królem téj ziemi przysądzon nam
Według niedawnéj bogów umowy.
I coś ważnego w myśli mu ciąży,
I coś nam zjawić pewnie tu dąży,
Gdy tę poważną starców gromadę
Głośnym rozkazem wezwał na radę.

Kreon, Chór.

KREON.

Mężowie! bóstwa, co długo kraj cały
Burzami siekły, dziś mu spokój dały.
Jam was dlatego wezwał przed innemi,
Bo wiem, że wyście każdéj życia chwili
Dzielném ramieniem tron Laja chronili;
Późniéj Edypa gdy władał w téj ziemi,
A późniéj z równą wiernością i chwałą
Wspierali synów, gdy ojca niestało.
A kiedy wspólne wywiodły ich losy
Do boju, w którym przez dwa niecne ciosy
Razem z ich życiem zginęła i zwada;
Więc tron i władza mnie, po krwi, przypada.
Nie wprzód człowieka człowiek zmierzyć umie
Po jego duszy, sercu i rozumie,
Aż się u rządów z myśli swych wygada.
Co do mnie wszakże: ja rządów sternika,
Co rad cnych ludzi w żadnéj nie ma cenie,
Owszem ich usta postrachem zamyka,
Najgorszym człekiem mieniłem i mienię.
A komu lepszy druh, niźli ojczyzna,
To nędzarz—prawda? każdy z was mi przyzna....
Jéj tylko dobra niech każdy przestrzega,
Bo na niém dobro powszechne polega;
A gdy kraj szczęściem szeroko zasłynie,
To nam na wiernéj nie zbędzie drużynie.
Takie zasady państwo nasze wzmogą,
Takich ja zasad postępując drogą,
To, względem synów Edypa, ziomkowie!
Dla powszechnego pożytku stanowię:
Eteokl, który przy kraju obronie
Legł, dzielnie walcząc, w bohatera zgonie;
Niechaj ma pogrzeb, niech go czczą ołtarze,
Jak zwyczaj zacnych po śmierci czcić każe.
Ale brat jego, ów Polinik srogi,
Ten zbieg z wygnania, co do kraju wrócił,
By spalił miasto z domowemi bogi,
Wypił krew braciom, niewolą narzucił;
Tego nie uczci ni łza, ni mogiła.
—Jako mój rozkaz miastu zapowiada,
Niech leży nagi, jako zdobycz miła
Dla psów żarłocznych, dla ptaków biesiada.
To moje zdanie. O! ja nigdy złemu
Nie przyznam względów należnych zacnemu;

A prawy kraju syn, zawsze i wszędzie,
Żyw czy umarły, uprzejmym mi będzie.

CHÓR.

O przyjacielu i o wrogu kraju,
Zdanie twe, naszém. Synu Menojkowy!
Wola ci sądzić według praw zwyczaju
Jako umarłych, tak nas, żywe głowy.

KREON.

Baczcież, by słowa moje się spełniły.

CHÓR.

Zleć to młodszemu, co ma więcéj siły.

KREON.

Lecz ja strzedz trupa już zleciłem straży.

CHÓR.

Jakież prócz tego jeszcze twe życzenie?

KREON.

Na nieposłusznych dawajcie baczenie.

CHÓR.

Głupi się chyba po śmierć iść poważy.

KREON.

Choć kara pewna, lecz pomnieć nie wadzi,
Że chciwość zysku często źle poradzi.

Strażnik, Kreon, Chór.

STRAŻNIK.

Ja ci nie powiem, żem bez tchu, o panie!
Żem lekką nogą biegł na twe spotkanie.
Nieraz mnie owszem strach chwytał za nogi,
Nieraz mi szeptał, abym wrócił z drogi.
I dusza w różném mówiła mi słowie:
—„Gdzie pędzisz? biedny! nie spiesz się, bo zginiesz:
Wstrzymaj się!" To znów: „Lecz Kreon się dowie
Od innych o tém; z karą się nie zminiesz."
W takichto myślach wolniała ma noga,
I krótka, długą stała mi się droga.
Tu wreszcie przybyć rozwaga radziła,
A choć wieść moja, wieść nader niemiła,
To wszakże inna nie czeka mnie biada
Prócz téj, co z woli przeznaczeń przypada.

KREON.

Cóż to jest? zkąd ci ta trwoga przychodzi?

STRAŻNIK.

Wprzód co mnie tyczy powiedzieć ci chciałem:
Nie jam jest sprawcą, sprawcy nie widziałem,
Mnie tedy karać za to się nie godzi.

KREON.

Bardzoś ostrożny i w obronie biegły:
To coś ważnego słowa twe zastrzegły.

STRAŻNIK.

To ciężar troski tak człowieka gniecie.

KREON.

Więc, lub precz ruszaj, lub raz gadaj przecie!

STRAŻNIK.

A więc ci powiem. Owoż, ktoś się zjawił,
Co trupa złożył jakoby w mogile,
Przysypał piaskiem i obrząd odprawił.

KREON.

Któżto się z ludzi rozzuchwalił tyle?!

STRAŻNIK.

Nie wiem; najmniejsze nawet nie zostały
Czy to motyki, czy topora znaki,
Ni koła wozu ziemię wydeptały;
Że sprawca uszedł bez żadnéj poszlaki.
Co, strażnik dzienny gdy z jutrzenki brzaskiem
Doniósł nam, każdy smutno ważył w sobie:
Trupa nie widać, choć leżał nie w grobie,
Lecz lekko, zprędka przysypany piaskiem.
Nie pozostały przytém żadne ślady
Drapieżnych zwierząt albo psiéj gromady.
Daléjże hałas wszczął się między nami:
Strażnik strażnika łżył złemi słowami,
A od słów wkrótce i bójka gotowa.
Nie było komu wyrzec miru słowa,
Jeden drugiego zwał zbrodniem, złorzeczył;
A nikt nie wiedział, a każdy zaprzeczył.
Aż wreszcie wszyscy pragnęliśmy razem
Skakać przez ogień z gorącém żelazem (1),

(1) To wyrażenie nasuwa na myśl średniowieczne sądy boże, odbywające się przez ogień, żelazo, wodę wrzącą i t. p.

Kląć się na bogi, że w tém złem bezczynni,
Spółwiedzą nawet byliśmy niewinni.
Lecz gdy narada wcale nas nie krzepi,
Ozwał się jeden; a śród jego mowy
Ku ziemi wszystkim wraz opadły głowy,
Bo ni zaprzeczyć, ni wymyślić lepiéj.
On tedy prawił, by w takiéj potrzebie
Wręcz, bez ogródki zawiadomić ciebie.
I to przemogło; a losów zrządzenie
Mnie to nędznemu wskazało zlecenie.
Niechętny, stawam przy niechętnych—czuję:
Posła złych wieści któż chętnie przyjmuje?

CHÓR.

O królu! cicha myśl mi szemrze w głowie,
Czy tu sprawcami nie sami bogowie?

KREON.

Przestań! bo gniewu dopełniając miary,
Powiem, żeś tyle głupi, ile stary.
To niesłychana, by takie pleść baśnie:
Bógby się zajmał takim człekiem właśnie!
Tegożby mieli czcić bogowie sami
Co przyszedł wydrzéć im własność; podpalić
Ich święte chramy wsparte filarami;
Ich ziemię zburzyć i prawa obalić?
Widziałżeś, aby złych czcili bogowie?
Nie!... lecz wiem, szemrzą niektórzy ziomkowie,
Wzruszają głową, na ich karki harde
Jarzmo méj władzy zdaje się zatwarde.
Onito—rozum jasno wierzyć każe—
Przynętą zysku podłechtali straże.
Siła klęsk ciąży na ludziach, a przecie
Klęska pieniędzy najzgubniejsza w świecie:
Bo piéniądz grody i strzechy pustoszy,
Piéniądz i z prawych serc cnotę wypłoszy,
Uczy złych celów podstępem dościgać,
Przed żadną zbrodnią nie umié się wzdrygać.
Lecz sprawiedliwość takich nie prześlepi,
Których do złego widok zysku krzepi.
Jeśli więc Zeusa cześć coś u mnie znaczy,
Wiedz—to ci moja przysięga tłumaczy—
Że gdy natychmiast przed memi oczami
Sprawca pogrzebu nie stanie wraz z wami;
To nie dość śmierci, lecz co tak nie chcecie,
Więc w mękach wisząc zbrodnia wykryjecie:
Byście na przyszłość mieli znak dowodny,
Gdzie zysk jest prawy, a gdzie karogodny;

Dam wam przestrogę, która was nauczy,
Że zysk nieprawy jakośto nie tuczy.

STRAŻNIK.

Mówić, czy odejść? jak mi rozkazujesz?

KREON.

Czyliż nie widzisz? bolą mnie twe wieści.

STRAŻNIK.

W duszy-ż czy w uchu te boleści czujesz?

KREON.

Nie twoja, badać, gdzie się ból mój mieści.

STRAŻNIK.

Biéda, kto da się fałszywie uprzedzić.

KREON.

Mądra uwaga; to wszakże masz wiedzieć,
Że, gdy nie znajdzie się sprawca niesławy,
To wam pokażę, co to zysk nieprawy. (*odchodzi*).

STRAŻNIK.

Znajdzie.... nie znajdzie—jak z losu wypadnie;
Lecz tak lub owak, to ja wiem dokładnie,
Że mnie już więcéj twe nie ujrzy oko.
I tak jam bogom winien cześć głęboką,
Żem wbrew sądzeniu, przed karą gotową
Wymknął się jakoś i uszedłem zdrowo.

Chór.

1.

Wiele jest dziwów—a przecie
Człowiek, największy dziw w świecie.
Onto w siną głębię mórz
Oślep się rzuca, nie zważa
Czy go pęd ryczących burz
Po drżących prądach wytarza.
On wielkiéj bogini—ziemi
Nieśmiertelnéj, niezmęczonéj,
Rok w rok pługami konnemi
Pruje brzemię w różne strony.

2.

W jego rozstawione sieci
Ród leciuchny ptasząt leci:

Człowieka przemyślny um
Chwyta w splątane pętlice
I leśnych zwierzątek tłum
I wód łuskate dziedzice.
Człowieka wola, łagodzi
Najdziksze potwory gór,
W jego jarzmie milczkiem chodzi
I koń grzywiasty i tur.

3.

Człowieka darem—słowa grom,
W człowieku górnéj myśli dom,
A w myślach swych badawczy człek
Przyszłości nawet odgadł bieg.
Ni on się zlęknie mrozów tchu,
Ni ciosów gradu, ani dżdżu,
I sama niemoc przed nim pada;
Z śmiercią mu tylko trudna rada.

4.

Olbrzymia ludzkiéj myśli potęga
Nad podziw wielkich celów dosięga;
Lecz człek, swawolny w działaniu swém,
Chwieje się między dobrem i złem.
A kto podepcze prawa ojczyste,
Kto na domowe porwie się bogi;
Tego przekleństwo ściga wieczyste,
Tego ojczyzna rzuci za progi.
O! bodaj taki nigdy pospołu
Nie dzielił ze mną myśli, ni stołu.

Lecz cóżto bogi tam
Znowu zwiastują nam?
Nie wiem czy prawda, czy ztąd
Tylko mych oczu błąd...
Lecz nie; to iście ona—
Zbliża się Antygona.
O! nieszczęsnaż dziewica
Nieszczęsnego rodzica!..
Za cóż jęła cię straż?
Przekroczyłaś ty może
W swym szalonym uporze
To, co wzbronił król nasz!

Strażnik, Antygona, Kreon, Chór.

STRAŻNIK.

Gdzie Kreon? Otóż i sprawczynią mamy:
Schwytaliśmy ją na gorącym czynie.

CHÓR.

Właśnie téż Kreon wystąpił z za bramy.

KREON.

A co? wszak zdrowa przestroga nie ginie.

STRAŻNIK.

Królu! człek próżno czegoś się odrzeka:
Przed nową myślą stara mysl ucieka.
Ja sam, groźbami twemi wystraszony
Przysiągłem nigdy nie wrócić w te strony,
A mimo przysiąg przecież znów przychodzę:
Bo mnie tu wiedzie radość niesłychana,
Tém pożądańsza, że nadspodziewana;
I tę ci oto dziewicę przywodzę,
Którąśmy właśnie w saméj czynu chwili,
Gdy trupa miała grzebać, pochwycili.
I to, nie powiem, by tak losy chciały,
Ale z téj sprawy moim jest zysk cały.
Masz oto, królu, sprawczynią niedoli,
Badaj ją, osądź po zdaniu i woli,
A ja, uwolnion, raz już przecie mogę
Odetchnąć szczerze i pójść w swoję drogę.

KREON.

Zkąd ją przywiodłeś, powiédz—i dlaczego?

STRAŻNIK.

Ona jest winną—dowiész się wszystkiego.

KREON.

Prawdę-ż ty mówisz? rozumiész swe słowa?

STRAŻNIK.

Taż-em ją widział chowającą ciało
Wbrew twym zakazom: jasnaż ci ta mowa?

KREON.

Jakże się to jéj przestępstwo wydało?

STRAŻNIK.

Owoż, tak było:—Przed groźby twojemi
Wszyscyśmy w miejsca umknęli téj chwili,
Przyszli przed trupa, otrząsnęli z ziemi
I nadpsutego całkiem obnażyli;
Potém stanęli z wiatrem, na ustroni
Wyniosłych wzgórków, aby ujść złéj woni;
Gdzie groźno jeden drugiego przestrzegał,
By snadź od trupa okiem nie odbiegał.

Wtém, kiedy kula słoneczna—iskrząca
Uszła pół drogi, siejąc war gorąca;
Jak świśnie wicher, a skrzydły wściekłemi
Jak sypnie kurzem od nieba do ziemi,
To wraz téż całe zaciemnił przezrocze,
Szarpiąc zielone u drzewin warkocze:
A myśmy, oczy zamknąwszy, czekali,
Aż się gniéw boży gdzieindziéj przewali.
Ucichło wreszcie, i nasze źrenice
Utkwią niebawem w jęczącą dziewicę
Głosem tak dzikiéj, tak tęsknéj rozpaczy,
Jak ptak, gdy pustki w gniazdku swém obaczy.
Tak dziko ona, tak tęskno jęczała
Stojąc około nagiego już ciała,
I straszne klątwy miotając co chwili
Na sprawców którzy dzieło jéj zniszczyli.
Niebawem znów je piaskiem przesypała,
Potém z miedzianéj, pięknie rzniętéj czary
Troiste lała na zwłoki ofiary.
Co widząc, biegniem wprost ku niéj: lecz ona
Zjawieniem naszém najmniéj niestrwożona,
Badaniom wszelkim śmiało się poddaje,
Co i jak było sama nam wyznaje.
To mnie i cieszy i zarazem boli:
Bo, żem sam jakoś wymknął się niedoli,
To dobrze; jednak smutno to jest nieco
Widzieć przyjaciół jak na zgubę lecą;
Lecz nikt mi tego za grzéch nie policzy,
Że człek przed innym sobie dobrze życzy.

KREON (*do Antygony*).

A więc mi powiédz, ty, co spuszczasz głowę:
Zapierasz, czyli stwierdzasz jego mowę?

ANTYGONA.

Nic nie zapieram:—moje to są czyny.

KREON (*do Strażnika*).

Ty możesz odejść; oczyszczonyś z winy. (*Do Antygony*).
A ty mi powiédz, lecz w krótkim zachodzie,
Znałaś mój rozkaz co do tego ciała?

ANTYGONA.

I jak! Taż głośno grzmiał po całym grodzie.

KREON.

Jakżeś ty prawom sprzeciwić się śmiała?

ANTYGONA.

Bo to nie Zeus mi ogłosił je przecie,
Ni Sprawiedliwość, co zasiada w świecie
Podziemnych bogów: ich to rzecz jedynie
Uświęcać prawa w śmiertelnych dziedzinie.
Więc nie sądziłam, ażeby ustawy
Przez śmiertelnika, jako ty, wydane,
Miały mieć wyższość nad boskiemi prawy,
Co są niezłomne, chociaż niepisane;
Których nie od dziś, nie od wczoraj wątek:
Żyją, choć wszystkim tajny ich początek.
Miałażbym, ziemskim ulegając trwogom,
Przez wzgląd na ludzi, narażać się bogom?
Nie!.. sama wszakże wiedziałam dokładnie,
Że i bez ciebie umrzeć mi wypadnie;
A, iż przyspieszam chwilę śmierci mojéj,
To mi za rozkosz i za korzyść stoi.
Bo, kogo srogi, jak mnie, ból pożera
Przez całe życie, ten wesół umiera.
A więc nie trwożę się groźby twojemi;
Lecz gdybym wspólnéj matki naszéj syna
Bez czci grobowéj odeszła na ziemi:
Wtedybym słusznie zatrwożyć się winna.
A gdy ty mniemasz, że ja w zdaniu błądzę,
Toś sam zbłąkany, tak przynajmniéj sądzę.

CHÓR.

Dzielny duch ojca odrodził się w córze:
Oboje równo niebaczni na burze.

KREON.

O! i najtrwalszy duch za czasem pęknie:
Przecież żelazo ma twardość nielada,
A patrz, jak w ogniu kruszy się i mięknie.
Najdzikszych koni rozhukane stada
Słabe wędzidła spokojnie prowadzą.
Jak śmié być hardym ten, kto jest pod władzą!
A ona znała, że mnie już znieważa
Lekceważeniem mojéj prawéj woli,
A teraz jeszcze zniewagę powtarza,
Śmiejąc się, pyszniąc z gorszącéj swawoli.
To gdyby jéj się zwycięztwo udało,
Ją, nie mnie mężem zwaćby można śmiało.
Ale czy ona krewną mi przez siostrę,
Czy bodaj bliższą niewiastę w rodzinie,
Zawsze jéj kara wzorowa nie minie.
Ja na nie obie pomsty dłoń rozpostrę,

Bo i Ismena jéj siostrunia miła
Do téj się sprawy, ręczę, przyłożyła.
Wołać ją tutaj! Ja dobrze widziałem,
Że ona jakimś opętana szałem,
A szał, niepokoj zdradza i dowodzi
Że ktoś pociemku w zdrożne cele godzi.
Ja zaś najbardziéj ohydzam człowieka,
Co w piękne słówka brzydki czyn obleka.

ANTYGONA.

Czegóż chcesz więcéj? zabij! jam gotowa.

KREON.

Nic nie chcę więcéj, to dość... ani słowa.

ANTYGONA.

Więc przestań mówić, bo próżna twa mowa.
Daremnie tylko twe mnie drażnią słowa.
Cokolwiek powiész, wielka dla mnie chwała,
Żem brata ze czcią w grobie pochowała;
I każdy tutaj równo ze mną czuje,
Tylko że bojaźń usta ich krępuje.
Bo król, przy innych, i tę moc dziedziczy,
Że każdy mówi, jak on sobie życzy.

KREON.

Zpomiędzy Teban ty jedna tak sądzisz.

ANTYGONA.

Nie—lecz ty, mówię, ich ustami rządzisz.

KREON.

Jak śmiész od innych różnego być zdania?

ANTYGONA.

Jakież to prawo czcić krewnych zabrania?

KREON.

Nie również blizkim Eteokl jest tobie?

ANTYGONA.

Nas jeden ojciec, jedna matka rodzi.

KREON.

Więc czcić bezbożnie tego się nie godzi.

ANTYGONA.

Eteokl za to nie gniewa się w grobie.

KREON.

Lecz ty go we czci równasz z bezbożnikiem.

ANTYGONA.

Toż on był bratem, nie zaś niewolnikiem.

KREON.

Tamten kraj niszczył, ten bił się za niego.

ANTYGONA.

Każdemu równe śmierć prawa nadaje.

KREON.

Zdrożna rzecz z dobrym w prawach równać złego.

ANTYGONA.

Kto wié, jak Hades prawa te uznaje.

KREON.

Po śmierci nawet—wróg wrogiem zostaje.

ANTYGONA.

Być może; jednak, wolno ci jest szydzić,
Lecz ja chcę kochać, nie zaś nienawidzić.

KREON.

Kochajże ich tam zdrowa, lecz na tamtym świecie:
Bo, póki żyję, nie dam rej tu wieść kobiecie.

CHÓR.

Otóż Ismena po drodze
Bratnie wylewa łzy,
Chmura czoło jéj mgli,
Piękna twarz spłakana srodze.

Kreon, Antygona, Ismena, Chór.

KREON.

A chodźno tutaj, ty żmijo obrzydła,
Coś się cichaczem na mą pierś czaiła!
Taż moja ręka nie wiedząc, karmiła
Dwie furye, państwa mojego straszydła.
Wyznaj mi, czyś się trudniła pogrzebem,
Czy nie, i czyli przysięgniesz przed niebem?

ISMENA.

Owszem; niech tylko siostra mi zezwoli,
Przyjmuję udział w jéj czynie i doli.

ANTYGONA.

Nie: Sprawiedliwość za złeby to wzięła;
Wszak tyś nie chciała, jam cię odepchnęła.

ISMENA.

Lecz kiedy ciebie w takiéj biédzie widzę,
Dzielić twéj kaźni wcale się nie wstydzę.

ANTYGONA.

Oj! zna to Hades i piekieł bogowie,
Że mi ten niczém, czyja miłość w słowie.

ISMENA.

O! nie sądź, siostro, że nie w mojéj sile
Umrzéć wraz z tobą na brata mogile.

ANTYGONA.

Po co umiérać? dosyć mego zgonu.
Co się domagasz nie swojego plonu!

ISMENA.

Cóż, gdy cię stracę, życie mi osłodzi?

ANTYGONA.

Spytaj Kreona—on cię tak obchodzi.

ISMENA.

Dlaczegoż próżno rozdzierasz mi duszę?

ANTYGONA.

Z boleścią wprawdzie śmiać się z ciebie muszę.

ISMENA.

W czémże ci przecie mogę być usłużną?

ANTYGONA.

Usłuż ty sobie, nie chcę ci być dłużną.

ISMENA.

Biadaż mi! nie chcesz bym twą śmierć dzieliła!

ANTYGONA.

Wszakżeś ty życia, jam śmierci życzyła.

ISMENA.

Oh! czemuś mojém pogardziła zdaniem!

ANTYGONA.

Każda z nas poszła za swém przekonaniem.

ISMENA.

Więc niech nas złączą wspólne wykroczenia.

ANTYGONA.

Ty żyj! jam dawno martwa już z cierpienia;
Dziś jestem tylko sługą zmarłych braci.

KREON.

Z tych dwojga dziewek, ta, dziś rozum traci,
Tamta, nie miała go od urodzenia.

ISMENA.

Królu! gdy człowiek z złym losem się biedzi,
Najtęższy rozum w miejscu nie dosiedzi.

KREON.

Ciebie znać odbiegł, gdy chcesz ginąć z złemi.

ISMENA.

Bo bez niéj cóż mi po życiu na ziemi?

KREON.

Trudno; od dzisiaj już jéj życie kona.

ISMENA.

Przecz to twojego syna narzeczona.

KREON.

Niewielka strata; czyżto niewiast mało?

ISMENA.

Czyż to ich z twojéj ręki spotkać miało?

KREON.

Nie chcę dla syna tak niegodnéj żony.

ISMENA.

Jakżeś, Hemonie, przez ojca wzgardzony!

KREON.

Nudzisz mnie ty i twoja gadanina.

ISMENA.

Więc chcesz ją gwałtem wyrwać z objęć syna?

KREON.

Hades rozerwie te niegodne śluby.

ISMENA.

Toś rzekł ostatnie słowo naszéj zguby?

KREON.

Tak, tak-- ostatnie. Sam tu! rychlej, draby!
Zabrać mi precz ztąd i zamknąć te baby:
Bo to ci wszyscy śmiałkowie z widzenia
Od śmierci w nogach szukają schronienia.

Chór.

1.

Szczęsny ten, co w ciągu lat
Umknął ciężkich z losem zwad;
Ależ biada temu, biada!
Na czyj dom gniéw boży pada.
Ród jego w wieczyste czasy
Z nieszczęściem idzie w zapasy.
To, jak trackich wichrów huk
Śród egejskich zagrzmi strug;
Wraz kipiący morza spód
W górę czarnym ciska piaskiem,
A bałwany z głębi wód
O brzeg z groźnym biją wrzaskiem.

2.

Tak, widzę, nieszczęść kolejnych grom
Pada na dawny Labdaków dom.
Próżno się w klęskach miota ród stary,
Nowego rodu nie zwolni z kary;
Jakby za niemi mściwy bóg jaki
Gonił bez przerwy we wszystkie szlaki.
Błysł niby jakiś promyk nadziei
Ponad Edypa synów głowami,
Ale ci, w ciągłych szaleństw kolei,
W grób się przez zawiść strącili sami.

3.

Zeusie! jakkolwiek dumny człek,
Z twą wolą przecz nie walczyć mu,
Której nie zmorzy dzielność snu,
Nie nadweręży wieków bieg.
Ty, w olimpijskich światłach król,
Nie wiész co starość jest, co ból;
I w drogę życia dajesz sam
Przestrogę wiekuistą nam:
—Kto nie chce w życiu miéć zawodu,
Nadziei niech się zrzeknie z młodu.

4.

Oj! nadzieja, istność płocha,
Niejednako ludziom służy;
Chociaż jednym prawdę wróży,
Za to drugim ani trocha:
Że człek biedny marzy błogo,
Aż w zarzewie stąpi nogą.

Nie dozwoliła, by braterskie ciało
Pastwą się ptaków, dzikich zwierząt stało;
Więc za pobożność godną złotéj chluby
Ma się stać winną kary i zguby!
Tak oni szepczą. Mnie zaś to obchodzi
Najwięcéj, co się z twym pożytkiem godzi;
Bo cóż za obraz dla dzieci wspaniały:
Widzieć rodzica w całym blasku chwały!
Więc nie trwaj, ojcze, w niewczesnym uporze,
Iż twój li rozum coś znaczy i może;
Bo i sam przyznasz, że ci, co w swéj dumie
O własnym tylko trzymają rozumie,
Swoim zdolnościom hołdują i mowie:
Że ci najczęściéj mają pustki w głowie.
A mąż im jaśniéj w głąb' rzeczy spoziera.
Tém więcéj słucha, i tém mniéj się spiera.
Patrz, kiedy zamieć pocznie drzewa chłostać:
To, co się ugnie— konary ocali;
Inne, chcąc burzy nieugięte sprostać,
Pęka w korzeniu i z trzaskiem się wali.
A żeglarz, jeśli, choć go wicher nagli,
Nie wstrzyma biegu i nie zwinie żagli;
To łódka jego chwieje się i pada,
A on na szczątki, ratując się, siada.
Więc lepiéj, ojcze, ten ci gniéw porzucić
I do pokuty wcześniéj się nawrócić.
Bo ja tak sądzę w mym młodym rozumie:
Dobrze to, jeśli człowiek samodzielnie
Zaradzić sobie w każdym razie umié;
Jeśli przeciwnie,(a mówiąc rzetelnie
To traf najczęstszy), więc niechaj już lepiéj
Cudzym rozumem swój rozum pokrzepi.

CHÓR.

I cóż ty na to, co on mówi, panie!
Zdaje się, oba słuszne macie zdanie.

KREON.

Wstydby mnie było na starość przed wami,
Bym miał się żywić młokosa radami.

HEMON.

Ja-ć źle nie radzę; i cóż ztąd żem młody?
Nie na wiek zważaj, ale na dowody.

KREON.

Chcesz ze mnie zrobić złych ludzi czciciela?

HEMON.

Téj przecie rady nikt ci nie udziela.

KREON.

Toż téj, twa luba, popadła chorobie.

HEMON.

Cała Teb ludność sprzeciwia się tobie.

KREON.

Ludność mi tedy ma dawać rozkazy?

HEMON.

Widzisz, jak młode są twoje wyrazy!

KREON.

Któż tedy prócz mnie w téj krainie włada?

HEMON.

Gdzie tyran rządzi, tam wolności biada!

KREON.

Prawo, od władcy kraj zależnym czyni.

HEMON.

Będziesz ty wkrótce władał tu... w pustyni.

KREON.

Tak o kobietę chodzi mu: o wstydzie!

HEMON.

Czyś ty kobiéta?— mnie o ciebie idzie.

KREON.

O, niecny synu! takto ojca sądzisz?

HEMON.

Bo widzę, ojcze, że w słuszności błądzisz.

KREON.

Ja błądzę? strzegąc me prawa od wrogów!

HEMON.

Nie! ty je depczesz, gwałcąc prawa bogów.

KREON.

O sługo babi! o wyrodne dziécię!

HEMON.

Sługą występku nie nazwiesz mnie przecie!

KREON.

Więc tak się za nią ujmujesz słowami?

HEMON.

Za nią, za tobą, za piekieł bogami.

KREON.

Ja w tém, że ty ją żywą nie zaślubisz.

HEMON.

Śmierć jéj zadając, kogoś więcéj zgubisz.

KREON.

Jeszcze śmiész z groźbą wyjeżdżać, zuchwalcze!

HEMON.

Z groźbą?.. że przeciw niesłuszności walczę!

KREON.

Chciałbyś mnie uczyć rozumu: dziękuję,
Przecież od głupich nikt go nie kupuje.

HEMON.

Gdybyś mi nie był ojcem, rzekłbym śmiało,
Że ci samemu dzisiaj go niestało.

KREON.

Czy tak?.... Przez Olimp! to już przeszło miarę.
Ta ci obelga nie ujdzie bezkarnie!
Zaraz mi tę tu sprowadzić poczwarę,
Niech w oczach gacha poniesie męczarnie!

HEMON.

Nie! ja nie będę świadkiem jéj męczeństwa,
I ty mnie więcéj nie ujrzysz na ziemi.
Sam tu pozostań z przyjacioły swemi,
Co radzi znoszą twoje okrucieństwa.

Kreon, Chór.

CHÓR.

Królu! on odszedł zagniewany srodze,
A gniéw, młodego na złéj stawia drodze.

KREON.

Niech idzie, knuje nadludzkie zamiary,
Tych przecie dziewcząt nie zwolni od kary.

CHÓR.

Więc te dziewice obie śmiercią zginą?

KREON.

Nic; ta nie zginie, co nie grzeszy winą
Pogrzebu zdrajcy: słuszne twe pytanie.

CHÓR.

A ze skazaną na śmierć co się stanie?

KREON.

Tę do odludnéj zawiodę pustyni
I tam w podziemnéj zamknę ją jaskini,
Tyle jéj tylko wyznaczając chleba,
Ile do walki ze śmiercią potrzeba
Przez dzień jedyny, jako chcą ustawy,
Aby na miasto nie ściągnąć niesławy (1).
Niechaj tam Hades, którego tak chwali
Nad wszystkich bogów, życie jéj ocali;
Albo téż pozna, chociaż po niewczasie,
Że cześć dla piekieł nie na wiele zda się.

Chór.

1.

O miłości! twa potęga
Gdzie nie spojrzéć, wszędy sięga.
Ty śród morskich toni władasz,
Do wieśniaczéj nikniesz świetlicy,
A uroków cuda składasz
Na obliczu krasnolicy.
Nieśmiertelny bóg na niebie,
Krótkotrwały człek na ziemi
Nie wyprosi się od ciebie:
Ty go ranisz strzały swemi;
A gdy w kogo strzał twój padnie,
O! tym rozum już nie władnie.

2.

Przez cię nawet ludzie godni
Idą oślep drogą zbrodni.
Ot i dziś przez ciebie właśnie
W całym rodzie dzikie waśnie.
Lecz któż oprzéć się ośmieli,
Gdy weń wzrok dziewicy strzeli?

(1) Według praw i wyobrażeń w Grecyi, niegodziło się skazanemu na głodną śmierć nie dostawić pożywienia wystarczającego przynajmniéj na jednę dobę; spełnienie dopiéro tego warunku zwalniało od wszelkiej odpowiedzialności, jakaby w przeciwnym razie ciążyła na społeczeństwie i władzy.

Oj— z miłością trudna sprawa.
Ona cichym, tajnym krokiem
U przybytków władzy stawa
Mącić prawa swym wyrokiem.
Afrodyta to bogini
Takie z ludzi żarty czyni.

Dusza wbrew prawu rwie się wzburzona
I łez w źrenicy wstrzymać nie może,
Kiedy spoglądam, jak Antygona
Dąży na swoje śmiertelne łoże.

Antygona, Chór.

ANTYGONA.

Tebańska drużyno bratnia!
Otóż ma podróż ostatnia,
Otóż na słońca promienie
Ostatnie rzucam wejrzenie.
Żywą mnie Hades zabierze
Na Acheronu wybrzeże.
Nie dla mnie ślubne ubiory,
Nie dla mnie godowe chory,
Tam, tam, Acheron zdaleka
Narzeczony mój mnie czeka.

CHÓR.

Oj! przyjmie cię dobrze tam otchłań bezdenna,
Boś głośna z swych czynów, a chlubą promienna.
Ni ciebie choroby na ciele zniszczyły,
Ni cięcia mieczowe ślad na niém wyryły;
Lecz młoda, swobodna, we wdzięków rozkwicie
Nie dbając na ludzi, opuścisz to życie.

ANTYGONA.

Słyszałam ja o dziewicy (1)
Tantalowéj biednéj córze,
Która we Frygów ziemicy
Na Sypilowéj tam górze,
Jak w gęstym bluszczowym zwoju,
Stoi w kamiennym ustroju.
I czoło jéj, wieść powiada,
Wieczystym śniegiem pokryte,
I z oczu w krople obfite
Łza po łzie na piersi spada.

(1) Niobe, zamieniona w posąg kamienny.

Tak i mnie dłoń przeznaczenia
Uśpi w powłoce z kamienia.

CHÓR.

Lecz ona od bogów wszak ród swój wywodzi,
Nas zasię śmiertelnych, śmiertelna krew rodzi;
Więc tobie wyroki snadź chluby przyczynią,
Gdy masz się choć w skonie porównać z boginią.

ANTYGONA.

Przebóg! szydzi ze mnie lud.
Cóż mnie tak wcześnie szarpiecie?
Toć ja jeszcze żyję przecie;
Czekajcie, niech umrę wprzód.

O ojczyzno! o ziomkowie!
Znakomici, cni mężowie!
O wy Dyrcyi strugi kręte!
O tebańskie gaje święte!
Wzywam was, wzywam na świadki,
Jak lud mi życia ostatki
Cierpkiemi słowy zatruwa!
Jako prawo nieugięte
W grób kamienny mnie zakuwa!

O jakże ja nieszczęśliwa!
Ni to zmarła, ni to żywa;
Ni mnie z ludźmi dziś na ziemi,
Ni z duchami podziemnemi.

CHÓR.

Na prawo się targnąć ważyła twa buta!
Oj, córko! to pewnie za ojca pokuta.

ANTYGONA.

Oj, najkrwawszą serca ranę,
Ty rozklepiasz temi słowy,
Wspominając los ojcowy
I Labdaków klęski znane.
Nieszczęsny-ż ślub! Matko miła
Za coś syna poślubiła!
Bym ja, sprosnych związków dziécię,
Tak cierpiała na tym świecie! . . .
Ja, lubego pozbawiona
I sromotnie potępiona
Srogich ludzi ustawami,
Mam do piekieł iść za wami!

Twoja śmierć, mój bracie miły,
Tweto śluby mnie zabiły! (1)

CHÓR.

Cześć zmarłym, zaprawdę, rzecz piękna; lecz biada
Chcieć tego rozkazom urągać, kto włada:
A tyś się dziewico zbyt gniewem uniosła,
Więc z własnéj twéj woli twa zguba wyrosła.

ANTYGONA.

Bez pociechy, sama jedna
W drogę śmierci idę biedna.
Już ja słońca oczy niemi
Świętych blasków nie obaczę;
Ni mnie wspomni kto na ziemi,
Ni z litości druh zapłacze!

Kreon, Antygona, Chór.

KREON.

Wszak wiecie, że te żale końcaby nie miały,
Gdyby na śmierć sądzonym na coś się przydały.
Czemuście mi jéj dotąd z oczu nie sprzątnęli
Jako wam rozkazałem?.. Czyście nie słyszeli?
Zamknąć mi ją natychmiast w tém czarném więzieniu:
Tam, niechaj sobie umrze, lub żyje w kamieniu.
Niech kraj się od występnéj raz uwolni przecie
I ona niech przestanie bruździć na tym świecie.

ANTYGONA.

O zimne grobowisko! podziemna tajnico!
O ślubne łoże! wieczna, więzienna strażnico!
Gdzie ja mam się połączyć z moich krewnych gronem,
Których liczba największa Persefony plonem!
Ja umieram ostatnia, nędzna męczennica
Wprzód, nim mnie Przeznaczenia wskazała prawica.
Lecz, ojcze!—matko!—bracie! to przynajmniéj tuszę
Że wam przybyciem mojém rozraduję duszę:
Bom ja mą własną ręką myła wasze ciała,
Jam też czystą objatę na wasz grób wylała;
A teraz mnie tak sroga nagroda spotyka,
Żem ze czcią pogrzebała brata Polinika.
Każdy mędrzec słusznemi nazwie moje kroki.

(1) Polinik pojął podobno za żonę córkę Adrastesa: do tego więc słowa Antygony zdają się stosować; inaczéj, miejsce to w texcie byłoby bardzo trudne do wytłumaczenia.

Ja, gdybym miała męża, gdybym miała dziecię,
To pogrzebać ich nigdy nie śmiałabym przecie
Gdyby mi tego władców wzbraniały wyroki.
Dziś pochowałam brata: spytacie, dlaczego?...
—Gdyby mąż zginął, znaleźć mogłabym drugiego;
Gdybym straciła syna, innyby się zrodził
Z innego męża, coby boleść mą osłodził:
Lecz gdy rodzice moi zeszli z tego świata,
Toć już przecie nie mogę spodziewać się brata.
A żem cię, miły bracie, pochowała godnie,
Więc mnie Kreon oskarżył o okropną zbrodnię,
Samowolnym rozkazem skazał na katusze;
I mnie z pośrodka ziomków gwałtem pochwycono,
I ja w dziewiczéj szacie zejść ze świata muszę,
Nie znając co za rozkosz być matką i żoną.
Opuszczona od wszystkich, sama, nieszczęśliwa,
Do jaskini umarłych wloką mnie za żywa:
W czém ja wam przewiniłam? nieśmiertelne bogi!
Lecz i do was ja próżno wznoszę okrzyk trwogi,
Gdyć mnie za czyn pobożny, tu, pod waszém okiem
Karzą, jak bezbożnicę, śmiertelnym wyrokiem!
Ha! jeżeli bogowie uznają mą winę,
Więc dobrze: niech się spełni moich cierpień miara;
Lecz jeśli ja niewinnie z rąk mych katów ginę,
To życzę, by ich sroższa nie dotknęła kara.

CHÓR.

W jéj piersi ciągle tchnie duch ten sam.

KREON.

Lecz biada wam!
Ona w więzieniu winna być już.

ANTYGONA.

Oh! za twém słowem śmierć idzie tuż!

KREON.

Nie myśl, by los twój zmienić się miał.
Spełni się wyrok, jaki-m raz dał.

ANTYGONA.

Rodzinna ziemio, o Teby moje!
Bogi ojczyste! tebańscy woje!
Patrzcie, zaświadczcie jak ginę marnie,
Na co mi wyszła troskliwość bratnia,
Od jakich ludzi znoszę męczarnie,
Ja, waszych królów córa ostatnia!

Chór.

1.

Wszak i Danae świetna też z rodu,
Którą w miedzianéj wieży zaparto,
Słoneczne blaski oczom wydarto,
Więc w ciemnym grobie zmarła za młodu:
Chociaż wiész, córko, że w głębi łona
Kryła złociste Zeusa nasiona.
Ale przeznaczeń wola niezgięta!
Jéj słuchać muszą czarne okręta
Pluszczące w falach; pod jéj rozkazem
Wieże i wojny grzmiące żelazem.

2.

I król Hedonów, Dryasa dziécię (1)
Okrutnéj doli doznał na świecie:
Śmiał się Bachowi stawić zuchwale,
Więc on téż żywcem zakuł go w skale.
Dopiéro poznał półgłówek ów
Jak bogi karzą bezbożność słów.
Bo téż doprawdy szalał zawiele:
Wstrzymał Bachantek huczne wesele,
Kagańców Bacha stłumił błyskanie,
Rozgniewał Muzy głusząc ich granie.

3.

Między Bosforem i Salmydessem, (2)
Tam, gdzie Cyanu wązkie przestworze
Na dwie rozłogi rozkłada morze,
Gdzie ludy żyją z bogiem Haresem;
Syny Fineja tam, w obec boga,
Przez niesłychaną macochy zbrodnię
Stracili jasne wzroku pochodnie.
Oj! biedneż dzieci! macocha sroga
Zbroi dłoń krwawą w ostrą iglicę
I ostrz w pasierbów topi źrenice.

(1) Syn Dryasa, *Likurg* król Tracyi, którego Bach za obelgi zamknął w jaskini gór Pangeju.

(2) Salmydess, miasto leżące w Tracyi naprzeciw wybrzeża azyatyckiego: w témto mieście panował Finej, o którym powiada Apollodor w *Bibliotece*, że ożenił się z Kleopatrą córką Borea (wiatr północny) i Orytyi—córki Erechta. Z téjto Kleopatry miał dwóch synów; po jéj zaś śmierci ożenił się z córką Dardana, Idają, która z nienawiści ku Kleopatrze obu jéj synów oślepiła. Inni temu jéj czynowi inną naznaczają przyczynę.

4.

A choć okropnie sami cierpieli,
Jednak nad matki losem jęczęli;
Nad losem matki, z któréj zamęźcia
Ciągle się na nich lały nieszczęścia.
Szła ona przecie z Erechtów rodu,
Córka Borea, żyła za młodu
Śród burz ojcowskich, między granity,
Z końmi w zawody biegła w gór szczyty;
A choć krew bogów—musiała przecie
Wyroków woli uledz na świecie.

Tirezyas, Kreon, Chór.

TIREZYAS.

Przezacni Teb mężowie! Otoż k'wam przychodzę,
Wiedziony przewodnika mojego oczami;
Bo ślepym, cudze oko towarzyszy w drodze.

KREON.

Cóż tam, stary Tirezy, z jakiemi wieściami?

TIREZYAS.

Ja ci wnet je opowiem; ty ufaj wieszczowi.

KREON.

Jam twoje napomnienia zawsze miał na pieczy.

TIREZYAS.

Dlategoś téż pomyślnie przywodził krajowi.

KREON.

Przyznaję, że twe rady były nie od rzeczy.

TIREZYAS.

A więc—niebezpieczeństwo ciąży nad twą głową.

KREON.

Cóż tam znowu takiego? trwoży mnie twe słowo.

TIREZYAS.

Posłuchaj, co ci moja nauka powiada:
—Siedziałem w owéj staréj wieszczbiarni, przy któréj
Bujają w dziwnych kręgach różnopióre stada;
Wtém, dzikie krzyki ptasie groźnie zagrzmią z góry:
To pewnie, myślę, wzajem szpony w siebie troczą,
Bo wrzeszczą i okropnie skrzydłami łomoczą.

Więc zaraz do ołtarzów poszedłem struchlały.
Na których w świętym ogniu objaty gorzały.
Lecz płomień nie był lśniący, wilgoć z udźców ciekła,
Opadała na popiół lub z dymem się wlekła;
Żółć nikła z wiatrem, mięso odeszło od kości
I leżało odarte z powierzchnéj tłustości.
Te to wszystkie oznaki wróżące złą dolę
Z świętych tajemnic—to mi wskazało pacholę:
Bo jak ja wodzę drugich, tak on mnie znów wodzi.
Kreonie! to przez ciebie zguba w kraj nasz godzi!
Co ptak jaki przeleci nad nasze ogniska,
Co pies przejdzie—to zdobycz na ołtarz nam ciska;
A któż to téj zdobyczy dostarcza im przecie?
To trup, zamordowane Edypowe dziécię.
Ztąd téż bogi ni modłów naszych już nie baczą,
Ni ognisk: ptacy ciągle złemi wróżby kraczą,
Jak się obżarły ciała, jak się krwi opiły
Z zabitego, co dotąd leży bez mogiły.
Zastanów się, mój synu! ludzka to rzecz, błądzić;
Ale jeśli ktoś, zamiast uporem się rządzić,
Pragnie owszem zarady i szuka jéj wszędzie:
Ten nie jest bezrozumnym, nieszczęsnym nie będzie.
W tym tylko głupstwo mieszka, kto uporem stoi.
Przestań więc nękać zwłoki, niech cię śmierć rozbroi.
Toć ja ci z serca radzę, a od przyjaciela
Miło przyjąć, jeżeli zdrowych rad udziela.

KREON.

Starcze! więc wszyscy jakby łuczników gromada
Za cel swoich pocisków moje serce bierą?
Nawet wróżbici; ale nie dziw, nie dopiero,
Dawno mnie ściga wasza przedajność i zdrada.
Lecz dobrze; bogaćcie się, grabcie—mniejsza o to—
Wszystek elektr sardyjski, wszystko Indyi złoto: (1)
To przecie niepodobna wam téj chwili dożyć,
Bym ja miał zwłoki zdrajcy do mogiły złożyć.
Choćby go nawet orły szponami ostremi
Przed tron samego Zeusa podniosły od ziemi,
Nie pozwolę na pogrzeb i tém się nie trwożę,
Ufny, że człowiek bogom ubliżyć nie może.
Ty zaś wiédz, stary wieszczu, że najszczwańsi ludzie
Upadają i toną w niezmazanym brudzie,
Jeśli ich język miota wymowne pociski,
A myśl występna godzi na ohydne zyski.

(1) Elektr sardyjski, mieszanina złota, srebra i innych kruszców; wyrabiana w Sardes na wybrzeżach Azyi Mniejszéj.

TIREZYAS.

Ha! kto tam o tém myśli? komu to jest znane?...

KREON.

Dokończ—usłyszym jakieś prawdy oklepane.

TIREZYAS.

Rozum, jakażto piękna zaleta żywota!

KREON.

Tyle przynajmniéj, ile szkodliwą głupota.

TIREZYAS.

A jednak tego złego pełna twoja głowa.

KREON.

Nie dbam ja na wróżbity obelżywe słowa.

TIREZYAS.

Lecz za cóż mi zarzucasz, żem wieszczek fałszywy?

KREON.

Bo to każdy wróżbita na pieniądze chciwy.

TIREZYAS.

A każdy tyran goni za zyski podłemi.

KREON.

A wiész-że ty, że mówisz do króla téj ziemi?

TIREZYAS.

Wiem; bo jeśliś tu panem, to mnie masz dziękować.

KREON.

Biegłyś ty wieszcz, to prawda; lecz lubisz złe knować.

TIREZYAS.

Zmuszasz mnie, więc odkryję serca mego tajnie.

KREON.

I owszem; byleś tylko nie mówił przedajnie.

TIREZYAS.

Czy tak? więc to przedajne bywały me słowa?

KREON.

Tak; lecz mię nie wywiedzie już w pole twa mowa.

TIREZYAS.

Więc pamiętaj! nim słońce raz ziemię obiegnie,
To ostatni z twych synów śmiercią za śmierć legnie:
Przez to, żeś ty się ważył wbrew nadziemskich bogów
Strącić żyjącą duszę do podziemia progów;

Do tego, jak na udry z bogi podziemnemi,
Trzymasz bez czci pogrzebnéj zmarłego na ziemi.
I jakiémżeto prawem? Kiedyć on jest wcale
Własnością bóstw podziemnych, i żadnych praw przecie
Nie roszczą doń władnące bogi w górnym świecie;
Narzucać im te prawa, to nadto zuchwale.
Już mścicielki niebieskich bogów i piekielnych
Erynny, które karzą przestępstwa śmiertelnych,
Wkrótce wypuszczą na cię podobnych klęsk zgraję.
Czyż ja mówię dla zysku—jak ci się wydaje?
Wnet orszak żon i mężów wpadnie tu spłakany,
Zatrzęsą się od jęków twego dworca ściany,
Bo już między sąsiady hałas zgrozy wzrasta,
Żeś im trupim wyziewem pozarażał miasta.
A zkąd ten wyziew? z ciała, które, dzięki tobie,
We wnętrzu dzikich zwierząt legło niby w grobie.
Te ja, jak łucznik, z serca rzucam w gniéw twój strzały:
O! żadrżysz ty pod niemi i zbolejesz cały.
Pójdź, pacholę, odprowadź mnie w moje ustronie;
Niechaj on tu na młodszych wściekłość swą wyzionie,
Niechaj uśmierzy zdrożną burzliwość języka
I rozumniéj niż dotąd w prawdę rzeczy wnika.

Kreon, Chór.

CHÓR.

Królu! ten mąż ztąd odszedł z wieściami strasznemi.
A jako wiek pobielił moje włosy czarne,
Nie pamiętam, zaprawdę, by na naszéj ziemi
Przepowiednie się jego pokazały marne.

KREON.

Oj wiem! to téż niemała na mnie trwoga ciśnie:
Ustąpić, to byłoby tchórzostwem nielada,
A znów uporem mógłbym zgubić się umyślnie.

CHÓR.

Jeden jest na to sposób, królu: zdrowa rada.

KREON.

Radźcież mi więc, jakiego mam użyć sposobu?

CHÓR.

Najprzód masz tę dziewicę z jaskini wybawić,
Potém złożyć zmarłego popioły do grobu.

KREON.

A więc koniecznie chcecie na swojém postawić?

CHÓR.

Oj, spiesz się: kara boża pędzi nogą żwawą
Za temi, co się zwykli ociągać z poprawą.

KREON.

Przykroćto ustępować; ale trudna rada:
Kiedy bieda na karku, ustąpić wypada.

CHÓR.

Idź więc; nie daj innemu zajmać się tą sprawą.

KREON.

Natychmiast; a tymczasem niech każdy pachołek
Z siekierą w ręku biegnie na wzgórka wierzchołek.
A ja, gdym zmienił zdanie, więc wraz téż podążę
I to, co sam związałem, to i sam rozwiążę.
Trzeba się widzę godzić z prawami bożemi,
Aby spokojność życia pozyskać na ziemi.

Chór.

1.

Bachu, boże różnych mian!
Matki cnéj ozdobą-ś ty,
Córy Kadma; ojcem ci
Zeus nasz, gromowładny pan.
Czczony-ś śród italskich ziem,
Głośny na wybrzeżu tem,
Gdzie Eleuzy wspólny gród (1)
Na dzień igrzysk zwabia lud.
Gościsz i w naszéj ziemicy,
W Tebach, w Bachantek stolicy,
Gdzie Ismenu lśni przezrocze,
Gdzie nasienie wzrosło smocze (2).

2.

Jasny płomień ku twéj czci
Na Parnasu wzgórzach lśni,
Gdzie kastalski bije zdrój
I gdzie nimf koryckich rój (3)

(1) *Eleusis*, miasto nad zatoką Saronicką. Tajemnice eleuzyńskie na cześć Cerery, były uroczystością całéj Grecyi.—*Ismen* rzeczułka w okolicy Teb.

(2) Kadmus, założyciel Teb, zabił smoka, z którego zębów rozsypanych po ziemi powstał lud tebański.

(3) Grota korycyjska w górach Parnasu.

Z Bachantkami idzie w tór.
Ty z Nyzejskich schodzisz gór, (1)
Rzucasz bluszczów gęste stroje
I zielone winnic zwoje;
Słuchasz jak Bachantek grono
W Tebach pieśń grzmi nieskończoną.

3.

Teby, gród nad grody słynny,
Ulubiony to twój dom;
To twéj matki gród rodzinny,
Któréj życie wydarł grom.
Dziś, gdy on zaniemógł srogo,
Ty zbawienną zstąp nań nogą,
Przebądź Parnasu opokę,
Czy grzmiącą morza zatokę.

4.

Ty, coś wodzem gwiazd na niebie,
Ty, co pośród nocnéj pory
Uroczyste zbierasz chory;
Synu Zeusa! prosim ciebie,
Zstąp tu do nas, zstąp ze swemi
Tijadami naxyjskiemi, (2)
Co po grodzie w nocy całe
Dziką pieśnią, chorowodem
Rozbrzmiewają Jacha chwałę,
Który szaleństw ich powodem.

Poseł, Chór.

POSEŁ.

Obywatele Kadma i Amfiona grodu!
Niestała kolej życia nie daje powodu,
By się wielce frasować lub nazbyt unosić.
Po wszystkie czasy jedna tylko losu ręka
Wciąż podnosi lub zwala, co cieszy lub nęka.
Nikt przyszłości śmiertelnym nie może wygłosić.
Otóż, Kreon się zdawał najszczęśliwszym w świecie,
On wybawił od wrogów Kadmejową ziemię,
We własne ręce ujął całe rządów brzemię,
Potomstwo jego było jako bujne kwiecie;

(1) Góry Nyzejskie (Nysaei Montes) dają się spostrzegać w trzech miejscach na mappach starożytnych; tu zapewne mowa o Eubejskich.

(2) Tijady, Menady, Bachantki; wszystko to kapłanki Bacha czyli Jacha.—*Naxos* wyspa na Archipelagu.

POSEŁ.

Opowiem ja ci wszystko jak było, o pani!
I prawdy nie utaję, choć twą duszę zrani.
Co cię mam próżno słowy pochlebnemi zwodzić?
Fałsz wyjdzie na wiérzch, z prawdą najlepiéj się godzić.
Szedłem ja wskazać drogę twojemu mężowi
Na wzgórek, gdzie, przez jego bezbożne wyroki
Psy szarpały nieszczęsne Polinika zwłoki.
Oddaliśmy Hekacie cześć i Plutonowi,
By ich sobie przejednać; poczém, jak przystało,
Umywszy najuczciwiéj zabitego ciało,
Na stosie z drzewin świeżo zrąbanych złożyli,
I z rodzinnéj je ziemi mogiłą przykryli.
Zatém podchodzim do téj kamiennéj ciemnicy,
Gdzie Hades ślubne łoże zgotował dziewicy;
Aż tu jęki wyraźne usłyszał ktoś z grona,
Głos z śmiertelnéj pieczary: więc wezwał do Kreona.
Kreon podąża bliżéj i słyszy donośnie
Głuche łkania; więc westchnął i mówi żałośnie:
„O nieszczęsny! to widzę, wywróżyłem sobie;
„Jakaż się straszna groza nademną rozpiętrza!
„Straszno mi: syna mego słyszę głos w tym grobie.
„A spieszcież się drabanty! ruszajcie co żywo!
„Zwalcie głaz, który drogę zagradza do wnętrza,
„Dostańcie się do groty; chcę mieć wieść prawdziwą,
„Czy mnie istotnie jęki Hemona dochodzą,
„Czy téż mnie tylko bogi tak okrutnie zwodzą".
Posłuszni rozkazowi pół-żywego króla,
Idziemy w głąb' pieczary: patrzym—Antygona
Wisi, wstęgą z przepaski lnianéj okręcona,
A przy niéj klęczy Hemon, do piersi przytula,
Zanosi się od płaczu nad zgonem swéj lubéj.
Przeklina srogość ojca i nieszczęsne śluby.
Westchnął Kreon głęboko zobaczywszy syna,
Zbliża się i w te słowa, jęcząc upomina:
„Co ty czynisz, nieszczęsny! jakie masz zamiary?
„Nie gub się, synu! błagam, wynijdź z téj pieczary!"
A Hemon na to dzikie wlepił weń źrenice
I nic nie odpowiedział, i plunął mu w lice;
Pochwycił miecz dwusieczny; ojciec byłby nie żył:
Szczęściem w porę się cofnął, miecz w stronę uderzył.
Wtedy on już na siebie całą wściekłość zionie,
Utyka na ostrz miecza, topi go w swém łonie:
Krew bryzga, a on czując że w nim życie kona,
Pochwycił narzeczoną w mdlejące ramiona,
Na licach jéj ostatnie wyzionął westchnienie,
Z którém się krwi czerwonéj zmieszały strumienie.

Leżą więc we wzajemnym uścisku ujęci,
I Hades w domu śmierci wieczny ślub ich święci.
Z tych wydarzeń niech każdy roztropnie rozważa
Na jakie lekkomyślność nieszczęścia naraża. (*Eurydyka odchodzi*).

CHÓR.

Cóż ztąd wnosić należy, że ot Kreonowa
Odeszła spiesznie od nas, nie rzekłszy ni słowa?

POSEŁ.

Mnie samego to dziwi: jednak mam nadzieję,
Że ona posłyszawszy o śmierci synowskiéj,
A nie chcąc w całém mieście rozgłaszać swéj troski,
W domu na łono niewiast ciche łzy wyleje.
Przecież na tyle rozum jéj, zda się, wystarczy,
Że niczém lekkomyślném życia nie obarczy.

CHÓR.

Nie wiem: często w ponuréj milczenia boleści
Równa groza jak w głośnéj się rozpaczy mieści.

POSEŁ.

Ha! jak wrócę do dworca, zobaczę to wtedy,
Czy czasem ją do jakiéj chęć nie skusi biedy;
Bo przyznaję, uwaga twoja sprawiedliwa:
Że wskazówką wybuchu zbytnia cisza bywa. (*Odchodzi*).

CHÓR.

Otóż i władca sam przecie nadchodzi
I niesie w ręku ciało swego syna;
Ale po prawdzie powiedzieć się godzi,
Że w tém już jego, a nie czyja wina.

Kreon, Chór.

KREON.

Bezrozumny, wściekły gniéw!
Sroga-ż za nim ciągnie kara:
Patrzcie... patrzcie - jedna krew
I morderca i ofiara!
Otóż mych wyroków plon!
Synu—synu mój jedyny!
Tyś już nie mój; z méj cię winy
Wydarł mi przedwczesny zgon.

CHÓR.

Późno uznajesz sprawiedliwość bogów.

KREON.

Oh! uznaję! Gniewny bóg
W mojéj głowie rozum zmógł;
On mnie zguby powiódł drogą
I zamysłów moich bieg
Bezlitośną zburzył nogą.
Próżno się tu trudzi człek.

Pachołek, Kreon, Chór.

PACHOŁEK.

O panie! nad twą głową wisi klęsk gromada:
Po jednéj-ś nie ochłonął, a już druga pada.

KREON.

Nowe-ż nieszczęście do mych zawitało progów?

PACHOŁEK.

Małżonka twa po synu zabitym stroskana,
Umarła: jeszcze świeżą broczy krwią jéj rana.

KREON.

Piekło-ż przepaść klęsk zionęło,
Na mą zgubę się uwzięło?!
Jakież straszne twoje wieści
Pośle nieszczęść i boleści!
Przebóg! we mnie ten twój głos
Żga powtórny śmierci cios.
Powiédz, powiédz: czy istotnie
Jam zgubiony niepowrotnie?...
Tu mi syn w boleściach kona,
Tam okrutnie ginie żona!

PACHOŁEK.

Sam się przekonaj, już ją ze dworca wynoszą.

KREON.

Przebóg! prawda: widzę sam.
Nic więc, nic mi nie zostało:
W ręku trzymam syna ciało,
Zwłoki żony niosą tam.
Przebóg—przebóg! losie srogi!
Biedna matko—synu drogi!

PACHOŁEK.

Kiedy rozpacz okrutna tak jéj duszę tłoczy,
Razem otwiera mrokiem przyciśnięte oczy,

Upada przed ołtarzem, opłakuje sławną
Śmierć syna, Megareja, co zginął niedawno, (1)
To boleje nad dolą ostatniego syna;
Ciebie, zwąc dzieciobójcą, straszliwie przeklina.

KREON.

Biadaż—biada!
Strachem zdjęty duch mój pada.
Czemuż mieczem ramię czyje
Piersi moich nie przeszyje?
O nieszczęsny! jakąż falą
Okropności we mnie walą!

PACHOŁEK.

Złorzeczyła ci strasznie w ostatniéj godzinie,
Że przez ciebie, jak dzieci, tak i ona ginie.

KREON.

Powiédz, jaką koleją z życia się wyzuła?

PACHOŁEK.

Skoro o syna swego posłyszała zgonie,
Zaraz miecz własną ręką utopiła w łonie.

KREON.

Oh! ja nikogo o to nie winię:
Moja to sprawa, moja jedynie.
Ja cios śmiertelny zadałem wam,
Jam jest mordercą, przyznaję sam!
O przyjaciele! weźcie mnie ztąd,
Precz uprowadźcie w daleki ląd;
O! jak najspieszniéj; precz—kędy chcecie,
Bo ja już jestem niczém na świecie.

CHÓR.

Zapewne: gdy nieszczęścia opadną człowieka,
To mu ulgą jedyną, że śmierć niedaleka.

KREON.

O! niechaj padnie ostatni cios,
Zakończy śmiercią srogi mój los!
Niech padnie: czekam go najgoręcéj.
Bodajem słońca nie ujrzał więcéj!

CHÓR.

To przyszłość: komu przyszłe powierzone rzeczy,
Niech dba o Jutro, my zaś miejmy Dziś na pieczy.

(1) Megaréj jestto inny syn Kreona, którego tenże, idąc za radami Tirezyasza, poświęcił na śmierć dla ocalenia Teb.

KREON.

Bodajbym jak najprędzéj połączył się z temi
Których kochałem: to mém jedyném życzeniem.

CHÓR.

Daj ty pokój życzeniom: poki człek na ziemi,
Póty on nie uchroni się przed przeznaczeniem.

KREON.

Uprowadźcie-ż ztąd już przecie
Nieszczęsnego, co w szaleństwie
Zabił żonę, zabił dziecię!

O! ja w życia dziś męczeństwie
Nie mam spojrzéć już na kogo,
Nie wiem jaką pojść mam drogą.
Wszystko poszło tam—pod ziemię!

O zwodnicze-ż życia brzemię!
Nad mą głową straszne gromy
Los rozwiesił niewidomy.

CHÓR.

Gdy cios bolu ugodzi w człowieka,
Tém znośniejszy, im krócéj dopieka.
Na toż rozum—to szczęście—ma z nieba,
By posłusznym był bogom, jak trzeba.

A kto słowem się pyszném porywa,
Za tym w ślady każń idzie straszliwa;
Wtedy pozna rozsądku zalety
I żałuje, lecz późno, niestety!

NAZWY BÓSTW.

Zeus, *Jowisz.*
Hares, *Mars.*
Hades, Pluton, Hekate; *bożyszcza piekiel.*
Persefona, *Prozerpina.*
Afrodite, *Wenus.*

O OFIARACH ZIEMI SKŁADANYCH.

(Z CZESKIEGO, K. J. ERBENA) (*).

W wiekach średnich rozpościerały nad całą Europą żałobne swe panowanie pewne przesądy, będące zabytkami pogańskiéj epoki; hołdowały im zarówno germańskie jak i słowiańskie narody, tak, że dziś częstokroć z trudnością rozeznać przychodzi u którego z nich powstały, rozszerzając do innych wpływ swój zgubny. Jednym z takowych najbardziéj rozszerzonych a zarazem najstraszliwszych przesądów, było ofiarowanie życia ludzkiego ziemi. Do odgadnienia przyczyny i początku téj okrutnéj ofiary, dopomódz nam może zastanowienie się nad powstaniem innych podobnychże ofiar, wodzie i ogniowi czynionych. Mniemaniem było starożytnych narodów, że wszystko cokolwiek istnieje, powstało z wody i ognia: że te dwa żywioły życie wszystkiego utrzymują. Bez wilgoci i ciepła żadne życie ani wznijść, ani wzrość nie może; cóż więc dziwnego, że narody pogańskie mając je za wcielenie najwyższego, niedościgłego rozumem bóstwa, cześć boską obu tym żywiołom oddawały? Że zaś ogień i woda dopóty tylko dobroczynnie działają, dopóki nie wystąpią z granic sobie wskazanych; że gdy jedno z nich tę granicę przekroczy, przynosi zniszczenie wszelkiemu życiu: starożytni więc jak w błogich własnościach wody i ognia objawiające się względy Boga, tak w zgubném ich występowaniu gniéw Jego i niełaskę widzieli. Obawiając się takowych, a pragnąc zagniewane bóstwo przebłagać i napowrót dla siebie nakłonić, wymyślili ofiary: oddawali ogniowi lub wodzie część dobytku swego, aby Bóg, darem tym zaspokojony,

(*) Artykuł umieszczony w Czasopiśie Muzeum Czeskiego.

miłościwie się ku nim zachował, nie niszcząc lecz chroniąc ich mienie. Gdy zaś największém człowieka mieniem jest życie, domyślano się, że dla ocalenia go w pewnych przypadkach, zwłaszcza w razie powszechnego niebezpieczeństwa, potrzeba było także życie ludzkie poświęcić, opłacając równe równém, życie, życiem człowieka.

Podług wykładu starodawnych ludów, ziemia powstała z wody i ognia, skutkiem ich wzajemnego na siebie działania, człowiek zaś miał powstać z ziemi; jakoż i podziśdzień we wszystkich ludzkich językach ziemia matką się zowie. Jeżeli ogień i woda są źródłem wszelkiego, a mianowicie ludzkiego żywota; tém bardziéj rozumié się to o ziemi, z którą człowiek związany jest nierozerwanym węzłem. Na niéj mieszka, z niéj bierze pożywienie swoje, w nią nareszcie po zgonie zamieni się, jak mówią słowa staréj pieśni:

Z ziemi na ziemię przyszedłem,
Na niéj rozum naszedłem,
Po niéj chodzę jako pan,
Do niéj będę zakopan.

Skutkiem tego, starożytni ziemię także za wyższą istność uznawali i boską składali jéj cześć: i tak u Słowian, wedle dawnych świadectw była czczoną pod nazwiskiem *Żywa*, tojest bogini życia. Aby stale dobroczynną potęgą, matką ludu, jego żywicielką i chronicielką zostawała, składano jéj także obiaty. Im zaś kosztowniejsze było mienie, o które się człowiek obawiał, tém znaczniejszą dawano ofiarę; aż w końcu do tego przyszło, że dla zachowania życia, życie ludzkie jéj poświęcano. Przykłady tego, od najdawniejszych poczynając czasów, u rozlicznych znajdują się ludów. Tak naprzykład w dziejach Rzymian czytamy, jako w 362 roku przed Chrystusem otwarła się w Rzymie ziemia, z któréj zabójcza ludziom para wychodziła. W niebezpieczeństwie udali się Rzymianie do wyroczni z zapytaniem, co czynić, by złe ustało? Odpowiedziała im, że jeśli do rozpadliny wrzuconém zostanie co może być najdroższego, ziemia się zaraz zawrze. Natenczas znalazł się szlachetny młodzian Martius Curtius, który w całém uzbrojeniu dobrowolnie do przepaści się rzucił, ofiarując własne swe życie dla ocalenia ogółu, poczém zawarła się ziemia i niebezpieczeństwo ustało.

Przykłady przecież tego rodzaju rzadko się znachodzą; rzadko bowiem zdarza się podobne wulkaniczne rozpadnięcie

ziemi, co tu zapewne miejsce miało, jeśli do całego podania mamy przywiązać historyczną wiarę.

Więcéj przykładów składania w ofierze ziemi ludzkiego żywota, podają nam dawne dzieje narodów germańskich. W ogóle nigdy podobno i nigdzie nie istniało tyle okrucieństwem napiętnowanych obrzędów, nigdzie nie wylano tyle krwi ludzkiéj na cześć bóstwa, jak u przecywilizowanéj sławy niemieckiego plemienia. Nie tu jednakże miejsce szerzyć się o tém; więc o tyle tylko téj strony dotkniemy, o ile do rzeczy naszéj należy.

Ynglinga saga opowiada o nieurodzaju i powstałym ztąd niezmiernym głodzie w Szwecyi, za czasów króla Domaldego. Na odwrócenie klęski czyniono jak największe ofiary, nawet z ludzi; gdy jednakże to wszystko nie pomagało, postanowili Szwedzi uczynić najwyższą ofiarę, tojest z własnego króla, którego zabili dla uproszenia urodzaju ziemi. Dla odwrócenia chorób od dobytku i ludzi, zakopywali Niemcy żywo sztukę dobytku pod progiem obory lub grzebali żywo dziécię; aby ziemia zaspokojona tym dobrowolnym datkiem, więcéj nie wymagała ofiar. Śmiercią tą jedną spodziewano się żywot innych od zguby uchronić. Te jednakże przyczyny, jak głód lub mór powszechny, były tylko przygodne, rzadko się przytrafiające; tém samém i ofiary takowe rzadkie tylko i nieliczne być mogły, ani się upowszechnić i rozszerzyć zdołały. Lecz był jeszcze jeden okrutny rodzaj ofiar ziemi z życia ludzkiego składany, a tém częściéj się wydarzający, że wywołująca go okoliczność zupełnie od woli ludzi zawisła, i sama przez się częstokroć powtarzać się musiała. Był obyczaj przy wznoszeniu świeżych murowanych budynków, mostów, wież, grodów, aby budowla się pomyślnie wzniosła i silnie stała, zamurowywać do zakładu (fundamentu) ludzi. Przewodniczącą tu zdaje się myśl: że gdy przez takowe budowy zapewnia się ludziom bezpieczeństwo większe od żywiołów lub wrogów, a przez to ziemia wielu pozbawia się ofiar, aby się więc za to nie mściła, z góry płacono jéj dobrowolną z życia człowieka ofiarę. Pogański ten i straszliwy przesąd, niby upiór krwią żyjący, przetrwał w całéj sile aż do czasów chrześciańskich wieków średnich. Jak silne i rozległe było jego panowanie, świadczą nietylko powieści z dawnych lat na wielu miejscach zachowane, o pannach i dzieciach zamurowanych w starych gmachach, ale nadto szkielety ludzkie przy rozwalaniu murów

z dawnowiecznych zamków, wież i kościołów nierzadko się znachodzące. Przywiodę tu naprzód przykłady z niesłowiańskich krajów, jakie podał w dziele swojém Jakób Grimm. W Kodanie (Kopenhadze) na duńskiéj wyspie Zeelandyi, chciano wystawić wał czyli okop, ale jak tylko go wzniesiono, napowrót się rozsypywał. Wzięto wtedy niewinne dziécię, posadzono je w krzesełku przy stole, dano zabawki i jedzenie, a podczas gdy wesoło igrało i zajadało, dwunastu mularzy zamurowali je przy dźwięku wesołéj muzyki; potém wzniesiono nad niém kopiec, który się już więcéj nie rozsypał. Zabawki i przysmaczki dano dlatego dziecięciu, aby ofiara była niejako dobrowolną, jak owa niegdyś Rzymianina Kurcyusza; po to téż i muzyka grała, aby nie było słychać dziecięcego płaczu.

W mieście Arcie w tureckiéj ziemi, tysiąc mularzy budowało most, lecz co za dnia wystawili, to się w nocy rozwalało. Aż wreszcie usłyszano z nieba głos anioła mówiącego: „Nie będzie nic z waszéj budowy, dopóki pod nią nie zakopiecie człowieka; lecz nie może to być ani sierota, ani cudzoziemiec, tylko małżonka mistrza budowniczego". Gdy późniéj ta nieszczęsna niewiasta przyszła do mularzy, rzekł jéj małżonek budowniczy, że mu się pierścień zemknął z palca, i wpadł do zakładu (fundamentu). Obiecując go przynieść skoczyła do dołu, a wtém zamurowywać ją zaczęto; umierając przeklęła most, aby się zawsze trząsł jak listek.

Kiedy stawiano zamek Libenstejn w Turyngii, a chciano go uczynić trwałym i niezdobytym, zamurowano w niego dziécię, które haniebnie własna matka sprzedała. Mówią, że kiedy je zamurowywano, jadło gąskę i wołało: „matulu, jeszcze cię widzę"; potém: „matulu, jeszcze cię trochę widzę"; a gdy ostatni zamurowano kamień: „matulu! już cię nie widzę". Także w murach zamku Reichenfels było dziécię żywcem zamurowane, i dotąd ukazują wystający nieco kamień, za którego rozwaleniem wnetby się cała rozsypała budowla.

W arcyksięztwie rakuzkiém i w Styryi ukazują także zamki, w których podług powieści ludzie zamurowani być mieli. W roku 1571, kiedy stawiano zamek Raichenstejn w górnéj Austryi, a we wsi jedno dziécię zaginęło, ojciec jego przekonany, że je zamurowano, chcąc się pomścić, zastrzelił pana zamku; tymczasem jednak dziécię znalazło się późniéj przy żniwie w życie, w którém zabłądziwszy, a wyjść nie umiejąc, zaginęło.

Dowód głębokiego wkorzenienia się tego przesądu w duchu niemieckiego narodu pokazał się świeżo, przy stawianiu nowego mostu w mieście Halli, dokończonego dopiéro w 1843 roku: lud bowiem koniecznie tu utrzymywał, że należało dziécię w fundamentach zamurować.

Wszakże i w słowiańskich ziemiach znajdujemy stare, smutne pamiątki tego straszliwego zabobonu; choć na pociechę wspomnieć można, że utrzymują się tylko jako bajeczne powieści, przywiązane do niektórych dawnych grodów, bez żadnego odgłosu w obecném przekonaniu narodu. Nawet w zachowujących się powieściach nieznaną już jest przyczyna podobnych zamurowań: mówią one bądź o przewinieniu zagrzebanéj osoby, bądź udają to za czyn nieprzyjacielskiego okrucieństwa, bądź zupełnie milczą o powodach. Z okoliczności jedynie i z przyrównania podobnych obcych powieści, prawdziwych przyczyn domyślać się można.

W Czechach następne pod tym względem przytoczyć się dadzą miejsca:

Na północnéj stronie zamku Hasenstejna, w obwodzie zateckim, nieco opodal od téj pięknéj ruiny, wznosi się wśród gęstego lasu wysoka, obszerna wieża, od okolicznych mieszkańców męczarnicą, po czesku *Mucirnau*, po niemiecku *Merterthurm* zwana. Powiadają, że ją miał wystawić jeden z piérwszych dziedziców Hasenstejna, na więzienie dla uwiedzionych panien i ich uwodzicieli. Przytrafiło się zaś, że własna jego córka piérwsza błędu dopuściwszy się, w zakładzie wieży zamurowaną została, jéj zaś uwodziciel pod wieżą stracony. Wspomniana tu okoliczność o zamurowaniu w zakładzie wieży, odnosi się do wyżéj wymienionéj przyczyny.

Nie można nic zarzucić, że zamurowaną była uwiedziona panna, gdy zwyczajnie na ten cel wybierano niewinną istotę, zwłaszcza dziécię; a możeż być coś niewinniejszego nad dziécię, w łonie matki jeszcze zawarte?

Żeby wieża istotnie dla uwiedzionych dziewcząt stawianą być miała, jestto widoczne niepodobieństwo, z powodu zamurowanéj jednéj, wymyślone; byłato zapewne wieża strażnicza, Wychlidka, jakich się dokoła na pograniczu ziem czeskich mnóstwo spotyka.

W obwodzie taborskim, na stroméj skale stoi zamek, w kształcie podłużnego czworoboka zbudowany, Kamen nazwa-

ny; w północno-wschodniéj jego stronie, w narożniku, pod małą kaplicą zamkową, po prawéj ręce głównych wschodów, ukazują gruby mur, gdzie pannę zamurowano. Powieść o tém jest bardzo zamglona i rozmaicie powtarzaną bywa. Zwyczajnie opowiadają, że mieszkający tu Templaryusze sądzili o jakieś przewinienie trzy siostry, panny. Te na pokazanie swojéj niewinności, ułamawszy trzy suche gałęzie topolowe, wetknęły je w ziemię na łące, która podziśdzień panieńską się zowie, i wnet gałęzie rozwijać się poczęły, aż wzrosły w wielkie drzewa, które dotąd trwają. Mimo to jednak Templaryusze jednę z nich dali zamurować. W powieści téj widzimy, że panna już przy stawianiu grodu, w umyślnie na to przeznaczonym silnym murze zamurowaną była, nie zaś w późniejszym jakim czasie. Niewinność jéj podług podania nadprzyrodzonym okazana sposobem, przystaje do powyżéj wyłożonego systemu.

W zamku lipnickim w czaslawskim obwodzie, kiedy przed 50 laty, chcąc rozszerzyć kaplicę tameczną, wyłamano mur po prawéj stronie, natrafiono zagłębienie w którém dwa stojące szkielety były zamurowane. Na większym z nich była jeszcze zardzewiała żelazna zbroja, na drugim nie było żadnego śladu odzienia, tylko około karku silna żelazna obręcz, którą był do muru przykuty. W szkieletach tych rozpoznawano zwłoki mężczyzny i kobiety. Zresztą nie ma o tém żadnéj powieści. Tak w tym, jak w poprzednim razie zamurowanie panny pod kaplicą, przywodzi na pamięć szczegół, że w Danii istniał zwyczaj w kościele przy ołtarzu żywe zagrzebywać jagnię, aby ołtarz stał trwale. Takto pogańskie mniemanie w czasach ciemnoty rozumu, i w chrześciańską religią się mieszało.

Inne powieści o zamurowanych pannach po różnych czeskich zamkach, jakoto: na Tocznicy, na Rabi, Richenbarku i t. d. nieprzynoszące do naszego przedmiotu żadnego nowego poglądu, opuszczamy.

Nie wątpię, że rzeczony zabobon istniał także i w Morawii, jakkolwiek nie doszła nas żadna podobna o zamkach morawskich powieść, prócz jedynej zamieszczonéj w pismie przez Hormajera wydawaném: *Taschenbuch für vaterländische Geschichte*, na rok 1820, pod napisem: *Das Kind im Grundstejn.*

Ślady istnienia tego przesądu znajdują się i u Słowaków. Oto jest stara dochowana tam pieśń o zamurowaniu kochanki w zielonéj wieży:

„Rubali zelenu weżu,
Że tam ma milu zawezu.
Už ju odsužuju
Że ju zamuruju.

Preco wy ju murujete
A mne darmo sužujete?
Radsz ma usmirtite,
Milu propustite.

Pod wežu wietrik zawiwa,
Na weži si sejczik spiwa,
Spiwa žalostiwie
Że už niet na żywie.

Spiwej si ten mily sejczku!
Spiwej zalostnu pisniczku:
Ruza w oknie stala,
Ale už uvadla"

Kolar odnosi tę pieśń do Skalicy, w któréj dotąd ukazują w górnéj stronie miasta szczątki wjezdnéj bramy, gdzie stała zielona wieża.

Najwięcéj jednak świadectw i pamiątek okrutnego tego zwyczaju przechowuje się u Słowian naddunajskich, w pieśniach i powieściach objaśniających zarazem prawdziwą przyczynę okrucieństwa. O założeniu miasta Detyńca, podług świadectwa Popowa, jest podanie, że Słowianie chcąc nowe miasto nad Dunajem budować, wysłali rankiem przed wschodem słońca kilku wybranych z ludu, aby piérwszego spotkanego chłopca pochwycili, i do zakładu nowéj budowy zagrzebali. Ztąd to miasto nosi miano Detinec. Inne podobnież smutne zdarzenie opowiada pieśń o założeniu zamku Skadra (Skutari), w zbiorze Wuka Stefanowicza przywiedziona (1). W objaśnieniu do niéj Wuk Stefanowicz powiada, że podziśdzień trwa jeszcze u Serbów przesąd, jakoby nie można rozpocząć żadnéj wielkiéj budowy, nie zamurowawszy w niéj kogoś, zwłaszcza dziewczyny. Jest jeszcze mniemanie, że niekoniecznie człowieka, ale cień jego zamurować można, poczém on sam wnet umrze: dlatego stroni tam każdy od miejsc, gdzie świeże budują się mury.

Dobroczynny, wszelkiemu okrucieństwu przeciwny duch chrześciańskiéj wiary nie mógł na długo iść w parze z tém haniebném urojeniem zaćmionego ludzkiego rozumu; nie mogąc go jednak od razu wykorzenić, naprzód je umiarkował, ludziom nieszkodliwém uczynił; a następnie z postępem czasu, pamięć jego we wszystkich nieomal chrześciańskich krajach ze szczętem zagładził. Jakeśmy to już powyżéj wspomnieli, w Danii pod ołtarze w kościołach zamurowywano jagnięta; w Czechach zaś niedawno przy rozwalaniu bramy miejskiéj w Litomierzycach, natrafiono w murze na małe zagłębienia, w których na

(1) W wydaniu 1845 r. tom II, str. 115. Przekład jéj zob. w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1851.

gniazdach ręką ludzką zrobionych, znajdowało się po kilka jaj kurzych. W obudwu tych razach, zamiast ludzkiego, ofiarowano życie innych stworzeń: w piérwszym widome życie jagnięcia, w drugim ukryte w jaju kurzém. Prócz tego istniało jeszcze niewinniejsze, bo już ani zwierzęcia o śmierć nieprzyprawiające, w całéj jednak grozie zabobon przypominające, symboliczne zamurowanie, używane zwłaszcza przy budowie kościołów. Natrafiamy na dwa takowego sposoby: piérwszym był zamurowanie próżnéj trumny; drugim, że wyciosany w kamieniu wizerunek dziecięcia w murze umieszczano. Taki kamienny wizerunek, przedstawiający dziécię w poduszce, wielkości dopiéro co narodzonego, znajduje się w klasztorze teplskim (założonym w końcu XI wieku przez błogosławionego Hroznatę) w murze kościelnym niedaleko ołtarza.

W Budziejowicach w kościele teraz pijarskim a niegdyś dominikańskim, na piérwszym słupie po lewéj ręce, wprost kaplicy św. Markety, znajduje się również postać w kamieniu wyciosana dziécięcia leżącego w poduszce; lew, jabłko królewskie i napół zatarty napis u góry: „WENCESSLAUS" wskazują, że jestto wyobrażenie Wacława IIgo syna króla Ottokara IIgo założyciela tegoż klasztoru. Czy chciał Ottokar w ten symboliczny sposób jedynego swego syna nie w pogańskiéj myśli, ziemi, lecz w chrześciańskiéj Bogu ofiarować, aby Ten świątynię zachowywał? czyli téż, jak się Millauer domyśla i co także jest wielce prawdopodobném, znaczyło to podziękowanie za obdarzenie płodnością długo niepłodnéj piérwszéj małżonki jego Markety? — zostanie to nieodgadnioném tak długo przynajmniéj, aż się uda wyczytać napis na drugiéj tegoż słupa stronie w kamieniu wyryty, ale wapnem i farbą zakryty, który możeby w tym względzie podał jakie objaśnienie.

Dzisiaj niemało już minęło wieków od czasu, jak i takie symboliczne zamurowanie z obyczaju wyszło; ostatnie jednak tego przesądu szczątki, choć niezmiernie co do sposobu, a co do myśli zupełnie zmienione, przechowują się dotąd nietylko w Czechach, ale w całéj bez wyjątku Europie. Gdzie tylko jaka bądź nowa ma się stawiać budowa, zagrzebują pod fundament, w miejscu gdzie piérwszy ma się położyć kamień, różne pieniądze tegoż roku bite; mówi się wprawdzie powszechnie, że dla pamiątki; w piérwotnéj jednak myśli jestto ofiara ziemi dana, ażeby budowie przeciwną nie była i stać jéj trwale

pozwoliła. Że ta myśl jest tu przewodniczącą, dowodzi zachowany gdzieniegdzie w Czechach zwyczaj zagrzebywania nietylko pieniędzy, ale i rzeczy do jadła, co przecież na pamiątkę żadną miarą być nie może. Owszem, zwyczaj ten da się porównać z obyczajem w Czechach na szczodry wieczór (1) praktykowanym, rzucania pokarmów do studni, a u Słowaków na wiosnę do rzek; tu jeszcze należy ruski zabobon, że kiedy pożar wybuchnie, rzucają w ogień wielkanocne jaje, a w Estonii żywą kurę, ażeby zagasł. Wszystko to są ofiary żywiołom czynione, aby je ku ludziom nakłonić, a gniéw ich przebłagać.

Istnieje jeszcze mniemanie, zwłaszcza u narodów germańskich, że ziemia nietylko żąda ofiary przy zakładaniu budowy, lecz także i po jéj ukończeniu; że za takową ofiarę wybiera sobie tego, kto piérwszy nowéj budowli podług właściwego jéj celu użyje. Dlatego wielu lęka się przejść po nowym moście lub przez próg świeżego domostwa przekroczyć, aby przez to w przeciągu roku nie umrzéć. Ażeby się od takiego nieszczęścia zawarować, puszcza się najpiérwéj na most, albo téż do nowego mieszkania psa lub koguta, ażeby ci życiem przypłacili, gdyby ziemia ofiary swéj żądała. Przesąd niniejszy wcale nieszkodliwy naprowadza na myśl, że w rzeczy saméj istniało niegdyś ofiarowanie ludzi k'woli skończonéj budowie; tak jak podanie serbskie o zamurowaniu cienia jest wyraźną pamiątką istotnego żywych osób zagrzebywania. Narody słowiańskie co do gotowych budowli nie znają wymienionego przesądu, a przynajmniéj nigdzie mi się dotąd śladu jego znaléźć nie zdarzyło; za to znajduje się w Czechach inny, bardzo rozszerzony zwyczaj. Kiedy się kto do nowego mieszkania wprowadza, wnosi się tam przedewszystkiém chléb i sól, następnie krzyż lub wodę święconą, a do tego niekiedy miotłę. Chléb i sól podług upowszechnionego starosłowiańskiego przysłowia, dotąd używanego we wszystkich narodu tego plemionach, znaczy nieodbyte potrzeby ludzkie. O rzeczy, bez któréj człowiek obejść się nie może, mówi się, że jest jak chléb a sól konieczna. Serbowie i Rusini zapraszając gościa lub przyjaciela do siebie, mówią, aby przyszedł z nimi chléb i sól pożywać. Starzy Rusini obiatowali Czarnemu morzu i rzece Wołdze chléb z solą, jako najznakomitszą ofiarę. Nie jest

(1) Wieczór w wigilią Trzech Króli.

więc niepodobném, że ów zwyczaj wnoszenia do nowéj budowli naprzód chleba z solą, jako rzeczy do życia człowiekowi najpotrzebniejszéj, mógł być zrazu ofiarą niesioną ziemi, która budynek dźwiga; ofiarą, któréj szlachetnością Słowianie przed innemi celowali narodami. Również jednak do prawdy podobne, że jestto tylko jeden ze sympatycznych środków, jakich Słowianie w różnych potrzebach mnóstwo używają. Przez ofiarowanie tych przedmiotów wyjawia się niejako milczące żądanie i prośba, aby mieszkańcy domostwa nigdy w niczém nie mieli niedostatku, lecz aby się im wszystko dobrze wiodło. W téj myśli przyniesiony krzyż lub święcona woda, znaczyć mogą życzenie, by tutaj zawsze panowała pobożność, a złe duchy żeby mijały mieszkanie; miotła zaś wyraża troskliwość o zewnętrzną jego czystość.

Pozostaje nam nakoniec odpowiedzieć: byłli ów straszliwy przesąd, zamurowywania ludzi w zakładzie znaczniejszych budowli, u Słowian rodzimym lub do nich zkądinąd przyniesionym,—a następnie, odkąd?

Jeżeli się zastanowimy, że smutne pamiątki tego błędu znajdują się tylko u niektórych plemion słowiańskich i to właśnie takich, które najdaléj na zachodzie i południu mieszkając, wciśnione między obce ludy, z niemi bezustannie tak w złych jak dobrych przestawać musieli stosunkach: jeżeli z drugiéj strony zważymy, że za Karpatami, w tém prawdziwém gnieździe słowiaństwa, na całéj niezmiernéj przestrzeni ziem, nigdzie się jego najmniejszy ślad nie znachodzi: musimy zwątpić, ażeby na słowiańskim wzrósł gruncie. Bacząc zaś, że będący w mowie przesąd dotyczył się jedynie murowanych budowli, jak to samo słowo, „zamurować"; po czesku *zazditi*, po serbsku *uzidati*, powiada; że nie masz śladu, ażeby przy drewnianych budowlach kiedykolwiek był zastosowany: musimy uznać go za zupełnie obcy, zkądinąd przyniesiony. Podług bowiem jednozgodnych świadectw wszystkich najdawniejszych dziejopisarzy, jakoto: Herodota, Jornandesa, Prokopa, Maurycya i t. d., Słowianie żadnych kamiennych budynków nie mieli; żyjąc w ziemi lesistéj, najmiléj nad brzegami jezior i rzek, które im przed wrogami osłonę dawały, budowali sobie mieszkania drewniane, łatwo w razie potrzeby dające się opuścić i na nowo w innem miejscu postawić. Nawet największe ich miasta, twierdze i wieże, a późniéj kościoły były z drzewa; owszem, ka-

mienne budowle dodziśdnia na Rusi za niezmierny uchodzą przepych. Tak było dawniéj i w Czechach: kamienny most, kamienny *hradek* byłyto kiedyś tak niezwykłe rzeczy, że o nich w całym kraju opowiadano i śpiewano, a nawet od nich miasta nazywano. Samo nazwisko *Osek* (polskie Osiek) niezmiernie często się natrafiające, choćby innych na to nie było dowodów, wskazuje, że w dawnych czasach Czesi twierdze swe z drzewa tylko stawiali.

Sztuka budowania z kamienia przyszła do Słowian od narodów sąsiednich: Greków, Rzymian, Niemców (1). Najpierwéj dostała się oczywiście najbliżéj sąsiadującym z nimi Serbom naddunajskim, Słowakom, Morawianom i Czechom, u których właśnie wspomniony zabobon znajdujemy. Nie ma zatém wątpliwości, że piérwsi budownicy murów bylito ludzie obcy, z podanych wyżéj krajów przybyli, którzy przynosząc do słowiańszczyzny swą umiejętność, przynieśli z nią razem i ohydny swój przesąd zamurowywania ludzi, ażeby budowa była trwałą.

Dopisek tłumacza.

Do zebranych przez czeskiego badacza z różnych okolic szczegółów, dotyczących ofiar ziemi składanych, dodajemy tu kilka na naszéj ziemi napotkanych w téj mierze spostrzeżeń.

Ażeby obyczaj zamurowywania bądź ludzi, bądź żywych stworzeń miał kiedy istnieć w Polsce, nie ma na to śladu ani w piśmiennych podaniach, ani w wyobrażeniach ludu. Pojedyncze przecież przykłady znachodzą się, chociaż rzadkie, i cudzoziemskiego ducha wypływem niezawodnie będące. Tak w dzieciństwie mojém, przy rozbieraniu starych piwnic w części staromiejskiéj Warszawy, znajdowano, jak sam pomnę, małe wgłębienia z cegieł, w których były zeschłe szczątki kota, żaby lub drobnego jakiego ptaszka. Obecni temu ludzie z gminu, mieli je poprostu za złośliwą igraszkę mularzy, bez

(1) Poświadcza to nietylko wyrażenie polskie: *mur*; sztyrskie, dalmackie i bośniackie: *mir*; jednopochodne z łacińskiém: *murus*; niemieckiém: *Mauer*; duńskiém *mûr*; francuzkiém: *mur*, *murailte* i t. d., lecz także co do Polski wyraźne świadectwo Łukasza Górnickiego, który pisze: „Od Niemców za Kazimierza W. mury w Polsce nastały i Niemcy dopiero mury w Polsce rozmnożyli." *Przyp. autora.*

żadnego głębszego wykładu. Zdaje się więc, że byłyto ślady pozostałe po rzemieślnikach niemieckich, którzy istotnie może największą część naszych murów wznieśli. W Wielkopolsce, gdzie wpływ niemczyzny z piérwszéj ręki i silnie się udziela, znalazłem wyraźniejsze zabobonu rzeczonego ślady; znałem bowiem sam mularza Polaka, który jeszcze między 1840 a 1850 rokiem chciał zamurować żywego koguta pod zakład rozpoczynanego budynku.

„Na Litwie", pisze Ludwik z Pokiewia (w dziele: Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów) „uważałem, że kiedy cieśla zakłada młyn wietrzny, wykopawszy dół na słup fundamentalny, czeka czasem długo nie zakopując go. Spytany przezemnie, co za przyczyna tego, odpowiedział: trzeba czekać jaki głos z któréj strony da się słyszéć, taka téż istota wkrótce życiem przypłaci. Przy podobnych więc przedsięwzięciach czekają cieśle nim pies zaszczeka lub kogut zapieje, a jeżeli się dają słyszéć głosy ludzkie albo bydlęce, nie zakopują fundamentów i cieśla w téj chwili wszystkim nakazuje milczenie. Co się powiedziało o młynie, to robią przy zakładaniu wszystkich budowli, powiadając: że nie można inaczéj domów zakładać jak na głowę czyją".

W dziele wreszcie: Podróż do Prus, Saksonii, Czech, przez Moszyńskiego (Wilno, 1844 r.), znajduje się podanie o stawie czechowskim, o pół mili od Knyszyna odległym, jakoby z rozkazu Twardowskiego przez czarta wykopanym, że w grobli jego czarownica, chcąc ją na wieki uczynić trwałą, zakopała dwoje bliźniąt, które od chrztu wieziono.

R. Zamarski.

SŁOWO

DO PISZĄCYCH I CZYTAJĄCYCH PO POLSKU:

O SPROSTOWANIU NIEKTÓRYCH POJĘĆ GRAMMATYCZNYH I POPRAWIE ABECADŁA DZISIEJSZEGO,

JAKO JEDYNYM ŚRODKU USTALENIA PISOWNI POLSKIÉJ.

PRZEZ

Adolfa Rudasiewicza.

(Dokończenie).

USTĘP V^ty.

O głoskach: f *i* j.

Albo brzmienia pewne, a zatém ich znaki są w języku i byt ich jest wewnętrzną potrzebą uwarunkowany, albo nie. Jeśli przeto głoski pewne są w języku, wyciągajmy z nich w pisowni wszystkie korzyści, jakie otrzymać możem i posługujmy się niemi wszędzie, gdziekolwiek je słychać: gdyż inaczéj wpuszczalibyśmy w żywot pisowni jad dla niéj zabójczy—niekonsekwentności. Rozpatrzmy się w materyi użycia liter *f* i *j*, i zaradźmy temu ich sponiewieraniu w niektórych razach.

a) *O głosce* f.

Dotąd utrzymywano, iż głoska *f* jest rośliną egzotyczną, do cieplarni naszego języka przyjętą; gdy jednakże język nie

jest cieplarnią, ale żywym ogrodem, w którym każda roślina brzmienia językowego w swoim przyrodzonym żyje klimacie, bez względu na to, czy ona początkowo, gdy ją zasadzano, miejscową była lub nie: spytajmy się, dlaczego nie mamy jéj pielęgnować! Lepiéj wyrzucić głoskę niepotrzebną albo żadnemu naturalnemu brzmieniu nieodpowiednią, niż karmić jak pasożyta kosztem brzmień i głosek innych. Wszakże i względem głoski *ł* nie znajdującéj się w językach zachodniéj Europy, ani w abecadłach klassycznych Greków i Rzymian, wydano wyrok banicyi jéj z naszego języka, jako tatarskiego wtręta, radząc jednakże zastąpić ją podwójném *ll*. Nie usłuchał język uczonéj porady i zatrzymał głoskę, bo ona malowała naturalne brzmienie, którego pozbyć się nie chciał i nie mógł. Tak podobnież i o głosce *f* wyrzeczono, że nie jest polską. Kto to wyrzekł piérwszy, (może Linde) niewarto sobie zadawać fatygi dochodzenia; dosyć, że na wiarę téj, zkądsiś wyczytanéj, wygrzebanéj lub wymyślonéj, co najpodobniejsza do prawdy, nowostki, grammatycy ustanowili dogmat, którego wziąć pod krytykę rozumu nikt z żyjących nie odważył się wcale. Na wiarę arcykapłanów języka, kapłani i niekapłani zrósłszy z tym dogmatem, podają go sobie z ust do ust nieprzerwaną tradycyą. Tymczasem w „Credo" językowém, tojest fonetyce jego, stoi dogmat wprost tamtemu przeciwny, którego nie odmawiając słudzy ołtarza, nie dopełniali powinności dyscyplinarnych swego stanu, jak tego po nich wymagać można było.

Od najdawniejszych czasów było w języku naszym brzmienie znaczone głoską *f*, chociaż dlatego, że i nasze rodzone siostrzyce: języki słowiańskie i matka ich starosłowiański język, i prababka czyli Ewa języków, sanskryt (Eichhoff, Bopp) w sobie je znajdują. Że to brzmienie w innych językach wyraża się inaczéj, jak np. w greckim i rossyjskim przez Φ, w łacińskim a czasami w romańskich i germańskich językach przez *ph*, dowodziż to koniecznie, iż my się jéj wyrzec powinni, dlatego, iżeśmy znaku na to brzmienie z innego pożyczyli alfabetu? Wszakże i w naszym języku początkowo nie już obce, ale nawet i swojskie wyrazy pisano przez *ph*, np. w „Canon Missae" (Maciejowski) pisano pospólst*pho*, gdzie dzisiaj na miejsce *f par complaisance* dla łaciny piszemy *w*: pospólstwo. Chcąc przeto być konsekwentnym i nie dopuszczając głosek z obcych alfabetów do naszego, wyrzućmy wszystkie głoski z abecadła naszego, bo

cały alfabet nie nasz, ale za nasz przybrany: a kiedyśmy *f* raz przyswoili, jak tego dowodem jest massa wyrazów pod głoską *f* w słownikach znajdowanych, nie róbmy jéj paryasem i przypuśćmy do równości praw z innemi głoskami!

Powiedzą nam znowu, jak to wiecznie powtarzają: „Niemasz wyrazów prawdziwie swojskich przez f pisanych, prócz *obfity* za okwity i krotofila za krotochwila". Co do mnie, który i w tych przytaczanych wyrazach słyszę brzmienie *f* i widziałem nawet jeden z tych wyrazów przez Seklucyana wypisany w ten sposób: *okfity*; nie jestem tak wielkim etymologiem, abym o tém mógł wyrokować. Ale przypuściwszy, że takiemi są powyższe utrzymujący zdanie, odważam się powiedzieć, co następuje: W mojém przekonaniu, materyą języka obrabiamy tylko i z pierwotu nic nam się nie należy. Nie należy się, gdyż przyszliśmy na widownią tego świata późno, bardzo późno po innych ludach, jeśli mię historya nie myli. Z tego powodu język nasz jest albo spuścizną po innych; albo darowizną ciepłą ręką przez ludy w stosunkach z nami będące uskutecznioną; albo zapisem między żyjącemi po już zgasłych. Przykrój, okształcenie brzmień i wyrazów obcych, według wzorów za typy językowe nam danych, a w mgle historyi i życia organicznego przepaścistości ginących: rozradzanie się i rozplemianie tychże w sposób językowi naszemu właściwy: bogactwo brzmień i przemian tychże, a form nadobność przerozmaita:— oto jest nasze. Czyż zresztą i to być nie może, iż niektórych wyrazów pokrewieństwo w tylu językach znajdowane jest wspólnością wszystkich po języku pierwotnym pozostałą, na świadectwo dzisiejszemu pokoleniu o jedności jego pierwiastkowéj, i że dlatego żaden z żyjących jeden od drugiego nie przyjął, ale je po swojemu przerobił. Cokolwiekbądź, możem się pochlubić, iż w fonetyce naszego języka żaden z języków europejskich, ani żyjących najlepiéj wykształconych, ani już nawet w grób martwości zapadłych, nie przewyższył. Ale wróćmy do rzeczy.

Głoska *f* jest więc naszą, bo jest brzmienie nią wyrażone w języku naszym, bo są wyrazy tą głoską wypisywane. Teraz idzie o to: gdy to brzmienie wnika jak powietrze w żywot języka naszego, abyśmy, gdzie je tylko dosłyszym, pisali głoskę f, jeśli temu powód loiczny nie przeszkodzi.

Nim do rozwinięcia głębszego potrzeby używania *f* w rozleglejszém zastosowaniu przystąpimy, potrzebne nam jest małe

objaśnienie pojęcia *upodobniania brzmień* czyli *assymilacyi*. Przez upodobnienie brzmień rozumié się prawo języka organiczne, dla którego tylko spółgłoski podobne do siebie siłą, czyli równe sobie w mocy przy sobie stać mogą, i dlatego gdy słaba obok mocnéj stanąć miała, albo obie w mocne, albo obie w słabe przemienić się muszą. Przypominamy, że spółgłoski słabe są: p, f, t, c, s, cz, k, sz, ś; mocne: b, w, d, dz, z, dź, g, ż, ź; obojętne zaś l, ł, m, n, r.

Zobaczmy, jakie ma to prawo assymilacyi zastosowanie w języku naszym co do głoski *f*. Stojąc na dawném stanowisku, że głoska *f* nie jest polską, lub nadskakując może zbytecznie łacinie, wszędzie *f* przy słabych zastępujemy mocném *w*. I tak piszemy: *kwas*, *kwiat*, *kwarta* i t. d. Jeśli z taką czcią dla naszego fetysza być chcemy, piszmy: *quas*, *quarta*, *queli*; piszmy: *suój*, *tuój* lub *svoj*, *tvoj*; wszakże to z *suus*, *sua*, *suum*; piszmy *Suecya* lub *Svecia*, bo tak po łacinie pisano, a zachowamy wszędzie *u* lub *v* łacińskie w danych przypadkach. W ten sposób pisać będziemy z *łacińska po polsku*, nie zrywając z przeszłością. Jeśli się zaś wstydzimy takiego służalstwa, wejdźmy w potrzeby naszéj pisowni, i piszmy, że tak powiem, z polska po polsku. O etymologią zagraniczną niech nam tu nie chodzi: etymolog sobie zawsze poradzi, wiedząc, jakie są dziwne przemiany brzmień i głosów, a przejście *u* w *f*, lub jak dawniéj bywało, w *w*, nie będzie tak wielką dla niego trudnością.

Piszemy: *chwast*, *chwila*, *świst*, *szwargot*, *czwałem*, *twardy* i t. d. i t. d. przez *w*. Porównajmy naturę głosek obok siebie stojących, to jest mocnych obok słabych, bez żadnego powodu logicznego, a łatwo zobaczym, w jakieśmy wielkie od powszechnych praw języka, we względzie upodobniania brzmień, popadli odstępstwo. Czyż tu albowiem w wyrazach przywiedzionych *w* przedstawia swoje własne mocne brzmienie? Probujmy wymówić, abyśmy sami o własnym przekonali się błędzie. Głośno wymawiając a mocno przysłuchując się brzmieniu wymówionych wyrazów, spostrzeżem łatwo, iż wymawiamy nie *w*, ale *f*. Pocóż więc dłużéj utrzymywać w pisowni naszéj przeciwieństwa znaków piśmiennych do brzmień niemi oznaczanych? poco znosić dłużéj ciężkie przez nałóg na nas nałożone pęta? Darowałbym jeszcze, gdyby co na tém zrozumiałość pisma zyskiwała, ale się tu rzecz ma inaczéj: bo znak nie malując brzmienia sobą przedstawionego, wprowadza jakiś

niewolniczy przymus; pstroci język nieloicznością; bałamuci niepotrzebnemi wyjątkami, których najlepszy nauczyciel mniéj bystremu nawet uczniowi wyjaśnić nie potrafi, jako anomalii rzeczywistości. Jakże błędy są uczące, gdy kto na nie żywéj uwagi niezmąconém spojrzy okiem i odwróci się tyłem do niby uczonéj prawdy, gdy ta w togę dawności odziana, prawdy się doktorką głosi. Zdarzało mi się widzieć równie dzieci jak i ludzi prostych, ale tak zwanym chłopskim rozumem obdarzonych, wykraczających przeciw powadze książkowéj i piszących wszędzie *f* nie *w* gdzie f brzmiało. To mię wewnętrzną poiło radością, że i złe książki nawet nie są mocne wypielić z nas naturalnego rozsądku, gdy tylko zmysłów naszych nie przytępim. Chcemyż więc nakazywać powagą naszą, starajmy się w tych niebezpiecznych czasach rozumowości, opatrzyć się w palną broń rozsądku, bo siły takiéj wszystko usłucha—to jest głos boży. Nie bałamućmy zdrowego i naturalnego rozsądku, ani wprowadzajmy w naukę przymusu, od dziecka poczynając, bo przecież *nauka* ma być *wychowaniem ducha* do dojrzałości samodzielnéj w dziecku—człowieku. Zbierzmy więc szczegółowo w jakich razach *f* pisać winni jesteśmy. Oto przed głoskami: ch, k, t, s, ś, sz, c, ć, cz i po nich, jak piszemy *w* przed i po: g, d, z, ź, ż, dz, dź, dż. Piszmy zatém: *chfiać* się, *fchodzić*, *kfiecisty*, *fkładać*, *tfarz*, *ftarty*, *sfój*, *fsadzać*, *ściety*, *fsiąśdź*, *fszakże*, *fcale*, *czfałem*, *fczoruj*, *fciérać*, *ćfiertować* i we wszystkich tym podobnych razach, gdzie tylko brzmienie *f* słychać. Zapyta nas kto może: „Dlaczegoż wszystkich brzmień końcowych, gdzie *f* słychać, nie zniwelować, gdy tu mocna *w* przechodzi w *f*, i nie pisać np. *suf*, *muf*, *lef*, za *sów*, *mów*, *lew*." Nie chcę poprawy pisowni dla oryginalności, ani chcę wprowadzać żadnego systematu nowego, dla saméj miłości nowatorstwa i chętki burzenia tego, co stało: owszem przestrzegam, czego przestrzegano dawniéj, czego przestrzegają i dzisiaj niektórzy zdrowo widzący i czego przestrzegać będą po nas chętni sprawie ojczystego języka; ale chcę poprawy błędnego na dobre, nie na inne tylko, albo co większa, na gorsze. Przedstawiam potrzebę zbliżenia się do naturalności fonetycznéj w pisowni, gdzie można, którąto z nas naturalność macocha sztuka wydarła; ale żadnéj niwelacyi wprowadzać nie myślę, gdzie powodom fonetycznym loiczne na zawadzie stoją. Jeśli więc zachodzi powód loiczny, tojest potrzeba utrzymania głoski *w*, chociaż

się wymawia jak *f*, dla źródłosłowu, np. *lew*, *lwa*, *sowa sów*, *krew krwi* (bo *krewny*), natenczas, gdy prawo loiczne wyższe jest od fonetycznego, *w* pisać się powinno. Następnie *w* pisać należy, chociaż brzmi jak *f*, gdy ma swój byt odrębny, jako osobna część mowy, przyimek, bo indywidualności zatracać się niegodzi; ztąd piszmy: *w sercu*, *w głowie*. Gdy jednakże to *w* jako przyimek wchodzi w skład wyrazu innego, i widocznym jest jego początek, a brzmienie *f* słychać; tam dla upodobnienia brzmień możem go wyrazić przez *f* przed słabą spółgłoską. Zresztą tém jest *f* względem *w*, czém *s* względem *z*, a przecież piszemy w złożonych wyrazach *s* zamiast z:| czemużbyśmy przez analogią tak dotykalną nie mieli pisać *f* zamiast *w*? Powtarzam zawsze, iż nie gonię za żadném nowatorstwem, ale szczerze pragnę zaprowadzić wszędzie więcéj ładu w pisownią, na którego brak dość częste użalanie się słyszę: tém bardziéj, iż w bulgarskiém narzeczu (Miklosich) *f* jest w powszechniejszém użyciu, i w czystéj polszczyznie dawnych pisarzów naszych napotykałem wyrazy pisownią naturalnéj fonetyce języka naszego hołdującą: *chfała*, *kfapił się*, *chfiały się*, *zufalcy* za zuchwalcy, a przecież epoka Zygmuntowska może miéć dla nas chociaż cień powagi, jeśli ta jest wyższą nad wszelką krytykę.

b) *O głosce* j.

Mówiąc tu o głosce *j*, nie myślę nowéj podnosić polemiki. Nie potrzebuję już dowodzić, że *j* jest spółgłoską, jak Osiński a przed nim Feliński; dodam tylko w rzeczy tak już z różnych stron obrabianéj niektóre przyczynki, które może zamkną błędne koło szermierki o głoskę *j*. Po zaciętych zrazu sporach, przyjęto już przecie głoskę *j* jako osobną spółgłoskę na osobne brzmienie w języku naszym. Przyjęto ją na miejsce starego *y*, któremu tylko urząd samogłoskowy piastować dozwolono. Prawdziwie postępowa reforma, niedopuszczająca skupienia wielu posad jednéj osobnostce (indywiduum). Przyjęcie jéj powszechniejsze dopiéro trzeci lat dziesiątek datuje; znajdują się więc jeszcze gdzieniegdzie wyjątki nieprzyjmujące jéj, ale te stoją jak dzikie grusze w polach uprawnych, którym ich osamotnienie przykrzyć się już zaczyna i niechcący nachylają się ku jéj przyjęciu.

Spytajmy się jednakże, czy wiele z téj przemiany zyskaliśmy? czyśmy większego jeszcze zamętu w pisownią naszę nie wprowadzili. Przemiana, na któréj mało zarabiamy, jest próżną i daremną pracą: a myśmy z téj przemiany nie wyciągnęli wszystkich możebnych korzyści, jakie nam się nastręczały; z tego powodu postęp nasz w tym razie jest mało znaczny, gdyżeśmy na pół drogi stanąwszy, nie poszli daléj i nie dobiegli zamierzonego kresu. Mając zawsze na pamięci łacinę, mając na pamięci rozdział ortograficzny tak zwanych imion obcych i swojskich lub przyswojonych: zawsze się oglądamy na to, co powié łacina w wypisywaniu imion obcych; jak gdybyśmy nie my właściciele naszego języka byli u siebie panami i najwyższemi sędziami w tém, co naszemu językowi, naszéj wymowie przystoi lub nieprzystoi! Ile razy śmielsza młodzieńcza, ale silna rozumem językowym wola wystąpi, grupią się bałwochwalcy łacińsko-polskiéj pisowni około swego bożyszcza, zapominając że są wyznawcami polszczyzny. Organa swoje ku wybijaniu brzmień dane o tyle uznają za własność swoję, ile na to pozwoli łacina. Brzmienia i dźwięki naszemu tylko językowi właściwe z niedowierzaniem przeglądają przez pryzmat łaciński, zamieniając się — żywe istoty rozumem ludzkim obdarzone — w czyste automaty, dopiéro za pociągnięciem sznurka obczyzny ruch okazujące. Nie dlatego potępiamy łacinę, żebyśmy jéj nieprzyjaciołmi byli, lub zapierali się korzyści, jakie ona sprawie literatury krajowéj i nawet językowi samemu wyświadczyła; ale potępiamy bałwochwalców jéj zbytecznych, zapamiętałych na sprawę ojczystego języka: równie bowiem i ci źle postąpili, którzy ją całkiem z oka spuszczali i zapominali, co jéj są winni. Przekonamy się o tém lepiéj wymieniając od czasu wprowadzonego *j* różne koterye za i przeciw: z których jedni przesadą, inni, że tak powiem, niedosadą grzeszyli. Główniejsze z nich są:

1. Obstawający uparcie przy dawnéj pisowni imion obcych tak własnych jako i pospolitych, w które wchodzi yja, ija, ijo, i t. d. piszący *ia* bezwzględnie, np. *Francya*, *Anglia*, *passya*.

2. Odskakujący w drugą ostateczność i piszący też wyrazy przez *ja*, np. *Francja*, *Anglja*, *passja*.

3. Środkujący między niemi dwiema, wyrażający je: Francyja, Anglija, passyja.

Nie trzymając się fonetyki naszego języka, każda jednakże z tych koteryj ma jakąś zasadę, ma jakąś dobrą stronę, którą wojuje z drugiemi; ale jéj w drugich dopatrzéć się nie chce. Chcąc temu rozdziałowi zaradzić, weźmy najprzód, komu miły rozum, owę głoskę *j* pod anatomiczny siekacz fizyologii głosów, inaczéj mówiąc: zobaczmy, jak się urabia. Gdy przy otworze ust lekkie wypuścimy tchnienie zmiękczając je, czyli rozcieńczając językiem, krawędziami go tak o zęby opiérając, iżby się mała utworzyła szparka między koniuszkiem języka o niższy rząd zębów opartym, a wyższym rzędem zębów; utworzy nam się brzmienie ze znanych najcieńsze, oznaczane zwykle głoską *j*. *J* więc zarywa coś z natury samogłosek, dobijając do *i*, coś z natury spółgłosek *g*, *h*. Ztąd przemieniają się częstokroć te spółgłoski w *j*, lub przed nią znikają.

Co do piérwszego. *G* dawniéj po większéj części przed *e* i *i* wymawiano jak *j*, np. generał: jenerał, regestr: rejestr. Że język w fonetyce swojéj łagodnieje, dlatego miléj mu przypada dla ucha obce brzmienie *g* na *j* przekształcone: ale niezawsze przekształcenie to ma miejsce, bo temu znowu harmonia fonetyczna na przeszkodzie staje. Słyszeliśmy biedzenia się członków Deputacyi, wyznaczonéj do ułożenia stałych ortografii zasad, iż sobie w tym razie rady dać nie mogą, tojest ani wiedzieć kiedy *g* jak *g*, a kiedy jak *j* wymawiać. Nastawali oni na zachowanie śladu ortografii cudzoziemskiéj, nawet i tam, gdzie już język to brzmienie g przerobił na *j*; odwodzili od tego przemieniania się brzmień uwagą, że chcąc być łoicznym, należy wymawiać; *błoji*, *błoje* za błogi, błogie. To jednakże nic nie pomogło, bo nie ma jedności zasady dla dwóch języków, a każdy obce wyrazy i brzmienia po swojemu przerabia; ztąd téż jak wymawiano: loika, rejestr, tak i wymawiają. Co do wyrazów zaś mniéj w języku znanych, a od obcych przejętych i gdzie natura naszego języka przerobić ich nie dozwala, zachowując w zupełności brzmienie, *g* się zostanie: ztąd się téż nie powié: *fonoloja*, *lfijenia*, *teoloia* *Wirijnia*. Tak język dziwnie roztropnie sobie radzi, i nabierając coraz więcéj miękkości, z którą mu tak cudnie, nie chce się pozbyć zalety męzkiego piętna, która go tak wdzięcznie cechuje. Że *h* w *j* niknie, toć także nie nowina, tak u nas jak i w innych językach: ztąd *Hieronim* lud prosty wymawia *Jeronim*, *Jerônime*; *Hierosolima*: *Jerozolima*, *Jeruzalem*; *Hiacynt*, *Jacenty*, *Jacek*.

Co do drugiego. *J* jako najcieńsza spółgłoska zarywa coś z natury samogłosek, i dlatego wmieszcza się nieraz między nie w pośrodek, dla złagodzenia ich przykrego zbiegu, szczególniéj tam, gdzie *y* lub *i* przed innemi samogłoskami staną. Z tego powodu głoska *j* jest albo *wtórną* na początku samogłosek, albo między dwiema samogłoskami: w ostatnim razie przybiéra miano *dzielowéj* albo *miedzowéj*. Jako *wtórna*, na początku łagodzi szorstkie nieco brzmienie samogłoskowe wyrarów pobratymczych, np. ruskie uże *już*, odnako *jednako*, oziero *jezioro*, oleń *jeleń*. Jako *miedzowa* staje w pośrodku między samogłoskami, dla uchronienia uszów naszych od przykrego dla nich zbiegu tychże samogłosek, co podobno łacinnicy *hiatus* zwali. Ztąd *myję*, *myjesz*, *myje*, od *myć* przybrało *j* przed samogłoską *e*. Jako więc taka, spółgłoska *j* powinna wszędzie środkować między samogłoskami *ya*, *ia*, *ye*, *ie*, *yo*, *io*, *yą*, *ią*, i t. d., gdyż język nasz nie lubi patrzéć na częste rozwiéranie ust naszych przy wymawianiu dwóch w jednym wyrazie po sobie idących samogłosek. Co większa, język nasz téj głoski często używa dla zachowania rdzenia wyrazowego jak w poprzednich *myję* i dla odróżnienia wymawiania wyrazów, które jednako się piszą, jednakoby wymawiać się powinny. Patrzmy np. w wyrazach pospolitych, jakie niepotrzebne dwuznaczności wynikają z nieumieszczenia *j* między samogłoskami, kiedy ją słychać: tak *kopie* za *kopije* (włócznie) i *kopie* od *kopać* (3 osoba l. p.), *Mania* za *Marynia* i *mania* (szał) za *manija*.

Tak więc co do litery *j* wierni prawu „pisz jak mówisz" mamy ją kłaść wszędzie, gdzie ją słychać. Wiem wprawdzie, iż zwolennicy łacińsko-polskiéj pisowni zakażą nam zaciérać pochodzenia obcego w wyrazach; gdy jednakże wszystkie wyrazy nie dadzą się tak wymawiać w naszym języku, jak się pierwiastkowo wymawiały, wchodząc bowiem doń musiały, że tak powiem, swój strój zagraniczny na krajowy zamienić: nie możemy utyskiwać że im się krzywda dzieje, chyba iż chcą, abyśmy je z dziedziny naszéj mowy na wieczne wskazali wygnanie. Czyż to prawo narodów między-językowe i innym także nie służy językom w przyjmowaniu wyrazów obcych i wymawianiu ich po swojemu? a któż je za to gromi? Nie może bowiem być inaczéj; ale rzeczą ludzką jest własności niegdyś obcéj, właściwe nadawać piętno i za swoje udawać. Każdy je pozna, że one obce, niepotrzeba im na to pargaminu pieczątką obwarowane-

go. One wołają niejako do nas: „Jesteśmy własnością wspólną człowiekowi jako istocie potrzebującéj udzielać swe myśli wyrazami, ale każdy język ma prawo wyłączne posiadania nas ku swojemu użytkowi w warunkach przez niego oznaczonych".

Powtarzam więc, pisać tam należy *j* gdy brzmi u nas, chociaż go cudzoziemcy u siebie nie mają; ale że oni u nas praw nie stanowią, słuchajmy tych, jakie nam nasz język nadaje. Wszakże mówimy już i piszemy: *Pireneje*, *uleje*, *ideje*, co nie razi wcale ucha i oka polskiego, czemuż nie mamy pisać zatém: *Eugenija*, *materyjał*, *Amfitryjów*, *Harpije*?

Ale mówmy teraz o owych trzech stronnictwach, z okazyi wprowadzonego *j* powstałych. Sposób pisania Iszy albo dawny, niezgodny z naturą języka naszego, utrzymywał się w nim łoiką dobréj pisowni drugiego przypadku liczby pojedynczéj. I tak: *Francya*, *Anglia*, 2gi przyp. *Francyi*, *Anglii*, *passyi*, *missyi*, *ironii*: to był potężny filar podpierający tę koteryą. Podporę tę zostawiamy jako trwałą i na coś przydatną, samą zaś budowę jako zgniłą i zbutwiałą z powodu starości rozebrać radzimy, aby próżno miejsca nie zawadzała. Albowiem w tych końcówkach imion z piérwotném zakończeniem słyszymy *j*; jeśli go słyszymy, wyrażać go pismem należy, nie oglądając się na nic, bo brzmień naszych dla żadnych niby-powodów opuszczać w piśmie nie możemy. Jeśli kto temu jest winien, że tych wyrazów pisownią dawną pisać nie możem — to język: złóżmy nań całą winę, a my już sami od odpowiedzialności przed trybunałem obczyzny wolni zostaniem.

Rozpatrzmy się obecnie w ortografii wręcz dawnéj przeciwnéj, tojest wypisującéj np. te wyrazy: *Francyja*, *Anglija* w sposób następny: *Francja*, *Anglja*, *ironja*, *missja*. Wiadomo jest, co jest zgłoska, tojest, iż jest samogłoską lub jéj połączeniem z jedną lub więcéj spółgłoskami; otóż bez powodu, zgłosek z pisowni rugować niewolno. W wyrazach wypisanych sposobem ostatnim nie ma zachowanéj ilości zgłosek, chociaż te prawie nieprzekształcone do nas przeszły: o ile mi się bowiem zdaje, w wyrazach: *Anglija*, *Francyja* są trzy zgłoski, a po wyrzuceniu *i* lub *y* z tych wyrazów przez pisownią: *Francja*, *Anglja*, są tylko dwie. To więc jest głoskożerstwo niesłychane! Mamyż dla czyjejsiś fantazyi poświęcić najlepszy sprawdzian (criterium) pojęć zmysłowych, tojest zmy-

sły nasze, dlatego, aby w fałsz dziwactwa uwierzyć? W tém to stronnictwo ma słuszność, że *j* pisać potrzeba, ale w tém błądzi, że samogłoskę wyrzuca. Bardziéj jeszcze razi ubyt zgłoskowy w drugim przypadku, gdzie piszą: *Anglji*, *Francji*, *ironji*, a przecież wypruwać żyły zgłoskowe z wyrazu, barbarzyństwem byłoby istném i kanibalstwem!

Zastanówmy się teraz, dlaczego pisownia zgodna z duchem naszego języka, nie upowszechniła się tak jak należało. Oto znowu zła ortografia drugiego przypadku przeszkodę temu stawiała. Pisano; *Hiszpaniji*, *passyji*, *Angliji* i t. d., bo tu błąd przeczuwano, albo może zbytek niepotrzebny brzmień; rozpostarto go więc i do piérwszego przypadku. Dopuszczono się zaś tego błędu dlatego, że prawo ogólne daléj stosowano, niżeli stosować można było. Prawo to, co im zasłaniało rozsądek, brzmi następnie: „Spółgłoski czyli brzmienia spółgłoskowe nie giną w odmianach wyrazu, i ile ich jest w piérwszym, tyle być musi i w innych przypadkach". Że to prawidło jest loiczne, nikt temu nie zaprzeczy, ale że do głoski *j* źle jest zastosowane, z wielką to łatwością okazać nam przyjdzie.

Osiński powiada: „*J* przed *i* zlewa się w jedno i znika, ponieważ usilny w takim razie przycisk nie zgadzałby się z przyjemnością mowy". Bardzo trafne słowa, tylko trochę zakrótkie; dopełnijmy resztę za niego. Powtarzamy najprzód, cośmy o *j* wyżéj powiedzieli, iż ta głoska stoi na granicy samogłosek ze spółgłoskami i zdaje się coś z natury samogłosek zarywać. Gdzie się kończy samogłoska *i*, tam się zaczyna spółgłoska *j*; ale że samogłoska jako głos udzielny, o sobie stojący, ma więcéj trwałości, jest potężniejsza: przeto ilekroć przed nią położymy *j*, to ona ją w siebie zabsorbuje, pochłonie. Czyni się to z powodu eufonicznego, gdyż każda spółgłoska powinna być wybijaną odrębnie czyli artykułowaną; ale że te dwie głoski zbliżają się naturą do siebie, a dla organu przykroby wymówić było *j* przy *i*: z tego powodu *j* ustępuje. Dla przekonania się o tém własnego probujmy je obok siebie wymówić; probując doznamy nieprzyjemnego w wymawianiu dla organu uczucia. Że tak jest, dowodzi nam tego jeszcze sam źródłosłów niektórych wyrazów, w których *j* z powodu przykrości dla organu w wymawianiu ustąpić musiało. *Istota* stoi zamiast *jestota*, *jistotu*; *ich* za *jich* i t. d. Dużo nam na to dostarczają dowodów księgi stare w peryodzie czeszczyzny, gdzie *g* często zmieniano na *j*. Stoi

w Biblii Wujka: „Wziął tedy Jakób kamień i postawił *ji* na znak" *Ji* stoi za *gi*, za co dziś *go* piszemy, jak jest znowu daj *my gy* (Maciejowski). Pisano także: *gych* za *jich*, *gymszy*, *jenszy*, *gymyeneye twogij*, *mij*, dziś inszy i t. d. Czyż sądzimy, że sobie język takich dowolności na ślepo pozwala? czyli też dlatego taką czyni przemianę, że słucha praw głosowych nad siebie wyższych? O, tak! w początkach pojmował też prawa język instynktem sobie danym, ale cudnym jasnowidzącego instynktem, dlatego też wyrzucił precz pisownią wyrazów; *ji*, *jich*, *jińszy*. Wszakże instynkt dobry na początek tylko, gdy zaś wykształcenie większą massą rozleje się w narodzie: on zamiast zwierzęcego instynktu, będzie miał ludzki rozum. Nie wzdychajmy więc za przeszłością niepowrotną; nie odwołajmy się do niéj jak do powagi: bo w trupie chcieć rozdmuchać życie, daremna i próżna praca. A zatém precz z taką ortografią z języka, aby *j* przed *i* stać miało. Pokazali nam do tego drogę ojcowie nasi, że to już uschła roślina za ich czasu była, przeznaczono ją na ogień zatracenia. Nie odgrzebujmy w śmietniku piśmiennictwa naszego jéj popiołów, bo z niéj nie zlepim żywota rośliny.

Ortografia więc w któréj jest *j* w pierwotném zakończeniu yja, ija, yjo, ijo i t. d. pozostanie polską i pogodzi wszystkie stronnictwa młodsze i starsze. W drugim przypadku liczby mnogiéj samo się z siebie rozumié, iż po *i* lub *y* będzie stało *j*, np. *żmija*: *żmij*, *szyja*: *szyj*, gdyż ten przypadek 2gi urabiamy od 1go przez odrzucenie końcowéj samogłoski, tak jak: *sowy*: *sów*, *kosy*: *kos*. Tak oddałem sprawiedliwość wszystkim stronnictwom pisarskim we względzie potrzeby używania *j*, wykazując w czém każde z nich ma słuszność, ale nie darowałem żadnemu w tém, gdzie błądzi: chodziło mi o zjednoczenie ich wszystkich pod sztandarem przyrodzonéj prawdy.

Jako dodatek do lepszego téj rzeczy zrozumienia:

o potrzebie wprowadzeniu znaku akcentuacyi.

Nie sposób, iżby jakakolwiek ortografia mogła powstać i żyć, choć efemerycznie, gdyby jakiego-takiego, że tak powiem niby-powodu logicznego za sobą nie miała. Osiński mówi:

„Chce on (Feliński) abyśmy pisali: *Fabijan*, *Scypijon*, *Wirginija*, a to dla obawy, aby nie wymawiano błędnie: *Fabian*, *Scypion*, *Wirginia*.... Troskliwość Felińskiego należałoby rozciągnąć nietylko do zakończeń, ale równie do zaczęcia lub środka słów obcych: *Nijobe*, *Nijagara*.... Lecz taki sposób pisania psułby najprzód właściwe ich wymawianie, bo kończą się na *au* lub *a* czyste, otwarte. Powtóre, przepis Felińskiego mając tylko na celu nieumiejętnych, nie zaradza daleko większemu złemu, tojest: akcentowi i prozodyi. Ponieważ zatém idzie nam tu o ludzi zdolnych rozróżnić słowa cudzoziemskie, piszmy je według tego, jak się piszą w swém źródle". Oburzyła może kastowość kapłaństwa uczonego w Osińskim, który dusić kazał naukę dla siebie, a nie miał jéj dla nieumiejętnych; chcieli zapewne przyjść w pomoc ostatnim i zrobić ortografią postępową za Felińskim, a przyjmując *j* przez niego zalecaną, wyrzucili natomiast *y* lub *i*. Tak więc ci co piszą: *Francja*, *Njobe*, *Njagara*, według mego zdania do téj błędnéj pisowni doszli, chcąc pogodzić ortografią nową z dawną, stosując się do prozodyi, mianowicie łacińskiéj. Otóż, ponieważ między innemi prawidłami prozodyi łacińskiéj jest i to, że samogłoska przed samogłoską jest krótka, a zatém, że akcent w wyrazach np. *Anglija*, *Francyja* padał na 1szą z początku zgłoskę; chcieli wymawiać te wyrazy zastosowanym do łaciny trybem. Że zaś głównem prozodyi polskiéj prawidłem jest przedostatnią zgłoskę przedłużać, najlepiéj sobie poradzili połykając ją zupełnie. Nietylko te imiona, ale wiele imion własnych i pospolitych nawet, jak np. machina, fizyka, z obcych języków do naszego przybrane, i albo w swojéj własnéj postaci, albo w naszym kroju, jak np. Wenera (Wenus), Cerera (Ceres) w pisowni naszéj uwijające się zachowały swój akcent, który nam, iżby nie drażnić nieprzyjemnie ucha, w wymawianiu zachować należy. Zpod tego wpływu uwolnić się nie możem; ale téż prozodya a wypisywanie brzmień, to co innego; przeinaczając pisownią, prozodyi przeinaczyć nie możem, jako najsubtelniejszego żywiołu języka, niby eteru prawie niemateryalnego, a wszędzie przenikającego materyą. Znający prozodyą łacińską, bez żadnego ostrzeżenia wyrazy łacińskie, lub za pośrednictwem łaciny do nas doszłe, greckie, z właściwym akcentem wymawiać będą. Ale w języku pisanym niczego domysłowi pozostawiać nie jest wolno. W nim, wszystko winno być wskazane równie dla umiejętnych,

czyli jak dawniéj pisano dla umiałych w piśmie, jak i dla nieumiejętnych czyli prostaczków, a to w celu zrównania ich przed obliczem wspólnych praw pisowni. Dla ostatnich szczególniéj potrzebne, aby nie popełniali błędu w wymowie, któryby ich w oczach ludzi świadomych rzeczy na śmiéch i urągowisko za łamanie prozodyi i na wyrzut prostactwa i nieuctwa narażał. Co większa, jest wiele wyrazów naszych, mających przycisk na 3ciéj od końca, np. ogółem, szczegółem, pospolity, zawadyak. Mojém więc zdaniem potrzebaby wprowadzić do naszéj pisowni znaczek akcentuacyi, czyli znaczek taki, któryby wskazywał, na którą zgłoskę danego wyrazu, niezwyczajną prozodyą mającego, przycisk ten ma padać. Niechby ten znaczek był np. taki ^ lub ~; kładzionoby go nad 3cią zgłoską od końca dla ostrzeżenia czytającego, iż dwie ostatnie zgłoski jakby klamrą ściągnione, krótko za zgłoską akcentowaną wymawiać trzeba, a przedostatniéj po naszemu przedłużać nie można. Tak wyrazy obce napisane z tym znakiem po naszemu, wymawiałyby się podług prozodyi, z jaką się w języku z którego do nas wprowadzone, porodziły.

Słyszę mefistofeliczny uśmiéch niektórych, co nie pojmują żadnéj nowéj w niczém potrzeby: „pięknie ubiera naszę pisownią w znaki, jak kawkę w przyprawione pióra". Pisownia, jeśli chcemy porównania, musi być nie jak kawka, ale jak paw' z ładnie roztoczoném piérzem złocistéj jasności. Będzież paw' ładniejszy, gdy swoje pióra zamknie, ściśnie. Jeśli się zaś lękamy tych różnych znaków niby pstrzących pisownią naszę, spojrzyjmy na owę klassyczną Helladę, spojrzyjmy na pisownią języka, którym bogowie w Olimpie mówili. Że to był język wykształcony i nadobnie rozwinięty, nikt temu nie zaprzeczy; a zobaczmy, co się w jego pisowni z temi znakami, to akcentującemi, to z aspiracyą, to bez aspiracyi dzieje! Potrzeba wywołała je, nie były więc śmieszne; przestaniemy się więc śmiać z naszéj, gdy sobie otworzymy oczy na to, iż one są u nas koniecznością niezbędną. Wszystko bowiem, co niezwyczajne, wtenczas tylko śmiéch w nas wzbudza, jeśli to dla nas zdaje się być osobliwém, tojest, gdy się nie domyślamy celu, dlaczego tak a tak jest; i przeciwnie: łatwo się przyzwyczaimy do rzeczy napozór najdziwaczniejszéj, gdy pojmiemy to w niéj „dlaczego". Zatém nie śmiejmy się, aby się z nas nawzajem nie śmiano, że tak tępe mamy pojęcie i nie możemy pojąć powodu rzeczy.

USTĘP VI[b].

O i *jako znamieniu miękczenia, tudzież o głoskach: cz, dz, dź, dż, ch, rz, sz.*

Zgodność w zastosowaniu raz przyjętéj w pisownią zasady, jak nam wiadomo, zowie się z francuzka konsekwentnością, albo awożnością z polska, jak tego chce autor Chowanny. Ta awożność wymaga po nas, abyśmy pewnéj głoski tam używali, gdzie przypada głos lub brzmienie nią oznaczone. Przebiegnijmy z uwagą, czy tak się rzecz ma w alfabecie naszym. O gdzietam! gdzie! Najdotykalniejsza nieloiczność, jaką w pisowni naszéj spotykam, jest używanie jednych i tych samych znaków do pełnienia kilku różnych funkcyj. I tak głoski znaczenne: *c, z, i,* będące wyrażeniem pewnych głosów naturalnych, raz stoją za same, drugi raz pomagają innym brzmieniom pojedynczym, jako części składowe, do utworzenia z nich, jak mówią dotąd jeszcze, brzmienia złożonego. Ztąd prócz głosek *i, c, z* mamy znak miękczenia i chmarę innych głosek, w które głoski *c* i *z* wchodzą, jakoto: ch, cz, dz, dź, dż, rz, sz, szcz. Nie od rzeczy będzie powiedzieć słówko o powodzie znajdowania się tych anomalij w pisowni naszéj. Powodem do tego są okoliczności historyczne naszego narodu. Ojcowie nasi czerpiąc z krynicy zachodniéj cywilizacyi światło wiary i nauki, i nie zapiérając się źródła odbieranych dobrodziejstw dla serca i rozumu, wprowadzili alfabet łaciński, albo jeśli wolimy, rzymski. Wprowadziwszy go raz, pomyślmy nad tém, ile mieli trudności do zwalczenia, ile do przełamania przeszkód, ile do zapełnienia braków i niedoskonałości. Tak mała bowiem ilość znaków alfabetu łacińskiego, byłaż dostateczna do oddania wszystkich brzmień naszych nieporównanie liczniejszych? Sami sobie na to odpowiedzieć możemy. A więc poczciwcy łatać musieli biédę jak mogli. Uczepiwszy się ostatniéj głoski alfabetu łacińskiego, *z*, prawie mu na nic nieprzydatnéj, zapychali nią wszystkie szpary fonetyczne języka naszego, używając go do różnych posług, jużto jako znak miękczenia przy końcowém *c*, np. *gyechacz* (jechać), *przyaczele* (przyjaciele), już jako znak przemiany brzmienia łacińskiego *c* przed samogłoskami: *a, o, u,* aby go nie wymawiano jak *k*, np. *czo* (co), *czały* (cały), *czudzy*

(cudzy); już jako znak zszumiania syków: *s*, *c*, co do dziś dnia ma jeszcze miejsce. Ale w tym razie wielki był chaos, bo jedna głoska wszystkich tych funkcyj należycie pełnić nie mogła i we wszystkich zdarzeniach; tak, iż zszumienia od miękczenia lub samego odróżniania brzmień należycie nie odznaczano. W tym przypadku posługiwano się znowu równie mało znaczącą w alfabecie łacińskim głoską *y*, którą za znak miękczący używać zaczęto. Trzeba pamiętać na to, że podówczas jeszcze *z* nie było głoską, mającą ustalony osobny byt ze znaczeniem odrębném, bo Parkosz pisze jeszcze *s* z łacińska po polsku: *masal* za mazał; bo *s* między dwiema samogłoskami w łacinie wymawia się jak *z*: *kausal* (kazał). Jeśli s między dwiema samogłoskami stać mające wymawiać było trzeba jak *s*, natenczas dwóch *ss* używa, pisząc: *glossu* (głosu), *pissał* (pisał); toż niekiedy z początku wyrazu np. *ssowitho* za sowicie. Że *z* nie było jeszcze odrębną głoską, pokazuje się i ztąd, że zszumiania go na *ż* nie znano, ale zastępowano je dwuznakiem *sz*, pisząc: *przedłusził* (przedłużył), *sziwoth* (żywot), *kaszdo* (każde), *bosze* (boże). W ten sposób posługiwanie się znakiem *z*, który głoski nie miał znaczenia, było bardzo łoiczném i mogło być w używaniu. Toż o *y* powiedzieć można. Ztąd przypatrzmy się np. jak syki miękczono czyli spieszczano: *szyano* (siano), *szyostra* (siostra). Tu *z* służy do odróżnienia, iż *s* nie z łacińska jako *z*, ale właściwie jako *s* wymawiać trzeba, *y* zaś stoi w tém miejscu za znak miękczący. Ale już i podówczas owo *z* nachylało się ku odrębnéj exystencyi: ztąd za *sz* Parkosz radzi pisać *sch*, np. *schopa* (szopa), *schum* (szum), ś miękczy się znowu w ten sposób *ssz*, np. *sszarotha* (sierota), *sszatka* (siatka), *ź* pisze przez dwa, *z* np. *zzele* (ziele), *zzima* (zima). Taka plątanina, gmatwanina, taki zamęt w Parkoszowéj pisowni. Zaborowski używa na miękczenie głosek dwóch kropek powyżéj nich umieszczonych. Następnie wchodzi *i* za znak miękczenia przed samogłoskami i do dzisiejszego w tym charakterze nieskazitelnie dochowało się czasu.

O głosce i *jako znaku miękczenia.*

I więc raz jest samogłoską, drugi raz znakiem miękczenia. Dwoistość posługi téj głoski szkodzi wielce jasności pisowni

i jéj prawdziwości przyrodzonéj, robiąc z niéj wysoką sztukę, gdy ona jest odbiciem naturalności głosu przez znaki piśmienne. Machinalnie więc, przez wprawę i nadane nam sztuczne okulary, któremi możem widzieć inaczéj, niż zdrowym naturalnym wzrokiem naszym, czytamy inaczéj niż piszemy, a za główne prawidło pisowni głosimy owo: „Pisz jak wymawiasz". Co do mnie widzę w tym razie w niéj inne dużemi głoskami wypisane prawa: „Wymawiaj jak nie piszesz i pisz jak nie wymawiasz." Nie widzę więc innego zaradczego środka na owę niekonsekwentność piśmienną, nad oznaczenie pewne i stałe przeznaczenia każdego znaku piśmiennego, tojest oznaczenie dokładne: czy jest znakiem piśmiennym czyli głoską, czyli téż tylko znamieniem. Dopóki tego nie wprowadzim, pisownia nasza na niestrawność loiczną chorować będzie. Co zrobiono dawniéj z samogłoską *y*, to zróbmy z jéj drugim wyrazem *i*, tojest odsuńmy ją do koła samogłosek, nie wskazując jéj na służalstwo znamienia spółgłoskowego. Wszakże samogłoska nie może być czém innem tylko samogłoską, tojest podstawą zgłoski. O Śniadeckim mówi Osiński, iż w słowie *mieć* nie chciał uważać *i* za znamię spieszczające *m*, ale za samogłoskę. I czyż nie tak jest, jak utrzymywał ten zdrowo widzący nasz pisarz? *I* stojące w wyrazie powinno zawsze stanowić zgłoskę czy samo, czy z jedną lub więcéj spółgłoskami: ztąd gdy piszę *nie*, widzę w tym wyrazie dwie zgłoski, i rozdzielnie wymawiać je powinienem *ni-e*. Tak wymawiają cudzoziemcy, takie błędy w nauce czytania dzieci popełniają. Już dzisiaj złym smakiem zdradzałby się ten, ktoby z energią ślepego pyszałka utrzymywał barbarzyńskie zdanie: „my mamy język dla siebie, a co nam tam do obcych." Sąto zawsze wybiegi zapamiętałych i niepoprawnych zarozumialców, dla których lenistwo umysłowe będąc niegdyś chorobą, stało się dziś stanem normalnym, i którzy chcą nakazywać rozum drugim swoją negacyą, swoją ujemną stroną!

Tak więc samogłoska *i* nie będzie znakiem miękczenia przed innemi samogłoskami, ale gdy sama jest najcieńszą samogłoską, może być użyta do miękczenia poprzedzającéj spółgłoski twardéj; to téż dlatego jest ów dwuznak téj samogłoski: *i*, *y*, aby piérwsza po miękkich, a druga po twardych stała. Ale nie potrzebujem dodawać znaku twardości przed samogłoską *y*, nie potrzebujem więc także umieszczać znaku miękczenia przed samogłoską *i*. Tu samogłoska *i* nie traci swego charakteru

samogłoskowego, np. ni-ci, i chroni pisownią od używania znaku niepotrzebnego; ale w każdym innym razie przestaje być sobą: w każdym téż innym razie znaku miękczenia używać należy. Ale ponieważ wzwyczajonym do pisania *i* jako znaku miękczenia trudnoby się z tą pisowiną pogodzić: dla ułatwienia rzeczy, uniknienia pstrocizny i dla dogodności w miękczeniu dużych liter, przed samogłoskami używajmy tego znaku miękczenia tojest *i*, ale bez kropki. Taką małą poprawką z naturą języka naszego zgodną, a dla jego loiki niezbędną, wprowadzimy więcéj ładu i jednostajności w pisownią naszę. Tak małą poprawką zyskamy wiele uproszczenia i pozbędziem się gmatwaniny głosek i znaków; co większa, wykażemy pokrewieństwo między samogłoską *i*. spółgłoską *j* i półgłoską *i*. czyli znakiem miękczenia, który jest pośrednim między *i* a *j*, i na nie się częstokroć zamienia.

O tak zwanych dwójkach cz, dz, dź, dż, rz, sz, ch.

Drugą nader zgubną przywarą naszéj pisowni jest wyrażanie pojedynczych brzmień podwójnemi głoskami. Wszakże głoski mają być wiernem malowidłem głosów i brzmień i najdokładniejszym ich dagerotypem; podwójność zaś znaków na pojedyncze brzmienia jest mazaniną jaskrawą, rażącą oczy. Nie miałbym nic przeciw podwójności znaków. gdyby te nie miały już innego właściwego sobie znaczenia, lub gdyby jeden z nich, jako dodatkowy, był raczéj znamieniem piśmiennem niż głoską; ale gdy oba znaki są głoskami ze znaczeniem odrębném, a my z nich składamy inne trzecie brzmienie, które nie jest złożoném: to rzecz nieloiczna.

Fotelem, na którym się tak wygodnie rozparł błąd organiczny pisowni naszéj w wyrażaniu brzmień pojedynczych znakami podwójnemi jest mylne zrozumienie i zmieszanie brzmień *pochodnych* ze *złożonemi*. Tak, ztąd że je u nas za jedno brano, powstało takie *qui-pro-quo* alfabetu naszego. Zastanówmy się nad ich różnicą. - Brzmienie prostsze i takie, iż gdyby go nie było, inne z niego powstać czyli utworzyćby się nie mogło; brzmienie, które piérwéj od innych w języku bytuje: zowie się *pierwotem głosowym* albo *brzmieniem pierwotném*; brzmienia zaś, które do swego urobienia owych pierwotów gło-

sowych potrzebują, nazywają się *pochodnikami głosowemi*, albo *brzmieniami pochodnemi*. Pochodne więc brzmienia, choć z pierwotnych powstały, są zupełnie inne, różne od pierwotów, a znak ich jest pojedynczy. Złożone zaś brzmienia stojąc obok siebie, każde odrębnie, nie zlewają się z sobą tak, aby brzmienie ztąd powstałe było do niepoznania: owszem, one w złożeniu oddają tylko brzmienia pojedyncze. Złożenie bowiem fonetyczne i zmieszanie chemiczne, to nie to samo. Brzmienie złożone nie jest mieszaniną na ciało trzecie utworzoną, w któréj ingredyencye całkowicie toną; ono jest poprostu zestawieniem głosów różnych, do wymówienia danych. W złożonych więc brzmieniach pojedyncze stoją obok siebie i nie są inne; nie zmieniły się jak w pochodnikach. To więc, co w naszych grammatykach nazywano dwójkami, trójkami, czwórkami, jest błędem i fałszem fonologicznym.

Dla lepszego uzmysłowienia podanych pojęć przywiedźmy niektóre ważniejsze złożenia głosek, abyśmy tém łatwiéj zrozumieli, czy wszystkie za złożone dotąd poczytywane brzmienia, są takiemi. Przywiedźmy, mówię, niektóre ważniejsze złożenia, bo przedstawiać wszystkie możebne kombinacye spółgłosek wymagałoby rozleglejszego, niż w tym krótkim poglądzie, pisma: czego tém łatwiéj uniknąć można, iż wszystkie inne prócz tych, które wymienimy, łatwo jako złożone brzmienia rozpoznać się dadzą, gdy staną obok siebie w swojéj zwykłéj postaci. Zpomiędzy brzmień złożonych najważniejsze są tak zwane brzmienia *bliźniacze*, tojest spółgłoski mocne z mocnemi, słabe ze słabemi lub obojętnemi:

zd, zb, zdz, zw, zm, zn, zg, zl, zł, bz, wz, mż, gz, (dz / (ts) c)
st, sp, sc, sf, sm, sn, sk, sl, sł, ps, fs, msz, ks,

Każde z tych brzmień bliźniaczych, prócz *c* za *ts* i *dz*, odbijają swe głoski, tak, że początkowe obok syku twardego, miękkiego lub zszumienia słychać. Kiedy je więc słychać osobno, są więc złożone, bo gdyby nie były złożone, zlewałyby swe brzmienia w jedno. Alfabet grecki, za nim łaciński i jego filie przyjęły jeden znak *x*. Znak ten ξ w greckim zastępował: *chs*, *gs* i *ks*, np. *korax* (koraks), *lexo* (legso), *onyx* (onychs). Nadto znała greczyzna ψ na swoje złożone brzmienie *ps*, *bs*, *fs*, np. *typo* (*typso*), *chalyψ* (chalybs) *kateliψ*, (katelifs). Niektóre narody przyjęły także głoskę x na oddanie złożonego brzmienia, co odrzucili Rossyanie i inni Słowianie. Zobaczmy, co o tém my-

ślić mamy. Niezgoda w przyjęciu tych głosek przez niektóre ludy dowodzi, iż brzmienia te nie są pojedyncze; odrzucenie ich obu w polszczyznie przekonywa nas, iż nasza pisownia na najlepszéj stanęła drodze. Kiedy Grecy głoskę swoję ξ kładli za brzmienia *ks. gs*, *chs*, musieli i wyrazy tą głoską wypisywane, wymawiać różnie, stosownie do głosów, jakie ona zastępowała. Podobnież musieli wymawiać różnie tę głoskę i łacinnicy w wyrazach np. *Alexander*, *examen*, jak tego dziś dostrzegamy na języku francuzkim, który ją raz wymawia jak *gz*, np. *exactitude*; drugi raz jak *ks*, np. *Alexandre* i znowu jak *ss* np. *Bruxelles*. Co większa, jestto fakt w języku francuzkim powszechnie znany, że *x* rozkłada się w nim na *ss* lub *c*, wymawiane jak *s*: np. *faux*, *fausse*, *doux*, *douce*. Z tego widać, że ta różnorodność brzmień w głosce za pojedynczą uważanéj nie razi Francuzów, alboli téż może na to nie zwrócili uwagi. Dajmy im pokój! patrzmy siebie; polityka językowa nie dozwala interwencyi w sprawy wewnętrzne innego języka.

U nas jakiś czas *x* błąkało się po alfabecie, dzisiaj już ta głoska z naszego alfabetu wyproszoną została, bo jakże wyrazić u nas *krz*, *ksz*, *kś*, *gz*, *grz*, *gź*, jednym znakiem. Pokazuje się z tego, iż ów okrzyczany przymiot jasności języka francuzkiego w pojęciu i wyrażeniu nie zajrzał jeszcze wcale do ich pisowni i nie zajrzy zapewne; ale za to musi uderzyć czołem przed przezroczystością i czystym blaskiem pisowni kochanego naszego języka. Zginęło więc dla nas *x*, przepadło i nie powróci więcéj, bo straciło prawo obywatelstwa w naszéj pisowni. Toż samo cośmy powiedzieli o *x*, stosuje się do greckiego ψ; nie znał jéj nigdy alfabet łaciński; więc ona nigdy w naszéj nie zawadzała pisowni.

Przedstawiliśmy główniejsze brzmienia złożone, poświęcając nieco uwagi tym, które za pojedyncze w abecadłach innych narodów poczytywano, wyłuszczając czém jest rzeczywiście owa pojedynczość. Powiedziawszy o brzmieniach złożonych, zastanówmy teraz uwagę naszę nad brzmieniami pochodnemi c, dz, ć, dź, cz, sz, dż, rz, które dotąd nazywano *dwójkami*. Następnie wykażemy w czém spoczywa mylnik loiczny owego nazwiska brzmień za złożone mianych, w jaki sposób niedogodności pisowni naszéj przyjść w pomoc i podwójne znaki jednego brzmienia jak jednym zastąpić znakiem. Mając już probiérz w ręku na ocenienie tego, co są brzmienia złożone a co

occhodne, chciejmy przejrzéć tak zwane dotąd złożone brzmienia, albo dwójki, trójki i czwórki, o ile one są takiemi. Dwójki te są: *cz*, *dz*, *dź*, *dż*, *rz*, *sz*, *ch*. Trójki *zdz*, *żdź*, *żdż*, *śdź* i czwórka jedna *szcz*. Jak wszędzie tak i tu poradźmy się ucha naszego co słyszy, gdy wymawiamy owe brzmienia podwójne złożonemi zwane. Jak mnie wymawiać uczono, takem się nauczył, tojest wymawiam tylko jedno brzmienie przy nich; może kto w innéj był szkole—jam się tak uczył. Jeśli jedno jest brzmienie, po co dwa znaki! Chyba dlatego, aby nakazać inaczéj patrzéć a inaczéj widziéć, aby zabijać w nas prawdziwość charakteru narzuconą z góry obłudą i nauczać niewinne i nieuczone dziatki uczonego kłamstwa! Kiedy te dotąd tak zwane dwójki są brzmieniami pojedynczemi, odmiennemi od brzmień różnoznacznych ze sobą zestawionych, które w nich jak cukier w herbacie rozpływać się mają: toć nie są brzmieniami złożonemi, ale tylko pochodnemi. Kiedy one nie są dwójkami, toć: *zdz*, *żdź*, *żdż*, *śdź* nie będą trójkami, a *szcz* za czwórkę uchodzić nie może, bo tu tylko dwa osobne brzmienia słychać. Rossyjski alfabet posiada złożoną głoskę *szcz* w pojedynczym znaku *щ*; o ile to jest uproszczeniem, zostawiam to biegłym w sztuce do rozstrzygnienia, choć mi się nie zdaje, aby dobrze było brzmienia złożone pojedynczym wyrażać znakiem, bo jakże je rozdzielić, gdy tego potrzeba.

U nas raziło niektórych wypisywanie dwóch brzmień *szcz* czterema znakami; ztąd zamarzyło im się szalone zrobić uproszczenie i chcieli na miejsce piérwszego szumu *sz* wprowadzić syk *s*, pisząc *scęście*, *sczery*. Taką anatomią będzie dopiéro poprawiającym język filologom (?) dozwolono robić na języku—trupie: za życia jego nie można go krajać i obrzynać. Czemuż się druga krańcowa ostateczność nie znalazła w innych, którzy swoich poprzedników dopełnić chcieli, coby znowu *cz* szum drugi w syk *c* przeistoczyli, a piérwszy szum *sz* zostawili? Mielibyśmy przynajmniéj dwa błędy znoszące sięnawzajem. Ortografia wiele oddziaływa na wymawianie; natura bowiem ze sztuką to mają wspólnego, iż nawzajem na siebie działają i oddziaływają; dlatego też silny konserwatyzm języka wyparł precz podobne nowatorstwo, które zamiast prostować, paczy i przekrzywia zdrową fonetykę języka. *Ż*, jako spółgłoska oznaczone swoje piętno mająca, nie może wchodzić w charakterze głoski pomocniczéj do dwójek: *sz*, *dz* i t. d., i będąc głoską nie mo-

że służyć za znamię, jakeśmy to o głosce *i* powiedzieli. Chodzi o to, czy nam język w materyałach swojéj pisowni nie dostarcza środków do zastąpienia tych dwuznaków pojedynczemi! A najprzód co do szumów *sz*, *cz*, *rz*, *ż*. Zapytajmy się, co znaczy ta kropka nad *z* w zszumioném *ż*? Jeśli ta kropka znaczy zszumienie *z*, chciejmy ją zastosować do wszystkich innych szumów. Tymczasem *sz*, *cz*, *dż*, *rz* piszemy początkowemi sykami, a *z* im za zszumienie przydajemy. Jeśli zaś tak piszemy inne szumy, to chcąc być awożni, powinnibyśmy i do *z* dodać drugie *z* dla zszumienia piérwszego, i trzebaby nam pisać *żąc* np. przez *zząć*, *żeby* przez *zzeby*, a tak jedna zasada będzie przenikała pisownią i zastosowując ją wszędzie, będziemy w zgodzie sami z sobą. Jeśli zaś przeciwnie kropka nad *z* położona wyjątkowym sposobem ma oznaczać zszumianie, a ten środek zszumiania tak dobrze przypada głoskom *ż* i *dż*, czemuż nie ma wdzięcznie przypadać i każdemu innemu sykowi? Bądźmy przeto loiczni i sprowadźmy zszumianie do jedności zasady, jakeśmy to ze spieszczaniem dokonali; w ten sposób wypolerujemy naszę pisownią, zrównawszy w niéj chropowatości, które zwyczaj tak grubą warstwą pyłu dawności okrył, iż ich już dojrzéć nie możemy! Dziś już pielęgnować mamy język nietylko jako świętą własność naszę, ale równie jako własność ludzkości, w któréj łańcuchu słabe ogniwo tworzymy. Oczyszczajmy jego pisownią, gładźmy, ozdabiajmy, albo przynajmniéj bądźmy czuli na te już fałszywe pstrocidła, które ją szpecą. Kropkę więc nad sykami umieszczoną, która jest cudném znamieniem zszumienia *zetu* na *ż*, przyjmijmy, powtarzam—jak chcieli jeszcze Zaborowski, Górnicki w zupełności; jak chcieli Rej i Orzechowski częściowo—za ogólne znamię zszumiania wszystkich syków. Przez to zniesiemy podwójność znaków na jedno brzmienie; wszakże już i Czesi mają oddawna taki sposób pisania. Piszmy więc *c̄*, *s̄*, *r̄* z kropkami za *cz*, *sz*, *rz*.

Pozostaje się nam jeszcze rozprawić z dwójkami: *dz*, *dż*, *dź*. W wypisywaniu tych głosów tam, gdzie należy, nie dopatrujemy fałszywego sposobu ich wyrażania, ale czujemy niedogodność téj pisowni tam, gdzie każdy z tych głosów osobno wybijanym być powinien: należy więc zaradzić téj niedogodności w spojedynczaniu brzmień tych dwoma wyrażonych znakami. Na to poda nam znowu myśl głębsza stosowne środki, bo potrzeba jest matką wynalazków, jest podmuchem intelligencyi. Wszakże widzieliśmy, mówiąc o brzmieniach pochodnych, że

słaba *c* odpowiada mocnéj *dz*. *C* jeśli mię brzmienie to nie myli jest brzmieniem pochodném od *t* przez naddanie syku *s*, tojest stoi za *ts*, jak to czasami nawet cudzoziemcy po swojemu nasze brzmienia piszący, wyrażają. *C* będąc brzmieniem pochodném nie jest wszakże złożoném, jak tego sam nawet już znak na nie jeden dowodzi. Kiedy więc *c* jest pojedynczém i jako słabe odpowiada mocnemu *dz*; to i *dz* jako odpowiednia mocna słabéj *c* nie jest brzmieniem złożoném, ale pochodném pojedynczém. Albo więc znowu piszmy obie te głoski podwójnym znakiem, albo obie pojedynczym. Ale brzmienia oznaczonego głoską *c* jako już pojedynczym wypisywanego znakiem, nie możem wyrażać podwójnym, bo już jest oddawna w języku; nie pozostaje nam przeto innéj drogi, jak wyrażać *dz* pojedynczym znakiem. Tak będziemy wyrażać jedną głoską, bo już dzisiaj czas, abyśmy mieli swój własny rozum. Jeśli się więc podoba niech tym znakiem będzie ȣ. Znaczek ten albo głoska będzie zbliżony z jednéj strony swojém pochodzeniem do *d*, z którego powstał, z drugiéj strony formą swą przystanie do *c*, którego jest odpowiednią głoską. W ten sposób zakończy się bałamuctwo naszéj pisowni, a gdy nam przyjdzie potrzeba wyrażania osobno głoski *d* przy *z*, będziem w mocy wypisania obu jak najnaturalniéj. Górnicki jeszcze projektował za *dz* pisać *d* z daszkiem, ale toby było bardzo niedogodne, bobyśmy chcąc wyrazić *dź* lub *dż*, dwa znaki nad sobą tojest kreskę lub kropkę kłaść byli zmuszeni. Przyjmując zaś *dz* w pojedynczym znaku ȣ przez nas podawanym, z łatwością wszelką będziem mogli go spieścić, kładąc nad nim kreskę ȣ' lub zszumić umieszczając powyżéj niéj kropkę ȣ'.

Za *ch* możnaby przyjąć *h*, gdzie w wyższéj części głoski widziéćby można początek głoski dawnéj *c*, spływający z całością.

Kończąc rzecz moję rzucam jeszcze światło na powód, dla którego projektowane przez Zaborowskich, Górnickich i Orzechowskich upraszczanie ortografii nie mogło wejść w wykonanie. Nie byłato sama wielkość kresek i punktów nad głoskami, o których Seklucyan wyrzekł, iż „dużo punktów pisma nie chędoży"; byłby to powód czysto estetyczny. Właściwym przy nim powodem było utrzymanie indywidualności pisowni, jako zewnętrznéj formy języka, był opór jaki stawiała polszczyzna w peryodzie czeskim, aby pisownia nasza nie z-amałgowała

się w czeskiéj, coby może na rozwijanie się języka, a zatém i na stosunki ówczesne polityczne Polski niebezpieczny wpływ wywrzéć mogło; tém bardziéj, że byli podówczas pisarze jak np. Bartosz Paprocki i inni, co równie po czesku jak i po polsku pisali. Wpływ cesarzów niemieckich i chętka ich do mienia Polski królestwem dla siebie dziedzicznem, przerażał Polaków; nie chcieli poddawać więc cesarzom, dybiącym zawsze na Polskę, cienia tytułu więcéj przeciw niéj. Teraz zmieniły się okoliczności, swobodnie więc wszelkie poprawki i ulepszenia dotyczące pisowni przyjąć się mogą.

Domówienie.

Wytknąłem główniejsze grammatyczne fałsze i niedoskonałości pisowni; resztę zaś, da pan Bóg, dopełni się, gdy cały system grammatyki naszéj okoliczności opracować dozwolą. Sądzę, iż wielki już czas przystąpić rączo do dzieła i wymieść raz precz ów piśmienny galimatyas z ortografii naszéj. Ale do tego potrzeba, abyśmy łuskę przesądów i uprzedzenia z oczu naszych zdjęli i na zwyczaj się nie oglądali: gdyż inaczéj, choremi oczyma nie dojrzym potrzeby ulepszenia pisowni naszéj, która może być najprostszą, najnaturalniejszą i najloiczniejszą zpomiędzy nam znanych. Wiem, o ile trudno jest rozstawać się z miłym sobie lub niece przymusu kosztującym nałogiem; wiém, jak to niesmaczny kąsek zginać kark starego nawyknienia przed młodszą jakąś myślą, choć pełną czerstwości i życia: atoli wiem także, iż trochę woli pokona zastarzały nałóg.

Znajdą się wprawdzie, którzy wystąpią z zarzutem. „Poco zrywać z przeszłością? czyż Krasiccy, Karpińscy, Trembeccy, Knieźniny, Woronicze, Śniadeccy, Rzewuscy, Kraszewscy, Korzeniowscy, Maciejowscy, Wójcicey i t. d. i t. d. i t. d. nie znali języka, a przecież tak pisali jak dotąd". O! że znali, to nie ja ujmować im będę: owszem biję przed niemi czołem i zapraszam, aby do ich pism częściéj i chętniéj zaglądano. Powiem tylko, że takim głowom chodzi więcéj o treść pisma, bogactwo myśli i wdzięk wyrażenia w języku—nie o jego formalną stronę, pisownią. Powiem daléj, że oni wchodząc w to, co zastali gotowego, nie pytają się kto kogo rodził, tojest jaka forma pisma i zkąd powstała, ale szanując ich egzystencyą, za powszechną godą ustaloną, piszą jak i wszyscy inni. Cóż w tém dziwne-

go? Jeśli kto, to nie ja powiem, aby wielki Skarga silnie, nadobnie a może niezrównanie językiem naszym władać nie umiał; a przecież znajdujemy w jego pismach: *bychmy* za *byśmy*, *bych* za *bym* i inne, które w nas śmiéch dzisiaj budzą! Czyż kto jednakże ma za złe wielkiemu temu pisarzowi, że podówczas język w swojém wyrobieniu fonetyczném tak nie postąpił jak dzisiaj? Czyż to zjawisko nie dowodzi, że język coraz bardziéj się kształci i urabia w swoim fonetyzmie? Czyż nie dowodzi, że pisarz jest przedstawcą epoki swojéj, w któréj żyje, nietylko pod względem treści, ale i formy, tudzież że nie pisze inaczéj, jak wszyscy piszą? Cóż więc dziwnego, że gdy dawniéj nad budową pisowni naszéj mniéj się zastanawiano, niż dzisiaj, mniéj także dostrzegano niedoskonałości? Czyż przez to, że po pismach niektórych dzisiejszych pisarzy, różna, i częstokroć jak kameleon swą barwę mieniąca pisownia samopas chodzi, jeśli te są szacowne, przestają ich autorowie być klassycznemi i drogocennemi skarbami piśmiennictwa naszego? Treść pisma, jako myśl, zostanie treścią; my dbajmy także i o formę jego—pisownię: bo forma i treść jak duch i materya, jak dusza i ciało, w połączeniu dopiéro stanowią istotę. Istoty cechą jest prawda rzeczywistości; prawdą pisowni jest jéj naturalność, owa siła kohezyi drobnych atomków istoty.

Czas już przedstawić naprzeciw dotychczasowemu, świeżo poprawny na dawném tle alfabet. Oto jest jego wzornik porządkiem loicznym skreślony.

a, b, b', d, e, é, ę, f, f', g, h, *h*, i, y, j, k, l, ł, m, m', n, ń, o, ó, ą, p, p̄, r, r̄, s, ś, s̄, t, u, c, ć, c̄, z, ź, ż, ò, ō, ō, tudzież znak miękczenia ' lub *i* i znak akcentacyi ^.

Mamy więc 42 głoski alfabetu naszego, a jeśli, jak powiada Eichhoff (Vergleichung der Sprachen von Europa und Indien) prawdą jest, że słowiański język zaledwie indyjskiemu w bogactwie fonetyczném ustępuje; to prawdą jest pewniejszą, że tak powiem jeszcze, iż polski sam ma największe bogactwo brzmień ze wszystkich znanych na zachodzie języków.

Prubka pisowni polskiéj.

S o n e t.

Burˉa.

Zdarto żagle, stér prysnął, ryk wód, sˉum zawiei,
Głosy trfożnéj gromady, pomp złowieśce jęki

Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki.
Słońce krwawo zachodzi, z niém resta nadziei.
Wiher z tryjumfem zawył, a na mokre gury
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu
Fstąpił gênijusz śmierci i siedł do okrętu
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.
Ci leżą napół martfi, ów założył dłonie,
Ten w objęcia pr'yjaciół żegnając się pada;
Ci modlą się pr'ed śmiercią, aby śmierć odegnać.
Jeden podróżny siedział w milćeniu na stronie
I pomyślał: ścęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umié lub ma z kim się żegnać (1).

Z téj pisowni, chociaż się na dzisiaj niezwyczajną zdaje, nie widać wcale, aby nową była. Jest ona dawną i nową, ale jest, co największa —polską. Cieszymy się, gdy nam się z jakiego dzieła zaledwie rozeznalnych rysów, po staranném oczyszczeniu go i odświéżeniu, sławnego sztukmistrza ręka przedstawi. I rzeczywiście jest się z czego cieszyć, bo dzieło gieniuszu, jako odblask boskiéj twórczości, godne żyć obok dzieł Twórcy: i w nich wieje także duch boży. Takim obrazem starym, dziwnie pięknym, po oczyszczeniu go z warstw naniesionych brudów, nieuwagi, naśladownictwa służalczego obczyzny i przymieszanych barw późniejszych bazgraczy a nie sztukmistrzów, żadnego smaku prawdziwéj sztuki nieznających, jest nasza polska pisownia. Staryto obraz, choć nowo wygląda; ale ładny, bo go gieniusz języka stworzył. Niespodziewaném pojawieniem się swojém, obraża może miłość własną nawyknień naszych, ale dlatego nie przestaje być pięknym. Wszakże i w sztuce piękność nie na dziwacznéj oryginalności indywidualnego pojęcia zależy, ale na zastosowaniu wiernem praw ogólnych piękna w dany szczegół. Co ładne, łatwo znajduje przystęp do podziwu naszego, bo jest naturalne i znanemi sobie drogami niewidomie do duszy naszéj się wkrada. Pisownia nasza jest do natury zbliżona, dlatego najłatwiejsza; do natury zbliżona, dlatego najprawdziwsza; że najprawdziwsza więc piękna, choć różna od pojęć naszych dotychczasowych zanadto sztucznych, i dlatego przeważnie wyjątkowych. Gdy mówię pisownia nasza, nie biorę wyrazu „nasza“ w znaczeniu „moja“ bom jéj

(1) Brak czcionek potrzebnych, nie daje dość jasnego wyobrażenia projektowanéj pisowni. *P. R.*

wcale nie wymyślił, ale z myśli i natury języka *naszego*, nie *mojego*, wysnuł. Doszedłem do jéj wypadków drogą zastanawiania się nad szczegółami jéj; nie przychodziłem zaś wcale z myślą mającego wprzód system jaki w głowie i naciągającego doń wszystkie fenomena pisowni według wyprzednio obmyślonego kroju. Jakżem się cieszył, gdy mi bez cudzego podszeptu, pracy swéj dokończeniem zajętemu, wpadły w ręce pisma Parkosza, Zâborowskiego i Seklucyana, do których, jako najważniejszych pomników pisowni, w téj rozprawie odwoływałem się najczęściéj. Te mię nauczyły, że niby nowe moje usiłowania starą potrzebę przez tych mężów uczuwaną, wykrywają.

Do was więc słowo szanowni a godni pracownicy na polu piśmiennictwa naszego. Przed wasz areopag zanoszę najpokorniejszą prośbę, abyście pomogli młodszemu przynajmniéj pokoleniu uwolnić pisownią naszę od więzów zwyczajowéj dawności. Dajcie mu prawa w pisowni, jakie jéj sama natura języka dyktuje. Już dosyć długo wybyliśmy w anarchii; czas już być pod prawem wszystkich obowiązującém!

Jeśli liczba w tém pisemku wskazanych braków i niedoskonałości nie jest jeszcze okrągła, wskażcie inne jeszcze i poddajcie uwadze światłéj publiczności. Dajcie nam jałmużnę waszego naukowego rozumu, wszakże nie z pogardą dumnych panów rzucających ją aż na ziemię, aby podnoszącym ją dać uczuć wyższość swoję; ale z uczuciem życzliwości i uprzejmości wykształceniu zwyczajnéj wyższemu: —bo tak na przewodników przystało. Może poddacie szczęśliwsze odemnie uproszczenia; i owszem, wyglądam ich szczerze, i przy swoich obstawać nie będę, dlatego że moje, jeśli coś lepszego zobaczę. Ale dlatego uraczcie pracę moję swojém wejrzeniem. Spojrzyjcie w głąb' myśli przewodniczącéj temu krótkiemu poglądowi: —uznacie przynajmniéj potrzebę poprawienia i ustalenia pisowni. Sprostowanie jéj ułatwi nadzwyczajnie naukę czytania i pisania młodzieży początkującéj i cudzoziemcom. Szczerze ręce do dzieła przyłóżcie, a swoim przykładem choć potrochu, bo trudno odrazu, poprowadźcie mniéj myślącą massę za sobą. Wszakże upraszczać, robić naukę czegokolwiekbądź przystępną, jest zasługą; wprowadzać myśl i zasadę przenikającą organizm naszéj pisowni: —toć przecie rzecz wszystkich! Ja nie mam żadnego piśmienniczego znaczenia, nie chciałem więc wprowadzać nowości i używać nowego spo-

sobu pisania, nie wyłuszczywszy poprzednio pobudek i dowodów. Do was inicyatywa dobrego należy. Poprawkami naszéj pisowni zbliżymy się do różnych ludów szczepu naszego, a przeto pokażemy może innym ludum europejskim na gorszéj jeszcze od nas drodze będącym, ubity do poprawy ich własnéj pisowni gościniec.

Spodziewam się, że i godni następcy Januszowskich, Szarfenbergerów, Piotrkowczyków nie będą się ociągać z wprowadzeniem potrzebnych do druku dodatków.

Dobréj woli wszystkich polecam pracę moję, w chęci posunienia pisowni naszéj do podanych ulepszeń i obudzenia myśli do badań nad językiem, nad którym nigdy dość zastanawiać się nie można; — kończąc rzecz moję słowy Temistokiesa do Eurypida wyrzeczonemi: (Krzyczcie na mnie, hałaście, gniewajcie się) „Bijcie mię, ale słuchajcie".

LISTY ARCHEOLOGICZNE.

II.

Prospekt na pismo archeologiczne z roku 1786. — Trachten des christlichen Mittelalters, H. Hefner.—Kunstwerke und Geräthschaften des Mittelalters und der Renaissance.—Die Kunstwerke von dem Alterthum bis auf die Gegenwart, von E. A. Mentzel.—Monumenta regum Poloniae cracoviensia.—Kodex dyplomatyczny polski.—Liber geneseos familiae Schidloviciae i Acta Tomiciana.—Dzieje wyznania helweckiego w dawnéj Małéj-Polsce, J. Łukaszewicza.—Katalog bisk., prał. i kanon. kapituły krak.—Roczniki miasta Lwowa ks. T. Józefowicza.—Pamiętniki o wyprawie Chocimskiéj.—Roczniki Tow. Nauk. Krak. oddział sztuk i archeologii.— Wizerunki książąt i królów polskich.— Historya zakładów dobroczynnych krakowskich.—Dadatek tygodniowy do Gazety lwowskiéj.—Slavische Jahrbücher.

Gdy nam szanowna redakcya Biblioteki Warszawskiéj użyczyła swych kolumn, na umieszczanie w nich od czasu do czasu wiadomostek z pola archeologii; sądzimy, iż nie będzie zbytecznem przytoczenie tutaj prospektu na pismo archeologiczne, o jakiém u nas już za panowania Stanisława Augusta myślano. Przytoczę ten prospekt dosłownie; bo może on dokładnie wytłumaczyć ówczesne pojmowanie badań, które dziś tak ważną w literaturze naszéj gałąź stanowią. Tu dodać winniśmy uwagę: iż niniejsza myśl pisma archeologicznego, któréj autorem jest ks. Xawery Zubowski (1), poprzedziła o pół przeszło wieku zawiązek piérwszego w Europie towarzystwa, które istotną drogę badań wskazało. Prospekt bowiem o którym mowa, wyszedł w Warszawie 1786 r., a *Leitfaden zur nordischen Alterthumskunde* wydało królewskie towarzystwo starożytności północnych, dopiéro 1837 r. w Kopenhadze, którato wskazówka stała się dla nas wzorem, gdy Towarzystwo Naukowe krakow-

(1) Ów Zubowski wydał w Warszawie 1786 r. dwutomowy zbiorek swoich wierszy, gdzie téż dołączony jest prospekt o którym mowa.

skie, osobny wydział do badań archeologii utworzyło. Słowa prospektu owego są: *Kollekcya starożytnych i tegoczasowych osobliwości w kraiu y za kraiem znaiduiących się, Naród Polski interessuiących. Pismo peryodyczne. Prospekt:* „Nie można mówić, aby nasz naród z dawna nie miał gustu, nie miał rezolucyi, wiedzieć, szacować i starać się o to wszystko, co kiedy świat wedle swych wieków oświecenia, tworzył, poważał, i kładł między naypierwszemi osobliwościami. Ale czas każdą rzecz pożerający, bardzo wiele pozbawił nas tey szacowney starożytności, zatarł, zniszczył i pochłonął w niepamięci, te serca i ręki drogie przodków naszych pamiątki, tak, że częstokroć dopiero w szczątkach zniszczenia znayduiąc nieiakie ślady pięknych owych zabytków, musiemy się tylko dziwić, iż to być u nas mogło, i że tak marnie zginąć dopuszczono. Musiemy się gniewać i boleć, że nie było spółczesnych tak czułych, aby się nad tém troskliwiey zastanawiać umieli, a potomność, że nie iest tak szczęśliwą, aby przynaymniey obrał się kto w piśmie swoiém o tém, iaką podać iey wiadomość. Świadectwem będą prawdy zebrane ostatki, które ciekawey powszechności dziś ieszcze przy tak tkliwym wieków naszych wzroku, zupełną satysfakcyą, a kraiowi wysoki honor dla ich szacunku i rozliczności uczynią. spodziewam się nieochybnie. Moim to jest albowiem zamiarem, całą starać się usilnością, gdzie tylko w kraiu i za kraiem dochowana, Polskę interessuiąca znayduie się osobliwość, w iak naydokładnieyszém opisaniu w tym peryodyczném zawrzéć piśmie. Wszystkie nayrzadsze kollekcye, składy znamion woyny i pokoiu; Pamiątki męztwa, tryumfów i rozmaitey Polaków z nieprzyiaciół zdobyczy, misterne sławnych artystów dzieła w rzeźbach i malowidłach; Mauzoły, busta, kolossy i medale, a na nich, owszem gdzie tylko będące na kościołach, w kościołach, w pałacach i na pałacach etc. etc. wszystkie ryte napisy; Osobliwości gabinetów, skarbców, akademii, bibliotek, obserwatoryów, muzeów, zbroiowni, klasztorów, ogrodów, słowem: co tylko warte iest ciekawego widzenia, słyszenia, czytania, ten zbiór powszechny w sobie zamykać będzie.

Wielkie domy, Dziedzice sławy i tych zabytków przodków swoich, mężowie o dobro i honor narodu gorliwi, Miłośnicy nauki i dzieł pięknych, Rządce dyecezyów i prowincyi, Przełożeni miast, szkół, fortec, pałaców, kościołów i klasztorów: Waszey tu tylko łaskawey potrzeba pomocy, aby te

wszystkie nayszacownieysze pamiątki wyiąć z cienia, zgromadzić rozsypane, ginące z czasem i skażytelne, uczynić powszechnie wiadomemi i wieczno-trwałemi. Waszey gorliwey dobroczynności potrzeba, co tylko iest w domu waszym, i pod rządem waszym osobliwszego, naród polski zdobiącego i interessuiącego, kazać dokładnym, rzetelnym wyrażeniem uczynić nam kommunikowanemi. Tu, tu w swoiey postaci, dałby się widzieć ów gmach ogromny gustu, zabytków, mocy i starania staro-polskiego narodu. Tuby się historya w iak nayobfitszym potoku ochyneła, sztuka i dowcip znalazły przykład, a młódź dzisieysza, kto wie, ieśliby nie nayskutecznieyszą w tych obrazach uczuła pobudkę ducha przodków swoich naśladowania.

Jeśli zatym, myśl ta moia znaidzie in publico approbatę, i raczą się przyłożyć wezwani miłośnicy sławy narodu z żądaną pomocą; jeszcze zostaje, abym o porządku mojego w tym dziele rozłożenia, i w iaki sposób pretendowana ma być czyniona kommunikacya, zainformował. Co do pierwszego oświadczam się, na ośm klas rozdzielić całe dzieło. *W pierwszey*: zamknąć wszystkie gdziekolwiek będące napisy, a te znowu w pięciorakim gatunku:. 1) Napisy nagrobne. 2) Napisy na kościołach, pałacach etc. znayduiące się. 3) Napisy na mieyscach dzieł znakomitych i pamiątkach, np. na kolosie J. K. Mci Stanisława Augusta nad rzeką Niemnem etc. 4) Napisy czasu rozmaitych tryumfów, obchodów, wiazdów etc. 5) Napisy na medalach, chorągwiach, obrazach etc. *W drugiey*: donieść i opisać co tylko iest w iakich skarbcach osobliwego w szczególności (1): 1) z pamiątek na woynach zabranych; 2) z kollekcyi rozmaitego metalu dawnych i teraźniejszych pieniędzy; 3) z pamiątek przodków pokoiu i woyny urzędownych znamień; 4) z rzeźb i malowidła; 5) z rozmaitey inney osobliwości. *W trzeciey*: donieść i opisać, co tylko w tym państwie rozmaitych gabinety naturalności zawierają, także z podziałem: 1) Roślin. 2) Kamieni. 3) Kruszców i ziemi. 4) Ptaków.

(1) Dziś spisanie choćby katalogowe wszystkiego co posiadają zbiory prywatne, byłoby wielce pożądaném. Czas krakowski i Dziennik lit. lwowski umieszczeniem opisu kilku zbiorów, nadto p. Sobieszczański skonsygnowaniem skarbów naczelnika powiatu kieleckiego, niemałą uczynili przysługę. Właścicielom zbioru nietrudno podać do pism czasowych choćby tytułowe spisy; a jakże to pożyteczną byłoby rzeczą, gdybyśmy przynajmniej wiedzieć mogli: co mamy? i gdzie czego szukać?

5) Zwierząt. 6) Ryb i ziemiopłazów. 7) Półmetalów etc. *W czwarty.* Osobliwości akademiów, bibliotek, szkół, muzeów, etc. a to: 1) co do instrumentów matemat. fizycz. astronomicznych; 2) co do ksiąg rzadkich; 3) co do manuskryptów oryginalnych etc.; 4) inney iakiey ciekawości. *W piąty.* Osobliwości woienne etc.: 1) w arsenałach zdobyta broń iaka i ammunicya etc. z nieprzyiaciół; 2) chorągwie, sztandary etc; 3) własne chorągwie, broń, etc. pamiątki expedycyi iakich, i fundatorów; 4) fortec etc, opisanie; 5) reymentów fundusze, ich rozmaite expedycye woienne etc. *W szósty.* Kościołów, klasztorów: 1) z wyrażeniem funduszów i fundatorów; 2) Rozmaitych ofert; 3) Rzeźb i obrazów osobliwszych; 4) Misterność i szacunek sprzętów kościelnych; 5) Wszelka inna osobliwość. *W siódmey.* Ogrodów i pańskich rezydencyi in flore zostaiących, dopiéro z wyszczególnieniem: 1) osobliwszych gatunków roślin, drzew etc; 2) wyrażeniem ozdób, statui, fontan etc; 3) innych ciekawości. *W ósmey.* Nieprzewidzianą osobliwość do piérwszych klas nieściągaiącą się. Co do drugiego następujących pytań, wyrazy staną się regułą, a to znowu wedle porządku klas wzmiankowanych. *Ad 1mum.* Iaki napis? iakiemi literami? w iakiey dymensyi? na iakim kamieniu, materyi, metalu? etc. od kogo ten napis położony? od kogo skomponowany? kiedy? z iakiey okazyi, gdzie etc. ieśli medal lub chorągiew etc. zkąd otrzymane? Co do mauzołów, bust, kolosów etc. Jakich wyrazów? iakiego misterstwa? iakiey wielkości? iakich ozdób, z iakiego materyału? od kogo? kiedy? komu? z iakiey okazyi? gdzie? czyiey architektury i iakiey? iakiey ręki? długo robione? *Ad 2dum.* Te zdobycze woienne, co są? wiele? komu wzięte? od kogo? kiedy? iakie są? zkąd weszły? etc. Medale iakiey wielkości? iakiey formy? co za wyrazy na sobie noszą? pod iakim rokiem bite? z iakiego kruszcu? zkąd nabyte? wiele ich? iakiey wagi? etc. Te znamiona przodków, od kogo piastowane? kiedy? iak kosztowne? jakiego misterstwa? wielkości? zkąd weszły? etc. Rzeźby i malowidła iakiey ręki? iak dawne? co wyrażaią? na iakim metalu? iakiey wielkości? iak szacowne? zkąd weszły? etc. *Ad 3tium.* Rośliny iakiego rodzaiu? iakiego składu? wielkości? figury? zkąd zyskane? od kogo? dawno? etc. iaka ich własność? kolor? kwiat? etc. Podobnie co do kruszców, kamieni, półmetalów, ziemi etc. *Ad 4tum.* Te instrumenta, czyiego

wynalazku? iakiey wielkości? z iakiego materyału? do iakiego użycia? kiedy? gdzie robione? iak kosztowne? od kogo sprowadzone? iak dawno? etc. Biblioteka wiele w ogół ksiąg zawiera? od kogo założona? iak szacowna? iey rzadkie księgi? które są? od kogo nabyte? kiedy? Manuskrypta co zawierają? ieśli są oryginalne, samego autora ręki? czyli kopia? czy iest kiedy drukowana? zkąd nabyte? kiedy? od kogo? iak szacowne? etc. *Ad* 5. *tum.* Jakich woien? z iakich nieprzyiaciół? gdzie? kiedy? od kogo? iak wiele? iak duże? z iakiego materyału? w iakim składzie? etc. toż o sztandarach, chorągwiach etc. Kiedy te własne chorągwie sporządzone? iakie maią znaki? w iakich były woiennych przypadkach? na iakich były expedycyach? kto fundator etc. od kogo poświęcane? *Ad 6tum.* Kto fundator? z iakich powodów? iak kosztowne? z iakiego materyału? etc. iak szacowne te oferty? co wyrażają? od kogo? kiedy? z iakiey okazyi? i iakiego kruszcu? iakiego misterstwa? Rzeźby i malowidła czyi obraz noszą? od kogo robione? od kogo sprawowane? dane? kiedy? *Ad 7um.* Gdzie te ogrody i rezydencye? iak wielkie? w iakim rozłożeniu? iakiey sztuki? iakie gatunki roślin, drzew? wiele? iak dawno? od kogo zakładane? iak sprowadzane? zkąd? iak wielkie? etc. Statuy co wyrażają? z jakiego materyału? wiele? gdzie? iak kosztowne? czyiey ręki? od kogo stanowione? kiedy etc. *Różnie co do innych osobliwości.* Możnaby przydać jeszcze myśl ważniejszą: aby te wszystkie osobliwości mogły być z najdokładniejszą akkuracyą na przyłączonych ku temu tablicach wysztychowane; wszakże takowy zamiar osobliwszegoby funduszu potrzebował. Chyba nie mówię, każdy z patriotów kommunikuiąc wiadomość swoich osobliwości, chciał być tak heroicznym, iżby na odrysowanie tego koszt łożyć ofiarował; zapewna mnieyby to ieszczeby każdego kosztowało, niż przodków iego nabycie samych tak szacownych istot, a co do sławy narodu i pożytku w oczach świata ledwie nierówną czyniłoby przysługę. Prenumeratę na tak kosztowne dzieło pierwey determinować nie można, aż za odebraniem żądanych pomocy; mniey iednak czwartą częścią prenumeranci płacić będą niż inni; z wielkim takoż respektem i dziękczynieniem każdego oświadczenie weyścia między prenumeratorów na czele tego dzieła zapisać przyrzekamy. Ci referować się będą do kollektora Starożytności pod adresem do Warszawy, lub będący w Warszawie do dru-

karni nadworney J. K. Mci i PP. K. E. N. Dyecezya płocka, zebrała już po większey części kościołów swoich grobowe napisy; bo naywyższy iey rady rządca umiał ieden ze wszystkich naypierwszy czuć gust y szacować te naydroższe pamiątki; niechże będzie on przykładem y pobudką dla reszty współziomków swoich, tak iak dom Jego Nayiaśnieyszy iest osobliwszą epoką uszczęśliwienia i zaszczytu oboiey Rpltey polskiey i uczonych (1)".

— Przejdźmy teraz do kroniki nowin z pola archeologii: Dr. Jakób Henryk Hefner professor w München wydaje obecnie dwa nader ważne dla archeologii ogólnéj dzieła; oba ogłasza księgarnia Szmerbera w Frankfurcie nad Menem. Piérwsze: „*Trachten des christlichen Mittelalters nach gleichzeitigen Kunstdenkmalen*"; wyszło dotąd 63 poszytów z textem niemieckim i francuzkim, w edycyi niekolorowanéj (po 15 sr. gr. poszyt) i w pięknem illuminowaném wydaniu (po 4 tal. poszyt). Objęto w tém dziele ubiory od piérwszych czasów chrześciaństwa w Niemczech aż do XVII wieku. Do zupełnego ukończenia przedsięwzięcia, ma wyjść jeszcze 7 poszytów.

Drugiém ważniejszém dziełem p. Hefnera, którego wydawnictwo teraz z panem E. Becker rozpoczął, jest: w 36 poszytach mające wyjść pismo: „*Kunstwerke und Geräthschaften des Mittelalters und der Renaissance*". Dzieło to odpowiada zupełnie francuzkiéj edycyi: *Le moyen-age et la renaissance par* P. Lacroix et F. Seré, z którą o pierwszeństwo walczy; a nawet redaktorowie tych publikacyj już niejedne żwawe stoczyli z sobą boje po francuzkich i niemieckich dziennikach. Niemieckie *Kunstwerke* zawierają zabytki starożytności dochowane w zbiorach: Wiednia, Berlina, Drezna, Goty, Kassel, München, i Darmstadtu. W zakres dzieła wchodzą pomniki sztuk, z wyłączeniem właściwego malarstwa i budownictwa, a z szczególnym względem na zabytki pamiątek z przeszłości, że się tak wyrażę, domowéj, rodzinnéj. Znajdują tu miejsce: rzeźby, emalie, ozdoby i wyroby złote, srébrne i t. p., kielichy, naczynia, sprzęty domowe i kościelne i t. d.; a to z czasów od wprowadzenia wiary św. do końca XVIgo wieku. Mieliśmy już sposobność oglądania kilku piérwszych poszytów. Chromolitografie prześliczne, bezsprzecznie wyższe co do wykonania od francuzkich. Każdy zeszyt prócz textu zawiera 6 tablic, wielkich ćwiartek; kosztuje

(1) Nie wiem czy wydano gdzie ten zbiór.

4 zł. reń. czyli 16 złp. Oglądanie tych tak pożytecznych i ładnych wydań wzbudziło w nas niecierpliwość jak najprędszego ujrzenia i naszego *Le moyen-age*, które pp. Przezdziecki i Rastawiecki postawią obok Album wileńskiego i dzieł pp. Lacroix i Hefnera.

— Wspominając ważniejsze z interesujących nas zagranicznych publikacyj, trudno pominąć dzieła Dra. E. A. Mentzla: „*Die Kunstwerke von dem Alterthum bis auf die Gegenwart*", którego już piérwszy tom wydała lipska Rombergowska drukarnia. Celem p. Mentzla jest uczynić popularnemi zabytki sztuki, a osobliwie pomniki budownictwa; dlatego w wydanym już tomie, który na drodze prenumeraty po taniéj przypada cenie, umieścił 60 pięknych stalorytów i drzeworytów, wystawiających najznakomitsze zabytki: egipskie, assyryjskie, indyjskie, perskie, mexykańskie, chińskie, etruskie, greckie i rzymskie; teraz następują wieki chrześciańskie. Dołączony krótki text, rzuca przystępne każdemu światło na koleje sztuk u starożytnych. Życzyłbym któremu z księgarzy naszych, by blachy i drzeworyty zakupił; a postarawszy się o text polski, przyswoił nam to ważne dzieło.

— I u nas téż olbrzymich nakładów i szerokich rozmiarów wydania nie są już rzadkością; oto z ostatnich miesięcy z pociechą możemy wymienić zamierzone *Monumenta Poloniae historica*, mające wychodzić we Lwowie.

Monumenta Regum Poloniae Cracoviensia wyszły u Wolffa w Petersburgu.

Tom II, część druga, Kodexu dyplomatycznego pp. Rzyszczewskiego i A. Muczkowskiego.

Liber geneseos familiae Schidloviciae i *Acta Tomiciana*, dwa nader ważne źródła historyczne, wydane w Poznaniu przez Tytusa hr. Działyńskiego.

Dzieje kościołów wyznania helweckiego w dawnéj Małej-Polsce napisał Józef Łukaszewicz. Poznań.

Dzieje Rzpltéj polskiéj Moraczewskiego wyszedł tom 7my, zawierający dalsze lata XVII wieku, aż do śmierci Władysława IV. Poznań.

Katalogu biskupów, prałatów i kanoników kapituły krakowskiéj, wyszły 2 piérwsze tomy. Kraków.

Roczniki miasta Lwowa z łacińskiego ks. T. Józefowicza, tłumaczył M. Piwocki. Lwów. Jestto historya miasta Lwowa w XVII wieku.

Pamiętniki o wyprawie Chocimskiéj r. 1621 z rękopismów współczesnych i druków mniéj znanych, zebrał Żegota Pauli. Kraków, wyd. J. Czecha r. 1853. Sąto: Pamiętniki Jana hr. z Ostroroga, przedruk z rzadkiego wydania poznańskiego z r. 1622 u Jana Wolraba, znanego tylko z wzmianki Niesieckiego, Janockiego i Maciejowskiego; daléj idzie: Dziennik Prokopa Zbigniewskiego, wyjęty także z małoznanego wydania współczesnego wyprawie: wreszcie Dyaryusz wyprawy Chocimskiéj, spisany przez Stanisława Lubomirskiego podczaszego koronnego, z rękopismu. W tém ostatniém, Dziennik lit. lwowski (nr. 50 z b. r.) zaprzecza Lubomirskiemu autorstwa; również zdanie p. Paulego, jakoby autorem arcydzieła poematu: Wojna Chocimska, był Achazy Pisarski, nie utrzymało się, a dzieło to z wszelką krytyczną ścisłością może być teraz poczytane za utwór Wacława Potockiego podczaszego kor. znanego pisarza Argenidy, Syloretu i t. d. (patrz Dzien. lit. lwow. r. b. nra 45, 46).

— *Rocznika Towarzystwa naukowego krakowskiego oddziału sztuk i archeologii* wychodzi 3ci poszyt. Pismo to zawiera dotąd rozprawy:

1) Rzecz o Światowidzie (z rycinami) p. Żebrawskiego.

2) Recenzya *Ukrainy* M. Grabowskiego, p. Pola.

3) Sprawozdanie z czynności wydziału i wykaz nadesłanych darów.

4) O budowlach starożytnych krakowskich, mianowicie o zburzonym ratuszu; rzecz napisana ze stanowiska sztuki przez K. Kremera (z ryciną).

5) O klasztorze Jędrzejowskim i nagrobku Pakosława kasztelana krak. p. Z. A. Helcla (z ryciną).

6) Sprawozdanie z podróży po Sandeczyznie.

Trzeci poszyt ma zawierać rozprawę P. Siemieńskiego o malowaniach na szkle, i professora Muczkowskiego o portretach Władysława Jagiełły.

Księgarnia D. E. Friedlejna wydaje poszytami drzeworyty *Wizerunków książąt i królów polskich*; wyszło dotąd 25 portretów, tojest szereg panujących od Lecha Igo (!) do Kazimierza Sprawiedliwego.

P. J. T. Głębocki napisał i wydał *Historyą zakładów dobroczynnych od najdawniejszych czasów w Krakowie istniejących.* Ważny to przyczynek do dziejów starego Krakowa. Zarzucić można autorowi zbytnią drobiazgowość w wyliczaniu

osób i darów, i w przytaczaniu szczegółowych wewnętrznych urządzeń, dziś istniejących zakładów; gdy w podaniu wiadomości o przeszłości tych instytucyj, nie jest autor tyle szczegółowym i badawczym.

Wyliczając nowo wyszłe pisma, trudno pominąć ważnego zjawiska w bibliografii, jakiém jest: *Slavische Jahrbücher*, których wydawnictwo rozpoczął niedawno w Budyszynie znany zbieracz pieśni łużyckich, tłumacz Rękopismu Królodworskiego, p. E. Smoler. W piśmie tém, wychodzącém w tanich miesięcznych poszytach, podaje nam p. Smoler dokładne tytuły dzieł wyszłych w językach słowiańskich i w obcych, a o słowiańskich sprawach traktujących. Prócz tego umieszcza artykuły o ważnych odkryciach: np. rzecz o Światowidzie i t. p. Text po niemiecku; dotąd wyszło poszytów 2.

Wreszcie kalendarze zajmują teraz drukarnie, a więc niniejszy skąpy w nowiny list zakończę wzmianką o *Dodatku tygodniowym Gazety lwowskiéj*. Pismo to wychodzić zaczęło przy Gazecie z początkiem 1851 roku, a dotąd ogłosiło do 70 przywilejów oryginalnych: miast, wsi, klasztorów i t. d. Dokumenta te po największéj części z końca XV, XVI i XVII wieku ogłasza p. F. Wolański, z textem łacińskim i polskim. W tymże Dodatku p. Felicyan Łobeski zamieszcza przez 20 kilka już Nrów ciągnącą się rozprawę, opisującą archeologicznie kościoły lwowskie i znajdujące się w nich obrazy. Nadto szacowne to pismo, z rzeczy archeologią obchodzących, zamieszcza sprawozdania o stanie zakładu Ossolińskich (nr. 5 r. 1852); wiadomości historyczne o galicyjskich stypendyach dla uczniów szkół i uniwer. krak. i lwow.; nakoniec ważne wyjątki z rękopismu J. M. Ossolińskiego, przechowanego w bibliotece jego imienia, który miał stanowić IVty tom *Wiadomości historyczno-krytycznych*. Sąto żywoty: Klemensa Janickiego, Krzysztofa Korybuta, Koszyrskiego, Teofila Rutki, Rafała Skrzetuskiego, Franciszka Stankara, Marcina Krowickiego, Stanisława Lutomirskiego, Piotra z Goniądza, Grzegorza Pauli z Brzeżan, Gaspara Witkowskiego, Adryana Pikarskiego, Jana Wąchalskiego, Alexandra Lorencowicza, Wojciecha Sękowskiego, Tomasza Perkowicza, Hieronima Ossolińskiego, Michała Friedenwald, Jędrzeja dell'Acqua, i Michała Sędziwoja.

Kraków, dnia 2 stycznia 1853 r. *J. Ł.*

SEN.

(WIERSZ DO ANDRZEJA KOŹMIANA).

Przed jasném oknem jedwabna zasłona
Chwieje się zlekka, nawpół uchylona.
Spoglądam—słucham harmonii zegarów;
Tajemna północ, duchów monarchini
Zwija opony obłocznych sztandarów,
I u sklepienia powietrznéj świątyni
Zawiesza łzawą pochodnię księżyca.
Ogród połyska śniegami lśniącemi....
Całe przestworze niebiosów i ziemi
Jest jak liliami usłana kaplica.
Mgła się ulewa w posępne postacie,
Niby z kadzideł mknący tuman woni.....
Mój duch je widzi, me oko je goni,
A serce wielbi noc w jéj majestacie!....

W te puchy śniegu, w te puste lazury
Rzucam myśl moję, bujam się w zachwycie!....
Pieszczę się z tobą poezyo natury,
Bo ja poezyi chcę święcić me życie!

Lecz już od wschodu, z białą świtu smugą,
Przyleciał ku mnie hymn dzwonów daleki....
Przerwał marzenie; już czuwam zadługo,
Już sen tajemny tłoczy me powieki.

Tobie poetol co wzlatasz tak błogo
W światła natchnienia, w obłoki dumania,
Co opiekuńczą mię wspierasz przestrogą,
Którą się duch mój jak tarczą osłania;
Tobie, coś dowiódł i piórem i czynem,
Że obraz ojca w twéj duszy się mieści,
Żeś jego myśli i serca jest synem,
Synem wzorowym, w miłości i w cześci:

Tobie opowiem sen groźny, uroczy,
Co mi rozwinął obrazy przejrzyste,
Gdy nocny widok strudził moje oczy.
Słyszane we śnie słowa ci wymienię,
Wyznam mą wiarę. Sen dziwny zaiste!
Może przeczucie!.... a może widzenie!....

Już odrętwienie zimne mię owiało,
Gdy gradem iskier przeszyły mię dreszcze;
W sen zapadałam trwożliwie.... nieśmiało,
Widząc już wieczność — w czasie idąc jeszcze.

Wtém, jako w chwilę, igła skał zpod fali
Rozbija czółno, łamie maszt, drze żagle;
Tak ja się wstrząsłam, i pojęłam nagle
Co to jest stanąć — i nie módz iść daléj.
W tém skamienieniu czułam przerażona
Że to czuć musi istota, co kona!....

Ruch i spoczynek — Alfa i Omega.

Wszak nie czujemy ruchu ziemskiéj kuli,
Która w sekundę siedm mil przebiega?
Gdyby stanęła, zmianębyśmy czuli.

Tak duch, dopiéro w śmiertelnéj przemianie
Pozna, że szedł wciąż, gdy raptownie stanie.

Nad moim duchem była światłość wielka,
Co przelewała się złotym potokiem....
Ku mnie nie mogła żadna spaść kropelka!
Niżéj niż duch mój, w przestworzu głębokiém
Była noc straszna, jak czarne jezioro....
Ale cień żaden nie mógł wzbić się ku mnie!

Wśród dwóch tych wirów, ja z trwożną pokorą
Stałam jak posąg na chmurnéj kolumnie;
Patrzyłam z szczytu wiecznego poglądu,
Na światłość z żalem, na ciemność ze wstrętem.
Nie byłam z światłem, nie byłam z odmętem,
Bo ja dopiéro stałam w strefie sądu.

Przy mnie w powietrzu czekał srébrnopióry;
On wiódł mię w życiu; a podług wyroku,
On miał mię unieść do świateł potoku,
Albo mię strącić w toń nocy ponuréj.

Lecz czarna otchłań już wstrząsła się cała....
Już się roztwarła światłość opalowa....

Głos z niéj wystąpił – przeleciał jak strzała,
I w mojém sercu te zostawił słowa:

„Ty sama osądź, czém byłaś na ziemi!"

Stało się wielkie milczenie na niebie,
Otchłań ucichła z nurtami szumnemi;
Natenczas duch mój tak osądził siebie:

„Jestem mgłą w świecie widomym,
Pyłkiem wśród istot łańcucha;
W ludzkości jestem atomem,
A dążeniem w świecie ducha!...

Tak:—przyszłość jest mojém mianem;
Bo jakaż ma własna siła?
Czym co zniosła? poświęciła?
Nie;—wszystko mi było danem.

Gdy dusza młoda, skrzydlata,
Krzyształowa, nieskalana,
Uleje się w dłoniach Pana;
Leci, leci, i przylata
Do łzawego ziemian świata.

Każdy z nas w pierwotnym bycie
Bujał w radości przedświcie,
Nim wstąpił w widzialne życie;
A gdy miał się oblec w ciało,
Słowo Boże tak mu brzmiało:

„Zlewam w myśl twą różne dary,
W serce, różnych uczuć żary;
W życia twojego koronę
Wplotę i ciernie i blaski."

„Gdy przepłyniesz życia fale,
Spłacę ci twe łzy i żale;
Lecz żądam, by moje łaski
Przez ciebie były spłacone.
Idź więc w ciemne życia kraje!...."

„Niektórym są usunięte
Wyższe zdolności, dostatki,
Ale ja każdemu daję
Dwa skarby najpiérwsze, święte,
Dwa serca: ojca i matki!...."

Któraż matka, tak do łona
Przytuliła córkę swoją;

Któraż w walce niestrudzona,
Odziała ją wiary zbroją;
Któraż w wychowaniu całém,
Dążyła z mężnym zapałem
Za tak czystym ideałem,
Jako serce matki mojéj.
Mnie rozwija w swéj potędze?....
Jéj miłość, w anielskiéj księdze
Ognistym napisem stoi!....

Wpośród dni naszych rozwicia,
Serce matki—rozpromienia,
Wskazuje nam cele życia;
Bo ją samą w każdéj chwili
Wiedzie błysk tego natchnienia
Którego nic nie omyli!....

Gdy więc w mém istnieniu całém,
Wszystko co mą duszę stroi
Dobrą chęcią lub zapałem,
Wszystko winnam łasce Bożéj
I natchnieniu matki mojéj:
Więc, niech duch mój się ukorzy.

Są tacy, co w mych słów treści,
W mojéj dla sztuk pięknych cześci,
Widzą w zawiązku dar Boży;
Ale takie chlubne słowo,
W skrytości ducha mię trwoży
Odpowiedzialnością nową:
Bo im więcéj dały nieba,
Tém więcéj oddać im trzeba!....

Teraz, przed Boskiém obliczem,
Jak mi kazał głos na niebie,
Ja, wyznaję sądząc siebie,
Że w zasłudze—jestem niczém."

Tu duch mój umilkł, i czekał wyroku.
Natenczas, drżący przy mnie srébrnopióry
Wzleciał i zniknął w światłości potoku....
Pewnie miał przynieść mi ten wyrok z góry.

Ziemskie wyrazy określić nie mogą
Okropnych uczuć téj stanowczéj chwili,
Gdy dusza czeka, rozdzierana trwogą,
Słów sądu, w których wieczność się przesili!

W téj niepewności rzucam wkoło okiem,
Chcąc choć na chwilkę pod zewnętrznym wpływem,
Zerwać ciąg myśli w zapomnieniu żywem!
U stóp mych otchłań w swém łonie głębokiém
Toczyła głazy w czarnych dymów fali....
W głębi, czerwone jak węgle tlejące,
Pływały kształtów potwornych tysiące,
Jak na dnie morskiém gałęzie korali.

Dziki ten widok, zwłaszcza w chwili takiéj,
Jeszcze mię żywszym przejął niepokojem.....
Tam więc spojrzałam, gdzie ponad gwiazd szlaki,
Światła tryskały nadpowietrznym zdrojem ...

Na tle z szmaragdów, w tym ruchomym blasku,
Z słońcem na licach, w roziskrzonéj szacie,
Pływały w światłach przezrocze postacie,
Jak na dnie rzeki prąd złotego piasku.

Wśród tych mieszkańców promienistéj sfery,
Wsparta na chmurce z brzegi szkarłatnemi,
Postać nadobna, wzlatując w etery,
Czułe wejrzenie zwracała ku ziemi:
W fałdach jéj sukni kwitły fijołków pączki,
Godło cichości, zgodnéj z losem woli;
A nad jéj czołem pół ślubnéj obrączki
Połyskiwało, jak pół aureoli.
Bo berło śmierci, ostrze rozdwojenia,
Strzaskało nagle tę obrączkę złotą.....
Anioły w niebo wzięły pół pierścienia,
A pół na ziemi zostało z tęsknotą....

Cudna postaci! niebianek ozdobo!...
Ja twoje imię odgadłam w téj chwili,
Choć wśród śmiertelnych nie znałam się z tobą;
Ty musisz nosić imię Teofili (1),
Bo ono tylko tłumaczy czém była,
Czém jest twa dusza, wiecznie *Bogu-miła*.

Lecz inne jeszcze wdzięki i zjawiska
W twojéj postaci moje oko bada:
Z twojego serca, ledwie znaczna, blada
Wstęga z iskierek ku ziemi wytryska....
I jako promień elektryczny, rączy,
Wije się, spada między gwiazdy, chmurki
I aż tam w ziemskiéj dolinie cię łączy
Z sercem twéj Maryi, ukochanéj córki!....

(1) Zmarła niedawno w kwiecie wieku Teofila ze Skrzyńskich Kozmianowa.

Bo węzła, który matkę z córką splata.
Żadna nie może rozerwać potęga;
Jéj miłość nawet z nieznanego świata
Świętym promieniem ku dziecięciu sięga!....

Z rzewnym zachwytem tonąc w tym widoku,
Na chwilkę mojéj zapomniałam troski;
Wtém srebrnopióry błysł w świateł potoku!....
Niósł wielką księgę, gdzie w ogniste głoski
Wyrok najwyższy skreśliły niebiosy;
Sąd, co o mojéj wieczności stanowi!

Czekając słów tych, które anioł powié,
W trwodze, w ufności, drżałam o me losy....
Anioł miał czytać: światło się zaćmiło....
Śmiertelne we mnie wrzało przerażenie!....
Chciałam się przemódz całą ducha siłą!...
Krzyknęłam nagle!— i znikło widzenie.

Zimne, grobowe przebiegły mię dreszcze....
Z snu wychodziłam trwożliwie.... nieśmiało....
Lecz serce moje z radości zadrżało,
Czując, że mogę się przebudzić jeszcze!....

Deotyma.

KRONIKA Z PARYŻA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Życie Ludwika XVI przez p. Falloux.— Teatra paryzkie.— Instytucya klaskaczy.— Naczelnik klaskaczy i jego stanowisko w teatrze.— List pana Matthews do autorów dramatycznych we Francyi.— Sprzedaż galeryi ks. Orleańskiego.— Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w Bordeaux.

Czasy współczesne nie mają historyków:—jedni piszą ich satyry, drudzy panegiryki. Zdaje się, jakoby nie było w mocy człowieka przenieść się z sądem swym o sto lat późniéj, i do uczucia swego dać przystęp tylko temu, co jest bezwzględną prawdą i cnotą, z wyłączeniem wszystkiego, co jest chwilowe i względne. Przy najlepszéj woli piszącego zda się niepodobna mu jest uchronić się od przelotnych wrażeń i zerwać węzły, któremi indywidualność historyka z ludźmi, z rzeczami tego czasu złączyła się.

I ecz oprócz trudności indywidualnych i nieuniknionego hołdownictwa zasadom i opiniom współczesnym, oprócz tych ciężkich przeszkód, które historyk współczesny w sobie samym znajduje: trudno mu jest nie potknąć się w rysunku, że tak powiem w perspektywie obrazu dziejowego. Aby usunąć wrażenie pewnych szczegółów, które psują efekt ogólny, musi malarz cofnąć się w pewną odległość, a ta dopiéro zdolna jest pejzażowi nadać jednolitość i harmonią. Bez téj odległości punktu widzenia, nie ma w obrazie całości ani spokoju, które w naturze są zawsze. Podobnie i w kunszcie historycznym. Są wypadki, które choć naocznemu świadkowi ważnemi się wydają, w ogólnym szeregu zdarzeń znikają zprzed oczu, albo zmniejszone przyjmują wymiary. Otóż, aby przy grupowaniu faktów

ustawić je jak należy, każdemu nadać właściwe miejsce, podnieść lub zapomnieć które podniesionemi lub zapomnianemi być winny, na to potrzeba pomocy czasu, albo też gieniuszu, któremu czas każdy jest ojczyzną.....

Wypędzona z gazet i codziennego życia polityka przenosi się do historyi i literatury. Między 1830 a 1848 urodziła się w Niemczech i po całéj Europie rozeszła się poezya polityczna, późniéj we Francyi nastał romans polityczny, późniéj religia polityczna. W roku zeszłym nawet filologia zmieniła się w turnieje polityczne; teraz mamy historyą polityczną, nawet sztuki i teatr stały się narzędziem polityki. Uważano, że dzienniki tak zwane liberalne z szczególną miłością zajmują się postępem umiejętności i wynalazkami przemysłowemi, kiedy dzienniki monarchiczne, mianowicie legitymistyczne, nie rade o nich wiadomość przyjmują. Wśród obecnéj ciszy właściwéj polityki, stała się polityka osią, w obec któréj obracają się wszystkie sfery życia ludzkiego. Poza stanowiskiem politycznem ani publiczność sympatyi, ani krytycy sądu nie mają.

Na wróżbach i prognostykach nie zbywa. Mentor republiki z r. 1848, Lamartine, pisząc dzieje Restauracyi, podał rękę legitymistom; wyparł się niejako swojéj przeszłości, ogłosił akt expiacyi. Drugi minister republiki, doradca prezydenta, p. Faloux, uznał potrzebę ponowienia swéj wiary politycznéj, i w tych dniach ogłosił biografią Ludwika XVI pełną miłości i rzewnego bolu.

Czyto skutkiem deszczu, który przez dwa miesiące wciąż trapił Paryżanów, teatra paryzkie większe i mniejsze przez całą zimę były przepełnione. Jednakże przez chwilę groziło im wielkie niebezpieczeństwo: policya zamierzała skasować instytucyą *klaskaczy*, bez któréj jednak, jak doświadczenie pokazało, teatr w Paryżu istnieć nie może. Kiedy p. Hares żalił się na oziębłość publiczności, szef klaskaczy odpowiedział: „Panie dyrektorze! dopóki choć jeden z płacącéj publiczności do teatru chodzić będzie, sztuki nie mogą się udać.“ I w istocie, jeśli dla kassyera i dla dyrektora publiczność płacąca ma pewne zalety, aktor przekłada nad nią klaskacza.

Oklaski i tryumfy dramaturgiczne mają stronę zakulisową, któréj publiczność nie zna; mianowicie owego potentata, który rozdaje chwały i wieńce, który decyduje o powodzeniu lub

upadku sztuki, o talencie i przyszłości aktora. Tym potentatem, tym przedsiębiercą scenicznych tryumfów jest człowiek ludziom pozateatralnym nieznany, innych związków ze społeczeństwem oprócz teatru nie mający; postawa skromna, spokojna, lecz niezmiernie czynna i potężna. Tym potentatem, tą fortuną autorów i aktorów jest w Paryżu szef klaskaczy.

Właściwe jego rzemiosło zasadza się na tém, aby korzystać z autora i aktora, skoro potrzeba ich przyciśnie; jestto lichwiarz, który nigdy gotówki za gotówkę nie wymienia, lichwiarz spekulant, który daje gotówkę kupując nadzieję, albo też bierze gotówkę sprzedając nadzieję. Być może, że ta definicya jego professyi wyda się czytelnikowi niejasną, lecz obezna się z nią zaraz, skoro mu opiszę dzień jeden *szefa klaskaczy*. Jestto typ właściwy Paryżowi, który zaginąć może, jeśli instytucya klaskaczy upadnie.

Dajmy, że człowiek o którym mowa nazywa się p. X. Otóż wszystkie dni pana X. są do siebie podobne. Można go sobie wyobrazić jako człowieka podżyłego, łysego, średniéj tuszy, z twarzą wyrazistą, pooraną, z okularami na nosie, z nosem ostrym, ze spojrzeniem bystrém i przenikającém. Co rano odwiedza on kolejnie dyrektorów teatru, o których przypuszcza, że są w potrzebie, i kupuje od nich dochód z reprezentacyi nadchodzącego wieczoru. Wedle stanu atmosfery, wedle układu afisza woreczek jego ścieśnia się lub rozszerza.

Oto ich rozmowa. Pan X. proponuje za wieczorną reprezentacyą 1,400 fr.

— Potrzeba mi 1,600 — odpowiada dyrektor.

— Gdyby dészcz padał, dałbym je bez namysłu. Ale na dészcz się nie zanosi, wieczór będzie jasny; to już wyraźna wola Boża!

— I owszem — przerywa dyrektor — barometr ma się na zmianę, patrzaj jak spada ciągle.

— Ktoby mu wierzył? To grat do niczego, stary oszust. Obydwa zmówiliście się, aby mi wydrzéć dwieście fr. Zresztą — dodaje po chwili pauzy — gdybyś przydał ten ostatni wodewil, w którym wszystkie gracye twego teatru figurują, możebym się namyślił. — I dyrektor przekonany tak trafnemi uwagami, dodaje wodewil, o którym mowa.

U innych dyrektorów taż sama mniéj więcéj dyskussya i toż samo jéj zakończenie. O 2giéj z południa, p. X. obszedł-

szy teatra wraca do siebie; jestto godzina w któréj rozdaje posłuchania, przyjmuje wizyty. Schodzą się liczni jego klienci. Ktoś puka.

— *Entrez.*

— Dzień dobry, p. X.! Jakże zdrowie?

— A to pan! Jakże się powodzi?

— Dziękuję, nieźle—odpowiada wchodzący.—Temi dniami przyjęto mój nowy dramat w teatrze Porte Saint-Martin.

— Porte Saint Martin!—udając zdziwienie wykrzykuje p. X. Już on odgadł jaki jest cel wizyty.—Zły teatr, panie autorze, dekoracye stare, aktorowie wyszli z mody. Czemu raczéj nie oddałeś twéj sztuki do Ambigu?

— I w Ambigu mam także sztukę, któréj grają probę.

— Prawdę mówiąc—prowadzi daléj p. X.—i Ambigu niewiele wart; już to nie to, co było dawniéj. W téj chwili dalibóg nie widzę, jak chyba Vaudeville, który coś przynosi.

— Tu nie chodzi o Vaudeville—odpowiada zniecierpliwiony autor—ale czy chcesz kupić prawa autorskie do mojéj sztuki pięcioaktowéj?

— Hm, hm, piéniądz jest rzadki w tych czasach, publiczność ociężała. Czy to dramat nowożytny?

— Zupełnie nowożytny!

— Kostiumy dzisiejsze, frakowe?

— Tak jest!

— Tém gorzéj. Zły towar te sztuki frakowe; gdyby to był dramat kostiumowy, to może....!

— Wiele dajesz?—pyta autor przysuwając się do drzwi.

— Ah! jakiżto gorączka! Czekajże, czekaj. Wy panowie autorowie, wam się zdaje, że dość się schylić, aby znaléźć piéniądze. Powiédźże mi, czy intryga mocna, ciekawa? Przecież muszę coś wiedzieć o sztuce: kota w worku nie kupię.

— Sztuka bardzo ciekawa, bardzo. Pełna interesu, intryga mocno zawiązana.

— Hm, hm, to źle. Teraz właśnie sztuki proste, sztuki sentymentalne popłacają.

— Ostatnie słowo: chcesz kupić czy nie chcesz?

— Przyznam ci się, że nie mam wiele ochoty; chyba, gdyby żądania twoje były umiarkowane.

— Trzy tysiące franków.

— Trzy tysiące! Na miłość Boską, czy mnie chcesz ze skóry obedrzeć, czy chcesz żebym z torbą poszedł? Tysiąc dwieście, to co najwięcéj.

— Nie, ostatnia cena 2,500.

— Gdybyś przystał na 1,500!

— Widocznie nie zrobimy interesu. Do widzenia—rzecze autor.

— Tysiąc ośmset! — woła za odchodzącym.

— Powiedziałem ostatnie słowo: dwa tysiące pięćset.

— No już dobrze, już dobrze. Dam ci dwa tysiące, ale mi musisz dodać jednoaktową sztuczkę. — Autor powraca; targ trwa jeszcze kilka minut, nareszcie po wzajemnéj wymianie zrzeczenia się na piśmie i pieniędzy, poeta dramatyczny odchodzi.

Po jego odejściu zjawia się aktor. Wzajemne powitanie i ukłony. P. X. spostrzega na twarzy nowego gościa zmartwienie.

— Co to jest? czyś chory, czy masz jakie nieprzyjemności?

— Wiész dobrze co mi jest— w złym humorze odpowiada aktor.—Twoi ludzie wcale o mnie nie pamiętają. Wczoraj najhaniebniéj *upadłem*.

— Czy to być może?

— O tak, masz racyą się dziwić! Jakbyś o tém dobrze nie wiedział! Dlatego, żem się o kilka dni spóźnił z twoją pensyą, wszyscy twoi ludzie schowali ręce do kieszeni. Przez całą sztukę ani jednego oklasku!

— Ha, mój przyjacielu, trzeba być regularnym!

— Wiem o tém, stary lichwiarzu! Przynoszę ci twoje 100 fr., a mam nadzieję, że teraz o mnie nie zapomnisz.

— Bądź spokojny: nie daléj jak dzisiaj. Przy wejściu powita cię grzmot oklasków, dwie salwy i *wywołanie*. A o przyszłym miesiącu pamiętaj!

Aktor zapewniwszy sobie łaski publiczności, odchodzi. Wkrótce potém zjawia się aktorka. Na jéj widok porywa się p. X. z krzesła, zdejmuje czapeczkę z głowy i cały w ukłonach.

— Ah dzień dobry! — rzecze—zawsze piękna, młoda, prześliczna! Bóg mi świadkiem, tak długiéj wiosny jeszcze nigdy nie widziałem!

— Komplementa na stronę,—przerywa artystka,—tu idzie o rzecz ważną. Żądam od ciebie przysługi.

— Co każesz piękny aniele? cały na twoje rozkazy!

— Wystaw sobie, moję rolę dali Elwinie!

— Twoję rolę Elwinie? to być nie może!

— Tak jest, jak ci mówię. Elwina gra dzisiaj; trzeba aby zrobiła kompletne *fiasco!*

— Ale ja nie mogę—odpowiada p. X.—Elwina jest moją najlepszą, najakuratniejszą klientką. Nie mogę, dalibóg nie mogę!

— Wiele ci płaci?

— Miesięcznie 200 fr. i pewne gratyfikacye co nowa rola.

— Raz przecie możesz jéj się przeniewierzyć.

— Słowo honoru, niepodobna. Nie, nie, nie mogę!

— A gdybym ci dała bilet *pięcm..!*

— Czarujące stworzenie! tobie nie widzę odmówić niepodobna.—I chowając bilet pięciuset-frankowy, dodaje:—Po dzisiejszym wieczorze już Elwina twéj roli miéć nie będzie. Bądź spokojna!

Za nadejściem wieczoru p. X. jest nadzwyczaj czynny. Z teatru przechodzi do teatru, doglądając, czy ludzie jego *funkcyonują*, a mimochodem nowe zawiera układy to za kulisą z aktorami, to w *foyer* z autorami dramatycznemi. Z końcem sztuki p. X. wraca prosto do siebie i o dwunastéj punktualnie zabiera się do spoczynku.

Niebezpieczeństwo grożące ze strony policyi klaskaczom, arcyważnym jest wypadkiem. Dyrektorowie teatrów i artyści jednozgodnie oświadczają, że bez nich ani podobna myśléć, aby reprezentacye poszły dobrze. Publiczność z natury swojéj nie jest skłonna do entuzyazmu, aktor zaś musi koniecznie znaléźć podnietę w oklaskach, choćby téż przez siebie zapłaconych. W końcu nie łudzi on się bynajmniéj co do wartości tych tryumfów, ale dla wchodzących na scenę artystów oklaski tém są, czém trąba wojenna dla żołnierzy w chwili rozpoczynającéj się bitwy. Lecz jak dla aktorów, tak i dla publiczności oklaski najemne są bodźcem skutecznym, bo widz *płacący* w chwili kiedy go aktor porwie grą swoją, zapomina zkąd źródło tych piérwszych oklasków, i do nich swoje ochotnie przyłącza. Na jednéj reprezentacyi Roberta-Macaire, w chwili kiedy już kurtyna zapadała, wysunął się na scenę Fryderyk Lemaitre, i głosem, który afronteryą swoją przedziwnie do cynizmu całéj sztuki odpowiadał, zapytał publiczności:

— Czy jest tu pan August?

Milczenie.

— Panowie, okradziono mnie. P. August jest naczelnikiem klaskaczy; dziś rano zapłaciłem mu 50 fr. za to, aby mnie po skończeniu sztuki wywołano. Jego tu nie ma; oszukano mnie!

Publiczność w śmiéch i głośnemi oklaskami obsypała genialnego aktora, który się o zapłacone wywołanie na seryo upominał!

Czytelnika patrzącego z ubocza razić musi koniecznie ta fałszywa pozycya, na któréj teatra gwałtem się utrzymują, aby publiczności nie stracić. Ten fałsz, który jest podstawą ich bytu prowadzi do fałszywych rezultatów i bardzo rzadko dozwala publiczności objawić zdanie bezstronne. Uważano, że od czasu kiedy instytucya klaskaczy na dzisiejszą stopę uorganizowała się, prawie żadna sztuka nie upada, ale téż żadna nie dostąpi prawdziwego tryumfu. Każda, jakabądź, liczyć może na 15—20 reprezentacyi, a publiczność jest zanadto dobroduszna, nawet zanadto nieśmiała, aby wbrew tak głośnych oklasków odważyła się przyganiać autorowi lub administracyi teatru.

A recenzye teatralne, a fejletony wielkich dzienników?—zapyta mnie czytelnik! Dobre one są poza Paryżem, mogą wpłynąć na resztę Francyi lub dobroduszną Europę, która im w całéj prostocie zawierza; lecz z wyjątkiem jednego lub dwóch dzienników, recenzye teatralne nie są niczém więcéj jak instytucyą klaskaczy, nieco w odmienny urządzoną sposób. Tu znowu stosunki osobiste, drobne przysługi, kontrakty z wielkim zawarte cynizmem, a najczęściéj honorarya płacone w gotówce, źródłem są entuzyazmu lub surowości krytyków *ex professo*. Więcéj o tém inną razą.

Przy takiéj poniewierce, przy tak wyprężonych i fałszywych warunkach istnienia dzisiejszéj sztuki dramatycznéj we Francyi, niepospolitém jest zjawiskiem list p. Karola Matthews do autorów dramatycznych we Francyi. Co to jest ten list, i kto jest p. Matthews? Jak wiadomo, aż do r. 1851 nie było między Anglią i Francyą żadnéj umowy zabezpieczającéj autorom własność ich dzieł dramatycznych. Co we Francyi należało do autora lub dyrektora teatru, to w Anglii stawało się własnością *primi ocupantis*. P. Karol Matthews dyrektor jednego ze znaczniejszych teatrów w Londynie, jest jednym z celniejszych aktorów, i sam do swego teatru układa sztuki. Jest więc *dyrektorem*, *aktorem* i *autorem*. Aby odpowiedzieć potrójnemu zadaniu, miał on ciągle na uwadze teatr francuzki,

i z nowych sztuk paryzkich korzystał, przerabiając je wedle gustu publiczności angielskiéj. Dopóki konwencyi teatralnéj nie podpisano, uchodziło mu to bezkarnie; nie płacąc autorom francuzkim, przebierał między ich sztukami, i tłumaczone lub przerobione na swoim teatrze przedstawiał.

Ten stan rzeczy zmienił się od r. 1852. i p. Matthews odzywa się do autorów francuzkich w słowach: „Ja, który was kradłem, obdzierałem i rozbijałem: dzisiaj, kiedy konwencya teatralna przymusza mnie, abym żył uczciwie, przychodzę do was i proponuję wam zgodę. Jestem wielbicielem waszego dowcipu, bardzo wysoko cenię wasze komedye, ale nie róbcie sobie illuzyi co do wartości sztuk waszych dla nas. Nie wszystkie przechodzą do Londynu, mało która przystępna jest dla naszéj publiczności. Z 263 sztuk nowych wystawionych we Francyi, zaledwo 8 przeszło na teatra londyńskie. Dlaczego tak mało?" Tu p. Matthews widzi potrzebę wdania się w krytykę ogólną tych dzieł, lecz mówiąc do autorów uważa słusznie, że przedmiot jest drażliwy. „Bądźmy szczerzy, *nous parlons affaires*! Czy się nie zdziwicie panowie, jeśli wam powiem, że sztuki wasze są pełne nieprzyzwoitości, niemoralności i anachronizmów. Przeczyć temu trudno. Faktem jest niezawodnym, że chętnie braliśmy na nasze teatra wszystko, co tylko w sztukach waszych znaleźliśmy dobrego i oryginalnego. Jednakowoż uważcie, że z 263 sztuk wzięliśmy zaledwie 8. Od niejakiego czasu ten rodzaj naszéj pracy, tojest rozboju na waszéj własności, zmniejsza się ciągle, skutkiem swawolnego charakteru sztuk waszych. Żaden ojciec rodziny nie przyprowadzi u nas żony ani dzieci na sztuki takie, które każą się rumienić, które prawią nieustannie o mamkach, o akuszerkach, o pannach które śpiąc zostały uwiedzione, o kobietach, które zostały matkami same o tém nie wiedząc; na sztuki, które dla mężczyzn i kobiet, dla dorosłych i dorastających są szkołą kłamstwa i niemoralności. Poprawcie się, zmieńcie to wszystko, oczyście sztuki wasze, odżywcie dawną francuzką komedyą, a ręczę wam zyskacie u nas, a może i u was, *sto na sto*!" Radzi p. Matthews, aby warunków powodzenia swego szukali autorowie w dziełach swoich, w prawdzie, wartości scenicznéj i moralności, i w wierności historycznéj, jeżeli sztuka jest historyczną. „W tych ostatnich mianowicie przedstawiacie nieraz fałsze i brednie, które dowodzą złego gustu i was i publiczności.

We Francyi wolno kłamać, byleby być dowcipnym; w Anglii byleby być wiernym historyi, wolno być głupim i nudnym!" Aby utrzymać się na tém polu szarlataneryi, muszą dyrektorowie paryzcy czynić niesłychane wysilenia i starać się nowością zwabiać ciągle publiczność. Do czasu może to udawać się, ale wcześniéj czy późniéj przekonają się koniecznie: że jedyną, wyłączną rękojmią dla teatru jest rzetelna wartość sztuki i aktorów. Akcessorya wszelkie o tyle tylko są przydatne, o ile piérwsze warunki wypełnione zostały.

Pod koniec zeszłego miesiąca sprzedawano w Paryżu galeryą obrazów księcia Orleańskiego. Byłto zbiór przepyszny nowożytnych francuzkich mistrzów: Szeffera, Ingres, Delaroche, Decamps, Delacroix i innych; zbiór, którego ogłoszona licytacya w całéj Europie ściągnęła znowu kupców. Najdroższy obraz *Stratonice* przez Ingres kupił książę Demidów za 63,000 fr.; Delarocha *śmierć księcia de Guise*, książę Aumale za 52,000 fr. Dwa obrazy Szeffera *Christ Consolateur* i *Françoise Rimini*, jeden za 43, drugi za 35 tysięcy franków sprzedane. Sprzedaż ta, która mistrzom francuzkim tak wiele przyniosła zaszczytu, nawet pod względem publicznym jest ważna. Wiadomo, jaką popularność miał książę Orleański we Francyi; wiadomo także, że popularność tę zjednał sobie opiekując się sztukami i literaturą, wynagradzając pracę młodych artystów i literatów. Mówiono wówczas, że ta rola mecenasa kusztuje go dużo; i rzeczywiście zapłacił on za swą galeryą około 200,000 fr. Dzisiaj galerya ta sprzedana przyniosła 600,000 fr.; protekcya więc jego dla ludzi talentu, która mu tyle wziętości w kraju zapewniła, nawet pod względem pieniężnym okazała się korzystną spekulacyą.

Utworzone od dwóch lat w Bordeaux *Towarzystwo Przyjaciół sztuk pięknych* otworzyło wystawę, która zwróciła uwagę publiczności paryzkiéj. Myśl Towarzystwa godna jest naśladowania. W mieście wielkiém i bogatém zaszczepić zamiłowanie sztuki; rzeźbiarstwo i malarstwo stworzyć dla mieszkańców jako nową potrzebę życia; ocucić miejscowe zdolności: przyjść artystom w pomoc przez rozumne kupna; cudzoziemcom odkryć w mieście nową ponętę, a krajowcom dać przedmiot pięknego i podnoszącego zajęcia: taki jest program towarzystwa, który jak w Bordeaux zupełnie zrealizowanym został, tak i po innych miastach łatwo wykonanym być może.

Towarzystwo nie mając funduszu na gmach osobny, postarało się naprzód o dogodną salę i w niéj otworzyło wystawę, na któréj znalazły się obrazy nowe, obok widzianych już na wystawie paryzkiéj. Towarzystwo płaci artystom koszta transportu tam i nazad, a ze sprzedaży katalogów i biletów wejścia zbiera summę na zakupienie obrazów. Piérwszy wybór należy do publiczności; ona kupuje co chce: rzeźby, obrazy olejne, akwarelle, rysunki, umawiając się o ceny z artystami; Towarzystwo skupuje dopiéro na końcu, wybierając losem przedmioty. W r. 1851 na piérwszéj wystawie w Bordeaux zakupiono za 26,101 franków, tojest za 8,777 kupiło miasto i publiczność, a Towarzystwo za 14,824. W roku zeszłym postęp jest znaczny: na ogólną summę 31,115 fr. zapłaconych za przedmioty kupione, publiczność wzięła za 13,790 fr., a Towarzystwo za 17,325. W ten sposób, dzięki rozumnemu przedsięwzięciu kilku ludzi, budżet sztuk pięknych w jednem mieście odległém, wzrosł w ciągu dwóch lat o summę 57,215 franków.

KRONIKA LITERACKA.

O klasztorze Jędrzejowskim i będącym tam nagrobku Pakosława kasztelana krakowskiego, przez A. Z. Helcla. Nadbitka z T. Igo, zeszytu IIgo Rocznika Tow. Nauk. Krak. oddziału sztuk i archeologii, wydanego za dozwoleniem władzy, w czerwcu, 1852 r. 8ka. Str. 106.

Uczony krakowski p. Helcel, zwiedzając po raz piérwszy przed kilką laty stare opactwo w Jędrzejowie, w prawéj nawie bocznéj kościoła, przy wchodzie do drzwi od dawno już zarzuconéj zakrystyi, zobaczył przypartą do saméj ściany jakby murowaną ławę, zawaloną różnemi gratami. Spostrzegłszy jednak na krawędzi płytu zwierzchniego ozdóbki snycerskie starego stylu, kazał uprzątnąć graty, które oczywiście jakiś pomnik zakrywały i znalazł w istocie ślady okolnego napisu. Po długiéj pracy wydłubania brudu i wapna, któremi powierzchnia całego płytu zarzuconą była, odkrył nagrobek i na nim postać jakąś cienkiemi rysami na kamieniu pińczowskim wyrytą. Napis wskazał, że to był grobowiec Pakosława kasztelana krakowskiego, zmarłego w r. 1319. W kilka dni później, za pozwoleniem przełożonego kościoła, ks. Wilhelma Ulawskiego, ostatniego i dzisiaj jeszcze żyjącego Cystersa w Jędrzejowie, sprowadziwszy murarza, p. Helcel kazał dolną jednę część podmurowania rozburzyć, dla przekonania się, czy w istocie czyje zwłoki pod tym grobowcem spoczywały. Znalazł czworogran ocembrowany marmurem czarnym: nie było zatém wątpliwości że to grobowiec, ale żeby daléj przeniknąć jego tajemnice, trzeba było całe podmurowanie burzyć i zdejmować płat zwierzchni, co mury narazić mogło; p. Helcel więc przestał na téj pewności, którą już powziął ze swoich poszukiwań. Kilka lat upłynęło od tego czasu. W roku zeszłym p. Helcel był znowu w Jędrzejowie, i kiedy kazał najstaranniej płyt obmyć, figura i wszystkie rysy na niéj najdokładniéj się przedstawiły. Można więc było zdjąć podobiznę. Maczając tedy w wodzie arkusze czystego, drukowego, ordynaryjnego papieru, przykładał je do płytu, a tak założywszy ich pokładem płyt cały, odbijał rysy szczotką, zrazu wolno, a potém coraz mocniéj bijąc. Udało się: rysy i litery jak najwierniéj się odbiły na papierze, i cały z układanych,

jeden na drugim arkuszy, pokrowiec, zdjął się w zupełności, jakby sklejano arkusze. Wydatność odbicia przez drogę do Krakowa i przez niejednostajne schnięcie papieru, nadspodziewanie mało ucierpiała, tak, iż autor łatwo mógł podług swojego modelu zdjąć wierną kopiję i przedstawić ją wydziałowi archeologicznemu krakowskiemu.

Broszurka, którą mamy obecnie pod ręką, wraz z rysunkiem nagrobku Pakosława, zawiera monografią Jędrzejowa. Ważny to bardzo przydatek do dziejów przeszłości. Autor zajmuje się naprzód samym kościołem, potém opatami, a wreszcie i Pakosławem. Wydrukował kilka nowych dyplomatów, o kilku nieznanych dał wiadomość; zatém z wielu względów dziełko jego zasługuje na baczną uwagę badaczy.

Szczupły opis archeologiczny kościoła i budowli klasztornych, zasadza się na kilku podaniach dawniejszych pisarzy naszych i na spostrzeżeniach autora. Kościół jeden z najwspanialszych w dawnéj Polsce, nosi na sobie cechę budowli z końca XVI, lub początku XVII wieku: sam zaś gmach opactwa wystawił w roku 1475 Mikołaj Odrowąż z Rembieszyc, opat. Aptekę wyrestaurował i w leki zaopatrzył w r. 1712 Augustyn Wessel, późniéj biskup kamieniecki. O dziejach kościoła mało wiemy. Z jednéj zapiski wizyty księdza administratora dyecezyi, przedsięwziętéj już po suppressyi zakonu, widać, że kościół razem z biblioteką zgorzał w r. 1800, a wtedy zginęły zabytki piśmienne odległéj starożytności i wielkiéj ceny jak dla nas, bo własnoręczne pisma Wincentego Kadłubka. O dawnéj budowli kościoła pisze cokolwiek Długosz w *Liber beneficiorum*.

Pierwiastkowo Jędrzejów nazywał się Brzeźnicą. Do téj Brzeźnicy sprowadził Cystersów Janisław syn Klemensa Gryfa, z proboszcza wrocławskiego arcybiskup gnieźnieński, i osadowił ich przy dawniejszym kościele. Oryginalny dyplomat téj fundacyi Janisława z roku 1154 podaje p. Helcel ze Starowolskiego i Damalewicza, jako mniéj znany. Kościołowi temu jeszcze poprzedni przed Janisławem biskupi nadawali dziesięciny i zapisy. Tak Wincenty Kadłubek zatwierdził dawne przywileje i swoje dodał w r. 1212. Przywilej ten znowu przytacza autor: jest on wprawdzie w Starowolskim, ale źle wydrukowany; dodajmy, że Ossoliński zaprzeczał autentyczności tego dokumentu. Ale nasz autor szeroko i trafnie rozumuje, zbijając uprzedzenia Ossolińskiego i popierając swoje dowodzenia drugim dyplomatem Wincentego, który piérwszy daje poznać ogółowi.

Daléj autor przechodzi innych świeckich dobroczyńców klasztoru. W najdawniejszych czasach łaski tutaj świadczyli dziedzice Mnichowscy i Ossowscy, z któremi fundatorowie Jan arcybiskup i Klemens brat jego, mają jakiś związek. Brzeźnica w tym czasie imię swoje zmieniła na Jędrzejów: były domysły, że od imienia jakiegoś opata; ale że właśnie wtenczas nie było opata z podobném nazwiskiem, p. Helcel wnosi i sprawiedliwie, że to nazwisko pójść mogło od sołtysa wprowadziciela nowéj *juris teutonici*, obdarzonéj obcéj osady, czego przykładów nie brak w Szlązku i w innych ziemiach polskich. Jędrzejów zaś podniesiony został na miasto przez Bolesława Wstydliwego, przywilejem z dnia 26 lutego 1271 roku. O przywileju tym jest wzmianka w Starożytnéj Pol-

sce; nieodżałowany Antoni Muczkowski przepisał go cały dla Helcla z transumptu Zygmunta Starego, a Helcel wydrukował w broszurze, o któréj piszem.—Między dobrodziejami klasztoru wspomniany jeszcze Paweł z Przemankowa biskup krakowski i Władysław Łokietek.

Autor skończywszy o samym Jędrzejowie, przechodzi do spisu opatów jędrzejowskich. Szczęśliwi jesteśmy, że tutaj do jego opowieści, kilka faktów dodać będziemy mogli, które spis opatów uzupełnią.

Poprzednio już, Starowolski w rozdziale piątym swojego żywota Kadłubka, ułożył pewno według klasztornego katologu swój poczet opatów jędrzejowskich. Autor powtarza go w części, w części zaś dopełnia i rozwija, bo znalazły się w Starowolskim pewne niedokładności, mianowicie w piérwszych wiekach istnienia klasztoru. Z tych czasów mamy spis nagich imion, nic więcéj; ale historya opatów robi się nierównie interesowniejszą od chwili, kiedy do imion przypadają już nazwiska, kiedy w poczecie opatów szukać już możem zaszczytów rodzin pojedynczych. Tutaj tylko mimochodem zaczepim o Kadłubka, z powodu dzieła Bielowskiego, który tego kronikarza przezwał Wincentym Bogusławicem. P. Helcel zbija tę nową terminologią i sprawiedliwie, chociaż przyznać się musim, że domysł autora *Wstępu krytycznego* i nas uwiódł cokolwiek swojém jakiémś podobieństwem do prawdy. Cystersi do Brzeźnicy sprowadzeni byli z Francyi, a raczéj z klasztoru Morymundu w Burgundyi; ztąd i Jędrzejów potém nazywano małym Morymundem. Piérwszemi opatami w Brzeźnicy byli Francuzi; za piątego dopiéro Hugona Francuza, który był z kolei szóstym przełożonym klasztoru, znacznie namnożyło się w Jędrzejowie Niemców zakonników. Żył ten Hugo za czasów Bolesława Wstydliwego, a zatém o wiele lat przeżył biskupa Wincentego Kadłubka; widać, że do jego czasów przeważającą ludność klasztoru stanowili Francuzi, ale nie Niemcy. Bielowski jednakże czyta: *Vincentius Gotlobonis filius* i z tego wyprowadza wniosek, że Gotlob, Gotlieb po niemiecku, był Bogusław po polsku i że Wincenty był Bogusławicem nie Kadłubkiem; że zaś nazwano go po niemiecku, nie po polsku w klasztorze, nic dziwnego: wlazłszy pomiędzy Niemców, Niemcem być musiał. Ale że za Hugona dopiéro namnożyło się wiele Niemców w Jędrzejowie, świadczy Starowolski, który tę wiadomość wyjął z akt klasztornych. Jakiémże więc prawem Francuzi Cystersi w Brzeźnicy jeszcze nazwali Wincentego po niemiecku *Gottlobonis filius?* Domysł Bielowskiego przez to upada. Zresztą, przypuściwszy nawet, powiada p. Helcel, że język niemiecki panował w klasztorze jeszcze za poprzedników Hugona, za tém nie idzie, żeby zapiski swoje zakonnicy po niemiecku, ale nie po łacinie spisywali. Daléj p. Helcel uważa, że nie było zwyczaju zapisywać zakonników od imienia ojca, a gdyby był zwyczaj taki, nasz Wincenty nazywałby się w zapiskach: *filius Theocleti, Bogustai*, w najgorszym razie z niemiecka *Gottlobi*, ale nie *Gotlobonis*. Ale i to mniejsza. Przypuścić niepodobna, powiada autor, iżby dopiéro klasztorne zapiski miały ustalić w powszechności nazwisko naszego kronikarza: nie przez te zapiski dopiéro Wincenty zajaśniał u swojego narodu, a kto powszechnie słynął, tego pewnie według zwyczaju wieku, po narodowemu nazywano, ale nie z cudzoziemska. I sprawie-

dliwie: w XII i XIII wieku dostojniejszych ludzi oznaczano u nas przez imiona chrzestne z dokładem albo imienia ojca po narodowemu, albo téż jakiéj przywarkowéj nazwy, albo z dodatkiem wsi dziedzicznéj. Zatém nie ma potrzeby, uważa jeszcze Helcel, wywodzić z ukrytych zapisek klasztoru sławnego już przedtém zdawna imienia uczonego biskupa, „który się pewno w katalog mnichów nie wpisał i nie nazwał synem Gottlobona, a którego téż pewnie inaczéj zakonnicy nie zapisywali, tylko jak się sam ów biskup i dobrodziéj klasztoru podał". Mógł więc być w istocie nasz Wincenty od jakiéj przywary ciała być nazwany Kadłubkiem (cognominatus Kadłubek). Rozumowanie to szanownego krakowskiego autora, idzie bardzo do przekonania.

Piérwszym opatem z Polaków był w Jędrzejowie Wojciech z Przyłęka w początkach XVgo wieku. Drugi jego następca Nieustęp wyrobił w roku 1442 na soborze Bazylejskim używanie mitry dla opatów. O Mikołaju Odrowążu jużeśmy wspominali; umarł on w roku 1496 nie 1426, jak źle podaje Paprocki, który zresztą sam się zbija. Do dat podanych przez autora, dodajem jeszcze datę roku 1485, kiedy był ten Mikołaj na synodzie metropolitalnym gnieźnieńskim. Jakób Michowski z Jędrzejowa przeszedł na sufraganią wileńską. Stanisława Potockiego nazywają także Bernardem; być może, że tutaj pomieszane chrzestne imię z klasztorném. W Metryce koronnéj (ks. 22 fol. 26.) znaleźliśmy wyraźnie Stanisława Potockiego, którego król zatwierdził na opactwie, jako wybranego od mnichów, w Lublinie w piątek w dzień Stéj Doroty w r. 1506, po abdykacyi Jakóba Michowskiego. Zatém nie byłoto w r. 1519—20, jak utrzymuje autor, uwiedziony w błąd podaniem Starowolskiego, że to się stało za Leona Xgo papieża. Michowski mógł być już po biskupie Taborze w r. 1507 administratorem wileńskim. Daty widocznie się zgadzają: mógł téż i po śmierci Radziwiłła jałmużnika, jako biskup suffragan rządzić dyecezyą. Stanisław Białobrzeski brat Marcina biskupa kamienieckiego był ostatnim opatem zakonnym: odtąd zaczynają się kommendataryusze, a piérwszym z nich był uczony Jezuita Stanisław Reszka, przyjaciel Hozyusza. Bartłomiéj Powsiński mazur, jego następca, umarł 21 października 1622 roku, w wieku życia 54 (w Starowolskim str. 646). Czwarty po Reszce opat Remigiusz Koniecpolski, który podniósł kości błogosławionego Kadłubka w kościele jędrzejowskim 1623 r. i złożył je w nowym murowanym grobowcu, był ostatnim opatem, o którym wspomina Starowolski. Odtąd już Helcel zbiera sam poczet opatów, aż do upadku rzeczypospolitéj. Właśnie do tego okresu możemy dać uzupełnienia i sprostowania.

Alexander Trzebiński biskup przemyślski, następca Koniecpolskiego w Jędrzejowie, umarł z pewnością 1644 r., 24 lipca, jak świadczy kanclerz litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł, ale nie w r. 1643. Po nim był wojewodzic sieradzki Alexander Denhoff; ale po tym zakonnicy wybrali sobie swojego opata, a król swojego mianował. Zakonnym kandydatem był mnich z Lędu Madaliński; od króla zyskał prawo Jędrzéj Olszowski podkanclerzy i biskup chełmiński. Autor myli się tutaj, kiedy rzuca domysł, że tym Madalińskim był pewno ów Jan h. Larissa, szlachcic sieradzki, który został potém opatem lędzkim, biskupem

teodozyańskim i suffraganem gnieźnieńskim. Ależ ten ostatni Jan Madaliński był jeszcze w Lędzie opatem za Alexandra Trzebińskiego i jako opat występował na synodzie warszawskim 1643 r. (patrz nr. 9407 u Jochera), i umarł jednocześnie z Trzebińskim w r. także 1644.

O tém obszerniéj pisaliśmy w Dzienniku Warszawskim, kiedyśmy z okoliczności odnowienia Lędu, opatów dawnych tego miejsca wyliczali (1851 r. nr. 54, 123, 130). Po Olszowskim dobrze idzie u Helcla Konstanty Lipski arcybiskup lwowski, ale trzeba było wspomnieć coś i o tém, że Jędrzéj Chryzostom Załuski miał koadjutoryą daną sobie przez wuja; skarży się o to nieraz w swoich listach, że po śmierci tegoż wuja, zaintrygowano przeciw jego prawu. To zdaje się dowód, że Olszowski aż do saméj śmierci, tytułu opata jędrzejowskiego używał. (Tom I, str. 694. Załuski). Za Lipskiego klasztornym opatem był Jan Kostecki, o którego szlachectwie nie wiemy czemu wątpi Helcel: że u Niesieckiego nic o nim niema, to jeszcze nie powód do wątpienia. Ale w Niesieckim jest wymieniony pod r. 1689 Piotr Karwowski h. Pniejnia, jako przeor jędrzejowski, zatém już zakonnicy uznawali *de facto* władzę królewską, kiedy się przy swoich klasztornych opatach nie upierali. Co większa, ten Jan Kostecki w r. 1690, dnia 20 grudnia otrzymał przywilej, mocą którego król Jan IIIci dał mu expektatywę na opactwo jędrzejowskie po śmierci Konstantego Lipskiego. (Sygill. w Metr. kor. ks. 15). Z tego wypada, że ugoda pomiędzy zakonnikami i komendataryuszami stanęła i na téj zasadzie, że Kostecki obrany przez klasztor miał odziedziczyć miejsce, które dotychczas zajmował arcybiskup lwowski, a zakonnicy odtąd obierali sobie tylko przeorów. Kostecki pewno tymczasem abdykował od swoich pretensyj, i pod zasłoną przywileju czekał na swoje przyszłe wyniesienie się. Nominacya królewska dowodzi, że Kostecki był szlachcicem, jeżeli już dowodu koniecznie na to jakiego potrzeba było, bo bez herbu niezostałby kommendatoryjnym opatem po tylu biskupach.

Szanowny autor przytacza konstytucyą sejmu 1699 r., na którym wiele jeszcze krzyczano na zakonników w ogóle, że mianowanych od lat kilku opatów uznawać nie chcieli, i sądzi, że co do Jędrzejowa, dopiéro ustawa sejmowa r. 1699 skuteczną była, a to na zasadzie, że już komendatoryjny opat Wessel budował w Jędrzejowie w r. 1712, a więc, że wykonywał prawa opackie. Autor nie znajduje pewności, czy mianowani przez królów opaci jędrzejowscy do swoich opatrzeń dopuszczonemi byli, a między Lipskim i Wesslem nie widzi pośrednich komendatoryjnych opatów.

Udzielamy odpowiedź. Ugoda, o któréj wyżéj wzmiankowaliśmy, pomiędzy Lipskim a Kosteckim, widać święcie zachowywała się w Jędrzejowie. Dowodem jest najprzód expektatywa dana w r. 1690 Kosteckiemu, a potém szereg nominacyj królewskich zachowanych w Sygillatach koronnych. Że Kostecki był rzeczywiście opatem po Lipskim, znajdujemy w nich oczywisty dowód, ale że był nim krótko, to widać z porównania dat. Arcybiskup Lipski umarł 1698 r., zatém Kostecki już za Augusta IIgo na mocy swego przywileju objął rządy w Jędrzejowie; ale w Sygillatach już pod r. 1699 znajdujemy nominacyą następcy *Kosteckiego* do Jędrzejowa. Jużcić król nie mianował opatów czyli prze-

orów klasztornych, których sobie zawsze zakonnicy wybierali; kiedy więc po *Kosteckim* następował nowy mianowany opat, Kostecki był komendataryuszem po Lipskim. Miejsce jego zajął ksiądz Józef Zebrzydowski sekr. w. k. kustosz krakowski, mianowany opatem po śmierci Kosteckiego dnia 16 maja 1699 r. (Metr. ks. 20 str. 63), a 1go czerwca tegoż roku, pisał jeden z pieczętarzy koronnych list o tém do mnichów jędrzejowskich, czego ślad również znajdujemy w Sygillatach. Po Zebrzydowskim bezpośrednio nastąpił na opactwo Teodor Potocki biskup chełmiński, mianowany 15 listopada 1710 r. (Sygill. ks. 17.). Potocki dopinro praw swoich ustąpił na korzyść Augustyna Adama Wessla, który umarł w lutym 1735 r. Mitzler pisze, że 3 *idus februarii*, toby wyszło na dzień 11 lutego, a Baliński w Pielgrzymce do Częstochowy powiada, że umarł 21 lutego w Częstochowie z apopleksyi (str. 387.). Jest o téjże śmierci wzmianka w Swadzie VI str. 23.

Po Wesslu zna Helcel jednego tylko opata jędrzejowskiego, Wojciecha Ziemnickiego; imię jego wyczytał pod r. 1768 na dzwonach klasztornych. Tak autor do poczetu Starowolskiego dodał sześciu komendataryuszów, a dwóch tytularnych opatów, „resztę zdając na szczęśliwszych szukajłów". Znowu powtarzamy, że znajdujemy przyjemność, kiedy wypełniając ten brak, do którego się przyznał uczony autor, podajem nowe fakta.

Po Wesslu opatem w Jędrzejowie był Bernard Łaszewski zakonnik, który widać był razem i komendataryjnym i klasztornym, bo świecki kapłan Adam Ignacy Komorowski proboszcz krakowski został u niego koadyutorem, jak o tém świadczą listy pisane od króla do Rzymu 3 czerwca 1746 r. (Sygil. ks. 25). Zmieniły się niedługo okoliczności: proboszcz krakowski został prymasem i księciem, a wtedy koadjutoryą zamienił na rzeczywisty tytuł; widać, że mu Łaszewski ustąpić musiał pierwszeństwa i odtąd występuje ciągle jako opat klasztorny, tojest przeor. Janocki w *Lexicon der jetzt lebenden gelehrten Pohlen* pod r. 1754 wylicza jeszcze obydwóch: Komorowskiego i Łaszewskiego. Prymas zlał prawa swoje do Jędrzejowa na Jakóba Antoniego Komorowskiego, który był pewnie jego bratem rodzonym, bo wiadomo, że miał ich dziewięciu. Ten Jakób Antoni rezygnował opactwo w r. 1760. Na jego miejsce mianowany został ksiądz Adam Przerębski kanonik kujawski, 9 czerwca 1760 r. (Sygill. ks. 29); ten sam, który był potém kustoszem koronnym i kandydatem do pieczęci mniejszéj, razem z Hugonem Kołłątajem. Przerębski przeżył upadek Rplitéj. Pod nim klasztornemi opatami byli naprzód Jan Albert Ziemnicki, którego Przerębski już zastał na urzędzie. Jest o nim pomiędzy innemi i u Jochera (tom IIgi str. 420). Daléj po Ziemnickim Wojciech Bernard Niegolewski, wspomniany u Jochera jeszcze w r. 1773. (Tom IIgi str. 396.), który w r. 1791 (10 lutego) otrzymał order Sgo Stanisława. Żeby zakończyć ten spis jeszcze dygnitarzem, który pochodził z czasów Rplitéj, wspomniny, że od d. 3 lutego 1802 r. opatem jędrzejowskim był Jan Wawrzyniec Drzewiecki, wizytator generalny zakonu po obojéj Galicyi. Narodzony 1753 r., proffess od 1771, a poświęcony w r. 1776, żył jeszcze za czasów Księztwa Warszawskiego.

Sam główny przedmiot niniejszego dziełka, nagrobek kasztelana Pakosława, dał powód autorowi do wypowiedzenia kilku kombinacyj historycznych, pełnych najżywszego interesu, jak wszystko co z dziejami prawie pierwotnemi Polski, bo z historyą Piastów, ma związek.

Napis na grobowcu zachował się dotąd w całości, tak jak przywodzi go Paprocki. Starego historyka szlachty naszéj łaje jednak autor za to, że przeczytał Petrosław, kiedy wyraźnie jest Pakosławi ma to za dowód sumienności Paprockiego, który w dziele swojém nagromadził wiele podobnych zabytków i kamiennych i piśmiennych, wiele zanotował dat urzędowych, wiele porobił wypisów: wiedział zatém, że zbiera wiadomości drogocenne, ale przepisywał je prędko, bez należytego zastanowienia się i dlatego robił pomyłki. Tak nasz Pakosław, którego Paprocki przezwał Petrosławem, podwoił niepotrzebnie jedną osobą spis kasztelanów krakowskich. Niesiecki obok siebie dwóch Pakosławów pokładł: jednego z Moskorzowa, drugiego ze Mstyczowa, opierając się na powadze Paprockiego, że drugi nazywał się Petrosławem; tymczasem byłato jedna osoba. Co do nazwiska wsi, z któréj się Pakosław pisze, p. Helcel powiada, że nie jest pewny swojego, bo napis da się czytać trojako: *Misthkow, Mistreooia* i *Mistreovice*, a wybiera niepodobne dla tych trzech nazwisk *Mstyczów*, jak jest w Paprockim; naprzód dlatego, że to dziedzina stara położona o 3 mile od Jędrzejowa, i że bywała w posiadaniu rodzin znakomitych. Zdarzało się w dawnych wiekach, że przestawiano litery; łatwo więc, powiada p. Helcel, mogło być za Mstyczów, na grobowcu Misthcow, lub coś podobnego. I tutaj zasłużył na pochwałę Paprocki, że dobrze przeczytał: słowa jego tém więcéj zasługują na uwagę, że przy dzisiejszym Mstyczowie leży wieś Pękosław, która od nazwiska dziedzica pochodzić musi. Nasz Pakosław był herbu Lis, który za Piastów nim się zupełnie wykształcił, powiada p. Helcel, nazywał się Mzurą, a Paprocki dodaje, że jakiś klejnotnik tego herbu dał klasztorowi jędrzejowskiemu wieś od jego nazwy nazywaną. Będzie to pewno Mzurowa pod Mnichowem, blizko Jędrzejowa. Ztém wszystkiém autor oświadcza się z tém, że względem Mstyczowa nie ma zupełnego przekonania. Istotnie, Paprocki nas nie przekonał.

Autor następnie wylicza dyplomata, na zasadzie których badał z przeszłości śladów żywota swojego Pakosława. Podług tych śladów wypada, że Pakosław był podkomorzym krakowskim, pod rządem Wacława czeskiego, potém za Łokietka sędzią téjże ziemi, potém został kasztelanem sandomierskim i nareszcie krakowskim. Umarł zaś 17 września 1319 r., jak świadczy nowo odkryty nagrobek. Poprzedził go na kasztelanii krakowskiéj Prandota, a nastąpił po nim Nawój z Przegini, wojewoda sandomierski. Tak poprawić trzeba spis Niesieckiego. Co do Pakosława autor wnosi z dat jego urzędowań, że to był człowiek raczéj myśli jak czynu, że więcéj politykował i rządził się rozumem, jak wojennym był mężem. Ale niejasno pokładł autor swoje dowody. Mówi, że dwiema drogami przodkowie nasi dochodzili najwyższych dostojności w kraju: wojownicy, począwszy od urzędu wojskiego, szli w górę samemi kasztelaniami, a spokoj-

ni obywatele, *vulgo* tchórze, przez podkomorstwa i sędstwa szli do wojewodzińskich krzeseł. Domysł to może za zbyt śmiały, mianowicie jeżeli zważym, że zasady do tworzenia takich domysłów nie mamy wśród takiéj małości wydanych Piastowskich źródeł.

Śmiałym téż równie jest autor w dalszych domysłach, kiedy ród Pakosława wywodzi od sławnego Mikołaja wojewody krakowskiego, przeciwnika Goworka, kiedy wiąże go z rodem Świętopełka wojewody, a dawniéj kasztelana łęczyckiego za rządów Łokietka, na téj zasadzie, że obadwa tamci byli herbu Lis. Daléj z samego imienia Pakosława autor snuje szereg historycznych przypuszczeń. Był zwyczaj u dawnych Polaków, że jedno imię powtarzało się raz wraz w rodzinie: dziad, ojciec, kilku naraz synów nazywało się jednakowo. Autor w tém wyszukuje innych Pakosławów z tego czasu i domyślając się, że jednę mogli stanowić rodzinę, spisuje genealogią naszego Pakosława kasztelana. Wszystko to naturalnie są domysły, ale treść ich tak mocno zajmuje, że chce się gwałtem wierzyć w rozumowania autora. Tegoby nam jeszcze do bogactw dziejowych brakowało, żebyśmy mogli z pewnością układać herbarze i genealogie najdawniejszéj szlachty naszéj. Czemu nie? Proby już się zjawiają z Kodexu wielkopolskiego; wyszukał już jednę całą rodzinę znakomity autor Polski średnich wieków, inni spisują inne rodziny. Powtarzamy, najżywiéj interesujem się podobnemi badaniami.

Autor w dyplomatach owego czasu znalazł czterech Pakosławów, których dla odróżnienia nazywa piérwszym, drugim, trzecim i t. d. Pakosław I był wojewodą krakowskim z roku 1212 za Leszka Białego. Pakosław II zanotowany w dyplomacie Sławoszowym około r. 1212 z tytułem *comes*, bez dodatku *palatinus* albo *castellanus*, położony obok Wojciecha wojewody sandomiérskiego, trzymał wtedy korczyńską kasztelanią, a więc różnym był od piérwszego (Rzysz. Tom I str. 19—21); został potém po Goworku kasztelanem krakowskim, a późniéj posunął się na wojewodę sandomierskiego, którym był w r. 1224. W dyplomatach zwą go *magnus*, *major* albo *senior*, dla odróżnienia naturalnie od jakiegoś innego młodszego Pakosława. Daléj autor wskazuje nam na tego młodszego Pakosława, który był trzecim, a zwany jest w dyplomatach *junior*. Byłto brat rodzony Pakosława II, a obaj byli synami Lassoty. Pakosław II stawał za Grzymisławą wdową po Leszku Białym i Bolesławem Wstydliwym; naraził sobie Konrada księcia mazowieckiego, który go wygnał na Ruś i pozbawił krzesła wojewódzkiego w senacie. Pogodził się Pakosław z Konradem i powrócił do krzesła; znów stanął za Henrykiem szlązkim i skończył na kasztelanii krakowskiéj. Brat jego Pakosław IIIci zajął po nim województwo sandomierskie i zginął pod Chmielnikiem przeciw Tatarom 1241 r. Innym wcale od tych trzech Pakosławów był Pakosław IVty syn Wojciecha. P. Helcel domyśla się, że to ten sam Pakosław o którym dyplomat z r. 1224 wspomina: Albert syn Stefana ze Mstyczowa (u Gładyszewicza, Życie Prandoty str. 212—17). Ten sprzyjał Mazurom, był téż za nich 1232 r. wojewodą sandomierskim, potém żarnowskim kasztelanem 1237 r.,

wreszcie wojewodą wiślickim, gdy to województwo utworzono naprzeciw sandomierskiemu, na którém zasiadali Małopolanie, stronnicy Henryka Pudyka. Pogodził się Pakosław IVty z Bolesławem Wstydliwym i był za niego kasztelanem sandomierskim; umarł niedługo po r. 1243. I tego Pakosława zwą dyplomata *senior*, ale że to nie był Pakosław IIgi, dowodzi p. Helcel, i rozumując przemawia do przekonania.

Wyliczywszy tych Pakosławów, autor naszego kasztelana krakowskiego wywodzi z rodu Pakosława IVgo, bo czwarty był synem Wojciecha ze Mstyczowa, a nasz był dziedzicem na Mstyczowie, jak powiada nagrobek jędrzejowski. Nie był jednakże kasztelan synem Pakosława IVgo, chyba wnukiem. Autor znalazł w dyplomatach połowy XIIIgo wieku Jakóba syna Pakosława w Krakowskiém, i drugiego Jakóba, syna Mszczuga. Jeden z nich był sędzią krakowskim, drugi kasztelanem wojnickim, ale który z nich był synem Pakosława, i czy koniecznie Pakosława IVgo?—to pytanie. Autor w sędzim domyśla się syna Pakosława IVgo i ojca Pakosława kasztelana, a za powody do tego domysłu służy mu poprostu zbliżenie dat. Są jednak ślady i potomka kasztelana Pakosława. W 35 lat po śmierci jego nastąpionéj w r. 1319 zjawia się w Małéjpolsce Jan Pękosławic dziedzic na Stróżyskach, zasłużony mąż, któremu Kazimiérz W. w r. 1354 nadaje na Rusi miasto Rzeszów z całym okręgiem i z *jus ducale*. U Bzowskiego jest Jan syn Pakosława Rzeszowski posłem do Rzymu. To może syn kasztelana. Na przeszkodzie stałby tylko herb Rzeszowskich Półkoziców. Ale arcybiskup Rzeszowski z czasów Władysława Jagiełły mógł pochodzić z innego Rzeszowa, jak nasz Jan ze Stróżysk. Autor kończy filologiczną rozprawą o imieniu Pakosław. Wnosi, że ono tyle u nas znaczyło co Przek, Sprzek, Przekosław, Przecisław, Przecław, Wrogosław, Wróżysław, Przecław i t. i d. (*Pak* w dawnéj mowie ma dziś pochodne *wspak*, *opak*, więc znaczy jakąś przeciwność).

Autor o swojém dziełku powiada: „Jestto kałkuł możności na polu historyi—nic więcéj. Być może, że się kiedyś okaże prawdziwym, być też może, że się na nic nie przyda". Owszem, ten tak nazwany *kałkuł* przez autora, na wiele się przyda, jeżeli już nie innego, to wskaże drogę badań dla młodych ludzi, którzy się poświęcą mozolnym historycznym badaniom. Ten *kałkuł* wskazuje nam na bogactwo nasze i na nowy kierunek, jaki historya nasza przyjmuje: bogactwo, bo możem już zajmować się rodowodami i życiorysami ludzi Piastowskich; nowy kierunek, bo tą wewnętrzną historyą mało się kto dotąd zajmował. Spisywano zawsze wojny, traktaty i genealogie książąt. Joachim wniknął w prawodawstwo, w rozwój loiczny wypadków, a za nim poszli inni; ale kiedy teraz już jesteśmy w stanie spisywać fakta nietylko o stosunkach książąt pomiędzy sobą, ale i o stosunkach starych komesów: trudno się nie poradować z bogactwa, z tego kierunku badań. Dawniéj łataliśmy Niesieckiego, tam gdzieśmy znaleźli w nim opuszczenie; dzisiaj już kilku panów jednego imienia rozróżnić potrafim, nawet oznaczyć miejsce ich urzędowania, kiedy jeden dru-

giego spychał na témże samém krześle senatorskiém. Teraz daje się nam uczuć fakt nowy: że jak książęta się spychali z tronów, tak i komesowie z krzeseł. Teraz nic dziwnego, jeżeli zobaczym w jednym czasie dwóch, trzech razem np. wojewodów sandomierskich. Teraz rozumiemy dlaczego powstawały nowe i prędko niknęły senatorskie tytuły, np. województwa wiślickiego i t. d. Teraz możemy sądzić o sile stronnictw wojujących z sobą w dawnéj Piastowskiéj Polsce, bo wiemy, że tego książęcia ci, a tamtego tamci popierali. Wszystko to dla nas dziś jasne, zrozumiałe, dzięki takim badaniom, jak p. Helcla. Stoi przed nami kraj otwarty jak Ameryka Kolumba; że łatwo go było odkryć, dzisiaj dopiéro poznajem. Autor krakowski wątpi o rozumowaniach swoich: są one istotnie śmiałe (np. cały ten rodowód Pakosława kasztelana, prowadzony przez cztery wciąż pokolenia), ale są nowe, i wielkie prawdopodobieństwo mają za sobą. Sądzim téż, że domysły te utrzymają się w historyi.

W końcu książki, autor dał w dodatku artykuł o Jaxie i Świętosławie, który także wielkie rzuca światło na rodzinę sławnego Piotra Dunina, fundatora siedmdziesięciu kościołów.

D. 13 grudnia 1852 r. *Julian B.*

Pamiętniki o wyprawie chocimskiéj r. 1621 *Jana hrabi z Ostroroga, Prokopa Zbigniewskiego, Stanisława Lubomirskiego i Jakóba Sobieskiego, z rękopismów współczesnych i druków mniéj znanych zebrał Żegota Pauli. W Krakowie, nakładem i drukiem Józefa Czecha.* 1853. 8*ka. Str. XI wstępu i* 184.

Ważny ustęp dziejowy sławnéj wyprawy chocimskiéj za Zygmunta IIIgo, znajomy już nam jest z dawniéj ogłoszonych źródeł historycznych. Zebranie wszakże w jednę całość i znanych i nieznanych pomników przez p. Pauli, nieobojętnym a powiemy nawet ważnym jest przyczynkiem do badań dziejowych tamtego okresu.

Jak ta wyprawa zajmowała żywo współczesnych przodków naszych, ukazuje widomie krótki przegląd opisów, jakie mamy o wyprawie chocimskiéj.

Oprócz Jakóba Sobieskiego, który dziejom téj wyprawy osobne dzieło: „Commentatorium Chotinensis belli libri tres". Dantisci, 1646, w 4ce, poświęcił: opisali jeszcze tę wojnę współczesni po łacinie: Jan Innocenty Petrycy: „Rerum in Polonia ac precipue belli cum Osmano gesti historia." Cracoviae, 1637. Ewerhard Wassenberg: „Gestorum Vladislai IV, pars I, Gedani 1643," w 4ce. Stanisław Kobierzycki: „Historia Vladislai Poloniae et Sveciae principis usque ad excessum Sigismundi III." Dantisci, 1655, w 4ce.

Opiewali wierszem tę wyprawę: Jan Bojanowski: „Naumachia Chocimska" Jarosław, 1622, 4ka. Bartłomiéj Zimorowicz: „Pamiątka wojny tureckiéj" 1621, Kraków i 1623, 4ka. Piotr Napolski, czyli właściwiéj Jan Żabczyc: „Krwawy Mars narodu sarmackiego", 1628, 4ka. Jan Rudomina pod przybraném imieniem Fryderyka Warsuchtig: „Dyariusz prawdziwéj expedycyi przeciw Osmanowi odprawowanéj, 1640" 4ka. Samuel Twardowski w wielkim poemacie: „Władysław król polski." Leszno, 1649. folio. Z późniejszych Adam Naruszewicz w historyi Jana Karola Chodkiewicza, J. Sękowski (Collectanea z dziejopisów tureckich, 1824 r.) tłumacząc podanie o téj wyprawie historyka tureckiego Naym-Effendi; Maurycy hr. Dzieduszycki w krótkim rysie dziejów i spraw Lisowczyków. Lwów, 1844, 2 tomy; a naostatku ujrzeliśmy poemat wielki, bohaterski, w roku 1850 wydany: „Wojna chocimska" przypisywany Andrzejowi Lipskiemu, a podług najnowszych badań Karola Szajnochy, Wacławowi Potockiemu: nie wspominając o poemacie pod tymże napisem Krasickiego. Dodajmy do tego mnóstwo materyałów rozrzuconych po dyaryuszach niedrukowanych, w tak zwanych „Sylva rerum," a nabierzem przekonania, jak wyprawa chocimska, która oczy całéj Europy zwróciła na siebie, silnie działać musiała na myśl i uczucie naszych naddziadów.

W literaturze południowych Słowian za najcelniejszą ozdobę uważany jest poemat sławnego *Jana Gondulicza*, którego treścią jest taż wyprawa, p. n. „Osman, spievanie vitezko" (1).

Zdawałoby się zaprawdę, że tak bogate materyały, wyczerpnąć musiały przedmiot w zupełności; tymczasem widzimy, że wydanie p. Pauli, nowym plonem zbogaca już tak bujną niwę.

Jeżeli bowiem w poglądzie ogólnym niewiele z nich zyskujemy, to w szczegółach więcéj; ale w szczegółach takich, co rzucają niemałe światło na tamte czasy.

Zkąd wyjął wydawca bardzo ważny spis wojska polskiego na wyprawie chocimskiéj, nie wspomina; lubo nosi w całości na sobie cechę wiarogodności, i zgadza się z podaniami znajomemi.

Rzecz godna troskliwego rozbioru i uwagi, jak Rplita wówczas małe siły stawiła naprzeciw tak ogromnéj potędze tureckiéj. Jazda składała się z samych nadwornych różnych panów, i bogatszéj szlachty chorągwi. Dość uwielbić nie można gorliwości i poświęcenia tych zacnych obywateli, co na hasło trwogi, już osobiście stawali z uzbrojoném swoim kosztem rycerstwem w szrankach obozu, już wysyłając, gdy sami nie stawali, chorągwie nadworne. Czoło wojska polskiego stanowiła jak zwykle jazda, hussarzy, co przeważała zawsze zwycięztwo na swe chorągwie. Stanęło jéj koni 7850: rajtarów 2110, kozaków nadwornych 7200, razem jazdy 17160. W spisie tym widzimy

(1). Poemat ten we 3ch tomach po raz piérwszy wyszedł w Dubrowniku, r. 1826, w 8ce: powtóre w Zagrzebiu 1844 r. 8ka. Po włosku prozą przełożony przez Jaksycza z Zary (w Dubrowniku) 1827, 8ka, wierszem przez Marka Antoniego Widowicza, tamże w 1838 r.

po raz piérwszy w większéj liczbie *piechotę* polską, któréj piérwsze szczupłe zastępy pokazały się pod Stefanem Batorym. Tu także gorliwością obywatelską postawiono jéj 7700, a piechoty niemieckiéj 6450, razem 14150. Cyfry te wyraźnie okazują, że jeszcze Polacy niezupełnie otrząśli się z dawnego uprzedzenia, polegając głównie na sile jazdy; lubo wyprawa chocimska dowiodła, iż w zawarowanym obozie, szczupła ta garść piechoty nieocenione wyświadczyła przysługi. Razem więc wystawiono piechoty i jazdy 31,310. W téj liczbie żadnéj chorągwi królewskiéj nie było; królewicz Władysław wystawił hussarzy 500 koni, kozaków 200 i nadwornéj piechoty polskiéj 600 ludzi. Stanisław Lubomirski niemal więcéj, bo hussarzy koni 300, kozaków 150, piechoty 1000. Zaiste byłabyto zbyt szczupła armia przeciw nieprzyjacielskiéj, która bez żadnej przesady, zdolnych do boju z górą 300,000 wynosiła; ale nasze zastępy wzmocnili kozacy o większą połowę, bo przyszło w pomoc Lisowczyków 1200, i 40,000 kozaków zaporowskich; razem więc 72510 bitnych i wyprobowanych wojowników mogło śmiało zajrzéć w oczy téj ćmie pogańskiéj, mężnéj i zajadłéj, ale uderzającéj więcéj gromadą silną, jak porządnym szykiem.

W spisie przecież powyższym i bardzo dokładnym szczegółowo nawet, nie mamy wymienionéj liczby dział, ani kto polską artyleryą kierował, chociaż i ta broń przeważne oddała zasługi. Z opisów innych widzimy działa większego rozmiaru, a i kozacy przywiedli swoję artyleryą złożoną z 20 małych działek.

Piérwszy: Pamiętnik Jana hr. z Ostroroga przedrukował wydawca z rzadkiego wydania 1622 r. w Poznaniu ogłoszonego. Praca ta była długo uważana za straconą, gdy szczęśliwie zachowany egzemplarz, mamy teraz w przedruku. Ostroróg wojewoda poznański, znany z pism innych jak: „Myślistwa z ogary", „Nauki koło pasiek" i innych; złożony ciężką chorobą nie mogąc osobiście służyć: „w tém złém zdrowiu mojém (jak sam wyraża) zbywając tęsknicę, te skrypta pozbierałem, na których mi od przyjaciół z wojska nieschodziło". Ułożony tak dyaryusz, Ostroróg oddał pod uwagę siostrzeńcowi swemu Piotrowi Opalińskiemu kasztelanowi poznańskiemu, który osobiście ze swym pułkiem przez cały czas wyprawy uczestniczył, i po zawartym traktacie, królewicza Władysława do Kamieńca Podolskiego odprowadził. W zakończeniu dyaryusza swojego dodaje Ostroróg, że razem z Opalińskim narysowali i formę obozu, jak nad Dniestrem był położony, ale tego planu nie znamy.

Drugi: Dziennik Prokopa Zbigniewskiego jest z mało znanéj broszury, drukowanéj w 1621 r. Autor jako obecny świadek opisuje dzień po dniu; służył i walczył w chorągwi Lisowczyków.

Dyaryusz téj wyprawy spisany przez Stanisława Lubomirskiego hetmana polnego, a po śmierci J. K. Chodkiewicza jedynego wodza pod Chocimem, nieznany dotąd, wydał p. Pauli po raz piérwszy z 3ch rękopiśmiennych odpisów. Na jednym znalazł nazwisko autora i ztąd tę pracę Lubomirskiemu przypisuje. Ważna to jest relacya, dla umieszczonéj w niéj korrespondencyi urzędowéj, która traktat poprzedziła. Wydawca w przemowie podaje Lubomirskiego za autora,

ale w bardzo wątpliwych wyrazach; i my nie mamy dostatecznéj rękojmi, abyśmy dyaryusz ten mogli uważać za pracę tego wojownika. Kto potrafi ocenić codzienne trudy hetmana polnego, wśród walk i trosłów, a ze śmiercią sędziwego Chodkiewicza, powiększone obowiązki i zajęcie; ten słusznie powątpiewać musi, czy ta ręka, co tak przeważnie gromiła chorągwie księżycowe, była zdolną codzienny dyaryusz utrzymywać, i zapisywać dyplomatyczne długie a zmudne korrespondencye. Prędzéj na to czas mieli przyboczni Władysława IVgo, który chorobą złożony, przeleżał w łóżku całą wyprawę.

Ostatnim i najdokładniejszym pamiętnikiem jest dyaryusz Jakóba Sobieskiego. Opisał on w języku łacińskim tęż samą wyprawę i wydał w 1646 roku, ale w téj pracy poświęcił rzecz dla formy: przez naśladowanie bowiem rzymskich klassycznych historyków, wiele zajmujących szczegółów dla téj formy opuścił. Polski pamiętnik, wiernie i dokładnie opisuje wszystkie zdarzenia porządkiem dziennym: autor sam mający czynny udział, użyty do traktatów, wtajemniczony do rad wojennych, mógł i umiał zbogacić najważniejszemi wiadomościami swój dyaryusz. „Część jednę tego dyaryusza, mówi wydawca, wydrukował A. Naruszewicz dosłownie w Życiu J. K. Chodkiewicza; cały zaś z licznemi usterkami i błędami, ogłoszono w Rozmaitościach Naukowych krakowskich 1829 r., pod imieniem Samuela Sobiekurskiego towarzysza roty pancernéj, który był tylko prostym przepisywaczem".

Wydawcą dyaryusza pod imieniem Sobiekurskiego był ś. p. Samuel Bandtkie, i w czasie naszéj bytności w Krakowie, zwracał ten mąż uczony uwagę na ważność tego pomnika, z przekonaniem, iż pracę tę uważa za utwór Sobiekurskiego. P. Pauli wydanie Bandtkiego obciąża zarzutem usterków i błędów, a nie objaśnił nas wcale zkąd przepisał, oczywiście bez błędów i usterków, ten dyaryusz Sobieskiego? zkąd powziął wiadomość, że Sobiekurski był tylko prostym przepisywaczem? gdzie jest autograf, lub dokładna kopia? Takie objaśnienia i wskazówki są konieczne, zwłaszcza tam, gdzie robią się zarzuty, a dochodzi się prawda. Wydawca wszystko to mimochodem puścił, i swoje tylko podał nam zdania.

Owoż wyliczywszy ciąg cały ciekawych pomników dziejowych wydanych przez p. Paulego, znamy i inne, które w ten zbiór szacowny nie weszły; a mamyż wyznać otwarcie, że wszystkie te relacye, którym nic pod względem prawdy i sumienności zarzucić nie możem, nie dają nam tego obrazu wiernego, jaki nam podał bohaterski poemat „Wojny chocimskiéj". Jakże stary nasz wieszcz góruje nad zimnemi dyaryuszami, nietylko życiem jakiém odtwarza czasy zapadłe, ale historycznem bogactwem szczegółów i poglądem ogólnym. We wszystkich pamiętnikach które mamy przed oczyma, znika Zygmunt Jilci: ale bystre oko wieszcza widzi go, jak zebrawszy chorągwie nadworne swoje, i zastępy silne pospolitego ruszenia, bawi się pode Lwowem, i swobodnie szczuje zające, w chwili, gdy niepewna walka miała rozstrzygnąć pytanie: czy krzyż Chrystusowy, czy księżyc pogański weźmie przewagę w Europie; gdy ważył się los całego narodu na ostrzu szabli i spisy kozackiéj. W tych relacyach milczą

bohaterowie nasi, a owe walki Homeryczne pojedynczych chorągwi rycerskie harce, gwar obozowy, słowem atmosfera i woń życia w suchym wspominku znikają. Wieszcz to dopiéro „Wojny chocimskiéj" zbudził z pleśni grobowéj, i zaklęciem czarodzieja ożywił ten wielki obraz, na tle sumiennéj prawdy osnuty, na nasz podziw i naukę.

Dyaryusz ostatni pod imieniem Sobieskiego zamyka się rzewną modlitwą do Boga, i wspomnieniem walecznego rycerstwa.

K. Wł. W.

Dzieje kościołów wyznania helweckiego w dawnéj Małéjpolsce. Poznań. Nakład J. K. Żupańskiego. 1853. *Str.* 345 *bitego drobnego druku, w pięknem wydaniu.*

Szanowny autor Dziejów Poznania, Historyi szkół w Koronie i Litwie, Wiadomości histor. o dyssydentach w Poznaniu, Dziejów kościołów wyznania helweckiego w Litwie, Braci czeskich w Wielkiéjpolsce; jeszcze tém nowém, a dawne prace uzupełniającém dziełem zbogacił piśmiennictwo nasze. Historya reformacyi w Polsce, przedmiot obrany przez p. J. Łukaszewicza do szczegółowego obrobienia, nad którym od 30 już lat pracuje i tylu obdarzył nas dziełami; zaiste nader ważny i pożyteczny, a przecież tak drażliwy, iż z żelazną wytrwałością przyszło walczyć szanownemu autorowi przeciw pomawianiom go o stronniczość ku różnowierstwu, a to już od chwili, gdy w 1832 r. piérwsze swoje prace w téj sprawie ogłosił. Nie tu miejsce do wyliczenia, jakie ciernie rzuciła krytyka pod nogi naszego autora, o ile te szłusznie się należały, o ile znów kierował słowami recenzentów religijny fanatyzm. Gdybym tę kwestyą chciał rozbierać, musiałbym piérwéj zestawić niejako moje indywidualne pojęcia o stosunkach wyobrażeń religijnych do rządzących w dawnéj Polsce; a zarazem obok tych wyznań, wypadłoby postawić sąd w téj mierze autora dzieł o reformacyi: a to, aby się okazać sprawiedliwym, i nie taić miary, jaką mierzyłbym sąd autora i stopień jego stronniczości, jeśli się takowa w czém okazuje. Byłybyto spory religijne, a sędzią w ich sprawie, katechizm. Gdy zaś dzieło p. Łukaszewicza jest głównie historyczne, wskazujące jak i gdzie szerzyło się różnowierstwo: a więc o téj jego głównéj treści mówić mi przystoi. Słuszna jednak nadmienić: iż źródłem niechęci do dzieł p. Łukaszewicza jest jego opinia o Jezuitach, których bezwarunkowo prawie potępia, i okoliczność: iż czasem rzuca cień na czyny katolickiego duchowieństwa, nie kreśląc skwapliwie i skrzętnie tego, co go promieńmi zasługi rozjaśnia. Myślę, iż zrozumiałem niektórych krytyków p. Łukaszewicza, gdy powiem, iż chcieli widzieć w autorze: surowego sędziego, okazującego to co fanatyzm zdziałał złego u nas; ale zarazem pamiętającego o tém, że wiara była w dawnéj Polsce tak zrosłą z sprawa-

mi polityki, że stanowiła i tło życia publicznego i do wojen religijnych i krwawych rzezi nie dała początku; a wreszcie była hasłem do czynów takich, co nam zawsze w oczach Europy szacunek zjednały. Chcieli nakoniec żeby autor pamiętał, iż dzieje Polski różnią się od dziejów innych narodów: ciągłemi walkami z Krzyżakami, Tatarami, Turkami i silnym odporem sekciarstwa religijnego, wylęgłego w łonie Europy. W książce, którą mamy przed sobą, unikał p. Łukaszewicz, jak widać, wszelkiego sądu, któryby go znów na drażliwość krytyki wystawił; jestto istna kronika, okazująca jasno i dowodnie rozszerzanie się sekciarstwa religijnego w Małéjpolsce, obraz działań różnowierców i ich synodów. Materyał, prócz z źródeł książkowych, brany z rękopiśmiennych archiwów i aktów. Dokumenta te śliczną polszczyzną pisane, przytaczane są w długich dosłownych ustępach. To, co autor wyrzekł sam o sprawach, które są treścią dzieła, da się prawie w całości powiedzieć następnemi jego słowami, które okazują zdanie o owéj drażliwéj stronie przedmiotu: „Jedną z najgłówniejszych przyczyn upadku Polski była reformacya. Ona zamąciła świetne z innych miar panowanie Zygmunta Augusta, rozdzieliła naród po śmierci tego monarchy na dwa wielkie nieprzyjazne sobie obozy, a w skutek niezręcznego oddziaływania za rządów Zygmunta III i następnych królów, poddała go w jarzmo przebiegłego, samolubnego zakonu, który wychowując przez dwa blizko wieki młodzież krajową jedynie ku swoim i hierarchii widokom i potrzebom, odwiódł myśl zniedołężnionego przewrotném wychowaniem narodu od tego wszystkiego, co go mogło było zrobić wewnątrz rządnym i oświeconym, zewnątrz potężnym i szanowanym. Szlachcic robił wszystko: wypędzał katolickiego księdza, wprowadzał ministra i nowe obrządki; lud był niemym świadkiem tych zmian, i przyjmował je nie z przekonania, ale z obawy pana lub jego podstarościego. Z równą téż potém za czasów Wazów obojętnością opuszczał znowu wiarę, która do serca jego nie przylgnęła, a zmysłów jego, słuchu i wzroku, obrządkami uderzać i zajmować nie mogła."

Treść książki bliżéj da poznać następny spis materyi:—Początki reformacyi w Małéjpolsce. Wawrzyniec Korwin *Neoforensis* rozszerza dzieła protestanckie po Małéjpolsce. Zwolennicy protestantyzmu w téj prowincyi na cztery lata przed zgonem Zygmunta Igo przechylają się do kalwinizmu. Franciszek Stankar. Mikołaj Zebrzydowski biskup krakowski prześladuje i rozpędza nowatorów.

Rozproszeni przez Zebrzydowskiego ministrowie kalwińscy w Małéjpolsce wracają na swoje stanowiska i ustanawiają zbory helweckie. Felix Kruciger z Szczebrzeszyna, superintendent zborów małopolskich, zamierza swoje zbory połączyć z wielkopolskiemi Braci czeskich. Synod w Koźminku 1555 roku.

Szerzenie się kalwinizmu po Małéjpolsce. Zebrzydowski biskup krakowski opuszcza ręce w prześladowaniu różnowierców. Toż samo inni biskupi, wyjąwszy Hozyusza. Jerzy Izrael i Jan Ryba, ministrowie Braci czeskich, stosownie do umowy na synodzie koźminieckim, zwiedzają zbory kalwinów małopolskich. Opis ich czynności i rozmów

w domu Filipowskiego i Felixa z Szczebrzeszyna, z współczesnego rękopismu wyjęty.

Synod pińczowski 1556 r. Czynności tego synodu. Zjazd i rozmowa Małopolan z Braćmi czeskimi w Lipniku w Morawii. Synod w Książu 1560 r. Rozmowa Małopolan z Braćmi czeskimi w Bużeninie 1561 roku.

Szerzenie się rozmaitych odcieni aryanizmu pomiędzy kalwinami małopolskiemi. Zjazdy i synody ich w celu przytłumienia rozerwań nadaremne. Antytrynitarze odrywają się od nich całkiem. Kalwini małopolscy pozbywszy się antytrynitarzy, organizują się i przemyślają, w celu oparcia się tém skuteczniéj biskupom, o zawarciu unii z lutrami i Braćmi czeskimi. Synod sandomirski 1570 r. Udział w nim kalwinów małopolskich. Losy i dzieje dyssydentów polskich w ogólności, a w szczególności kalwinów małopolskich aż do panowania Stanisława Augusta.

W ostatnim najobszerniejszym rozdziale, podaje autor alfabetyczny spis kościołów wyznania helweckiego w Małéjpolsce. W spisie tym wykazano 230 miejsc, w których były zbory różnowierców: bądź czasowo w kościołach katolikom zabranych, bądź w świątyniach przez nich erygowanych. W podanym spisie owych 230 zborów, kilka istniało w dzisiejszym okręgu Krakowa, $^2/_3$ w królestwie Polskiém, a $^1/_3$ w Galicyi. Czyli w tych tylko miejscach w Król. Pols., które autor wyliczył mieli różnowiercy swe zbory?—nie wiem. O ile jednak z własnego objazdu znam część Galicyi, więcéj tych miejsc wskażę w opisie moich podróży, i o wiadomych autorowi, może nieco więcéj czasem powiedzieć mi się uda. Tu winienem napomknąć, iż rozdział wyliczający zbory jest najmniéj dokładnie opracowanym; szczególnie co do oznaczenia miejscowości. Pytam się, na co się przyda wyliczenie miejsc gdzie były siedziby różnowierców, jeśli czytelnik nie ma ułatwionéj sposobności obejrzenia się na mappie, dla zrozumienia gdzie szerzyli się protestanci, a zatém które okolice ich wpływowi uległy? Autor nie chciał sobie zadać najmniejszego trudu w téj sprawie, i o większéj części wsi wyraża się słowami: „wieś czy też miasteczko jakieś w Małéjpolsce," albo: „w któréj stronie Małéjpolski miejsce tego nazwiska leżało, nie wiadomo mi;" lub też: „w którym Kryłowie, czy nad Bugiem czy nad Dnieprem, nie wiadomo mi;" wreszcie: „jest jakieś miejsce tego nazwiska." i t. d.:—słowem wyczerpał p. Łukaszewicz wszystkie wyrażenia niepewności, jakich język dostarcza. Czyż to tak trudną było rzeczą zajrzéć na mappę i do szematyzmów wsie wyliczających, (gdy geografij szczegółowych nie mamy), aby oznaczyć położenie potrzebnego do zacytowania miejsca i wskazać je wedle dawnych i teraźniejszych podziałów, lub też wedle natury? Przyznam się, że to ciągłe powtarzanie wyrażenia: „nie wiadomo mi" już samo powinno było znudzić autora, i naprowadzić go na tor wiadomości.

Przecież, autorowi tylu szanownych dzieł, a wreszcie tak pracowicie obrobionéj i zkądinąd dokładnie napisanéj książki, jak oto w mowie będąca, łatwo podobne opuszczenie się przebaczyć przychodzi; tém bardziéj, że łatwiéj zapewne mnie (o ile to w zakres méj pracy wejdzie)

lub komu innemu, poprawić tę niepewność orzeczeń miejsc, niż napisać tak pracowite i pożyteczne dzieło, jakiém jest ostatnia praca p. Łukaszewicza, któréjby nie każde siły podołały.

Kraków, dnia 17 listopada 1852 roku. *J. Ł.*

Ocena dzieła pod napisem: Justyniana Instytucyje, *z łacińskiego przełożył* Alexander Cukrowicz O. P. D.— *C. K. prokurator przy Trybunale miasta Krakowa i jego okręgu. Z. professor prawa rzymskiego w uniwersytecie krakowskim. Kraków, nakładem i czcionkami księgarni pod Sową* 1850 *r. w* 16*ce. Str.* 356.

Alexander Cukrowicz, znany tłumacz nader znakomitego i użytecznego *Wykładu prawa cywilnego francuzkiego*, przez *K. S. Zachariae* wydanego, którego przekład doprowadziwszy tylko do działu: o różnych sposobach, któremi się własność utraca, w roku 1845 ogłosił, przerwawszy z wielką dla powszechności stratą dalsze jego wydanie; obdarzył nas znowu wielce użyteczną pracą powyżéj wskazanego przekładu prawa Justyniańskiego, z domieszczeniem w końcu Nowelli 118 i 127, dotyczących nowego porządku dziedziczenia.

Piérwszy to jest w mowie polskiéj przekład cząstki ogromu praw Justyniańskich, będących podstawą tegowiekowych prawodawstw europejskich. Już więc z tego powodu pod ściślejszy rozbiór wziętym być powinien; tém bardziéj, że to dziełko Justyniańskie przeznaczone do pierwotnéj nauki prawa, obejmując oznaczenia i nazwy prawnicze, wskazuje rzymską mowę prawniczą, przejętą pod wielu względami do prawodawstw nowszych.

Ocenę tego przekładu przedsięwziąłem w przekonaniu o wielkiéj wagi użyteczności pracy p. Cukrowicza, tudzież dla wskazania swojskiéj mowy prawniczéj.

Pod trzema głównemi względami zadanie moje uskuteczniam:

1) pod względem wierności przekładu i toku w nim mowy polskiéj;

2) pod względem zatrzymanych przez tłumacza wyrazów prawniczych tegocześnie używanych;

3) pod względem nowo przez niego mniéj więcéj szczęśliwie urobionych.

W każdym zaś razie przywiodę, jakieby wyrażenia i wyrazy prawnicze w polskiéj mowie, nowo urobić można i należało.

CZĘŚĆ I^sza.

Wierność przekładu z pierwotworem i tok w nim mowy polskiéj.

Wzorowo tłumacz wykonał przekład pod względem wierności z pierwotworem i toku mowy polskiéj; nic więcéj do życzenia w ogól-

ności nie pozostaje. Nie trzyma się ściśle toku i wyrażeń łacińskich, ale też od wierności znaczenia i myśli nie odbiega: i dlatego przekład jego nie jest ściśle dosłownym, ani zupełnie dowolnym; środkuje raczéj między ścisłością dosłowną a dowolnością. Tłumacz bowiem uchwyciwszy myśl prawodawcy, oddaje ją właściwym tokiem mowy polskiéj, gładko i zręcznie. Wybornie się też całość czyta. Na dowód przytaczam wyjątki z sprostowaniem niekiedy podług mego uważania.

Znany początek wstępu tak przełożył: „Godność cesarska i sławą oręża uświetniona i potęgą ustaw obwarowana być powinna. Tymto sposobem państwo tak w czasie wojny jak pokoju dobrze będzie rządzone, a władca rzymski nietylko z walk z nieprzyjacielem zwycięzko wychodząc, ale też środkami *ustawliwemi* niegodziwość pieniaczy tłumiąc, może się stać i sumiennym prawa piastunem i wrogów pogromcą".

Dosłowniejszy przekład i odpowiedniejszy tokowi rzymskiemu byłby jędrniejszy i wybitniejszy, a przytém ominęłaby się potrzeba zaczęcia od kropki wyrazami: „Tymto sposobem", których w toku rzymskim nie masz, a które tutaj niedosyć zręcznie przystają; zwłaszcza że uświetniona orężem i obwarowana prawem godność, wystawione są tu przez prawodawcę jako siła potężna i mądrość, najdzielniejsze władcy przymioty, niezbędnie do dzielnego i sprawiedliwego sprawowania władzy potrzebne. Wypadałoby więc może w ten sposób przełożyć:

„Godność cesarską i oręż uświetniać i prawa upotężniać powinny, ażeby tak w czasie wojny jak w czasie pokoju dzielnie władza sprawowaną być mogła, a władca rzymski nietylko z walk z nieprzyjacielem zwycięzko wychodził, ale nadto środkami *prawnemi* niegodziwość *przewrotnych ludzi* tłumiąc, stał się sumiennym prawa piastunem i wrogów pogromcą."

Zamiast: *środki ustawliwe*, powinno być *środki prawne*; o czém później. *Calumniator* zaś nietylko znaczy *pieniacza* w zwykłém naszém rozumieniu, ale w tém miejscu zwłaszcza, *każdego nieprawnie i przewrotnie postępującego.*

Ztémwszystkiém, przekład tłumacza dobrze myśl oddaje, co też właśnie najgłówniejszą jest rzeczą.

Następnie w § 2, tak się tłumacz płynnie wyraża:

„Zaprowadziwszy zupełną zgodność w pomieszanych przedtém *konstytucyjach*, skierowaliśmy pieczołowitość naszą ku niezliczonym zwojom starożytnego prawodawstwa: jakoż rozpaczliwe to przedsięwzięcie, niby głębią morską przebywając, przy łasce nieba jużeśmy do skutku przywiedli".

Tu tylko jeden wyraz *konstytucyja* po polsku oddać było można, o czém później.

Z księgi I, nadpis I, wstęp (1) taki jest przekład znanego oznaczenia sprawiedliwości:

(1) Następujący porządek zachowuję w odniesieniach do miejsc pierwotnika. Rzymska liczba znaczy księgę; pierwsza po niéj liczba zwyczajna zna-

„ Sprawiedliwość jest niewzruszoną i nieustającą wolą *szanowania praw każdego*".

Jus suum cuique tribuere w § 3 przełożył: „*oddawać każdemu co jest jego.* Takiego samego lub przybliżonego wyrażenia można było użyć w powyższém oznaczeniu sprawiedliwości; i byłoby dosłowniéj, a również myśl oddające:

„Sprawiedliwość jest niewzruszoną i nieustającą wolą oddawania każdemu tego, co mu przynależy."

Lecz że szanowanie praw obejmuje w sobie oddawanie co komu przynależy, przeto ostać się może przekład tłumacza, tęż samą myśl wyrażający.

Daléj w tymże nadpisie § 4, tak brzmi przekład:

„Przedmiotem prawa *publicznego* jest *interes* ogólny państwa rzymskiego, *prywatnego* zaś, *interesa* pojedynczych osób. To ostatnie prawo trojakie ma źródło (1): albowiem zasady jego wyczerpnięte są z prawa przyrodzonego, z prawa powszechnego ludów i z prawa *cywilnego*."

Tłumacząc ściślej powinno być raczéj: „Prawo *rządowe* ma na względzie ogólny stan (2) państwa rzymskiego; *pospolite* zaś stosuje się do potrzeb szczególnych osób. To ostatnie składa się z troistych żywiołów: z prawa wrodzonego, z prawa narodów i z praw krajowych."

Tym sposobem pominie się ten zbyt zagęszczony u nas wyraz *interes, interesa*, o którym w swojém miejscu obszerniéj pomówimy, a którego nasz tłumacz, jak się wykaże, dość silnym jest zwolennikiem; odda się wyraz: *publiczny, cywilny*, po swojsku, tudzież *status* przez wybornie odpowiedni nasz wyraz *stan*, oznaczający położenie czyli stanowisko w jakiém się państwo względem innych państw i względem szczególnych osób społeczeństwo składających, tudzież stanowisko osoby względem ogółu ludzkości, społeczeństwa obywatelskiego i rodzinnego znajduje. Zob. niżéj w części trzeciéj oceny I, 14. W takiém rozumieniu użyty wyraz *stan*, stokroć lepszym będzie w tém miejscu niżeli nieszczęsny *interes, interesa*. Wszakże tłumacz użył w tém samém znaczeniu wyrazu stan, w przekładzie dzieła Zachariego.

Daléj 2 w Jus naturale est quod natura omnia animalia docuit, przełożył:

„Prawo *przyrodzone* jest to, z którém *natura obznajmia* wszystkie istoty żyjące".

Lepiéj będzie:

„Prawo *wrodzone* jest to, które *przyroda* wskazała wszystkim istotom żyjącym."

Roda, wszechroda (natura), wszechpotęga twórcza, każdemu stworzeniu przy jego tworzeniu wradza stosowne prawa, podług któ-

czy nadpis, tytułem zwany; *w.* wstęp, a liczba mniejsza zwyczajna po liczbie większéj zwyczajnéj, znaczy szczegół paragrafem zwany i § oznaczony. Będzie zatém np. I 5, *w.* albo 3 — księga piérwsza, nadpis piąty, wstęp albo § 3.

(1) Quod tripartitum est.

(2) Quod ad statum rei romanae spectat.

rych istnieć ma; ta jéj czynność stanowi przyrodę. Odpowiedniejszém przeto będzie: *prawo wrodzone przez przyrodę.*

Źródłem prawa jest wola rozumna, a okoliczność ta, czyją jest wola prawodawcza i do jakiego wyłącznie stosuje się przedmiotu, stanowi różnicę praw.

Jeżeli źródłem prawa jest wola Najwyższéj potęgi wszechmocnotwórczéj, zastosowana do wszechstworzenia łącznie z człowiekiem, wtedy prawo to będzie *prawem wrodzoném, jus naturale.*

Prawo, którego źródłem jest wola Boga, ojca wszech ludów, słowem objawiona, jest *prawem bożém*, zakonem bożym.

Jeżeli źródłem prawa jest wola powszechna z wrodzonego rozumu (nie zaś jak się tłumacz wyraża, z *naturalnego* rozumu) wszystkich ludów wynikająca: wtedy będzie *prawo narodów*, które tłumacz zowie *prawem powszechném ludów, jus gentium.* Jest ono wspólne całemu rodzajowi ludzkiemu, i dlatego też jako wrodzone rodzajowi ludzkiemu niekiedy nazywają je prawnicy rzymscy *jus naturale*, rozumié się *humanum*, prawo wrodzone ludzkie; zob. J. II, I, 41, gdzie jest: jus gentium id est naturale; „albowiem (słowa są tłumacza) powodując się *interesem* lub potrzebą społeczną, ludzie niektóre sobie prawa potworzyli".

nam usu exigente et humanis necessitatibus gentes humanae quaedam (jura) sibi constituerunt;

co dla ominięcia tego zakrzewionego wyrazu *interes*, należałoby tak przełożyć:

„gdyż wedle zachodzącéj potrzeby i społecznéj konieczności, narody ludzkie niektóre prawa sobie postanowiły."

Jeżeli nakoniec źródłem prawa jest wola pewnego narodu albo wola najwyższéj władzy, zastosowana do potrzeb tegoż narodu, wtedy prawo to jest *prawem krajowém, jus civitatis* albo *jus civile*, które tłumacz zowie *prawem cywilném*; lecz które najwłaściwiéj nazwać należy *prawem krajowém*, kiedyś pierwotnie miasta (civitatis) tego, dla którego było nadane, późniéj kraju, państwa. Ztąd prawo państwa rossyjskiego, królestwa polskiego i t. p.

Jeżeli to prawo ma na względzie bezpośrednio zarząd ogółu społeczeństwa w państwo uporządkowanego, urządzenie ogólne dążące do urzeczywistnienia prawnego celu społeczeństwa, wtedy będzie *prawo powszechnego zarządu*, a krócéj: *prawo krajowe rządowe*, podług tłumacza *prawo cywilne publiczne, jus civile publicum.* (1).

Jeżeli zaś prawo krajowe mając na względzie bezpośrednio potrzebę jednostek społecznych, z których się państwo składa, oznacza stan osób i stosunki między jednostkami społecznemi, tudzież stosunek osoby do rzeczy; wtedy będzie prawo krajowe jednostkowo społeczne, które służąc każdéj szczególnéj osobie, tém samém służy wszystkim

(1) Publicum=populicum; zob. Geist des römischen Rechts v. Rudolph Ihering. Lipsk. 1852.

pojedynczo-szczególnym osobom, i dlatego jakoby pospólne nazywam *prawem pospolitém*, a które tłumacz nazwał *prawem cywilném prywatném*. (1).

To prawo jeżeli dotyczy bezpośrednio stosunków jakie pospolicie i ogólnie czyli powszechnie między wszystkiemi bez wyjątku jednostkami zachodzą, będzie *prawem krajowém pospolitém powszechném*, które tłumacz nazwał *ogólném*, snadź dla odróżnienia od nazwanego od siebie prawa powszechnego ludów, które krócéj prawem narodów nazwać za stosowniejsze uważam; gdyż prawo tylko do ludów w narody zjednoczonych stosować się może. Zwykle prawo krajowe pospolite powszechne, nazywają teraz w krótkości *prawem cywilném*, dla odróżnienia go od prawa rządowego, karnego i innego wyjątkowego.

Jeżeli zaś prawo krajowe stosuje się wyłącznie do jakiego stanu odrębnego lub szczególnego przedmiotu, wtedy będzie *prawem krajowém pospolitém szczególném*, jakiém jest *prawo kupieckie*, nieswojsko *handlowém* zwane, skoro mamy dobry swój wyraz od kupić, kupować, kupczyć, kupiec, kupiectwo, kupiecki; tu należy prawo wojskowe, duchowne, leśne i t. p.

Do prawa rządowego zaliczali Rzymianie prawo karne, zowiąc je *jus publicum*. Lecz to prawo trzyma pośrednie miejsce między prawem rządowém a pospolitém; bo mając bezpośrednio wyłącznie na względzie urzeczywistnienie prawnego celu społeczeństwa, stosuje swoje przepisy i dla ogółu państwa i dla jednostek społecznych. Ztąd *delictum publicum*, *privatum*.

A tak mamy:

1) Prawo wrodzone, jus naturale.

2) Prawo narodów, jus gentium.

3) Prawo krajowe, jus civile, jakoto np. prawo narodu rzymskiego albo rzymskie, prawo państwa rossyjskiego, prawo dla królestwa polskiego, francuzkie, niemieckie i t. p. To zaś prawo jest:

1) Rządowe, ogólnego stanu państwa dotyczące, jus publicum;

2) Pospolite, privatum, które znowu dzieli się (2):

a) na prawo powszechne, *jus commune*, teraz wyłącznie cywilném zwane. Ztąd nazwa *Kodex cywilny*. Wyraz bowiem *Codex*

(1) Privatus od privus, singularis, singulus.

(2) Rzymianie jak pod jednym tylko tym wyrazem *civitas* bez żadnego przydatku rozumieli zawsze miasto Rzym, civitas romana, *Roma*, inne zaś jakie miasto oznaczali imiennie np. Athenae, civitas Atheniensium; tak téż i prawo swoje oznaczali wyrazem *civile* tylko, bez dodatku *romanum*. *Jus civile* przeto znaczyło prawo krajowe rzymskie, albo prawo rzymskie. Innego zaś miasta lub państwa prawo, oznaczali nazwą miasta tego lub narodu np *jus Atheniensium* i t. p. Moglibyśmy ich w téj mierze naśladować i odnosząc się do tutejszego krajowego prawa, mówić: prawo krajowe, prawo nasze, tutejszo-krajowe; inne zaś prawa, nazwą narodu lub państwa oznaczać, jakoto: prawo francuzkie i t. p. Lecz nadpis prawa, księgi prawa kodexem zwanéj, musi wyrażać nazwę krajową jakoto: *księga prawa polskiego*, albo *prawo polskie*, lub dla królestwa polskiego *powszechne*, *rządowe*, karne, kupieckie: prawo postępowania dla królestwa polskiego powszechne, karne i t. p.

oznaczał w Rzymie księgę postanowień cesarskich. Moglibyśmy zatém w miejsce wyrazu *Kodex* oznaczyć ściśle naukowo nadpisem: Księga prawa pospolitego powszechnego dla królestwa np. francuzkiego, polskiego i t. p.; albo też przez skrócenie: Księga prawa powszechnego dla królestwa polskiego; a jeszcze krócéj: *prawo powszechne królestwa polskiego.*

Krótka ta nazwa prawa, najpowszechniejsze ogólne stosunki prawne między wszystkiemi bez wyjątku krajowcami urządzającego, a przeto najrozciąglejszego, będzie nazwą rodzajową. Dopiéro gdy wypadnie oznaczyć odróżniające się od tego rodzajowego prawa szczególne jakie, bo szczególnego przedmiotu dotyczące lub wyjątkowe prawo; wtedy tę właśnie szczególność i wyjątkowość odznaczymy stosownym przymiotnikiem, jakoto np. prawo rossyjskie rządowe, karne, kupieckie, leśne, postępowania i t. p. A tak nadpis: *prawo powszechne rossyjskie*, albo *polskie*, lub *prawo powszechne dla królestwa polskiego* należycie zastąpi teraźniejszą nazwę: *prawo cywilne.*

I trybunał cywilny znaczy ściśle, dosłownie: sąd krajowy, tojest: do spraw w ogólności krajowych, a mianowicie do spraw prawa powszechnego. Najodpowiedniejszém przeto w miejsce wyrażenia: Trybunał cywilny, byłby: *Sąd powszechny* albo *zwyczajny* np. gubernii warszawskiéj w Warszawie i t. p. Odróżni się od niego sąd do spraw wyjątkowych, więc już nie zwyczajnych, jakim jest sąd kupiecki, karny i t. p.

b) Na prawo szczególne, jakiém jest np. kupieckie, karne, postępowania powszechnego, karnego i t. p. jak się dopiéro powyżéj rzekło.

Niepotrzebnie przeto zdaniem mojém użył tłumacz wyrażeń rzymskich z zakończeniem polskiém, skoro mamy dostateczne swojskie. Raz jednakże II, 11, 3, użył wyrażenia: *prawo pospolite wszystkich obywateli rzymskich*, tłumacząc: *jus commune omnium civium romanorum.* W tém miejscu, gdzie prawodawca, wojskowym nie stojącym w obozie, każe się stosować do przepisów prawa powszechnego w sporządzeniu ostatniéj woli, tak się tłumacz wyraża: „Wojskowi niestojący w obozie, chcąc zrobić testament, winni się zastosować do prawa pospolitego wszystkich obywateli rzymskich". Jestto właśnie prawo powszechne, teraz cywilném zwane.

Wprawdzie Rzymianie używali także wyrażenia *jus civile* dla odróżnienia go od *jus praetorium* od *senatus consultum*, a to z powodu źródła z ktorego pierwotnie pochodziło, tojest: z woli obywateli głosujących; gdy tymczasem prawo pretorskie wypływało z woli pretora, *senatus consultum* z woli senatu, tak jak *constitutio* z woli panującego. Ale to bynajmniéj nie przeszkadza, dlaczegoby *jus vivile* nie miało oznaczać prawa krajowego w ogólności, które się składa z różnych krajowych ustaw, jakiemi były: *leges, plebiscita, edicta, senatus consulta, constitutiones.*

Jak dalece tłumacz czasami dowolnie a dobrze myśl oddaje, przytaczam:

ks. I, 2, 1 przy końcu, gdzie wykazawszy prawodawca, że lud rzymski częścią swoje własne, częścią wspólne z wszystkiemi ludami ma prawo, tak rzecz zakończa: quae singula qualia sunt, suis locis proponemus,

co tłumacz w ten sposób przełożył:

„tę jego różnorodność zawsze przy podanéj sposobności wyświecać będziemy."

Daléj oznaczając niewolę, tak się wyraża:

„Niewola jest *instytucyją* prawa powszechnego ludów, w moc któréj człowiek acz przeciw *naturze*, staje się panem drugiego."

Wierniéj byłoby: Niewola wypływa z ustawy prawa narodów (bo tu *constitutio* stoi zamiast *lex*), w moc któréj człowiek przeciw wrodzonemu prawu staje się własnością drugiego: (contra naturam subijcitur).

Przekład ten więcéj zbliżony do pierwotworu, odrzuca rzymski wyraz *instytucyja* i *natura*.

Następnie 5 *w.* tak zręcznie przełożył: „Lecz gdy prawo powszechne ludów niewolę i jéj gwałty zaprowadziło, nastało też i dobrodziejstwo *manumissyi*, (lepiéj *wyzwolenia*, zwłaszcza, że wyrażenie tego nadpisu jest: o wyzwoleńcach, i zaraz niżéj użył tłumacz wyrazu *wyzwolenie*). Pierwiastkowo wszystkim służyła jedna przyrodzona nazwa ludzi, dopiéro z prawa powszechnego ludów wywiązał się podział ich na trzy rodzaje".

W ks. 1, 8 *w.* w następujący sposób wybornie oddał:

„Obywatele rzymscy zawierają między sobą prawne śluby, gdy się łączą według przepisów ustaw (lepiéj byłoby prawa, zob. niżéj), t. j. kiedy tak mężczyzna jak kobieta dojrzali są do małżeństwa, czy są ojcami *familii*, czy też synami *familii* (zamiast *familia* lepiéj rodzina).

„Wszakże jeśli są synami *familii* powinni mieć zezwolenie wstępnych, pod których władzą zostają. Potrzebę tego przepisu i *naturalny rozsądek* (lepiéj *zdrowy rozsądek*, zob. niżéj) i widoki prawa cywilnego (krajowego) wskazują; zezwolenie ojca *familii* winno nawet śluby poprzedzać".

Przy końcu wstępu nadpisu 22 ks. I zaszła pomyłka zapewne druku i zamiast:

„*po skończonym czternastym roku* poczytuje kobiety za dojrzałe do małżeństwa";

powinno być: po skończeniu dwunastym roku. Tak jest w pierwotworze i o tém wiadomo.

Odsyłam w dalszym ciągu I księgi czytelnika, do porównania przekładu z pierwotworem nadpisu 23_6, 24_1, lecz nie mogę pominąć zręcznego przekładu ostatniego ustępu w nadpisie 25, w którym prawodawca mówi o ilości własnych dzieci wymawiających od przyjęcia opieki.

„Zachodziła wszakże wątpliwość co do tych (dzieci,) które na wojnie poginęły: rozwiązano ją stanowczo w ten sposób, że te tylko

liczyć należy, które w szeregach giną; sława bowiem unieśmiertelnia tych, którzy polegli"....

Z księgi ligiéj przytaczam 1 wstęp:

„W poprzedzającéj księdze wyłuszczyliśmy prawo osobowe; teraz zaś przychodzi nam zastanowić się nad rzeczami, które albo wchodzą w obręb naszego mienia, albo poza tym obrębem znajdują się (1). Z tych jedne gwoli prawa przyrodzonego wspólne są wszystkim, inne są publiczne (lepiéj powszechne), inne należą do pewnéj *korporacyi* (lepiéj jak jest w nawiasie, *zgromadzenia*, co odpowiada *universitati*), inne znowu są niczyje, inne nakoniec należą po większéj części do osób pojedynczych; nabywają się zaś różnemi sposobami, jako niżéj zobaczymy".

W ust. 1 tegoż nadpisu wskazując prawodawca jakie to rzeczy są wspólne, między innemi wyraża się: że przystęp do brzegów morskich nikomu nie jest wzbroniony, byleby tylko nie naruszać *villæ*. Tłumacz oddał ten wyraz przez *pomieszkanie*, ale to nie odpowiada właściwemu znaczeniu *villa*, i powinno być: *zabudowania wiejskie*, bo takie ma istotne znaczenie *villa*.

Ostatni ustęp tegoż nadpisu tak przełożył tłumacz:

„Wypada nam zacząć od prawa dawniejszego, a takiém jest oczywiście prawo przyrodzone, które *natura* (tu wybornym wyrazem jest *wszechroda* albo *roda*, o którym zob. Bibl. War. lipiec, 1852, str. 140) wraz z rodzajem ludzkim stworzyła".

Następnie § 12 daleko od toku i dosłowności, ale wybornie przełożył, przedmiot dotyczący nabywania własności przez zajęcie:

„Każde zwierzę które ułowisz, dopóty jest twojém, dopóki jedzierżysz w swojéj mocy; lecz jeżeli ci uleciało i naturalną (lepiéj wrodzoną) wolność swoją odzyskało, przestaje być twojém i należyć będzie do nowego zawłaszczyciela."

Również ostatni § 27:

„Rozstrzygniono, że toż samo prawidło i wtedy ma zastosowanie, gdy pomieszanie bądź jednostajnych, bądź różnorodnych *substancyj* (lepiéj *rzeczy*), jest skutkiem przypadku nie zaś woli właścicieli."

Wreszcie § 17 przy końcu:

„Podobnie rzecz się ma, gdy kto zapisuje grunt we wszystko co potrzeba zaopatrzony albo z *przyborem* czyli *zaopatrzeniem*, gdyż przez pozbycie gruntu i zapis *przyboru gruntowego* gaśnie."

Fundus znaczy rolą z zabudowaniami gospodarskiemi, jakby podług teraźniejszego wyrażenia folwark; zaś *instructus*, zaopatrzony w bydło i sprzęty gospodarskie, co nazywają teraz *inwentarzem*, tojest to, co się znajduje na gruncie, czyli na roli. Więc dobrze będzie, gdy kto zapisuje rolne gospodarstwo z przyborem gospodarskim.

(1) In nostro patrimonio; extra patrimonium.

W KSIĘDZE IIIciéj

Nadpis I.

O dziedzictwach beztestamentowych.

(lepiéj nierozporządzonych).

I. § 11. Rozróżniając prawodawca prawa dzieci rodzonych (tłumacz zowie je *naturalne*) od przyswojonych (przysposobionemi zwanych), tak się wyraża:

Et recte, naturalia enim jura, civilis *ratio* perimere non potest; nec quia desinunt sui haeredes esse, possunt desini filii filiaeve aut nepotes nepotesve esse.

Tłumacz przełożył to w ten sposób:

„Rozróżnienie to jest uzasadnione, albowiem *ustawa cywilna nie może niweczyć praw przyrodzonych*; można utracić przymiot dziedzica swojego, ale ztąd nie wynika, żeby można było utracić przymiot syna, córki, wnuka lub wnuczki."

Powinno być: „albowiem względy ustaw krajowych, nie mogą niweczyć prawa wrodzonego;"

ratio bowiem, jest ową przyczyną dla któréj ustawa powstała: *ratio legis*.

W § 15. Wykazując prawodawca starożytne prawo nadające pierwszeństwo do spadku wnukom i wnuczkom z linii męzkiéj, przed wnukami i wnuczkami z linii żeńskiéj, tak się daléj wyraża:

Divi autem principes non passi sunt talem contra naturam injuriam sine competenti emendatione relinquere.

Co tak tłumacz zręcznie przełożył:

„Nieścierpieli cesarze, aby takie pogwałcenie naturalnéj (lepiéj wrodzonéj) słuszności bez stosownéj poprawy pozostać miało."

Odsyłając czytelnika do porównania zręcznego przekładu z pierwotworem § 3, nadp. 2 ks. 3, tudzież § 2, nadp. 9, w którym mowa jest o pretorskiém posiadaniu dóbr, przystępuję do nadpisu 13, zaczynającego przedmiot o zobowiązaniach.

Znane oznaczenie zobowiązania, tak tłumacz przełożył odpowiednio:

„Zobowiązanie jestto stosunek prawny (1), który, podług przepisów naszego prawa cywilnego, (lepiéj, podług praw naszego państwa) zniewala nas do zapłacenia jakowéj rzeczy."

2. „Zobowiązania wypływają albo z *kontraktu*, albo *jak z kontraktu*, albo z występku, albo *jak z występku*."

Dlaczego tłumacz używa wszędzie *kontrakt* zamiast *umowa*?

Contractus pochodzi od *trahere* ciągnąć, *contrahere* zaciągnąć, i odpowiada owemu *vinculum* użytemu w oznaczeniu zobowiązania. I my odpowiednio wyrazowi *obligatio* mówimy *zobowiązanie*, mamy:

(1) Vinculum juris.

zobowiązany, zobowiązać się, zaciągnąć zobowiązanie, zaciągnięte, zawarte zobowiązanie; co właśnie odpowiada rzymskiemu *contractus*, który się zaciąga za pomocą wyraźnéj albo domyślnéj zobopólnéj zgody. Tę my zowiemy pięknym wyrazem *umowa*, jakim Rzymianie poszczycić się nie mogą; ich pierwotne pojęcie zobowiązania z innego wychodzi stanowiska (1).

Jak prawa, tak i zobowiązania źródłem jest wola; a okoliczność: czyja jest wola, jak objawiona stanowczo, i do jakiego przedmiotu zastosowana, tworzy różne rodzaje i gatunki zobowiązania.

Jeżeli źródłem zobowiązania jest wola ustawy czyli prawa, wtedy będzie zobowiązanie prawne; jeżeli wola pretora, będzie pretorskie podług pojęć rzymskich; jeżeli wola rozporządzającego spadkodawcy, będzie zobowiązanie z rozporządzenia wypływające; jeżeli nakoniec wola zobopolna stron umawiających się, czy wyraźna, mową objawiona, czy domyślna, będzie zobowiązanie umowne.

Jak prawa, tak też i zobowiązania postacią (formą) jest słowo prawą, słowo rozporządzającego, słowo zgadzających się na obowiązek. Mowa zatém jest środkiem za pomocą którego zobowiązania wyrażają się. Dobrze więc zowiemy zobowiązanie za pomocą wzajemnéj mowy ułożone, umową. Albowiem *u* dodane na początku wyrazu, wzmacnia go, oznacza dokonanie, stanowczość: spać, uśpić, robić, urobić, jechać, ujechać, twierdzić, utwierdzić, mówić, umówić, następnie mowa, umowa.

Umowa zawiera się przeto za pośrednictwem zobopólnéj mowy, i wtedy wyrażamy się: zawrzéć umowę, umowa zawartą została. Co za piękne i doskonałe wyrażenie!

Taka dopiéro umowa wyraźna, jest podług rzymskiéj nauki, imienna, bezimienna, rzeczowa, słowna, piśmienna, z zezwolenia albo ugodliwa. Domyślna zaś zowie się *quasi contractus*, jakoby umowa, wypływająca niby z umowy, z przestępstwa i niby z przestępstwa.

Używajmy przeto w miejsce rzymskiego *contractus*, kontrakt, śmiało naszego pięknego i doskonale rzecz przedstawiającego wyrazu *umowa*, która zawsze musi być ustną, zanim na piśmie dla pewniejszego dowodu skreśloną zostanie; pismo bowiem stanowi tylko dowód ustnéj umowy. I dlatego mówimy: umowa sporządzona, rozumié się na piśmie; umowa zawarta, rozumié się ustnie. Mówi się także, zaciągnąć zobowiązanie.

Wprawdzie znane są jeszcze rzymskie nazwy: *conventio*, *pactio* czyli *pactum*, *compromissum*, *transactio*. Ale to nie są jeszcze umowy, lecz układy, które nie pociągają za sobą obowiązku dania, czynienia lub nieczynienia, wyjąwszy gdy są dodatkowemi do głównéj umowy lub załatwiającemi; i tak:

Conventio jestto ogólne wyrażenie oznaczające *układ* [illegible] tego co ma stanowić umowę, i dlatego nie daje żadne[illegible]szcze w ogólności powództwa. Zowie się niekiedy *pactio*[illegible]*um*, co oznacza także dodatkowy układ do głównéj umow[illegible] a wtedy z zasady accessorium sequi*dotalia*, o hypotekę, o zarec[illegible]

(1) Zob. [illegible] przytoczone dzieło Iheringa.

tus suum principale, o tyle tylko daje powództwo, o ile umowa główna stoi w swéj mocy.

Compromissum znaczy dosłownie zobopólna obietnica; jest także *conventio* albo *pactum*, a zatém układ mocą którego strony zwaśnione poddają spór pod sąd trzeciego. Taki układ nie daje powództwa o dotrzymanie układu, ale gdy obrany sędzia przyjmie rozstrzygnięcie sporu, może wydać wyrok na jednostronne przedstawienie. Nazwać go można układem o sąd polubowny, albo polubownictwem; dawniéj nazywał się *rozejm*.

Transactio jest również *conventio* albo *pactio*, układ, mocą którego strony zwaśnione zgodę same między sobą robią i kończą spór same między sobą; dlatego nazwaćby go należało *ugodą*. Ta daje powództwo, ale tylko o dotrzymanie tego, co było przyrzeczone dla zakończenia sporu; albo daje zarzut przeciw powództwu w sprawie zagodzonéj, że się już ugodą od sporu odstąpiło. Nazwać go należy ugodą spór kończącą albo ugodą załatwiającą. Układ pojednawczy tu należy, który trzyma miejsce między układem o sąd polubowny, a ugodą.

Sąto więc nazwy, które oznaczają układy: albo jeszcze niedoszłe, albo dodatkowe i zabezpieczające, albo spór zakończające przez osoby trzecie lub przez same strony. A tak w miejsce wyrazu *kontrakt* używając naszego wyrazu *umowa*, będziemy mieli umowę kupna, najmu, pożyczki i t. d.

Początek nadp. 24 o najmie, niedosyć szczęśliwie wysłowiony.

Najm zbliża się bardzo do kupna, sprzedaży, i podług tych samych zawiera się prawideł. Jako bowiem *bytuje kontrakt* kupna, sprzedaży, gdy się umówiono o cenę, tak też *bytuje kontrakt* najmu, jak skoro czynsz umówionym został; wynajemcy służy skarga locati (z wynajmu); najmobiercy zaś conducti (z najmobierstwa).

Powinno być: „Najm zbliża się bardzo do kupna (1) i na tych samych zasadza się prawidłach. Jak bowiem kupno wtedy już jest zawartém, skoro się ułożono o cenę; tak też i najm za umowę zawartą uznać należy, gdy *najemne* ustanowioném zostało. Wynajemnikowi służy powództwo wynajmu, najmobiercy zaś powództwo najmobierstwa."

Przez to uniknie się słowa *bytuje* nieużywanego i niemogącego się upowszechnić. *Wynajemca* tak jak *zastawca* urobiony z wyrazu *wynajem*, jakiego użył tłumacz w ks. IV, 6, 17 na oznaczenie czynności puszczenia w najm rzeczy lub pracy, tudzież *najmobierca* tak jak *spadkobierca*, mogą się ostać, chociaż w miejsce *wynajemca* można by mówić *wynajemnik*, skoro nazywamy *najemnikiem* tego, kto pracę [illegible] pieniądze wynajmuje; albo *wynajmiciel* tak jak *wierzyciel*, swoję za [illegible] tylko do użycia za pieniądze. Wyrazów tych bo on daje rzecz, [illegible] oznaczenia najmujących i wynajmują- użyć tylko można do ogólnego.

(1) Zbytecznie jest pisać kupno,—sprzedaż, bo gdzie kupno, tam sprzedaż, gdzie sprzedaż, tam kupno i jedno bez drugiego obejść się nie może; a jak tak *emtio venditio* łacińskie *locatio, conductio* wyrażamy jednym wyrazem *najm*, tak trzecią Oceny dostatecznie przez kupno wyrażać możemy; o czém zob. część [illegible] pod wyrazem kupno.

płaty, staje się najmem. I w ogóle mówiąc, ilekroć kto podejmuje się wyświadczyć darmo przysługę, mocnictwo lub skład stanowić mogącą, tylekroć byt zapłaty (lepiéj pośredniczącą zapłatę) przeobraża takową czynność w *kontrakt* najmu, lepiéj w umowę najmu albo w najm). A zatém jeśli kto daje czyścicielowi (lepiéj plamiarzowi, gdyż czyściciel ma już inne najnieprzyjemniejsze zatrudnienie) suknię do odświeżenia i przyrządzenia, lub krawcowi do naprawy, nie oznaczając i nie przyrzekając żadnéj zapłaty, będzie miała miejsce skarga z mocnictwa (p. t. powództwo pełnomocnictwa)."

W końcu przywodzę jeszcze wstęp nadpisu 6 ks. IV o skargach.

„Pozostaje nam mówić o skargach (lepiéj o zażaleniach; zob. niżéj). *Skarga (actio) nie jest co innego, jak tylko prawo poszukiwania w sądzie swojéj należytości.*"

Dla pominięcia „*co innego, jak tylko*" nie stosującego się dobrze do naszéj mowy, lepiéj byłoby i krócéj:

Zażaleniem jest prawo poszukiwania w sądzie należytości swojéj.

Odsyłając zresztą czytelników do porównawczego z pierwotworem odczytania przekładu, dla przekonania się o pięknym przez tłumacza użytym toku mowy polskiéj, połączonym z stosownem oddaniem myśli prawodawcy, przystąpię do drugiéj części oceny.

ROZMAITOŚCI.

Obchód uroczystości Bożego Ciała w Warszawie w XVII i XVIII wieku.

Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie nieba!
Pod przymiotami ukryty chleba.
Zagrody nasze widzieć wychodzi
I jak się dzieciom Jego powodzi.

Karpiński.

Ze wszystkich obrzędów kościoła rzymsko-katolickiego, jakie za obrębem świątyń Pańskich zwykły się były odbywać, żaden tyle wzniosłéj powagi i tryumfu religii chrześciańskiéj nie okazuje, co pochód majestatyczny Bożego Ciała (1). Obrządki religijne téj wielkiéj uroczystości, nam w puściznie od pradziadów przekazane, nie uległy żadnéj do dzisiejszych czasów zmianie; forma tylko zewnętrzna im towarzysząca, jako będąca objawem ducha czasu, stosownie do okoliczności musiała uledz zmianom rozmaitym. Wykazanie więc tych odmian, jakie w Warszawie w wieku XVII i XVIII nas poprzedzały, przedsiębierzemy czytelnikom przedstawić.

Bogobojnością zdawna odznaczająca się siedziba królów polskich, krociowemi uczynkami i ogromem ducha miłosiernego, tę staropolską cnotę w wieloraki sposób przez swych mieszkańców okazywała. Najczystsza miłość bliźniego, obok najwyższéj czci Boga, piętnowała wszelakie uczynki obywateli stołecznego grodu Warszawy. Jak piérwsza była rozciągłą, pozostawiamy sobie dalszemu czasowi do skreślenia; o ile druga była okazywaną, obecnie przedstawiamy.

(1) Uroczystość Bożego Ciała obchodzono po raz piérwszy w r. 1246 w Leodium w Belgii; następnie w r. 1264 papież Urban IV rozciągnął ją do całego chrześciaństwa. Jego bulla jednak z powodu ciągłych wojen nie weszła w wykonanie, dopiéro jeden z następców jego, Klemens V, na soborze w Wiennie we Francyi r. 1311 kazał ją przywieść do skutku i odtąd zaczęto obchodzić w całém chrześciaństwie. Następca tegoż Jan XXII († 1334) przydał do téj uroczystości oktawę i processye.

Magistrat jako zbiór obywateli i grono najznakomitszych mieszkańców Warszawy, którzy posługi swe dla dobra ogółu darmo i chętnie poświęcali, o ile najdawniejsze ślady piśmienne przekonywają, szczególną pieczołowitością o chwałę najwyższą Stwórcy zawsze odznaczał się. Nie było żadnéj z większych uroczystości religijnych, bądź co do erekcyi kościołów, bądź téż co do kanonizacyi świętych, lub przy zakładaniu ołtarzy w różnych świątyniach, a nawet przy odbywaniu znaczniejszych primicyj kościelnych; gdzieby władza ta, już w zupełném zebraniu, lub przez pojedynczych członków, nie wpływała swoją powagą na ich uwiecznienie. Liczne podarunki, zapisy, testamenta, legata, biesiady, jakie w aktach miejskich po mnogich kartach widziéć się dają, stanowią wieczne piętna szczególnéj troskliwości magistratu o chwałę Pana Zastępów.—Kiedy zaś w pojedynczych zdarzeniach to miało miejsce, cóż mówić o uroczystościach największych chrystyanizmu? Nie było Bożego Narodzenia, nie przebyto Wielkiejnocy, nie obchodzono Zielonych Świątek, jak przy wszelakich oznakach zewnętrznej radości, jakie tylko w mocy człowieka na chwałę Boga mogą być najwyżéj okazane. Obręb jednak murów świątyń Pańskich, z przyrody swéj tamując wśród tych wielkich uroczystości obszar ducha i ilość spieszących mieszkańców z oddaniem najwyższéj czci, nie dozwalał i władzy miasta wszystkich środków rozwijać, do największych uwielbień Boga przez zewnętrzne oznaki. Jedyna uroczystość, gdzie magistrat mógł był wielkość swych chęci, na uwielbienie Stwórcy zewnętrznie objawić, był tylko obchód Bożego Ciała.

Panowanie żarliwego króla Zygmunta IIIgo, głównie za wpływem Jezuitów odznaczające się, co do pomnożonych nadzwyczaj form zewnętrznych nauki Chrystusa, bezpośrednio także wpłynęło na zwiększenie tychże w całym kraju, we wszelkich uroczystościach kościelnych i religijnych (1). Warszawa pierwsze piśmienne zabytki co do obchodu Bożego Ciała przedstawia od r. 1604 do 1617 w sposobie następującym: za zbliżeniem się czasu téj uroczystości, magistrat starego grodu wcześniéj przed tygodniem zajmował się zaprowadzeniem czystości i porządku miasta; liczne kanały i ścieki, mniéj brukowane ulice, wymagały tém większéj troskliwości i kosztów. Do téj czyn-

(1) Między środkami, jakich Jezuici sprowadzeni do Polski r. 1565 wynajdowali, aby ogarnąć w całym kraju oświatę, dla władania podług swéj woli giętkiemi umysłami, zwłaszcza młodych latorośli, dzieje oprócz wielu innych podają nam wymyślony przez nich sposób obchodu Bożego Ciała w Wilnie, nowością odznaczający się. Przytaczamy go dosłownie z wysokiéj wartości dzieła J. I. Kraszewskiego „Opisu dziejowego Wilna", skreślonego w tym ustępie w tych słowach: (t. I str. 304). W tym roku (1586) pierwsza przez Jezuitów odprawiona processya Bożego Ciała, godna jest wspomnienia dla obrzędów dotąd niewidzianych i tak teatralnych, że ją chyba do dawnych hiszpańskich a missyonarskich w Ameryce porównać można. Zebrana była młodzież ze szkół jezuickich wytwornie i różnobarwnie poubierana; każdy niósł w ręku gorejącą pochodnię; dzielili się na 4 orszaki. Jeden z nich śpiewał pieśni nową muzyką i słowy nowemi, pisze historyk zakonu, a w Wilnie dotąd niesłychanemi. Daléj parami szli uczniowie skromnie, równo, spokojnie, ze spuszczonemi oczyma. Po obu stronach drogi tłum widzów i pobożnych się ci-

ności przyjmowała rzeczona władza pewną liczbę robotników, skupywała drzewo w deskach i dyłach z Nieporęta do pokrywania ścieków, i ugadzała wozy stosowne do wywożenia i uprzątania błotnistych miejsc. Posiadamy piśmienne dowody, że w r. 1604 na 140 wywożeniach, pracę tę uskuteczniono. Następnie magistrat zajmował się przyrządzeniem i czystością dział i hakownic, do wystrzałów w czasie pochodu samejże processyi; hakownice czyszczono oliwą, a przygotowane już wytaczano na czas naznaczony z rynku staromiejskiego, gdzie w osobnéj oparkanionéj szopie z domkiem zwykle naówczas zostawały. Skoro nadszedł sam dzień uroczysty, całe duchowieństwo miasta zbierało się do kościoła kollegiaty św. Jana, zkąd orszak processyjny przy asystencyi króla i najznakomitszych panów, aż do kościoła Najś. P. Maryi postępował. Huk dział, odgłos wszystkich świątyń dzwonów, łoskot bębnów milicyi miejskiéj, grzmot kotłów, wrzask królewskich trębaczy, wtorowały naprzemian śpiewom pobożnego ludu. Żołnierze miejscy przybrani w zbrojach, najstaranniéj oczyszczonych, utrzymywali należyty porządek; chorągwie miejskie przyozdobione w najświetniejsze wieńce, niesione przez proporczników, bębny przystrojone takiemiż ozdobami, wszystko kosztem miasta, świadczyły o najlepszych chęciach władzy w utrzymaniu godności uroczego dnia, tak ważnego dla katolików. Miejsca błotniste, któremi orszak postępował, wysłane były murawą; suche zaś drogi tatarakiem i innemi woniejącemi ziołami. Po skończonéj uroczystości, miasto udzielało stosowną kontentacyą puszkarzom za prace podjęte w czasie processyi; trębacze zaś królewscy, w piérwszym dniu i przez całą oktawę Bożego Ciała, do właściwéj czynności użyci, sowicie przez magistrat bywali wynagradzani. Dowody urzędowe upewniają nas, że w r. 1604 do wystrzałów wśród pochodu wyszło 3 beczułki prochu po 48 groszy ówczesnych, nie licząc w to 3 funty po gr. 8 ówczesnych do podsypki.

W r. 1656, kiedy Warszawa zdobyta poprzednio orężem Szwedów, w nieszczęsném ich posiadaniu zostawała, a Jan Kazimiérz po zebraniu wszelkich wojsk z pospolitém ruszeniem około 100,000 wynoszących, podstąpił pod nią, aby wydrzéć z przemocy nieprzyjacielskiéj; król w tak ważnych dla siebie chwilach dla pozyskania błogosławieństwa Pana Zastępów, wybrał sam dzień Bożego Ciała, po skończeniu zwykłego nabożeństwa, na uskutecznienie zdobywczego szturmu. Jemiołowski w pamiętniku spółczesnym takie nam szczegóły

snął. W środku wysoki krzyż niesiono ozdobiony złotem i błyskotkami, za nim inne znaki męki Pańskiéj. Każdy orszak miał swoje znaczenie w processyi. Jedni poubierani byli za świętych proroków, przed tymi niesiono włosiennice i włócznie. Inni biało poubierani w długich sukniach, wystawiali pokutujących; inni jeszcze aniołów ze skrzydłami sadzonemi złotem i kamieniami. Ci, mówi ciągle kronikarz zakonu, szli tak spokojnie i łagodnie, iżbyś rzekł, że to były ruszające się obrazy. Mnóstwo ludu zbiegło się patrzéć na tę osobliwszą processyą. Katolicy przez nabożeństwo, różnowiercy zaś: Tatarzy, żydzi z żonami i dziećmi dla zobaczenia nadzwyczajnéj nowości." Pamiętniki spółczesne dostarczają nam także podobnych szczegółów co do obchodu Bożego Ciała w saméj stolicy miasta Krakowa, gdzie Jezuici wysilali się wynajdywać podobne nowości dla zwabienia młodzieży pod swe sztandary.

tego obchodu podaje (str. 99): „Kiedy mury warszawskie od piechoty i armaty Kazimiérzowéj rozłożone (nadwerężone) były i piechota porządkiem dobrym uszykowana, z trzydziestą dział do miasta szturmowała, król wziąwszy najpiérwéj błogosławieństwo od Boga, niżeli tę expugnacyą zaczął, w dzień Bożego Ciała wszystkiemu wojsku w szerokiém polu we dwa szeregi stanąć kazał, a w solennéj processyi, którą Tulibowski biskup poznański, nosząc Przenajświętszy Sakrament w ręku odprawował, sam piechotą ze wszystkiemi biskupami i senatorami, ze wszystkiém duchowieństwem środkiem wojsk szedł, które chorągwie swe na ziemię schylały i sami wszyscy żebrząc łaski Bożéj na ziemię na twarz upadali. Takowe tedy Bogu Najwyższemu oddawszy supplikacye, dopiéro do szturmu rzucili się, a przez cały miesiąc czerwiec bez przestanku z dział do miasta bijąc, granaty, kule ogniste rzucając, gdy wielkie w Szwedach wycieczkami wypadających czynią szkody, żadnego skutku jednak swéj intencyi nie otrzymują, aż nakoniec w wilią Najświętszéj Panny Nawiedzenia (d. 2 lipca) z dział osobliwie burzących, z jednego wielkiego *smokiem* nazwanego, węgieł pałacu Radziejowskiego niemały wybito i dziurę wielką uczyniono, w którą ochotnik rozmaity z ciurów, woźnic i innéj drobniejszéj czeladzi skupionéj, za otrąbieniem ochotą do pałacu wpadli, Szwedów tam będących nasiekli, drugich do klasztoru bernardyńskiego napędzili (1).

Rok 1668 tyle pamiętny w dziejach polskich, smutnym, dotąd niewidzialnym obrzędem, złożenia korony przez Jana Kazimiérza, ostatniego potomka krwi Jagiellońskiéj po kądzieli, przedstawia nam także ostatnie chwile tego nieszczęśliwego monarchy w Warszawie, w uroczystości Bożego Ciała. Spółczesny i naoczny wiarogodny świadek, Jan Antoni Chrapowicki wojewoda witebski, takie nam o tém szczegóły pozostawił w swoim dyaryuszu (2): „Dnia 31 maja, w Boże Ciało, Król Jegomość był *publice* u św. Jana, a potém pieszo u P. Maryi, nazad go niesiono (w lektyce). Pogoda najpiękniejsza i ciepło, sprzyjały w dniu tymże spomnionéj uroczystości. D. 3 czerwca w niedzielę, Król Jegomość obchodził *personaliter* ołtarzów cztery od św. Krzyża do zamku, gdzie był ostatni ołtarz w kaplicy. Co do stanu powietrza, z rana było chłodno, potém parno; gdy zaś processya z zamku powracała, wicher i dészcz z gradem powstał i piorun w dom mieszkania J. P. Sapiehy stolnika litewskiego uderzył, zkąd kominem wyleciawszy, p. Niesykę osmalił i ząb jeden wytrącił, ale nie zabił, lecz niedługo to było. W oktawę Bożego Ciała zrana, sądziliśmy, pisze Chrapowicki, jednę tylo sprawę, dla processyi na któréj byliśmy: ta jeno była po kościele w przytomności Jego Królewskiéj Mości i nowo

(1) Z tego spółczesnego pamiętnika nowy dowód bardzo oczywisty przybył do dziejów Warszawy, że pałac Radziejowskiego był w tém miejscu, gdzie dziś jest dworzec pod nr. 369 i Towarzystwo Dobroczynności, nie zaś, jak upierał się zmarły niedawno Stanisław Lisowski, pod nr. 451.

(2) Dyaryusz ten wydrukowany tylko został do włącznie r. 1672, w Warszawie, w 8ce, r. 1845. Wedle jednak zapewnień niedawno w pismach umieszczonych, dyaryusz rzeczony z lat następnych ma być drukiem ogłoszony.

przybyłego papiezkiego legata; po południu też, jednę sprawę odsądziliśmy, dla processyi także po kościele w przytomności Jego Królewskiéj Mości."

Ze wszystkich lat następnych w wieku XVIIym i XVIIIym, rok 1669 szczególną okazałością odznaczył się w Warszawie, przez majestatyczny obchód uroczystości Bożego Ciała. Byłto bowiem następny dzień (20 czerwca) po nadzwykłym i od wszystkich niespodziewanym obiorze króla polskiego Michała Wiśniowieckiego, kiedy cały naród pod Wolą na polu elekcyjném zebrany, gdy wszyscy dygnitarze państwa, cały senat i stan rycerski, wszyscy posłowie zagraniczni, przebywali na błoniach lub w saméj siedzibie królów polskich. Zdumieni mieszkańcy tego grodu, i nadspodziewanym obiorem monarchy rodaka i świetnością obrzędów saméj elekcyi, które do późnéj nocy dnia poprzedzającego przeciągnęły się, z jutrzenką Bożego Ciała powitani zostali gromem dział, zwiastujących jeszcze świetniejszą uroczystość religijną. Spółczesny i wiarogodny świadek wyżéj spomniony, takie nam szczegóły podaje: „Gdy po elekcyi dnia 19 czerwca król jechał, bito z dział 12 po trzy kroć i przez całą noc strzelali; nazajutrz rano 20 tylko razy wystrzelono, potém na 4 częściach miasta po 3 razy z dział bito. W Boże Ciało, dnia 20 czerwca, król szedł pieszo dołem do św. Jana, gdzie siedział pod baldachinem; szli oraz ks. legat papiezki, poseł francuzki i cesarski, wizytował i szwedzki; zkąd szedł król na processyą aż do kościoła na Nowém Mieście (N. P. Maryi), ztamtąd powróciwszy jadł w zamku; po południu po 3 godzinie jechał w pole konno z wielką assystencyą, gdzie wszystkie województwa pospolite stały, jak również osobno ludzie różnych panów. Objeżdżał król wprzód województwa, potém inszych ludzi aż do późna, a ognia mocne dawano z cekauzu i zewsząd. Z królem w polu znajdował się i cesarski poseł; poczém Michał Wiśniowiecki był na bankiecie u księdza arcybiskupa. D. 27 czerwca zwyczajem w oktawę Bożego Ciała odprawowała się processya wkoło rynku, za którą i Król Jegomość postępował."

W następnych czasach, jakiemi środkami władza miasta Staréj Warszawy bezpośrednio silnie wpływała na uświetnienie téj uroczystości, następny opis przekona. D. 21 maja 1674 r. gdy lud warszawski dzwonem ratusza staromiejskiego był zwołany, dla wysłuchania głosu i postanowień magistratu swéj władzy bezpośredniéj, burmistrz onemu zalecił, ażeby wszyscy z czeladzią swoją, na processyą Bożego Ciała blizko następującą (25 maja) przybyli wcześnie i tam się jak najskromniéj zachowali i nie strzelali pod winą 14 grzywien (1). W r. 1676 oznaczył magistrat 8 godzinę rano do stawienia się. W r. 1679 przykazano ludowi jak najliczniéj zbierać się. W r. 1683 d. 14 czerwca napomniano mieszkańców, aby się skromnie, spokojnie, trzeźwo w czasie processyi zachowali, swoim starszym oficerom i cechowym posłuszni byli, przyczyny żadnéj sobie do hałasów i tumultów nie dawali, z rusznic ani z żadnéj strzelby nie strzelali pod surowemi ka-

(1) W przytoczeniach téj uchwały i następnych zachowujemy po większéj części wyrażenia spółczesne, wyjęte z akt dawnych Staréj Warszawy.

rami. W roku 1686 przykazano ludowi, aby się stawił najprzystojniéj z rynsztunkiem dobrym, dobrze wychędożonym, przy zachowaniu posłuszeństwa starszym, pod karą 14 grzywien polskich. W r. 1690, oprócz powyższych zaleceń, wydano rozporządzenie, aby z powodu, iż wiele kramów, bud i sklepów, mimo ukończonego sejmu, ciągle w rynku staromiejskim, posiadacze ich dla zysku pozostawili, magistrat najsurowiéj zalecił, aby za poprzedniém jedném zawiadomieniem, budynki te były rozwalone lub rozebrane, koniecznie przed nastaniem processyi Bożego Ciała. Z r. 1694 pozostał nam obiegnik prezydenta do cechów, względem téjże uroczystości, spisany d. 5 czerwca w tych słowach: „Łaskawi p. starsi! Dla uroczystości świątecznéj w przeszły poniedziałek publika być nie mogła, która przed uroczystością Bożego Ciała zwykła bywać, na któréj bywaliście Wmość i każdy człowiek pospolity. Napominano, aby się wszyscy stawili pod chorągwiami swemi trzeźwymi, skromnymi i spokojnymi, starszym i officerom swoim, aby młodsi bracia posłusznymi byli, przyczyny żadnéj do tumultów i hałasów nie dawali, z muszkietów ani z żadnéj strzelby strzelać nie ważyli się; więc że ta publika zwykła zawsze uprzedzać sessyą Wmciów, którą na obieranie officerów miewacie; a ponieważ dnia jutrzejszego taż sessya u Wmciów przypada, na któréj *incumbit* Wmciom pp. braci swoim, szlachetnego magistratu opowiedzieć rozkazanie; i luboby mogła być publika na poniedziałek przyszły, jednak już nierychło, bo na sessyach swoich nie moglibyście Wmść braci swoim, obwieszczenia tego oznajmić: tedy tą kartą oznajmuję i napominam Wmciów pp. starsi, aby pp. braci swoim, jakoli téż czeladzi na sessyach swoich opowiedzieli, a osobliwie aby nie ważyli się strzelać tak przed processyą, jakoli podczas saméj processyi. Po jéj skończeniu zaś wolno im będzie strzelać, jednak bez naruszenia bliźniego i pokoju pospolitego; wszakże i trąbą dniem przedtém ogłosić każę. Ktoby zaś lekce sobie poważył i nie obserwował teraźniejszą ojcowską przestrogę, niechaj ci wcześnie wiedzą, iż będą takowi ludzie na to ordynowani, którzy tego umyślnie pilnować mają. Pod którą chorągwią strzelać będą, ten co strzelać będzie, zapewne wieżą i grzywnami karany będzie, bez wszelkiego respektu, ktokolwiek rozkazanie to przestąpi. A że każdy starszy lub officer, swoich muszkieterów pod chorągwią znać i wiedzieć o nich powinien; zaczém kiedy który pod chorągwią z nich wystrzeli, aby jego osobę starszy albo officer konotował, a potém ją, kiedy pytany będzie, wydał i opowiedział; a któryby starszy albo officer nie obserwował tego przykazania, niech wié o tém, że będzie takową karą karany, którą ten co będzie strzelał. Żeby zaś potém nie mówili, że o tém nie wiedzieli, dlatego proszę na sessyi przed wszystkiemi pp. bracią, jakoli téż z towarzyszami przeczytać tę kartę, bo ja muszę Wmciów z powinności urzędu swego przestrzedz i napomnieć, jako ten, który życzę, aby się wszystkim dobrze powodziło i najlepszy był zachowany porządek, nie żądając nietylko widzieć, ale ani słyszeć o konfuzyi czyjéj. Wszak pamiętacie Wmość, jak często hałasy bywają względem tego strzelania i nieskromnego zachowania się, dlaczego reskrypty króla Jegomości wydane są, aby surowo sądzono tego, ktoby się ważył strzelać, tak

przed processyą, jakoli podczas samej processyi; zaczém powtarzam raz, drugi i trzeci przykazuję i proszę, abyście Wmość chcieli pokazać się być ludźmi skromnymi, zwierzchności i przykazaniu memu posłusznymi i samych siebie szanującymi; wprawdzie doznałem wielkie po Wmściach posłuszeństwo w r. 1691, na żądanie i prośbę moję w téjże materyi; i teraz nie wątpię, że pokażecie się Wmość być ludźmi w rządzie dobrym, kochającymi; inaczéj nie będziecie Wmość za złe mogli miéć, kiedy każdego nad przykazanie występnego sąd karać będzie, według zasługi i surowości reskryptów króla Jegomości, w czém każdego przestrzegam i daję napominanie tą kartą Wmściom pp. starszym i officerom i każdemu pospolitego stanu człowiekowi, które napominanie z rąk woźnego odbieracie. W Warszawie dnia 5 czerwca, roku Pańskiego 1694."

W roku następnym, prezydent zgromadzonemu ludowi na publice surowo zalecił, aby dla uczczenia tak wielkiéj uroczystości, każdy z właścicieli domów i każdy ojciec familii, tak w swojém mieszkaniu, jako téż przed domami, po wszystkich ulicach miasta, największą czystość i ochędóstwo zachował; przekraczających instygator miasta z urzędu swego miał najsurowiéj karać. Nadto magistrat wydał w tymże roku rozporządzenie, aby wszyscy urzędnicy miasta: ławnicy i 20 mężowie (gminni) ze świecami byli obecni z obowiązku na téjże processyi.

W r. 1699 d. 15 czerwca napomniano lud, aby na przyszłą (18 czerwca) solenną processyą Bożego Ciała, wszyscy gospodarze i czeladź wychodzili z rusznicami chędożonemi, munderownie, kotłów jednak ani trąb żeby nie używali, tylko bębnów i fujarek, i żeby w czasie processyi nie strzelali, trzeźwo się zachowali, bez poswarek i hałasu, pod winami 30 grzywien, któryby się nie stawił na tę processyą, i czeladzi nie wysłał, albo się nieskromnie zachował; oprócz tego, przykazano mieszkańcom, aby się nad stan i powołanie swe nie stroili, równie jak i ich żony: przekraczających bowiem instygator z urzędu swego winien był pozwać do sądu radzieckiego, a przekonanych, grzywnami i utratą strojów karano. W tymże roku, ulica dotąd Gnojową zwana, dziś Bednarska, dla utrzymania czystości w całém mieście, na tak wielką uroczystość po raz piérwszy uprzątniętą została.

W r. 1700 zalecił prezydent zwołanemu na publikę ludowi, aby każdy osobiście na tę uroczystość się stawił z czeladzią, z strzelbą, i pod swoją właściwą chorągwią; żeby trzeźwo się zachował i nie strzelał.

W kilku latach sejmy walne nie rozpoczynały się, jak po przejściu samego święta Bożego Ciała; tak było w r. 1699 i 1701. W tym ostatnim roku jak lat zeszłych, równie świątobliwe obowiązki, prezydent ludowi na tę uroczystość przykazując, dodał, aby strzelby do szabel przypasywane były i według dawnych zwyczajów każdy pod swoję chorągiew i porządkiem cech po cechu, według starszeństwa processyą odprawiał.

W r. 1707, w skutek obrotów wojennych, Warszawa posiadając w murach swoich wojska rossyjskie pod wodzą generała Rhena, już od dnia 20 czerwca t. r. oczekiwała cesarza wszech Rossyi Piotra

Wielkiego, a z nim księcia Mężykowa z jego małżonką. Władza miasta postanowiła dostojnych gości należycie witać przy moście warszawskim; że zaś zbliżała się uroczystość Bożego Ciała, postanowiono na sessyi magistratu z dnia spomnionego, że „Publiczna processya na rzeczone święto odprawi się *sine armis*, cechy *sine vexillis* pójdą, tylko *circa venerabile*, z ludzi kupieckich z strzelbą osób czterdzieści *assistent*, połowa Polaków, połowa cudzoziemców.

W r. 1708 podobnie odbywała się processya, z tą tylko różnicą, że tylko z strzelbą mieli assystować kupcy; w połowie niemieccy, w połowie polscy.

Kilkakrotnie wznawiające się w Warszawie morowe powietrze w latach następnych, było słusznym powodem, iż processye Bożego Ciała nie były po mieście odbywane. Dopiéro za ustaniem pewniejszém téj plagi w r. 1712, postanowiono na publice z dnia 23 maja, aby zwyczajem dawnym w uzbrojeniach stosownych processyą tę odbywano; zaleciwszy cechom, iżby trzeźwo, skromnie zachowali się, oraz żeby nie strzelali podczas processyi pod karą wieży i 14 grzywien. W roku 1722 dodano jeszcze dwa napomnienia ludowi: jedno względem zachowania ostrożności z ogniem, drugie względem nieprzechowywania w domach luźnych żydów w czasie téj processyi.

W r. 1729 więcéj szczegółowe rozporządzenia władza miasta wydała do ludu zgromadzonego na ratuszu w d. 11 czerwca: „ażeby się na przyszłą processyą w dzień święta Bożego Ciała mieszczanie, gospodarze i ich czeladź przystojnie przybrani z strzelbą do szabel polscy, a cudzoziemscy do szpad przypasaną stawili, według dawnych zwyczajów, każdy pod swoję chorągiew na miejsce naznaczone zawczasu schodzili się, porządkiem cech po cechu według starszeństwa idąc, nic podczas processyi nie strzelając i trzeźwo się zachowując; oraz aby wszelkie błotniste miejsca oczyścili. Cechowi zaś stelmachskiemu i kołodziejskiemu, tudzież bednarskiemu, którzy się z sobą złączyli i chorągiew nową sobie podnieśli, w processyach i we wszystkich publicznych uroczystościach miejsce naznaczono po cechu kowalskim.“

W r. 1735 na skutek wyraźnego rozkazu króla Augusta III objawionego magistratowi Staréj Warszawy przez marszałka w. kor. (1), przykazała władza miasta zgromadzonemu ludowi, „aby na święto Bożego Ciała na processyą, wszyscy panowie cechowi majstrowie, już nie z chorągwiawi rozwinionemi, ani bębnami i z strzelbą, jako zwykli byli przedtém téjże processyi assystować, ale tylko ze świecami porządkiem swym zwyczajnym, szli i stawili się bez żadnéj czeladzi, tylko presse sami; a niemniéj surowo zalecono, aby w domach i kamienicach swoich własnych żadnych ludzi luźnych nie przechowywali i żeby się gdzie znajdować mieli, wcześnie znać o nich dawali; tudzież aby dla obchodzenia solennéj processyi i tak zawsze potém, zawczasu wszelkie drwa przed domami, kamienicami leżące, i przejeżdżającym lub przechodzącym zawadzające, zbierać i sprzątać; także błota, śmiecie wywozić, jako najpilniéj starali się i od ognia wszelką ostrożność zachowywali, pod karą na to zwyczajnie extendowaną.“

(1) Józef Mniszech; r. 1742 postąpił na kasztelanią krakowską.

W roku 1737 do powyższych zmian w czasie processyi Bożego Ciała zalecono pod dniem 14 czerwca zgromadzonemu ludowi: „jeżeliby gwardya koronna processyi Bożego Ciała nie miała assystować, więc tylko jedyni pp. kupcy z chorągwiami stawią się i takowéj processyi assystować będą; jeżeliby zaś gwardya obecną być miała, aby ciż Ichmość pp. kupcy od assystencyi swojéj z chorągwiami supersedowali dla jakich ztąd inkonweniencyj, które przedtém obserwowane były.“

W latach następnych uchwał publicznych ginie ślad, aby władza miasta co do processyi tylokrotnie rzeczonéj, jakowe rozporządzenia w tychże zamieszczała (1). *Alexander Wejnert.*

Gertruda Komorowska.

Wiadomy jest przedmiot, który posłużył za osnowę Malczewskiemu do tak rozgłośnéj powieści ukraińskiéj; wiadomo, że ową Maryą była Gertruda Komorowska córka kasztelana santockiego; znanym jest nieszczęśliwego ojca manifest wniesiony na zamku warszawskim z dnia 28 sierpnia 1773 roku, o porwanie przemocą córki, zaślubionéj Stanisławowi Szczęsnemu Potockiemu, a synowi Franciszka Salezego Potockiego wojewody kijowskiego:—nie powtarzamy więc rzeczy znanych, ale przywiedziem tu szczegóły nieznajome i list ojca Gertrudy, Jakóba hr. Komorowskiego, świeżo odkryty, a udzielony nam w wiernéj kopii przez J. I. Kraszewskiego.

Tajemnie zawarte małżeństwo między Gertrudą Komorowską a Szczęsnym Potockim, długo potrafiono szczęśliwie przed dumnym wojewodą ukryć. Szczególny wypadek je odkrył. Stary wojewoda, zwyczajem swoim rano powstawszy, obchodził zamek cały, a osobliwie i najpiérwéj zaglądał do ulubionéj stajni, przeglądał stojące konie i z różańcem w ręku odmawiał poranne modlitwy, po których skończeniu, dopiéro swoje uwagi robił i rozkazy wydawał. Stał w świetle ulubiony hetmański arabczyk, rumak czystéj krwi Wschodu. Kiedy się zbliżył do niego, z podziwieniem ujrzał go zhasanego, robiącego bokami, i okrytego jeszcze pianą. Rozgniewany, kazał przywołać koniuszego, zapytując, kto poważył się na arabczyku jeździć? Widząc w takiém rozjątrzeniu pana, przestraszony dworzanin wydał, że młody wojewodzic tak go zhasał, że to nie raz piérwszy, że nie mógł i nie śmiał bronić. Wojewoda po nitce, kłębka doszedł; po naradzeniu się z małżonką, postanowił kazać porwać synowę, osadzić ją w klasztorze dopóki rozwodu nie wyjedna, i w téj myśli wydał rozkazy Węgrzynowi na dworze będącemu, ażeby z dobraną drużyną, dla zatarcia śladu przebraną, napadł dwór kasztelana Komorowskiego i porwał Gertrudę; dodał mu nawet dworzanina, który znał ją dobrze.

(1) Inne szczegóły o téj uroczystości zamieścił T. Lipiński w Bibl. War. za miesiąc luty r. b. w artykule *Ułamki historyczne z XVIII wieku.*

Napad się udał; szczegóły z manifestu kasztelana wiadome. Omdlałą Gertrudę Węgrzyn rzucił na sanie, a że mróz był tęgi, przykrył pierzynami: skonała w omdleniu. Kiedy stanęli wytchnąć koniom, a Węgrzyn zajrzawszy do sani, przekonał się o śmierci Gertrudy: w przestrachu rzucił ją w przerębel Bugu koło Jastrzębicy. (1) Wieść ludowa niesie, że gdy na wiosnę piérwszy raz do ogrodu krystynopolskiego zamkowego wyszedł stary wojewoda, z łachy Bugu, co przypierała do tego ogrodu, wypłynął przed jego oczy trup nieszczęśliwéj synowy.

List, który tu przywodzimy Jakóba hr. Komorowskiego, pisany był do Szczęsnego Potockiego na dziesięć miesięcy przed znanym manifestem, zaraz po śmierci starego wojewody kijowskiego. Biedny ojciec był pełen nadziei, że ukochana jego Gertruda porwana żyje, ale ukryta w nieznaném miejscu: wzywa więc Szczęsnego Potockiego jak syna, aby wydobył nieszczęśliwą żonę z ukrycia i małżeństwo prawnie zawarte ogłosił. Nie wiedział, że oddawna znalazła grób i łoże w nurtach Bugu! *K. Wł. Wojcicki.*

Monsieur!

D. 7 9bra, z Warszawy 1772 an.

Rozumiem, iż sprawiedliwie tytułem syna JWPana mianować mogę, gdyż z méj strony nieodmienny ku osobie Jego dochowuję afekt, a od JWPana o wzajemnéj ku nam i ku naszéj córce stateczności nie wątpię. Ubolewać mi przychodzi w śmierci JW. wojewody kijowskiego nietylko z przyczyny straty wielkiego JWPana ojca i ojczyznie męża, ale razem i ztąd, że ten godnéj pamięci pan, byłby nakoniec nieuprzedzonym umysłem uznał, że jak chętne i prawne JWPana z córką naszą małżeńskie zawarte były związki, tak téż przeto i rozerwaniu nie mogły być podległe. Do tych powrócenie się, gdy już od samego JWPana zawisło staranności, więc nie ubliżono onéj, jak najsilniéj domagać się, która tym najpiérwszym dowodem, miłość JWPana poślubionéj osobie poprzysiężoną, a obowiązkom małżeńskim winną okaże, gdy miejsca w któréminby dotąd utajoną była dociekłszy, sobie doświadczoną w statku tak natężonemi przeciwnościami żonę, a nam ulubione wydobędziesz z niego dziecię.

Nie chcę ja żadnych do tego dzieła JWPanu podawać pobudek, bo wiem, że doskonałością swoją dochodzisz, jak wiele nad tém strapione nasze rodzicielskie boleją serca, i jak wiele skrzywdzonéj, kochającéj małżonki jego cierpi honor i afekt, a te razem jak wiele na uczciwość i zacność charakteru JWPana, tém bardziéj na poprzysiężonéj Jego polegają cnocie; i tać to cnota skłoniła była nasze do Pana przyjaźń i szacunek, ta i teraz z temiż w nas dla Niego statecznie trwającymi, pisać się każe JWPana z serca kochającym ojcem i uniżonym sługą.

Jakób Komorowski kaszt. sant.

(1) Szczegóły tu przywiedzione mam z listu pisanego do mnie przez ś. p. Karola hr. Mniszcha. Szczegółowy opis tego wypadku, wyjdzie wkrótce z druku, przez autora „Tajemnic społeczeństwa."

Opisanie, co znaczy lewek z psią głową wykopany we wsi Kruchowie pod Trzemesznem (1).

Otwór w głowie do wlewania, a rurka w pysku lewka do wylewania płynu urządzone, dowodzą: iż był naczyniem ofiarném do libacyi służącém, i jak twierdzimy, używaném przez czcicieli ciał niebieskich.

Sabeizm wyrodził dwa systemy religijne, a mianowicie: słoneczny i księżycowy; ale tak w jednym jak w drugim było słońce najwyższém widzialném bóstwem. Kiedy, według najstarożytniejszych pomników sabeistycznych, słońce w czasie porównania dnia z nocą wiosennego wstępowało w znak Byka, wtedy w czasie przesilenia letniego wstępowało w znak Lwa; a że starożytni często symbol za samo bóstwo czcili, przeto Lew oznaczał słońce w najwyższym punkcie swego wzniesienia. Też samo oznacza tułów lewka w Kruchowie odkrytego. Dwa koła wrębne porównania i przesilenia posłużyły Chaldejom (Kaldajom) za zasadę do układu rocznego wymiaru czasu, jako stanowiące południki każdego miejsca w czasie rozpoczynających się czterech pór roku; a na każdym z tych czterech punktów, słońce pod inném czczono nazwiskiem.

W odkrytym lewku, cztery nogi symbolizują cztery pory roku; noga bydlęca czyli byka, wiosnę; noga stopiona musiała być lwią i symbolizowała lato; końska a raczéj Centaura, jesień (2), a hippotama zimę (3); noga ta jest krzywą, gdyż słońce traciło wówczas siłę i płodność. Gdy więc słońce posągami uosobiać zaczęto, wyobrażano je to z związanemi, to wykoślawionemi nogami, lub też podpierające kijem kroki swoje. U Egipcyan było nawet święto *Kijów*, gdy bowiem słońce zniżało się ku ziemi, zdawało się, mówi Plutarch (4), potrzebować kija, aby w czasie, gdy tak znacznie siłę płodną utracało, mogło nim chwiejące kroki swoje podpierać. Głowa psia przy tułowie lewka oznacza słońce kanikularne, czyli będące w całéj pełni swéj potęgi. Wtedy odnosi zupełne zwycięztwo nad ciemnościami i pora ta była dla dusz zmarłych, lękających się ciemności najprzyjemniejszą, gdyż, według wyobrażenia starożytnych, słońce promieniami przyciągało dusze do siebie (5), i obdarzało je światłością. Nadto kot był poświęcony księżycowi (6); ztąd uszy kocie przy bronzowym lewku oznaczają wychylający się księżyc czyli nów, w którymto czasie odprawiano szczególniej obrzędy za dusze zmarłych. Do urządzenia rękojeści najstosowniejszą była jaszczurka, słońcu poświęcona.

Wyjaśnienie to upoważnia do wnoszenia: iż naczynie w postaci lewka służyło czcicielom ciał niebieskich do libacyj pogrzebowych.

H.

(1) Zob. Bibl. Warsz. czerwiec. 1852 r. zeszyt 138.
(2) Uranol. Petav. Tom 3, cap. 2. Cum Scorpio oritur Centauri corpus. Hipparch. libr. 3. Cum Centauro zodiacus oritur a parte Chelarum etc. Martianus Capella libr. 8. Sagittario nascente oriuntur Centauri pedes priores etc.
(3) Aelian de animal. libr. 10. cap. 21. Plutarch de Iside. (4) De Iside.
(5) S. Epihan. adver. haeres cap. 66. (6) Plutarch de Iside.

Instytut politechniczny w Wiedniu.

Podałem już szanownym czytelnikom Biblioteki Warszawskiéj mały obraz szkoły technicznéj krakowskiéj; ażeby zaś wykazać różnicę i sposób wykładania przedmiotów w szkole politechnicznéj wiedeńskiéj, jako w stolicy nauk i przemysłu państwa austryackiego: pałałem gorącą chęcią tymże czytelnikom choć w krótkich słowach dostarczyć objaśnień. W tym celu (bawiąc obecnie w Wiedniu), starałem się Instytut politechniczny dokładnie obejrzéć, zwiedzić jego wszystkie bogate zbiory i przysłuchać się wykładowi professorów, tak znakomite zajmujących miejsce w dzisiejszym świecie naukowym.

Nie potrzebuję wykazywać, jak ważne zajmuje miejsce szkoła politechniczna wiedeńska między innemi zakładami tego rodzaju, i jak wielu wydała już uczonych i użytecznych światu mężów; znają to dobrze światli czytelnicy.

Nie wypada mi również mówić o ważności zakładów technicznych; pokazuje to sam duch czasu i interes rządów. Ograniczę się tylko na samym opisie wewnętrznego składu ciała naukowego i przedmiotów w téjże wykładanych szkole, celem dokładnego pojęcia (jak wspomniałem wyżéj) różnicy zachodzącéj między szkołą techniczną krakowską a szkołą politechniczną w Wiedniu.

Wspaniały ten gmach leży na przedmieściu Wiedeń. Tak co do swéj budowy jak uposażenia należy do pięknych wspomnień prawdziwie ojcowskiéj troskliwości o dobro ludów Franciszka Igo, którego zamiarem było kształcenie młodzieży w zawodzie technicznym, handlowym, jak niemniéj postawienie rzemiosł na stopniu, ażeby te, tak rządowi, jako téż i ludom prawdziwą korzyść i zaszczyt przynosiły w darze.

Cel tego Instytutu najlepiéj się pokazać może przywodząc słowa cesarza Franciszka Igo, które na węgielnym kamieniu przy zakładaniu tego gmachu wyryte zostały: „Na pamiątkę moich starań o ogólne światło wszystkich stanów, a szczególniéj zaś ukształcenie moich wiernych i kochanych obywateli, położyłem i wmurowałem własną moją ręką ten kamień w r. 1816, dnia 14 października.” Fronton zaś téj budowli nosi na sobie napis: „Ku pielęgnowaniu, rozszerzeniu, uszlachetnieniu rzemiosł, sztuk i handlu. Franciszek I.”

Instytut ten podzielony jest na dwa główne oddziały:

A. *Techniczny* i B. *Handlowy.*

Piérwszy obejmuje fizyczno-matematyczne wiadomości z zastosowaniem do potrzeb technicznych; w drugim zaś wykładane bywają te przedmioty, które służą do gruntownego wykształcenia młodzieńca w zawodzie handlowym.

Oprócz tych dwóch oddziałów głównych, są jeszcze dwa inne: przygotowawczy i oddział rysunków (Vorbereitungs und eine eigene Zeichnungs-Abtheilung).

C. Przygotowawczy oddział do wyższych technicznych i handlowych nauk, służy młodzieży która potrzebuje stosownych wstępnych nauk, ażeby na rzeczone wyżéj oddziały wstąpiła, jak niemniéj dla młodzieży, która dla nieletności, na wyższe oddziały jeszcze uczęszczać nie może.

D. Szkoła rysunkowo-rzemieślnicza. Téj celem jest: chłopcom i czeladzi udzielić sposobność, ażeby ci na wyższym stopniu, aniżeli zwyczajny robotnik, postawieni być mogli.

Dyrektorem tego Instytutu jest p. Chrystyan Platzer pułkownik c. k. inżynieryi, kawaler cesarsko-rossyjskiego orderu św. Anny drugiéj klassy; vice-dyrektorem: p. Józef Beskiba professor jurystyczno-polityczno-kameralistycznéj arytmetyki i członek wielu towarzystw uczonych.

Przedmioty wykładane są następujące:

A. *Oddział techniczny.*

1) Matematyka elementarna, jako wstęp dla tych, którzy się wyższym wiadomościom technicznym poświęcać zamierzają, wykładana przez Szymona Spitzer supplenta. 2) Matematyka wyższa w całéj obszerności, wykładana przez professora Dra Józefa Salomona. 3) Geometrya wykreślna, wykładana przez prof. Jana Hönig. 4) Tenże professor udziela wolnych rysunków, jako téż z geometryi, architektury, i wprawia uczniów do rysunku machin. 5) Geometrya praktyczna; zajmuje się wymierzaniem w sposób geometryczny i trygonometryczny z zastosowaniem wszelkich instrumentów, tak w ekonomii, topografii, jak niemniéj przy mierzeniu wielkich prowincyj, poziomowaniu (niwellacyi) i mierzeniu gór używanych. Wstępne nauki: matematyka wyższa, fizyka i geometrya wykreślna; wykłada professor Fryderyk Hartner. Obok teoryi ćwiczą się uczniowie w rysunku geodezyjnym i robieniu pomiarów na polu. 6) Mechanika i nauka o machinach; traktat wyższą analizą. Wstępne wiadomości: matematyka wyższa, fizyka i geometrya wykreślna. Wykłada professor Adam Burg. Obok teoryi ćwiczą się uczniowie w rysunku machin z wzorów i modeli. 7) Budownictwo lądowe. Wstępne nauki: mechanika i geometrya praktyczna. 8) Budownictwo dróg i wodne. Obok teoryi wprawiają się uczniowie w rysunek architektoniczny i hydrotechniczny. Naukę tę wykłada professor Józef Stummer. 9) Technologia, wykładana przez professora Jerzego Altmütter. 10) Wiadomości z analitycznéj mechaniki i inżynieryi wyższéj, wykłada professor Andrzéj Ettingshausen. 11) Mineralogia, geognozya i paleontologia, wykładana przez professora Dra Franciszka Leydott. 12) Botanika przez tegoż professora. 13) Fizyka z zastosowaniem do sztuk i rzemiosł wykładana przez professora Dra Ferdynanda Hessler. 14) Ogólna techniczna chemia, wykładana przez prof. Antoniego Schrötter. 15) Szczególna techniczna chemia zajmuje się wyrabianiem: wina, piwa, wódki, octu, pieczywem chleba, garbowaniem skór, robieniem mydła, bieleniem, barwieniem, i t. p., wykładana przez piérwszego

adjunkta Józefa Pohl. 16) Uczniowie, którzy z poświęcenia oddają się nauce chemii, mają sobie udzieloną sposobność pracowania w laboratoryum chemicznem pod okiem professora. 17) Gospodarstwo połączone z wycieczkami, wykłada professor Dr. Wojciech Fuchs. 18) Rysowania ozdób i kwiatów uczy prof. Antoni Fidler. 19) Języka tureckiego udziela prof. Maurycy Wickerhauser. 20) Języka perskiego prof. Henryk Barb. 21) Języka arabskiego udziela supplent.

B. *Oddział handlowy.*

1) Wiadomości handlowe, jakoto: nauka o handlu i jego rozlicznych gałęziach, o wartości i cenach towarów, nauka o kupowaniu i sprzedaży, o zapłacie, przesyłce i historya handlu, wykładana przez Dra. Hermana Blodig. 2) Prawo handlowe i wexlowe w Austryi, wykłada tenże professor. 3) Styl korrespondencyjny dla kupców, wykłada professor Karol Langner. 4) Rachunkowość kupiecką wraz z nauką o monetach, miarach i ciężarach, wykłada prof. Jerzy Kurzbauer. 5) Buchalterya kupiecka przez tegoż. 6) Znajomość towarów, wykłada prof. Franciszek Hauke. 7) Geografią handlową, wykłada tenże professor.

Przedmioty nadzwyczajne.

1) Jurystyczno-polityczno-kameralistyczna arytmetyka wykładana przez vice-dyrektora Józefa Beskiba. 2) Geodezya wyższa i zastosowane wiadomości, wykłada professor Szymon Stampfer. 3) Analityczna geometrya w przestrzeni, przez prof. Dra Józefa Salomona. 4) O obliczaniu machin i budownictwo tychże, w zimowém półroczu wykłada prof. Hönig. 5) O rozporządzeniach celnych i monopolu państwa Austryackiego, przez prof. Blodig. 6) Zastosowanie rachunku waryacyjnego do matematyki wyższéj, jak również differencyjnego i integralnego do geometryi analitycznéj przez Szymona Szpitzer. 7) Chirurgia techniczna, przez Jana Kugler. 8) Zastosowanie mechaniki do niektórych gałęzi budownictwa przez Jerzego Rebhann. 9) Kaligrafia przez Jakóba Klaps. 10) Język angielski przez Jana Högel. 11) Język francuzki przez Jerzego Legat. 12) Język czeski przez Jana Konecny. 13) Język nowo-grecki przez Józefa Millera. 14) Język włoski przez supplenta. 15) Stenografia przez Ignacego Heger.

Uwaga. Przedmioty te bywają tylko za pewne honoraryum udzielane.

C. *Oddział przygotowawczy.*

Przedmioty w tym oddziale traktowane są przez professorów z innych oddziałów.

1) Elementarna matematyka. 2) Fizyka doświadczalna. 3) Historya naturalna z trzech królestw natury. 4) Stylistyka. 5) Rysunki.

Wszystkie te przedmioty są dla uczniów na ten oddział uczęszczających obowiązujące, z których w obydwóch półroczach mają okazać postęp dobry.

D. *Zakłady Rysunkowe.*

1) Wilhelm Westmann uczy rysunku na różnych metalach. 2) Franciszek Feldt rysunków rękodzielniczych. 3) Tomasz Frydrych przygotowawczych rysunków. 4) Jan Kraft rysunku machin. 5) Franciszek Frölich rysunków na metalach. 6) Józef Tichy rysunków rękodzielniczych. 7) Marcin Beisl adjunkt do rysunków przygotowawczych.

Liczba uczniów wynosi w bieżącym roku na wszystkich oddziałach, okrągło biorąc, do 2,000.

Nader bogatemi zbiorami poszczycić się może Instytut politechniczny, szczególniéj zaś biblioteką, która w 1833 r. 3,000 dzieł, a do 7,000 tomów obejmowała (1); dzisiaj liczba ta dwa razy się powiększyła. Biblioteka otwarta jest dla użytku uczniów, codziennie od 9 do 12 z rana i od 3 do 8 wieczorem, wyjąwszy święta uroczyste i niedziele (2). Oprócz téj są jeszcze gabinety: technologiczny, fizyczny, geodezyjno-astronomicznych narzędzi, architektonicznych i mechanicznych modeli, jak niemniéj, gabinet mineralogiczny i gabinet handlowy. Z Instytutem połączone są warsztaty: mechaniczny i astronomiczny, tudzież dwie wielkie chemiczne pracownie, z bogatym zbiorem różnych preparatów.

Ciekawą i pożyteczną byłoby rzeczą zająć się szczegółowém opisaniem gabinetów, a mianowicie mechanicznego, tudzież opisem warsztatów w téjże szkole istniejących; do tego wszakże potrzeba wiele czasu, na którym mi zbywa. O warsztatach w części w których wyrabiane są instrumenta astronomiczne i miernicze, już wspomniał p. Stampfer b. professor geometryi praktycznéj (a dzisiaj nadzwyczajnie wykładający geodezyą wyższą) w swém dziele p. t.: „Teoretische und praktische Anleitung zum Nivelliren." Wien, 1847, które p. A. Gerschow inżynier gubernialny w swém nieocenioném dziele pod tytułem: Poziomowanie topograficzne, Warszawa, 1851 r. na karcie 15 powołał; dlatego ja, jak również i dla wyżéj przytoczonych powodów, z obszerniejszém opisywaniem tychże wstrzymać się postanowiłem.

Jan Kr. Pietraszek.

(1) Obacz: Wien wie es ist, von A. Schmidl. 1833.

(2) Życzyćby należało, aby i szkoła techniczna krakowska obmyśliła jednę salę na bibliotekę i czytelnią dla ubogich uczniów; albowiem dotąd biblioteka téj szkoły nieznana jest nikomu, i soki pożywne z téjże jedynie nauczycielom wolno jest ciągnąć!

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W zeszycie styczniowym Biblioteki Warszawskiéj z r. b. na str. 158—161, zamieszczoną została wiadomość o gobelinach zakupionych niegdy przez Zygmunta Augusta, za summę 100,000 czerwonych złotych, a następnie na własność skarbu Rzpltéj przeszłych. Autor tego artykułu, znany chlubnie w naszéj literaturze Edward baron Rastawiecki, opierając się na autentycznym dokumencie tamże dosłownie przywiedzionym, oraz na świadectwie Ursyna N..... utrzymuje: iż gobeliny te znajdowały się w r. 1764 na zamku warszawskim, i że miały być użyte ku ozdobie mieszkań Stanisława Augusta; co się zaś późniéj z niemi stało, o tém nie ma pewnéj wiadomości.

Dla uzupełnienia powyższego artykułu sądzę, iż nie od rzeczy będzie nadmienić, iż zamiar użycia rzeczonych gobelinów ku ozdobie komnat królewskich, nie musiał przyjść do skutku, lub też że tylko część ich otrzymała to przeznaczenie, a co najprawdopodobniéj, że gobeliny te jeno na czas niejaki wzięte były do zamku; dowodem czego jest to, że tak samo jak piérwej, również i w r. 1764, oraz w latach następnych aż do r. 1785, gobeliny w mowie będące zostawały w zachowaniu u OO. Karmelitów Bosych warszawskich, za co wypłacano tymże ze skarbu Rzplitéj po złp. 126 gr. 20 rocznie. Zarządzenia tych wypłat, zapisane są w protokułach ekonomicznych Kommissyi Rzpltéj skarbu koronnego z lat 1765—1785 (1).

Zdaje się zatém, iż jeżeli gdzie, to najpewniéj w księgach i rachunkach kościelnych tutejszego konwentu OO. Karmelitów, wyśledzićby można, co się stało z owemi gobelinami; bo przecież niepodobna przypuścić, ażeby odbiór ich nastąpił bez czyjegoś upoważnienia i pokwitowania. Tak więc idąc za tą wskazówką być może, iż da się usunąć wszelka wątpliwość co do losu, jakiemu drogocenne Zygmuntowskie obicia po roku 1785 uległy; i ta téż jedynie uwaga skłoniła mnie do zakommunikowania szanownéj redakcyi powyższych szczegółów. *P.*

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W dniu 20 grudnia 1852 r. odbyło się w Paryżu doroczne uroczyste posiedzenie Akademii umiejętności, na którém pomiędzy innemi uwieńczonemi pracami, przyznaną została nagroda 1,500 franków (un des prix Monthyon) p. Ludwikowi Hirschfeld za dzieło pod tytułem: *Nevrologie ou description et iconographie du système nerveux et des organes des sens de l'homme avec leur mode de préparation.*

(1) Assygnacya należności za r. 1764 ma datę 4 stycznia 1765 roku; należność z r. 1765 była dopiéro łącznie z należnością za rok 1766 wyassygnowaną, poczém idą już kolejno za każdy rok oddzielne assygnacye, z których ostatnia wydana została pod d. 3 stycznia 1785 roku.

Pan Hirschfeld jest naszym ziomkiem, rodem z Warszawy. Zaczął nauki medyczne w Berlinie, a ostatecznie kończył je i doktoryzował się w Paryżu, pracując jako kollaborator w gabinecie prof. Bourgery, autora wielkiego atlasu anatomii ciała ludzkiego. W szkole paryzkiéj jest on uważany za najbieglejszego preparatora. Muzeum tego miasta posiada mnóstwo znakomitych injekcyj wykonanych jego ręką. Prócz tego, od lat kilku wykłada, jako nauczyciel prywatny (professeur particulier) kursa anatomii opisowéj, które dokładnością preparacyi, ścisłością i sumiennością wykładu, zyskały sobie daleki rozgłos, tak, że dziś gabinet p. Hirschfeld stał się niejako *rendez-vous* młodych anatomów rozmaitych narodowości, przychodzących tam szukać specyalnego dopełnienia swych wiadomości w téj ważnéj gałęzi medycyny. W pracowni p. Hirschfeld spotykaliśmy znanych już w świecie naukowym mężów prawie wszystkich krajów Europy i obu Ameryk.

Nie możemy obecnie wdawać się w szczegółowe ocenianie naukowych przymiotów dzieła, o uwieńczeniu którego podajemy wiadomość. Ograniczamy się tylko na nadmienieniu, iż przedmiotem jego jest treściwe, lecz jasne i dokładne opisanie tych części anatomii, których mozolna preparacya, dziś jeszcze jest połączona z największemi trudnościami. Autor nie ograniczył się na prostém dołączeniu własnych odkryć do znakomitych prac swych poprzedników, lecz aby zapewnić jak największą dokładność swemu utworowi, ze skalpelem w ręku sprawdzał kilkakrotnie wszystko, co w nim jest zawarte (1). Ryciny są wykonane według natury przez biegłego artystę p. Leveillé, i swą wiernością przewyższają wszystkie inne, jakie mieliśmy sposobność widzieć w tym rodzaju.

Anast. K.

(1) Oto jest wyciąg z raportu pp. Velpeau, Roux, Andral, Rayer, Magendie, Dumèril, Flourens, Lallemand et Serres, wyznaczonych jako kommissarze do ocenienia dzieł konkurujących o nagrodę w wydziale medycyny i chirurgii.

. . . . . .

Quand à l'ouvrage de Mr. Hirschfeld, un examen comparatif a permis à la commission d'en apprécier l'originalité, sur les points les plus difficiles et les plus contestés de la science.

Pour l'encéphale, nous citerons les radiations quintuples du faisceau innominé du bulbe et leur immersion dans le pédoncule cérébral, dans le pédoncule moyen du cervelet et dans la valvule de Vieussens; l'origine de la cinquième paire, par trois ordres de filets, dont un s'anastomose avec la racine du nerf auditif. Parmi les nerfs, nous mentionnerons ses belles études sur le nerf facial; celles sur l'hypoglosse et le nerf spinal; celles sur la cinquième paire et sesganglions, que l'auteur détache avec raison du grand sympathique; celles sur le nerf pneumogastrique et le ganglion qu'il a fait connaître, placé à la division principale des branches. Enfin nous signalerons ses observations nouvelles sur le grand sympatique, nerf sur la structure duquel les expériences physiologiques des MMrs. Bernard, Waller et Budge appellent de nouveau l'attention des anatomistes. (Acad. des sciences. Compte rendu de la sèance publ. du lundi 20 decembre 1852, p. 60).

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Od lat kilku uwaga fizyków i chemików zwróconą jest na zmiany, jakich doznają pewne ciała wystawione na działanie umiarkowanéj temperatury. Wiadomo, że w skutek takiego wpływu, np. siarka, fosfor, zmieniają swe barwy, spojność, rozpuszczalność w niektórych cierzach, a nawet i powinowactwo do kwasorodu. Draper dostrzegł podobne działanie w promieniach słonecznych np. na chlor. Teraz Ed. Bequerel i Fremy poddawali działaniu elektryczności ozon, (ciało odkryte w 1840 r. przez Schoenbeina) nadający kwasorodowi otrzymanemu, naprzykład z rozkładu wody za pomocą galwanizmu, szczególny zapach, podobny do zapachu fosforu i siarki. Dodamy tu, że według najpóźniejszych doświadczeń, Schoenbein, zgodnie z mniemaniem de la Rive, przyjmuje swój ozon za pewną tylko odmianę kwasorodu. Wspomnieni wyżej uczeni, wspólnie śledząc ozon za pomocą elektryczności przekonali się: że kwasoród otrzymywany różnemi sposobami nabywa własności ukwasorodniających więcéj wybitnych po wystawieniu na działanie iskier elektrycznych; że kwasoród wydający zapach, czyli ozon, utraca swój zapach przez działanie jodku potassium, wystawiony zaś na działanie iskier elektrycznych, napowrót przybiera pierwotną swą własność; że kwasoród czysty i suchy zmienia się wprawdzie w ozon przy pomocy elektryczności, lecz swe działanie rozwija dopiéro po złączeniu z pewną ilością wody.

Z wielu doświadczeń ostatecznie wnoszą, że elektryczność działając na kwasoród, rozwija w nim pewne własności, których przedtém wcale nie posiadał, i dlatego téj nowéj odmianie proponują nadać nazwę *kwasorodu naelektryzowanego*, zamiast nazwiska *ozon*, nasuwającego pojęcia przemiany kwasorodu w nowe jakieś ciało. Być może, że w tym przypadku kwasoród doznaje tylko pewnéj odmiany isomerycznéj.

Jak już wiemy, kwasoród, oprócz powyższéj zmiany pochodzącéj od elektryczności, może także pod wpływem magnesu przybierać własności magnetyczne. (*An. de Phy.* 1852).

✻ Już w 1849 r. Joule uważając za pomocą stosownego przyrządu ilość ciepła powstającego podczas tarcia między sobą cząstek wody, tarcia sprawionego pewną znanéj wielkości siłą, przekonał się, że równoważnik ciepła wynosi 430,5 killogrametrów. Powtarzając takie doświadczenia nad tarciem cząstek merkuryuszu, znalazł, że podniesieniu temp. merkuryuszu o jeden stopień odpowiada równoważnik mechaniczny 430,3 killgm. W roztopioném żelazie ten równoważnik ciepła wynosi 431,66 killgm.

Wypadki powyższe dosyć się zgadzają z otrzymanemi (1843) przez tegoż uczonego, przy użyciu strumieni magneto-elektrycznych. Porównywając bowiem siłę mechaniczną potrzebną do poruszania wielkiego elektromagnesu z powiększeniem ciepła wody, w któréj był zanurzony mały elektromagnes, znalazł na równoważnik mechaniczny ciepła średnio 460 killmetr.

Badając ciągle ten przedmiot, Joule teraz oceniał ilość ciepła powstającego przy ściskaniu gazów do 22 atmosfer; i z ogrzania wody w któréj znajdowało się naczynie z gazem wniósł, że równoważnik mechaniczny ciepła wypada 452 kilmetr. Powietrze ściśnięte w naczyniu, a następnie wypuszczane pod dzwon napełniony wodą i stojący na wannience chemicznéj, sprawiło zniżenie temp., które porównane z pracą mechaniczną daje na równoważnik liczbę 438. (*An. de Phy.* 1852).

✻ Niejednakowa chyżość głosu w różnych środkach prowadzi do wniosku, że fale głosowe przechodząc z jednego środka w drugi, winny doznawać załamania podobnego do tego, jakie spostrzegamy w falach światła. Teoretycznie oddawna dowiedziono istnienie podobnego faktu; dotąd wszakże nie znaliśmy żadnego dowodu doświadczalnego. Sonderhaus probując soczewek gazowych (kwasu węglanego), których powłoka wykrojoną była z błon, nie mógł dojść do stwierdzających wypadków. Po wynalezieniu collodium na nowo przedsięwziął swe badania. Z wielkiego balonu collodium wyciął dwa równe odcinki i przykleił je do pierścienia płóciennego tak, iż tworzyły razem soczewkę kulistą. Wnętrze jéj napełniał gazami.

W pewnéj odległości przed taką soczewką i na kierunku osi, stawiał zegarek, a po drugiéj stronie soczewki uchem szukał punktów, w których bicie zegarka było najwyraźniejsze. Odrazu spostrzegł, że gdy ucho stało na kierunku osi soczewki, uderzenia zegarka daleko były wyraźniejsze, aniżeli w położeniu ucha zewnątrz osi. Gdy ucho znajdowało się ze soczewką w miejscu gdzie najwyraźniejsze słyszéć się dało bicie, za usunięciem soczewki głos natychmiast ginął, a wracał za jéj powtórném wstawieniem. Nadto Sonderhaus przekonał się, że odległość w któréj za soczewką ustawał wszelki szmer, daleko była większą gdy zegarek umieszczanym był bliżéj soczewki; nie mógł jednak dokładnie ocenić punktu w którym natężenie głosu na osi do-

dochodziło maximum, a więc nie mógł sprawdzić wzorów odnoszących się do ognisk w soczewkach kulistych.

Powyższe doświadczenia potwierdzone zostały przez wielu wprawnych obserwatorów.

Zamiast ucha, Sonderhaus chwytał dźwięki załamane w soczewce, za pomocą trąbki akustycznéj, mającéj poziomo naciągniętą błonę, posypaną drobnym piaskiem.

Za pomocą soczewki z kwasu węglanego można powtarzać znane doświadczenia ze zwierciadłami sprzężonemi; dwie osoby umieszczone po obu stronach soczewki, mogą z sobą rozmawiać tak cichym głosem, że otaczające osoby usłyszéć nie mogą. (*Pgdf. An.* 1852).

✱ Quetelet z kilkoletnich obserwacyj barometrycznych i elektrycznych wyciągnął ważny wniosek, dotyczący wpływu elektryczności na stan barometryczny powietrza. W tym celu wszystkie spostrzeżenia rozdzielił na dwie grupy: w jednéj zebrał wysokości barometru wyższe nad stan średni ciśnienia atmosfery (w Bruxelli), w drugiéj wysokości mniejsze od średniego stanu. Podobnie na takie dwie gromady rozgatunkował dostrzeżenia nad stanem elektryczności atmosfery, oddzieliwszy przytém zupełnie obserwacye wykazujące bytność elektryczności ujemnéj. Z porównania tak utworzonych tablic okazało się, że ile razy stan elektryczny atmosfery był większym od średniego miesięcznego, zawsze i barometr stał wyżéj nad średnie swe położenie: i odwrotnie: wielkość różnicy w stanie barometrycznym w różnych po sobie idących miesiącach odpowiada stosunkowi zachodzącemu w napięciu elektryczności przy pogodném i pokrytém chmurami niebie. Jednakże, w marcu i październiku znalazł Quetelet dwa maxima w różnicach barometrycznych, niemające odpowiednich w napięciach elektryczności; co zapewne pochodzić może od innych nieznanych dotąd wpływów.

Ze wszystkich jednak porównań ten ogólny wynika wniosek, że barometr, pominąwszy inne znane przyczyny, tém wyżéj stoi, im mocniejsze jest napięcie dodatniéj elektryczności w atmosferze. W czasie istnienia ujemnéj elektryczności, barometr, przy jednakich innych okolicznościach, dosięga swego najniższego stanu.

✱ Zwykle dla okazania doświadczeniem działań dopełniających kolorów, używano dwóch zabarwionych szkiełek: jednego zielonego, drugiego czerwonego, które złączone i ustawione przed okiem, przepuszczają światło białe. Maumené proponuje do tego celu używać dwóch roztworów soli kobaltowéj i niklowéj, które dowolnie dopóty wodą rozcieńczać należy, aż obadwa przyjmą jednakie natężenie. Zmieszawszy tak przygotowane ciecze, otrzymujemy płyn bezbarwny; kolor czerwono-różowy soli kobaltowéj nawet dosyć skoncentrowanéj dokładnie się dopełnia przez zielony kolor soli niklowéj.

✱ Baral ciekawe robił poszukiwania nad wpływem, jaki pory roku wywierają na jakość i ilość różnych materyj w wodzie deszczowéj zawartych. W tym celu rozkładał wodę zbieraną przez ostatnie 6 miesięcy 1851 r. w paryzkiém obserwatoryum i przekonał się, że w metrze sześciennym wody zebranéj

	na tarasie od czerwca do grudnia	na podwórku obserwatoryum od lipca do grudnia
azotu	6,497 gram.	7,939 gram.
amoniaku	3,334 —	2,769 —
kwasu saletrzanego .	14,069 —	21,800 —
chloru	2,801 —	1,946 —
wapna.	6,220 —	5,397 —
magnezyi	2,100 —	2,300 —

Podobne doświadczenia podczas zimy 1851—1852 r. wykonywał Bineau w Lyonie. Z porównania otrzymanych wypadków okazuje się, że ilość amoniaku w wodzie zebranéj z deszczu i śniegu w Lyonie była daleko większą aniżeli w Paryżu; w Lyonie było bowiem 28—31 czerwi milionowych, w Paryżu zaledwie 2—3. W Paryżu był znaczny procent kwasu saletrzanego, w Lyonie żadnego nie wykryto śladu, co zdaje się ztąd pochodzić, że woda zbieraną była w Lyonie w miesiącach styczniu i lutym, najmniéj sprzyjających działaniu elektryczności na utworzenie tego kwasu.

Co się tyczy chloru, dodamy tu uwagę dawniéj już zrobioną, że woda deszczowa zebrana w Paryżu podczas wiatru wiejącego z morza, daleko jest obfitszą w chlorowe połączenia, aniżeli woda Sekwany. Podobnie, ilość soli siarczanych w wodzie deszczowéj w Paryżu i środkowéj Francyi zbieranéj, zawsze przewyższa ilość tych połączeń zawartych w wodach rzecznych.

Główną cechą wody deszczowéj jest bytność w niéj azotowych organicznych połączeń, ulmianu amoniaku i kwasu ulminowego, zawieszonych w dolnych warstwach atmosfery i spadających na ziemię z rosą. W ogóle ztąd wypada, że deszcze dostarczają powierzchni ziemi znacznéj ilości takich organicznych i nieorganicznych części, które są potrzebne do życia roślin, i to jeszcze w postaci sposobnéj do bezpośredniego przyswojenia przez rośliny.

S. P.

CHEMIA.

Nowa barwa zielona. P. Persoz zawiadomił Akademią umiejętności paryzką o nowéj istocie zielonéj, używanéj w Chinach do ubarwiania zielonego włókien tkackich, i dołączył zarazem próbkę rzeczonego ciała.

Powyższy chemik otrzymał od P. D. Koechlin kawałek perkaliku ubarwionego w Chinach na zielono, bardzo trwale, i w ten sposób, że nie daje się w nim wykryć żadna barwa błękitna ani téż żółta. Wreszcie przekonał się wydzieliwszy barwnik, że zieleń ta jest ciałem osobném właściwém, pochodzenia roślinnego. Oprócz tego okazał, że tkanina nią ubarwiona zawierała w sobie znaczną ilość glinki i cokolwiek wapna.

Wypadki powyższe zupełnie przeciwne tak temu co znane było w Europie o składzie barw zielonych, jak i wiadomościom o sposobach barwienia u Chińczyków pod względem przyrządzania zieleni; spowodowały p. P. do zgłębienia gruntowniéj rzeczonego ciała. W tym celu udał się do p. Forbs konsula amerykańskiego w Kantonie, który mu nadesłał około 1 grama w mowie będącego barwnika.

Ciało to było w blaszkach cienkich błękitnych, podobne do indychtu z Jawy, ale różniło się od tego ostatniego przez swój skład i własności chemiczne. Po wymoczeniu kawałka w wodzie, ciecz ubarwiła się błękitno-ciemno, wpadając w barwę zielonawą; za ogrzewaniem stopniowém do zawrzenia, gdy zanurzono w nią kawałek perkalu umoczonego poprzednio w pośrednikach (mordants) żelaza i glinki, kawałek ten ubarwił się, a miejsca napuszczone glinką i żelazem zzieleniały oliwkowo, tkanka zaś bez pośredników, pozostała białą. Tkankę zieloną dochodzono tak jak poprzednią w Chinach ubarwioną, i obiedwie zupełnie jednakowo z odczynnikami się zachowały.

Ztąd wynika: 1) że Chińczycy mają barwę (lakę) z pozoru podobną do indychtu, ubarwiającą na zielono pośredniki glinki i żelaza; 2) że to ciało nie zawiera w sobie ani indychtu, ani żadnéj istoty od téj barwy pochodzącéj.

Wkrótce w skutku środków przedsięwziętych, spodziewać się należy więcéj wiadomości o téj ważnéj barwie. (*L'Institut* z 20 *Octobre* 1852).

* P. Henri Sainte-Claire Deville w ogniu pieca rewerberowego przy poddymaniu mieszkiem, stopił i ulotnił platynę, a roztopił czystą krzemionkę; użył zaś do tego tygla z wapna, i węgla bardzo dziurkowatego. Przykrywa wapienna tegoż tygla, pokrytą była kuleczkami ulotnionéj platyny. (Treść z pisma *L'Institut* z 1 *Decembre* 1852 *r.*).

* *Kwasy tłuste.* Na posiedzeniu Akademii umiejętności paryzkiéj w dniu 17 stycznia r. b. przedstawił p. Dumas rozprawę p. Juliusza Cambacérès, tyczącą się oszczędności, jakieby zaprowadzić można przy wyrabianiu kwasów tłustych, służących do oświetlania.

Wiadomo, że kwas stearynowy otrzymuje się przez zmydlanie tłustości, a wapno i kwas siarkowy do powyższego celu są używane. Jakkolwiek obadwa ostatnie ciała są tanie, zwłaszcza gdy używa się zwykłego kwasu siarkowego z komór, bez jego zgęszczania; rozmaite jednak roboty z tłustościami, zwiększają cenę fabrykacyi. Ale główne zadanie tyczące się oszczędności, nie zależy tu na kosztach. Łój wydaje 45 kwasów stałych, a 43 do 45 kwasów ciekłych; ostatnie te kwasy nie sprzedają się po cenie łoju, jakkolwiek zupełnie są przydatne do wyrabiania mydła, a często ich cena wynosi zaledwo połowę ceny łoju. Do dziś dnia nie użyto tych ciekłych tłustości do oświetlania, chociaż one zawierając w sobie jeszcze pewną ilość kwasu stearynowego, wydałyby piękne światło w lampach z ciągiem powietrza, przy zastosowaniu knota amiantowego. Wprawdzie tłustość powyższa działa na metal w lampach, i tworzy przez samo zetknięcie z nim niedokwas, a potém związek; ale temu zapobiedz mo-

żna przez pociąganie metalu warstwą istoty, na którą powyższy kwas tłusty nie działa. Gdyby kwas olejowy do niniejszego celu został zastosowany, cena jego wyrównałaby cenie łoju.

Dotąd jednak tego nie zrobiono, ale oprócz mydlarstwa, użyto go jeszcze do tłuszczenia wełny; lecz i to we Francyi nie wpłynęło na podniesienie się ceny tego ciała.

Wypadałoby więc szukać sposobu oszczędniejszego saméj fabrykacyi kwasów tłustych, a w szczególności, aby przez zmydlanie powstawało ciało uboczne większéj wartości, niż pozostający dziś siarkan wapna.

P. C. otrzymał to ciało uboczne w soli glinkowéj, która jak wiadomo nabywa się do fabryk. Glinka nie zmydla ciał tłustych, ale używszy potażu lub sody jako pośrednika, znosi się wszelkie trudności. Mydła alkaliczne rzeczywiście rozpuszczają glinkę, zwłaszcza gdy w sobie zawierają nadmiar alkali. W miarę jak glinka się rozpuszcza, łączy się z tłustościami, a uwalnia ze związków alkali z którém tłustości były zjednoczone. Nadmiar alkali lub roztworu solnego, albo wielka ilość wody, wydziela wreszcie mydło glinkowe w postaci galarety; co wszystko się uskutecznia w ten sposób, że rozkład tego ostatniego mydła przez jakowy kwas, powstać może z największą łatwością. Co się tyczy krzemionki stanowiącéj część glinki, wydziela się ona z glinki, gdy zgęszcza się roztwór solny glinkowy, dla otrzymania soli w postaci zsiadłéj.

Własność ta glinki rozkładania mydła alkalicznego, widocznie zależy z jednéj strony od powinowactwa glinki do ciał tłustych, a z drugiéj od nierozpuszczalności mydła glinkowego tworzącego się. W praktyce dla przyśpieszenia skutku, i aby nie brać wielkiéj ilości alkali jako pośrednika; możnaby odrazu z samego początku zmydlania zmieszać glinę z tłustością i alkali.

Widocznie przeto dla otrzymania wyrobu oszczędniéj, mydło glinkowe zawiérać powinno jak najmniejszą ilość alkali. Pod tym względem zastanowić się trzeba nad przemywaniami następnemi dla otrzymania mydła glinkowego czystego, co zwiększa potrzebę pracy ręcznéj, i nad stratą alkali, któreby pozostało połączone z mydłem glinkowém, zkądby powstała mała ilość alunu potażowego lub sodowego, ten zaś znowu złączyłby się z solą glinkową; to jednak nie stanowiłoby przeszkody w użyciu soli glinkowych w sztukach.

P. C. sądzi, że z powyższemi zmianami w robocie, możnaby otrzymywać taniéj świece stearynowe we Francyi. (Treść z pisma *L'Institut* z 19 *Janvier* 1853). *J. B. a.*

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

102. Dzieje panowania Michała Wiszniowieckiego króla polskiego, Wielkiego X. Litewskiego i t. d., opisane przez hr. Salvandy. Przełożył z języka francuzkiego na ojczysty, z przydaniem przypisów objaśniających, X. G. Z godłem:

„O miły Boże, jakież to obrady? kiedy najpilniéj ratować od pogan trzeba ojczyznę, oni wtenczas mają cząl!"

Z Dyaryusza Chrapowickiego wojewody Witebskiego z roku 1673.

8ka. Lwów. 1849. Druk zakładu Ossolińskich. Kart 2 i str. 72. Kop. 25.

103. Galicya pod względem topograficzno-geograficzno-historycznym. Skreślona przez Hippolita Stupnickiego. Z mapą Galicyi, łącznie z obwodem Krakowskim i Bukowiną. 8ka. Lwów. 1849. Druk Zakładu narod. Ossolińskich. Kart 2 i str. 176. Rsr. 1.

1852.

150. Apolinary Kątski. (Na pamiątkę pobytu jego w Wilnie). Przez Jana ze Śliwina. 16ka. Wilno. 1852. Druk J. Zawadzkiego. Str. 98. Kop. 50.

151. Córki prezesa. Powieść przełożona na język polski z szwec(dz)kiego Fryderyki Bremer. 16ka. Warszawa. 1852. Nakład Henryka Natansona, druk Ungra. Str. 301. Kop. 75.

152. O słowie polskiém i konjugacyach jego, wraz z wstępem krytycznym napisał H. Cegielski, Filozofii Doktor. 8ka. Poznań. 1852. Nakład J. K. Żupańskiego, druk W. Deckera i Spółki. Str. 91. Kop. 75.

153. Wykład historyczny i moralny świąt, obrzędów, zwyczajów kościoła Katolickiego. Napisał X. B. Arciszewski T. J. 8ka. Lwów. 1852. Druk Zakładu narodowego Ossolińskich. Str. VIII i 360. Rsr. 1

1853.

15. Jak rozumiéć cholerę, jak się jéj chronić i jak się leczyć. Napisał Albert Horodeński lekarz 1széj klassy. 8ka. Warszawa. 1853. Druk Strąbskiego (nakład autora). Str. 22. Kop. 50.

16. Katalog książek polskich, znajdujących się w księgarni Henryka Natansona w Warszawie. Krakowskie-Przedmieście, nr. 442. N. 2. 8ka. Warszawa. 1853. (Druk Ungra). Str. 34.

17. Rocznik urzędowy obejmujący spis naczelnych władz Cesarstwa oraz wszystkich władz i urzędników Królestwa Polskiego na rok 1853. (Po polsku i po rossyjsku). 16ka. Warszawa. (1853). Druk S. Orgelbranda. Kart 10 i str. 949. Skorowidzu str. CI. Rsr. 1 k. 30.

18. O cholerze w roku 1852, przez A. Kryszkę. Doktora Medecyny, Naczelnego Lekarza Szpitala Śgo Rocha, Członka Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego. (Wyjątek z Pamiętnika Lekarskiego). 8ka. Warszawa. 1853. W drukarni Gazety Codziennéj. Str. 48. Kop. 30.

19. Świat i jego mieszkańcy. Opis wszystkich krajów i ludów kulę ziemską składających, ich obyczajów, zwyczajów, religji, praw, osobliwości sztuki i tworów przyrodzonych trzech królestw natury. Dzieło równie dla rozrywki jak i ułatwienia nauki jeografji według najnowszych podróżników zebrane i napisane przez Wojciecha Szymanowskiego. Ozdobione 40 kolorowanemi i wyzłacanemi rycinami. 8ka. 3 tomy. Warszawa. 1853. Druk Ungra, nakład Rubena Rafałowicza w Wilnie. T. I, str. 240. T. II, 132. T. III, 155. W każdym kart napisowych 2 i rejestru 2. Rsr. 12.

20. Wspomnienia z podróży przez Dra T(eodora) Tripplina. Tom IX, X, XI i XII w 2 częściach. 12ka. Warszawa. 1853. W drukarni Gazety Codziennéj. T. IX, str. 239 (do str. VIII znaczono rzymskiemi liczbami). T. X, str. 210 (do stron. XXII rzym. liczb). T. XI, str. 196. T. XII część piérwsza str. 218, część druga str. 185. Rsr. 6.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Gawędy i rymy Władysława Syrokomli wyszły już z druku w Wilnie nakładem J. Zawadzkiego.

— W Petersburgu hr. Alexy Uwarów syn b. ministra oświecenia państwa rossyjskiego wydaje piérwszą część okazałego dzieła o północnych starożytnościach rossyjskich i sztukach, w okolicy Czarnego morza znajdujących się. Dzieło to będzie rezultatem poszukiwań z polecenia petersburskiego archeologicznego Towarzystwa, dokonanych w téj okolicy. Hr. Uwarów od 1848 r. objeżdża pas ziemi od Donu do Kubanu, zbiera stare monety i napisy, zwiedza muzea w Odessie, Mikołajewie, Teodozyi, i tym sposobem udało mu się wiele ciekawych dat zebrać, które uszły uwagi poprzedników jego; mianowicie też do historyi dawnych *Olbian* nader ciekawe poczynił odkrycia.

— Tamże, B. M. Wolff drukuje seryą 3cią dramatów Józefa Korzeniowskiego; ma ona obejmować znane dramata w Kijowie wydane, i tragedyą Mnich, wydaną przed 1830 r.

— Są pod prasą drukarską ks. Adama Jakubowskiego: Myśli o fabrykach w Galicyi.

— Wkrótce wyjdą: „O stanowisku poetyckiém Dantego i znaczeniu Boskiéj Komedyi."—H. Meciszewskiego: „Opis podróży do Włoch, a w szczególności wejście na szczyt Etny."—W. Pola: „Wypadki postrzeżeń względnie stanu Wisły, uważanego w stosunku do zjawisk napowietrznych."—Prof. Max. Weisse wykonał w rysunku i tabellach;

„Wypadek postrzeżeń z ostatnich lat 10 względem stosunku półodmian barometrycznych z odpowiednią średnią ciepłotą." — Lucyan Siemieński: „O szybach kolorowych w ogóle i szczątkach takichże okien w trzech kościołach krakowskich." Przedmiot ze wszech względów zajmujący, który posłuży do uzupełnienia ważnego dzieła p. F. M. Sobieszczańskiego: „Wiadomości o sztukach pięknych w dawnéj Polsce."

— Wyszło z drukarni Czasu dzieło: „Wykład prawa cywilnego francuzkiego" przez Piotra Buczyńskiego ob. praw doktora. Str. 371.

— W Wiedniu wyszło nowe i pomnożone wydanie Kollara: *Slavy-Dcera*: obejmuje 644 sonetów, między temi 22 nowych. Dodano i mniejsze poezye tego poety. Popiersie jego wykonał bardzo trafnie Fr. Melnicky: większe sprzedaje się po 5 złr., mniejsze po 3 złr. — Professor Susil wygotował niemal zupełnie do druku: *Zbiór pieśni ludu morawskiego*; liczba ich wynosi około tysiąca. Są do nich dodane melodye. Dzieło to ze wszech miar zasługujące na naszę uwagę, wychodzić będzie zeszytami. — Polski kompozytor *Kociupiński*, zaczął wydawać swoje utwory pod napisem: *Śpiewy słowiańskie* z tekstem rossyjskim, polskim, czeskim i serbskim, z towarzyszeniem forte-pianu. Piérwsze trzy numera zawierają: 1) *Bloga ta mateńka twoja* J. D. Minasowicza. 2) Dumka J. B. Zaleskiego: *Hop! hop! cwałem koniu wrony*. 3) Piosnka J. N. Kamińskiego: *Wyszedł chłopiec w brzeg strumienia*.

— W piśmie historyczno-statystyczném wydziału c. k. morawsko-szlązkiego Towarzystwa rolniczego i t. d. Berno, 1852, w języku niemieckim wychodzącém, w zeszycie 4tym znajdujemy bardzo obszerną i z wielkiemi szczegółami wypracowaną rozprawę pod napisem: *Historya Teatru w Morawie i austryackim Szlązku przez d'Elverta*. Ciekawe tam znajdujemy badania, szczególniéj co do dawniejszych zabytków sztuki dramatycznéj, która podobnie jak u nas, zaczynała się od dyalogów mięsopustnych i misteryów, łączących się zwykle z uroczystościami kościelnemi. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, żebyśmy i my przyszli kiedyś do dokładnych dziejów naszego teatru, dopełniając szczególniéj i dawniejsze Wojcickiego poszukiwania, i czasy ostatnie, nie objęte w zarysie Wojciecha Bogusławskiego.

— P. Józef Łukaszewicz pracuje nad historyą erekcyi kościołów w Wielkopolsce; Dr. Gąsiorowski nad ukończeniem obszernego swego dzieła: *Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce*.

— We Lwowie na *Wysokim Zamku* znaleziono nadzwyczaj rzadki i dotąd nigdzie nieopisany pieniądz. Jestto denar Kazimierza W. doskonale zachowany. Różni się znacznie od opisanych w Bibliotece Ossolińskich 1842 r. t. 1, str. 223, tabl. i numer 5, tudzież w spisie monet i medalów *Mikockiego* str. 17 tabl. i nr. 310, tém: że ma obok głoski *K* po jednéj stronie mniejszą głoskę *R* (Rex), po drugiéj takież *P* (Poloniae). Te same głoski znajdują się także obok korony na stronie odwrotnéj.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Styczeń, 1853.

Styczeń 1853. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1ʰ. 14ᵐ. 45ˢ., 7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				HYGROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	do szczu	śnie gu
1		761.31	762.06	761.91	761.68	+ 2°.4	+ 2°.7	+ 3°.5	— 0°.7	92.5	pochmurny	poch. l. m.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Pd.		
2	☌	760.77	760.86	759.41	758.76	+ 0.5	+ 0.8	— 0.1	— 2.3	99.0	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
3		757.99	758.01	756.73	756.10	— 4.5	— 2.5	— 0.5	— 3.6	97.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
4		756.34	756.88	756.77	756.72	— 4.3	— 3.2	— 0.7	— 2.9	97.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ	Pd.		
5		755.85	755.77	754.42	754.80	— 4.4	— 4.0	— 3.1	— 6.1	91.5	poch. mgła	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ	PdW	Pd	Pd		
6		754.98	755.57	755.41	755.46	— 5.5	— 4.9	— 4.7	— 5.7	97.5	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdW.	PdW.	PdW.		
7		754.75	755.34	753.59	752.43	— 5.8	— 5.8	— 6.4	— 7.2	96.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
8		750.07	749.08	747.87	747.86	— 8.3	— 7.7	— 5.4	— 8.0	94.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	Pd.		
9	☍	746.61	746.58	746.64	748.60	— 7.6	— 4.8	— 0.9	— 0.2	96.2	pr. pogodny	pr. pogod.	poch. dész.	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	PdZ.		
10		750.78	751.96	751.94	751.25	+ 0.9	+ 1.0	+ 1.0	+ 0.2	100.0	poch. mgła	mgła gruba	mgła gruba	pogodny	Z.	PdZ.	Pd.	Pd.	1.6	
11		749.73	748.72	745.26	744.01	— 1.9	— 1.9	+ 0.7	+ 2.5	99.2	pochmurny	mgła	pochmurny	poch. dész.	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.	1.8	
12		746.15	744.24	745.33	745.77	+ 1.9	+ 3.3	+ 2.6	+ 2.3	98.8	pogodny	poch. dész.	pochmurny	deszcz	Z.	PdZ.	Z.	PdZ.	5.0	
13		742.60	738.58	735.69	736.48	+ 3.3	+ 3.6	+ 5.4	+ 1.9	95.0	pochmurny	poch. dész.	poch. dész.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	4.5	
14		733.39	732.98	734.39	734.89	+ 1.2	+ 1.8	+ 3.0	+ 2.6	99.2	pochmurny	mgła dészcz	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	2.0	
15		737.84	741.15	741.79	744.33	— 1.3	— 1.1	— 0.3	— 2.9	98.3	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		3.0
16		742.90	741.41	740.58	740.59	— 4.4	— 2.7	— 0.5	+ 0.9	100.0	pochmurny	śnieg prusz.	poch. mgła.	pochmurny	Pd.	PdW.	Z.	PdZ.		
17	☽	739.93	740.63	740.45	740.61	+ 0.6	+ 1.6	+ 1.6	+ 0.8	99.5	pochmurny	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	W.	W.	3.6	
18		739.19	739.55	740.39	742.82	— 0.9	— 0.9	— 1.6	— 3.3	100.0	poch. śnieg	śnieg	śnieg	poch. śnieg	W.	W.	W.	PnW.		14.4
19		746.18	748.97	752.02	755.04	— 3.8	— 2.5	— 2.6	— 3.5	100.0	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	Pn.	Pn.		3.6
20		756.86	757.89	757.54	756.60	— 3.9	— 3.1	— 3.5	— 4.0	98.0	pochmurny	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	Pd.		
21		753.34	752.52	748.88	746.45	— 3.5	— 2.6	— 2.1	— 4.8	96.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	PdW.		
22		743.28	743.70	743.30	744.22	— 6.7	— 2.9	+ 0.2	— 1.4	94.8	pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
23		746.07	747.99	748.52	750.52	— 1.6	— 1.0	+ 0.8	+ 1.0	98.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PnW.	W.		
24		751.94	753.24	754.05	755.23	+ 0.8	+ 2.0	+ 1.6	+ 0.9	100.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
25	☾	754.14	754.69	753.06	753.08	+ 0.1	+ 1.4	+ 1.4	+ 1.6	92.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW	PdW	PdW	1.0	
26		752.70	753.49	753.68	754.76	+ 1.5	+ 1.2	+ 0.3	— 0.7	93.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
27		755.26	755.74	755.45	754.92	— 2.1	— 1.3	— 1.1	— 1.7	92.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	W.		
28		753.96	754.25	752.62	754.17	— 0.8	+ 1.0	+ 1.9	+ 0.3	91.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
29		753.79	754.21	754.23	754.07	— 3.6	+ 0.4	+ 0.3	— 0.7	93.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
30		752.46	752.26	750.35	749.51	- 0.9	— 0.2	+ 1.1	+ 1.0	97.8	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	dészcz drob.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW		
31		750.22	751.61	753.44	755.50	— 0.0	+ 0.2	— 0.0	— 0.4	99.2	poch. dész.	dészcz dr.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	2.0	
Śre.		750.045	750,320	749.862	750.233	—1°.95	— 1°.04	—0°.26	— 1°.42	96.7									21.5	21.0

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.115	27	8.523
Najwyżéj dochodził — d. 1 o g. 10 r.	762.06	28	1.819
Najniżéj — — d. 14 o g. 10 r.	732.98	27	0.927
Średnia zmiana dzienna barometru	3.481		1.543
Największa zmiana dzienna barometru d. 18—19 o g. 10 w.	12.22		5.417
Średnia wysokość barometru jest niższa o	1.333		0.590
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	751.448	27	9.113

Średnia temperatura stycznia wynosi:	— 1°.16 C.	— 0°.93 R.
i ta jest wyższa o	4.48 „	3.59 „
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	— 5.64 „	— 4.50 „
Największe ciepło dochodziło d. 13 o godz. 4 popołud.	+ 5.4 „	+ 4.32 „
Największe zimno d. 8 o g. 6 r.	— 8.3 „	— 6.64 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.871 „	1.497 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 9—10 o g. 6 r.	8.5 „	6.80 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +4°.5 R. d. 13 po połud.
Minimum: —6°.8 „ d. 8 i 9 rano.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości: 21,5 milim. czyli 9,53 lin. par.; z śniegu 21.0 mil. czyli 9.31 lin. par., razem z dészczu i śniegu 42.5 mil. czyli 18 84 lin par.: ilość ta wody jest większa o 6,07 lin. par. od normalnéj.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 96,7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4,86 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większą o 0,02 od normalnéj.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 1, pochmurnych 25.
— dészczu 10 (d. 9, 10, 11, 12, 13, 14, 17, 25, 30, 31).
— śniegu 5 (d. 15, 16. 18, 19, 31).
— mgły 9 (d. 1, 5, 6. 10, 11, 14, 16, 17, 20).
— gradu (krup) 1 (d. 6).

Wiatrów mocnych było 4 (1 Z., 3 PdW.).

Wiatr panujący: Południo-Wschodni, częste były Południowe.

Styczeń r. b. był niepogodny, wilgotny, mglisty, słotny i niezwykle ciepły. Pierwsze ośm dni były pogodne lecz mroźne, następne dziesięć ciepłe lecz słotne, ostatnie dni były łagodne; w ogóle miesiąc ten był o 3 i pół stop. R. cieplejszy niż zwykle. Wiatry południowe i południowo-wschodnie były przyczyną tak ciepłego stanu powietrza. Najcieplejsze dni były d. 1, 12, 13, 14; najzimniejsze dni 5, 6, 7, 8. Elektryczność atmosferyczna w d. 3, 6, 8, 10, 16 była bardzo silna; przeciwnie d. 13, 14, 17, 21, 23, 24, 29 słaba,

Dnia 2, 3, 4, 5 pokazywały się plamy na słońcu.

Korrespondencya.

Strón.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, od *Józefa Wydżgi*.... 386
Sprostowanie, przez *Seweryna Gołębiowskiego*..... 390
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, od *Adama Jochera*..... 400
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *P*..... 582
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Anast. K*..... 582

Kronika bibliograficzna.. ..... 206, 401, 590

Doniesienia literackie..... 207, 402, 591
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiém:
za miesiąc listopad r. z..... 209
— — grudzień r. z..... 405
— — styczeń r. b..... 593
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych, w obserwatoryum warszawskiém w r. 1852 robionych.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1853.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM L.

P
117153

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Biblioteco Załuskich.

—

1853.

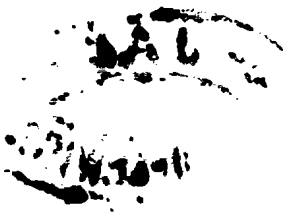

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

W Warszawie d. 16/28 marca 1853 roku.

Starszy Cenzor,

Assessor Kollegialny, **J. Papłoński.**

JAN NARGIELEWICZ

CHATA ZA WSIĄ.

POWIEŚĆ

Józefa I. Kraszewskiego.

I.

Rzadko człowiek postawiony szczęśliwym losem na wygodniejszém nieco stanowisku, chce zwrócić oko na to, co się niżéj niego dzieje; używamy, nie chcemy się uczyć, nie lubimy rozpatrywać. Często wejrzenie takie sprowadziłoby łzę, przypomniałoby ciężkie do spełnienia a konieczne obowiązki; wolimy więc wędrować daléj z głową wzniesioną ku marzeniom, lub odwróconą ku sobie, a co pod nogami, mijamy. Tak idąc, ileż to przepuścim mimo siebie prawdziwych życia tajemnic, których w żadnéj nie znajdziemy książce, na żadnym obrazie, w najfantastyczniejszém nawet marzeniu!

O! szkoda zaprawdę, bo jeden tylko Bóg z góry pogląda na te tysiące ubogich żywiołów, w których jest więcéj siły, piękności, energii i cnoty często, niż w cisnących się nam na oczy dramatach, którym chyba świecące ramy dają prawo do ludzkiéj ciekawości, zajęcia, pamięci.

Nieraz wpatrując się w odartego żebraka, w ubogie dziecię wioski, które zostało sierotą i żyło spleśniałym chlebem jałmużny, myślałem sobie: ileby nauki dla nas wytrysnąć mogło z mikroskopowego wejrzenia na te pełne bolu, upokorzeń, nę-

dzy i odrzucenia—życie nieznanych, nieszczęśliwych, zapartych istot, ledwie widnych na świecie....

Wiemy doskonale jak płyną godziny szczęśliwym, bogatym, znaczącym, spowitym w cieniuchne pieluchy od urodzenia i w bronzowanych spoczywającym trumnach; wiemy jak ich wodzą na paskach, jak musztrują dla przyszłości, jak chodzą, jak się kłaniają, co jedzą, jak się stroją, żenią, zwodzą i rozwodzą, starzeją, głupieją, ziewają i umierają: a któż kiedy wypowiedział formy żywota nędzarza? Przecież przed Bogiem i w oczach badacza ludzi, te dwie egzystencye, z których jedna tak się błyszczy, druga tak kryje niepozorna, równie są wielkiemi i znaczącemi. Motyl i najmizerniejszy robak zarówno są potrzebni na świecie i jedno mają prawo życia. Naturaliści równie śledzą obyczaje i instynkta drobnéj muszki i ogromnego sępa: czemużby powieścio-pisarz nie miał téż równie prawa opisywać drobnostkowo życie jednéj z tych liszek, które pełznąc po czarnéj ziemi, zdeptane nogą niebaczną, giną niepostrzeżone i niepożałowane?

W ogromnéj a dziewiczéj jeszcze przestrzeni historyi człowieka, ileżto zakątów ciemnych, niezbadanych, opuszczonych!

Jak owi pisarze dawni, co mijając drobne twory, szli naprzód poznać się z temi, co im w oko wpadały ogromem, kształtem lub barwą; myśmy téż w historyi człowieka do zbytku i przesytu namalowali już obrazów uderzających, mijając wdzięczne równie, ale mniejsze, skromniejsze i nie tak łatwe do pochwycenia.

Dopiéro dzisiaj postrzegać się poczynamy, żeśmy w wielki błąd popadli: że wszystkie nasze obrazy społeczności są niepełne i kulawe, że im brakuje jednéj strony, i żeśmy wzięli część za całość i odjęli wszelką ważność temu, co w istocie jest może najważniejszém.

Z innego stanowiska, obrazy te pod względem sztuki przechodzą i przechodzić muszą jak sztychy wyobrażające mody paryzkie, które się wkrótce śmiesznemi stają. To, cośmy przywykli zwać społecznością wyższą, jest kosmopolitycznym amalgamem prawie wszędzie i zawsze, na którym się więcéj odbija barwa uprzywilejowanych stolic mody, niżeli kraju z którego łona powstaje. Tak niegdyś Ateny, potém Roma, dziś Paryż i Londyn dają światu konwencyonalnemu, zwanemu wyższym, ton i koloryt. Salon najświetniejszy jest ten właśnie, który

się najwięcéj zbliża do cudzoziemskiego ideału. W Londynie ideałem bywał Paryż, w Paryżu trochę małpują Londyn, a po całym świecie obie stolice; a nigdzie jak tylko u nas wszystko, co tylko obce. Wartoż tak upokarzającego szału rysować wzorki i uwieczniać tak niesłychane zaparcie się siebie, poddaństwo mniemanéj wyższości?—Nie wiem. To pewna, że jakkolwiek życie wyższych towarzystw wielce być może miłém, swobodném w pewnym względzie (bo na straży wszystkim wybrykom stoi na szyldwachu konwenans), ja tego życia sznurowanego i krochmalnego nie lubię—przynajmniéj malować. Musimy w niém żyć:—ha! żyjemy; musimy pod klątwą małpować zagranicznych dudków:—małpujemy; ale żeby nasze kuse fraczki i kuse zfrancuziałe rozmowy zasługiwały na malowanie i studya!! . . . *nego! nego! nego!*

Spojrzmyż niżéj!— Brudno— powiecie? Niestety, brudno istotnie; ale jak dla malarza dziedziniec opuszczonéj chaty daleko jest lepszym przedmiotem do obrazka, niżeli wywoskowany salon z kolumnami: tak i dla powieścio-pisarza, łachman daleko bardziéj malowniczy od krochmalnéj sukni balowéj i wernixowanych bucików eleganta.

Cały ten ustęp ma jedynie na celu wytłumaczyć mnie przed czytelnikami (nie myślę się bowiem uniewinniać przed krytyką, któréj u nas rzemiosłem hałasować i czernić); wytłumaczyć się z przedmiotu téj powieści. Darujcie mi, że was wprowadzę między odarty tłum, do ciasnéj chatki; że wam dotykać każę łachmanów i żyć godzinę w towarzystwie ludzi, co nie umieją po francuzku i nigdy się nie uczyli grać na fortepianie! Może téż na końcu téj bajki znajdziecie i do waszego życia pożyteczny sens moralny, który często mimowoli nawija się autorowi: bo autor każdy wzoruje z dzieła bożego, a w bożych tworach sens moralny jest w najdrobniejszym kamyczku. Chodzi tylko o to, żeby kamyczek przemówił, a człowiek zrozumiał.

II.

Byłato sobie....—wioska (niestety! niestety! znowu na pograniczu Wołynia i Podola) trochę jeszcze wołyńska, już nieco podolska; leżała w dole, co na jakiś jar zakrawał. Ponad nią na równinie szerokiéj, ciągnęły się złociste łany zbóż

niewielkiemi czarnemi przecięte laskami; środkiem sioła biegła ledwie dojrzana rzeczułka, w dość duży staw zebrana. Chaty poprzyczepiane do ścian wzgórza, w zielonych drzew wiązkach bielały wesoło, spoglądając z wysoka ku stawowi, który je w czystych wodach odbijał.

Cicho, zielono, spokojnie, dobrze jakoś było w tym rozdole, który w czasie potopu umyślnie wyżłobić musiały wody, kierowane ręką, co wiedziała, że tu kiedyś ludzie osiędą. I drzewom i chatom i ludowi było tam jak u Pana Boga za piecem; kawałek nieba zawsze jasny prawie świecił nad niemi, rzadko maleńki orzeźwiający wiaterek przeniosły tędy opiekuńcze duchy, a burze zawsze szły sobie gdzieś bokiem na lasy i bory.

To też osada rozkrzewiając się coraz daléj a daléj, posuwała się jarem nad rzeczką, i coraz to nowa chata biała zaświeciła w krzakach leszczyny i tarna, zarastających boki rozdołu. Na wysokiéj płaszczyznie wzgórza, jeden tylko cmentarz za wioską wyniesiony, ponad nią krzyżami górował; to też bardzo był smutny, i nie wiem jak ci ludzie do tak raźnych chatek śmiejących się przywykli, mogli spać potém na tak opuszczonym rozłogu. Musiało tam dużo wstawać upiorów wygnańców i po nocy powracać do zacisznych siedzib swoich.

Cmentarz ten, byłato jedyna część osady zupełnie brzydka, jeśli go jéj częścią nazwać można. W istocie łączył się on z nią prawie; chaty czepiając się góry, wychodziły aż ku niemu, rozsypane ponad drogą; na wierzchołku góry były wrota na łan, i aż do nich przypierał cmentarz. Nie wiem, czyście kiedy przypatrzyli się wiejskiemu cmentarzykowi w okolicy żyznéj, gdzie każda piędź ziemi droga? Jakto tam skąpo wymierzono gruntu umarłym, jak im tam ciasno i duszno! Sąsiedzi w strachu, żeby się cmentarz w ich grunta nie worał, opasali go wałem i rowem; ale nikt nie pomyślał posadzić drzewka, coby szumiało i płakało nad mogiłami. Tylko badyle ostów i zielska co się wszędzie uczepią, obrosły i stare groby i przeszłoroczne nawet mogiły; tylko trochę pokrzyw i dziewanny w żółte strojnéj dzwonki, gdzieniegdzie zielenieją na tylą łez użyznionéj roli.

Ale za to co za las krzyżów i krzyżyków! Nie każdego stało na mocny dębowy, na wielki i malowany; ubożsi wystrugali go sobie z kijów, wypiłowali z kruchéj tarcicy i zatknęli

krzywo, niedbale, na niedługo: piérwsza burza je wywróci, kilka lat w próchno zamienią. Tam żółci się jeszcze świeżuchny grób, na którym nie miała czasu trawa się zasiać i uśmiechnąć zielenią; owdzie zamiast pagórka, dół już wklęsły tylko. Takto i z żalem, jak z mogiłami bywa: gdzie rósł do góry, wkrótce próżnią tylko po sobie zostawia..... Na wale, na rowie, jedno wejście, jedna bramka ciasna, ale nią wchodzi umarły i jeszcze mu zaszeroka; nad nią krzyżyk, a wrotka dawno służą za mostek, bo dyle jego rozpadły się i zgniły, leżąc w rowie głęboko.

Jeśli we wsi zacisznéj wiatru i burzy nie słychać, za to nieboszczyków na téj górze żaden wicher nie minie, żeby nie odwiedził; dużo on tu już krzyżów podruzgotał! Miarkujcie jak to tu smutno, jak ciężko być musi umarłym, a cóż dopiéro żywemu!!

Bo tuż, przez drożynę tylko, o sześć kroków od wrot, nie widzicie? stoi chatka przyparta jedną ścianą do góry obrywu, drugą obrócona na cmentarzysko.

Chatka! oj, złe nazwanie—lepianka chyba; i to jeszcze zawiele może—szałas, ale i nie szałas jeszcze: stoi to coś co się nazwać nie może, a jednak to nie jama zwierzęcia, to widocznie pomieszkanie człowieka. Trudno jest sobie coś nędzniejszego wystawić. Naprzód, że to w bezlesiu, zbudowano ją z kawałków drzewa pozbieranych gdzieś po drodze, może przyniesionych z wiatrem lub burzą, bo większe i lepsze polana nosi dobry wicher, gdy się rozhula. Ale czegoto nie dokażą we dwoje:—człowiek z nędzą? Za dwie ściany służyła góra wilgotna, którą deszcze wygładziły; dwie drugie ulepiono jak gniazdo jaskółcze. W istocie, znajdziesz w nich to, co w gniazdku téj przemyślnéj ptaszyny: drzewko, słomę, glinę, błoto, zbite razem i misternie zlane w całość, która się trzyma i stoi. Zamiast dachu, narzucono kołków z płotu, i krzywych gałęzi leśnych, i słomy jeszcze, i nie wiem tam czego, a pokryto darniną; resztę Bóg dokończył, zasiawszy na téj płaszczyznie bujne bylice, pokrzywy, dziewanny, trawy i zioła liściowe, które związały kruche pokrycie lepianki. Szumi tam na dachu cały łan chwastów tak dorodnych, tak bujnych, jakby na mogile! Z pośrodka nich wypleciony z chrustu, olepiony gliną, wystąpił dymnik, kawałkiem staréj maty przyrzucony i udaje komin: z wielkim talentem komedyant!!

Nie nudźcie się, nie nudźcie kochani czytelnicy: to coś ciekawszego doprawdy od opisania pałacu w stylu odrodzenia, lub willi gotyckiéj. Idziemy daléj.

Ściany żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadało dowierzać (cóż na świecie nie zdradza, kołki nawet!), ściany obwiódł przemyślny budownik przyzbą, która je trzyma i nie puszcza; górą już się chylą, dołem ani sposobu: dwa czy trzy drągi krzywe, zamiast szkarpów służą. W tych dwóch ścianach minęliśmy drzwi i okna, niemniéj przecie od reszty opisania warte. Okna? nie wiem czy tak nazwać można te dwa otworki nieregularne, gliną oblepione, w które wstawiono bez ram, kilka brudnego szkła kawałków. Jużciżto okna, bo choć nie puszczają powietrza a światła dają niewiele, ale oszukują przechodzących, zaręczając, że w chacie widno być musi.

Ze drzwi trudniéj się było budowniczemu wykręcić; ale wielkito budowniczy nędza: tworzy z niczego, żaden Palladio tego nie potrafi. Cud to prawdziwy te drzwiczki, tylko się im pilno przypatrzcie. Sięgają aż pod sam dach zbytniki i mówić się zdają: niech się wchodzący nie schyla; a i one razem z kominem i oknami grają komedyą, bo przyszedłszy bliżéj, masz ich właśnie po pas! Ale i na takie drzwiczki niemało potrzeba było pracować, niemało! W bezleśnym kraju któżbyto tak deskę porzucił, żeby ją można wziąć, nie powiedziawszy nawet: Bóg zapłać. A ten, co lepiankę stawił, widocznie musiał po zapłatę odsyłać do Boga. Oddałbym te drzwi do muzeum, gdyby ci, co szanują starożytne naczynia potłuczone na kawałki, umieli przeczytać z rozbitych drzwiczek, ile westchnień złamało pierś, co je lepiła. Patrzcie, ile tu sztuczek spojonych misternie, ile klinów, wstawek, kawałków, dziur kołkami pozabijanych, drążków pozamienianych na deszczułki tępą siekierą i słabą ręką. Co tu się zeszło rodzajów drzew zdziwionych, że im przyszło jednę pełnić służbę: sośnina, dębina, osika, brzoza, i harda nawet grabina, co tylko młynarzom służyć zwykła, musiała dostarczyć kołków. Byłoż tu pracy, było; ale to dawno, bo dészcz i powietrze jedną szatą szarą pokryły tych wszystkich przybyszów, których nierówność stanów ledwie teraz rozpoznać można.

Wystawcież sobie taką chatkę, takie schronienie bez nazwiska, przylepione do góry, naprost cmentarza, na łysym wzgórku, od wsi o staje; a spytacie pewnie, któż tam mógł budować się i mieszkać?

Ten, co zwykle mieszka w lepiankach — ubogi; istota często winna sobie swą nędzę, często niewinna przed Bogiem, choć przez ludzi wyklęta; biédne stworzenie, które spieszy się umrzéć, żeby odpocząć, bo mu żyć nie ma po co.

Mógłże być stosowniejszy widok dla nędzarza, nad miejsce wiekuistego spoczynku?

Wioska, którąśmy widzieli, zwała się Stawisko. Daléj, daléj w jarze, ku górze już nieco, w kłębach zieloności, u rzeczki zakrętu, miała dwór bielejący zdaleka; śliczny dwór, nowiuteńki, czyściuchny, a tak posadzony zręcznie, że z niego widać było co tu najpiękniejszego dał Bóg: wodę, góry, chatki, cerkiewkę, kościołek i lasy w dali. Cmentarza ztamtąd ani słychu, ale téż po co tam cmentarz?

Kto mieszkał we dworze, dowiemy się późniéj; teraz się zwrócimy do chatki.

Przed laty kilkudziesięcią, nim jeszcze ten wspaniały dwór stanął i angielskie ogrody zajęły miejsce warzywnych, do Stawiska przywlokła się raz gromada cyganów, któréj, jak zwykle, naczelnik zajmował się kowalstwem, krewni byli pomocnikami, a rodzina wróżyła i kradła. Że już naówczas coraz rzadszemi stawały się pielgrzymki tych zagadkowych włóczęgów, których pochodzenie i język dotąd nieprzebitą pokryte są tajemnicą; cała swobodna część ludności powybiegała przyglądać się przybyszom, co po secinach lat wygnania, jeszcze nosili wypiętnowany na czołach ślad pochodzenia swego, kędyś z ogorzałego Wschodu czy Południa.

W istocie, w twarzach i stroju tych przybłędów było coś tak nienaszego, tak obcego, że obojętny nawet wieśniak zwrócić musiał oczy na tych ludzi innego świata i innego życia, nie umiejąc pojąć ani ich wygnania, ani dobrowolnéj koczującéj doli.

Wszystkie baby, nawet te, które miesiły chléb, z zakasanemi po łokcie rękawami powybiegały przed sień, wiodąc ciekawe a przestraszone dzieci za ręce i trzymając je silnie, w obawie, żeby ich cyganie nie porwali; wszyscy starzy wystąpili aż na drogę, a powracający z pola, byłto bowiem wieczór letni, zatrzymywali się z pługami wśród ulicy. Banda tych cyganów składała się z kilkunastu głów i szła powolnym krokiem

aż pod karczmę; najdorodniejszy, słusznego wzrostu mężczyzna prowadził wóz, na którym widać było mały, połatany mieszek kowalski, złożony namiot, przenośne kowadełko i inne żelaztwa i manatki. Wśród tych rupieci siedziała średniego wieku kobieta, niewygodnie skurczona, z dziecięciem u piersi.

Istna to była czarownica: czarny włos spadał dokoła jéj ogorzałéj twarzy o oczach błyszczących, i koralowych szerokich ustach; fałdzista wielka chusta osłaniała ją całą. Na kolanach leżało dziécię nagie zupełnie i ustami przyczepione do macierzyńskiéj piersi.

Wzrok téj kobiety, na któréj twarzy widać było znużenie, boleść i smutek, nie odwracał się od dziecka ani na chwilę; zdawała się coś roić o niém, a na resztę świata nie chciéć spojrzéć nawet. Mężczyzna, który silną dłonią wiódł za sobą wóz ich podróżny, był nadzwyczaj barczysty, ogromnego wzrostu i srogiéj a chmurnéj fizyognomii. Czarny, z piersią obnażoną i kudłami porosłą kruczemi, okryty ledwie koszulą dziurawą, zasmoloną i zdartemi spodniami, szedł boso, z odsłonioną głową, któréj tylko włos kędzierzawy bronił od słońca i wiatru; ale mimo łachmanów szedł tak dumnym krokiem i z tak poważném wejrzeniem, żeś zaraz w nim poznał wodza gromady, *Romów* (tak się zowią często cyganie).

Koło niego, poza nim, wlokła się reszta rodziny: troje dzieci nagich, różnego wzrostu, od dwunastu do ośmiu lat mieć mogących; chłopak dwudziestokilkoletni, dziewczyna smukła, pięknéj kibici, może ośmnastoletnia, trochę wykwintniéj ubrana i oryginalnie ładna; zgrzybiała baba, podstarzały o kiju z kędzierzawym łbem, popychający wóz krępy a nizki człowiek, i dwie czy trzy jeszcze kobiety, obwieszone kołdrami pasistemi, wlokącemi się po ziemi.

Wszystko to szło cicho, jakby czekając rozkazu wodza i poglądając niekiedy na niego; wóz zatrzymał się pod karczmą, starszy podniósł głowę i obejrzał się dokoła.

Właśnie na próg gospody wyszło kilku gospodarzy i przodkujący im wójt w wysokiéj czapie baraniéj; patrzyli oni i milczeli, czekając z czém téż się odezwą podróżni. Cygan tylko okiem ich porachował, i instynktowo, czy po nowéj czapce może, domyślił się pana wójta, podszedł krok ku niemu, skłonił się nieco.

—Bóg z wami, panie gospodarzu—odezwał się łamanym językiem z ruska, głosem silnym i pełnym szczególnego jakiegoś dźwięku, jakby poza tą mową pożyczaną, inna obca, druga się ukrywała.—Pewnie wy tu jesteście starszym?

—A jakby tak, to cóż?—spytał dosyć się szanując i z wysoka Maxym Lach.

—A jakby tak,—odparł cygan, powoli pot ocierając z czoła resztą podartego rękawa—tobym was prosił, żebyście mi pozwolili przenocować we wsi.

—Ba! ba! a jutroby jakiego konia niestało!—rzekł śmiało wójt, biorąc się w boki.

—Nie macie się co o to obawiać—z westchnieniem i półuśmiechem odpowiedział cygan.—Wy koni nie macie podobno, a my nie z tych cyganów, co na cudze patrzą: swojemi rękoma na chléb pracujemy. *Ciurachanów* (złodziei) między nami nie ma.

—Ale zkądże u diaska wiedzieć już możecie, że ja nie mam koni?—z zadziwieniem zakrzyknął Maxym Lach, który aż podskoczył.

—Cygan wszystko wié, dobrodzieju!— obojętnie mruknął dowódzca bandy.

—Toć i licho— czerwieniąc się, a na swoich oglądając, ciągnął daléj niespokojny pan wójt;—gdyby wam to nie było potrzebne na złe, żeby wiedzieć wszystko, tobyście się nie starali o te wiadomości. Patrzajcie go, jeno do wsi wjechał, już wié, że u mnie koni nie ma. To znachor!

—Jakito znachor?— rzekł powoli ruszając ramionami cygan.— Ot zaraz wam opowiem zkąd co wziąłem, a dziwić się przestaniecie, żem tak mądry. Od tygodnia już siedzieliśmy w Piątkówce, o półtoréj mili ztąd; chwała Bogu ludzie się tam na Aprasza nie poskarżą: dużo się roboty przez nasze ręce przewaliło. Jakeśmy wychodzili, powiedzieli mi drogę do Stawiska i zalecili do was, panie wójcie; a stary Muryniec dodał: tylko jemu koni nie podkujecie, bo ich nie ma. Otóż cały sekret!

Gdy się ta rozmowa toczy, cyganów reszta znużona drogą, jak stała, rozłożyła się na ziemi. Starsi pospuszczali głowy, młodsi je podnieśli, przypatrując się wiosce, a dziéwczę cygańskie stanęło obok dowódzcy w postawie wdzięcznéj i zdawało się chcieć czarnemi oczyma zmiękczyć ostro dosyć i nieufnie poglądających wieśniaków.

—No, no! jak ono tam jest, to jest,—zawołał Maxym Lach—a wy sobie ruszajcie z Bogiem daléj.

—Ale no, tylko przenocować pozwolenia prosim.

—Jeszcze słonko nie zaszło, dobijecie się do innéj wsi; u nas tu cyganów nie bywało i bez nich się obejdzie.

Starszy westchnął, zamilkł chwilę, sparł się na biczysku, podumał, a powolnie głowę podniósł. Podstąpiła dziewczyna.

—A cóżto wam złego mogą zrobić cyganie?— odezwała się śmiało, wyraźnie i czysto po rusińsku.—Was tu tyle, a nas maleńka kupka: wstydalibyście się obawiać nie wiedzieć czego. W Piątkówce cały tydzień siedzieliśmy i chwała Bogu nie uciekliśmy z niéj, ale nas ludzie pożegnali dobrém słowem i prosili z powrotem.

—Cicho Azaoro, cicho!—tupiąc nogą przerwał cygan—co się tobie w to wdawać? Za wóz mała! a do bab! Nie wypędzajcie nas, panie wójcie, a rozmyślcie się; teraz pora robocza, kowal o dwie mile, ciężko wam niejednemu dzień tracić dla naprawy lemiesza lub naralnika: pozwólcie nam przyzostać, a i my kawałek chleba miéć będziemy, i wy z nas wygodę! Za co u was drugi weźmie złoty albo dwa, ubogi cygan zrobi za dziesiątkę lub półzłotka, i dzień jeszcze zyszczecie, a to także grosz znaczy. Powietrza wam, ani ziemi, ani wody nie weźmiemy z sobą, a miejsca dużo nie potrzebujemy także. Ot—dodał wskazując—kawałek wygonu, aby namiot rozbić i kociołek powiesić, to dla nas dosyć....

Gdy cygan tych słów domawiał, gospodarze poczynali kiwając głowami spoglądać po sobie; znać było po nich, że się łakomili na kowala. Sam pan wójt poskrobał się w głowę, kilka razy czapki poprawił i obejrzał się w milczeniu na swoich, jakby rady szukał.

Aprasz uczuł, że przy nim wygrana i nieznaczne półuśmiechu prześliznęło mu się po ustach spalonych. Spiesznie począł mówić daléj, bijąc żelazo póki było gorące . . . i mówił tak skutecznie, tak zręcznie i trafnie, że wkrótce pomimo wstrętu, jaki wójt miał do cyganów, zaprowadzono ich na odłóg nad stawem, i tam namiocik rozbić dozwolono.

Cyganom tego tylko było i potrzeba: kawałka ziemi do wbicia czterech kołków przenośnego ich domku, miejsca na ognisko i nadziei jakiegokolwiek zarobku. Piérwszego dnia nawet nie rozsypali się po wsi jak to zwykle bywa, kobiety

nie włóczyły się po chatach, Aprasz nic nie pożyczał; ustawiono kuźnię, przyprawiono miech, wbito kowadło i już nad wieczór podkuto konia jednemu chłopowi z wielką jego radością, za bardzo tanią cenę, w któréj wypłatę wchodził chléb zczerstwiały, obrok dla konia i chuda kura oddawna niepotrzebnie gdacząca.

Nazajutrz już robota płynęła do kuźni cygana; a gdyby się był chciał trzeciego dnia oddalić i namiot swój zwinąć, myślę, żeby go byli chłopi siłą, mocą wstrzymali: tak wiele jeszcze pozostawało do zrobienia, taki ścisk był na wygonie. Prawda, że téż *Rom* (cygan) niesłychanie był zręczny: konie przedziwnie kuł, kurował i sprawiał, chętnie się wdawał w rozhowor, nie szczędził rady, a tak wiedział co do kogo przemówić! Na wsi téż, jak wszędzie na świecie, temu najlepiéj, kto się w porę popisać z sobą umié, i pracą swoją pochwalić i zalety jéj pokazać, a Aprasz celował w umiejętném pochwaleniu się najmniejszą drobnostką.

— Patrzajno—mówił do milczącego i już zawczasu admirującego chłopka – przypatrzno się, co to za podkowa? Widziałeś ty kiedy w życiu taką? Ot, jaki u twojéj szkapy róg kruchy i zadzierliwy, a jak ona się tu gładko przylepiła, jakby przyrosła. Popatrzajno! gdyby rękawiczka! I niezakuty koń nie zakuleje, nie bój się, bo ja nie zagwoździę! nie! A w drodze na najsroższéj grudzie nie obleci drugiego dnia, jak po waszych kowalach! Podziękujecie i będziecie Aprasza wspominali!

Słowem, wszyscy kowale okoliczni, którzy zwykli byli robić do Stawiska, stracili naraz zajęcie: cygan wszystkich ku sobie pociągnął. W tydzień wierzono, że nikt na świecie nie włada tak obcęgami i młotem, jak ten cudowny Aprasz; stękano zawczasu myśląc, co to będzie, gdy go niestanie.

Trzeba téż przyznać, że postępowanie całéj bandy wiele się przyczyniło do tak ochoczego przyjęcia cyganów; nie widziano dotąd nic podobnego: śpilka nie zginęła na wsi, kobiety siedziały przy wozach dni całe, ani ich było słychać. Baby same już po leki i po wróżby przywlekały się do nich, ale niełatwo było wymódz oboje; cyganki były smutne, dzikie, ostrożne.....

Po tygodniu cygan spiesząc daléj, chciał zwijać namiot i wóz pakować; ale gdzie zaś! tyle jeszcze złamanych było

lemieszów i koni bosych, tyle dla niego zajęcia! Sam wójt go przytrzymywał.

Siedzieli cyganie i siedzieli w Stawisku; a wkrótce tak się dobrze osiedlili, że Aprasz jamę wykopać kazał, darnią ją pokrył i pod namiotem znalazła się niespodzianie ziemlanka. Nikt przeciwko temu nie miał ani słowa, i owszem, cieszono się z kowala własnego, pozbywszy pożyczanych; a z innych wsi nawet szli do Stawisk z naralnikami i siekierami.

Rodzina tych przybyszów składała się, jakeśmy wspomnieli, z samego wodza bandy, z owéj kobiety z dziecięciem, która się zwała jego żoną, trojga wyrostków, dwudziestoletniego chłopaka, kilkunastoletniéj dziewczyny, oryginalnie pięknego stworzeńka, które miało instynktowe uczucie swego wdzięku, staréj baby, posługacza co przypominał Kaliban'a poczwarnością, i trzech kobiét nieznanym jakimś węzłem łączących się z rodziną.

Lecz byłali to rodzina? Kto tu ojcem, matką, siostrą, bratem, żoną, mężem? —nie można było z pewnością powiedzieć; zwali się wszyscy dziwnemi imionami, tylko władza jednego despotycznie rządziła niemi. Dwoje starych nie mieli tu powagi swojemu wiekowi właściwéj; traktowano ich jak posługaczy, jak dzieci: oni słuchali pokornie. Zresztą nie było to pospolity motłoch cygański, ale coś niby szlachetniejszego grało na ich osmalonych czołach; w oczach czarnych, na mlécznych białkach osadzonych, biła z ich wejrzeń tęsknota wygnańców, znużenie osieroconych, piętno wyroku dzieci Kaimowych.

Całemi dniami owa niewiasta, żona Aprasza, siedziała z dzieckiem, którego nie spuszczała z kolan, pod rogiem namiotu, milcząca jak posąg, nieruchoma, z oczyma wlepionemi ślepo w drugi róg namiotu; i nie rzekła słowa, nie ruszyła się do jadła, nie zajęła niczém. Czasem mąż zagadał do niéj, ale mu nie odpowiedziała; przybiegły do niéj nagie dzieciaki, nie spojrzała na nie; tylko gdy niemowlę zapłakało, przycisnęła je silniéj do suchéj piersi i dwie prostopadłe marszczki przecinały chmurne jéj czoło. Stara baba posługiwała jéj w podobném milczeniu, a krępy Kaliban (zwany po cygańsku Cynonem nizkim) uwijał się przy kuźni. Trzy kobiéty warzyły jedzenie, pilnowały dzieci; młody chłopak z Apraszem stał za kowadłem i pomagał majstrowi, w milczeniu więcéj robiąc od niego.

Ostatni, pomimo że w rysach jego twarzy, w oczach i ustach przebijała się krew cygańska, wielce się różnił od swojéj braci Romów, jak gdyby obcego plemienia pierwiastek; myśli i żądze grały mu w piersi. Włos jego nie miał kruczéj czarności i kędzierzawości Aprasza, i spadał w prostych strugach na szerokie ramiona; twarz także była bielsza, oko inaczéj wycięte i osadzone, wargi mniejsze i szczuplejsze. Ogół twarzy podłużny, miał coś w sobie typu Rusinów, ale zmieszanego z krwią tułaczy.

Chłopak ten choć posłuszny rozkazom wodza, choć pracujący z nim razem, nie był mu jednak tak uległy, jak inni; często na słowo ostre odpowiadał niemniéj żywo, mierzył się wejrzeniem z Apraszem. Starszy w drżącéj dłoni młot nieraz podnosił do góry, jakby go chciał uderzyć i zęby ścinał i brwi nań marszczył, jak iskry sypały się im słowa;... ale po chwili zwada uchodziła, i znowu głuche i przerywane tylko biciem młotów następowało milczenie.

Po dniu pracy, młody cygan nie spoczywał ze swemi towarzyszami pod namiotem, rzadko sięgał do kociołka ich strawy; z suchym chleba kawałkiem biegł na wzgórze, siadał zadumany, i tam go oblanego rosą wieczorną noc chwytała, sen zaskoczył.

Uparte żony milczenie, częste z czeladnikiem spory, nie uszły oka chłopków, którzy na tę tajemnicę rodzinną dziwacznie poglądali zaciekawieni i niespokojni. Nawet dla nich, co nie nawykli nic badać i śledzić, czuć było jakiś dramat pełen krwawych tajemnic w węźle, co łączył tych dziwnych włóczęgów. Ta matka, co się zdawała żyć tylko dla dziecka; ten pomocnik, który dawał pracę swoję, a nie chciał oddać naczelnikowi duszy i siebie; ci starzy wreszcie, jak bydlęta spełniający najcięższe posługi, i ta dziewczyna piękna, wdzięczna, zalotna, zdająca się wszystkim, a nawet wodzowi panować:—budzi ciekawość i roje domysłów.

Z gromady całéj, najdobitniéj cyganami byli Aprasz i Aza. Ta mogła mieć lat ośmnaście, i prócz wdzięku świeżéj młodości, miała tę piękność nie naszę, dziką, osobliwą, bronzową, ognistą, któréj próbki widzimy w indyjskich posążkach, w indyjskich malowaniach, zdobiących stare ich poemata. Oczy jéj czarne siały ogień i zdawały się więzić wzrokiem niepokonanym, przed którym każda najśmielsza zniżała

się powieka; nos kształtnie zgięty, usta nieco wydatne, policzki jednostajnéj barwy ciemnozłocistéj, okalały sploty włosów hebanowych, tak obfite, tak ogromne, że niemi i głowa opasaną była i szyja otoczona, a reszty jeszcze splecione, przez ramiona na barki spadały...

Na jéj czole, w oczach, ustach i w całéj postawie, szatan czy anioł w kolebce napisał: ty będziesz panować! I szła ze swém przeznaczeniem śmiało, pewna jutra; a było coś zadziwiającego w téj nędzy i łachmanach, okrytych purpurowym płaszczem uczucia swéj potęgi.

Kibić jéj, bo i kibić ma potęgę swoję, wdziękiem przechodziła twarz jeszcze; czułeś pod obcisłemi łachmany, które ją okrywały, że to ciało wykute było ze spiżu, na wzór jakiś pierwotnych wieków, co się o ideał postaci ludzkiéj otarły. Boska jéj nóżka, czarna jéj ale mała ręka, godne były deptać złociste wezgłowia i obwijać się drogiemi tkaninami Wschodu. Na téj piersi lada płócienna zasłona zmieniała się w szatę bogatą, i posłuszna fałdowała się jak najcieńszy rąbek.

A jednak piękność ta nie była powszednią: niekażdyby ją był spostrzegł, rzadki się nią zachwycił; potrzeba było uczucia nieśmiertelnych typów piękna, żeby w niéj ukryte cudo odgadnąć.

Śmiejcie się jeśli chcecie: gmin ją miał za dosyć brzydką młodą cygankę, a poeta biegłby za nią jak za cudném zjawiskiem.

O! umiałaż się, umiała stroić zalotnica! Białego płótna kawał, pstry rańtuch, pas czerwony, sznur korali, garść pstrych kwiatów polnych, świecące szkiełka:—wszystko jéj było strojem i wszystko do twarzy. Stawała nad wodą, myślała trochę i obwieszała się coraz inaczéj od stóp do głów w ubogie swoje świecidła; często godzinę tak wdzięczyła się sobie sama, lecz gdy wróciła potém pod szary zakopcony namiot, jaśniała w nim sama jedna odnowioną urodą, tak, że Aprasz nieraz podniósł głowę od roboty, ażeby się jéj przypatrzéć, a spojrzawszy smętnie się uśmiechał czegoś.

Jeden chłopak, dziki ów cygan, coto z wodzem nieraz się śmiał spierać, ani patrzał na piękną towarzyszkę swoję; zdawało się to w nim raczéj silném postanowieniem, niżeli dobrą wolą.

Oparta o namiot, w cieniu, błyszcząc tylko czarnemi ognistemi oczyma, Aza śpiewała, lub słowy jak strzałami zatrutemi drażniła i jątrzyła milczącego. Ale te słowa były jak liście, co padną na wodę: woda się zmarszczy, liść płynie, i znowu niebo się w niéj przegląda. Tumry, tak zwano chłopaka, nie słuchał, nie patrzał, nie odpowiadał; czasem się nachmurzył, niekiedy do siebie uśmiechnął i kuł żelazo jak nieżywy młot, jak posłuszne narzędzie, spoglądając, rychło zajdzie słońce i ogień pod hornem zagaśnie, żeby uciec na góry samemu i z sobą odpocząć.

Aprasz i dziewczyna, czasem dzień cały dogryzali mu ostrzonemi widocznie wymówkami, szyderstwem, śmiechem lub łajaniem; on cierpiał, oburzył się czasem na starego, bryznął słowem na dziewczynę, lub częściéj zmilczał, dobił końca dnia i uciekał. Innego dnia znowu i stary i Aza chcieli go ku sobie pociągnąć piosnką, miodowém słówkiem, długą nauką, lub słodkiemi obietnicami: Tumry milczał uporczywie i udawał głuchego.

Wszystko to i wiele innych scen dramatu widzieli nieraz wieśniacy, czekając na swe lemiesze i radła, i pojąć nie umieli, co się tam działo pod tym namiotem wędrownego Tubal-Kaina. Rozmowy przybyszów gorące, żywe, szybkie, odbywały się wszystkie w tym języku niezbadanym, którego nikt dotąd dobrze nie zrozumiał, nikt się nie wyuczył: bo język ten zmienia się umyślnie, jak wąż barwiąc coraz inaczéj, i jak wąż sunąc pod trawy i liście od ludzi. Któż tam wié, ile krajów, wieków, ludzi i pamiątek, stworzyło tę mowę splecioną ze dźwięków najdziwaczniejszych. Może w niéj brzmią jeszcze wyrazy robotników, co wołali z wierzchołka wieży Babel, może dźwięczy zaklęcie kapłanów Brahmy lub Ozyrysa; może!.... ale któż to odgadnie!

Był jednak we wsi Stawisku ktoś jeden, co język Romów umiał, cygan, który za przybyciem swéj braci zamknął się w chacie, by ich nie widzieć; ale palony niepokonaną żądzą usłyszenia choć zdaleka dźwięków mowy, którą jak sen dzieciństwa pamiętał, nocą się podkradał tajemnie pod szatrę i godziny całe leżąc na ziemi, pił głos rodzinnego języka, co mu się odzywał to w piosence Azy, to w narzekaniach kobiét, to w rozkazach Aprasza.

Stary Lepiuk w istocie był pochodzenia cygańskiego, ale w nim tylko jego pamięć pozostała, bo się długiém życiem

przetworzył zupełnie i rzadko kto w twarzy nawet mógł wyczytać ród jego. Ludzie mówili, że dawnemi czasy znaleziono któréjś ciężkiéj zimy, na drodze między Stawiskiem a Rudnią pod kupą nawianego śniegu, dwoje zmarzłych ludzi: byłto nagi cygan i cyganka. Oboje napadnięci w drodze mrozem i zawieją, czując widać zgon swój, ratowali już tylko dziécię, które mieli z sobą; sen śmiertelny ich zmorzył nad drogą skulonych przy kilkoletniém dziecięciu, które ocalało zasłonione skostniałemi trupami rodziców. Jakiś litościwy gospodarz okrywszy kożuchem dziecinę, zawiózł ją do wsi, odchuchał, a zmarzłych cyganów pochowano na rozdrożu bez krzyża, i mogiła ich dotąd zasypywana kamieniem i gałęźmi, zowie się: cygan-cyganicha. Lepiuk właśnie był owym znajdą; wychował się w Stawisku, wyrosł na parobka, przejął obyczaj wiejski, mowę, postawę i twarz nawet; zdawało się, że zabył swoich na wieki. Gospodarz, co go uratował, dał mu krewniaczkę za żonę; objął z nią chatę, odziedziczył nazwisko, dochował się dzieci, i wżył się w wioskę jak w swoję.

A jednak, o wspomnień siło! krwi potęgo! cuda nieodgadnione! węzły niestargane! ile razy staremu już Lepiukowi przyszło przechodzić koło mogiły na rozstaju, stał tam długo i myślał i wzdychał; a kiedy do wsi przybłąkali się cyganie, Lepiuk głowę stracił. Uczuł, że mu się w niéj mąciło, że stare, zastygłe serce przejechało wzdłuż i wszérz całą pierś, jakby z niéj chciało wyskoczyć i rzucił się do drzwi, zaryglował je sam przed sobą; w nocy nie spał, we dnie chorował. Potém jął od braci cyganów uciekać, bojąc się ich spotkać, lękając się, by na jego czole nie wyczytali odstępstwa; a nocami wykradał się jak złodziéj pod szatrę Aprasza, i stary płakał nad pieśnią, któréj z początku nie rozumiał.

Język ten jego dzieciństwa był w nim jakby uśpiony a niezapomniany; spał on gdzieś w sercu, czy w głowie, a gdy go iskra uczucia dotknęła, przebudził się i powstał. Zrazu Lepiuk nic nie rozumiał prawie; byłto tylko szum jakiś, szemranie jakieś, jak gdy gwarny tłum jedzie śpiewając pieśń: chwytasz ją już, a jeszcze zrozumieć nie możesz. Potém po jednemu, któż wié jaki wyraz spał głębiéj, leżał ciężéj przykryty, z kolei wstawać poczęły słowa, ożywiać się, poruszać, ukazały się jaśniejsze, jedno drugie wiodło za rękę, aż wszystkie do jednego podniosły się, i zaśpiewały starcowi uroczą pieśń młodości.

A stary płakał rzewnemi łzami i wstydził się swych oczu i krył z niemi, a boleść i wstyd kamieniem go gniotły; kochał przeszłość, a bał się do niéj powrócić.

On jeden słyszał wśród nocy dziwne rozmowy włóczęgów; widywał wybiegającego z szatry Tumry, wyglądającą za nim Azę, klnącego Aprasza i czarne oczy jego żony, nieruchomie wlepione w dziécię, którém żyła.

Nieraz, gdy starzy i posługacze usnęli pod wozem na darni, pod namiotem płonął jeszcze ognik i słychać w nim było długo szmer słów, jak iskry z rozżarzonego pryskające węgla.

—Słuchaj Azaoro, to daremnie — mówił raz Aprasz do dziewczyny, która wyciągnąwszy rękę, groziła nią poza namiot ku siedzącemu zdala na urwisku gliniastém Tumry.—Trzeba zapomnieć o tym zdrajcy, to krew nie nasza: to krew *Gadziów* (niecyganów), to dziecko mojego brata, ale nie siostry mojéj, matka jego była jasno-włosą *Gdzią* (chrześcianką). Daremnie, byle krwi ich kropla zmieszała się tylko z naszą, zwycięża i bierze górę.

Wielki duch, *Mroden-oro* (Bóg) skazał nas na wszelakie zniszczenie ile razy połączym się z innym rodem; krew obca zatłumi krew *Romów*. Zostawmy go losowi, który go czeka, niech idzie na złamanie karku, gdy mi odsłuży co winien za naukę.

—A! byleście go odepchnęli, to pójdzie!—odpowiedziała dziewczyna. — Ptaka ziarnem wabią, nie strzałą.....

—Małożem go wabił i głaskał? ty i ja?

—Ja może, ale ty niebardzo; zawsze w nim nienawidziłeś obcego.

—Mamże kochać obcych? — szydersko uśmiechając się odparł Aprasz— dla nas za niemi ani na ziemi kąta, ani kropli wody, ani cienia, ani spoczynku. Powitaż nas kto słowem poczciwém, pożegna dobrém życzeniem, powié nam kto, bracie? Wyklęci, musimy przeklinać!

—A cóż temu winien Tumry, że się urodził z jasno-włosej matki?

—Winien, nie winien, każdy pokutuje za grzechy cudze; za nasze męczyć się będą wnuki, my za pradziadowskie je-

czym....— I klął nieznanym szatanem.— Słuchaj Aza— dodał— dosyć tych wabień i przyciągań; on myśli, że się bez niego obejść nie potrafimy i w dumę się wzbija. Znajdziesz innego męża, niech go tam *Bynk* porwie (diabeł).

Cyganka uśmiechnęła się, i dwa rzędy białych zębów błysnęły zpod warg rumianych; ale w oku jéj nie było uśmiechu.. zadrżały jéj usta odpowiedzią i zamknęły się milczeniem. W czasie téj rozmowy, cygan po kilkakroć rzucił okiem na kobietę z dzieckiem, zbliżył się do dziewczyny i szepnął znowu wezwawszy *Bynk'a*.

—Albo ta! albo ta! widzisz ją? i w niéj gra krew cudzych ludzi, krew *Gadziów*. Już lat trzy milczy i łzy nawet nie puści, i wędruje z nami, a serce gdzieś zostawiła za sobą. Nie! nie! cyganom się nie bratać z białowłosemi; nasza dola wygnanie, nasz los wieczna włóczęga, a to ślimaki wiecznie do skorupy przykute. Oni się rodzą do jednego miejsca, a skoro je z oczów tracą, mrą powoli.....

—Daj jéj pokój— odpowiedziała Aza—wypłakała już łzy, wyjęczała słowa; pewna jestem, że gdy dziécię od piersi jéj odskoczy, ona martwa upadnie....

Aprasz tylko ramieniem ruszył obojętnie, wyjrzał za szatrę, popatrzył na gwiazdy i powalił się na ziemię jak bryła bez życia.

Aza pozostała w miejscu, patrząc gdzieś daleko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZACHWYCENIE.

(Z PODAŃ LUDOWYCH).

— Matulu moja, powiédzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O moje dziecko! byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju:
Same jabłonie, i wielkie grusze.
Na nich najczystsze umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę
Poprzemieniane w owoce złote:
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłém się słońcu pięknie kołyszą.
Ale ich z drzewa zrywać nietrzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.

Potém widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod Boże nóżki:
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.

Potém widziałam prześliczne kwiatki,
Te w bożych łąkach niebieskie bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali
A potém w niebie powyrastali.

— Mateńko moja, proszęż ja ciebie:
Co téż tam robi Pan Jezus w niebie?
Co robi w niebie Gwiazda zaranna.
Królowa nasza Najświętsza Panna?

— O moje dziecko! o! kochające!
Jezus owieczki pasie na łące
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę
I nie boją się, takie łaskawe.
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.

Matka Najświętsza dla ludzkiéj nędzy,
Wyrabia płótno ze srébrnéj przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty,
Miały koszulki z owéj roboty.
Gdyby w jesieni pochmurnéj, słotnéj,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

— Matulu moja! czyście widzieli,
Co téż tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami,
Bardzo wysoko temi gwiazdami;
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy.
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.

— Jest téż jak u nas, mateńko droga,
Taka wesołość u Pana Boga?

— O moje dziecko! jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje!

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O! jeszcze piękniéj, jeszcze weseléj,
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam, gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie:— w rumianéj zorzy,
We łzach radości, w miłości Bożéj....

— Matulu moja! powiédzcie ino:
Widać tam naszą wioskę jedyną,
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?

Widać tam dziewczę co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi, i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku przy bożéj męce?

— O! widać wszystko gdzie się kto ruszy!
Wiedzą tam dobrze o każdéj duszy.

Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną;
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i całe niebo ożywi!

— Teraz powiédzcie, mateńko droga,
Co tam jest więcéj u Pana Boga?

— Potém widziałam: strasznéj wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokiem,
I patrzał na świat żałosnym wzrokiem;
Bo w owéj księdze wszystko tam stoi,
Co tylko człowiek na świecie zbroi:
I co się stało, i co się stanie,
Jest o tém w niebie jasne pisanie.
Kiedy śmierć człeka nędznego blizko,
To zaraz anioł czyta nazwisko.

— Powiédzcież jeszcze, mateczko droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?

— Nie! moje dziecko: przed Stwórcą świata
Tylu aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem;
Tylko z promieni, co ztamtąd lecą
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże.

— A jak daleko matko do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?

— Bogać tam miesiąc! O moje dziécię,
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych;
To w końcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty apostoł boży
Złocistym kluczem niebo otworzy.

— Toście wy matko dużo widzieli
I pewniebyście wrócić tam chcieli?
Więc jak pójdziecie, mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga!

— O! ty zostaniesz, małe pachole,
Bo któżby gąski wypędzał w pole?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki?
Ktoby na ogień przynosił krzaki?

Tak moje dziécię, moje kochane,
Ty się zostaniesz, ja nie zostanę.

L.

WESELE

MAXYMA CZERNOJEWICZA (1).

(*Przekład pieśni serbskiéj przez Romana Zamarskiego*).

Zabierze się Czernojewicz Iwo,
Weźmie z sobą troje worów złota,
I odpłynie poza morze sine,
Zmówić żonę swemu Maxymowi;
Maxymowi, synowi swojemu,
Krasną córkę Doży Mleteckiego (2).

Iwo prosi, a Doża się droży;
Ale Iwo ni raz odstać nie chce,
Jeno prosi przez całe trzy lata:
Córki prosi, złoto rozsypuje.
Kiedy wszystko już rozsypał złoto,
Dać dziewczynę Latyńcy przystali,
Zaręczynny pierścień mu oddali.

O weselu zatém wspołem radzą:
Uradzą je za rok spełna czasu.
A tymczasem Iwu wracać do dom,

(1) Małżeństwo u Serbów, jakkolwiek często w skutek osobistego wyboru zawierane, w powszechności uważa się więcéj za akt rodzinny, niźli osobisty. Nieraz, bez widzenia się młodych, zobopólni rodzice umawiają je samowolnie. Zmówienie dziewczyny nie obejdzie się nigdy bez podarunku ze strony proszącéj; jestto niby kupno, przez które tak użyteczna dla domu młoda gospodyni się nabywa. W czas wyznaczony, pan-młody strojno i zbrojno przybywa z licznemi towarzyszami, którzy noszą nazwę *Swatów*, do domu narzeczonéj, gdzie ją bracia jéj w ręce dziewierza oddają. Wesele odprawia się dopiéro za przybyciem do domu nowożeńca, gdzie pannę-młodą przyjmują siostry jego lub żony braci. Oprócz dziewierza, kuma weselnego i czausa, nieodzownemi przy weselu osobami są jeszcze: *starosta* (starojko), ładu w drużynie doglądający, *przykumek* czyli *chorąży* (barjaktar) proporzec przed orszakiem niosący, i *dudarz*. *Swatki* zwane *jendzibule*, towarzyszą pannie-młodéj w niektórych tylko okolicach, a w Serbii i Bośnii tylko w miastach.

(2) *Mletak*, zwie się po serbsku Wenecya.

Zbierać wino i bujną pszenicę,
Tysiąc swatów skupić na wesele.

Tak wesele kiedy uradzili,
Czernojewicz w drogę do dom ruszy.
Przewodzą go nowi przyjaciele:
Stary Doża ze synami dwoma,
I łacińskich stu junaków z niemi.

Wśród pochodu odezwie się Iwo,
(Mądrym zwał się, głupio odezwał się)
Do starego Doży Mleteckiego:

—„Mocny Dożo! słysz mnie, przyjacielu!
W tysiąc swatów na wesele zjadę:
Do tysiąca ni jeden nie zbraknie;
Prędzéj więcéj, niż mniéj tysiąc będzie,
Jako z morza na brzeg twój wysiędziem.
Ty wyprowadź tysiąc łacinników
Naprzeciwko swadźbie naszéj w pole,
A zobaczysz: w tysiącu mych swatów,
I w tysiącu twoich łacinników,
Piękniejszego nie znajdziesz junaka
Nad Maxyma, nad mojego syna,
Syna mego, a zięcia twojego."

Słów tych słuchał sam Mletecki Doża,
Dwa sokoły syny jego młode,
I łacińskich secina junaków.
Doży miło posłyszéć to było;
Obejmuje, w lice go całuje:

—„Dzięki-ć, druhu, za nowinę taką!
Jako w rzeczy ujrzę zięcia mego,
Że w tysiącu piękniejszego nie ma:
Będzie u mnie w cenie wyżéj syna,
Wyżéj oka jedynego w głowie.
Drogie dary dla niego przyprawię:
Nagotuję konie i sokoły,
Nakuć każę czółeczek złocistych, (1)
Nawyszywać płaszczów okolistych;
Niech je nosi, niech się w nich ponosi! . . .
Ale druhu! jeśli mnie zawiedziesz,
Gdy przyjedziesz, nie rad z nas odjedziesz."

Zatém Iwo pożegnał się z nimi,
I na lekkim odpłynął okręcie.

(1) *Czółeczko*, po serbsku *czelenka*, ozdoba starodawna u junackich kołpaków. Składała się z drobnych, wachlarzowato ułożonych łuszczek metalowych, drżących i poruszających się za każdym powiewem; zwykle bywała z drogiego kruszcu, często kamieniem kosztownym zdobiona.

Szczęśnie morze przepłynął szerokie,
Wysiadł na brzeg zdrowo i wesoło.

Gdy był blizko białego Żablaku (1),
Ujrzy Iwo białe swoje dwory:
Białą wieżę w górę się wznoszącą,
Szklane okna od słońca błyszczące.
Jak to widzi, weźmie go tęsknota,
Konia wspina, kańczukiem zaçina:
Koń się pod nim jako wicher zwija.

Nikt go z grodu piérwszy nie zobaczył,
Tylko wierna zobaczyła żona,
Z białéj wieży, z okna przejrzystego.
Zobaczywszy, pozna gospodarza,
Pozna pod nim rumaka żórawia;
Bieży na dół z wieżycy wysokiéj,
Na dół bieży, wielkim głosem woła:

—„Hej! wy słudzy, biegajcie przez pole!
W polu spotkać z drogi gospodarza . . . .
Duchem dziewki, podwórzec zamiećcie! . .
Ty Maxymie, dziécię moje drogie!
Wybież ojcu naprzeciw przed wrota;
To, mój synu, ojciec twój powraca!
Mój gospodarz, ojciec twój kochany! . . .
Patrz, jak raźno koniem wyskakuje!
Widzi mi się, że zmówił synową."

Skokiem słudzy przez pole bieżali,
W polu z drogi powitali pana.
Wierna żona zabiega mu w grodzie,
Całuje mu rękę i odzienie;
Sama bronie od biódr odpasuje,
Na naręcze broń mężową zgarnie,
Do komory niesie na schowanie.
Wierne sługi odwiodły rumaka.

Tu syn Maxym ojcu krzesło niesie,
Srébrne krzesło rodzicowi poda.
Zasiędzie w niém Czernojewicz Iwo
Spocząć z drogi, zzuć ciżmy podróżne.

Skoro w krześle rozsiadł się srébrzystém,
Podniósł oczy, spojrzy na Maxyma;
Alić tu mu żałość niespodziana! . . .

Dawno Iwo wyjechał był z domu,
O synową prosił trzy lata całe,

(1) *Żablak* leży na granicy Albanii i Czarnogóry, nad rzeką Moraczem, dwiema odnogami objęty, blizko ujścia jéj do skadarskiego jeziora.

A tymczasem przyszła do Żabiaku
Zła choroba — ospa zaraźliwa.
Na Maxyma ospa uderzyła:
Białe lico strasznie mu zbrzydziła,
Poczerniła i ochropaciła;
Mógłbyś przysiądz, że dzisiaj w tysiącu
Od Maxyma nie znaléźć brzydszego,
Od Maxyma, Iwowego syna!

Wspomni sobie Czernojewicz Iwo,
Wspomni sobie na przechwałkę swoję,
Na odjezdném co był rzekł do Doży:
Że nie znaléźć w tysiącu junaków
Piękniejszego nad jego Maxyma . . .
Dziś w tysiącu straszniejszego nie ma!

Jak to wspomni, zasępi się Iwo,
Czarne wąsy na dół z twarzy spuści:
Aż mu wąsy zwisły na ramiona;
Białe czoło zmarszczkami nachmurzy,
Do nikogo nie przemówi słowa,
Tylko milcząc, patrzy w ziemię czarną.

Wierna żona widzi smutek jego,
Cichym krokiem do niego przychodzi,
Całuje mu rękę i kolano:

—„Gospodarzu! cóżeś mi tak smutny?
Czém tak lice zachmurzyłeś? proszę!
Czyliś nie mógł wyprosić synowéj?
Czy dziewczyna nie dość urodziwa?
Czy żałujesz trojga worów złota?"

Chmurny Iwo żonie odpowiada:

—„Daj mi pokój! Bodaj piorun trzasnął! . . .
Uprosiłem dla syna synową:
Cud urody łacińska dziewczyna!
Szukać w ziemi wszystkich czterech stronach,
A nie znaléźć tak cudnéj urody,
Takiéj twarzy, ni takiéj postawy,
Ni ócz takich, u żadnéj dziewczyny . . .
Samą Wilę kto z gór widział białą,
Że i Wila nie piękniejsza, przyzna.

Nie żałuję trojga worów złota;
Jest ci u mnie złota pełna wieża,
Ani poznać że z niéj co ubyło.
Alem Doży ozwał się z przechwałką:
Że w tysiącu jako zjadę swatów,
Nie znajdzie się junak nad Maxyma

Urodziwszy. Dzisiaj, luba moja!
Straszniejszego wśród tysiąca nie ma! . . .
Wstyd mi Doży i boję się zwady,
Jak go teraz za morze powiodę."

No, patrzéć wam teraz białogłowę,
Jak złośliwie przymawiając pocznie:

—„Gospodarzu! a przez Pan Bóg żywy!
Cóż to za gwałt za morze ci było?
Na daleko, czterdzieści dni drogi;
Zkąd ni domu dopatrzéć swojego,
Ani zmówić bez trudu dziewczyny? . . .

Małoż dziewcząt we twoich dzierżawach,
Twoich ziemiach i Barze i Ulczynie,
Czarnogórze i Biełopawliczach,
Łomnéj-Kuczy i Bratonożyczach,
I we krasném mieście Podgorycy (1),
I w Żablaku tu, siedzibie twojéj,
I w Żablaku i wkoło Żablaka? . . .

Mogłeś znaléźć dziéwczę dla Maxyma,
Mogłeś znaléźć dla syna synowę,
A dla siebie słuszne przyjacielstwo.
Nie,— koniecznie trza było za morze!"

To gdy słyszy Czernojewicz Iwo,
Rozpali się jako ogień żywy:

—„Ni tam byłem, ni dziewczynym prosił!
Na cześć klnę się! kto mi wspomni o tém,
Żywo temu wydrę oczy z głowy!"

Od ust do ust groźba ta obchodzi;
Wiedzą o niéj i wielcy i mali,
Wiedzą o niéj wszystkie serbskie pany:
O podróży nikt nie wspomni słowem.
Tak przeminął rok jeden i drugi,
Minął trzeci, czwarty i dziewiąty:
O dziewczynie zgoła zapomniano.

Alić naraz, roku dziesiątego,
Przyjdzie pismo od nowego druha.
(Drużbać ta już po prawdzie zstarzała,
Bo lat dziewięć, chwila to niemała)!
Od Wielkiego Doży Mleteckiego,
Przyjdzie pismo do Czernojewicza.

(1) Wszystkie wymienione tu miejsca leżą w okolicy Czarnogóry. Bar (na kartach Antivari) i Ulczyna (Dulcigno) są warowne miasta nadmorskie; *Podgorica* małe miasteczko, dawniéj Dioklei. Łomna Kucza, Bratonożycze i Biełopawlicze, są nazwy pewnych części kraju, z których obie ostatnie zamieszkałe przez pokolenia tegoż nazwiska.

—„Przyjacielu, Czernojewicz Iwo!
Gdy zagrodzisz lewadę zieloną,
Lub ją sam koś, lub pozwól drugiemu;
Nie doczekuj, aż śniegi i lody
Przyjdą zniszczyć kwiaty na lewadzie.
Gdy wyprosisz pierścień od dziewczyny,
Albo nie proś, albo weź zmówioną!"

„Ty prosiłeś miłéj córki mojéj,
Ty prosiłeś, ja ci ją ślubiłem.
Weseleśmy społem ułożyli,
Ułożyli za rok jeden czasu:
Jako zbierzesz wina i pszenice,
I zgromadzisz tysiąc pysznych swatów."

„Alić oto dziewięć lat minęło,
Ni przyjeżdżasz, ni swatów przysyłasz!
Także prędko odpisz nam list biały,
Biały liścik napisz córce mojéj,
Córce mojéj a niedoszłéj twojéj,
By się mogła wydać za innego,
Dojstojnego pojąć męża sobie.
A sromota niech zostanie tobie!"

Gdy przeczyta Czernojewicz Iwo,
W pismo patrzy, z myślami się bije;
Nie masz przy nim męża ni jednego,
Ni jednego mądrego junaka,
Coby w trudnym poradził mu razie.
Tak on pyta wiernéj lubéj swojéj:

—„Luba moja! ty mi podaj radę:
Mamli pisać zmówionéj synowéj,
Za innego żeby się wydała?
Mamli nie jechać, albo mamli jechać?"

Białogłowa przemądrzale na to:

—„Gospodarzu! a czy to słychana
Żeby żona mężom doradzała?
Komuż żona dobrze poradziła,
Długą kosą, krótkim umem swoim?
Lecz gdy każesz, słuchajże co-ć powiem."

„Grzech to wielki zaiste przed Bogiem,
A przed ludźmi hańba i sromota,
Świat za młoda zawiązać dziewczynie
I u ojca zaniechać jéj potém!"

„Posłuchaj mnie, miły gospodarzu!
Co ci swadźby lękać się za morzem?
Toż gdy uzna przyjacielstwo nowe,

Nikt ci wszakże słowa rzec nie może:
Od nieszczęścia nikt wszak nie bezpieczny! . .
Jeśli wszelak obawiasz się zwady,
Otóż ja ci, gospodarzu, radzę:

„Jest u ciebie wszakże wieża złota,
Trzyletniego pełne lochy wina,
Pełne spichrze bieluchnéj pszenicy:
Masz czém swatów przyjąć i udarzyć.
Powiedziałeś, że przywiedziesz tysiąc;
Teraz swatów zabierz dwa tysiące,
Najwybrańszych junaków i koni.
Jak zobaczą i siłę policzą,
To chociażby Maxym był i ślepy,
Nie ważą się wszczynać zwady z tobą."

„Gospodarzu! ani nie myśl dłużéj:
Zbieraj swaty, daléj po dziewczynę!"

Gromkim śmiechem rozśmieje się Iwo.
Pisze pismo k' Doży, Mleteckiemu,
Tatarzyna posłańcem wysyła.
W piśmie Iwo takie pisał słowa:

—„Przyjacielu mój, Mletecki Dożo!
Słuchaj bacznie co dnia i co nocy,
Słuchaj kiedy huku dział dosłyszysz.
Z dział trzydziestu na odjazd bić każę,
Każę palić z Karni i Zielenki (1),
Niech od grzmotu trzęsą się obłoki!.....
Przyjacielu! jako huk posłyszysz,
Ty wysyłaj naprzeciw twe łodzie,
Co mi swatów przewiozą przez morze".

Jako Iwo wyśle to pisanie,
Przywołuje swojego pisarza.
Do rąk białych, biały papiér bierze,
Potnie papiér na drobne kawałki;
Pisarzowi pisać po nich każe,
Pyszne swaty spraszać na wesele.

Piérwsze pismo Iwo wyprawuje
W okolice Baru i Ulczyny,
Do Miłosza Obrenbejowicza:

(1) Karnia i Zielenka, nazwy dwu dział osobliwéj wielkości. „Opisanie tych armat (mówi nasz wielki poeta) tak potężnych, że huk ich miał dochodzić z Albanii do Wenecyi, odpowiada powszechnemu wyobrażeniu ludu słowiańskiego o cudownéj mocy tych narzędzi wojennych. W Petersburgu przed arsenałem leży wielkie działo szwedzkie, które nigdy przez Rossyan nie było używane; gmin jednak zbiéra się zawsze koło niego i opowiada sobie, jak straszne zniszczenia sprawiało w szeregach wojsk francuzkich.

—„O Miłoszu Obrenbejowiczu!
Wzywam ciebie w swaty na wesele,
Starszym swatem byś mi był przed swaty.
Tylkoże mi nie przybądź samowtór,
Ale skupij ile możesz swatów,
Niech znać będzie orszak przy staroście!"

Drugie pismo Iwo wyprawuje
Ponad morze, k' Czarnogórze stroméj,
Do siostrzana Jana Kapetana (1):

—„Spiesz siostrzanie, Janie Kapetanie!
Jak przeczytasz nie trwoń ani chwili.
Wuj cię w swaty na wesele zowie,
Byś dziewierzem był Latynce cudnéj,
Ty, siostrzanie, Janie Kapetanie!
Tylkoże mi nie przychodź posobkiem;
Zbieraj swaty w stroméj Czarnogórze,
Czarnogórze i Biełopawliczach:
Niechaj będzie spełna pięćset swatów,
Pięćset spełna swatów dziewierzowych,
Mnie i tobie żeby cześć z nich była!"

„Jako zbierzesz pyszne swaty swoje,
Ciągnij żywo pod Żablak, siostrzanie!
Na szerokie pod Żablakiem pole."

Trzecie pismo Iwo wyprawuje
K' Łomnéj-kuczy i Bratonożyczom,
Do wojewody Likowicz—Eliasza:

—„O Eliaszu, berdzkiéj ziemi głowo! (2)
Czytaj pismo, czasu nie trać chwili.
We swaty cię proszę, wojewodo!
Popod Żablak, na pole szerokie.
Tylkoże mi nie przychodź sam jeden,
Ale przywiedź gromadę Berdżanów."

Czwarte pismo Iwo wyprawuje,
Wyprawuje do Drekałowiczów (3),
Do Milicza Szeremetowicza:

—„Spiesz, Miliczu Szeremetowiczu!
Zbieraj w swaty swych Drekałowiczów,
Zwołaj dzieci swe Wasojewicze,

(1) Nazwanie to *kapetan* w dawnych pieśniach serbskich nie oznacza przywódzcy wojskowego oddziału, lecz naczelnika okolicy i pokolenia swego.
(2) *Berda*, serbskie: Brda, znaczy w ogólności góry, w szczególności zaś obwód około Czarnogóry, na południe Biełopola położony.
(3) *Drekałowicze*, okolica i pokolenie koło Czarnogóry.

Dzieci twoje znad zielonéj Limy (1).
Czém ich więcéj, tém ja radszym tobie."

Piąte pismo Iwo wyprawuje
Do krasnego miasta Podgorycy,
Podgorycy, gniazda rodu swego;
Do krewnego, głównego junaka,
Do sokoła Kujuncyi Dziura:

—„Hej, sokole, Kujuncyjo Dziuro!
Czytaj pismo, czasu nie trać chwili.
Co tchu sobie zbieraj swaty mnogie,
Zbieraj w swaty Podgoryczan swoich.
Przybierz strojnie konie i junaków:
Konie przybierz siodły tureckiemi,
Z złocistemi do kopyt kutasy;
Na piersi im pyszne włóż wieszadła,
Niech znać będzie junackie rumaki!"

„Junaków strój w jedwab' i aksamit,
W cudne szaty, w czerwone szkarłaty,
Co od deszczu tém bardziéj kraśnieją
A od słońca jak ogień jaśnieją.
Na kołpaki daj czółeczka drogie,
Błękitnemi okryj ich dołmany".....

„Cudnie przystrój nasze pokolenie,
Cudnie przystrój strojami pańskiemi:
Niechaj wszystkich zakasują swatów!
Niechaj nic im przepychem nie zrówna,
Ni przepychem, ni wzrostem, ni krasą,
W wszystkiéj serbskiéj i latyńskiéj ziemi!
Niech Latyńcy osłupieją z dziwu,
Widząc one cudne serbskie stroje!".....

„U Latyńców wszystkiego dostatek:
Znają sztukę jak kuć srébro cudnie,
Jak kuć cudnie i srébro i złoto,
Dziać umieją tkaniny bogate.
Ale czego u Latynów nie ma:
To tych pysznych bohaterskich twarzy,
To onego sokolego oka,
Co u braci naszych Podgoryczan!"

Te pięć listów Iwo wyprawuje,
Mnogie swachy przez listy zwołuje.
A w Żablaku i koło Żablaka
Bez pisania drużyna się zbiera.

(1) *Lima*, rzéka między Hercogowiną i Serbią dzisiejszą, wpadająca do Dryny.

Dopierożto napatrzéć się było!
Dopiérożto nasłuchać się czego!
Gdy się listy rozejdą po kraju,
Od zielonéj Limy aż po morze,
Jak przybory czynią serbskie pany,
Naczelnicy i wojewodowie,
I junacy we swaty wezwani!....

Patrząc na to starcy i oracze,
Porzucają woły swe i radła;
Wszyscy radzi pociągnąć we swaty,
Na równinę spieszą pod Żablakiem.
Pastuchowie rzucają swe trzody:
Z dziesięciorga ledwie jeden został,
Jeden pasterz przy dziesięciu stadach.
Na szerokie wszystko dąży pole,
Ciągnąc w swaty na pańskie wesele....

Od Żablaku do Cetyny wody (1)
Całe pole mrowiem się okryło:
Koń przy koniu, junak przy junaku,
Długie kopije jak las gęsty stérczą,
A proporce w górze jako chmury.
Biały namiot stoi przy namiocie,
Pod namioty drużyn naczelnicy.

Dzień tak stali, noc przenocowali.
Na drugi dzień, o piérwszém świtaniu,
Przed dniem białym i przed słońca wschodem,
Porychli się jeden z naczelników
Swojéj ziemi i plemienia głowa,
Dzielny junak, Jan Kapetan mianem,
Na wesele dziewierzem obrany.
Porychli się, odejdzie z równiny,
Mnogie swaty gdzie leżą taborem;
Na warowne grodu idzie wały.
Nikt z nim nie był jak jeno sług dwoje,
Którzy milcząc zdala za nim kroczą.

On sam milczy,—nie rzeknie ni słowa.
Groźnie czoło zmarszczkami nachmurzył,
Czarne wąsy opuścił na twarzy,
Aż mu z twarzy spadły na ramiona.
Grodu wały dokoła obchodzi,
Gromkie działa ogląda na wałach.

(1) *Żablak*, jak wyżéj już wspominano, leży nad Moraczem, *Cetyna* zaś rzeka w Dalmacyi, o kilkanaście mil daleko. W tém miejscu i w wielu innych pieśniach Cetyną nazywa się strumień w Czarnogórze, nad którym leży stolica téjże krainy Cetyna. Odległość zawsze kilka polskich mil od Żablaku.

To patrzy w dal, ku swojéj krainie,
To k' dzierżawom cara tureckiego;
Lecz najdłużéj wzrokiem patrzy chmurnym
W zgromadzony obóz na równinie.

To nie fraszka!.... Jako zajrzéć okiem,
Od Żablaku do Cetyny wody,
Biały namiot stoi przy namiocie,
Koń przy koniu, junak przy junaku;
Długie kopije jak las czarny sterczą,
A proporce jak obłoki w górze....

Kiedy Jan tak o piérwszém świtaniu
Kołem grodu obchodzi po wałach,
Zobaczy go Czernojewicz Iwo.
Ujrzawszy go chmurnym i milczącym,
Idzie k' niemu, witając go pyta:

—„Dobry dzień ci, Janie Kapetanie!
Cóż siostrzanie wstałeś dziś tak rano?
Co swój namiot w polu porzuciłeś?
Porzuciłeś swaty i drużynę.
Czemu, synu, tak się zasępiłeś?
Czemuś twarzą taki niewesoły?
Powiédz Janie, wujowi twojemu!"

Jan Kapetan odpowié mu zatém:

—„Nie pytaj mnie, wuju mój Iwanie!
Choć ci powiem, posłuchać nie zechcesz.
Chceszli, wuju, posłuchać méj rady:
Otwórz oto wszystkie twe piwnice,
Każ dostatkiem natoczyć z nich wina,
Uracz hojnie pyszne swaty w polu;
Lekkich woźnych puść zaś po obozie,
Niechaj swatom głośne dadzą hasło,
Żeby wracał każdy do dom k' sobie."

„Ty sam niechaj całego wesela,
Miły wuju, Czernojewicz Iwo!
Ot całąśmy ziemię wyludnili,
Cała ludność w swaty się zwaliła;
Ziemia pusta od granic została,
Turkom ziemia została otworem,
Wrogom naszym za błękitną wodą."

„Wuju drogi, Czernojewicz Iwo!
Wszak i dawniéj chłopcy się żenili,
Wszak i dawniéj wesela bywały,
W wszystkiéj ziemi, w serbskiém państwie całém;
Tego przecież nigdy nie widziano,
Całą ludność by w swaty prowadzić!"...

„Bracia nasi mają̨ż ponieść kości
Gdzieś daleko, poza morze sine,
Poza morze, czterdzieści dni drogi?
Gdzie nikogo nie ma naszéj wiary,
Gdzie ni krewni, ni nam przyjaciele,
Gdzie krwi naszéj może ziemia pragnie?"....

„Gdy tak wszyscy społem wyruszymy
Poza morze, wszyscy serbscy mężе,
W tłumie bracia do zwady przyjść mogą:
Miast wesela, o nieszczęście snadnie!". . .

„A ja jeszcze jednę ci rzecz powjem,
Miły wuju, Czernojewicz Iwo!
Wczora w wieczór ległem w mym namiocie;
Wierne sługi futrem mnie pokryły,
I zasnąłem. Ledwiem przymknął oczy,
Wtém sen straszny marzyć mi się pocznie,
Sen okropny (niechaj Bóg odwróci)!"

„Śniło mi się, żem poglądał w niebo.
Wtém się niebo chmurami namroczy:
Ciągnie chmura czarna środkiem nieba,
Aż przyciągła ponad Żablak biały,
Ponad Żablak, twój gród okazały.
Tutaj zagrzmi czarna chmura grzmotem,
I w twój Żablak grom ognisty trzaśnie;
Trzaśnie prosto we gród ojców twoich,
W twoję kraśną królewską stolicę!
Wnet płomieniem zagorzał dwór cały,
Zagorzał wszystek od szczytów do ziemi.
Jeszczem widział jako jedna ściana,
Na Maxyma padła, twego syna;
Ale nic mu złego nie zrobiła,
Wyszedł zpod niéj cały i bez szkody". . .

„Miły wuju, Czernojewicz Iwo!
Nie chcę więcéj o śnie mym ci prawić;
Ale jako godna snowi wiara,
Godna wiara snowi i widzeniom,
Takci, wuju, na swadźbie téj zginę;
Albo zginę, albo ran dobędę."

„Więc, mój wuju, rozważ to przez Boga!
Jeśli mnie się jakie złe tam stanie,
Złe jakowe na weselu twojém,
Że lub zginę, albo ran dobędę;
Rozważ sobie, co z tego wypadnie?"

„Znasz mą dziatwę pod moim proporcem.
Wszystko dzikie Czarnéj-góry syny;

Pięć ich setni pod proporcem moim;
Gdy ja jęknę, wszyscy oni jękną,
Gdy ja padnę, bodaj wszyscy padną!"...

„Więc cię błagam, przy tym białym świcie,
Błagam ciebie, rękę twą całuję,
Byś rozpuścił zgromadzone swaty;
Niechaj każdy do dom k' sobie wróci.
Zostaw dziewkę, niech ją piorun trzaśnie!" . .

To gdy słyszy Czernojewicz Iwo,
Spłonie cały, jako ogień żywy.
Na siostrzana gniewliwie powstanie,
Powstanie nań i twardo mu łaje:

—„Zły sen śniłeś, siostrzanie mój Janie! . .
Niech Bóg wiedzie, od nas złe odwiedzie;
Niech na ciebie zły twój sen się zwiedzie! . .
Zły sen miałeś, pocóż o nim gadać?
Gadać o nim dzisiaj, o poranku,
Gdy do drogi swadźba już gotowa?"

„Mój siostrzanie, Janie Kapetanie!
Sen jest mara, w Panu Bogu wiara!
Może we śnie nizko głowę miałeś,
Lub spać idąc o czém złém myślałeś."

„Wiész siostrzanie, bodajbym cię nie znał!
Już mi dosyć przed ludźmi sromoty:
Panowie się wszyscy naśmiewają,
A chudota cicho sobie szepce,
Żem zaniechał zmówionéj synowéj,
Zaniechałem przez dziewięć lat całe,
W domu ojca, przy jéj matce staréj."

„Wiész siostrzanie, bodajbym cię nie znał!
Choćby mi tam zginąć śmiercią krwawą,
Nie zaniecham zamiaru mojego,
Nie odstanę od swadźby dziś mojéj."

„Więc ot lepiéj, jako swadźby głowa,
Jako dziewierz narzeczonéj młodéj,
Głośne hasło daj po całym grodzie.
Wydaj hasło, przywołaj puszkarzy,
Niechaj działa prochem nabijają,
Nabijają wszystkie dział trzydzieści."

„Przyzwij także starego Niedielkę,
Z białą brodą długą aż do pasa,
Który sprawia dwa największe działa:
Sprawia działa Karnię i Zielenkę,
Jakich nie masz w całym naszym kraju,

Ni we włoskich siedmiorgu królestwach,
Ani w państwie cara tureckiego."

„Przyzwij k' sobie starego Niedielkę,
Niechaj hojnie działa naładuje,
Naładuje prochem i ołowiem;
Niech je w górę zwróci ku obłokom,
Niechaj zagrzmią oba straszne smoki!"

„Ale pierwéj ostrzeż swatów w polu,
Niech się bracia nasi przygotują,
Ode brzegów niech oddalą konie,
Ode brzegów, od Cetyny chłodnéj;
Boby konie popłoszyć się mogły,
I powpadać do Cetyny wody.
Braci naszych, pyszne swaty w polu,
Wziąć ze strachu mogłaby zimnica."

„A więc pierwéj ostrzeż braci swatów,
Że wnet harmat zahuczy trzydzieści,
Że zahuczy Karnia i Zielenka.
Lotnych woźnych poślij, mój siostrzanie,
Niech polecą, po obozie krzykną:
Niechaj swaty z pola się podźwignąą.
Czas nam ciągnąć poza morze sine."

Po woli mu czyni Jan Kapetan,
Z grodu k' sobie zwoluje puszkarzy
I starego Niedielkę brodacza.
Napełnili prochem dział trzydzieści,
Napełnili Karnię i Zielenkę;
Hojnie działa wszystkie napełnili,
Nie skąpili prochu i ołowiu.
Zwrócili je w górę ku obłokom,
Żywym ogniem wtém je podpalili . . . .

Trzebaż było być ci przy tém, bracie!
Huk posłyszéć własnemi uszami,
Wszystko widzieć oczyma własnemi!

Jako zagrzmi naraz dział trzydzieści,
Jako zagrzmią Karnia i Zielenka:
Zahuczały góry i doliny,
Na brzeg plusła falami Cetyna,
Na kolana przypadły rumaki,
I niejeden junak padł o ziemię.

Nie żart było gdy zagrzmiały działa,
Gdy zagrzmiały Karnia i Zielenka!

Czausz wykrzyknął— zabrzmiała muzyka,
Podźwigną się na polu swatowie,

Ciągną w drogę zdrowo i wesoło.
Co dzień ujdą, za każdym dniem drogi
Między braćmi miłość większa rośnie.

Przeciągnęli równiny i góry,
Wreszcie przyszli na równe pomorze,
Na szerokie ponad morzem pole.
Tu swatowie jako przyciągnęli,
Natrafili przy brzegu okręty,
I przyjaciół na spotkanie swoje.

Zatém swaty wytchnąć z drogi staną,
Na szerokiém ponad morzem polu.
Kto dzielnego ma pod sobą konia,
Igrząc koniem, lekki dziryt ciska (1);
Kto pić lubi, ten się flaszy trzyma,
I rumiane spija sobie wino;
Kto do śpiewu gardło ma ochocze,
Wyśpiewuje skoczne weselnice.

Wśród taboru Czernojewicz Iwo,
Igrze konia, dzielnego żórawia.
Przy boku mu dwa siwe sokoły:
Z prawéj strony Maxym syn rodzony,
Dziarski młodzian na swym wronym koniu,
Dziarski sobą, choć szpetny obliczem;
Z lewéj strony Miłosz Obrenowicz
Na gniadoszu, na dzielnym rumaku.
Pojrzy po nich Czernojewicz Iwo,
Pojrzy po nich, i tak się odzywa:

—„Bracia mili, pyszne swaty moje!
Bracia moi, wojewody młode!
Żebyście mnie bracia posłuchali,
Rzecz niejaką powiedzieć wam miałbym."

„My jedziemy ot! za morze sine,
Poza morze, czterdzieści dni drogi;
Na wesele wiodąc mego syna,
Syna mego, dziarskiego młodzieńca;
Ale twarz mu ospa oszpeciła,
Że brzydszego w całéj swadźbie nie ma."

„A ja, bracia, gdy byłem w oględy,
Kiedym zmawiał za niego dziewczynę,
Chwaliłem się przed jéj ojcem Dożą,
Że w mych swatach, ilu ich przywiodę,

(1) *Dziryt*, serbskie *czylit*, z tureckiego *dshilit*, drzewce lekkie, około dwu łokci długie, służące podziśdzień w Turcyi do gimnastycznego i rycerskiego razem ćwiczenia, które polega na wzajemném rzucaniu na się, i chwytaniu rzuconych przez przeciwnika dzirytów.

I w Mletaku, ilu jest Latyńców,
Piękniejszego nie znaléźć junaka,
Nad Maxyma, nad mojego syna.
Dzisiaj nadeń straszniejszego nie ma!"

„Otóż bracia, ztąd mi wielka troska,
By, gdy przyjdziem k' nowym przyjaciołom,
Druh mój Doża, kłamstwa mi nie zadał,
Między swadźbą by nie wstała zwada."

„Alić bracia, pyszne swaty moje!
Jestci tutaj, wśród nas jeden taki
Dzielny junak, Miłosz wojewoda;
Temuż krasą nikt pomiędzy nami,
Nikt nie zrówna między Latyńcami."

„Więc jeżeli posłuchać mnie chcecie,
Zdejmmy kołpak nowożeńczy z syna,
Z syna mego miłego Maxyma,
A na głowę włóżmy Miłoszowi,
Miłoszowi Obrenowiczowi:
Niechaj Miłosz będzie nowożeńcem,
Aż z za morza przywiedziem dziewczynę."

To gdy pyszne swaty wysłuchały,
Wpośród swatów nie znajdzie się żaden
Coby radzie przywtórzyć się ważył.
Nikt ze swatów nie śmiał się odezwać,
Że, bo Maxym był z rodu krwawego,
Więc że radą gdyby się obraził,
Krwawą zemstą łacnoby się skaził.
Nie ma rajcy, coby śmiał doradzać.
Wreszcie pocznie sam Miłosz wojewoda:

—„O Iwanie, serbski naczelniku!
Po co braci wołać tu na radę?
Daj mi oto tylko twą prawicę
I po Bogu daj mi święte słowo,
Za Maxyma, za twojego syna:
Że za krzywdę Maxym nie poczyta
Na weselu, gdy go tak usuniesz,
A odemnie masz na Boga słowo,
Że z za morza synową-ć przywiodę,
Beze zwady i wszelkiego trudu.
Lecz, Iwanie, niedarmo to zrobię:
Wszystkie dary, co mi się dostaną,
Bez podziału przy mnie pozostaną."

To gdy słyszy Czernojewicz Iwo,
Gromkimśmiéchem głośno się rozśmieje:

—„O Miłoszu, serbski wojewodo!
Co o ślubnych wspominasz mi darach?
Słowo moje twardsze od kamienia,
Bez podziału że wszystkie-ć zostaną."

„Przywiedź tylko z za morza dziewczynę,
Do białego przywiedź ją Żablaku,
A ja sam cię jeszcze obdaruję;
Dam ci pełne dwa buty dukatów
I do tego puhar mój złocisty,
Co kwart dziewięć wina bierze w siebie,
Z czyściutkiego lany złota wszystek."

„Jeszcze więcéj daruję ci, bracie!
Klacz daruję-ć siwą, krwi szlachetnéj,
Która lęże biegiuny żórawie (1),
Konie dzielne jako ogień żywy;
I szablicę-ć uwieszę do pasa,
Która warta trzydzieści kies złota."

Tak ze sobą gdy się ugodzili,
Zdejmą kołpak z głowy Maxymowi,
Złotą kitę i czółeczko drogie;
Miłoszowi na głowę je włożą,
Miłoszowi Obrenowiczowi,
Panem-młodym uczynią wojewodę.

Więc na lekkie powsiadali łodzie,
I od brzegu odbili na morze.
Dał im Pan Bóg i szczęśliwa dola,
Że przebyli sine morze zdrowo,
I przybili pod grodem Mletakiem.
Na brzeg równy wysiedli pod grodem.

Tutaj grodu otworzą się wrota,
Wysypią się męże i niewiasty,
Spotkać w polu swadźbę zpoza morza,
Nadziwić się weselnéj pysznocie,
A zobaczyć zięcia Dożynego;
Jestli taki, jako ludzie prawią,
Że mu w krasie nie znaléźć równego,
Na daleko, ni we swadźbie całéj,
Ni we wszystkiej młodzi Łacinników?

Łatwo było poznać nowożeńca,
Po czółeczku i złocistéj kicie,
Po postaci i po licu cudném:
Słuszność wszyscy powieści przyznali.

(1) *Żoraw*, (serbskie Ždral) nazwa konia, szarą barwę i lotność jego wskazująca.

Wtém dopadną dwaj synowie Doży,
Biegą witać szwagra kochanego;
Z obu stron go w objęcia ściskają,
Zaś go wiodą do górnéj komory.
Resztę swatów, jak można było
Rozdzielono po troje, po czworo,
Jak z kim komu najmiléj się zdało.

U Latyńców był obyczaj piękny
W domu młodéj swadźbę podejmować
I odmorzyć z drogi swatskie konie.
Trzy dni całe swadźba tam bawiła.
Jako czwarte zajaśniało rano,
Gromkie działa zahuczały z grodu,
Czausz wykrzyknął,—zabrzmiała muzyka,
Hasło dając swatom do pochodu,
Do pochodu, nazad do dom wracać.

Do gromady swaty się więc zbiorą,
Na podworcu kamieniem wysłanym.
Aż tu wrota zawarte u bramy
I zasuwy zaparte ciężkiemi.
Zaś nad bramą stoi cztérech katów:
Dwóch murzynów i dwóch Łacinników,
Ze krwawemi do ramion rękoma,
I z szablami od krwi ciekącemi!... (1)

Patrząc na to zmieszają się swaty;
Alić oto większy jeszcze kłopot:
Widzą, głównych dwu że braknie osób—
Wojewody brakuje im Miłosza,
Co go na czas zięciem uczynili,
I Latynki młodéj, narzeczonéj,
Którą zabrać z za morza tu przyszli.

Aż, zmieszani gdy chwilkę tak stoją,
Wtém zadźwięczą kamienie w ulicy;
Bruk kamienny i dźwięczy i jęczy.
Otóż patrzcie! Wojewoda Miłosz
Na rumaku doskakuje gniadym.
Tutaj twardym ściąga go munsztukiem,
A tu rogiem od strzemienia bodzie. (2)
Dzielny gniadosz wspina się i pląsa . . .

Wesół wjeżdża pomiędzy drużynę,
Dnia dobrego życzeniem ją wita.

(1) Cały ten sześcio-wierszowy ustęp o katach, bezpotrzebnie, bez związku z ciągiem rzeczy wtrącony, jest jedyném miejscem, które najściślejsza krytyka w budowie całego poematu niniejszego zarzucić może.

(2) Na Wschodzie usługę ostróg pełni strzemię. Jest ono płaskie, tak szerokie, że na niém nogą całą stać można, i ostremi opatrzone rogami.

Jednym głosem odpowié drużyna:
„Dnia dobrego młody nowożeńcze!“

Za Miłoszem w tropy tuż przypadną
Dwaj szwagrowie, dwaj Doży synowie.
Pańskie dary obadwaj przynoszą,
Czczą go niemi w obec wszystkich swatów.

Naprzód piérwszy szwagier dar mu daje:
Bez odmiany wronego rumaka.
Na nimż siedzi Latynka dziewczyna.
Pyszny rumak aż do ziemi gnie się
Ode srébra i czystego złota:
Rzęd mu cudny na piersiach jaśnieje,
Złote sznury po kopytach biją,
A u kopyt złociste podkowy.
Na rumaku Latynka dziewczyna
W ręku trzyma siwego sokoła.

Do Miłosza szwagier się odzywa:

—„Weźmij bracie konia i dziewczynę,
I na koniu wszystko srébro, złoto;
Weźmij ptaka, siwego sokoła,
Między bracią iżeś najcudniejszy!“

Miłosz mu się z konia pięknie skłoni,
Z konia skłoni, wdzięcznie dar przyjmuje.
Drugi szwagier szablę mu przynosi,
Z pochwą laną ze szczerego złota;
Cała szabla bezcennéj wartości.
Miłoszowi wiesza ją przy boku:

—„Weźmij szwagrze, szablę tę złocistą;
Noś przy boku, pyszń się nią przed ludźmi.“

Alić oto nadchodzą teść z świekrą:
Cudneż dary zięciowi przynoszą!

Doża niesie kołpak okazały,
Na kołpaku czółeczko złociste,
A w czółeczku brylant, kamień drogi,
Jaśniejący jako żarkie słońce;
Ani spojrzéć przed nim na junaka.
—„Nać ten kołpak z czółeczkiem, mój zięciu!“
Miłosz wdzięcznie dar od Doży przyjmie.

Drugi dar mu smutna świekra niesie:
Podaje mu koszulę złocistą,
Ni przędzoną, ni na krośnach tkaną,
Nie krajaną, ani zeszywaną,
Ale w palcach całutką udzianą.
Kołem szyi upleciona żmija,

Z przodu głowę ku górze podnosi,
Że się zdaje, jakby była żywa,
Że do twarzy żądłem ugryźć sięga.
Na głowie jéj brylant, kamień drogi,
Jak młody pójdzie za dziewczyną
Do łożnicy, by im świecił jasno,
Żeby świecy niepotrzeba było.
Świekra zięciu koszulę podaje:
—„Naści synu, tę złotą koszulę!"

Stoją kołem swaty zadziwione,
Dziwując się darom Łacinników;
Alić większy jeszcze dziw nadchodzi!

Z srébrną brodą, długą aż do pasa,
Złotym kijem krok wspierając drżący,
Oto starzec Jeździmir się zbliża,
Brat kochany Doży Mleteckiego.
Łzy przelewa po licu zgrzybiałém,
Łzy przelewa. Ciężkaż-bo mu dola!
Siedm żon był starzec miał dostojny,
Ani razu Bóg mu nie dał dziecka.
Tak się miłéj ujął synowicy,
Ujął się jéj jak własnego dziecka;
Nią w sieroctwie pocieszał się swojém.
Dziś starcowi ciężka chwila przyszła,
Poza sine wyprawiać ją morze!

Dziwny węzeł niósł on pod ramieniem,
Węzeł szczupły, w krążek uwiniony.
Kiedy doszedł w koło między swaty,
Po imieniu nowożeńca woła.
Przywoławszy, węzeł swój rozwinie,
Na barki mu płaszcz kolisty rzuci:
Płaszcz, od głowy długi aż do ziemi,
Okrył całkiem jeźdźca i rumaka . . .

Co za cudo! (niech nieszczęście spotka)! (1)
Patrząc, oczy olśnęły junakom.
Między ludźmi powieść obchodziła,
Że na samą podszewkę jedynie

(1) W objaśnieniu miejsca tego pisze Talvy: „Obyczajem jest u słowiańskich ludów, ażeby chwalonemu przedmiotowi przez to nie zaszkodzić, dodawać do pochwały złorzeczenie. Rodzaj to obrony przeciw wpływowi złego. Wyrazisty choć nie estetyczny przykład podobnego zwyczaju znajdujemy u ruskich mamek, które, gdy mleczne ich dziécię chwali ktoś z urody lub zdrowia, a nie doda używanéj formuły: „Bóg uchowaj", w twarz dziecku plują. Grecy podobnież boją się pochwał i od złych skutków spluwaniem się zabezpieczają.

Pod płaszcz, wyszło trzydzieści kies złota,
A co na wiérzch?— to już i nie zliczyć!

—„Weź odemnie dar ten, zięciu miły!
Płaszcz kolisty przecudnéj roboty,
Jakowego w całym nie ma świecie,
U żadnego z królów chrześciańskich,
Ni u cara nie ma tureckiego.
Noś go zięciu, pyszń się nim przed światem!"

Na to Maxym milcząc, patrzy z boku,
Od zazdrości zpod brwi patrzy krzywo.
Wtém od bramy otworzą się wrota;
W nich stanęli słudzy i służkinie,
Na odjezdném dawać swatom dary:
Koniom na kark wiążą chusty krasne,
A junakom cienkie dają szaty.

Obdarzywszy, wiedli gości z grodu
Aż do brzegu, gdzie czekały łodzie.
Weselnicy w łodzie powsiadali,
Zdrowo sine morze przejechali,
Na brzeg własny wysiedli wesoło.

Przyciągnęli pod Żablak, na pole,
Kędy swaty w drogę się zbierały,
Gdzie im teraz rozstać się ze sobą.
Alić patrzcie, tu złe jak się pocznie.

Młody Maxym poskoczył na koniu,
Na swym koniu wronym bez odmiany,
Wziąwszy z sobą dziewięć towarzyszów,
Powitanie zanieść matce z drogi.
To gdy widział Miłosz wojewoda,
W pląsy wspina swojego gniadosza,
Do dziewierza koniem doskakuje,
Do dziewierza, Jana Kapetana,
I dziewczyny zlekka ręką dotknie . . .
Cóż uczyni nieszczęsna dziewczyna!

Twarz jéj kryła złocista zasłona,
Lecz dość rzadka, żeby przez nią widziéć.
Jak ujrzała konia i junaka,
Pomieszana, nagle się zapomni:
Z lic odrzuci złocistą zasłonę,
I odkryje oba oczy jasne,
I obiedwie wyciągnie doń ręce.

Choć kto widział, udał, że nie widział,
Ale widział Czernojewicz Iwo.

Jako ujrzał, ogniem spłonął cały,
Do Latynki synowy przyskoczy:

—„K' sobie ręce! synowo ma miła!
K' sobie ręce!—bodaj ci odpadły!
Zakryj oczy!—bodaj ci wypadły....
Co spoglądasz na cudzego człeka,
Na Miłosza Obrembejowicza?"

„Tam patrz oto, miła córko moja!
Tam patrz oto w pole, poprzed swaty:
Widziszli tam na wrońcu junaka,
Z długą kopiją bojową w prawicy,
Ze złocistą na ramieniu tarczą,
Z poczerniałém od ospy obliczem?"

„To prawdziwy Maxym, dziécię moje!
Jako Dożę o ciebie prosiłem
Pochwaliłem się był przed wszystkiemi,
Że, jak wielu jeno będzie swatów,
Piękniejszego nie znajdzie młodzieńca
Wśród nich wszystkich, nad mego Maxyma."

„Z tą przechwałką, alem się przekwapił!
Tak Miłosza zięciemśmy udali,
Darów ślubnych jemu odstąpili,
By nam ciebie przywiódł z poza morza
Beze zwady i wszelkiego trudu!"

Te gdy słowa posłyszy Latynka,
Jak rażona gromem, w miejscu stanie;
Konia wstrzyma, jechać daléj nie chce,
Śmiałym głosem k' teściu się odzywa:

—„O mój teściu, Czernojewicz Iwo!
Sam Maxyma dobra pozbawiłeś,
Gdy drugiego za zięcia udałeś!...
Po co? teściu! na żywego Boga!
Że mu ospa lice oszpeciła?
Toć, mój teściu, kto ma rozum tylko
Wié, każdemu że przyjść na to może.
Choć Maxyma ospa oszpeciła,
Oba oczy zdrowe mu zostały,
I zostało serce jakie było!"....

„Otóż, teściu, jak się przekwapiłeś!
Dziarski młodzian został syn twój zawsze!....
Dziewięć za nim lat całych czekałam
We Mletaku, u rodziny mojéj;
Dziewięć drugich czekaćbym gotowa
We Żablaku, białym waszym grodzie,

A nikt za mnie nie miałby się wstydzić,
Ni rodzina twoja, ni też moja!"...

„Teraz, teściu, Bogiem cię zaklinam!
Ty wydrwione odbierz nasze dary,
Od waszego wojwody Miłosza,
A powróć je Maxymowi twemu.
Bez tego ci krokiem ztąd nie ruszę,
Choćbyś oczy miał mi wydrzéć obie!"

Skłopotany gdy to Iwo słyszy,
Przyzwie k' sobie braci wojewodów:

—„Bracia moi! jako Bóg wam miły!
Sąd uczyńcie, pomiędzy Miłoszem
A między mną, o Latyńców dary."

Nie masz sędzi żadnego junaka
W takiéj sprawie, by się sądzić ważył.
Wszak-bo sobie obaj ręce dali,
I na Boga zaprzysięgli wiarę,
Że nikt darów nie będzie podzielać,
Jeszcze Iwo że wojewodzie doda.
Bracia sądu rzeknąć tu nie mieli,
W rzeczy zgodnie raz ustanowionéj.

Ależ Miłosz, gdy słyszał pytanie,
Zatnie swego gniadego rumaka,
Do Iwana żywo przyskakuje:

—„O Iwanie! serbska głowo nasza!
A gdzież twoja przysiężona wiara?
Na twą głowę zdrada bodaj spadła!...
Czyliśmy się społem nie zgodzili,
Że nikt ze mną darów nie podzieli?
Ty sam jeszcze dodać mi ich miałeś!...

„Lecz gdy żal ci i nie dzierżysz wiary,
Dobrze, rad ci część ich podaruję,
Na cześć sobie przed miłemi braćmi."

„Piérwszy więc dar daję ci, Iwanie,
Daję wrońca i dziewczynę na nim;
Ściśle sądząc choć do mnie należy:
Boć mnie było dziéwczę darowane,
Darowane od ojca i matki,
Darowane od obojga braci.
Ale o tém nie chcę ani mówić.
Jeszcze-ć przydam wszystko srébro, złoto
Na rumaku—i ptaka sokoła,
I od pasa szablę tę złocistą.
To ci wszystko darem podaruję."

„Ale trzech ci nie odstąpię rzeczy:
Nie odstąpię z czółeczkiem kołpaka,
I z bark moich płaszcza kolistego,
I koszuli ze złota udzianéj.
To chcę zanieść do méj krasnéj ziemi,
Bym przed bracią miał się czém pochwalić.
Tych trzech rzeczy nie oddam ci, klnę się!
Klnę się Bogiem i mą czestną wiarą!" (1)

To gdy pyszni posłyszą swatowie,
Jeden głos się z swadźby wzniesie całéj:

—„Chwała tobie Miłoszu wojwodo!
Chwała tobie, bohaterskie plemię!
Jakoś zacny i chwały dostojny,
Jakoś chwały godny między bracią."

Wszystkie swaty jeden głos podniosły,
Wszystkie głosy na jedno się godzą.
Jeden tylko milczy chmurny Iwo,
I na koniu złowieszcza dziewczyna.
Żal dziewczynie bardzo za darami,
A najwięcéj za złotą koszulą.
Tak z białego pocznie wołać gardła,
Pocznie wzywać do siebie Maxyma.

To gdy słyszy Czernojewicz Iwo,
Do Latynki przyskakując rzeknie:

—„Córko miła, latyńska dziewczyno!
Nie przyzywaj ty mojego syna,
Bo jakby mu się żal uczyniło,
Maxym, córko, zawadyja srogi,
Łatwo krwawą rozpocząłby zwadę
Między swaty, na własném weselu!....
Jest w Żablaku, córko, wieża złota,
Wszystko złoto ja daruję tobie:
Czyń z niém, córko, co ci się podoba!"

Nic nie zważa przeklęta dziewczyna.
Raz woła—Maxym nie dosłyszał,
Woła wtóry—aż go dowołała.
Maxym koniem doskoczył k' niéj wronym,
Zapytuje co do niego miała.
Harde dziéwczę tak mu na to prawi:

„O Maxymie, matki jedynaku!
Bodaj nigdy nie była cię miała,

(1) Ten spór wszczęty o podarunki, jak słusznie nasz wielki poeta uważa, jest jednym z rysów starożytnych bohaterów i przypomina kłótnią Agamemnona z Achillesem, wszczętą o podział zdobyczy.

A od dzisiaj bodaj nie widziała!.....
Z dzid bodaj ci ułożono mary,
Tarcza bodaj grobem tobie była!
Bodajś czarny stanął przed sąd Boga!
Jeśli mi dziś nie staniesz do walki
Z waszym krasnym wojwodą Miłoszem."

„Moje skarby maż zatrzymać obcy?....
A nie żal mi zresztą wszystkich skarbów,
Niech je nosi! (bodaj w nich utonął)!
Ale żal mi złocistéj koszuli,
Którą samam przez trzy lata działam,
Działam z trzema przyjaciółki memi;
Aż mi oczy łzami zachodziły,
Dziejąc w palcach migocące złoto!.....
Cieszyłam się uścisnąć małżonka
Do méj piersi w złocistéj koszuli;
A wy ją dziś drugiemu oddali!...."

„Lecz słuchaj mnie, Maxymie, mój przyszły!
Odbierz dary wydrwione natychmiast.
A jeśli mi darów nie odbierzesz,
Ja ci klnę się na żywego Boga!
Że ni kroku naprzód ztąd nie ruszę,
Ale zwrócę mojego bieguna,
Dopadnę nim do morskiego brzegu,
Liść szeroki zerwę zponad brzegu,
Paznogciami twarz zadrapnę sobie,
Aż pociecze z twarzy krew czerwona:
Nią na listku napiszę pisanie,
Dam je ponieść sokołowi memu.
Niech je niosie do mojego ojca,
Żeby zebrał wszystko wojsko swoje,
Żeby przyszedł zburzyć Żabląk biały,
Pomścić mego żalu i sromoty!"

Młody Maxym jako to posłyszy,
Srogim gniewem rozgoreje cały.
Zwraca nazad swojego rumaka,
Pod brzuch wrońca kańczukiem zacina,
Aż koniowi twarda pękła skóra,
Na kopyta prysła krew gorąca.
Rumak pod nim jako wściekły skoczy,
Na trzy kopije do góry wysadza,
A na cztery przed się przeskakuje....

Żaden junak nie znalazł się w drodze,
Szalonego żeby wstrzymać w pędzie;

Wszyscy w drodze rum mu wolny czynią (1).
Nikt nieszczęścia patrząc nie przeczuwał,
Nikt, po co tak pędzi, nie zgadywał.

Ujrzawszy go Miłosz wojewoda,
Gromkim śmiechem junak się rozśmieje:

—„A przez Boga—przez Boga żywego!
Gdzież się to tak Maxym nasz rozgonił?"

Nie przeczuwał nieszczęścia z nienacka!
Aż tu oto Maxym doń dopada,
I swą kopiją na Miłosza miece (2).
Ostrą kopiją uderzył junaka
Między oczy, pod samym kołpakiem;
Czarne oczy z czoła wyskoczyły,
Martwy Miłosz upadnie z rumaka!....

Upadł Miłosz. Maxym się nań rzuca
Rozwścieklony, krwi jego spragniony;
Wznosi szablę, głowę mu odsiecze,
W sakwy za się koniowi ją ciska;
Od dziewierza porywa dziewczynę,
Pędem goni do białego dworu.....

Miły Boże, we wszystkiém ci chwała!
Tuż dopiéro napatrzéć się było,
Własném okiem napatrzéć się klęski!

Jako upadł dostojny wojwoda,
Srogo pojrzą po sobie drużyny:
Zawrze w żyłach krew u wojowników,
I wymieniać poczną straszne dary!
Straszne dary ślą nawzajem sobie:
Czarny ołów z długich samopałów.... (3)

Jako ognia z grzmiącéj dali broni,
Od kurzawy powstał obłok czarny,
Czarny obłok okrył wszystko pole:
Poomacku miecze wydobyli...
Iluż matkom rozpaczać po synach!
Iluż siostrom ubrać się w żałobę!
Iluż żonom owdowiéć za młoda!...

Krzyk bojowy polem się rozlega,
rumaków rozhukanych rżenie,

(1) *Rum*, dawny wyraz, znaczy: wolne miejsce; zdaje się miéć wspólne źródło ze serbskiém *drum*, droga.

(2) Podług innego waryantu, który tu W. S. K. przytacza, Maxym nie zabił odrazu Miłosza, lecz wyzwawszy go na rękę.

(3) *Samopał*, dawny wyraz, znaczy: strzelba.

Pistoletów urywane strzały,
Ostrych mieczów o miecz brzmiące cięcia,
I jęczące rannych narzekania.
Jeden woła: „Ah ma miła matko!"
A drugi mu: „Co ci po niéj? bratku!
Tu nic matka nie pomoże miła,
Ale szabla i w ramieniu siła!"

Krwi kałuża równinę zalała,
Po kolana w krwi mąż smutny brodzi.
Nieszczęsny to Czernojewicz Iwo!
(Póki życia, póty smutku jego!)
We krwi brodzi, Pana Boga prosi:

„Daj mi, Boże, od gór wicher bujny,
Niech rozgoni tę przeklętą chmurę!
Niech zobaczę po tém polu krwawém,
Którzy legli, którzy dziś zostali."

I Bóg dał mu od gór wicher bujny,
Rozpierzchły się czarne mgły nad polem.
Pojrzy Iwo na lewo, na prawo,
I ztąd i ztąd, widok równie srogi!
Zgruchotane konie i junaki,
Jedni martwi, drudzy konający.

We krwi brodząc Czernojewicz Iwo,
Idzie, trupy przewraca skrwawione,
I podnosi głowy potrzaskane!
Szuka syna swojego Maxyma,
Ale nigdzie znaléźć go nie może.

Wtém nadejdzie na siostrzana swego,
Na siostrzana Jana Kapetana,
(Za dziewierza co był przy dziewczynie,
Co w Żablaku, rano przed pochodem,
Sen wujowi dziwny opowiadał).
We krwi, Iwo nie poznał siostrzana;
Już go mijał, ażeby iść daléj;
Jan Kapetan ale poznał wuja,
Z krwawéj ziemi, tak się doń odzywa:

—„Hej wuju mój, Czernojewicz Iwo!
A cóż cię to w taką pychę wzbiło?
Czy synowa, czyli pyszna swadźba?
Czyli drogie od Latyńców dary?
Że ni spytasz swojego siostrzana,
Czy mu rany bardzo dolegają?"

Pozna Iwo—łzy nad nim wylewa,
Ze krwi gęstéj podnosi siostrzana:

—„Mój siostrzanie, Janie Kapetanie!
Mogąli się wyleczyć twe rany?
To-ć zaniosę w dwór mój utrapiony,
Sprowadzę ci z za morza lekarzy....."

Jan Kapetan odpowié mu na to:

—„Daj mi pokój, wuju mój Iwanie!
Gdzież masz oczy? Czyżeś widział kiedy,
Żeby takie leczyły się rany?

„Lewa moja noga połamana,
Połamana na dwoje czy troje;
Prawa ręka moja odrąbana,
Odrąbana aż po samo ramię;
O serce mi szabla się otarła,
A wątroba z boku wyszła cała!"

Jak to uzna Czernojewicz Iwo,
Prędko pyta swojego siostrzana:

—„Mój siostrzanie, Janie Kapetanie!
Powiédz, póki życia w tobie jeszcze:
Ty dziewierzem byłeś przy dziewczynie,
Gdy jéj Maxym dopadł i pochwyćił;
Nie widziałżeś Maxyma, gdzie zginął?
Co się stało z nieszczęsną dziewczyną?"

—„Daj mi umrzéć już spokojnie, wuju!
Żywo uszedł Maxym twój do domu:
Jako dopadł szalony rumakiem
I pogubił Miłosza wojwodę,
Narzeczoną porwał mi od boku,
I k' nieszczęsnéj poleciał z nią matce." (1)

To wyuści—lekką duszę puści.
Zostawi go Czernojewicz Iwo,
Do białego dochodzi Żablaku.

Kiedy do wrot grodu się przybliżał,
Ujrzy przy nich kopiją w ziemię wbitą,
A u kopii związanego konia.

Nieopodal siedzi Maxym młody,
Na kolanie liścik drobny pisze,
K' teściu swemu Doży Mleteckiemu;
Przy nim stoi nieszczęsna dziewczyna.

(1) Podług innego waryantu, Maxym miał brać udział w całéj powszechnéj bitwie, i wielekroć raniony, następnie leczył się przez rok w Żablaku. Tymczasem brat Miłosza pojechał do Carogrodu, Maxym zaś po nim dopiéro, żeby się przed sułtanem usprawiedliwiać i bronić.

W liście Maxym takie pisał słowa:

—„Słuchaj, teściu mój, Mletecki Dożo!
Zbieraj wojsko, wszystkich Łacinników,
Przychodź tutaj, zburz nasz Żabiak biały.
Odbierz sobie miłą córkę swoją,
Nietykaną, nieucałowaną!...
Moje państwo przepadło na wieki,
Moje państwo, królowanie moje.
Precz, dalekim odjeżdżam ztąd światem,
Do Stambułu, k' caru tureckiemu;
Poturczę się i służyć mu będę."

Zła ta wieść się rozniesie po kraju,
Dojdzie także do Obrenowiczów.
Posłyszał ją Jan Obrenbejowicz,
Brat rodzony Miłosza wojwody.
Chwilę myślał—prędko się rozmyślił:
Wyprowadza wronego rumaka,
Wkłada siodło, jakie miał najlepsze,
Zapina je najlepiéj jak może,
Rumakowi na siodło wskakuje.
Przeżegna się, rodzinę pozdrawia,
Odjeżdżając, tak do niéj przemawia:

—„I ja, bracia, jadę do Stambułu!
Jadę bracia, by czuwać nad wami,
I nad wszystkiém naszém pokoleniem.
Nie naprożno poszedł tam morderca!
On chce służyć caru tureckiemu,
By wysłużyć silne wojsko sobie,
I spustoszyć śliczną ziemię naszą.
Ale, bracia i plemiennikowie!
Dopóki mnie stanie przy żywocie,
Dopóki mnie we Stambule stanie,
Nic nie macie lękać się od niego.
We wszystkiém mu stanę na zawadzie.
Jako on wam, ja mu wrogiem będę."

Powiedziawszy, jechał do Stambułu.
Jako grodu Stambułu dojeżdżał,
Spotkał w drodze mordercę Maxyma.
Obaj razem przyszli do sułtana.

Ten już wiedział kto obadwaj byli,
Wiedział wszystko co się było stało.
Obojgu ich przyjął i poturczył,
Obudwu im dał tureckie miana.
Janu: Mamut-bej Obrenbejowicz;
Maxu: Skender-bej Iwanbejowicz.

Przez lat dziewięć carowi służyli,
Dziewięć włości w nagrodę dobyli;
Na paszałyk obaj je mienili.
Sułtan obu dał białe buńczuki,
I wezyrstwo nad ziemiami dwiema,
Na czas wieczny, dla nich i ich rodu.

Mamut-beju Obrenbejowiczu
Dał krainę równą, Dukadżinę (1).
Kędy wina rodzi się dostatek,
Dosyć wina, więcéj kukurydzy,
Więcéj jeszcze bielutkiéj pszenicy:
Ziemię cudną, jak cudniejszéj nie ma!

Skender-beju Iwanowiczowi
Smutny dostał się Skadr nad Bojaną,
Wpośród bagnisk, gdzie się nic nie rodzi,
Tylko żaby i dzikie bawoły,
A na brzegach sól porasta biała.

Tam po dziś dzień żyją ich plemiona.
Nigdy zgody nie masz między niemi,
Krwawa zemsta dotąd nie zgaszona,
Do dzisiaj dzień krew nawzajem leją.

(1) *Dukadzina*, także *Metochija*, część kraju w południowo-wschodniéj Serbii, z miastami: Pryzren, Piecz i Dziakowica.

PRZYSŁOWIA I WYRAŻENIA
OD GÓR I RZEK.

ZEBRAŁ

Tymoteusz Lipiński.

Po zamieszczeniu w Bibliotece Warszawskiéj na miesiąc listopad r. z. przysłów i wyrażeń od miast i wsi, ozwały się różne głosy powstające: że niektóre z nich powtarzane są z małemi tylko zmianami, inne zaś wcale nie są przysłowiami, i tym podobne dały się słyszéć zarzuty. Na takowe utyski i uskarżania się, stanąć mi wypada w obronie własnéj sprawy.— Mam już prawie na ukończeniu *Słownik* zawierający przysłowia, przypowieści, zdania i sposoby mówienia, z którego zwyż rzeczony ustęp puściłem był na świat. Celem mojéj lingwistycznéj pracy jest nagromadzenie ile możności szczególnych zwrotów mowy i wyrażeń, żeby ochronić od zagłady praojców naszych formy, nagięcia i łamania językowe. A że nietylko w przysłowiach, lecz i w rozlicznych wyrażeniach mieści się bogactwo, dzielność i okrasa mowy, które coraz się bardziéj zacierają, tak dalece, że już jedne wyrzeczenia całkiem są niepojęte, inne bez komentarzy zrozumiałemi być nie mogą: umyśliłem je przeto na jaw wydobyć i wyrwać z zapomnienia, przywodząc wszelkie odcienia, czyli tak zwane waryanty, jakie mi się zdarzyło uzbierać z piśmiennych zabytków od XVI wieku, aż po koniec XVIII stulecia, zamieszczając oraz i przechowujące się dotąd w ustach skarby wiedzy ludowéj. Tu się okaże porównawczym sposobem, jak jednaż i taż sama myśl mieszcząca się bądź w przysło-

wiu, bądźto w zdaniu lub wyrażeniu, traciła na mocy, jędrności, dobitności, w miarę przekształcania się rodzinnego narzecza i odstępowania od dawnych form; słowem: jak czas i ogłada wywierały stopniowo swój wpływ na duch mowy i na praktyczny rozum przodków naszych.

Takie jest moje zadanie, i na téj drodze postępując, podaję nateraz przysłowia i wyrażenia od gór i rzek, jako pobratymcze, a tém samém w ścisłym związku z poprzednio wydanemi będące. Oba te ustępy razem zlane i spojone utworzą jaką taką całość, pod względem geograficznym obrobioną. Przyjęty przezemnie porządek alfabetyczny każdego działu jest tu ściśle zachowany; załączają się przytém objaśnienia dla zrozumienia jużto znaczenia, już przedmiotu o którym zachodzi wzmianka. Oddział ten wszakże w porównaniu z wydanym roku zeszłego, mało jest licznym. Że od gór szczupły posiadamy zasób apoftegmatyczny, łatwo się to da wyjaśnić, gdyż kraj dawną Polskę składający, w ogóle jest płaski i rozległemi równinami okryty; ależ rzek wielkich i pomniejszych mamy podostatek, a mimo tego ubodzy jesteśmy w przysłowia i wyrażenia rzek się dotyczące. Zkąd to, i dla jakich powodów? — sprawy z tego zdać nie umiem. Warto, aby się kto z światłych ziomków nad tém głębiéj zastanowił i wykazał, jaka temu stawała przyczyna na zawadzie, że naddziadowie nasi tak skąpo wyrobili do rzek odnoszące się apostrofy, zastosowania, porównania; dlaczego tak mało zwracali swe myśli, wyobrażenia i pojęcia na korytem płynące wody, które kraj zdobią, przynoszą mieszkańcom korzyści, a zarazem różnemi ich trapią klęskami.

Jak Kraków i Częstochowa między posadami, tak Wisła, ta królowa rzek lechickich, najczęściéj w przysłowiach i w wyrażeniach nazwy swe mają wspominane. I niedziw: gdyż jak owe grody słynęły odwiecznie świętością miejsc i łączącemi się z niemi dziejów wspominkami; tak Wisła przerzynając biegiem swym kraj cały, i trzymając prym między rzekami, ułatwiała odbyt płodom rolnika, spławiała i dotąd nie przestaje na swym grzbiecie unosić do Baltyku zbożem ładowne statki. Usługę tę wiślaną ziemianom świadczoną, pięknie wysłowił Klonowicz w swoim *Flisie* 1595 roku: „Co się zrodzi na polskim ugorze, połknie to morze.“

Z obcych rzek wcielił się w narzecze nasze Dunaj, i kilkakrotnie o nim zachodzi w przysłowiach, a częstsza jeszcze

w pieśniach ludu wzmianka. Ale bo też Dunaj w ścisłém zostaje powinowactwie z dawnemi wyprawami, a zwłaszcza z czasów istnienia kozaczyzny, kiedy śmiali junacy Zaporoża w swoich wojaczkach bystre jego przebywali nurty, szukając w odległych ziemiach łupów i sławy.

Kończąc to przedsłowie winienem ostrzedz, że przytaczani poniżéj autorowie w skróceniu, jedni są ciż sami co poprzednio wzmiankowani już byli w artykule pod miastami i wsiami; inni zaś, jako nowo tu pojawiający się, wymienieni zostaną wraz z tytułem ich dzieła w przypiskach.

I. OD GÓR.

Bij, bij świętokrzyski zbóju! oddam ja ci z nasypką.

Oddam ja ci sowicie, z procentem; odpłacę ci się z lichwą.—Kilkomilowe pasmo gór Swiętokrzyskich czyli Łysogór w b. Wtwie sandomierskiém, gęstemi zarosłych lasami, bezpiecznym było przytułkiem dla łotrów i trudniących się rozbojem. Góry te otrzymały nazwę od kościoła z klasztorem Benedyktynów, fundacyi Bolesława Chrobrego około 1008 r., gdzie złożona cząstka krzyża Chrystusa Pana dotąd się tamże przechowuje.

Był trzykroć na Beskicie, a czwarty raz na Krępaku zbijał. *Rys.*

Zawsze w złém towarzystwie; wierutny z niego łotr, zbrodzień— Bezkid, Beszkid, Bieskidy, część pasma gór Karpackich naprzeciw Krakowa leżąca; Bieszczady zaś ciągną się na wschód ku Bukowinie. Krępak, Krapak, Karpak czyli Karpaty.— Niezbyt dawno ukrywały się w tych górach liczne zgraje rabusiów *opryszkami* zwanych, którzy napadali podróżnych i kupców gościńcem podgórnym jadących.

Czarownica z Łyséj Góry.

Łysa, Łysica (*Mons Calvus*) czyli Swiętokrzyska góra w b. Wtwie i powiecie sandomierskim, któréj szczyt wznosi się na 1920 stóp paryskich nad poziom morza Baltyckiego, ważną gra rolę w zabobonach ludu naszego, jako miejsce przebywania czarownic i złych duchów.

Gdzie karczma: tam prawie i Łysa Góra. *Haur.* (1).

Czyli innemi oddając wyrazami: nietylko Łysa Góra siedliskiem jest złego ducha i czarownic, ale i karczma zgubna jest dla duszy czło-

(1) Skład abo Skarbiec znakomitych sekretów oekonomiej ziemiańskiéj przez ur. Jakuba Kazim. Haura, niegdy na wielkorządach krakowskich i oekonomiach samborskich JKM. oekonoma. Kraków, 1693.

wieka, który odurzony będąc trunkiem, zostaje niejako pod władzą szatana i wpływem czarów.—Haur zaś takie daje objaśnienie: „w karczmie dzieją się ladajakie ludzi postępki, do czego zły duch podżega, przywodzi i z nimi się oraz cieszy, weseli i spółkuje".

Kiedy Łysica w koszuli:
Wkrótce niebo się rozczuli.

Tojest: kiedy szczyt Łyséj Góry osłonięty jest gęstą mgłą, niebawem nastąpi dészcz, słota, pluta. Wznoszące się te wyziewy z ziemi, ostrzegają mieszkańców w kilkomilowym okręgu Łysicy osiadłych, o rychłéj niepogodzie; jakoż ujrzawszy wieśniak tę napowietrzną koszulkę, nader właściwie zastosowywa swoję przypowieść:

Chociaż świeci słońce,
Gdy wyjeżdżasz, weź opończę.

Mógłby był i Tatry swą prośbą ruszyć. *Morsz.* (1).

Stosuje się do twardego, zakamieniałego serca, o którém się mówi: skałębyś uprosił; głazbyś do litości pobudził; najnieczulszego mógłby swą prośbą poruszyć, wzruszyć.—Tatry, mówi Pol, panują nad całym łańcuchem gór Sarmackich (Karpat) w sposobie oddzielnéj wyspy, która się wznosi litemi ścianami pierwotnych skał do 8,000 stóp nad powierzchnią morza. Cała długość téj krainy zajmuje od wschodu na zachód 7—8 mil, szerokość 3—5 mil. (2).

Nie masz Tatr, ani przystęp trudny, kędy się złoto błyśnie. *Pocz.*

Nie ma nic tak mocnego, czegoby złoto nie zwojowało; złoto przez mury, przez bramy się przebije; pieniądze wszystkiego dokażą.

Nie wié: czy w raju, czy jest na Beskidzie. *Syl.* (3).

Wielce jest pomieszany, w ambarasie; ni tam, ni sam; między młotem a kowadłem. Takie jest właściwe znaczenie owego wyrażenia, jak się to z dalszego ciągu wykazuje, a nie jak Linde mylnie objaśnia: hultaj między swemi.

Patrzy, jak rozbójnik świętokrzyski.

Dziko, srogo spogląda; okrutne ma wejrzenie; wzrokiem swym zabija; aż strach ogarnie, gdy na ciebie spojrzy; patrzy wzrokiem bazyliszka.

(1) Psyche z Lucyana, Cid albo Roderik z francuskiego i t. d. przetłumaczone przez JW. Andrzeja Morsztyna Podskarbiego W. K. Lipsk 1752. (Cyd był przedstawiony na zamku warszawskim 1661 r.).

(2) Rzut oka na północne stoki Karpat. Kraków 1851 r., str. 11 i 12.

(3) *Syloret* albo prawdziwy obraz nieosłabionego najdotkliwszemi przeciwnościami męstwa, w starodawnéj historyi z różnych greckich i łacińskich pisarzów wyjętéj odmalowany, a przez W. JP. Wacława z Potoka Potockiego Podczaszego krakows. w rymie polskim żywszemi kolorami opnowiony.

Rzekłbyś, że to widma z Łysćj Góry.

Widma, wiedma, wiedźma, czyli wieszczka, wróżka, czarownica.—Odpowiednie powyższemu sposoby mówienia o brzydkiéj, szpetnéj kobiecie: baba, choć nią komin zatkać; mógłby nią dzieci straszyć; nad prosem ją postawić; straszydło na ptaki; szpetna jak straszydło; piękna jak koczkodan.

Tak ciemna noc, że i czarownice na Łysą Górę nie trafią.

Ciemno jak w miechu; ciemno choć oczy wykol, wyłup.—Upowszechniona wiara w czarownice i przyznawanie im nadzwyczajnych własności, mocno u nas wkorzenione, podniecane nadto było rozlicznemi zabobonami ludu. Bezimienny autor książki: *Czarownica powołana, abo krótka nauka i przestroga z strony czarownic, dla ochrony i poratowania sumnienia. Poznań*, 1639 r., wyraża na str. 1: „Temi czasy nasza Wielkopolska niezwyczajnie zagęściła się nakształt pożarów czarownicami, tak, iż na posiedzeniu i schadzkach zwyczajnych, o żadnéj materyi więcéj nie usłyszysz, jako o czarownicach".

Tak zakamieniały,
Jak karpackie skały.

Trafne to i dobitne porównanie w najwyższym stopniu nieczułego człowieka na prośby lub niedolę bliźniego, znalazłem w rękopisie z XVII wieku, zawierającym tak zwane *silva rerum.*

W górach żywieckich Kaim pałkę zgubił.

Przez to wyrażenie chciano oznaczyć liczne rozboje i zabójstwa, popełniane w tatrzańskich górach, około miasta Żywiec zwanego.

Wiarą ruszyć można Tatry. *Arg.* (1).

Blizkoznaczne temu wyrzeczenia: wiara góry ruszy; wiara morza osusza i przestawia góry; gdy mocną wiarę masz, to i czart zstąpić ci musi z drogi.

Wygląda jak czarownica z Łysćj Góry.

Brzydka, szpetna, szkaradna; nieumyta, ani uczesana; flejtuch babsko.—Stanisław Duńczewski w kalendarzu na rok 1759, zamieścił artykuł o czarach i czarownicach, gdzie pisze: „W żadnéj nacyi tak wiele czarów, czarowników i czarownic nie ma, jak u nas, osobliwie w górach i na Rusi, także w Litwie, Ukrainie i Podolu. Jest zwyczaj: gdy długo deszczu nie bywa, baby ze wsi biorą do pławienia, które bojąc się zatonąć, do czarów udają się i dészcz sprowadzają; ale to jest od kościelnéj zwierzchności zakazane. Wiele takich znajduje się czarownic, które w chlewie wbiwszy kołek do słupa, mleko cebrami doją: bowiem czart krowom mleko odbiera u sąsiadów, a do nich przynosi. Gdy mają zostać czarownicami, wyrzekają się wiary, czarta so-

(1) Argenida, którą Jan Barclaius po łacinie napisał, Wacław Potocki Podczaszy krakowski polskim wierszem przetłumaczył. Warszawa, 1697 r.

bie za stróża i protektora obierając. Na św. Jerzy, na Zielone Swiątki i św. Jan, chodzą w nocy nagie czarownice, wrót, drzwi, odźwierza ustrugują i wrzucają w skopiec; rosę zbierają zrana przy drodze i zakopują czary, dla odebrania krowom mleka.“ (1).

Wygląda jak zbój świętokrzyski.

Człowiek srogiego, odrażającego oblicza; postawa hajdamacka a łotrowskie wejrzenie; wygląda jak Jadźwinga; aż mu strach w oczy spojrzéć.

II. OD RZEK.

Choć Bałtyk przepłynął, może na Dunajcu utonąć.

I mała przygoda może życia pozbawić; niejeden morze przepłynąwszy, na brzegu utonie. – Dunajec wypływa z Tatrów; przez roztop śniegów w górach i podczas słoty, nader bystro toczy wezbrane swe nurty, a występując z łożyska, wielkie zrządza szkody. Uchodzi do Wisły naprzeciw Opatowca. Obodziński (*Pandora starożytna monarchów polskich*, 1641 r.) użył na str. 89 wyrażenia: Dunajec głęboki, prędkim lotem płynie.

Choć pływasz po smugu:
Utoniesz na Bugu.

Smug, smuga=pólko długie, wązkie; łąka wązka a długa między rolami lub lasami. Pływać po smugu, to samo: co pływać po lądzie, t. j. łgać, kłamać. Powyższe wyrażenie ostrzega: że kiedyż tedyż spadnie kara na kłamcę, że nie ujdzie mu to na sucho; do czasu tylko dzban wodę nosi.

Cnego królestwa Wisło, pani wodna!

Taką uczynił apostrofę do Wisły 1628 r. S. S. Jagodyński, w przekładzie włoskiéj komedyi z tańcem i muzyką, któréj tytuł: „Wybawienie Rugiera z wyspy Alcyny, gwoli najaśn. Władysławowi królewicowi pols. i szwedz.; z woli W. ks. Florenckiéj w pałacu nazwanym *Villa Imperiale* podczas mięsopustu 1625 reprezentowane“.

Co ma wisiéć, nie utonie w Dunaju. *Bar.* (2).

Co komu przeznaczono, to go nie minie; nie swą śmiercią umrzesz; kto się urodził na szubienicę, nie utonie w wodzie.

(1) Mieszkając w mieście Murachwie na Podolu, świadkiem byłem jak podczas wielkiéj suszy letniéj, prowadzili wieśniacy skrępowaną postronkiem niewiastę napół obnażoną, którą schwytali o wschodzie słońca zbierającą dłonią rosę na łące, dla ugaszenia pragnienia. Mniemaną tę czarownicę okładano razami, i kto wié coby się z nią daléj stało, gdyby się nie była wdała zwierzchność miejscowa.

(2) Baranowicz.— Exemplarz jego wierszy w Bibl. Głównéj Okr. N. W. pozbawiony ćwiartki tytułowéj, zaczyna się od wiersza: Na herb Jego Prze-

Czysty jak niemeńska woda.

Bez najmniejszéj skazy, plamy, makuły; czystego sumienia; czysty jak kryniczna, zdrojowa woda; czysty jak łza, jak kryształ, jak bursztyn.

Daremnie myślisz o tém, co minęło;
Już to w pół Wisły na dnie utonęło. *Brat.*

Co już raz minęło, nazad się nie wróci; co minęło, to i przepadło; co było a nie jest: nie pisać tego w regestr; co się nie wróci, próżna się o to kłopotać.

Gdyby woda nie topiła:
Nadwiślanka w złocieby chodziła.

To *gdyby* i *żeby* często w życiu naszém staje na zawadzie i myli nam szyki; i tak: gdyby Wisła przez swe wylewy szkód nie zrządzała, toby nadbrzeżnych mieszkańców żony i córki z złotogłowiu szaty nosiły.

Gdzie przy Swiecy orzą?

Odpowiedź na to zagadkowe pytanie: w Galicyi, a w dawném Wtwie ruskiém. Jest tam bowiem rzeka zwana Swieca, która wypływając z podnóża Karpat, uchodzi do Dniestru opodal Żórawna.

Jak tureckie konie będą w Wiśle poić: to będzie inaczéj.

Nie doczekasz się tego; nie nastąpi to nigdy; nie zaraz to będzie; długo na to czekać; wiele jeszcze wody upłynie; rychléj rzeka wstecz popłynie, niż się to ziści.

Jakby węgorza wpuścił w pół Wisły. *Syl.*

Przepadł, bez śladu, tropu po sobie nie dał: ani widu, ani słychu; jakby kamień w studnię, w wodę wrzucił.

Jakbyś żeglował bez wiosła na Wiśle. *Niew.* (1).

Porównanie to rozliczne może miéć zastosowania, kiedy chcemy wyrazić jakie niepodobieństwo, trudność uskutecznienia lub dopięcia zamysłu bez odpowiednich zasobów; słowem, oznacza wszelką niemożność fizyczną albo moralną.

świetnego Carskiego Wieliczestwa. Poczém następuje: Do Najjaśn. Hospodara Carewicza i W. X. Jana Alexiewicza, wszystkiej Wielkiéj, Małéj i Białéj Rusi. Podpisał się: Łazarz Baranowicz Archiepiskop Czernihowski, Nowogrod:—Na str. 543 wiérsz z nadpisem: Rusin do Polaka. Coś po polsku gdaka; tak się poczyna: Proszę przebacz Polaku, Jeżeli tu nie masz smaku. Byś ty po rusku nas witał, Jabym Rusin chętnie czytał. Rusinowi to źwierzyna, Jak polszczyzna, tak łacina, i t. d.—Inne jego dzieło poetyczne: *Żywoty świętych*, wyszło *z typographiej kijowsko—pieczarskiéj R. P.* 1670. Obie te prace bogate są w przysłowia.

(1) Rzymski i ruski kalendarz na rok Pański 1705 przez M. Franciszka Niewieskiego, fil. dokt. w akademiej Stanisławowskiéj rethoryki prof. i astronoma. Zamość.

Jako Wisła, co płynęła i płynie:
Tak stary zwyczaj niełatwo przeminie.

Komu się morze zdarzyło przepłynąć,
Może na Dunajcu zginąć. *Trąb.* (1).

Myśl i znaczenie toż samo, co i pod wyrażeniem zaczynającém się od: Choć Baltyk i t. d.

Kręty jak Pilica.

Wykrętów, wybiegów używa; wielki z niego krętacz, matacz, machlarz; kręci jak szewc butem, kopytem; nie dojdziesz z nim ni ładu, ni sprawy; wykrętny jur (jurysta).

Kto przy Obrze:
Ma się dobrze.

Obra, rzeka w b. Wtwie poznańskiém, poczynająca się blizko wsi tegoż nazwiska, mającéj bogate niegdyś opactwo Cystersów; uchodzi do Warty. Przytykające do koryta Obry obszerne łąki i bujne pastwiska, wynagradzając trudy rolnika około mniéj dobréj roli, przynoszą mu znaczne korzyści.

Lepsza znad Dniestru mamałyga, niźli ryż znad Nilu.

Mamałyga, rodzaj ciasta z mąki kukurydzanéj. Odpowiednie powyższemu wyrażenia: każdy ma swój gust; o gustach dysputować się nie godzi; choćbyś wina nalał: osieł będzie wodę wolał; jeden to lubi czego drugi nienawidzi; co kto lubi: organista mięso, a ksiądz rosół; co kto woli: ksiądz kapustę, organista mięso.

Lepsze jajca od Dunajca, niźli od Wisły. *Rys.*

Dlaczego są one lepsze, i na czém ich lepszość zależy?—zostawuję to zadanie innym do rozwiązania. Zupełnie zatarta jakaś okoliczność musiała wywołać powyższe wyrzeczenie.

Możeż okrętem na morzu kierować ten: kto wiosłem na Wiśle robić nie potrafi? *Pol.* (2).

Wara tobie od tego!; nie podejmuj się, czego nie umiész, czemu nie zdołasz; za piecem tobie siedzieć, nie rządzić; twa rzecz w piasku gmerać.

Nie omyli gościniec wiślnym brzegiem. *Jov.*

Nie zbaczaj, a nie zbłądzisz; trzymaj się prostéj drogi, jak pijany płotu; rozumu będzieszli się trzymał: nie zbłądzisz; dla ścieszki gościńca nie opuszczaj.

(1) Trębecki. Bajki w tom. XIII Zabaw przyjemnych i pożytecznych str. 283.

(2) Polityk chrześciański, albo przestrogi i uwagi chrześciańsko-polityczne wszelkiemu stanowi służące, przez ks. M. Jaśkiewicza M. K. W. S. J. K. wydane. Warszawa, 1757.

Nie tak żałośnie jęczy za Dunaj zagnany więzień: jako ja dzień pole dnia, ciężko stękać muszę. *Gaw.* *

Daleko większe są moje codzienne cierpienia, niż więźnia stękającego w tureckim jasyrze.

Przebywszy Dunaj,
Do domu nie dumaj.

Przytacza to, jako znaną przypowieść Stryjkowski w swojéj Kronice 1582 r. na str. ij *b.* Chciano przez to wyrazić: już się z domem, z rodzinnym krajem więcéj nie obaczysz; jużeś nazawsze zginiony; przepadł, jakoby kamień rzucił w wodę.

Rozkoszna Wisło! ty nam Polskę zdobisz. *Bies.* (1).

Szukasz wody w Wiśle.

Znaczenie i zastosowanie tego wyrażenia może być wielorakie; i tak np: do zapominającego się lub roztargnionego, o którym się także mówi: na koniu jeździ, a konia szuka; szuka czego nie zgubił; ma pod nosem, pod ręką, a szuka. Powtóre, jeśli kto napróżno, bezowocnie co czyni, lub daremną podejmuje pracę, robotę, czemu odpowiednie są: słomę młócić; wodę mierzyć; wodę czerpać przetakiem.

Wisła jak Bóg: jednemu daje, drugiemu bierze. *Rys.*

Woda jednemu weźmie, a drugiemu da; woda urwie jednego, zbogaci drugiego.—Fran. Jezierski kanonik krak. w dziełku swojém: *Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane*, 1791 r. tak na str. 259 przemawia: „Wisła płynąc jednostajnie ziemią miękką, ma taką wolność nieograniczoną, jak stan szlachecki; koryto jéj niejednostajne, jedne brzegi zatapiane są rozlewem, drugie obrywane z ziemi; pełna jest w swojém dnie naniesionego przez siebie drzewa. Wisła jest obrazem nieporządku krajowego."

Wisła, matka rzek polskich. *Gon.* (2).

Jak do łona matczynego tulą się dziatki, tak do Wisły uchodzi mnóstwo rzek i rzeczułek.

Wisła okowy zdarlszy warowne,
Pędzi do morza statki ładowne.

Tojest: skoro Wisła pozbędzie się lodów, następuje spuszczanie statków ze zbożem do Gdańska, co technicznym wyrazem zwano *fryjor*, *fryor*, z niemieckiego *Frühjahr*, wiosna. Mówi się: szczęśliwie odbyłem fryor; w polu zupełnie chybiło, na przyszły rok nie myślę nawet o fryorze; fryor powrócił z Gdańska; statki fryorowe; fryjorowe złotko.

(1) Biesiad roskosznych zabawa, przez Baltyzera z kaliskiego powiatu.
(2) Goniec cnothy do prawych ślachciczow, przez Matysa Strykowiusa uczyniony, w ktorym są przykłady piękne spraw mężow zacnych, postępki Sarmatow y krolow polskich. Krakow, 1574.

Wisła płynie jak płynęła.

Czyli: nic się nie zmieniło; najmniejsza nie zaszła zmiana; wszystko swoim trybem idzie; wszystko po staremu; jak dawniéj, jak za dawnych czasów, jak przedtém, jak zwyczajnie.

Wisła, polskich rzek głowa. *Ryb.* (1).

Naczelna, główna, trzymająca pierwszeństwo, nie ma sobie równéj w kraju.

Wisła Wisełką, nim minie Ustronie.

Wielkiéj rzeczy mały początek; małe rzeczy na początku, wielkie bywają na końcu; wielkie rzeki z małego idą źródła; często małe rzeczy, wielkich są przyczyną—Wisła (*Vistula, Istula*) bierze początek w Szlązku austryackim. Potoki: Czarna i Biała Wisełka czyli Białka, wytryskując z góry *Baraniej* w okolicy wsi *Wisły*, zasilone innemi strugami, zlewają się w jedno koryto pod wsią Ustronie, które przybiera nazwę Wisły (2). Bielski w Kronice polskiéj 1597 r. pisze na 3 str: „Wisła, którą starzy *Wandalus* zwali, podobno od Wandala króla, który nad nią mieszkał. Od téjże potém rzeki Wandalitowie naród nasz są nazwani". Klonowicz w *Flisie* 1595 r. nadaje jéj poetyckie miano *Wandzina woda*; niektórzy zaś pisarze XVIIgo wieku zowią ją *Biała woda*. Byli tacy, co upatrywali w słowie wisiéć, źródłosłów Wisły, od pierwotnego wyrazu *wis*. W starych rymach pozbawionych ćwiartki tytułowéj, czytam: „Wisła ztąd zwana, że z góry zwiesiwszy kark, Krakowa liże nurtem mury".

Za Pilicą gęsi kwicą, a świnie gęgają.

Wrodzone jest człowiekowi natrząsanie się z sąsiedniéj okolicy, jéj mieszkańców i zwyczajów. Prawdę tę stwierdza i powyższe wyrzeczenie, które chce powiedzieć: że za Pilicą wszystko przewrotnie, wszystko naopak się dzieje; czyli, nie tak jak Bóg przykazał; nie poludzku; odmiennym od naszego trybem.

Zajachawszy za Dunaj.
Już do domu nie dumaj. *Rys.*

Porównaj téjże saméj treści, ale dawniejsze wyrażenie, zaczynające się od: Przebywszy i t. d.

Zginął, jak Kozak za Dunajem.

Zginął jak mucha, ze szczętem, z kretesem; przepadł, jak kamień wrzucony w wodę; jak w otchłań wrzucił; już go więcéj nie ujrzysz; pożegnaj się z nim nazawsze, na wieki wieków.

Pisałem w lutym 1853 roku.

(1) Jana Rybińskiego *Gęśli* różnorymych księga 1— W Toruniu, drukował Andreas Kotenius roku Pańs. 1593.

(2) Źródła Wisły opisał Apolinary Tomkowicz w *Sławianinie*, Lwów 1837 r., i Ludwik Zejszner w Bibl. Warsz. 1850 r., marzec str. 421.

WIADOMOŚĆ

O MATERYAŁACH DO HISTORYI POLSKIÉJ,

znajdujących się w cesarskiéj bibliotece manuskryptów w Paryżu;

przez W. K.

I.

Wielka biblioteka znajdująca się w Paryżu przy ulicy Richelieu, nosiła nazwę aż do rewolucyi zeszłego wieku *Biblioteki królewskiéj*, późniéj przybrała tytuł *narodowéj*, następnie *cesarskiej*. Od r. 1815 znowu te trzy nazwiska na bramie jéj z kolei czytano. Z restauracyą odzyskała dawny tytuł *królewskiéj*, z rewolucyą 24 lutego tytuł *narodowéj*, a od dnia 2 grudnia 1852 r. zowie się znowu *cesarską*. Ta częsta przemiana nazwisk tyle przynajmniéj ma za sobą dobrego, iż pokazuje, jak wszystkie z kolei rządy uważały ten olbrzymi pomnik wiedzy ludzkiéj za główną instytucyą kraju, i wszystkie poczuwały się do strzeżenia go i rozwijania. Z tegoto powodu, choć niedawniéj od innych europejskich bibliotek założona, chociaż dopiéro Ludwik św. dał jéj początek szczupłym zbiorem manuskryptów: z upływem wieków biblioteka ta rozrosła się w taki ogrom, iż bogactwem swém i rozmaitością przedmiotów przechodzi dzisiaj wszystkie na kuli ziemskiéj.

Weszło w zwyczaj od Henryka IV, iż biblioteki podręczne a nawet archiwa królów, ze zgonem monarchy przechodziły do wielkiéj biblioteki; co tłumaczy ciągły i szybki jéj wzrost, jak równie ogromną moc manuskryptów ważnych i wspaniale opra-

wnych. Po zgonie Ludwika XIV przeszło do niéj 10000 tomów rękopismiennych, oprócz wielu dzieł drukowanych. A tak, gdy owa bogata dziedziczka królów, możnych panów i ludzi miłością nauki słynnych, stała się pod koniec zeszłego wieku jedyną niemal sukcesorką zbiorów naukowych klasztornych; gdy do niéj w znacznéj części wcielono archiwa dawnych prowincyj; gdy ją zbogacono zdobyczami, które marszałkowie Francyi do Paryża zwozili; gdy na wszystkich drukarzy, sztycharzy, litografów francuzkich włożono obowiązek składania egzemplarzy wszystkich krajowych publikacyj: — doszła ona do olbrzymich, niemal bajecznych rozmiarów. W roku 1840 liczono w przybliżeniu 720,000 dzieł, 80,000 woluminów rękopiśmiennych, oprócz kilkukroć stotysięcy dokumentów w kartonach przechowanych; liczono 120,000 sztuk rycin i mapp w 6,000 tomach oprawnych, 100,000 medali nie rachując kamieni rzniętych i antyków, nie rachując najpiérwszego (niegdy) zbioru muzycznego i t. d. (1). Ta ogromna liczba, mianowicie ksiąg drukowanych, staje się powodem, iż biblioteka nie jest tyle po-

(1) Oprócz biblioteki cesarskiéj, są jeszcze następne: (Liczba książek sięga 1840 r.)

	druków	rękopis.
Biblioteka Mazarine	100,000	4,000
— arsenału	170.000	6,000
— św. Genowefy	160.000	3,500
— miejska	45,000	
— ciała prawod.	50,000	
— senacka	18,000	
— ministerstwa ośw. publ.	18,000	
— instytutu	91,000	
— muzeum hist. natural.	10.000	
— Bureau des longitudes.	4,000	
— Collége de France.	5,000	
— wydziału literackiego	30,000	
— — prawa	8,000	
— — lekarskiego	27,000	
— szkoły normalnéj.	20,000	
— — politechnicznéj	27,000	
— — min	4,000	
— — dróg i mostów	5,000	
— — sztuk pięknych	15,000	
— muzeum	3,000	
— konserwator. muzyki	5,000	
— — sztuk i rzem.	12,000	

żyteczną, jakby sądzić należało po jéj wielkości. Dla wszystkiego co człowiek tworzy zakreślono widocznie pewną granicę; a jako zdaniem strategików jeden wódz nie może dowodzić armii większéj nad 100,000 głów: tak i zbiór książek skoro liczbę pewną przenosi, nie powinien stanowić jednéj biblioteki, jeśli pożytek z niéj nie ma się zmniejszać w miarę jéj przesadzonego wzrostu. Oczywiście bowiem zetknąć się musi z przeszkodami, które (jak to właśnie dzieje się w bibliotece o któréj mowa) urzędnikom ani katalogu porządnego ułożyć, ani z tym ogromem oswoić się, ani żądaniom publiczności zadosyć uczynić nie dozwolą. Nieraz przychodziło mi na myśl porównanie bilioteki Richelieu z katedrą kolońską, gdzie w jednéj części świątyni odprawia się nabożeństwo, a nad ukończeniem drugiéj, daleko większéj, oddawna pracują; i nim plan cały wypełnią, z okładem wiek przeminie. Podobnie i z biblioteką: kilkadziesiąt, może kilkakroć stotysięcy dzieł przesuwa się corocznie z rąk do rąk pomiędzy różnego stanu, wieku, zatrudnienia i różnéj płci publicznością, nad resztą zaś dzieł pracuje administracya katalogu; a jeśli kto w żądaniu swém przekroczy sferę ruchomych, że tak powiem, zbioru tego książek i zażąda dzieła nieruszanego oddawna: bibliotekarze nie wiedząc czyli ono jest lub nie, niedomyślając się gdzie je znaléźć, z niczém odprawują niezwykłego czytelnika.

Przystępniejsza jest biblioteka manuskryptów o tyle przynajmniéj, o ile rękopisma są spisane, o ile mniejsza liczba czytelników i powolniejszy wzrost biblioteki, dopomagają niepomału do jéj uporządkowania i szybkiego usłużenia pracującym. Nie idzie za tém, aby i tutaj nie zachodziły usterki, od tak wielkiego zbioru nieodłączne. Nierównie trudniéj jest ułożyć katalog rękopismów, niźli książek. Książka ma tytuł i łatwo ją czytać; rękopism niezawsze go miewa i trzeba nieraz obeznać się z niemałą jego częścią, zanim się podoła naznaczyć mu odpowiedni tytuł. Lecz czy podobna miéć tylu ludzi, iluby potrzeba było do odczytania rękopismów we wszystkich niemal europejskich i azyatyckich językach, pisanych często nieczytelnie, wymagających wielkiéj wprawy, pewnego daru odgadywania i gruntownéj znajomości języka rękopismu. W jednym woluminie zdarzało mi się spotkać dokumenta niemieckie, szwedzkie, holenderskie, francuzkie, hiszpańskie, włoskie, łacińskie, a nawet polskie; gdzież więc znaléźć tylu lingwistów posiadających wia-

domości graficzne i historyczne, aby mogli ułożyć porządną treść takiego woluminu. Ztądto przy woluminach zwykle brakuje tytułów, a jeśli jest, to (mianowicie przy cudzoziemskich) ogólny, nic nieznaczący, często mylny: ztąd woluminom zbywa na treści i na porządku w układzie, ztąd zdarzy się widzieć kilka exemplarzy jednego dzieła rękopiśmiennego, różnemi tytuły naznaczonego.

Rękopisma polskie lub do historyi polskiéj odnoszące się, jakie znajdują się w tym zbiorze, stanowią nieporównanie małą jego cząstkę. Zaledwo kilkadziesiąt nas obchodzących woluminów mieści się w katalogu pod rubryką historyi państw północnych, nieco więcéj jest w innych oddziałach historycznych lub francuzkich, chociaż żadna wskazówka pod oddziałem polskim w katalogu znać o tém nie daje.

W części historycznéj polskiéj największa liczba woluminów i dokumentów sięga epoki Walezego; sąto oryginalne akta urzędowe elekcyi Henryka, listy i memoryały biskupa Montluca, traktaty pokoju, mowy posłów polskich i szacowne wiadomości ułożone jako informacya dla Henryka o Rzplitéj i rozmaitych gałęziach jéj i króla służby. Lecz obok zbioru dokumentów oryginalnych, można natrafić po kilka razy na ich kopije, sporządzone w w. XVI, XVII i XVIII.

Dosyć znaczna liczba dokumentów odnosi się do epoki Zygmunta III i Władysława IV; są między niemi ważne i ku wyświeceniu mniéj znanych faktów służące; są téż odpisy paktów konwentów i traktatów w wieku XVII zawieranych, ale mało ważne, ponieważ są kopiją rzeczy drukowanych.

Niepośledniéj są wartości dokumenta do bezkrólewia po Janie III i do panowania Augusta III.

Kilka obszernych rękopismów po włosku i po hiszpańsku, całą historyą polską obejmujących.

Te są manuskrypta zanotowane w katalogu pod oddziałem polskim. Jakie są w innych oddziałach, powiem późniéj.

Atoli śmiało powiem, iż nie ma większego zbioru manuskryptów w Paryżu, gdzieby pomników rękopiśmiennych do historyi naszéj nie było. W archiwum ministra wojny, spraw zagranicznych, oświecenia a nawet ministra spraw wewnętrznych są dokumenta do dziejów starożytnéj Polski z w. XVI, XVII i XVIII. Rząd francuzki, mianowicie od czasów Ludwika XIV odbierał od posłów swych ciągłe sprawozdania ze wszystkiego,

cokolwiek ważnego w Rzplitéj działo się. Dokładne relacye o wojnach, szczegółowe sprawozdania posiedzeń sejmowych i senackich, pisma o wewnętrznym stanie kraju, o partyach i naczelnikach, o staraniach dworów sąsiednich; kopije aktów urzędowych, proklamacyj, protestacyj, często nawet korrespondencyj osób znamienitych w Rzplitéj: znajdują się w wspomnionych zbiorach; wprawdzie urywkowo, a zatém bez porządku, w każdym z nich pojedynczo, lecz zebrane razem, jakążby nieoszacowaną kollekcyą utworzyły, jakieby nam dały źródło do poznania naszéj przeszłości! Toż samo możnaby powiedzieć o rękopismach w *British-Museum* i *State-Papers Office* w Londynie, albo w archiwach państwa w Hadze lub miejskich w Amsterdamie.

Długi czas kronikarze nasi jedynym byli materyałem do historyi czy dawniejszych, czy nowszych epok. W końcu zeszłego stulecia przybyły do historyi Piastowskiéj przywileje i dyplomata; za wskazaną drogą historycy nasi spragnieni nowego pokarmu chciwie się na nie rzucili i z odmętu zakurzonych pargaminów wyławiali okruchy wiadomości, które niejeden obraz stworzyły, uzupełniły albo sprostowały. Poźniéj zatrudniono się ich ogłoszeniem, i już kilka poważnych tego rodzaju zbiorów pojawiło się lub jeszcze pojawia. Inaczéj rzecz się ma z historyą trzech nowszych wieków: pisarze nasi ówcześni podają materyał suchy, jednostronny, bez życia, zaledwo ogólne obejmujący fakta, pozbawiony szczegółów i kolorytu. Wprawdzie tę ich martwość ożywiło kilka pamiętników, które nam żywszy skreśliły obraz i więcéj nas o duchu naszéj przeszłości nauczyły, niźli foliałowe roczniki; lecz z ich nawet pomocą ażaliż jesteśmy w stanie ułożyć historyą któréjbądź epoki najlepiéj znajoméj z taką dokładnością, wszechstronnością, z takiém życiem i kolorytem wiekowym, bogactwem wewnętrznych szczegółów, zarysów domowych i publicznych, obyczajów, charakterów i portretów celniejszych mężów,—jaka np. we Francyi, dzięki wielości pamiętników, każdemu jest przystępną.

Tém ważniejsze przeto są dla nas zbiory zagraniczne, w których znajdujemy albo nowe wiadomości, albo nowy na krajowe rzeczy pogląd. Do historyi XVII wieku jeszcze jednę ważność mają dla nas materyały obce: ukazują one mniéj znaną stronę naszych dziejów, tojest stosunek królów i Rzplitéj polskiéj do innych państw. Czytając polskich kronikarzy XVII

wieku mniemaćby można, że starożytna Polska była wyspą, o któréj brzegi tylko czasami od północy lub wschodu rozbijały się burze, a od zachodu niemal śladu wejścia nie było widać. Jakie były związki z państwami zachodniemi, jakie stosunki gabinetowe, jakie stanowisko Rzplitéj polskiéj wśród wielkich wypadków europejskich:—o to autorów tych nie pytaj. A przecież naród jak człowiek żyje w sobie i poza sobą; nieraz stosunki nasze z Zachodem były jedyną przyczyną ważnych w kraju wypadków, nieraz sprowadziły burze, którym ciężkiemi wysileniami zapobiegać potém przyszło.

Pisząc te słowa daleki jestem od mniemania, jakobym coś nowego czytelnikom naszym powiedział; owszem mniemam, że ten niedostatek naszych źródeł historycznych czują wszyscy. Lecz co mnie właśnie zadziwia, to, iż przy tym niedostatku i przy onego znajomości, nie postarano się dotąd o pomnożenie materyałów, zawsze dla każdego przystępnych i czekających wydawcy. We wszystkich niemal bibliotekach i archiwach zagranicznych pracowali lub pracują nasi badacze; jeden po drugim do nich zachodzi, znajduje rzeczy dotąd sobie nieznane, cieszy się ich odkryciem, łoży czas na korzystanie z nich; a jak nie wié czy go który z ziomków jego poprzedził, tak téż i o to się nie troszczy, czyli kto po nim raz jeszcze téj saméj nie przedsięweźmie pracy. Pojmuję, że niekiedy jest w możności ogłoszenia zbioru dokumentów, które wynalazł; ale każdy jest w stanie, jak to uczynił p. Przezdziecki, donieść o tém, co napotkał. Lepiéj byłoby zapewne, gdybyśmy dyplomatyczne do historyi naszéj dokumenta mieli już ogłoszone; ale zanim przyjdzie do tego (a rozumiem że przyjdzie po pięknym przykładzie wydawcy Tomickiego), i to byłoby już niemałym nabytkiem, jeślibyśmy choć prostą wiadomość, choćby prosty katalog tych dokumentów posiadali.

Po tém co tutaj powiedziałem, nie widzę potrzeby dodawać cośkolwiek o pracy niniejszéj. Jestto materyał do materyału, katalog rękopismów niejakiemi opatrzony notami i wyjątkami. Opisując rękopisma musiałem trzymać się porządku, (raczéj nieporządku) w katalogu bibliotecznym i w woluminach zachowanego; mówię zaś tylko o takich, które na uwagę polskich badaczy zasługują.

Manuskrypt p. t.: Pièces concernant la Pologne. Wielki wolumin in folio, zawierający 175 arkuszy pisma z wieku XVI, XVII i XVIII. Początkowe dokumenta w tym woluminie odnoszą się do epoki Henryka Walezyusza; sąto objaśnienia ułożone dla nowego monarchy o sprawach jego dworu w Polsce lub Rzplitéj dotyczących. Takiemi są krótkie traktaty po łacinie:

Informacya o wymiarze sprawiedliwości w Polsce.

Traktat o władzy królewskiéj i dochodach.

O urzędnikach dworu i ich płacy *ex thesauro S. R. Mtis* (1).

Tygodniowy rejestr na kuchnią i wina dworu Zygmunta Augusta (2).

Poczet dochodów królewskich z dóbr na Mazowszu (3).

Spis dóbr stołowych JKMości i dochody z nich pobierane.

Po tych dokumentach, które były zapewne notatkami dla Henryka Walezego sporządzonemi, następuje znaczna liczba aktów urzędowych, obejmujących elekcyą Henryka, przyjazd posłów Rzpltéj, przyjęcie tychże, mowy i ceremonie. Daléj traktat między Karolem IX kr. fr. a Henrykiem kr. polskim i stanami Rzpltéj w r. 1573 zawarty, ratyfikacye obustronne tegoż traktatu, roty przysięgi posłów, przysięga królewska i t. d.

Ostatnim dokumentem z wieku XVI w tym manuskrypcie jest obszerny 15arkuszowy ceremoniał koronacyi królów polskich, spisany po łacinie, a zawierający wszystkie obrzędy i ceremonie przy akcie tym powtarzane, modlitwy prymasa i uroczyste tegoż podczas koronacyi do nowego elekta przemówienia. Jestto najdokładniejszy znany mi opis téj uroczystości, podaje bowiem obszernie wszystkie szczegóły, o których opisy wydane zaledwo wzmiankują.

(1) W ustępie tym znalazłem interesujące szczegóły, których gdzieindziéj nie zdarzyło mi się napotkać. Urzędnicy dworscy oprócz bardzo skromnego jurgieltu, brali płacę na pewną liczbę koni. I tak: marszałek nadworny brał na 10 koni po 30 gr. dziennie, czyli 400 fl. rocznie, przytém rocznego jurgieltu 200 fl. Podskarbi na 8 po 30 gr. czyli 298 fl., którato summa razem z jurgieltem i innemi wydatkami wynosiła 1001 fl. 5 gr. rocznie. Podczaszy na 8 koni 298 fl, razem z jurgieltem 610 fl. rocznie. W tym stosunku pobierali płace niżsi urzędnicy, kapelani, doktorowie i służba pomniejsza.

(2) Tygodniowy wydatek czynił ryczałtem na kuchnią 316 fl. 4 gr., na wino 16 fl. 10 gr.

(3) Ogólny z nich dochód obliczony jest na 473,371 fl.

Do wieku XVII, a mianowicie do epoki Władysława IV znajduje się interesujący dokument, p. t.: *Rapport du Sieur du Maurier de ce qu'il a negotié à Dantzig en l'année* 1638. Był on pisany w czasie, kiedy Władysław IV czyto z powodu tak często trafiających się w skarbie jego pustek, czy też z namowy dworu austryackiego, dla utrudnienia handlu Holandyi nałożył cło wywozowe w Gdańsku. Mogło ono być niemałym ciosem dla Gdańszczanów, ztąd opór ich przeciw rozporządzeniu królewskiemu, porozumiewanie się z zagranicznemi dworami, intrygi na sejmie i gotowość Gdańszczanów do dania z orężem w ręku odporu przemocy królewskiéj. Jak się ta sprawa wewnątrz kraju następnie rozwinęła jest wiadomém; uważam wszelako za pożyteczne ogłosić wspomniany raport Du Mauriera. Widno w nim, że ręką sprawozdawcy kierowało uprzedzenie, pogląd jednostronny, i zacięta nienawiść do dworu austryackiego, którego projekta z zamiarami królów polskich często a niesłusznie za jedno bierze. Lecz chociaż nie we wszystkiém, co Du Maurier powiada, widzę prawdę; twierdzenia jego są co najmniéj odgłosem opinij panujących w przeciwnym obozie, i dlatego na poznanie zasługują. Znajdę także przy niniejszym raporcie sposobność podania kilku szczegółów dość ważnych, które historykom krajowym mniéj znane, li tylko z pomocą obcych źródeł, a mianowicie zagranicznych archiwów, mogą być wyjaśnione.

„Panowie Gdańszczanie (pisze Du Maurier do kardynała ministra) dali mi pod koniec sierpnia (1638) listy do J. E. kardynała, które po 23ch dniowéj podróży miałem zaszczyt złożyć w Mouchy (w Pikardyi). W listach tych, które są tylko wierzytelnemi, nie chcieli oni wykładać stanu swych interesów, jużto aby nie trudzić J. Eminencyi zbyt długiém czytaniem, już też iż byli przekonani, że odniosę wiernie co mi do wykładu poruczyli, mając pod ręką dokumenta wyjaśniające zamiary domu austryackiego względem ich miasta, na szkodę królestwa Francyi i sprzymierzeńców. Zlecenia tego tém chętniéj podjąłem się, iż ono dotyczy Francyi, a jako dobry Francuz, czułem się obowiązany zdać dworowi dokładną sprawę.“

„Aby uczynić zadość życzeniu tych panów i memu obowiązkowi, wyłożę czegom się od nich dowiedział obecnie i czegom się w téj sprawie nauczył od wielu ambassadorów i innych osób politycznych podczas méj podróży w Danii, Szwecyi

i w Polsce. Ale iżby rzecz niniejsza nie była zagmatwaną, powiem naprzód o zamiarach Hiszpanów względem morza Baltyckiego, następnie o interesach króla polskiego związanych z interesami Austryi, w końcu przedstawię dzisiejszy stan miasta Gdańska i sposoby, aby przeszkodzić usiłowaniom Hiszpanów i króla polskiego."

„Poczynając od Austryi, powszechne jest mniemanie, że ona dąży do monarchii uniwersalnéj. Zamiar takowy powzięli naprzód Ferdynand aragoński i wnuk jego Karol V; ci w puściznie zostawili go potomstwu, a ono energicznie przeprowadza go zamykając jednych oczy, drugich siły krępując, używając sposobów boskich i ludzkich, środków gwałtownych i łagodnych, aby dojść do niego. Ślub z Maryą królową Anglii, wielka owa flota o 150 żaglach rozproszona w r. 1588, niezgody sypane we Francyi podczas naszych wojen domowych, aby zagarnąć to królestwo, wielki plan Filipa II opanowania Danii pod pozorem przywrócenia tamże religii katolickiéj, pozbawienie niepodległości Węgier i Czechów, wielka liczba stronników, których Austrya zjednywa sobie w Polsce dając tamtejszym panom tytuły hrabiów i książąt cesarstwa (co stało się powodem wyboru na króla polskiego raz Maxymiliana II cesarza, następnie syna jego tegoż imienia Wgo mistrza zakonu niemieckiego); zmieniona postać rzeczy w Niemczech, smutny przykład Jana Fryderyka elektora i księcia Saxonii, Fryderyka II elektora i palatyna, margr. Jagendorfa brata zmarłego elektora brandeburskiego, jak niemniéj książąt meklemburskich, pozbawionych władzy, a świeży przykład lundgrafa Wilhelma kasselskiego, skazanego na banicyą wbrew prawu publicznemu cesarstwa:— aż nadto dowodzą wspomnionéj prawdy. Gwałty te uczyniły cesarstwo niemal dziedzicznem, a powtarzane często odjęłyby odwagę najśmielszym, i umysły wszystkich korzyłyby się przed obawą strasznéj zemsty, gdyby z jednéj strony Francya, a z drugiéj Szwecya nie ukróciły zuchwałości tych powszechnych nieprzyjaciół, gdyby Bóg nie obdarzył Francyi monarchą dzielnym i sprawiedliwym, gdyby jéj był nie dał wielkiego kardynała, którego mądra rada i ręka opatrzna nietylko kraj zachowały od napaści, nietylko sprzymierzonych a uciśnionych książąt podźwignęły, ale nadto rozszerzyły aż po Ren granice Francyi kosztem Włochów i Niemiec. Jeśli Austrya rozwinęła siłę zbrojną wewnątrz i zewnątrz cesarstwa, niemniéj wszelako o tém pamięta, czego uczy rozum i doświadczenie, iż niczém tak bardzo królestwa nie

kwitną jak handlem, i niczém tak nie upadają jak jego brakiem; oddawna więc pracuje nad tém, aby cały handel niemiecki przeciągnąć do Hiszpanii, a hiszpański do Niemiec. Widzi ona jasno, że nic nie jest coby w pożytku zrównać mogło żegludze; która, jeśli kraj jest bogaty, wywozi nadwyżkę jego produktów, a jeśli ubogi, przynosi to, czego mu potrzeba. Ze szkodą swoją ujrzeli na Holandyi wielki użytek żeglugi; krajto bowiem niepłodny, pozbawiony rzeczy dla życia i wojny niezbędnych; a jednak stał się on magazynem europejskim i posiada miasto Amsterdam, gdzie obie półkole przybywają na targ. I przeciwnie: kraje i miasta upadały w miarę jak handel ich zmniejszał się; Bruges niegdy najsławniejszy port na Północy, niegdy schadzka wszystkich narodów, dzisiaj zmieniło się w pustkowie. Z miast hanzeatyckich najpotężniejszy Wismar podupadł dla braku handlu. Teto przykłady nakłaniają Hiszpanią, aby cały handel niemiecki i polski opanować: bo widzą oni, że Holandya przez wolną żeglugę z Niemcami i z Polską nietylko iż z tych krajów wywozi zboże, saletrę, liny, skóry, wosk i inne potrzebne towary, ale zakupione nawet produkta odprzedaje cudzoziemcom. Aby jéj przeciąć drogę i odjąć źródło potęgi, dążą oni, aby wcześniéj czy późniéj zamknąć jéj handel z Polską i Niemcami. Starali się zawrzéć ścisły związek z koroną polską i z miastami hanzeatyckiemi, ofiarując im wymianę handlową z własnym krajem pod warunkiem, aby się wyrzekli wszelkich stosunków handlowych z innemi narodami. Z tegoto powodu tylu jeździło do Polski i miast hanzeatyckich posłów i ambassadorów. Lecz aby przekonać, że słowa moje nie są wymysłem ale prawdą, opowiem praktyki hiszpańskie w Polsce. Za panowania Stefana Batorego przyjechał do Polski ambassador króla Hiszpanii Filipa II i wykazywał królowi i Rzplitéj wielki niedostatek zboża, który cierpi jego pan. Przez pamięć przyjaznych stosunków istniejących między obydwoma dworami, błagał on, iżby kommissarze J. Katolickiéj Mości mieli prawo zakupienia wszystkiego ziarna polskiego, płacąc za nie tyle na miejscu, ile dawali cudzoziemcy w Gdańsku. Tym sposobem król Stefan nietylkoby niezmiernie zobowiązał jego pana, ale oszczędziłby poddanym swoim kosztów sprowadzania zboża do portu. Król Stefan po dojrzałéj rozwadze na prośbę tę nie zezwolił, bo widział, że król hiszpański nie z potrzeby domaga się wszystkiego zboża, ale iżby zakłopotać Holandyą; bo

zresztą dozwoliwszy wszystkiego kupna Hiszpanom, pozbawiłby Polskę kupców innokrajowych, a z nimi wiele towarów, bez których obejść się ona nie może. Ambassador nie wskórawszy nic u Batorego, mniemał, że lepiéj interes poprowadzi w Gdańsku. Miał on w senacie tamtejszym długą przemowę: ofiarował przyjaźń swego pana i prosił, aby mu wolno było zakupić wszystko zboże znajdujące się w magazynach miejskich, chociażby nawet miał więcéj niż cudzoziemscy kupcy zapłacić. Aczkolwiek Gdańszczanie przenikali myśl ambassadora, znając zamiary domu austryackiego, wielkie mieli trudności, aby się grzecznie uwolnić od tych propozycyj. Nareszcie jednego dnia zapytany na radzie ambassador: na co mu potrzeba tak wielkiéj ilości zboża – odpowiedział: — „bylebym wam zapłacił, co wam do tego, choćbym i w morze wrzucił.“ Na te słowa senat jakoby z wielkiém oburzeniem odpowiedział, że nie zezwoli nigdy na takowe kupno z obawy, aby się nie stać przyczyną tak wielkiego grzechu; dodając nadto, że onoby ich pozbawiło wielkich korzyści, jakie mają z wymiany obcych towarów. Nie zniechęciły Hiszpanów odmowne odpowiedzi; mieli oni nadzieję, że niemałą pomocą byłaby im przyjaźń króla polskiego. Nie oszczędzali téż niczego, aby sobie zjednać Zygmunta. Pozyskali go, dając mu w małżeństwo Annę siostrę Ferdynanda austryackiego, po zejściu któréj, aczkolwiek zostawiła syna Władysława, z obawy aby król Zygmunt nie dał się wciągnąć w inny jakowy alians mniéj im przyjazny, mimo blizkiego pokrewieństwa, wbrew prawom Bożym, zaślubili go z Konstancyą siostrą cioteczną zmarłéj jego żony. Teto związki były powodem posiłku w Kozakach i w okrętach przy admiralicyi wismarskiéj; one przywiodły króla Zygmunta, iż niemal zapomniał o swojéj godności, zostawszy niejako pełnomocnikiem króla hiszpańskiego, dla którego chciał zakupić wszystką saletrę z Prus; i byłby tego dokonał, pozbawiając jéj Holendrów, gdyby Gdańszczanie nie przełożyli Rzplitéj, jak wielką stratę ich handlowi i całemu królestwu te wielkie zakupy przynoszą. Odtąd Hiszpanie polegając na przyjaźni Zygmunta ponowili usiłowania swe w Gdańsku. W r. 1627 przyjechał do Gdańska baron d'Auchij w imieniu króla Hiszpanii i ofiarował mieszczanom, oprócz przyjaźni swego pana, wielkie przywileje, gdyby chcieli zawiązać i utrzymać stosunki handlowe z Hiszpanią, z któréjby mogli miéć tyleż, a może i więcéj korzyści, niż z Holandyi; w tym celu potrze-

bném było, aby się w Gdańsku znajdował zawsze rezydent J. Katolickiéj Mości dla wydawania paszportów i certyfikatów. Na co Gdańszczanie nie mogąc dać innéj odpowiedzi, odwołali się do miast hanzeatyckich i odesłali sprawę na najbliższe posiedzenie hanzy. Tylokrotne zabiegi wykazują jasno, że Hiszpanie nie odstraszali się dotąd niechęcią Gdańszczanów i że do swego celu wszystkiemi siłami dochodzą (1).

(1) Mam pod ręką dokument pisany kilkoma laty przed sprawozdaniem Du Mauriera. Jestto pamiętnik Jana Chrzciciela Gramay radcy Jego Apost. Mości arcybiskupa upsalskiego (in partibus), który przyjechawszy r. 1634 z Polski do Bruxelli, takowe rady na piśmie Ferdynandowi regentowi Belgii przełożył. Zamieszczam je tutaj (oryginał znajduje się w archiwum bruxellskiém), bo dla nas są ważne z tego powodu, iż autor utrzymuje, że Hiszpania jedynie z pomocą Polski może na nowo Holandyą opanować. Pismo to ma tytuł następny: *Media frenandi Hollandium per viam Polonicam auth. J. B. Gramay*, 1634.

Vicarius Generalis Exercitus Caesarei per multos retro annos Praelatus Belgiae, in imperio Poloniae et Hollandiae versatissimus, Regiae et Proceribus Poloniae (ex qua recessit decima quarta Novembris) notissimus et gratissimus, quas ex illorum ore et experientia edocuit, putavit Smae Celsitudini Vrae indicanda ad exolvendum debitum clientellaris sui obsequii erga Regiam Catholicam Majestatem Dominum suum naturalem, praesupponens tamquam certa et omnibus Poloniam noscentibus obvia quae sequuntur:

1) Cum Hollandia negotiationibus maritimis solis subsistat, rebusque omnibus ad navium fabricam necessariis destituatur; ut sunt mali, pinus, pix et canabis, quas fere sola suppeditare solet Polonia, si nundinatio et mercimonia cum isto regno intercipi possent, rem nauticam si non totaliter, saltem majori ex parte labefactandam in Hollandia.

2) Cum Hollandia plena populo rem omnem frumentariam ex ostlandicis regnis, potissimum autem Polonia solita sit accipere et experientia docuerit ante paucos annos intercepta negotiatione Maris Baltici per Suecos ingentem annonae caritatem in Hollandia fuisse, nec Moscovia et vicina, licet fertilissimo tunc anno, potuisse sufficere subventionibus frumentariis ad succurendum necessitatiH ollandorum; intolerabili futurae nisi Polonia succurisset. Hinc clarum est, si impediri posset, (ut impedita fuit nuper) frumentorum Polonicorum subvectio, Hollandos subsistere non posse et per haec duo puncta non posse, nisi intestinum bellum et tumultus plebis expectari.

3) Cum Hollandi ob novum foedus et promissa Suecis contra Polones auxilia, non parum offenderent Polonos animatos etiam nunc magis quam unquam contra Suecos ob infamia illa decreta contra Regem et familiam Regiam et sero observatas fraudes circa thelonia

„Na sejmie w r. 1637 ambassador hiszpański w Warszawie przełożył projekt traktatu handlowego Hiszpanii z Polską, w którym między innemi artykuł jeden stanowi, że nie wypłynie

maris Baltici licet commissarii ex parte Regum diversorum cum Sueticis ad tractandum de pace convenerint, certissimum tamen nihil pacificum concludi posse, nec infame aliquod admissuros Polonos, recentibus victoriis contra Moschos et Turcas elatos, et numeroso militi suo potentes, et externis etiam auxiliis facile habendis ex Imperio.

4) Cum Rex magnae Britaniae credatur in Hispanos Austriacosque propensior non solum in Regno suo vetuisse, ne quis contra Polonos milites, sed etiam per Oratorem suum Varsaviae in festo SS. Simonis et Judae delatum auxilia contra Suecos obtulisse, ille ipse in re maritima potens, si accedant Belgica aliqua auxilia putatur esse par maritimis Suecorum viribus in mari Baltico, quamvis auxiliariis Hollandorum juvarentur.

5) Uti Regem Poloniae ad vindicandum se de Hollandis pro recuperatione Haereditarii Regni sui nihil intermissurum, certum est, ita Proceres Regni praecipuos, hoc rerum statu magis quam unquam animatos ad belli comitia animum facile applicaturos, ex certa scientia asserit dictus Praelatus, et si qui particulares interessati ob interceptas nundinationes, in quibus totum illorum peculium consistit difficiliores se praeberent nullo negotio pacari possent emptione aliqua granaria ipsis addicta, quas in re tam ipse rex pro annona belli futuri (quod per leges patrias ipsi licet) magnam quantitatem coemeret, quod idem etiam possent alio titulo Reges et Principes confoederati.

6) Cum per conditiones pacis Moschoviticae, Polono transitus in Sueciam, liber per Moschoviam sit permissus, etiam habet media diversa invectionem frumentariam Moschoviticam impediendi.

7) Cum Regnum Poloniae affluenter debeat omnia necessaria ad fabricam et armaturam navium praeter architectos et opifices, quos aliunde et etiam ex ipsa Hollandia haberi posse semper asserit dictus Praelatus; quia tamen gens ipsa terrestribus proeliis et negotiationibus magis addicta est, indicans rem nauticam non ita illis usui esse, id circa difficulter in animum adducent et admittent Ordines Regni in classem aliquas expensas facere, sed Rex ipse considerata temporis necessitate ad hujusmodi curam pronus esset, si exteris juvaretur auxiliis, facile subministraturus omnia materialia ad classem instruendam aut armandam, quae secretis pactibus intervenientibus finito bello remitti posset iis qui in expensis juvisset.

8) Cum sequenti aestate ineunte terminenter indutiae cum Suecis et Comitia Regni ad deliberandum super bello futuro indicta sint et incipient medio februarii proximo duratura ut moris est sex septimanis, si quod hoc in negotio fieri deberet, tempestive faciendum esset.

Illis praesuppositis offert dictus Praelatus; de Rege securus si mitteretur a Sma Celsitudine Vestra ad Comitia Regni, persuadere proceribus Regni rationes diversas fusius si opus esset declarandas se-

żaden okręt z Gdańska do Hiszpanii nienaładowany płótnem, linami, saletrą i woskiem, że w Gdańsku przemieszkiwać będzie stale rezydent hiszpański, że Gdańszczanie nie będą mogli uży-

questrationem commerciorum Hollandicorum, dum modo auxilia aliqua bellica ex Belgico promitterentur et media aliqua haberentur devincendi sibi nonnullos proceres Haereticos redemptione aliquo granorum.

Offert etiam omnia ad fabricam Classis necessaria in Polonia impetrare et ipsos etiam architectos adducere dum modo ei adiungatur quaestor aliquis rem pecuniarum et sumptum suppeditaturus.

Judicaret autem salvo meliori judicio mittendum in speciem aut ut denunciaret Regi et Rpblicae adventum Smae Celsitudinis Vrae et oblationem amicitiae et correspondentiae, aut ad gratulandum de victoriis duabus intra annum partis, paceque stabilita cum Moschis et Turcis, in instructione autem quam pro opportunitate ad faciendam fidem exhibere posset particularicus juberetur promittere auxilia in eventum, in quem Commercia Hollandica sequestrarentur, et si quae alia placerent de navibus aut coemendis aut fabricandis, aut etiam granis coëmendis.

Si tamen magis placeret alium Oratorem expediri hoc fine libenter dictus Praelatus ei assistet et diriget supra dicta, aut etiam si magis placeret secreto rem peragi cum particularibus proceribus dum modo instructionem habeat, qua fidem suam liberare possit, non deerit officio, quamvis prima propositio consideratis Polonorum moribus magis videatur opportuna. Et si fortassim rationes status essent propter quas non iudicaretur expediens publice aliquod foedus inire aut hostile tentare contra Suecos, eo casu dictus Praelatus duo media ostendet opportuna ad alligendum militem alio titulo, aut in Belgico, aut Germania, aut Britania, aut etiam collectas aliquod legiones ex Imperio accipiendi.

Non abs re etiam judicaret dictus praelatus in Britanniam aliorum negotiorum gratia iturus, si ordinaretur ipsi cum Oratore Hispanico ibi tractare, communicatoque toto negotio efficeretur facile ut Rex Magnae Britanniae ille qui jam pro Polonis se declaravit, ordinaret suo Oratori in Polonia hoc ipsum negotium una urgere.

Praeterea cum necessarie dicto praelato adeundus sit Rex Daniae et si probabile nullatenus sit illum posse in foedus aut partes trahi contra Suecum, tamen aliqua ab eo ad hanc rem factam impetrari posse non dubitat, ut pote nec ab Imperatore nec a Rege Hispaniarum alieno. Et qui navibus Hollandicis aliisque solitus est non solum liberum transitum per freta danica concedere, sed etiam navibus bellicis pro securitate aliarum submisit tamen stationem indulgere.

Finaliter. Si omnino displicet quod suggestum est tanquam opportunissimum de suppetiis belli conditionaliter promittendis, alia etiam licet difficilior ad manum est via, coëmendo scilicet granorum, picuum et canabinum per triennium, quod ante annos plures in Consilio Status Belgico propositum intellexit dictus Praelatus tempore Archiducis Alberti gloriosae memoriae, sed non probatum propter diffi-

wać okrętów holenderskich, ani nawet zbudowanych w Gdańsku na sposób holenderski, z obawy, aby pośrednio lub bezpośrednio nieprzyjaciele Hiszpanii z handlu polskiego nie korzystali. W końcu swych propozycyj ambassador uprzedza zarzuty Gdańszczanów, a między innemi, że zmiana żeglugi na szkodę handlu ich nie narazi, gdy wszystko z Hiszpanii otrzymają: wina, sukna korzenie, sól i inne przedmioty do życia potrzebne. Z tém żądaniem król polski odesłał go do Gdańska, wzywając senat

cultates inveniendi apta magasina, commodosque homines ad emendum et vendendum seu traducendum, dictas res, in quibus licet nullam inveniat difficultatem dictus Praelatus (prout ad oculum paratus est ostendere, tamen minores moles sumptus est molestiae judicaret, constitutis duobus videlicet magasinis, altero Gedani, altero ad fines Silesiae, redimere) conditionaliter tamen, res supradictas a Proceribus Poloniae qui privati commodi causa huic negotio contrarii reperientur, et quamvis non futura sit cum lucro tamen nec cum damno exorbitante.

Aut etiam si cum dictis Proceribus contraheretur, cautione sufficienti data et praenumerata parte aliqua solutionis, quod stante Commerciorum Hollandicorum cessatione tenebuntur granum curare duci per Vistulam quandocunque monebuntur, retinendo interim usque ad monitionem penes se grana et alias res. Magasinis opus non foret sed per Scotos, aut Judaeos aut praefectos annonae militariae Caesareae facile curaretur venditio praesertim accedente Oratoris Hispanici authoritate.

Non omittendum si dictus Praelatus promittere posset S^m^ Celsitudinem Vestram stipulata dictorum commerciorum Hollandicorum suspensione intercessuram ut ex Imperio miles aliquis germanicus in auxilium mittatur, eoque fine tam caesari quam Oratori Hispanico scriberetur, realiter negotium confici posse.

Et sicut per aliquot supradictorum mediorum ad optatum finem deduci posse quod proponitur non dubitat dictus Praelatus ita spem saltem aliquam facere auderet, si media ad manum essent muneribus honorariis Procerum quorundam contrariorum animos expugnandi et disponendi ad audiendum rationes a dicto Praelato proponendas probono Regis et Rpblcae Poloniae.

Interesujący ten memoryał wyjęty jest z kartonu obejmującego korrespondencye Ferdynanda kardynała z Niemcami i Północą (*Archiwum Brux. Oddz. Niemiecki*), wszelako ani w tym kartonie, ani w innych nie znalazłem wzmianki, czyby zrobiono użytek z projektu Gramaya. Wnosząc z wypadków, które następnie zaszły, sądziłem, że go zupełnie zarzucono i sam bardzo małą do tego dokumentu przywiązywałem wagę. Postawiony obok raportu Du Mauriera nabiera pewnego znaczenia, choćby też tylko jako objaśnienie do ówczesnego stanowiska internacyonalnego Polski.

miejski, aby zaspokoili Jego Katolickiéj Mości; lecz Gdańszczanie nietylko tych żądań nie wypełnili, ale odmówili płacy cła morskiego przez Rzpltą świeżo nałożonego. Tém goręcéj zaś Hiszpanie pracowali nad zawarciem umowy handlowéj z Gdańskiem, ile że wszystkie niemal towary polskie przychodzą do miasta tego Wisłą, która biorąc początek niedaleko Węgier, przepływa całą Polskę i Prusy przez miasta: Kraków, Sandomiérz, Warszawę, Płock, Władysławek i Toruń, poczém wpada do morza Baltyckiego pod Gdańskiem, i to właśnie czyni owe miasto tak znakomitém, iż jest niejako bramą królestwa, przez którą wszystko musi doń wejść i wyjść z niego. Lecz jeśli Hiszpanie tak często zabiegali aby zdobyć handel polski, nie zapominali oni o handlu niemieckim za pośrednictwem miast nadmorskich. Dowodzi tego jasno alians z Lubeką, zkąd przeszło pięćdziesiąt wielkich statków wypływa corocznie do Hiszpanii, naładowanych najlepszemi towarami niemieckiemi i powracających z wielorakim produktem, a między innemi z solą, któréj dostarczają do Holsztyna, Meklemburga i niższéj Saxonii. Co większa, przyjazd wspomnianego już barona d'Auchy i Gabryela Le Roy (1) do Lubeki w r. 1628 dowodzi, że Hiszpanie nie przestają na handlu jednego miasta, ale iż chcieliby zdobyć cały handel niemiecki.

Na propozycye bardzo przyjazne ambassadorów cesarskiego i hiszpańskiego, deputowani hanzy odpowiedzieli, że trzeba, aby posłowie wyjawili szczerze: jakiemi sposobami spodziewają się projekta swoje przywieść do skutku. Odrzekli oni, że wypada uzbroić flotę o kilku żaglach, do któréj w razie potrzeby przyłączyłyby się okręty cesarza, a nawet hiszpańskie i belgijskie, aby miasta hanzeatyckie mogły żeglować bezpiecznie. Jednakowoż dla utrwalenia stałych i pewnych stosunków, konieczna jest, aby miasta hanzeatyckie wyrzekły się wszelkiego innego handlu i nie zawierały aliansów wewnątrz i zewnątrz cesarstwa bez pozwolenia J. C. Mości. Deputowani oświadczyli, że nie mając zupełnéj władzy, nie mogą stanowić o tak ważnéj przemianie handlu; wzięli więc rzecz *ad referendum* wszystkich

(1) Baron d'Auchy przyjeżdżał po razy kilka do Polski w ostatnich latach Zygmunta i w piérwszych Władysława IVgo; tak o nim jak o Gabryelu Le Roy, wspominają często listy Zygmunta IIIgo pisywane do Izabelli regentki belgijskiéj.

członków hanzy. Lecz że od tego czasu nie było walnego zebrania miast hanzeatyckich, zostało wszystko po dawnemu. Rzecz jest widoczna: że gdyby Hiszpanie zdołali przeciągnąć handel niemiecki do siebie, toby postawili hanzę w zupełnéj od nich zależności, jak tego przykładem jest Genua, która zapóźno się spostrzegła, że chociaż w stosunkach handlowych bywa wierzycielem Hiszpanii, niemniéj przeto zostaje na łasce swego dłużnika.

„Teto są łagodne sposoby, których Hiszpanie używają; lecz jako ludzie rozumni i widzący jasno, że ludźmi łatwiéj rządzić przez przymus niźli przez dobroć; nie sądzili, aby łagodność wystarczyła, i jako najpotężniejszego środka działania używają siły zbrojnéj. Postanowiwszy bądź co bądź opanować morze Baltyckie, czego pozyskać nie mogą przyjaźnią, do tego zmierzają przemocą. Z początku nie widzieli lepszego środka nad opanowanie Zundu, przez który muszą przepływać wszystkie statki żeglujące na morzu Baltyckiém. Filip II nie szczędził niczego, byleby zamiar ten wykonać. Najprzód przerobił na swoję stronę Jana króla szwedzkiego, w czém nie miał wielkich trudności: raz przez wrodzoną nienawiść między Szwedami i Duńczykami, powtóre przez nadzieje, które sobie czynił król szwedzki, że rozszerzy granice państwa kosztem swego nieprzyjaciela. Króla Stefana Batorego pozyskano za pomocą papieża, który wielce cieszył się z wspomnionego projektu, spodziewając się odzyskać stracone dla kościoła królestwo. Król Stefan pod pozorem jakiéj wojny z Turcyą lub Tatarzynem, miał utworzyć armią 40,000 jazdy, przejść przez Pomorze i wkroczyć do Holsztynu i Jutlandyi, która jest cymbryjskim Chersonezem, krajem niezdolnym do obrony; a tak, gdy król szwedzki z jednéj, król polski z drugiéj strony miał atakować, król katolicki z flotą flamandzką i hiszpańską miał ich wspierać i wylądować w Zelandyi dla opanowania stolicy królestwa i fortecy Kroneburg, która jest strażnicą Zundu. Hiszpanie wcześnie obliczali owe miliony, które cieśnina ta corocznie przynosi, i nie przypuszczali, aby król duński mógł się oprzéć tak strasznéj nawałnicy, zwłaszcza nie będąc przygotowanym; a co najlepszego mogło mu się wydarzyć, to, gdyby się mógł schronić do Norwegii na północ. Zdobywcy (in spe) uradzili, że dla przywrócenia służby bożéj w tym kraju, należy przenieść cały lud częścią do Hiszpanii dla uprawy gruntu, częścią do In-

dyj Wschodnich dla pracowania w kopalniach, a natomiast przenieść mieszkańców z Flandryi i Hiszpanii; myśleli także dla zrobienia sobie sławy w chrześciaństwie powrócić dobra duchownym, i tak pod pozorem wytępienia herezyi chcieli opanować Zund i Zelandyą, któréj brzegi obwarować fortecami zamyślali. Król szwedzki w nagrodę swéj pomocy miał otrzymać pobrzeża baltyckie do Danii należące, a zaś król Stefan Batory, oprócz nieśmiertelnéj sławy, którąby zyskał zaszczepiając wiarę w kraju heretyckim, miał otrzymać roczną pensyą dożywotnią 100,000 dukatów, zabezpieczoną na dochodach Zundu; a nadto papież uznając tak wielkie dobrodziejstwo, miał mu płacić rocznie 60,000 dukatów. Gdyby ten zamiar był się udał, czémże byłyby Inflanty, Polska, Niemcy północne, jeżeli nie magazynami dla Austryi? czémżeby był Rewel, Ryga, Pilawa, Gdańsk, Stralsund, Rostok i Lubeka, jeśli nie przystaniami i arsenałami Hiszpanii? Ale projekt upadł, czyto że Bóg widząc podstępne zamiary Hiszpanów kryjących ambicyą swą płaszczem religii nie dozwolił na taką zbrodnią, czy téż, że przedsięwzięcie zależało od wielu monarchów, którzy niejednako w niém interesowani, nie z jednakim zapałem około wykonania onego chodzili (1). W ostatnich czasach ten sam projekt

(1) Znany negocyator francuzki Klaudyusz d'Avaux wspomniał także o tym projekcie w mowie mianéj w Sztokholmie 1634 r., którą do zawarcia pokoju z Polską zachęcał. Znajdują się korrespondencye Batorego z Filipem II; w nich król hiszpański gorliwie namawia Stefana, aby stanąwszy na czele armii katolickiéj, wytępił herezyą w Europie. Batory odpowiada, że nie ma potemu ani dość wojska, ani dość pieniędzy. Być może, że Filip II (jeśli wspomniony projekt nie został przez nieprzyjaciół Hiszpanii wymyślony) rachował na pomoc Stefana w owéj potwornéj napaści na Danią; ale iżby Batory kiedykolwiek do takiéj pomocy się zobowiązał, na to nie ma żadnego dowodu, nawet prawdopodobieństwa. Autor tego memoryału pisze jako człowiek nieznający ani Polski, ani charakteru Batorego, a to, co prawi o przyobiecanéj dla naszego Stefana rocznéj pensyi, jest zanadto śmieszne, aby potrzebowało zbijania. Stefan Batory nie był wprawdzie tak bogaty, jak królowie obu Indyj, ale liczył się do najbogatszych panów w Europie. W swoim kraju rząd nad sumieniem oddawał Bogu, tém mniéj przeto za krajem, na korzyść cudzoziemców, w sprawie religijnéj nie chciałby rozlewu krwi.. Stefan Batory byłto na szczęście jedyny monarcha z książąt obcych wyniesionych na tron polski, który polityki obcéj, dynastycznéj, narodowi nieprzyjaznéj z sobą nie przyniósł. Obrany królem polskim, innych zamiarów nie miał nad do-

opanowania morza Baltyckiego stał się powodem utworzenia admiralicyi wismarskiéj, z którą połączyło się ośm okrętów polskich. Wypadek ten zatrwożył wielce króla duńskiego i przyczynił się niemało do wyprawy niemieckiéj króla szwedzkiego. A gdyby Bóg nie był błogosławił orężowi tego księcia dla ukrócenia dumy hiszpańskiéj; gdyby Szwedzi nie zajęli i nie utrzymali Wismaru: Austrya z pomocą swych bogactw utworzyłaby wnet flotę, a pokonawszy Danią i Szwecyą, postawiłaby

bro Rzpltéj. O ileż inakszą była polityka dynastyi Wazów! W Polsce widziała ona nic więcéj, jedno środek do odzyskania dziedzicznéj Szwecyi. Można powiedzieć, że od czasu wyniesienia na tron Zygmunta IIIgo, aż do abdykacyi Jana Kazimiérza, blizko przez sto lat, polityka królow polskich wzięła rozbrat z interesami Rzpltéj. Zdrowy duch narodu opierał się aliansom zgubnym krajowi, wzdrygał się przed wszelką interwencyą w sprawy sąsiadów; a historya Zygmunta IIIgo i Władysława IVgo jest nieustającym szeregiem związków przeciwnych interesom Polski. Nigdy Rzplta polska nie mieszała się w sprawy cudze, a Zygmunt IIIci chciał ją gwałtem przeciągnąć na stronę domu austryackiego: wiódł ze Szwecyą niepotrzebne wojny, które też tak dalece były w kraju niepopularne, że ani razu pospolitego ruszenia przeciw Szwedom zwołać nie odważył się. Zbyt ściśłe związki z Hiszpanią i Austryą poróżniły go a z nim Polskę z resztą Europy. Francya i Anglia była mu niechętne, Holandya płaciła Szwecyi za wojnę przeciw Polsce, i Turków na nas podbudzała. W ten sposób Zygmunt IIIci krajowi, który go na króla powołał, wypłacił się utworzeniem mu silnych nieprzyjaciół, nie dawszy ani jednego sprzymierzeńca, o którego dobréj wierze nie można było powątpiewać. Władysław IVty, w którego krótkiém panowaniu widzieć można trzy całkiem sobie przeciwne systemata polityczne, przerzucał siebie i kraj z jednéj ostateczności w drugą; zrazu chciał się żenić z protestantką, aby z przemocą angielskiéj floty Szwecyą odzyskać, późniéj połączył się z Austryą i dał jéj pomoc zbrojną na protestantów, a znowu po śmierci Renaty chciał za pośrednictwem Francyi ożenić się z Krystyną szwedzką i proponował Mazariniemu, aby wspólnie przeciw Austryi działać. Jan Kazimiérz próżną swoich praw szwedzkich obroną sprowadził na kraj najnieszczęśliwszą wojnę. Kiedy więc ci trzej monarchowie wchodzili w układy, to z katolikami, to z protestantami, li tylko koronę szwedzką mając na celu: cóż za dziw, że Rzplta z obojętnością a nawet z niechęcią na te tajne konszachty patrzała. Pierwsza to dynastya Wazów nauczyła Rzpltę, iż wojna w Polsce toczona może nie obchodzić Polaków; onato piérwsza oderwała interes korony od interesu narodu. To rozerwanie, to szamotanie się poza interesami Rzpltéj było dla narodu fatalną szkołą niemoralności obywatelskiéj, iż powoli przyuczył się patrzéć obojętném okiem naprzód na niepowodzenie swych królów, a następnie całéj Rzpltéj.

krok wielki do monarchii uniwersalnéj. Jednakże żadna klęska i żadna strata nie podoła odwieść jéj od swego celu. Chociaż już w Meklemburskiém nie mogą utworzyć admiralicyi, chociaż Szwedzi wydarli jéj Pomorze, nie wątpi ona, że kiedyś potrafi usadowić się w Prusiech a nawet w Gdańsku. Bo rzecz pewna, że nigdyby król polski nie nakładał *cła morskiego* na Gdańsk bez namowy Austryi, która spodziewała się albo dla siebie zagarnąć dochody, albo téż skłonić króla polskiego, iżby w razie nieposłuszeństwa Gdańska, obszedł się z nimi jako z miastem buntowniczém. A gdyby się królowi polskiemu udało, runąłby wnet handel holenderski i Austrya utrzymywałaby w pogotowiu okręty przeciw państwom północnym, jak Szwecyi i Danii, które są wielką podporą protestantom niemieckim. Nie inne są także zamiary Austryi względem portów pruskich, a mianowicie Kłajpedy, w któréj elektor brandeburski ma dozwolić utworzenia admiralicyi. Jeśli wierzyć można listom przybyłym z Polski, ta okoliczność jest właśnie przyczyną podróży króla do Litwy, zkąd ma zjechać się z elektorem brandeburskim będącym obecnie w Królewcu. W zeszłym roku elektor umówił się z królem polskim, iż na wszystkie towary w portach pruskich nałoży cło czterech od sta; rozjątrzony bowiem przeciw Szwecyi, oddaje się całkiem w objęcia domu austryackiego, gdy, jak powiedział, wolałby przyzwać raczéj Turka, niż ścierpiéć tak niesłuszną utratę Pomorza.

„Przechodzę obecnie do króla polskiego. Odkąd poślubiwszy Cecylią Renatę siostrę króla węgierskiego, połączył się ściśle z domem austryackim, słucha rad jego we wszystkiém: bo z jego pomocą spodziewa się nietylko powiększyć władzę swoję w królestwie polskiém, lecz i odzyskać koronę swą dziedziczną. Rozszerzenia władzy słusznie powinien sobie życzyć, bo nie ma jéj więcéj jak prezes w parlamencie lub doża w Wenecyi, każdemu zaś posłowi służy prawo sprzeciwienia się jego woli, która dopiéro za zezwoleniem wszystkich stanów wykonaną być może. Lecz co się tyczy korony jego dziedzicznéj, wątpliwości nie ulega, że dopóki król polski nie będzie posiadał floty, dopóty Szwecyi nie zdobędzie. Dlatego zdaje się, że nie mógł wybrać lepszéj drogi, czyto aby zostać monarchą samowładnym w Polsce, czy téż aby do własnéj korony powrócić, jak zająć port gdański, który mu dostarczy pieniędzy i od poddanych swych uczyni niezależnym. Z usposo-

bienia czuł on oddawna niechęć pewną do Austryi, i gdyby go dwór ten nie poparł, nigdyby się z nim nie połączył, do czego nakłoniło go kilka kreatur austryackich, a między innemi Jerzy Ossoliński hrabia na Tenczynie, obecnie podkanclerzy Rzplitéj, za zasługi względem Austryi położone, wyniesiony do godności księcia cesarstwa. Onto, idąc za swym gwałtownym charakterem, przywiódł sprawę gdańską do téj ostateczności w jakiéj się dzisiaj znajduje, wbrew interesom Polaków, którzy choć sobie życzą pokoju, nie będą mogli ścierpiéć ubliżenia, jakie poniósł ich król z okazyi cła morskiego.

„W chwili mego odjazdu usposobienie Gdańszczanów ku Francyi i jéj sprzymierzeńcom nie mogło być pożądańsze. Pod koniec r. 1637 król duński uwolnił ich port, który był zamknięty trzema okrętami polskiemi. Uderzył na te okręty i zabrał je do Kopenhagi. Gdańszczanie powołani na walne zgromadzenie stanów Rzplitéj szydzili z pogróżek polskich, a gdy ich kommissarze królewscy zawezwali, aby nie dawali pochopu do rozruchów, odpowiedzieli, że w ręku Rzplitéj leży to, aby się Gdańsk od niéj oderwał, tak jako zmuszony był wydobyć się własnemi siły zpod tyranii zakonu niemieckiego. Ośmiela ich pomoc króla duńskiego, którego siedm czy ośm okrętów wojennych stoi przed portem gdańskim, dla zabezpieczenia wolnego handlu. Atoli i w mieście widziałem gotowość przetrwania wszystkiéj niedoli i ani obawa oblężenia, ani rozjątrzenie Polaków, ani potęga Austryi nie mogły ich odwieść od postanowienia, w którém utrzymywał ich gorliwie baron d'Avangour, który tu w imieniu J. K. Mości przebywał, i utrzymuje ciągle rezydent holenderski, który tu przez stany jest osadzony, dla uwiadamiania ich o wszystkiém co się dzieje.

„Wypada nakoniec przełożyć, jakiemi środkami możnaby się upewnić od naszych nieprzyjaciół, gdy nikomu nie jest tajno, że zamiary króla hiszpańskiego i polskiego nie mogą być wykonane bez oczywistéj szkody dla Francyi. Bo z utratą handlu gdańskiego i niemieckiego, Holendrzy ujrzeliby się pozbawieni wszystkich niemal zasobów do życia i wojny, upadłby handel ich prowadzony z Francyą, Hiszpanie staliby się panami Północy, a ruina tych krajów nasząby niechybnie za sobą przywiodła. O tém wszystkiém po wielekroć rozmawiałem z panami Gdańszczanami, którzy są przekonani, że ich Francya nie opuści, nie iżby się spodziewali pomocy zbrojnéj (co dla wielkiéj odległości

jest prawie niepodobném), ale już to za dosyć skuteczne dla siebie uważają, jeżeli Francya wda się za nimi do króla polskiego i upomni Danią, Holandyą, a nawet panów polskich, aby się mieli na ostrożności (1). Nic bowiem nie jest łatwiejszego jak podbudzić tych panów polskich przez osoby zręczne i władające językiem łacińskim i włoskim, iż od całości Gdańska ich wolność zawisła, gdyby owa brama królestwa polskiego w ręce króla i domu austryackiego popadła."

Mówi następnie autor, że człowieka zręcznego należałoby wysłać do miast hanzeatyckich i odkryć im zamiary Hiszpanów, jak niemniéj do energicznéj obrony zachęcić Danią i Holandyą.

Instrukcya dla barona d'Avangour jadącego do Warszawy 1642 r. w imieniu króla chrześciańskiego. Instrukcya ostrzega, że poseł jedzie więcéj dla formy niżeli w interesie. Gdyby król polski znowu z swoją interwencyą ofiarował się, poseł złoży mu dzięki, upewni, że ofiara ta JKMości będzie bardzo miłą, ale że trudno z niéj będzie korzystać, ile że już otworzone zostały negocyacye początkowe i medyacya króla duńskiego przyjętą (2).

(1) W innym manuskrypcie p. t. *Pologne et Moscovie* (277 Mis. Etrang.) obok raportu Du Mauriera znajduję wspomniany przez tegoż list Gdańszczanów do kard. Richelieu. Pisany z wielkiém uszanowaniem dla króla polskiego, błaga kardynała o instancyą na dworze polskim. „Cum praeterito anno praeter omnem nostram expectationem regiae alique naves ad instituendum theloneum non procul a civitate hujus portus collocatae essent; nec ulla hujus imperatae novitatis culpa imputaretur, haud intermittere potuimus quin Ill. et Em. Celsitudo Vestra . . . dignaris sibi negotium hoc gratiosissime commendatum habere, ac pro excelso suo judicio, admirandaque dexteritate eo dirigere quo interveniente Smi ac Chrmi Regis auctoritate ac apud Sm Regem Poloniae Dnum Nm Clemm interpositione, malum imminens tempestive e medio submovoretur etc."

(2) Władysław IVty po kilka razy a zawsze napróżno, ofiarował pośrednictwo swoje dla ukończenia wojny, którą później trzydziesto-letnią nazwano. W r. 1636 przez Jana Zawadzkiego, w r. 1644 przez Roncallego usługi swoje w téj sprawie ofiarował. Z powodu przyjazdu tego ostatniego posła do Paryża, kard. Mazarini kazał ułożyć memoryał z jego propozycyi i ten posłał p. d'Avaux pełnomocnikowi francuzkiemu w Münster. Znalazłem memoryał ten w Bruxelli w bibliotece manuskryptów (Ms. 3388) i ze wszech miar zdaje on mi się być godnym uwagi czytelnika. Osnowa jego jest następująca:

„JP. Dominik Roncalli rezydent króla polskiego przy tutejszym dworze, w licznych konferencyach mianych z kard. Mazarinim, czynił bardzo przyjazne oświadczenia ze strony króla polskiego, których wy-

konanie ma być niezmiernie dla króla i monarchii korzystne. Kardynał Mazarini, raczéj dlatego, aby nie okazać lekceważenia propozycyj tak wielkiego monarchy, niżli iżby miał podzielać wiarę, aby one mogły być nateraz wykonane, kazał ułożyć obecny memoryał, aby go wciągnąć do instrukcyi dla posła, który ma się udać do Polski i wyrozumiéć, jak dalece uczucia króla polskiego zgadzają się z propozycyami rezydenta Polski.

„Głównym jakoby powodem tego poselstwa ma być oświadczenie żalu ze strony JJ. KK. Mości nad śmiercią królowéj polskiéj. Podziękuje przytém królowi polskiemu w słowach najuprzejmiejszych za życzliwość i zaufanie położone w J. K. Mci. Nie zaniecha przełożyć królowi polskiemu, że J. K. Mść wdzięczny za uczucia tegoż, nie porzuci żadnéj okazyi, niezadowolniwszy jego żądania i przyjaźni swojéj nie dawszy mu dowodu. Może nawet korzystać z sposobności i podziękować królowi, że przez wzgląd na Francyą nie rozpoczął wojny, kiedy Szwedzi zerwali się przeciw Danii. Wypada udać, jakoby się temu wierzyło; chociaż wiemy, że inne powody go wstrzymywały i że stany królestwa, bez zezwolenia których takiéj rezolucyi wziąć nie może, skuteczniéj na to wpłynęły, niźli wzgląd na naszę powagę. Upewni szczególniéj króla ze strony J. K. Mci, że w każdym razie przyjdzie w pomoc jego interesom, o ileby się to nie sprzeciwiało dawniejszym JKMci zobowiązaniom, że w najważniejszéj dla niego sprawie, elekcyi jego dzieci na tron polski, wesprze go całym kredytem, jakiego Francya w tamtych stronach używa."

„Po ukończeniu komplementów oznajmi królowi, że J. K. Mość najszczersze ma zamiary względem powszechnego pokoju, i przedstawi w świetnych kolorach co w tym celu uczynił od początku wojny i jaki wstręt do zakończenia wojny mają nasi nieprzyjaciele, do czego niektóre szczegóły będzie można dodać. W przedmiocie tym przełoży jasno temuż królowi, że decyzyą zasadniczą francuzkiéj korony w negocyacyach pokoju, od któréj nie odstąpi w żadnym wypadku, jest, że J. K. Mść nie wyrzecze się ani jednego ze swoich poddanych i ani jednego ze swoich sprzymierzeńców nie odstąpi. Bo gdyby nieprzyjaciele nasi mogli nas rozłączyć, mieliby dzisiaj takie korzyści, jakie my mamy nad nimi. Oznajmi przytém wielkie zadowolenie jakiego doznała królowa, która będąc miłośniczką pokoju, dowiedziała się z radością, iż król polski chce nad przywróceniem jego pracować; i z niemniejszą radością poznała, że życzenie króla względem Niemiec, zarządu i władzy cesarskiéj są zupełnie zgodne z życzeniem królowéj.

„Wyłoży propozycye w tym względzie przez JP. Roncallego podane i korzystać będzie ze sposobności, aby poznać całą prawdę i związać niemi króla jeszcze bardziéj, słysząc propozycye te z jego własnych ust. Zamiary tego króla, o ile nam je przełożył JP. Roncalli, są następne:

„Trzeba starać się o pokój wszelkiemi sposobami."

„Trzeba umiarkować władzę cesarską i ostatecznie utrwalić wolność niemiecką."

„Znieść nazawsze godność króla rzymskiego."

„Ustanowić, iż ktoby za życia cesarza zamyślał odtąd o wybraniu króla rzymskiego, będzie ogłoszony nieprzyjacielem ojczyzny i odstępcą."

„Należy powiększyć kollegium elektoralne aż do dziewięciu, bo wielka liczba elektorów wpłynie na umniejszenie władzy cesarskiéj."

„Że nowemi elektorami mogą być palatyn i biskup salzburski."

„Że nie można rozpoczynać wojny zaczepnéj ani zbierać wojska, bez pozwolenia elektorów."

Roncalli oznajmił Mazariniemu, iż aby usunąć nazawsze niezgodę między Szwecyą a Polską, wypada, iżby król polski świeżo owdowiały, zaślubił królowę szwedzką. W tym przedmiocie odpowiedziano Roncallemu, że królowa (francuzka) wielce sobie tego związku życzy, lecz w obecném położeniu trudno byłoby przyprowadzić go do skutku. JP. Roncalli twierdzi, że dla wykazania korzyści z tego połączenia dwóch królestw, ułożył memoryał w którym zamieścił powody, dla których Francya porówno z Szwecyą i Polską małżeństwa tego życzyć sobie powinna.

„Nie ma prawdopodobieństwa, aby korona szwedzka przyzwoliła na ten projekt, i owszem wątpić należy, czyli my powinniśmy mu dopomagać, gdyby przeprowadzenie jego było w naszéj mocy. Mimo to królowa oddaje rozwadze panów pełnomocników, czyli mają rozpocząć negocyacyą w tym przedmiocie z ministrami szwedzkiemi, będąc bowiem na miejscu lepiéj mogą rzecz rozpoznać. Atoli królowi polskiemu oznajmić potrzeba, że dwór francuzki z przyjemnością usłyszał ten projekt i że chętnie nakłoni się do wszystkiego, co nie przynosząc szkody naszym sprzymierzeńcom, królowi polskiemu może być korzystne . . . ."

„Poseł przybywszy do Warszawy, uda się do ks. Ossolińskiego i zapewni go o szacunku i życzliwości J. Chrz. Mci, podziękuje mu za dobre jego chęci dla korony francuzkiéj i powié mu, że go upoważniono do traktowania z nim o wszystkiém z całą otwartością; że królowa posiada w nim zupełne zaufanie i mocooby tego pragnęła, aby książę za przyzwoleniem króla polskiego, zechciał przyjąć publiczny lub tajny dowód szacunku jéj dla niego, że niechaj tylko wynurzy swe życzenie, a Jego Kr. Mość będzie uszczęśliwiona zadosyć mu czyniąc."

„I oto wszystko, co zdaniem J. K. Mci będzie mógł powiedzieć poseł jego jadący do Polski; chyba, gdyby pp. pełnomocnicy uznali za stosowne wejść bliżéj w niektóre szczegóły."

„Wszelako pp. pełnomocnicy wiedzieć o tém mają, iż kard. Mazarini robił wielkie trudności p. Roncallemu, dając mu do zrozumienia, że missya ta dzieje się jedynie z namowy Hiszpanów, aby wyrozumieć nasze uczucia zmysłoną negocyacyą i zarazem poróżnić nas z naszemi sprzymierzeńcami. Roncalli składał tysiączne zaręczenia i powiedział, że gwarancyą szczerości jego króla oprócz rad, które podawał względem domu austryackiego, mogą być jeszcze następujące przyczyny:

„Niechęć, którą powziął do ministrów hiszpańskich, a szczególniéj neapolitańskich, którzy źle się z nim obchodzili w wypłacie do-

chodów należnych mu z tego królestwa i nadużywali jego zaufania zwodniczemi nadziejami."

„Chęć poprawienia swoich interesów z pomocą korony francuzkiéj, w czém gotów jest publicznie oświadczyć się."

„Życzenie zaślubienia królowéj szwedzkiéj, czego dopiąć spodziewa się z pomocą Francyi."

„Śmierć królowéj jego żony, która jedna tylko przez miłość jaką miał dla niéj, mogła wstrzymać go od działania wedle swych skłonności i interesów.

„Wspomnienie niechęci dworu wiedeńskiego, który jego brata na tron proponował."

„Interes, który on ma w takim układzie spraw niemieckich, aby nie zależały wyłącznie od woli cesarza: bo choć ten żyje z nim nateraz w zgodzie, może jednakże stać się jego nieprzyjacielem."

„PP. pełnomocnicy wyrozumią, czyli przyczyny te są dostateczne, abyśmy im zaufali, i nadeślą swoje zdanie, czyli król polski może pragnąć powszechnego pokoju z korzyściami, których żąda dla siebie Francya i czyli do negocyacyi pokoju należy przypuścić ministrów tegoż króla."

Następnie poleca Mazarini, aby nakłonił króla polskiego, iżby szukał dla siebie partyi we Francyi; mógłby bowiem zaślubić pannę de Longueville, księżnę mantuańską, pannę de Guise i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi).

STARY RYBAK.

OBRAZEK.

PRZEZ

Leona Kunickiego.

Wystawcie sobie ogromne, okrągłe, z półtoréj mili obwodu mające jezioro, czarnym sosnowym naokoło otoczone lasem, z brzegów porosłe trzciną z czarnemi kitami, tatarakiem i białą dziką lilią, pośrodku zaś czyste jak zwierciadło. Brzegi jego niewszędzie płaskie i przystępne; w jedném miejscu falowało ono spokojnie po piasku, co białym językiem zpośród wrzosów i korzeni odwiecznych sosen, w półwysep wyciągał się ku wodzie; w drugiém, w kilku dość stromo i wysoko wznoszących się piaszczystych skałach, znajdowało hamulec i pianą pryskało..... Niezawsze jezioro spało w nieruchomém odrętwieniu; częściej, wzruszone wiatru powiewem, pluskało falując po brzegach, przybierając barwę jaśniejszą lub ciemniejszą, stosownie do barwy horyzontu i obłoków, i ten cichy plusk jego fal mieszał się z tajemniczym szmerem trzciny i z szumem prostych jak świéce a wysokich sosen, co się w jego wodzie przeglądały.

A gdy burza zawrzała nad tym dzikim krajobrazem, gdy go czarnym, posępnym, jakby kirem okryła cieniem: jakże majestatyczném było jezioro i las! jak głuchym był szmer jego fal pieniących się i trzciny nadbrzeżnéj! jak potężnym szum lasu i trzask przewracających się drzew, zmieszane z odgłosem piorunu!.....

Lecz w pogodę, w wiosenne lub letnie ciche wieczory, gdy tylko kiedyniekiedy chłodny a wonny od lasu i ziół powiał wiaterek, musnął po jego powierzchni i na chwilę pomarszczył czystą jego wodę, a trzciny chylił powoli; gdy otaczający go i lekko

a przelotnie szumiący las, wraz z różowemi ponad nim blaski po zaszłém słońcu i jasnym daléj błękitem odbijał się w jego powierzchni:—wówczas w całéj téj przestrzeni słyszałeś przemawiającą do duszy harmonią, harmonią dzikich kaczek stadami żerujących w sitowiu, miarowe odgłosy derkaczy po brzegach, brzęczenie muszki w wysokich słupach, i żabek chóry smętne, i całe to dzikie ustronne miejsce brzmiało zda się muzyką, muzyką z puzonów, arf i wiolonczeli złożoną, muzyką, którąby pewnie Dawida autora Pustyni lub Flottowa do nowéj jakiéj symfonii natchnąć była zdolną....

A księżyc gdy zeszedł, gdy zniknęły purpurowo-złote na zachodzie blaski, gdy zwolna zponad drzew coraz jaśniejszą wychylając tarczę, posrebrzył naprzód brzeżek daleki, przeciwległy jeziora, a następnie wzniósłszy się, długą i jasną w niém odbił się smugą: jakże tajemniczym choć miłym był szaro-zielonawy półcień, w który oblekały się jezioro, brzegi i las; jak świeżém, wonném a spokojném było powietrze, w jak miłym spokoju zdawał się usypiać ów krajobraz!

* * *

Niedaleko brzegu, pośród sosen, zasłonięta gęstemi krzakami leszczyny stała samotna chatka, któréj zrazu dojrzéć nie było można; dopiéro wpatrzywszy się, zpomiędzy drzew bielał jéj komin i dym szary wychodzący z niego, i wijący się pośród gałęzi. Chatato była drewniana i budową nie różniła się od zwykłych rusko-podlaskich, chyba tém, że komin miała murowany, drzwi nieco większe i okienka z większemi i czystemi szybami; jednakże na chruścianym płocie, otaczającym ogródek tuż za nią warzywny, makiem, słonecznikiem i kilkoma dzikiemi gruszami porosły, rozwieszone sieci, a około progu wywrócone dnem do góry czółno, dawały poznać, że była rybackiém mieszkaniem. Na jéj dachu słomianym, grubym mchu pokładem pokrytym, było gniazdo bocianie, w którém rok rocznie klekotały bociany, rade, że im się w blizkości wód i bagien gniazdo usłać udało. Ten mech zielony na pogarbionym dachu, komin nieco wyszczerbiony i barwa szara drzewa, z którego skleconą była, jawnie dowodziły, że to staruszka, która zpośród gęstwi już oddawna patrzyła na odkrywający się przed nią widok jeziora, i że też same burze i wichry, które wzruszały fale jeziora i lasem wstrząsały, niejeknokrotnie już i ponad jéj starą przegrzmiały strzechą....

Za chatą, poza ogródkiem, rozciągała się zielona łączka bagnista, kępiasta, otoczona lasem, porosła wiszarem, ulubione miejsce bocianów i żab, których chór zwyczajnie odpowiadał chórowi jeziornych. Z boku chaty, przez rozrzedzający się las, a daléj przez szeroką trybę szarzały stodółki i chaty blizkiéj wioski, zkąd téż tutaj dochodziły i psów szczekania i gwar wiejski. Wnętrze téj chaty tak niepozornéj zewnątrz, w jednéj izbie dużéj, widnéj, wybielonéj i jedynie w całém zamieszkałéj domostwie, miało charakter dworkowy. W miejsce toku zwyczajnego w chatach, podłoga ułożona z tarcic, ściany staranniéj wybielone, z kominem do gotowania i piecem, i drzwi zamiast drewnianego rygla opatrzone były naciskającą się żelazną klamką. Dwa łóżka stare, dębowe, prosto wyciosane i biało zasłane, stały po rogach téj izdebki; nad niemi obrazków świętych siła. Pośrodku pod okienkiem stolik czarny, kulawy, na nim lusterko zbite w papierowych ramach, kilka regestrów, kałamarz czarny i pióra. Na futrynie okiennéj tablica czarna drewniana, z kredką na sznureczku; następnie dwa kufry zielone jednakowe, szafa czerwona w rogu z różnego rodzaju naczyniami, stolik niemalowany dębowy i kilka stołków, a wreszcie obok drzwi wchodowych duży zegar z wagami i kukułką: to było całe umeblowanie téj izdebki. Drzwi drugie w lewo wiodły do ciemnego alkierzyka, przeznaczonego na spiżarkę, a założonego zarazem różnego rodzaju siecią, więcierzami i wędkami; na tych drzwiach wisiał kalendarz i wypisane były na nich kredą duże roku bieżącego cyfry.

Staremi były wszystkie te sprzęty w izdebce, starą była sama chata, staremi także i jéj mieszkańcy.

Siedmdziesięcioletni blizko starzec Jakób, mieszkaniec téj chaty, znany pod nazwą *starego rybaka*, wraz ze swoją małżonką mało co od niego młodszą, już od niepamiętnych czasów w téj chatce mieszkali, a sami jedni oddawna, bo dzieci kilkoro w młodziutkim wieku im pomarło. Jakób byłto staruszek krzepki, ruchawy, średniego wzrostu; twarz czerwona i opalona, miała wszakże w grubych i pospolitych rysach charakter otwarty i szczery, jakim pospolicie tchną twarze wiernych i poczciwych sług naszych wiejskich. Rzadkie i siwiejące włosy rozwiewały się naokoło łyséj pośrodku głowy i pomarszczonego czoła, brwi siwawe i gęste, dwoma ostremi kosmykami wisiały ponad zmatowaném już starością, lecz żywém jeszcze okiem; wąsy szorstkie i krótko przystrzyżone podobnéj co włosy barwy, wierz-

chnią a wklęsłą już pokrywały wargę, ujęte pomiędzy dwie wydatne rysy, z boków nosa pod brodę zaginające się. Kapelusz czarny, wytarty, z okrągłém i wązkiém rondem, jakiego pospolicie używają rotmani; strój z grubego płótna, w formie długiéj do kolan kapoty i postoły na nogach: składały latem zwyczajny jego ubiór w czasie zatrudnień swego powołania, zimą zaś prosty kożuch i duża czapka z uszami. Lecz w święta lub w wyjątkowych okolicznościach, gdy się Jakób w galowe przybrał szaty: wówczas zuchowatą jeszcze, surową i o lat dziesięć jakie młodszą wydawała się jego postać. Kapelusz zasadzony z fantazyą na bakier, chustka czerwona w kratki, okręcona wkoło pomarszczonéj szyi, kapota szara, długa do kolan, z metalowemi guzami i buty długie tłustością wysmarowane: składały wówczas strój jego, do którego też i minę dziarską nastrajał, w którym się prościéj trzymał i śmieléj i dumniéj na świat spoglądał.

Stary Jakób należał do rzędu tych rzadkich teraz sług, fanatycznie przywiązanych do swych panów, sług-przyjaciół, którzy długoletnie i nużące swego stanu ponoszą zajęcia z istotném zamiłowaniem, a ponoszą z czystego przywiązania i życzliwości dla domu, do którego od dawnych lat przywykli. Stary Jakób już od lat kilkudziesiąt służył jako rybak u starszego pana, do którego dawniéj należała dość duża majętność i kilka podobnie wielkich jak *Smotrycze* jezior (tak się bowiem zwało to, nad którém mieszkał rybak). Wówczasto jeszcze rozleglejszém było pole dla Jakóba do rozwijania rybackiego zawodu; z czasem zmieniły się rzeczy, starszy pan umarł, krewni pozaczynali procesa i paniczowi jedynakowi pozostała tylko jedna z kilkunastu chat złożona poza lasem wioseczka *Zaborkiem* zwana, kilkanaście włók ziemi, lasu kawałek i to jedno jezioro.

Jakże stary Jakób nie miał kochać panicza, którego często na swych rękach nosił?! jak nie miał przyzwyczaić się do tych miejsc, w których większą część życia przepędził?! jak nie miał polubić tego widoku, który mu się z okien jego chaty na jezioro odsłaniał?! Jezioro jedyne teraz, nad którém, powiedzieć można, panował. I im mniejszym był zakres, w którym swe rybackie czynności dopełniał, tém więcéj gorliwie zdawał się zatrudniać obowiązkami swego stanu, tém więcéj przywiązywał się do jeziora. Znał on je napamięć, wszystkie rzeczki, odnogi i rozdoły; niektóre mniejsze, sam ochrzcił nazwiskiem. Po kierunku wiatru, który wodę wzruszał, po kolorze fal trafne często wywodził wnioski.

o pogodzie lub słocie; wiedział gdzie ryb najwięcéj, którędy i w jaką porę na nich sieć lub wieńcierze zakładać, którędy wejść lub wyjść mają, i z wodami jeziora był tak poufałym, tak śmiało i pewno po niém jeździł w wywrotném i małém swém czółenku, jak gdyby chodził po ziemi. W czasie połowu miał zwykle do pomocy kilku ze wsi parobków, których chęć zebrania drobniejszych rybek i raków, pod jego komendę zwabiała; wówczasto z fajeczką krótką bakunu w ustach, w zwyczajném rybackiém, stosownie do pory, stroju, pomimo wieku lazł sam po pas w wodę, ciągnął żylastemi i spracowanemi rękami liny, i ochrypłym głosem komenderował i łajał szczególniéj nowicyuszów, którzy w robocie nie byli dość zręczni.

—Ej, to bałwany—wołał—wam ono gęsi albo owce paść, a nie ryby łapać. Patrzcie jak to ciągnie! No! a nuże ty Harasymie, wytrokuj ostro linę! . . . i t. p.

Mniejsze rybki i raki sam także zbierał bez skrupułu do torby u pasa zawieszonéj; większéj jednak sztuki nie przyswoił sobie nigdy, i gromił i odbierał nieraz swym pomocnikom, gdy który z nich większego szczupaka lub lina do chaty chciał zanieść. W tym celu zwykle po skończonym połowie robił bez ceremonii przegląd w torbach swych towarzyszy, i gdy większą znalazł sztukę, wyjmował i grożąc palcem na nosie:—*ne bud zołodijom Hryciu* lub *Harasymie*—tajemniczo wymawiał. Złapane ryby wrzucał do beczki i zawoził do dworskiéj sadzawki. A gdy potrzeba było, oprócz zwyczajnego połowu, ryb na prezent w sąsiedztwo, lub dla księży Bernardynów poblizkich na post: wówczas Jakób wszelkiego dokładał starania w wyszukaniu sztuk wielkich i pięknych, aby i swoję i *Smotrycza* sławę utrzymać.

Stary Jakób oprócz przywiązania do swéj chaty i jeziora, potrafił oceniać i czuć poezyą tego dzikiego lecz pięknego miejsca, i tyle już znanym widokiem lubował się często jakby nowym. Wszakże codziennie prawie ten sam szum wody, lasu i trzciny brzmiał w jego uszach; też same odgłosy przebiegającéj ponad głową rybitwy słyszał; też same widział komary po powierzchni wody łażące, lub w słupach ponad nią krążące: a jednakże nieraz po pracy, gdy usiadł przed chatą, patrzył na ten widok, słuchał z przyjemnością i wieczorne modlitwy odmawiał z większą pobożnością, bo natchnioną pięknym widokiem i cichym letnim wieczorem.

Łapanie ryb na wędkę lub robienie i naprawianie sieci w chacie lub przed chatą gdy pogoda, zajmowały Jakóba w chwilach

wolniejszych, chociaż krom obowiązków rybaka, chętnie sam i do innych w małém panicza gospodarstwie starał się zawsze należéć. I tak dozorował latem żniwiarzy i sianokosów, a zimą młocków w stodole; i jakkolwiek panicz oceniając jego przywiązanie i tyloletnią służbę i wiek, starał się go odwodzić od tak czynnego i nużącego życia: stary Jakób wszakże uporczywie sprzeciwiał się temu, jużto że czynne życie weszło mu w nałóg, w potrzebę, jużto, że dla ukochanego *panoczka*, jak go nazywał, do ostatniéj chwili chciał być pomocą.

Pani Jakóbowa byłato staruszka cicha, pracowita, sucha w dużym ze szlakami czépcu i wyszarzanym lecz całym szlafroczku. Pomimo starości, krzątała się jednak żwawo około chaty, własnemi niemal rękami uprawiała ogródek i wraz ze starą *Bartoszychą* kulawą, lecz cichą babulą, wdową po zubożałym gospodarzu z Zaborka, domowém w chacie zatrudniała się zajęciem.

W nieprzerwanéj zgodzie i prawdziwém przywiązaniu żyło to stare stadło, zwąc się wzajem *Jegomością i Jéjmością*; zarówno pracowite wiodąc życie, zarówno będąc przywiązane do swego pana i do miejsca, w którém od tak dawna osiedli. A choć nieraz między niemi miały miejsce małe sprzeczki i przymówki: nie osłabiały one wszakże węzła małżeńskiego przywiązania i pochodziły najczęściéj z uprzedzeń i drażliwości starego ich wieku. I tak np. Jakóbowa wierciła zawsze tabakę wałkiem w misce, z liści zasuszonych bakunu w ogródku uprawianego, i takową sama zażywała i mężowi w pewnych tylko a oznaczonych terminach do brzozowéj z rzemyczkiem wsypywała tabakierki. Gdy przed oznaczonym czasem, w skutku traktamentów, zawcześnie wypróżniała się tabakiera Jegomościa, i Jakób dopominał się i prosił o wydanie mu tego ulubionego, a tak gryzącego zapewne proszku: ztąd podobne nieraz rozmowy miały miejsce:

— Moja Jéjmość kochana— pokazując próżną tabakierkę, zaczynał Jakób—*sampantry* nie ma; co robić?

— *Otyż masz*, a tażem nie ma dwóch dni, jak Jegomościowi nasypała...

— Ale bo widzisz Jéjmość, wysypało się na rybach trochę i....

— Wysypało się, wysypało, bo Jegomość traktujesz, gawędzisz; chyba garściami biorą i zażywają....

— E! jeszcze taki ten raz, moja Jéjmość.

— Et!

To *et!* zwyczajnie gniewne zamykało te małe niesnaski, jeżeli je tak zwać można; niemniéj jednak w tym razie tabaka się

wyjmowała z butelki i wsypywała, a zupełne już towarzyszyło temu milczenie. Oprócz podobnych małych zajść, oprócz téj jednéj tylko ekonomii w tabace ze strony staruszki, wszystko szło jak najzgodniéj i porządek w chacie panował jak najlepszy. Systematyczny rozkład czynności dziennych Jakóbowéj odbywał się wedle starego z wagami na ścianie zegara, który w wahaniu już syczał i cykał niezmiernie głośno; a gdy nadchodziła chwila bicia godziny, wówczas ogromny rejwach w całym następował zegarze: naprzód syczał, warczał i gotował się przez czas długi, potém *kuku!*—wyśpiewywał, ale tak głośno, że dziwić się było potrzeba, jak w nocy staruszków nie budził.

* * *

Minąwszy las, rozrzedzający się za chatą o kilkaset kroków, na otwartém polu rozciągała się wioska Zaborek, z kilkunastu szarych chat złożona, z dworkiem pańskim małym o jednym kominie, ale białym i zgrabnym, i topolami otoczonym, wraz z zabudowaniami gospodarskiemi. Daléj ciągnęły się pola z krzyżami, łąki i błotka, których w pobliżu wielkiego jeziora dosyć napotykać było można.

Właścicielem Zaborka a zarazem Smotrycza był Adolf, młodzieniec z sercem czułém, żywém, wrażliwém, prawdziwie młodzieńczém, z duszą czystą, ognistą, i postacią pełną godności i szlachetności; bo Adolf był synem poczciwych, poprostu żyjących a pełnych naszych cnót dawnych rodziców, którzy choć po swéj śmierci zostawili synowi szczupłą, i zbiegiem okoliczności odłużoną posiadłość, ale mu przekazali wiarę, dobre zasady, zamiłowanie do pracy, i te cnoty nasze stare rodowe, które pod gościnnym ich dworu dachem gościły, a które teraz, niestety! pod słomianemi kryją się już tylko dachami.

Adolf więc z całą wiarą, z miłością ludzi patrzył w świat, który mu się jako młodemu, w tak cudnych przedstawiał formach, którego znał tak mało! Okiem poety spoglądał on i wzruszał się tak prostemi dla innych widokami i zjawiskami przyrody; okiem pobłażliwém i przyjacielskiém patrzył na wady i ułomności ludzkie, tłumacząc je słabością, nie przypuszczając istotnego samego z siebie pierwiastku złego... i pracował z zamiłowaniem,

W starym Jakóbie widział Adolf przyjaciela, umiał oceniać przywiązanie starego rybaka, i łagodném a nawet poufałém z nim obejściem starał mu się za to odwdzięczać; ale bo téż stary Jakób

nietylko w gospodarskich czynnościach był mu wielką pomocą: jego prosta nieraz chłopska rada, pątrzącemu przez pryzmę młodości Adolfowi, w wielu okolicznościach, tyczących się nawet życia, była nader trafną i pomocną. A pomówić z Jakóbem było można, bo żył dosyć i znał świat i ludzi, a rozsądek jego i doświadczenie, do prostych, lecz trafnych dopomagały mu sądów i spostrzeżeń. Jużto gawędzić i powtarzać nie raz jedne wypadki lubił jako stary, a Adolf słuchał cierpliwie nieraz jego opowiadań, wspomnień i szczegółów z ostatniego połowu: jak mu na *Borowszczyznie* np. sieć przebił kolosalny i bajecznych rozmiarów szczupak, gdzie w których uroczyskach jeziora najwięcéj się ryb spodziewa i t. p. Dosyć często stary Jakób po zachodzie słońca przychodził do dworu i stojąc w pokornéj postawie, rozmawiał z Adolfem w pokoju lub na ganku. Często téż i Adolf zwabiony pięknym wieczorem, lubiąc widok jeziora, poszedł do chaty rybaka i gdy zastał obojga starych, którzy mu niezmiernie radzi byli, musiał się zwykle posilić albo miodem w plastrach, albo śmietaną, albo jakim wiejskim przysmakiem, które Jakóbowa na czystych naczyniach przed nim stawiała; to znów chodzili z Jakóbem po brzegach jeziora, rozmawiając i pojąc się jego widokiem, i czystém a womém jego powietrzem.

* * *

Przed kilkunastą laty, kiedy Adolf był małym chłopcem, gdy jeszcze żył jego ojciec, a majętności ich były obszerne, ścisłą łączyli się przyjaźnią z sąsiednim domem, z zamożną podobnież jak oni rodziną, któréj jasnowłosa i obiecujących wdzięków dziewczynka, była całą rodziców pociechą i nadzieją. Pewnego razu, gdy dzieci biegały po cienistych szpalerach borowskiego ogrodu, obecni wówczas rodzice dziewczęcia i ojciec Adolfka, napół żartem, pół seryo przyrzekli złączeniem Adolfka z Marylką w przyszłości ścieśnić węzeł przyjaźni sąsiedzkiéj.... Od téj pory ubiegło czasu wiele, zmieniły się rzeczy: ojciec Adolfa umarł, majątek się uszczuplił i Adolf urósł na mężczyznę z piękną duszą, z bogactwem natomiast w sercu; w Borowie zaś przysporzono majątku, zmieniono dawny prosty a poczciwy tryb życia, wystawiono pałac, w którym zimno i nieszczero, a Marylka wyrosła w dziewicę piękną, lecz... próżną i dumną.

Jednakże w sercu Adolfa wzrosła z wiekiem miłość dla Marylki; miłość tém silniejsza, im dalszym był i wcześniejszym jéj

zawiązek. Nie widział on tych zmian niekorzystnych Borowo, tém bardziéj nie widział dumy i próżności w swéj ukochanéj; kochał ją miłością, która z każdym dniem wzrastała, kochał i zdawało mu się, że ze strony swéj lubéj miał wzajemność.

Od pewnego czasu szczególniéj zmiana była widoczną w usposobieniu Adolfa: dość żywy z natury, wesoły i śmiejący się, stawał się więcéj powolnym, roztargnionym, powiedzieć nawet można smutnym, i coraz częściéj do Borowa wyjeżdżał. Prędko dostrzegł tę zmianę w Adolfie stary rybak i odgadł jéj przyczynę; jednakże udawał, że się nic nie domyśla, a wszczynać o téj materyi rozmowy nie śmiał i nie chciał, bo Adolf ani jedném słowem nie dał do niéj powodu. Przykro mu zrazu było, że panoczek ze wszystkiém się prawie przed nim zwierzający, jako studze może nie widział potrzebném zwierzania się ze stanem swego serca; lecz wkrótce z klaśnięciem starych i spracowanych palców przypomniał sobie, że w czasie rozmowy o sąsiadach gdy zaczepili Borów, Jakób lepiéj znający ludzi, niepochlebném odezwał się zdaniem o dworze borowskim i osobach w nim mieszkających, wyrażając się, że tam zapańsko, nieszczerze, i wszystko na samych *blichtrach* zawisło; że panienka (Marylka) jakaś dumna i pogardliwa. Jednakże nie żałował tego co powiedział, bo czysto z serca, tak jak mu się zdawało dał zdanie o Borowie; ale co głównie zafrasowało starego to to, że Jakób znając i pojmując dobrze stanowisko Adolfa w okolicy, bardzo trafne robił domysły, że to uczucie panoczka w dalszych następstwach mogło być dlań zbyt bolesném z przyczyny nierówności położenia i majątkowéj jego wartości; bo Jakób jako stary i znający więcéj ludzi, zresztą oczyma miłości jak Adolf nie patrzący, mógł widzieć to, czego tamten nie dojrzał, mógł przypuścić i zimno rachować nadal o tém, o czém Adolf nie pomyślał.

* * *

W jeden z cichych i pięknych lipcowych wieczorów, gdy jezioro zwyczajnym oddychało spokojem, a muzyka jego brzegów niezwykłą brzmiała tonów czystością: stary Jakób zmęczony całodziennym na jeziorze połowem, zawiózłszy ryby do sadzawki, gdy panoczka we dworze nie zastał, pogawędził trochę ze starym Maciejem sługą Adolfa o dawnych czasach, poczęstował tabaczką i powrócił do swéj chaty. Jakóbowa z Bartoszychą krzątały się około komina na którym palił się ogień, i przygotowywały wieczerzę.

Stary pozdrowił żonę zwyczajném:

—Dobry wieczór Jéjmości.

— Dobry wieczór Jegomości; a jak tam dziś połów?

— Ho, ho! na *topielisku* tylegom złapał szczupaka! Chciałem się przed panoczkiem moim pochwalić, ale go nie ma.

— A gdzież pojechał?

— At gdzie? — mówił stary zapalając łojową w kartoflu świeczkę—juściż nie gdzie, tylko do Borowa.

— Coś często teraz tam jeździ.

— Często, często; Jéjmość to nic nie wiész, jak tabaka w rogu—mówił stawiając na czarnym stole świécę, kładąc na nos mosiężne okulary i zabierając się do wpisywania regestrów.

— A i zkądże ja mam wiedzieć?

— Jeździ tam a durzy się, Boże odpuść; szkoda tylko panoczka i kwita.... Tamta panna to fumy; rezolutne to, fochów pełne.

— Co się ma durzyć? Kiedy ją sobie spodobał, to może się i ożeni.

— E, jak tabaka, tabaka...—siadając mówił stary.

— Co tam tabaka, a na co się Jegomościowi wtrącać w pańskie sprawy? Wié on lepiéj od nas co robi.

— Jakto wtrącać? To ja nie mam się wtrącać, kiedy wiem, żeby oni córki za niego nie wydali, to ja nie mam się wtrącać?...

Et zwyczajne staruszki przerwało perorowanie Jakóba, który drżącą ręką zapisywać zaczął w regestr ilość i gatunek ryb dzisiaj złapanych. Jakóbowa mruczała pacierze, a Bartoszycha kulejąc krzątała się około szafy, wyjmując z niéj talerze i garnuszki.

Gdy Jakób skończył pisanie, a dalszéj dysertacyi wszczynać już dziś nie miał ochoty, gdy wieczerza nie była jeszcze gotowa, wyszedł przed chatę z fajeczką w ustach i usiadłszy na wywróconém czółnie, okiem przyjaźni patrzył na swoje stare jezioro, które w szarawéj mgle cichego i pięknego wieczoru tonęło.

Rosa zaczęła już pokrywać trawy, zioła i liście krzaków i drzew po brzegach, biała mgła na pogodę wznosiła się w równoległych a gęstych tumanach ponad wodą cichą; czasem tylko rybka plusnęła przy brzegu i na małe zrazu, późniéj coraz większe, lecz coraz mniéj znaczne kręgi pomarszczyła wodę, a oprócz zwyczajnego żab grzegotania, odgłosów kaczek i derkaczy, czasem doszła smutna pieśń fujarki lub szczekanie psa od wsi.

Gdy dumał stary, a dumał o paniczu, kombinował następstwa jego miłości i głową czasem pokiwał; stanął przed nim Adolf

z widocznie uradowaną twarzą, z tym wyrazem i żywością w oczach, i z tą lekkością i giętkością w całéj figurze, jakie wewnętrzne ukontentowanie nadaje.

— Jak się masz Jakóbku?

Stary powstał spiesznie, lulkę schował, zdjął kapelusz i w pełnéj uszanowania postawie stanął przed Adolfem.

— Przyszedłem się z tobą pożegnać, Jakóbku — mówił daléj—bo jutro skoro świt jadę na Wołyń do stryja, który mi pisze, ażebym dla interesu Kruszyńskich przybywał jak najprędzéj. Zarazem chciałem się przypatrzéć kochanemu Smotryczowi—mówił odwracając się do jeziora—które dziś szczególniéj tak mi się piękném wydaje.

— Oj! prawda panoczku! Ja stary, często na nim, a zawsze taki lubię popatrzéć... A panoczek na długo jedzie?

— Ja, mój Jakóbku, nie wiem; zapewne z miesiąc albo i więcéj; jadę nie z ochotą, ale razem jadę uradowany...

Na zaproszenie starego do chaty Adolf uprzejmie podziękował, oświadczając, że woli ze starym pochodzić po brzegach i cieszyć się widokiem.

— Cóż, Jakóbku? nie uważasz, żem dziś niezwykle uradowany?—pytał starego gdy szli ścieszką po brzegu jeziora.

— Widzę, że panoczek ma *humor* dzisiaj....

— I nie domyślasz się przyczyny mego humoru?

— A zkąd ja mam wiedzieć?

— A wiem, markotno ci może, żem ci dotąd nie wyjawił dlaczegom się tak zmienił w tych czasach—kładąc rękę na ramieniu starego mówił Adolf—ale wiész, bałem się—dodał z uśmiechem—bo pamiętasz naszę rozmowę o Borowie, gdy me serce tém uczuciem nie było jeszcze tyle przepełnione co dziś, powiedziałeś, pamiętasz... „ta panna Marya to dumna, fochów pełna"; a wiész, terazby mnie to bardzo bolało, gdybyś się o niéj tak wyraził.

— Jeślim się wyraził o niéj i jak się wyraził, panoczku, to Bóg świadkiem, żem wypowiedział jak mi się staremu zdawało; bo jabym wam rad wszystko wypowiedzieć co czuję (tu skrzywiony i kościsty palec do serca przyłożył) jak mi się zdaje, dlatego tylko, że wam panoczku z serca życzę lepiéj może, jak sobie samemu. Może ja się mylę i mnie się nie wtrącać w pańskie postępki; ale to wam zawsze powtórzę, choćbyście się gniewali, panoczku: że wam panna z wielkiego świata, z wielkiego takiego jak Borów pałacu nie na żonę; tam blichtry jeno, tam fumy....

— Ależ, Jakóbku, wiem co chcesz powiedzieć; lecz jeżeli panna kochać będzie....

— Kochać będzie jeden dzień, tydzień, pół roku, a potém jak się zjawi inny lepszy, to nowe sito na kołek: znam ja ci pałacowe kochania....

— Ależ mogą być wyjątki.

— *Ta że!* Wam oto panoczku potrzeba lepiéj szukać żony w mniejszym a poczciwym dworze, gdzie żyją po staremu, gościnnie a pobożnie, koni gościnnych do karczmy nie odsyłają, nie płukają gardła po obiedzie przy stole; gdzie pannę można znaléźć gospodarną, co się potrafi domem zająć....

— Wiem, Jakóbku, że mi z serca radzisz, ale wiész—mówił zatrzymując się, wznosząc oczy do góry i ręce składając—dzisiaj zdawało mi się żem był w raju, bo przekonałem się że mnie kocha; w jéj ustach choć mi tego nie mówiła, w jéj oczach wyczytałem te słodkie dla mnie:—kocham cię—wyrazy.

Stary pokiwał głową.

— I to z tego panoczek taki kontent?

— O! alboż to niedosyć?

Jeszcze smutniéj kiwnął stary głową i machnął ręką. I szli w milczeniu.

— Tak, tak, mój Jakóbku—ozwał się znów po chwili Adolf—kto wié, czy wkrótce ta pełna fochów panna, jak ją nazywasz, nie zostanie moją żoną, i choć z pałacu, jednakże gospodarną i pracowitą będzie w domu. Wtenczas będziesz ją musiał kochać; co, nieprawda? Ah! zobaczyłbyś, jakbyśmy żyli szczęśliwi i spokojni. Patrz, tu gdzie twoja chata stara, tambym wykarczował las, albo nie, to na tém wzgórzu postawiłbym dwór jak cacko, zasadził piękny ogród. O tobie, o! nie bój się, nie zapomniałbym o tobie: postawiłbym ci nowy dworek porządny; z naszego widok wychodziłby na jezioro, żylibyśmy szczęśliwi patrząc na to jezioro, tybyś nas woził krypą po niém, łapałbyś nam rybki jeślibyś chciał...

— Daj to Boże, daj to Boże!...—mruczał stary z niedowierzaniem, składając ręce; i nie chcąc dalszemi uwagami zepsuć może humoru panoczka, wolał milczéć i głową tylko pokręcał.

I chodzili długo ponad jeziorem. Adolf dawał następnie dyspozycye gospodarskie; stary Jakób słuchał, wskazywał uroczyska i miejsca gdzie większe sztuki w dzisiejszym połowie nałapał. Księżyc już się był wysoko podniósł na niebie, gdy Adolf

opuścił jezioro, a stary Jakób pożegnawszy panoczka i przeżegnawszy go na drogę, do chaty powrócił.

* * *

Biedny Adolf! on z całą świętością, czystością i zapałem młodego i nieskażonego serca oddawał się temu uczuciu; on kochał tą miłością piérwszą, namiętną i czystą, którą tylko szlachetne dusze pojąć są zdolne. Kochał... lecz nie wiedział biedny, że to uczucie tak wzniosłe, tak szczytne, w złote anioła przez niego szaty przybrane, może się łatwo rozbić, rozkruszyć o płaską i prozaiczną interesu stronę, o jego zimną i wyrachowaną rzeczywistość. On nie wiedział, że podobnie pojętém uczuciem bawią się w książkach, romansach, bawią się często jak cackiem, jak błyskotką dla skrócenia czasu; że wreszcie przy kojarzeniu małżeństwa, materyalna czyli majątkowa wartość człowieka przed wszystkiemi uczuciami odnosi pierwszeństwo.....

Słusznemi i trafnemi były uprzedzenia i wnioski starego rybaka względem przedmiotu miłości Adolfa; być może, że i przypadek wiele dopomógł do prędszego wyjaśnienia i rozwiązania tego miłosnego dramatu. Jakoż wkrótce po wyjeździe Adolfa, zjawiło się w tych stronach młode i majętne grafiątko z Litwy, który w przejeździe bawiąc u jednego z sąsiadów Borowa zrobił znajomość z tym dworem, został ujęty wdziękami Maryłki, która rychło o Adolfie zapomniała, i w bardzo krótkim czasie młody hrabia jako konkurent do jéj ręki zdawał się być usposobionym; zwłaszcza, że jéj rodzice patrzący krzywo na Adolfa, tego, jako majętnego i z tytułem (to dosyć) wszelkiemi starali się ująć sposobami.

Dowiedział się wnet o tém stary rybak i mocno zafrasował.

— A co? a nie gadałem że tak będzie?—mawiał do żony powróciwszy wieczorem z Zaborku, gdzie dyspozycye gospodarskie Adolfa wypełniał — Oto się biedny panoczek zmartwi jak przyjedzie; ale to tak być musiało, czy prędzéj czy późniéj. Panna, słyszę, szczerzy się tak jak za dobrych czasów do tego tam grafa. Oj! durzyłci się tylko durzył panoczek! Gdzież to: dopiéro niby panoczka kochała, a tu *szach mach* do tamtego się mizdrzy. A gadałem, a mówiłem. Oj! mój Boże! a roił, że się z nią ożeni, że tu nad jeziorem dwór postawi!...,

W ten sposób wywodził swoje jeremiady przed żoną i kiwał głową i tabaczkę zażywał, a Jakóbowa już mu w téj materyi nie przeczyła, i kiwając także głową zdawała się potwierdzać i podzielać mężowskie zdania.

Po dwóch dopiéro miesiącach powrócił Adolf z tęsknotą do swéj lubéj, któréj obraz przez cały ciąg podróży nosił w myśli i sercu, a piérwszém jego po przywitaniu ze starym rybakiem, który wówczas znajdował się we dworze, było zapytanie o Borów, do którego tego samego dnia jeszcze wybierał się. Stary ze smutną twarzą powitawszy go, nie chciał mu piérwszy téj przykréj nowiny powiedzieć i odrzekł tylko z westchnieniem, że wszyscy w Borowie zdrowi. Adolf wziął to na karb niechęci i uprzedzeń starego względem Borowa, i podążył spiesznie tam, gdzie się spodziewał długą tęsknotę w czasie podróży, przyjazném słówkiem, obiecującém a czułém spojrzeniem swéj lubéj wynagrodzić. Stary rybak z przykrém uczuciem patrzył na odjeżdżającego, spodziewając się w jakim zapewne stanie powróci, i smutny oczekiwał téj chwili, w milczeniu zażywając tabaczkę i łażąc około dworu.

W kilka godzin potém doczekał się panoczka i z mocném biciem starego serca ujrzał to, czego się spodziewał: ujrzał twarz Adolfa niezwyczajnie bladą, usta zaciśnięte i oczy niezwykłym blaskiem płonące i rzekł do siebie: ot i po wszystkiém.

Co zaszło w Borowie gdy przyjechał, w jaki sposób dowiedział się Adolf o tych prędkich zmianach złotych jego uczuć i nadziei—to mniejsza; zresztą tak mało potrzeba czasu do zdruzgotania całéj budowy naszego szczęścia, naszych ziemskich nadziei! Wszedłszy do swego dworku, gdy stary Jakób wsunął się za nim do pokoju, z rozpaczą i wyrzutem wymówił:

— I nie mówiłeś mi nic, Jakóbie!— i gorzko płakać zaczął zakrywszy twarz rękami.

Stary łzy połykał, chciał coś mówić, bełkotał i drżał cały.

— Prawdę mi mówiłeś, Jakóbku, oj prawdę!—śród płaczu powtarzał Adolf, a stary milczał, cierpiał i płakał....

Im większą była i szlachetniejszą miłość Adolfa, tém okropniejsze rozczarowanie i boleść, rozpacz można powiedzieć. Ta krótka chwila niezmiernie go zmieniła: wychudł, pobladł, postarzał, a boleść jego w melancholijny zamieniła się smutek. Usunięcie się z tych miejsc, przykrych teraz wspomnieniami ułudnych nadziei, było wkrótce myślą stanowczą Adolfa, a za nią sprzedanie Zaborku i wyjazd gdzieś daleko za granicę. Można sobie wystawić jak bolesném było to postanowienie Adolfa dla starego, całém sercem przywiązanego rybaka, którego życie przeszło na usługach dla swego panoczka, usługach niepowodowanych innym,

nad przywiązanie i życzliwość, interesem. On, starzec blizki grobu, nie miałby już może ujrzéć swego ukochanego panoczka? On, rybak tak zamiłowany, miałby dla obcego i nieznanego pana swe stare siły zużywać, lub téż zupełnie bezczynne prowadzić życie? On miałby widziéć ten dworek skromny zaborski zamieszkałym przez innych lub téż pustkami stojący, albo wreszcie sam szukać sobie innego kąta, i w inném, nie tu nad Smotryczem umrzéć miejscu! A! to okropnie! A jednak nie śmiał odwodzić Adolfa od powziętego a rozpacznego zamiaru, bo widział, ile cierpiał jego panoczek, ile pozostawanie jego w tych miejscach przyczyniało dlań tęsknoty i smutku!

W Borowie tymczasem związek Marylki z grafem, tyle pożądany dla niéj i dla jéj rodziców, doszedł do skutku; niedługo potém Zaborek sprzedany i do sąsiedniego klucza możnego sąsiada przyłączonym został. Adolf uposażywszy Jakóba na własność chatą w któréj mieszkał, ogródkiem i sporym gruntu kawałkiem, opuszczał te miejsca tyle dlań przedtém miłe, pełne pamiątek dziecinnego jeszcze wieku, a teraz tak smutne i przykre!

Pożegnanie jego ze staremi sługami, z włościanami, a szczególniéj ze starym rybakiem było rozczulającém: płakali szczerze, a Jakób aż pochudł i postarzał; i gdy go Adolf na wsiadaném pieniężnym jeszcze datkiem, dość nawet znaczną jak dla starego summą chciał udarować; odsunął drżącą ręką pieniądze i z płaczem odpowiedział:

— Nie, panoczku, tego ja nie potrzebuję. To, co mam od panoczka, to dosyć: chata, ogród i pole wystarczą mi, a za moje usługi pieniędzy brać nie chcę, ino proszę, ażeby panoczek kochany.... wspomniał czasem o starym Jakóbie.... tak jak ja z moją żoną codzień za panoczka modlić się będziem; a jak umrę, bom już stary... ażebyś zmówił za moję duszę wieczne odpocznienie...

Uściskał wzruszony Adolf poczciwego starca i pożegnał te strony, wywożąc z sobą rozczarowanie, zawód i smutek głęboki....

Od téj pory zupełnie nowe a smutne otworzyło się dla Jakóba życie: życie mniéj czynne, więcéj nudne, w zbyt małym dlań ograniczone obrębie. Posmutniał, pochudł stary widocznie. Smotrycze w jego oczach teraz smutniejszém się wydawało, przykre dawnego życia przywodząc wspomnienia; szum fal jeziornych, trzciny i lasu, i zwyczajna wieczorna brzegów harmonia, smutnemi teraz i minorowemi tony przemawiały do duszy starego. Wszakże teraz oprócz łapania ryb na wędkę i więcierze na swój użytek, które jeszcze z ugody Adolfa z nowym właścicielem miał sobie

dozwoloném, żadnych większych połowów już nie było, bo nowy pan nie dbał o dochód z rybołóstwa; zresztą miał w swych dobrach kilka podobnie wielkich jak Smotrycze jezior.

To więc łapanie ryb na wędkę i więcierze, roboty około ogródka, robota sieci więcéj z nałogu jak z potrzeby, a czasem gawędy z włościanami zaborskiemi: zajmowały teraz starego rybaka. Czas mu się jednak dłużył, a bezczynnie i chwili usiedzieć nie mógł (kawałek zaś darowanego sobie pola wydzierżawił jednemu z zaborskich gospodarzy).

Nadeszła zima, lodem ścięło się jezioro, bociany odleciały, umilkły żaby, kaczki i derkacze, śnieg pokrył brzegi, pobielił piaski, wrzosy, drzewa i dach chaty pogarbionéj. Wówczas jeszcze smutniejszém było Smotrycze: tylko szum lasu, wysokich a zawsze zielonych sosen dokoła, szum głuchy, ponury słyszéć było można; i pusto, zimno było i smutno..... Wówczasto przy ogniu w chacie robiąc sieci, strugając tyczki do wędek, kręcąc sznurki rozwodził stary swe jeremiady przed przędzącą Jakóbową, z tęsknotą przywodząc wspomnienia rybackiego życia, powtarzając po dziesięć razy całą historyą nieszczęsnéj miłości Adolfa, wraz ze swemi:— „A nie mówiłem, a nie gadałem"—tak, że stara Jakóbowa często mu przerywała swojem et! albo téż uwagą:

— Już to Jegomość trzy razy dziś gadałeś.

Gdy nieraz stary rybak wyszedłszy ze swéj chaty, idąc ścieszką do Zaborku zadumał się i zapomniał, zdawało mu się, że idzie do panoczka zdawać przed nim rachunek czynności rybackich, pogawędzić z nim trochę; lecz gdy ujrzał dworek pusty, opuszczony i milczący, gdy wspomniał, że ta ziemia, te pola z krzyżami to własność obcego pana: łzą nabiegały mu stare oczy i co spieszniéj do swéj chaty powracał.

To życie mniéj czynne i smutne, wszakże spokojne, niedługo potém przerwane było smutnym, bardzo smutnym dla rybaka wypadkiem—bo śmiercią staréj Jakóbowéj. Zasnęła ona jakby snem miłym i spokojnym po tak czynném a poczciwém życiu. To już było zawiele dla starego Jakóba, bo i cóż go przykuwało do tych miejsc, do tego życia, jeśli nie przywiązanie do swéj towarzyszki, z którą zgodnie tyle lat przebył!? Trudno sobie wystawić niemą boleść rybaka, którego tak dotkliwe spotykały ciosy. To téż wnet po pogrzebie Jakóbowéj oddawszy ogródek i łączkę dla staréj i kulawéj Bartoszychy i jéj krewnych na własność, gruntu kawałek sprzedawszy, z trochą uzbieranego grosza i częścią graci-

ków, jednokonnym wózkiem od zaborskiego wieśniaka nałytym wyjechał, żegnając starą swą chatę i Smotrycze; a wyjechał do bernardyńskiego klasztoru, u wielebnych ojców składając swój mały kapitalik i prosząc o kącik, o celę, gdzieby ostatki żywota swego w pokoju mógł spędzić.

Nie mógł wszakże długo dosiedzieć w swéj celi Jakób, i jakkolwiek klasztór ów za swoje *locum* uważał, jednakże swym wózkiem jeździł po odpustach okolicznych i nabożeństwach w galowym niegdyś, a teraz jedynym i wytartym stroju.

I gdzie tylko był odpust w okolicy i w dalszych nawet miejscach, gdzie dzwony, dzwonki, pieśni, organy mieszały się w jeden ogromny chaos brzmiący na chwałę Tego, który rządzi życiem i śmiercią nas małych robaczków, a który w postaci białéj hostyi w promiennéj i lśniącéj monstrancyi przyjmował błagalne modły korzącego się ludu; tam niezawodnie był i stary Jakób, zanosząc modły za duszę nieboszki swéj żony i za panoczka, którego widzieć raz tylko jeszcze przed śmiercią żądał.

A gdy w czasie processyi kapłan piastujący tego Pana nieba i ziemi postępował przy odgłosie dzwonów i pieśni wokoło kościoła; gdy ciągnął za nim tłum różnobarwny i panów i sług, wieśniaków i żebraków w łachmanach, tworząc jakby jedno towarzystwo, a głosy razem złączone śpiewały chwałę Tego, który zarówno na pana jak na żebraka spogląda: postępował tam i Jakób z wychudzoną twarzą, pochylony naprzód, składając kościste i spracowane palce i ochrypły swój głos mieszając z chórem pobożnych.

A chata rybaka została osamotniona i jakby z żalu niedługo po wyjeździe Jakóba jedną połową dachu wklęsła i nachyliła się, ściany jéj bardziéj się popaczyły i komin z cegieł opadł; bociany tylko jak dawniéj klekotały na strzępiastém gnieździe; ścieszka do Zaborku trawą porosła.... Tylko Smotrycze było tak piękném jak dawniéj, więcéj w niém tylko ryb, swobodniéj po niém pluskały, bo nie było rybaka, któryby na nich czyhał....

* * *

W piękną, cichą, miesięczną noc lipcową, gdy okolica Zaborku niewyraźnie rysującego się pośród drzew otaczających go, zdawała się po dniu skwarnym usypiać, oblana łagodném a tęskném księżyca światłem; drogą ku wsi wiodącą pośród łanów dojrzewającego żyta, które świeżą wonią z kwitnących kłosów, bławatków i bratek napełniało powietrze: toczyła się lekka najtyczanka pyłem

okryta, parą żwawych choć zmęczonych już siwków zaprzężona. Siedział w niéj młody, czarno ubrany mężczyzna z odkrytą głową, zapewne dla chłodu, w ręku trzymając kaszkiecik. Twarz jego była blada i nosiła na sobie ślady minionych cierpień, które teraz tylko szlachetnym rezygnacyi wyrazem rozlały się po męzkich i pięknych jéj rysach; ale oprócz tego w téj twarzy widać było jakieś rozrzewnienie, i po oczach łzą zaszłych a z ciekawością dokoła strzelających, po przyspieszonym jego oddechu znać było, że nim jakieś miłe a zarazem tęskne miotały uczucia. Byłto Adolf, który po kilkoletniéj niebytności powracał do tych miejsc, do których wspomnienia i pamiątki lat dziecinnych go ciągnęły; Adolf, którego boleść z zawiedzionych uczuć w tym przeciągu czasu przeminęła, a któremu przez te lat kilka przybyło więcéj rozwagi, więcéj doświadczenia, więcéj poznania siebie, świata i ludzi....

Powracał on do swéj dawnéj a ukochanéj siedziby z zamiarem nabycia jéj napowrót, a za zbliżaniem się tłum wspomnień witał go na każdym zakręcie drożki, przy każdym pochylonym i omszałym krzyżu, w tym powiewie wieczornym który z jego igrał włosami, w téj woni powietrza, które mu się czystszém i świeższém, bo rodzimém wydawało; i z pewnym żalem, wstydem i bojaźnią zbliżał się do ojczystego kątka, teraz w obcém będącego ręku.

— Jakób stary, poczciwy czy żyje? Jakóbowa?— pomyślał mijając lasek, który zasłaniał Smotrycze na prawo—Może umarli poczciwi—i westchnął smutno. Po chatach migały jeszcze światła, a w stronie dworku było ciemno, cicho i ponuro.

Gdy dojechał niedaleko wrót dziedzińca, kazał się zatrzymać, a sam z bijącém sercem wszedł na dziedziniec. Chwasty, trawa, bodyaki bujnie po nim porastały; nie było znać ścieszek krzyżujących go niegdyś w różnych kierunkach; zabudowania odarte, walące się, pusto i głucho wszędzie, a dworek z tynku opadły pustkami stojący... Okna bez szyb, czarno i straszno, jakby z wyrzutem nań patrzały; świerszcze grały wewnątrz chórem po pustych bez drzwi izdebkach. Ścisnęło się serce Adolfa.

A tuż za dworkiem sadzawka, do któréj stary Jakób ryby zwoził; sadzawka tak pielęgnowana dawniéj przez starego rybaka, a teraz w połowie wyschła, w połowie mułem zielonym i brudnym zaszła. I obszedł dworek dokoła i zwrócił się ścieszką dawniéj udeptaną, a teraz zaledwo znaczną ku Smotryczowi, z tém smutném przeczuciem, że podobny widok i w chacie rybaka mu się przedstawi. Już mu się z poza krzaków leszczyny mignęło jezioro,

następnie coraz więcéj, coraz szerzéj rosło przed jego oczyma. Smotrycze zwyczajną nocy letnich brzmiało harmonią, było pięknem jak dawniéj, więcéj mu nawet dzikiego, lecz niemniéj powabnego przybyło uroku. Otóż i chata.

Ależ dach jéj w połowie zerwany i z jednéj strony szkielet tylko komina przegląda, a ściany pokrzywione, okienka czarne bez szyb, drzwi wywalone.... I to pustkowie! Czółno tylko spróchniałe koło drzwi leżące i bardziéj w ziemię wrosłe, zdawało się do ostatka wskazywać, że to mieszkanie rybaka.

A więc starzy pomarli. O! bał się w Zaborku zapytać, ażeby się zupełnie w téj myśli nie ugruntować. Lecz opodal chodzi jakaś postać szara z kijem w ręku, zgarbiona, w czarnym kapeluszu, daléj wózek i koń skubiący trawę. Postać ta pochylona naprzód, zdaje się teraz poić widokiem jeziora; stanęła, znów idzie.

Zbliżył się Adolf.... to Jakób stary, czy téż cień jego:—Jakóbku!—zawołał i podbiegł aby mu się rzucić w objęcia.

Starzec się zachwiał, zadrżał, nachylił, coś zamruczał, i zanim Adolf zdołał go uścisnąć, już starzec przyklęknął i z płaczem całował ręce i nogi swego panoczka, wołając:

— Panoczek mój kochany! panoczek! Ot Bóg wysłuchał mojéj modlitwy, że taki nie umrę.... póki panoczka jeszcze raz nie obaczę.

— Jak się masz mój poczciwy Jakóbku? Ależ wstań, ty drżysz cały, pójdź usiądziem tu gdzie.

Radość tamowała staremu oddech, płacz wstrzymywał mu mowę: istotnie drżał cały. Z trudnością podniósł go Adolf i ku wywróconemu czółnu poprowadził, wzruszonego i dziękującego Bogu, że mu tego szczęścia dożyć pozwolił.

Usiedli, a stary ciągle płacząc i składając ręce, mówił:

— Teraz taki umrę spokojny... kiedy wiem, że panoczek zdrowy, kiedym widział panoczka.....

— A twoja żona, Jakóbku?

— Już tam—na niebo wskazał stary i oparłszy się o opoły ścienne chaty, tak daléj mówił:— Ja taki miałem przeczucie.... że dziś panoczka zobaczę.... i przyjechałem tutaj z Sumakowa.... zobaczyć moje kochane Smotrycze.... Mnie bez panoczka bardzo było tęskno..... ale teraz spokojny mogę umierać..... żem was panoczku....—i głos mu słabł, płacz uspokajał, słowa w cichy szept

niknący przechodziły, głowę skłonił i zdawał się usypiać..... W owę chwilę lekki powiew zaszumiał i wzruszył gałęzie pobliskich sosen i krzaków, i przebiegając od drzewa do drzewa, coraz daléj, coraz daléj, ucichł nareszcie, a księżyc małą przechodnią chmurką przed chwilą osłonięty, znów jasno zaświecił tęskném swém światłem. Stary rybak już nie żył.....

Usnął on snem śmierci przy ukochanym panoczku na spróchniałém swém czółnie, z twarzą zwróconą na ulubione Smotrycze, które zwyczajną brzmiało i brzmi dotąd harmonią.

KRONIKA Z PARYŻA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Machina powietrzna Ericksona.—Biografia wynalazcy.—Statek kaloryczny i piérwsza na nim podróż.—Polemika dzienników francuzkich o zaszczyt wynalazcy.—Rozbujała imaginacya wynalazców francuzkich —O zapładnianiu ikry rybiéj i wykluwaniu rybek.—Zakład w Huningue.—Opinia p. Coste o tym wynalazku.—Roqueplan: La vie parisienne.— Excentric-club w Londynie i śmierć p. Heald.— Tartuffe en lady.

Tą razą zaczynam od wynalazku, który zapowiada szereg wielkich, nieobliczonych na dzisiaj odmian, bo największa i najczynniejsza potęga naszego stulecia, niejako dusza cywilizacyi XIXgo wieku, ulegnie wkrótce ważnéj reformie. Chcę mówić o machinie *parowéj*, która niebawem ustąpi miejsca machinie *powietrznéj*. I w témto podstawieniu *powietrza* w miejsce *pary*, widzę otwierającą się przyszłość nieskończonych przeobrażeń. Niechaj czytelnik nie kładzie ich na karb mojéj imaginacyi, niechaj nie obwinia mnie o sąd skwapliwy, a raczéj niechaj wysłucha do końca.

Sąto dopiéro początki wynalazku; przeprowadzono go jednak szczęśliwie w najtrudniejszém zastosowaniu, tojest na statkach większego rozmiaru. Dnia 11 stycznia 1853 roku, okręt poruszany siłą machiny powietrznéj wypłynął z Nowego Yorku na ocean, i po kilku-godzinnéj probie, powrócił. Skoro o tém przyszła wieść do Europy, łatwo pojąć, że wypadek tak ważny, wszystkie pisma peryodyczne francuzkie i angielskie, wszystkie zgromadzenia, akademie i towarzystwa naukowe zajął niemało; mianowicie w Paryżu, gdzie oprócz rozbioru nowego systemu, otwarła się polemika: komu należy przyznać zaszczyt, nie już piérwszego zrealizowania (bo w tym względzie wątpliwości nie ma), ale zaszczyt piérwszego pomysłu.

Wynalazca, kapitan Erickson, urodził się 1803 r. w Szwecyi. Już wcześnie okazywał usposobienie do mechaniki, tak dalece, że jedénastoletniemu chłopięciu, hr. Platen wyrobił miejsce kadeta-inżyniera. Nieco późniéj wszedł Erickson do armii czynnéj i należał do prac inżynierskich, prowadzonych w północnéj Szwecyi. Około tego czasu, zajmując się nieustannie mechaniką, powziął myśl machiny, którą nazwał *machiną płomienną*. W r. 1826 pojechał do Anglii, i w lat kilka po przybyciu ubiegał się o nagrodę wyznaczoną przez *komitet kolei żelaznéj z Liwerpoolu do Manchester*, za wybudowanie najlepszéj lokomotywy. Erickson zbudował, rzecz naówczas niesłychana—machinę, która w godzinę ubiegała 50 mil ang. Nie wiadomo nam, czyli machina jego otrzymała nagrodę, ale to pewna, że wkrótce zarzucił parę i zbudował model machiny *powietrznéj*, którą uczeni angielscy jako utopią odrzucili. Nie wszyscy jednakże byli tego zdania: Faraday utrzymywał, że w projekcie młodego Szweda jest strona praktyczna.

Z Anglii pojechał Erickson do Ameryki i tam zapoznał się z bogatym Anglikiem p. Kitching, przełożył mu myśl swoję, a ten oceniwszy zdolności inżyniera i rozpatrzywszy się w projekcie, przyrzekł dostarczyć potrzebnego funduszu. Długie lata upłynęły na bezskutecznych usiłowaniach; co proba to nowe odkrywały się trudności, nowe zawody, czas stracony, i zmarnowany wydatek. Tyle przeszkód nie przemogło ich wytrwałości, i rzecz dziwna, Erickson mógł wyznać, że w ciągu wieloletnich studyów nad zastosowaniem swego pomysłu, nie brakło mu ani razu funduszu.

Jak powiedziałem, 11 stycznia b. r. odbyła się piérwsza proba na statku. P. Erickson i p. Kitching sprosili na godzinę 9tą rano wszystkich redaktorów dzienników i gazet nowo-yorkskich, którzy w sprawozdaniach swych nie szczędzą pochwał ani wynalazkowi, ani nawet budowie statku. Jest on o sile 600 koni, pokład ma równy, powietrze na nim czyste. Nie masz na nim owego potwornego, brudnego komina; ani śladu wijących się kłębów dymu, które zaczerniają atmosferę, a zagnane wiatrem, duszą na pokładzie podróżnych; kurz ani iskry nie sypią się do oczu, przeraźliwy gwizd machiny nie rozdziera uszu. „Kapitan Lowber (mówi dziennik *New-York Literary-World*) stanąwszy na galeryi, zawołał „naprzód". Na to słowo olbrzym nasz zdawał się budzić ze snu. Słychać było dłu-

gie, głębokie westchnienie, machina buchnęła prądem powietrza ciepłego, dał się słyszéć szelest jakoby odległego strumyka i statek popłynął — spokojnie, poważnie. Naówczas p. Erickson chcąc nam pokazać, że jego dziełu nie zbywa na komforcie, zaprosił nas do salonu, a po obfitém śniadaniu wprowadził towarzystwo w głąb okrętu, ukazał machinę i zasady swego wynalazku tłumaczyć począł. Mówił płynnie i spokojnie; wzrost jego średni, budowa silna, kształt głowy oznacza wysoki rozwój intellektualny. Cera ciemna, włos posiwiały, spojrzenie wolne, głębokie; brwi wystające i wysokie czoło, dowodzą częstego naprężenia myśli i kierunku ich poważnego. Wyłożywszy ogólną teoryą i szczególne jéj zastosowanie, z pewném poczuciem wartości swego dzieła zawołał: „Jestem przekonany, że wszystkie trudności praktyczne są usunięte!" Słuchacze odpowiedzieli oklaskami, a o prawdzie jego słów tém mocniéj byli przekonani, że okręt od kilku godzin płynął bez przeszkody. Ubiegłszy w ciągu trzech godzin 12 mil, wrócił do portu o 12½ z południa."

Reforma, którą Erickson wprowadził, zasadza się na tém, że siła machiny nie pochodzi z pary, ale z powietrza, które wciska się pod tłok walca i rozszerza się w skutek gorąca; ściany bowiem tegoż ogrzewane są na zewnątrz za pomocą zwykłych pieców. Powietrze podniosłszy tłok, zużywa tém samém siłę swą rozciągliwą i znajduje otwór którym uchodzi. Tłok własnym ciężarem opada, naówczas przeciwległym otworem wciska się nowy prąd powietrza, rozgrzewa się, rozszerza i znowu tłok podnosi. W ten sposób otrzymany ruch posuwisty tłoka z pomocą znanych przyrządów, zmienia się w ruch wirowy, a ten udziela się kołom okrętowym.

Powietrze, które podniosło tłok i jako zużyte uchodzi, ma jeszcze 272° ciepła. Ponieważ korzyść nowego systemu wynika głównie z oszczędności paliwa, nie chciał p. Erickson tracić tak wysokiéj temperatury zużytego gazu. Aby mu ją odebrać, wymyślił przyrząd, który nazwał *odżywicielem*. Jestto wielka skrzynia napełniona szeregiem sieci metalicznych, przez które powietrze zużyte wychodzi i im ciepło swoje zostawia.

Oprócz walca głównego, w którym powietrze działa (nazwijmy go walcem *roboczym*), oprócz *odżywiciela*, którego skład i funkcye dopiéro co opowiedzieliśmy, jest jeszcze walec *zgęszczający*, umieszczony najwyżéj. Tłok jego przyczepiony

do téj saméj osi, co w walcu roboczym, a zadaniem jego jest wpychać powietrze w rezerwoar ustawiony poniżéj. Rezerwoar łączy się z walcem *roboczym* z pomocą rury, która przechodzi przez *odżywiciela*, dla korzystania z jego temperatury, i zaopatrzona jest w zwyczajne klapy, celem otwarcia lub przerwania kommunikacyi. Taki jest przyrząd w zupełności; w machinie jest ich cztery, ustawionych z obu stron paralellogramu.

Skoro machina w ruch ma być puszczona, po zapaleniu ogniów, wpycha się powietrze z pomocą pompy tłoczącéj w rezerwoar i otwiera się kommunikacya z walcami. Powietrze wpada i podnosi tłok w walcu roboczym, a że ten połączony jest z tłokiem zgęszczającym, a zatém ten ostatni wpycha współcześnie w rezerwoar taką samą ilość powietrza zgęszczonego, jaka w téj saméj chwili wyszła z walca roboczego; z tą różnicą, że nowy prąd zgęszczony znajduje przez rozgrzanie podwójną siłę, która właściwie siłę machiny stanowi. Na statku parowym Ericksona znajdują się 4 walce robocze, każdy z nich ma półpięta metra średnicy, a 2 metry długości.

Nie można przewidzieć, czyli lokomotywy lub statki z machinami powietrznemi mniéj będą podległe przypadkom rozpęknięcia, pożaru i t. p. drobnych nieszczęść, aniżeli dotychczasowe machiny parowe; aczkolwiek mniejsza ilość zużywanego ognia, uwalnia już tém samém od pewnych niebezpieczeństw. Nie wiadomo również, czyli z czasem inne ulepszenia z nowego systematu wyprowadzić się nie dadzą; na dzisiaj korzyść główna, ale korzyść ogromna jest w pomniejszoném zużyciu paliwa. W porównaniu z machinami *parowemi*, oszczędność ta przy machinach *powietrznych* wyniesie 90%! Statek kaloryczny zużywa przez 24 godzin 6 beczek węgla w miejsce 60 beczek, których potrzebuje parowiec o téjże saméj (600) sile koni. W ciągu miesiąca podróży, jak oblicza *Evening-Post*, oszczędność ta dochodzi 25,000 dolarów.

Powtarzamy, dość na tym jednym rezultacie, na tém jedném ulepszeniu, otrzymaném w głównym działaczu, w podstawie naszych czynności przemysłowych, handlowych, a po części i politycznych; dość na téj jednéj reformie w machinie parowéj, aby niemal cała sfera ludzkiéj czynności pewnym, zbawiennym ulepszeniom uległa. Rozważmy niektóre korzyści.

Przy zmniejszoném zużyciu paliwa w machinach, które najwięcéj konsumują węgla, produkt ten stanieje.

Okręty, uwalniając się od wielkich zapasów węgla, uwalniają się tém samém od konieczności zatrzymywania się na stacyach; przyspieszają podróż, a zarazem mogą pomieścić o tyle więcéj towarów, o ile mniéj niż dawniéj węgla potrzebują.

Skoro utrzymywanie machiny w ruchu mniéj nierównie niż dotąd kosztować będzie; zatém i wszystko co z pomocą machin otrzymujemy, mniejszego niż dotąd nakładu wymagać powinno. Ztąd konieczna odmiana w cenach wszelkiego rodzaju fabrykatów, ztąd zniżenie cen transportów, zmniejszenie kosztów podróży czyto na lądzie, czy téż na morzu.

Doświadczenie przekonało, że zniżenie ceny fabrykatu, powiększa jego konsumcyą i produkcyą ożywia;

że zmniejszenie kosztów transportu zwiększa ruch handlowy i wzajemnie zmniejsza cenę towaru;

że zniżenie kosztów podróży, budzi ochotę do podróżowania, do zwiedzenia krajów obcych, do załatwienia na miejscu interesów takich, któremi dawniéj zatrudniali się komissanci lub korrespondenci.

Kiedy w téj arcy-sztucznéj budowie dzisiejszego społeczeństwa naruszy się jednę cegiełkę z jego fundamentów, cały gmach uczuwa wnet wstrząśnienie. Jedna zmiana pociąga drugą, korzyść wysuwa się z korzyści, jedna reforma drugą wywołuje, a popęd w sferze materyalnéj nadany, udziela się nieprzerwanym szeregiem coraz daléj a daléj, i w kotle machiny poczęty nieprędzéj się kończy, aż w odległych rezultatach w sferze moralnéj dokonanych.

Francuzkim dziennikarzom nie zbywa na imaginacyi; żaden z nich jednakowoż nie zastanowił się nad skutkami, jakie ten wynalazek pociągnie za sobą. Większa część podawszy w krótkości opis machiny, kończy złorzeczeniem Akademii umiejętności, bo jéj tylko, jak mówią, trzeba przypisać, że wynalazek ten nie jest dziełem Francuza. Jakoż, skoro tylko dowiedziano się o statku Ericksona, zjawiło się natychmiast najmniéj dwudziestu wynalazców we Francyi, którzy od wielu lat mieli projekt gotowy, od wielu lat nad jego wykonaniem pracowali, lecz pracę dla braku funduszów zaniechać musieli.

W r. 1840, p. Franchot złożył Akademii umiejętności projekt do machiny powietrznéj swego wynalazku. Dla zbadania tego pomysłu, Akademia delegowała dwóch kommissarzy: pp. Savary i Coriolis. Na nieszczęście, umarli obydwa wprzódy, nim zdołali raport z opisu i projektu ułożyć. Godzi się wspomnieć nawiasem, że taki sam los spotyka wszystkie mniéj więcéj projekta, podawane pod sąd Akademii.

Téj saméj treści projekt przysłał z Rouen p. Lemoine. Inżynier ten jeszcze w r. 1847 zbudował machinę powietrzną, uzyskał patent, lecz w skutek niedokładności budowy, oszczędność paliwa nie okazała się dość znaczną, a na zbudowanie nowéj machiny już nie znalazł funduszu.

Inny Francuz p. Loberau budował także machinę powietrzną; tym samym przedmiotem zajmował się w r. 1846 p. Liais. Brak funduszu zatrzymał obu. Kilka dni temu, p. Burdin pensyonowany inżynier przypomniał, że w r. 1835 i 1837 przesyłał Akademii różne uwagi o użyciu powietrza rozgrzanego w miejsce pary; co większa, w r. 1850 podobne myśli przesłał ministrowi robót publicznych i w nich téj saméj co p. Erickson trzymał się drogi. P. Catala w téjże kwestyi ogłosił w r. 1852 obszerny *memoar*, umieszczony w brukselskim *Bulletin du Musée de l'industrie.*

Z tego wynika, że francuzcy inżynierowie wpadają nieraz na wyborne pomysły, lecz dobroci ich, nieszczęściem, nikt oprócz wynalazcy nie wierzy. Nierównie jest mniéj *mecenasów*, którzy na swém rzemiośle porobili majątki, jak protektorów, którzy się zrujnowali; nic więc dziwnego, że kapitały są ostrożne i hazardu nie lubią. Bo z drugiéj strony przyznać trzeba, że wynalazcy francuzcy z zbytecznem częstokroć zaufaniem dają się powodować swojéj wyobraźni. Jeden przykład w tém miejscu przytoczę.

Jeden z nauczycieli wiejskich z dep. Aisne ogłosił niedawno, że wynalazł sposób sprowadzania do woli pogody lub słoty. Musiało go to niemało trudu kosztować, a szkoda, bo nasze czarownice wiedzą oddawna, jak zamawiać chmury. Sposób francuzki jest daleko droższy; aby go do skutku przyprowadzić, potrzeba 100 milionów! Rzecz kosztowna, powié czytelnik, tém więcéj, że przypuściwszy nawet, że projekt uda się jak najkompletniéj; jak zadowolnić wszystkich, kiedy, jak wiadomo, sam Pan Bóg, w którego ręku są pogody i deszcze,

nie każdemu dogodził. Jeden gospodarz pospieszy się z siejbą i jak kania wzywa deszczu, a u drugiego ziarno jeszcze na pniu. Ten się w drogę wybiera, więc chce dzisiaj pogody; tamten dopiéro jutro wyjeżdża, więc radby, aby dzisiaj dészcz spłukał kurze z drogi. Jedném słowem, co głową to rozum, to inne życzenie; nieustanny powód do kłótni, niezgody, wojny domowéj! Wynalazca francuzki i temu zapobiegł; według niego każda okolica będzie miała pogodę lub słotę kiedy zechce. Obaczmy, jak się do tego bierze. W długim opisie podanym Akademii dowodzi, że słońce zawsze w dzień świeci, i że tylko chmury zasłaniają go przed ziemią. Uwaga trafna! Arago powiedział: kwestya dobrze postawiona, już tém samém rozwiązana jest w połowie. Bakałarz z dep. Aisne rozwiązał ją całkowicie. Rozumowanie jego jest bardzo konsekwentne. Aby słońce świeciło, dość przeszkodzić, aby go chmury nie zasłaniały. Zkąd się biorą chmury?—przychodzą z wiatrem. A zatém wiatr jest ostateczną przyczyną słoty lub pogody. Kto w ręku ma przyczynę, panuje nad skutkami. Trzeba wiatr osiodłać i w tym celu proponuje wynalazca (nieszczęściem tylko dla Francyi!), aby wzdłuż oceanu i morza Śródziemnego wystawić ogromne wentylatory, które dmuchać będą na tę lub na ową stronę wedle okoliczności, odganiać wiatr skoro jest niepotrzebny, popychać go skoro potrzebny a zaniedbuje się! Skromny wynalazca nie spostrzegł się, że za jednym zamachem dwie trudności zwalił: dał nam pogodę i słotę do woli, arenautom zaś, którym tylko wiatr płatał figle w powietrzu, dozwolił bujać po atmosferze bez końca. Przyznać trzeba, że umysł Anglika i Amerykanina niezdolny jest wpaść na myśl podobną!

Przechodzę wprawdzie do mniéj świetnego, lecz więcéj praktycznego odkrycia—nowego sposobu zarybiania rzek lub stawów. Tym razem wynalazcą nie był nauczyciel ani zoolog, ale prosty, ubogi rybak z dep. Vosges. Nie potrzebuję uprzedzać czytelnika, że dla Francyi wynalazek ten jest bardzo ważny, bo rzekom francuzkim zbywa na rybach, a brak ten przypisywano oddawna to niegospodarstwu rybnemu, to żegludze parowéj po rzekach. Remy, zamieszkały w dep. Vosges trudnił się łowieniem i przedażą pstrągów; lecz przy coraz większym braku téj ryby, zarobek jego stawał się nieznaczny. Jakie są przyczyny tego braku, nie wchodził; szukał tylko sposobu zary-

bienia rzek tak gwałtownego, iżby mu jakiebądź nieprzyjazne okoliczności przeszkodzić nie mogły. Znane jest słowo Bakona: „Nie można zwyciężyć natury, jak tylko słuchając jéj praw.“ Remy choć o Bakonie nie wiedział, nie wdawał się w teoretyczne poszukiwania takich lub innych sposobów, ale chciał zbadać naturę i od niéj się nauczyć metody praktycznéj. „Mało który uczony, powiada p. Quatrefages, byłby zdolny do tak sumiennéj obserwacyi, jak ta, któréj poszukiwanie podobne wymagało.“

Trzeba było naprzód wiedzieć w jakiéj porze ryby się trą. Doświadczenie przekonało naszego rybaka, że chwila ta dla pstrąga nastaje w połowie listopada, a działanie odbywa się zawsze w nocy. Samica nim się wyikrzy, trze się zwolna o piasek na dnie strumyka i wyrównywa jego powierzchnią, oddalając ogonem kamyki, z których tworzy jakoby groblę. Usławszy to niby gniazdo, składa ikrę. Wówczas zbliża się samiec, zatrzymuje się nad ikrą, woda traci w téj chwili przezroczystość, poczém samica przykrywa piaskiem i żwirem zapłodnione jaja. Zanim tajemnicę tę odkrył Remy, musiał przepędzić długie i zimne nocy listopadowe, leżąc nad brzegiem strumyka ukryty w gęstych trawach. Lecz dotąd dowiedział się tylko o tém, o czém już uczeni poprzednio wiedzieli. Prowadząc daléj badanie, ujrzał, że wiele przyczyn przeszkadza wykluciu się liszek. Często woda uniesie na brzeg jajka, gdzie usychają, często kamień je przygniecie; zdarza się także, że mróz schwyci wprzódy nim drobne rybki przyjdą na świat. Tutaj Remy wpadł na myśl aby dopomódz naturze, i usiłował zabezpieczyć ikrę od przeszkód, rozwój ich niweczących. Zrazu umieszczał wszystkie jajka w skrzyni, przez któréj ściany przekłute woda przepływała nie unosząc z sobą ikry; lecz proba ta nie udała się: nie wszystkie rybki wylęgły się. Remy szuka na nowo powodów, dlaczego niektóre jajka są bezpłodne, i na nowo przepędza długie nocy nad brzegiem strumyka. Po pilnéj obserwacyi przekonał się, że nie wszystkie jajka złożone przez samicę, zapłodnione są przez samca.

Przypatrując się samicy w chwili kiedy tarła się o piasek, wpadł na myśl, że tego nie czyni li tylko dla zrównania dna, ale że to tarcie dopomaga wydobyciu się jaj; tém bardziéj, że i samiec zanim mlecz z siebie wypuści, tęż samą odbywa operacyą. Zostaje więc Remy akuszerem pstrągów. Bierze samicę

i trzyma ją za głowę nad skrzynką pełną wody, prawą zaś ręką pociera rybę zwolna po grzbiecie i brzuchu, posuwając palce z góry na dół. Wnet ikra wypływa, naówczas bierze samca i powtarza to działanie. Porusza wodę (która traci przezroczystość) w celu iżby wszystkie jaja dotknęły się mlecza, i w istocie spostrzega, że jajka nabierają koloru brunatnego, i że każde wpośrodku ma punkcik czarny.

Wkrótce wszystkie rybki wykluły się, lecz w miarę jak wzrastały, zwiększała się trudność czém je wyżywić. Widział on, że małe pstrągi zaraz po urodzeniu żywią się materyą klejowatą, która otacza jaja; mniemał przeto, że jajka żabie będą wyborném dla nich pożywieniem, i do skrzyni, gdzie znajdowały się młode rybki, wpuścił kilka żab. Lecz pstrągi wzrastały szybko, potrzeba im było silniejszego pokarmu i wtedy uciekł się do sposobu, który p. Quatrefages nazywa „*prawdziwie umiejętnym.*" Wpuścił do skrzyni inne rybki świeżo wyklute, żywiące się roślinami. Rybki te zjadając rośliny wodne żywiły się same i służyły za pożywienie pstrągom. Remy szedł krok w krok za naturą i zbadał jéj tajemnice. Sztuczne płodzenie ryb i hodowanie ich zostało ostatecznie wynalezione w roku 1842.

Lecz po odkryciu sposobu, trzeba było z niego umiéć użytkować; a chociaż, jak widzieliśmy, Remy okazał niemało zdrowego rozsądku i dowcipu; nie znalazł jednakże sposobu, aby z odkrycia swego korzystać. W tym czasie zdarzył mu się pomocnik Gehin, który lubo nie był z rzemiosła rybakiem, często Rememu towarzyszył w wycieczkach, dodawał mu odwagi wśród biedy domowéj, zachęcał do wytrwałości, kiedy rybakowi zbywało na siłach, bronił od żartów, któremi towarzysze Remego ścigali go jako człowieka szalonego i fantastę. A skoro Remy stał się panem tajemnicy, zdrowy rozsądek Gehina podał mu wiele prostych sposobów, które w praktyce znaczném stały się ulepszeniem.

Czémże jest to odkrycie? Jestże ono jedynie nową zdobyczą teoryi?—Rynajmniéj: jestto nowy rodzaj przemysłu, który dwaj niezmordowani rybacy utworzyli. Niedość bowiem, iż mogą zarybiać rzeki, iż, wedle wyrażenia p. Quatrefages, zasiewają ryby jako ziarno; ale wynaleźli oni sposób przenoszenia z miejsca na miejsce zapłodnionéj ikry. Wszelako nie chcąc wyłącznie korzystać z tak ważnego odkrycia, uwiadomili

o niém prefekta dep. Vosges, a choć od niego nie otrzymali odpowiedzi, znaleźli jednak w okolicy ludzi, którzy ocenili ważność otwierającego się przemysłu. Na posiedzeniu publ. z d. 2 maja 1844 r. miejscowe *Stowarzyszenie zachęty* nagrodziło ich prace medalem i pewną summą pieniężną. P. Haxo ogłosił w Londynie opis ich prac i metody sztucznego zapładniania ikry (1), a dzieło to skłoniło w r. 1849 ministra rolnictwa, iż polecił Akademii złożyć raport z całego odkrycia. Akademia zalegla aż do téj pory ze sprawozdaniem, natomiast paryzkie *Stowarzyszenie miłośników nauki (Société philomatique)* wyznaczyło p. Quatrefages do obeznania się na miejscu z metodą Remego, a po złożeniu raportu wydało uchwałę, iż „PP. Remy i Gehin rozwiązali stanowczo zadanie praktycznego zastosowania sztucznych zapłodnień, i dali w téj pracy dowód wielkiéj wytrwałości oraz daru pilnéj obserwacyi".

Współcześnie p. Coste professor *Collège de France* obeznawszy się z metodą Remego, postanowił zastosować ją na wielką skalę i zwrócił powtórnie na przedmiot ten uwagę rządu. Na wniosek jego rząd przeznaczył 30,000 fr. i oddał je pod rozporządzenie p. Berthol i Detzem inżynierów kanału Rodano-reńskiego w celu wybudowania w okolicy Huningue zakładu rybotwórni. Budowa jest już na ukończeniu, świeżo oglądał ją p. Coste i podaje jéj opis szczegółowy. Z sąsiedniego pagórka zebrano źródła i sprowadzono je w jednym strumieniu pod ogromne poddasze, które przykrywa zakład rybotwórni. Strumień zaledwo co wszedłszy do zakładu spotyka tamę poprzeczną, w któréj znajduje się siedm maleńkich stawów. Stawom tym odpowiada takaż ilość strumyków równoległych szerokości jednego metra, które płyną wzdłuż poddasza, a na końcu wpadają do większych nieco stawów, do których przybywają drobne rybki, wykluwszy się z ikry w stawach, umieszczonych w tamie. Strumyki te i rezerwoary w tamie dlatego są przykryte dachem, aby dozorcy nieustannie doglądali tego, co się dzieje w wodzie i byli dokładnie uwiadomieni o wykluciu się rybek i ich odpłynieniu do stawów. Metoda używana tutaj przy dobywaniu iskry i jéj zapładnianiu jest taż sama, jaką odkrył Remy. Jaja zapłodnione wkładają się w kosze z sitowia, trzymane w wodzie, zkąd, jak wspomnieliśmy,

(1) Fécondation artificielle et Eclosion des oeufs de poissons, par le Docteur Haxe.

rybki wypływają do stawów i nadal własnemu zostawione są staraniu.

Doświadczenie odbyte kilka razy okazało, że sztuczne wydobywanie z ryb ikry lub mlecza nie szkodzi bynajmniéj ich zdrowiu, ani na rok przyszły nie zmniejsza ich płodności, która, jak wiadomo, jest niesłychana, gdy okoń wydaje co rok 69,000 jaj, szczupak ważący 10 kilogr. wydaje 160,000; karp' ważący 1 kilogr. wydaje 167,000, a dorsz 9,346,000 jaj. W ciągu trzech lub czterech miesięcy pp. Berthol i Detzem naczelnicy wspomnianego zakładu spodziewają się uskutecznić piérwszą dostawę i rozpocząć wielkie zadanie zarybienia rzek. Na piérwszy raz postanowiono wpuścić do Rodanu 600,000 młodych łososiów i pstrągów, gdyż w rzece téj pozbawionéj obu tych gatunków, łatwiéj niżeli w innéj dostrzedz będzie można rezultatu.

Jaką ważność naturaliści tutejsi odkryciu temu przyznają, czytelnik wyczyta ze słów pana Coste, któremu wyobraźnia przed oczyma stawia w przyszłości *morza zarybione* i wypłacające hojnie człowiekowi dług zaciągnięty od jego przemysłu. „Jesiotr (mówi on) jest rybą szacowną, a przy naszych brzegach rzadką, podobnie jak łosoś i koza (1); żyje on naprzemiany w morskiéj i rzecznéj wodzie. Ryby te dorastają olbrzymiéj wielkości, a ikra ich jest tak obfita, że w niektórych okolicach (dokąd przybywają w marcu i kwietniu dla tarcia się) stała się przedmiotem znacznego handlu, i znaną jest pod nazwą kawioru. W samym Astrachanie przygotowują go przeszło sto beczek rocznie. (2) Wyklucie się drobnych rybek w zakładzie okaże skutki swoje nawet na morzu Śródziemném, do którego Rodanem przypływać będą łososie i jesiotry. Młode te stada wysyłane corocznie ręką dobroczynnego przemysłu w odległe strony, kierując się wedle prądów wodnych, powrócą do naszych rzek; podobnie jak ptaki wracające co wiosna w też same okolice, gdzie gniazda swoje uścielać przywykły. Ten peryodyczny powrót ryb, które w wieku niedorosłym pu-

(1) Rodzaj ryby morskiéj, z gatunku śledziów.

(2) Nie mam pod ręką wykazów statystycznych, któreby mogły mnie przekonać, że podanie p. Coste jest mylne. Wnosząc z cyfr, jakie podaje Steinhaus o ilości kawioru wywożonéj z portów południowych Rossyi, mniemam, że produkcya jego w Astrachanie jest dużo większa.

ściwszy się na morze, przypływają ztamtąd już niezmiernie rozrosłe i obciążone ikrą lub mleczem, stanie się dla ludności nadbrzeżnéj nowém źródłem bogactwa, odkopaném przez umiejętność."

Zatrzymawszy się tak długo na polu przemysłowém i historyi naturalnéj, aczkolwiek mówiłem o dwóch wynalazkach, które w téj chwili żywo zajmują poważniejszą publiczność Paryża: lękam się, czylim nie znużył niejednego z moich czytelników, który w sprawozdaniu francuzkiém szuka czegoś więcéj nad wiadomość o rybach lub machinie powietrznéj, któryby chciał się dowiedzieć o najnowszych pojawach świata artystycznego, literackiego, dramatycznego, krótko mówiąc, któryby w piśmie niniejszém chciał znaléźć wierny odcisk tego, co nazywają powszechnie *życiem paryzkiém.* W mieście tak wielkiém, powiększoném stokroć przez to, iż w sobie reprezentuje cały naród, że w niém się wyraża znaczna część Europy i świata; w mieście gdzie wszystkie potęgi intelligencyi ludzkiéj jednocześnie działają, gdzie wszystkie dobre i złe skłonności ludzkie najobszerniejsze dla siebie znajdują pole: aby jego ruch codzienny ująć w treściwy daguerotyp, na to jednego pióra zamało, ku temu służą niezliczone pisma, przeglądy i zbiory peryodyczne paryzkie. Tylko to, co w zwyczajném, nam mianowicie właściwém pojęciu zowie się życiem paryzkiém, to tylko wśród nieustających a powszechnych zresztą zmian, jest niezmienne, zawsze jedno, do tych samych kulisów, do tych samych bulwarów i kawiarni stale przyczepione. O taki obraz najłatwiéj; codzień można go studyować i każdéj chwili zawieszać obserwacye, bez obawy aby zjawisko znikło nazawsze. Od dwudziestu przeszło lat zdejmują z niego rysy, a portrety te różnią się tylko indywidualnością malarzy. Co Balzac w małéj książeczce: *Comédiens sans le savoir* genialnie nakreślił; co późniéj powtórzono w tylu innych, jak: *Les Vieilles Femmes, Les Femmes déchues, Les Pigeons, Les Lorettes, Les Lorettes du monde, Les Coulisses de l'Opera, Les Mascarilles, Les Faux Anglais* i t. d. i t. d., to w ostatnich dniach w jedném dziele zebrał p. Roqueplan, nadając mu tytuł właściwy: *La Vie parisienne.*

Jako książka podręczna, jako poradnik, jestto pisemko wielkiéj wartości. Kto w nie innym celu jedzie do Paryża, jak tylko aby poznał to życie bulwarowe i zakulisowe, temu

radziłbym, niechaj wprzód przeczyta książkę p. Roqueplan, a ta go nauczy wszystkiego, uwolni od podróży i oszczędzi znacznego nakładu czasu i pieniędzy. Na dowód, z szeregu obrazków p. Roqueplan wyjmuję szkic najlepiéj do naszych podróżnych stosujący się, tojest jednodzienny pobyt młodego człowieka w Paryżu, który nie przyjechał uczyć się ani prawa, ani medycyny, ale przyjechał li tylko dlatego, że miał zanadto parę miesięcy czasu i zanadto kilka tysięcy franków.

Młody podróżny znalazł w Paryżu przyjaciela bywałego, któremu się oddał w opiekę i pod jego przewodem dzień jeden przebył w stolicy. Po odbyciu kilku wizyt, gdzie podróżny zapoznał się z światem audencyonalnym, dzień rozpoczął się od śniadania u Tortoniego. Towarzystwo składało się z ośmiu osób, śniadanie nie było wykwintne, a kosztowało bardzo wiele. Ponieważ podróżny przyjechał po to tylko, aby stracić pieniądze; szłuszna więc, iż płacił za wszystkich. Rozmowa w kawiarni nie więcéj była warta od śniadania; wino zamłode, a dowcip zastary. Powtarzano wierszyki, które miały być złośliwe i dowcipne, a były tylko złośliwe. Wysypano pełen worek nowin, z których ani jedna nie była prawdziwa. Przypomniano kilka dawniejszych *bon mots*, i puszczono w kurs kilka starych anegdot w nowéj okładce. Dowcip francuzki niegdyś tak płodny i szybki, zestarzał się, spoważniał, zwiędnął; w braku świeżych kwiatów, publiczność zeschłemi bawi się liściami.

„Jednakże ta rozmowa zachwycała podróżnego; zdumiony był jak każdy, co po raz piérwszy widzi paryzkie fajerwerki. Poraz piérwszy znajdował on się między ludźmi dowcipnemi z rzemiosła, a nic podobnego dotąd sobie nie wyobrażał. Byłby słuchał do wieczora, kiedym zamknął posiedzenie, widząc, iż napoczynano nowe butelki i wypowiedziane już anegdoty."

„Około południa pokazało się słońce. Zapaliliśmy cygara i siedliśmy na bulwarach. Od Chaussée d'Antin aż do passażu opery płynęły tłumy, które właściwie zowią się Paryżem. Przesuwały się steki oryginałów wszelkiego rodzaju i płci, którzy zbijali i zbijać będą bruk codziennie od południa aż do szóstéj z wieczora. Od czasu do czasu pokazywałem laseczką memu kuzynowi owych wielkich ludzi, którym tylko odległość i kolumny dziennikarskie dodają wielkości. Znudził się prędzéj niż mniemałem. Poszliśmy na giełdę."

„Ścisk, gwar, wrzawa, zamieszanie, ogłuszyły podróżnego. Nie wiedział czyli jest na jarmarku, czy w domu szalonych.—Pokaż mi Rotschilda—zawołał."

— We wszystkich wyznaniach— odpowiedziałem — Bóg w świątyni swojéj jest niewidzialny, tylko kapłani jego są widomi. Prawda że nie są piękni; zdają się być bałwochwalcami: zamiast śpiewać, krzyczą."

„Zaprowadziłem naówczas mego Telemaka do hrabiny de ....., która przyjmuje codziennie przed obiadem. Zebranie było nieliczne, rozmawiano i śmiano się wiele; lecz, rzecz szczególna, byłyto też same dowcipy, któreśmy słyszeli przy śniadaniu, recytowano też same wierszyki, też same anegdoty. Bawiliśmy tam z godzinę, a przez cały czas nie przyszła do niczyjéj głowy ani jedna myśl poważna. Mówiono i o polityce, ale byłato drobniuchna polityka; w miejsce anegdot, oszczerstwa; w miejsce dowcipu, złośliwe kłamstwa. Dla wszystkich *rzecz* była obojętna, chodziło tylko o *osoby*."

„Jedliśmy obiad u Verego. Siedział przy nas dawny par Francyi pogrążony w smutku, nowy senator nie weselszy i modny dziennikarz, który jadł i rozprawiał za czterech; w ciągu rozmowy wstawiał gdzie mógł swoje nazwisko: radby je był na kapeluszu zamieścić. Po obiedzie zaprowadziłem mego przyjaciela do *Comédie-Française*. Teatr był przepełniony, widocznie zebrało się w nim co było najwykwintniejszego w Paryżu. Grano *Lady Tartuffe*.

— „Kupmy bukiet u Prevota; w między-akcie zaniesiesz go pannie Rachel".

— „Jakto, chcesz mnie przedstawić pannie Rachel? Nie śmiałbym na nią podnieść oczu.

„Ośmielił się. Przyjęto go i podziękowano mu za bukiet tym przedziwnym uśmiechem, który, jeśli się go częściéj nie widzi, nazawsze zostaje w pamięci. Z loży panny Rachel poszliśmy do opery, po drodze wstąpiliśmy do Spinellego, aby nie pokazać się w gronie baletniczek, bez kilku broszy lub bransoletek, które można niechcący przypiąć do kanapy, lub zostawić je na kominie. Widziałem niegdyś obraz Hipokratesa, odrzucającego dary króla Persów; byłby obraz nierównie oryginalniejszy, gdyby chciano przedstawić baletniczkę, która nie przyjmuje od kogobądź podarunku, od kogobądź, którego piérwszy raz widzi."

„Mój uczeń ogromnie postąpił. Dziś rano przyjechał, wieczór już był za kulisami opery, i nie zdawał się temu dziwić bynajmniéj. Ten raj przynajmniéj nie przeszedł jego wyobraźni, a byłyto już ostatnie tajemnice Paryża. W świątyni téj żyły niegdyś kapłanki szalonego boga; dzisiaj sąto już kapłanki gospodarne."

„Wieczór zakończył się na balu. Bal u pani M.... taki był, jak wszystkie inne. Goście dusili się w trzech czy czterech salonach i deptali sobie po nogach, ilekroć roznoszono lody. Zgoła nie było nic nadzwyczajnego. Rozmawiano pocichu, śmiano się sekretnie, a kiedy nas przypuszczono do tych tajemnic, pokazało się, iż byłyto też same żarty i też same wierszyki, któreśmy słyszeli na śniadaniu u Tortoniego i przed obiadem u hrabiny de..... Gospodyni domu obchodziła z tacką dla biednych i zatrzymała się trzy czy cztery razy przed moim Telemakiem. Aby się odbić zasiadł do *ekarté*, i tam zostawił resztę ludwików."

„Godzina druga z północy; uczułem się zmęczony i proponowałem, aby wrócić do domu. Koń naszego kabryoletu zaledwo wlókł się po całodziennéj służbie; mniemałem, że już nigdy nie zajedziemy. Nareszcie stanęliśmy."

„Fiakier! ile ci się należy?"

„Za szesnaście godzin, proszę pana!"

„Zapłać kuzynku!"

„Ale ja już nie mam pieniędzy!"

„Nic nieszkodzi: ja zapłacę."

„Cóż ja teraz poczne?"

„Wrócisz do domu. Chciałeś poznać życie paryzkie: choćbyś dziesięć lat tu bawił, lepiéj go nie poznasz. W ciągu dnia wydałeś sto ludwików, lecz oszczędziłeś trzy miesiące!"

Na zakończenie tego obrazku dodam wiadomość, która należy do świata paryzko-londyńskiego w tym rodzaju, jak go nam p. Roqueplan przedstawił. Chcę mówić o pani Heald, byłéj pani James, niegdyś hrabinie de Landsfeld, lepiéj znajoméj pod nazwiskiem Loli-Montes. Panna Lola-Montes straciła ostatniego małżonka; morze Śródziemne pochłonęło angielski *bryg*, na którym on się znajdował. Byłto jeden z najdostojniejszych członków *klubu excentryków* w Londynie. Z trzech wielkich klubów w Londynie, *excentric-club* jest może najbardziéj ude-

rzający. Już samo słowo *excentric* brzmi fatalnie nietylko w stolicy Anglii, ale na całym obszarze potrójnego królestwa. W kraju, gdzie znajomość życia zasadza się szczególnie na tém, aby się zatrzéć o ile możności jak najwięcéj, aby zmazać z siebie wszystko co uderza, kto przybiera cechę zewnętrznéj oryginalności, przepada w opinii. Drzwi salonów dla niego zamknięte, uciekają przed nim na ulicy, jak przed zapowietrzonym. I zaprawdę, nietrzeba ani zbytniéj imaginacyi, ani zbyt mocnéj dozy oryginalności, aby zostać *excentrykiem* w Londynie. Kto głośno mówi, że Byron jest wielki poeta, dowodzi, iż jest excentrykiem, bo Anglik powinien wierzyć *in petto* w gieniusz Byrona, ale okazywać się publicznie ze swém uwielbieniem dla autora Lary—nie wypada! Jesteś oryginałem, jeśli się poważysz twierdzić, że królowa nie jest piękną, i jesteś oryginałem i po trzykroć oryginałem, jeśli nosisz wąsy, lub po godzinie 6téj wieczorem masz jeszcze na sobie tużurek.

Klub excentryków, do którego należał ś. p. Heald, przyjmował wszystkich nieszczęśliwych rozbitków, których chwila zapomnienia lub błędu wyrzuciła z towarzystwa angielskiego. Zgubieni w opinii, nie mając już nic do stracenia, protestowali coraz to nowemi dziwactwy przeciwko dawnym, wprawdzie surowym, ale mniéj dziwacznym obyczajom. Dzisiaj przystęp do klubu nie jest łatwy. Przed laty, w chwili gdy Jéj *Gracious Majesty* wstępowała na tron, bramy klubu otwarte były dla każdego, kto o sobie głosił że jest zakochany w królowéj. Pełno się narodziło kochanków, a dla nich rygor klubistów musiał zwolnieć, bo, jak powiada poeta:

Omnia vincit amor, et nos cedamus amori!

Kochali się więc wszyscy podówczas w królowéj, począwszy od młodego lorda, którego na kuracyą musiano wyprawić do Indyi, aż do niezliczonych czcicieli, którzy spotykali się w długich nocnych i samotnych przechadzkach około pałacu Buckingham.

Wracając do utopionego gentlemena, czynił on co mógł, aby się dostać do excentryków. Nosił najdziwaczniejszy ubiór, utrzymywał najśmielsze opinie, szedł wszystkim zwyczajom na przekór, i dokazał, że mimo względu na jego rozum i wiek niedorosły, pożegnano go w domach gdzie bywał. Wszelako klub nie osądził jeszcze kandydata godnym rycerstwa; nie odrzucił go wprawdzie, ale nie wpuścił: kazał mu czekać. Wów-

czasto gorący aspirant wpadł na myśl wziąć ślub z chudą baletniczką, któréj imię głośném było po dziennikach. Mimo próśb, przedstawień i płaczu całéj rodziny, poprowadził on pannę Lola Montes do ołtarza i wyjechał z nią do Paryża. Przepędziwszy tam dwa miesiące miodowe powrócił, stawił się przed klubem i przyjęty był z otwartemi rękoma. Taki jest sekret tego dziwacznego małżeństwa, które w swoim czasie obruszyło całą Anglią. Hrabina Landsfeld, jak wszystkie kokietki, mniemała, że Heald żeni się z nią z miłości, kiedy on szukał w tym ślubie jedynie zasługi, aby się dostać między *excentryków!*

Nim złożę pióro, należałoby powiedzieć coś o nowém i głośném zjawisku dramatyczném, o sztuce pani Girardin: *Lady Tartuffe.* Przez piérwsze reprezentacye niepodobna się było docisnąć; sława autorki, a bardziéj jeszcze aktorki, rosła pod niebiosy. Teraz teatr poczyna się wypróżniać i miejsce znaléźć można bezpiecznie. Co do gry panny Rachel zgadzam się zupełnie z opinią recenzentów: nic naturalniejszego, prawdziwszego i głębszego nad grę jéj w téj sztuce wymyślić nie można. Co do wartości sztuki — rzecz inna; tyle o tém dziele (wyszłém zpod pióra żony redaktora) rozgłosili pochwał fejletoniści, że ja, który jestem całkiem przeciwnego zdania, który w téj sztuce ani prawdy, ani logicznego związku, ani nawet talentu zwykłego pani Girardin, a tém bardziéj czegoś odpowiedniego Tartuffowi Moliera nie widzę, wolę zdanie moje zataić i milczéć. Bodaj czy nie powiedziano prawdy, że to jest *Tartuffe en Lady* (*Tartuffe enlaidi*)!

WSPOMNIENIA KONCERTOWE.

Kazimiérz Łada, Wilhelmina Neruda, Antoni Kątski.

Zabierając się tu znowu do rozważania niektórych czynności ludzkich, zamiast pogadanki o sztuce i artystach, któréj zwykle za wstęp używamy, za podstawę a nawet objaśnienie tego, co daléj prawić nam przyjdzie; pozwalamy sobie tym razem rzucić kilka myśli o stosunku recenzenta do ocenianych. Ani myślimy ukrywać, że tu nas samych mamy na względzie, i że przeto stary przedmiot indywidualnym interesem odświeżymy napozór przynajmniéj. Może się to nie każdemu zdarza co nam, że ile razy spisujemy nasze zdanie o rzeczach i ludziach, zawsze nas nagabają jakieś pytania, trwogi, skrupuły, które zawsze rozebrać, odpędzić i zwalczyć musimy, by uzyskać swobodę myśli. Nic to jednak nie pomaga, bo znów te same natręty przy piérwszéj sposobności wstają jak odradzające się łby smoka bajecznego; więc postanowiliśmy już raz z niemi skończyć, wyprowadzając ich na widok publiczny. Obiecujemy sobie tym sposobem dowieść całemu światu naszéj sumienności i dobrych chęci, i ostatecznie rozstrzygnąć: który z walczących w nas głosów do Arymana, a który do Oromaza należy. Czyniąc to, zamawiamy sobie jednak wolność rozstrzygania sami za siebie i przez siebie, bo gdy i na nas przyjdzie z czasem kolej zdania rachunku z naszych czynności i mniemań tu na ziemi, toć sami za siebie odpowiadać będziemy. Prócz wymienionych wyżéj powodów prowadzących nas do głośnego rachunku sumienia, łatwo dorzucić inne; jesteśmy za jawnością wszelkiéj procedury, i chcemy wszystkim dać miarę do sądzenia o wartości tego, cośmy już tyle razy czynili rozbierając działanie innych: jeszcze jeden powód pokaże się niebawem.

Piérwsze pytanie jest podwaliną innych. A jakże sami sobie robić go nie mamy, gdy nam je właśnie przed dziesięcioma laty zrobiono w formie pół-urzędowéj i w tych wyrazach: kto Wacpanu dał

prawo sądzić o rzeczach i ludziach? A ten kto tak mówił, sam już sądził; kto mu do tego dał prawo? gdzie wydają dyploma na sędziów w rzeczach smaku i sztuki? któż zmuszony jest uznać kogokolwiek za sędziego kompetentnego, jeśli go za takiego nie ma? Niepodobna wreszcie człowiekowi odpędzić tego, co się zwie zdaniem; bo skoro ma czucie i rozum (a przecie ich sobie sam nie stworzył), więc odbiera wrażenia, wyrabia sobie pojęcia i z nich rośnie zdanie, sąd. Na przykładzie to objaśniamy: gdy kto gra fałszywie na skrzypcach, to ten, który go słucha, cierpi, i cierpieniem właśnie poznaje, że tamten grał fałszywie, a poznając, już ma sąd o skrzypku. Gdy słynny fortepianista i kompozytor przywołanym na koncert słuchaczom zagra polkę, to słuchacze się obejrzą ażali nie są w sali balowéj, bo im się zdawało, że do koncertowéj przyszli; a ta ich chwilowa wątpliwość zamienia się w sąd natychmiast. Wolnoć każdemu grać fałszywie, albo taniec, choćby już i katarynki od niego ochrypły, ale to jest fałszywie i taniec, tylko. Tak we wszystkiém co stanowi działanie, o wszystkiém co pod zmysły podpada, sąd być musi. Więc sądzić każdy ma prawo, a raczéj mieć zdanie na jakie go stać.

Bo nie każdy jednakowo sądzi, i to właśnie wielkie szczęście; bo gdyby wszyscy jednego byli mniemania i czuli jednakowo, to nie byłoby interesu do rzeczy ludzkich; a że one istnieją interesem, który się niekiedy potrzebą nazywa, więc bez niego nie byłoby i ich także. Objaśniamy to przykładem. Gdyby wszyscy mniemali, że recenzye na nic się nie zdały, to tak dobrze jak gdyby wyrzekli, że i powód do nich niepotrzebny; a wtenczas ni sztuk, ni nauk, ni rzemiosł, ni chleba, ni ludzi nakoniec: recenzye więc świat utrzymują. Recenzyj jednak byćby nie mogło, gdyby wszyscy jednakowo czuli i rozumieli, boby wszyscy np. którzy grają, grali jednakowo; nie byłoby różnicy między Pawłem i Gawłem, nie byłoby pomysłów, nie byłoby nic, a raczéj + 0, jak tego dawno już Ocken dowiódł.

Więc ponieważ zdania być muszą, a nie jedno zdanie, więc tylko o to idzie, czy się godzi publicznie je wypowiedzieć. Ale między zdaniem głośno wyrzeczoném i powierzoném komu na ucho taki sam jest stosunek, jak między tonem silnie lub łagodnie zbudzonym: w jednym i drugim przypadku jest on zawsze tonem takim, a nie innym. Przecież stosunki towarzyskie, natura działania, nie pozwalają wyrwać się z byle jakim sądem; więc z kolei nadchodzi pytanie: jakie zdanie ogłaszać się godzi? Prosta odpowiedź: zdanie znawcy. Ale któż jest znawcą? Otóż to jest najstraszliwszy punkt do przebycia. Znawstwo jak i wiedza właściwie granic nie mają, bo oparte są na nieskończoności; ale my biedni śmiertelnicy musimy jedno i drugie otoczyć granicą naszych potrzeb, które się co wiek prawie zmieniają, granicą naszych pojęć, które co godzina się chwieją. W tym więc ciasnym i niepewnym zakresie poruszają się i zdania nasze, oparte na téj cząstce wiedzy, którąśmy z prac przeszłości i własnych potrzeb ukuli sobie. A że działanie ludzi na niéj się także opiera, więc słusznie, by tą samą miarą mierzone było. Ludzie więc specyalni największe mają prawo do wyrzeczenia zdania publicznie,

a świat też do nich rad się odnosi. Specyalności jednak różne są stopnie, a rozumując logicznie, najwyższemu lub przynajmniéj znakomitemu przygotowaniu należałoby zdanie publicznie otwierać. Istnieje jaki areopag na uznanie stopnia specyalności? a gdyby istniał, czyż nie powinien był być przez wyższy jeszcze trybunał wybrany? a tego ostatniego zkąd moc i źródło? Jedynym areopagiem jest zdanie powszechne; nie wskazuje ono osób ani je wybiera, ale je uznaje lub nie; zupełnie według ogólnych pojęć, jakie towarzystwo wyrobiło sobie o wartości tego, który ze zdaniem występuje. Więc zdanie to nie może ocenianym szkodzić jeśli jest mylne i niesprawiedliwe, umyślnie takie lub przypadkowo.

Przechodząc tedy od pytania do pytania, doszliśmy, zdaniem naszém, do przekonania, że specyalność daje najwięcéj rękojmi co do trafności sądu, ale jéj nie zaręcza, a tém mniéj do przyjęcia go obowiązuje kogokolwiek. Zataić jednak nie można, że specyalność, nawet jéj pozór, imponuje, a z trochą zręczności i zuchwalstwa oszukać może, zbłąkać sąd publiczny, a rzeczy i bliźniemu przynieść szkodę chwilową. Na to nie ma lekarstwa, jak i na tyle różnych chorób społecznych, wiadomych od wieków. Ale jest jedna jeszcze zapora złemu: osobiste sumienie, które się rzadko myli, byle słuchać jego głosu. Z naszéj strony radziliśmy się go już nieraz, i jakoś zdawało się nam, że nic przeciw temu nie ma, byśmy od czasu do czasu trochę atramentu zepsuli, bo oto protokół ostatniéj z naszém sumieniem rozmowy: samo nawet ją zaczęło:

Sumienie. Przyszedłeś z koncertu i jakieś tam notatki bazgrzesz?

Ja. Bo mam zamiar o tym koncercie coś napisać do Biblioteki Warszawskiéj.

Sumienie. A cóż tam nowego było?

Ja. Ot jak na koncercie: grali, śpiewali różne różnych kompozycye. Naturalnie rozmaicie to było: to źle, to dobrze; kompozycye jedne się udały, drugie nie. Właśnie spisuję sobie moje zdanie o tém i owém.

Sumienie. Mówisz że grali, a ty chcesz sądzić; popiszno się sam, posłucham trochę.

Ja. Co, ja mam grać, kiedym się nasłuchał Kątskiego?! Niechże przynajmniéj ochłonę!

Sumienie. No, mniejsza o to: z fortepianem znasz się odrobinę, ale cóż tam o Ładzie piszesz, a nie dotknąłeś skrzypiec już lat dwadzieścia kilka!

Ja. To prawda, ałem wziął przedtém kilkanaście lekcyj od sekundarysza z teatru Rozmaitości, przeglądam nowsze i znakomitsze utwory skrzypków, czytałem już tyle o skrzypcach, wreszcie każdego ze słynnych, zacząwszy od nieboszczyka Paganiniego aż do Apolinarego Kątskiego słyszałem; toć przecie znać się mogę.

Sumienie. Niech i tak będzie; a teraz zaśpiewaj!

Ja. A dajże mi pokój: toć wiesz dobrze, żem głos oddawna stracił. Widzę, że mnie chcesz odwieść od pisania; otóż na złość napiszę. Cóż to! nie znam się, czy co? Alboż sam nie grywam....

Sumienie. Żałuję tych, którzy słuchają.

Ja. Sami sobie winni. Albożem nie napisał parę mszy, kantat, pieśni i różnych innych rzeczy? A przecież byłoś świadkiem jak mówiono: *charmant*..

Sumienie. Prosta grzeczność, albo żarty..

Ja. Jak ci się podoba. Czym wiedziony miłością dobra ogólnego nie napisał i wydał kilku dzieł teoretycznych?...

Sumienie. A! jużto pod miłość dobra ogólnego wszyscy autorowie się podszywają; a gdzież był rozbiór twoich ramot, że już o pochwałę nie pytam?

Ja. Co mi tam! dosyć żem robił i zrobił. Alboż nie wiész o tém, że gdy inni darli wnętrzności baranie, tłukli fortepiany i solfegiami wszystkie koty do domu zwabiali, przygotowywali papiér na papiloty i fidybusy, tom ja także nie próżnował, ale siedział nad książką albo nad nutami ślęczał; i teraz chcesz mi zabronić pisać o tém com pojął, jakeś samo mówiło?

Sumienie. Hm, tego już nie pamiętam; ale kiedyś taki zawzięty, to pisz, choć na makulaturę się przyda. Uczyłeś się i ty, ale czy ci o których będziesz pisał, przyznają że masz racyą; i oni się uczyli! któż z was lepszy?

Ja. Kto z nas lepszy? — o to wcale nie idzie. Ja każdemu miejsca chętnie odstąpię i jak przystało na końcu stanę; ale i to wiem, że wszyscy nie mogą być piérwsi, a że są ludźmi, więc mają dobrą i słabą stronę.

Sumienie. To téż podobno nigdyś jeszcze bezwarunkowo nie pochwalił.

Ja. Bo nie mogłem. Tak, nie wierzę w doskonałość pod każdym względem, że gdyby tu stanął ów Orfeusz, który piekło zgwałcił, by swą Eurydykę wydobyć, tobym mu zarzucił, że jéj już drugi raz wydostać nie mógł. Gdyby stanął ów Kadmus, co lirą czy fletnią Teby zbudował, tobym go się zapytał: gdzie się podziały, czemu nie stoją jeszcze? A gdyby i sam anioł muzyki zjawił się na ziemi i grał nam jak tylko w niebie grać mogą, tobym mu powiedział: czysty aniele! jeśli chcesz, byśmy cię zrozumieli, to zbądź się twoich białych skrzydeł i przejrzystéj postaci i znajomości tego, czego pojąć nam nie dano, a oblecz się w glinę, napij się łez naszych, zniż się do naszych radości, a nie pamięcią, ale tylko westchnieniem i nadzieją sięgnij do nieba, stań się człowiekiem! Takbym jemu i im powiedział! A wy biedni śmiertelnicy chcecie, by was za nienagannych uznano? To już nadmiar pychy, téj matki małości. A tu i skromność nie starczy, by być artystą; potrzeba mu jeszcze stać się zbiorowiskiem łez smutku i wesela; niech sobie ludzie zeń czerpią co im potrzeba, by ludźmi byli: — potrzeba mu serca. Aby zaś serce umiało przemówić, trzeba artyście nauki. Jedno bez drugiego na niewiele się przyda; serce będzie czuło, ale nie będzie umiało powiedzieć; nauka będzie umiała, ale nie będzie miała co mówić. A przecie nie brak takich, co z trochą uczucia za poetów, z trochą nauki za głębokich się mają; niepomni, że nie ma serca, któreby wszystko objęło, ani nauki, którąby zupełnie posiąść można; *Ars longa vita brevis*. Że mając

serce lub wiedzę, czasem i oboje razem, starają się z tego coś zrobić— to ludzkie; ale niech pomną, że serce i wiedza zlać się mają z sobą jak dwa chemiczne pierwiastki w jedno ciało. Sentymentalizować jedném, kokietować drugiém, jestto tylko napół rzeczy robić. Oto moje pojęcie; niém mierzę działanie ludzkie, o ile mi własne czucie i wiedza starczą. Że tak robię zawsze, wzywam was na świadki przyjaciele moi, których nieraz boleśnie dotknąłem; was nieprzyjaciele moi (jeśli za nich uchodzić chcecie), którym uśmiéch zadowolenia na zasępione gniewem oblicze sprowadziłem; wyślijcie wasze sumienia, niech przed mojém świadczą!

Sumienie. No! no! zapaliłeś się widzę, jakbyś już naprawdę pisał. A pisz sobie; widzę, że masz racyą: *absolvo te*, ale pamiętaj, ostrożnie, bo to z ludźmi.

Ja. Co to ostrożnie? więc w bawełnę owijać? A cóż ty sumienie moje na to powiész? Powinniby już raz pojąć, że ja tylko zdanie moje objawiam, a nie wyroki wydaję! Wiemci ja dobrze, że choćbym tam nie wiem jak w bawełnę owijał, to się bez żalów i gniewów nie obejdzie. Ha, cóż robić! niech grają i komponują jak umieją, a ja będę prawił o tém także jak umiem, dopóki okoliczności pozwolą: choćby mi kładziono w każde ucho zosobna i w oba razem tę wygodną, ale niepraktyczną sentencyą: nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni.

Przedstawiwszy tak stronom interesowanym naszę z sumieniem rozprawę, czujemy, że nie wszystkich zadowolni jéj obrot. Żałujemy, że nie ma jakiéj muzy, jakiego bożka krytyki, bobyśmy go wezwali o wsparcie. Tak go nam potrzeba, że w braku potęg nadzwyczajnych odwołujemy się do was szlachetne animusze, znane oddawna pod nazwą zoilów, satyryków, pamfleciarzy, paszkwilarzy; do was, którzy piszecie epigrammata, panegiryki, bajki, pamiętniki, kroniki, historyą, a nawet komedye; do was wszystkich, którzyście kiedykolwiek nicowali czynności bliźnich, którzy umiecie chwalić i ganić, tak, aby to wam zawsze zaszczyt i pożytek przyniosło: zaklinamy was na krzywdę ludzką i dobro ogólne, na fałsz zręcznie wypowiedziany, pochwaloną głupotę, sprzeczne z prawdą sprawozdania, recenzye z przepisywań autora zlepione i wszelkie wasze arcydzieła tego rodzaju, stańcie tu i powiedzcie, czy mi wolno pisać? Zdaje mi się, że słyszę ogromne: hurra! Ach tak, górą nasi, a przeciwników czapkami zarzucimy!

Tak tedy sprawa już wytoczona i odsądzona, a czytelnik skazany na koszta, bo przecież ktoś pokryć je musi (1). Czyja wola, niech ich poszukuje na panu Ładzie, bo gdyby nie jego koncerta o których mówić chcemy, pewniebyśmy rzecz z innéj tonacyi zaczęli. Rzecz tak się ma: Jeszcze w 1849 r. pan Łada po powrocie z zagranicy wystąpił u nas publicznie jako skrzypek, a myśmy o tém wmiankę zrobili w piśmie niniejszém, chwaląc jedno, ganiąc drugie. P. Ł. mocno był niezadowolo-

(1) Do tego stopnia jest to prawdą u nas, że gdy strona przegrywająca kosztów zapłacić nie chce, mówiąc, że nie może, to wygrywająca zapłacić je musi, choćby także nie mogła; to bardzo filozoficzne. Widać, że to z pojęciem sprawiedliwości u nas zgadza się oddawna, bo owego czasu kowal w Osieku zawinił, a ślusarza powiesili.

ny, co rzecz naturalna; i odpowiedział, co także nic dziwnego (ciekawi przejrzéć mogą oba dokumenta w Bibl. Warsz. z 1849 w tomie II i IV). Dziwniejsze może, żeśmy z odpisem się nie pokwapili; dowód to zimnéj krwi, bo nas ta odpowiedź zasmuciła. Nie dlatego jednak, że pan Ł. nie przyznał nam słuszności, bo do nieomylności nie mamy pretensyi, a każdemu wolno nas także sądzić; nie dlatego, że p. Ł. źle przybierając kostium powagi, zpod któréj gniéw wyłaził, nie mógł się wstrzymać od szyderstwa, które prócz nas i kilku jeszcze niewinnych dosięgnąć chciało, bo gdzie drwa rąbią, tam wiory lecą: ale dlatego, że z téj odpowiedzi wyrozumiéć można artystę usiłującego skupić swoje pojęcia, wyrobić sobie pogląd, gotowego do pracy na obranéj raz drodze, niezrażanie się sądem niesłusznym i wiarę w przyszłość. Więc nas smuciło pomówienie o złe chęci, a ponieważ się do tego nie poczuwamy, jeśliśmy szperać czyśmy czasem zalekkomyślnie sądu nie wydali, czy w ogóle do wydania sądu jesteśmy usposobieni i czy mamy do tego prawo? Rozstrzygnąwszy te pytania mniéj więcéj w sposób jakeśmy to wyżéj zrobili, postanowiliśmy czekać sposobności, by wszystko publicznie przedstawić. Co uczyniwszy, idziemy daléj swobodnie.

Gdyby nie odpowiedź pana Łady, nie bylibyśmy w nim poznali wyglądającéj z niéj zacnéj strony jego artyzmu; poznawszy ją, powinszować mu jéj pragniemy. W istocie, nikt nie będzie artystą, kto nie jest samym sobą do pewnego stopnia przynajmniéj; nie jest nim, kto się zraża, bo mało w nim poczucia własnéj siły, mało do sztuki zapału; nie wierzy w nią i przyszłości miéć nie będzie. Ale to źle, że pan Łada broniąc swéj gry i kompozycyi, tak ich bronił, jakby nie przypuszczał, że coś lepiéj być może. Myśmy sumienniéj, oględniéj zrobili, bo wytykając usterki znaleźliśmy także coś godnego pochwały w jedném i drugiém. Więc ze smutkiem znów przewidujemy, że się obrazi wzmianką o koncertach dawanych przezeń w Warszawie pod koniec roku zeszłego. Pominąć ich niepodobna, bo to koncerta rodaka i zbyt wiele miały wartości; to téż robiąc swoje, pocieszamy się przysłowiem: „jeszcze się ten nie urodził, któryby wszystkim dogodził."

Widać, że Łada człowiek słowny: powiedział że będzie pracować i dotrzymał przyrzeczenia. To téż przez te kilka lat obie jego ręce niezmiernie zyskały; nietylko intonacya jest dziś nienaganna, ale pewniejszy i *dłuższy* smyczek się zrobił. Sam to pewnie czuje artysta i przyznaćby powinien, że przed trzema blizko laty mogło to wszystko być inaczéj, lubo niekoniecznie być musiało. Dziś nawet jest i to, czegośmy dawniéj nie dojrzeli:— indywidualność, samoistność. Przymioty te razem zebrane może wykierują p. Ładę na wielkiego skrzypka, czego mu i sobie z serca życzymy: boć wielkich skrzypków nie tak wielu na świecie, mniéj jeszcze między Polakami; ale do tego zdaje nam się koniecznym jeden przynajmniéj warunek, jeśli nie dwa. Jednak drugi pomijamy, bo czasu tylko do spełnienia go potrzeba; trudniéj z piérwszym, bo tu nie o mniéj idzie jak o zaparcie się indywidualności i zamienienie jéj na inną, o tyle przynajmniéj, ile to potrzebne do wyrobienia sobie wszechstronnego stylu. Skrzypek o którym mówimy ma styl własny,

który nam się zdaje być wyrazem jego indywidualności; ale nie jestto ów styl zbiorowy w którym wszystkie się mieszczą, lecz jednostronny, choć szerszy i szlachetniejszy niż maniera, która tylko naśladownictwo albo płytki pogląd znaczy. Słodkie i smętne, zawsze jednak łagodne uczucia miło ze skrzypiec Łady do duszy słuchacza płyną, napełnią ją cichą radością, ukołyszą marzeniem, ale jéj nie wstrząsną, nie podżegną, siły jéj nie dadzą, myśli z niéj nie skrzeszą. P. Łada walk, burz malować nie umié, czy nie chce; jego uczucie nie rośnie w liryzm, który pojęcie dramatyczności w sobie chłonie (tak jak w życiu uczucie ogniste zwykło się w czyn przedzierzgać), nie zyskuje siły porywającéj, nieprzepartéj, ubogie jest w odcienia. A przecież walki i wstrząśnienia połowę stanowią życia, połowę prawdy, która nigdy połowiczną być nie może; oto dlaczego nazwaliśmy Ładę jednostronnym. I niech nas tu nikt o tak ograniczone pojęcia nie posądza, byśmy tylko w braku wielkiego tonu ową jednostronność upatrywali, luboć i to wiele znaczy, bo rozszerza pole dynamice muzycznéj, z któréj znaczna część wyrazistości płynie; bo nie należy zbyt lekko cenić fizyczności w sztuce, skoro sztuka materyalnie tłumaczyć się musi. Więcéj jednak ową jednostronność widzimy w braku dosadnéj i rozlicznéj charakterystyki, któréj uwydatnienie dzieje się zebraniem za każdym razem wszelkich sił duchowych artysty na jedno ognisko, jak promieni słonecznych w jednym szkła palącego punkcie; płomień musi buchnąć, musi wstać charakter. Łada wszystkiemu jednę nadaje barwę; niemniéj jednak znajdzie wielbicieli w nas samych nawet. Tyle razy w życiu potrzeba wytchnienia, że nie rozdrażniać, ale koić należy. Dobroczynne to działanie i choć ciche niemniéj w skutki płodne. Każdy woli niekiedy łagodne światło księżyca, niż niedającego zajrzéć sobie w oczy słońca;—ono przecie i księżycowi pożycza!

Z kompozycyj pana Łady słyszeliśmy znanego już Cygana; nie widzimy potrzeby mówić tu o nim powtórnie nie mając nic do dodania, gotowi nawet ująć coś z dawniejszych pochwał, gdyby mniéj skąpe były. We wspomnianéj wyżéj odpowiedzi zapytuje nas p. Ł. co miał jeszcze zrobić, gdy już to i to zrobił? Więc przypuszcza, że jego kompozycya wyczerpnęła charakterystykę, i jest, jak nie można lepszym cygana *obrazem*. Gdybyśmy się na to zgodzili, to prosilibyśmy, by go ożywił; mówimy to przenośnie, ale na seryo. Mazurek pana Ł. bardzo przyzwoity; z fantazyi, czy kaprysu, niesłychanie ujemne pojęcie kompozycyi wieje.

Z trzech sióstr Neruda, jedna tylko Wilhelmina zasługuje na zaszczytne wspomnienie. Wszystkie przymioty dobrego skrzypka posiadając, zaiste w niektórych jak ton, intonacya, biegłość mechaniczna temu i owemu ustąpić musi, lubo temi samemi szczegółami nad innemi téż celuje, a pewnie z czasem każdemu zrówna. Lecz jeśli jéj władanie smyczkiem także się doskonalić będzie, to chyba cudów dojdzie. W smyczkowaniuto jéj dziś leży już znakomita nad wieloma wyższość, bo za jego pomocą szczerze, bez ogródek i wystudyowania opowiada jak widzi i co rozumié; smyczek równą oddaje jéj przysługę, jak śpiewakowi głos zpod serca wydobyty. A przecież wielka różnica działać

bezpośrednio głosem, a działać za pośrednictwem martwego narzędzia na drugie równie martwe i to za pomocą ręki, jednego z najmniéj szlachetnych organów człowieka. Mimo to, czy zapał rycerski, czy pieszczotę, czy smutek, czy igraszkę Wilhelmina chce wypowiedzieć, posłuszny smyczek tak dokładnie to pojmuje, że nam ani westchnienie, ani słówko, ani wykrzyknik, ani łza nie ucieknie; prędzéj jakiego tonu w lotnym biegniku zabraknie. To daje podniosłość na wielkość zakrawającą, charakter dosadnemi strzelający rysami, by było widno, że nie napół, że to nie udanie. Musi to być łatwo zapalny, silny, swobodny temperament, jak wnosimy z gry Wilhelminy. Dziś widać jednak, że tam mniéj świadomości, przenikliwości więcéj, a może przeczucia; bo gdy co mówi, to w jaskrawych ogólnikach więźnie; szczegóły choć jasne, zdecydowane, słabe są jeszcze; dlatego i gra Wilhelminy więcéj ogółem, mniéj w szczegółach się korzystnie przedstawia. Jestto ogród hojnie obsiany rozlicznem kwieciem; zmieszały się barwy i wonie, a każdy kwiatek pochwytuje uwielbienie dla innego przeznaczone; dopiéro gdy ogrodnik porozsadza i uporządkuje, wtenczas i barwy potężniéj uderzą i roślina każda właściwiéj, bo swobodniéj wybiegnie i wstanie woń każdéj właściwa. Więc gdy czas w ogrodzie życia uporządkuje i okrzesze, wybierze i odrzuci, wykształci i zagłuszy, wtenczas w grę Wilhelminy wstąpi wielkość i potęga. Dziś, gdy obojga nie ma jeszcze, czém się dzieje, że Neruda większy obudziła zapał w Warszawie, niż dawniéj najszlachetniejszy z żyjących skrzypków Vieuxtemps, większy nawet niż niezrównany w mechanizmie Kątski Apolinary? Czy dlatego, że wzniosłość dla niewielu dostępna, że mechanizm tylko wtenczas porywa, gdy go cele uszlachetnią? albo téż że wiek, płeć, kostium lub tym podobne ważne rzeczy wpływają na słuchaczów i wywołują pobłażanie, daléj podziwienie, zapał nakoniec?

Ale już dosyć o Nerudzie; niech tam sobie będzie jakim chce gieniuszem, nie położyła jeszcze tak rozlicznych i znakomitych zasług w sztuce, by się o niéj więcéj rozszerzać. Wszystko cobyśmy dodać mogli, byłoby powtórzeniem tego, cośmy powiedzieli, a chcemy być treściwi, by nam dla rodaka więcéj miejsca zostało. Boć rozprawiając tutaj o tém i owém nie czynimy tego dla cudzoziemców: a więc jak najmniéj o nich, mianowicie, gdy nie mają europejskiego imienia. Imię wprawdzie nie wszystko stanowi, ale bardzo wiele zapowiada. To téż europejskiém nie nazywamy imienia w całéj Europie, ba! na całéj ziemi znanego, ale oznaczamy niém człowieka, który reprezentuje przeważnie jeden z kierunków cywilizacyi europejską nazywanéj, przodkuje innym imionom albo na równi z niemi stoi zasługą. Więc co nie europejskie i nie nasze, mało nas pociąga. A jeśli od czasu do czasu biegniemy za innemi, by posłuchać co téż zagranica nam przysyła, to dla porównania z tém co mamy u siebie, by śledzić we wszelkich skrętach ów niezmierny ruch w muzyce wykonawczéj, który już i do nas przesiąkł przez rzeszoto zamiłowania cudzoziemszczyzny, pochopności naszéj do naśladowania, a może skutkiem ducha czasu wpływ swój roztaczającego niewidzialnemi jak epidemia drogami. Wpływ to nie tak widocznie szkodliwy, ale pędzący nas zwolna, nieznacznie ku jakiéjś otchła-

ni przy odgłosie trylów, fladżeoletów, pizzi-arków, bębnień, pisków, ryczeń i mnóstwa jeszcze przyborów różnie się nazywających. Dziewięć dziesiątych wirtuozów, kompozytorów i słuchaczów muzykę w nich widzi i słyszy. A ona nieboga potłuczona akkordami, nadziana na biegniki jak na rożen, naszpikowana trylami, pokłuta skokami ledwie już dyszy; jak ów okręt, któremu rozhukane hałwany boki pogniotły, skała żebra pokruszyła, piorun wybiegłą strzaskał głowę, wicher skrzydła potargał. A jak okręt w podobném położeniu pozbywa się wszystkiego, co wartość jego ładunku stanowi, by do dna nie poszedł; tak i muzyka pozbywa się coraz więcéj tego, co jéj ważność tworzy. To téż nieraz jest lekka jak pianka, pusta jak łupina orzecha przez robaka nawiedzionego, a jéj wrażenia trwałe jak rysunek na piasku. Gotowiście krzyknąć na niepotrzebne jeremiady, stawić dowody i przykłady, że nie tak jeszcze źle z muzyką, boć są tacy, którzy ją podtrzymują. Wiemy¢ my dobrze, że nie przepadła i nie przepadnie; zbyt wielkości ma w sobie, zbyt jej ludziom z nią dobrze, a nie mniemamy, by przyszedł czas, by wszyscy w pustaków się zmienili; ale nam żal, że świat coraz starszy, a do powagi się nie spieszy, że pojęć nie nabiera, że świętość muzyczna w coraz szczuplejsze zapędzona towarzystwa, jak Gwebr osaczony przez wyznawców islamizmu. Historya muzyki uczy nas wprawdzie, że zawsze istniały brednie i wybryki obok zacnego i prawdy: w tém jednak różnica, że piérwsze zmieniły postać i niezmiernie się rozpowszechniły, a zacne stosunkowo nie wzrosło. Jeśli jest złe konieczne na ziemi (dlatego, że to ziemia), to ono w muzyce koniecznem nie jest; więc kto je poznał i ma sposobność, niech na nie sarka i krzyczy, by sobie poszło na cztery wiatry, a dobremu ustąpiło miejsca. Resztę dogadamy mówiąc o Kątskim.

Już oddawna nie mieliśmy nikogo z artystów muzycznych, któryby nas tyle obchodził co Antoni Kątski. Raz dlatego, że to nasz rodak, a lubo samo tylko życie prawie na polskiéj wziął ziemi, wychowania zaś między obcemi szukał; nie mógł jednak wszystkiego zgubić, co Polaka stanowi, bo téż i wpływy rodzinne nie przestały nań działać z właściwą im siłą. Antoni Kątski ma jeszcze dla nas wielką zasługę—znakomitości w zawodzie muzycznym; to mu dało rozgłośną sławę. A że do sławy lgnie łatwo rzesza, jak owad spieszy do świecy płonącéj, jak kwiat obracający swą tarczę za słońcem; więc Kątski jest jednym z przewodników dzisiejszemu pokoleniu na drodze muzycznéj, wpływ wywiera zatém. Więc dosyć powodów, byśmy tu obszerniéj o nim pomówili; tém szerzéj, że i wielostronność muzyczną pokochał jak mało który z artystów. Że jednak w pojęciu naszém nigdy człowiek nie zasługuje na wyższe względy, nad rzecz, którą przedstawia; więc tu mniéj o Kątskim, więcéj pewnie o muzyce mówić będziemy: dosyć nam na tém, że z jego powodu. A naprzód o wykonaniu.

Piérwsze tony jego palcami zbudzone, należały do jednego ze wspaniałych pomników, których kilka Hummel sam sobie na ziemi postawił. Jego to koncertem (H mol) rozpoczął Kątski swoje między nami działanie muzyczne. Chciał zapewne tym sposobem poka-

zać słuchaczom jaką muzykę najwyżéj ceni, w jakiéj formie najzacniejszéj treści szukać należy; chciał pewnie złożyć hołd człowiekowi, który w swoim czasie przodkował innym, zapowiedzieć czém i sam być pragnie; nakoniec pokazać pierwéj jak objąć ducha, nim pokaże, jak palce szaléć mogą. Po kilku już taktach poznać można było wirtuoza piérwszego rzędu i uwierzyć odrazu w prawdziwość powieści o bajecznych przymiotach gry jego. Nie dlatego przecie, by już w tych kilku taktach znalazły się olbrzymie trudności mechaniczne do pokonania, boć ludzie mniejszych sił jak Kątski pokonywają przyzwoicie wszystkie, jakie się w całym koncercie zbiegły; nie dlatego, by w kilku taktach pojęcie ducha dostatecznie okazane być mogło, bo to nawet w kilku peryodach stać się jeszcze nie może: ale dlatego, że po kilku taktach poznać można było pewność, dzielność i miękkość dotknięcia, tego piérwszego warunku z kilku, dobrego fortepianistę tworzących. Cóż dopiéro, gdy w dalszym ciągu frazesa uwydatnione dla siebie zlały się w okresy skończone, gdy każdy, by téż najkrótszy biegnik nabrzmiewał i małał siłą, oddzielał się od innych niby indywiduum, a łączył się z niemi jak towarzysz nieodstępny; gdy nawet każdy niemal ton uwydatniał się samoistnością: jedném słowem, gdy wstała rzesza tonów żywych jakby w hierarchie uorganizowanych! Wtenczas zapomnieć trzeba było i o kompozycyi, i o orkiestrze, i o muzyce, i tylko przyglądać się, jak tam gdzieś z pudła fortepianu wyskakują tony to jedne po drugich, to gromadnie, i różne ewolucye odbywają. Widząc prawie te tony, trzeba było przyznać, że takiego wykończenia w wykonaniu pokolenie nasze od nikogo jeszcze nie posłyszało. Stary Hummel gdyby to mógł słyszéć, oszalałby z radości, bo się tego pewnie nie domyślał, że jego dzieło jest państwem zaklętém, z którego czarodziéj zdjął urok na chwilę. To wykończenie posunięte aż do najdrobniejszych drobiazgów, zapowiadało ogromny mechanizm, bo dowodziło, że każdemu zachceniu wirtuoza palce jego posłuszne będą; mówiło nam jeszcze to wykończenie, że Kątski wybornym muzykiem być musi, skoro tak doskonale pojmuje ważność nietylko okresu i frazesu, ale i każdego pojedynczego w nich tonu. Trzeba bowiem powiedzieć wam, co się na tém nie znacie, że muzyk filozof zdoła sobie wytłumaczyć w sposób bardzo przybliżony skutek myśli, które muzyk-poeta stworzył tonami w pewne stosunki wprzęgniętemi, choć w chwili tworzenia nie myślał o tém. Kątski w tym koncercie pokazał się takim muzykiem-filozofem, jak już w żadnym innym choćby i własnym utworze nie zrobił tego do takiego stopnia. Zdawałoby się, że się wysilił na wystudyowanie téj Hummla kompozycyi, bo mimo takiéj dokładności wykonania, oddał ją zimno. I nie mogło być inaczéj: to szperanie po drobiazgach tylko z zimną rozwagą odbywać się mogło, tylko z zimną krwią wypadek jego dał się okazać. Mniemamy nawet, że tą wytwornością wykonania zbyt zwrócił na siebie uwagę słuchaczów, by im zostało jeszcze dosyć swobody do używania muzyki saméj. Nam przynajmniéj tak się zdarzyło, może i dlatego, że Kątski bardziéj nas rozciekawił, niż znany już Hummel, żeśmy nie mogli opędzić się spostrzeżeniu, które nas uderzyło w piérwszéj nie-

mal chwili; że cały zmysł krytyczny, jakim nas Pan Bóg obdarzyć raczył, wystąpił w kompletnym uniformie, zamiast siedzieć sobie cicho gdzieś tam w zakącie mózgu i nie przeszkadzać sercu spragnionemu rozkosznych wrażeń, jakich się spodziewało z dobrze wykónanéj, dobréj kompozycyi.

Inaczéj było z koncertem Dussek'a (Duszek'a), a do tego stopnia inaczéj, że (nie wstydzimy się tego wyznać) posłyszenie go sprawiło nam dawno niedoznaną na koncertach przyjemność i podobno jednę z największych, jakich wystąpienia muzykalne Kątskiego nam dostarczyły. Wprawdzie wiele się rzeczy na to składało. Naprzód cieszyło nas, że okryty kurzawą lat Dussek doczekał się przecie, że go jeszcze grają; a u nas posłyszéć coś z dzieł dawnych kompozytorów, prawdziwy rarytas. Dzisiejsi wirtuozi, dzisiejszych grają, a pomiędzy niemi samych siebie najchętniéj. I nie byłoby to tak źle, gdyby ich kompozycye nowym tchnęły duchem, nosiły istotnie cechę indywidualności, gdyby uderzały świeżą fakturą. Ale gdzie tam! duch nie może być nowy w dawno zużytych przygrywkach do każdéj melodyi jednakich, indywidualność w bezbarwności leży, nowość faktury zależy na tém, że co jeden dwiema rękami wykonywa, to drugi na jednę urządził. Bo wirtuozi chorują na kompozycye, jak tyle młodzieży na wiersze; a jedni i drudzy wyznają z naiwnością, z pokorną pychą, że im się to zdaje być nowe. Pomów z nimi o kompozycyi lub poezyi, to ci zaraz grać i czytać będą swoje *à propos* i nie *à propos* wszystkiego co powiész. A tu o nowość tak trudno! Nawet to, co tu piszemy w téj chwili, niesłychanie jest stare. Wróćmy więc do Kątskiego. Otóż grał Dussek'a, a nim zaczął, jużeśmy się radowali przewidując, jak się ci i owi krzywić będą. Przypomnieliśmy sobie bowiem, jakie to długie twarze z okrąglutkich się porobiły, gdy przed kilkoma laty Zofia Bohrer zagrała na powszechne żądanie fugę Bacha. O fudze wielu słyszało, myśląc pewnie, że to musi być najfantastyczniejsza z fantazyj; cóż dopiéro fuga Bacha, o którym także coś słyszano? Aa! to to fuga! to to Bach! Tak ogół mówić się zdawał i sznurował usta z uszanowaniem, by nie wybiegł na nie uśmiéch pogardy, albo ziewnięcie nudy; inni mądrą nastroili minę, by się zdawało, że rozumieli. Otóż przy koncercie Dussek'a spodziewaliśmy się równie dobrze ubawić: ale stało się zupełnie inaczéj, bo jeśli przy Hummlu słyszeliśmy niewiele co więcéj jak pojedyncze tony, to przy Dussek'u wszystkie zmysły nasze w jeden zmysł słuchu się zbiegły, a gdyśmy po skończeniu każdéj z trzech części po sali koncertowéj się obejrzeli, to wszystko już było *in statu quo*. Cieszyliśmy się i z tego, że Kątski grał cały koncert od deski do deski, tojest Allegro, Andante i Rondo, i to prawie bez odetchnienia, co mniéj więcéj pół godziny czasu zabiera. To już druga rzecz, którąśmy od piérwszego Kątskiego słyszeli od lat kilkunastu. Zdaje nam się, że dawniéj zawsze tak grywano koncerta; dzisiejsi jeśli z niemi występują, to je dzielą na kilka części przegrodzonych zupełnie czém inném, nie myśląc, że jeśli kompozytor nadał całemu dziełu pewną cechę jedności i logicznego związku, to cechy te znikną dla słuchacza i każdy ustęp oder-

wany inne zrobi wrażenie, niżby je zrobił w towarzystwie sąsiednich ustępów. Ale czemu najbardziéj byliśmy radzi, to saméj muzyce Dusseka, téj muzyce prostéj, skromnéj a czującéj; téj muzyce okrągło otoczonéj, symetrycznéj choć czasem trochę marudnéj; téj muzyce, w któréj każdy instrument tyle tylko mówi, ile przyzwoity człowiek się wtrąca do ogólnéj konwersacyi. Sola fortepianu wprawdzie nieświeżo wyglądają dzisiaj, bo szczegóły z których są złożone, wypełniły już tysiące ćwiczeń od pół wieku układanych, zamienione zostały w przygrywkę prawie konieczną w kilku tuzinach fantazyj, (że tylko znakomitsze liczyć chcemy); ale sola te odświeżała orkiestra zatrudniona tematem i różném jego przerabianiem, urozmaicała kolorytem różnych narzędzi muzycznych, a nadawała im znaczenie i stosowność forma porządnie i logicznie się rozwijająca. Cieszyliśmy się jeszcze, widząc taką poczciwość wykonywającego, który się nie wahał powiedzieć pokoleniu żyjącemu, że istniał niejaki Dussek (ur. 1760 w Czechach, zm. 1812 w Paryżu), i że dziś jeszcze może mieć wartość, i ośmielił się publicznie tego dowodzić, jakby jakiéj thezy na stopień akademicki. I mówimy to nie żartem. Trzeba pewnego rodzaju odwagi cywilnéj, by grać publicznie dzieło właściwie do przeszłego wieku należące, kiedy z takiego mnóstwa grających, miłośników i znawców muzyki, jak się mienią, ledwie maleńka ich cząstka pamięta jeszcze że grała Dussek'a kiedyś. Nie lepiéj rzecz się ma z Mozartem, Hajdenem i świeższymi daleko: Hummlem, Moschelesem (choć ten jeszcze żyje i pisze). Już i Bethowen się zestarzał, a przecież w niektórych jego dziełach tyle głębokości poglądu na świat, że my ludzie postępem popchnięci naprzód (jak mówią), nie rozumiemy ich prawie jeszcze, i musimy czekać, aż je przyszłość objaśni. Nie chcemy już mówić o Clementim, Scarlattim jego mistrzu i innych, bo wzmianka o nich możeby nas zbyt daleko z drogi sprowadziła, a tu o Kątskim tyle jeszcze mamy do mówienia! Ale nie możemy się oprzeć pokusie i jedno porównanie, jednę radę położymy. Wy, co się uczycie języka obcego, francuzkiego naprzykład, gdy macie pretensyą do gruntowności i oświecenia, czyż nie znacie historycznie literatury francuzkiéj od Malherba do Wiktora Hugo i Lamartina? Zapewne wiecie o tém więcéj nieraz niż o tém, że od czasów Jagiellonów aż do dziś dnia byli poeci, co po polsku wcale niezgorzéj pisali. A gdy się muzyki uczycie, tego powszechnego ludzkości języka, to o jego literaturze z lat ubiegłych mówicie: to starzyzna! Tak téż znacie muzykę, takie téż daje wam rozkosze; jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg! A wy nauczyciele muzyki a raczéj grania, nie zmiłujecież się raz przecie nad sobą i uczniami waszemi, że ich i siebie suszycie na bredniach nowoczesnych? Wy czujecie co lepsze. czemuż uczniowie wasi poczuć tego nie mają? Jeśli się poprawicie, to wam za życia nie braknie rozkoszy w mozolnym zawodzie, a po śmierci niech was Requiem Mozarta do wieczności wyprawi; jeśli nie, toście niegodni nic innego słuchać za życia jak Hüntena, Beyera i ich współzawodników, a po śmierci niech wam jaki Rozbicki do własnéj kantaty muzykę dorobi pożegnalną. A teraz wy, coście się już przesycili i coraz nowego pragniecie, posłuchajcie do-

bréj rady: zajrzyjcie choć trochę do starych, oni wam wyleczą smak i palce, tak jak zrujnowany lord mglistego Albionu, ratuje kieszeń i spleenu się zbywa pobytem na stałym lądzie.

Prócz Hummla, Dussek'a i Webera grał Kątski tylko swoje rzeczy. I nie mamy mu za złe, że współczesnych wirtuozów do swego repertoaru nie wciągnął; albośmy już ich słyszeli, albo posłyszymy jeszcze, a Kątski sam choć się powtarzał, to także i nowego coś na każdym zagrał koncercie. Ale dla Szopena powinien był miejsce znaléźć: raz dlatego, że Szopen już nam nie zagra, ani rywalem tu na ziemi nikomu już nie będzie; drugi raz dlatego, że to najlepszy kompozytor na fortepian naszego czasu; trzeci raz dlatego, że to nasz rodak. Na toż będziemy skazani, że go nam tylko cudzoziemcy grywać będą? Boć już do tego przyszło, że oni chętniéj prawie śpiewają nam po polsku na koncertach a nawet na scenie, niż nasi, którzy zapewne przez grzeczność i dla równowagi (choć ona wcale niepolityczna) wolą po włosku śpiewać! Otóż jak mówiliśmy, prócz Hummla, Duszeka i Webera grał Kątski tylko swoje rzeczy, a miał w czém wybierać, bo mnóstwo napisał. W niektórych sztukę wirtuoza posunął prawie: widzieć to można było np. w karnawale madryckim, Fantazyi z Attylli i w Scherzo z symfonii na fortepian przełożoném. W piérwszym zadziwiała giętkość i lekkość szczególniéj lewéj ręki, ciskającéj oktawy i akkorda przygrywki z niesłychaną szybkością, ciągle pomnażaną; w drugiéj lotność znów palców w biegnikach posunął tak daleko, żeśmy nawet idealizując sobie przymioty mechaniczne wirtuozów, o niczém podobném nie marzyli. To téż nauczeni doświadczeniem ubezpieczamy się przeciw jakiéj tam niespodziance tego rodzaju; ale widzimy, że jeśli większa jeszcze lotność możliwą jest dla człowieka lub machiny, to już nie pojedyncze tony słyszéćby się dały, ale jakiś pręt utkany z tonów, które tyle odróżnićby się dały słuchem, ile okiem sprzychy obracającego się szalenie koła. W Scherzo przypomniał nam olbrzymów mitologii greckiéj i jakiegoś indyjskiego bożka o bajecznéj rąk liczbie, bo pięć przynajmniéj mieć ich musiał, by zagrać dwa tryle odległe od siebie, przy każdym trylu jakieś ciągłe tony tu śpiéw, tam podstawę akkordu wyróżniające, a w środku jeszcze jakieś biegniki; wszystko zaś tak, by się zdawało współczesne i nieprzerywane. To chyba się zniósł z gieniuszem, który był przy jego urodzinach, i z niewidzialnym dla słuchaczów grał na cztery ręce? I jasném się stało: czemu mogąc zdolnéj orkiestrze wykonanie tego Scherzo powierzyć, wolał je przełożyć na fortepian bez względu na konieczną dla kompozycyi ujmę.

Ludzie, którzy w biegłości palców największą muzyki zaletę widzą, Kątskiego odtąd za wzór brać będą, jak dotąd Liszta brali; chyba że i on się poduczył, bo, jakeśmy słyszeli, ciągle pracuje. Ci, którzy oprócz mechanizmu czegoś więcéj pragną, gotowi spytać się o czucie? Zapomnieli chyba, cośmy wyżéj o wykonaniu Kątskiego mówili? Wykończenie opiera się na pojęciu, a pojęcie dokładne w rzeczach sztuki tylko tam być może, gdzie już uczucie zajrzało: jedno jest dopełnieniem drugiego. W przedstawieniu muzyki doskonale znanéj wykonywającemu, pojęcie obejmuje ogół, uczucie w szczegóły wgląda, częściéj od-

świeża tylko pamięć tego, co kiedyś widziało. Bo uczucie nie przychodzi tak na zawołanie jak się zdaje i często jedno nic je odstrasza. To pewna jednak, że w kompozycyi saméj tkwi siła czarodziejska, któréj nawet pierzchliwe uczucie posłuszne być musi: siłę tę stanowi prawda treści. Bo gdy prawda i uczucie jest jedno i to samo, więc gdzie jest jedno, drugie się znajdzie; może się raz mniéj, więcéj drugi raz objawi, ale istnieje niezawodnie i w ślad za drugiém pobiegnie, bo zna jego drogi. Tak zbłąkany w pustyni wędrowiec tam zwróci swe kroki, gdzie ślad stopy ludzkiéj napotka. Więc wiele z tego co nazywamy czuciem nietylko w wykonaniu, ale i w kompozycyi leży. Kompozycya zaś, tojest tworzenie, odbywa się zdala od zgiełku, w cichości pracowni, z sercem roztwartém że aż łuna bije od skarbów w niém złożonych, z myślą niepokalaną, która w skarbcu serca wybiera co jéj przystoi. I w miarę jak dzieło się stawało, myśl i uczucie kładły na niém swe mistyczne znamiona, aby je inna myśl, inne uczucie pojęły, by się same stworzyły w potrzebie. Więc gdy kompozycya jest dobra, ułatwia niezmiernie wykonanie; tak jak treść poezyi zacna, deklamacyą ułatwia: z biednéj nawet nasz Józef Komorowski niewiele zrobi. Własnością bowiem jest prawdy, że podbija i wymownym czyni tego, kto ją wygłasza: mniéj mu potrzeba nawet wykwintnéj wykonania sztuki, bo wykwintność jest sztucznością, a tu największa sztuka polega na poddaniu się prawdzie. Ma ona to do siebie jeszcze, że rozmaita w szczegółach jednoczy je w dążności i zyskuje jedność z rozmaitością: szlachetny przymiot, którym człowiek naśladuje twory najwyższego Mistrza-artysty; i on jeden, a we trzech osobach! Dlategoto gdy wykonanie przebrzmi, brzmi wciąż jeszcze w duszy słuchacza; dowód to niemylny prawie dobréj kompozycyi. A gdy i owe echo zaginie nakoniec i tylko powieść cuda o wykonaniu zachowa, dzieło samo zostaje, więzi w sobie uczucie; a choć serce, które mu było źródłem spróchniało już oddawna, dzieło na nowo cuda wskrzesi, do nowych wspomnień da powód. Bo zawsze szczegóły składające się na całość objaśniając się wzajemnie, uwydatniają każdą napływającą chwilę i czynią to, czego wymagamy od wykonywającego po graniu z czuciem.

Gdzie tedy brak istotnego w kompozycyi uczucia, tam i grać z czuciem niepodobna; pozory jego tylko dać można. Wirtuoz wié czego słuchacze pragną, więc się sili, by coś wyszukać, by jaką iskrę rozdmuchać, zapalić siebie i innych; i mnogością starań daremnych do rozpaczy przywiedziony, przesadza jeśli nie udaje. W najszczęśliwszych razach sentymentalizuje, co się i Kątskiemu zdarza, szczególniéj w przykończeniach okresów, choć mało kto ma tyle środków zajęcia słuchacza, by aż do takich drobiazgów się uciekać. Sąć między słuchaczami łatwo zapalne indywidualności, które się jedném nic do czerwoności rozgrzewają, choć i łatwo stygną. Przecież koncertant nigdy do nich należéć nie może. Jakto! zapowiedział kilka dni temu że wystąpi, zebrał może wszystkie rozumu władze żeby się pokazać i popisać, ułożył sobie plan jak podbić słuchaczów, wystudyował, wymądrzył, a wy chcecie, by go odrazu to usposobienie odpadło, by się stał nai-

wnym, gorejącym? Jeśli nie zawsze, to przynajmniéj w czysto lirycznéj muzyce uważamy to za sprzeczne z naturą ludzką. Dodajcie do tego, że wam gra utwór wymęczony po kawałku i równie wymądrzony; jakżeż go ma odegrać z czuciem istotném? Nie znacie jego natury i wartości, wy, co je wszędzie widzicie. Więc wszystko zależy na wystudyowaniu, na wykończeniu szczegółów, obliczonym ich na całość wpływie. Nazywa się to cieniowaniem, frazowaniem co do ducha, a co do formy, śpiewem, trylem, biegnikiem: słowem, pojęciem i mechanizmem. Mechanizm szumi i huczy, siła uderzenia wywołuje potężne tony, które zapychają uszy i drażnią nerwy, co znowu za czucie ujść może. Tém to łatwiéj, że znakomitemu mechanizmowi nie brak pewnego rodzaju poezyi opartéj na szale, wybrykach, rozpustnéj swawoli, które aby były przyjęte, opierają się na melodyi tak właśnie, jak akrobata trzyma się jedną ręką drąga, około którego młynka wykręca.

Mówiliśmy już o wykończeniu właściwém Kątskiemu; dodamy tu jeszcze wzmiankę o ubieganiu się jego za owładnieniem słuchacza efektami. Do nich liczymy częste sprzeczności w sile stromo obok siebie stawiane, potężne uderzenie obok ledwie słyszalnego szmeru, to maszynowe piano z pomocą pedału przesuwającego klawiaturę zyskiwane i ów ton osobliwy, połączeniem dwóch pedałów stworzony, podobny wrażeniem jakie budzi na słuchaczu do tego, jakie tworzą fladżeolety z narzędzi smyczkowych wydobywane. Te ostatnie możnaby przyrównać do świstu ptaków; wspomniane wyżéj tony fortepianu zamieniają go prawie w zegar grający, szczególniéj, gdy wysokie tylko odzywają się tony. Sąto efekta i dlatego efekta tylko, że nadużyte; rzetelne uczucie nie potrzebuje się uciekać do takich sprzeczności, a przynajmniéj bardzo rzadko; to téż w uznanych arcydziełach mistrzów nie spotykamy ich prawie. Nic jednak nie jest do odrzucenia bezwarunkowo, a więc i te efekta; służą one za pewnego rodzaju dowód pojmowania kompozycyi, czasem na jéj wartość światło rzucają, a grającemu są bardzo pożądane, jako podnoszące fizyczny powab tonu, pomnażające środki instrumentu, któremu nieraz brak ważniejszych, by doskonale pośredniczył między artystą i słuchaczem.

Streszczając tu pojęcie nasze o tém, co się wykonaniem Kątskiego nazywa, powiemy, że ma tyle mechanizmu jak podobno żaden z fortepianistów; pojęcia tyle, ile gruntowny muzyk mieć go może; uczucia ile dozwala kompozycya, jeśli go nie poświęci wystudyowaniu, a nadto wytworne traktowanie instrumentu i chętne korzystanie z jego zasobów. Chcecież wiedzieć, jak sobie zdobyć takie same środki fizyczne? Kątski wam to szczerze opowiada w swojém: *Indispensable du pianiste, en commission chez Trautwein*, Berlin, z tekstem niemieckim i francuzkim. Mamy przed sobą nowe pomnożone wydanie tych *ćwiczeń codziennych* (rozumié się obok innych), pomówimy tu o nich cokolwiek, bo może nieprędko zdarzy się nam równie dobra sposobność, a z drogi to nas na długo nie sprowadzi, bo tuż przy niéj leży.

Przedmowa ciekawym jest dowodem dobrego humoru autora, z jakim patrzy na mozolne o mechanizm zabiegi. Przytaczamy z niéj początek w tłumaczeniu wiernem; będzie to lepiéj niż opowiadać.

„Od czasu jak Ludwik *Adam*, ojciec, ogłosił w końcu XVIII wieku słynną szkołę (méthode) na fortepian, zawierającą wszystko potrzebne do wydoskonalenia tego, co dziś nazywamy starą fortepianu szkołą; tyle już wyszło nowych metod, że byłoby to zbyt daleko posuwać pedanteryą, chciéć nową jeszcze zrobić. Każdy z nauczycieli chciał być nowym, więc jeden rozłożył swą metodę na pytania i odpowiedzi, a drugi znajdując to złém, porobił pytania bez odpowiedzi. „To będzie bardziéj uderzające, mówił; uczniowie sami będą musieli szukać odpowiedzi, a że tak prędko ich nie znajdą, będę dawał lekcye rok dłużéj: to czysty zysk.“ Trzeci nie dał ani pytań, ni odpowiedzi: byłoto krótsze i nowsze. Czwartemu się zdawało, że ponieważ dziś wszystko machinami się odbywa, i fortepianiści powinniby także machin używać, i zaraz wynalazł jednę i na podobieństwo Tysiąca i jednéj nocy, zbogacił ją tysiącem i jeden ćwiczeń na pięć palców. To było już mniéj zabawne i za całą korzyść przynosiło silne kurcze w palcach. Piąty mniemał, że byłoby to rzetelną korzyścią, gdyby można objąć duodecymę równie łatwo jak oktawę, i obdarzył świat machiną zwaną *Chirogimnaste* czyli rozszerzanie palców: coś podobnego do tortur średniowiecznych. Do machiny należało kilka setek ćwiczeń, z których każde 75 razy grać należało. Przepadł, kto się zatrzymał na 73 razie; lecz kto dojdzie do liczby przepisanéj 75ciu, może być pewnym, że padnie z wysilenia nie mogąc ni ręką, ni nogą ruszyć. Z kolei przyszedł *przewodnik ręki* (guide-mains), który osłabia pięść do tego stopnia, że nie można już grać bez jego pomocy. A jak za Ludwika XIV wszystkich hołdujących modzie, każącéj wielkie kije nosić, wieśniacy zwali ludźmi kijowemi (les hommes à bâtons): tak dziś możnaby nazwać *Guidemainistów*, fortepianistami kijowemi albo nieuleczonemi.“

„Gdy raz się wzięto do wynalazków, każdy chciał z nowym się popisać. Ponieważ przewodnik ręki wymyślony był dla pięści, inny nauczyciel zrobił machinę dla wzmacniania palców i nadania im niezawisłości. Mówię o *daktylionie*. Jestto machina drewniana o dziesięciu sprężynach“... i t. d.

Prawie wyłącznie w tym duchu prowadzona jest przedmowa do końca, gdzie się spotykamy z opisem, jak z daktyliona zrobić można pułapkę na myszy. Żarty nie są dowodami i łatwo przesadzić niemi można. Nie myślimy tu bronić tych wszystkich wynalazków, bo nie jesteśmy za niemi, a potém, żeby coś tu stałego powiedziéć, trzeba długo doświadczać. Co najmniéj machiną trąci, to niema klawiatura Moschelesa zwykle na silnych położona sprężynach, które zmuszają palce do pewnego wysilenia, po którém granie na fortepianie zwyczajnym, bez porównania łatwiéj idzie; to jasne każdemu z praktyków. Cała bieda, że to narzędzie jest niemo, ale téż go się używa bardzo mało. Ćwiczenia pięcio-palcowe, które autor wyśmiewa, są bardzo użyteczne, jak to sam przyznaje w inném miejscu; a jeśli bez tego wszystkiego bywali wielcy mistrze na fortepianie, jak mówi Kątski, to i jego *Indispensable* tak znów koniecznym nie jest. Pożytecznym jednak być może, jak każde dziełko oparte na praktyce. To co tu Kątski pokazuje i powiada, bynajmniéj nie jest nowe, bo téż

trudno o nowość w przedmiocie przez tylu zdolnych i myślących nauczycieli roztrząsanym, przez tylu wirtuozów opracowanym. Że autor zwykł przy każdym rodzaju ćwiczenia opowiadać jak się brać do niego, jak długo nad tém i owém pracować (wychodzi to na owe 75 razy), a przy niektórych co sobie przez nie osiągnąć zamierza, także nowém nie jest, lubo nie możemy powiedzieć, żebyśmy właśnie te ćwiczenia tak samo objaśniane spotykali; wielu je bowiem bez objaśnień dawało nawet np. Czerny; lubo i to pewna, że gdy uczeń zna cel ćwiczenia, chętniéj nad niém pracuje i staranniéj. Jedno z najlepszych w tém dziełku zawartych, jest nowy, jak mniemamy, sposób ćwiczenia się w gammach; powinienby się w praktyce bardzo korzystnym okazać: prawie to samo o trylu powiedziećby można. Autor, jakeśmy wyżéj mówili, wielkim jest fortepianistą i powinien być wyrocznią w rzeczach mechanizmu, a jednak stawimy mu tu czoło. Na str. 41 mówi, że granie trylu palcami dla prawéj ręki na str. 42 wskazanemi, a mianowicie na sposób Hummla: 1 3 2 3 i na sposób Fielda 1 3 2 4 do lewéj ręki zastosowane być nie może. Jakto nie może? trzeba tylko z powodu odwrotnéj budowy lewéj ręki zmienić powyższy porządek, i będzie dla Hummla 3 2 3 1 dla Fielda 4 2 3 1. Sprobujcie. A gdyśmy już raz na drogę sporną weszli, to brnijmy daléj. Autor chce wprowadzić w teoryą ślizganie palcem po klawiszu; obiecuje cudowne z tego skutki i opowiada, jak się to z wdziękiem odbywa. Wielu grających stara się czasem więcéj o wdzięk niż o dźwięk, a pod tym względem mają wiele wynalazczego ducha, bo przy wielu innych posiadają już i ten sposób, o którym nasz autor mówi. Niechże się nim cieszą, ale co na tém dźwięk zyszcze? — nie rozumiemy; bo czy ja palec zatrzymuję na tém samém miejscu klawisza w którém go dotknąłem, czy ślizgam go po nim, to na jedno wyjdzie. Ton już się stał i zmienionym być nie może; młoteczek bowiem *natychmiast* po dotknięciu stron odskoczył od nich, by swobodnie drgały, a klawisz dlatego się trzyma, by nie spadł tłumik drganie powściągający. Ślizgajcie więc palec po klawiszu, albo nie, to na jedno wyjdzie, skoro związek między nim a struną najzupełniéj przerwany został i dopiéro z nowém dotknięciem (uderzeniem) na jedno mgnienie oka ożyje. Gdzie nie ma związku, tam nie ma wpływu; spytajcie o to fizyka, mechanika, logika nawet, a wreszcie sami sprobujcie. A że Kątski każe ślizgać palce w ten sposób przy podniesionych za pomocą pedału tłumikach, to nic rzeczy nie zmienia, bo tu tylko króciutka chwila dotknięcia i jego sposób wpływać mogą. Więc owe *carezando* liczymy na karb kokieteryi niewinnéj wprawdzie, ale dla tonu a raczéj dźwięku niepożytecznéj.

Rozpisaliśmy się tu o drobiazgach, nie mogąc nic do zarzucenia znaléźć w rzeczach głównych. To, co autor w swém dziełku spisał jest wyborne: przedstawia w treści najważniejsze ćwiczeń fortepianowych szczegóły; duch wykładu dobrze jest utrzymany, a co najważniejsza i rzadsza, widać troskliwość autora, posuniętą daléj jak do starania się wyłącznie o mechanizm ucznia. O jego muzykalności myśli także, lubo do zyskania jéj bardzo niedostateczne podaje środki, albo téż inne, niż my, przywięzuje do niéj wyobrażenie. Śmiało tedy

polecamy to dziełko nietylko uczniom, ale i nauczycielom także; tym ostatnim dlatego, by widzieli, że taki Kątski nie gardzi drobiazgami, bo się na nich dalsze opiera, by przeczytali jak poleca Hummla i Moschelesa:—może to ich nawróci.

A teraz pomówiwszy o Kątskim wirtuozie i nauczycielu, zwróćmy się do kompozytora. Z kilku kategoryj na które podzielić można ludzi muzyką się trudniących, najwyżéj stawiamy kompozytorów. Raz, że twórczość ich daje innym powód do działania; drugi raz, że twórczość najszlachetniejsze siły człowieka do czynności pobudza, robi zeń coś wyższego prawie jak człowiek, czarodzieja, proroka. Twórczość wymaga znajomości wszystkich odnóg i gałęzi sztuki (mówimy tu o kompozytorze w najzacniejszém tego wyrazu pojęciu), a więc najliczniejszych przygotowań technicznych i umysłowych. W kompozytorze przypuszczamy powołanie, potrzebę wyrażania się środkami swéj sztuki, częste przebywanie w krainie myśli i ideałów, słowem poetę. A przed takim, jakby przed wybrańcem boskim, schylić się powinno i najpyszniejsze czoło, jeśli szanuje pierwiastek który mu je wznosić dozwala. Z takiém pojęciem o ważności kompozytora i w obec różnostronności Kątskiego w kompozycyi, różnostronności, któréj bawiąc kilka tygodni między nami dał dowody; pomnąc na sprzecznéj natury wrażenia jakichśmy doznali słuchając prac tego autora: czujemy pewne wahanie się wewnętrzne. Nie dlatego jednak byśmy nie utworzyli sobie zdania, którego podobno nie zmienimy tak łatwo, bośmy do niego nie odrazu przyszli, ale tworzyli je sobie w miarę jak się Kątski odsłaniał; nie dlatego także, byśmy zdania raz powziętego nie śmieli lub nie chcieli powiedzieć otwarcie; o półsłówka nikt nas obwinić nie może. Wachamy się dlatego że mając zwyczaj wyrazy nasze popierać dowodami czarno na białém, nie możemy tego uczynić dla ich braku, a to właśnie tam, gdzieby nam najpotrzebniejsze były. Niepodobna jednak mówiąc o Kątskim nie mówić o jego kompozycyach; więc choć nie tak szczegółowo i obszernie jakbyśmy chcieli, ale przynajmniéj potrosze i ogólnie coś tu powiemy, zostawiając resztę do szczęśliwszych okoliczności.

Kątski jak w wykonaniu nieraz zdwajać się zdawał, tak i w kompozycyi podwójnym jest człowiekiem: jeden pisze dla mechanizmu, drugi dla duszy. Więc i my tutaj rozdzielamy znajome nam jego prace. W największéj liczbie kompozycyj solowych na fortepian oddał się formom nowożytnym, których czczość opowiadaliśmy już tyle razy, że prawdopodobnie mówiąc znów o nich, powtarzaćbyśmy się musieli, bo trwamy przy naszém widzeniu. Przypominamy więc tylko, że ich zasadą jest przedstawiać jaką melodyą oryginalną, częściéj pożyczaną w oryginalném, lub także częściéj w pożyczaném odzieniu. Wiadomo, że ubiór wartości nie daje; niedarmo jednak jest przysłowie: jak cię widzą, tak cię piszą. Zatém i melodya ubiera się jak może, by dobrze o niéj pisano, zapominając, że to o stroju pisać będą. Strój, to rzecz modniarek i krawca: po co się artyści w to wdają? Niestety! biedni to ludzie! oni muszą błyszczéć, otumanić słuchacza, zadziwić go, inaczéj za nic ich miéć gotów, mówiąc: tak, to każdy potrafi! Że więc się

siłą na szumne, świetne melodyi okrycie, trzeba im to wybaczyć, choć chwalić nie ma za co. Ale i owszem! w tak marnéj rzeczy jak strój, modniarka może się pokazać artystką, dowieść imaginacyi, wynalazku; tak samo i każdy z tych, którzy melodyi wyprawę dają. Kto się tego jął piérwszy, powiedzieć z pewnością niepodobna, bo i to nie tak nowe jak się zdaje; ale rozwinięcie tego na obszerną skalę, nawinięcie na formy oddzielne, to niezawodnie pomysł nie starszy nad lat dwadzieścia, może z górą. I był czas, że się zjawił przedsiębierca ubierania melodyj, a zwał się Liszt; że jednak sam wszystkiemu rady dać nie mógł, więc się inni korzystnego wyrobku chwycili, a założono kilka wielkich fabryk, kilkanaście potém, daléj kilkadziesiąt; teraz możeby ich kilkaset naliczył. Materyału nie braknie, póki starczy gamm, arpedżiów, trylów i t. d. W tém sztuka, jak kto tego użyje, jak fałdy ułoży, jak nawet znane rzeczy tak ułudnie przedstawi, że prawie za nowe ujśćby mogły, a przynajmniéj za nicowane; słowem, jak kto uaranżuje. Otoż w tém dotąd najwięcéj Liszt pokazał dowcipu i piérwszym pozostał; on umié najlepiéj wybrać do każdego usposobienia i wieku melodyi, on nawet umié nowy jéj nadać charakter. Niektórzy jak Thalberg, Prudent, Kullak zbliżają się do niego; nasz Kątski daleko za niemi pozostał. Bo też widocznie co im więcéj celem, jemu więcéj jest środkiem: potrzebuje pokazać mechanizm jaki sobie wyrobił i bierze się do tego poprostu, bez wyszukania, a równie dopnie swego, bo ma mechanizm. A że nawyknienia rąk szczególne mimowolnie się nasuwają, co i do ważniejszych rozciąga się utworów choć w mniejszych rozmiarach; więc w tego rodzaju Kątskiego pracach najwięcéj spotykamy tego, co mechanizm jego odznacza: biegników gammowych (może to dla nich właśnie wybrał ze starych autorów Dussek'a?), trylów, arpedżiów, oktaw, i to tak szeroko, że sam proponuje swoje kompozycye jako etiudy na tryle, oktawy i t. p. (L'Indispensable). Znając inne ważniejsze prace naszego rodaka, zadziwi się kto może, czemu się poświęcał temu lekkiemu rodzajowi, czemu pracował nad efemerydą? Łatwa na to odpowiedź. Najprzód pracować nie potrzebował więcéj jak nad owemi improwizowanemi pot-pourri, któremi się wywdzięczał za serdeczne przyjmowanie go na koncertach; a gdyby i popracować musiał, to zyskiwał najdogodniejszy sobie sposób pokazania mechanizmu, polecał go słuchaczom w towarzystwie mniéj zużytéj niekiedy melodyi, i pokazał nakoniec, że i to umié zrobić. Bo nikt nie da wiary, jak ten pełzający lud pseudo-kompozytorów jest pyszny, gdy choć jednę klejonkę zlepi; zaraz mu się zdaje, że na Apollina awansował i z góry traktuje poważną zasługę, mówiąc, że nie ma elegancyi, świetności, fantazyi, że w starym pisze stylu i Bóg wié nie co za brednie. Nie we wszystkich, ale w wielu podobnych pracach Kątskiego większych i mniejszych widać, jak go ta maniera nudzi; wszędzie tam prawie jest zakrój na coś znakomitszego, na coś szlachetnego i zrobi się np. *morceau de concert* z Lunatyczki; ale częściéj potrzeba chwili go odrywa i zapomnieć mu każe piérwszego zamiaru. Ztąd nieraz dziwnego słuchacz doznaje wrażenia, nieskończenia, niestosowności, wysiłku. W pracach pośrednich między tym lekkim a poważnym rodzajem; np. w medytacyach,

lubi Kątski utartemi puszczać się drogami, i czyto dla ułatwienia grającym pojęcia, czy też z innych powodów, nie stara się o oryginalność pomysłów, ani o oryginalność prowadzenia; a czasem niektóre szczęśliwiéj pomyślane utwory osłabia lekkim rytmem walca naprzykład. Za to tam, gdzie duch w poważnéj i filozoficznéj roztacza się formie, jak już w scherzo, a więcéj w sonacie, koncercie, trio, wszędzie Kątski pełnym zacności pokazuje się kompozytorem. Szczególniéj też Trio na ostatnim wykonane koncercie zdaje się nam godne stawionćm być obok najlepszych w tym rodzaju. Czemu nie jest wydane (nie wiemy o tém przynajmniéj), byśmy mogli zacytować miejsca, które wrażenie przekazało pamięci! Czy to jest jedna z ostatnich prac Kątskiego, nie wiemy; ale mniemamy, że gdy takie rzeczy umié napisać, nie powinienby się wdawać już w owe o których mówiliśmy poprzednio: wszakże ci, którym gieniusz świat przyznał, nigdy się niemi nie zajmowali, choć to także bywali wirtuozi, tém wyżsi, że się nigdy zniżyć nie raczyli. W ich pracach szlachetnych wszystko płynne, naturalne, a silne, prawie zawsze jasne, albo gdy nieco zawiłe, to dla zbyt bogatéj treści. Mądry rozkład całego dzieła na różnego rodzaju ustępy, przypominające się i odświeżające nawzajem, należał u nich do piérwszych kompozycyi warunków, nadawał jéj formę do wielkiego urozmaicenia zdolną, pełną zdrowia i siły, zalecającą się uporządkowaniem każdego szczegółu: ztąd jasność i dążność do jednego celu skierowana. Niczém tyle jak formą nie zyskuje myśl muzyczna szeroko wypowiedziana, bo muzyka rozwija się w czasie, i jego wynikłościom (do których też i forma należy) losy swoje powierza. W szlachetną formę wléjcie jeszcze duch natchnionego, a będziecie mieli wiekuiste dzieło sztuki. Oto tajemnica zamiłowania prac podobnych, któremi oddychają ci, co je raz zrozumieli nakoniec, wgryzli się w nie, że tak powiemy; ci nie mogą gruntowności opuścić dla pozoru, z symetryczności i ładu przejść do odmętu. A jednak odmęt to główny, jak mówią powszechnie, charakter naszego czasu; czyśmy zapopędliwi, czy zapoetyczni, by się oddać rozwadze?— może zbyt powierzchowni, zbyt rozrzuceni, zamało specyalni, łatwego użycia łatwéj sławy zwolennicy? Dość, że muzycy a raczéj wirtuozi uporczywie trzymają się tego, co uważają za nowość, jeśli nieład jest nowością, a publiczność za niemi idzie, a raczéj oni za publicznością. Ale ztąd tylko wniosek, że jest jakaś nić łącząca jednych dążność i zamiłowanie drugich; jeśli nią jest ślepota, to się zerwie za byle wstrząśnieniem; jeśli poetyczny polot, to się wzmocni i wszystkich przeciwników skrępuje. Nie mamy wiary w to drugie, boć dotychczas w linę zamienić się powinna była. Jeśli odmęt ma być cechą naszego czasu, to niech go sztuka przedstawia jako charakter, nie jako nieład; jako myśl, nie jako manierę. Niewiarę naszą popierają ci sami artyści, którzy swym talentem marne formy protegując, biorą się i do owych, które gruntowność i powagę znaczą, nie odrzucając lekkości i żartu. Czyż rozumieją, że są dwa rodzaje dobréj muzyki? Do zbawienia i nieba jedna jest tylko droga. Krytyka w całym cywilizowanym świecie jedno tylko ceni, artyści sami jedno tylko uznają; zkąd to przeniewierzanie się częste zacnemu, uznanemu, ko-

chanemu? Oto z przekonania, że rzesza ich nie pojmie, a jednak pojęcia jéj nie uczą dla korzyści sztuki, a dla swojéj korzyści mają w jednym worku to dla tych, tamto dla owych.

Odstąpiliśmy znowu od przedmiotu, a raczéj od osoby, aleśmy przewidzieli, że więcéj o muzyce, mniéj o Kątskim mówić będziemy. Wracamy do niego. Trzy uwertury tego kompozytora na koncertach jego przez orkiestrę wykonane, w niczém zasługi twórcy ich nie podnoszą, chyba dowodząc różnostronność prac jego. Ostatnia z nich (Zbójcy w Apeninach) najsłabsza. W każdéj, choć myśl główna udatna, więcéj zamętu jak jasności, więcéj wybiegów niż oryginalności, więcéj hałasu jak siły; instrumentacya dziwnie martwa i niepraktyczna nie raz, szczególniéj narzędzie dęte nadużyte. Wprawdzie instrumentalistów rzeczą jest wykonywać, ale rzeczą jest kompozytora nie utrudzać wykonania i własnemu nie szkodzić dziełu. Przygrywka do koncertu (forma) zupełnie inaczéj; jasna i oględna, w porę i stosunkowo do fortepianu się rozwijająca, budzi pytanie: jakim sposobem jeden i ten sam człowiek tak nierówną siłę i wiedzę rozwija.

Z kompozycyj wokalno-religijnych, Miserere na cztery głosy wykonane w sali instytutu Dobroczynności zdawało się nam pobudką do myślenia o losie tylu biédnych dziatek, na których potrzeby nasz artysta hojny grosz dorzucił. I słyszeliśmy na akkordach płynące westchnienia krótkich frazesów, spodziewając się posłyszéć wielogłosowość stylu pobożnego, zwłaszcza, że podżegnąć do niéj powinien był brak przygrywki instrumentalnéj. Być może, że ogromny znaczeniem, ale tylko w kilku ciągle powtarzających się wyrazach zawarty tekst był temu na przeszkodzie. Mszę wykonywaną kilka razy przez chór amatorów w kościele ks. Pijarów, wspominamy tylko jako dopełnienie obrazu wielostronności kompozycyj Kątskiego. Jeśli ją dał do kościoła, to nie na popis, ale jako ofiarę, jako modlitwę, a modlitwy rozbierać się nie godzi. Więc z modlitwą Kątskiego połączyliśmy własną za pomyślność naszéj sztuki.

J. Sikorski.

KRONIKA LITERACKA.

CZĘŚĆ IIga.

Zatrzymane przez tłumacza obce wyrazy prawnicze.

Przekład p. Cukrowicza będzie po większéj części pomnikiem tegoczesnéj mowy naszéj prawniczéj; zachował bowiem wiele wyrażeń obcych używanych teraz przez naszych prawników, a zachował je zapewne jeszcze dlatego, że się obawiał, iżby przez przeswojszczenie wszystkich, nie stał się mniéj zrozumiałym między prawnikami. Słusznie, gdyż w poprawie w tym względzie zwolna i oględnie postępować należy. Ztémwszystkiém wszelkiéj usilności dokładać powinniśmy, aby mowę prawniczą wszystkim w powszechności zrozumiałą uczynić; bo prawo jest dla wszystkich. Naśladujmy w téj mierze starożytnego Kneja Flawiusza i Seksta Eliusza Katusa, którzy tajemnice prawnicze powszechności wyjawili.

Tegoczesną mowę naszę prawniczą, pominąwszy zeszłość dawniejszą, utworzyli piérwsi tłumacze nadanego nam prawa francuzkiego w języku francuzkim, bez względu, czy przez naród w powszechności zrozumianém będzie. Nie postarano się o przekład urzędowy, i jakiego piérwsi tego prawa tłumacze użyli języka, jakie narzucili wyrazy, takiemi teraz przemawiają prawnicy nasi. Szaniawski, Łabęcki i Skorochód Majewski stali się w tym względzie, po większéj części, prawodawcami naszemi (1).

Ale posłuchajcie jak ta mowa brzmi:

Mam sprawę *windykacyjną*, która przeszła różne koleje *processu*. A najprzód przeciwnik mój żeby się utrzymał przy *possessyi*, wyniósł przedewszystkiém skargę *possessoryjną*; poczém *naturalnie* przyszło do sprawy *petitoryjnéj*.

Otrzymawszy pozew, występuję przedewszystkiém z *ekscepcyją* nieważności pozwu, gdyż w nim nie było ani *daty* wręczenia, ani *imma-*

(1) Rzesińskiego tłumaczenie trzech kodexów w r. 1845 wydane, nie przedstawia postępu mowy naszéj prawniczéj.

trykuły woźnego; sąd przyjął *ekscepcyją*. Wydano powtórny pozew: mnie ani moich domowników i nikogo w domu zamkniętym nie było, sąsiad pozwu nie przyjął, a woźny nie postarał się wręczając go burmistrzowi o *widymatę* burmistrza. I znowu pozew jako *niezawidymowany* upadł.

Wydano trzeci pozew. Występuję z *ekscepcyją nielegitymacyi*. Oddalony zostaję i rozpoczyna się *proces*, w całém znaczeniu pieniactwa.

W sprawie *possessoryjnéj* zapadały różne wyroki niestanowcze: to o przypozwanie *ewiktorów*, to nakazujące *rewizyją* naoczną, to *inkwizycyją*. Zjeżdżał kilka razy podsędek, spisał *protokół wizyi*, tudzież *inkwizycyjny* i wydał wyrok przysądzający mi *possessyją*, pomimo odwodowéj *inkwizycyi*. Przeciwnik zakłada *appellacyją* do *Trybunału* piérwszéj *instancyi*. Puszczam zaocznie i zaocznym wyrokiem w *appellacyi* zapadłym, wyrok *a quo* uchylony i ja odsądzonym zostaję od *possessyi*. Więc *notą oppozycyjną* zakładam *oppozycyją*, lecz wyrok *zaopponowany* zachowanym został w swéj mocy i przeciwnik utrzymany przy *possessyi*. Już daléj *nie apellowałem* i od *possessyi* odstąpiłem.

Zaczyna się sprawa *petitoryjna*: z wszelkiemi *szykanami* odbywa się zwyczajna *instrukcyja* sprawy. Ustanowieni *patronowie kommunikują* sobie *dokumenta* i pisma obrończe; poczém porządkuje się i wpisuje sprawa na *wokandę*.

Wprowadzamy sprawę na *audyencyi*. Sypią się *ekscepcyje* różnego rodzaju i gatunku, a po ich rozstrzygnięciu, gdy już inaczéj uporczywego przeciwnika zwalczyć nie mogę, zadaję *dokumentom* jego fałsz *incydentalny*.

Sąd mianuje biegłych i *deleguje* sędziego. Sędzia *delegowany* nakazuje złożyć *oryginał dokumentu* o *fałsz* podejrzanego do *kancellaryi Trybunału*. Biegli porównywają pisma i wydają swą *relacyją*. Sąd nakazuje *instrukcyją* na piśmie i sędzia *delegowany* spisaną przez siebie *relacyją* przedstawia. Zapada wyrok przysądzający mi własność i skazujący przeciwnika na *exmissyją* pod tymczasową *egzekucyją*, bez *kaucyi*.

Zanim jednak zapadł ten wyrok, stawiane były podczas *instrukcyi* sprawy rozmaite zawody, jakoto: różne *punkta incydentalne*, mianowicie skargi *incydentalne* i *interwencyje*; co wszystko *summarycznie* rozstrzyganém być musiało, to ocznie, to zaocznemi wyrokami, przeciwko którym zakładano *oppozycyje* końcem podniesienia *zaopponowanego* wyroku, uznania *konkluzyi opponującego* za usprawiedliwioną przeciw *zaopponowanemu*.

Lecz się to wszystko zwalczyło, i jak się wyżéj rzekło, wyrok *adjudykacyjny*, przysądzający mi własność, zapadł. Wręczam wyrok, a gdy przeciwnik dobrowolnie ustąpić nie chce, komornik *eksmituje* go. Przeciwnik stawia przeszkody w *egzekucyi* i zyskuje wyrok *en rèfèrè* wstrzymujący *egzekucyją*. Sprawa idzie do *appellacyi*; wygrywam. Sprawa idzie do *senatu* i znowu wygrywam. Przysądzono mi znako-

mite *koszta*. *Wyeksmitowany* płacić ich nie chce. Zapowiadam *fundusze* podług *deklaracyi* zapowiedzianego niedostateczne. Komornik zajmuje ruchomości. Osoba trzecia mieniąca się ich właścicielką zakłada *oppozycyją* przeciw ich sprzedaży. Przegrywa i ruchomości przez *publiczną licytacyją* sprzedane zostają. Lecz że więcéj wierzycieli zgłosiło się, przeto komornik pomimo służącego mi *przywileju* złożył zebrany szacunek do *depozytu Banku*, końcem rozdzielenia *proporcyonalnego* (1). Sędzia przeto *delegowany* sporządził plan *dystrybucyjny*, przeciwko któremu zakładają *oppozycyje*. Sędzia *delegowany* przedstawia *relacyją* sądowi i zapada wyrok zatwierdzający *plan* przez sędziego sporządzony. *W appellacyi plan* ostatecznie zatwierdzony. Przychodzę odebrać *uprzywilejowane koszta* sądowe; zastaję *areszt* położony, który uprzątnąwszy, odbieram *koszta* i przecie ukończam mozolny *proces*. Lecz nie nadługo; bo przeciwnik założył *restytucyją in integrum*.

Stój prawniku polski i spojrzyj! Oto stoi przed tobą bolejąca i litościwie na ciebie spoglądająca potęga swojskości. Spojrzyj na nią jeżeli możesz bez zarumienienia krwią wstydu i posłuchaj co mówi.

„O prawniku polski! dałam ci mowę piękną, bogatą, cudnie brzmiącą, potoczystą i giętką do urabiania wszelkich wyrazów, jakie ci w stosunkach życia społecznego są potrzebne. Czemuż omieszkujesz używać wszechmocnego daru? Czemu, leniąc się w urobieniu swojskich, lgniesz ochoczo do cudzoziemskich wyrazów i zachwaszczasz niemi plenny swój bogaty język? Nie bądź tylko zbyt na swojskość obojętnym, pomyśl, a znajdziesz. Kto się nie stara, ten nie ma. Kto pilnie szuka, ten znajdzie. Kto puka, temu drzwi otworzą. A najobrzydliwszém jest założenie rąk bezmyślne z obojętném przysłowiem: *„ej, co tam! bylebyśmy się tylko rozumieli.*

Czemu nie mówisz:

Mam sprawę o *odwłaszczenie* (2), która przeszła różne koleje *prawowania*. A najprzód przeciwnik mój, żeby się utrzymał przy *posiadaniu*, wyniósł przedewszystkiém *powództwo posiadawcze*. Poczém z porządku rzeczy przyszło do sprawy *o własność*. Otrzymawszy pozew, wystąpiłem przedewszystkiém z *zarzutem* (3) nieważności pozwu, gdyż w nim nie zamieszczono ani *dnia* wręczenia, ani *zamianowania* woźnego. Sąd przyjął *zarzut*. Wydano powtórny pozew, mnie ani moich domowników w domu nie było, sąsiad pozwu nie przyjął, a woźny nie postarał się o *zaznaczenie* przez burmistrza. I znowu pozew jako *niezaznaczony*, upadł. Wydano trzeci pozew. Występuję z *zarzutem nieuprawnienia* do działania. Oddalony zostaję i rozpoczyna się sprawa w całém znaczeniu pieniactwa.

W sprawie o posiadanie zapadały różne wyroki niestanowcze, to nakazujące przypozwanie *powrotnika* (4), to naznaczające *naoczne*

(1) Rzesiński użył dobrze wyrazu: *stosunkowe rozdzielenie*.
(2) Zob. część drugą pod wyrazem *vindicatio*.
(3) *Exceptio*, zarzut; zob. część trzecią.
(4) *Ewiktor* po dawnemu *iścieć*, chociaż w ogólności każdy obowiązany do uiszczenia się z czego, nazywał się *iściec*. W łacinie prawnéj nie

obejrzenie miejsca spornego, to *badanie świadków*. Zjeżdżał podsędek na miejsce sporne, sporządził *wywód badawczy*, i na zasadzie onego, przysądził mi *posiadanie*, pomimo odwodowego *badania*. Przeciwnik odwołuje się do sądu wyższego piérwszego wyrokowania. Poszczam sprawę zaocznie i zaocznym wyrokiem z *odwołania zapadłym*, wyrok *odwołany* uchylono, a ja odsądzonym zostaję od posiadania. Więc *wezwaniem odpornem* stawiam *odpór* przeciw zaocznemu wyrokowi; lecz *odpierany* przezemnie wyrok zachowanym został w swéj mocy i przeciwnik utrzymany przy *posiadaniu*. Już się do téj nie odwoływałem, i od *posiadania* odstąpiłem.

Zaczyna się sprawa o *własność* z wszelkiemi wybiegami. Odbywa się *przygotowanie* sprawy, ustanawiają się obrońcy, *wzajemniają* sobie *dowody*, głosy i pisma obrończe, poczém porządkuje się sprawa, wpisuje do *księgi przywoławczéj* (1) i przychodzi przed sąd. Sypią się zarzuty różnego rodzaju i gatunku, a po ich rozstrzygnięciu zadaję *wpadkowo* zarzut *podrobienia dowodów*. Sąd mianuje biegłych i wyznacza sędziego. Sędzia wyznaczony nakazuje złożyć *pierwotnik* dowodu o *podrobienie* zaskarżonego, do *pisalni* (2) trybunału. Biegli porównywają pisma i wydają swoje *zdanie*. Sąd nakazuje piśmienne *wygotowanie* sprawy. Sędzia *wyznaczony*, spisany przez siebie *sprawozdan* przedstawia i zapada wyrok przysądzający mi własność i skazujący przeciwnika na *wysiedlenie* z nieruchomości spornéj przez niego posiadanéj, a to pod tymczasową *wykonalnością* za *rękojmią*. Zanim jednak zapadł ten wyrok, stawiane były podczas *przygotowania* sprawy rozmaite zawady, jakoto różne sp ry *wpadko-*

ma rzeczownika *evictor*, ale jest *actio evictionis*, *evictio* o zwrot czyli powrót szkód i straconych korzyści przeciw przedawcy rzeczy, która od nabywcy onéj została przez trzeciego jako prawego właściciela odwłaszczoną. *Evictor* przeto ma być ów zbywca, który się stał obowiązanym do zwrotu czyli powrotu szkód nabywcy; jest więc zwrotnik, a dla odróżnienia go od zwrotnika kuli ziemskiéj, *powrotnik*.—*Evincere* znaczy *odzyskać*, i dlatego *evictio* w naszym dawnym języku oddawano wyrazem *odzysk*; dobry wyraz, przywrócić go należy.

(1) Księga przywoławcza, zwana wokanda.

(2) *Kancelaryją* nazwaćby należało właściwie *pisownia*, tak jak się mówi *pracownia*, *wyrobnia*, a lepiéj *przerobnia* zamiast *fabryka*, i inne kończące się na *ownia* oznaczające miejsce pracy lub składu, jak np. wozownia. Ale nauczyciele języka już sobie zawłaszczyli wyraz *pisownia* na oznaczenie greckiego *ortografija*, chociaż mogą używać wyrazu *prawopis*. Zawłaszczenie to, aczkolwiek przez długoletnie używanie żadném przeciwieństwem niezakłócone, jawne, uprawniło się; przecież jako niewłaściwe, mogłoby być odwłaszczone. Jeżeliby jednak prawomówcy nasi, zarzutem przedawnienia raczéj bronić się woleli, niżeli, o czém wątpićby należało, iść za słusznością; w takim razie wypadłoby dawny wyraz *pisarnia* podług Podczaszyńskiego przywrócić, albo zamieniwszy *r* na *l*. mówić *pisalnia*, jak się mówi *czytelnia* od *czytać*, *czytelny* i tym podobnie. *Kancelaryja* bowiem zbyt długo u nas gości i już żartobliwie w poniewierkę wchodzi. Wyraz ten pochodzi od *cancellus* albo od *cancelli in aedibus*, drzwi oszklone prowadzące do pokoiku. *Cancellarius* zaś po teraźniejszemu *kancelista* był urzędnikiem, który różne pisma, odpowiedzi, polecenia cesarskie skreślone, przeglądał czy dobrze napisane. Źle napisane przekreślał, *cancellabat*, dobrze, podznaczał. *Kancelistę* w znaczeniu teraźniejszém nazwać należy *przepisywacz*, bo takie jego główne zatrudnienie.

we, mianowicie: powództwa *dodatkowe i wzajemne, wchodzenie osób trzecich*; co wszystko *zbiorowém postępowaniem* rozstrzyganém być musiało to ocznie, to zaocznemi wyrokami, przeciwko którym zakładano *wezwania odporne* końcem podniesienia *odpieranego wyroku*, uznania żądania *odpierającego* za usprawiedliwione przeciw *odpieranemu* (1). Lecz się to wszystko zwalczyło, i, jak się wyżéj rzekło, wyrok przysądzający mi własność, zapadł. Wręczam wyrok, a gdy przeciwnik dobrowolnie ustąpić nie chce, komornik go *wysiedla*; lecz przeciwnik zyskuje *wyrok szybkiego rozpoznania*, wstrzymujący *wykonalność*. Sprawa idzie do *sądu odwoławczego*, wygrywam. Sprawa idzie do senatu (2) i wygrywam *ostatecznie*. Przysądzono mi znakomite *wydatki*. *Wysiedlony* płacić ich nie chce. Zapowiadam *zasoby* (3) dłużnika podług *wykazu* zapowiedzianego niedostateczne. Komornik zajmuje ruchomości. Osoba trzecia zakłada *powództwo odporne* przeciw ich sprzedaży, przegrywa i ruchomości zajęte przez *głośny przetarg* zostają sprzedane. Lecz że więcéj wierzycieli zgłosiło się, przeto komornik pomimo służącego mi *pierwszeństwa* (4), złożył ze-

(1) Skorochód Majewski w tłumaczeniu prawa kupieckiego, na oznaczenie *opposition*, użył wyrazu *zatamowanie*. Sądzę, że zrozumialszym będzie wyraz *odpór*, *wezwanie odporne*, w miejsce *nota oppozycyjna*, oświadczyć do wywodu wykonawczego *stawienie odporu* i poprzéć *wezwaniem odpornem*. Wyrok *odporny* będzie wyrokiem z oppozycyi zapadłym.

(2) Senator=starosta, od senex=starzec.

(3) *Fundusz* nazywano dawniéj *wątek*; odpowiednim jest mu także wyraz *zasób*, *zasoby*. *Kapitał* zwano dawniéj *iścizna*; wyraz bardzo dobry, trzeba go przywrócić. Zob. Słownik Lindego.

(4) *Przywiléj*, *uprzywilejowany*, przerobiony wyraz z łacińskiego *privilegium*, który złożony z dwóch wyrazów *priva lex*, oznacza właściwie prawo jednéj szczególnéj lub zbiorowéj osobie (moralis persona) wyłącznie udzielone, nadane i do niéj li tylko stosujące się, nazywano u nas dawniéj wyrazem *świeboda*, *słoboda*, *swoboda*. Dobry wyraz czasem jeszcze używany w wyrażeniu *list swobody*; przywrócić go należy, zwłaszcza, że owe tak zwane *privilegia odiosa* wyszły zupełnie z użycia, a jeśliby kiedy zawadzić się mogły, mogą być zwane *uciążliwościami*.— *Samopraw* tak jak jest *samolub*, *samotwór*, dawniéj *samotrzeć*, *Samosław* i *Samomyśl* słowiańskie imiona, byłby także dobrym wyrazem jako malującym że do kogoś samego tylko pewne prawo wyłączne stosuje się.

Od *przywileju* czyli *swobody* albo *samoprawa* różnią się tak zwane *jura singularia*, prawa wyłączne, czyli wyjątkowe od powszechnych zasad prawa. Takiemi są różne *dobrodziejstwa prawa*, *beneficia juris*, jakoto: *restitutionis in integrum*, odnowienia sprawy, *inventarii* spisu pozostałości, *ordinis* porządku, *divisionis* podziału, i t. p. Prawa takie wyjątkowe służą w ogólności wyłącznie każdemu, kto tylko zostaje w takiém położeniu, że ich użyć może. Do nich należy także bez wątpienia *prawo pierwszeństwa*, jakie służy pewnym w ogólności wierzycielom w zaspokojeniu ich wierzytelności przed wszystkiemi innemi wierzycielami jednegoż i tegoż samego dłużnika z jego majątku; bo i to jest wyłącznem dobrodziejstwem, wyjątkowém prawem od powszechnéj zasady stosunkowego rozdzielenia. Niewłaściwie zwali to prawo Rzymianie *privilegium* i czuli to sami. My właściwiéj nazywamy je *prawem pierwszeństwa*, a jeszcze lepiéj jednym wyrazem, *pierwszeństwo* i mówimy: mnie służy *pierwszeństwo*, przysądzone mam *pierwszeństwo*, i już wszyscy rozumiemy, co to ma znaczyć. Ale używamy jeszcze *uprzywilejowane wierzytelności*, należności, koszta czyli wydatki sądowe. Otóż w miejsce tych wyrażeń *uprzywilejowany wierzyciel*, *uprzywilejowana wierzytelność*, mówmy raczéj: *upierwoprawniony wierzyciel*, *upierwoprawniona wierzytelność*.

braną *wartość* na skład do Banku, końcem rozdzielenia stosunkowego. Sędzia wyznaczony sporządził *rozkład stosunkowego rozdzielenia*, przeciwko któremu czynią *zarzuty*. Sędzia *wyznaczony* przedstawia *sprawostan* sądowi i zapada wyrok zatwierdzający *rozkład* sędziego. W sądzie wyższym *rozkład* ten ostatecznie zatwierdzony. Przychodzę odebrać *upierwoprawnione wydatki* sądowe, zastaję *zapowiedzenie*; znoszę je, odbieram *należność* i przecie ukończam *mozolną sprawę*. Lecz nie nadługo; bo przeciwnik założył *odnowienie sprawy*.

Tak możesz się wyrażać prawniku polski. Mała to jest wszakże cząsteczka wyrażeń nieswojskich, przez ciebie używanych; pozostaje nierównie znakomita ich ilość do urobienia, jakoto np.: *naturalizacyja* zamiast *przenarodowienie*, przenarodowiony, przenarodowić, tak jak się mówi przechrzczony, przechrzcić; *termin*, *akt*, *akta*, *kopija*, *zaparafować*, *konkluzyja*, *komplanacyja*, *deferować*, *referować*, *normować przysięgę* (1), *preskrypcyja*, *pretensyja*, *produkta*, *kompensować koszta*, *inwentarz*, *reparacyje komornicze*, *sekwestrator*, *kautor*, *margines protokółu*, (2) *redakcyja wyroku*, *sentencyja*, wyrok *a quo*, wyroki *a quibus*, *sentencyonaryjusz*, *kollacyonowana kopija*, *dyktować* (3), *rewers*, *materyja cywilna*, *handlowa*, *decyzyja*, *zadeklarować*, *ofiarować*, *rekapitulacyja bilansu*, *summaryusz dokumentów*, *zaregestrować*, *instytucyja*, *pretensyja*, *pensyja*, (4) *fundusze alimentarne*, *effekta*, *extrahent egzekucyi*, *plusticytant*, *formalności*, *prekludować*, *prekluzyja*, *konserwator*, *homologować*, *egzemplarz*, *alienacyja*, *expiracyja kontraktu*, *expiracyja lokalu*, *kontynuować popieranie*, *oblikwidować*, *areszt*, *aresztować*, *zakwitować*, *izba konferencyjonalna*, *wakująca sukcessyja*, *taksator* i wiele innych (5). Te wszystkie urobić po swojsku staraj się prawniku polski; bo każde nieswojskie wyrażenie, zadaje mi ranę dotkliwą na zagojenie któréj jedynem lekarstwem jest urobienie swojskiego wyrazu. Nie ociągaj się tylko, postępuj w tym względzie śmiało, a oględnie. Tym sposobem postępując, dokonasz z chlubą dla siebie tego: że pracą twoją, mowa nasza prawnicza cudzoziemszczyzną zachodnią przypstrzona, otrzyma wyrazy i wyrażenia swojskie, które się przyjmą i będą wszystkim w kraju zrozumiałe. Z początku znajdą się trudności i sprzeczki; wytrwałość usunąć je zdoła, a przekonanie: że lepszy domek ciasny, niewygodny lecz własny, niż wspaniały cudzy, i silne zaufanie w dopięciu

(1) Powinniśmy mówić: przysięgę stanowczą *naznaczyć*, *odznaczyć*; sąd przysięgę *naznaczoną*, *odznaczoną* wykonać nakazuje i po jéj *ułożenie* strony do oddzielnego wpisu odsyła. Sąd przysięgę *sądową* z urzędu wykonać rozporządza w osnowie następującéj i t. d

(2) *Protokół=wywód*

(3) *Dyktować=przedsłowić*, pisać za przedsłowieniem.

(4) *Pensyja emerytalna* = płaca wysłużona; *pensyja żeńska* = uczelnia żeńska.

(5) Wyliczanie wszystkich i urobienie onychże po swojsku, przechodzi zakres niniejszéj oceny. Mamy zdolnych prawników: niechaj się zjednoczą, pomyślą, uchwalą. Niezadługo będziemy mieli zaspokajające w téj mierze i w ogólności dzieło znakomitéj pracy professora emeryta.

zamiaru, wiara w doskonałość języka swojskiego: doprowadzi do celu powszechności użytecznego. Szczególniéj ci, którzy żywym głosem, w obec całéj powszechności, jawnie sprawy przedstawiają, i ci, którzy je w wyrokach skreślają, mogą dzielnie wpłynąć na oczyszczenie swojskiéj mowy, a tém samém zmazanie zawstydzenia, z jakiém stoisz przedemną.

Ale nie zasmucaj się tak dalece prawniku polski; nie ty jeden zadajesz mi rany dotkliwe; bo gdzie tylko słuch mój zwrócę, w jakiej-bądź umiejętności, sztuce, rzemiośle, zewsząd uderzają mnie pociski głęboko przejmujące. Czemu mówisz budowniku: „oto stawiam dom, w którym urządzam *sutereny, parter, antresole*, piérwsze i drugie piętro; *facyjatę, oficyny*. *Parter* obracam na sklepy i różne zakłady: jeden z nich będzie zajmować *marszandemod*, w drugim będzie *restauracyja*." Dodaj jeszcze, że ten dom stawiasz „niedaleko *Banhofu* najcudowniejszéj *exploatacyi*," to mnie już dobijesz. Wszakże toż samo oddać możesz po swojsku. Oto stawiam dom, w nim urządzam *podziemia*, dół, *podpiętrze* (1), piérwsze, drugie piętro, *poddasze, przybocznice*. Na dole będą sklepy i różne zakłady; w jednym z nich będzie *strojnia*, w drugim *jadalnia*; a to wszystko stawiam niedaleko *kolejni* wybornie *urządzonéj*.

Czasowe pisma, które codziennie krążą między powszechnością a przeto najwięcéj o swojskość dbać powinny, nie starają się ściśle o czystość mowy swojskiéj. Do ciebie najmłodsze pismo, Dzienniku Warszawski głos mój obracam. Ty, jako najmłodsze, lubo może najmniéj winne, możesz być napomniane; bo starszym trudno odwyknąć od zastarzałéj wady, po tobie zaś spodziewać się należało postępu w czystości mowy. Zadziwisz się gdy ci powiem, że od liczby 143 do 157 tegorocznego Dziennika znajduje się blizko do tysiąca wyrazów cudzoziemskich, które przy ściślejszém wypracowaniu, wszystkie po swojsku urobić możesz.

Dlaczego np. w nr. 117 tegorocznym użyłeś wyrazów: *niekonsekwentny, kwadrować*, mało *konsekwencyi, niekwadrowało* jakoś jedno drugiemu; kiedy to wszystko po swojsku oddać można: nie ma związku jedno z drugiém, mało ma związku; nie stosowało się to jakoś jedno do drugiego, nie odpowiadało jedno drugiemu, nie zgadzało się jedno z drugiém.

Albo pod liczbą 142 z d. 29 maja 1852 dlaczego wyraziłeś się: „Ważny nader *fakt* wypada nam *zanotować* w *historyi* parlamentarnéj w Anglii", kiedy dobrze jest po swojsku: ważne nader zdarzenie wypada nam zaznaczyć w dziejach parlamentu angielskiego. Dlaczego używasz wyrazów: *parada, rewizyja, awansować, ranga, skomponować, willa, aparat, korporacyja, interesa terrytoryjalne, finanse, ratyfikacyja, entuzyjazm publiczny, uorganizować, zakommunikować*, i mnóstwo innych, które gdyby kto czerwoną barwą popodkreślał, ujrzałbyś się przystrojonym w zadziwiającą pstrociznę.

Dlaczego w Gazecie Warszaw. pod liczbą 116 z d. 2 maja 1852 r. w doniesieniu o nieodżałowanym Antonim Muczkowskim dobrze nam

(1) *Między-piętrze, półpiętrze*. Podczaszyński.

znanym jak dalece był dbałym o czystość języka, tak pięknie, prawdziwie i szczytnie oddanêm, zaraz na wstępie wyrażono „chociaż oba *intellektualną* stronę ludzkości *reprezentują*", kiedy należało po swojsku oddać: chociaż oba umysłową stronę ludzkości przedstawiają. Ale dosyć na tych bolesnych dla mnie przykładach; ileżby ich jeszcze przywieść można! Zamilczéć jednak wolę, bo dość na słowie. W zeszłych wiekach cierpiałam na mięszaninę łacińską, przy końcu ostatniego i na początku teraźniejszego dręczoną byłam mieszaniną francuzką. Przecierpiałam udręczenia, rany moje powoli zagajać się zaczęły i w znacznéj części zagojone są. Jeden, dwa, trzy kroki w dalszym postępie wyleczyć mnie mogą zupełnie, i mam nadzieję, że to nastąpi przy dobrych chęciach. Jednéj wszakże rady udzielić w końcu widzę potrzebę: że jeżeli, pomimo zasad jakie nauka mowy swojskiéj wskazuje, znajdujecie trudność w urobieniu potrzebnego wyrazu z wyrazów swojskich, udajcie się do pobratymczych narzeczy, do ruskiego, czeskiego, serbskiego, (gdyż każdy wyższego wykształcenia obywatel z tych trzech narodów, wszystkie te przynajmniéj słowiańskie trzy języki umiéćby powinien); tam poszukajcie, a znaleziony przyswojcie urobiwszy go stosownie. Stokroć lepiéj uczynicie, niż zatrzymując wyraz romański, a co gorsza, niemiecki. Ci, którzy od maleństwa swego przyzwyczajani są do cudzoziemskiéj mowy, nie słyszą i nie czują obczyzny w mowie swojskiéj, i od nich téż, jeśli się nie nawrócą, nie spodziewam się ulgi; ale swojskie ucho słyszy, a swojskie czucie uczuwa obczyznę romańską lub germańską, jako przerażającą niezgodność w grze pięknéj mowy swojskiéj" (1).

Lecz wróćmy się do naszéj oceny, przemową swojskości przerwanéj.

Tłumacz, jak się wyżéj nadmieniło, zatrzymał w przekładzie swoim wiele wyrazów prawniczych cudzoziemskich, szczególniéj łacińskich z zakończeniem polskiém. Przejdziemy je porządkiem ksiąg Justyniańskich dla łatwiejszego wyszukania ich w dziele, z odniesieniem się jak wypadnie.

KSIĘGA Isza.

Prawodawca oznaczywszy sprawiedliwość i prawoznawstwo; nie chcąc obarczać początkującéj młodzieży różnemi określeniami pra-

(1) Dlatego dobrze jest niekiedy udać się po urobienie wyrazu swojskiego, zwłaszcza potocznego, do naszego ludu wieśniaczego. Ten nie znając obcych języków zachowuje czystość mowy swojskiéj. Kiedy w parę tygodni po pierwszym do Częstochowy przybyłym parociągu, stałem przy kolejni częstochowskiéj, słyszałem jak w chwili zbliżania się parociągu, jeden wieśniak wskazując zawołał na drugiego: „patrzno jak pędzi *parówka*"; przyszła mu widać na myśl wiatrówka i naprędce wymyślił stosowny wyraz. Z wyrazu para urobić można: *parnia, parnica, parownica; parownia, parówka, parowiec*, jak wierzchowiec; *parociąg* nierównie lepszy niż lokomotywa.

wa, jakie podają Celsus, Paulus, Ulpianus, i pozostawiając to do wykładu pandektów, wskazuje odrazu ogólną treść prawa, tojest: co prawo w ogólności w sobie obejmuje. Wiadomo, że obejmuje rozkazy zakazujące i nakazujące, bo niekiedy tylko ustawa pozwala warunkowo, lex secundum quid permissiva. W ogólności prawo nakazuje żyć uczciwie i oddawać każdemu co jego jest, zakazuje zaś krzywdzić. Dlatego też prawodawca wyraża się w tym względzie: *praecepta juris sunt, honeste vivere, neminem laedere, suum cuique tribuere.*

Tłumacz 1. 3. oddał *praecepta juris*, wyrazem: *maxymy* prawa są te: żyj uczciwie i t. d. *Praeceptum* kładzie się zamiast *jussus*: *praecipere* znaczy to samo co *imperare, jubere.* Odnośnie zatém do myśli prawodawcy należało przetłumaczyć: *główne rozkazy*, albo: *przykazania* prawa są: żyj uczciwie i t. d. Tym sposobem unikniemy wyrazu nieswojskiego *maxymy* i rzecz właściwiéj oddamy.

Następnie tłumacz wyliczając różne rodzaje ustaw, zatrzymał wyraz 2. 6. *konstytucyja* i wszędzie go używa zamiast *postanowienie. Constitutio* pochodzi od *constituere* postanowić np. zapłatę w pewnym dniu, postanowić prawo przez umowę. *Constitutio* zaś *civilis*, znaczy to samo co *regula juris antiqui*, rozporządzenie, ustawa, postanowienie prawa dawnego. Jestto ogólny wyraz na stanowienie wszelkiego rodzaju ustaw. Dlatego dawniéj lud, potém gmin i senat, *constituebat*, postanawiał; nakoniec sam tylko panujący *constituebat*, wydając rozmaitym sposobem, różnéj treści i postaci, i dlatego różnie nazywane postanowienia. Ztąd *constitutio principum*, zwana niekiedy *principalis, sacra*, oznacza postanowienie imperatorskie, w jakibądź sposób przez panującego wydane, czyto przez rozstrzygnięcie sporu (*cognoscendo*), czy przez list (*epistola*), czy przez rozporządzenie lub rozkaz (*praecepit edicto*) i t. p. i wszystko co tylko wyrażało wolą panującego nazywało się *constitutio* w miejsce starożytnego *lex* ustawa, prawo. Dlatego prawodawca wymieniwszy różne rodzaje ustaw, zowiąc je wszystkie w ogóle postanowieniami, tak się wyraża:

haec sunt quae constitutiones appellantur.

Co tak tłumacz przełożył:

„te to właśnie *akta konstytucyjami* się zowią."

zamiast: co wszystko w szczególności zowiemy postanowieniami. Najlepiéj wyrazowi *constitutio* w znaczeniu odpowiada ukaz, przykaz.

W całém tłumaczeniu często wysłowia się tłumacz wyrazami: *naturalny, natura*, nawet tam, gdzie tego wyrazu nie masz w pierwotniku; bo też zbyt często, powszechnie bez żadnéj potrzeby używamy wyrazu: *natura, naturalny, naturalnie*, mając własne *roda, wszechroda, przyroda, przyrodzony, wrodzony* (1) i inne wedle zachodzącéj potrzeby wysłowienia. Zabawnie to brzmi ten wyraz *naturalnie* zamiast *oczywiście, bez wątpienia, niewątpliwie, niepodobieństwo*, używany; albo *rzecz naturalna*, zamiast *rzecz oczywista*, np. *natu-*

(1) Zob. Bibl. Warsz. z m. lipca r. z: Odpowiedź Żochowskiego na Ocenę jego Mowni.

ralne, że to będzie miało tę *konsekwencyją* iż i t. d., jak się nieraz czasowe pisma wyrażają; zamiast: *bez wątpienia*, że z tego wyniknie takie *następstwo*, iż i t. d. I tak Dziennik Warsz. pod l. 148 z r. 1852 pisze: w takim razie *naturalnie* niepodobna żeby Izba pominęła tę *kwestyją*. Piękniéj będzie po swojsku zamiast *naturalnie niepodobna*, wysłowić: *niepodobieństwem jest* i t. d.

Między innemi nasz tłumacz użył tego wyrazu: W k. II l. 12, gdzie mowa jest o nabywaniu własności. I tak mówi: *Naturalny* rozsądek, naturalis ratio, zamiast *zdrowy rozsądek*, albo *sam rozum wskazuje*, że to co pierwotnie było niczyjém, należy do pierwotnego zawłaszczyciela.

Naturalny ojciec, matka, syn, córka, brat, siostra, zamiast *rodzony* ojciec, syn i t. d. Bardzo dobrze jest *rodzony* ojciec, syn, brat; gdyż w odwrotném znaczeniu może być ojciec przybrany, syn przyswojony czyli przysposobiony lub przybrany. Zobacz o tém niżéj.

14. Pszczoły dzikie z *natury*, zamiast: dzikie z *przyrodzenia*.

II. 1. 23. *Koryto naturalne* rzeki, naturalis alveus, zamiast *koryto pierwotne*, opuszczone, należy do właścicieli nadbrzeżnych dziedzin.

1 24 zalanie gruntu nie zmienia jego *natury*. W pierwotworze stoi *species*, więc powinno być „nie zmienia jego rodzaju", a jeszcze lepiéj „jego istoty"; dlatego, gdy woda ustąpi, oczywista, że grunt wraca do swego pana.

Natura wszelkie pożytki dla ludzi przysposobiła; czemuż nie wszechroda albo *przyroda*?

39. Cesarz Adryjan idąc za *naturalną* słusznością;.. powinno być: idąc za *wrodzoną* słusznością, przyznał znaleziony skarb przez właściciela w obrębie jego posiadłości, znalazcy.

2 1. Rzeczy zmysłowe *są téj natury*, że się ich można dotykać. W pierwotniku jest: res corporales sunt *hae, quae* tangi possunt; więc powinno być: *są te, których* można się dotykać.

20 2. Nasza *konstytucyja* stanowi: że wszelkie *legata* będą jednéjże *natury*. Nostra constitutio disposuit, ut omnibus legatis una sit natura. Należało przełożyć z pominięciem wyrazu *natura*, w ten sposób: nasze postanowienie rozporządziło, żeby wszelkiego rodzaju zapisy, jednakowe miały znaczenie. Taka bowiem myśl prawodawcy wykrywa się z całego tego ustępu, w którym znosi owe cztery starożytne rodzaje zapisów: przez odwłaszczenie, przez skazanie, przez dozwolenie, przez *pierwobór* jak dobrze tłumacz *praeceptio* nazwał.

Również prawie zawsze używa tłumacz przymiotnika *publiczny* i przysłówka *publicznie*. W części piérwszéj oceny wskazałem niepotrzebne przez tłumacza pozostawienie wyrażeń: prawo cywilne, publiczne, prywatne. Oprócz tego wyraża się tłumacz:

sprawy publiczne, jurisdictio publica; zamiast: sprawy karne, sądownictwo społeczne.

majętność publiczna, zamiast społeczna;

rzeczy publiczne, zamiast społeczne albo powszechne, jako do powszechnego użytku służące;

użytek publiczny, zamiast powszechny. II, 20, 4.

udać się w *potrzebie publicznéj*, zamiast: w potrzebie społecznéj, rządowéj. IV, 6,5.

publiczne używanie brzegów rzeki, II, 1, 4; powinno być: używanie brzegów rzeki jest powszechne.

W ogólności, w miejsce wyrazu publiczny, publicznie, użyć powinniśmy: powszechny, ogólny, społeczny, jawny, rządowy, urzędowy, podług potrzeby; przez co wykażemy tu większą i wybornie zastosowaną rozmaitość naszego języka.

Częściéj jeszcze, jak już wyżéj nadmieniłem, używa tłumacz wyrazu *interes*, tam nawet, gdzie go w pierwotworze wcale nie masz, i gdzie bez niego zupełnie obejść się można było i należało. Obowiązkiem naszych pisarzy jest unikać tego wyrazu, nie zaś jakby na potwierdzenie jego niby niezbędności używać go i głosić. Wyląg on się z ducha czasu i tak nieszczęśliwie wkorzenił w piękną naszę mowę, iż zdaje się niepodobieństwem obejść się bez niego. Mniéj dbali o swojskość, mówią, że jest wygodnym choć obcym, bo wszechstronnym. Prawda, że jest takim dla niechętnych w wyszukaniu i użyciu stosownych swojskich wyrażeń, ale rozebrawszy go ściśléj, okaże się nietylko niestosownym w mowie naszéj, ale i śmiesznym.

Pochodzi z łacińskiego słowa *inter-esse*, co dosłownie znaczy między-być, *interest mea*, między-jest. Powstało ono przez skrócenie w miejsce inter mea negotia est, co znaczy: jest między mojemi czynnościami albo rzeczami, potrzebami; azatém: jest co mnie dotyczy, czyli: jest coś takiego, co mnie dotyczy. Rzymianie z tego słowa nie urobili żadnego rzeczownika, jakim jest interes, między-byt; jestto utwór francuzki, który wkręciwszy się do obfitéj mowy naszéj, szeroko się w niéj rozgościł, głusząc sobą nasze swojskie rozmaite stosowne wyrażenia. I mówimy: mam *interes*, różne *interesa familijne*, niby wśród-byty, idę za różnemi *interesami*, różne mnie tu *interesa* zatrzymują, to jest rzecz *interesująca* albo *interesowna*, dobre *interesa* robi, *interesa* źle mu idą, to mnie *interesuje* albo wzbudza we mnie *interes*, to mnie wcale *nie interesuje*; *interesem* władzy, kraju, moim jest, a to *interesowany* człowiek, sprawować swoje lub cudze *interesa*, w *interesie* swoim lub cudzym działać, co tu masz za *interes*, czego tu stoisz, wchodzisz? i jeszcze rozmaicie. Nie mamy wprawdzie tak encyklopedycznego (proszę o przebaczenie), wszechstronnego ogólnika, chyba wyraz rzecz; ale niech go sobie używa ubóstwo językowe; nasze bogactwo mowy wcale go nie potrzebuje, bo ma rozliczne stosowne do przedmiotu wyrażenia, oznaczając niemi toż samo, co jednym ogólnikiem Francuz nie mając innych rozróżniających wyrazów, wyrażać musi tak właśnie, jak niemając tak obfitych i pięknych odmian imion, mówi: ojciec, pojdę do ojciec, idę z ojciec, wielka jest dobroć w ojciec, czy to w jednym czy w kilku, bo nawet w wymawianiu częstokroć liczba mnoga nie różni się od pojedynczéj. Otóż ten ogólnik zabawny wszędobylski, zasmakował nam, chociaż powinniśmy stosownie do zachodzących okoliczności rozmaicie w ten sposób wyrażać się: mam różne sprawunki, idę za sprawunkami, gdy idzię o kupienie lub sprawienie jakiego przedmiotu: mam różne rzeczy

lub czynności do załatwienia, mam pewną rzecz, czynność, sprawę w rządzie do załatwienia; a nawet moglibyśmy się tu w ten sposób wyrażać: idę za pewném załatwieniem do Rządu Gubernialnego, mam różne załatwienia, rozumié się wyrobić; to jest rzecz zajmująca, godna zajęcia lub zastanowienia; różne rzeczy, zatrudnienia, okoliczności, potrzeby mnie tu zatrzymują; to mnie mocno zajmuje, to mnie obchodzi, dotyczy, to mnie wcale nie obchodzi, nie zajmuje i nie dotyczy; rzeczą władzy, kraju, moją jest; źle mu się powodzi, dobrze mu się powodzi, dobrze się obraca; to jest zabiegliwy człowiek, łapczywy, osobistością tchnący, ma uboczne widoki, zajmuje się cudzemi sprawami, rzeczami, mieniem; wykonywa czynności cudze za kogoś; co tu masz za sprawę, czego tu stoisz, czego mnie nachodzisz? i t. p. Zgoła wyrazami: rzecz, sprawunek, czynność, działanie, tak jak po rusku dzieło w miejsce interes, zatrudnienie, zajęcie, potrzeba, sprawa, załatwienie; lepiéj, rozmaiciéj i stosowniéj do przedmiotu wyrażać się możemy, niźli przez ogólnik *interes*, nieswojski i niestosowny do naszego wewnętrznego usposobienia.

Tłumacz użył między innemi wyrazu *interes* w następujących miejscach, zamiast *negotium*, *res*, *causa*, *gratia*.

I 6 5. Si quis manumittat servum procuratoris habendi gratia; przełożył:

gdy kto chce wyzwolić mężczyznę, któremu zamierza poruczyć swe interesa; powinno być:

gdy kto chce wyzwolić niewolnika, dla ustanowienia go swym pełnomocnikiem albo wyręczycielem, jak go tłumacz nazywa, o czém później.

I 14 4. Certae autem rei vel causae tutor dari non potest; quia personae non causae vel rei tutor datur; przełożył:

nie można wyznaczyć opiekuna rzeczy lub *interesu* oznaczonego; bo opiekun daje się osobie nie zaś *interesowi* lub rzeczy. Powinno być:

nie można wyznaczać opiekuna dla jakiéjś wyłącznéj rzeczy lub czynności; bo opiekun daje się osobie nie zaś dla rzeczy lub załatwienia jakiéjś czynności. Wszakże tłumacz I 23 2. *certa causa* przełożył wyrazami: oznaczona czynność, mówiąc: kurator bowiem i do pewnéj oznaczonéj czynności wyznaczonym być może.

Ale powié tłumacz: że tutaj wyraz *causa* użytym jest w miejsce *negotium*, i dlatego użył wyrazu *interes*, bo zawsze *negotium* zwykł oddawać wyrazem interes.

To prawda, że tym ogólnikiem łatwiéj się wyrazić, lecz zastanowiwszy się mocniéj, możemy *negotium* rozmaicie oddać. *Negotium* bowiem między innemi w ogólności znaczy: czynność, zajęcie się czémsiś, jakąś czynnością, a mianowicie czynnością urzędową; ztąd *dare negotium*, poruczyć czynność urzędową. W szczególności zaś między innemi znaczy:

1. Kupiectwo, przedsiębierstwo, przemysł, zamiast *negotiatio*.

2. Rzeczy, mienie, dobro, majątek, tudzież nasz ogólnik rzecz.

I tak: negotia administrare, curare, deferre, explicare, finire, gerere; znaczy: zarządzać dobrem, dobrami, mieniem, mieć staranie

o mieniu, poruczyć komu dobro, mienie, sprawy, rozwinąć czynności, działanie, ukończyć rzecz, zajmować się, wykonać.

Tłumacz między innemi, tłumacząc przedmiot o opiece i o wymawianiu się od opieki wyraża się:

I, 20, 7. Pupilli negotia gerere: sprawować *interesa* pupilla; zamiast: zajmować się dobrem nieletniego.

I, 23. Sua negotia tueri non possunt; przełożył: nie są sposobni do kierowania swojemi *interesami*. Powinno być: nie umieją być bacznemi na mienie swoje.

I, 23, 5. 6. Idoneus non est ad administrationem, nec tamen fraudulenter negotia administrat. Niezdolnym jest do zawiadowstwa, a jednak rzetelnie *interesami* zawiaduje; powinno być:

niezdolnym jest wprawdzie do zarządu, ale jednak rzetelnie mieniem zawiaduje.

I, 25, 7. Item propter adversam valetudinem, propter quam ne suis quidem negotiis interesse potest.

Przełożył: zły stan zdrowia służy wtedy za wymówkę (od opieki), gdy nie dozwala własnemi trudnić się *interesami*;

powinno być: gdy nie dozwala zajmować się *własném dobrem*.

I, 25. 8. Chociaż i nie umiejąc czytać można sobie *dać radę w interesach*.

powinno być: chociaż i nieumiejący czytać mogą w zarządzie wszelkiém mieniem swojém dać sobie radę.

Daléj, I, 25, 13. bo o kim wiadomo, że *we własnych interesach potrzebuje pomocy*, a nawet sam sobą nie rządzi, takiemu byłoby nierozsądkiem powierzać nad drugiemi opiekę lub kuratelę;

powinno być: *że do zarządu mieniem swojém potrzebuje pomocy* i t. d.

Również II, 1, 43. Gdy komu powierzony został wolny zarząd wszystkich *interesów*;

powinno być: gdy komu powierzonym został nieograniczony zarząd wszelkiego mienia.

Wyraz bowiem *mienie* oznacza nietylko same dobra rzeczowe, ale i zobowiązania i wszystko, co stanowić może majątek w najobszerniejszém znaczeniu.

Następnie III, 19, 19.

„gdy kto stypuluje karę, nie na to się uważa ażali ma jakowy *interes*, ale na ilość jaką warunek stypulacyi obejmuje."

powinno być: gdy kto sobie waruje karę (w umowie), nie na to się uważa, coby mu na tém zależało, ale na ilość jaka była stypulacyją zawarowana.

Tak samo III, 23, 5. Loca sacra frustra quis sciens emit: quae tamen si pro profanis vel privatis deceptus a venditore quis emerit, *habebit actionem ex emto ut consequatur quod sua interest eum deceptum non esse;* przełożył:

„będzie mu służyła skarga z kupna o wynagrodzenie wyrównywające *interesowi*, jaki miał w tém aby nie był oszukany;"

powinno być: będzie miał powództwo z kupna przeciw sprzedawcy, aby otrzymał od niego tyle, ile mu zależało na tém, żeby nie był oszukanym.

Nakoniec tam gdzie mowa jest o *negotiorum gestio* III, 27, tłumacz wszędzie używa wyrażenia: *„sprawowanie interesów.“ Actio negotiorum gestorum, skarga ze sprawowania interesów.*

Negotiorum gestio nazwałbym *zastępstwem bezumownem;* bo to jest gatunek niby umowy i ma miejsce wtenczas, gdy kto zajmuje się mieniem nieobecnego, mianowicie zarządem jego majątku bez zawarcia z nim o to umowy. Działa więc samowolnie, zastępczo. A jak mamy *zastępstwo* i *zastępcę* nieobecnych dziedziców przez władzę sądową mianowanych, tak i tu takichże wyrażeń z dodatkiem bezumowny, użyć możemy. I będzie *negotiorum gestio, zastępstwo; actio negotiorum gestorum, powództwo zastępcze.* A tak zamiast wyrażeń tłumacza: „temu czyj *interes* był sprawowany, ten kto cudze *interesa* sprawował“; dobrze powiemy: *zastąpionemu* służy bezpośrednio powództwo przeciw *bezumownemu zastępcy.*

W księdze IV, 10, 11, w. 1. tak się tłumacz wyraża: „albowiem choroby, wiek, nieodzowne podróże i rozliczne inne przeszkody, częstokroć nie dozwalają osobiście *załatwiać własnych interesów* (*rem suam exequi*). Kogokolwiek (zatém) upoważniasz *do załatwiania lub bronienia twoich interesów* (*rem tuam agere vel defendere*), ten będzie uznanym za *wyręczyciela.*

W obydwóch tych wyrażeniach należy mieć na uwadze: że od nadpisu 6 ks. IV ciągle do końca téj księgi mowa jest o postępowaniu przed sądami; nadpis więc 10ty o osobach przez które działać (*agere*) możemy, odnosi się do prowadzenia spraw w sądzie przez upoważnionych, których tłumacz zowie wyręczycielami. A że *exequi* znaczy między innemi, działać w sądzie, *in judicio persequi*, zaś *res* oznacza także *sprawę*, bo wiadomo jakim jest ogólnikiem i jak rozliczne ma znaczenie; przeto stosując się do myśli w jakiéj tu słowo *exequi* i rzeczownik *res* są użyte i zważając, że *agere* znaczy także *czynić w sądzie, toczyć sprawę;* wypadnie przełożyć:

„albowiem choroby i t. d. częstokroć nie dozwalają osobiście spraw swoich prowadzić. Kogokolwiek zatém upoważniasz do wytaczania spraw twoich lub do ich bronienia, ten będzie uważanym za wyręczyciela.“

A tak pod każdym względem możemy się obejść bez nieswojskiego ogólnika *interes*, zabawnie w naszéj mowie wszędzie i zawsze natrętnie nastręczającego się.

Zatrzymał także tłumacz nazwy różnych gatunków ustaw. Jakoto: I, 2, 3, s.

edykta pretorskie a późniéj cesarskie. Byłyto *rozporządzenia* pierwotnie przez pretorów corocznie wydawane; późniéj sam panujący rozporządzał, czyli *rozporządzeniem polecał, praecepit edicto. Praecipere* znaczy to samo co *imperare, jubere,* jak się wyżéj rzekło. Moglibyśmy zatém użyć wyrażenia: rozporządzeniem swojém rozkazał.

Epistola constituit, przełożył tłumacz: *reskryptem* rozporządził. Wszakże *rescriptum* miało inne swoje odróżnienie. Tu możemy użyć wyrażenia: *pismem* swojém lub *listem* swoim postanowił. Mówimy: list pasterski, możemy mówić list imperatorski. Znane są także listy wierzytelne.

I, 5, 6, 4, 5. *Instytucyja* (manumissyi) wzięła swój początek z prawa powszechnego ludów. W pierwotniku nie ma tego wyrazu instytucyja; tam się tak prawodawca wyraża: que res (manumiscio) a jure gentium originem sumpsit. Więc powinno być: ma to swój początek w prawie narodów.— W ogólności *institutio* odpowiada naszemu wyrazowi *urządzenie*, w którego miejsce używamy wyrazu *organizacyja*; czasem bierze się zamiast *lex* ustawa.

Również niepotrzebnie zatrzymał tu tłumacz wyraz *manumissyja*, chociaż niezawsze; bo częściéj używa wyrazu *wyzwolenie*. *Manumissor* zaś przełożył wyrazem *wyzwoliciel*, *manumissus wyzwolony*.

Zatrzymał także:

11. *adopcyja*, *adrogacyja*, *adoptowany*, *adrogowany*, *adoptujący*, *adrogujący*, *ojciec adopcyjny*. Adopcyją wszakże w ogólności nazwał *przyswojeniem* w miejsce dotychczas używanego wyrazu *przysposobienie*, który rzeczywiście nasuwa i inne znaczenie, gdy się mówi: że ktoś przysposobił sobie dziécię, rozumié się nie z małżeństwa. Dlatego może lepiéj przyjąć wyraz przyswojenie. *Adrogacyja* pozostać musi; jestto li rzymskie, zastarzałe i w naszych stosunkach obumarłe. Jednakże *adrogacyją* nazwał w ks. III, 10, 1, *przybranie za dziecko*; *adrogatora przybiercą*, zaś *adrogowanego (adrogatus) przybranym*. Wreszcie użył wyrazów: *przyswojony*, *adoptatus*, i *przyswoiciel*, *pater adoptivus*. W układzie prawa mogą się ostać takie wyrażenia, lecz potocznie możeby nie dało się mówić: oto jest mój przyswoiciel, oto mój przyswojony. Lepiéj zapewne będzie w ten sposób wyrażać się: oto mój ojciec przyswojony, oto mój syn przyswojony; obydwa bowiem wzajem się sobie przyswoili przez wzajemne zezwolenie. A najlepiéj, bo przystojniéj, mówmy: ojciec przybrany, syn przybrany, którychto wyrażeń używamy tylko przez grzeczność dla ojczyma i dla pasierba.

11, 2. *Spadek abintestato*, można oddać wyrażeniem: dziedzictwo nierozporządzone albo spadek nierozporządzony; zaś *abintestato decessit* przełożyć należy wyrazem: *bezrozporządzalnie umarł*. W ks. III nadpis 1. oddał tłumacz: o dziedzictwach *bezestamentowych*, albowiem zatrzymał wyraz *testament*, o czém będzie niżéj.

12, 6. Zatrzymane przez tłumacza wyrazy: *emancypować*, *emancypacyja*, *emancypowany*, przełożyć należało przez: *uwłasnowolnić*, *uwłasnowolnienie*, *uwłasnowolniony*; chociaż i dotąd używany wyraz *usamowolnić* pozostać może.

Lecz wyraz *pupil* należałoby przeswojszczyć. Oznaczał on nieletnią do lat 12, nieletniego zaś do lat 14, czyto pod władzą ojca, czy pod opieką zostającego. Nasz przeto wyraz *malec* odpowiada mu w rzymskiém co do lat znaczeniu. Teraz *pupil* znaczy nieletniego i małoletniego pod opieką zostającego aż do lat 21, chociażby uwłasnowolnionego; jest zatém *opiekowany*, *a*. Dlatego dobrze w układzie

prawa nazwać go można: *nieletni, małoletni, opiekowany*; ale potocznie trudno się tak wyrażać: oto jest mój *nieletni*, albo *opiekowany*, zamiast mój *pupil*; składniéj już dałoby się mówić, oto *przezemnie opiekowany*. I gdyby w układzie prawa tak się wyrażono, toby był wszedł i w potoczne użycie, z czego urobićby się mógł: *opiekowanek, opiekowanka*, jak z wyrazu wychowany, na, złożył się *wychowanek, wychowanka*, a nawet *wychowaniec, wychowanica*.

Również *kuratela, kurator* przez tłumacza pozostawione wyrazy oddawna oczekują przeswojszczenia. W kodexie dla królestwa polskiego z r. 1825, ograniczonemu w własnéj woli, tudzież marnotrawnemu dodany podług prawa rzymskiego *curator* nazwanym jest, *zarządcą, doradcą* (1). Czemużbyśmy nie mieli użyć tegoż samego wyrazu na oznaczenie *kuratora*, osoby uwłasnowolnionéj, skoro ich obowiązki mało co od siebie się różnią? Będzie zatém *cura* przezwana *kuratelą, doradztwo*; kurator zaś, *doradca* uwłasnowolnionego, ograniczonego i marnotrawnego. Wreszcie kuratora osoby nieobecnéj, spadku bezdziedzicznego, nazwać można zarządcą albo zastępcą.

Na oznaczenie zostającego pod doradztwem czyli kuratelą, nie mieli Rzymianie wyrazu osobnego i wyrażali go opisowym sposobem: *is qui sub cura est*. I my téż tak się wyrażamy.

Mamy więc tu stosujące się wyrazy: *opieka, opiekun, opiekunka, opiekun główny, przydany opiekun, współopiekun, doradca małżonce*, wdowie, opiekunce dodany; *doradztwo, doradca uwłasnowolnionego, ograniczonego i marnotrawcy*. Na oznaczenie zaś pod doradztwem zostającego małoletniego używamy wyrazu *usamowolniony*, a lepiéj będzie *uwłasnowolniony*, dlatego, że trudno miéć samowolę, chociaż miéć można własnowolę. Nakoniec tego co dopiero zpod opieki lub doradztwa wyszedł, nazwać możemy *własnowolny*. I będziemy się zwięźléj wysłowiać: Opiekun zda liczbę własnowolnemu, a własnowolny utraca powództwo przeciw opiekunom i doradcom przez upływ lat czterech od ustania opieki lub doradztwa.

20, 4. W miejsce zatrzymanego wyrazu *jurysdykcyja*, mamy dobry wyraz *sądownictwo*, władza sądowa, sądownicza. Zaś

5. *Persona publica* vel *magistratus*, można oddać wyrażeniem osoba urzędowa lub urzędnik, zamiast *osoba publiczna*, jak to już wyżéj co do wyrazu *publiczny*, wykazaliśmy. A tak zamiast *służba publiczna*, będzie dobrze: służba rządowa; przeciwnie służbę *prywatną* nazwijmy, służbą pospolitą, zwyczajną.

Dlaczego tłumacz użył wyrażenia dobra *fiskalne*, majętność *fiskalna*, dobra naszego *fisku* II, 6, 9, kiedy mamy bardzo dobre swojskie wyrażenia: dobra *skarbowe*, majętność *skarbowa*, dobra nasze *skarbowe*? Również

21, 3. Tłumacz użył bezpotrzebnie wyrazu *assystencyja kuratora*; zaś *curatore interveniente judicium peragitur*, przełożył:

(1) Karol Mecisłeski w dziele Ustanowienia prawa cywilnego. Kraków 1785 r. wszelkiego rodzaju *kuratorów* zowie *dozorcami*.

Spór toczy się w *assystencyi* kuratora, którego obowiązki wraz ze sporem kończą się.

Intervenire znaczy tutaj *auctoritatem interponere*. Należało zatém oddać:

spór toczy się *pod powagą* i *wchodzeniem do sprawy* kuratora, czyli doradcy.

Lecz i my tak zwykle pozywamy żonę *w assystencyi męża*, małoletnich *w assystencyi* opiekuna; zamiast *w przytomności*; a wszakże wyraz przytomność złożony jest z wyrazów: *przy tém, przy tobie*.

24, 1. Każdy (z kilku opiekunów lub kuratorów) może *zaofiarować* rękojmią dla zapewnienia bezszkodności; *offere satisdationem*. W miejsce *zaofiarować* lepiéj użyć swojskiego wyrazu: *przedstawić* albo *okazać, wskazać*, dostateczną rękojmię; ale wyraz *rękojmia* jest wyborny w miejsce używanego dotąd wyrazu *kaucyja*, szczególniéj w wyrokach: np. „Sąd i t. d. skazuje pod tymczasową *egzekucyją* za *kaucyją*. Można także użyć wyrazu *poręka*.

25, 16. Zamiast *appellować* lepiéj używać: odwołać się. Również

25, 18, 19. zamiast decyzyja, w reskrypcie *zdecydować*, powinno być rozstrzygnąć. W pierwotworze jest: Divi Severus et Antoninus *rescripserunt*; więc być powinno, podług tego jak się wyżéj okazało: rozporządzili.

Nakoniec w téj księdze I, 26, 9 zachowany wyraz *alimenta* i powszechnie u nas jako téż i *emerytura* używany, po swojsku oddać należy. Pierwotwor tak brzmi: si quis tutor copiam sui non faciat, ut alimenta pupillo decernantur.

Wyraz *alimenta* w obszerniejszém znaczeniu, obejmuje: żywność, odzież, mieszkanie i wychowanie, jeżeli się stosuje do dzieci wychowania potrzebujących; jestto tak zwany fundusz na utrzymanie, który zastąpić można wyrażeniem: zasoby, albo *środki utrzymania*. I będzie: jeżeli się opiekun nie postara o przeznaczenie środków utrzymania nieletnich.

KSIĘGA IIga.

W téj księdze rozpoczyna prawodawca prawo rzeczowe, podając zarazem sposoby nabywania własności przyrodzone i prawne za wpływem woli właściciela, lecz darmo. Zobaczmy, jakie tu wyrazy rzymskie zatrzymał tłumacz i jakby je po swojsku oddać można.

Prawodawca podaje w I 25, zasady nabywania własności przez przerobienie (specificatio).

Tłumacz zatrzymawszy wyrazy rzymskie *materyja* i *naturalny* rozsądek, tak ten ustęp przełożył:

„Gdy kto zrobił rzecz jaką z cudzéj *materyi*, zachodzi pytanie, kto jest podług *naturalnego* rozsądku właścicielem téj rzeczy: ażali ten kto ją zrobił, alboli téż właściciel materyi".

Wyraz *materia* pominąwszy że był używany niekiedy w znaczeniu wyrazów: przymiot, powód lub przyczyna czegoś, zamiast *causa;* właściwie oznaczał on rzecz zmysłową użytą do przerobienia z niéj czegoś, lub zrobienia albo wystawienia jakiego przedmiotu, mianowicie do wystawienia budowli drzewo potrzebne, a nawet i inne przedmioty: cegła, wapno i t. p. razem wzięte, w takiém samém znaczeniu jak *tignum* podług prawa dwunastu tablic.

Jeżeli to jest rzecz surowa, przeznaczona do jéj przetworzenia, zwłaszcza na rzecz zupełnie inną, jak np. winogrona na wino, miód i wino na napój znany u Rzymian pod nazwą *mulsum*, wełna na sukno; wtedy nasz wyraz *tworzywo* odpowiednim będzie; jeżeli zaś rzecz jaka z surowéj rzeczy wyrobiona użytą być ma do zrobienia z niéj jakiéj rzeczy, z sukna sukni, wtedy nazywamy go wyrobem. W ogólności wszakże wyraz *materyja* w znaczeniu powyższém, oznaczymy wyrazem rzecz; przedmioty zaś używane do budowli, powinniśmy zwać w ogólności *budulcem*, i stosować ten wyraz nietylko do drzewa budulcowego, ale i do innych przedmiotów budowlanych, tak jak łacińskie pierwotne *tignum*; bo chociaż wyrazem *budulec* zwykle oznaczają tylko *drzewo budulcowe*, a to dlatego: że pierwotnie budowaliśmy zwykle z drzewa; przecież, skoro teraz i murowane budowle stawiamy, wyraz *budulec* oznaczać powinien wszystko to razem wzięte, cokolwiek do budowania z drzewa i stawiania z muru potrzebném jest.

Niepotrzebnie zatém tłumacz w § 29 tegoż nadpisu i księgi użył wyrazu *materyjał*, na oznaczenie przedmiotów do stawiania budowli potrzebnych, wyrażając się:

„Kto buduje na własnym gruncie z cudzego *materyjału*, jest właścicielem budynku i t. d.“

§ 25 należało oddać w następujący sposób: gdy kto przerobił albo urobił przedmiot jaki z *cudzéj rzeczy;* zachodzi pytanie, kto jest podług *zdrowego rozsądku* właścicielem tego przedmiotu: czy ten, kto go urobił, czy téż właściciel owéj rzeczy.

Zaś § 29: kto buduje na własnym gruncie z cudzego *budulcu*, jest właścicielem budynku, albowiem każda budowla należy do właściciela gruntu.

Bezpotrzebnie także pozostawił tłumacz w 1_{40} wyrazy: *tradycyja, alienować, alienacyja*, skoro mamy dobre swoje wyrazy: *wręczenie, zbywać, pozbycie*, tak jak *acquisitio nabycie.*

Dlaczego tłumacz zatrzymał wyraz *tytuł, titulus*, tam nawet, gdzie go wcale w pierwotworze nie masz? ale raczéj jest: *causa, nomen, ex*, kiedy to wyrazić można przez wyrazy: *sposób, zasada, na mocy, pod imieniem, z przyczyny?*

I, 35. I tak gdy kto grunt... tytułem darowizny lub na mocy innego jakiego prawnego tytułu, *ex donatione aliave qualibet justa causa*, w dobréj wierze dostał; zob. także 6, 3, $_{10}$.

powinno być: gdy kto grunt przez darowiznę lub innym prawnym sposobem otrzymał.

Również 20, 6. „gdy nabycie nastąpiło pod *tytułem kupna, ex causa emtionis;* pod tytułem zyskownym, *ex causa lucrativa*

powinno być: gdy nabycie nastąpiło *przez kupno* albo *na mocy kupna*; gdy kto własność otrzymał *sposobem darmym*.

eo nomine possident; posiada pod *tytułem*; powinno być: pod imieniem (nabywcy) posiada.

Wprawdzie używamy powszechnie tego wyrazu *tytuł*, lecz możemy się bez niego, jak się dopiéro okazało, zupełnie obejść.

Niepotrzebnie zatrzymał znów tłumacz w Ks. II, 4, 3. wyraz *konsolidacyja, consolidatio*, który objaśnia bardzo dobrze wyrażeniem: *zlanie się praw*. Używamy dotąd wyrazu *pomieszanie praw*.

Używa wszędzie gdzie tylko z toku rzeczy wypadało wyrazów: *akt, akta*. Wyraz ten pochodzi od *actus* albo od *acta* w liczbie mnogiéj właściwie oznaczającego tablice, na których spisywano dzieje panującego, dzieje ludu, a nawet nadane prawa. Prawnicy zaś pod wyrazem *acta* rozumieli księgi pisarzy sądowych, w które wpisywali różne czynności sądowe i urzędowe. Ztąd zwyczaj wprowadził, że wszelkie *pisma mianowicie sądowe* a nawet piśmienne dowody do sprawy składane, nazywano *acta*.

Sam zaś czyn jakibądź nazywał się w ogólności: *actus*, jakoto: czyn wypłaty czyli wypłata, czyn objęcia dziedzictwa i t. p.

Z tych wyrazów wszedł u nas w użycie wyraz *akt, akta*, a jak niektórzyby chcieli *akty*, i tak się upowszechnił, iż zdaje się, że go teraz swojskim wyrazem trudno zastąpić. Odpowiada mu dosłownie wyraz: dzieje, dzieło, dzieła, i tak się też po rusku mówi.

Akt oznacza u nas wszelki piśmienny dowód, czyto stanu, jakoto: urodzenia, małżeństwa; czy własności, jakoto: akt darowizny, nabycia i t. p.; czy zobowiązań. Jednakże pozwu, wyroku, spisu pozostałości inwentarzem zwanego, ostatniéj woli testamentem zwanéj, nie oznaczamy wyrazem *akt*, ale wprost mówimy: pozew, wyrok, i t. p. Tak samo możemy wyrażać się i co do innego rodzaju aktu, z wypuszczeniem wyrazu akt. Dobrze zatém będzie, gdy powiemy: rejent spisał, sporządził umowę kupna, najmu, albo odrazu: spisał kupno, spółkę i t. p.; stawający zeznał pełnomocnictwo, strony stawające zeznały umowę dzierżawną, albo: zeznały między sobą dzierżawę: strony między sobą sporządziły umowę i t. p. Słowo bowiem sporządzić, zeznać, każe się domniemywać uskutecznienia na piśmie; tak jak znowu słowo zawrzéć, umowy ustnéj. Strony zawarły umowę, rozumié się ustną. I dlatego jeżeli chcemy wykazać, że ta umowa skreśloną została, dodajemy zwykle mówiąc: strony zawarły umowę na piśmie albo piśmienną. Również słowo złożyć, składać, każe się dorozumiewać pisma: składam umowę, rozumié się piśmienną, bo innéj złożyć niepodobna. Niekiedy wyrazem *dowód* należycie zastąpić możemy wyraz akt, mówiąc np. oto jest dowód uwłasnowolnienia, dowód przyswojenia czyli przysposobienia, dowód należności, zapłaty. Użyć także możemy wyrazu dowodnik. Jakoto, zamiast akt urodzenia, małżeństwa, śmierci, dobrze będzie: dowodnik urodzenia, małżeństwa, śmierci, wierzytelności, długu, zapłaty, kupna, i t. p. Wreszcie gdyby już inaczéj nie można, to wyrazem *pismo*, w każdym razie zastąpimy wyraz akt. I zamiast: rejent spisał lub sporządził akt; będzie dobrze:

rejent sporządził pismo umowy kupna; strony sporządziły między sobą pismo umowy dzierżawnéj i t. p.

Wszelki zeszyt pism urzędowych a nawet domowych oznaczamy ogólnym wyrazem *akta*. I mówimy: akta sądowe, akta rządowe, akta kommissyi, akta trybunału, stosując nawet wyraz akta do takich pism, które nie są dziełem trybunału, bo nadesłane zostały od innych władz, jakoto: różne rozporządzenia Kommissyi Sprawiedliwości, Skarbu, albo: odezwy od władz zagranicznych. Wyrażenie to ogólne oznacza bowiem własność akt należących do trybunału lub innéj władzy. Nawet stosujemy niekiedy wyraz akta do pism urzędowych w księgę oprawnych, mówiąc: akta stanu cywilnego, chociaż stosownie do wyrażenia prawa hypotecznego, mówimy dobrze: księga hypoteczna, księga umów wieczystych. Tak samo powinniśmy nazywać wszelkie oprawne pisma urzędowe, jakoto: księga wyroków, księga dowodów stanu powszechnego osób, tojest: urodzenia, małżeństwa, śmierci. Tym sposobem wyraz *akta*, pozostałby tylko do oznaczenia pism w zeszyty zebranych, w okładkach zachowanych, lub do zszycia albo zbioru przysposobionych. Lecz należycie zastąpimy go wyrazem *pisma*. I będzie: pisma domowe, pisma sądowe, pisma sądu pokoju, pisma trybunału i t. p.

A tak każdy zeszyt będzie miał odpowiedni nadpis: np. pisma trybunału dotyczące uchwał rodzinnych, opiek, albo: pisma opiekuńcze, pisma trybunału dotyczące osoby sędziego N. N., albo pisma osobiste, zamiast akta osobiste sędziego N. N.: pisma trybunału, obejmujące rozporządzenia różnych władz; stosunkowe rozdziały, uporządkowania i t. p. Zamiast akta sprawy, lepiéj i odpowiedniéj będzie: pisma sprawy. Składam pisma sprawy. Na okładkach swoich poszytów spraw, powinna linia obrończa skreślać nadpisy: *pisma obrończe* adwokata N. N. dotyczące sprawy N. N. Zamiast *D* (co znaczy dekretacyja), dołączyć *acta anteriora Vol.* 1. 2. i *reprodukować* za dni trzy; albo *ad acta*, a czasem złożyć do *akt*, wysłowiać się powinniśmy: *R* (tojest rozporządzenie) *dołączyć pisma* albo *poszyty poprzednie*, mianowicie 1 2, i *przedłożyć* albo *zwrócić* za trzy dni; *zachować* (to się już rozumié że w składzie na to przeznaczonym i w właściwym poszycie).

A tak pod każdym względem wyrazami pismo, pisma zastąpimy należycie wyrazy akt, akta, niewłaściwie z łacińska używane i wcale nie lepsze od naszych wyrazów: pismo, pisma dostatecznie rzecz przedstawiające.

Archivum, miejsce składu pism szczególniej urzędowych, nazwać możemy *zachowalnia*, zwłaszcza, że wyraz ten nie został dotąd użytym do oznaczenia jakiegobądź zachowania. *Archiwistę* nazywajmy *zachowawcą*, rozumié się pism trybunału lub innéj władzy.

Tłumacz idąc za powszechnym głosem, używa wyrazu *akta*, nawet tam, gdzie go w pierwotniku wcale nie masz, ale raczéj wyraz *negotium*. I tak w ks. III, 14, 1:

Sed haec species obligationis (indebiti solutio) non videtur ex contractu consistere, quum is, qui solvendi animo dat, magis voluerit *negotium distrahere*, quam contrahere.

Zaś w ks. III, 27, 6:

magis ex *distractu* quam ex contractu possit dici obligatus esse, w ten sposób przełożył:

„Wszelako ten gatunek zobowiązania (zwrot nienależnéj zapłaty) nie wynika z *kontraktu*; bo kto daje w zamiarze zapłacenia, ten chce raczéj *akt rozewrzeć* aniżeli *zawrzeć*."

„Zobowiązanie to wypływa raczéj z *rozwarcia* zobowiązania, niżeli z zawarcia *kontraktu*."

Powinno być:

„Wszelako ten gatunek zobowiązania nie wynika z *umowy*; bo kto daje w zamiarze zapłacenia, ten chce raczéj *zobowiązanie rozwiązać*, aniżeli zawrzeć."

„Zobowiązanie to wypływa raczéj z *rozwiązania* obowiązku, niżeli z zawarcia umowy."

Wszakże w dalszym ciągu § 6, tłumacz sam użył wyrazu *rozwiązanie*: „płacąc chce rozwiązać, lecz nie zawrzeć zobowiązanie."

10. Również zachował tłumacz wyraz *testament*, najpowszechniéj używany i rozumiany, w miejsce którego wchodzi jednak swojskie i lepsze wyrażenie: *ostatnia wola*. I mówi się: ostatnią wolą rozporządził, albo uczynił rozporządzenie. Możemy także mówić: *ostateczna wola*, jak się mówi ostateczny sąd. Nasuwam tu wyraz *ostatecznik*.

Formalności testamentu, oddaćby należało wyrażeniem: *uroczystości* albo *ujawnienie ostatniéj woli*. Zaś zamiast sporządzić testament w kilku *egzemplarzach*, lepiéj: sporządzić ostatnią wolę *kilkorącznie*; w jednym *egzemplarzu: jednorącznie*, albo na jednę, na kilka rąk, w jednym lub kilku *osobnikach*, jak jest w słowniku Lindego.

Testator jest spadkodawcą rozporządzającym. Możnaby go nazwać *rozporządcą*.

Prawodawca w ks. II, 13, $_6$. znosząc różnicę płci co do prawa dziedziczenia, daje za powód: że każda płeć *simili naturae officio fungitur*; co tłumacz oddał:

„zarówno wypełnia *funkcyje* przez *naturę* sobie wskazane;

lepiéj będzie: zarówno wypełnia *obowiązki wrodzone*.

14. *Opinija* powszechna, lepiéj *sąd powszechny*.

19, $_4$. Trzeba mieć *zdatność testamentową* w dwóch *epokach*, (*duobus temporibus*) podczas robienia testamentu i w chwili śmierci testatora.

Lepiéj byłoby: trzeba mieć rozporządzalność w dwóch razach: czynienia ostatniéj woli i w czasie śmierci rozporządcy.

20. *O legatach;* lepiéj o *zapisach*, zwłaszcza, że sam tłumacz użył wyrazu *zapis* w tém samém znaczeniu w ks. II, 10, $_{11, 12, 13}$, i IV, 6, $_{33}$. *Legat legować*, lepiéj: *zapis przeznaczyć*. Wprawdzie u Rzymian znane były i ustne ostatniéj woli rozporządzenia, ztémwszystkiém wyraz *zapis* może być ogólnym, a gdzieby wypadało mówić o ustném rozporządzeniu, można się wyrazić: słowne rozporządzenie.

Legataryjusz będzie *zapisobierca*, tak jak spadkobierca; zaś czyniący zapis będzie *zapisodawca*, tak jak spadkodawca. Ztąd *legataryjusza udziałowego, legatarius partiarius* II, 23, $_5$, mającego podo-

bieństwo. do francuzkiego zapisobiercy pod tytułem ogólnym, dobrze nazwiemy *zapisobiercą udziałowym*; zaś *partitio* oddane przez tłumacza wyrazem *rozdział*, lepiéj nazwać *zapisem udziałowym*.

Współlegataryusz, *współdarownik*, zbytecznie przez tłumacza użytym został w ks. III, 27, 3. Nie używali Rzymianie wyrazu *conlegatarii*, ani *condonatarii*; nie masz ich w pierwotworze. Tam jest: *veluti quod pariter eis (res) legata donatave esset*. Więc być powinno: *gdy kilku osobom rzecz wraz zapisaną i darowaną została*. Niezawsze zręcznie da się urobić rzeczownik, zwłaszcza na oddanie osoby, i w takim razie lepiéj użyć opisu.

20, 2. Wskazane uroczyste słowa, jakie dawniéj powinny być koniecznie użyte do różnych rodzajów zapisów, nazwał tłumacz *formułami* uroczystemi, *sollennitas verborum*. Lepiéj dosłownie: *uroczyste wyrażenia*, jakie zniesione zostały przez postanowienia cesarskie. Felix Zochowski nazwałby to *modłą uroczystą*.

Ztąd: podług *form* uroczystych, *legitimo modo* powinno być: prawnym sposobem, a lepiéj jeszcze: prawnym porządkiem, obrządkiem.

23, 1. *Powiernictwa* (fideicommissa) ztąd taką nazwę otrzymały, że polegały nie na samym obowiązku prawnym, ale tylko na *charakterze* tych (*sed tantum pudore eorum*), do których testator prośbę zanosił.

Powinno być raczéj: na *uczciwości* tych, do których spadkodawca prośbę zaniósł.

Kodycyl nazwać możemy dodatkowém rozporządzeniem do ostatniéj woli albo do pozostawionego dziedzictwa, bez sporządzenia testamentu, czyli ostatniéj woli. Ale tego wyrazu już teraz nie potrzebujemy; pozostanie tylko naukowym rzymskim.

Przechodzimy do księgi trzeciéj.

KSIĘGA IIIcia.

Prawodawca wystawiwszy poprzednio dawniejsze prawa dziedziczenia prawnego, przystępując do nowszych zasad, mówi: że dawniejsze zostały *emendati*. Tłumacz użył wyrazu *nieco zmodyfikować* i tak się wysłowił:

wszystkie te rozróżnienia zostały nieco *zmodyfikowane* przez naszą *konstytucyją*;

powinno być: zostały nieco *ulepszone* przez nasze postanowienie.

7, 3. Prawodawca wskazując zasady dziedziczenia po wyzwoleńcach, dawniejszą wartość pieniężną w ustawie Papia oznaczoną, wytłumaczył (*interpoetatus est*) wyjaśniając: że 1000 sestersów znaczy jeden czerwony złoty. Tłumacz użył tu zwykle używanego słowa: *zewaluować summę*.

„Albowiem summę przez ustawę Papia oznaczoną, *zewaluowaliśmy*.“

Dobrém słowem będzie tu *zestosować*. *Zestosowaliśmy* wartość, licząc 1000 sestersów na czerwony złoty.

Tłumacz używa wyrazu *klassa* w miejsce *species, genus.* I tak: w 9, $_8$, wyraża się:

pretor podzielił był spadkobierców na kilka *klass* i oznaczył porządek w jakim te *klasy* idą.

W pierwotniku jest *species*; więc powinno być: pretor podzielił był spadkobierców na kilka *rodzajów* albo *rzędów*, wreszcie *stopni.*

Tak samo w ks. I, 25, $_{16}$ i $_{26}$, $_2$. tutores cujuscunque generis sint, tojest, czy są legitimi, czy testamentarii, czy dativi; przełożył: do jakiéjkolwiek *klassy* należą; zamiast: jakiegokolwiek są *rodzaju.* I częściéj używa tego wyrazu *klasa*, bez którego zupełnie moglibyśmy się obejść i zastąpić go wyrazem, jeżeli nie rodzaj, gatunek, rzęd, to wedle potrzeby przez *stopień*, tak w uczelniach czyli szkołach, jako i dostojeństwach, czyli rangach.

Następuje nadpis 13 téj księgi o *zobowiązaniach*; przedmiot nader ważny. Już w piérwszéj części oceny wykazałem niewłaściwe przez tłumacza użycie wyrazu *kontrakt*, zamiast *umowa.* Inne przez niego zatrzymane wyrazy, są następujące:

I tak: w nadp. 14 o zastawie, w § 4 wyraża się: że przez zastaw *kredyt* się ułatwia dłużnikowi.

W pierwotniku jest: „quo magis pecunia ei (debitori) credatur."

Więc właściwie powinno być: że mu (zastaw) pożyczkę ułatwia.

Creditum bowiem z którego powstał wyraz *kredyt*, znaczy w ogólności to wszystko, czego od drugich z jakiéjbądź przyczyny domagać się możemy; w szczególności zaś znaczy to, co zostało daném w zaufaniu, że biorący zwróci lub zapłaci, a zatém to, co zostało powierzoném lub pożyczoném w téj dobréj wierze, iż biorący odda, lub jakimbądź sposobem zapłaci. Powierzają się zaś rzeczy, mianowicie téż ruchome: towary, pieniądze. Ztąd wyraz *kredyt*, znaczy dobrą wiarę, polegającą na zamożności lub ścisłém wykonywaniu czynności, mianowicie kupieckiéj. Kupiec mający *kredyt*, znaczy kupca uważanego za posiadającego tak dobrą wiarę z zamożnością połączoną, że mu każdy pożyczkę chętnie czyni w towarach lub w pieniądzach, bo wié, że się niewątpliwie uiści; chętnie zleca lub zamawia czynność kupiecką, bo wié, że ją niewątpliwie wykona i nawzajem chętnie przyjmuje zlecenia; bo wié, że będzie wynagrodzonym. Kupiectwo w ogólności stoi na *kredycie*, tojest na téj dobréj wierze, iż każdy biorący lub pożyczający kupiec, lub od kupca, płaci w właściwym czasie, lub uiszcza się w podjętym obowiązku; chętnie przeto jeden drugiemu powierza swoje mienie lub pracę, bo jest pewny, że odbierze należytość umówioną. Żeby zaś tę dobrą wiarę utrzymać i łamiących ją przywieść do porządku, muszą być użyte ostrzejsze środki prawne, które właśnie tworzą wyjątkowe prawo kupieckie. Można więc *kredyt* nazwać po swojsku *zaufaniem* albo *dobrą wiarą.* Kupiectwo stoi na dobréj wierze. Niewłaściwie przeto tłumacz użył tu wyrazu *kredyt.*

Pierwotwór tak brzmi:

„Sed quia pignus utriusque gratia datur, et debitoris, quo magis pecunia ei credatur, et creditoris, quo magis ei in tuto sit creditum.'

Więc powinno być:

ponieważ atoli zastaw ma na celu korzyść obustronną, i dłużnika, któremu chętniéj przez to pieniądze się pożyczają (nie zaś jak tłumacz, któremu *kredyt ułatwia*; jużby lepiéj było któremu *pożyczkę* ułatwia) i wierzyciela który otrzymuje ubezpieczenie wierzytelności.

Daléj wyraża się:

że przypadek *losowy, casus fortuitus*, przez który rzecz zastawna zginie, nie przeszkadza wierzycielowi do upominania się o wierzytelność. Właściwie powinno być *zdarzenie przypadkowe*, albo *przypadek*; bo nie ma przypadku nielosowego; jak jest nielosowym to już przestaje być przypadkiem i przybiera znaczenie winy, *culpa*.

Następnie tłumacząc o zobowiązaniach słownych zatrzymał (15) wyraz *stypulacyja*. Obietnica a raczéj przyrzeczenie zapłaty lub uiszczenia się, samo z siebie nie ma jeszcze prawnego znaczenia, nie daje téż żadnego powództwa; bo nie przedstawia dostatecznie, prawdziwie rzeczywistéj woli zobowiązania się; jest więc wątpliwém. Lecz jeżeli to przyrzeczenie zostało uroczyście uczynioném, zostało przybrane w uroczyste wyrzeczenie słowa przyrzekającego ustnie lub na pismie; wtedy stawało się niewątpliwém, pewném, że przyrzekający uznając się być dłużnym, ma stanowczą wolę zapłacenia, uiszczenia się.

I takie téż właśnie przyrzeczenie, pociągało za sobą powództwo takie same, jakby z pożyczki, bo dłużnik poddający się uroczystości w przyrzeczeniu zapłaty, okazuje przez to stanowczość woli swojéj.

Uroczystość słowa przyrzekającego, pociągając powództwo, stanowiło umowę słowną, nazwaną *stipulatio*, którą oznaczyć można: że to jest *prommissio acceptata* (1). Moglibyśmy ją przeto nazwać *uroczystém przyrzeczeniem*. Lecz że taki sposób zobowiązania, zestarzawszy się, wyszedł już z użycia; przeto jako starodawny rzymski, niechaj nosi starodawne rzymskie miano *stypulacyja*, czasem przez naszych prawników, a najczęściéj niewłaściwie powtarzane.

Stypulari, stypulować, dobrze przepolszczył tłumacz, *warować sobie;* chociaż słowo *stipulari* oznaczało także uroczyście przyrzec. *Stipulator, stypulujący* może być nazwany *warujący sobie*; zaś *promissor* dobrze jest nazwany *przyrzekającym*. *Rei stipulandi et promittendi*, dobrze oddane: *spółstypulujący*, a może lepiéj byłoby *spółwarujący, spółprzyrzekający*.

Przywodząc sposób zawarcia umowy słownéj względem zaręczenia, między innemi pyta się:

15, 2. Jesteś *fidepromissorem*? Jestem *fidepromissorem*. Zbytecznie tłumacz użył tego rzymskiego wyrazu. Fidepromissio i fidejussio oddane wyrazem *zaręczenie*, jedno i toż samo znaczy. Kiedyś była między niemi mała różnica, ale ją zniósł Justynian i przyjął *fidejussio*, odrzuciwszy fidepromissio. I dlatego téż w niektórych wydaniach *Corpusu juris* wyrazy te: *fidepromittis, fidepromitto*, umieszczone są w nawiasie, na znak wypuszczenia ich z toku.

(1) Zob. moję rozprawę: de condictione scripsit Franciscus Maciejowski U. J. M. Varsaviae 1830. str. 21. i nast. tudzież Inst. III, 29, 2, stypulacyja akwiliańska.

20, 1. *Naturalne* zobowiązanie, należność *naturalna, naturalis obligatis, naturale debitum.* Sąto zobowiązania i należności, które lubo podług prawa nadanego nie powinnyby mieć prawnego znaczenia, przecież z słuszności, z prawa wrodzonego i z przepisów prawa narodów, za obowiązujące uważane były (1). Nazwałbym je *zobowiązaniami i należnościami sprawiedliwemi*, a to odnośnie do zobowiązań prawnych; bo chociaż nie z przepisów prawa nadanego, to przecież z saméj sprawiedliwości za obowiązujące i należne uznane być powinny. Paulus np. mówi w księdze 10 do Sabina (2): *indebiti soluti condictio naturalis est;* bo chociaż podług ścisłości prawa nadanego, uskuteczniona zapłata przelewając własność odebraną być nie może; przecież sprawiedliwość nakazuje zwrócić nienależnie przyjętą zapłatę.

Skarga *praescriptis verbis* jestto powództwo zastosowane do treści umowy bezimiennéj, a zatém nazwaćby je można *powództwem wedle treści umowy.*

26, 2, 5. Procent gdzieindziéj, bo w ks. IV 6 33 str. 298, przełożył tłumacz ten powszechny wyraz, wyrazem *odsetka.* Z przed kratek słyszéć mi się dał kilka razy wyraz *stowe.* Sądzę, że prędzéj się przyjmie. Można bowiem wyrażać się: należy się pięćstowe, sześćstowe; nie powinienem płacić siedmiostowego, ośmiostowego, ale pięciostowe, zamiast zwykłego powtarzania się: przypada mi *procent* pięć *od sta*; gdyż *procent, pro centum* toż samo znaczy co *za sto, od sta.* Już lepiéj będziem mówili: należy mi się stowe zaległe za lat 4 po pięć od sta w ogólnéj ilości 500. Nie płaci mi stowego, zamiast: procentu i t. p. —Jak się mówi dzierżawne dzierżawnego, komorne komornego—tak będzie stowe, stowego.— Dobry także wyraz jest *setne*, ale już nie da się połączyć z ilością setnego i nie będzie można mówić: należy mi się *pięćsetne, sześćsetne,* ale w takim razie wypadnie mówić rozłącznie: należy mi się *setne po pięć od sta;* przypada mi *setne* za lat 4 po 5 od sta; co zawsze lepszém jest niźli: należy mi się *procent* po pięć od sta.

27, 3 Skarga *communi dividendo, familiae erciscundae;* należało piérwsze przepolszczyć: powództwo o podział (rozumié się współwłasności jeszcze niepodzielonéj), zaś drugie o dział czyli powództwo działowe (rozumié się dziedzictwa).

29, 1. *Accepti latio*—powinno być: *zwolnienie z obowiązku*, albo samo *zwolnienie*; działo się odwrotną stypulacyją. Ma toż samo znaczenie co *remittere obligationem;* używa się także *condonare* w tém samém znaczeniu i dlatego *la remisse de la dette* przełożono: *darowanie* długu; ale ogólniejszym jest i właściwiéj maluje wyraz *zwolnienie.* I będzie: ustaje zobowiązanie przez *zwolnienie* od obowiązku.

(1) Zob Doctrina Pandectarum Mühlenbrucha § 598, 599 z r. 1825.
(2) I 15 D. de Condict. indeb. XII, 6.

KSIĘGA IVta.

3, 16. W przetłumaczeniu o skardze akwiliańskiéj dążącéj do wynagrodzenia za zabicie, skaleczenie jakimbądź sposobem niewolnika lub zwierzęcia cudzego, zatrzymał tłumacz wyrażenie: skarga *in factum*; można było przełożyć wyrażeniem: *skarga do czynu zastosowana;* używaną bowiem była w ogólności wtenczas, gdy względem czynu przedmiotem skargi będącego, nie można było stosować przepisanéjw prawie skargi, mianowicie z ustawy akwiliańskiéj.—Jak więc *actio praescriptis verbis* używaną była w zobowiązaniach bezimiennych i stosowała się do treści umowy; tak znowu *actio in factum*, miała miejsce ile razy czyn zachodzący był tego rodzaju, że do niego zwyczajna prawem oznaczona imienna skarga stosowaną być nie mogła, i dlatego stosowała się do czynu o który szło.— Za przykład podaje prawodawca: kiedy kto ulitowawszy się nad cudzym niewolnikiem rozkrępował go dla ułatwienia mu ucieczki.

O skargach,

de actionibus c.

Actio prawo poszukiwania w sądzie, nazwawszy *skargą* w ogólności, zachował tłumacz wyrazy *windykacyja* i *kondykcyja, vindicatio, condictio*, tudzież skarga *noksalna* i inne li rzymskie teraz już z użycia wyszłe, przeto naukowo nas tylko obchodzące.

W naszéj mowie mamy trzy wyrażenia, odmienne znaczenie mające:

skarga, w przedmiocie karnym;

powództwo, gdy idzie o rozstrzygnięcie sporu

wniosek, gdy zachodzi żądanie jednostronne; zowią go niepotrzebnie *illacyją*.

Nie należałoby zatém używać wyrazu *skarga* jako ogólnika na oznaczenie wszelkiego przychodzenia do sądu.—Dawniéj używano wyrazu żałoba, który zastępujemy dziś wyrazem *zażalenie* i to ostatnie będzie najwłaściwsze.

Jeżeli udajemy się z zażaleniem w przedmiocie karnym, wtedy podajemy skargę; jeżeli do sądu spornego, wtedy wystosowywamy powództwo przez pozew w rzeczach spornych, a czynimy wniosek w przedmiocie niespornym. I zapadają wyroki karne, spór rozstrzygające, z wniosku.

Vindicatio (1) powództwo rzeczowe, nazywane dotąd wyrazem *windykacyja* często nawet niewłaściwie, (bo każde odebranie czyto

(1) Od *vim dicere* gwałt objawić; odwetowo odwłaszczyć *przemocą*, co zawłaszczono. Zob w tym względzie wyborne wyłuszczenie w wyżéj wskazaném dziele J. Iheringa. Z innego stanowiska wychodzi nasze pojęcie własności zawłaszczenia, odwłaszczenia.

własności, czy długu lub jakiéj należności, zowią windykowaniem; oddać należy po swojsku przez wyraz *odwłaszczenie*. Skoro bowiem mówimy zawłaszczenie, przywłaszczenie, zawłaszczyć, przywłaszczyć na oznaczenie zagarnięcia cudzéj własności; powinniśmy użyć wyrazu *odwłaszczenie, odwłaszczyć*, na odznaczenie odzyskania własności nam zawłaszczonéj. I daleko lepiéj i po swojsku będziem mówili: zanoszę *powództwo odwłaszczenia*, muszę ja to *odwłaszczyć* i t. p. niżeli: zanoszę skargę *windykacyjną, windykacyją*, muszę to *wywindykować*, przecież *wywindykowałem*.

Kondykcyja, Condictio. Każde wprawdzie powództwo osobiste nazywano w ogólności condictio. Lecz w szczególności miała ona swoję właściwą wyłączność, i trzymała środek między odwłaszczeniem *vindicatio*, a powództwem osobistém w ścisłém znaczeniu.

Odwłaszczenie (*vindicatio*) miało miejsce, gdy szło o odebranie własności rzeczy własnéj bez wpływu naszéj woli i wbrew takowéj nam zabranéj i zawłaszczonéj, a to od każdego jéj posiadacza.

Condictio zaś wystosowywano, gdy szło o odebranie własności rzeczy za wpływem woli naszéj komuś na własność przelanéj, a zaszła prawna i słuszna przyczyna dla któréj odebranie to, od tego komu na własność przelaną była, miejsce mieć mogło. Dlatego pożyczka pieniędzy i innych rzeczy strawialnych pociągała za sobą *conditionem certi ex mutuo* albo *triticiariam*, bo pożyczka przelewa własność rzeczy pożyczonéj na biorącego ją. Z nienależnéj zapłaty wynikała także *condictio indebiti;* bo zapłata przelewa własność rzeczy zapłaconéj na przyjmującego zapłatę. Również z zamiany wypływała *condictio* na odzyskanie danéj przez nas rzeczy na własność osobie, która się nam zobowiązała inną rzecz dać nawzajem, lecz jéj nam nie wydała; wówczas bowiem wolno było odebrać rzecz swoję. Nazywało się też takie powództwo: *condictio causa data causa non secuta*. Jeżeli zaś w takiéj zamianie już nie szło o odzyskanie danéj przez nas rzeczy na własność, ale o otrzymanie rzeczy, która nam w zamian wydaną być powinna; wtedy powództwo takie zwało się poprostu *actio* z dodatkiem *praescriptis verbis*. Nazwaćby więc należało owę *condictio* w ściślejszém znaczeniu, *powództwem zwrotowém*. Często też obok *condictio* stoi wyraz *repetitio* odbiór, który bez poprzedniego brania czyli wzięcia od nas danéj rzeczy, miejsca nie znajduje. Odstępuje od téj zasady wprawdzie *condictio furtiva*, o któréj zobacz rozprawę Romualda Hubego *de furtis*.

Takie zwrotowe powództwo, jeżeli wypływało z ustawy nowéj, jakoto z nowego postanowienia cesarskiego, nazywało się *condictio ex lege, scilicet nova*. Nazwał ją nasz tłumacz kondykcyją ustawliwą. A tak, wyrażenie w ks. III, 6, 25. Item ex lege condictitia nostra constitutio oritur, znaczy: również nasze postanowienie powstało z prawa, tojest, na wzór prawa kondykcyjnego; czyli *ex lege* w ogólności *repetitionis*, z prawa zwrotowego, z ustawy, jaką była *lex silia, calpurnia* i każda inna zwrot nakazująca.

Wszelkie inne osobiste powództwo, nazywano wyłącznie *actio* rozumić się personalis in specie (1).

Wreszcie *skargę de pecunia constituta*, przełożyćby należało: powództwo o prosto przyrzeczoną zapłatę; bo takie właśnie ma znaczenie.

Nakoniec wyraz *intentio*, dosłownie: nastawanie o coś na kogo w sądzie, oddał wyrazem *konkluzyja*. Dotąd używamy tego wyrazu, mówiąc: powód, pozwany wniósł konkluzyją, sąd konkluzyją zasądza, i t. p. Lecz mamy bardzo dobry wyraz *żądanie* i mówić powinniśmy: powód wniósł żądanie, albo żąda, a sąd żądanie zasądza, albo z niém oddala i t. p.

8, 9. Skarga *noxalna*; objaśnił tłumacz ten nadpis ósmy dodatkiem: czyli z *występku niewolnika wypływająca*. Z nią ma łączność powództwo o szkodę (pauperies) zrządzoną przez zwierzę czworonożne. *Noxa* jest niewolnik przestępca, zaś *noxia* przestępstwo. Może przeto pozostać powództwo *noxalne*, już teraz obumarłe; bo obecnie pan za szkody przez służących, domowników i zwierzęta swoje, ojciec przez dzieci zrządzone, i t. p. odpowiadają z niby przestępstwa i przeciwko nim służy powództwo o szkody z niby przestępstwa art. 1382, 3, 4, kod. fran.

8, 7. *Kommentatorowie* ustaw, legum commentatores, pb. wykładacze prawa, uczeni prawnicy. *Punkta; pro omnibus clausulis*; co do wszystkich punktów, powinno być: *pod każdym względem*. W tém miejscu bowiem prawodawca nakazuje pozwanemu zaręczyć: że za swego obrońcę zapłaci wszystko, na co tenże w imieniu jego działając, skazany wyrokiem zostanie. 10. 4.

Tę samę myśl przedstawia wyrażenie się, *pod każdym względem*, a pominie się niepotrzebny wyraz *punkta*, którego się pozbyć wypada. Mówimy: *punkta* czynu i prawa. *Punkta* przedugodne, *punkta incydentalne*, czyny *punktami* wyszczególniać, *punkta* które były powodem do nieprzyznania, *punkta* skargi i t. p. Co wszystko można oddać przez: *krótkie wyrażenia czynu i prawa, krótkie zasady przedugodne, czyny pokrótce wyszczególnione, okoliczności które były powodem do nieprzyznania, krótkie szczegóły, krótkie rzuty skargi* i t. p.

Prawodawca wskazawszy zasady zażaleń, skarg, a mianowicie powództw, przystępuje w nadp. 13 do wskazania zasad obrony, którą w ogólności nazywa *exceptio*. Tłumacz zatrzymał ten wyraz i przełożył tenże nadpis:

13. *O excepcyjach, de exceptionibus.*

Wyraz exceptio oznaczał każdą obronę pozwanego, przeciw żądaniu powoda. Dlatego nazwać ją należy w znaczeniu rzymskiém *obroną*. Przeciw obronie stawiał powód *replicatio*, którą zowiemy *repliką*; przeciw téj *replice* bronił się pozwany przez *duplicatio*, nazwaną przez nas *duplika*; przeciw téj *duplice* występował powód

(1) Zob. moję rozprawkę wyżéj przytoczoną: *de Condictione.*

przez *triplicatio*, którą zowiemy *triplika*. I tych wyrażeń użył też nasz tłumacz; ale moglibyśmy ten porządek wyrazić w następujący sposób:

Powództwo, po rzymsku *intentio*, naprzeciw któréj stawia pozwany obronę, *exceptio*.

Drugi głos powodowy, zamiast *replika* (1).

Drugi głos obrończy, zamiast *duplika*.

Trzeci głos powodowy, zamiast *tryplika*.

W przekładzie § 1, 14. IV. zaszła tu omyłka; zamiast chcąc przyjść w pomoc *powodowi*, powinno być: *pozwanemu*..

Teraz wyraz *excepcyja* różni się od obrony w saméj sprawie i znaczy *przedwstępny zarzut* przez pozwanego przeciw powodowi wniesiony. W miejsce zatém *excepcyja* dobrze użyjemy wyrazu *zarzut*. I będą *zarzuty* odsyłające, jakoto: niewłaściwości sądu; odkładające, jakoto: zarzut zawczesnego pozwu z przyczyn w prawie wskazanych; zarzuty udaremniające (*peremptoriae*) jako to: zarzut przedawnienia i t. p.

Również zatrzymał tłumacz wyraz *interdictum* i przełożył nadpis.

15. *O interdyktach, de interdictis.*

Interdicere znaczy w ogólności wzbronić, zabronić. *Interdictum* zaś znaczy rozkaz pretorski, zabraniający albo nakazujący coś czynić, szczególniéj w sprawach o posiadanie. Oddać więc możemy interdykt wyrazem *rozkaz*. I będzie *rozkaz* (podług dobrego przez tłumacza przekładu) *zakazowy* (prohibitorium), *zwrotowy* (restitutorium), *okazowy* (exhibitorium). Następnie ku otrzymaniu, zatrzymaniu, odzyskaniu posiadania (adipiscendae, retinendae, recuperandae possessionis).

Nakoniec w ostatnim 18 nadpisie téj IV księgi, wykłada prawodawca sprawy karne, zowiąc je *judicia publica* dlatego, że każdemu obywatelowi wolno je wytaczać i popierać. Tłumacz też nazwał je *sprawy publiczne*, co przecież można było oddać wyrażeniem: *sprawy powszechne karne*, gdyż wszystkim, nawet i tym, co nie są pokrzywdzeni, wolno je wytaczać.

Zaś *judicia privata* przełożyć należy: sprawy potoczne.

Wreszcie *deportacyja* znaczy *zesłanie; konfiskata* może być oddane przez *zeskarbienie*.

Takie są zatrzymane wyrazy łacińskie lub inne obce, przez tłumacza. Przystępuję teraz do wskazania wyrazów przez tłumacza urobionych.

(1) Podług słownika Lindego, excepcyją czyli obronę nazywano *prza*, a replikę *odeprza*.

(Dokończenie nastąpi).

Sto nowych powiastek dla dzieci, z dodaniem wierszyków moralnych, przez Stanisława Jachowicza. Warszawa, w drukarni Stanisława Strąbskiego, 1853. 8*ka. str.* 175.

Są ludzie cichych a wielkich zasług, którzy każdą godzinę życia znaczą pracą, poświęceniem dla bliźnich. Nie szukają oni rozgłosu, bo nawet nie mają czasu upędzać się za nim. Dlatego też tacy ludzie, po długich latach przeważnych prac, znajdują zbyt późno uznanie: i gdy od trudu i znoju przedwczesna siwizna ubieli im skronie, widzą, choć już swego kresu zmordowani dobiegli, że cześć i szacunek nie minie nigdy tych, co wedle dawnego godła *pracą a prawdą* zasłużyli się rzeczywiście.

Do liczby tych, bez żadnéj wątpliwości należy szanowny od lat wielu nauczyciel Stanisław Jachowicz. Obrał sobie zawód skromny: kształcenia młodych umysłów, i na tém ważném stanowisku dotrwał nieprzerwanie lat kilkadziesiąt. Ileżto już matek polskich nie wspomina nazwiska p. Jachowicza jako professora, któremu zawdzięczają, że nauczyły się władać umiejętnie ojczystym językiem, że poznały wartość literatury krajowéj! Ale nie tu kres jego zasług: wolne od nauczycielstwa chwile poświęca biednéj dziatwie w zakładzie sierot pod opieką Towarzystwa Dobroczynności zostających. Tam on zaszczepia zamiłowanie religii i moralności, tam dziécię, we wdzięcznéj szacie powiastki wierszem, uczy się prawd, które mu wskazują, jakim ma być człowiekiem. Czyż to nie wielka zasługa na drodze czynu?! Gdyby nic więcéj nad to p. Jachowicz nie zrobił, jużby miał prawo do naszéj wdzięczności i cześci. Ale na polu literackiém zjednał sobie piękne imię. Któż nie zna, w którym domu nie ma jego bajek i powiastek, któremi tak wdzięcznie, tak rzewnie a naiwnie umié do młodéj, dziecięcéj przemawiać myśli i uczucia? Dobrze się wpatrzył w to życie pełne śmiechu, wesela, łatwych łez, psoty, i w rozwicie złych lub dobrych skłonności wieku dziecięcego: baczny postrzegacz, każdą wypatrzył wadę, każdą złą skłonność, jak i dobrą stronę. To téż bajki p. Jachowicza uważać potrzeba jako traktat moralny, jako mały kodex, bo w nich znajdziesz obok nauki i wzory kar, niby artykuły, które Bóg zaraz zsyła za przewinienia.

Dawno już po rodzinach naszych krążą te bajki w licznych wydaniach; to téż doświadczeniem już nabytém możemy ocenić ich wartość, i wpływ przeważny na umysły dziatwy naszéj. Morał prosty nie zostanie tak rychło w pamięci i sercu, jak podany to bajeczką, to powiastką Jachowicza: czepiają się one umysłu dziecięcego jak owa pajęczyna pól naszych wśród babiego lata, i młoda głowa nie wié zkąd nasnuła tyle prawd moralnych, zkąd napłynęło do serca tyle poczciwych uczuć. A to zacny Jachowicz rozsnuł cudne przędziwo, lekkie, napozór wątłe, ale silnie umiejące się czepiać młodéj główki i młodego serca. A to wielka zasługa i przed Bogiem i przed ludźmi!

Utwory p. Jachowicza są poza obrębem zwyczajnéj krytyki; dlaczego?—odpowiemy.

W bajkach i powieściach zwrócił autor głównie, rzec można, uwagę, aby prawdę moralną dorazu zaszczepił w sercu i umyśle młodym. Nie idzie mu o przystrój poetyczny, ale o mowę taką, którąby tam wniknąć umiał: dlatego sam p. Jachowicz wybornie to określa we wstępie do Stu nowych powiastek:

„Język dziecięcy, toć już rzecz nie nowa:
Jestto oddzielna, rzewna serca mowa.
U nich świat inny, i poezya inna,
Do ich serduszek podobną być winna.
Drobne serduszka, wyrazy zdrobniałe:
Dziatki tak lubią, to wszystko, co małe."

Owoż prawdy uznane, myśli zacne i uczciwe, cel moralny chrześciańskiéj miłości: czyż mogą być celem rozbioru, gdy w nich nic krzywego, ani Bogu, ani ludziom, nic fałszywego nie baczymy? Gdy z góry jasno i dobitnie autor stanowisko swoje określa, i spowiada się wiernie z celu, do którego podąża? Nie idzie mu o sztukę, ale idzie mu, aby godnie obowiązkom nauczyciela i przewodnika dla młodzieży odpowiedział.

Gdy więc założonego celu dochodzi, gdy prawdą a Bogiem każdy utwór znaczy: my nie możem pod zwyczajny rozbiór brać szanownéj jego pracy.

Że nie braknie uczucia rzewnego a poetycznego p. Jachowiczowi, przywiedziem tu jednę tylko powiastkę (a takich znajdzie czytelnik wiele) p. n.:

Dziécię i kapłan.

Przyszło dziécię do kościołka
I mówiło do aniołka:
„Aniołkowie ze skrzydłami,
Jakbym w niebie rad być z wami!
Wy tak Boga tam chwalicie!"

Na to kapłan: „Moje dziécię!
Prościutenka w niebo droga:
Kochaj ludzi, kochaj Boga,
Kochaj sercem i czynami,
Będziesz w niebie z aniołkami."

W przemowie p. Jachowicz podaje praktyczne sposoby, jak używać korzystnie tych bajek jego i powiastek; przemowa ta wykazuje, że kreśliła ją ręka biegłego w swym zawodzie mistrza.

My kończąc nasz pobieżny przegląd ostatniéj pracy p. Jachowicza, nie możem przemilczéć naszéj szczeréj podzięki, co jest słabém tylko echem powszechnego szacunku dla tego, który tak użytecznie przez lat tyle dla bratniego społeczeństwa pracuje, którego każda myśl nacechowana prawością, czuwa nad najmłodszém pokoleniem, chroniąc je od kału i mętów ziemskich, i który pamięć swoję dobrze utrwalił w szerokiém kole biednéj dziatwy naszéj. Ma téż tę wielką a nieocenioną nagrodę, towarzyszkę cichéj cnoty, że gdy drobne dłonie sierot wznoszą się do modlitwy pobożnéj a szczeréj, w niéj i imię Jachowicza, jako opiekuna i nauczyciela, nieraz słyszeliśmy.

Warszawa, 28 lutego 1853 roku. *K. Wł. Wojcicki.*

ROZMAITOŚCI.

POSTRZEŻENIA I WNIOSKI PISOWNICZE (*).

I. Pogląd historyczny i krytyczny na pisownię polską od r. 1808 *aż do naszych czasów.*

Mając przeglądać wybrańsze książki i pismozbiory polskie pod względem używanéj w nich pisowni, zaczynam od zwrócenia pilnéj uwagi na moje własne dziełko niedawno wyszłe z druku, w którém otworzyłem sobie i znacznie już przetorowałem drogę do dalszych Postrzeżeń i Wniosków pisowniczych, zwłaszcza w niektórych miejscach tegoż dziełka potrzebujących jeszcze uzupełnienia lub nawet i sprostowania.

(1) Autor w swojéj odezwie wydanéj do redakcyi naszego pisma, osądził za rzecz potrzebną zapowiedzieć, w jakim zakresie i przy jakich pomocach przedsiębierze wielki i trudny zamiar ujednostajnienia naszéj pisowni; do czego już pierwszy krok uczynił w wydaném przez siebie dziełku pod napisem: *Pogląd historyczny i krytyczny na pisownię polską od r.* 1808 *aż do naszych czasów. Warszawa*, 1852.

Oto są słowa wiernie wypisane ze wspomnionéj odezwy: „Przy końcu każdego zeszytu *Biblioteki*, umieszczać będę najsumienniéj i jak najkrócéj moje własne lub cudze a przezemnie za dobre uznane *Postrzeżenia ortograficzne* czyli pisownicze, jako też ostatecznie z nich wyprowadzone *wnioski*. Postrzeżenia ściągać się mają nie do lichych ramot, na których przeglądanie i czasu szkoda, ale do wybrańszych książek lub pism zbiorowych, godnych druku i rozczytywania. Wniosków moich nikomu narzucać nie myślę, tylko je również jak postrzeżenia, najkrócéj, niekiedy nawet tabellarycznie ułożone, do osądzenia znawcom podawać zamierzam. Ani pozwolę sobie wdawać się w żadne wywody i zaciekania się historyczne lub etymologiczne, boby te mi tamowały drogę do głównego celu ujednostajnienia naszéj pisowni, od r. 1830 tak rozmaicie i samowolnie przekręcanéj po wielu redakcyach naszych pismozbiorów zwłaszcza codziennych, i po znaczniejszych nawet drukarniach."

„Tak więc całą niemal a mianowicie odleglejszą przeszłość zostawię niejako za sobą, a zebrawszy z niéj mnogie pożytki albo raczéj potrzebną naukę na dzisiejsze, oraz przyszłe przynajmniéj najbliższe nas czasy, nader rzadko i zaledwie kiedy o niéj wspomnę, chowając ją niby w sobie: abym się nie zdawał dla próżnéj tylko chluby występować na popis z nabytemi nauki skarbami. Nie zawaham się wszakże wspominać albo raczéj wymieniać pisa-

A najprzód na stronnicy 4téj, 5téj, 6téj, 7méj i 8méj mojego *Poglądu historycznego i krytycznego* przy uwagach nad pisownią *J. Lelewela* pominąłem rozprawę tak znakomitego u nas historyka i ortografisty w *Pamiętniku umiejętności czystych* i *stosowanych z r. 1829* umieszczoną, która, lubo żadnego prawie nie wywarła wpływu na ogół piszących, była wszakże dość prawdopodobnie początkiem i zasadą pisowni p. F. Żochowskiego. Tę więc rozprawę, ważną ze swojéj treści, w dalszym ciągu moich postrzeżeń wezmę pod uwagę; przez co zastąpi się opuszczenie zaszłe w *Poglądzie*.

2re. Na stronnicy 13téj, wyczytawszy w dziele jednego z najzasłużeńszych literaturze naszéj pisarzów, błędną albo raczéj nową i najdziwaczniejszą ortografią podany napis książeczki wydanéj przez Nowaczyńskiego Piara w r. 1781 „*O prozodji i harmonji języka polskiego*“ niesłusznie posądziłem o kazirodztwo grammatyczne autora, który wiernie trzymał się pisowni ks. Kopczyńskiego. Ztąd dla nas przestroga, abyśmy nie przywodzili napisów dzieł dawniejszych pisownią w nowszych czasach zmienioną, i tak przywiedzionym napisom ślepo nie zawierzali.

3cie. Na str. 33ciéj, przywodząc z dramatu *Dymitr* i *Marya* błędnie podług pisowni Felińskiego wydrukowane wyrazy: *pośłij, przepadnij, zamknij*, dałem tylko przyczynę grammatyczną, że te wyrazy formują się od osoby 3ciéj tr. ozn. czasu przyszł. *pośle, przepadnie, zamknie*; a dla większego udowodnienia błędu nie powiedziałem: że taka pisownia może z czasem dać powód do błędnego pisania wyrazów (on) *pośli, przepadni, zamkni*, (ty) *pośliśz, przepadnisz, zam-*

rzów i pisowników, którzy z przestróg najbliższéj nawet przeszłości korzystać nie chcą lub nie umieją, aby to posłużyło choć innym za zbawienną nadal przestrogę. Niech mi też wolno będzie obok pisowniczych postrzeżeń i wniosków umieszczać kiedyniekiedy postrzeżenia grammatyczne i wyższe od grammatycznych estetyczne: a to w takim jedynie razie, gdyby chodziło o wykazanie i sprostowanie zagęszczających się coraz bardziéj u nas błędów w użyciu wyrazów, wyrażeń i obrotów mowy niewłaściwych szczeréj polszczyznie.“

Następnie nasz autor wzywa najuprzejmiéj nietylko swoich spółpracowników głównie się zajmujących badaniami nad językiem polskim, ale oraz szczególniéj słynnych i znakomitych pisarzów w rozmaitych przedmiotach i rodzajach polskiéj poezyi lub prozy, jako też naczelnych redaktorów naszych pism zbiorowych: aby raczyli pod adresem: „*Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj*“ nadsyłać mu *franco* swoje uwagi, postrzeżenia, wywody i wnioski tyczące się naszéj pisowni, chwiejącéj się dotychczas pod każdém niemal piórem, jużto przez niepewność zobojętniałych na nią pisarzów, już przez samowolność i uwodzenie się fałszywém rozumowaniem nowatorów.

Nareszcie tak kończy:

„Godząc zaś trudności z natłoku artykułów do redakcyi nadsyłanych wynikнąć mogące, zamawiam sobie u łaskawéj redakcyi dwie tylko lub najwięcéj cztéry przedostatnie stronnice w każdym zeszycie Biblioteki. Na tych kilku stronnicach oprócz główne zajmujących miejsce postrzeżeń i wniosków, umieszczać też zamierzam w jak najwybrańszéj treści i ostateczne wypadki z korrespondencyi, jaką mię zaszczycić raczą wezwani, do których osobne własnoręczne odezwy, w swobodniejszym nieco dla mnie czasie, przesłać nie omieszkam.“ *P. R.*

knisz, (my) *poślimy*, *przepadnimy*, *zamknimy*, (wy) *poślicie*, *przepadnicie*, *zamknicie*; chociaż dobrze się mówi i pisze: *pomnij*, *zapomnij*, (on) *pomni zapomni*, (ty) *pomnisz*, *zapomnisz*, (my) *pomnimy*, *zapomnimy*, (wy) *pomnicie*, *zapomnicie*.

4te. W przypisie 4tym obejmującym rozbiór krytyczny Grammatyki polskiéj A. K. Kozłowskiego na str. 92giéj nie dość jeszcze jasno i dowodliwie pokazałem, jak niestosownie autor używa odcinka na znak wyrzuconéj spółgłoski *j* w wyrazach *'im*, *'ich*, *kra'ina*, *dwo'isty*, *przyzwo'ity*, tudzież wprowadza dwukropkowe ï w wyrazach *historïa*, *teologïa*, któreto *ï* zamienia się na *y* w *historyczny*, a na *i* jednokropkowe w *teologiczny*. Toż na str. 104téj i 5téj należało rozlicznemi przykładami wyświecić trudności wynikające z utrzymania kreski nad *o e* w wyrazach: *próba*, *późny*, *zbiég*, *gniew*, i t. p. a większe jeszcze trudności z upartego rozróżniania zakończeń *imi*, *ymi*, *emi*, *émi*, w wyrazach: *Kochanowskimi* i *Kochanowskiemi*, *naszymi*, *naszémi* i *naszemi*. Co wszakże późniejszemu czasowi zostawiam, czekając, aż dostrzegę zwolenników tak dziwnego rozróżniania zakończeń przyp. 6go l. m., który we wszystkich przymiotnikach i zaimkach przymiotnych kończy się jednostajnie na *emi*.

5te. W przypisie 5tym całkowicie zajętym *Skazówką pisowniczą*, ciągnącą się od stronnicy 107méj aż do końca, lubo na str. 107méj, 8méj i 9téj przywiodłem dość znaczną liczbę wyrazów z opuszczoną kreską nad *o e*, a mianowicie i takie, w których *Deputacya* b. Towarzystwa Warszawskiego tęż kreskę chciała mieć utrzymaną; należało mi jeszcze do wyrazów zakończonych na *ej* bez kreski zamieścić *tej*, *mojej*, *pięknej*, *królowej*, *Sobieskiej* i t. p. Należało też na str. 109téj więcéj przywieść wyrazów, dla dostateczniejszego wskazania zamiany *o* na *a* w słowach niedokonanych i częstotliwych, uformowanych ze słów dokonanych; co w dalszym ciągu moich *Postrzeżeń* i *Wniosków* uzupełnić nie zaniedbam.

II. Sprawa ortografii polskiéj w Galicyi przez F. Rychlickiego, Lwów, 1852.

Wiele tu jest prawdy i słuszności, mianowicie w uwagach nad opłakanym stanem pisowni polskiéj w Galicyi, jako też nad niebacznem kleceniem nowych wyrazów. Lecz zaraz na piérwszéj stronnicy uderza i razi niesamozgodność autora w używaniu głoski *j*, gdy przyjął dziwną zasadę: że *j* pisać się powinno tylko na końcu wyrazów, a na początku i we środku toż samo *j* ze swojém tak niewątpliwém spółgłoskowém brzmieniem wyręczać się może i zastępować przez *i*. Tak więc należy podług autora pisać *mój*, *moia*, *iaki*. Błędy pisowni zachodzą także w wyrazach: *pierwszymi*, *Krasickimi*, *regół*, *podiąwszy się*, *uderża*, *zwycięzstwa*, *dlatego*, *że* zamiast, *dlatego że*.

Słusznie naganione i nawet wyśmiane pisanie Julija, Juliji, Daniji, i t. p. Na poparcie czego służy przywiedziony z Dzieła „*Lingwistyka powszechna*, *Lwów* 1851" następujący ustęp: „że chociaż zgodniéj

jest z istotą języka polskiego i powszechną wymową narodową pisać *Danija Daniji* i t. p., jednak pomimo przekonania indywidualnego pisze (autor *Lingwistyki*) *Dania Danii*, stosownie do zasad *Deputacyi Warszawskiéj*, i wzywa literatów, ażeby, dopóki coś lepszego ustaloném nie będzie, *podobnie* pisali." Powiada też autor: „że Rossya nie wymawia się właściwie ani jak *Rossy-a* ani jak *Rossy-ia* albo *Ross-ja*, ale zarywa coś ze wszystkich tych brzmień." Ale tu nie idzie o wymawianie, tylko raczéj o pisownią, która, o ile tylko można, powinna być do wymawiania zbliżoną, a zatém najbezpieczniéj jest pisać *Rossya*.

Następnie przywiedziony jest ustęp z odczytu A. M. „że grammatycy niekoniecznie wpływają korzystnie na mowę krajową, właśnie dlatego, że wszystko anatomizują, i na każde ust otwarcie stanowią zaraz reguły."

Nareszcie dość jest ciekawym ustęp z mowy p. Montalembert na końcu dziełka przywiedziony w polskim przekładzie jak następuje: „Duch burzenia czyli rewolucyi, któremu wszędzie potrzeba kłaść zapory, powinien być przez nas odpierany na dziedzinie literatury, stylu i języka. Zasłaniajmy społeczność przeciw zgubnemu panowaniu czczych frazesów. Ujmujmy się za nasz język codziennie bezczeszczony użyciem niestosownych wyrażeń."

III. Biblioteka Warszawska z r. 1852, *grudzień.*

Należy oddać sprawiedliwość *Bibliotece Warszawskiéj*, iż ze wszystkich pismozbiorów polskich tutejszych i zagranicznych najpoprawniejszą jest co do pisowni; a jeden tylko Czas (krakowski) może tu iść w porównanie z *Biblioteką*, któréj korrektor, silnie się opierając na zaniedbanych przez wielu *Wnioskach Deputacyi*, rzadko kiedy i to bardzo rozważnie od owych po większéj części wyrozumowanym wywodem popartych wniosków odstępuje. Ma jeszcze tę wielką zasługę redakcya *Biblioteki Warszawskiéj*: że nader umiejętnie i starownie przestrzega należytego używania znaków przestankowych, czém mało u nas książek a dopiéroż pismozbiorów, zazwyczaj nagle i pokwapliwie wydawanych, poszczycić się może. W całym tedy ostatnim z r. zeszłego Nrze Biblioteki jak najpilniéj przeczytanym zostają jeszcze do poprawy lub rozstrzygnienia następujące wyrazy:

„*późniéj*, *próby* od *pożno proba*, *tekst*, z *refleksyą* (a dobrze *explikować*, *Xawery*, *Kodexu*), *wspólny* (a mówimy dobrze i piszemy *społem spółka*), *djabeł* (kiedy nie mówimy i nie piszemy *anjoł* od *angelus*, czemuż mamy pisać *djabeł* od *diabolus*: tu lepiéj zatrzymać dawną chociaż obcą pisownią, niż wprowadzać niepotrzebnie i tak już zbyt często nadużywane *j*): *epopea* jak *idea* lepiéj może niż *epopeja* wyraz zwykle używany, gdy nader rzadko kto mówi i pisze *ideja ideję*; w *piśmie*, ludzie *nie młodzi* zamiast *niemłodzi*, *zpod*, *znad*, zamiast *z pod z nad*, *zcicha* (*z cicha* albo *scicha*), *wokoło*, *zukosa*, zamiast *w około*, *z ukosa*, bo tu *w* z wymawiają się osobno czyli bez łączenia *z o w*; *niekoniecznie*, *niezawsze* zamiast *nie koniecznie nie zawsze*

(tu rzeczywiście zachodzi przeczenie); to się *niegodzi, nietrzeba, tak, iż* zamiast *tak iż, po co*? i *pocóż? wié* i *wiem, Kazimierz* (lepiéj może Kazimirz), ci ludzie (*Kazimierz i Joanna*) *kochali się w sobie*, zamiast *kochali się wzajem* albo *miłością wzajemną; francuzką* (wymowę) zamiast *francuską* (co innego gdy mówimy: byłem z tą Francuzką), *ze zapór* zam. *z zapor, niema* i *nie ma* (nieosob.), *robót, za mąż*, może lepiéj *zamąż*, po *Wielkiéjnocy*, lepiéj *Wielkanocy, utwór*, lepiéj *utwor, obrząd* zamiast powszechnie używanego *obrzęd, marszałkowę* i *cesarzową* (przyp. 4 l. p.), *półtoréj* (ry), *znaleźć* zamiast *znaleść, wychodźcy* lepiéj *wychodzcy, wychodztwo* jak *sąsiedzcy sąsiedztwo, Olympiady, Miltyades*, ze *Skytami, Byzantyum, sześciu* końmi zamiast *sześcią, kopię* (robił) zamiast *kopią, księżnéj* zamiast *księżny*, zwłaszcza że niżéj na tejże saméj str. 578méj *księżnie* (przyp. 3 l. p.).

Z r. 1853. *Styczeń.*

Dobrze i należycie wydrukowane wyrazy: *proba, z między, exemplarz, wykończał* nie zaś *wykańczał, cmentarz*, na *mszą, exekwie, wszystką* (bieliznę), *na summkę, nietylko, tojest, przed stą laty* nie zaś *stu, nutami, niewielkiéj* (są wagi), *też, pismiennictwa, gienialnych, epopee, studyujem* zamiast *rozczytujem z pilną uwagą, mass, ziem, i t. p.*

IV. Gazeta Warszawska z ostatnich miesięcy r. 1852.

Lubo ze wszystkich pismozbiorów codziennych, w Warszawie wychodzących, najpoprawniejszą jest bez zaprzeczenia *Gazeta Warszawska* nietylko co do pisowni, ale i co do polszczyzny; zachodzą w niéj jednak tu i owdzie oprócz pisownianych i błędy wysłowienia, a mianowicie następujące:

objemu zamiast *obejmu, kwestyę* zamiast *kwestyą*, nie *zadawalniających* zamiast *nie zadowolniających* (nr. 214), serdecznie mi żal było, *żem nie był malarzem* zamiast: *że nie jestem* (nr. 234 Krasz.), *ma dość rozumu, by nie wchodzić w spory z rządem*, zamiast *ma tyle rozumu, iż nie wchodzi* w spory albo *nie wejdzie* (nr. 236 str. 3 kol. 3); *jazda okalała kolumny* zamiast *okolała* (nr. 246); *poszukiwał rękopisy* zamiast *rękopisów* (dodat. do nr. 254 Siemień); *nawet przy jéj mało republikańskich postanowieniach* z francuska *peu republicaines* zamiast *tak nierepublikańskich*, (a dobrze w nr. 333 *niechrześciańskich*; *w Galicji* (a dobrze *od redakcyi*), *naszymi* zamiast *naszemi, prosiemy sądziemy* zamiast *prosimy sądzimy* (nr. 328); *filijalne* (333), *Grzegórz* zamiast *Grzegorz* jak *węgorz ślinogorz*, (nr. 335), *w drammach* zam. w *dramach, Anglija Hiszpanija*, obok *Austrya Francya* (co za sprzeczność! nr. 338); *Uniwersyteta urzęda, portreta*, zamiast *uniwersytety, urzędy portrety* (co innego uformowane z imion cudzoziemskich rodz. nij. *dramata, koncepta, projekta, sekreta, teatra*) nie *podobna było* zam. *niepodobna*; nazwiska *prezesiny* i *sekretarzyny* zam. *prezeski* albo *prezydentki* i *sekretarki*

(nr. 8 r. b.). Dość tu zrobić uwagę, że *prezesina*, *sekretarzyna* jak *krawczyna*, *szewczyna* mogą raczéj służyć do oznaczenia mężczyzny, który jest bardzo nieudolnym *prezesem*, *sekretarzem* lub *krawcem*, *szewcem*, albo raczéj źle i nikczemnie wygląda w swojém krześle prezesowskiém, sekretarskiém, lub też na swoim stołku rzemieślniczym. Nareszcie w jednym z nrów dawniejszych *licząc na boską pomoc* (Murdellio), niezgodnie z duchem języka naszego, zamiast *ufając Boskiéj pomocy*; toż *czy mogę rachować na twoje słowo* zamiast *być pewnym twojego słowa*, albo *polegać na twojém słowie*, albo *spuścić się na twoje słowo*; *nie spuścim go z oka więcéj* zamiast *nie spuścim go już z oka*. Ani tego pominąć nie mogę, że w nrze 247 czytamy: „Każda literatura zaczyna się i kończy w pewnéj mniéj więcéj oznaczonéj epoce"; to bardzo problematyczne zdanie znakomitego pisarza przywodzi nam na myśl słowa K. Libelta zwrócone do dzisiejszych Niemców. *Solum vobis superest sepulcrum.*

V. Dziennik Warszawski z r. 1852 *nr.* 316.

Dziennik Warszawski, którego pisownia podaną już została w *Poglądzie historycznym i krytycznym* na str. 45, 6-7méj, dotąd się nie otrząsnął z raz przyjętych i zaswojonych błędów; a mianowicie używa się w nim *ks gz* zamiast *x*, a zaś *j* zamiast *i y* w wyrazach cudzoziemskich; nareszcie opuszcza się kreska nad *e* w 6tym przypadku l. p. przymiotników i zaimków przymiotnych rodz. nij. jak to pokazują następujące wyrazy: *Aleksandra*, *bataljon* zamiast *batalion* jak mówiono i pisano przed zbytkowém upowszechnieniem *j* (wszakże dziś jeszcze nie mówimy *pali jon* ani *pal jon* zamiast *pali on* ani też *Napolejon* zamiast *Napoleon*); *traktjerni*, *restauracji*, *Wiktorji* i t. p. *opinję* zamiast *opinią*, *w tém*, *stąd*, *obódwóch*, *poza*, *zpoza*, *jeziór*, *płatnij* zamiast *płatniéj* od on *płatnie*, *w ochydném*, *czychaniu*, *wspólką*, zamiast *spółką*. Obok powyżéj przywiedzionych uchybień dobrze są wydrukowane wyrazy: *familia*, *policmajster*, nie zaś jak w poprzednich nrach bywało niegdyś *familja*, *policmejster*, *pomnij*, toż *Maxymilian*, *axyoma*.

VI. Kuryer Warszawski z r 1852. *Nr.* 346.

Zachodzą tu po większéj części też same błędy przeciwko poprawniejszéj pisowni, jakie już zostały wskazane na str. 18téj *Poglądu historycznego i krytycznego*, a mianowicie następujące:

Kurjer, w *dobrem* zdrowiu, *procesja*, *ewangeljami*, *pierwszą*, *wydanem*, ani *też*, *tem*, restaur*acji*, austr*jacki*, na exportac*ję*, *smętarz* zamiast *cmentarz*, relig*ji*, pens*ji*, fantaz*ję*, *późniéj*, Petiskus, Fidiasz, dla *zwolenników billardu* (co znaczy właściwie dla *uczniów*, zwłaszcza trzymających się ściśle nauki mistrza). Jeszcze więcéj rażącém było w jednym z poprzednich Nrów Kuryera wyrażenie: *zwolennicy piwa bawarskiego*, jak gdyby używanie piwa było jakim kunsztem albo nauką (lecz to wyrażenie słusznie gościnny *Kurjer* przyjął do swoich

koluma, jako mieszczące się w odezwie *obywatela miasta Warszawy*); *już to* zam. *jużto*, *materjałów*, na *loterję*, *Marja*, *komedji*, *miljonów*, *Xięciu*, Hiszpan*ja*, *Sardynji* i t. d.

Dobrze i należycie są wydrukowane następujące wyrazy, których wszakże pisownia chwieje się dotąd w wielu pismach: *jako to*, *naprożno*, *nieraz*, *tej*, *jakiejś*, *Bruxelskie*, *summa na summie*, *męzkiéj*, *księżny*, (nie zaś *księżnéj*), *opóźnia* (nie *opaźnia*, tu tylko niepotrzebnie *o* kreskowane przed *ź*).

VII. Gazeta Codzienna z r. 1852. *nr.* 341.

Pominąłem był w moim *Poglądzie historycznym i krytycznym Gazetę Codzienną*, chociaż o jéj pisowni od lat kilku dziwne rzeczy słyszałem; pominąłem ją jednak „aby się nie zdawało komu“ żem rad występować z drobiazgowém wytykaniem i ogłaszaniem błędów krewkości redaktorskiéj. Dziś dopiero jeden Nr tej Gazety wziąłem do ręki, i po pilném jego przejrzeniu przekonałem się, iż co do użycia najdrażliwszéj u nas spółgłoski *j redakcya Gazety Codziennéj* silnie się opiera na *Wnioskach Deputacyi*, a jéj błędy pisowniane zachodzą szczególniéj w następujących i tym podobnych wyrazach:

Gubernji (a dobrze *akademii*, *Anglii*, *gubernialny*, *reklamacyi*, *milion*), *podanem*, *tem*, *na niem*, *poczem* (przystaję jednak chętnie na opuszczoną kreskę nad *e* w wyrazach: *prawej piaszczystej* i t. p.), *pokrzywdzonymi*, *przydzielony* do poselstwa. lepiéj po polsku *przybrany*, *przydany*, albo *przyłączony*; w *Brukselli* zamiast *w Bruxelli*, w *Stutgardzie* zamiast w *Stuttgardzie*, *objad* zamiast *obiad* (a dobrze *wzięcie* nie zaś *wzjęcie*), o *audyencyę* zamiast *o audyencyą*, *uczęstniczy* zamiast *uczestniczyć*, *nie dostaje*, zamiast *niedostaje* (brakuje), *przewidzić* zamiast *przewiździeć*, *nie jedna* zamiast *niejedna*, *naprzekór* zamiast *na przekor*.

VIII. Tygodnik Petersburski nr. 88 *z r.* 1852.

Łatwo przyszłoby redakcyi poprawić pisownią swego Tygodnika, który ma już tę wielką zaletę: że się odznacza czystém i jasném wysłowieniem, a grzeszy najwięcéj opuszczaniem potrzebnéj kreski nad *e* w przysłówkach stopnia wyższego, tudzież wtrącaniem *j* w niektóre wyrazy cudzoziemskie, jak się to pokazuje w następujących wyrazach: *niemniej*, *więcej*, *później*, zamiast: *niemniéj* i t. d. (chętnie przystaję na *jej*, *silnej*, *rozumnej*); *gubernijalnego* zamiast *gubernialnego*, *monarchija*, *monarchiją* (a dobrze *monarchii*, *Francyi*), *zpomiędzy*, *zza*, zamiast *z pomiędzy*, *z za*, *adress* lepiéj *adres adresu*, jak *interes*, *interesu*, (chociaż dobrze się pisze przez podwojone *s*, *m*, *klassa*, *klass*, *kassa*, *kass*, *summa*, *summ*); *smętarz* zamiast *cmentarz*, *nie mało* zamiast *niemało*, *niechce* zamiast *nie chce*.

Nie mówi się też dobrze po polsku *zesłanego na lat dziesięć*, zamiast *zasłanego*, *nadbrzeże*, *kwartału*, zamiast *dzielnicy* czyli *części miasta*, *jakowa* zamiast *którato*.

IX. Rocznik Towarzystwa krakowskiego z r. 1849 zeszyt IV (od str. 465).

Tu zachodzą następujące błędy przeciwko poprawniejszéj pisowni: *wijaduktów* zamiast *drogociągów*, *skąd*, *bespiecznie*, *niskich*, *przekładam* zamiast *podaję*, *lékarzy* zamiast *lekarzy*, *pojedynczo*, *epidemiji* (a dobrze *miazma* nie zaś *mijazma*), w *Indijach* a dobrze w *Hollandyi* i poniżéj nawet w *Indyach* (str. 482), *wczesne*, *kléiku* zamiast *klejku*, *przywięzując* zamiast *przywiązując*, *stósownej*, *zapóźno*, *zapobiédz*, *takową* zamiast *ją* (str. 537), *uśpionych*, *liniję* zamiast *linią*, *unija* (str. 551), *blachy*, *znaléść*, *ze ziemi*, *sałasz*, *w szlimasznicę*, *nie jeden* zamiast *niejeden*.

(Od str. 561) *nie wyraźnie*, *nie wieloma*, *nie podobna*, *nie pospolicie*, *późniejszych*, *naprzód* zamiast *najprzód*, *w krótce*, *przystósował*, *bliskości*, *jakoto* zamiast *jako to*, *tryszczą* zamiast *tryskają*, *to jest* zamiast *tojest*, *w śród*, *rzadzi* zamiast *rzadzéj* lub *rzadziéj*, *tak*, *iż* zamiast *tak iż*, *mięszaninę*.

X. Czas nr. 6 z dnia 9 stycznia r.b.

Już na stronnicach 52—3ciéj *Poglądu historycznego i krytycznego* podana jest pisownia *Czasu* z r. 1851go, która dotychczas prawie żadnéj nie uległa zmianie. Redakcya *Czasu* tę ma największą zasługę, że, również jak *redakcya Biblioteki Warszawskiéj* ustrzegła się w swoim pismozbiorze niepotrzebnego wprowadzenia *j* do wielu wyrazów swojskich i cudzoziemskich; ale przyjęta przez nią pisownia jeszcze jest błędną, albo chwieje się w następujących wyrazach: *bliski* zamiast *blizki*, *wziąść* zamiast *wziąć*, *znaléść* zamiast *znaleźć*, *dymisyi*, *dyskusye* (a dobrze *koncessye*), *w masie* zamiast *w massie*, *wychodźców* zamiast *wychodzców* albo *wychodców* od *wychodzić* jak *radzców* lub *radców* od *radzić*, *niesprzyja* zamiast *nie sprzyja*, *niema*, *nie ma*, *i niemasz* (nieosob.), *francuzki i francuski* (orzeł), ani *też* zamiast *téż*, ani znalazł *odgłos* zamiast *odgłosu*, *mistrz ceremonij* zamiast *ceremonii*.

Dobrze wydrukowane wyrazy: *z razu*, *Oxford i Alexander* przez *x*, *przed parą laty*, nie zaś jak inni piszą i drukują *przed paru laty*; lecz nie można mówić z francuska: *opuścił miasto* zamiast *wyjechał* albo *wyszedł z miasta*.

T. Sierociński.

Od redakcyi.

W świeżo wyszłém pisemku pod tytułem: *Projekt do słownictwa chemicznego* (Warszawa, w drukarni Jaworskiego 1853), autorowie w krótkiéj przedmowie oświadczają:

„że projekt do słownictwa chemicznego obecnie wychodzący, był już przed rokiem ułożony, *po przyjęciu zasad* na posiedzeniach Biblioteki Warszawskiéj rozbieranych"; tudzież daléj:

„że projekt niniejszy jest wypadkiem narady *większości osób pracujących* w naukach przyrodzonych i ściślejszy związek z niemi mających".

Te oświadczenia wywołują potrzebę objaśnienia ze strony redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, która zawsze pragnie trzymać otwarte szranki dla wszelkiego udoskonalenia i postępu na drodze naukowéj.

W istocie, uznana powszechnie niedostateczność i niejednostajność języka chemicznego polskiego w teraźniejszym stanie chemii, stała się powodem redakcyi do zaproszenia przed dwoma laty osób nauce téj oddających się, do wspólnego zniesienia się w celu ustalenia słownictwa chemicznego i ogłoszenia w Bibliotece Warszawskiéj wypadku pracy, który, jako wypływ wszechstronnego rozbioru, mógłby się przedstawić z powagą w zakresie ścisłych nauk potrzebną. Chociaż od udziału w téj czynności dwóch znakomitych chemików tutejszych uchyliło się, redakcya jednak mając nadzieję, że i oni usłuchają głosu powszechnéj naukowéj potrzeby, skoro sam przedmiot opracowany zostanie: ułatwiła porozumienie się około trzydziestu osób pragnących spólne usiłowania do oczyszczenia słownictwa chemicznego skierować. Wszelako dążenia redakcyi dotąd zamierzonego celu osiągnąć nie mogły, albowiem zdania osób zajmujących się udokładnieniem słownictwa chemicznego, nie przyszły jeszcze do jedności; i ten był powód, dla którego redakcya wstrzymywała się z zamieszczeniem w pismie swojém tak wiadomości o zamierzonéj pracy, jako i jéj wypadku. Dlatego téż redakcya nie może podzielić oświadczenia szanownych autorów *Projektu słownictwa chemicznego*, jakoby takowy oparty był na przyjętych już za uczestnictwem redakcyi zasadach. Pragnęła właśnie redakcya przyjść do wypadku, opartego na zdaniu większości osób pracujących w naukach przyrodzonych i nie traci nadziei, że dalsze porozumienie się miłośników nauki chemicznéj, ostateczny z czasem dla ogółu owoc przyniesie, a redakcya z tém żywszém upragnieniem otworzy kolumny pisma swego dla pracy, która poszczycić się będzie mogła głosem powszechniejszego przyjęcia. Obecnie wydany Projekt słownictwa chemicznego, zalecony znanemi i poważanemi imionami w zawodach: professorskim, technicznym, lekarskim i farmaceutycznym, pozostanie nietylko jako szacowny do stanowczéj pracy materyał, ale nadto jako dowód nader gorliwych i umiejętnych usiłowań mężów o postęp nauki dbałych.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Tworzenie się ciał mineralnych takich, jakie widzimy w przyrodzeniu. Ogłoszenie to, jest dalszym ciągiem poszukiwań p. Becquerel'a, tyczących się związków chemicznych, ktore mogą być utworzone z połączeń ciał zsiadłych lub cieczy, przez powolne działanie.

W rozprawie swéj, p. B. zastanawia się: 1) nad krzemionką i kwarcem; 2) nad podwójnym węglanem miedzi i sody; 3) oraz nad arsenianem 2 (arséniate) dwu-zasadowym wapna i amonii. W następujący zaś sposób ciała powyższe zostały otrzymane:

1. Nasamprzód zastosował p. B. sposób powolnego podwójnego rozkładu, gdyż dawniéj już podług tego postępowania, otrzymał malachit (węglan dwu zasadowy wodny miedzi) i pewną liczbę innych związków, ale nie mógł utworzyć kwarcu i wodanu krzemionki, rysującego szkło. Do tego ostatniego celu, umieścił w flaszce zatykającéj się korkiem, b. rozcieńczony roztwór krzemianu potażu (około $\frac{1}{2}$ kwarty), z wielu blaszkami siarkanu wapna: ponieważ nie zatkał dobrze naczynia, kwas więc węglowy powoli wchodził w nie, a ztąd tworzył się natychmiast węglan potażu, który zaraz działać zaczął na siarkan wapna i utworzył siarkan potażu, i węglan wapna skrystalizowany; jednocześnie zaś osadziła się krzemionka tak zbita, że mogła rysować szkło, tworząc ziarna lub tabliczki mające 5 do 6 centymetrów powierzchni i zawierała 12 na 100 wody. Oprócz tego na dnie flaszki, osiadła także miałka krzemionka, twarda jak poprzednia. Ta krzemionka z roztworem gorącego roczynu potażu, pozostawiała na spodzie miseczki blaszki przezroczyste, które uważane właściwym sposobem, pokazywały ubarwienie takie, jakie posiadają kryształy, podwójnie łączące światło. Blaszki te więc były kwarcowe.

Z tego się pokazuje, że krzemionka osadza się w rozmaitych postaciach w czasie działania kwasu węglowego powietrza, które wchodzi do flaszki, i łączenia się tegoż kwasu z potażem poprzednio będącym w związku z krzemionką rozpuszczoną; a jednocześnie utworzony węglan potażu, działa na siarkan wapna, i rozkłada go. Temu to podwójnemu działaniu, przypisać należy utworzone skutki.

2. W Pamiętniku przedstawionym Akademii umiejętności paryzkiéj w d. 19 kwietnia r. z. powiedział p. B., że można otrzymać węglan miedzi dwu-zasadowy (malachit), zanurzając na pewien czas kawałek wapienia, pokryty saletranem zasadowym miedzi, krystalizowanym w roztworze nieco rozcieńczonym dwu-węglanu sody, i że gdyby działanie trwało dłużéj niż tego wymaga przemiana saletranu zasadowego w węglan dwu-zasadowy, sam węglan uległby rozkładowi, a utworzyłby się węglan podwójny miedzi i sody barwy jasno-błękitnéj, w bardzo małych kryształach, mocno przylegających do wapienia. Jednocześnie p. B. robił rozmaite przetwory i zostawiał je na działaniu zwyczajném przez przeciąg kilko-miesięczny. W listopadzie r. z. wyjąwszy z roztworu dwu węglanu sody, kawałki wapienia, pokryte saletranem zasadowym miedzi, które były włożone przed sześciu miesiącami; znalazł węglan dwu-zasadowy w większéj części rozłożony i zmieniony w podwójny węglan miedzi i sody w pięknych kryształach nie drobno-widowych jak poprzednie, ale dających się oznaczyć.

3. Włożywszy na znaczną liczbę miesięcy lub lata, kawałek wapienia, np. kredy, w wielki nadmiar roztworu nasyconego arsenianu 2 amonii; po pewnym przeciągu czasu, zaczyna się spostrzegać na powierzchni wapienia kryształy przezroczyste zupełnie wyraźne. Kryształy te w powietrzu dosyć prędko wietrzeją, utracając amonią i wodę. Rozbiór ich okazuje, iż w składzie swym zawierają arsenian drugi wapna i amonii, z znaczną ilością wody. Przypuszczając, że inne zasady ziemne jakoto: baryta, stroncyana, magnezya i t. p., tak się zachowują, jak wapno przy oddziaływaniu ich węglanów na arsenian drugi amonii; zastawił p. B. przyrząd, chcąc sprawdzić powyższe przypuszczenie. W kilka dni potém, ujrzał na powierzchni węglanów, kryształy igiełkowate, mogące jedynie należéć do związków podwójnych arsenianu drugiego amonii, i arsenianu drugiego o zasadzie ziemnéj. Skoro te kryształy utworzą się w przyzwoitéj ilości, zamyśla p. B. zrobić rozbiór, dla ostatecznego oznaczenia składu tego nowego oddziału ciał.

Oprócz tego p. B. opisuje kilka związków dosyć ciekawych. Tak np. gdy wystawił na powolne działanie roztworu nasyconego chromianu obojętnego, lub dwu-chromianu potażu, wapień pokryty saletranem zasadowym miedzi; otrzymał w piérwszym razie chromian miedzi jasno-zielony, w kryształach b. drobnych; w drugim zaś chromian téjże zasady również w kryształkach drobnowidowych, ale barwy brunatno-czerwonéj. Sinek miedzi krystalizowany, tym sposobem przyrządzony, ma barwę lagru winnego czerwonawą, lub wiśniową. (Treść z pisma l'Institut z 2 lutego).

✳ P. Bouis przekonał się że woda ciepła alkoliczno-siarkowa z Olette, w wschodnich Pireneach, zawiera w sobie kwas borowy który ma być tam połączony z sodą, tak jak to natrafia się w wodach chińskich, perskich i w Peru; w toskańskich bowiem, kwas ten znaleziono w stanie wolnym. (Tamże w treści). *J. B..a.*

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

111. Rozprawy C. K. galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Tom 1. 8ka. Lwów. 1846. Druk Piotra Pillera (nakład Towarzystwa). Napisu i rejestru kart 2 i str. 176 (Przy str. 126 zamieszczone są dwie lit. ryciny). Na miejscu tak ten jak i następne tomy kosztują kop. sr. 60.

112. Słowa prawdy dla użytku wszystkich stanów przez * * *. Wydanie drugie J. N. Bobrowicza. 16ka. Lipsk. 1846. Nakład Księgarni zagranicznéj, druk F. Reclama. Str. 99. Kop. 15.

1849.

104. Rocznik Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem Jagiellońskim złączonego. Tom IV. (Ogólnego zbioru T. XIX). 8ka. Kraków. 1849. W drukarni uniwersytetu. Karta napisowa 1, rejestru 1, i str. 588. Spostrzeżeń meteorologicznych kart 12. (Tom ten składa się z 4 zeszytów. Do zeszytu 2go dołączono podobiznę lit.; oprócz tego w zeszycie 3 znajduje się jedna rycina, a w zeszycie 4 dwie ryciny.

1852.

154. Ładowa Pieczara. Obrazek wiejski przez J. I. Kraszewskiego. (Z godłem:)

Amplius invenies in silvis, quam in libris.
S. Bernardus.

12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 237. Rs. 1.

155. Pisma pomniejsze Jana Majorkiewicza. 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1852. Nakład G. Sennewalda, druk Ungra. Część I str. 401 i rejestru karta 1. Część II str. 311 i karta 1. Rs. 3.

156. Tajemnice społeczeństwa wykryte w sprawach kryminalnych krajowych, wydał L(udwik) T. Tripplin. 3 tomy. 12ka. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera, druk C. H. Storcha i Spółki. Tom I napisów, rejestru i przedmowy str. liczb. XVI i 287. T. II, kart 3. i str. 228. III, kart 3 i str. 262. Rsr. 4 k. 50.

157. Wspomnienia z podróży do Syberyi, pobytu w Berezowie i w Saratowie; spisane przez Ewę Felińskę (ą). 12ka. 2 tomy. Wilno, 1852 (na okładce rok 1853). Nakład i druk J. Zawadzkiego. Tom I, str. 348, II, 299. Rsr. 3 k. 30.

1853.

21. Bezkrólewie po Janie III Sobieskim. Dzieło Bizardiera przetłómaczone na język polski i objaśnione przypiskami przez Juljana Bartoszewicza. 8ka. Wilno. 1853. Nakład księgarni pod firmą Rubena Rafałowicza, druk J. Zawadzkiego. Napisów i przedmowy tłumacza str. XXV i 216. Rsr. 1 kop. 80.

22. Czarno i biało. Krew hetmańska (.) Powieść Ad. Am. Kosińskiego. 12ka. Wilno. 1853. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. XIII i 259.

23. *Die Quadratur des Kreises wie auch andere gelöste geometrische Probleme.—Quadrature du cercle et autres problèmes goémétriques resolus.*—Kwadratura koła tudzież inne zagadnienia geometryczne rozwiązane przez Stanisława Służewskiego. 8ka. Kraków. 1853. W drukarni c. k. Uniwersytetu. Str. 29. (Do stron VI znaczono rzymskiemi liczbami. Z litografowaną tablicą). Kop. 60.

24. Dramata Józefa Korzeniowskiego. Serya III. 2 tomy. 12ka. Petersburg. 1853. Nakład B. M. Wolffa, druk Edwarda Wejmara. Z godłem: Disertior ipse es? tanto magis ne invideris: nam qui invidet, minor est. *C. Plinius.* Tom I str. 323. II 222. i w każdym napisów kart 2 i rejestru kart 1. Rsr. 2 kop. 50.

25. Dziwadła. Powieść współczesna przez J. I. Kraszewskiego. 2 tomy. 16ka. Petersburg. 1853. Nakład B. M. Wolffa, druk Wienhöbera. T. I str. 184. II 258, i w każdym napisów kart 2. Rsr. 2.

26. Interesa familijne. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. 4 tomy. 12ka. 1853. Nakład B. M. Wolffa w Petersburgu, druk J. Ungra. w Warszawie. Tom I str. 213. II 222. III 178. IV 186. W każdym tomie napisów kart 2. Rsr. 4.

27. Kazania na wszystkie w roku niedziele i święta X. Józefa Kalasantego Mętlewicza, magistra nauk i sztuk pięknych, kanonika h. kaliskiego, proboszcza łęczyckiego. 4 tomy. 12ka. Petersburg. 1853. Nakład B. M. Wolffa, druk K. Kraja. Tom I. (Kazania niedzielne). Kart 2 str. II i 264. Tom II. (Kazania niedzielne). Kart 2 i str. 235. Tom III. (Kazania świąteczne i przygodne). Kart 2 i str. 292. Tom IV. (Kazania świąteczne i przygodne). Kart 2 i str. 238. Rsr. 4.

28. Latopisiec albo kroniczka Joachima Jerlicza, z rękopismu wydał K. Wł. Wojcicki. 2 tomy. 16ka. Warszawa (rzeczywiście Petersburg). 1853. Druk Wienhoebera (nakład B. M. Wolffa). Tom I str. XLIV i 187. II 213. Rsr. 2.

29. Najnowsze pszczelnictwo oparte na zasadach Xiędza Dzierzona z postrzeżeniami Morlotta, Fukla, Nutta, Kuhnta, Kübnera i t. d. Tłumaczył i pomnożył Hipolit Witowski. Z 54 drzeworytami w texcie. 8ka. Lwów. 1853. Nakład Jana Milikowskiego, druk Zakładu narod. Ossolińskich. Str. VIII i 269. Rsr. 1 k. 50.

30. O gnojach uważanych jako nawozy (,) przez J. Girardina, professora chemii agronomicznéj w Rouen, członka Towarzystwa agronomicznego paryskiego i t. d. i t. d. Wydanie V dzieła uwieńczonego p. Tow. agron. w Cher i przyjętego pr. Radę główną Niższéj Sekwany, pr. Centralne Towarz. Agronomii w Rouen i p. Stowarzyszenie normalne. Tłómaczenie z francuzkiego z przedmową obejmującą treściwy rys chemii agronomicznéj. Na rzecz pomoc. nauk. 8ka. Poznań. 1853. Nakładem J. K. Żupańskiego, druk Pawickiego i Gube. Tytułów i rejestru str. VIII i 240. Porównania miar i wag str. V.

31. Opis powiatu Wasylkowskiego pod względem historycznym, obyczajowym i statystycznym (,) skreślił Edward Rulikowski. 8ka. Warszawa. 1853. Druk S. Orgelbranda (nakład autora). Kart 2 i str. 243. Rejestru karta 1.

32. Poradnik uczący sposobów ustrzeżenia się cholery i leczenia jéj w nieobecności lekarza. Wydany z upoważnienia Rządu. Cena za egzemplarz w Królestwie kop. sr. 10. 8ka. Warszawa. 1853. Str. 29.

33. Projekt do słownictwa chemicznego. 16ka. Warszawa. 1853. Druk J. Jaworskiego. Napisów i przedmowy kart 2 i str. 81. K. 50.

34. Siestrzenica i Ciotka. Powieść obyczajowa przez Ewę Felińskę. 16ka. Wilno. 1853. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Str. 312. Kop. 90.

35. Wspomnienia z podróży przez Dra T. Tripplina. Wydanie drugie poprawne. 12ka. 4 tomy. 1853. Nakład B. M. Wolffa w Petersburgu, druk Gazety Codziennéj w Warszawie. Tom I (zawierający 1go wydania tom 1szy i 2gi). Dania.—Norwegia. Str. XXII i 231. Tom IIgi (zawierający 1go wydania tom IIIci i IVty). Anglia.—Szkocya. Str. 415. Tom IIIci (zawierający 1go wydania tom Vty i VIty). Portugalia.—Hiszpania. Str. 381. Tom IVty (zawierający 1go wydania tom VIImy i VIIImy. Hiszpania.—Państwo Marokańskie. Str. 264. Rsr. 7 kop. 50.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

S. H. Merzbach ogłosił prospekt na: „Skarbiec arcydzieł piśmienniczych Europy, przełożonych z obcych języków na polski i ozdobionych drzeworytami najpiérwszych artystów francuzkich.“ W zbiorze tym, którego nie określa wydawca co do liczby tomów, na początku zamieści utwory następne: „Paweł i Wirginia“, Bernardin de Saint-Pierre; Chateaubriand'a: „Rene“ „Ostatni z Abenseragów“ „Atala“ „Podróż z Paryża do Jerozolimy“; Goldsmith'a „Wikary Wekfildzki“; Cooper'a „Krzysztof Kolumb“; „Gil-Blas“ Lesag'a; Gallanda „Tysiąc nocy i jedna“; Cervantes'a „Don-Kiszot“; Sterna, „Podróż sentymentalna“; „Powieści Szmidta.“ Wydanie ozdobne, nieustępujące paryzkim, a druk nawet lepszy: odbicie drzeworytów staranne. Jeżeli przekład odpowié wymaganiom literackim, to przedsięwzięcie księgarni nic nie zostawi do życzenia, przy niesłychanie nizkiéj cenie. Może następnie znajdziemy nakładcę na wydanie krajowych utworów w illustrowanéj edycyi; wszakże nam ani na wyborowych dziełach, ani na zdolnych artystach nie zbywa.

— S. Orgelbrand wkrótce ukończy dzieło A. Przezdzieckiego: „Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach“, z rycinami.

— G. Sennewald rozpoczął druk przekładu „Pieśni serbskich“ Romana Zamarskiego w 2 tomach.

— W Wilnie w drukarni gubernialnéj wyszedł tom I dzieła p. n.: „Bajarz polski. Zbiór baśni, powieści i gawęd ludowych opowiedział A. J. Gliński". Całe dzieło w ciągu bieżącego półrocza ma wyjść w 4 tomach. Przedpłata na całe dzieło wynosi w Wilnie i w Warszawie rsr. 3, z przesłaniem zaś pocztą rsr. 3 kop. 60.

Wyjątek z listu z Kijowa.

„Zajmujące pamiętniki szefa Drzewieckiego ogłoszone w Athenaeum J. Kraszewskiego, dopełnia major Józef Tomaszewski niegdyś towarzysz broni, w chęci uzupełnienia opisu wielu szczegołów, które zmarły szef, nielubiący mówić o sobie, jużto zbyt skromnie napomknął, jużto wcale przemilczał.

„Pracuję obecnie nad opisem powiatu kijowskiego. Opis samego Kijowa zajmie mi wiele czasu i przyczyni mozołu, bo dziejów jego, szczególniéj wewnętrznych, jeszcze nikt dotąd osobno i porządnie nie spisał: sam będę musiał nową i mało znaną torować drogę. Dotychczasową historyą Kijowa wspierały tylko fakta; znaczniejsze wypadki historyczne wykazały po czasach dawnych pamiątki, lecz te o wewnętrznych dziejach miasta milczą. Historya miejskich instytucyj i praw jest wcale nieznaną; to niwa nietknięta. Sądzę zatém, że w téj myśli podjęta i wykonana praca stanie się rzeczą zajmującą i wcale nową. Oprócz tego mam jeszcze przed sobą kilka innych robót. Oto zamierzam przedstawić w obrazach szereg historycznych postaci, które istniały na Ukrainie, działały i wpływy swe w téj wywarły prowincyi. Zacząłem od Samuela Łaszcza, którego życiorys obecnie wykończyłem; daléj się zajmę skreśleniem monograficznych wiadomości o ostatnim Daszkiewiczu, Bohdanie Rużyńskim, Ostrogskich, Piasoczyńskich, Jerzym Niemiryczu, Stępkowskim, Dubrowskim i wielu innych. Żywoty takich ludzi szczegółowo skreślone, bardzo będą, według mnie, ciekawe, i przyczynią się wielce do wyjaśnienia niejednego w dziejach zaciemnionego miejsca. Po wyjaśnieniu i wyrobieniu takich szczegółów, rozumiem, że łatwiéj potém przyjdzie komuś wziąć się za ogół dziejów krajowych."

— Jeden z piérwszych naszych powieścio-pisarzy Józef *Dzierzkowski* przygotował 4tomową powieść, któréj treścią i tłem jest Galicya. Obecnie drukuje w Dzienniku Warszawskim świeżo napisaną powieść p. n. „Rodzina w salonie."

— Józef Jaroszewicz b. professor, wykończa drugie wydanie „Obrazu Litwy". Mieszka on obecnie w Bielsku na starém Podlasiu, gdzie w zaciszy skromnéj pracuje. Ustęp z tego dzieła: „Historya cywilizacyi na Litwie", tłumaczy na język rossyjski w Dynaburgu nauczyciel gimnazyalny *Sazonow*.

— Z dniem 1 stycznia r. b. znowu wychodzić zaczęło w Cieszynie pismo peryodyczne: „Gwiazdka cieszyńska".

— W Królewcu wyszedł piérwszy zeszyt trzeciego wydania: „Dokładnego słownika niemiecko-polskiego i polsko-niemieckiego" ks. Mrongowiusza. Do niniejszego wydania przybywa około 8,000 objaśnień i wyrazów, nieznajdujących się w dwóch poprzednich wydaniach.

— Zwracamy uwagę, że w języku litewskim są dzieła w przedmiocie historycznym, obchodzące nasze dzieje i zasługujące na jak najrychlejszy przekład, ażeby się upowszechniły: Opis dyecezyi żmudzkiéj „Apraszas Żemajtiu Wiskonistes" przez teraźniejszego biskupa żmudzkiego Macieja *Wołonczewskiego*, i: Zwyczaje starożytnych Litwinów górnych i niższych (Budas Senowes-Letuwiu Kalnienu ir Żamajtiu)· przez radcę *Dowkonta* w Petersburgu w r. 1845 wydane, pełne erudycyi i gruntowności, któreby w każdéj literaturze niepoślednie zajęły miejsce. Wspomnieć tu musimy obok prac powyższych i Grammatykę języka litewskiego Kajetana Niezabitowskiego członka Towarzystwa naukowego krakowskiego.

— J. Korzeniowski ma wkrótce wydać dramat jakkolwiek dawniéj napisany, ale dotąd u nas nieznany p. n. „Walka z kobietą".

— W Poznaniu wyszły: Gąsiorowskiego tom 2 i 3 Zbiór wiadomości o sztuce lekarskiéj w Polsce.—Album Kielisińskiego.— J. Łukaszewicza o erekcyach kościołów katolickich w dyecezyi poznańskiéj.

(*Z listu*).

Postać ks. Karola Radziwiłła, którą w tak jaskrawych barwach przedstawił Henryk hr. Rzewuski w Soplicy i Listopadzie, zyska, można rzec, pełne rysy w historycznych utworach, które się wkrótce ukażą. Jestto ciąg, niby wieniec obrazów powiązanych z sobą; wyliczymy je porządkiem: 1. „Ksiądz Kajetan Wyhoski" powieść. (Byłto sławny kaznodzieja i mowca na sejmach, nad-superyor szpitalów w dobrach księcia zaprowadzonych, wielce lubiony i zaszczycony od księcia. 2. „Chatka albańska" czyli „Sioło Alba", przez Radziwiłła założone, zamieszkałe przez krewniaków księcia, zamożnych obywateli, oficerów zasłużonych i służbowych wysokich stopni, w którém istniała szkoła marynarska, sposobiąca majtków, i w którém sam książę był wójtem. 3. „Gościnność ks. Radziwiłła", gdy z całą rodziną, z oddziałem wojska w Preszowie na Węgrzech przez lat 6, za pozwoleniem cesarzowéj Maryi Teressy i Józefa jéj syna przebywał. 4. „Powrót ks. Radziwiłła do Litwy" oprócz matki, która zmarła na Węgrach, z orszakiem swoim przez Warszawę, gdzie od króla Stanisława mile przyjęty, przez kilka tygodni zatrzymany, na sejmie piérwsze miejsce i głos trzymał. 5. „Podróż N. Stanisława Poniatowskiego z Warszawy do Nieświeża i do sioła Alby". Te opisy czerpane są jedne z autentycznych pism, które cesarzowa Marya Teressa i Józef cesarz trzem pisarzom, tojest Węgrowi, Niemcowi i Czechowi bezstronnie kazali opisać; drugie z akt konfederacyi oryginalnych Puławskiego, ks. Sapiehy i Małachowskiego marszałków, w archiwum niegdyś nieświeżskiém zachowanych.

— W Pradze czeskiéj wychodzi „Biblioteka teatralna"; drugi zeszyt zawiera komedyą Alexandra hr. Fredry: „Damy i huzary", tłumaczoną przez Francisz. Volak.—W Berlinie w teatrze „Wilhelmstadt" przedstawiono komedyą Korzeniowskiego „Okno na piérwszém piętrze" przełożoną na niemiecki język przez Fr. Winther.

— Kiedy u nas wiele kobiét zyskało głośne imię na polu literackiém, i w innych plemionach słowiańskich nie braknie ich bynaj-

mniéj. Znana z wybornych poezyj północno-słowiańskich p. *Iragolla Jarnewicz* pisze tragedyą z dziejów kroackich p. n. „Desanka"; poetka *Milica Stojanowicz* wydaje w Medakowicach przy Nowym-Sadzie swoje poezye (Pisme).

— Znany północno-słowiański filolog *Brikicz* w Mitrowicach ukończył filologiczne dzieło: „Serbska drevna azbuka" (staro-serbski alfabet). *Milian Dawid Rasicz* wydał: „Czarnogóra czyli stan Czarnogórców za czasów rządów Piotra II Negosza i jego poprzedników"; nadto: Dzieje starego i nowego testamentu.

— J. B. Maly wydaje w Pradze w języku czeskim „Kwiaty z obcych krajów"; jestto zbiór krótkich opowiadań z obcych języków w tłumaczeniu czeskiém.. Dwa zeszyty już wyszły; piérwszy z nich obejmuje „Siska von Rosemal i Meerjungfrau, von H. C. Andersen".

— Północno-słowiański poeta *Preradowicz* napisał dramat w 4 aktach „Vladimir i Kosara".

— *Józef Partasz* wydaje w kroackiém narzeczu fizykę „Narovoslovje" w Zagrzebiu.

— W Pradze kończy się druk grammatyki czeskiéj w języku rossyjskim przez *Straszkiewicza* wypracowanéj, dla użytku uczniów uniwersytetu kijowskiego. Wyszedł tam także drugi zeszyt powszechnego słowiańskiego słownika przez Fr. *Sumawsky'go*.

— Professor *Hangerg* pracuje nad wielkim łacińsko-czeskim słownikiem.

— Kollara „Staroitalia-slavjańska" ukończono druk tomu 1go, obejmującego przeszło 66 arkuszy: nie wyjdzie zaś na widok publiczny, aż po ukończeniu drugiego tomu.

— W księgarni Miłosza Popowicza w Belgradzie wyjdzie 4ty tom „Glasnika". Do tego tomu dodaną będzie karta obwodu „Požarevac" i podobizna dyplomu serbskiego Carsa Selima.

— Wspomnieliśmy o zbiorze przysłów czeskich zmarłego z wielką stratą dla nauk Fr. Czelakowskiego. Otrzymujem wiadomość obecnie z Pragi, że doktor *Hanusz* były professor filozofii, złożył w rękopismie w Muzeum czeskiém, jako dalszy ciąg „Mudrosłovija" Czelakowskiego, pracę podzieloną na 2 części. W piérwszéj obejmuje literaturę, tudzież krytykę zbiorów przysłów czeskich, słowackich, łużyckich, polskich, wielko i mało-rossyjskich, białoruskich, bulgarskich, serbskich, illiryjskich i wszech-słowiańskich. W drugiéj części rozbiera krytycznie co jest przysłowie, idyotyzm; czém się różni przysłowie od innych dowcipnych i uczonych przypowieści; w jakim stosunku znajdują się przysłowia do powieści ludowych, bajek i pieśni. Ciekawe te ze wszech względów studya, mają być wkrótce ogłoszone drukiem.

— Kroacki kompozytor *Lisiński* napisał nową operę p. n. „Porina".

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Luty, 1853.

Luty 1853. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser[wa]toryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morz[a] jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1ʰ 14ᵐ· 45ˢ, 7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wsch[ód] względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
1	☪.	758.43	760.05	761.07	762.78	— 1°.5	— 1.8	— 2°.3	— 4°.8	94.7	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdW.	W.	W.	PdW.		1.8
2		762.60	763.30	762.10	761.31	— 7.4	— 5.8	— 2.6	— 6.9	91.5	pr. pogod.	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	W.	PdW.		
3		758.23	757.82	754.83	753.64	— 9.1	— 7.4	— 3.0	— 6.2	87.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
4		752.04	752.35	751.08	751.48	— 9.6	— 8.7	— 4.6	— 5.0	88.2	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
5		751.76	752 61	752.66	753.10	— 5.6	— 4.2	— 3.2	— 5.4	87.8	pr. pogodny	pr. pogodny	lek. poch.	pogodny	PdW.	PdW.	W.	W.		1.8
6		752.27	752.36	750.81	749.85	— 4.8	— 3.5	— 0.9	— 1.4	86.7	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
7		747.07	746.09	743.34	741 67	— 3.0	— 1.5	+ 1.0	+ 0.3	94.0	poch. dész.	poch. krup.	pochmurny	poch. śnieg	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		1.8
8	●.	739.65	739.50	737.33	734.49	+ 0.4	+ 1.9	+ 3.1	+ 1.3	96.5	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	poch. dész.	Pd.	Pd.	PnW.	PdW.		
9		731.15	730.93	729.94	730 94	+ 1.1	+ 2.9	+ 4.4	+ 2.0	97.3	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pr. pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.	3.2	
10		730.19	730.17	727.83	726.00	+ 0.6	+ 2.4	+ 4.2	+ 3.9	98.7	poch. dész.	pr. pogodny	poch. dész.	pochmurny	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.	3.6	
11		726.78	728.56	732.46	736.43	+ 1.7	+ 1.6	+ 0.7	— 1.3	90.8	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		
12		740.48	739.79	738.69	739.44	— 1.8	— 0.2	+ 0.2	— 2.3	91.5	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	PdW.	PnW.	PnW.	Pn.		4.0
13		738.64	737.75	733.40	730.02	— 3.1	— 2.1	— 0.2	+ 0.8	100.0	pochmurny	poch. śnieg	poch. dész.	pochmurny	PnW.	Pn.	PnW.	PnW.	3.6	2.8
14		729.33	731.01	736.26	738.30	+ 1.9	+ 1.1	— 3.4	— 6.7	98.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.		4.0
15		741.85	742.17	742.76	743.32	— 10.0	— 7.0	— 4.4	— 4.8	94.8	pogodny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	PdZ.		
16	☽.	741.56	741.94	741.31	741.75	— 4.4	— 4.4	— 4.1	— 7.9	99.0	lek. pochm.	pogodny	lek. pochm.	pr. pogodny	PdZ.	Z.	Z.	PdZ.		2.4
17		740.58	740.64	740.38	741.53	— 7.1	— 4.6	— 5.3	— 9.7	98.0	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
18		742.18	743.04	742.24	742.61	— 11.1	— 6.7	— 2.3	— 7.4	92.2	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
19		741.40	740.88	737.19	732.13	— 6.4	— 3.8	— 3.3	— 2.3	95.5	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	poch. śnieg	W.	PdW.	PnW.	PnW.		
20		730.24	732.20	734.51	736.72	— 1.2	+ 0.8	+ 0.6	— 5.8	90.8	poch. mgła	pochmurny	napół pog.	pochmurny	W.	Z.	PdZ.	Z.		3.4
21		737.54	738.28	739.28	742.09	— 7.8	— 3.1	— 1.8	— 3.3	95.2	pochmurny.	pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	PdZ.	Pd.	PdZ.	Z.		
22		745.35	748.00	749.16	749.30	— 4.3	— 3.6	— 3.5	— 8.2	96.0	pochmurny	śnieg gęsty	lek. pochm.	pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	PdZ.		5.2
23	☺.	745.26	743.54	737.99	736.27	— 9.7	— 5.6	— 2 5	— 8.4	94.8	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	pogodny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.		3.0
24		733.11	732.85	733.19	735.70	— 9.7	— 5.2	+ 0.4	— 2.1	90.7	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.		
25		738.53	739.35	737.37	736.16	— 5.6	— 3.5	— 1.5	— 3.9	92.5	pr. pochm.	pr. lek. poch.	lek. pochm.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdW.	PnW.		1.2
26		735.65	737.05	740.12	744.12	— 4.8	— 2.7	— 1.9	— 10.3	93.0	poch. śnieg	lek. poch.	poch. śnieg	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PdZ.		3.6
27		743.14	741 90	741.20	742 51	— 12.2	— 5.4	+ 0.6	— 1.3	90.8	lek. pochm.	poch. śnieg	lek. pochm.	pogodny	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		1.2
28		743.34	744 82	745 68	746.95	— 2.3	+ 2.0	+ 3.5	— 1.1	100.0	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	Z.	Pn.		
Śre.		742.091	742,462	741.935	742.182	—5°.02	— 2°.87	—1°.15	— 3°.86	93.8									10.4	36.2

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	742.166	27	5.000
Najwyżéj dochodził — d. 2 o g. 10 r.	763.30	28	2.368
Najniżéj — — d. 10 o g. 10 w.	726.00	27	9.833
Średnia zmiana dzienna barometru	4.925		2.183
Największa zmiana dzienna barometru d. 11—12 o g. 6 r.	13.70		6.073
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	8.169		3.620
	750.335	27	8.620

Dotąd ani razu luty nie miał tak niskiéj średniéj wysokości barometru

Średnia temperatura lutego wynosi:	— 3°.225 C.	— 2°.58 R.
i ta jest niższą o	0.245 „	0.20 „
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	— 2.98 „	— 2.38 „
Największe ciepło dochodziło d. 9 o godz. 4 wiecz.	+ 4.4 „	+ 3.52 „
Największe zimno d. 27 o g. 6 r.	— 12.2 „	— 9.76 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.595 „	2.076 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 27—28 o g. 6 r.	9.9 „	7.92 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +5°.0 R. d. 10 po połud.
Minimum: —11°.1 „ d. 27 rano.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości: 10,4 milim. czyli 4,61 lin. par.; z śniegu 36.2 mil. czyli 16.05 lin. par., razem z deszczu i śniegu 46.6 mil. czyli 20.66 lin. par.: ilość ta wody jest większa o 8,12 lin. par. od ilości jaka średnio u nas w lutym spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 93,8 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4,16 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większą o 0,01 od normalnéj.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 7, pochmurnych 18.
— dészczu 5 (d. 7, 8, 9, 10, 13).
— śniegu 16 (d. 1, 4, 5, 7, 12, 13, 14, 16, 19, 20, 21, 22, 23, 25, 26, 27).
— mgły 1 (d. 20).
— gradu 1 (d. 7).
— deszczu ze śniegiem (d. 20).

Wichrów (1 PdZ., 1 Z.).
Wiatrów mocnych 11 (4 PnW., 3 PdW., 3 PdZ., 1 Z.).
Wiatr panujący: Południo-Wschodni.

Luty r. b. był niepogodny, wilgotny, wietrzny, zimniejszy o 4.1 stop. R. od grudnia r. z. a o 1.6 stop. R. od stycznia r. b. Piérwsze sześć dni były mroźne, następne siedm ciepłe, ostatnie piętnaście znowu mroźne. Najcieplejsze dni były: 8, 9, 10, 11; najzimniejsze d. 3, 4, 15, 17, 18. W ogóle miesiąc ten był o 0.2 stop. R. zimniejszy niż zwykle. Zmiany barometru były częste i znaczne; średnia wysokość barometru miesięczna, była tak nizka, jak w żadnym z 27 lat poprzednich. Śniegi były częste i obfite, ilość wody z śniegu jest cztery razy większa niż z deszczu. Natężenie elektryczności atmosferycznéj w ogóle w całym miesiącu a osobliwie w dniach: 17, 18, 24, 26, było silne.

Dnia 14 o godz. 10 w. i d. 15 między 8 a 9 koła białe otaczały księżyc.

Dnia 16, 17, 18, 20 pokazywały się plamy na słońcu.

Dnia 20 od g. 4¼ w. do późna w nocy, zadymka śnieżna przy wichrze Z.

KRÓTKI RYS

NOWEGO PISMIENNICTWA SERBSKIEGO

podług Jana Risticza

PRZEZ

Romana Zamarskiego.

Znakomity niegdyś, potém przez długie wieki w poniżeniu i zapomnieniu zostający naród serbski, okazał w nowszych czasach tak niezaprzeczone znaki rozbudzającego się na nowo życia, równie na polu czynów jako i w literaturze: że grzechem i niedarowanym błędem z naszéj strony byłoby puszczać mimo baczenia ruch umysłowy u tego bohaterskiego, pokrewnego plemienia, które zdaje się być powołaném zająć jeszcze ważne w dziejach Słowiańszczyzny stanowisko.

Że naród serbski, przynajmniéj w osobie naczelników swoich, pojmuje i przewiduje ważne swe w przyszłości, może blizkiéj, posłannictwo; dowodem tego jest gorliwość z jaką stara się przyswoić sobie najdzielniejszą nowych czasów potęgę: oświatę. Istotnie podziwiać przychodzi, że w szczupłéj téj krainie, położonéj na granicach Europy i azyatyckiego barbarzyństwa, zaledwie co wyswobodzonéj zpod jarzma najsroższéj dzikości i ciemnoty, tak wiele w krótkim czasie pod światłém przewodnictwem Alexandra Karadziordziewicza dokonało się i dokonywa na rzecz narodowego wykształcenia. Z jednéj strony liczne niższe zakłady naukowe przygotowują szeroką podstawę

elementarnego oświecenia w ludzie; z drugiéj wysoka szkoła i teatr narodowy w Bielgradzie pielęgnować będą wyższy narodowego ducha rozwój. Znaczna zaś liczba młodych Serbów, po największéj części kosztem rządu za granicą się kształcących, zapowiada przynieść i przyswoić swemu krajowi nabytki oświaty zachodniéj, w odpowiedniém dla potrzeb domowych zastosowaniu.

Jeden z téj obiecującéj młodzi, Jan Ristics, przez czas długi w Berlinie zostając, ogłosił tam broszurkę niemiecką: *Die neuere Literatur der Serben*, w ścieśnionym rysie obejmującą ruch literacki od końca zeszłego wieku do najnowszéj chwili, którą tu polskim czytelnikom, wiernie co do treści, zresztą zaś w wolném raczéj sprawozdaniu niż przekładzie, podajemy.

Najnieszczęśliwsze jak sobie pomyśléć można położenie narodu serbskiego do czasu wyswobodzenia się zpod przewagi Turków, nie dopuszczało śnić nawet o najmniéj znacznym oświaty zawiązku. W szczupłym i dzikim obrębie swoim zamknięci Czarnogórcy, w bezustannych walkach o utrzymanie niepodległości, nie mieli do podźwignięcia u siebie literatury ani czasu, ani środków, ani téż to istotnie ich powołaniem być mogło. Jedyném miejscem, gdzie po serbsku pisać i drukować było podobna, była niewielka kraina z téj strony Dunaju, przez Serbów zamieszkana, a pod austryackiém panowaniem zostająca; tu téż pojawiły się piérwsze poczynającego się budzić ducha oznaki, gdy obok jeszcze głucha zalegała noc.

Jako zazwyczaj zewnętrzne okoliczności i wpływy bywają piérwszym do ocknienia się z letargu powodem; tak i tutaj niezawodnie zetknięcie się z cywilizacyą zachodnią rzuciło piérwszą iskrę mającego zapłonąć ogniska. Piérwsi piśmiennictwa pracownicy byli ludzie w zachodnich szkołach wykształceni, a dzieła ich, rzecz to prawie nieodzowna, obcych naśladownictwem. Nie umiejąc pojąć potrzeb swego ludu, nie zastanawiając się nad jego moralném stanowiskiem i sposobami pojmowania, mniemali oni, że mu się przysłużą podając gotowe wyniki gdzieindziéj uprawianych nauk, w formie i terminologii przez obcych stworzonéj; i dlatego téż, pomimo rzetelnéj nauki i dobrych chęci, przeminęli bez obszerniejszego i głębszego wpływu.

Wywarcie na naród znaczniejszego wpływu tém téż jeszcze było im trudniejsze, że zamiast mówić zrozumiałym mu językiem, poszli za średniowiecznym przesądem: jakoby umiejętność, nie zniżając się do pospolitéj, osobną mowę swą miéć musiała. Podobnie więc jak uczeni zachodni łacinę, serbscy przyjęli za piśmienny język kościelny, niezrozumiały dla ludu; po części jednak usprawiedliwić tém ich można, że ponętniéj i snadniéj było posłużyć się wyrobionym znakomicie, dźwięcznym i bogatym językiem, niźli łamać się z trudnościami nieuprawnéj i do piśmiennictwa niezastosowanéj jeszcze serbszczyzny.

Bądź co bądź, przykład raz dany, i to przez ludzi na najwyższych w społeczeństwie swém stopniach stojących, pociągnął za sobą długi szereg naśladownictwa. Przez wiele lat język kościelny wyłącznie był piśmiennym, a po części jako taki, przetrwał aż do trzeciego dziesiątka naszego wieku.

Z dawniejszych pisanych nim dzieł zasługują na wymienienie: „Dzieje ludów południowo-słowiańskich przez Rajcza (żył od r. 1726 do 1801), wydane 1792—1795 roku, wypracowane z wielkiém staraniem i dzisiaj jeszcze wzorowe. W liczbie zaś ostatnich staro-słowiańskiéj mowy używających pisarzy najwznioślejszę stanowisko zajął biskup Muszycki, zmarły w 1836 roku. Gorliwy kraju swego miłośnik, opiewał on dzieje, język i wiarę Serbów, ich opiekunów i obrońców. Głównym jego rodzajem hyły ody, w których wysokością polotu dorównywa, siłą zaś, pełnością i treściwością często przewyższa Klopstoka. Że go jednak oprócz mowy niezrozumiałym ludowi czyniła forma, którą sobie z klassycznych żywcem przyswoił wzorów, jako téż wprowadzanie nazw i szczegółów z starożytności pożyczanych: niewiele wpłynął na rozwinięcie pojęć narodu. Natomiast w piśmiennym świecie znajdował mnogich wielbicieli i wydał niemało naśladowców, ślepo w ślady jego kroczących (1).

(1) W broszurze Ristića znajdują się przytoczone trzy ody Muszyckiego, które istotnie odpowiadają wyrzeczonemu o ich wartości zdaniu; nie mając ich jednak w oryginale pod ręką, wolimy je przemilczéć, niźli tłumacząc z tłumaczenia odstąpić zadaleko może od piérwotnego wzoru. Dla tego powodu i inne przykłady nieprzetłumaczone opuszczamy.

Piérwszym z literatów serbskich, który dla ludu począł pisać w jego własnéj mowie był Dositej Obradowicz (urodzony w 1739, zmarły w 1811 roku). Syn ludu, potrzeb jego dobrze świadom, z wędrownym kijem w dłoni udał się na poznanie cywilizowanych krajów Europy, i przebiegłszy ją niemal całą, wzbogacony wiadomościami i doświadczeniem, wrócił do swoich jako Anacharsis serbski. Przesiąkły pojęciami własnego narodu i obdarzony tą mocą duszy opierającą się zewnętrznym wpływom, nie dał się porwać prądowi upowszechnionych mniemań: za narzędzie wziął sobie czystą i piękną mowę narodowych pieśni, a za cel, prawdy moralne, stosowne do potrzeb i usposobień swych rodaków rozszerzać i podnosić. Podług ówczesnego smaku i zwyczaju przybierał je w kształt bajek, które, rozrywane i pochłaniane chciwie, niby ewangelia czczonemi były. Pełen sławy i użytku przebiegł on swój zawód, jako prawdziwy oświeciciel i przewodnik ludu.

Ale piękna przez Obradowicza otwarta droga długo pozostała pustą; długo jeszcze starym trybem, mało się troszcząc o rzetelną korzyść kraju, literatura serbska napełniała się mnóstwem filozofujących, bez związku między sobą, luźnie rzucanych dzieł, które o ile wyprzedzały rozwój umysłowy serbskiéj publiczności, o tyleż pozostawały daleko za postępem nauk u innych ludów. A choć nareszcie, po niejakim czasie, zacny Dositej znalazł naśladowców pod względem zastosowania pisma do potrzeb domowych; pod względem języka przyszło jeszcze nowe błędne opisywać koło.

Zamiast iść prosto za jego przykładem, poczęto teraz używać mieszaniny złożonéj z żyjącego serbskiego języka i książkowego staro-słowiańskiego, którą każdy, bez żadnych prawideł, podług własnéj tworzył woli. Z epoki panowania téj słowiańsko-serbskiéj metody, jako najczynniejsi i najzdolniejsi zasługują na wymienienie: Widacowicz, Wuicz, Bericz i Bolicz.

Piérwszy z nich odznaczył się jako romanso-pisarz, biorąc przedmioty z narodowego życia, które z wielkiém zamiłowaniem tajemniczości i cudownego żywiołu, w sentymentalny obrabiał sposób. Chociaż nie on piérwszy powieść utworzył, jak to wielu mylnie mniema, ma on tę wielką zasługę, że czytającą publiczność w Serbii niezmiernie zwiększył, a tém samém położył ważną dla przyszłych pisarzy podstawę. Trzej następni zasłużyli się głównie przekładami użytecznych dzieł geo-

graficznych, historycznych i gospodarskich. W przyswojeniu wiadomości z nauk przyrodzonych położył najwięcéj zasług Stojcowicz. Równocześnie z ich pracami ukazały się także serbskie tłumaczenia przygód Telemaka, Robinsona, i innych podobnych, od których właściwie zaczynać należało.

Odtąd w każdym piśmiennym pojawie okazywał się coraz stosowniejszy wybór przedmiotu, coraz większe oddalanie się od słowiańsko-serbskiéj mieszaniny, a zbliżanie do czystego języka narodu. Ostatecznie kierunkowi temu dać przewagę i wskazać stałe koryto błędnemu dotąd strumieniowi piśmiennictwa, dostał się zaszczyt Wukowi Stefanowiczowi Karadziczowi (urodzonemu w 1787 roku). Dla położenia niewzruszonéj narodowemu kształceniu się podstawy, uznał on najstosowniejszém upowszechnić pomniki moralnego życia ludu i gorliwie zajął się ich ogłoszeniem. Zebrał z wielką pracą i pilnością pieśni i przysłowia, skreślił obyczaje serbskie, a razem wygotował piérwszą grammatykę i piérwszy słownik swego języka, stworzywszy dlań dokładną i jasną pisownię, na jakiéj dotąd zbywało. Obok tych zajęć wszelkich sił dokładał, ażeby kraj swój zachodniéj Europie w sprawiedliwém ukazać świetle, dać jéj poznać piękności jego i zasoby, tak za pomocą piśmiennych, jako i ustnych udzielań. Stoi on podziśdzień na polu literackiéj zasługi jedyny i niedorównany, godzien najwyższéj czci i wdzięczności nietylko swoich, ale całéj słowiańszczyzny, całego, sprawami umiejętności zajmującego się świata.

Wuk Stefanowicz nie jest żadnym gieniuszem, nie posiada zbyt wysokich nauk; ale gorąca miłość rodzinnych rzeczy i wytrwała, szczera praca, wraz z zdrowym, jasno widzącym rozsądkiem, są jego siłą i pochodnią, jedyną bronią jego, która niewątpliwe zapewnia mu zwycięztwo nad przeciwnikami, jakkolwiekby ci liczni i potężni być mogli. Jeżeli u rówieników swojego wieku, jak to zwykle bywa, nie znalaz dostatecznego uznania; młode za to pokolenie, wzrosłe pod wpływem nowych stosunków i powietrzem świeżém owionione, z zapałem chwyciło się jego strony i weszło na wskazaną przez niego drogę. W popieraniu lingwistycznych dążeń Wuka odznacza się osobliwie młody Daniczicz, dzielny szermierz o czystość i poprawność serbszczyzny, znany dotąd jako autor grammatyki i pisma: „Wojna o język serbski.“

Pomimo wszystkiego co w tym względzie już uczyniono, wyrabianie się pismiennéj mowy nie zostało podziśdzień jeszcze zakończoném. Zaledwie przyjęto zasadę ażeby pisać językiem żywym narodu, a oto już nowy wynurzył się spór: który mianowicie z obojga serbskich dyalektów, tak zwany hercogowiński lub ressawski, powszechnie przyjętym być zasługuje? Wszczęta na polu tém walka nie została dotąd rozstrzygniętą, i to bardzo naturalnie.

Chcieć jedno z istniejących narzeczy jako pismienny język postanowić, jest niepodobném równie dla grammatyka, jak dla najpotężniejszego władcy zadaniem; gdyby się zaś to kiedy udało, byłoby ciężką dla narodu klęską, moralném jego ochromieniem. Duch bowiem narodowy nie w jednym, ale we wszystkich dyalektach zapuszcza swe korzenie, i dlatego wszystkie one nawzajem dopełniać się, wspierać, nowém się życiem zapładniać muszą. Tym sposobem tylko tworzy się wielka, wspaniała, wszystkie żywioły jak drobne strumienie w sobie jednocząca rzeka narodowéj mowy. Utworzenie jéj zaś zwykło bywać dziełem ludzi natchnionych, poetów, którym jest dane najtajniejsze języka piękności odgadywać, naginać go, kształcić, a razem czarem swego przykładu porywać za sobą czytelników. Tak niegdyś we Włoszech wielki Dante, z mnogich dyalektów stworzył jeden pismienny język, tak zwany: „lingua volgare"; tak nowo-grecki poeta Christopulos za naszych czasów prawdę tę potwierdził. Co do serbskiego języka, zanim się znajdzie dla niego przeważny gieniuszem władca, najwłaściwszém byłoby trzymać się przykładu przez Wuka, w zbiorze narodowych pieśni danego: tojest pisać podług upodobania w każdém z obojga narzeczy.

Ogłoszenie zbioru pieśni serbskich wprowadziło całe piśmiennictwo narodowe na nową, prawdziwą drogę. Cudne te utwory, dotąd najwięcéj w górzystych okolicach Serbii ograniczone, stały się teraz powszechną własnością całego ludu, a dla poetów nieocenioną narodowéj poezyi podstawą i modłą.

Szymon Milutynowicz (urodzony w 1791 r., zmarły w 1847), śmiały równie w tworzeniu obrazów jak i wyrazów nowych, piérwszy nastroił swą lutnię na ten ton nowy w cyklu epiczno-lirycznych poezyj, opiewając oswobodzenie Serbii.

Ze wszystkich jego utworów najznakomitszym jest: „Serbianka", dzieło pełne ducha, ognia i miłości kraju. Majesta-

tyczność, wysokość polotu, uderzające śmiałością zaczęcie, stawiają je w rzędzie z najwznioślejszemi płodami natchnienia; nieszczęściem przecie nie jest ono wszędzie równie doskonałe, i w wielu miejscach, zwłaszcza pod koniec pojedynczych ustępów, razi równie brakiem poetycznéj treści jako i serdecznego gorąca. Największą poety tego wadą jest zbyt samowolne rządzenie się językiem, tak, że często do zrozumienia trudnym się staje; tudzież wprowadzanie klassycznych obrazów i rozpraw z filozoficznéj szkoły pożyczonych. Powodem tych usterków było niezawodnie przejęcie się przykładami poetów niemieckich, w skutek odebranego w Niemczech wyższego wykształcenia. Osobliwie widocznym jest u niego wpływ Wielanda i Ramlera, którzy starożytne formy kopiować i bohaterów klassycznych do utworów swych wprowadzać lubili. Pomimo jednak wszystkich błędów Milutynowiczowi należy się chwała, że piérwszy z poetów użył mowy ludu, naśladując formy i ducha jego pieśni. Jak każdy wyższego namaszczenia człowiek, wydał i on także wielu naśladowców, podług zwyczaju raczéj ułomności, niźli zalety wzoru swego odtwarzających.

Pokój i pomyślna zmiana losów Serbii po 1815 roku, ułatwione z zachodniemi krajami stosunki, wpływ nowych, potężnych idei po Europie rozsianych: wszystko to działało błogo na rozbudzenie, trybowanie i rozwijanie się młodocianego życia moralnego w tym kraju. Znaleźli się światli mecenasi, którzy dobroczynnéj nie skąpili im pomocy. Założono instytucyą *Maticy serbskiéj* (1826 roku), któréj działanie dla literatury przyniosło znakomite korzyści. *Matica* ogłaszała co rok cztery zeszyty serbskiego rocznika, nagradzała odznaczające się dzieła i wywołała między piszącemi dążność popularnego wyłożenia wyższych umiejętności.

W ślad za przykładem *Maticy* ukazała się wkrótce znaczna ilość pism czasowych, wywodząc na scenę licznych pracowników i wzbudzając ów ruch żywszy, który wszędzie jest jéj skutkiem. W podżeganiu i kierowaniu tego ruchu odznaczyli się osobliwie: Dawidowicz i Swietycz, obaj zasłużeni już czynnością około założenia *Maticy*.

Swietycz odznaczył się jako poeta głównie w jednym heroicznym utworze, ustęp z życia Czarnego Jerzego kreślącym, pełnym siły, prawdy i natchnienia.

Dawidowicz, położywszy poprzednio liczne zasługi dla kraju w układaniu nowego prawodastwa, przeniósł nareszcie ożywczą i opiekuńczą czynność swą na pole literatury, aby i tu wpływ pozostawić błogi. Jemu należy się zaszczyt założenia piérwszego dziennika. Jako autor, w wypracowanych przez siebie dziejach Serbii okazał gruntowną znajomość potrzeb narodu, a wszędzie żywe i głębokie narodowości uczucie. Jakkolwiek w ogólności odznaczył się więcéj niezmordowaną działalnością i miłością dobra powszechnego, niźli twórczością: był on dla Serbii prawdziwym dobrym gieniuszem i sprawiedliwie zasłużył sobie na napis: „Cały Serb" grób jego zdobiący.

W rozwijaniu się swojém literatura serbska nie mogła się ostać bez przymieszania obcych żywiołów.

Wszyscy pracownicy na jéj polu odebrali wykształcenie na cudzoziemskich uniwersytetach, w ubłogosławionych cywilizacyą krajach zachodnich; nic więc naturalniejszego, że niektórzy z nich porwani zostali prądem tak zwanych klassycznych studyów, lub w większéj jeszcze liczbie literatury niemieckiéj wpływem. W liczbie piérwszych zasługuje na wzmiankę Radiszicz, w drugich nad zasługę wielbiony jako poeta, Maleticz. Naśladując Szyllera, nieszczęsnym wszystkich naśladowców trybem przejął z niego to właśnie, co w nim wadą było: retorstwo. W dramacie poświęconym wspomnieniu Muszyckiego, pierwiastek ten taką wziął przewagę, że przed nim ginie zgoła wątek akcyi i same tylko jaskrawe, bez związku sceny uderzają uwagę czytelnika. Inne dzieła tego autora są podobnież pełne naciąganych obrazów, dowolnie wprowadzanych figur, brzmiących wierszy, frazesów i zdań.

Szczęśliwszym był Maleticz w krytyce, niżeli w poezyi; i jakkolwiek nieraz w zdaniach swych dotykał osobistości zamiast przedmiotu: zostaje mu zawsze zasługa, że piérwszy tę nieodzowną w każdéj literaturze gałąź, w piśmiennictwie serbskiém zaszczepił.

Jako pisarz dramatyczny, samodzielny, odznaczył się J. St. Popowicz (1), twórca wielu narodowych dramatów, które nietylko zaspokoić wymagania artystyczne, lecz razem

(1) Nietrzeba go mieszać z Miłoszem Popowiczem, który w 1846 roku wydał zbiór lirycznych poezyj: „Miecz i Pióro".

zdolne są natchnienie i zapał mass wzbudzić: dotykają bowiem albo najczulszych stron dzisiejszego położenia, albo dziejów serbskich.

Obok niego należy dać miejsce Suboticzowi, autorowi poematu epicznego z dziejów narodowych, pod tytułem: „Stefan Deczański", w którym szczęśliwie odtworzył wiele charakterystycznych rysów gminnéj pieśni (1).

W ogólności to zbliżenie się młodéj literatury serbskiéj do narodowego charakteru, jest najważniejszém zjawiskiem i najcenniejszym dotąd nabytkiem; jakkolwiek bowiem każdy naród dążyć powinien i musi do przyswojenia sobie wszelkich na polu oświecenia odniesionych gdzieindziéj zdobyczy: niewątpliwém jednak pozostaje, że tylko przez rozwijanie się w kierunku właściwym i z przyrodzonych sobie żywiołów tak pojedynczy człowiek, jako i lud cały do prawdziwego wykształcenia, zapewniającego mu samodzielne stanowisko i pole działania, dojść może.

Owa pełna prostoty wzniosłość, naiwność i epiczno-plastyczne wykończenie, stanowiące charakterystykę i zaletę narodowych pieśni, okazując się w piśmiennictwie mniéj lub więcéj jawnie począwszy od Milutynowicza, najsilniéj wystąpiły w dziełach: Branka Radiczewicza, Jana (Jowana) Ilicza i Piotra Piotrowicza Niegusza, poetów, którzy wymagalnościom krytycznym sztuki najbardziéj dotąd odpowiadają.

Radiczewicz prawdziwie natchniony poeta liryczny, rozwinął talent swój najświetniéj w większych tego rodzaju utworach, mianowicie w poemacie: „Podróż", pełnym uczucia i fantazyi. Liryka jego tchnie taką prawdą i czarującym wdziękiem, że czytelnik zawsze rad do niego powraca, i zawsze nową roz-

(2) J. Ristic mniema przy téj sposobności, że poeci serbscy raczéjby epopei nie dramatu imać się winni „gdyż największa część bohaterów narodowych bardziéj dla epopei się godzi." To ostatnie zdanie jest mylne. Każda osobistość zalecająca się wyrazistym i czynnym charakterem, a takiemi byli wszyscy bohaterowie serbscy, właśnie doskonale godzi się dla dramatu. Niemniéj jednak i my jesteśmy zdania, że poeci serbscy raczéj do epopei skłaniaćby się winni, mając w swoich pieśniach narodowych tak przygotowaną formę i inne dane, że bez wielkiéj pracy znakomite w tym rodzaju wznieść nietrudno dzieło, które, co najważniejsza, przystępném byłoby dla całego ludu i mogłoby się snadnie stać powszechną jego własnością.

kosz znajduje; język zaś dźwięczny i giętki przypomina owo przez wielu utrzymywane zdanie: że serbska mowa między słowiańskiemi to miejsce, co włoska między romańskiemi zajmuje. Epiczne poezye tego autora podrzędnéj są wartości i wyraźnie obcy mu rodzaj zdradzają.

Równy mu talentem, ale w odmiennym liryki rodzaju, jest Ilicz. Pałający młodocianą miłością ideału, silny i śmiały, treściwością i mocą wyrażeń objawia męża czynu i pieśni zarazem. Wiele jego pieśni poświęconych wspomnieniu i uczczeniu rodzinnego kraju odznaczają się wysokiém i gorącém natchnieniem; przejęcie się zaś duchem narodowych utworów jest pospolitym w dziełach jego przymiotem.

P. P. Niegosz, niedawno zmarły władyka czarnogórski, pozostawił płody we wszystkich rodzajach poezyi, zalecające się nadewszystko szczęśliwie uchwyconym narodowym charakterem i jędrnym, naturalnym a posłusznym woli autora językiem. Najwyżéj cenionym jest poemat jego: „Górski wieniec", który mu powszechną miłość u narodu zjednał. Utwór ten w dramatycznéj formie przedstawiający oswobodzenie Czarnogóry od Turków w XVIIIym wieku, pełen narodowych wspomnień i ognia, w wykonaniu celuje mistrzowskiém scen z życia ludu skreśleniem. Inne dramata Niegosza są słabsze, zbywa im bowiem na właściwéj dramatyczności w rozwinięciu charakterów i działaniu polegającéj; z innéj przecie strony, jako wierne odzwierciedlenie czarnogórskich obyczajów, ducha, domowego i publicznego życia, znakomitą mają wartość.

Pomiędzy najmłodszém wreszcie pokoleniem pojawiają się liczne poetyczne talenta, nadewszystko słowiańskiém odznaczające się natchnieniem, z których zwłaszcza L. Nienadowicz wiele na przyszłość rokować się zdaje.

Gdy tak poezya, jak to u każdego młodzieńczém życiem obdarzonego ludu zwykła, najbujniéj i najsilniéj w serbskiém piśmiennictwie rozkwita: nie zostały i inne jego oddziały zupełnie zaniedbanemi, a osobliwie dzieje narodowe od czasu oswobodzenia Serbii pilnego zajęcia stały się przedmiotem. Gdy jednak w ogóle prace na polu umiejętności za rozpoczęte dopiéro uważać należy, przedwczesném i niesłusznémby było chciéć o nich mówić i sądzić.

Jasném zresztą jest jak słońce, że względem literatur innych narodów, liczących długie wieki życia, serbska cała piśmien-

ność nie inaczéj, jak za piérwszy zaród przyszłego wzrostu uważaną być musi. Wymagać od niéj więcéj niźli w sobie mieści, urągać jéj ubóstwu i przeto niegodną względu ją mienić: byłoby najwyższą niesprawiedliwością. Względny postęp, a nadewszystko popęd żywotny—oto są warunki, które w niéj cenić należy, gdyż niepodobna zaprzeczyć, że je w wysokim okazała stopniu.

Obok nieszczęsnych przeszkód geograficznych, historycznych, politycznych i z stosunków społeczeńskich wypływających, do opóźnienia i utrudzenia rozwoju umysłowego życia u Słowian południowych przyczynia się niepomału rozdział moralny, któremu ulegają. Wyznawcy dwojga obrządków kościelnych strzegą się i w literaturze przyjąć coś nawzajem od siebie; a mieszkający pod panowaniem Austryi jednoplemienniccy, w charakterze narodowym, języku i obyczajach zaledwie jakąś okazujący różnicę, występują udzielnie jako Sławońcy, Ilirzy, Kroaci, tworząc tyleż naturalnie słabych i ubogich piśmiennictw. Dlatego téż każdy przyjaciel słowiańskiéj narodowości życzyć musi, ażeby uczeni i pisarze tych rozdrobnionych szczepów porozumiéć się mogli, celem wzajemnego zbliżenia się do siebie, co jak dotąd przy dobréj chęci podobném, tak z czasem niepodobném przy najlepszéj się stanie.

Rząd serbski, który istotnie wiele już uczynił w téj mierze, niech nie zbacza i nadal z chlubnéj drogi, stając się przygotowawcą przyszłéj wielkości swego narodu, przez nadanie mu oświaty i podniesienie ducha publicznego; czego dosięgnąć najłatwiéj opiekując się wychowaniem, zostawując literaturze zupełną swobodę rozwijania się stosownie do jéj własnych instynktów i potrzeb, a nagradzając zarówno z innemi zasługi na tém położone polu.

Nadewszystko życzyć trzeba Serbom, aby nie zaniedbując przyswajać sobie nabytków cywilizacyi zachodniéj, strzegli się w literaturze również jak w politycznem i społecznem życiu naśladować ślepo jéj rezultatów. Niech raczéj kształcą się na ich poznawaniu, niżeli je naśladują; niech młodociane ich latorośli strzegą od szkody i tylko starają się o wzrost ich bujny, a mogą być pewni, że wkrótce doczekają się z nich drzew,

pod których cieniem mieszkać i owocem ich żyć będą dalekie ich pokolenia.

Miło nam, że te wszystkie życzenia, któreśmy w sercu oddawna nosili, znaleźliśmy jakby z ust nam wyjęte w końcu broszury Risticza; to bowiem daje nam rękojmią, że w osobie jego przybędzie sprawie oświaty i literaturze serbskiéj światły i użyteczny pracownik.

CHATA ZA WSIĄ.

POWIEŚĆ

Józefa I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

We dworze w Stawisku mieszkał naówczas młody, świeżo na świat wypuszczony człowiek; imię mu było Adam, a nazwisko—do czegóż wam nazwisko? Puszek ledwie jasny porastać mu zaczynał na wardze i brodzie, dwudziestu wiosen nie pamiętał, budził się dopiéro do życia, a już mu ono smakować przestało. Rodzą się tak ludzie w wiekach przekleństwa, bez sił i ochoty do życia, bez ognia w duszy, bez ciekawości w głowie, bez popędu, bez chęci żadnéj, bez zwierzęcego nawet szału. Otwierają oczy gnuśne na świat dla nich bezbarwny, i sen obojętny je zamyka; nic ich nie wabi, nic nie rozgrzewa, nic nie pędzi z kolebki pierzem wysłanéj na drogę skalistą i krwawą nadziei, pracy i zawodów..... Śmierć i życie dla nich równe zupełnie, ludzie bracia obojętni, świat niepotrzebną, społowiałą dekoracyą.

Jednym z takich młodych starców był Adam; wypieszczono go dziecięciem na martwego człowieka, brakło mu więc teraz ochoty i materyału do życia. Nudził się śmiertelnie; a że nudy sprowadzają gniéw i złość: gniewał się i złościł na to, co go otaczało. Cóż winni byli świat i ludzie, że on był tak martwym?

Czasem, kiedy się wpatrzył jak inni wesoło i ochoczo krajali swoję kromkę razowego nawet żywota, zrywał się ze snu

i probował coś począć; ale wnet znużenie odtrącało mu ręce, szérokiém ziewaniem kończył piosnkę, głowa opadała na piersi i powieki się zamykały. Były nań także napady myślistwa, pragnienie jakieś krwi chorobliwe, jakaś żądza dziwnéj miłości, silnych wzruszeń, bojów, kąpieli ognistéj coby odrodziła, śmierci, męczarni, uczucia;.... ale te chętki chwilowe przelatywały jak widma, i nikły w snach gnuśnych spowite. Adam nigdy nie kochał jeszcze, choć cały seraj dziewcząt ściskał go kolejno białemi rękoma i oblewał łzami przymusu, choć nie jedno może zabiło do niego młode serce.... Bawił się tylko kobietą i nie mógł dotąd odgadnąć, gdzie dla niéj bije serce..... jak ją kochać można? Nasycony, przesycony, zużyty, odpychał raczéj niżeli pragnął nowych prób miłości; przekonany, że był na dnie tego raju, który dla innych wydaje się bezdennym.

Życie mu się wlekło, wlekło, pełzło powoli, że często dzień jak wiek się wyciągnął, a minuta wydała rokiem; i były chwile, że patrzał na skazówkę zegarka, a nie mógł się doczekać, żeby z miejsca ruszyła.

Jednego wieczoru po długiém ziewaniu wstał Adam powoli; przyprowadzono mu konia, gotowe były psy i przyjaciele. Odepchnął skinieniem konia, psy i towarzyszów, i poszedł sam pieszo nie wiedząc dokąd: —żeby się rozchodzić, uczuć że jeszcze żyje! Los go pędził na wygon ku namiotowi cyganów. Słońce czerwono świeciło nad zachodem i ukośne promienie jego, w pasy złote i czarne jak wschodni kobierzec, stroiły ziemię już w mrokach zacisznych kątków pokrytą rosą srebrzystą..... Świat w tych blaskach dziwnych cały się jakoś zdawał odmienny od powszedniego; coś w nim było fantastycznego, uroczystego, wspaniałego. Ten wyraz jego oblicza uderzył oko zdrętwiałe Adama, stanął i obejrzał się. Byłoto właśnie przed namiotem Aprasza.

Przed nim, z rozpuszczonemi włosami czarnemi siedziała smagła cyganka, piękna ogniem i młodością: rzekłbyś, że dwa węgle kowalskie płonęły w dzikich jéj oczach. Wzrok błędnéj wygnanki wkradł się pod powiekę młodego chłopca i Adam zadrżał. Aza spostrzegła to i uśmiechnęła się, aż dwa rzędy zębów jak śnieg białych wypłynęły zpod warg różowych; i, zalotnica! odrzuciła w tył głowę na ramiona, podniosła wzrok, wygięła kibić sprężystą, jak gdyby ze wszystkie-

mi skarbami swych lat siedmnastu pochwalić się przed nim chciała.

Adam stał, patrzał i poił się; serce mu nawet biło, krew nawet żywiéj płynęła: piérwszy raz może w życiu silniéj zapragnął—pokochał prawie.

W te suche serca kiedy iskra padnie, to jak pożar na posusze: w okamgnieniu płomień bucha niewstrzymany, niepowściągniony, niszczący. Tak było z Adamem, bo nim się ruszył z miejsca, powiedział sobie: ona musi być moją; i dodał cicho: choćbym ją krwią miał zapłacić.

Ledwie odszedł wolnym krokiem, cyganka pobiegła z uśmiechem radości do starego Apraszo.

— Słuchaj ojcze—rzekła—słuchaj *dados*, rzuć ten młot, odpocznij, będziesz mógł użyć wczasu: dziwne się rzeczy stroją! *Raklora* (dziewczyna) złowiła rybkę!!

— A co ci się tam znowu uroiło w młodéj głowie?— odparł cygan.

— Co? wiész? ja się znam na ludziach! Bóg, co nas posłał na wiekuistą włóczęgę po świecie, dał nam węch jak staremu *szukeli* (psu) szukającemu sobie lekarstwa. My także instynktem czujemy ludzi i czytamy w nich lepiéj, niż oni w swoich książkach. Przed chwilą przechodził tędy około namiotu *raj* (pan) tutejszéj wioski, młody dziedzic wsi, o którym wiész co powiadają, że mu woda zamiast krwi w żyłach płynie. I prawda! O! biédne chłopię, zdaje się nie miéć w sobie także i siły do jutra!... A jednak moje oczy go rozgorączkowały. O! bo téż dobrze, dobrze patrzałam na niego, aż zadrżał, aż się zwinął jak wąż gdy go nogą nastąpisz. I powoli rumieniec tryskał mu na twarz, ręce drgać poczęły; wstrząsł się, poleciał jak szalony.

Klasnęła w dłonie.

— Azaoro będzie miała bogate *bucaki* (suknie), złoto na głowie, złoto w warkoczach, pasy czerwone, co zechce!

— O! tybyś się sprzedała, *rakloro*? — chmurno spytał stary cygan.

— Ja? na wieki, nie—na godzinę! Czemuż nie? Wszystko się sprzedaje na świecie, chodzi tylko o cenę. Czego nie kupisz za grosz, można miéć za milion! Serca mu nie sprzedam, ale oko, warkocz i rękę zimną..... czemuż nie! czemu nie!

— Wszetecznica!—zawołał stary przez zęby—wszetecznica! *Bynk'a gasina*! (diable dziecko).

Aza odskoczyła jak piorunem rażona, wzrok jéj zapłonął.

— Słuchaj stary — zakrzyknęła groźnie — nie masz jeszcze prawa mnie bezcześcić i *Bynk'owi* oddawać; ty nie wiész co ja myślę. Sprzedam się, ale się nie zwalam, bo to tylko miéć będzie za piéniądz, co daję wszystkim: śmiéch, spojrzenie i piosnkę..... A ty myślisz, że ja dłużéj wytrwam w tych waszych łachmanach i brudzie! Nie! nie! ja się i wami i sobą brzydzę, ja jestem stworzona *rani* (panią) do bogactw i dostatku; mnie trzeba sukni, łańcuchów, błyskotek, szkiełek i państwa..... A potém — dodała tęsknie się zamyśliwszy — gdy ta burza młodości minie, gdy zagaśnie co we mnie świeci: ubierzcie mnie w łachmany znowu, pójdę jak pies za wozem posłuszna.

Kowal głową tylko pokiwał, ale w ręku drżały mu obcęgi i młot.

— Psia natura — zamruczał — nie może sobie cygana zwabić, będzie panicza łaskotać. Nie wytrwa! Oj młodość! oj młodość!

— Tyś nigdy nie był młodym — odpowiedziała szybko Aza — bo kobiety tylko młode być umieją, a mężczyzni od powitka są starzy. Waszą dolą praca, a naszą śpiéw..... Jak śpiewać o głodzie i nędzy?

— Głowa ci się zawraca!

— Zawróciła! — krzyknęła tańcując po namiocie cyganka — szaleję, stroję się myślą, śpiewam, bawię. Jutro będę w *khera* (domu, pałacu), jutro będę *rani!* Bywaj zdrów stary kowalu!

Z ociężałém czołem Adam powrócił do domu. W ganku powitały go psy i przyjaciele; on usiadł nie głaszcząc ani ręką, ani słowem, jednych ani drugich. Chmura zawisła nad czołem, oczy nabrzmiały nagłe gwałtowną żądzą, i o cudo! chciał, pragnął, kochał! Myślał powrócić nazad i podać rękę cygance i prowadzić ją do swego domu, by chwili żądzy nie stracić; ale się wstydził sam siebie i przyjaciół i ludzi.

Całą noc walczył jak potępieniec, a ta noc przecie wydała mu się krótką, choć powiek sen nie stulił. Blask słońca oblał go wstydem; począł się śmiać z siebie.

— O! o! panicz pokochał się w cygance, w czarnéj, brudnéj cygance, co siedziała zasmolona w namiocie kowala; pa-

nicz, co mógł mieć na skinienie białą dziéwę ze stolicy, w któréj bułki i dziewczęta się sprzedają. Zażądał razowego chleba nędzy! To być nie może, niepodobna!—wołał do siebie i śmiał się.

Odpędzał myśl, a myśl jak pijawka wpiła się mu gdzieś koło serca, koło głowy i targała nim bezlitośnie. I rozpadł się na dwóch ludzi, jak to zwykle bywa, gdy nami szarpie namiętność silniejsza od rozumu i wstydu. Jak owi skazani na potarganie dzikiemi końmi zbrodniarze, myśmy naówczas rozerwani na dwoje, i jeden z nas szydzi, gdy drugi boleje. W cierpieniu każdéj namiętności jest takie człowieka rozdwojenie.

Ku wieczorowi dnia tego wielki gniéw opanował pana i kazał zawołać ludzi, żeby ich spytać, kto dozwolił cyganom rozgościć się na pustym pod wsią wygonie. Nie śmiał już sam iść do namiotu, ale chciał, żeby namiot przyszedł do niego; i w gniewie, w okropnym gniewie kazał przyprowadzić cyganów do siebie.

Znowu już słońce zapadło, a Aza siedziała strojna od rana u namiotu, wywdzięczona, uśmiechnięta, a Aprasz z niéj szydził niemiłosiernie; gdy przyszli ludzie po cyganów do dworu: wójt przestraszony i kilku wylękłych z gromady. Aza aż w ręce klasnęła.

Ludzie patrzyli na nią jak na szaloną, bo się obawiali pańskiego gniewu, który dla niéj jednéj był zrozumiały.

Gniéw ten był pragnieniem, bo gniéw bywa różny: jest nienawiścią, miłością, żądzą, i jak suknia pokrywa różne postaci.

Aprasz szedł do dworu zadumany, a Aza podśpiewując wesoła, wystrojona, prawie piękna. Ona tak doskonale umiała uczynić się wdzięczną gdy chciała, a tak chciała teraz być piękną i do reszty oczarować panicza.

Ani psów, ani przyjaciół w ganku nie było, tylko sam pan. Aza szła śmiało, prosto do niego z uśmiechem siły, ze wzrokiem zwycięztwa.

Adam aż uląkł się tych czarnych węgli jéj oczu, i zamiast gniewu, biady uśmiéch proszący o litość prześliznął się po jego ustach.

— Kto wam tu pozwolił się zatrzymać? Zkądeście tu przyszli?— spytał po chwili.

— Mój stary nie umié dobrze mówić—szybko występując naprzód poczęła cyganka—pozwólcie mi się wytłumaczyć. Miłcz Aprasz i dozwól mi się z nim rozprawić—dodała po cygańsku.

To mówiąc przystąpiła bliżéj, przysunęła się pod ganek, przełamała główkę na karczku gdyby ptaszek, podparła ją dłonią i wlepiając węże oczy w młodzieńca, coś cicho, niezrozumiale, jakby zaklęcie mruczéć poczęła. Adam chwilę popatrzał, chciał się odwrócić, czując, że wzrok cyganki szarpie mu coś głębiéj w piersi, niż dotąd kiedykolwiek czyje wejrzenie i słowo; ale już było zapóźno. Zręczna dziewczyna miała go już w sieci: spuścił głowę milczący, bezsilny, opętany.....

Nazajutrz Aza była we dworze, a cyganie z kuźnią na wygonie; ale Azy ani poznać! Czarna cyganka wstała pod dachem pańskim królową bajeczną znad brzegów Indu, marą z poematów Sanskrytu, i brakło jéj tylko może kwiatka Lotusa w ręku, by wyglądała na bóstwo Lakszmi, na krewniaczkę Wisznu i Brahmy.

Adam u nóg jéj leżał, a na ramionach młodziana spoczywały dwie nóżki upierścieniowane, różowe, depcząc poganina, niewolnika. Co było szat bogatych, szat starych po pradziadach i prababkach; co było świętości w domu po bohaterach umarłych, bezdzietnych: wszystko to teraz stroiło dziecko włóczęgów, obwieszone złotogłowami, perłami i muślinami. Najmiększe puchy otaczały jéj ciałko, najwdzięczniejsze wonie kołysały się nad nią w powietrzu. Psy i wczorajsi przyjaciele stali w sieni; Adam dni całe, tygodnie, leżał sam u nóg czarownicy.

A dzień sam upływał w osobliwszém zajęciu:—ona patrzała, on słuchał. Czasem szyderskim uśmiechem uderzyła go jak sztyletem, to znów połyskała wejrzeniem; rzekłbyś zapaśnik, co walczy z przyswojoném dzikiém zwierzem. Adam gorzał; ona się śmiała z niego i codzień pragnęła więcéj, postępowała zuchwaléj, stając się dumniejszą i dziksżą. W miarę jak była pewniejszą siebie i swego panowania, gniotła go nielitościwiéj.

Biédne skarlałe dziecko wielkich pradziadów! Co to był za widok: w tym dworze jeszcze świętą, poczciwą woniejącym stęchlizną, ten dzieciuch wielkich rodziców, w komnacie ubło-

gosławionéj pracą i boleścią ojców, u nóg włóczęgi, którą ustroił w pamiątki poszarpane, w pokalane świętości!! I ściany nie zatrzęsły się nad niemi, i stropy nie załamały się, nie zapadły podłogi!! Tylko wszystka woń przeszłości uniosła się z przybytku tego, gdzieś daleko pod niebiosa.

Aza zwycięzka żyła tylko swoim tryumfem; jéj więcéj nic niepotrzeba było nad widzenie się piękną, nad przeżycie chwili żywotem bogatych, którego nie kosztowała, nad upojenie się jakieś zwierzęce wszystkiém, co poi. Ten mężczyzna leżący u nóg jéj, blady, schorzały, zmęczony, którego piekła gorączka żądzy bezsilnéj, nie wzbudzał w niéj nawet litości. Byłoto dziécię boleści, co przywykło mężczyznę widziéć pracownikiem i mężem; przypatrywała się więc temu karłowi z ciekawą jakąś pogardą: czasem śmiała się z niego, lub spragnionemu rzucała tylko jak psu kość, uśmiéch dwuznaczny.

W nim miłość wrzała z gniewem, ale zbyt mało miał siły, aby obojgiem wybuchnął: paliły go wewnątrz tylko.

Aza latała i bawiła się wszystkiemi fraszkami, które próżnowanie, zbytek, przepych, fantazya, nagromadziły w starym domu. Codzień potrzeba jéj było nowego stroju, nowego cacka, nowego jakiegoś zajęcia; za wszystko płaciła tylko dziwnym swym uśmiechem i dziwniejszém wejrzeniem czarnych oczu. Adam nawet zimnego nie dostał pocałunku;—tak dziéwczę wiedziało dobrze, że jéj potęgą była żądza zużytego młodzieńca, co mogła w piérwszym uścisku zagasnąć. Dmuchała w tę iskrę oczyma i usty, pielęgnowała ją i żyła, żyła szybko, ogniście, piersią całą, jak się żyje snem rozkosznym, z którego człowiek co chwila lęka się obudzić. Chciała sprobować wszystkiego, dotknąć, spożyć co tylko było pod ręką w téj szybkiéj godzinie jéj doli; a ile razy łachman zrzucony przypomniała sobie: dreszcz ją przebiegał, i jak struś zamykała oczy, by przychodzącego niebezpieczeństwa nie widziéć.

Długo tak trwać nie mogło, a trwało jednak dosyć długo.... Dziewczyna paliła zwiędłego panicza na żar i popiół; on się zżymał, ale czując życie w sobie piérwszy raz oddawna, nie wyrywał się z niego. Aza myślała o jutrze, o brudnéj szatrze cygańskiéj, o starym łachmanie, który zrzuciła jak wąż

przyodziewający się na wiosnę; o życiu niedostatku i gołego nieba myślała, walczyła z sobą.

Tu ją trzymały błyskotki, tam pociągała cygańska swoboda.... Cztery ściany malowane zamykały niewolnicę, a przez okna widać było zawsze jednę, smutną, ciemno-zieloną gałąź świerka, co się uwiesił na dachu dworca; nie czuła wiatru, który tylko świstał, szumiał i huczał w kominach; nie piła powietrza żywego, które latało około domu; nie biegła ku nieznanemu, jak przywykła: i tęskno, tęskno jéj było za wszystkiém dawném, nawet już trochę za nędzą.

O! któż ludzką pojmie naturę i ludzkie przeczyta serce? Często najsprzeczniejsze chwycą je żądze i szarpią, a obie tak nam drogie, że żadnéj z nich odpędzić nie mamy siły. Tak było z Azą: tu ją cieszyły i wabiły miękkie poduszki dostatku i strój bogactwa; tam ciągnęła tęsknota za bożym światem szerokim. Bo to było dziécię *Errumansel'ów* (cyganów) wygnańców bezdomnych, wyrosłe pod skrzydłami burzy, wykołysane wiatrami, zapalone od słońca, myte rosą poranną; i jemu wędrówka jak bocianom rozwijała skrzydła od gniazda pędząc do gniazda, zawsze w tęsknocie za czémś nieznaném.

W tydzień Aza płakała: chciała ulecieć, bo czuła że więdła, że tęskniła, że marła; a żal jéj było błyskotek, wdzięku który jéj dawały, i życia którego skosztowała. Kochanek blady, zmęczony, zesłabły, mdlejący, był dla niéj pogardliwą istotą, i brała ją litość nad nim, ale więcéj obrzydzenie; po dotknięciu téj ręki wyschłéj w próżnowaniu i rozpuście, ocierała dłoń swoję jak po ślinie ropuchy. Adam milczał, palił się, kochał, — ale żył.

Jednego wieczoru pokazał się księżyc z za drzew i Aza ze drżeniem pobiegła do okna; gdy jéj nocna gwiazda zabłysła, roztworzyła szyby, wlepiła oczy, wychyliła pierś na wieczorne powietrze. Księżyc ten srébrzysty przypomniał jéj wszystkie od dzieciństwa wędrówki po świecie i zdawał wzywać do nowych.

— Co ci jest?— spytał Adam.

— Co?—z szyderskim odpowiedziała uśmiechem ledwie zwróciwszy się ku niemu—alboż to ty panie zrozumiész? Żal mi nędzy, chłodu, głodu i włóczęgi mojéj, bośmy widać przeznaczeni na wiekuiste błąkanie się po świecie.... Prawda, że ci to niepojęte, żeby tęsknić można za czarnym chlebem, za czarną

dolą i za wędrówką bez końca? Mówią ojcowie nasi, że w kraju z któregośmy wygnani, cześć oddawano ptakowi, który i do was zalata.... Patrz, oto jego gniazdo na tém drzewie. *Cierik* ten (ptak) zowie się u was bocianem... Bocian w podaniu cygańskiém jest przeklętym, jak cyganie.

— Coś ja ciebie doprawdy nie rozumiem, dziewczyno! — rzekł ziewając Adam.

— Poczekaj, zrozumiész może. Bocian, jak my, nie ma swojéj ziemi. Dawno, dawno, lat temu tyle, ile ziarn w wydmie piasku, co gwiazd na niebie zimowém, wielkie było na ludzi nieszczęście. Ludzie naówczas jeszcze byli wielką jedną rodziną, ale ją już toczyły robaki...; i Bogu nie upodobało się stworzenie jego, *Mroden-oro* chciał je zniszczyć całe. Między synami ludzkiemi był tylko jeden z rodziną siwo-brody starzec, którego Bóg przeznaczył na odnowienie rodzaju; starzec ten zwał się *Noa-oro*... I kazał mu Bóg budować statek wielki, w którymby się mogły pomieścić wszystkie zwierzęta ziemi po parze i trochę ludzi wybranych.... Kiedy się niebieskie otworzyły wrota, i wody potokiem lać się poczęły na ziemię: wchodziło co żyło do wielkiego statku, i co żyło żegnało swoję matkę ziemię wejrzeniem żalu i tęsknoty. Nie było oczów coby nie zapłakały rozstając się z kątkiem rodzinnym; jeden tylko bocian wszedł do statku z żabą w pysku, nie obejrzawszy się nawet na gniazdo swoje.... *Mroden-oro*, co patrzał z wysoka, przeklął go za tę nieczułość, i skazał odtąd na wieczną tęsknicę. Gdy potém wody osiąkły, bocian rozpoczął wiekuistą wędrówkę od jednéj do drugiéj ziemi, bo Bóg tak uczynił, ażeby zawsze jednéj żałował i po jednéj płakał... Ten bocian, to cyganie, panenku — dodała dziewczyna. — Tęsknim zawsze, idziemy wiecznie; i nigdzie, nigdzie nie ma dla nas ojczyzny i spoczynku.

To mówiąc wstrzęsła się cyganka i rzuciła ku drzwiom, jakby chciała uciekać; ale Adam roztwartemi zatrzymał ją rękoma.

— Ty musisz zostać ze mną! — zawołał.

— A czemuż ty za mną pójść nie masz? — odpowiedziała dumnie cyganka. — Tyś mi ani miły, ani potrzebny; jam potrzebna tobie, ofiarą być nie chcę: bo gdybym nawet wlała w ciebie wszystką młodość moję, jutroby w tych lodach skrzepła i zagasła!

— Ale ty nie pójdziesz! — wrzasnął Adam z rozpaczą prawie.

— Nie, nie dziś jeszcze — zimno odpowiedziała Aza.—Gdy księżyc dojdzie pełni, *ciomut-oro* (księżyc) wskaże drogę... mówię ci, że wówczas pójdę i pójdę.

Tak było we dworze, a pod namiotem Aprasza, jak dnia piérwszego, rozlegał się młot, przekleństwa i swar. Niewiasta z dziecięciem u piersi siedziała nieruchoma, chłopcy nago latali po wygonie, Tumry o zachodzie uciekał zpod szatry. Jednemu Apraszowi tęskno było po czarnych oczach Azy, i wesołéj czy tęsknéj jéj piosence, i szyderczych jéj rozmowach.

A ze wsi biedny stary Lepiuk, w którym kipiała krew *Romów*, co noc chodził pod namiot braci, by słuchać choćby dźwięku głosów, które zeń wychodziły i pić język zapomniany od dzieciństwa. A w jego chacie na przyzbie, zadumana, na łokciu podparta siedziała wieczorami długiemi córka jego Motruna, i czegoś ciągle aż poza wieś poglądała. Motruna miała lat siedmnaście i niepodobna była do dziewcząt wiejskich; tak, że kiedy między niemi szła do cerkwi, to ją poznać wśród nich było można, jak lśniące ziarno hreczki w kupce złotéj pszenicy. Zmieszała się na jéj licu krew potępionego ludu ze krwią słowiańską, w jéj sercu łagodność i miłość spokoju, z tęsknotą i wiekuistą trwogą mieszkańców. Była piękną jak cyganka, a miłą jak rusinka; i gdy z jéj oczu błyskał żar Południa, z ust śmiało się życie Północy, białe i jasne jak śnieg. Córka Lepiuka była jedną z najpiękniejszych we wsi, i jedną z najdumniejszych; jakby wcześnie na czole napisane niosła, że więcéj przecierpi od wielu i mężniéj niż rówiennice. Nie lubiła śmiechu ani tańca, ani nic, co weseli dziewczęta; nosiła w sobie przyszły smutek jakby pączek nierozwiniony. Nigdy jéj nikt w taniec nie wywołał, ani pieśni wesołéj wyuczył; a najmilszą zabawą jéj bywało usiąść na wysokim pagórku i patrzéć daleko, daleko, jakby ją ktoś z drugiéj połowy świata wołał.

Matka jéj umarła dawno, ojciec niewiele na nią dotąd patrzał, choć kochał; bracia, że byli jasnowłosy po matce i weseli i żywi, tęsknicy jéj nie rozumieli. Dla niéj męką było w chacie wysiedzieć długo; często płakała czując się przykutą

do przyźby, a gdy przyszło iść po wodę, to leciała do najdalszéj studni, byle nieznaną jakąś splondrować ścieżynkę.

Jednego wieczoru idąc z wiadrem, Motruna spotkała Tumry błąkającego się po wzgórzach; i raz tylko na siebie spojrzeli — a nie wiem czemu odtąd o sobie nie mogli zapomnieć. Tumry był nadto hardy, żeby się chciał zbliżyć do dziewczyny, która go mogła ze wzgardą odepchnąć; Motrunie brakło męztwa, żeby go sama zaczepiła. Ale silniejsza od nich obojga wola losu i potęga rodzącego się przywiązania, sprowadzała ich ciągle, stawiąc naprzeciw siebie. We dnie często droga wiodła Motrunę około cygańskiéj szatry; wieczorem Tumry błąkając się mijał codziennie chatę Lepiuka. W jego sercu rodziły się razem dwa uczucia, które często są z sobą w koniecznym związku: przywiązanie do dziewczyny, i potrzeba, żądza przykucia losu swojego do miejsca, do kątka, na któryby się zlać mogła część miłości przepełniającéj wezbrane serce.

Tumry nigdy nie lubił włóczęgi, a teraz bardziéj niż kiedy wzdychał za swoją chatą, za własnym ziemi kawałkiem, z któregoby go bicz włóczęgi nie spędzał. Marzył on o domie, o żywocie przy ognisku, o spokojnéj śmierci pod swoją strzechą.

Tymczasem rosła w nim zarazem i miłość ku Motrunie, a w sercach obojga choć milcząca, mowną już była; brakło tylko jednego słowa, jednego skinienia, żeby ten związek tajemniczo poczęty, na wiérzch wypłynął. Spotkali się raz za wioską: ona szła z głową spuszczoną z pola, on wybiegł z szatry, rzuciwszy młot, na świeże powietrze i ciszę nocną. Nad wsią unosiły się wyziewy dymów szarych, jesienne opary, i woń żniwa; tęsknota na siwych chmurach wisiała nad niemi. Spojrzeli ku sobie, ale tak już znajomo, serdecznie, bratersko, jakby lata przeżyli z sobą. Motruna niosła oberemek suchych gałęzi, pod któremi się uginała. Tumry pożałował jéj znoju.

— Ej!—rzekł zbliżając się—gdybyście mi to do waszéj chaty zanieść pozwolili, lżéjby wam było....

— Ależ wy idziecie w przeciwną stronę?

— Ja nigdzie nie idę.

— A biegliście?

— Ał! na powietrze! żeby odetchnąć! Nałykałem się dosyć iskier i dymu.

— Toście się i wy zmęczyli?

— Ej! nie! — To mówiąc wziął Tumry gałęzie, zarzucił je lekko na ramiona i zrobiwszy w ten sposób znajomość z dziewczyną, poszedł z nią razem ku wiosce. Wieś była niedaleko, ale czas! czas! to niepojęta zawsze zagadka: w krótkiéj chwili można całą wypowiedzieć duszę. Co oni tam wypowiedzieli sobie!?—cały żywot i wszystkie nadzieje!

Gdy się zbliżyli do chaty Lepiuka, Tumry i Motruna byli już doskonale znajomi. On wiedział wszystko co był powinien; ona znała całą przeszłość cygana. W marzeniach i rozhoworze doszli tak do podwórka, i już Motruna przypomniawszy sobie, że ojca tu zastać mogą, chciała odebrać swój oberemek a Tumrego odprawić; gdy głos donośny przekleństwem ich obudził oboje. Lepiuk stał oparty o wrotka z fajką w ręku; patrzał i takim srogim wzrokiem mierzył córkę i jéj towarzysza, że w Motrunie serce zastygło ze strachu.

— Ho! ho!—zawołał stary — co to ty sobie myślisz, włócząc się po nocku z cyganami! Patrzajcieno ją! A i tyś śmiały odartusie, żeś się już do gospodarskiéj córki przypytał! Co to się znaczy?

Tumry cały się oblał krwią i zimnym potem, a Motruna już była znikła przez przełaz, uciekając przelękła i zmieszana, gdy się zebrał na odpowiedź:

— A cóżto tak wielki grzéch, żem waszéj córce pomógł?

— Obejdzie się bez tych posług— drwiąco zawołał stary, ale ze złością źle pokonaną.—Ruszajcie sobie swoją drogą, a nie róbcie tu znajomości, bo się czasem poznać możecie z kijem dębowym, który stary Lepiuk trzyma na córkę i na nieproszonych gości.

To rzekłszy odwrócił się stary, cały drżąc i wytrząsając popiół z fajki, mruczał pod nosem:

— Ha! tego mi tylko brakło, żeby się znowu krew cygańska do mojéj przyplątała. Ej! *Bynk'a Ciawa!* (diabli syn) patrzajcie, już się powąchali! Ale ja to Motrunie wybije z głowy! Taki krew krwią:— cygan jéj pachnie! Nie można się wytrzéć z tego cygaństwa; tyle lat pracuję, żeby ludzie o niém zapomnieli, a tu mi ono znowu włazi w drogę. Trzeba wcześnie zaradzić; a to powiedzą, że cygan stary umyślnie ją swojakowi poswatał. O! o! niedoczekanie wasze!

I biło staremu serce. Wpadł do chaty, gdzie już córka około pieca się zwijała, zasapany od gniewów wewnętrznych.

— Słuchajno, Motruna! słuchaj! nie odwracaj się i nie udawaj mi, że w garnku głowę chowasz i uszy; ze mną żartów nie ma. Co tobie do cyganów, co cyganom do ciebie? Będzie źle, mówię że będzie źle; ja tego nie zniosę. Ty gospodarska córka, a cygani ci pachną!

Chwilę milczała dziewczyna, aż nareszcie podniosła głowę.

— A cóżto tak złego — odezwała się pocichu — że się przyczepił; ja go nie prosiła o to.

— To go było odprawić.

Ruszyła ramionami.

— A jak mi i pomógł, to cóż się złego stało?

— Patrzajcie jaka mądra! ona mi tłumaczy! A wiész ty, głupia głowo, od czego się złe zaczyna, i jak się najlepsze kończy? Nic, dziś się nic nie stało, ale jutro już byłby ci znajomszy i poufalszy, pozajutrobyś tęskniła, a kto wié, możebym cię potém kijem za nim z chaty wyprosił!

Dziewczyna milczała.

— Ej wara — dodał Lepiuk rzucając się na ławę — wara od takich znajomości. Z cyganem nam nie ma drużby; on jutro pójdzie w świat jak dziki zwierz: a jak plamę po sobie na nas zostawi, staremu ojcu na siwe włosy!? Nu! nu! Motruno pilnuj się! ja nie daruję! ty mnie znasz.

W kilka tygodni, właśnie gdy we dworze już królowała Aza, Motruna i młody cygan zbiegali się na wzgórzu za wioską; ale ostrożniéj, oględniéj, tak, że ich ludzkie nie dojrzało oko. Motruna pomimo bojaźni ojca, szła za dolą swoją. Tumry już był w sercu postanowił nie opuścić Stawiska i pozostać tu, gdy cyganie odejdą daléj. W nędzy, niedostatku, upodleniu rzadkie są gwałtowne namiętności: im także potrzeba słońca, swobody, spoczynku; ale gdy trafem zrodzi je serce co o sobie nie wiedziało, buchają straszne, gwałtowne, niepohamowane. Nic ich już nic złamie, bo cóż zagrozić może temu, co wszystkiego sprobował i doznał? W naszych salonach często wątła miłość nie oprze się wrażeniu, jakie robi suknia wytarta; nie oprze się myśli, że kochać się będzie trzeba w lichym dom-

ku, w pracy, bez liberyi i bronzów: tam nic nie przeraża, nawet cielesne męki głodu, chłosty i żebractwa. Nasze przywiązania są jak kwiaty oranżeryjne: nie wytrzymują ani ostrego wiatru, ani przymrozków; chłopska miłość—kwiat rzadki, kwiat co w sto lat zakwita, ale przetrwać umié burze, chłód i boleść i urągać się przeznaczeniu.

Takiém wyjątkowém przywiązaniem był związek tych dwojga istot: w Motrunie przemagało ono nawet bojaźń ojca; w Tumrym nawet myśl, że dwie nędze sto razy są cięższe od jednéj. Oboje nie zaklinając się i nie przysięgając, pewni już byli że zwyciężą i ojca, i ludzi, i nędzę.

Gotowość obojga na wszelkiego rodzaju ofiary była jakby potrzeby ich przeczuciem; poczęły się one szybko następując po sobie i nie dając opamiętać się dwom biédnym istotom, których miłość podwajała poświęcenie. Nic nie ma skuteczniéj podniecającego to uczucie, nad tak zwane w języku starych romansów *przeciwności*; niejedna skłonność gwałtowna im winna rozwinięcie swe i siłę. Przeciwność drażni i pociąga człowieka.

Dość długo Aprasz i jego gromadka stali obozem na wygonie pod Stawiskiem; kuli póki było co kuć, a resztę czasu spoczywali, i ośmieleni, kręcili się po wsiach i bliższych osadach. Aza tymczasem królowała we dworze, a Tumry latał za piękną Motruną.

Jednego wieczoru jesieni, pod otwartém oknem dworu zjawił się stary cygan z brwią namarzczoną i wejrzeniem surowém. Z okna tęskna, posmutniała, blada i zmęczona wyglądała piękna cyganka z załzawioném jakoś okiem. Patrzała ona w księżyc i dumała; Adama nie było przy niéj.

— Słuchaj Aza, a długo to tego będzie? — zapytał stary z uśmiechem szyderskim, pełnym goryczy.

— Alboż ja wiem?—tęskno odpowiedziała dziewczyna.— Mnie tu nic nie trzyma za serce, a odleciéć jakoś trudno. Ot tak jakoś, jak gdy czasem w podróży człowiek trafi na *kaszt* (drzewo) i wysiedzi pod niém na murawie miejsce wygodniejsze, to mu się z niego wstać nie chce. Nie wiem co się dzieje ze mną: chwilami tęsknię za naszą włóczęgą, *romów* włóczęgą; to znowu boję się nędzy naszéj i żal mi tego cichego dachu, pod którym tylu ludzi i porodziło się i pomarło! Kto wié: coś

jest co sprzęga miejsce i człowieka; jam już zatęsknić gotowa! Tęsknić za wami, gdybym tu została; za temi ścianami szaremi, gdybym od nich odeszła.

— Popsułaś mi się Aza, popsuła: mówisz to nie po cygańsku — rzekł grożąc Aprasz.—A nam czas daléj, bo zgnuśniejem i nie ma już tu co robić: wszystek *trast* (żelazo) wykuty..... Kto wié, może ci już i żal twojego panicza?

Stary roześmiał się z gniewem stłumionym.

— A może i żal—odparła dziewczyna spokojnie dumając—choć doprawdy, wierz mi stary, chyba litość tylko i żal. Biédne to stworzenie, któremu świata nie ma jak ślepemu z urodzenia; on już swoje przeżył, nim mu broda porosła. A takie to znędzniałe, tak biédne, tak schorowane i nudne! Co on pocznie, gdy mnie nie będzie?

— Co? znajdzie drugą! — rzekł stary ruszając ramionami.

— Takiéj drugiéj nie znajdzie—zawołała trzęsąc głową cyganka.—Jam go zrozumiała, jam go umiała trzymać na wodzy i podniecać, a kto inny nie potrafi.

— A! myślałabyś z nim zostać!—przerwał Aprasz z błyskiem oka, jakby zgadywał dziewczynę.

— Ja? zostać tutaj! tu! tu! Ojcze! ej! jakbo wy mnie nie znacie—żywo obruszyło się dziéwczę.—Zostać z tym trupem zamkniętą między czterema ścianami, żeby mnie jutro wygnał, gdy dla niego nie będę ciekawością i potrzebą? Oj nie! nie, stary: zrzucę ja te świecidełka i pójdę w świat z wami. Życie mi tu dojadło, dzień do dnia tak podobny, jak dwie paciorki; godziny wloką się jak konie kulawe, człowiek czuje, że drętwieje i usypia. A jednak! co powiész stary?—żal mi będzie i téj chaty; poniosę ztąd z sobą dumę w świat, dumę długą, długą, aż do starości może.....

— Oj dziéwczę! dziwne z ciebie stworzenie— pokiwał głową Aprasz.— Jam nigdy nie wątpił przecie, że gdy namiot zwinę, a *kakubią* (kociołek) na wóz włożę, ty wylecisz ze dwora, i pobiegniesz boso za nami: boś ty prawa *romów ciaj* (cygańska córka). Gorzéj podobno z Tumrym....

— No? a co się z nim stało?

— Tydzień jak mu ostatni rok czeladnictwa wyszedł i porzucił szatrę, nie kiwnąwszy mi nawet głową za *mandru* i *toń* (chléb i sól), za przytułek i naukę.

— Poleciał sam w świat?!

—O! nie, pokochał się tu podobno w dziewczynie ze wsi, i czeka tylko naszego odejścia, żeby tu stale osiąść. Jemu nigdy nie smakowała wędrówka; ma taki białą krew w sobie, korci go siąść i drzémać. Ale nie tak mu łatwo pójdzie jak on sobie myśli; ojciec dziewczyny sam podobno *Errumansel*, za nic mu córki nie da: i zaklął się na siwy włos swój, że póki żyw, nie pozwoli na małżeństwo. Dziewczyny uprowadzić nie może, bo gdzieżby z nią sam poszedł? Zginie Tumry jak *szukela* (pies).

— A szkoda go, stary! Oj! szkoda nam!

— Szkoda? co za szkoda? Chce przepadać, niech łbem idzie na dno: nam ciężéj będzie bez jego rąk, ale lżéj bez jego złości i uporu. No! i ty Aza gotuj się w drogę; a żebyśmy biedy nie mieli, żeby nas nie gonili: porzuć tam co ci twój panicz podarował, ubierz się w swoje łachmany i daléj w świat!

— Tak! w świat! w świat! daléj a daléj!—powtórzyła cyganka, kryjąc twarz w ręce splecione.—Zawsze daléj i daléj bez końca, do ostatka, do śmierci i po śmierci nawet.....

— E! babo! *egaszi!* (kobieto)—krzyknął Aprasz—nie stękaj: wstydziłabyś się. Tyle twojego, coś dzień jaki nędzny odkradła; dosyć stać i w puch wrastać—w drogę! w drogę!

— Jutro!—żywo odpowiedziała dziewczyna zamykając okno—jutro!

— Pamiętaj! jutro!

Nazajutrz z rana jeszcze Aza była we dworze pana Adama, a już szatra cyganów znikła z wygonu: już *werden* (wóz) ładowano, dzieci dźwigały kociołki i młoty, podając je staremu, kobiety zwijały *plast'y* (koldry, pokrycia), a milcząca matka patrzyła na te przygotowania suchém okiem nieméj, obojętnéj rozpaczy. Stare baby piszczały i krzyczały kręcąc się koło niéj.

Z wierzchołka dalekiego wzgórza Tumry przypatrywał się tym przyborom z dziwném w sercu uczuciem; nie żal mu było starego Aprasza i cyganów, jedynéj rodziny na szerokim świecie, a jednak w chwili rozstania, kiedy już miał pozostać całkiem sam z sobą tylko, czegoś biła krew do skroni, i rzucało się serce ściśnione. Przyszłość stawała przed nim czarna i pełna strasznych tajemnic, jak jesienna noc burzliwa, w któréj głębiach świszczą tylko wichry i miotają się szatani. Tumry prze-

cie postanowił tu pozostać: bez kawałka chleba, bez chaty, bez przyjaciela, dla jednéj dziewczyny, któréj ojciec zdaleka mu nawet na nią spojrzéć nie dozwalał.

— Co będzie jutro? — pytał się siebie, zasypiając pod gołém niebem u tarnowych krzaków w jarze — co będzie jutro? Umrę z głodu może, będę schwytany jak złoczyńca? Kto wié? lub wywalczę cierpliwością gdzieś róg słomianego dachu i kątek spokojny?

Nadzieja obiecywała niewiele, bojaźń przestraszała marami, żal ściskał za odchodzącemi; i Tumry nie ruszył się, gdy cygański *werden* zaskrzypiał, tylko oczy zakrył i pogrążył się w sennéj jakiéjś dumie, co nie była ani jawą, ani marzeniem, a do obojga podobną.

Werden (wóz) był już u końca wioski, gdy przez ogrody i pola przyskoczyła ku niemu zdyszana Aza, w dawnym swym stroju cygańskim, zrumieniona pospiesznym biegiem, milcząca czegoś i gniewna.

— Jesteś? — rzekł Aprasz z uśmiechem. — Zwątpiłem o tobie.

— Jak widzisz stary; ale miéjże litość, ruszajmy co żywiéj, coś mnie nazad ciągnie, obejrzéć się nie mogę: tęskno mi, ciężko mi. Oj! w drogę! w drogę z piosenką cygańską, daleko a prędko!

— *Eguszi!* — mruknął przez zęby Aprasz, zacinając konia — no! samaż zanuć piosenkę wesołą, nakryj głowę, zakryj oczy, a jeśli i to ci nie pomoże, nachyl blaszanki, wypij *targinom* (wódki), to ci serce rozpowinie.....

— A Tumry?

— Psi syn! krew *gadziów!* został tam gdzieś ze swojemi; niech go robacy strawią!

Tak półsłowami rozmawiając, spuścili się cyganie w jar głęboki, i wioska znikła im nagle z oczu. Aza szła żywo przodem nie oglądając się za siebie, milcząca i jakby lękając się pogoni, coraz jeszcze przyspieszała kroku, tak, że za nią reszta bandy ledwie wydążyć mogła.

Nagle droga zatętniała, zakurzyło się, zahuczało i mijając wóz Aprasza, konny jakiś przyskoczył do śpiewającéj cyganki, która nie krzyknęła nawet, gdy ją za ramię pochwycił.

— Co to jest? — odezwał się głos drżący i ochrypły Adama — co to jest? Aza, powiédz mi, co to jest?

— Co?—odwracając się obojętnie zawołała cyganka— a co ma być? idziemy daléj!

— Ty idziesz z niemi?

— Chciałeś może żebym w téj klatce waszéj została?

— Ale ty nie pójdziesz!

— Ja! a dlaczego?

— Bo ja cię nie puszczę.

Uśmiechnęła się dziko dziewczyna.

— Jakiém prawem?

— Tyś mi obiecała zostać!

— Nigdy! nigdy! A pocóżbym tam została?—dodała zatrzymując się—żebyś mnie za pół roku czy za tydzień wypędził, albo rzucił jak ogryzioną kość któremu ze swoich lokajów, jak było z innemi?

Adam osłupiał.

— Ja ci dam—rzekł zdyszany—ja ci dam co zechcesz.....

— O! o!—kręcąc głową poczęło dziéwczę—a jeśli zechcę ślubnego pierścionka?

— Ty szydzisz?

— Widocznie; ale gdybym go żądała?

— Tego zażądać nie możesz, bo wiész, że ci dać nie mogę.

— Ja téż nie chcę, ni ciebie, ni twego pierścionka, ni domu, ani nic w świecie.... Ty myślisz—dodała goręcéj z okiem jak żar płonącém—ty myślisz, że jabym wyżyła tam w twojéj *khera* (domu), w téj klatce, zamknięta jak niewolnica? O! to życie nie dla mnie: dla was pieszczochów, dzieciuchów, starców bez krwi i serca..... Dosyć mi było sprobować. Bywaj zdrów panie! Aprasz! zacinaj *grami* (konia)!

Cygański *werden* zaskrzypiał, cyganka puściła się przodem, a pan Adam pozostał jak wkuty do ziemi, blady, gniewny, bezsilny, przewracając w głowie myśli suche, jak liście jesienne, żółte, zimne i nieżywe.....

Nareszcie ziewnął szeroko, zawrócił konia, i stępo, coś mrucząc pod nosem, pociągnął się powoli ku staremu dworcowi swojemu.

Tumry pozostał sam jeden, zmuszony w początku ukrywać się przed Lepiukiem, który wyszpiegował, że chłopak od swoich odstał i około wsi się błąka. Szczęściem dla zbiega, kowal był taką dla wioski potrzebą, że o jego bytności i ochocie osie-

dlenia, dowiedziawszy się kilku gospodarzy, wpadli na myśl, by go w Stawisku zatrzymać. Widzieli oni, że Tumry był prawą ręką Aprasza i bardzo zręcznym rzemieślnikiem; uśmiechało się im, że go u siebie przytrzymają: poszli więc do pana do dworu z prośbą i powiedli z sobą chłopaka.

Ale pan Adam klął właśnie wszystkich cyganów świata, i poprzysiągł zemstę całemu plemieniu *romów*. Poselstwo przyszło nie w porę, odprawił je więc klątwą i gniewem, tak, że Tumry cały drżący wyszedł ze swemi opiekunami.

— Po wszystkiém! po wszystkiém!—zawołał na progu.— Nadzieja stracona: albo się powiesić, albo uciekać.

— Cytno, cyt!—rzekł stary wójt kładąc mu rękę na ramieniu—kiedy ludzi nie znacie, nie mówcie nic naprzód, nim się stanie. Pan łaje i klnie i pędza zawsze w początku, ale go tylko ponudzić trochę, niechaj się wysapi: zapomni gniewu. Niech mu wierzchowca okuć nie będzie komu, to się to wszystko polepi; tymczasem poparobkowalibyście u mnie i poczekali cierpliwie.

Tak się stało jak wójt radził i przewidział: pan Adam przebolał wkrótce i gniéw i tęsknotę, a dla Francuzki guwernantki, którą odmówił komuś w sąsiedztwie, 30-letniéj już awanturnicy, zapomniał cyganów i cyganek; bo niepiękna i niemłoda już wdowa (która jednak nigdy zamężną nie była) poznawszy dobroć pana Adama, wiodła go na pasku aż do ołtarza. Wójt więc wkrótce potrafił z łatwością wyrobić pozwolenie zamieszkania cyganowi w Stawisku.

Lepiuk, który na to wszystko z boku patrzał i starał się o ile mógł przeszkadzać, rady jednak przeciw panu i całéj wiejskiéj gromadzie dać sobie nie umiał. Dowiedziawszy się o tém, o mało z gniewu nie pękł. A tu mu i jego własne cygaństwo zawadzało, że głośno przeciw Tumry mówić nie mógł i usta miał zamknięte, gdy najwięcéj chciał się odezwać.

— A!—rzekł w duchu—pozwolili mu osiąść, niechże sobie siedzi; ale zjé kaduka, żeby za mego życia do Motruny się przybliżył. Nie chcę więcéj cygańskiéj krwi w moim rodzie.

Gdy przyszło na chatkę i kuźnię wyznaczyć miejsce we wsi, Lepiuk tak potajemnie i otwarcie zabiegał, że dwór, ekonom i gromada, niby ognia się bojąc, niby brzydząc cyganem, odepchnęli go aż za wieś pod cmentarzysko, i tam na pustce pozwolili się budować. W początku panowie gospoda-

rze zobowiązali się jednak dopomódz wraz ze dworem do postawienia chaty; ale gdy przyszło do rzeczy, Tumry przekonał się, że nie będzie miał pomocników nad dwie ręce swoje. Słowa nie rzekł, otrzymał czego chciał: szmat ziemi, pozwolenie zamieszkania; więcéj i domagać się nie śmiał, ażeby i tego nie stracić.

Smutne to było miejsce, gdzie mu się wskazano budować: wygnanie raczéj, niż ludzka sadyba, naprzeciw mogilnika, ode wsi daleko, głosu ludzkiego nie słychać; ni zkąd ognia, ni zkąd wody, ni cienia, ani kawałka ziemi; ale wygnańcowi co nigdy nie miał nic swojego, i to jeszcze dobrém było. Tumry położył się spać na gołéj ziemi i całą noc przedumał, jak tu chatę skleić. Na nikogo rachować nie mógł, nikogo poprosić: Lepiuk mu wszędzie szkodził.

Nazajutrz oblany rosą, wstał biédak rano, rozglądając się w pustce swojéj; dojrzał obrywu góry, do któréj mógł się jednym bokiem lepianki uczepić i uśmiechnął się z radości. Glina do obmazania ścian była tuż blizko, ale z czego dach zrobić i ściany?

Po godzinie rozmysłów poszedł do wójta, który z pługiem i chłopcem ciągnął na swój sznur.

— A co, panie majster?—spytał żartobliwie stary.

— A cóż, panie wójcie—odparł Tumry—coś mi się widzi, że ani dwór, ani gromada nie ma ochoty chaty dla mnie stroić; od dnia do dnia zwlekają, i nic z tego nie będzie.

— Nie wiem, nie wiem— mruknął Lach powoli—ale niewiele i ja na tę zbieraną robotę rachuję. A cóż myślicie?

— Myślę się sam budować!

— Z kim? jak? najmem?

— Toż wiecie, że grosza przy duszy nie mam, ale rąk dwoje nie na żarty!

— Bylebyście sobie jeden klocek położyli sami, jak zobaczą ludzie, że się sami bierzecie, nikt wam i palcem nie kiwnie.

— Czy tak, czy tak, wszystko jedno.

— A jakże sobie sam rady dać potrafisz?

— Powoli sklecę lepiankę; nie będzie to *khera* ale *bukunia* — dodał cygan po swojemu (nie dom, ale buda na ustroniu).

— Któż drzewo ci zwiezie?

— Ja je zniosę.

— O ho! ho!—rzekł wójt, coś poczynacie pleść od rzeczy.

— Dostańcieno mi tylko kwitek do lasu na materyał i podarujcie choć starą *łowez* (siekierę).

— Siekiery ci nie pożałuję;... to mi poźniéj odrobicie za nią—rzekł wójt.—Mam właśnie tępicę, ale jeszcze niezbitą i wcale niczego: warta od siebie rzucając więcéj złotówki; a kwit i jutro miéć możecie. Ale czyż taki doprawdy myślisz się sam brać do dzieła?

— A cóż? — rzekł cygan — nie mam czego czekać, poprobuję.

Nazajutrz rano, naprzeciw cmentarza kopał już drewnianą łopatą o suchym chleba kawałku Tumry, odrzucając twardą glinę, zbijając chwasty i oczyszczając kilkołokciowe miejsce na ziemlankę swoję. Człowiek zostawiony sam sobie, przygnębiony i zmuszony do pracy, wiele może: daleko więcéj, niżeli wyobrażamy sobie! Prawda, że na każdym kroku szafuje siłą podwójną ciała i duszy; ale wyszafowana powraca mu we trójnasób. Cudem prawie była licha kletka cygana, jedną siekierą i dwiema dokonana rękami; każdy kawał drzewa potrzeba mu było lub na plecach dźwigać z lasu, albo zaprzęgłszy się doń samotużkiem ciągnąć powoli przez jary i góry; każde bierwiono sememu ociosać, domyślić się budownictwa, stworzyć całe rzemiosło nieznane. A ile razy stępiło się stare toporzysko, musiał Tumry, nie mając kowalskich narzędzi, iść mil dwie do kowala, i służyć mu dwa dni za pomocnika, by tym kosztem znowu siekierę nastalić i poprawić. Tymczasem gdy go nie było, przejeżdżający drogą, przechodzący ze wsi kradli mu w pocie czoła nagromadzone drzewo, słota psuła robotę, góra namokła odsuwała się, źle spojone kłoce rozchodziły i spadały, i nie wiém wiele razy runęła budowa, nim ją lichemi beleczkami i łatami pokryć potrafił, zamiast krokwi, liche pozatykawszy kluczyny. Bóg tylko jeden policzył, ile tam kropel potu upadło na ziemię, ile pracy poszło marnie, ile się spotrzebowało wytrwałości i siły.

Ale nieraz same niepodobieństwa jątrzyły człowieka, by je przemógł, wzmagały w nim ochotę, budziły myśl, podnosiły męztwo. Śmieli się ludzie poglądając na tę powoli wychodzącą z ziemi, lichą i niepocieszną lepiankę, która przy całéj swéj biedocie jeszcze była cudem przemysłu i pracy. Tumry tak się przywiązał do dzieła swojego, tak się z niém zjednoczył

i spoił, że nie miał spoczynku, póki go nie dokończył. Dwa razy tylko w dzień odbiegał roboty, żeby wyskoczyć przeciwko Motrunie, spojrzéć ku niéj, uśmiechnąć się do niéj zdaleka, lub przemówić słowo.

Rzadko się to jednak powiodło, bo stary Lepiuk stał na straży i zbliżyć się im nie dawał; a nadaremnie usiłując wygnać wygnańczuka ze wsi, wciąż poprzysięgał, że gdyby Motruna dziewką umrzéć miała, nie da jéj za przybłędę i włóczęgę. Motruna nie drażniąc ojca milczała cierpliwie; ale gdy do niéj przyszli w swaty, pomimo gróźb i łajania, odprawiła z niczém. Lepiuk klął, bił, rzucał się, ale to nic nie pomagało: dziewczyna wszystko zniosła odpowiadając jednem słowem — „nie chcę."

Jednego poranku, gdy Tumry około najcięższéj części swojéj chaty był zajęty, starając się na niéj postawić coś, coby belki i dach zastąpić mogło; ujrzał w brzasku i w mgłach wschodnich zbliżającego się ukradkiem Lepiuka, który podparłszy się na grubym kijsku, zamyślony stanął przy drodze i żarzące gniewem oczy wlepił w pracującego chłopaka.

— Buduj, buduj — zamruczał nareszcie półgłosem po długiém milczeniu— na głowę twoję, na głowę! Niedoczekanie twoje, żebyś ty tu mieszkał!

I ze złością dodał głośniéj:

— Co ty sobie myślisz klecąc ten chlév, słyszysz?

— Co myślę? że w nim będę mieszkał—odparł spokojnie Tumry nie przerywając roboty.

— Czegoś ty się tu na swoję biédę przywlókł—dodał stary—po co? Mało ci było świata, słyszysz? hę?

— A cóż ja wam zawadzam—rzekł cygan—powietrza nie wydycham, wody nie wypiję, chleba nie odjem; stanie ich dla nas wszystkich.

— Ale dlaczego przyszło ci do głowy przyczepić się do naszéj wioski?

— Albo wam to co szkodzi?

— Ej! diabełby cię porwał! nie udawaj głupiego—podchwycił Lepiuk—bo ja nie myślę gadać długo. Ot w dwóch słowach: jeżeli sobie ztąd pójdziesz, gdzie cię oczy poniosą, zapłacę ci za robotę i kupię ten chlév; słyszysz, bylebyś się wynosił nie oglądając; a jak nie...

— To co, panie gospodarzu?

— To co! powiem ci tylko, że się tu cało nie osiedzisz!

— Czémże ja wam szkodzę?

— Ho! ho! ty lepiéj wiész za co mam ząb do ciebie, niepotrzeba mówić długo. O Motrunie myśléć tobie wara, z tego nic nie będzie, a ciebie diabli wezmą.

Tumry umilkł ciosając coś powoli około brzozowéj krzywéj belki.

— Słyszysz, diabli cię wezmą!—powtórzył Lepiuk, którego zimna krew cygana jątrzyła.

— Kto to może wiedziéć, kogo *Bynk* pochwyci!—zimno odpowiedział chłopak—zobaczymy!

— Zobaczymy! I nie chcesz ztąd iść? Mów!

— Nie pójdę, to darmo, nie pójdę, panie gospodarzu....

Lepiuk stuknął kijem o ziemię, zgrzytnął zębami, odwrócił się i odszedł szybko.

W tydzień potém, gdy już się kletka do ukończenia zbliżała, Tumry ze stępioną siekierą puścił się wedle zwyczaju do sąsiedniego kowala i zabawił trzy dni. Powracając marzył i rozpamiętywał o spotkaniu swém ze starym Lepiukiem, o jego groźbach i swoich nadziejach; gdy na zawrocie drogi, gdzie się ukazywało Stawisko, ujrzał na spokojném niebie wieczora wstęgę sinego dymu, unoszącą się w powietrzu.... Tknęło go coś, bo ogień zdawał się pochodzić z miejsca, gdzie stała rozpoczęta chata jego; przyspieszył kroku i wkrótce stanął wryty, postrzegłszy, że praca jego była już garścią dymiącego popiołu. Na ziemi widać było żarzące się jeszcze opadłe głownie, stos rumowisk i niedogasłe pożaru ognisko.

Nie miał siły zbliżyć się Tumry, tak mu pogorzelisko to odjęło odwagę, taką boleść uczuł w piersi; i piérwszy raz od dzieciństwa dwie łzy puściły się mu z oczu czarnych, paląc twarz do nich nieprzywykłą. Stał i patrzał z załamanemi rękoma, przybity, nie wiedząc co począć, nie myśląc, jak obłąkany.

Ale ta rozpacz niema, straszna, która przejść mogła w szał i zemstę gdyby z niéj łzy nie trysły, trwała tylko chwilę. Cygan podniósł głowę, westchnął, otrząsnął się i odzyskując przytomność i męztwo, żywym krokiem posunął ku zniszczonéj lepiance.

Myśl jego zwróciła się znowu ku wytrwaniu i pracy. Com raz zrobił, potrafię i drugi, rzekł w duchu; może łatwiéj, może lepiéj, a na swojém postawię. Niech się Lepiuk wścieka,

bo to jego sprawa, ja się nie dam wykurzyć jak pszczoły z ula i komary z izby.

To mówiąc, zbliżył się pod same pogorzelisko, ciekawém szukając okiem, coby z niego ocalić jeszcze było można; ale ogień nie oszczędził ani patyczka, drzewo spłonęło wszystko i trocha węgla a popiołów dymiła tylko jeszcze. Obejrzał się cygan smutnie i rzucił na ziemię pod gliniastym obrywem, który od ognia wypalony na czerwono, rozpadał się i sypał; zwiesił głowę i zadumał.

Wtém drogą usłyszał idących ludzi i sunący się po ziemi przewrócony pług, za którym szedł wójt.

Stary zdala ujrzał przy pogorzelisku cygana, przyzastanowił się, usta otworzył, ale nie śmiał zaczepić, czując co się tam w duszy jego dziać musi.

Tumry sam zerwał się raźnie i przystąpił do niego.

— Dobry wieczór, panie wójcie!

— Oj! niebardzo wam dobry—odrzekł gospodarz powoli, z wyrazem litości—coście się to darmo napracowali! Wszystko jedna skra wzięła, i z dymem poszło!

— Skra temu nie winna, ale ręka czyjaś—odpowiedział cygan z westchnieniem.—A no, cóż robić, toć się dlatego nie obwieszę....

— A cóż myślicie?

— Co?—rzekł Tumry spokojniéj— jutro do lasu, i znów się buduję.

— Czyś ty oszalał! a gdzież ci starczy siły?

— O! o! jeszcze jéj jest dosyć—zawołał cygan.—Myślę tylko jak się zabezpieczyć, żeby mi znowu mój przyjaciel węgla nie napalił, nim kuźnię postawię—udając żart dorzucił chłopak.

Wójt ostrożny zamilkł, nie wywołując zwierzeń, ani się rozpytując na kogo padało podejrzenie, choć w tém wątpliwości nie miał, że Lepiuka cygan posądzać musiał.

— I doprawdy—zagadując ozwał się po chwili—myślicie się na nowo budować? doprawdy?

— A nie daléj jak jutro—głosem stanowczym rzekł Tumry.—Siekiera ostra, odpocząłem trochę przy kowadle, pójdę w las.

— Ha! szczęść Boże!—popędzając woły zamruczał wójt, z poruszeniem ramion znaczącém—tęgi z was chłopak, co za szkoda że cygan!

Ostatnich słów nie posłyszał już Tumry, który powrócił na popielisko, drżącą je rozgarnął ręką i z zanadrzy wyjąwszy kilka kartofli, rzucił je w prysk na wieczerzę, którą one i kawał chleba suchego składać miały. Ale spaliły się kartofle, tak się cygan zadumał znowu, nie myśląc o jedzeniu; a gdy ranek świtał na niebie, wstał złamany i zbity, topor zarzuciwszy na ramię i skierował się ku lasowi.

Szczęściem dla niego, porąb z którego mu materyał na chatę wyznaczono, nie był bardzo daleko, choć go dwa jary i wzgórza od nadanego gruntu oddzielały.

Na ścieszce, którą szedł, widne były ślady tylko co zmarnowanéj pracy, przypominające cyganowi krwawy znój jego wczorajszy i dzisiejszy; gdzieniegdzie zeschłe walały się gałęzie, po ziemi kłody ciągnione powyrzynały pasy wyślizgane; tam i sam rzucona wić dębowa zerwana, kawał sznura, odciosany kołek, zatrzymywały idącego Tumry, który je zbierał powoli, myśląc zużytkować. Wczorajszy żal przepalił się już w jego sercu: zastąpiła go silna wola pracy, tłumiąca najskuteczniéj boleści.

Tak dumając spuścił się w jar nie patrząc przed siebie, gdy go głos znany ocucił.

— Dobry dzień Tumry, dobry dzień!

O kroków parę przed nim stała z dwojaczkami w ręku piękna Motruna, któréj czerwone oczy o niedawnych łzach świadczyły.

— Dobry dzień—z uśmiechem rzekł zbliżając się cygan.— A co słychać?

— Chyba nic nie wiecie? Byliście koło chaty?

— E! nocowałem tam przy ogniu —udając obojętną wesołość odezwał się chłopak.—A cóż? spaliła się, trzeba myśléć o drugiéj.

— Znowu tak samo? a to wy się zarzniecie—z litością i wejrzeniem głębokiém rzekła córka Lepiuka.

— Nic mi się nie stanie – zawołał cygan ochoczo—bądźcie spokojni; trzeba swojego dopiąć.... nic nie pomoże.

— A wiecie z czego chata spłonęła?— badawczy wzrok rzucając na Tumry spytała dziewczyna.

— Wiedzieć nie wiem, ale domyślić się łatwo: twój ojciec musiał ją spalić.

Motruna smutnie spuściła głowę.

— Wiész – rzekła pocichu i oglądając się — zawczoraj Hryhor Skorobohaty przysłał znowu swatów do mnie; ojciec wziął mnie do komory i zagroził, jeśli ich odeślę, ale nic nie pomogło; powiedziałam że nie chcę... Wieczorem jak szalony wyleciał gdzieś wziąwszy z sobą krzesiwo z kaletką. Tknęło mię zaraz, że to będzie nieszczęście, poszłam płakać na ogród; aż w godzinę widzę dym na górze przy cmentarzu, a tu i ludzie powybiegali, patrzą, wołają: pali się chata cygańska! Musiałam skryć się, bo na mnie patrzali wszyscy, a ja aż ryczałam z płaczu.

Nieprędko powrócił ojciec, trzęsący się czegoś, gniewny, położył się nie jedząc wieczerzy, nakrył kożuchem i dodziśdnia choruje!

Motruna ciężko westchnęła.

— Oj, na biédęto naszę—dodała po chwili—przystaliśmy do siebie, na biédę i niedolę;.... ale tak nam sądzono! Duszy nie odebrać kto ją raz dał komu.... Już i to nie na los, kiedy ojciec nie błogosławi, a przeklina....

— Słuchaj—rzekł cygan biorąc ją za rękę cały wzruszony—jeśli tobie strach mojéj doli i ojcowskiéj klątwy, powiédz słowo, Motruno, ja choć cygan mam sumienie: gubić ciebie nie chcę, pójdę ztąd!

Motruna czarne oczy podniosła na niego, ocierając je z łez fartuchem.

— Duszy nie odebrać, kto ją raz dał—powtórzyła—nie czas nam się powracać! Wola Boża! sądzono!

— Niech ci Bóg płaci za poczciwe słowo—odparł silniéj coraz przejmując się Tumry—nie pożałujecie tego, coście dla mnie zrobili. Pokażę wam, że cygańskie ręce żelazne i siła żelazna; nie dadzą mi tu rady ani biéda, ani ludzie... Widzisz Motruno, znowu szedłem z toporem do lasu; pocznę chatę nową, i da Bóg prędzéj ją i lepiéj dokończę, niż piérwszą: nie przepadniemy!

To mówiąc chciał ją uścisnąć, ale Motruna spojrzawszy nań tylko, jakby przelękniona, rzuciła się ścieżynką na pola wiodącą.

— Bracia na łanie czekają na obiad; trzeba spieszyć. Twój bochenek chleba pod kamieniem, gdzie zawsze!

I kiwnęła mu głową oglądając się długo, nim znikła w krzakach kaliny.

Cygan postał chwilę w miejscu, a potém zapomniawszy chleba, puścił się w las na robotę. Doświadczenie dawało mu teraz wprawę, któréj nie miał rozpoczynając piérwszą swą lepiankę; lepiéj potrafił wybrać drzewo, ociosać, zręczniéj się do kłód grubszych zaprzęgał i ścieszki wypatrzył mniéj strome, gdy je ciągnąć przyszło. Wszakże nie na wiele przydała mu się ta umiejętność: sił jego podwoić nie mogła, ani lepianki pokaźniejszą uczynić. Znowu ją rozpoczął klecić z takich samych kawałków, równie niezgrabnie, prędzéj tylko trochę; a podzielił tak pracę, że wprzód wszystko wyrąbał w lesie, co mu potrzebném być mogło i w bezpieczném miejscu ukrył, potém dopiéro rozpoczynając ściągać materyał na grunt przeznaczony.

W kilka tygodni stos drzewa leżał już naprzeciw cmentarza, a cygan opaloną górę skopywał znowu na ściany lepianki. Przechodzący ze wsi zastanawiali się kiwając głowami i nie wierząc oczom swoim; tak im się upor i przemysł cygana niepodobnemi do prawdy wydawały. Stare baby szeptały między sobą, zdaleka palcami wskazując ziemlankę rozpoczętą.

— Niedarmo cygan! On coś zna!

Posądzono go o pomoc szatana, a myśl ta przyjęła się łatwo u wszystkich; nawet biédna Motruna choć głową potrząsała słysząc o tém, zalękła się trochę. Ale serce, które wytłumaczy co zechce, rozpędziło tę bojaźń chwilową.

Stary Lepiuk tymczasem leżał chory ciągle, nie wstając z tapczana i przekleństwami okrutnemi ścigał córkę, ile razy mu się nawinęła na oczy. Nie śmiał on nawet dotąd nikogo zapytać o cygana: tak go jątrzyła myśl sama, że mógł, pomimo spalenia chaty, pozostać.

Któréjś niedzieli nareszcie przyszli do niego w gości dwóch sąsiadów i siedli przy chorym, rozpytując go, co mu było, a radząc po swojemu, to żydówki znachorki, to baby co zamawiać umiały. Lepiuk słuchał tylko nic nie odpowiadając; po godzinie, jakoś się trochę rozruszawszy, posłał po flaszkę wódki, wychylił kilka kieliszków: błysnęły mu oczy, wstał z tapczana.

— A co tam słychać na wsi? — zapytał schrzypłym głosem.

— Co ma być słychać — rzekł Skorobohaty — co zawsze: pańszczyznę pędzą a pędzą, ludzie stękają, chleba niewiele a biédy dosyć.

— Czemużbo nie powiecie—przerwał mu drugi—o cyganie, ta to jest czego posłuchać!

Lepiuk się wstrząsnął i drżącą ręką sięgnął po wódkę, któréj trzeci kieliszek wychylił.

— O cyganie? o cyganie?— pomruczał oglądając się wkoło—a no gadajcie, kiedyście o téj bestyi już mówić zaczęli. Czy jeszcze jest we wsi?

— I jest i nie słychać żeby się wynosił— rzekł Skorobohaty.—Wszyscy mówią, że coś zna, i to pewna. Myśleliśmy, że jak mu się spaliła ziemlanka, plunie do licha i Stawisko porzuci; a on już drugą począł stawiać!

Lepiuk się zerwał z tapczana, klnąwszy nieprzytomny z wielkiéj złości po cygańsku; czego się strzegł, i chyba w największym gniewie wyrwał mu się ten głos staréj natury.

— *Bynk'a ciawa*! (diabli syn).

Zaledwie słowa te usłyszał, ochłonął i usiadł znowu, patrząc przerażony czy go zrozumiano; trząsł się cały, ale uśmiechem nadrabiał.

— A to prawda!—skręcił nagle—że cygan twardy! Drugiby i nie pomyślał probować! Napatrzyłem się ja, jak belki z lasu samołużkiem ciągnął, lub na plecach nosił; myślałem, że mu oczy ze łba wylizą, a krew nosem buchnie; ale nie! jeszcze się drugi raz zaprzągł do swego! No! no! uparta natura!

Słowa te wyrzekł szybko, chcąc widocznie omamić udanym spokojem swoich gości, ale nadto był gniewny, żeby się zdobył na malowaną obojętność.

Oczy mu latały pod brwią, zapalone niecierpliwém rozdrażnieniem, pierś szybko się wznosiła, dłoń miotała jak we febrze.

— Ej! połóżcie się lepiéj— rzekł wstając Skorobohaty— nie jesteście jeszcze zdrowi, to zaraz widać: z chorobą nie ma co żartować. Komu jak komu, a nam starym najmniéj.

Pożegnali go gospodarze i odeszli. Lepiuk się położył mrucząc. Wieczór przeszedł w milczeniu posępném, noc nadchodziła i spać się już kładziono w chałupie, gdy stary począł jęczéć i stękać.

Przybiegła córka, ale ją odepchnął z przekleństwem i silnym głosem zawołał starszego syna. Zaświecono łuczywo, wszyscy się zerwali na nogi: synowie, najmici, kobiety i dzieci.

— Co tobie ojcze? —spytał starszy przybliżając się.

Co?—rzekł powtarzając pytanie zwyczajem ludu Lepiuk— ot pora przyszła umierać; i, żebyż pora! ale bez pory skończyć muszę! Niechaj Janko jedzie po księdza.... a ty słuchaj, co ci powiem.

Obejrzał się po izbie brew zmarszczywszy.

— Won baby!—zakrzyczał.....

Kobiéty usunęły się do sieni i alkierza, on sam pozostał z synami.

— Wiecie—zawołał—że Motruna pokochała się z tym cyganem... Jam mu chatę spalił, nic nie pomogło: buduje się słyszę i siada czyhać na nią. Ja sam jestem cygańskiego rodu—dodał ciszéj i oglądając się po izbie—ale nie chcę krwi cygańskiéj więcéj, żeby nas palcami ludzie nie wytykali. Nie puszczajcie Motruny za cygana, choćby wam po nogach łaziła płacząc, choćby umrzéć miała! Słyszycie! słyszycie?! Jeżeli się uprze niepoczciwa, to ją ożogiem z chaty wygnajcie jak psa, i ani szmaty na koszulę, ani grosza nie dawajcie wyprawy! Ja tak chcę! słyszycie!

— A jak dwór pozwoli?—spytał starszy syn cicho—co nam robić?

— Co ja każę Zechce iść na zgubę i hańbę, niech idzie; ale to nie będzie wasza siostra, ani córka moja. Precz z nią!

Długo tak jeszcze mówił stary, a Motruna przytulona do nieszczelnych drzwi alkierza, słuchała płacząc a nie śmiejąc odezwać się z jękiem: powtarzała tylko jak nieprzytomna:

— Oj dolaż moja, dola! o dola nieszczęśliwa!

O północku nadjechał ksiądz, a nadedniem stary Lepiuk w gorączce, nieprzytomny, z krzykiem i miotaniem się zmarł, cygańskiemi wyrazy niezrozumiałe jakieś nucąc pieśni, opowiadając dzieje i wiodąc rozmowy. Przytomnych dreszcz przebiegał, tak straszliwie męczył się w ostatniéj godzinie, nie znajdując w uściech słów innych, nad piérwsze wyrazy dzieciństwa..... Może czuł, że się wydaje sam z pochodzeniem swojém i utajoną naturą, a nie mógł powstrzymać, bo własna mowa zdawała się go jątrzyć i w coraz większy szał wprawiać.

Nareszcie sił zabrakło na walkę, oczy stanęły słupem, usta okryła piana, oddech wyrwał się z piersi rozbitéj ciężki, głośny, przerażający. Lepiuk skonał.

Krzyk rozległ się w chacie natychmiast i płacz pobudził sąsiadów; Motruna jedna pozostała w alkierzu skulona i przy-

bita do ściany, płacząc łzami bez jęku, jakby się jeszcze obawiała ojca, i powtarzając swoje: o dolaż moja, dola!

Ledwie ją bracia i bratowe potrafiły zagnać do pracy; bo w życiu wieśniaka i najsroższe cierpienie nie uwalnia od niéj: nie ma się kim wyręczyć. Bóg tak dał biédnym, by zajęciem boleść osłodzić.

Tymczasem nędzna za wsią lepianka znowu się powoli podnosić zaczynała: stały już słupy, zarzucały się ścianki mizernemi kołkami, które glina pokryć miała, a krzywe uszaki oznaczały miejsce ciasnych drzwiczek i małego okienka. Tumry nadźwigawszy się drzewa, spokojniéj teraz na placu już się krzątał, pilnując swego dobra ostrożniéj. Trochę słomy rzuconéj na pochyło spartych żerdziach zasłaniało go od deszczu i stanowiło tymczasowe jego schronienie. Wybiegał on czasami w jar poblizki, czatując tam na przechodzącą w pewnych godzinach Motrunę, ale od dni kilku widzieć jéj nie mógł; a że z ludźmi wiejskiemi oprócz wójta mało się spotykał, nie domyślał się ani choroby, ani śmierci Lepiuka, przypisując bojaźni ojca ostrożność Motruny.

Dnia jednego ku wieczorowi robił cygan około belki, gdy zdala słyszéć się dały śpiewy i płacze, postępujące drogą ku cmentarzowi. Niejeden pogrzeb tak przeszedł już mimo jego chaty; Tumry tylko w czasie obrzędu rzucać musiał pracę i z odkrytą głową stał sparty o ściankę swojéj kletki, szanując przypomnienie śmierci, wielkiéj *Mutes-oro,* którą i *Romy* nawykli z przestrachem spotykać.

Siekiera jego przestała ciosać; Tumry odstąpił kroków kilka, zamyślił się, ręce na piersi skrzyżował i oczy jego z zabobonną trwogą zwróciły się ku wąwozowi, ponad którym już poczynały powiewać wierzchołki różnobarwnych chorągwi, a między niemi proporzec czarny śmierci z trupiemi głowy i łzami. Orszak postępował powolnie i rozwijał się na drodze; szli bratczycy, diak, ksiądz, nareszcie dwa siwe woły wielkie, wolno stąpając ciągnęły prosty wóz na górę, a z nim białą trumnę wieśniaczą, na któréj bochenek chleba w szarym ręczniku spoczywał: ostatni chléb pożegnania!! Za wozem tuż ujrzał Tumry idących dwóch braci Motruny i ją samę zawodzącą boleśnie; serce na chwilę bić mu przestało, wlepił oczy, pobladł, domyślił się że *mutes* zabrała mu nieprzyjaciela. Dzikie dzie-

cię włóczęgów nie uczuło ani politowania, ani żalu: uczucie jakieś radości i nasyconéj zemsty, pogańskie, poruszyło jego sercem; ale razem z niém przyszedł wstyd, i Tumry schował się za węgieł lepianki, by nie stać zwyciężonym na oczach. Motruna ani spojrzała na chatkę ukochanego, przed którą zastanowił się wóz żałobny, bo przez bramę cmentarzyka wjechać nie mógł, a trumnę wniesiono na barkach do przygotowanego wprzód dołu.

Przez cały ciąg smutnego obchodu cygan nie słyszał ani śpiewu, ani narzekania: tak silnie miotała nim nadzieja odrodzona doścignienia celu, pochwycenia Motruny..... Stary nie żyje, powtarzał zadumany, stary nie żyje, bracia nie będą mi się przeciwiać, wójt mi dopomoże: ona moja! Byłem chaty dokończył, ona moją być musi!

Ani się spostrzegł, jak sucha ziemia zasypała zwłoki starego Lepiuka; zaskrzypiał wóz, rozeszli się ludzie, i znowu milczenie głuche, przerywane tylko krakaniem wron zbierających się na słotę, zaległo puste wzgórze. Niespokój pędził go do pracy: pochwycił siekierę i wybiegł z za węgła, rzucając okiem ku mogilnikowi. Nikogo już tam nie było, tylko naprzeciw wrót żółta świeża mogiła, a po drodze ślady świeżych kół i stóp ludzkich świadczyły o obrzędzie, który bez nich mógł się dla cygana snem wydawać.

Nie postrzegłszy nikogo już podnosił toporzysko, gdy go ktoś zcicha pozdrowił. Odwrócił się przerażony; wójt z twarzą zafrasowaną stał niedaleko na kiju oparty.

— A cóż tam Tumry?—odezwał się stary—pracujecie, pracujecie, ani myślicie spocząć?

— Póki sił, panie gospodarzu; „co się zaczęło, potrzeba skończyć", mówi cygańskie przysłowie i cygańska natura.

— A ot i my tu przyszli nie w porę z temi odwiedzinami—dodał Laszuk kiwając głową—i przyprowadziliśmy sąsiada, któremu nocką może niebardzo rad będziesz.

Cygan trochę się zmieszał, ale chciał udać, że nie wié kto umarł.

— A któżto zmarł?—spytał obojętnie.

— Nibyto nie wiecie— odparł wójt.— Toż Lepiuk, i bez czasu! Gryzł się, gryzł podobno Motruną, i nie wytrzymał.

Cygan milczał z głową spuszczoną.

— A taki — dorzucił Laszuk — i umierając swego nie darował, bo synom słyszę srogo przykazał, żeby Motruny za was nie dawali.

Tumry wzdrygnął się cały, podrzucił głową.

— Co mówicie? — zawołał — doprawdy?

— Najpewniéj: słyszałem od sąsiady, która słuchała z sieni, jak synów uczył przed śmiercią. No! a co myślicie teraz?

— Cóż? — rzekł powolnie młody chłopak — nie zlękłem się ojca, nie przelęknę i synów; co Bóg da, to da, a ja swoje robić muszę.

— Ej! porzucilibyście — odparł wójt. — Chatę sobie budujcie, kuźnię stawcie, ale gospodarskiéj córce dajcie taki pokój, bo bracia nie pozwolą, a i gromada za nimi: chybabyście ją gwałtem porwali.

— A któż gwałtem bierze żonę! — zawołał Tumry — to u was niewidziana rzecz: i gdzieżbym ją poprowadził? Nie mówmy lepiéj o tém, panie gospodarzu.

Wójt poczuł że go nie przekonał i ramionami ruszył tylko w milczeniu.

— Tać wola twoja, nie gadajmy; nie chcecie dobréj rady, to jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz: co mnie do tego! Ot księżyc wschodzi, czas do domu! dobranoc!

— Dobranoc — odpowiedział cygan, i znowu wziął się do swojéj roboty.

Słońce już było zaszło, księżyc w pełni wypłynął powoli na niebo, ostatki wieczornych brzasków i światła nocnego mieszając się z sobą, stanowiły zmrok przejrzysty, a Tumry z nadchodzącą nocą nie przerwał ciesielki. Praca była mu potrzebą, bo myśléć nie dawała, płakać i trapić się; i spoczywać téż nie mógł obok téj świeżéj, żółciejącéj mogiły, którą oczy jego spotykały wszędzie, która mu się mnożyła wokoło i w tysiącznych przedstawiała kształtach.

Całą tę noc piérwszą spędził zapalczywie rąbiąc co napadł, przy świetle pełni na czystém niebie, co chwila się wstrząsając za każdym wierzby niedalekiéj szelestem: bo szmer ten, śmiecinem mu się zmarłego wydawał i zimny dreszcz przelatywał mu po plecach, gdy myśl podbudzona szałem uczucia, wywołała Lepiuka z mogiły, a z nim tysiąc nieboszczyków wstających na pomoc.

Nawet cisza nocy, wśród któréj każde uderzenie jego siekiery rozlegało się z dziwném brzmieniem rozchodzącém się daleko, przerażała Tumry; pot lał się z niego strumieniem, siły się wyczerpywały, oko mgłą zachodziło, wśród któréj żółte skakały mogiły. On rąbał, rąbał, siekł aż do brzasku, a gdy słońce zarumieniło wschód chmurny, rzuciwszy nareszcie siekierę, padł na ziemię bezprzytomny.

Nocna praca zniszczyła niemal cały zapas drzewa, porąbanego w nieforemne kawałki.

Gdy się obudził, słońce piekło skwarne, a zdala huczała nadchodząca burza; poprzedzający ją wicher szalał na wzgórzu, i onto chłodząc pierś jego przerwał mu sen dziwny, znużenia i gorączki. Tumry z dreszczem i spaloną wargą obejrzawszy się po niebie, zaledwie potrafił zwlec się pod słomiany swój daszek, na garść zeschłéj trawy, na któréj upadł znowu, czując, że żelazna ręka choroby ciśnie mu pierś i głowę.

Wypadki wczorajsze, pogrzeb, rozmowa, nocne szały: wszystko mu się mieszało w kłębek różnobarwnych nici nierozpętany, który ręka *Nasuo-oro* (choroby) targała i motała bezlitośna.

— Umiérać! to umrę!—zawołał cygan waląc się na ziemię—tak lepiéj niż się męczyć.

Wkrótce Tumry stracił znowuż przytomność. Myśli jak burza na niebie zwiły się mgliste, jasne, czarne, piorunowe i poczęły przebiegać rozpaloną głowę; czas, miejsce, wszystko znikło zprzed niego, a pozostało niewysłowione, dziwne, a zarazem rozkoszne cierpienie, coś nakształt snu utkanego z przypomnień ziemskich i widzeń niebieskich. Była tam i nędzna młodość, i śpiéw Romów, i wykrzywione ich twarze, i taniec Azy, i stukot młota Aprasza, i dymy cygańskiego kotła, i skrzyp ich woza, i Motruna, i stary Lepiuk, pogrzeb, mogiła, noc, pożar chaty i postaci jakieś nieznane, straszne i wdzięczne, i przeczucia niewysłowione, i wszystko czém brzmi życie i czém mówi śmierć nadchodząca.

Zdawało mu się że umiera, a umrzéć nie może, że leży martwym w jednéj trumnie obok cygana Lepiuka, a w pierś jego wbijają krzyż i wbić nie mogą, bo go krew buchająca wypycha.

Po widzeniach tłumnych, ciszéj się jakoś poczęło robić w jego duszy, jak gdyby już umarł: ustąpiły dręczące widma, szaro zawlókł się widnokrąg i spokój mogiły skrzydłem go chłodném otoczył.

Otworzył oczy, zdało mu się że śpi znowu, bo ujrzał przed sobą płaczącą Motrunę, która dzbanek do ust jego nachylając, śledziła w nim ostatki życia. Kropla wody orzeźwiła go wreszcie, mgły gorączki rozchodzić się poczynały, pojaśniało mu w oczach, ruszył się, podniósł powoli. Nie byłto sen: piękna Motruna klęczała przy nim oblana łzami i mówiła do niego, ale słów jéj jeszcze zrozumiéć nie mógł. Brzmiały mu one w uszach jak pieśń jakaś dźwięczna, którą napróżno silił się schwycić.

— Tumry, Tumry — wołała dziewczyna — co ci to jest? Odpowiédz mi? co ci się stało?....

— Co mi się stało? nic! Był pogrzeb, potém rąbałem noc całą. potém usnąłem, śniłem burzę, mogiłę i nie wiem jak spałem długo.

Dziewczyna w ręce klasnęła.

— A toż trzeci dzień, jak mego ojca pochowano—zawołała.—Tyś chory, tyś trzy dni leżał bezprzytomny.....

— Chory! może— słabo odpowiedział Tumry—ale cóż zrobić chorobie? Głód i sen ją przemogą, lub ona człowieka; na to tylko *Mroden-oro* lekarzem,...

— Ja pójdę do dworu—przerwała dziewczyna— do pani; juścić nie dadzą tak umrzéć człowiekowi bez pomocy: oni się znają, oni poradzą....

Tumry nic nie odpowiedział, ale wzrok obłąkany: bezsilny i bezmyślny którym rzucił na Motrunę, przeraził ją do reszty; zerwała się.

— Oto woda! oto chléb—zawołała—a ja polecę do dworu. Jeśli nic zrobić nie zechcą, sama powrócę; niech bracia zabiją mnie jeśli chcą, a ja ciebie tak nie opuszczę.

I rozpłakane dziéwczę wprost przez jary i krzaki puściło się ku pańskiemu dworowi, myśląc a frasując się, jak i do kogo z prośbą swoją przystąpi. Ani się spostrzegła biédna, jak ją ten los, który często tak rozumny bywa, że mu w pewnych razach wcale inne wartoby dać nazwisko, zaniósł w piękny ogród otaczający dwór pana.

Mieszkał tu jeszcze pan Adam, ale już żonaty, gdyż wykradziona guwernantka, *Madame* Le Roux, szybko poprowa-

dziła sprawę małżeńską, i ani się opatrzył kochanek, jak mężem został. Wielkie zmiany zaszły we dworze, w którym już nie pan, ale pani panowała, silną dłonią chwyciwszy męża i wszystko co ją otaczało. Pan Adam był, co najdziwniejsza, zawsze zapalonym kochankiem i piérwszym jéj sługą, choć kilka miesięcy upłynęło już od pierwocin szczęścia jego. Tę stałość winien on był niepospolitéj znajomości serca ludzkiego, z jaką umiała nim kierować żona. W istocie byłato najlepsza aktorka, najprzebieglejsza kobiéta, najdowcipniejsza ze wszystkich guwernantek, jakie kiedy z Francyi do nas przybyły, gnane biédą lub nadzieją. Wiele doświadczywszy na świecie, napatrzywszy się ludzi zblizka, pani Le Roux, a drudzy mówili panna Le Roux, doskonale świat i człowieka znała. Co dla drugiéj zdawać się mogło niepodobieństwem: ujarzmienie i ustalenie takiego jak p. Adam człowieka, dla niéj było igraszką. Potrafiła go zaciekawić, przyciągnąć, utrzymać i rządzić nim, najpospolitszéj do tego używając sprężyny:—miłości własnéj; na inne bowiem uczucie tu rachować było niepodobna. Adam ubóstwiany, czuł jakby mu się z wdzięczności na czulsze sentymenta zbierało, i dawał się prowadzić zgnuśniały, gdzie mu iść kazano. Przypomnijmy sobie, że nasza powieść dzieje się przed kilkudziesiąt laty, a może odgadniemy jak wyglądała Francuzka. Byłto szczątek kobiét sentymentalnych, które strojąc się na nutę wieku, bez uczucia, grały nieustanną egzaltacyą i rozczulenia. Pani Adamowa wiecznie krążyła w tych sferach d'Arlincourt'owskich, z Ipsiboe i innemi heroinami; na świat spoglądając okiem, które wszędzie widzieć chciało co wyczytało w książce. Romans był jéj zajęciem, namiętnością, pokarmem; łowy uczucia całego życia celem. W sercu wszelako spokój panował największy, bo cały ów szał był sprawą zabałamuconéj głowy. Zimna, ostrożna, wyrachowana, grała egzaltacyą poświęcenia, męczeństwa; a po świecie tak szukała książkowych awantur, jak Don-Kiszot ciemiężycieli niewinności i uciśnionych heroin.

Nieszczęściem mało znajdowała pokarmu pani Adamowa w coraz bardziéj prozaicznych czasach, których rzeczywiste oblicze z całą swoją poezyą niepostrzeżone przed nią się usuwało.

Właśnie w chwili gdy zapłakana Motruna wpadła do pańskiego ogrodu, chodziła pani Adamowa z książką rozczulającą o przypadkach jakiéjś nieznajoméj, po ścieszce nad wodą,

wzdychając choć się jéj bardzo poziewać chciało. Szelest liści rozbudził ją z odrętwienia. Zrazu sądziła, że z krzaków wystąpi rycerz, przyklęknie, załamie ręce i wynurzy swe płomienie przed piękném zjawiskiem, za które siebie poczytywała; zdziwiła się więc mocno, ujrzawszy zapłakaną wiejską dziewczynę, która biegła ku dworowi z oznakami przestrachu i niepokoju.

Ale że Motruna była pomimo swego stroju wiejskiego wcale piękną, a boleść dodawała jéj jeszcze wdzięku i wzniosłości; pani Adamowa przeczuwając w tém wszystkiém jakąś romansową awanturę, trochę nawet podejrzywając męża, co ją przestraszyło, wstrzymała dziewczynę. Pobyt jéj w Polsce wyuczył ją tyle języka ludu, że go zrozumiéć już mogła; przystąpiła więc ku zapłakanéj i spytała ją, czego i dokąd tak leci?

Motruna, która pani szukała, na nią tylko rachując, ze złożonemi rękoma poczęła jéj opowiadać naprzód o cyganie, potém o sobie, potém naglona zapytaniami, rozpowiedziała całe smutne a krótkie dzieje poznania, pokochania, śmierci ojca i choroby Tumry.

Francuzka słuchała z natężoną uwagą, chwytając łakomie wyrazy; szczęśliwa, że nareszcie w żywym świecie znalazła kochanków, miłość prześladowaną, i caluteńki romans, wprawdzie w zgrzebnéj koszuli, z bohaterem cyganem, z heroiną chłopką, ale zawsze niezmiernie dla zgłodniałéj wrażeń, łakomy.

Chwyciła za rękę dziewczynę składając książkę, zapomniawszy nawet o miejscu w którém czytać przestała, i odżywiona pobiegła z nią do dworu. Pan Adam drzymał po obiedzie; obudził go stukot szklanych drzwi i tak szybkie opowiadanie żony, że w początku rzucając oczyma to na nią, to na zapłakaną Motrunę, nic a nic zrozumiéć nie mógł.

Przyszedłszy trochę do przytomności, znudzony zawsze i obojętny, pozwolił na wszystko, czego piękna Fanny wymagała po nim. Posłano natychmiast wóz po cygana, konie po doktora do miasteczka; ruszono wszystkich ludzi, którzy pluli i klęli zmuszeni krzątać się dla włóczęgi; i nim słońce zaszło, Tumry leżał na folwarku, a w głowach jego łóżka siedziała Motruna, stała pani Adamowa i doktor.

W chorym oprócz gorączki pokazało się wyczerpanie sił pracą: skutki długiego cierpienia i niedostatku; ale natura potężnie jeszcze walczyła w nim z całym młodości zasobem, by

go podźwignąć. Potrzeba mu było najwięcéj spoczynku, pociechy i posiłku.

To wszystko znalazło się we dworze, a pani Adamowa zajęła się zaraz losem dwojga kochanków, zaprzysięgając, że ich musi połączyć.

Pani Adamowa, która już wówczas dla odżywienia męża podróżą, a raczéj dla zobaczenia Francyi i ukochanego Paryża, wybierała się za granicę, nie patrząc na to, że chata cygana nie była ukończoną, że świeżo zmarł był ojciec Motruny, zaprzątniętą była z właściwą sobie żywością połączeniem kochanków.

Jak tylko doktor uspokoił ją o zdrowiu Tumry i zapewnił że żyć będzie, rozkazała natychmiast przywołać do dworu braci Motruny. Przyszli oni smutni, zafrasowani, nie wiedząc co począć, poniekąd domyślając się o co chodziło, bo cała już wieś wiedziała, że cygana do dworu przeniesiono, i że nim się sama pani opiekowała. A że do traktowania z nimi nie czuła się zdolną pani Adamowa, ani pan Adam: wysłano ku nim totumfackiego, przybyłego do Stawiska jakoś niedługo po pobraniu się nowożeńców, kapitana Harasymowicza.

Słówko o panu kapitanie nie zawadzi. Byłto ranny w kampanii któréjś przeciwko Turkom, mężczyzna w sile wieku jeszcze: zdrów, olbrzymiego wzrostu i pięknéj postawy. Mały mająteczek jaki posiadał w sąsiedztwie, złożony z dwóch chat tylko, puszczał dzierżawą, a sam przebywał to tu, to ówdzie, włócząc się od komina do komina; z jednemi polując, z drugiemi grając w karty, z innemi pijąc i hulając ochoczo. Byłto *natus* sekundant do wszystkich pojedynków, pretendent do każdéj młodéj wdowy, i gość przy wszystkich imieninach: jedném słowem rodzaj pasożyta, któremu choć niewielkie mienie własne dawało trochę niezawisłości i dozwalało głowę podnosić do góry.

Oprócz tych zajęć, kapitan handlował chartami, strzelbami i wszystkiém, co miał; a miał zawsze ładne rzeczy, jak gdyby umyślnie dla facyendy. On i pani Le Roux znali się od lat kilku, a złośliwi ludzie nawet mówili, że w bardzo czułych byli stosunkach; to pewna, że zaraz po przeniesieniu się pani

Adamowéj do Stawisk i on się zjawił, zajął kwaterę w oficynie, rozgospodarował się, charty sprowadził i zdawało się, jakby tu miał zamieszkać. Pan Adam mówił nawet o powierzeniu mu majątku na czas podróży za granicę. Niedołężność pana Adama, który rad się każdym wyręczał, dała pole kapitanowi schwycenia rządów majątku, dworu i opanowania Stawiska. Zręczny przytém umysł, charakter silny i przewaga, jaką mu otrzymać było łatwo nad gospodarzem, co dzień mocniéj go na tém stanowisku ubezpieczały.

Z panią porozumiewali się jedném wejrzeniem, i, jak służba mawiała, znali się jak łyse koty; a we dworze tak osiodłali znużonego pana Adama, że wydawał się w własnym domu rezydentem na łasce. Pieszczono go za to i pochlebiano mu co wlazło, a właziło co chcieli.

Kapitan miał wysokie rozumienie o swych zdolnościach, urodzie, zręczności i w ogóle o przymiotach, któremi go obdarzyła natura: nic mu się nie wydawało trudném. Wyszedł téż do Lepiuków z miną gromowładcy, z cybuchem, którego jeden koniec krył się pod wąsem, a drugi wlókł prawie po ziemi, w bok ręką się wziąwszy, pewien że rzeknie słowo i przekona ich.

— No!—rzekł siadając na ławce w ganku naprzeciw dwóch chłopaków—wiécież czego was zawołano do dworu?

— Nie! Jaśnie Panie! – nizko się kłaniając, odpowiedzieli chłopcy.

— A zatém—dodał kapitan uśmiechając się—chcecie żebym wam powiedział o co chodzi. Słuchajcież.

— Słuchamy!—szepnęli podnosząc głowy chłopi.

— Pani i pan chcą, żebyście waszę siostrę Motrunę dali za tego cygana, który tu na kowalstwie osiada; to ich wola i tak być musi.

Lepiuki spojrzeli po sobie i zamilkli; starszy wystąpił po chwili z nowym pokłonem aż do ziemi i odezwał się, dusząc czapkę:

— Toćby my to Jaśnie Panie nie sprzeciwiali się temu, kiedy taka wola państwa, ale jest przeszkoda wielka.

— Jaka? co za przeszkoda?—ofuknął kapitan.

— A cóż poradzić z nieboszczykiem, który tego nie chciał i zaklął nas, żebyśmy Motruny za tego włóczęgę nie dawali. Słowo ojcowskie, słowo boże; synowi słuchać, nie rozbierać.

Kapitan, który moralność pospolitą zawsze uważał za doskonałą rzecz dla gminu, ale nieobowiązującą dla siebie, uśmiechnął się wzgardliwie.

— Co tam ojciec!—rzekł machając ręką.— Ojciec umarł, a wy róbcie co wam każą.

— Kiedyż myśmy się ojcu obiecali—odparł Lepiuk.

— Jakżeście mogli obiecywać, co nie w mocy waszéj dotrzymać?— zawołał głośniéj kapitan.—Dziewczyna tego chce, dwór pozwala i rozkazuje, cóż wy możecie przeciwko temu?

— Motruna nie może tego chciéć, kiedy wié, że ojciec nie pozwolił—przerwał młodszy Lepiuk.

— Cicho!!—wrzasnął kapitan, stukając fajką z energicznym gestem—nie wdawaj się w rozprawy. Słyszycie rozkaz, słuchać i po wszystkiém; tak pan chce, tak być musi.

Bracia jakby naradzając się, spojrzeli na siebie, trochę przestraszeni zapalczywością pana Harasymowicza.

— Ale Jaśnie Panie.... – ośmielił się starszy.

— Tu nie ma ale—przerwał wąsacz—nic, nic, posłuszeństwo i po wszystkiém. Dacie Motrunie co się należy, wyprawicie wesele.....

Lepiuk młodszy podniósł głowę, jakoś zadraśnięty rozkazem zbyt absolutnym kapitana, rumieniec wybił mu się na twarz, ręka zadrżała.

— Kiedy taka wola panów, a my przeciw temu nic nie możemy, to cóż gadać? Ale dla nas święta wola ojca, który umierając mówił, że jeśli Motruna pójdzie za cygana, on się jéj wypiera za córkę, a my za siostrę. Niech państwo robią co chcą, ale wesela nie sprawim i z chaty nic nie damy, choćby nas nie wiem jak karać miano.

To rzekłszy, umilkł Lepiuk zagryzłszy wargi, a kapitan hardością niespodziewaną uniesiony, aż podskoczył z ławy.

— Co ty śmiész mówić!—zakrzyczał — łajdaku jakiś! Będziesz się ty woli pańskiéj sprzeciwiał! A wiész ty czém to pachnie!?

Lepiuk ani drgnął, ani się ruszył, ani okazał zmieszanym, tylko zimne oczy zwrócił na kapitana i stał milczący; ale widać było w nich tak silną wolę, tak nieprzełamany upor, że Harasymowicz uczuł się zbitym i nie wiedząc co począć, zabełkotał tylko jeszcze:

—Ruszajcie, a com mówił, to się zrobić musi; z tobą zaś będzie inny porachunek—dodał grożąc Lepiukowi.— Idźcie precz!

Bracia skłonili się i poszli, a kapitan ochłonąwszy nieco, wszakże nie swój trochę, wcisnął się powoli do salonu.

Naprzeciw niego wybiegła z iskrzącemi ciekawością oczyma pani Adamowa.

— A co kochany kapitanie? — spytała wdzięcząc się.

— Nic, chłopi jak zwykle chłopi: trochę się upierają, ale musi się tak zrobić jak chcecie.

— Mówisz że się opierają?

— At! plotą że ojciec umierający zakazał im dawać tę dziewczynę za cygana, że się jéj wyprą: głupstwa plotą. My zrobimy jak pani każesz....

— Jakto! mówisz że się nie godzą?

— Ale któżby ich pytał!

— Są więc z ich strony przeszkody?

— Dzieciństwo! wola twoja, pani, jest tu wszechwładną.

— Ale ja nie chcę jéj nadużywać, wolę środki łagodności!

Kapitan ruszył ramionami.

— Co tam środki łagodności! U nas jest jeden tylko środek powszechny na wszystko:—kij; ten działa lepiéj i skuteczniéj niż najwyszukańsze argumenta. Będą się sprzeciwiać, każemy ich ochłostać i kwita.

Czuła Francuzka wzdrygnęła się, upadła na krzesło i twarz zakryła rękami białemi.

— Ach! barbarzyńco kapitanie! chyba żartujesz! Ja tego nie chcę, ja tego nie pozwalam; ja się oburzam na samę myśl przemocy.

— No, to rób sobie pani co chcesz—odparł kapitan ruszając ramionami — a ja się do niczego nie wdaję.

— Pan bo się musisz wdawać, i musisz robić jak ja każę— zawołała niecierpliwie Francuzka tupiąc nogami;—zawróć tych ludzi i staraj się ich ująć łagodnością, datkiem, pieniędzmi, czém chcesz, ależ przecież nie kijem!

— Ale zmiłuj się pani, tego się nie podejmuję—oburzył się rezydent.—Dziś ich zawracać, a toby dopiéro nosa do góry zadarli! Jutro się pomówi z niemi, bądź pani spokojną.

Tak się w pokoju skończyła rozmowa nadejściem pana Adama, który ziewając wsunął się przez przeczucie godziny herbaty. My przenieśmy się na wieś, z powracającemi Lepiukami.

Koło karczmy oczekiwało na nich kilku poważniejszych z gromady, wiedzących już, że ich zawezwano do dworu, a cieka-

wych jak tu sobie państwo postąpią. Usposobienie ludzi jakkolwiek cyganowi niezbyt w początku nieprzychylnych, skłaniało ich ku Lepiukom raczéj; przeczuwali bowiem, że przeciw nim będzie dwór, i oburzali się na to wtrącanie się w domowe ich sprawy. Ztąd i cygan będący przyczyną wdania się panów, coraz im bardziéj obmierzał; nie mieli z niego posługi żadnéj dotąd, a tu im zagrażało, że się z nimi bracić będzie, co dla wszystkich niemiłém było. Nim Lepiuki powrócili ze dworu, w kupce oczekujących już żwawo rozprawiano o tém małżeństwie i jego skutkach.

— Co to – mówił Skorobohaty, poprawując pasa i podskakując jak miał zwyczaj na jednéj nodze—co to? lada przybłęda, wołokita będzie nam zpod nosa brał gospodarskie córki i na naszéj ojcowiznie osiadał. Tego u nas nie bywało! Co tu panu do tego, co my robimy z naszemi dziećmi: albo to nie krew nasza, o którą tylko Pan Bóg spytać może?

— A to prawda—ciszéj dodał tchórzliwszy Symiacha—ale nie gadajciebo tak głośno! jeszcze kto posłyszy! Cyt! cyt! A ot i Lepiuki: choćmy z nimi do ich chaty, bo tu przed karczmą niezdrowo; zaraz dworaki doniosą, że już się wieś buntuje, i biéda będzie.

Skorobohaty ruszył tylko ramionami, ale przyjąwszy radę, posunął się ku chacie Lepiuków, do któréj i oni ze spuszczonemi głowy powolnie zmierzali.

— A co?—zapytał ciekawie—czy taki o Motrunę?

Bracia radzi zasięgnąć od doświadczeńszego zdania, opowiedzieli mu całą swą rozmowę z kapitanem i ostatni wyrok jego. Starszy powtórzył, co mu trochę uniósłszy się zwiastował.

— Dobrześ powiedział, chłopcze—począł Skorobohaty—tak się i należało, i tak róbcie; dwór się pomiarkuje, ta *chrancuzka* się zlęknie, a kapitan..... *oj! oj! sławny buben za horami!!* Alboż to pan! Nic z tego nie będzie....

— No! a jak się uprą!—rzekł młodszy Lepiuk.

— To niech ją wydają do trzysta diabłów—gorąco podchwycił stary—niech ją sobie wydają za kogo chcą; a jeśli cygan ją weźmie, cała wioska wyprze się i jéj i cygana, nikt do nich słowa nie przemówi, nikt im ręki nie poda, nikt ich znać nie zechce. Ot! co będzie.....

Spojrzał Skorobohaty po gromadzie, wszyscy widocznie poklaskiwali mu i potakiwali.

— Tak! tak! niechaj siedzą w chacie pod mogiłkami, a do wsi się nie pokazują nawet, bo ich psami wyszczujemy!

— Psubrat cygan — podchwycił drugi — będzie sobie dziéwki u nas wybierał! ho! ho!

Stanęło więc na tém, że bracia mocniéj jeszcze w oporze swoim podtrzymani przez gromadę, zaprzysięgli siostry nie dać po dobréj woli i wrócili do chaty nic nie mówiąc Motrunie, ale chmurni jak noc.

Ona przeczuwała co się tam działo na wsi: widziała jak szli do dworu, dostrzegła narady ze Skorobohatym, domyśliła się co za wyrok padł na nią; ale udawać musiała, że o niczém nie wié, że się tém ani zajmuje. Jako na najmłodszą, spadły na nią najcięższe domowe posługi; bratowe gromiły ją nieustannie: milczała i płakała. Ciężko nawet było teraz wyrwać się do dworu dla widzenia się z cyganem, bo jéj nie spuszczano z oka, a gdy przyszło na pańszczyznę, posyłano inną, żeby nie miała zręczności zajrzéć na folwark.

Nazajutrz wieczorem znowu posłano po Lepiuków obu, a kapitan z instrukcyą nową wyszedł ku nim prawie uśmiechnięty.

— No! — rzekł — musieliście się namyśléć od wczora; nie ma co wody warzyć, Motruna musi pójść za cyganá, a zatém przygotujcie jéj uczciwe weselisko....

Lepiuk się pokłonił do ziemi, gdyż wieśniak wołyński kłania się nawet gdy słuchać nie chce, z nałogu.

— Niech sobie państwo robią co chcą — odezwał się z pokorą i jakąś rezygnacyą zastanawiającą — my ani wesela nie sprawim, ani możemy na to się zgodzić co ojciec zakazał; to już ja panu wczoraj mówiłem.

Kapitan spojrzał w oczy młodemu chłopcu i zdziwił się, spotkawszy toż samo wejrzenie zimne napozór, ale niewypowiedzianie potężne, które go wczoraj tak zastanowiło. Czytał w niém bezwładny opór człowieka, który już przygotował się na wszystko i czeka co z nim uczynią, nie myśląc się dać pożyć ani groźbie, ani prośbie, ani boleści. Nie ofuknął się tą razą pan Harasymowicz, ale rozśmiał, choć go to niepospolicie podrażniło.

— Gdybyto moja była sprawa — odezwał się powoli — wiedziałbym jak począć. Wasi państwo aż nazbyt są dobrzy i łagodni; nie chcą was siłować, wola ich!! Powiem wam więc

od państwa, że pani bierze na siebie i koszt wesela i posag Motruny i jeszcze obiecuje wam wasze posłuszeństwo wynagrodzić, ale żąda, żebyście tak zrobili, jak ona każe.

Lepiuk schylił się znowu do ziemi.

— Bardzo dziękujemy państwu—odezwał się nieporuszony—ale kiedy taka była wola ojca!

Kapitan już się zżymał, świerzbiał mu cybuch w ręku.

— No! pani wam daje parę wołów, byleście tak zrobili, jak się jéj podoba.... Słyszycie!!

Lepiukowie spojrzeli po sobie, starszy się zgiął, westchnął i rzekł:

— Cóż my poradzim, kiedy ojciec tego nie chciał!

— A cóż u sto tysięcy diabłów—krzyknął kapitan—więc i to odrzucacie?

— Wola pańska i Boska!—westchnął starszy.

Napróżno kapitan prosił jeszcze, fukał, groził, gniewał się, ofiarował pieniądze: nic nie pomogło. Lepiukowie zostali przy swojém i odeszli przygotowani do zniesienia co los nada.

Gromada jednogłośnie oświadczyła się za nimi, i trudno wyrazić jakie uczucie podbudził w niéj, ten tak mało napozór znaczący wypadek. Im silniéj nalegał dwór, tém uporniéj obstawali przy swojém bracia, a cała ta sprawa wywołała w Stawisku niechęć ku panom i gorszą jeszcze nienawiść dla cygana.

Nareszcie pani Adamowa przekonana, że inaczéj jak siłą nie zwycięży, rozkazała Motrunę zabrać do dworu, posłała na zapowiedzi i wbrew woli wszystkich, zajęła się weselem, przyspieszając je z powodu wyjazdu za granicę, który natychmiast miał nastąpić.

Smutnežto zaprawdę było to wesele! Napróżno zastawiono wódkę, piwo i sute przyjęcie: nikt ze wsi nie przyszedł, bracia ani się pokazali, żadna dziewczyna nie chciała być druchną, żaden parobek swatem i marszałkiem; wszystkich urzędników wesela musiano wybrać z ludzi obcych i dworskich. Upor zacięty gromady był nie do pokonania.

Nikt prócz państwa nie pobłogosławił biédnéj dziewczynie; płatka nie dano jéj z chaty ojcowskiéj, bracia pochowali się, żeby się z nią nie spotkać. Widząc to Tumry i przeczuwając jakie ich czeka życie, chciał uciec i wyrzec się swego szczę-

ścia; ale łzy Motruny, bojaźń wystawienia ją na późniejszą zemstę rodziny, sama w ostatku miłość, przemogły.

Dziewiczy wieczór zszedł bez pieśni prawie, korowaj upieczono we dworze bez tych obrzędów, jakie towarzyszą zwykle mieszaniu i przygotowywaniu symbolicznego placka; w cerkwi pustka, w siole jak wymiótł, a wieczorem na tańcach sami dworscy, hałastra pijana. Nikogo krewnego, nikogo swojego, nikomu przytulić, pocieszyć i ośmielić sierotę. Motruna rozlewała się we łzach ciągle: tak ją już przerażała przyszłość, którą widziała przed sobą. Cygan siedział zadumany, przelękły swym losem, jak żywy posąg smutku; tylko czarne oko zpod brwi nawisłéj błyskało.

Na tém, myślicie zapewne, powieść nasza skończyćby się powinna. O nie! w książkach tylko wesele wszystko zamyka, w życiu od niego się dopiéro poczyna historya ludzi; za niém idą piérwsze rozkosze, cierpienia, nadzieje, zawody, rozczarowanie, praca i cały szereg znanych wprzód tylko z nazwiska uczuć i wypadków. Właściwiéj daleko bohaterowie powinniby się żenić w piérwszym rozdziale; ale w ten sposób smutniejszą choć może więcéj zajmującą byłaby powieść, odarta z chwil nadziei, zamknięta w rzeczywistości. Dopóki miłość (a miłość, niestety! nie z natury malowana, ale tak prawdziwa jak pejzaż Boucher'a lub Vatteau) była jedynym przedmiotem powieści:—ostatnią jéj kartą ślub być musiał. Dziś wcale inaczéj: przedmiotem powieści jest życie samo, ze wszystkiemi objawami swemi i w całéj swéj nieprzebranéj rozmaitości; miłość i wesele w niém chwilą i jedną tylko kartą w opowiadaniu.

Wracamy do Motruny i cygana.

Nazajutrz po ich pobraniu, państwo Adamowie ruszyli za granicę, zostawując rząd majątku kapitanowi, i co z niemi się stanie, niebardzo się już troszcząc. Francuzka sądziła, że dopełniła do czego się czuła obowiązaną, czułą parę łącząc na wieki węzłem nierozerwanym; nie przyszło jéj na myśl nawet, że nazajutrz po ślubie może im chleba zabraknąć.

Tak było w istocie; chata Tumrego stała niedokończona, drzewo nawet przygotowane na nią popsuł był owéj nocy po pogrzebie, kiedy nim dziwny strach owładnął. Pani zostawiła im tylko jednę krowę, bracia nic nie dali, a małżeństwo nazajutrz

po weselu nie wiedziało gdzie się podziéć i czém się daléj wyżywić.

Kapitan, który pozostał w Stawisku, po odjeździe dziedziców wcale nie myślał się kłopotać losem nowożeńców; a że izba w któréj przytułono cygana była potrzebną i nie było ktoby się zaopiekował sierotami: oddano im najgorszą krowę z obory i rozkazano szukać sobie schronienia na wsi.

Tak ledwie skrzypki ucichły, biédni zostali bez dachu, bez przytułku, nie wiedząc gdzie się podziać, i całą wieś mając przeciwko sobie. Ani pomyśléć nie można było zapukać do drzwi chaty: niktby ich nie przyjął. Ze dworu wypędzony cygan wziął Motrunę za rękę, która maleńkie zawiniątko niosła tylko pod pachą, i w milczeniu wyszli, kierując się ku cmentarzowi.

Kawałek wczorajszego korowaja, całym był ich zapasem. Tumry unikając dla żony przechodzenia przez wioskę, wyszukał instynktem ścieszkę poza ogrodem, i jakkolwiek była niewygodną, wolał się nią puścić, niż spotykać się z ludźmi coby z nich szydzili. Ze spuszczoną głową i zadumany szedł myśląc jak tu sobie poradzić. Chacie brakowało dachu, części ścian, drzwi, okien, pieca, i całego gospodarskiego sprzętu; nie mieli ani grosza, ani mąki, ani chleba, ani nawet dzbana, którymby wody zaczerpnęli.... Co począć? od czego zacząć? gdzie tę krówkę zamknąć? czém ją karmić?

Motruna płakała i pocichu łamała ręce, niekiedy przypominając przekleństwo ojcowskie; i szli tak nie śmiejąc się odezwać jedno do drugiego, pod górę, drożyną, aż ku poczętéj chacie zagrodnika.

Zdawało się, że oboje radzi byli przedłużyć drogę, oddalić chwilę stanowczéj rozmowy; ale ścieszka krótsza niż inne, zawiodła ich wprędce przed drzwi cmentarza i lepianki.

Tumry w milczeniu przywiązał krowę do słupa, a Motruna sparła się o ścianę, oczy nieprzytomne wlepiając w cmentarz, na którym jeszcze żółciała ojcowska mogiła.

Jéj łzy bolały nieszczęśliwego cygana, który czuł, że z jego przyczyny płynęły; choć bezsilny i sam cierpiąc, wymógł na sobie uśmiéch i odwagę.

— Nie płacz— rzekł do niéj pocichu przybliżając się— płacz nie pomoże, potrzeba myśléć co z sobą zrobimy. Ja chatę

dokończę przed zimą, tymczasem choć jednę izbę zamknę za dni kilka; ale żyć nie będzie z czego, trzeba naprzód krowę sprzedać.

Motruna gotowa się była zgodzić na wszystko, choć w sercu żal jéj było tego stworzenia, które czémś więcéj dla niéj było niż datkiem pieniężnym:—było zajęciem, towarzystwem, nadzieją.

— Szkoda krówki—szepnęła—ale cóż robić? Jak trzeba, to mus.....

— Czémże ją przekarmim, a czém wyżyjem sami! Wszak to jesień!

— Poszłabym do braci....

— Do braci?—podchwycił cyganb rew marszcząc—nigdy! nigdy! Gdybyśmy konali z głodu, ręki do nich nie wyciągniemy; trzeba sobie wystarczyć. Nie mów mi o tém.... Czasu nie możemy tracić: idź z krówką do miasta, sprzedaj ją, wiész co na gospodarstwo potrzeba; ja muszę z chatą spieszyć... Tylko śmiało, Motruno, niech się ludzie wściekają, a ja im pokażę, żem coś wart!

To mówiąc cygan z zapałem jakimś pocałował ją w czoło, zrzucił z siebie opończę, porwał siekierę, oczy mu się zaiskrzyły, chwycił się do roboty. Motruna patrzała na to, i odwaga powoli wstępowała jéj do serca; dumała chwilę, potém odwiązała krówkę od słupa, otarła oczy fartuchem, i z niejakiém wahaniem, żegnając męża w milczeniu, skierowała się drogą ku miastu wiodącą.

Cygan tymczasem jak w gorączce rwał się do roboty. Od czego tu począć? jak sobie dać rady! Opadały ręce, czuł rozpaczliwie niemożność; to znów pragnienie pokazania swéj siły podniecało go i utrzymywało. Robota w takiém usposobieniu szła szalenie szybko, a ręce dźwigały ciężary, które chyba dusza pomagała im podnosić, bo w zwykłym stanie nie byłby się nawet o nie pokusił. I byłto widok zajmujący tego człowieka z czołem chmurném, z usty zaciśnionemi, oblanego potem, miotającego się jak cyklop wśród nawału bierwion i drzewa różnego, które w silnych dłoniach jego chrzęszczało. Siekiera gorzała mu w ręku, trzaski leciały świszcząc w powietrze, a wola dokazywała cudów; co chciał, robił z taką pewnością, z takiém jakiémś przeczuciem skutku, że się ani zawahał przed niepodobieństwy. Nie pomyślał nawet o spoczynku,

o jadle, o wytchnieniu, a im więcéj pracował, tém praca stawała mu się lżejszą. Ani się spostrzegł, jak noc chmurna nadeszła i nagle zciemniło mu się zupełnie.

Powlókł okiem po niebie osłonioném, dobył krzesiwo, naniecił ognia z trzasek i obłamów, i nuż znów do dzieła! Wiatr rzucał mu w oczy dym gorący, migało światło rozdmuchiwane i gasnące naprzemiany; Tumry na nic nie zważał, a sama robota podnosząc go coraz bardziéj na duchu, potęgowała w nim wszystkie władze, przechodzące zwykłe normalnego stanu granice.

Szło mu o zarzucenie jakiego takiego stolowania na maleńką izdebkę, w któréj chciał żonę swą ukryć; zrana nie było jeszcze belek: musiał je pozaciągać, a łaty i koły sparte na nich wieczorem, zastępowały jako tako brakujący daszek. Zarzucił je Tumry słomą, ziemią, trzaskami, czém miał; okienko niezaszklone zasuwą naprędce wystruganą obwarował, lecz drzwi nie było zrobić z czego....

Gdzie tu dostać lada jakich choćby desek lub tarcicy? Zadumał się Tumry, zadumał, ale nic w głowie znaléźć nie mógł: na drzwi rady nie było.

Północ już nadchodziła i kury piały na wsi, a księżyc rozbiwszy chmury, półtwarzą wychylał się ku ziemi, gdy cygan siadł znużony, myśląc i przemyślając nad drzwiami. Gdyby nawet mógł kupić tarcic, jak tu je przywieźć? Wójt przyjaciel, teraz trzymając z gromadą, nie pomógłby już biedakowi.

Sen wreszcie zamknął powieki spracowanego, ale i we śnie drzwi nie dały spoczynku. Ciało zasnęło, dusza pracowała jeszcze latając po świecie myślami niespokojnemi. I jak się często zdarza silnie zaprzątnionym pragnieniem jakiémś, we śnie dopiéro Tumry znalazł drzwi swoje. Przed samym cmentarzykiem, naprzeciw, w rowie leżał zbutwiały i przepruchniały mostek, nieużyteczny zupełnie, bo wrotka cmentarza teraz położone wpoprzek, miejsce jego zajmowały. Tumry mógł zabrać kilka desek zgniłych, nie czyniąc szkody nikomu.

Na tę myśl serce mu zabiło, obudził się, oczy przetarł; potrzeba było zaraz to spełnić, by po dniu kto kradzieży nie dojrzał; i choć się lękał zbliżyć do świeżéj mogiły, wola gorąca popchnęła go gwałtownie:—poszedł ku cmentarzykowi.

Księżyc jakby go śledził, zakryty na chwilę, ukazał się znowu, zajaśniał i pomógł biédnemu, który wlazłszy pod drzwi

leżące, namacał kilka desek, zgarnął je, pochwycił i uciekł, czując jakby go cmentarne goniło powietrze.

Długo potém jeszcze dyszał niespokojny, ale radość zwycięztwa dodawała mu odwagi; położył się nareszcie pokrywając sobą wilgotną zdobycz swoję i usnął.

Zbudził się ze dniem, a przypomniawszy, że miał już z czego zbić drzwiczki, porwał się znowu do roboty; ale zaledwie ciosać zaczął i przymierzać deski, czoło się jego zasępiło: ujrzał na nich głęboko wyrznięty krzyż, rok i jakieś znaki, po których kradzież jego łatwo poznać było można. Ręce mu znowu opadły.

Odrąbać tych znaków nie było podobna; sprobował je zgładzić, ale wilgoć przejadła deskę na wylot prawie i krzyż choć zdarty, plamą czarną w głębi drzewa wychodził ciągle. Jakiś zabobonny strach na widok tego niezgładzonego godła owładnął cyganem, chwycił wszystkie deski znowu, przebiegł drogę z niemi i zarzucił je pod mostek.

Chwilę tylko jednak trwało wahanie, bojaźń, niepewność; siekierę założył na ramię i puścił się w las. Żywéj duszy nie spotkawszy na polu, wbiegł w zarośla szumiące jesiennym suchym szelestem, rozglądając się w nich i nie wiedząc co począć. Myśl pracowała w nim tak żywo, że wszystkie deski, jakie gdzie spotkał w życiu, przychodziły mu na pamięć: widział je ze wszystkiemi ich szparami, sękami, ćwiekami w nich sterczącemi, ale żadna nie mogła mu na te nieszczęsne drzwi posłużyć.

Szedł tak sobie daléj a daléj, wiedziony instynktem jakimś, bez ścieszki i drogi, gdy go przestraszył głośny śmiéch dający się słyszéć tuż blizko. W każdym spodziewając się nieprzyjaciela, Tumry stanął gotując się do obrony i brwi nasrożył; obejrzał się: pod sosną siedział mały człowieczek.

Dobryto był znajomy cygana; zwano go we wsi głupim Jankiem: nieokreślone stworzenie, pół waryata, pół mędrca, postać osobliwsza i człowiek nie jak drudzy. Głupi Janek mógł miéć lat dwadzieścia kilka, ale znacznie wydawał się starszym: twarz miał blado-żółtą, schorzałą, wykręconą jakby od wielkiéj choroby, i żaden włos jéj nie zarastał; oczy ciemne, maleńkie, sterczały wśród niéj, jak dwie tarnki okrągłe... Małego wzrostu, rąk bardzo długich, nóżek cienkich i nieproporcyonalnie krótkich, co się jeszcze dziwniéj przy rozrosłéj i olbrzymiéj głowie wydawało. Janek podobny był bardzo do tych

poczwar leśnych, któremi wyobraźnia ludu zasiewa puste ostępy i bory. Od dzieciństwa za bezsilnego i na nic niezdatnego uznany w chacie, Janek włóczył się i robił co chciał: albo na piecu i za piecem wysypiając się na grochowinach, lub po lesie wałęsając się—co wolał. Znały go we wsi wszystkie psy i dzieci, bo jedne zawsze za nim ujadały, a drugie go prześladowały nielitościwie; krewni, siostry, bracia, wszyscy nim poniewierali, a często mizerny kawałek chleba który wyprosił, gorzko mu wymawiano, choć niesprawiedliwie, bo Janek spełniał dobrowolnie najcięższe posługi. Nosił wodę, dźwigał drwa, zbierał grzyby, obijał konopie i podejmował się ochotnie, czego kto inny zrobić nie chciał. Janek nawet mimo głupoty, którą mu przyznawano, wcale nie był głupim; ale że się śmiał prawie ze wszystkiego co słyszał, ruszano nań ramionami, i nazwano szalonym. Dziwne położenie biédnego karła nie rozjątrzyło go wcale przeciwko ludziom, owszem wesół zawsze, uśmiechnięty dla każdego, do rozmowy chociaż szeplenił i trudno mu z nią szło, gotowy; chętny do pomocy każdemu, od niejednego rozumnego wart był więcéj. Ale we wsi, jak na szerszym świecie, gdy kogo raz głupim okrzykną, niechże się z tego wyplącze! Janek pozostał głupim i może temu winien był swoję swobodę.

Spotykali się oni z cyganem w lesie nieraz, a biédny włóczęga uczuł dla podobnego sobie biedaka jakieś politowanie; rozpoczynał z nim rozmowy, pokazywał mu gdzie jakiego drzewa trzeba było szukać w lesie, dawał czasem parę grzybów. Tumry oswoił się powoli z głupim Jankiem i już go nie liczył za nieprzyjaciela.

— A! a!— odezwała się poczwarka siedząca pod starym dębem z uśmiechem, który podobniejszy był do skrzywienia niż do wesołéj miny —dobry dzień, panie młody: czegoto w lesie szukasz?

Cygan potarł czoło, wstyd mu było powiedzieć; ale Janek mógł pomódz.

— Może kalinowego stołu? może cisowego progu do chaty?— mówił daléj chłopak i począł śpiewać jakąś piosnkę weselną o kalinowym moście. Zanucił piszczącym, schrzypłym głosem, przerwał i zbliżył się do cygana:

— Gadajże kochanku — rzekł przymilając się — czego ty taki zadumany? co to tobie? A to brzydko nazajutrz po weselu

patrzéć po lesie, jakbyś już gałęzi szukał! No! co tobie trzeba? może ja ci pomogę?

— Podobno ani ty, ani nikt, chyba diabeł rzekł chmurno Tumry.

— E! fe! kochanku, cyganku, serduszko, gołąbku — począł Janek — na co tobie tego szlachcica wzywać w takiém ciemném miejscu? Ja się go i na polu boję! Ot! lepiéj powiédz co tobie braknie, już ja ci pewnie pomogę i bez niego.

— Gdzie tam! — rzekł cygan - chatę jak chatę, polepię jakkolwiek; ale drzwi, pęknij, nie mam z czego zrobić! Deski nie upiłuję, ani kupić jéj, ani nawet ukraść.

— A tybyś ukradł!? — śmiejąc się i grożąc spytał Janek — Cyganku, kochanie, nie dziwuję się, że tego jegomości wspominasz! Fe! gołąbeczku! na co tobie cudze brać, kiedy i tak poradzić sobie można....

— Jakim sposobem? — spytał cygan.

— Wszak to, co niczyje, tego wziąwszy człowiek nie kradnie? — rzekł zamyślając się z udaną powagą głupi Janek.

— A zapewne.

— Otóż tu w lesie jest stara buda — szepnął pocichuteńku chłopak — bardzo stara, tylko że się nie wali. Kiedyś w niéj mieszkał leśniczy jakiś, ale się na drzwiach powiesił; od téj pory opuszczono chatę, a drzewa z niéj nikt nie weźmie pewnie: może tybyś był odważniejszy? Jabym go nie ruszył, ale kiedy chciałeś diabła, nie mówiąc złego słowa, prosić o tarciczkę, toż i tę wziąć możesz.

— A gdzież to? — zapytał gorąco cygan.

— Chodź, ja cię zaprowadzę — odpowiedział Janek, schwycił kij ogromny wyższy od siebie i nuż sadzić przez pnie i krzaki.

Choć niezgrabny i krótkonogi, Janek tak był wprawny do chodu i tak się dobrze znał z lasem, że cygan ledwie go mógł napędzić; niekiedy obejrzał się, uśmiechnął, przyzastanowił, i znowu daléj. Po drodze to grzyba chwycił do torby, to krzak jagód wyrwał z ziemi, to się zaczajał na wiewiórki przebiegające od drzewa do drzewa. Tumry milczący nie spuszczając go z oka, szedł w milczeniu.

Kręcili się po lesie około godziny, aż nareszcie w gąszczu zapustów młodych, Janek pokazał zdaleka palcami cyganowi coś nakształt zrujnowanéj chaty. Trudno było poznać teraz, czém to dawniéj było, bo duch opadł, ściany się poroz-

suwały, postarzały kluczyny, komin pleciony rozwalił, a zielska i trawy objęły w swoje władanie tę dawniéj ludzką siedzibę. Pod jedną z jéj ścian jakoś przysłoniętą od deszczu, stały nieforemne drzwiczki, na których wisiała jeszcze resztka sznuru przegniłego. Cyganowi aż oczy pojaśniały; rzucił się ku temu skarbowi, schwycił go, ale ledwie dotknięte, w ręku mu się rozsypały.

— Otóż masz!—krzyknął Janek—szkoda naszych nóg, cyganeńku: i to próchno!

Nie byłoto jednak próchno całkowite: kilka się tarciczek choć podziurawionych przydało. Tumry podziękował swemu doradcy, zarzucił je na plecy i zawrócił.

— Cóżto ty myślisz sobie sam wziąć wszystko?—odezwał się towarzysz—a mnie to gołąbeczku nic nie dasz?

— Albobyś ty dźwignął? —uśmiechając się z politowaniem odparł cygan.

— Dajże mi połowę, a sprobuj! — odpowiedział głupi Janek.

Zdziwił się niepomału Tumry, ujrzawszy jak niedołężne to napozór stworzenie, lekko, zręcznie i bez trudu niosło swoje brzemię, podśpiewując.

Ani się spostrzegli, gdy rozmawiając stanęli nad brzegiem lasu. Tu Janek deski swoje porzucił, ukłonił się słomianym kapeluszem cyganowi, i szepnął:

— Ruszaj sobie kochaneczku sam; jakby mnie z tobą ludzie zobaczyli, powiedzieliby, że my obadwa czarownicy, a mnieby może i chleba za to w chacie nie dali. Bywaj zdrów! Ot patrzaj, że i głupi Janek na coś się zdał! Cha! cha! jaki ja wielki pan, co jeszcze drugiemu świadczę! Gwałt! gwałt! a to cud! — Wziął się w boki—cha! cha! cha! cha! i śmiejąc się do rozpuku, poleciał do wsi co miał tchu.

Motruna z krówką swoją powoli szła do miasta i płakała biedaczka; płakała, aż za łzami świata jéj widać nie było. Droga wiodła przez wioski, przez wielki gościniec; ludu na niéj wiele, a każdy co przechodził zwracał oczy na piękną, młodą, ustrojoną kobiétę, która z chudą krówką szła płacząc. Żydzi zwłaszcza domyślając się że bydlę było na sprzedaż, a łzy dowodziły potrzeby pozbycia się, kilka razy Motrunę za-

trzymywali. Dawano jéj coraz mniéj za staruszkę, któréj chude boki i najeżona sierć, niebardzo zachęcały, i tak dowlekła się do miasteczka.

Wiatr trochę łzy osuszył, myśl się rozkołysała widokiem bożego świata, potrzeba było pomyśléć o przyszłém gospodarstwie, i Motruna stanęła na targu, zadumana co pocznie.

Tu ją zaraz obstąpili żydzi, żydówki, żydzięta, wieśniacy i targ się rozpoczął na bydlę, którego niepozorność a zatém i taniość zwabiała wszystkich uboższych. Ani się opatrzyła jak przybito ręce, jak wyliczono pieniądze, wzięto postronek i krówka z oczu jéj zniknęła. Na dłoni miała młoda gospodyni trzydzieści kilka złotych; ale jakże to było mało na tyle potrzeb, na cały dom! Poszła kupować zapomniawszy płakać; ale nowa biéda, gdy się to wszystko zebrało: i garnuszki i wiadro i dzbanek i sito i dzieżka i niecółki — niepodobna jéj było zabrać tyle sprzętu.

Musiała szukać kogoś, coby z targu jechał na Stawisko do domu i powracał próżno; ledwie więc pod noc zwlókłszy co kupiła, ruszyła ku domowi. Jechali wołami, najęty chłopak był pijaniuteńki; po drodze góry wielkie, noc ciemna, jeden Pan Bóg strzegł i prowadził. Z każdego pagórka wóz staczał się z łoskotem i zdawało się, że w kawałki poleci; ale stawał jakoś szczęśliwie w dolinie i woły szły daléj powoli, choć gospodarz ich sparłszy głowę na nowéj dzieżce, usypiał szczęśliwie.

Dobrze już dniało, gdy wóz się zastanowił naprzeciw cmentarza. Motruna ujrzała Tumrego zbijającego drzwi i z dumą poglądającego na swoję lepiankę. Młoda kobiéta oczom swym wierzyć nie chciała: cudem się zapełniły ściany, zapełniła ściel, przygotowały nawet drzwiczki! Stanęła, złożyła ręce i zlękła się nawet trochę, bo pomyślała, że kto wié—cygan czarownikiem być może. Czary to były woli i odwagi....

Zniesiono co kupiła Motruna, ale na rozmowę, na pociechę, na spoczynek nie było chwili czasu; on musiał tworzyć swój szałas, ona myśléć o chlebie i wodzie, bo tych dotąd nie było w chacie. Trzeba było iść po wodę do dalekiego źródła, żeby się z kim ze wsi nie spotkać, zamiesić choć placek, bo na chléb pieca jeszcze nie było, i zwarzyć choć garść kartofli przywiezionych z miasta.

Cygan tymczasem siekiery z rąk nie puszczał i gnał się z robotą. Drzwiczki wreszcie prawie całe się zlepiły, choć więcéj w nich było sztuki niż w najmisterniejszego snycerza pracy, około wytwornego sprzętu. Stare deski rozpadały się za dotknięciem, dziur w nich było mnóstwo: musiał je cygan łatać, zabijać, sztukować i wiązać, tu kołkiem, tam znów lisztewką, a nawet sznurkami; wszystko mu było dobre, byle trzymało. Ale co za zwycięztwo, gdy na wrzeciądzach osikowych skrzypnęły raz piérwszy drzwi chaty cygana, gdy je zamknął i zasunął, gdy pomyślał, że je z niczego prawie utworzył!! Za te drzwi oddałby był całą chatę; taką mu w sercu sprawiły uciechę.

Uśmiéch jego wywołał wesela trochę na smutną twarz Motruny; siedli w kątku nowéj izby na kupie mchu, którym mieli resztę szpar pozatykać, rozłamali piérwszy kawałek chleba pod ścianą swéj chałupki, i cyganowi łzy strumieniem polały się z oczu.

Zobaczył przyszłość przed sobą!...

Koniec tomu piérwszego.

WIOCHNA.

„A ja sobi durny dumau szczo zorońka zyjszła,
A to moja luba diwka po wodońku wyjszła."
Pieśń ludui Z. P.

Już słoneczko powstało
I przegląda się w rzece:
Oj na rosę, na białą,
Polecęż ja, polecę!

Jak to z brzozy wiszącéj,
Co wyrosła nad rzeką,
Krople rosy świecącéj
Zwieszają się i cieką!

Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze,
Jakie czyste potoki,
O mój Boże! mój Boże!

Jaskółeczka przed bramą
Wciąż zatacza swe kółko,
Ja nie jestem jaskółką,
A potrafię to samo.

Teraz matki się boję,
Lecz niech ogień rozniecę,
Niechaj krówki wydoję,
Polecęż ja, polecę!...

Jakto dobrze Bóg zrobił,
Że ten śliczny świat stworzył,
Tak cudnie go ozdobił,
Tyle kwiecia rozmnożył;
I że mnie dał braciszka
Z którym codzień się pieszczę.

Pójdę cicho jak myszka,
Zajrzéć czy téż śpi jeszcze.

Śpi w kolebce! Więc daléj
Prędko ognia trza skrzesać;
Jak się ogień rozpali,
Pójdę włosy wyczesać.

A robotaż to nudna,
Te warkocze do ziemi;
Plątanina och zmudna,
Tak tam bawić się z niemi.

Kiedy mówią o oczach,
W których ja nic nie widzę,
I o moich warkoczach:
To się tylko nawstydzę.

I skarzą się, mój Boże!
Że mam oczy uroczne!
Może prawda, a może...
Ale cóż ja z tém pocznę?

Mateńka mi powiada,
Że ja wcale nie rosnę;
Niechno tylko popada
Dészcz kroplisty na wiosnę:

Niech ja na dészcz poskoczę,
A dobrze się przemoczę,
To nim skończy się burza,
Już urosnę tak duża!...

* * *

Pająk przędzie, oj przędzie
Swoje szare włókienko!
A ja umię tak cienko:
I moje téż tak będzie.

Bo przecież ja coś umiem:
Kądziel przędę i pielę,
I na książce rozumiem,
I zaśpiewam w kościele.

Jak zrobiłam w Trzy-Króle,
Pannę Świętą i Syna,
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule:

To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli,
I za głowę się brali,
Matce wierzyć nie chcieli.

A gaiki, a wianki,
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki,
Jak najpiękniéj uplotę.

Kwiatki lubię ogniście:
Boże drzewko, lilije,
I to, co tak na liście
I na prątki się wije.

* * *

Oj! niedobra to córka,
Co się próżno zabawia;
Daléjże do podwórka,
Trzeba ciągnąć żórawia.

Oj! ta, da! da!.... A cicho!
Matka będzie się gniewać;
Podkusiło mnie licho,
Chciałam sobie zaśpiewać.

Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje;
Zajrzę w wody lusterko,
W nim ja druga się śmieje.

Jak téż to tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi;
To aż wzdryga się oko,
Aż mnie zimno przechodzi!

Nie spotka mnie nic złego,
Choć nad studnią tak stoję;
Nie boję się niczego,
Oho!... prawda nie boję!

Naprzód straszą mnie bąki,
Co latają w ogrodzie,
Żółte osy z nad łąki
I jałówka co bodzie.

Potém boję się tęczy,
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzięczy,
Pijąc wodę z potoku.

Bo ta tęcza świecąca,
Gdybym poszła broń Boże,
Z ziemi unieść mnie może,
Do białego miesiąca.

Wreszcie trwożą mnie grzmoty,
I piorunów trzaskania;
Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania.

Lecz w kościele nie czuję
By najmniejszéj bojaźni:
Mnie tam radość przejmuje,
W sercu jeszcze mi raźniéj!

Tak mi rzeźwo, wesoło,
Jak u matki w chałupie.
Ludzie szepcą wokoło:
„Ot! cieszy się, bo głupie....."
A co mi tam, niech sobie....
Mnie ogarnia myśl błoga.
Co ja robię, co robię?
Raduję się do Boga.

Kiedyć może skowronek
Wylatując nad kłosy,
Jak świt tylko jest dzionek,
Trzepotać się w niebiosy:
To i mnie nikt nie wzbroni,
Przed ołtarza jasnością,
Złożyć oto tak dłoni
I spoglądać z radością!

U spowiedzi gdym była,
Ksiądz, co ludzi spowiada
Mówił, gdybym zgrzeszyła,
Że pokutę mi zada.
Więc umyślnie dlatego
Dziś zgrzeszyłam od rana:
Na stół miodu złotego
Usączyłam ze dzbana.

Niechże zada raz przecie,
Bobym sobie myślała:
Otóż żyłam na świecie,
A pokuty nie znała!

Jako ptaszek na roli
Prześpiewałam dni płoche,
I nie znałam niedoli....
Oj! znam ci ją, znam trochę.

Trzy razym już płakała
I serdecznie, mój Boże!
Raz, gdy babka skonała
W téj tam ciemnéj komorze!

A drugi raz, gdy w nocy
Ludzie po wsi biegali,
Krzycząc na gwałt pomocy,
Że kościołek się pali!

A trzeci raz, gdy w progi
Przyszedł starzec pochyły,
Taki oto ubogi,
Ale dobry i miły.

I piosenka zabrzmiała
O swojaku w niedoli,
Wtedym bardzo płakała,
Bo mnie zaraz tu boli.

Całowałam go w rękę:
„Nie smućcie się dziadulu!"
A łzy żalu i bólu
Upadły mu w lireńkę.

Z za mgły słońce powstało,
Wronka kracze na roli;
Nie wiem co mi się stało,
Coś mnie smuci, coś boli.

To chce mi się zapłakać,
To mnie pusta myśl łechce:
Weselić się i skakać
I chciałabym i nie chcę!

T. L.

WYPRAWA MULTAŃSKA Z ROKU 1600.

PRZEZ

Seweryna Gołębiowskiego.

Michał wojewoda multański jak ptak drapieżny wisiał nad ziemią wołoską, w jedném miejscu utkwiony skrzydłami się ważył, i lada chwila mógł spaść i szpony w zdobycz zatopić. (1) „Jeśli zaraz wkroczy, to padnie jako Pan Bóg dał; jeśli pójdzie w długą, co mam czynić? — zapytywał Zamojskiego hetman polny — bo ze związanemi rękami trudno służyć" (2). Zamojski w ten sposób mu odpisał: „Co tylko w. m. czynić będziesz, czyń wszystko dla bezpieczeństwa i pożytku Rzplitéj. Ja obarczony latami poznałem sławę: ani jéj pragnę więcéj, ani będę jéj w. m. zazdrościł; życzę i owszem, abyś jako młody i czerstwy nabywał téj sławy, abyś otoczony jéj blaskiem tém dłużéj i świetniéj wspólnéj ojczyznie naszéj mógł służyć. Zdaję się więc zupełnie na rozsądek w. m., to jedynie ostrzegając, abyś co tylko przedsięweźmiesz, przedsiębrał z pewnością, ani lekko narażał tych szczupłych posiłków, które, niech Bóg odwróci, raz utracone, przy wstręcie do poborów nieprędkoby się zaciągnąć mogły" (3).

Zamojski posłał do Wołoch Piaskowskiego z radą, żeby wojewoda nie staczał bitwy, ale okopawszy się pod Soczawą wytrzymywał do przybycia wojska. Potém posłał Mroczka

(1) Jeszcze w 1598 r. słychać było, że Michał ma zamiar zagarnąć ziemię wołoską. (Jan Zamojski do Piotra Tylickiego 24 kwiet. 1598).

(2) Stanisław Żółkiewski do Jana Zamojskiego 29 grudnia 1599.

(3) Dzieje panowania Zygmunta IIIgo.

z ostrzeżeniem, że jeśli pod Soczawą miejsce niesposobne, albo jeśli Wołochom nie ufa, żeby osadziwszy Polakami zamki soczawski, chocimski i sorocki, stanął z wojskiem na inném miejscu, gdzie mu zręczniéj będzie (1).

Była rzecz umówiona, że wojewoda zamki polskim ludem osadzi, a gdyby Michał wkroczył, ustąpi ku granicy koronnéj, i stanie pod Chocimem, w miejscu warownem. Wojewoda zdawał się na wszystko przystawać, a wszystko na opak czynił. Dobrą summę pieniędzy zmarnował przepłacając żołnierzy, nad któremi przełożył sługi paniąt marnotrawnych, którzy radzi na burkach bawili. W potrzebie pieniędzy niestało, a ci których przepłacał, pouciekali. Zamków jak należy nie osadził, w potrzeby wojenne nie opatrzył, zwłaszcza zamek na Soczawie ladajako opatrzony odjechał. Choć zawczasu miał pewne przestrogi, nie chciał ustępować ku granicy, pokazując się bardzo mężnym dopóki nieprzyjaciel nie stanął nad karkiem. Uciekającego ocaliła od zguby chaszcz gęsta niedaleko od Chocima, przez którą szła ciasna droga. Piechota i strzelba zasadzona w lesie odstrzelała przednią straż Michała. Czterysta koni hospodarskich przy téj chaszczy starło się z ludźmi Michałowemi, ale nierówno im było; ustąpili bez wielkiéj szkody, bo trzydziestu ludzi nie zginęło. Strzelbę i piechotę hospodarską zwiedziono do zamku, a Michał z wojskiem dopiéro w nocy nastąpił. Ludzie hospodarscy rozumiejąc, że na nich nieprzyjaciel jedzie, jak to zwykle bywa w takiéj trwodze, poszli w rozsypkę; chłopi wołoscy i nasi naddniestrzańscy łupili ich i zabijali, wozy téż hultajstwo rozszarpało. Ze stu chorągwi wołoskich ani jedna chorągiewka nie została; Polacy tylko dotrwali. Działo się to d. 18 maja roku 1600 (2).

Michał natarczywością wygrywał. Podstąpiwszy pod Chocim wezwał władyków i darabanów wołoskich, żeby zamek poddali i wydali hospodara; a gdy bramy nie otworzyły się na jego skinienie, gdy z drugiéj strony Dniestru Żółkiewski wojsko polskie gromadził, odstąpił od Chocima i zwrócił się ku Soczawie.

O wojsku Michałowém szła sława, że go jest 50,000, chociaż nie było więcéj nad 30,000. Siła motłochu, ale go-

(1) Ceduła z listu Jana Zamojskiego.
(2) Stanisław Żółkiewski do Piotra Tylickiego, 28 maja 1600.

dnych ludzi do boju niemało. Sam chłop ambitny, chciwy sławy, desperat. Powiadał Tarnowski, który był u niego posłem, że Michał chce być królem polskim, niecnotliwą łotrowską gębą ubliżając królowi, niewieściuchem go zowiąc; rady u Tarnowskiego pytał, jakimby sposobem to zrobić, żeby mu Zygmunt korony odstąpił. Powiadał, że wtedy Turków z Europy wypędzi i sławniejszy będzie niż Alexander macedoński.

Michał słowa nie dotrzymał Wołochom, bo gdy w ziemię wjeżdżał, obiecał do siedmiu lat nie brać żadnéj dani; a jak ziemię osiadł, kazał wybierać co prędzéj dziesięcinę z owiec i nałożył podatek po dwa talary na dwie niedziele od chłopów, a po dwanaście czerwonych złotych i więcéj od szlachty (1).

Było rabuś pospolity; chociaż rzucał się na prowincye, na państwa, ale nie gardził i małemi zdobyczami. Młocki, sługa Alexandra Chodkiewicza, prowadził konie w Turcyi kupione; zatrzymali go Wołochy i radzili czy zabić, czy do hospodara żywcem dostawić. Przeważyło zdanie jakiegoś setnika, żeby go żywcem dostawić; więc przyprowadzili go razem z końmi do Jass, gdzie Michał siedział na stolicy. Tam na dworze kazał sobie konie pokazać, a wybrawszy trzy najlepsze, puścił Młockiego z resztą koni. Kupcom lwowskim, którzy prowadzili siedm wozów z towarami, oprócz myta wziął towarów na tysiąc kilkaset złotych, za które nie zapłacił, i pewnoby ich z ziemi nie wypuścił, gdyby nie to, że chciał zwabić drugich kupców, którzy szli w kilkadziesiąt wozów, a posłyszawszy o zatrzymaniu ludzi kupieckich, zostali za Dunajem (2).

Wołochy skarżyli się przed nim, że wielkie krzywdy i łupieztwa cierpią od jego żołnierzy. Michał im odpowiedział: „Toż i Siedmiogrodzianom się działo, otóż oni to sobie teraz u was nagradzają; tak samo i wy sobie nagrodzicie w lackiéj ziemi“ (3).

Michał przy boku swoim chował wyrodnych Polaków, którzy za pieniądz cześć i sumienie sprzedali. Jeden z nich Zapłatyński, który często u niego na pokoju bywał, przyszedłszy w Jassach na gospodę do Jerzego Stadnickiego, tak mówił: „Miłościwy panie Stadnicki, ostrzmy szable swe na Polaki,

(1) Mikołaj Żebrowski do Jana Zamojskiego, 17 lipca 1600.
(2) Andrzéj Młocki do Zygmunta III, 21 lipca 1600.
(3) Andrzej Młocki do Zygmunta III, 21 lipca 1600.

gdyż książę pan nasz wspomniał teraz na pokojach, że ma wolę nie mieszkając do Polski iść. A my, cośmy w Polsce panom służyli, i nagrody za posługi nasze nie odnieśli, teraz sami sobie nagrodzimy, garła im pobrawszy“ (1).

Michał dobrze wiedział o tém, co się dzieje w polskiéj ziemi i w polskim obozie; miał swoich szpiegów i płacił im dobrze. Kiedy mu powiadano, że się Lachowie zbierają: „niechaj się zbierają—pogardliwie odpowiedział—będzie ich siła, ale nie będzie między niemi zgody i jedności; wszystko to ja podławię“ (2). Kasprowi Kornyszowi panu węgierskiemu, który mu perswadował, żeby zamysłów przeciw Koronie polskiéj zaniechał, ukazując mu wielką potęgą polską; Michał odpowiedział: „Roztargniona tam potęga, gdzie zgody nie masz“ (3).

Po Koronie wieści chodziły, że Michał o niczém nie myśli jeno o Krakowie; że przysięgał Wołochom głowę swą dać za nich, a oni za niego; Pokuciem a prędko, po tatarsku, chce iść do Krakowa. Po kilkaset koni Wołochów przejeżdżało się nad brzegiem Dniestru trudząc ludzi; niektórzy z Wołochów nakazywali do swoich przyjaciół, którzy w Polsce osiedli, żeby uciekali nazad do ziemi wołoskiéj, bo oni będą wojować Polskę mieczem i ogniem (4).

Michał byłby niezawodnie przez Dniestr do Polski przeszedł, ale go wstrzymały zamieszki w ziemi siedmiogrodzkiéj. Z cesarzem tureckim zawarł przymierze, aby się nie obawiał w tył Turczyna ani w bok Tatarzyna. Od cesarza chrześciańskiego wydrwił pieniądze, obiecując, że wsadzi na królestwo polskie Maxymiliana.

D. 28 czerwca z Jas wyjechał do ziemi siedmiogrodzkiéj dla przyczynienia ludzi, i dla pomsty nad temi, którzy w nieobecności jego powstali, rozumiejąc że w Wołoszech przegrał (5).

Tymczasem hetman polny rozłożył wojsko z téj strony Dniestru w krzepkiém miejscu, i czekał na przybycie Zamoj-

(1) Andrzéj Młocki do Zygmunta III, 21 lipca 1600 r.
(2) Jan Powierski do Andrzeja Chrząstowskiego, 26 czerwca 1600 r.
(3) Andrzéj Młocki do Zygmunta III, 21 lipca 1600 r.
(4) i (5) Maciej Jabłonowski do Stanisława Żółkiewskiego, 25 czerwca 1600 r.

skiego. Przyjąwszy ludzi za całą kwartę, Zamojski nie miał więcéj nad 4000 usarzów, 2000 kozaków, ze 200 piechoty i trochę wybrańców (1). Wezwał téż na pomoc Niżowców, posłał im 500 złotych na prochy, a kiedy do wojska przybędą, obiecał dać 6,000 zł. (2).

Zamojski nim do Mołdawii wkroczył, zawiązał tajemne praktyki z Sekel Mojżeszem i ze szlachtą siedmiogrodzką, która niecierpliwie znosiła panowanie Michała. Siedmiogrodzianie pragnęli powrotu Zygmunta Batorego (3); Zamojski życzył mu, żeby raczéj w stanie prywatnym pozostał, i starał się dla niego o glejt na mieszkanie w Anglii. Wiedział, że Batory nie osiedzi się w pokoju za zwaśnieniem na siebie sułtana, cesarza chrześciańskiego i wielu ludzi przednich w Siedmiogrodzie; ale z drugiéj strony i to wiedział, że oszczędzi się rozlewu krwi i cała wyprawa snadniéj pójdzie, jeśli w Siedmiogrodzie zmiana nastąpi. Tajemnie więc praktykował między szlachtą, a królowi radził, żeby w Siedmiogrodzie i w Multanach ze swojéj ręki książąt osadził; przed sułtanem i przed cesarzem obiecując złożyć przyczynę nie na rozkazanie królewskie, ale na sam bieg rzeczy (4).

Na siedmiogrodzkie województwo zdałby się pan Bekiesz, radził Zamojski; albo lepiéj w Multanach go postanowić. Zrazu dać małego człowieczka, żeby przy nim oswajali się Turcy z polskimi ludźmi w téj ziemi, tak jak w Wołoszech przy Jeremim; a potém zrobić z tą ziemią, coby było z pożytkiem Rzplitéj (5). Zygmunta Batorego radził trzymać na stronie, wymówiwszy dla niego jurgielt, żeby miał co jeść i w czém chodzić; a on gdziekolwiek na stronie będzie, przyda się na to, żeby ten, co będzie w Siedmiogrodzie nie mógł wierzgać, i żeby statecznie dotrzymywał królowi i Koronie (6). Multańską

(1) Jan Zamojski do Piotra Tylickiego, 1 czerwca 1600.
(2) Ceduła z listu Jana Zamojskiego.
(3) Węgrowie służebni wspominając o Zygmuncie Batorym, ledwie nie krwawemi łzami płakali i mówili: „Gdybyśmy chorągiew jego ujrzeli, zarazbyśmy odstąpili tego łotra, co w nocy do siedmiogrodzkiéj ziemi wjechał i nie zapłacił nam żołdu za ośm miesięcy.“ Mikołaj Zebrowski do Jana Zamojskiego, 17 lipca 1600 r.
(4) Uwagi Jana Zamojskiego o sprawach multańskich i siedmiogrodzkich.
(5) i (6) Ceduła z listu Jana Zamojskiego do Piotra Tylickiego.

ziemię do Korony przyłączyć i z chrześciany o wojnie przeciw Turkom traktować; wziąć czasu rok albo dwa dla rzeczy szwedzkich, a na trzeci rok iść z Multan do Konstantynopola. Nie po nogach szarpać, ale drzéć się prosto do gardła; tak rychléj wojnę można skończyć, niż bawiąc się z Turkami w Węgrzech, jako cesarz chrześciański (1).

Zamojski przebył Dniestr i udał się ku Soczawie, zostawiwszy na prawo Czarnowce i cieśniny Bukowiny Koźmińskiéj. Ludzie Michała od Chocima i od Bukowiny Koźmińskiéj ustępowali ku Soczawie (2). 765 Węgrów przeszło do Zygmunta Batorego, który był w polskim obozie; Zamojski zaciągnął ich do służby królewskiéj (3). Jeremiego Mohiłę wprowadził do Jass 16 września, bez żadnéj przeszkody ze strony nieprzyjaciela. Tegoż dnia zatoczył obóz pod Soczawą, gdzie zawarło się 200 ludzi Michałowych, Węgrów z Multany (4).

D. 19 września do obozu przybyło wojsko zaporozkie. Wnet Zamojski odłączył dwa do trzech tysięcy mołojców i wyprawił z Jakóbem Potockim do ziemi siedmiogrodzkiéj, która powstała przeciw Michałowi (5). Oblężonym na Soczawie dał rozejm do dni 10, a gdyby w przeciągu tego czasu nie otrzymali odsieczy, Mikołaj Forkacz dowódzca załogi miał zamek poddać (6). Przy Soczawie zostawił Jerzego Szczuckiego z piechotą pruską, z rotą kozacką Księskiego i z Wołochami; a sam ciągnął ku Braszowu na spotkanie Michała (7). Jakób Potocki z kozakami i z jazdą poważnych znaków drogą bystrzycką szedł do Siedmiogrodu; Michał ustąpił, sądząc, że całe wojsko w tę stronę zmierza.

Zmiana, jaka nastąpiła w Siedmiogrodzie, była rzeczą łatwą do przewidzenia. Michał, człek okrutny, z każdym dniem okrutniejszym się stawał. Znęcał się nad szlachtą i wytępić ją ze szczętem pragnął. Więc szlachta siedmiogrodzka do ostateczności doprowadzona, za broń chwyciła, mając z dwóch

(1) Uwagi Jana Zamojskiego o sprawach multańskich i siedmiogrodzkich.

(2) i (3) Jan Zamojski do Zygmunta IIIgo, 13 września 1600.

(4) Jeremi Mohiła do Zygmunta III, 16 września 1600.

(5) Jan Zamojski do wojska zaporozkiego, 19 września 1600.

(6) List rozejmowy dla oblężonych na Soczawie, 21 września 1600 r.

(7) Cedula z listu Jana Zamojskiego.

stron zapewnione wsparcie: od Basty dowódzcy wojsk cesarskich i od Zamojskiego.

Cały Siedmiogród pożarem był objęty. Co tylko było u Michała Węgrów, jazdy i piechoty, wszyscy przeszli na stronę przeciwną, nawet znaczna część szeklów i kozacy (1). Na czele stanął Stefan Czaki (Chiaky), a połączywszy się z Bastą dowódzcą wojsk cesarskich, wyruszył ku Białogrodowi: Michał wyszedł w pole i położył się taborem z dziesięcią tysiącami wojska. Siedmiogrodzianie wydali mu bitwę pod wsią Miryzlo i pobili go na głowę. Wojsko jego rozbiegło się za piérwszém natarciem; Polacy tylko którzy przy nim byli, trochę się spotkali. Więc Michał z resztkami wojska cofnął się do Forgoraszu, gdzie miał złożone skarby. Ztamtąd udał się do drugiego wojska, które leżało w polach braszowskich, a które przyprowadził syn jego z Multan i Udra z Wołoszczyzny. Michał wzmocnił swoje siły tłumami szeklów, i zebrawszy do 50,000 wojska, gotował się do nowéj walki. Z komissarzami cesarskimi wszedł w układy, zrzekł się na rzecz cesarską Siedmiogrodu i Wołoszczyzny i wyszedł do ziemi multańskiéj (2).

Siedmiogród uwolniony od przywłaszczyciela, zaprzysiągł wiarę cesarzowi; zamki i miasta osadzone zostały niemieckiemi załogami, a dowódzcy wojsk cesarskich domagali się, żeby Zamojski ustąpił z Wołoszczyzny (3).

Tymczasem Zamojski nie wiedząc jeszcze o odejściu Michała zpod Braszowa, tylko o przestrzeńszéj drodze mając sprawę, prowadził wojsko ku téj drodze, którą Michał ustępował. Michał wyprawił przeciw niemu Babę Nowaka, który zasadził się w cieśninie gór u wsi Najenia, a sam Michał był w taborze za górą Slemo. D. 12 października, gdy ku temu miejscu następowało królewskie wojsko, Baba Nowak wysłał swoich na harc. Z przedniéj straży niektórzy zaczęli się wymykać, i szczęśliwie harcowali. Nie czekali wprawdzie rozkazu, ale że im Pan Bóg pobłogosławił, więc i hetman pochwalił rycerską ochotę. Gdy

(1) Panowie siedmiogrodzcy do panów węgierskich, 8 września 1600 roku.

(2) Jan Zamojski do Piotra Tylickiego, 28 września 1600 i 20 stycznia 1601 r.

(3) Panowie siedmiogrodzcy do Jana Zamojskiego, 10 października 1600. Giovanni Basta, Dawid Ungnad i Michał Zekell do Jana Zamojskiego, 22 października 1600 roku.

Zamojski nadciągnął, Żółkiewski, który przednią strażą dowodził, zdał mu sprawę, że Zaporozcy rwą się do walki, i siła ludzi szlacheckich do nich się przyłączy, gdy zawołają na ochotnika. Więc część Zaporożców co była w téj stronie, puściła się naprzód; z wojska téż niemało chętnych ludzi tam jechało, a mianowicie Jan Karol Chodkiewicz starosta żmudzki, Piotr Łaszcz, Bekiesz i inni. Starłszy się z ludźmi Michałowemi, wyparli ich z miejsca, i siła w pogoni nabili i żywych przywiedli. Zbarascy wojewodzice bracławscy niemało się przyczynili do wygranéj z jazdą muszkietami uzbrojoną, którą ojciec ich wystawił. Na górę Slemo, gdzie był nieprzyjaciel, rzuciło się trochę mołojców, a gdy ich odparto, hetman posłał na pomoc roty Jana Zamojskiego strażnika kor., Wacława Zamojskiego i Dawida. Zatém i z téj góry zegnano ludzi Michałowych i pędzono ich do samego taboru.

Nazajutrz Michał pomknął się daléj i stanął u wsi Sehatina za rowami wielkiemi, które wypłukała woda na wiosnę spadając z gór. Gdy wojsko królewskie nadchodziło, on wysłał swych harcowników; z wojska téż niektórzy wyjechali i mołojców nieco, i ścierając się ustawicznie, jechali na nich więcéj niż pół mili. Wojsko Michała zwolna ustępowało, aż przyszedłszy pod górę między winnice u wsi Ceptury, zatrzymał je i zajął obronne stanowisko, bo zewsząd równina w małych odległościach rowami i wąwozami była poorana. Michał zasadziwszy piechotę ze strzelbą, więcéj ludzi przeciw naszym harcownikom wyprawił, którzy trochę się zmieszali, gdy ukazały się z tyłu wołoskie chorągwie, wyprawione przez Jeremiego Mohiłę bez wiedzy hetmanów; rozumieli bowiem, że to są ludzie Michała; lecz gdy wojsko nadciągnęło, poprawili się znowu. Z obu stron działa zatoczono i strzelono kilka razy. Polscy żołnierze rwali się do bitwy, ale hetman wstrzymywał ich zapał, bo dzień chylił się ku zachodowi. Zamojski w miejscu zanocował, Michał posunął się daléj i stanął na noc pod górami. Równo ze świtem d. 14 października ruszył wojsko i pognał w cieśniny gór. Zamojski poprowadził wojsko do rzeki Czykowa i tam zmieszkał przez dzień cały dla odpoczynku i dla zaopatrzenia się w żywność. Wojsko było strudzone; przez trzy dni w pochodzie wody prawie nie miało, gdyż ta ziemia acz śliczna i okwita jest, ale bezwodna (1).

(1) Jan Zamojski do Zygmunta IIIgo, 14 października 1600 r.

Zamojski miał zamiar pójść za Michałem w góry, albo zająć miasto stołeczne Targoweszt. Gdy od rzeki ruszył wojsko, dowiedział się, że nieprzyjaciel położył się o milę w miejscu twardém między skałami, gdzie nieraz Turków i Tatarów gromił. Byłato równina opasana górami od wschodu, północy i zachodu, od południa tylko przystępna. Michał pewny, że nieprzyjaciel ptakiem gór nie przeleci, i ani z tyłu, ani z boków na niego nie napadnie; czoło działami najeżył i czekał napadu. Krańce gór od wschodu las gęsty porastał, od zachodu płynęła wśród urwistych wybrzeży rzeka Teleryon, rozgałęziona na kręte odnogi i wyspami zasiana, w których wśród drzew i krzaków łatwo ukryć się mogły zasadzki. Rzeka, a za nią lasek, utrudniały przystęp.

Dwie drogi do tego miejsca prowadziły: jedna doliną przez rzekę i las, druga górą. Michał całą nadzieję położył w piechocie, a spodziewając się, że Zamojski dolną drogą przedzierać się będzie, piechotę i działa ukrył w zasadzce na wyspach i w lesie. Zamojski d. 15 października poszedł drogą ku górze, zkąd tabor i wojsko uszykowane na dłoni było widać. Domyślając się, że w lesie jest zasadzka, kazał kilka razy z dział uderzyć. Wtém od Michałowego wojska zbiegło dwóch ludzi, Węgrzyn i Wołoszyn, i dali sprawę o wojsku. Było siedm bardzo wielkich pułków, a osobno na zasadzce siła pieszych. Widząc, że cały fortel nieprzyjaciela na zasadzce w lesie ukrytéj zależy, Zamojski posłał tam Niżowców, którzy sami się ofiarowali, piechotę i ochotników. Z wielką ochotą w las poszli, a przyszedłszy na piechotę nieprzyjacielską i na działa, strzelali się, a potém z przewagą wielką brnąc przez rów aż za pas, wyparli z miejsca nieprzyjaciela. Wojsko téż całe nastąpiło z góry, przebyło przeprawy i potężnie natarło na nieprzyjaciela. Wojsko Michała po zaciętéj walce rozpierzchło się na wszystkie strony, a góry i winnice zasłało gęstym trupem. Oddano hetmanowi 95 chorągwi, a drugie téż na podszewki pobrali sobie chudzi pachołcy; więźniów siła, dział kilka wzięto w lesie, a drugie nieprzyjaciel rzucał uchodząc. Wojsko Michała było złożone z Węgrów, Multanów, Wołochów, Serbów i Polaków. Od Braszowa odeszło od niego 500 Polaków, po potrzebie poddało się kilkudziesięciu, a ostatek odzywał się, że chce przybyć, aby im wina odpuszczona była (1).

(1) Jana Zamojskiego list łaciński pisany z obozu.

Skutkiem tego zwycięztwa było osadzenie na hospodarstwie Szymona Mohiły, brata Jeremiego wojewody wołoskiego. Zamojski część wojska zostawił w Multanach z Janem Potockim starostą kamienieckim, który wprowadził Szymona do Targowesztu (1). Straż przyboczną nowego hospodara stanowili Polacy, nad któremi był starszym Tarnowski z Mazowsza (2).

Wołoszczyzna i Multany polskim orężem zostały zajęte, droga do Konstantynopola otwarta; Dunaj tylko ją przegradzał, a raz Dunaj przebywszy, w jednym roku można było wojnę świetném zwycięztwem zakończyć. Przejście Dunaju Batory uważał za połowę zwycięztwa, za połowę drogi odbytéj. Takie było zdanie Batorego; tego téż zdania trzymał się Zamojski, uczeń jego i następca na polu chwały.

(1) Panowie multańscy jeszcze za panowania Michała wysyłali wysłańców do Zamojskiego, prosząc, żeby ich wyrwał z rąk tureckich i z rąk tatarskich, a najwięcéj z rąk Mihaja wojewody. Panowie multańscy i ziemia cała pokornie go prosili, powiadając, że komu innemu poddać się nie chcą, tylko pod moc i opiekę Koronie polskiéj. Tak między sobą mówili: jeżelibyśmy mieli poddać się Niemcom, lepiéj żeby nas Turcy więźniami pobrali z żonami i dziećmi; wolelibyśmy poddać się Turkom niż Niemcom. Turcy nie pozwolą na to nigdy, aby Mihaj wojewoda panował w ziemi multańskiéj; i gdyby mieli zostać dwaj Turczynowie, a trzeci Mihaj wojewoda, tedy przecie między nimi pokoju nie będzie. Niech więc panuje nad nami brat Jeremiego wojewody, aby była jedność z ziemią mołdawską, bo jesteśmy wszyscy jednego języka i jednéj wiary, i za dawnych czasów tak bywało, że hospodar wołoski bywał hospodarem multańskim, a multański hospodar bywał téż hospodarem wołoskim. Turcy téż w pokoju nas zostawią, bo oni sami pragną, żeby panował brat Jeremiego wojewody. My z Mihajem damy sobie radę; o jedno tylko prosimy, żebyście nam pozwolili za nasze własne pieniądze zaciągać ludzi służebnych; a Waszmość tak w to potrafisz, jakobyś o tém żadnego porozumienia nie miał.

(2) Jan Zamojski do Piotra Tylickiego, 20 stycznia 1601 roku.

NAWYKNIENIA LITERACKIE.

PRZEZ

Karola Szajnochę.

Mimo wszelką skłonność do nowatorstwa, zarzucaną czasom ostatnim, wielką jeszcze władzę nad nami zachował nałóg. Z wszelkich zaś nałogów nie masz uporczywszego nad literacki; bo choćby do wyraźnego przylgnął fałszu, byle długoletnie używanie pozorną mu nadało powagę, otacza się urokiem głębokiéj prawdy. Mnogie względy uboczne, jakoto: uszanowanie dla podań starodawnych, możność ubliżenia godności narodowéj przez zastąpienie pochlebnego fałszu skromniejszą prawdą, większa łatwość porozumienia się za pomocą niezupełnie prawdziwych, lecz powszechnie znanych już pojęć: stają na straży nałogowego wyobrażenia. Niechże ręka nieuprzedzonéj niczém umiejętności poważy się przyłożyć do niego probierczy kamień badania; niech śmié postawić natomiast nowe, udowodnione twierdzenie: wszystko obrusza się, zżyma przeciwko zamachowi. Jakiżto popłoch ogarnął przed stuleciem umysły, gdy krytyka historyczna po raz piérwszy zachwiała wiarogodność tradycyjnego Lecha! Niemniejsza żarliwość nie dozwala i dziś powątpiewać bezkarnie w autentyczność mogił Krakusa i Wandy. Nietylko tak rozgłośne podania narodowe, ale nawet podrzędnéj wagi kwestye i nazwy radziby niektórzy osłonić nietykalnością podobną. Przekonywa o tém świeży przykład oporu przeciwko wyświeceniu nazwiska Kadłubkowego, podanemu w dziele Augusta Bielowskiego: Wstęp krytyczny do dziejów Polski. A ponieważ ten nowy objaw starowierczéj nałogowości literackiéj nastręcza ciekawy widok opozycyi, ciekawą

próbkę zarzutów, zawad, trudności, z jakiemi każde prawie nowsze twierdzenie naukowe ma u nas do walczenia: przeto pozwolimy sobie bliższém ocenić go roztrząśnieniem, roztaczając tu całą sprawę wątpliwą.

Ze wszystkich kronikarzy polskich opowiadających pierwiastkowe dzieje narodu, najdostojniejszym jest Wincenty Kadłubek, naprzód biskup krakowski, potém zakonnik cysterski w Jędrzejowie. Właściwe nazwisko tak znamienitego męża nie może być dla nas obojętne; tém bardziéj, że w różnych epokach czasu brzmi ono wcale różnie. Mamy przywileje z XII i XIII wieku, na których nasz kronikarz bądź jako świadek, bądź jako dawca przywileju jest wymieniony: otóż zowie się on tam poprostu *Wincentym*, z dodatkiem tylko godności: mistrz (*magister*) lub biskup (*minister ecclesiae Crac. episcopus*). W najstarszych znowu rocznikarskich zapiskach, których czas nie późniéj jak w drugą połowę XIII wieku odnieść można, czytamy takoż imię jego: *mistrz Wincenty*. Spółcześni tedy i blizkocześni świadkowie, o przydomku jego zgoła nie wiedzą. Dopiéro w wiekach poźniejszych widzimy przy imieniu jego dodatek, a to w formie dwojakiéj: z łacińska opiewa on *Vincentius Catlubonis* lub *Cadlubonis*, z polska zaś *Kadlubowic Wincenty*. Czas, w którym takowy dodatek do imienia Wincentego przyczepiać zaczęto, nie da się ściśle oznaczyć; kodexy atoli w których je dziś znachodzimy, pisane są w wieku XV. Nakoniec jeszcze późniéj, bo dopiéro w wieku XVI zaczęto zwać naszego kronikarza Wincentym Kadłubkiem. Na piérwszy rzut oka widać, że tak łacińskie jak i polskie imienia tego urobienie pierwotne (*Cadlubonis*, *Kadlubowic*) wyraża tylko, że Wincenty był synem Katluba czyli Kadluba, podobnie jak Odonicz synem Odona, Szymonowic synem Szymona i t. p. Przy tak uderzających skazówkach, potrzeba było badaczowi do rozstrzygnienia tego pytania wynaléźć w wiarogodnym pomniku prawdziwe imię ojca Wincentowego. Pomnik taki znachodzi się istotnie. Wskazał go autor Wstępu krytycznego na str. 110, a sam pan Z. A. Helcel poparł najmocniéj pomnika tego wiarogodność. Z niego pokazuje się, iż ojciec naszego Wincentego zwał się Bogusław, a byłoto imię w rodzinie tak lubione, że nietylko ojciec Wincentego, ale i brat jego i synowiec je nosił. „Powtarzało się ono w téj familii przez trzy rodnie" jak powiada Joachim Lelewel, i było niejako charakterystyką rodu.

Idąc prostém następstwem nasuwa się teraz pytanie: jakim sposobem stać się to mogło, że Wincenty, którego wiarogodny pomnik pochodzący z piérwszych lat wieku XIII mianuje synem Bogusława, nazwany jest w pomnikach podanych nam w wieku XV synem nie Bogusława, ale Katluba? Aby to pytanie rozwiązać, wypadło autorowi Wstępu krytycznego rozważyć bliższe szczegóły żywota Wincentego, mianowicie uwzględnić tę okoliczność, że Wincenty pod koniec życia wstąpił do zakonu Cystersów, w którym podówczas przyjmowano jedynie cudzoziemców: gdzieniegdzie, jak np. w Jędrzejowie, miejscu pobytu Wincentego, Niemców wraz z Francuzami; gdzieindziéj, jak w jeszcze starszym klasztorze lędzkim, samychże Niemców. To zaś naprowadziło autora Wstępu na myśl: ażali niemieccy Cystersi, pozostawiając nienaruszenie łacińskie imię *Vincentius* nie przekręcili po swojemu staropolskie imię ojca Wincentowego? Takiém zniemczeniem musiałoby toż staropolskie imię Bogusław zamienić się w niemieckie imię *Gottlob*. Otóż w języku staroniemieckim, jak o tém z dzieła Graffa: *Althochdeutscher Sprachschatz* (*II*, 50.) przekonać się można, Bogumił (Gottlieb) pisze się Kotlajp (*Cotleip*); Bogusław tedy (*Gottlob*) będzie według téjże pisowni *Kotlob*. Przypatrując się potém pan A. B. rękopismom, które najpiérw imię Wincentego z przydomkiem niby podają, znalazł, że mniemany ten przydomek napisany jest *Katlubonis* nie *Kadlubonis* w królewieckim kodexie, a zaś spółczesne temu kodexowi pomniki, w Polsce pisane, Wincentego Kadłubowicem nazywając, dają niejako rękojmię, że takowa jego nazwa uformowana została z imienia ojca, który, jak widzieliśmy, zwał się Bogusławem. Zaczém stwierdziła się najświetniéj słuszność domysłu, że nazwa Kadłubek jest tylko zepsuciem imienia poojcowskiego. Rodowód tego wątpliwego przydatku dał się odwikłać do ostatniego pierwiastku. Cała rzecz zdawała się wyjaśniona. Imię ojcowskie, charakterystyczne imię całego rodu, Bogusław, uległo w niemieckim klasztorze Cystersów temuż samemu zniemczeniu, jakie w wieku XIIItym dotknęło tylu starodawnych znamion narodowości, mianowicie tylu nazwisk miejscowych. Dopóki w XIII i XIV wieku nie nastał jeszcze zwyczaj nazwisk rodowych, których one czasy, jak wiadomo, nie znały: dopóty wystarczało imię samo z dodatkiem godności: *mágister* lub *episcopus*; z czasem jednakże, jak św. Stanisława nazwano Szczepanowskim, tak téż przyszło nadać i Wincentemu nazwisko familijne. Posłużyło do.

tego dawne charakterystyczne imię rodowe, a to według tego honorowego brzmienia, jakie najznakomitszemu członkowi rodu nadali zakonnicy cysterscy, t. j. brzmienia: *Kotlop*, *Katlup*, *Kadlub*, spolszczonego następnie w Kadłubowicz, Kadłubski i *Kadłubek*. W późniejszych czasach jedynowładztwa nazwisk rodowych chwycono się wyłącznie formy Kadłubek, a prawie zupełnie zapomniano o Wincentym.

Jakoż dokonane w ten sposób wyświecenie nazwy wątpliwéj, zdawało się stanowczo rozstrzygającém. Joachim Lelewel, najwłaściwszy sędzia w téj mierze, oceniając dzieło p. A. Bielowskiego (Pol. średn. w. IV, 462—530), mówi o tym szczególe (str. 476): „Wincentego nazwa wybornie jest rozwiązana". Po tak wyraźném przyzwoleniu ze strony pisarza, który właśnie część życia studyom nad Kadłubkiem poświęcił, nie spodziewaliśmy się sporu z tego powodu. Alić nawyknięce do raz przyjętych form nie mogło nie zaprotestować: użyczył mu swego pióra szanowny Z. A. Helcel w uczonéj rozprawie „O klasztorze jędrzejowskim i będącym tam nagrobku Pakosława kasztelana krakowskiego", umieszczonéj w t. Iszym zeszycie 2gim Rocznika Tow. Nauk. Krak., oddziału Sztuk i archeologii na r. 1852. Im wyżéj cenimy sobie autora téj rozprawy, tém więcéj zależy nam na okazaniu wątłości jego zdania, gdzie takowe tylko nienaukowemu uprzedzeniu i nałogowi ulega. Cała opozycya p. Z. A. H. dyszy raczéj *aprioryczną* niechęcią i niesmakiem przeciw nowemu twierdzeniu, niż obala je niezbitém rozumowaniem. Uczynione temuż twierdzeniu zarzuty nie zawierają ani jednego stanowczego dowodu, ograniczając się jedynie na podniesieniu niektórych sprzecznych napozór okoliczności. Przejdziemy je tu z kolei i będziem się starali roztrząsnąć szczegółowo. *A*) Zwraca p. Helcel uwagę p. A. B. na tę małą, jak sam powiada, okoliczność, że według Starowolskiego, dopiéro w lat kilkanaście po śmierci Wincentego „znacznie tam (w klasztorze jędrzejowskim) niemieckich namnożyło się zakonników." Na to odpowiadamy: pan A. B. przytoczył słowa Starowolskiego, który powiada tak: „Wtórym opatem (jędrzejowskim) był Teodoryk Francuz, za którego błogosławiony Wincenty godność biskupią złożywszy, wstąpił do zakonu Cystersów piérwszy z Polaków: albowiem *wszyscy* zakonnicy podówczas albo Francuzami, albo *Niemcami* byli". Kiedy więc tenże Starowolski przy czwartym opacie, Hugonie, dodaje: iż Niemcowie znacznie się w klasztorze owym rozmnożyli; możnaż zdrowym rozsądkiem z podwójnego tego

twierdzenia zawiązać co innego, jak tylko to: że jeśli przy wstąpieniu Wincentego za opata Teodoryka, było dość Niemców, toć jeszcze więcéj napłynęło ich za Hugona? Uwaga więc p. Z. A. H. nie obala bynajmniéj podstawy p. A. B. twierdzenia. *B*) Zarzuca p. Z. A. H. iż zapisków klasztornych nie robiono po niemiecku, lecz po łacinie. A któż kiedy przyznawał tym zapiskom język niemiecki? Pan A. B. twierdzi, że ten, kto piérwszy Wincentego *filium Catlubonis* nazwał, musiał być Niemcem; ale sam ów zapisek nie jest niemieckim, lecz łacińskim, podobnie jak właściwy jego zapisek *filius Boguslai* byłby takoż łacińskim nie polskim. *C*) Powątpiewa p. Z. A. H. iżby imiona osób duchownych miewały kiedy w istocie dołączone imiona ojców. Na to niepotrzeba daleko szukać dowodów, bo piérwszy lepszy dokument z owych czasów np. dyplom z r. 1253 w Gładyszew. Żyw. błog. Prandoty str. 254 wylicza nam w rzędzie poświadczających kanoników i kapelanów: „Martinus filius Petri; Woycech filius comitis Nicholai". A co prałatom świeckim służyło, toż samo (przy zupełnym braku dowodów przeciw temu) możemy przyjąć także u znakomitych zakonników, zwłaszcza u takich, którzy, jak p. Z. A. H. sam nadmienia, nie poddawali się pospolitym zwyczajom mnichów. *D*) Twierdzi p. Z. A. H. iż po łacinie w najgorszym razie napisanoby owe przekręcone imię *filius Gotlobi*, a „żadną miarą" *filius Gotlobonis* (według staréj niemczyzny *Kotlobonis*). My przypatrzywszy się ówczesnemu zwyczajowi łacińszczenia imion niemieckich, jakoto: Heimo-onis, Grimo-onis Arno-onis, powstałych z niemieckich: *Heim, Grimm, Arn*, (Pertz I str. 82, 292; II, 463 i t. d.) nie możemy pojąć żadną miarą, co pana Z. A. H. do twierdzenia takowego spowodowało. Ale te wszystkie zarzuty nazywa sam p. Z. A. H. „mniejszéj wagi". Ważniejszą i najważniejszą ma być uwaga: że „niedopiéro przez te zapiski zajaśniał Wincenty u narodu, a kto powszechnie słynął, tego téż po narodowemu, według zwyczaju wieku nazywano, nie zaś z cudzoziemska". Otóż właściwy powód niechęci Niemiecki początek nazwy znamienitego Polaka ma ubliżać godności narodowéj. Na to konieczna jest odpowiedź: że uwagi tego rodzaju nie mogą stanowić dowodu w umiejętności. Umiejętnie zaś przeciwko twierdzeniu p. A. B. powstając, trzeba najpierwéj zbić fakta, które tu w krótkości rekapitulujemy:

1) Że spółcześni i blizkocześni świadkowie nie wiedzą o żadnym przydomku Wincentego (Przyw. z r. 1189 w Gładysz. Żyw. Prand. str. 254. Dwa przywileje z początku XIII wieku z ko-

dexów krakowskich przepisane, a znajdujące się u p. A. B. Rocznik pargam. krak. Takiż pargam. rocznik bibl. Zamojskich).

2) Że w dyplomacie pisanym roku 1212, kiedy jeszcze Wincenty nie był Cystersem, powiedziano, iż on jest synem Bogusława. A byłoto ulubione imię w jego rodzinie. (Wstęp kryt. str. 110).

3) Że kiedy tenże Wincenty przy schyłku życia wstąpił do zakonu Cystersów w Jędrzejowie, już się tam znajdowali Niemcy i coraz ich więcéj napływało. (Starow. Vita et Mirac. str. 56).

4) Że Bogusław w staroniemieckim języku brzmi *Kotlob* (cf. Graf Althochd. Sprachschatz II, 50), a Sasi wymawiają i dziś *Kott* zamiast *Gott*, *köttlich* zamiast *göttlich*.

5) Że kodex królewiecki roczników polskich pod liczbą 352 in fol., jeden z piérwszych, w którym imię Wincentego pod nową formą przychodzi, zowie go *Vincentius Katlubonis*; przypomina więc owe staroniemieckie imię Kotloba (Wstęp kryt. str. 111 przyp. 5).

6) Że równoczesny królewieckiemu kodex gnieźnieński, dziś własnością księcia Czartoryskiego będący, pisze to imię *Vincentius Kadlubowic (Cadlubowicz)*, a forma ta wskazuje wyraźnie, iż to jest imię od ojcowskiego (Bogusława, Kotloba) urobione (Cod. ms. p. 943).

Żadnego z tych dowodów nie zbija i nie może zbić p. Z. A. Helcel; zostaje więc prawda na stronie pana A. B.

Co zaś do ogólnéj potrzeby nazywania słynnych w narodzie mężów „po narodowemu, nie z cudzoziemska", ta w razie obecnym wcale nie sprzeciwia się niemieckiemu pierwiastkowi nazwy „Kadłubek". A to tak wyjaśniamy. Kronikarza naszego nazywano w saméj rzeczy po narodowemu, t. j. jak powyżéj wspomniano, prostém imieniem „Wincenty" będącém zrazu jedyną jego denominacyą i sławą. Dopiéro w kodexach wieku XV znachodzim nazwę rodową, a wtedy niemieckie znamiona piérwszéj połowy wieku XIII straciły już wszelką barwę. Konwent jędrzejowski, jak to z nazwisk opatów zacząwszy od drugiéj połowy wieku XIV widoczna, zaludnił się zupełnie Polakami. Potrzebny do utworzenia nazwy narodowéj dopisek *Kadlubonis* stał się co do swego początku niezrozumiałym. Przyjęto tę formę, utworzono z niéj następnie Kadłubowicz, Kadłubski, Kadłubek, nie wiedząc zgoła, że ona tchnie niemczyzną. Jestto na wszelki wypadek snadniejszém do pojęcia, niż przypuszczenie p. Z. A. H. iż „Wincenty mógł być *cognominatus Kadlubek*", kiedy takiéj kognominacyi

żadnego nie masz śladu w spółczesnych i blizkoczesnych pomnikach, a wszędzie tylko forma imienia poojcowskiego pierwiastkowo uderza.

Ale p. Z. A. H. ma szczególny pociąg do podobnych „mógł być!" W całéj dyatrybie, zamiast prostych dowodów, czytamy ustawicznie: „można być pewnym", „o czém wątpię", „żadną miarą Gottlobonis", „nie można przypuścić", „który się pewnie w katalog nie wpisał, i którego pewnie inaczéj nie zapisali" i t. d. Bo téż p. Z. A. H. nie zależało wcale na umiejętném udowodnieniu téj sprawy, a szło jedynie o to, aby z popisu na polu tysiącznych niestanowczych wątpliwości, wziął asumpt do zamieszczonéj w końcu expektoracyi przeciwko naruszaniu dawnych wyobrażeń i formuł naukowych, przeciwko niepokojeniu téj błogiéj nałogowości literackiéj, o któréj na wstępie wspomnieliśmy. W tym względzie więcéj argumentów a mniéj morałów byłoby nie zawadziło ani uczoności p. Z. A. H., ani pomyślnemu skutkowi jego zamiaru.

PAN JERZY.

OBRAZEK PRZESZŁOŚCI.

„Hej bracia, na konie! pojedziem za błonie,
Gdzie gęsty rozciąga się las;
Jak oko dostrzeli, ponowa się bieli:
Na biesa! myśliwski to czas!"

Tak mówił pan Jerzy, a każdy pobieży
I ujmie, i schwyci wnet broń:
Ten spustu probuje, ów skałki wyjmuje,
Ów czarny proch sypie w swą dłoń.

I gwarno, wesoło i każdy wokoło
Nuż prawić co starczy mu tchu;
Ten pali do ptaków, ten bije szaraków,
Ten woła na psiarnię: tu! tu!

A co tam strzelania, a co tam szczekania,
A jaki tam hałas i krzyk,
Ten pojmie, ten zgadnie, kto słyszał jak snadnie
Składa się myśliwcom słów szyk.

„Tfy!" krzyknie pan Jerzy i pięścią uderzy,
Niby rad spokojność wnet miéć;
„Koszałki, opałki, na cóż te przechwałki?
Rzecz babska językiem wciąż mléć!"

Jak krzyknął, tak cicho; bo stary to licho,
Oj wiedzą-ć sąsiady jak gra;
I czuba podczesze i ucha nakrzesze,
I sprawi się gracko, aż ha!

Nie żarty-ć to z graczem; więc wyjdą cichaczem,
A każdy na konia i w las;
Za niemi pan Jerzy, na siwku pobieży,
Boć komu na łowy, to czas.

Przybyli, a Błażej, co stał wżdy na straży,
By czekać myśliwych wśród dróg,
Łysinę odsłoni, do ziemi się skłoni:
—„Niech będzie pochwalon Pan Bóg!"

—„Na wieki! mój stary. A zbiegłeś Waść jary?
A byłeś gdzie kończy się wrąb?"
—„Stropiłem dokoła" gajowy zawoła:
„Dziczysko tam siedzi, jak dąb!"

—„Dla Boga, człowiecze! ..." pan Jerzy wyrzecze,
A lice mu spłonie w krwi żar.
„Czy Wasze czasami, nie zagrał z kuflami,
Nie strzelał wśród misek i czar?"

—„A niech mnie Bóg skarze, jeżelim tam w jarze
Nie widział jak świecą mu kły;
Snadź starę to zwierzę, gdy pomnę, strach bierze,
Boć srogi być musi i zły!"

Pan Jerzy jął wąsa, i głową potrząsa,
A oko mu błyszczy jak skra:
Oj będzież to granie, oj będzie strzelanie,
Oj będzie uciechy, aż ha!....

—„No! daléj bohota, okrążyć mi błota,
I stanąć gdzie kończy się wrąb;
A wara z gadaniem, z śmiechami, szeptaniem,
Języki mi schować za ząb!"

Rzekł, siwka zawrócił, wyloty podrzucił,
I rękę założył za pas,
I cmoknął na konia, i daléj przez błonia,
Gdzie gęsty rozciąga się las.

Pobieży i stanie: „Tom spisał się panie!
A pomnę w tych głowach wre szał";
I krzyknie: „Hej, wiara! niech każdy się stara,
Rozumnie miarkować swój strzał."

„Bo gdyby mi który był tak złéj natury,
I palnął do kota, jak żak;
Klnę słowem szlachcica, rozciągnę panicza
I sforą wypiszę mu znak."

To rzekłszy pan Jerzy, już cwałem pobieży,
Gdzie widny odyńca jest trop;
A ledwie go zoczył, już z siwka zeskoczył
I krzyknął półgłosem: „Hop! hop!".

Odpowié ktoś z kniei; on wtedy z kolei
Wypuszcza ze sfory swych psów,
A pieski trop zoczą i daléj poskoczą
Przez drogę, przez miedzę, przez rów.

Wciąż stoi i czeka, i słyszy zdaleka
Jak grają, aż trzęsie się las;
Raz Śpiewka piskliwa, cienko się odzywa,
Znów gruby Błocisza grzmi bas.

Wtém inne z kolei zagrają wśród kniei,
I zewsząd psich głosów wre chór;
Grzmią łany, grzmią jary i huczy las stary,
I cichy, odwieczny drży bór.

On stoi i czeka, i słyszy zdaleka
Ten hałas, tę wrzawę, ten gwar;
I ucha nadstawia i czapki poprawia,
A lice mu płonie w krwi żar.

Wnet trzask się rozlegnie, coś w gęstwie pobiegnie
I zadrży w posadach znów bór;
Jak gdyby sto koni leciało wśród błoni,
Jak gdyby pędziło sto fur.

„Jest!..." krzyknie pan Jerzy, włos mu się najeży
I oczy mu błysną jak skry.
„Jest" zcicha powtórzy i oka przymruży
I czeka, i słucha, i drży.

Wtém strzał się rozlegnie i z echem pobiegnie,
I w głuchy rozpłynie się ton;
I znowu z kolei, strzał gruchnie wśród kniei,
I znowu jest cisza z wszech stron.

On dosiadł już konia, i pędzi przez błonia,
Gdzie świeży odyńca był trop;
Aż czapka rogata na głowie mu lata,
A krzyczy, a woła: „Hop! hop!"....

Zaledwie przypadnie, wnet stanie i zbladnie;
Strach spojrzéć jak groźny i zły,
I głową potrząsa, i kręci wciąż wąsa,
I charczy, i spluwa: „a tfy!"

A gdy się wysapał, snadź trochę tchu złapał,
Snadź myśli mógł schwycić już swe;
Zawoła: „ha gracze, urwisy, partacze!
Klnę słowem szlachcica: to pfe!"

„Tak zwierza spudłować! Wam wróble polować,
Wam strzelać wśród kufli, wśród mis;
Tfy żaki!" i splunął i czapki nasunął,
Gwintówkę swą o ziemię cisł.

I wszyscy struchleli i spojrzéć nie śmieli;
Zmilkł hałas, zmilkł zapał, zmilkł śmiech,
A on się wciąż dąsa i kręci wciąż wąsa
I sapie, i dyszy jak miech.

—„Eh, panie kochany!" rzekł Błażéj stroskany,
Wybiegłszy po tropie na wrąb,
„Tu nasza granica, tam lasy sędzica,
Czy strąbić?"—„A durniu! to strąb!...."

I strąbił. Z wszej strony, spuściwszy ogony,
Zwiesiwszy języki i łby,
Przez lasy, przez jary, zbiegły się ogary,
A szlachcic wciąż spluwa: „a tfy!"

—„Nie takie-ć to łowy" rzekł stary gajowy,
„Bywały przed laty, tam het;
Gdy pomnę, na Żmudzi, żyło się wśród ludzi,
Choć zażył człek trosków i bied.

„Pan cześnik na dworze, świeć wielki mu Boże!
U króla samego był znan;
A jak on polował, na koniu harcował!
Oj, rodzic panicza, to pan!

„A panicz w téj chwili był mały: ot tyli,
Lecz oko świeciło jak skra;
I często wieczorem, przy ścieszce nad borem,
Pamiętam bywało..... no sza!

„Oj panicz był tęgi! Choć uczył się z księgi
I umiał na piśmie się znać;
Pamiętam, bywało.... i świtem się wstało,
Gdy rożek myśliwski jął grać.

„A wtedy z bartnikiem.... to nie tak jak z dzikiem,
Co świńską naturę wżdy ma;
Boć bartnik, to stanie, a ściśnie cię panie,
Że oczy wyskoczą ze łba!

„Ot wtedy.... to było, za ową mogiłą,
Gdzie ongi legł wielki ów żubr;
Tak panicz wypalił, że zwierz się z nóg zwalił,
A cześnik się spłakał jak bóbr!"

I Błażéj wciąż prawi; starego snadź bawi,
Bo słuchać gawędy by rad:
To wąsa nadstawia, to czapkę poprawia,
A gniewu oddawna znikł ślad.

Gdy w końcu gajowy przypomniał mu łowy,
Już siły wytrzymać nie ma:
—„Pamiętasz, mój Błażéj!" wykrzyknie, a w twarzy
Zabłyśnie i radość i łza.

„Pamiętasz!" powtórzy, „oj! niedźwiédź był duży,
Gdy spiął się, toć istny stał chłop.
Byłoto, jak pomnę, bestyjstwo ogromne,
Mierzyłem: ćwierć łokcia sam trop.

„On do mnie, ja stoję, a nic się nie boję,
Klnę słowem, jak miły mi Bóg!
I ledwiem wymierzył, już łapą uderzył,
I zwalił by żaka, mnie z nóg.

„Ja leżę, podchodzi, czai się dobrodziéj,
I wącha, i dmucha mi w nos;
A dyszał, a sapał, a mruczał, a chrapał,
Że na łbie powstawał mi włos.

„Ja myślę: zjem kata, jeśli się pobrata
Z mą skórą; oj będzie-ć tu źle!
Więc leżę wciąż cicho, choć czuję to licho,
Jak mruczy i ciągle w nos dmie.

„Długoby tak było, sam nie wiem, bo-ć siłą
Na siłę chciéć walczyć, to rzecz;
Lecz finfy niemieckie, podejścia zdradzieckie
Nie przylgną, gdzie wiarą jest miecz!

„Więc chętka mnie bierze, gdy mruczy paciérze
I mruczy nademną by żyd,
Porwać się, uderzyć, jak z równym się zmierzyć,
A sprawić mu łaźnię i wstyd.

„Na szczęście, w uboczy coś trzasło; on skoczy,
Jam wtedy do broni się jął,
Jak porwę gwintówkę, jak palnę mu w główkę,
Zwalił się na ziemię, ni drgnął.

„Takićto" rzekł Jerzy „był zapał w młodzieży,
Nie straszył ni niedźwiédź, ni wilk;
Oj było-ć, oj było! choć wspomnieć to miło,
A teraz!...." łbem kiwnął i zmilkł.

Radoszewice,
d. 15 stycznia 1853 r.

Ludwik Niemojowski.

MÓJ ŚMIECH.

Śmieję się, śmieję, ale któż przeczyta
Jaka pod śmiechem leży myśl ukryta?
Czy w nim głęboko nie spoczęła na dnie
Boleść, co śmiechem i co łzami władnie?

Śmieję się.... Uśmiéch powtarzacie echem;
Nikt z was się w moję nie zapatrzył duszę....
A łzy, łzy krwawe płynęły ze śmiechem:
On, nie wesele—zwiastował katusze.

O oczy ludzkie, jak wy w świat patrzycie!
Czemuż łzom ślepi, kamienni cierpieniu?
Radość tam nawet, gdzie nie ma, widzicie,
A łza wieczyście schnie i ginie w cieniu!

I. I. Kraszewski.

POGLĄD

NA PRAWNICTWO KRAJOWE

CO DO SPRAW GRANICZNYCH MIĘDZY DOBRAMI ZIEMSKIEMI.

W toku spraw granicznych między dobrami ziemskiemi występują nieprzestannie i utrwaliły się pewne twierdzenia, a nawet uznania, które ani praktycznéj filozofii prawa obowiązującego cywilnego, ani logicznemu porządkowi postępowania sądowego nie odpowiadają; lecz przeciwnie, polegając na przestarzałych pojęciach, uwodząc się nałogowym pędem przesądów, nadają biegowi spraw granicznych kierunek opaczny, z którego skrzywione następstwa wyradzają się, a za niemi mylny sąd i niesłuszność w ostatecznych skutkach cywilnych.

Nadto, w prawnictwie granicznem krajowém znachodzą się a raczéj drzémią kwestye prawne, w istocie bardzo ważne, które wszakże tylko urywkowo w pojedynczych sprawach będąc wnoszone i rozstrzygane, dotąd przez nikogo teoretycznie nie były tknięte: te więc rozbioru i ocenienia ogólnie, w związku swoim i w oddziaływaniu jednych na drugie, oczekują.

Do prawnictwa granicznego naszego wchodzą rozmaite i różnoczesne elementa prawnicze, między sobą krzyżujące się; których stosunek wzajemny, o ile jedne drugich dopuszczają lub je odpychają, zbadać, oznaczyć i usprawiedliwić potrzeba: ztąd wysnuje się teorya organiczna prawnictwa granicznego, podobnież jak rzymska *Actio finium regundorum*, do przewodniczenia sądzeniu spraw granicznych, zgodnie z duchem praw obowiązujących.

Unikając mnożenia słów i przystępując wprost do rzeczy, z góry objaśnię: w czém najgłówniéj przesądne wyobrażenia i idące z nich błędne następstwa bądź co do tłumaczenia i stosowania prawa, bądź co do postępowania sądowego; w czém mylne pociąganie dawności do obecności pod wpływem pewnego uroku lub omamienia historycznego, w czém zlewek niesfornych elementów w jedno naczynie upatruję.

Oto, powództwa w sprawach granicznych oparte bywają na dawnych dokumentach, pochodzących z epoki Jagiellonów, Wazów, Sasów, albo i z epok następnych, atoli z zaniedbaniem lub małoważeniem najpoźniejszego stanu prawnego granic między ościennemi dziedzinami.

Ztąd nakazywane bywają wizye miejscowe, dukta i redukta graniczne podług zapadłych dawnością dokumentów, chociaż porządek logiczny z obowiązującego prawa i postępowania cywilnego wynikający wskazuje, iż przedewszystkiém najpoźniejszy stan prawny granic, z posiadania i przedawnienia czerpany, rozpoznać i osądzić należy.

Podobnież nakazywane są częstokroć badania ze świadków na czyny przewyższające dawnością swoją nietylko zwyczajny lub podeszły, ale nawet możliwy wiek człowieka: skutkiem czego w dalszém zamąceniu procesu granicznego, wątłą tradycyą podstawiają w miejsce prawnego świadectwa, które wszakże jedynie do naocznego własnemi zmysłami widzenia i przekonania jest przywiązane prawem.

Chcąc utorować odpowiedniejszą teraźniejszemu prawu teoryą i praktykę w sprawach granicznych, zamykam spostrzeżenia względem dokumentów dawnych granicznych w czterech zebraniach następujących, a mianowicie, *najprzód*: skutkiem upływu trzech, dwóch, lub jednego wieku, skutkiem rozmaitych zmian przez samo działanie natury i czasu w miejscowości, w położeniu, w tak zwanéj ubikacyi nastąpionych, i zupełnego zatarcia jéj właściwych śladów, dokumenta dawne nie mogąc naprowadzać na określone w nich punkta lub kierunki granic, a za każdym krokiem w szukaniu ich śladów, najczęściéj niepodobną do usunięcia wątpliwość nastręczając, straciły tém samém, w oczach wszechstronnego doświadczenia, jako téż w obliczu koniecznych przypuszczeń prawa cywilnego istotną wartość dowodu miejscowego. *Powtóre*, dawne archiwa polskie aż do schyłku ostatnich epok przez wojny, pożary, niedozór lub inne przypadłości, w porządku swoim rozerwane

lub nadwątlone, tamują nader często pozwanemu o dukta i redukta graniczne wszelką możność wynalezienia dokumentów późniejszych, któreby dokumentom dawniejszym wszelkie znaczenie prawne odjęły. Do rzędu takich dokumentów należą nadania, donacye, działy lub układy familijne, zamiany, kupna i sprzedaże, komplanacye, tranzakcye albo też wyroki sądów granicznych. Że tego rodzaju wypadki i dokumenta, z powodu przejścia dóbr od famlii do familii, od osób do osób, albo z powodu wiedzionego procesu granicznego, w ciągu wieków, licząc od starego dokumentu nastąpiły, nikt nie zaprzeczy. Niepodobna więc starym dokumentom przechodzącym trzy, dwa, jeden wiek, lub półwieku, bez obrazy zdrowego rozsądku i zdrowéj logiki prawa, bez płochego zaprzeczenia skutkom tylu spustoszeń krajowych, żadnego znaczenia prawnego samoistnego przyznawać. *Potrzecie*: Ustawa hypoteczna z r. 1818 nakazując objawienie i ustalenie własności dóbr ziemskich, jako też ciążących je praw rzeczowych, wyrzekła w artykule 154 na wszelkie dokumenta dawne, a tém samém i na dokumenta graniczne, jako do prawarzeczowego własności ściągające się, *prekluzyą prawną*, któréj skutki w sprawach granicznych przedewszystkiém na samym początku ocenić i względem nich wyrzec należy. *Poczwarte*: pozwany właściciel dóbr ziemskich, dzierżąc granice jawne, używalne długiém posiadaniem, wkładając w posiadane pod tytułem właściciela grunta, znoje swe i zasoby, ma prawo bronić się przedawnieniem i w tym celu domagać się sprawdzenia najsamprzód najpoźniejszego stanu prawnego granic na posiadaniu i przedawnieniu opartego, i tą zasadą udaremnić moc przedawnionych starych dokumentów i uprzedzić wszelkie zbyteczne postępowanie procesowe z tychże dokumentów czerpane.

Lubo z jednéj strony zaniedbanie uwag tych jest główną przyczyną wielu zawiłych i trudnych, a co większa, nieodpowiadających prawu procesów granicznych: jednakże z drugiéj przyznać należy, że spory graniczne i z przyrodzonéj istoty swojéj i ze względu na historyczny stan tak przechodnich jak trwających prawodawstw, nieodzowne trudności przedstawiają: ztąd więc, jeżeli powszednia praktyka w rozpoznaniu i ocenieniu spraw granicznych w błędy zawodzi, jéj tego wyłącznie poczytywać nie można: albowiem spory graniczne obejmują w sobie zwykle dwie różne sprawy, a mianowicie akcyą

windykacyjną o większą przestrzeń gruntu, lasu, niekiedy łącznie z osadami, folwarkami, wsiami lub koloniami, dodatkowo zaś drugą, która właściwą stanowi sprawę graniczną o uporządkowanie lub odnowienie granic używalnych, mało co lub wcale niezaprzeczonych.

Naturalny ten związek między rozgraniczeniem a windykacyą z jednéj strony, a z drugiéj nawykłe z dawnego prawnictwa polskiego pomieszanie dwóch spraw tych różnych w teoryi, celu i skutkach, a poniekąd sama niemożność zupełnego ich rozłączenia i oznaczenia każdéj z nich ścisłego zakresu; to wszystko nadało sprawom granicznym pewny urok gry losowéj, zachęcającéj wielu do pieniactwa w nadziei wygrania znacznéj przestrzeni gruntu jakoby cudzą grabieżą utraconego, aby tym sposobem własną siedzibę zaokrąglić.

Tego rodzaju sprawy graniczne, które już same przez się spokojnych posiadaczy dóbr na wiele kłopotu, zachodu, kosztów i strat narażają, zwykle poprzedza od czasu zaprowadzenia ustawy hypotecznéj z roku 1818 domaganie się illacyjne ostrzeżeń, które i za kontrowers, acz często niepewny co do swéj rozciągłości i za wynagrodzenie utraconych jakoby przychodów, również nieoznaczone liczebnie, na cały ogół dóbr ziemskich są dozwalane, a przez to tamują napastowanym dziedzicom wszelki kredyt i możność podźwignienia rolnictwa na długie lata, nim zapadnie wyrok stanowczy, który albo kres położy zamierzonéj procesem grabieży gruntu i obciążającym całe dobra ostrzeżeniom hypotecznym, albo dziwném zrządzeniem losu czarodziejstwo granicznego procesu uwieńczy.

Mamiący ten urok gry losowéj co do spraw i ostrzeżeń granicznych, nader szkodliwy w skutkach swoich, rozczarować należy przez wyjaśnienie mętnego stanu prawnictwa granicznego i wiszących w niém wszelkich kwestyj prawnych rzeczywistych lub urojonych, jako też przez utorowanie teoryi organicznéj na toku historycznym prawa granicznego i krytyczném tłumaczeniu praw obowiązujących opartéj: aby przez to ułatwić dziedzicom dóbr ziemskich rolnictwa pilnującym środki prawnéj obrony przeciw płonnym zapozwom i nielegalnym zaborom.

Nowe prawodawstwo francuzkie, a mianowicie obowiązujące u nas kodexa cywilny i procedury, nader są szczupłe w szczególne i bezpośrednie przepisy prawa o sprawach gra-

nicznych między dziedzinami wiejskiemi, gdyż w tym względzie dwa tylko artykuły znachodzimy, a w szczególności art. 646 Kodexu cywilnego i artykuł 3ci w ustępie 2 Kodexu postępowania sądowego.

Piérwszy z nich w tém brzmieniu. „Każdy dziedzic może sąsiada swojego zobowiązać do rozgraniczenia między ich posiadłościami ościennemi na wspólny koszt" właściwie nie przypuszcza zachwiania się i niepewności granic; ma jedynie na celu stawianie znaków granicznych, *bornes*, na granicy używalnéj, niezaprzeczonéj, czyli jedném słowem uporządkowanie granic, i nie otwiera pola do rozwijania jurisprudencyi granicznéj: chyba w tém tylko, że Kodex cywilny uważając obowiązek rozgraniczenia, *le bornage*, za służebność gruntową, ościenne majętności z samego ich położenia wzajemnie obciążającą, a ztąd za służebność wieczystą, przez porządek publiczny nakazaną, tém samém od wszelkiego przedawnienia ją wyłącza.

Drugi artykuł w tém brzmieniu:

„Pozew wyniesiony będzie przed sędziego pokoju, u nas podsędka, gdzie przedmiot sporny jest położony, skoro spór zachodzi o naruszenie znaków granicznych, o przywłaszczenie gruntów, drzew, płotów, rowów lub innych zagród, w ciągu roku nastąpione, uważa taką sprawę za *possessoryjną*, która, jeżeli naruszenie posiadania, dawniéj jak od roku nastąpiło, pod nazwą sprawy petytoryjnéj przed trybunał cywilny Iszéj instancyi wytoczoną być powinna.

Lubo *Maleville* w uwadze do art. 646 przywodzi, że powództwo o rozgraniczenie, *l'action de bornage*, podług organizacyi sądownictwa francuzkiego z d. 24 sierpnia 1790 r. do atrybucyi właściwego sędziego pokoju należy; jednakże organizacya ta nadaje sędziemu pokoju tylko atrybucyą rozpoznawania sprawy possessoryjnéj o naruszenie znaków granicznych i t. d. w ciągu *bieżącego* roku nastąpione; co i Kodex postępowania w powołanym artykule 3 dosłownie powtarza; a nadto *Toullier* i *Duranton*, w celu sprostowania opinii *Malevilla* uważają *l'action de bornage* za akcyą główną, należącą do trybunału cywilnego Iszéj instancyi, po odbyciu wprzód terminu pojednawczego.

W celu sprostowania wszystkich trzech kommentatorów francuzkich, nie można ominąć téj ważnéj uwagi, że możność zobowiązania sąsiada swojego w każdéj chwili do uporządko-

wania granic na wspólny koszt, stosownie do art. 646, nie jest wszakże żadną *akcyą windykacyjną*; że owszem artykuł ten podnosi obowiązek rozgraniczenia *l'obligation au bornage* do kategoryi służebności, które jako konieczne i wieczyste w każdéj chwili ościenne majętności obciążają.

A zatém na mocy art. 646 nic więcéj poszukiwać nie można, jak tylko rozgraniczenia w ścisłym zakresie, tojest uznania granic istniejących, wcale nie lub małoco spornych, postanowienia lub odnowienia znaków granicznych, czyli między dobrami ziemskiemi usypania kopców na wspólny koszt: albowiem akcya graniczna windykacyjna czerpie swą przyczynę, swe zasoby, swoje *fundamentum agendi* w innych zupełnie źródłach, a mianowicie w nieprawnych czynach pozwanego lub jego poprzedników, którzy sobie naruszeniem granic grunta przywłaszczyli, albo w dokumentach granice ustalających, albo nakoniec w długoletniém, jawném, spokojném posiadaniu, pod tytułem właściciela.

Ztąd więc tak w teoryi jak w skutkach prawnych cywilnych, zawsze rozróżnić należy trzy rodzaje spraw granicznych, a mianowicie:

a) sprawę o rozgraniczenie, z art. 646 Kod. cyw.;

b) sprawę possessoryjną o naruszenie granic, w ciągu bieżącego roku nastąpione, z art. 3 Kodexu postępowania;

c) sprawę windykacyjną *in petitorio* o przysądzenie na własność pewnéj przestrzeni gruntu, położonego na granicy ościennych majętności, z artykułu powołanego 3 w związku z artykułami od 23 do 27 Kodexu postępowania, dotyczącemi się różnicy spraw possessoryjnych i petytoryjnych.

Lubo, jak się rzekło, sprawa o rozgraniczenie z art. 646 żadnemu przedawnieniu ulegać nie może, sprawa zaś windykacyjna, in petitorio, z przywłaszczeń gruntu wywodzona zpod przedawnienia bynajmniéj wyłączoną nie jest; jednakże wyobrażenia tak o różnicach spraw granicznych jak o możności zastosowania do spraw granicznych windykacyjnych, przedawnienia nietylko trzydziestoletniego, ale i 10 lub 20-letniego, podług Kodexu cywilnego obowiązującego, tak się chwieją i uginają, że w celu utwierdzenia zasad stałych w jednym i drugim względzie, nie pozostaje jak cofnąć się aż do przykładu i rozbioru rzymskiéj akcyi *finium regundorum*, zwłaszcza że prawo rzymskie dawnym prawnikom polskim, zawsze jako wzór lub *ratio*

legis przyświecało i że nawet nowe prawo francuzkie nigdy nie odbiegało od uważania prawa rzymskiego za *raison écrite.*

Tymczasem, ulegając dzisiejszemu wstrętowi do obszerniejszych badań starożytności rzymskich, wytknę te tylko punkta akcyi *finium regondorum*, które do trafnego rozwiązania kwestyj prawnych naszych granicznych nieodzownemi być się zdają.

Za stanowisko środkowe w legislacyi rzymskiéj co do spraw granicznych uważać należy *legem* 5 kodexu Teodozyusza, która dosłownie tak brzmi:

„Cunctis molitionibus et machinis ampletatis, finalibus jurgiis ordinem modumque proscripsimus, ac de eo tantum *spatio* hoc est *pedum quinque* qui veteri jure praescripti sunt, *sine observatione temporis* arbitros jussimus judicare: quod si *loca* in controversiam veniant, solemniter de his, judices recognoscent; et seu civilis seu criminalis actio competet, tribuctur ita, ut causa cognita, et redhibitioni obnoxius decernatur, nec poenam convictus aufugiat."

Dla zrozumienia ustawy téj, pominąwszy jéj koniec jako niepotrzebny, wiedzieć potrzeba, że podług Cycerona *De legibus* I, 21 ustawa XII wyłączyła zpod możności przedawnienia czyli nabywania własności *per usucapionem* miedzę graniczną, *spatium pedum quinque*, *fines intra quinque pedes*, i że do rozstrzygnienia sporu granicznego w tym zakresie arbitrów ustanowiła; powtóre, że na lat 7 przed wypisaną dopiéro ustawą Teodozyusza, imperator Walentynian zniósł dwoistość sporów granicznych co do *spatium pedum quinque* i co do *controversia locorum.*

Ztąd więc, jako téż z innych źródeł tu niepowołanych okazuje się, że i u Rzymian liczne trudności *in jurgiis finalibus* zachodziły, bądź z tego powodu, że do nabycia własności *per usucapionem quo ad praedia rustica in Italico solo*, tylko lat dwa *biennium* było zakreślonych, zaś *quod ad praedia provincialia vel agrum publicum praescriptio* lat 10 *inter praesentes* a lat 20 *inter absentes* służyła, bądź z rozmaitych innych przyczyn, zwłaszcza co do form postępowania.

Jakkolwiekbądź, imperator Teodozyusz przywrócił dawny porządek prawny co do sporów granicznych.

W tych zatém sporach, *in jurgiis finalibus, in judicio vel actione finium regundorum*, miała miejsce różnica *quo ad spa-*

tium pedum quinque i *quo ad loca*, czyli innemi słowy mówiąc, *actio finium regundorum*, była dwoista: a mianowicie jedna, która jedynie do *spatium intra quinque pedes*, do miedzy granicznéj, raz na zawsze do 5 stóp szerokości ustanowionéj ściągała się i rozstrzygnieniu arbitrów ulegała, a to *sine observatione temporis*, czyli *sine usucapione*, bez możności zastosowania przedawnienia; druga, która większą przestrzeń ziemi, większy kontrowers, przy zatracie śladów miedzy granicznéj obejmowała, i uroczystemu rozpoznaniu sędziów ulegała: to znaczy, że *controversia locorum* rozpoznawaną być była powinna podług wszelkich form i zasad prawa, a zatém i *cum observatione temporis* z dopuszczeniem przedawnienia, *usucapionis vel praescriptionis*.

Otóż, *le bornage* z art. 646 Kodexu cywilnego, czyli możność żądania w każdym czasie rozgraniczenia, odnowienia granic, usypania kopców, równa się téj części akcyi, *finium regundorum* która do miedzy granicznéj, do *fines vel spatium intra quinque pedes* odnosiła się, a która *sine observatione temporis*, bez względu na jakikolwiekbądź upływ czasu załatwiała się; słowem przedawnienia nie dopuszczała.

Do drugiéj zaś części akcyi *finium regundorum*, *de controversia locorum*, która przez sędziów, *judices*, podług wszelkich zasad prawa, azatém i z dopuszczeniem przedawnienia, rozpoznawaną była, zbliża się powództwo, jakie z mocy artykułu 3 i innych związkowych artykułów kodexu postępowania, po upływie prekluzyi possessoryjnéj tylko *in petitorio* wytoczone być może.

Lubo nie wiemy dokładnie, jakie to kwestye szczególne co do przedawnienia w sprawach granicznych w epoce od ustawy XII tablic, aż do kodyfikacyi Justyniana zachodziły, jednakże z porównania i toku historycznego tak przywiedzionych, jak innych źródeł prawa rzymskiego okazuje się widocznie, że w sprawach granicznych, *controversiam locorum* bejmujących, tak dwuletnie zadzierżenie nabywcze *in Italico solo usucapio ex lege XII tabularum*, jak 10cio lub 20-letnie przedawnienie, *longi temporis praescriptio, quo ad praedia provincialia ex edicto perpetuo* pretorów, były dopuszczalnemi.

Atoli Justynian idąc w ślad Valentyniana przez ustawę 5 kodexu *de actione finium regundorum*, zniósł powtórnie ową dwoistość akcyi granicznéj, *quo ad spatium pedum quinque*

i *quo ad controversiam locorum*, a nadto postanowił, że *in finali quaestione*, w sporach granicznych, jedynie 30stoletnie przedawnienie, *longissimi temporis praescriptio*, miejsce mieć będzie.

Tak z powyższego wywodu przedawnienia rzymskiego, jako też najszczególniéj z krążących w naszém prawnictwie ulotnych mniemań, czerpanych zapewne z kommentarzy francuzkich do kodexu Napoleona, wywija się jedna z najdrażliwszych kwestyj prawnych, jakie kiedykolwiek w toku procesów graniczno-windykacyjnych powstać mogły: czy w sprawach tych, podług prawa cywilnego obowiązującego, przedawnienie miejsce znajduje, a zwłaszcza które: czy tylko 30letnie, czy też i 10 lub 20-letnie, czyli ogólniéj mówiąc: jak dalece system przedawnienia z Kodexu cywilnego obowiązującego, w sprawach graniczno-windykacyjnych zastosowanie znaléźć powinien.

Kwestya ta, tylko urywkowo i ulotnie w rozmaitych sprawach granicznych podjęta i prawie zawsze prostemi twierdzeniami, bez głębszego rozbioru usunięta, nigdy przez prawnictwo nasze nie była rozważaną naukowo i teoretycznie, a nawet śmiało powiedzieć można, że dotychczas żadnego w tym względzie zdania ustalonego nie masz ani w praktyce sądowéj, ani w literaturze prawniczéj.

W trudnych kwestyach prawnych, prawnicy nasi zwykle posiłkują się jurisprudencyą kommentatorów francuzkich, szukając w nich punktu oparcia i początkowania. Idąc tym bitym torem, znachodzimy wprawdzie, że np. Toullier i Duranton, możność przedawnienia w sporach granicznych, jako zasadę stale uznaną przyjmują: lecz piérwszy z nich nadto, przywodząc oprócz prawników francuzkich przedkodexowych, legislacyą kodexową Justyniana, dodaje, że podług Kodexu cywilnego, *suivant le Code civil* sąsiad względem sąsiada, poza obręb swojego tytułu własności, posiadaniem trzydziestoletniém przedawniać może.

Ograniczenie to wszakże, powierzchownie li rzucone, nie ma podstawy legalnéj, niczém logicznie usprawiedliwić się nie da, i owszem sprzeciwia się systematowi przedawnienia z kodexu Napoleona. Albowiem nic nie upoważnia do poddania teoryi francuzkiego kodexu Napoleona, w moc rzymskiego kodexu Justyniana. Kodex ten wprawdzie służył redaktorom kodexu Napoleona w systemacie przedawnienia za główny wzór

do naśladowania, lecz ostatni, nie wyrzekłszy nic osobnego o przedawnieniu w sprawach granicznych, tém samém chciał miéć uważane przedawnienie w tym przedmiocie (art 2264) za ulegające ogółowi systematu przedawnienia, podług jego ścisłych konsekwencyj, bez rozerwania jego całości teoretycznéj.

Nadewszystko zaś zważyć potrzeba, że kodex Napoleona połączył w jednym i tymże samym artykule 2219 jako wstępnym, w tytule XX o przedawnieniu, dwa różne rodzaje przedawnienia, a mianowicie: możność *nabycia* własności przedmiotów nieruchomych, i możność *uwolnienia się* od poszukiwań osobistych lub rzeczowych i wyrzekł w art. 2262 *łącznie względem obu tych rodzajów przedawnienia*, że wszelkie powództwa, bądź o prawa rzeczowe, bądź o prawa osobiste, upływem lat 30 rozumié się *cywilnie* uważanych i obliczonych, przedawniać się będą, dodając, że broniący się tém przedawnieniem, nie jest obowiązany okazywać *swojego tytułu*, i że nawet zła wiara nie może mu być zarzuconą; potém zaś w dalszém konsekwencyjném rozwinięciu systematu przedawnienia, a mianowicie w artykułach od 2265 do 2269 wyrzekł, że nabywca *jakiéj* nieruchomości, jakiego przedmiotu nieruchomego (un immeuble), mocą formalnego tytułu własności, oraz dobrą wiarą początkową, nabywać będzie własności niewzruszalnéj przedawnieniem 10 lub 20 lat.

Otóż przepisy o 30-letniém przedawnieniu ściągają się nietylko do przedawnienia uwalniającego od poszukiwań, ale i do przedawnienia *nabywczego*, stanowiącego środek prawny nabycia własności przedmiotów nieruchomych: co tém bardziéj wątpliwém być nie może, ponieważ wzmianka o *tytule* czyli zwolnienie pozwanego od okazania *tytułu swojego* do niczego innego ściągać się nie może, jak tylko do tytułu własności nieruchoméj przez lat 30 *posiadanéj*.

System więc logiczny o nabywaniu własności przedmiotów nieruchomych, mocą przedawnienia z kodexu Napoleona, polega na następującém stopniowaniu, a mianowicie:

1. Kto nie ma formalnego tytułu własności, lecz posiadał przedmiot nieruchomy jawnie i spokojnie jako właściciel przez lat 30, ten będąc z samego prawa wolnym od zarzutów złéj wiary, uważanym jest za prawego i niewzruszalnego właściciela tegoż przedmiotu z mocy art. 2262.

2. Kto zaś nabył przedmiot nieruchomy mocą formalnego tytułu własności i dobrą wiarą początkową: ten już 10cio lub 20-letniém posiadaniem jawném i nieprzerywaném, staje się niewzruszalnym przedmiotu tego właścicielem, z mocy art. 2265.

Dwa stopniowe te przedawnienia nie mogą być rozerwane; jedno bez drugiego w duchu systematu kodexowego i jego logiki wewnętrznéj, istnieć nie może; nie można pominąć przedawnienia *nabywczego* trzydziestoletniego bez przedawnienia nabywczego 10cio lub 20-letniego, a tego ostatniego, bez piérwszego. To wynika tak z ogólnego trybu każdego prawodawstwa, jako dążącego samo przez się do powiązania szczegółów w jednozgodnie nastrojoną całość, z któréj następnie odpowiednie wnioski i skutki wyprowadzają się, jako też z wewnętrznéj organizacyi prawnéj dwóch tych stopni przedawnienia co do przeciągów czasu i towarzyszących im warunków. Ztąd więc, jako też z uwagi, że sprawy graniczne windykacyjne nie należą do przedmiotów artykułem 2,264 zpod tytułu XX o przedawnieniu wyłączonych, zastosowanie przedawnienia 30-letniego z artykułu 2,262, do tychże spraw, pociąga za sobą konieczność konsekwencyjną zastosowania do nich i przedawnienia 10cio lub 20-letniego z artykułu 2265, a to tém bardziéj, że tytuł własności co do ogółu dóbr, rozciąga się na wszystkie grunta, łąki, lasy, zarośla, pustkowia, uroczyska w granicach jawnych, widocznych, używalnych, posiadane, podobnież jak się hypoteka na wszystkie cząstki ziemi hypoteką obciążonéj rozciąga, i że błędném byłoby uważanie, jakoby przedawnienie z natury swojéj miało być złém koniecznem, środkiem niemoralnym w prawodawstwie li cierpianym. Owszem pojęcie przedawnienia jako sposobu nabycia własności, jest tak dawne jak pojęcie własności, a nawet w naturze rzeczy i w pierwiastkowém zawiązaniu społeczeństwa, piérwsze drugie poprzedza, stanowiąc niezbędny warunek nabycia własności. W oderwaném pojęciu, nie masz żadnéj zgoła własności bez przedawnienia, którego istota polega nietylko na upływie pewnego przeciągu czasu, jak to zwykle powierzchownie pojmują, ale raczéj na zbiegu trzech stanowczych przyczyn, a mianowicie: na posiadaniu, na upływie pewnego przeciągu czasu i na łożeniu pracy w posiadanie; do których po ustaleniu pewnego porządku krajowego i mnożeniu się posiadań pochodnych, przybywa jeszcze czwarta przyczyna prze-

dawnienia, a w szczególności niedbałość tego, który wcześniejsze swe posiadanie porzucił lub opuścił.

Kto nabył lub posiadł grunt jako właściciel i przez znaczny przeciąg czasu go uprawiał jawnie, widocznie i spokojnie; kto w grunt ten wkładał swą pracę i zasoby, swe znoje i trudy, ponosił przygody, podniósł gospodarstwo i dla swego i dla ogólnego ekonomicznego użytku: ten nie może być poczytany za dopuszczającego się czynu niemoralnego, za podpadającego złéj wierze; owszem to zła wiara, co ziemię opuszcza, zaniedbuje, miedzy granicznéj nie pilnuje, wałęsając się po świecie marnowaniem majątku, czasu i zdrowia.

Jeżeli w dawniejszych wiekach, tém bardziéj w dzisiejszym stanie społeczeństwa i prawodawstwa każdy aż nadto dosyć ma czasu do pilnowania i poszukiwania granic używalnych w przeciągu lat 30 albo 10ciu i 20stu.

Po upływie tylu lat zawsze trudniéj o dowody prawne z jednéj lub drugiéj strony, bądź z powodu ich zawieruszenia, bądź z powodu zaszłych śmierci i przechodzenia nieruchomości od osób do osób, bądź z powodu zmian miejscowych.

Takito wszechstronny jest wątek przedawnienia: i dlatego zasady i przepisy obowiązującego kodexu o przedawnieniach są i sprawiedliwe i trafne, a ztąd i łączna moc obowiązująca artykułów 2262 i 2265 Kodexu cywilnego w sprawach graniczno-windykacyjnych jest usprawiedliwioną.

O różnicy względem lat 10 lub 20 ściągającéj się do rozkładu sądów cywilnych we Francyi, gdzie jest 27 sądów apellacyjnych: aby jéj nadać właściwsze zastosowanie w kraju tutejszym, u nas nie pomyślano, pomimo ustanowienia jednego tylko sądu apellacyjnego na obręb całego kraju; u nas więc podług literalnego brzmienia prawa, zawsze 10letnie przedawnienie byłoby dostatecznem przy posiadaniu formalnego tytułu własności i dobréj wierze początkowéj, chybaby prawdziwy właściciel mieszkał za granicą. W duchu jednak prawa i rozkładu miejscowego sądów, sądy krajowe powinnyby różnicę tę, zamiast do sądu apellacyjnego, zastosować do różnych obwodów trybunałów cywilnych Iszéj instancyi i przyjąć 10-letnie przedawnienie, jedynie w tym przypadku, jeżeli nabywca i prawdziwy właściciel mieszkają w obrębie jednego i tegoż samego trybunału cywilnego I instancyi, i w nim nie-

ruchomość jest położona; co w danych okolicznościach nie byłoby bynajmniéj wkroczeniem w zakres władzy prawodawczéj, lecz trafném zastosowaniem prawdziwéj woli prawa.

Przedawnienie nabywcze kodexowe, stawione być może przeciwko wszelkim powództwom graniczno-windykacyjnym, bez względu na to, czy będzie dochodzony kontrowers graniczny z dawnych dokumentów wywodzony, czy będą zaskarżone czyny naruszenia granic i przywłaszczenia gruntu w ostatnich okresach lat 10, 20 lub 30; bo przedawnienie nabywcze, które warunkom prawa odpowiada, jest tytułem stanowczym nabycia niewzruszalnéj własności, który wszelkie inne tytuły prawne, a tém samém i powództwo graniczno-windykacyjne wyklucza i niweczy.

Jeżeli więc pozwany, w odparciu powództwa powołuje się na przedawnienie lat 10, 20 lub 30 i to udowodnić oświadcza, wtedy wszelkie środki proceduralne i dowodowe zaczynać należy od sprawdzenia najpoźniejszego stanu posiadania, nie zaś od prowadzenia duktów i reduktów granicznych podług dokumentów, trzema, dwoma lub jednym wiekiem obciążonych: bo na cóż przydadzą się te przedwczesne, a nawet urojone i naciągane dukta i redukta, z wielkim mozołem i kosztem dokonywane, skoroby się następnie okazało, że pozwany sąsiad posiadał grunta sporne w granicach jawnych, widocznych, używalnych, spokojnie bez legalnéj przerwy przez lat 10 lub 20 na zasadzie formalnego tytułu własności i dobréj wiary początkowéj, albo przez lat 30 w niedostatku formalnego tytułu: gdy po udowodnieniu przedawnienia nabywczego, wypadnie pozostawić własność gruntu spornego pozwanemu, przy oddaleniu wymagań powoda.

Odnośnie do powództw graniczno-windykacyjnych, opartych na dokumentach z epoki Jagiellonów, Wazów, Sasów, przypomnieć tu należy, że najczęściéj niepodobna dokładnie sprawdzać duktów granicznych przed trzema, dwoma lub jednym wiekiem, a nawet i w ciągu ostatniego wieku poprowadzonych, a zatartych, tak dla fizycznych jak umysłowych przyczyn: ponieważ miejscowość co do pól, lasów, łąk, ogrodów, dróg, koryta rzek strumieni, strug, często nawet co do osad lub wsi, przez wojny zewnętrzne i domowe, przez najazdy, pożary, wylewy rzek lub inne przypadłości większéj siły, przez niedbałość dziedziców lub pożerczy ząb czasu, ule-

gła zmianom niedozwalającym wykrycia śladów granic dawnością pokrytych; ponieważ następnie ku udowodnieniu szczegółów miejscowości lub kierunku duktów i granic zatartych, nie ma świadków takich, jakich prawo cywilne i zdrowy rozum wymagają, którzyby na własne oczy widzieli, na własne uszy słyszeli, a to co słyszeli lub widzieli dobrze w pamięci zachowali. Wszelki system dowodowy potępia wątłą tradycyą.

W każdym zaś razie, bądźto że powództwo polegać będzie na dawnych dokumentach, bądźto na zarzutach zaboru gruntu w ostatnich okresach, potrzeba w piérwszym przypadku, ażeby byt kontrowersu granicznego, jego położenie i obszerność, dowodnie w miarę brzmienia dokumentów był wykazywany; w drugim, zarzucenia wprost i bezpośrednio czynów zaboru gruntu, ażeby obok podania wielkości spornego gruntu przybliżonym przynajmniéj sposobem, wyraźnie wyszczególnionemi były czyny zaboru gruntu co do czasu i miejsca, przy gotowości udowodnienia ich badaniem z świadków: albowiem powództwa, gołosłownie, na próbę wygranéj lub przegranéj wypuszczone, wprost odrzuconemi być powinny: zwłaszcza, że pozwany będąc niespodzianie pociągany przed sądy, nie jest przygotowanym do silnego odparcia pozornych twierdzeń powoda, który po przeszperaniu starych archiwów i odkryciu w nich przypadkowo kilkowiecznych szczątków piśmiennych, napomykających o dawnych śladach granicznych między sąsiedniemi dobrami ziemskiemi, pragnie na ich podstawie wzruszyć ciągłą od niepamięci ludzi używalność granic i wikłaniem toku procesu, mocą przesądów prawniczych lub urojonych prawd, dopiąć grabieży prawniczéj gruntów, których może nawet, kupując ogół dóbr w granicach pewnych używalnych, za odpowiednią cenę szacunkową, w rzeczy saméj ani kupił, ani zapłacił. Płochych powódzców w sprawach graniczno-windykacyjnych już za imperyum rzymskiego znano, gdyż cesarz Walentynian, przy znoszeniu dwoistości akcyi *finium regundorum* nazwał ich *improbi petitores.*

Żywotną podstawą przedawnienia nabywczego jest posiadanie przedmiotu spornego. Ztąd więc uzasadnienie przedawnienia nabywczego przeciwko powództwu graniczno-windykacyjnemu, zawisło od stanu posiadania gruntu pod spór graniczny podanego. Kto w odparciu takiego powództwa na przedawnienie nabywcze powołuje się, powinien znajdować się

w posiadaniu gruntu spornego: inaczéj o zastosowaniu przedawnienia mowy być nie może. Ważną więc jest rzeczą poznać, na czém *posiadanie*, dopuszczające możność przedawnienia nabywczego, polega.

Dobra ziemskie, któreby po téj lub owéj ścianie nie miały granic kopcami lub innemi wyraźnemi znakami granicznemi *bornes*, ubezpieczonych, mają wszelako granice jawne, używalne, z obu stron strzeżone lub cierpiane. Jawności téj i używalności cechą stanowczą jest dzierżenie lub używanie wyłączne przyległych gruntów, łąk, lasów i tym podobnych posiadłości lub nomenklatur nadgranicznych.

Na takichto granicach jawnych, używalnych, czyli jak je w powszechności nazywają, granicach *naturalnych* między dobrami ościennemi *istniejących*, polega *posiadanie*, dopuszczające możność przedawnienia nabywczego. Posiadanie więc w celu nabycia niewzruszalnéj własności gruntu spornego granicznego, czyli kontrowersu granicznego, wymaga *bytu granic jawnych używalnych* czyli tak zwanych granic naturalnych. Posiadanie zatém granic jawnych, używalnych, wyłącznie i bez przerwy prawnéj przez lat 10 lub 20 albo 30, według odpowiedniego tytułu własności co do ogółu dóbr, nadaje dzierżącemu niewzruszalną własność gruntów położonych w obrębie tychże granic używalnych. Każdy bowiem z dziedziców dóbr ościennych, ulega przepisom i skutkom przedawnienia, bądź na swą korzyść, bądź na swój uszczerbek, licząc od dnia, w którym możność przedawnienia przedmiotu spornego, przez jednego z nich, początek swój wzięła.

Lecz co do cechy zewnętrznéj granic używalnych czyli naturalnych i czerpanego z nich stanu posiadania, może niekiedy nastręczyć się szczególna trudność miejscowa w tém, że graniczący z sobą dziedzice, wzbraniali sobie nawzajem używania gruntów nadgranicznych, zwłaszcza zaś lasów aż do pewnych krańców, tak, że środkowe przestrzenie gruntu lub lasu od niepamięci ludzi pozostały gruntem, że tak rzekę neutralnym, przez nikogo nieużywanym, jakoby *res nullius*. W takim przypadku żaden z sąsiadów nie mógłby się na wyłączność posiadania powoływać i nie miałby podstawy prawnéj do przedawnienia nabywczego: nie pozostawałoby więc jak w duchu prawodawstw: rzymskiego, pruskiego i austryackiego, sporną przestrzeń gruntu, po połowie sąsiadom rozgraniczającym się wy-

dzielić, zwłaszcza że i prawo o normalném rozgraniczeniu z r. 1818, acz nie doszło do wykonania i za upadłe uważaném być powinno, w art. 67 upoważniło sądy do uskutecznienia podziału po połowie lub stosunkowo, we wszelkich tego rodzaju wypadkach, i że podobnież Toullier za tą zasadą przemawia, przywodząc: „si les deux voisins ont des titres, mais qui ne fixent point l'etendue de leurs portions, il faut partager également et par moitié, *toujours en supposant*, qu'il n'y *a pas de possession contraire bien caracterisée*" (1).

Jeżeli dotąd w sprawach graniczno-windykacyjnych pospolita praktyka prawnicza, teoryą przedawnienia kodexowego nazbyt mało ważyła, tém bardziéj zarzut ten ciążyć ją powinien we względzie *prekluzyi prawnéj*, ustawą hypoteczną krajową z r. 1818 ustanowionéj, która przeciąwszy ogólnie i raz na zawsze, co do wszelkich praw rzeczowych, *bezpośrednią* moc dowodową z dawnych dokumentów czerpaną, tém samém i powództwom o kontrowersa graniczne dawne, pewną tamę położyła.

Prekluzya ta, acz tak ogólna i stanowcza, prawie nie jest znaną prawnikom naszym w stosunku do spraw graniczno-windykacyjnych, może i dlatego, że jako w materyi prawnictwa właściwego krajowego, prawu ogólnemu francuzkiemu nieznanego, nie mogliśmy się posiłać pożyczaniem jurisprudencyi urywkowéj, porządkiem artykułów prowadzonéj, od kommentatorów francuzkich.

Wstępujemy więc na pole krajowéj wyłącznie jurisprudencyi, w kwestyach może ważniejszych od teoryi przedawnienia, w stosunku do spraw o kontrowersa graniczne z dawnych dokumentów wywodzone.

Ustawa hypoteczna z roku 1818, nakazawszy objawienie stanu hypotecznego dóbr ziemskich i w tym celu urządziwszy pierwiastkową regulacyą wszelkich praw rzeczowych, a mianowicie własności, służebności, ciężarów wieczystych i hypotek, włożyła na dziedziców obowiązek objawienia wszelkich dokumentów dawnych co do własności i innych wymienionych praw rzeczowych, w ustanowionych terminach (art. 145) *pod prekluzyą*, któréj skutki prawne obwarowała w art. 154 podług następującego brzmienia dosłownego:

(1) Toullier tom II nr. 176, pod napisem: drois de bornage.

„Każdy z interesowanych w art. 151 wymienionych, któryby się nie zgłosił w dniu oznaczonym, a najpoźniéj przed upływem czasu prekluzyi, uważanym jest *jakoby się zrzekł prawa rzeczowego. Prawo jego stanie się osobistém* w ten sposób, iż może być w każdym czasie wykonaném przeciw temu, który był osobiście obowiązanym, lub jego sukcessorom uniwersalnym; lecz nie może być wniesioném do ksiąg hypotecznych, gdyby już dobra przeszły *w ręce trzeciego*; a choćby się jeszcze znajdowały w ręku osobiście zobowiązanego, wciągnienie do ksiąg hypotecznych nie może szkodzić ani zabierać pierwszeństwa temu, który uzyskał wpis poprzedzający.

Artykuł ten wymaga wszechstronnego wyjaśnienia i tłumaczenia.

Żadnéj wątpliwości nie ulega, że kontrowers graniczny, znamionując grunt na granicy ościennych dóbr ziemskich położony, którego własność między niemi jest sporną, należy do kategoryi praw rzeczowych; że mianowicie zawiera w sobie pojęcie najistotniejszego prawa rzeczowego, jakiém jest własność, *dominium, propriété.*

Ustawa hypoteczna przyjąwszy trzy główne zasady systematu hypotecznego, a między niemi piérwszą o zniesienie wszelkich tajnych praw hypotecznych „aby każdy przeglądający księgę hypoteczną mógł z niéj wyczytać *wszystkie wiadomości*, które się dotyczą bądź własności, bądź ich obciążenia, oraz uznawszy zasadę tę za tak stanowczą, iż jéj *w jakimbądź szczególe osłabić* nie chciała, gdyż inaczéj nikt z bezpieczeństwem nie mógłby kupować dóbr, pożyczać summ lub nabywać kapitałów hypotekowanych (1): a na zasadzie tych pobudek wyrzekłszy w art. 147 i 151 „że każdy właściciel dóbr powinien przed upływem prekluzyi złożyć dowody, na których opiera się *jego prawo własności*; że każdy któryby sądził miéć lepsze lub równe prawo *do własności dóbr, lub jakie prawo rzeczowe, ściągające się do gruntu*, obowiązanym jest zgłosić się w czasie prekluzyjnym i złożyć *dowody oryginalne* na poparcie swego prawa:" tém samém objęła i własność do kontrowersu granicznego roszczoną i poddała niestawającego z dokumentami swemi względem *kontrowersu granicznego* skutkom prekluzyi w art. 154 przewidzianym.

(1) Dyaryusz sejmowy z. r. 1818 tom II, str. 77 na końcu.

Lubo rozporządzenie powołanego artykułu o skutkach prekluzyi, mogłoby być uważane za nazbyt zwięzłe; jednakże po głębszém rozebraniu i rozważeniu wszelkich szczegółów, uznać należy, że w niém widocznie objęte są dwie kategorye prekluzyi: stanowiąc, że dziedzic któryby się przed upływem terminu prekluzyjnego nie zgłosił i dokumentu czyli prawa rzeczowego w nim objętego, nie objawił, uważanym będzie, jakoby się zrzekł prawa rzeczowego, a prawo jego stanie się *osobistém*, z tą wszelako różnicą:

a) że jeżeli po upływie terminu prekluzyjnego, dobra ziemskie których stan hypoteczny uregulowanym został, przeszły w ręce *trzeciego*: prawo rzeczowe prekludowane do ksiąg hypotecznych wniesioném być nie może;

b) jeżeli zaś dobra te pozostały w ręku tego, który był osobiście obowiązanym lub jego sukcessorów uniwersalnych, prawo prekludowane może być w każdym czasie przeciw niemu lub nim, *wykonaném*, atoli bez ujmy pierwszeństwa innym wcześniejszym wpisom.

Możnaby wprawdzie przeciwko osnowanéj tu różnicy dwóch kategoryj prekluzyi zarzucić, że podług literalnego porządku treści artykułu 154 i w piérwszéj kategoryi, pomimo przejścia dóbr w ręce trzeciego *wykonanie* (jakie? w jaki sposób? jaką drogą?) przeciw osobiście obowiązanemu lub jego sukcessorom uniwersalnym, jest dozwolone: lecz zarzut ten byłby płonnym, zważywszy: że wykonanie prawa rzeczowego prekludowanego i w prawo osobiste przemienionego, za przejściem dóbr w ręce trzeciego, staje się niepodobném wedle brzmienia samego prawa warującego, że prawo rzeczowe prekludowane, do *ksiąg hypotecznych* wniesioném być *nie może*, oraz, że ustawa hypoteczna, żadnéj akcyi osobistéj przeciwko trzeciemu nabywcy o dopuszczenie jakichkolwiekbądź czynności sądowych na jego gruncie, nie pozostawiła.

Z ducha więc powyższego artykułu, jako téż artykułu 160, warującego, że niezgłoszenie się stron w terminie prekluzyjnym, *umacnia* prawa zgłaszających się, niemniéj z spostrzeżeń powyższych, wypływa stanowczo ta zasada: że w piérwszéj kategoryi prekluzyi, za przejściem dóbr hypotecznie uregulowanych w ręce trzeciego, *prekluzya* pociąga za sobą zupełną, absolutną, bezwarunkową utratę prawa rzeczowego prekludowanego; że więc tém samém nietylko przeciwko trzecie-

mu nabywcy, ale i przeciwko pierwiastkowemu właścicielowi hypotecznemu, lub jego sukcessorom uniwersalnym, żadne powództwo ani realne (*in rem*), ani osobiste (*in personam*) miejsca nie znajduje; że w zastosowaniu przepisów art. 154, 160, 151 do prawa rzeczowego, którego przedmiotem jest własność kontrowersu granicznego, wszelkie dokumenta lub manifesta graniczne dawne, przed upływem prekluzyi hypotecznie nieprodukowane, w téj kategoryi stanowczo są prekludowanemi, i ani do wytoczenia jakiéjkolwiekbądź akcyi nie upoważniają, ani do żadnego użytku prawnego służyć, ani żadnego skutku prawnego przynosić nie mogą; czyli innemi słowy: że początkowanie spraw graniczno-windykacyjnych z dokumentów dawnością zapadłych, z epoki Jagiellonów, Wazów, Sasów i z epok poźniejszych, prekluzyą prawną hypoteczną przeciętych, skoro dobra ziemskie z rąk pierwiastkowego właściciela hypotecznego lub jego sukcessorów, w ręce trzeciego przeszły, jest bezwarunkowo niedopuszczalném.

W drugiéj kategoryi prekluzyi prawnéj z art. 154, gdy dobra ziemskie hypotecznie uregulowane, pozostały w ręku pierwiastkowego właściciela lub jego sukcessorów, czyli ściśléj brzmieniem samego prawa mówiąc, w ręku tego, który był osobiście obowiązanym lub jego sukcessorów, (mogłaby bowiem kwestya powstać, kto rzeczywiście w miarę rozmaitych prawodawstw przechodnich, w czasie pierwiastkowéj regulacyi hypotek powodowi był osobiście obowiązanym względem prekludowanego dokumentu czyli prawa rzeczowego w nim objętego) nasuwa się samo z siebie pytanie, na czém prekluzya prawem wyrzeczona polega? jaki skutek prawny prekluzya tak względem niezgłaszającego jak względem zgłaszającego się, za sobą pociąga?

W celu rozwiązania tego pytania, zważyć potrzeba nadewszystko, że ustawa hypoteczna w obu kategoryach prekluzyjnych art. 154, uważając niestawającego w ostatecznym terminie prekluzyjnym, za zrzekającego się jakoby prawa rzeczowego, mniemane prawo jego, w prawo osobiste przeistoczyła, prawu jego tylko naturę i moc prawom osobistym właściwą, *actionem in personam*, pozostawiła. Skutkiem więc takiéj przemiany prawa, któraby w prawie rzymskiém *fictionem juris* stanowiła, występujący po upływie terminu prekluzyjnego z dokumentami prekludowanemi, przeciwko pierwiastkowemu właścicielowi hy-

potecznemu lub jego sukcessorom, nie może być dopuszczony do bezpośredniego użycia tych środków prawnych, które wyłącznie do ubezpieczenia praw rzeczowych spornych służą; nie może być zatém dopuszczony do bezpośredniego z art. 159, lub drogą illacyjną z art. 137, wniesienia sporu czyli ostrzeżenia względem mniemanego prawa rzeczowego do ksiąg hypotecznych; lecz wolno mu jedynie wytoczyć akcyą główną osobistą, *actionem in personam* przeciwko pierwiastkowemu właścicielowi hypotecznemu lub jego sukcessorom, a następnie dopiéro z procesu *kontradyktoryjnego*, uzyskawszy wyrok trybunału cywilnego I instancyi, oczny lub zaoczny, którymby mu poszukiwane prawo rzeczowe np. własność kontrowersu granicznego była przysądzoną, nie czekając prawomocności wyroku, kontrowers ten, jako sądownie przyznany, stosownie do art. 138 ustawy hypotecznéj wnieść do ksiąg hypotecznych sposobem ostrzeżenia: inaczéj bowiem prekluzya prawa uroczysta i przemiana prawa rzeczowego w prawo osobiste, w artykule 154 ustanowiona, nie miałaby najmniejszego zgoła skutku prawnego.

Nastręcza się tu wprawdzie zarzut, że pierwotny właściciel hypoteczny lub jego sukcessorowie, nim wyrok oczny lub zaoczny piérwszéj instancyi sądowéj zapadnie, sprzedać może dobra w granicach jawnych używalnych trzeciemu i tym wybiegiem, realne odzyskanie kontrowersu granicznego udaremnić; lecz zarzut taki nie ma za sobą przeważających pobudek, raz dlatego, że powodowi, którego prawo wciąż jest nader wątpliwe, zawsze pozostaje możność poszukiwania wynagrodzenia szkód wszelakich na wszelkim majątku pierwotnego właściciela, lub jego sukcessorów; powtóre dlatego szczególniéj, że przy uwzględnieniu mniemanych lub urojonych praw powoda z jednéj strony, a z drugiéj ustalonych mocą legalnego postępowania hypotecznego praw pozwanego (art. 160) dozwolenie opieszałemu powodowi, ostrzeżenia wprost z dokumentów prekludowanych, bez poprzedniego procesu kontradyktoryjnego, z *uznanym* właścicielem hypotecznym, byłoby *zaprzeczeniem, cofnięciem, udaremnieniem prekluzyi prawnéj.*

W sprawach graniczno-windykacyjnych, zastosowanie prekluzyi z art. 154 ustawy hypotecznéj z r. 1818, zależy od *stanu posiadania* kontrowersu granicznego. Prekluzya bowiem

z art. 154 względem praw rzeczowych, przed upływem terminu prekluzyjnego nie objawionych, przypuszcza w osobie uznanego właściciela hypotecznego dóbr, posiadanie przedmiotu, do którego prekludowane prawo się ściąga, a w szczególności, skoro się do własności spornéj granicznéj ściąga posiadanie kontrowersu granicznego.

Posiadanie to wszakże nie wymaga bynajmniéj tych warunków, jakich podług art. 2229 do przedawnienia potrzeba: dostatecznem jest, w duchu art. 2228 Kod. cyw. i 23 Kod. postępowania cywilnego, *posiadanie rzeczywiście wykonywane* pod tytułem właściciela hypotecznego w chwili przeniesienia dóbr na trzeciego.

Skutkiem więc nabycia dóbr przez trzeciego od uznanego właściciela hypotecznego, przenoszącego ich posiadanie w granicach *jawnych używalnych*, w których kontrowers graniczny się mieści: trzeci nabywca, staje się natychmiast niewzruszalnym właścicielem ogółu dóbr i połączonego z niemi kontrowersu granicznego.

Gdyby zaś pierwiastkowy właściciel lub jego sukcessorowie, pozostali w posiadaniu dóbr i połączonego z niemi kontrowersu granicznego: w takim przypadku wprawdzie prekluzya (art. 154, 160, 21) sama z siebie nie nadaje im prawa niewzruszalnéj własności, lecz im nic nie przeszkadza do uzupełnienia przedawnienia nabywczego od dnia, w którym możność przedawnienia początek swój wzięła.

W tłumaczeniu przepisów ustawy hypotecznéj, w poznawaniu ich celu i zamierzonego skutku, nigdy nie można spuszczać z uwagi praw trzeciemu nadanych. Ubezpieczenie praw trzeciego jest żywotnym wątkiem całego systematu hypotecznego krajowego, a wcześniejszość wpisu lub ostrzeżenia hypotecznego, nadaje pierwszeństwo do całkowitego zaspokojenia. Zasady te przenikają wszelkie rozporządzenia ustawy hypotecznéj, we wszelkich szczegółach się objawiają. Jakoż i końcowe zastrzeżenie w art. 154 o prekluzyi jest tego dowodem, głosząc, że prawo własności lub inne prawo rzeczowe prekludowane, ustąpić musi przed prawem rzeczowém wcześniéj wpisaném. Ztąd też wierzyciele hypoteczni z swemi długami, zabierają pierwszeństwo mieniącemu się właścicielem kontrowersu granicznego, który dopiéro późniéj z swemi dokumenta-

mi się zgłosił. Tak ztąd, jako też z art. 47 ustawy hypotecznéj, stanowiącego, że hypoteka z *natury* swojéj utrzymuje się na *każdéj* i na *wszelkiéj* części dóbr, hypoteką obciążonych, wynika, że bezpieczeństwo długów wcześniéj wpisanych nie może być zmniejszane *oderwaniem od ogółu dobr nieostrzeżonego w swoim czasie kontrowersu granicznego*, chociażby dobra znajdowały się w ręku pierwiastkowego właściciela hypotecznego lub jego sukcessorów; niemniéj, że zyskujący przysądzenie kontrowersu granicznego, poprzestać musi na wynagrodzeniu z szacunku dóbr, pozostałego po zaspokojeniu wszystkich wcześniejszych wpisów hypotecznych. Konieczność tych następstw, wynikających z art. 154, okazałaby się najwidoczniéj w przypadku, gdyby dobra długami przeciążone na subhastacyą były wystawione, końcem podania szacunku licytacyjnego pod klassyfikacyą. We wszelkich zaś innych przypadkach, zejście się prawa własności kontrowersu granicznego, z długami hypotecznemi lub innemi prawami rzeczowemi, nasuwałoby w ostatecznych skutkach swoich dziwne trudności, gdy np. wierzyciel hypoteczny wcześniejszego długu, acz niewyczerpującego wartości dóbr, miałby niewątpliwe prawo sprzeciwiania się rzeczywistemu oderwaniu przysądzonego ościennym dobrom kontrowersu granicznego wprzód, nimby jego dług w zupełności był zapłaconym. Ztąd wreszcie okazuje się, że zasada podciągająca różnorodne prawa rzeczowe pod równe prawidła pierwszeństwa hypotecznego, sama z siebie trudne do pokonania zawiłości praktyczne wywołuje.

Zdarza się, że pozwany o kontrowers graniczny, w jego wyłącznem posiadaniu będący, zarzuca powodowi brak tytułu lub legitymacyi w tém znaczeniu, że mu wprawdzie nie zaprzecza tytułu własności co do ogółu dóbr, lecz że sam ten tytuł, bądź kontrakt kupna i sprzedaży, lub akt darowizny, lub akt działów familijnych, bądź przysądzenie publiczne *adjudicatio*, nie upoważnia go do procesu o kontrowers graniczny.

Zarzut ten leży za obrębem zarzutów z prekluzyi normalnéj hypotecznéj lub z przedawnienia, czerpanemi być mogących; nie narusza głównego tytułu własności dóbr, powodowi rzeczywiście służącego, lecz ogranicza się na zaprzeczeniu powodowi tytułu nabycia kontrowersu granicznego.

W jego rozbiorze i ocenieniu, prawnictwo nasze nazbyt wiele ogólnikom pobłaża, przekraczając częstokroć granice ty-

tułem nabycia dóbr wytknięte i zapominając, że jurisprudencya polega nie na grze losowéj, ale na ścisłéj rachubie matematycznéj i geometrycznéj.

Należałoby wszakże przy hołdowaniu światłu sprawiedliwości, przyznać przewagę prawną następującym zasadom:

Kto posiada to wszystko, co mu jego tytuł nabycia dóbr nadaje, ten nie ma prawa upominać się o to u sąsiada swojego, coby tenże nad swój tytuł własności mógł posiadać. Zasada ta jest tak ogólną i prawdziwą, iż żadnego usprawiedliwienia nie potrzebuje. Wszakże zbytecznem nie będzie dodać, że jeden z celniejszych prawników francuzkich, a mianowicie *Duraton* przywodzi ją nawet w zastosowaniu do tych przypadków, w których z powodu sporu granicznego, rozmiar obudwu gruntów czyli raczéj majętności, nastąpił, mówiąc.... „s'il se trouve que l'un de voisins, a plus de terrain que l'en ne portent ses titres mais que l'autre (powódzca) ait tant ce que ses titres lui donnent, il n'y a pas lieu pour cela au partage de l'exident qu'a le premier (pozwany)" III, 81, nr. 260.

Jakoż zdrowy rozum naucza, że kto nabywszy dobra ziemskie w pewném ograniczeniu, w granicach używalnych i w tych je posiada podobnież jak jego poprzednik, ten nie ma *tytułu początkowego* do żądania obszerniejszych granic przeciwko trzeciemu, chybaby tytułem nabycia dóbr miał sobie wyraźnie przekazany spór graniczny o większą przestrzeń ziemi, do nabytych dóbr należéć mającą.

Albowiem zwykła formuła sprzedaży i nabycia dóbr *cum attinentiis et pertinentiis*, z przyległościami i przynależytościami, lub inne ogólniki w kontraktach lub warunkach licytacyjnych znachodzone, nie upoważniają ani usprawiedliwiają bynajmniéj możności prawnéj do poszukiwania kontrowersu granicznego, raz dlatego, że dawnym polskim zwyczajem, kontrowersa graniczne w kontraktach i układach milczkiem i skrycie puszczane nie były; powtóre dlatego, że pod znaczenie przyległości i przynależytości nic innego podciągać się nie da, jak tylko to wszystko, co zbywca dóbr w chwili sprzedaży rzeczywiście pod tytułem właściciela, w granicach używalnych posiadał; potrzecie dlatego, że powołana formuła nie mając żadnéj podstawy w przepisach obowiązującego kodexu cywilnego o kontrakcie kupna i sprzedaży, nie może być rozciągniętą na grunta w cudzém co do własności posiadaniu będące; po-

czwarte, że kontrowers graniczny z dawnych dokumentów wywodzony, z natury swojéj stanowi *wyosobniony* z ogółu dóbr *przedmiot sporny*, który jako proces wiszący, jako prawo sporne, w duchu Kodexu cywilnego, a mianowicie artykułu 1689 i następnych, w szczególności zaś artykułów 1699, 1700 i 1597 *wyraźnie wytknięty*, wyraźnie sprzedany, cedowany lub przekazany być powinien; inaczéj, skoro kontrowers graniczny nie był wyraźnie przedmiotem sprzedaży lub cessyi, nabywca dóbr nie może być uważny za nabywcę, cessyonaryusza kontrowersu, sporu, procesu granicznego, i nie może być uznany za posiadającego tytuł prawny początkowy do wytoczenia sprawy o kontrowers granczny, którego nawet ślady po różnych kolejach dawnego procesu, znikły w niepamięci ludzi.

Co do ostrzeżeń hypotecznych w sprawach graniczno-windykacyjnych: te wprawdzie tyczą się prawa własności nieruchoméj, a tém samém, w myśl art. 137 ustawy hypotecznéj i warunków w nim przewidzianych, miałyby miejsce: lecz nigdy nie mogą być dozwalane bezpośrednio, drogą illacyi z tegoż artykułu, na podstawie dawnych dokumentów granicznych z epoki Jagiellonów, Wazów, Sasów, ani z epok poźniejszych, postępując aż do terminów prekluzyjnych normalnych, artykułem 145 Ustawy hypotecznéj ustanowionych: a to z powodu skutków do prekluzyi normalnéj, wedle art. 154 téjże Ustawy przywiązanych, jak to już wyżéj wyjaśniono.

Skutkiem normalnéj prekluzyi i jéj koniecznych następstw, w przypadku przejścia dóbr z kontrowersem granicznym w ręce trzeciego, mocą legalnego postępowania hypotecznego, żadne wniesienie do ksiąg hypotecznych, żadne ostrzeżenie z dokumentów prekludowanych miejsca mieć nie może, nietylko przeciwko trzeciemu, ale i nawet przeciwko pierwiastkowemu właścicielowi hypotecznemu lub jego sukcessorom.

W przypadku zaś pozostania dóbr z kontrowersem granicznym w ręku pierwiastkowego właściciela hypotecznego lub jego sukcessorów, ostrzeżenie mogłoby być dozwolone, lecz jedynie na zasadzie wyroku w postępowaniu procesowém kontradyktoryjném osiągniętego, któryby kontrowers graniczny powodowi przysądził.

W przypadkach tych, w którychby kontrowers graniczny nie mógł być uważany za będący w wyłącznem posiadaniu jednego z sąsiadów, lecz był położony pomiędzy granicami uży-

walnemi dóbr sąsiednich jakoby *res nullius*: podobnież żadnemu z sąsiadów nie mogłoby być dozwolone żadne przedwczesne ostrzeżenie, ponieważ dawne dokumenta graniczne, na któreby się strony powoływać mogły są prekludowane i prawa niemi objęte, za osobiste uważane. Nie pozostawałoby więc stronom, jak postąpić sobie drogą wyżéj wskazaną przez wytoczenie akcyi głównéj graniczno-windykacyjnéj i uzyskanie przedewszystkiém wyroku w celu podania go w miarę przysądzenia kontrowersu, do ostrzeżenia na mocy artykułu 138 Ustawy hypotecznéj.

Wszelkie naruszenia granic w ciągu ostatnich lat 30, lub 20, lub 10 nastąpione, któreby dowodami pismiennemi poparte być nie mogły, podobnież nie upoważniają do żądania ostrzeżenia illacyjnego z artykułu 137 ustawy hypotecznéj. Potrzeba przedewszystkiém udowodnienia czynów naruszenia granic, tak co do czasu, jako co do przestrzeni gruntu i jéj położenia; potrzeba zatém wyroku kontradyktoryjnego, ażeby gołosłowne lub upozorowane zarzuty i oparte na nich roszczenia, nie odniosły ubezpieczenia bez poprzedniczego właściwego udowodnienia, zwłaszcza, że w duchu pobudek prawodawczych, przepisom artykułów 137 i 138 Ustawy hypotecznéj przewodniczących, ostrzeżenia hypoteczne, bądźto względem osobistych, bądźto względem rzeczowych praw, nie na domysłach, lecz na wysokiém podobieństwie prawdy, a w szczególności na domniemaniach pismiennemi dowodami popartych, uzasadnione być mają i powinny.

Obok zasad tych danych lub wywiedzionych, które dopuszczaniu ostrzeżeń hypotecznych co do kontrowersów granicznych z dokumentów prekludowanych zawadzają, nie można pominąć, jak to już nadmieniono, uwzględnienia wierzycieli hypotecznych, którym zapewnione artykułem 154 pierwszeństwo bezpieczeństwa hypotecznego, oderwaniem części dóbr pod pozorem kontrowersu granicznego, uszczuploném być nie może.

Co się tyczy żądań wynagrodzenia szkód wszelakich za użytkowanie z kontrowersu granicznego dawnego, lub nawet za nowsze przywłaszczenie gruntu na granicy położonego, te do rzędu roszczeń osobistych, *ad actiones personales* należą, i nigdy żadnym wyrokiem illacyjnym do ostrzeżenia hypotecznego dopuszczone być nie powinny.

Mniemam, że wyłuszczone w wywodzie tym zasady prawa, lub prawidła postępowania, trafniéj i ściśléj przepisom lub duchowi kodexów i ustaw prawa cywilnego obowiązującego, odpowiadają, aniżeli dotychczasowa w wielu przypadkach panująca rutyna czyli praktyka graniczno-prawnicza; niemniéj, że zasady te, lub wywiedzione z nich następstwa, z wyższego stanowiska krytycznego uważane i ocenione, tylko rzeczywistym wymaganiom i warunkom sprawiedliwości, hołdują; że nakoniec ich przestrzeganie, może ogół dziedziców dóbr ziemskich ochronić od normalnéj, że tak rzekę klęski procesów graniczno-windykacyjnych, pozostawiając ich rozmyślaniu raczéj swobodę w rozwijaniu rolnictwa, przemysłu i kredytu powszechnego, jak szermierstwo wykwintnych kwestyj prawniczych.

August Heylman.

KRONIKA Z PARYŻA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Ponsard i jego żywot pisarski.— Lukrecya, Agnés de Meranie, Karolina Corday, Ulisses, Uczciwość i pieniądze.— Stanowisko Ponsarda w literaturze francuzkiéj.— Dyskussye religijne.—Spór arcybiskupa paryzkiego z biskupem Moulins.—Dzieła historyczne.—Augustyna Thierry: Essai sur l'histoire de la formation et des progrés du Tiers-Etat.

Nowe dzieło Ponsarda każe mi dzisiejsze sprawozdanie rozpocząć od teatru. Ponsard w literaturze francuzkiéj pocieszającém jest zjawiskiem. Jest on zwiastunem rozsądku i wytrawności, które przychodzą ludziom, ale nie pierwéj, aż je okupią doświadczeniem, upływem lat, długim szeregiem zawodów i szaleństw. Słusznie czy niesłusznie, Ponsard uchodzi za naczelnika nowéj w literaturze szkoły, którąbym nazwał szkołą zdrowego rozsądku. Tryumf ostatniéj jego sztuki: *Uczciwość i pieniądze*, ugruntował jego powagę, długo niestałą, chwiejącą się, zaprzeczaną.

Piérwszy utwór Ponsarda *Lukrecya*, który mu tyle zjednał imienia, przedstawiono dziesięć lat temu, w miesiącu kwietniu 1843. Byłato epoka, kiedy szkoła romantyczna dochodziła ostatniego kresu. Przywódzcy jéj, niegdyś tak znakomici, tak silni, dopókąd nie wyrugowali i imion dawnych, i tradycyj: zamilkli, albo powtarzali się w dziełach, które pierwotnych płodów warte nie były. Obok nich i pod nimi urosły nowe wzięłości, których zadaniem było, jakimby sposobem szkołę swych mistrzów przyprowadzić do ostatnich konsekwencyj: do nierozumu i śmieszności, jak zdrowe zasady sztuki zastąpić mechanizmem i dla nadzwyczajności poświęcić wszystko: nietylko przyzwoitość, moralność, ale nawet język i logikę. Około te-

go czasu, w r. 1838, jakoby zapowiedź nowéj przemiany, zjawiła się dziewczyna młoda, aktorka piérwszego rzędu, w któréj talencie odmłodniały arcydzieła teatru francuzkiego, zaniedbane od śmierci Talmy. Bohaterki dawnéj tragedyi: Fedra, Hermiona, Roxana, Emilia, Monima, Kamilla, znalazły nakoniec reprezentantkę godną najlepszych czasów sceny francuzkiéj. Natomiast od początku swego wystąpienia, wyrzekła się panna Rachel ówczesnego repertoaru; pijąc u źródła klassycznéj Melpomeny, przywołała poetów jéj dawnych do życia. Kto ją ujrzał, czekał rychłoli za nią przyjdzie Rasyn.

A tak, z jednéj strony resztki gniewu pozostałego w tych, których szkoła romantyczna wywróciła, i przesyt jaki ogarnął publiczność, zmęczoną nieustannemi wyskokami; z drugiéj strony ożywiony przez pannę Rachel gust tradycyj klassycznych, obok wysilenia, jakie znać już było w płodach poetów romantycznych, utorowały drogę *Lukrecyi.* Mogła ona liczyć z pewnością na wszystkich weteranów literatury, konserwatystów dramatycznych, dyplomatów akademii i poważnych deputowanych, którzy co rok przy dyskussyi nad budżetem sztuk pięknych, protestowali na korzyść *zdrowych zasad scenicznych.* Przy takiém usposobieniu publiczności, piérwsze przedstawienie Lukrecyi nabrało znaczenia niemal politycznego wypadku, i choć niezdolną była nawrócić publiczności, ogłoszono ją zgodnie za jutrzenkę restauracyi literackiéj.

Ktoby dzisiaj z umysłem spokojnym, mianowicie z zapasem ówczesnych wrażeń odczytał Lukrecyą, nie mógłby pojąć téj wrzawy, jaką sztuka owa wywołała. Lecz stawmy się choć na dzień w owę epokę w położeniu publiczności, która zrana odczytawszy jeden rozdział *Tajemnic Paryża*, wieczorem wytrzymać musiała ciężką reprezentacyą *Burgrafów*, a z tych ciemności i chaosu wychodząc, spotkała w przedsionku świątyni rzymskiéj poetę młodego, co obok uroku nowości, miał za sobą prostotę mistrzów starożytnych: któż zjawisku tak niespodziewanemu mógł się oprzéć, kto taką probę wytrzymać potrafił?

Publiczność dała się podbić łatwo i uznała Lukrecyą za arcydzieło. Arcydziełem ta sztuka nie jest, ale téż nie jest utworem codziennym. Autor układał ją, mając na pamięci wszystkie zdrożności szkoły romantycznéj: fałsze, przesady, brak naturalności. Pozostał wierny prawdzie historycznéj,

jak ją opowiedział Tytus Liwiusz. Zarzucano mu, że jego Sextus, patrycyusz wykwintny i rozpustny, bliższy jest epoki cezarów niż królów rzymskich; jednakowoż cztery owe figury, stanowiące całą tragedyą: ów spiskowy, który udaje się za szalonego, Rzymianin rozpustny, kobieta niewinna i kobieta zepsuta, mają na sobie charakter historyczny, posunięty aż do prawdopodobieństwa, nad które czegoś więcéj w sztukach tego rodzaju wymagać nie można. Panuje w niéj atmosfera spokojna, jest w niéj świeżość uczucia rodzinnego, które w tak wysokim stopniu znajdujemy w *Agnieszce Meranii*. W scenach historycznych i politycznych, autor stworzyć umiał język właściwy.

Krótko mówiąc, Lukrecya, dzięki okolicznościom wśród których się pojawiła i dzięki własnéj wartości, zapowiedziała świetną przyszłość poecie. Lecz w tém było nieszczęście autora, że piérwsze jego wystąpienie poczytano za zwycięztwo stanowcze i postawiono go tém samém w niemożności otrzymania następnego tryumfu. Bo cóż mogło wyjść zpod pióra jego, coby odpowiadało przyjęciu Lukrecyi? Ponsard miał zawiele zdrowego rozsądku, aby nie spostrzegł się, że tragedya jego zawracając do tradycyj zaniedbanych, nie tworzyła drogi dotąd nieznanéj. Kiedy się pojawił *Hernani* albo *Antony*, wówczas można było mniemać, że w umyśle Huga lub Dumasa jest podobnych utworów zapas bogaty, utworów nowych myślą i formą, pełnych siły, podnoszących namiętność aż do lyryzmu i stawiających ją w walce z całém społeczeństwem. Ale Lukrecya, byłoto *studyum* dokonane sumiennie na Liwiuszu i Kornelu, na modelach klassycznych, którym jak trudno wyrównać, nieraz zapewne z rozpaczą przekonał się poeta. Czémże mogła być sztuka następna? Innym modelem, innym ustępem z historyi rzymskiéj?—Proba niebezpieczna! Publiczność jest niecierpliwa, i często niesprawiedliwą niełaską za zbyteczny fawor mścić się lubi.

Autor ocenił to niebezpieczeństwo i przeszedł do wieków średnich, wnosząc w nie wszystką swą prostotę dramatyczną, spokój klassyczny; lecz jeśli z historyi starożytnéj przerzucając się w historyą Francyi uniknął jednéj trudności, uchylić się zpod drugiéj nie umiał. Owa prostota archaiczna od czasów niepamiętnych przyjęta do rzeczy greckich i rzymskich, nie przystawała do figur średniowiecznych. Publiczność z różném

usposobieniem przychodzi do teatru. Jeśli kurtyna odsłoni nam portyk z czterech kolumn złożony, choćby na scenie aktorowie opowiadali historyą doskonale znajomą, nie gniewamy się na poetę, nic od niego nie żądamy, przewidujemy rozwiązanie; owszem zmienić je, ubliżyć prawdzie historycznéj, dać się unieść twórczości, za grzéch poczytalibyśmy to autorowi. Poczytalibyśmy za ucbybienie, gdyby chciał obudzić w nas ciekawość w przedmiocie doskonale nam wiadomym. Może więc poeta być prosty i skromny; my równie jak on prostemi jesteśmy. Ale gdy chodzi o sztukę wydobytą z archiwów średniowiecznych, z epoki nierównie mniéj znanéj niż czasy greckie lub rzymskie: już nas trzy lub cztery osoby na scenie nie zainteresują, już nam akcya prosta i zwyczajna nie wystarczy. Żądamy zajęcia coraz silniejszego, wyglądamy rzeczy nadzwyczajnych, niespodzianych, radzi widzimy ruch, ścisk, wrzawę, tłumy rycerzy lub pospólstwa; radzi słyszymy echo burzliwego życia wieków średnich, którego stronę zewnętrzną i malowniczą tak wybornie oddał dramat nowożytny. Jak w dramacie klassycznym, dlatego że przedmiot znamy doskonale, od poety nie wymagamy nic; tak przeciwnie w dramacie osnowanym na wiekach średnich dlatego właśnie, że nic wiemy nic albo prawie nic w przedmiocie, który traktuje poeta, żądamy od niego, aby stworzył wszystko, albo prawie wszystko. Z takiém usposobieniem przyszła publiczność na *Agnieszkę Meranią*; nie znalazła w niéj czego szukała, nie zadowoliła się niczém, skoro jéj przymiotu jednego, tojest nadzwyczajności brakowało—i sztuka upadła!

A jednak *Agnes de Meranie* znakomitszym jest utworem od Lukrecyi. Przedmiot poważny i bogaty! Król Francyi, starszy syn kościoła, odniósł już dwadzieścia zwycięztw, dziedziny swoje rozszerzył, lecz o ich powiększeniu, o zdobyciu Normandyi zamyślał. Nagle potęga niewidzialna zatrzymuje go:— klątwa złamanego starca, który nie ma pięćdziesięciu żołnierzy na swoje rozkazy. Walka władzy świeckiéj Filipa Augusta z władzą duchowną, legatem papiezkim, a wpośród tych dwóch sił zazdrosnych, które są dwoma działaczami wieków średnich, staje kobieta młoda, szlachetna, pełna miłości i poświęcenia, żona Filipa, matka dwojga jego dzieci. Lecz ta kobieta niemniéj stała się żoną i matką, jak z pogwałceniem przykazań kościoła, po dokonanym rozwodzie Filipa, którego

kościół nie uznał, i który prawą małżonkę królewską, Ingelbergę, w samotności i opuszczeniu zostawił. Któż zwycięży, kto ustąpi? Agnieszka czy legat, miłość Filipa czy klątwa papiezka?

Nie słucha klątwy Ojca Św. monarcha Francyi, i oto pustynia tworzy się naokoło niego. Straszne słowo pada na cały kraj: stygnie w nim życie, stolica staje się jakoby cmentarzem; wazale nie chcąc się wdawać w sprawę tak trudną, chowają miecze do pochwy i wracają do swych zamków. Pod ciężarem powszechnéj skargi, dusza Agnieszki upada. Żona królewska ucieka ze stolicy, lecz poznana, ledwo przed gniewem pospólstwa zdoła ją uchronić Filip. On sam, niegdyś ulubiony, uwielbiany monarcha, broniąc Agnieszki znajduje się w niebezpieczeństwie życia; zewsząd słyszy głosy żałosne na króla i na jego kochankę. Walka tak okropna przechodzi siły Agnieszki; dłużéj prowadzić jéj nie chce: wypija truciznę i przywleka się na scenę, żądając przebaczenia za samobójstwo od strasznego legata. W chwili gdy nieszczęsna matka kona, gdy obraz nieprawéj monarchini znika w pokorze umierającéj chrześcianki, legat nachyla się ku jéj twarzy zbielałéj i wymawia uroczyste słowo *rozgrzeszenia*! Zniesiona klątwa. Francya powraca do życia, z dzielnych piersi towarzyszy Filipa wyrywa się okrzyk wojenny. Król sam tylko w rozpaczy! Lecz go wkrótce pocieszy zwycięztwo, a kiedy zdobędzie Normandyą, może zapomni że stracił Agnieszkę!

Zdawałoby się, że przedmiot tak szczęśliwy, sam z siebie tak dramatyczny, obejdzie się bez sztucznego interesu, przyprawy mechanicznéj. Tak mniemał pan Ponsard. Sądził on, że ci, co litowali się nad nieszczęściami Lukrecyi, niemniéj czułemi będą dla Agnieszki. Stało się inaczej. *Agnieszka* mimo bogactwa przedmiotu, mimo stylu bardziéj wykończonego niż w Lukrecyi, odpokutowała za zbyteczne powodzenie starszéj swéj siostry. Zarzucano jéj, że jest bez ruchu i martwa; jakby w Lukrecyi więcéj było życia. Przeminął był już duch reakcyi przeciw romantyzmowi, upłynęły cztery lata od piérwszego przedstawienia Lukrecyi. Imię i talent p. Ponsarda mniéj już były potrzebne—*Agnieszka* została potępioną.

Nietrzeba atoli szukać przyczyny tego niepowodzenia *Agnieszki* jedynie w zmiennych gustach publiczności: w niemałéj części wina spada na autora. Poeta zapomniał o przepisie Horacego: *semper ad eventum festina*, i przykuty do da-

wnych prawideł, do pięciu aktów, owego Prokustowego łoża tragedyj klassycznych, zbyt długo, bo począwszy od trzeciego aktu zatrzymał się w jednéj sytuacyi. Nadchodzi w sztuce jego chwila, kiedy widz mniema, że klątwa która uderzyła kraj i monarchę, samego autora dotknęła. Wraz z trzecim aktem, z ogłoszeniem wyroku legata, sztuka, że tak powiem, martwieje; wypadki, charaktery, uczucia, rozmowy, zgoła wszystko krąży w jedném kółku, nie postępując ani na krok daléj. Publiczność niecierpliwie wygląda zdarzenia nadzwyczajnego, coby bohaterów jego wywiodło z zaczarowanego koła nieruchomości. Napróżno! Poeta nie śmié wydobyć się zpod niezłomnéj *jedności miejsca*, nie śmié przerwać monotonności swéj sztuki tyloma obrazami, które mu się same nasuwały. Czémże byłoby jego dzieło, gdyby autor nie opowiadał, ale przed oczy publiczności przedstawił sceny miłosne Filipa i Agnieszki, przybycie legata, niespokojność wazali, cierpienia ludu, walkę dwóch sił, ucieczkę Agnieszki, powrót jéj, konanie i śmierć. Tyle szczęśliwych sytuacyj, nadarzających się naturalnie i poprostu, za któremi poeci romantyczni tak gorąco się ubiegają, autor dobrowolnie opuścił. Chciał pójść torem Rasyna, i gardząc stroną malowniczą dramatu, szukał tryumfu w obrazie wewnętrznych walk duszy: walki miłości i uczucia obowiązku, słodkiego egoizmu namiętności i zimnego rozumu.

Mimo to, śmiem powiedzieć, że niesprawiedliwie, bo nawet bez sądu potępiono *Agnieszkę*, a za nią równa, choć tym razem sprawiedliwsza niełaska spotkała trzecią tragedyą Ponsarda: *Karolinę Corday*. Klassyczna spokojność najmniéj odpowiedzieć mogła burzliwym scenom rewolucyi francuzkiéj.

Po tylu niepowodzeniach i głośnych klęskach wrócił się Ponsard do starożytności i zanurzył się cały w Homerze. W nim odzyskał on czerstwość swego natchnienia i to, że tak powiem, zdrowie intelektualne, jakie widoczne jest w ostatniéj komedyi. Tragedya *Ulisses* i poema *Homer* sąto prace szacowne, które stanowić będą zawsze najważniejszą część w zasługach autora; a jeśli powodzenie ich było małe i trwało niedługo, to dlatego, że mało jest prawdy w owym zwrocie ku homeryzmowi i starożytnościom greckim, który we Francyi spostrzegano, że publiczność tyle dzisiaj wié o Homerze, co wiedziała o wiekach średnich, kiedy one były w modzie. Cokolwiekbądź, w całéj karyerze autorskiéj Ponsarda, aż do osta-

tniéj jego komedyi, nie było dotąd kroku stanowczego, któryby opinią publiczności na zawsze utrwalił. Były tryumfy i niepowodzenia, wymowne oklaski i równie wymowne milczenie; trzeba było jeszcze stanowczego kroku, aby nikt o zwycięztwie nie wątpił.

Takie, zdaniem powszechném, ostateczne zwycięztwo odniósł Ponsard w komedyi *l'Honneur et l'Argent.* Jestto jeden z tych starych przedmiotów, który wiecznie jest nowym, bo osnowany na życiu ludzkiém; każdy poeta obrabia go po swojemu, z mniejszym lub większym talentem, z wyższego lub niższego stanowiska. Powieść Ponsarda jest bardzo prosta i da się skreślić w kilku wierszach. Jerzy, bohater sztuki, posiada około 30,000 franków dochodu i żenić się ma z Laurą, córką pana Mercier, zamożnego i jak mówią, *pożytecznego* mieszczanina. Lecz ojciec Jerzego zostawia po śmierci 600,000 długu zaciągniętego w zbyt śmiałych przedsiębierstwach. Jerzy może przyjąć lub odrzucić sukcessyą ojcowską, bo zostaje mu po matce dość znaczny majątek. Jeśli przyjmie, zrujnuje się do szczętu; ma więc do wyboru: majątek lub uczciwość.

W sercu Jerzego tkwią mocno szlachetne zasady: oczyszcza imię ojcowskie, lecz zostaje bez grosza. P. Mercier uważa, że ten czyn jest bardzo piękny, ale człowiekowi bez majątku nie oddaje swéj córki. Rachował Jerzy, że będzie się mógł utrzymać z malarstwa; kiedy bowiem był bogaty, goście nie znajdowali słów dość mocnych, aby godnie uwielbić talent jego. Zrujnowany, napróżno szuka kupca. Zapomniano o jego szlachetnym postępku, każdy widzi w nim tylko człowieka ubogiego, który potrzebuje pomocy. *Chowaj pieniądze, jeśli chcesz zachować wiarę u ludzi*" mawiał do niego przyjaciel Rudolf, filozof praktyczny i uczciwy, w usta którego kładzie poeta pogląd swój i opinie. W walce z niedostatkiem, Jerzy blizkim jest upadku; rozpacz podsuwa mu na chwilę myśl zaślubienia pięćdziesięcioletniéj panny, odmłodzonéj posagiem stu tysięcy talarów, jednéj z wierzycieli ojca Jerzego, któréj należytość do grosza zaspokojoną została.

Tymczasem Laura dziewczyna cicha i pełna uczucia, nakłoniona przez ojca, zaślubia pana Richard, bogatego nikczemnika, który na rozpuście traci całą fortunę i przechulawszy znaczną część majątku pana Mercier, ucieka. Jerzy napróżno szuka pomocy u dawnych przyjaciół; wyrzekł się wszelkich pre-

tensyj do sławy artystowskiéj i jedyne jego marzenie jest znaléźć 25,000 franków, z pomocą których mógłby wykupić papiernią, ostatni szczątek sukcessyi ojcowskiéj. Lecz i tych pieniędzy znaléźć nie może. Znękanemu przeciwnościami, miłość dodaje odwagi. Notaryusz dawny Jerzego, który zna jego zacny charakter, pożycza mu potrzebną summę: z nią ożywia fabrykę, która podnosi się bardzo i zapewnia Jerzemu skromny dochód. Wraca nasz bohater do domu pana Mercier, i bez trudności otrzymuje rękę Lucylli, a z nią szczęście, które przed zawiedzioną Laurą nazawsze uciekło.

Myśl ogólna całego dzieła jest zdrowa, prosta i szlachetna. Autor uznaje potęgę pieniędzy, ale oświadcza głośno, że lepiéj być ubogim, niż zniesławionym w własnych oczach. Potępia on fałszywą dumę, która się wzdryga nizkiego zarobku; ale pojmuje koncessye, do jakich zmusza potrzeba życia, albo raczéj potrzeba utrzymania drogich sercu naszemu istot. Pod tym względem akt piérwszy zawiéra wykład zdrowéj i rozważnéj moralności; a jeśli sztuce nie dodaje ruchu, nie świadczy o potędze komicznéj autora: okazuje w nim za to wielką zdolność satyryczną i wytrawny pogląd na społeczeństwo. Kiedy Jerzy był jeszcze bogatym, zgłasza się do niego dziennikarz, który pióro swe przedajne poświęcał dla obrony sprawy w jednym dzienniku, potępiając ją w drugim. Z uczuciem sprawiedliwéj wzgardy odpycha go Jerzy; lecz z zadziwieniem słyszy, że surowy Rudolf bierze obronę nikczemnego pisarza. Ten ustęp niechaj mi wolno będzie przytoczyć.

Jerzy.—Jakto! śmiałżebyś bronić tego nikczemnika, ty, co jesteś tak drażliwym we wszystkiém, co się tyczy honoru. Albo sam nie dajesz przykładu, i uczciwości nie cenisz wyżéj nad majątek?

Rudolf.—Nie o mnie mowa. Powiadam tylko, że trzeba mieć więcéj pobłażania dla ubogich, niźli dla bogatych; że trzeba pamiętać o trudnościach walki, i ganiąc tych co upadną, pomagać im w upadku.

Jerzy.—Co do mnie, ja nie pojmuję, aby niedostatek służył za wymówkę podłości. I owszem, powinien on podnosić charakter człowieka, z nadością walkę tę prowadzić.

Rudolf.—Łatwiéj to powiedzieć, niż zrobić. Nie daj Boże, aby ci kiedy wszystkiego nawaz zabrakło.

Jerzy.—Cóż ztąd: potrafiłbym być ubogim i pysznić się z tego!

Rudolf.—Wierzę temu. Lecz jestże wielu takich, którzyby dziś najlepszą mając opinią, byli godnemi szacunku, gdyby ze zbytków wpadli naraz w nędzę, gdyby im odrazu na wszystkiém zbywało. Snadno w teoryi: walczą oni z potrzebami, i powstają na złe, którego nie doznają. Majątek prowadzi ich do cnoty cichéj, po drodze otwartéj; a ten, kogo uczciwość niczego nie pozbawia, i na żadną walkę nie naraża, musi chyba być głupim, aby nie był uczciwym. Wierz mi, od położenia jakie człowiek z sobą na świat przynosi, zależy wiele, czy go potępić, czy rozgrzeszyć wypada. Nieraz widzisz w towarzystwie ludzi bardzo zacnych, którzy urodzeni w niedostatku, zaszliby do więzienia; i przeciwnie, nieraz w więzieniu znajdują się tacy, którzy urodzeni w bogactwie, przynieśliby zaszczyt swemu domowi. Co większa, lepszy lub gorszy los człowieka wpływa wiele na jego opinie.....

Jerzy.—Czy chcesz tego dowieść, że nie ma ludzi uczciwych na świecie?

Rudolf.—Bynajmniéj; są tacy, których opinia sprawiedliwie uwielbia, którzy z myślą zawsze pamiętną na obowiązek, krokiem zawsze równym, nie zmieniając się nigdy, postępują. Lecz aby kogoś do rzędu tak szczytnego policzyć, pytam, czém on się okazał godnym, jaką ofiarą, jakiém wysileniem zdobył to imię, które mu tak łatwo przyznają? Lecz pozwól, że użyję bliższego przykładu; ty sam zdajesz się być szlachetnym młodzieńcem?

Jerzy.—Ja!

Rudolf.—Serce twoje jest prawe, cnota w twéj duszy znajduje mocne echo. Gniewa cię podłość, piękny czyn zapala, i wtedy nie taisz pochwały swéj, ani nagany. Tak jest, znam ciebie z niejednéj pięknéj strony, a przecież pewny nie jestem twojéj zacności.

Jerzy.—Co to znaczy?

Rudolf.—Bo jeszcze żadnego nie dałeś dowodu i żadnéj proby nie odbyłeś. Wierzysz w twą zacność, lecz abyś miał to prawo, czyli czułeś kiedy głód lub zimno? Czy ty wiész, co rozpacz doradza w noc bezsenną? Czy nad łożem swojém widziałeś ducha złego, jak stawiając ci przed oczy bogactwa drugich, wlewał zazdrość w umysł twój rozbolały nieszczęściami?

Ah! takieto obrazy wlewają w duszę truciznę, i ten tylko, kto ich jad wytrzyma, może sprawiedliwie szczycić się swoją cnotą, która urosła i spotężniała wśród walki.

Jerzy.—A mój Boże! z całego serca pragnę walki.

Rudolf.— O tak, w piérwszéj chwili gotów jesteś przyjąć nędzę, i cieszyć się nią dni kilka; ale poźniéj z myślą wytrawną wrócą i żale; a wtedy.....

Jerzy.—Wtedy znajdę podporę w mojéj własnéj dumie.

Rudolf.—Hm!

Jerzy.—A jeśli tego niedosyć, to w szacunku publicznym!

Rudolf.—Szacunek publiczny! On tylko wielbi pieniądze i kłania się zwycięzcy. Niech człowiek niesumienny, łamiąc dane słowo, zbogaci się kosztem ludzi dobrodusznych, których okradł; niech inny zręczny, usłużny i giętki, czołgając się całe życie, wypełza się w górę; niechaj z kierunkiem wiatru zmienia swe opinie i ołtarz przed którym się modli: bądź pewny, zaludnią się wkrótce jego salony, obiady jego nabiorą wzięłości, a choć złośliwe pogłoski nie ucichną odrazu, cóż ztąd? kogóż z ludzi publicznych oszczerstwo nie dotknęło! Lecz przeciwnie: jeśli do tego rzemiosła człowiek ma zanadto w sobie dumy; jeśli na własną zasługę, a nie na łaskę drugich liczy; jeśli mając do wyboru między uczciwością a urzędem, wyrzecze się posady z któréj żył, a pozostanie w dawnym obozie: w piérwszéj chwili wyrzekną o nim z szacunkiem i współczuciem, ale wkrótce każdy wypuści go z pamięci. Ubogi, nikomu nieprzydatny, więc go samego zostawiają. A niechno wówczas na włos jeden zejdzie z drogi, wnet krzyk powszechny wzniesie się przeciw niemu i świat nie znajdzie dość ciężkiéj obelgi, którąby dla nieszczęsnego za zbyt surową poczytał.“

Studya charakterów, obrazy satyryczne, rozumowania filozoficzno-moralne stanowią tło niniejszéj sztuki; i z tego stanowiska sądząc, przebaczyć należy poecie, że tak mało ruchu jest w jego dziele. Charakter Jerzego wybornie skreślony; wolę wszakże charakter filozofa Rudolfa, który w komedyi Ponsarda odgrywa rolę greckiego chóru, wypowiada zdanie swe w każdéj potrzebie, z każdego położenia wyciąga naukę moralną, do akcyi nie mieszając się, prowadzi nią i reprezentuje osobę poety. Charakter młodszéj siostry Lucylli dziwnie piękny: jest w niéj śmiałość, która płynie z duszy niewinnéj, i wielka czystość serca, która ją broni od wszelkiego szaleństwa. Niepodobna do

Laury, która ojcu swemu nie śmié wypowiedzieć swych uczuć; ona chce być małżonką uczciwą, i dlatego odda rękę swoję tylko temu, kto sercem jéj zawładnął. P. Mercier jest wybornym typem zbogaconego mieszczanina, który do każdego wypadku umié zastosować swoję opinią, który protestując nieustannie, że u niego honor przeważa wszystko, odmawia córkę swą Jerzemu, bo nie uważa miłości dwojga ludzi za dostateczną podstawę związkowi małżeńskiemu. Owszem, byłobyto poniżać jego znaczenie; bo w małżeństwie trzeba miéć przedewszystkiém na uwadze przyszłe dzieci i ich los, że nakoniec Jerzy zanadto wiele ma szlachetności, aby z córką jego zawierał związek, skoroby dzieci jego nie miały odziedziczyć majątku.

Niepospolitą jest zasługą autora w téj komedyi, że umiał się utrzymać wpośrodku między praktycznością ludzi codziennych, a exageracyą poetów; że sztuka jego, będąc wiernym ustępem życia, świadczy jasno, iż tyle jest złudzenia w marzeniach poetycznych młodzieży, co w realnych projektach ludzi, których żywot cały obraca się około piéniędzy. W tém także leży prawdziwa oryginalność poety, iż umysły zadaleko po jednéj i po drugiéj stronie zbłąkane usiłował nawrócić do prawd mocnych i zbawiennych, że prawdy te wyraził stylem jasnym, prostym, poprawnym, i że po tylu gorączkowych wysileniach dramatu, wprowadził weń tę atmosferę czystą i zdrową, która nie wybiega ani nad obłoki, ani téż do kału ziemskiego przyczepiona nie jest. Takiém jest ostatnie dzieło Ponsarda; cała jego indywidualność w niém przebija. Człowiek pełen zacności, poeta, który przez dziesięć lat walczył, nie upadając pod żadnym zawodem, nie dając się odstraszyć żadnemi trudnościami; upadał bez szemrania, podnosił się bez próżności i tę długą walkę zakończył komedyą najlepszą, jaka na scenie francuzkiéj pojawiła się od czasów *Małżeństwa Figara*: taki człowiek i pisarz taki godnym jest, aby z całą szczerością oddać hołd jego talentom i jego godności pisarskiéj.

O innych utworach dramatycznych godnych uwagi, które w ciągu tego miesiąca pojawiły się, powiem następną razą; obecnie na inne pole czytelnika przeprowadzę. Sprzeczki religijne ucichły, przynajmniéj w literackich pismach; wszakże nie dlatego, iżby do nich nie było ochoty lub brakowało im wątku. Uważaliśmy już kilka razy i nikomu zapewne nie uszło zprzed oczu, o ile w ciągu lat ostatnich rozwinęły się i w opinii publicznéj nabrały wagi kwestye religijne. W Anglii mie-

szają się one nieustannie do spraw politycznych, wywołują namiętności, drażnią umysły i zapewne zadrażnią jeszcze niejeden raz. Wiadomo wszystkim, do jakich sporów przyszło w Piemoncie między władzą duchowną i świecką w punktach prowodawczych wielkiéj wagi. A i we Francyi owa zaciętość polemiki religijnéj bardzo widoczna; dni temu kilka rozpuszczona mylnie wieść o reformie artykułów prawa we względzie małżeństwa cywilnego, tak mocno zajęła umysły, że *Monitor* widział się być spowodowanym zaprzeczyć jéj. Mówiliśmy poprzednio o rozjątrzeniu z jakiém rozbierano dzieła księdza Gauma, margr. Valdegamas, ojca Ventury. Walka trwa nieustannie na różnych punktach, pod różnemi jawiąc się postaciami, przez różnych toczona. Temu kilka tygodni, jak z polemiki dziennikarskiéj i literackiéj przeszła do aktów wychodzących od władzy kościelnéj. Cóż było powodem téj nowéj fazy?—Zakaz *Universa* wyrzeczony przez arcybiskupa paryzkiego. Wnosząc z wielu poszlaków, powiedzieć można, że większość biskupów francuzkich przyznała słuszność arcypasterzowi stolicy. Ale jednomyślności nie było, a ztąd wypadek daleko ważniejszy od faktu, który go wywołał. Jeden z biskupów stanął w obronie *Universa*; arcybiskup udał się więc do stolicy św. aby zawyrokowała między nim a biskupem z Moulins, który poważył się zakwestyonować prawność zakazu.

Nie mamy zamiaru wchodzić w spór tego rodzaju; powiemy tylko, że mimo odmienne pozory, wojna to stara między ultramontanizmem a gallikanizmem, z których ostatni zachować chce tradycye i zwyczaje kościoła francuzkiego, piérwszy zaś nie przestaje na konkordacie, ani na granicach, jakie obu władzom Bossuet zakreślił. Nie zadziwiło to nikogo, iż w walce téj arcybiskup reprezentował gallikanizm; ale rzecz godna uwagi, jak dalece już dzisiaj ceniony jest wyrok opinii publicznéj, gdy o jéj życzliwość ubiega się ta nawet powaga, co jéj sądowi najmniéj ze wszystkich ulega. Ksiądz Sibour słusznie daje uczuć niestosowność téj zaciętości polemicznéj, jaką ksiądz Deux-Breze okazał; lecz jakże się to stało, że jego korrespondencya z Rzymem piérwéj do publiczności paryzkiéj niżeli do papieża doszła? W téj chwili sprawa oddana pod sąd Ojca Św.; słychać, iż ludzie do walki należący otrzymali wiadomość, jakoby Pius IX okazywał się wielce ostrożnym i powolnym w téj kwestyi. I zaprawdę, jakąż decyzyą ma wydać? Chyba, że jednym i drugim powié: *pax vobis*; w przeciwnym

bowiem razie każda jego odpowiedź zaszkodzićby mogła interesom kościoła. Ztąd jedna tylko dla wszystkich wypływa nauka: że jeżeli chcemy uniknąć zgorszenia, to ani dziennikarze nie powinni przybierać tonu biskupów, ani biskupi wdziewać szaty dziennikarskie. Każdy ma swoje powołanie: dziennikarz złym będzie kapłanem, kapłan może być niedobrym dziennikarzem.

Lecz na jakiémkolwiek polu spór się toczy, to już interesa ludzkie we Francyi tak się powiązały, i taką, że tak powiem, solidarność opinii stworzyły, że kwestye najbardziéj od przedmiotu spornego odległe, w miarę usposobienia politycznego lub religijnego autora, przybierają tę lub owę cechę. Dzisiaj można już wyraźnie odznaczyć stronnictwa polityczne: w teologii, filozofii, historyi, poezyi, w sztukach pięknych, a nawet w naukach przyrodzonych. Niechaj jakabądź wyjdzie książka; aby ocenić sąd autora, trzeba wprzód znać jego opinie i stosunki polityczne. Prawdą jest, że to mieszanie polityki do wszelkich pojawów intellektualnych nadaje im większy interes i tém mocniejsze piętno życia na nich wyciska; ale z drugiéj strony odejmuje im cechę bezstronności i pozbawia ich długotrwałego znaczenia. Wspomnieliśmy poprzednio o kilku dziełach historycznych, w których opinie polityczne mocno się odbiły; poczet takich pism pomnaża się z każdym dniem, tém mniejsza natomiast jawi się ilość dzieł, w których myśl autora nie schodzi z pola naukowego. Do rzędu ostatnich należy świeże dzieło p. Aug. Thierry p. t.: *Essai sur l'histoire de la formation et des progrès du Tiers-Etat.* Imię autora, wielkie jego zasługi w historyi, i ważność przedmiotu, każą mi zatrzymać się nieco nad nową jego pracą.

Aby poznać naturę tego dzieła, trzeba piérwéj zrozumiéć dobrze znaczenie wyrazu *Tiers-Etat.* Upływ czasu, który wieki dawniejsze od naszego oddzielił, i przesądy, które zawiść systemów politycznych chcących rozerwać rozmaite klassy społeczeństwa francuzkiego rozniosła, przyciemniły dla wielu czytelników znaczenie historyczne, co niegdyś stanowiło *stan trzeci* w monarchii francuzkiéj. Jest dość powszechne mniemanie, że ten stan odpowiadał temu, co dzisiaj się zowie mieszczaństwem, *bourgeoisie*, że to była klassa wyższa w téj wielkiéj massie, która stała poniżéj szlachty i duchowieństwa. Opinia a oprócz że jest mylna, ma i tę złą stronę, że daje historyczną podstawę antagonizmowi, który niedawno narodził się, i który

zgubny jest wszelkiemu społeczeństwu. P. Thierry przytacza pisma posłów cudzoziemskich opisujących układ polityczny Francyi. „Stany królestwa (słowa te pisane były w w. XVI) składają się z trzech klass mieszkańców: naprzód z duchowieństwa, następnie ze szlachty, a nakoniec z reszty ludności. *Stan trzeci*, który nie ma właściwéj nazwy, może uchodzić pod ogólném imieniem *stanu ludu*". Regulamin Ludwika XVI przywołujący po raz ostatni *stany powszechne*, oznajmia, że do zgromadzeń wyborczych *stanu trzeciego* mogą należéć „wszyscy mieszkańcy miast, miasteczek i wsi, rodem Francuzi lub naturalizowani, mający lat 25, zamieszkali i wpisani na listę podatkową".

Tak więc owa klassa mieszkańców, która była narzędziem rewolucyi z r. 1789, i któréj historyą skreśla p. Thierry, obejmuje cały naród francuzki, oprócz szlachty i duchowieństwa. Historya *stanu trzeciego*, w takowém rzeczy pojęciu, poczyna się równo z rewolucyą dokonaną przez upadek administracyi rzymskiéj i przez najazd Germanów. Tam zjawiają się naprzód reprezentanci téj wielkiéj liczby ludzi różnego zatrudnienia, którzy w języku czasów feodalnych mieli wspólne nazwisko: *la roture*. W XIItym wieku nabiera ona skali szerszéj w chwili uwolnienia municypalności i odbudowania władzy królewskiéj. Odtąd rozwija się stopniowo i regularnie w epoce monarchii stanów i monarchii samowładnéj, aż do czasu zwołania stanów powszechnych w r. 1789; kończy się zaś, kiedy trzy stany w jedném i tém samém zebrały się zgromadzeniu, kiedy upadły te różnice, które stan trzeci od szlachty i duchowieństwa oddzielały; kiedy nieszczęśliwy Bailly obejmując krzesło prezesa na tym piérwszym kongresie prawodawczym całego narodu, zawołał „Rodzina jest w komplecie".

Taki jest ogólny zakres wspomnianego dzieła. Uderzyło mnie szczególniéj, mówi p. Thierry, iż w ciągu sześciu wieków od XII do XVIII, historya stanu trzeciego i tronu są nierozerwanie z sobą złączone. Od Ludwika Grubego aż do śmierci Ludwika XIV, wszelka epoka stanowcza dla klass stanu trzeciego w rozwoju intellektualnym, socyalnym, politycznym, odpowiada epoce wielkiego króla lub wielkiego ministra. Jeden tylko wiek XVIII czyni wyjątek; onto rzucił nieufność i stworzył rozbrat stanu trzeciego i monarchii. A kiedy na ostatnim szczeblu tego rozwoju, nowa konstytucya uzupełniła wolność cywilną wszystkich obywateli i stworzyła wolność poli-

tyczną; brakło potrzebnéj dla dokonania tego dzieła zgody. Wątłe dzieło prawodawców z r. 1791 runęło także i monarchia upadła.

„Upłynęło lat dwadzieścia, w ciągu których, po strasznych nieszczęściach wielka zeszła nagroda, i wtedy można było mniemać, że zerwały się wszelkie węzły między Francyą nową, a tronem dawnéj Francyi. Atoli rząd konstytucyjny od 1814 do 1830 zespolił łańcuch czasów i myśli, i pod nowemi formy odnowił pracę roku 1789, tojest dzieło aliansu między tradycyą narodową a zasadami nowemi. Z tegoto stanowiska, które rzecz sama nasuwała, zapatrywałem się w mojéj pracy, przywiązując się mocniéj do tego, co zdaje się być drogą ku przyszłości wytkniętą, w mniemaniu, że mam przed oczyma opatrzny koniec pracy wieków od XII stulecia.

„Oddany wyłącznie memu zadaniu, wchodziłem właśnie w epokę wieku XVIII, kiedy wybuchła rewolucya lutowa 1848 r. Po dwakroć uczułem jéj uderzenie: jako obywatel i jako historyk. Powtórna rewolucya, groźna duchem i zjawiskami najgorszych czasów piérwszéj, burzyła zarówno Francyą, jak jéj historyą. Popadłem w zwątpienie, które łatwo zrozumieć; zatrzymałem mą pracę i zostawiłem dzieło doprowadzone aż do śmierci Ludwika XIV. Aby je ogłosić, miałem przed sobą do wyboru: albo czekać dopóki je ukończę, albo téż wydać obecnie tę część, daleko większą, któréj poświęciłem pięć lat pracy. Krótkość życia, niepewność zarówno mnie jak każdemu grożąca, i zaszczytne wezwania, skłoniły mnie do ostatniego wyboru".

Prace historyczne pana Thierry zanadto są cenione, abym potrzebował zalecać czytelnikom to nowe jego dzieło, wyświecające nie ową część historyi francuzkiéj, która w każdego narodu dziejach najlepiéj jest znaną, ale część właśnie najskrytszą, najbardziéj wewnętrzną. Rzecz z tak wielkim talentem i z tak wielką znajomością rzeczy dokonana, nietylko francuzkiéj publiczności jest przydatną. Pośrednio rzuca ona światło na historyą innych narodów; bo gdy dzieje zewnętrzne każdego narodu są skutkiem jego organizacyi wewnętrznéj: ważném i wielce nauczającém jest porównanie różności przyczyn, tam, gdzie rozmaitość skutku jest widoczna.

KRONIKA LITERACKA.

Livoniae Commentarius, Gregorio XIII P. M. ab Antonio Possevino S. J. scriptus, nunc primum editus, e codice Bibliothecae Vaticanae, addito proemio et adspersis nonnullis annotationibus. Accedunt: ejusdem litterae ad Nominatum Episcopum Vendensem Abbatem Trzemesnensem, et Regis Stephani Bathorei instructio, Georgio Radzivilio, totius Livoniae Praefecto, ad provinciae hujus regimen data, nec non ejusdem Regis litterae ad J. D. Solikowski de curandis Rigae templis catholicis. Rigae, typis Guilielmi Ferdinandi Haeckeri. 1852. 4to, str. XIV i 37.

W r. z. w miesiącu grudniu, uniwersytet dorpacki obchodził jubileusz swojego pięćdziesięciolecia. Na pamiątkę tego świetnego aktu, historyczno-archeologiczne towarzystwo nadbałtyckich prowincyj rossyjskich, zawiązane w Rydze, złożyło uniwersytetowi kommentarz Possewina, jako hołd powinnéj od całego narodu wdzięczności. Do kommentarza dodało kilka jeszcze innych ułamków historycznych, dotąd zupełnie uczonym nieznanych. Rozpowiemy naprzód historyą saméj książki podług *proemium* czyli przedmowy p. Napierskiego wydawcy, a potém dopiéro, co się w niéj zawiera.

W przedmowie téj rozpowiedziane są pokrótce dzieje Inflant od r. 1558, dlatego żeby wskazać na stosunki, jakie ta ziemia kiedyś miała dla Polski, a mianowicie do Batorego, który sprowadziwszy na północ Possewina był głównym tego powodem, że sławny Jezuita napisał swój kommentarz. Possewin przybył prosto do Wilna w r. 1580, i przywiózł królowi Stefanowi miecz poświęcony i kapelusz od papieża Grzegorza XIII; potém udał się do Moskwy, gdzie traktował; był pod Pskowem i nareszcie pokój przyprowadził do skutku pomiędzy Polską a Moskwą. Następnie udał się do Moskwy układać się o unią kościołów, ale z niczém powrócił w marcu 1582. Nie pojechał jednak prosto do Rzymu, ale, jak sam o sobie powiada w kommentarzu, udał się do Rygi, gdzie bawił wtenczas król Stefan przez dwa blizko miesiące, t. j. od 12 marca aż do 2 maja, urządzając Inflanty; i tutaj podawał głównie Batoremu rady, co wypada przedsięwziąć

i jak, dla podniesienia katolicyzmu w téj nowo odzyskanéj dla Rzymu ziemi. Całą treść kommentarza Possewinowego stanowią te właśnie rady. Nie znaliśmy ich, bo zostawione było dopiéro naszemu czasowi odkryć ten ciekawy zabytek historyi XVIgo wieku; dotąd albowiem napotykaliśmy gdzieniegdzie li tylko na jego ślady. Sam Possewin w dziele swojém *De rebus moscoviticis comment. II. ed Colon.* (str. 13) przyznał się, że napisał osobny kommentarz o Inflantach, który odesłał zaraz do Rzymu. Zatém nie było wątpliwości, że rękopism znajduje się gdzieś pomiędzy skarbami Watykanu, ale długo jednak żadnéj o nim wzmianki po autorach nie było. Wreszcie Bernard de Montfaucon *in Biblioteca manuscriptorum* I. 120, pod Nr. 5469 wymienił: „libellus de religione christiana in Livonia" nie wymieniając imienia autora i twierdząc, że rękopism ten dostał się do Watykanu z biblioteki Alexandra Petaviusza. Zwiedziony tą wzmianką uczony wydawca *Originum Livoniae* domyślał się, że jego *Chronicon Livonicum vetus* jest toż samo, co rękopism Montfaucona. Niedawno dopiéro Wiktor Hehn, następnie przez lat kilka lektor języka niemieckiego w uniwersytecie dorpackim, który w roku 1840—1 znajdował się w Rzymie, idąc za śladami Montfaucona, znalazł ową książeczkę o wierze chrześciańskiéj w Inflantach, ale nie uzyskał pozwolenia, żeby ją mógł przepisać. Tak więc same wyjątki z niéj przyniósł z sobą do ojczyzny. Znalazł potém w bibliotece akademickiéj w Dorpacie stary jakiś rękopism, który tylko co w r. 1840 Ulryk Parrot ze Strasburga podarował uniwersytetowi; pokazało się poźniej, że to jest także kommentarz Possewina. Hehn swoje wyciągi wydrukował w „Verhandlungen der gelehrten Estnischen Gesellschaft zu Dorpat" w r. 1848. Tymczasem nasz uczony p. Przezdziecki bawiąc w Rzymie w kilka lat po nim, był szczęśliwszy i przepisał cały pamiętnik Possewina (Wiadomość bibliograficzna o rękopismach str. 40—41). Poczuwając się do obowiązków wzajemności naukowéj, p. Przezdziecki zaraz w marcu r. z. kopiją swoję przesłał do Inflant dla wydania w dziele: *Monumenta Livoniae antiquae.* Właśnie co ukończyło się wydawanie tego znakomitego dzieła i dlatego Napierski zaprojektował, żeby kopiją ustąpić towarzystwu historyczno-archeologicznemu w Rydze i żeby wydaniem pamiętników uświęcić jubileusz dorpacki. Wniosek przyjęto: Napierski dobrał sobie za pomocników doktora Aug. Buchholtza i kandydata Karola Schirrena, porównał rękopism Przezdzieckiego z rękopismem dorpackim Parrota. W jednym iw drugim, oprócz trzech nowości teraz wydanych, było wiele innych materyałów odnoszących się do historyi Inflant, a pochodzących z czasów Batorego i Possewina. Napierski wszystkie w przedmowie wylicza; ale że Dogiel, Starczewski a zresztą sam Possewin w innych dziełach swoich już te materyały podrukowali: wydawca osądził, że dosyć dać na ten raz same nowości i te właśnie, które przesłał Przezdziecki. Dodali jednakże czwarty z rękopismu dorpackiego, t. j. przywilej króla Stefana dany Solikowskiemu na prawo opieki nad kościołami katolickiemi w Rydze. Był wprawdzie i ten przywilej drukowany w Ciampiego dziele: „Bibliografia critica delle antiche reciproche

correspodenze..... del l'Italia colla Russia, colla Polonia, et altre parti septentrionali, Fiorenze 1834—1839 2 vol. 8vo": ale Napierski powiada: „kto z naszych ziomków zna tę bibliografią i kto z niéj mógł korzystać? Nigdy jéj nie widziałem, więc nic o niéj powiedzieć nie umiem. Nazwisko Ciampiego nie znajduje się w słownikach Jochera i Eberta". Dodamy mimochodem, że w przedmowie już po wydrukowaniu, skasowano te ostatnie wyrazy, że Ciampiego nie ma w słownikach, a w odsyłaczu umyślnie zrobionym, także od ręki wypisany cały tytuł nieznanéj dotąd w Inflantach, jak widać, Bibliografii Ciampiego. Są więc dzieła, których i prawdziwie uczeni nie znają.

Przy wydaniu, Napierski pilnie przeglądał kopiją z kodexu watykańskiego, błędy sprostował, poprawił ortografią i przecinkowanie, warianty z rękopismu dorpackiego zebrał i do textu dodał, co dało mu powód do rzucenia kilku historycznych domysłów. Oprócz tego poszły noty, których kilka dał p. Przezdziecki, a kilkadziesiąt Napierski, w których, jak powiada, chciał dać osobny kommentarz do kommentarza Possewinowego.

Oto pokrótce historya dzieła, które z wielu względów do naszéj bibliografii należy (1). Mamy je w ręku, z kolei zatém przychodzi napomknąć o treści i ważności tego wydania dla historyi.

Na czele idzie: *Livoniae Commentarius Smo Dno nro Dno Gregorio XIII Pont. Max. scriptus ab Ant. Possevino de Societ. Jesu.* Kommentarz ten stanowi jądro całego wydania (od str. 1—29). Niewielki jest, ale ważny. Autor pisał go *Bartnae* na granicach Węgier; wydawca domyśla się, że tu mowa o mieście Bartfa, po niemiecku Bartfeld (Bardiów) w hrabstwie Szarosz na granicach Węgier od Galicyi. Data kommentarza d. 29 marca 1583 r. (tertio kal. aprilis). Possewin pokazał w tym pamiętniku nieszczupłą znajomość historyi Inflant i napisał pokrótce dzieje téj krainy dla objaśnienia papieżowi kwestyj spółczesnych i rad swoich, jakie podawał królowi Stefanowi.

W piérwszym rozdziale o początkach i postępie religii chrześciańskiéj w Inflantach, wdaje się autor w etymologiczno-historyczne wywody nazwiska ziemi; do czego oczywiście dostarczają mu materyałów Strabon i Pliniusz, Długosz i Kromer. Potém rozprawia o biskupie Mejnhardzie, o metropolii rygskiéj, o Krzyżakach i o całym kościele inflanckim. Błędne podania Possewina poprawia w notach Napierski, sadząc datami wyjętemi z kodexów dyplomatycznych i z innych źródeł nowo wydanych; którego systematu trzyma się i w dalszych częściach kommentarza. Przewyborny to zwyczaj.

Drugi rozdział prawi o *upadku rzeszy inflanckiéj*. Possewin w kłótni jaka wynikła pomiędzy arcybiskupem rygskim a rycerzami Mieczowemi, trzyma stronę arcybiskupa, za co mu Napierski przymawia, i nie bawiąc się długo nad opowiadaniem sporów wewnętrznych Inflant, prosto przechodzi do chwil ostatnich niepodległości kraju, t. j. do czasów Zygmunta Augusta. Krótko napomknąwszy o Plettenber-

(1) Wspomniał już poprzednio p. Przezdziecki o zamierzoném wydaniu Possewina i o pracach Towarz. rygskiego w Bibl. Warsz. 1852. T. II. str. 558.

gu przeszedł do Wilhelma brandeburskiego arcybiskupa i Kettlera. Iwan Groźny, którego Possewin nie wiadomo dlaczego jedynie i wyłącznie *Moscus* nazywa, dawał pokój Inflantom, narzucając swoje warunki: część ich autor przytacza, ale po resztę odsyła do not czy dopełnień (appendix), któremi widać dzieło swoje opatrzył; z wielką boleścią tych not nie odkryto ani w oryginalnym texcie watykańskim, ani w rękopisie dorpackim. Potém znowu Wilhelm Fürstenberg koadjutor mistrz od 1556 r., a sam mistrz od d. 13 sierpnia 1557 r. zadarł z arcybiskupem. To sprowadziło nową wojnę z Rossyą i wmieszanie się Polski. Poddanie się Inflant Zygm. Augustowi nastąpiło w Pozwolu 5 września 1557 r. a niedługo potém 20 lipca 1558 roku car zdobył Dorpat i biskupa Hermana uwiózł, Fürstenberg abdykował w sierpniu 1559 r. i uciekł do Felina, który zdobyty był przez wojska carskie 21 sierpnia 1560 r. Mistrz tedy poszedł do niewoli za biskupem. Wtenczas się rzucili jeszcze Szwedzi i Duńczykowie na Inflanty i nastąpiło rozerwanie Judei. Ale Kettler przerzucił się na stronę Polski. Koadjutorem mistrza był już od 9 lipca r. 1558, mistrzem 1559 r. i był nim trzy lata aż do r. 1562 do d. 5 marca. Iwan osadził biskupa prawosławnego w Dorpacie, o czém oprócz Karamzina i teraz Possewina, nigdzie wzmianki nie ma; katolicyzm więc upadł w Inflantach, a miejsce jego zajął protestantyzm i kościół wschodni.

Possewin tedy w trzecim rozdziale opowiada historyą wznowienia się katolicyzmu w Inflantach. Zaczyna się reakcya na dobre. Pokój Zapolski stanął 15 stycznia 1582 r. Zamojski wszystkie twierdze inflanckie poosadzał załogami polskiemi, a do Dorpatu wkroczył 24 lutego 1582 roku. Biskupstwo ruskie upadło. Potém król Stefan przybył do Inflant i kilka miesięcy przesiedział w Rydze urządzając sprawy kościelne, zanim nadjechał i legat Possewin. Ryżanie troszkę się gniewali na króla Stefana za to, że tak gorąco brał się do rzeczy; ale trudno co było poradzić z Batorym. Biskup wileński Radziwiłł został gubernatorem Inflant, a za piérwszego doradcę dodany mu biegły administrator i gorliwy katolik ksiądz Dymitr Solikowski. Solikowskiemu oddano dozór nad klasztorami i kościołami katolickiemi w Rydze; kościół św. Jakóba oddano Jezuitom, a św. Magdaleny przeznaczono na parafią. Obok św. Magdaleny mieścił się klasztor zakonnic, które wiary dochowały: trzy ich wtenczas pozostało przy życiu, a najmłodsza liczyła lat 75, druga miała lat 90, trzecia 100. Possewin wyznaczył nad niemi ksienię (abbatissam). Daléj Polakami król obsadził urzędy w Inflantach, do majętności ziemskich rozesłał lustratorów, którzy na sejmie warszawskim mieli zdać sprawę z poruczonego sobie zlecenia i t. d. Biskupstwo król założył w Kiesi czyli w Wendenie, t. j. w mieście, w którém, jak powiada Possewin, osiadł piérwszy biskup inflancki Meinhard, co zresztą historycznie dowieść się nie da. Kromer nadesłał księży z seminaryum Brunsbergskiego; (Jezuici piérwszy raz przybyli do Rygi 7 marca 1583 r. za staraniem Possewina). Na sejmie grudniowym 1582 r. król po Solikowskim mianował piérwszego biskupa wendeńskiego, księdza opata

z Trzemeszna; tylko legat ubolewa nad tém, że jednocześnie Batory pozwolił w Inflantach wolnego wyznania wiary, i co gorsza, że to pozwolenie wydrukowano w Krakowie w zbiorze konstytucyj sejmowych. Przez to, powiada Possewin, świetność zwycięztw królewskich pomroczyła się, tém bardziéj, gdy Batory często mu powtarzał, że w Inflantach, jako na czystém polu (tanquam in tabula rasa), chce zasiać li tylko wiarę katolicką. Król wydał też przywiléj na zaprowadzenie w Dorpacie osady belgickiéj, zastrzegając, żeby li tylko katolicy rzymscy do niéj należeli; to było na piśmie, ale ustnie król upoważnił, że mogą być w téj osadzie pomieszczeni i wyznawcy augsburscy, (o których Possewin powiada z przytykiem: „qui Augustanam *confusionem* profiterentur"): pod zasłoną augsburskich wyznawców, powiada Possewin, wkradną się więc anabaptyści i inne sekty, których tak wiele w Holandyi, i dlatego radzi, aby zawczasu temu zapobiegać. Ubolewał z tego powodu sam przed królem i przypominał Stefanowi obietnicę daną wtenczas, kiedy się do Moskwy traktować wybierał o pokój; ale król odpowiedział na to, że już dawno Mazurów zachęcał do tego, żeby się przesiedlili na apostołów do Inflant i stawili opór mniemaniom religijnym, jakie napływać mogły z Holandyi, ale chociaż Mazowsze jest niepłodną ziemią i dość ubogą, nikt nie chciał przystać na przedstawienia królewskie. Batory musiał pozwolić na tę osadę do Inflant, bo po wojnach z Rossyą kraj był zupełnie pusty i niezaludniony, mógł się więc z czasem w ogromny las zamienić; wyjawiał jednak nadzieję, że skoro się pojawią tam Jezuici, nietylko katolicy nie upadną na duchu, ale i różnowiercy się nawrócą. Wyjawiał jeszcze pewne wątpliwości w tym względzie Possewin, zatém król „pełen dobrych chęci", na jego prośbę udzielił mu list otwarty na zaprowadzenie osady katolickiéj pod najlepszemi warunkami, o czém nieraz pisał już poprzednio legat do papieża i do księcia bawarskiego (znowu tych listów odszukać się nie dało). Daléj król wydał surowy rozkaz do starosty dorpackiego, który był gorliwym katolikiem, żeby nie pozwolił heretykom zajmować największego kościoła i t. d. Pozwolił też na założenie drugiego kollegium Jezuitów w Dorpacie, i fundusz dla niego obmyślił. Wezwał zatém legat, imieniem papieża, prowincyała polskiego Jezuitów, który zaraz nadjechał do Inflant, dla czuwania nad zarazą; księży mógł brać do pomocy prowincyał z nowo założonego seminaryum w Wilnie. Napisał też Possewin do biskupa nominata wendeńskiego, napominając go, co ma robić. Światły i gorliwy pastérz ten posłuchał natychmiast głosu legata.

Sposób usunięcia trudności i nietylko przywrócenia w Inflantach, ale i rozszerzenia po okolicznych krainach, aż na północ i wschód, wiary katolickiéj, stanowi czwarty rozdział w pamiętniku Possewina. Legat żywił w sercu najpiękniejsze nadzieje. Jest już, powiada, biskup w ziemi, na któréj niedawno nie mógł nogą postać żaden katolik, są kollegia jezuickie, jest seminaryum w Wilnie założone przez Rzym, król gorliwy i dobréj chęci; jest rozejmu jeszcze 9 lat z Moskwą, są osadzone zamki, z których Ryga i Dorpat lepsze od niejednego z księztw rzeszy niemieckiéj: starostowie i gubernator pobożni, księża

przebiegają kraj cały i ewangelizują: jest wszystko, co potrzeba. Ale jednak rąk dlatego opuszczać nie można: a nuż król zamrze, który jest jedynym, a nuż Moskwa wkroczy do Inflant w czasie bezkrólewia! Heretycy nie drzymią, a potém każdy rozruch religijny spowodowany przez dyssydentów, obrócić się może na złe sprawie katolickiéj. Stawia Possewin przykład Anglii i królowéj Maryi, która nic zrobić nie mogła, nawet przy pomocy hiszpańskiéj. Potrzeba wznieść mur miedziany (murus aheneus). Possewin wierzył, że papiéż sam był gotów udać się do Inflant i krew swoję przelać tam za wiarę, jak to obiecywał mu, kiedy się wybierał w poselstwie do Szwecyi; ale kiedy rząd kościoła na to Grzegorzowi XIII nie pozwalał, chciał legat, żeby przynajmniéj przed żadną ofiarą papież się nie cofał. Possewin następnie udziela szczodrze pochwał nominatowi wendeńskiemu i wnosi, żeby mu pozwolić większéj władzy, choćby na czas pewien, żeby mógł prawdziwą wiarę zaprowadzić do tak nieuprawnéj i oddalonéj winnicy, że „nie powiem już do lasu", naiwnie dodaje. Jest nadzieja i nawet trzeba to postanowić prawem, żeby biskup nie wybierał pieniędzy dla siebie od owieczek, bo przez to kapłani katoliccy, mówi Possewin, ściągają na siebie złorzeczenia. Z otwarciem seminaryum wileńskiego dla Rusi i Inflant założonego, nietrzeba długo zwłóczyć; owszem czy kupnem dóbr, czy regularną wypłatą pensyi trzeba je utrzymywać, bo fundusz papiezki położył tylko podstawy, ale nie wystarczy na wszystkie wydatki i t. d. Daléj legat tak samo przechodzi potrzebę wysyłania księży do Inflant; mówi o majątkach kościelnych, które w czasie reformy odeszły do dyssydentów, o zaprowadzeniu osady katolickiéj, z którą niepotrzeba wcale ociągać się, bo kiedy Rzym obraduje, tymczasem Sagunt może być wzięty, przysłowiem rzymskiém dowodzi legat. Że dyssydenci bardzo interesują się tą osadą katolicką, pisał Possewin już poprzednio, nim wyjechał do Węgier, kardynałowi di Como sekretarzowi stanu Grzegorza XIII, bo kardynał względem téjże saméj sprawy pisał do księdza Caligario nuncyusza w Polsce i nawet samemu Possewinowi zalecał zająć się tą kwestyą: list i tę instrukcyą dla Possewina drukował Ciampi w Bibliografii. Legat każe pisać do księcia bawarskiego i do Włoch: chce rolników, rzemieślników, księgarzy, drukarza, doktora, nawet kupców; chce wezwać księży włoskich albo niemieckich, którzyby umieli także po włosku. Wszyscy oni gonią po świecie za zyskiem, tutaj zysk będzie większy za błogosławieństwem bożém. Co do księży, legat pisał szczegółową dla nich instrukcyą, jak mają zakładać kościoły i parafie, jak przepowiadać wiarę po Inflantach i Kurlandyi. Chciał w jednym miesiącu poświęcić wszystkich i rozrzucić po prowincyi. Przekładał także nie nowe żądanie, ale którego konieczność z każdym dniem była widoczniejsza: do Elbląga i do Rygi przybywało dla handlu wielu Anglików i innych ludzi z za morza, do Archangielska pływają także cztery okręty angielskie co rok. Królowa angielska dobrze jest z Polską, dobrze ze Szwecyą i wszędzie sieje swoję truciznę. Dlatego radził legat, żeby dojrzalszych uczniów z seminaryów angielskich w Rzymie i w Rheims posłać także do Inflant, szeroko rozwodząc pochwały dla tych obydwóch zakładów: gdyby

było potrzeba nawet wezwać missyonarzy posłanych już do Hiszpanii, albo tych co pensye pobierali od papieża, legat nie radzi i tych wszystkich oszczędzać, z powodu, że w Polsce mogą być pożyteczniejsi dla Rzplitéj chrześciańskiéj. „Byłaby to święta nagroda pracy, kończy tę kwestyą Possewin. Dla Jego Świątobliwości większa z tego powodu radość na ziemi, jak na niebie świetniejszeby oni rozwiali korony". Radzi też legat założyć drukarnię w Wilnie albo w Krakowie na wielką skalę, tak, żeby wydawała księgi w różnych językach, które należało roznosić po Węgrzech, Siedmiogrodzie, Litwie, Rusi, Inflantach i Moskwie. Drukarnię tę zowie Possewin *opus omnium utilissimum et pernecessarium.* Są wprawdzie drukarze w Krakowie, tak myśl swoję daléj rozwija, ale ci są po większéj części heretykami, i trzeba dodać, heretycy drukarze najczynniejsi są; inni zaś są tak ubodzy albo mało troskliwi, że zaledwie co rok jaką książeczkę wydadzą. Dowozy zaś książek katolickich z zagranicy (z Kolonii, z Wenecyi, z Francyi) są rzadkie dla kosztów sprowadzenia: co na miejscu kosztuje 300, to w Polsce około 2,000 zł. Z tego idzie, że nie ma w Polsce dobrych ksiąg wiele i jeden drugiemu nie pożycza ich wtenczas, kiedy lada heretyk zakłada drukarnię i tysiącami dzieł wszystkie strony zarzuca. Potrzeba zatém w Polsce drukować dzieła w różnych językach, dla różnych sekt i narodowości. Byłato widać sprawa już dawno w Rzymie obracana, gdy Possewin daléj mówi. „i z boskiego zrządzenia to się stało, że za pieniądze stolicy apostolskiéj, w skutek rozkazu W. Świątobliwości, już prawie wszystkich języków druki mamy tutaj przygotowane". Poddani carscy przybywać będą do Inflant i Litwy za sprzedażą swoich futer, więc im projektował legat sprzedawać książeczki drukowane w Krakowie; tém bardziéj, że jak sam się przekonał w Moskwie, synod florencki nie zrobił nic, żadnego wrażenia w tamtych stronach. Po litewsku dla ludu książki będą w Dorpacie, Rewlu i Rydze. Na Szwecyą i Finlandyą będzie się działało przez Rewel. Possewin wyglądał na tę drukarnią 4,000 duk., które potém, jak projektował, możnaby obrócić na jakie inne pobożne dzieła, np. na seminarya.

Na tém się kończy pamiętnik o Inflantach Possewina, bardzo ważny pod względem polityki, jakiéj się Jezuici i dwór rzymski mieli trzymać w nowo przyłączonych do Rplitéj polskiéj krainach. Daliśmy tutaj wiernie całą treść jego, a wszelkie daty wzięliśmy z ciekawych przypisów wydawcy. Treść tego pamiętnika odrazu bije w oczy i jest tak zajmującą, że czytelnik nieprędko zwraca uwagę na rzeczy postronne, np. na to, że autor lubi się także bawić zwyczajem swojego wieku w etymologiczne wywody. Tak np. uderza oryginalnością swoją dowcipny wywód związku hanzeatyckiego, hanzy, od łacińskiego wyrazu *ansa*, znaczącego niechęć, nienawiść (str. 132). Possewin powiada, że z nienawiści miast niemieckich do baronów wywiązała się hanza, i nie widzi, że to tłumaczenie wyraźnie naciągnięte, boć Niemcy prędzéjby niemieckiego jakiego wyrazu oznaczającego nienawiść użyli dla nadania związkowi miast technicznego nazwiska. Ale w owym wieku wszystko wyprowadzano z łaciny i z greczyzny.

Pisze zaś Possewin dlatego o téj hanzie, że piérwsi kupcy hanzeatyccy wylądowali na brzegi Inflant zanosząc tam światło chrześciańskiéj nauki. Inne wywody pomijamy, w które treść pamiętnika bogata.

Co do nas nauczyliśmy się ztąd faktu, o jakim nie mieliśmy dotąd żadnego wyobrażenia: mówić tu chcemy o gorliwości religijnéj Stefana Batorego. Znajoma jest wszystkim zasada tego znakomitego króla, że nie chciał nad sumieniami panować. Dowiódł tego Stefan całém życiem swojém i nikogo do wiary nie zmuszał; ale oto łapiemy go na gorącym uczynku jak szczerze pomagał ludziom, którzy za cel sobie wyłączny pracy ciężkiéj położyli: nawracać. Dotąd widzieliśmy tylko króla przyjacielem Jezuitów, otwierającym dla nich akademie i wprowadzającym zakon do Inflant; teraz przekonywamy się, że Stefan szczerze sprzyjał nawracaniu. Sam, człowiek wątpliwéj wiary póki był księciem siedmiogrodzkim, nagle wstąpiwszy na tron polski staje się gorliwym katolikiem: nie było w tém pochlebstwa dla szlachty, bo gdyby dla widoków czysto światowych Stefan przyjął wiarę katolicką, byłby się osłonił pozorami, a w gruncie serca byłby obojętnym; tymczasem pokazuje się, że był gorliwym i bardzo gorliwym. Zkąd taka przemiana? taka przyjaźń dla Jezuitów? Król Stefan nie był człowiekiem takim jak Zygmunt III, żeby cudzym wpływom ulegał, bez myśli i bez woli. Zdaje się więc, że wybrał Jezuitów za narzędzie swoich widoków. Jezuici zgadzali się z nim dobrze, bo tym razem ich własne widoki zgadzały się z polityką króla. Co do nas, my już w tych piérwszych krokach reakcyi religijnéj Stafana, które Possewin opisuje, widzimy przebijającą się wyraźnie myśl przyszłéj reformy Rpltéj, do któréj Jezuici mogli usposabiać naród. Król dojrzał, że ten zakon przepowiadający bezwarunkowe posłuszeństwo władzy t. j. kościołowi, może znakomicie ułatwić pracę, którąby mu z ciężkością przychodziła. Czytaliśmy tyle pomników ówczesnej historyi, a nigdzie tyle jak w tym pamiętniku Possewina nie uderzyła nas przyjaźń Batorego do Jezuitów. Król nie pozwalał gwałtu, nie przewodził nad sumieniami, ale *chciał*, żeby się zaczęła praca około nawracania i wyłącznym był w tém postanowieniu, bo tylko Jezuitom nawracać pozwolił: oni wszystkich heretyków mieli ściągać na łono katolickiego kościoła. Ale robił to król szlachetnie i nie pragnął niesprawiedliwości.

Po kommentarzu Possewina idzie w tém wydaniu list legata do opata trzemeszyńskiego nominata biskupa do Inflant, o którymto liście w końcu trzeciego rozdziału wspomniał legat. Był tym nominatem Alexander Wczele Mieliński po Solikowskim, który biskupstwa nie przyjął piérwszy, ale niedoszły jednak biskup wendeński. List pisany z Łowicza nosi datę 22 grudnia 1582 r., a więc pisany był na trzy miesiące przed pamiętnikiem. Possewin odwiedził wtedy w Łowiczu prymasa Karnkowskiego, do którego przyjechał w nocy dnia 21 grudnia. Prymas wiele rozprawiał przed legatem o nominacie; zapewne mu wystawiał gorliwość religijną i nabożność księdza Mielińskiego. Gdy nadszedł na to synowiec rodzony nominata, prymas zapraszał legata, żeby za piérwszym razem jak będzie pisać do

Rzymu zalecił sprawę biskupstwa wendeńskiego do kardynała di Como sekretarza stanu, co Possewin obiecał, i następnie dodał Karnkowski, że niemałą pociechą dla nominata będzie, jeżeli legat napisze osobny list do niego, a w nim wyrazi wszystkie życzenia i obawy swoje, o jakich pewno obaj rozmawiali. Ztąd poszedł i ten list, który obok pamiętnika nawet ważnym jest dziejowym zabytkiem. Dosyć w nim teologii, ale wiele i rad podobnych tym, które autor rozwinął obszerniéj w kommentarzu; i nic dziwnego, że obszerniéj, bo kommentarz późniéj pisał, a więc już i pewne plany dojrzały w jego umyśle. Że już wtenczas pracował nad kommentarzem, Possewin wyznaje to w swoim liście. Legat każe naprzód nominatowi uważać jego wybór na biskupa jako zrządzenie Boże, i każe mu się przygotować modlitwą i pracą do przyszłego zawodu. Miesiąc czasu ma najmniéj biskup poświęcić na pobożne rozmowy, żeby się usposobił do świętego urzędu, a legat doradza mu, żeby wezwał do tego jakiego Jezuitę z Poznania: „raz, dwa razy tylko przez ową część Polski przejeżdżałem, nie znam więc nikogo z mieszkających w téj stronie, któryby potrafił zadość uczynić chlubnemu wezwaniu“, i dlatego radzi wziąć Jezuitę. Prymas i biskup kujawski przekonali się już o mądrości i świetle zakonu. Daléj idą rady o opactwie, które porzucić wypadnie. Possewin chce, by za wzorem prymasa, który wspiera seminaryum poznańskie, nominat w témże seminaryum trzymał z dochodów trzemeszyńskich sześciu biédnych kleryków, któremiby się potém mógł w pracy wyręczyć. Dyecezya wendeńska pusta w księży; zaledwie w niéj jest co Jezuitów, którzy potrafią słowo Boże opowiadać. Z tych 12, których papież kazał posłać do Inflant generałowi zakonu, ledwo część przybyła, a na resztę legat czekał jeszcze. I co dwunastu pocznie wśród takiéj pustyni? Tyle tam wyznań, tyle języków: niemiecki, ruski, szwedzki, duński, polski, a biskup wendeński nie będzie biskupem jednéj tylko dyecezyi w Inflantach, ale musi być biskupem całych Inflant. Jeżeli biskup zabiegać nie będzie, heretycy zaczną nawracać. Wreszcie kończy list Possewin znowu tém samém, co i kommentarz, tojest koniecznością rozrzucenia ksiąg katolickich pomiędzy ludem. Zaleca téż przeczytać dziełko księdza Sokołowskiego: *De episcopi consecratione.*

Wszystko to Possewin wypowiada bardzo zgrabnie i zręcznie, jak gdyby dlatego, żeby się nie chwalić, a ten cel miał niezawodnie. Widząc te zabiegi i prośby, przypomina się nam zaraz, jak Krzyżacy w czasie największéj swojéj potęgi odsuwali innych księży od stolic biskupich i na nich mnichów swoich sadzali, żeby mieć całe duchowieństwo pod ręką. Tak teraz Jezuici mieli już biskupa Jezuitę w Gnieznie i w Kujawach, starali się o trzeciego w Inflantach: tylko Krzyżacy jawnie, a Possewin potajemnie przymawiając się, pochlebiając, działali.

Rzecz dziwna, że pomimo całéj gorliwości Possewina, Rzym niewiele się krzątał około Inflant: takby przynajmniéj na oko wnosić wypadało. Mieliński długo czekał na infułę i nie doczekawszy się biskupstwa, umarł w następnym roku 1583. Żył jeszcze w marcu,

kiedy pisany kommentarz. Zatém zeszło zawsze z pół roku najmniéj od daty nominacyi, a bulli jednak nie było. Jeżeli zważym, że i Solikowski miał poprzednio od króla nominacyą, czas ten wyda się nierównie większy. Po śmierci Mielińskiego, biskupem wendeńskim został Jędrzéj Patrycy Nidecki, sławny filolog, starzec posiwiały. Jednakże sprawa jego także długo się wlokła: w Rzymie gwałtem domagano się pieniędzy za sakrę: kładziono summę 7000 dukatów za to. (Ambr. Grabowski w Starożytnościach II). Nie pomogły wielkie instancye, które leciały z Rzplitéj. Nidecki czekał lat kilka i ledwie mógł raz tylko odwiedzić stolicę swoję, zaraz potém umarł. Dlaczego więc tak poźno erekcya biskupstwa wendeńskiego otrzymała zatwierdzenie Rzymu? niepodobna się nam domyślać. W skutku téj zwłoki bystro upłynęło lat 10 panowania Batorego, który rozsądnie sobie i ostrożnie poczynał. Nidecki już za Zygmunta III objął biskupstwo, a wkrótce po jego śmierci nietolerancya tego samego Zygmunta III zgubiła Inflanty dla Polski i oddała je w ręce Szwecyi. Otto Schenking następca Nideckiego, był jakby biskupem *in partibus infidelium*, bo ciągle bawiał w Polsce jako wygnaniec z dyecezyi. Rzym piękną chwilę utracił samochcąc. Possewin pewnieby nad tém serdecznie ubolewał, gdyby mógł widzieć skutki; cały owoc jego zabiegów był niepowrotnie stracony.

Po liście do Mielińskiego idzie instrukcya królewska, dana księciu Jerzemu Radziwiłłowi biskupowi wileńskiemu w Rydze, dnia 1 maja 1582 r. jako namiestnikowi Inflant. Książę był rządcą téj ziemi czasowym, dopókiby sejm inaczéj nie postanowił: sąto słowa instrukcyi. Poleca król biskupowi naprzód, żeby wiarę katolicką, któréj zasady rzucono już w Inflanty, wszelkiemi siłami krzewił. Księży ma słać do Wendy, Parnawy, Wolmaru i t. d. i we wszystkie kościelne potrzeby kościoły zaopatrzać. Solikowskiemu do zarządu klasztorów rygskich wszelką nieść pomoc. Postępować sobie we wszystkiém umiarkowanie i pobożnie, żeby sektarze albo kapłani ich nie mieli powodu buntować lud i budzić jakie rozruchy. (Oto znowu ostrożna myśl Batorego, na jaką wyżéj wskazaliśmy). Gdyby magistrat ociągał się sądzić winnych buntu, biskup miał władzę sam stanowić o ich losie z burgrabią królewskim. Zalecał daléj Stefan swoję sprawiedliwość, ale zakazał sądzić sprawy dawne i sprawy o dobra, a tylko nowe i czysto osobiste, żeby nie wzbudzać niechęci. Zabiegał w ogóle i biskup niebezpieczeństwom z zagranicy: do tego miał używać rady starostów: cała siła wojskowa była mu poddaną. W razie większych strachów, mógł nakazywać podwody i konie. Cała przecież siła wojskowa była w Rydze i stanowiła załogę tego miasta. Polecono biskupowi oglądać się na cudzoziemców i spiski zagranicznych książąt. Zresztą zostawiono mu wszystko podług woli, tojest jego zdolnościom, czynności i pracy.

Kończy wydanie przywilej dla Solikowskiego, o którym dopiéro co, mówiąc o instrukcyi Radziwiłła, wspominaliśmy. Król Stefan polecał swojemu sekretarzowi opiekę nad wszelkiemi klasztorami i kościołami katolickiemi w Rydze, kazał mu starać się o ich byt do-

bry i o przyszłą pomyślność. Nadawał mu pod tym względem obszerną władzę: rzecby można, że Solikowski był rodzajem biskupa katolickiego aż do czasu, póki Rzym nie zatwierdzi rozporządzeń królewskich i prawdziwy biskup nie zjedzie. Przywilej ten, dany również 1 maja 1582 r. nazwany jest *curatio* w oryginale, a sam Solikowski *kuratorem*.

Otóż i wszystko: księga niewielka, ale pełna znakomitéj treści dla dziejów. Maluje się w niéj zbyt wybitnie Stefan Batory, maluje się wybitniéj jeszcze Possewin, który chociaż obcy dla nas, zajmuje przecież stanowisko ogromne w naszéj historyi. Była epoka, niedługa wprawdzie, w któréj ten legat, można powiedzieć, trzymał losy Rzplitéj: ta prawda widoczniejszaby się dla nas stała, gdyby Batory pożył trochę dłużéj i gdyby Possewin kilka lat jeszcze na urzędzie poselskim w Polsce przesiedział. Nie wchodzim w pobudki działań legata, bo te dla nas zakryte, jak są zakryte pobudki wszystkich wielkich historycznych ludzi: boć nie każdy spowiada się tak naiwnie jak Rousseau. Badaczom, historykom, domysły tylko przychodzą do głowy, kiedy rozprawiają o tajnych myślach jakiego człowieka. Z faktów zewnętrznych zatém sądząc, nie z pobudek jakie mógł miéć Possewin, ta prawda widocznie w oczy bije, że legat chciał dobra Rzplitéj i katolicyzmu; co u niego na jedno wychodziło, bo tu i tam widział solidarność interesu.

D. 23 stycznia 1853 r. *J. Bartoszewicz.*

Sprawa i dzieje zajazdu na zamek tarnowski, dopełnionego w r. 1570 przez Stanisława Tarnowskiego kasztelana czchowskiego, Albrychta Łaskiego wojewodę sieradzkiego i Jędrzeja Zborowskiego miecznika krakowskiego.

Pan Józef Łepkowski, znany archeolog, członek Towarzystwa naukowego krakowskiego, znalazłszy wstęp do archiwum księcia Władysława Sanguszki, zebrał wszystkie dokumenta tyczące się téj ciekawéj sprawy, odczytał, dokładnie sprawdził i celem obrobienia takowych, ku pożytkowi dziejów i historyi prawodawstwa polskiego, oddał p. Kazimiérzowi Kalince, który ułożywszy je chronologicznie, każdy akt szczegółowo objaśnił. Tak utworzył się spory rękopism, godny zająć uwagę tak badacza dziejów, jak i prawnika studyującego dawne prawodawstwo polskie. My donosząc o téj ważnéj pracy, zanim wyjdzie z druku, poprzestaniem na przytoczeniu ustępu z przemowy p. Kazimiérza Kalinki, która w treści podaje nam cały wypadek.

„Tego rodzaju zajazdy, albo właściwiéj nazwawszy *guerry*, często dosyć wydarzały się w dawnéj Polsce. Zwyczaj exekwowania

przez samę stronę wygrywającą spór z dobraném gronem szlachty, za powagą urzędu starościńskiego i często z przydaną przez niego assystencyą wojskową, dał niezawodnie początek tak zwanym zajazdom, które znowu przez nadużycie w *guerry*, zabranie dóbr, wypędzenie z tychże i t. p. wyrodziły się. *Guerra* i *zajazd* są podobne do siebie; zawierają tylko różnicę pod względem zasady prawnéj. Wykonywanie wyroku (wwiązanie, jak nazywają statuta) przez samą stronę, lub z dodaniem pomocy wojskowéj ze strony urzędu, można właściwym nazwać zajazdem; gdy zaś kto rościł sobie prawo do dóbr jakowych lub innéj nieruchomości i zajeżdżał dla przerwania posiadania stronie przeciwnéj; nakoniec gdy uroiwszy sobie jakowyś tytuł, często fikcyjny, z większą lub mniejszą siłą zbrojną najazd na takową uczynił i t. p.: czyn takowy wypadałoby nazwać *guerrą*. To pewna, że prawodawcy nasi nigdy nie nadają nazwiska *zajechania*, lub *zajazdu* i mianują to albo guerrą, albo też *occupatio bonorum*; a w miarę większego gwałtu i małoważności powodów i zasad, nazywają *violatio invasio domus* i t. p. Krótkie robimy w treści samego procesu uwagi, co do różnic tych czynów, zostawując innemu miejscu, obszerniejszy wywód historyczny tak pod względem faktów, jako i samego czynu zajazdowego, jak również istoty owych gatunków najazdu. Powiemy tu tylko, iż kronikarze nasi, kiedyniekiedy i to z widoczną niechęcią nader krótko wspominają o tego rodzaju wypadkach, a więcéj je jeszcze milczeniem pomijają. I tak, ze wszystkich tak współczesnych jako i późniejszych, jeden tylko Bielski i to nader lakonicznie o najezdzie na zamek tarnowski wspomina. Milczenie to ogólne wytłumaczy nam wzgląd na to, że tak wielce zasłużeni dygnitarze i panowie dopuścili się w jasny dzień tak krzyczącego pogwałcenia praw i pokoju publicznego; wspomnienie zaś rzeczy będącéj długim przedmiotem waśni, a w końcu pojednaniem się zatartéj, miałoby cechę jakiegoś wyrzutu dla pozostałych potomków; nakoniec dekret królewski zakazujący wznawiania procesu przez kogobądź i unieważniający wszelkie kroki w tym względzie przedsiębrane: był pośrednią zachętą dla piszących, aby fakt cały milczeniem pokryć, lub mało znaczącém wspomnieniem obejść. Rzecz najazdu naszego tak się miała:

Stanisław Tarnowski kasztelan czchowski z wojewodą sieradzkim Albrychtem Łaskim, tudzież Marcinem Zborowskim miecznikiem (ówcześnie) krakowskim, wraz z różnemi panami i dworskimi swoimi, między któremi jest wiele imion znanych historycznie „opuściwszy bojaźń bożą" (jak mówi protestacya) „powinność chrześciańską, dobrą sławę, nie mając baczenia na zwierzchność JKMci, wzgardziwszy prawo pospolite ojczyzny swéj i niebacząc na pokój pospolity i on wzruszając, nie pamiętając na statuta koronne, zabrawszy i przywiódłszy do państwa JKMci tutecznego wojska niemało, tak jezdnych jako i pieszych z cudzych stron, Węgrów, hajduków, Turków, Niemców, Hiszpanów i innych narodów ludzie, jako przeciwko nieprzyjacielowi postronnemu, zbrojno, z działy, hakownicami, rusznicami i innemi przyprawami wojennemi, nie dawszy żadnéj opowiedzi,

jako cnotliwemu przystoi, nieprzyjacielskim obyczajem pod zamek tarnowski, dom wspólnego i własnego mieszkania Wielmożnéj Zofii z Tarnowa dziedziczki, w nocy przyszedłszy, oblegli: piérwéj domy i budowanie wszystko, które przed zamkiem było, popalili, wojsko swe na kilka hufców rozszykowawszy, szańce poczyniwszy, strzelbę, działa zasadziwszy, drabiny rzemienne do muru przystawiwszy, z wielką mocą i strzelbą gęstą z okrzykiem, z trąbami, z bębny szturmy czyniąc, strzelając, we wtorek przed św. Wojciechem dobywali i gwałtownie dom ich (księztwa Ostrogskich) własny spólnego mieszkania naszli i najechali; wrota w zamku wysiekłszy, w zamek się włomili i dobyli; nie bacząc ni na pokój domowy, prawy pospolitemi uprzywilejowany, sługi przerzeczonego Wielmożnego Konstantyna, Zofii małżonki jego w zamku będące, pobili i t. p. różne gwałtowności wyrządzili." Dowiadujemy się daléj, że kasztelan czchowski zamek opanowawszy, rozłożył się obozem w mieście i w okolicy (księżna Zofia zdaje się obecna wypadkowi, schroniła się), i tamże jakiś czas bawił, jak tego dowodzi wzmianka w relacyi woźnych, na żądanie stron pokrzywdzonych, przez starostę pilzneńskiego właściwego wysłanych; Tarnów bowiem należący do województwa sandomierskiego, nie posiadając własnego swojego, podlegał pilzneńskiemu grodowi. Następnie kasztelan czchowski chcąc nadać moc prawną swemu zajazdowi w dobra tarnowskie, uczynił intromissyą przez woźnego i takową w akta krakowskie grodzkie zaoblatował, czego ślad znajdujemy w dekrecie królewskim. Potém sprawa, zdaje się bądź przez Tarnowskiego, bądź téż ze strony księztwa Ostrogskich popierana, toczyła się w sądzie ziemskim w Pilznie, lecz ślady tych kroków w aktach zachowane nie zostały.

Domyśléć się łatwo, iż czyn takiéj samowoli musiał nietylko zaszczepić zarzewie niezgody i nienawiści między rodziną, i zapalić wzajemne gniewy; ale i niepomału obraził ludzi statecznych, kochających i szanujących prawa pospolite i każdego pojedynczego obywatela Rzplitéj, a nawet samego króla Zygmunta Augusta poruszył. Poznać to łatwo z chętnego wmieszania się w rzecz całą; bo sprawa ta, zajadle wodzona po grodzie i sądzie ziemskim, w końcu przez instygatora koronnego podniesiona przed królewski majestat na sejm pospolity, w roku tymże w Warszawie odbywający się, wprowadzoną została. Tutaj wszakże, dla wielkiego zatrudnienia sejmu sprawami gdańskiemi, które kłopotały tak króla, jak i o dobro i pokój publiczny dbających i gorliwych, sprawa ta zwleczoną została tak, że dopiéro po niejakim czasie i to w roku następnym przed króla na sąd wytoczyła się. Tutaj opadła już żarliwość i wzajemna nienawiść obu stron. Książę Ostrogski boleśnie dotknięty był stratą swéj żony, która przed śmiercią zrobiła na rzecz jego darowiznę z dóbr tarnowskich; a kasztelan czchowski miał już czas ochłonąć z gorączki swéj i przeświadczyć się, że popełniwszy czyn takiéj samowoli, nie godziło się mu więcéj bez obrazy sumienia o bezzasadne prawa swoje, tak uporczywie dobijać się. I widzimy już z obu stron mniejszą uporczywość, a większą skłonność ku zakończeniu procesu, która się téż za przedsta-

wieniami ze strony panów czynionemi, a może i od boku królewskiego ku temu zesłanych, w zapisaniu na kompromis i wybraniu króla samego na sędziego polubownego, objawiła. Nie możemy jednakże powstrzymać się od przypuszczenia, że i prawie współcześnie dopełniona unia lubelska, owe zbratanie się i zlanie w jednę rodzinę dwóch wielkich narodów, mogła przyczynić się do pojednania stron zwaśnionych. Myśl, że koroniarze z bracią Litwą już teraz razem, wszędy i zawsze jedne i też same szczęsne i nieszczęsne koleje dzielić będą; to zespolenie losów fortuny, prywaty i publiki, mogło rumieńcem okryć lice pana kasztelana czchowskiego koroniarza, że z bratem swoim świeżym koroniarzem księciem Konstantym, z którym był i powinowaty, tak się srodze poważnił, a jeszcze waśń daléj podburzał, wadząc się i szarzając po sądach (1). Dość, że w końcu po zapisaniu się na sąd polubowny królewski, kasztelan czchowski nie obstawał już mocno przy swojém prawie, słabo bronił sprawy swéj, powołując się na jakieś ordynacye przodków swoich hrabiów na Tarnowie (nie pokładając ich nawet w sądzie), i widocznie okazał, że ustąpiwszy z zaciętości swojéj, procesuje się tylko, aby pretensye i czyn swój jakimbądź pozorem prawa osłonić. Król wydał wyrok: księciu Konstantemu Ostrogskiemu przysądził zamek, miasto i dobra tarnowskie, a kasztelan czchowski musiał cierpliwie wysłuchać wyroku, uznającego niesłuszność i bezzasadność swoich roszczeń i nakazującego mu wieczne milczenie!

I rzeczywiście to milczenie zachował zupełnie; zachowały strony poważnione, zachowali i co do całego wypadku współżyjący i późniejsi; a z kronikarzy, Bielski, jak wspomnieliśmy, tylko jeden i to nawiasowo, jakby półgłosem mówi o tém:

„Zaczém Tarnów (po śmierci bezpotomnego Jana Krzysztofa jedynego syna Jana W. hetmana) na Zofią jego siostrę przypadł, a o który było kłopotu dosyć między grabią z Tarnowa a księciem; jakoż mocą go dobywał Albrycht Łaski pod książęciem i wziął, czego grabia potém przypłacił." I oto jest wszystko, co o tym wypadku powiedziano, prócz małéj wzmianki w Niesieckim i w opisie Tarnowa ks. Balickiego (2). Milczenie trwało do dziś dnia, a po trzech wiekach blizko, wolno nam zdaje się tę kwestyą już nikogo niedrażniącą, podnieść, li tylko ze stanowiska naukowego, a dość ciekawą zdaniem naszém, uważając ją ze stanowiska prawnego."

(1) Wiadomo, że Ostróg jest na Wołyniu, a Wołynie i Podlasie na sejmie 1569 r. unii lubelskiéj, do Korony przyłączone zostały. Górnicki, Dzieje Polski, 184.

(2) P. Przyłęcki ogłosił w Bibl. War. w tomie II r. 1842 na str. 32 akt protestacyi z tego procesu.

Ocena dzieła pod napisem: Justyniana Instytucyje, *z łacińskiego przełożył* Alexander Cukrowicz O. P. D. — *C. K. prokuratar przy Trybunale miasta Krakowa i jego okręgu. Z. professor prawa rzymskiego w uniwersytecie krakowskim. Kraków, nakładem i czcionkami księgarni pod Sową.* 1850 r. w 16ce. Str. 356.

(Dokończenie).

CZĘŚĆ 3cia.

Wyrazy przez tłumacza urobione.

Tłumacz kilkadziesiąt wyrazów nowo urobił, lub już używane zastosował do potrzeby prawniczéj. Przejdziemy je porządkiem ksiąg Instytucyj, z uwagami.

KSIĘGA Isza.

Niepotrzebnie, zdaniem mojém, urobił tłumacz nowy przymiotnik *ustawliwy* albo *ustawniczy*, chcąc przez to wiernie oddać łacińskie *legitimus* i odróżnić od *justus* prawy albo prawny.

Przymiotnik *justus* urobiony od *jus*, które wywodzą od *justitia*, trojakie ma znaczenie; oznacza bowiem: sprawiedliwy, prawy, prawny. Ostatnie znaczenie dla odróżnienia od dwóch piérwszych, wyrażali Rzymianie zwykle przymiotnikiem *legitimus*.

Justus, *sprawiedliwy*, jest ten, kto pomimo przepisów prawa zwalniających go od obowiązku, temu jednakże zadosyć czyni; n. p. pomimo przedawnienia, którém się podług przepisów prawa bronić może, oddaje to, co komu przynależy. Justus, *prawy*, jest ten, kto w postępowaniu swojém ściśle trzyma się przepisów prawa; justus judex, prawy sędzia.

Justum, *prawne*, jest nakoniec to wszystko, co jest zgodne z przepisem prawa lub co onemu nie jest przeciwne. I właśnie te dwa ostatnie znaczenia, oznaczyli prawnicy, jak się dopiéro rzekło, przymiotnikiem *legitimus, a, um*, przetworzonym z wyrazu *lex* (1), który że oznaczał pojedyncze prawo a poźniéj pojedynczy przepis prawa, wiadomo. Z początku bowiem wychodziły czasowo, pojedyncze, stosownie do zachodzących okoliczności, różne prawa: królewskie, leges regiae; narodowe w centuryjach albo kuryjach wygłosowane; senatusconsulta w senacie uchwalone, plebiscita gminne, edicta przez pretorów i innych urzędników wydawane, *constitutiones* imperatorskie. Lecz te różne rodzaje szczegółowych praw, stosownie do swego pochodzenia nazwane, miały także ogólną nazwę *lex*, tak dalece, że na-

(1) Jakie ma pierwotne znaczenie *lex, jus*, zob. wyżéj wskazane dzieło Rudolfa Iheringa.

wet piérwszy urzędowy zbiór Dwunastu tablic, nazywano w ogólności *lex*, a częściéj leges duodecim tabularum. Ztąd téż to wszystko, co było zgodne z przepisem jakiegobądź pojedynczego prawa, oznaczano przymiotnikiem *legitimus*: a chociaż poźniéj nastały i nadane były zbiory praw kodexami zwane, nazwa przecież *legitimus* pozostała.

W naszéj mowie, prawo w znaczeniu przedmiotowém, oznacza pierwotnie każdą pojedynczo wyszłą czyto uchwałę, czy ustawę, czy postanowienie, czy ukaz; nazwę tę stosujemy także do zbioru praw. Mówimy przeto: prawo tak miéć chce z roku tego a tego; prawo kodexem objęte czyli pojedyncza cząstka tegoż artykułem zwana, tak miéć chce, i t. p. Zgodność przeto z przepisem prawa dobrze zowiemy: *prawny*, i niepotrzeba wcale wyrazu *ustawliwy*, *ustawniczy*; bo inaczéj musielibyśmy przyjąć także: postanowniczy, uchwałowniczy, ukazowniczy.

Wszakże w rzymskiém prawie znane były rescripta, epistolae, responsa, mandata, co wszystko zwało się także constitutiones, a przecież jak tylko chciano wyrazić zgodność czyto z reskryptem, czy mandatem i t. d., mówiono *legitimus*. Ztąd wyrażano się:

legitima aetus, legitima cognatio, dignitas, haereditas; legitima pars, persona, poena, portio, probatio, quantitas, successio, tutela, usura uxor: legitimum jus, tempus; legitimi dies, testes, legitimus heres, successor, modus. Lecz nie wiem czybyśmy mogli mówić: ustawniczy albo ustawliwy wiek, ustawnicze pokrewieństwo, dziedzictwo, ustawliwa opieka. I dlaczego tak koniecznie, kiedy od wieków przyjęty przymiotnik *prawny*, jasno oznacza zgodność z prawem i miléj brzmi.

Wreszcie i Rzymianie w miejsce *legitimus* używali przymiotnika *justus*; gdyż często *jus* znaczyło także, toż samo co *lex*, i mówili: justa aetas zamiast legitima aetas, justa zamiast legitima uxor, justae nuptiae id est legitimae, justi albo legitimi dies, justa conventio, justus filius, justum matrimonium, justa possesio, justus titulus.

Justus, justa, justum, znaczy także usprawiedliwiony, n. p. justa absentia, usprawiedliwiona nieobecność, justum desiderium, usprawiedliwione żądanie, pretium, usprawiedliwiona cena.

Trzymajmy się zatém naszych przymiotników: sprawiedliwy, prawy, prawny, usprawiedliwiony, na oznaczenie justus, legitimus; dosyć one już wskazują większą obfitość mowy naszéj, i obejść się zupełnie możemy bez nowego wyrazu ustawliwy, ustawniczy.

Nie usprawiedliwiałaby tłumacza uwaga: że gdy przymiotnik *justus*, prawny jest ogólniejszym, bo oznacza nietylko to, co, jest zgodném z przepisem prawa, ale i to, co mu nie jest przeciwném; przeto na oznaczenie li zgodności z przepisem prawa, potrzebnym jest przymiotnik *legitimus ustawliwy*, dla odróżnienia od tego, co nie będąc przeciwném przepisom prawa jest prawném, justum.

Wiadomo, że wyraz *jus*, prawo, nietylko oznacza prawo nadane (lex) w znaczeniu przedmiotowém, ale i możność działania tak zgodnego z przepisem prawa, jako téż tego, co przepisom nie jest przeciwne, czyli prawo w podmiotowém znaczeniu. Więc téż i *justus*, *prawny*, takież dwoiste ma znaczenie, i oznacza nietylko to, co jest zgodne z przepisem

prawa, ale i to, co mu nie jest przeciwne. Bo też istotnie możność działania czego prawo nie zabrania, jest tak dobrze prawem, jak przepis prawa. Prawo bowiem nadane ścieśnia wrodzoną dowolność i do zachowania się w témże ograniczeniu obowiązuje środkami przymusu; o ile zaś nie ścieśnia, o tyle tém pewniéj stanowczo dozwala. Ztąd, wraz z prawem nadaném łączy się prawo możności działania z prawem zgodnego i onemu nie przeciwnego, tudzież obowiązek posłuszeństwa prawu; troistość nierozłączna: rozkaz, możność, obowiązek, stanowiąca prawo w ogólnem znaczeniu; bo nietylko to jest prawem, czém dowolność jest ograniczoną, ale zarazem i to, co nie zostało ograniczoném, owa reszta dowolności, staje się prawem również stanowczém tak, jakby postanowioném było, przez to samo, że nie została wyjątkowém prawidłem ograniczoną; a to wedle znanéj zasady: exceptio firmat regulam in causis non exceptis: wyjątek utwierdza zasadę w przypadkach wyjątkiem nieobjętych. I dlatego też mówimy: prawnie działam, bo działam podług przepisów prawa; prawnie działam, bo czynię to, czego mi prawo nie zabrania. A tak i to, co jest zgodném z przepisem prawa, i to, co mu nie jest przeciwném, równe ma znaczenie, i jednymże przymiotnikiem prawny, a, e, może się, a nawet powinno wyrażać bez żadnéj przyczyny tworzenia nowego wyrazu, ustawliwy, ustawniczy.

Mamy jeszcze przymiotnik *prawniczy*, oznaczający należenie do prawnictwa np. mowa prawnicza.

2, 7. *prawo dygnitarskie jus honorarium*; tak się nazywały rozporządzenia pretorów i innych wyższych urzędników, którzy chociaż nie mieli mocy prawodawczéj, przecież przez cześć dla tychże urzędników szanowano ich rozporządzenia tak, iż z czasem nabrały mocy prawa. Jestto więc prawo przez dostojnych urzędników wydane, *dostojnicze, czesne*, chociaż i dygnitarskie ostać się może.

Urobiony przez tłumacza wyraz:

2, 8. *praworadca*, *jurisconsultus*, znaczy radcę prawnego; bylito biegli w prawie, którym władza udzieliła pozwolenie *de jure respondere*, rady prawne udzielać.

4. *Wolnorodny*, *ingenuus*, wolny z urodzenia. Teraz znaczy rodowity krajowiec; jakoto np. Francuz. O! wysoko to *edukowana* panna, mówi *ekspedyte* po francusku jak *rodowity* Francuz. Możeby lepiéj było oddać rzymskie znaczenie, przez wyraz *z rodu wolny*.

11. *Przyswojenie*, adoptio, adrogatio, w miejsce używanego wyrazu *przysposobienie*. Zob. część drugą Oceny pod wyrazem *adoptio*.

13. *Niezawisły człowiek*, homo sui juris, bardzo dobrze oddane; ale:

14. zamiast *utrata zdatności*, *capitis diminutio*, lepiéj trzymajmy się dotychczasowego wyrażenia: *utrata stanu*; bo *caput* znaczy toż samo co *status*, stan. Stan zaś jestto stanowisko jakie człowiek zajmuje w przyrodzie, ludzkości, w kraju, w rodzinie, jak to już w części Iszéj nadmienioném zostało. Stosownie więc do takiego stanowiska służą mu pewne prawa, i dlatego oznaczają stan; że to jest przymiot z powodu którego ludzie różnych praw używają.

Stan przyrodzony, status naturalis, jestto stanowisko, jakie człowiek z powodu przyrodzonych przymiotów zajmuje, i dlatego służą mu pewne właściwe, do takiego stanowiska zastosowane prawa. Ztąd różnica co do praw między poczętym, urodzonym, nieletnim, małoletnim, pełnoletnim, starcem; między mężczyzną a kobietą; między zdrowym a słabym na ciele i umyśle.

Stan wrodzonéj wolności, jestto stanowisko, jakie człowiek zajmuje wpośród ogółu społeczeństwa ludzkiego, i dlatego służą mu prawa wolnego człowieka, dopóki prawa tego nie utraci i nie zamieni się podług pojęć starożytnych na niewolnika zrównanego co do praw ze zwierzęciem. Byłato największa utrata stanu, bo z utratą wolności utracał człowiek wszelkie prawa.

Stan obywatelski, jestto stanowisko jakie człowiek wolny zajmuje w pewném państwie, stając się obywatelem krajowym z pewnemi prawami, obywatelstwu służącemi. Utrata tego stanu była pośrednią, bo nie pociągała utraty praw wolności, ale tylko praw obywatelskich. W zastosowaniu do tego ogólnego stanu obywatelskiego, są różne szczególne stany: ziemiański, miejski, kupiecki, rzemieślniczy i t. p.

Stan rodzinny, familijnym dotąd zwany, jestto stanowisko jakie człowiek zajmuje w rodzinie swojéj z pewnemi prawami rodzinnemi. Utrata takiego stanu była najmniejszéj wagi, bo nie pociągała utraty ani obywatelstwa, ani wolności,

Bardzo dobrze zatém nasz wyraz stan, urobiony od stać, stanowisko, odpowiednio łacińskiemu *status* rzecz przedstawia i nie potrzebnie oddawać go przez wyraz *zdatność*, która dopiéro jest następstwem stanu, czyli stanowiska w jakiem się człowiek znajduje lub z niego schodzi.

Tłumacząc zaś wyrazy oznaczające różnicę wieku, użył tłumacz wyrazów następujących:

17. *Niedojrzały, impubes, dojrzały, pubes*, którego także zwano *adultus* niekiedy *adolescens* oddany przez tłumacza wyrazem młodzieniec; czasem *dorastający, dorosły*, a nawet *podrostek* 1: 25, 13. Bardzo dobrze maluje rzecz: *nieletni, niedojrzały do małżeństwa; dojrzały do małżeństwa*; następnie idzie pełnoletni. My mamy wyrazy: nieletni, małoletni, pełnoletni. Nieletnim nazwać można tego, kto nie ma lat potrzebnych do małżeństwa; u nas 16, 18 lat, małoletnim, kto te lata już ma, może być uwłasnowolnionym, ale jeszcze opieki lub doradztwa potrzebuje: bo nie skończył lat 21, i nie doszedł do pełnoletności. Trzymając się ściśle tych różniczkowych wyrazów, ułatwi się tok mowy w wyrażeniach prawniczych.

Następnie urobił wyrazy:

19. Opiekun *powierniczy*; opieka *powiernicza, tutor fiduciarius, tutela fiduciaria.* Urobiony ten przymiotnik z rzeczownika powiernik, tak jak zwierzchniczy z rzeczownika zwierzchnik, dobrze rzecz przedstawia. Ten bowiem rodzaj opieki, rzymski jedynie, nateraz już obumarły, nazwanym został od *fiducia* wiara, ufność jaką pokładał ojciec sprzedający po raz trzeci syna swego osobie, któréj zaufał

że mu w ten sposób tylko tymczasowo, jakoby rzeczywiście sprzedanego, odprzeda. Dwa razy bowiem ojciec sprzedający syna swojego, nie utracał zupełnie władzy ojcowskiéj; wracała ona mu napowrót, jeżeli nabywca syna kupionego wyzwolił. Lecz po trzeciéj sprzedaży, już na zawsze utracał ojciec władzę ojcowską. Mógł jednak syna odkupić, a wtedy syn stawał się jego niewolnikiem, którego zwykle potém wyzwalał sposobem zwanym *vindicta*, żeby nabyć prawa patronatu. Żeby więc sobie zapewnić to prawo odkupu syna po raz trzeci sprzedanego, zastrzegał je sobie ojciec przy sprzedaży, i w tém zaufaniu sprzedawał go osobie zaufanéj, że ta temu zastrzeżeniu zadosyć uczyni. Tak odkupiony syn, jeżeli został wyzwolonym przez ojca, a był jeszcze małoletnim, to ojciec jako patronus stawał się jego opiekunem, którego pierwotnie zwano też *tutor fiduciarius;* poźniéj nazwa ta zastosowaną została do synów swojskich pełnoletnich, którzy po śmierci swego ojca nabyli prawa do opieki nad owym synem wyzwolonym, a bratem ich jeszcze małoletnim. Tak samo tłumacz nazwał *fideicommissum*, powiernictwem, o czém będzie w swojém miejscu.

22, 5. *Oględziny* stanu ciała, inspectio habitudinis corporis, aby się przekonać czy chłopiec lub panienka jest już pubes czyli dojrzała lub dojrzewająca. Dobry wyraz *oględziny* zamiast *obejrzenie*.

23, 3. *Zawiadowstwo, administratio*, lepiéj zarząd; sam tłumacz słowo *gerere* 24, 1 bardzo dobrze oddał przez sprawować zarząd. Zamiast zawiadowca, dla uniknienia zakończenia na *owca*, lepiéj będzie zarządca.

25, 5. *Bezdział*, majątek w bezdziale będący, zamiast w niepodzielności zostający. Może lepiéj przyjąć wyraz bezdział przez tłumacza użyty; gdyż rzecz niepodzielna jest ta, która się podzielić nie da bez zmiany swojéj istoty, np. koń i t. p.; zaś gdy się rzecz czyto dogodnie, czy niedogodnie dla dzielących się da podzielić bez zmiany swojéj istoty, lecz jeszcze dział nie nastąpił, jakoto majętność ziemska lub inna nieruchomość, dobry będzie wyraz bezdział; i będzie: spadkobiercy posiadają dobra bezdzielnie (1).

25, 16. W oznaczonych *czasokresach, tempora constituta*, można jeszcze inne przyczyny wymówek od opieki przedstawić w przeciągu dni 50 od czasu dowiedzenia się o swojém mianowaniu. Niezły to jest wyraz *czasokres*, zamiast *termin* zwykle używany. Lecz zdaje się, że możemy użyć wyrazu niezłożonego *okres* na oznaczenie przeciągu czasu, zaś wyrazu *kres* na oznaczenie stałego terminu, i będzie: założyć powództwo odporne w *okresie* ośmiodniowym. Naznaczyć *kres* stawienia się na dzień 24 czerwca i t. p.

Niewypłacajny, wszędzie tłumacz takiego w tym przymiotniku zakończenia używa, zamiast zwykle używanego i miléj brzmiącego *niewypłacalny*. Skoro mówimy: sypialny, jadalny, bawialny, skoro

(1) Czyby nie można solidarność, solidarnie, nazwać *bezpodzielność*, *bezpodzielnie*? i będzie różnica między: niepodzielnie, bezdzielnie, a bezpodzielnie. Obowiązani *bezpodzielnie* zapłacić; skazani *bezpodzielnie*..

sam tłumacz I, 25, 10 mówi niedopuszczalny, czemuż nie ma być dobrze niewypłacalny dłużnik: *j* zamienia się tu na *l* dla milszego brzmienia.

26, 4. Z żałobą wystąpić za radą krewnych, consilio necessariorum arguere; wybornie przełożone.

KSIĘGA IIga.

Prawodawca wskazawszy podział rzeczy, przechodzi do sposobów nabywania onychże, i na czele kładzie occupatio. Tłumacz przełożył to dobrze wyrazem: zawłaszczenie.

1 11. Ztąd *zawłaszczyciel, occupans*, dobrze także przedstawia tego, kto zabiera lub zabrał na własność, czyli zawłaszcza, zawłaszczył.

Składnia, horreus; miejsce w którém się rzeczy składają. Wyraz ten zajęty przez naszych prawomówców, oznacza naukę składania wyrazów. Trudno go im podobno odtwaszczyć. Lecz możnaby użyć wyrazu *składnica*, jak mówimy piwnica, gdzie się napoje składają. Kupiec utrzymuje wielką składnicę towarów. Pozostać jednakże można przy wyrazie teraz powszechnie używanym *skład* na oznaczenie miejsca składanych rzeczy. Ztąd też i *depositum* będzie skład.

Przechodząc do służebności użył tłumacz wyrazu:

3. Dziedzina, oznaczając *praedium*: prawa dziedzin wiejskich są te: przechód, przegon, droga, wodociąg. Jura praediorum rusticorum. Inne prawa są dziedzin miejskich. Bardzo dobrze oddane praedium dziedzina. Między innemi dobrze przełożył tłumacz w ks. IV, 6, 2, *jus proiciendi, prawo* czyli służebność *występu*.

4. *O użytkowaniu*. Tu tłumacz użył następujących rozróżniających wyrazów: *użytkowanie* usus fructus, *używanie* usus, *mieszkanie* habitatio. Bardzo dobre rozróżnienie: użytkowanie bowiem jest rozciąglejsze, i znaczy wszelkie zwyczajne użytki z rzeczy ciągnąć; używanie zaś znaczy, rzeczy tylko używać ku potrzebie. Z tego wychodząc, *jus utendi fruendi* powinno być oddane przez prawo użytkowania, nie zaś, jak się tłumacz wyraził, prawo używania, bo to służy używaczowi.

Użytkowca, usufructuarius.

5. *Używacz*, usuarius.

Zakończenia na awca, ewca, iwca, uwca, ywca, dobrze brzmią w mowie naszéj, ale zakończenie *owca* nie przystaje do ucha, smaku i uczucia naszego; zaledwie wyraz zawiadowca jakoś się utarł, chociaż zawsze lepszym tu jest zarządca. Dlatego ani darowca, ani kupowca jak (o czém będzie poźniéj) chce tłumacz, przyjąć się nie mogą. W miejsce zatém użytkowca, wyrazu u.obionego przez tłumacza, mówmy jak dotąd *użytkownik*, tak jak mówimy dożywotnik, zastawnik i jak możemy mówić składnik. Piérwszy dzierży i użytkuje; dwaj ostatni trzymają rzecz, chociaż jéj używać nawet nie powinni, wyjąwszy antichresis. Wyraz zatém użytkownik jest bardzo właściwym.

Używacz, *usuarius*, może się ostać; chociaż dobrze także jest, *używający*. Często i w łacinie, imiesłowu teraźniejszego użyć można ku oznaczeniu rzeczownika.

Ustępstwo zamiast *ustąpienie*,. Kończy się również użytkowanie, gdy użytkowca (użytkownik) ustępuje takowe właścicielowi (gdyż *ustępstwo* na kogo innego byłoby bezkutecznem; nam cedendo extraneo nihil agitur). Możeby lepiéj było *zlewek* w miejsce ustąpienie, i będzie, gdyż zlewek na kogo innego byłby bezskutecznym.

Sposoby nabycia prawnego, tak tłumacz wyraża:

6. *Zasiedzenie*, usucapio; *posiadanie długoczesne* longi temporis praescriptio. Na obadwa te wyrażenia mamy wyraz *przedawnienie* należycie rzecz przedstawiający, i żadnego ulepszenia niewymagający. Wszakże usucapio znaczy nabycie przez używanie, zaś *praescriptio* longi temporis, znaczy *exceptio longi temporis*, tojest zarzut długiego czasu. Takby więc dosłownie przełożyć należało, ale bezpotrzebnie, skoro mamy dobry wyraz *przedawnienie*.

W darowiznach urobił wyrazy:

7. *Darowca* is qui donavit, *darownik* is cui donatum est; i tak się téż zawsze opisowo Rzymianie wyrażają. Obadwa wyrazy przez tłumacza urobione, piérwszy z powodów wyżéj pod użytkowca podanych, drugi jako niezręczny i bynajmniéj nie lepszy od wyrazu obdarowany, przyjąć się nie mogą. Zamiast darowca, jeżeliby się nie mógł przyjąć *obdarodawca* albo *dardawca*, tak jak się mówi *spadkodawca*, *łaskawca*, i mówić się może zapisodawca; albo *darczyńca*, jak się mówi dobroczyńca, to będzie dobrym wyrazem *obdarzyciel*, jak się mówi wierzyciel, odkupiciel, darzyciel. W miejsce zaś *darownik* używajmy jak dotąd *obdarowany*, imiesłowu należycie rzecz przedstawiającego.

7, 2. Chociażby darowizna doskonałą była (donatio plenissima), powinno być: najzupełniejszą była; jednakowoż upoważniliśmy..... do odwołania..... darowizny.

A przychodząc do zasad wskazujących: komu wolno lub niewolno pozbywać, a mianowicie że nieletni bez upoważnienia opiekuna pozbywać nie może, urobił wyraz 8, 2 *zapożyczyciel*; ma to być ten, kto pożyczył od kogo, a zatém dłużnik. Nie masz w pierwotworze tego rzeczownika. Tam jest: ideoque si (pupillus) mutuam pecuniam sine tutoris auctoritate alicui dederit, *non contrahit obligationem*; quia pecuniam non facit accipientis; więc powinno być: *nie zawiéra zobowiązania*, a lepiéj jeszcze *umowy*; bo nie przenosi własności pieniędzy na biorącego. Tak przełożywszy, obejdzie się zupełnie bez wyrazu *zapożyczyciel*.

Co do ostatniéj woli, o czém wyżéj mowa była, wyraża się między innemi:

16, 4. *Nieporządny testament*, non jure factum testamentum; *porządnie* zdziałany testament, ut oportet albo recte factum testamentum; *ustawliwie*, legitime factum testamentum. Należałoby oddać: prawnie albo uroczyście, nieprawnie albo nieuroczyście sporządzona ostatnia wola; a najlepiéj *dokładnie* sporządzona ostatnia wola.

13, 1. *Pośmiertnik*, *pośmiertnica*, posthumus, posthuma; mamy dobry wyraz *pogrobowiec*, *pogrobownica*, dlaczego nowy urabiać?

14, 2; 19, 4. *Zdatność testamentowa*; odnośnie do dziedzica, odnośnie do testatora;

powinno być: *zdolność rozporządzalna*, albo zdolność *ustanownicza*, a najlepiéj *rozporządzalność*. I będzie: trzeba mieć *rozporządzalność* co do ustanowienia dziedzica; rozporządzalność stosuje się nietylko do rozporządzającego, ale i do dziedzica, iżby i rozporządzający mógł robić rozporządzenie i dziedzic mógł dziedziczyć. Niewolnik kilku panów, względem których rozporządzalność stosować się może i t. p.

14, 5. Wygodnie tłumacz każdą część *assa*, właściwą łacińską nazwę mającą wyraził w ułamkach, jakoto: uncya $^1/_{12}$, sextans $^2/_{12} = ^1/_6$ i t. p.

15. *Podustanowienie, substitutio.* Mówimy wprawdzie ustanowienie dziedzica, *institutio*, więcby wypadało urobić wyraz podustanowienie. Ale w rzymskiéj mowie uważano wyraz *subinstitutio* przydługim i dlatego skróconym sposobem nazwano ten rodzaj ustanowienia dziedzica *substitutio*. I my toż samo uczyniliśmy, nazwawszy francuzkie *substitution, podstawieniem* w tłumaczeniu Kodexu franc. Przyjął się ten wyraz i powszechnie jest używanym i dobrze rzecz przedstawia; gdyż przez *substitutio* podstawiamy istotnie dziedzica innego w miejsce piérwszego (1), który albo nie chce, albo nie może przyjąć dziedzictwa, albo nie może po sobie ustanowić dziedzica, albo proszonym jest przez spadkodawcę, aby dziedzictwo jemu zapisane wydał komu innemu, któremu spadkodawca stanowczo je przeznacza. Możemy zatém pozostać przy upowszechnionym już wyrazie *podstawienie*, lub użyć wyrazu *podstawiennictwo*. W piérwszym razie zwyczajne *vulgaris* w prawie franc. nieuznane za podstawienie, a tém samém przyjęte; w drugim, tak zwane pupilarne, exemplaris, tojest zastosowane czyli niby pupilarne, w prawie u nas teraz obowiązującém nieznane, któreby nazwać można podstawieniem za nieletniego i niby za nieletniego; w trzecim fideikommissowe, w prawie francuzkiém li poczytane za substitutio w znaczeniu rzymskiém, nazwane *substitution* i wyraźnie zabronione z wyjątkiem co do wnuków i dzieci braterskich (2). To ostatnie nazwał tłumacz (23) *dziedzictwem powierniczém*, ztąd fideicommissum *powiernictwo*, zaś heres fideicommissarius *powierzennik*; ma to być dziedzic przekazany, tojest owa osoba, któréj dziedzic pierwotny i tymczasowy tylko, *heres fiduciarius* zwany, przekazane dziedzictwo ma wydać. Fideicommissum czyli haereditas fideicommissaria, dobrze dosłownie jest oddane przez wyrażenie: dziedzictwo powiernicze, powiernictwo; chociaż nazwaćby je można *dziedzictwem przekazowém*, jako przekazane dla trzeciego. *Powierzennik*, wątpić należy, żeby mógł być przyjętym, chociaż mówi się zastawnik, ale na tego, któremu rzecz powierzoną w zastaw została, nie zaś komu ma być wydaną. Możeby więc lepiéj nazwać go *dziedzicem przekazanym*, zaś heres fiduciarius

(1) Dlatego Kacp. Meciszewski w dziele Ustanowienia prawa cywilnego, w Krakowie 1785 r. wydaném, nazywa je *namiestnictwem*.

(2) Są wprawdzie znane w prawie osoby podstawione, ale te mają podobnéż znaczenie, a można je nazwać także osobami podłożonemi.

będzie *dziedzicem powierniczym*; wszakże w łacińskim toku stoi zawsze heres obok fideicommissarius i fiduciarius, więc i my kłaść możemy wyraz dziedzic obok przekazany i powierniczy.

25, 2. *Dziedzic swój* i *konieczny*, heres suus et necessarius dobrze dosłownie oddani, chociażby można go nazwać *dziedzicem domowym*, jak go sam prawodawca określa, mówiąc: *quia domestici heredes sunt*; którzy jeszcze z domu ojca nie wyszli, bo nie zostali uwłasnowolnieni lub przyswojeni przez osobę trzecią; bo córki nie poszły jeszcze za mąż. Ale może się ostać wyrażenie dziedzic swój, albo można użyć wyrażenia: dziedzic swojski. Wyraz ten jest już tylko teraz rzymskim dziejowym, dla tegoczesności umarłym.

20, 4. *Rzecz która nie jest w obiegu*; *res cujus comercium non est*. Jestto rzecz *niezbywalna*, któréj zbywać, a tém samém i nabywać nie można. Takich rzeczy więcéj jest nieruchomych, jakoto: pole marsowe przez Justyniana na przykład przywiedzione, świątynie, bazyliki, których zapis za nieważny uznanym jest. Lecz mogą być ruchomości, do których właśnie wyraz *obieg* lepiéj stosować się może. Właściwszém przeto wyrażeniem będzie *rzecz niezbywalna*.

26, 36. *Niemożliwy*; rozporządzenia których wykonanie jest niemożliwe, *quae inposibilia sunt*. Aby uniknąć tego wyrazu niemożliwy, możliwy, niedosyć przystającego i używanego, lepiéj użyć wyrazu *niewykonalny* i będzie: które są niewykonalne; albo wyrazić się: których wykonać nie można, niepodobna. Tak samo:

Uważniać, valere; duch czasu nie dozwala *uważniać* podobnych rozporządzeń; hujusmodi enim testamentorum dispositiones valere, secta meorum temporum non patitur, mówi Justynian. Mówi się wprawdzie *unieważniać*, ale czy dotąd nieużywany wyraz *uważniać*, w miejsce (1): za ważne uznawać lub poczytywać, przyjmie się, wątpliwości ulega. Lepiéj zatém oddać to miejsce w ten sposób: teraźniejszy duch czasu nie dozwala, aby podobne rozporządzenia za ważne uznawać.

Przedmiot *jednostkowo* oznaczony, *certum corpus*, pewny przedmiot; ale może się ostać wyrażenie: jednostkowo oznaczony, w miejsce *ściśle oznaczony* przedmiot w rozporządzeniu.

KSIĘGA IIIcia.

W wykładzie o dziedzictwach nierozporządzonych, użył tłumacz wyrazu:

1, 14. *Cwiartka, quarta*, mowa tu jest o jednéj czwartéj części sabiniańskiéj dziedzictwa, jaką podług uchwały senatu sabiniańskiéj, ojciec przybrany przyswoiciel, pozostawić był powinien temu przyswojonemu, który z trzech braci pod władzą ojca rodzonego zostających, przyswojonym został.

(1) K. Meciszewski użył słowa *uważniać*, ale zaraz przy niém kładzie: czyli za ważne uznawać.

W ogólności każdą część czwartą dziedzictwa, nazywali rzymscy prawnicy jednym wyrazem *quarta* przez skrócenie, zamiast *quarta pars*. Tak była quarta falcidia, albo legis falcidiae, zamiast quarta pars, quarta sabiniana.

W naszym języku *ćwiartka* jest zdrobniałym wyrazem od *czwarta* i stosuje się do papieru: ćwiartka papieru; lub do miary sypkich rzeczy, czasem do roli lub zagonu: ćwiartka roli. Ale żeby czwartą część majątku w ogólności można oznaczyć jednym wyrazem zdrobniałym *ćwiartka*, tojest majątku, dziedzictwa, nie zdaje się. Już lepiéj byłoby użyć wyrazu jedna czwarta albo *czwarta*; i będzie:

Nam et in ejusmodi casu neque quarta ei (i. e. adoptato) servatur: „gdyż i w tym przypadku ani *czwarta* (to jest czwarta część) nie zachowuje się dla niego". Najlepiéj wyrażać się zawsze *czwarta część*, gdyż sam wyraz *quarta*, *czwarta*, Rzymianom tylko przywykłym do znaczenia onego, mógł być dobrze zrozumiałym.

Lecz dobrze są urobione wyrazy:

2, 1, 4. *Jednokrewni* bracia, *consanguinei*, urodzeni z jednego ojca i jednéj matki, albo z dwóch lub kilku matek. Jeżeli z jednego ojca i jednéj matki pochodzili, wtedy glossatorowie nazywali ich *consanguinei giermani*. *Uterinos* tojest bracia i siostry między sobą z jednéj matki a dwóch lub kilku ojców pochodzące, nazwał tłumacz *jednołonowemi*; brat jednołonowy względem siostry jednołonowéj, bo z téjże saméj matki, chociaż z innego ojca zrodzonéj. Obydwa wyrażenia szczęśliwie są urobione i przyjęte być powinny w miejsce: bracia przyrodni z ojca, przyrodni z matki.

I będą: *bracia rodzeni*, tojest z jednego ojca i z jednéjże matki urodzeni. Tak ich powszechnie nazywamy. Wcale niepotrzebny zarzut robią niektórzy przeciw wyrazowi *rodzeni* z tego powodu, że wszyscy bracia i siostry są rodzone, bo się rodzili. Prawda, ale na tych co się już rodzili i przyszli na świat mówimy: urodzeni, zrodzeni; bracia więc i siostry wszelkiego rodzaju tak jak wszyscy ludzie, urodziwszy się, są zrodzeni. Bracia zaś i siostry rodu jednego będący, z jednego ściśle rodu, bo i z jednego ojca i matki pochodzący, dobrze są w powszechności zwani, braćmi i siostrami rodzonemi. Każdy pod tém wyrażeniem wié, co to znaczy, i kiedy się powié: to jest mój rodzony, rodzoniuteńki brat, to już każdy pojmuje, że jest jednegoż ściśle rodu, bo urodził się z jednegoż i tegoż samego ojca i z jednéjże téj saméj matki. Trzymajmy się wyrażenia tego, bez żadnéj obawy niestosowności.

Inni bracia i siostry są przyrodniemi, bardzo dobrze tak nazwani, przyłączają się bowiem czyli przyradzają do rodzonych. Mówimy zatém: przyrodni z ojca, których tłumacz dobrze nazwał *jednorodnemi*, co znaczy: brat przyrodni jednorodny; zaś przyrodni z matki, których tłumacz wybornie nazwał *jednołonowemi*; znaczy: brat przyrodni jednołonowy.

Stryjeczni i cioteczni bracia *consobrini*, których tłumacz nazwał *kuzynami* zob. III, 3, 1: 6, 4, nazwani być powinni pokrewnemi. Wiejski lud nazywa ich *krewniakami*, my przystojniéj nazwie-

my ich *pokrewnemi*. Nakoniec nierodzony brat i siostra oznaczać będą z przyswojenia czyli z przysposobienia przyłączonych. Bo chociaż jest jak każdy człowiek urodzonym, zrodzonym, ale względem braci jednego rodu czyto rodzonych, czy przyrodnich, jest nierodzonym, bo nie należy do rodzeństwa, pochodzącego z jednegoż rodu.

Teraz w nadpisie 6 księgi téj, następuje wywód rodzinny objaśniony wykazem pochodzenia na osobnym arkuszu skreślonym. Tam urobione są nowe wyrazy główniejsze:

Zapradziad, zaprababka, zamiast prapradziad, praprababka. Wyżéj stopniem: *pozapradziad, pozaprababka*, nakoniec *naddziad, nadbabka*.

Z następnych zaś niżéj prawnuka idzie:

zaprawnuk, zaprawnuczka, zamiast praprawnuk, praprawnuczka; daléj:

pozaprawnuk, pozaprawnuczka;

nakoniec *podwnuk, podwnuczka* (1).

Wszystko dobrze i wybornie oddane, o czém przekonać się może czytelnik z wykazu. Jeden tylko wyraz, *kuzyn*, zachowany na oznaczenie braci i sióstr stryjecznych, ojczystociotecznych (*fratres patrueles, amitini*); tudzież wujecznych i macierzysto-ciotecznych (*consobrini*) będzie niewłaściwym; należałoby lepiéj użyć wyrazu *pokrewny* jeżeli nie krewniak, jak się dopiéro wyżéj rzekło.

7, 3. Powołani do *spadkobierstwa* po wyzwoleńcach; bardzo dobrze, zamiast: do brania spadku albo dziedziczenia, *ad successionem*.

W przedmiocie zobowiązań począwszy od nadpisu trzynastego, dosyć się znajduje urobionych przez tłumacza wyrazów. Już wyżéj wywiedliśmy umowne wyrażenia, jakie tłumacz obce pozostawił; teraz urobione wskażemy.

14, 1. *Beznależność, indebitum*; beznależna wypłata *solutio indebiti*; niezwykłe wyrażenie, bo powszechnie mówi się: *nienależność, nienależytość, nienależna zapłata*.

14, 2. *Wygodzenie, commodatum*, lepiéj umowę tę nazwać *użyczenie*; bo to jest także pożyczka rzeczy niestrawialnéj wygadzająca bezpłatnie i tylko do użytku na czas; dlatego téż commodare znaczy czasem to samo, co mutuum dare. Będzie zatém wyraz *użyczenie* podobny do wyrazu *pożyczka*, mającego podobneż znaczenie. Tłumacz oddał tego co bierze rzecz do użytku, tak jak Rzymianie zwykli, przez opisanie: *is cui commodatum est*: *biorący rzecz do użycia*; a w IV, 1, 16.: *otrzymujący wygodzenie*, zamieszczając zbytecznie w nawiasie wyraz *kommodataryjusz*, bardzo rzadko używany przez Rzymian, którego téż wcale w pierwotworze nie masz; a w IV, 15, 5, zowie go *wygodnikiem*. Możnaby go nazwać pożytkownik, tak jak zastawnik, składnik; zaś tego kto daje rzecz do użytku, którego Rzymianie także opisują zwykle: *is qui commodavit*, nazwijmy *wierzycielem użyczającym*.

14, 3. *Składnik, depositarius*. Nie masz w pierwotworze tego wyrazu rzadko używanego *depositarius*, który oznacza także niekiedy

(1) Zob, słownik Lindego.

skład czyniącego. Lecz ponieważ mówimy *zastawnik* na wierzyciela, który rzecz w zastawie trzyma; przeto i tego co rzecz u siebie złożoną ma, oznaczyć możemy wyrazem *składnik* zamiast skład przyjmujący, pozostawiając na oznaczenie składających opisanie: *dający w skład, w zastaw*; chociażby ich można nazwać wyrazem *składacz, zastawiacz.* Tłumacz *actio pignoratitia* nazwał *skargą zastawniczą*; jestto *powództwo* o zastaw czyli *zastawnicze.*

15, 2. *Bezwzględna stypulacyja*; wszędzie tłumacz zamiast bezwarunkowy używa przymiotnika bezwzględny, a w nawiasie: czysto i prosto, na oddanie łacińskiego *pure*, który oznacza „bez żadnych zastrzeżeń". Czyni on to zapewne dlatego, że uważa wyraz bezwarunkowy za niedostateczny, bo nieobejmujący różnicy jaka ma zachodzić między *in diem* a *sub conditione*; in diem znaczy zwłokę czasu albo granicę czasu, okres na korzyść dłużnika zawarowany, przed upłynieniem którego upominać się nie można wykonania obowiązku; co zaś znaczy warunek, wiadomo. Wyraz przeto bezwarunkowy obejmuje tylko brak warunku, ale nie obejmuje zastrzeżenia zwłoki czasu na korzyść dłużnika. Lecz ściśle biorąc, to zastrzeżenie zwłoki czasu jest także warunkiem, i dlatego dobrze mówimy bezwarunkowe zobowiązanie w ogólności wyrażając przez to zobowiązanie bez żadnego zastrzeżenia, czyli bez najmniejszego warunku, nawet zwłokę czasu warującego. Dobrze będzie również użyć wyrazu *prosty*: *zobowiązanie proste*, jak się niekiedy mówi: *prostym długiem.*

W tłumaczeniu o stypulacyi warunkowéj, tłumacz w miejsce wyrazu *zdarzenie*, urobił wyraz:

15, 6 *Zaszłość*; lecz nie masz odpowiedniego wyrazu w pierwotworze, ale jest: *quae enim per rerum naturam sunt certa*; więc powinno być: to bowiem, co podług przyrodzonego biegu rzeczy jest pewném, nie zawiesza zobowiązania i t. d. Niepotrzebnie zatém tłumacz użył wyrażenia: „zaszłość, która jest pewną podług naturalnego biegu wypadków" skoro tego w pierwotworze nie masz. Gdyby zaś wypadło podobnego rzeczownika tu użyć, to już lepiéj znany wyraz *zdarzenie* odpowiednim będzie. Zdarzenie zamiast którego nielitościwie używają wyrazu *fakt*, jakoto: *fakt historyczny*, zamiast, *zdarzenie dziejowe.*

Również zbytecznie urobionym jest nowy wyraz, 24, 3, 5, *zastrogi kontraktu, pactiones contractus, leges contractus.* Sąto owe tak teraz zwykle nazywane *punkta umowy*, paragrafami czyli szczególnikami oznaczane, które także same mają znaczenie co pojedyncze ustawy całości prawa nadanego, i dlatego téż śmiało moglibyśmy je nazywać *ustawami umowy*, mówiąc: zawartą została umowa pod następującemi *ustawami.* Wszakże umowy mają także samo znaczenie, takąż samą powagę i moc między stronami zawierającemi je, jak prawo nadane z różnych pojedynczych ustaw artykułami, paragrafami czyli szczególnikami oznaczonych złożone. Gdyby jednak wyraz *ustawa* zdawał się tu zbyt mocnym, to w miejsce jego lepiéj użyć wyrazu *zastrzeżenie*, niż wyrazu *warunek, warunki*, zwykle ale niewłaściwie używanego, mówiąc: strony stawające zawarły umowę pod następują-

cemi warunkami, albo zastrzegły sobie następujące warunki, z których niewykonanie jakiegokolwiek każe się domniemywać warunku rozwiązującego, i tak silne skutki rozwiązania umowy pociąga, jak w właściwém rozumieniu warunek rozwiązujący. Wiadomo bowiem, co prawo stanowione rozumié przez warunki rozwiązujące, zawieszające i jak dalece od nich różnią się w znaczeniu swojém warunki umów. Tam, warunkiem jest: jeżeli się co stanie lub stało; tu zaś: że ma być coś uskutecznione. Dla zaradzenia zatém zawiłości i dwójznaczności, należy używać wyrazu, jeśli nie *ustawy umów*, to *zastrzeżenia* albo *zawarowania*, gdyż wyraz *zastroga* wątpić należy, żeby był przyjęty. W Szlązku mówią *ostroga* zamiast *ostrzeżenie*, toby mogli także użyć *zastroga*, w miejsce którego mówimy *zastrzeżenie*.

Dobrze oddał tłumacz 22, 3: *obligationes ex consensu*: *zobowiązania przez zezwolenie*; ale przekład:

„w kontraktach tych jedna osoba względem drugiéj zobowiązaną jest do *świadczeń*, które się na słuszności zasadzają"

nie jest odpowiednim, a wyraz *świadczenie* od *świadczyć* urobiony, bezpotrzebnie użyty, zwłaszcza, że odpowiedniego w pierwotniku nie masz; bo tam tak się prawodawca wyraża:

„Item in his contractibus alter alteri obligatur in id, quod alterum alteri ex bono et aequo praestare oportet."

Więc należało przetłumaczyć: „w tych umowach obowiązanym jest każdy do tego, coby jednemu od drugiego podług słuszności przynależéć powinno."

23. W wykładzie umowy kupna, następujących wyrażeń użył tłumacz:

„*Kupno-przedaż* jest zawartą, jak skoro stanęła umowa o cenę, i t. d."

„*Kontrakt kupna i sprzedaży*."

„Co się tyczy *kupien-sprzedaży zdziaływanych* na piśmie."

„*Kupowca* lub przedawca może bezkarnie odstąpić *kupna-przedaży*."

Już wyżéj nadmieniłem, że na oznaczenie emtio et venditio, dostatecznym jest jeden wyraz *kupno*; bo gdzie kupno, tam musi być sprzedaż i nawzajem. Wszakże locatio, conductio oddajemy także jednym tylko wyrazem *najm*. I będzie dobrze: strony zawarły następującą umowę kupna.

Najczęściéj pisze się wprzód emtio, a potém et venditio, a często same emtio, np. instrumenta emtionis, emtio sub conditione, zamiast instrumenta emtionis et venditionis, emtio et venditio sub conditione. Bo téż przeważające jest kupno w znaczeniu, jako oznaczające nabycie na własność, niż venditio sprzedaż, jako oznaczające zbycie własności za pieniądze. Tam rodzi się i trwa, tu niknie prawo własności rzeczy sprzedanéj. Możemy zatém śmiało dodatkowy wyraz *sprzedaż* wypuścić. Tym sposobem nie będzie potrzeba wyrażać się jak tłumacz: „co się tyczy *kupien-sprzedaży zdziaływanych na piśmie*"; ale się powié: co się tyczy *kupna sporządzonego na piśmie*. Zawsze w liczbie pojedynczéj wyrażając się; a gdyby niezbędnie liczba mnoga ko-

nieczną była, to już lepszém wyrażeniem byłoby; kupowania, kupowań; przedawania, przedawań.

Wyraz *kupowca*, z powodów już wyżéj przytoczonych nie może być i nie będzie przyjętym, zwłaszcza, że jest wcale niepotrzebnym, skoro mamy dokładny wyraz *nabywca*. *Emere* bowiem znaczy w ogólności nabyć, podług XII tablic, jakimbądź sposobem, czy przez darowiznę, czy przez przedawnienie, czy przez zbycie za pieniądze i t. d.

Nawet najm podciągano u starożytnych pod wyraz emtio, a zapłatę za najm nazywano ceną, *pretium*; dopiéro późniéj emtio z dodatkiem venditio, oznaczała właściwie umowę o przeniesienie własności za pieniądze. Zamiast więc *kupowca*, jak chce tłumacz, dobrze używamy wyrazu *nabywca*; przyjętym on został na oznaczenie tego tylko, kto kupuje lub kupił; *ztąd mówimy*: *nowonabywca*. Nie stosuje on się wcale do dziedzica, do obdarowanego, do przedawniającego, do znalazcy, do jakimbądź sposobem zawłaszczającego, chociaż i oni nabywają. Tych nazywamy właściwemi do ich przymiotu zastosowanemi wyrazami; a przez *nabywcę* rozumiemy tylko tego, kto nabywa lub nabył za pieniądze, a zatém kto kupił.

Kupiec byłby tu najstosowniejszym wyrazem, i mówi się też dość często np.: chciałem wieś sprzedać, i miałem kupców na nią, ale mi zamało dawali; mam kupca na kamienicę i t. p. Lecz że wyraz kupiec (od kupczyć, ztąd kupczyk, a możeby lepiéj było w miejsce kupiec przyjąć *kupczyc*) już oznacza trudniącego się kupiectwem; przeto używajmy śmiało wyrazu *nabywca* na oznaczenie kupującego, a unikniemy niemiłego zakończenia na *owca*, mówiąc kupowca.

I nie będziemy mówili jak tłumacz 23, 3: „Niebezpieczeństwo (utraty kupionéj rzeczy) *obchodzi kupowcę*:" periculu pertinet ad emtorem; ale powiemy: *dotyka*; tak jak się poźniéj lepiéj wyraził tłumacz: *nabywcę*.

24. O najmie odsyłam czytelników do 1 części Oceny.

24, 3. *Emphitheusis* nazwana przez tłumacza *emphiteuza*, oddać możemy wyrażeniem *dzierżenie wieczyste*, bo nadaje tak jak własność użytkowanie najrozciąglejsze nazawsze, ale za opłatą roczną lub czasową.

W zasadach o spółce, tak się tłumacz 25, 4 wyraża: „gdy spólnik *oszukliwie* zrzeka się spółki" i t. d. W pierwotniku jest *callide*, co znaczy *chytrze*, *podstępnie*; *dolose* zaś będzie *zdradliwie*. Zbytecznym przeto zdaje się przysłówek nowy *oszukliwie*.

26. Następuje teraz przedmiot *o pełnomocnictwie*. Tłumacz z powodów jakie przywiódł w przedmowie do tłumaczenia dzieła Zachariego, odrzucił wyraz *pełnomocnictwo*, jako używany szczególniéj w stosunkach rządowych tak zwanych dyplomatycznych; lecz zdaje się, że to bynajmniéj nie przeszkadza dlaczegobyśmy w stosunkach podobnych, ale pospolitych i potocznych tegoż wyrazu w takiémże znaczeniu użyć nie mogli, skoro rzecz dobrze przedstawia. Tamto będzie swoją drogą pełnomocnictwem rządowém dyplomatyczném, to zaś pospolitém potoczném, ogólném albo szczególném, podług tego, jak potrzeba.

Niepotrzebnie zatém nasz tłumacz urobił nowy wyraz *mocnictwo*, oddając *mandatum*, oznaczające dosłownie *zlecenie*, przez odrzucenie przyrostka *pełno*. Dobitniejszym byłby wyraz *umocnictwo*; nie mówi się bowiem mocowany, ale umocowany, i dlatego też tłumacz w § 6 wyraził się przy końcu: „ponieważ bez *umocowania* nie byłbyś pożyczył Tycyjuszowi." Pozostańmy jednak przy *pełnomocnictwie* oddawna używaném. Umocowany bowiem żeby mógł skutecznie działać w imieniu mocdawcy, powinien mieć zupełną czyli *pełną* moc do działania tego do czego czyto w ogólności, czy w szczególności upoważnionym został. *Mocdawca* przez tłumacza w § 1 użyty może się ostać, bo jest krótszym, chociaż nie tak dobitnym jak *pełnomocdawca*; ale *mocnik* zamiast *pełnomocnik* utrzymać się nie może, mniejszą bowiem moc od pełnéj mocy oznacza. Lecz słowo *uwładnić*, *uwładniać* przyjąć się może zamiast upoważnić, lub upełnomocnić, bo dobrze przedstawia nadaną władzę działania.

9. Zamiast mocnictwo *porządnie* zawarte, lepiéj: pełnomocnictwo *należycie* zawarte.

KSIĘGA IVta.

Tłumacząc tak zwaną *actio vi bonorum raptorum*, dobrze przez tłumacza w nawiasie oddane: „skarga czyli powództwo o dobra przemocą wydarte", tak się wyraża:

„*Nie jest konieczną wymogą* téj skargi, ażeby rzecz wchodziła w obręb mienia powoda."

Non utique expectatur.

Więc powinno być: do tego powództwa nie wymaga się koniecznie i t. d. Tym sposobem nie będzie potrzeba niezręcznego wyrazu *wymoga* i przekład będzie wierniejszy.

6, 13. *Skarga przesądzalna, przedwstępna, actio praejudicialis. Powództwo* przedwstępne, gdy przedewszystkiém idzie o uznanie stanu, a zatém i dziecka, zanim się przystąpi do głównego przedmiotu np. spadkobierstwa. Lecz i przesądzalne powództwo dobrze przedstawia rzecz; bo już dąży do przesądzenia głównego przedmiotu, mianowicie czy powód domagający się dziedzictwa, dopuszczonym będzie lub nie. Możnaby je także nazwać *uprzednie*.

10. Tych, którzy za innych ze zlecenia w sądzie sprawy wnoszą, nazywa tłumacz *wyręczycielami*. Prawodawca nadaje im nazwę *procuratores*, których znaczenie odpowiada zupełnie znaczeniu pełnomocnika; *pełnomocnikami* też nazwani być powinni. W takiém znaczeniu byli procura tores Caesaris jeszcze od Augusta ustanowieni, jako urząd upełnomocniony do pewnych czynności rządowych.

11. *O rękojmiach* bardzo dobrze: *de satisdationibus*. Tłumacz użył także wyrazu *rękojmia pieniężna, przysiężna*, na oznaczenie *cautio*, wyrazu przez nas pospolicie na kaucyą przerobionego bez żadnéj potrzeby, skoro mamy dobre wyrazy *rękojmia, poręka*. Bez potrzeby więc piszemy zwykle wyroki pod przymusem osobistym

i tymczasową *egzekucyją* za *kaucyją*; zamiast po swojsku i lepiéj: pod tymczasową *wykonalnością* za rękojmią pieniężną w ilości N.

Niezręcznie tylko oddał tu tłumacz o składaniu rękojmi przez tych, którzy się sami bronią, a to w tym celu: „*że się będą stawili osobiście i że pozostaną w sprawie aż do końca sporu*". W pierwotworze jest:

quod in judicio permaneant usque ad terminum litis.

Więc być powinno: że dotrwają w sądzie aż do końca sprawy.

15, 4. *Stwierdzenie sporu, litis contestatio*, dosłownie dobrze, ale nie oddaje myśli tego wyrażenia, że to znaczy *judicium acceptum et susceptum*, co wtedy miało miejsce, gdy przyszło postępowanie do tego stanowiska, że głośna rozprawa przed sądem zaczęła się. Jeśtto więc ostateczne *utwierdzenie sporu*, okazujące, że spór między stronami zacięcie trwa, a przeto sądownie rozstrzygniętym już być musi i może; że zatém sprawa dostatecznie jest przygotowaną do osądzenia. Dobrze więc Łabęcki w tłumaczeniu postępowania naszego oddał: *rzecz dostatecznie przygotowana* (1).

15, 6. *Interdict unde vi*, za pomocą którego *wyruszyciel* bywa znaglonym do zwrotu posiadania (wyruszonemu) z posiadania.

Pierwotwór tak brzmi: *is qui dejecit*, i powinno być: *ten kto wyrugował lub wyrzucił* i t. d., bez potrzeby tworzenia wyrazu *wyruszyciel*, zamiast którego można użyć rzeczownika *napastnik*.

16, 3. *Przyzwać przeciwnika przed prawo, adversarium in jus vocare*, czemuż nie oddał tłumacz wyrażeniem teraz używanem: przeciwnika do sądu pozwać albo zapozwać, skoro *jus* znaczyło także miejsce, w którém pretor sprawy rozsądzał?

17, 6. Również *adjudicare* przełożył wyrazem *przyznać*, niestosownie, skoro, jak być powinno, mówimy: *wyrokiem przysądzić*.

* * *

Na tém kończę ocenę, z któréj się przekonywamy o wielkiéj przysłudze p. Cukrowicza, jaką powszechności, mianowicie prawniczéj a szczególniéj dla młodzieży uczącéj się prawa, wybornym swoim przekładem uczynił. Oby w dalszym ciągu niezmordowanéj pracy mogliśmy ujrzéć tłumaczenie Pandektów; ogromu wprawdzie, ale głęboką naukę prawa zawierających!

Napisałem w Warszawie,
d. 14 września 1852 r.

Franciszek Maciejowski.

(1) Zob. Iheringa *testis, contestatio.*

ROZMAITOŚCI.

SPRAWOZDANIE

Z OBROTU HANDLU ZBOŻOWEGO I DRZEWNEGO W ROKU 1852.

Port gdanski.

W ciągu 1852 r. dostawiono do Gdańska łasztów 60-szeflowych:

	Pszenicy	Żyta	Jęczm.	Owsa	Grochu	Siem. ln. i rz	
z Królestwa Polskiego i Wołynia	12,426	1,325	—	—	—	229	31
z prow. pruskiéj wodą.....	11,902	2,710	945	1,026	417	59	1,637
„ „ na kołach.....	2,400	2,000	500	200	600	—	850
„ „ koleją żelazną..	780	170	24	—	17	—	6
Razem w r. 1852	27,508	6,205	1,469	1,226	1,034	288	2,524
„ „ 1851	29,030	5,816	3,530	1,094	1,290	520	2,533
„ „ 1850	41,529	8,402	5,421	2,716	1,400	769	1,206
„ „ 1849	27,983	7,086	4,269	1,480	400	95	1,370

W biegu handlowéj kampanii 1852 r. port gdański wysłał w łasztach 56½ szefl.

	Pszenicy	Żyta	Jęczm.	Owsa	Grochu	Siem. ln. i rz.	
do Anglii.....	17,806	—	117	—	326	123	1,338
— Holandyi.....	8,225	—	—	—	13	—	147
— Danii.....	67	194	—	—	—	—	—
— Norwegii i Szwecyi...	83	1,830	8	—	1	—	—
— Hanoweru.....	150	—	—	—	9	—	—
— różnych krajów.....	162	172	—	—	96	—	—
Razem w r. 1852	26,493	2,196	125	—	445	123	1,485
„ „ 1851	32,897	4,817	1,843	—	301	630	602
„ „ 1850	37,136	6,152	4,068	191	2,770	633	18
„ „ 1849	28,397	2,043	2,899	100	1,310	400	249

Po 31 grudnia 1852 r. zostawało na spichrzach gdańskich łasztów 60-szeſl.

	Pszenicy	Żyta	Jęczm	Owsa	Grochu	Siem. ln. i rz	
	14,602	636	59	50	156	134	930
W r. 1851	14,350	443	29	13	256	125	900
— 1850	17,853	2,976	299	214	28	112	437
— 1849	10,901	3,970	300	247	47	90	190

Ceny tegoroczne żyta i pszenicy ulegały znacznym zniżeniom i podwyższeniom.

Kampania handlowa otworzyła się pod wpływem sztucznie przez spekulantów szczecińskich i berlińskich wywołanego mniemania, że całe środkowe Niemcy zagrożone są głodem, i że nietylko zapasy, ale nawet dowozy gwałtownych potrzeb konsumcyi pokryć nie zdołają. Rząd pruski zawieszając wszelkie cło od wprowadzanego z zagranicy ziarna, opinii téj nadał niejaką cechę urzędową. W obec takiego przekonania, spekulacya z zupełną ufnością wchodziła w interesa, a wartość pszenicy w portach niemieckich podniosła się nad targowe angielskie i francuzkie ceny; co było powodem nieznanego w dziejach handlowych zjawiska, że z Anglii i Francyi znaczne massy pszenicy tak krajowéj, jak zagranicznéj do Niemiec sprzedano i wysłano.

Z początkiem wiosny żądanie na wewnętrzną niemiecką konsumcyą ustało, a ztąd ceny do 20 tal. upadły. Okazało się bowiem jawném, że obawa głodu w Niemczech żadnéj nie miała zasady. Spekulanci ogromne ponieśli straty i ceny coraz bardziéj zniżały się.

Stan ten przedłużył się do czerwca, tojest do chwili, w któréj zasiewy w Anglii i Francyi zdawały się być zagrożone niepamiętnemi suszami, co pewne ożywienie targów, tudzież poprawę cen wywołało. Wkrótce skutkiem silnych i gwałtownych deszczów, zboża tak świetnie się rozwinęły, że głos powszechny zapowiadał zbiory bez przykładu pod względem obfitości i gatunku. Znowu przeto wszystkie targi osłabły i ceny doszły w lipcu do najniższego punktu, tak, że w Gdańsku celne pod względem wagi i koloru lubelskie i bużne zboże do 133 tal. zniżyło się, a słabe sandomierskie ziarno ledwo na 100—110 tal. znajdowało kupca.

Wśród tak rozpaczliwego targów zbożowych położenia, postrzeżono w Anglii i we Francyi, że bogato stojące kłosy nie są pełne, a ziarno w wielu miejscach albo zarażone, lub przy gwałtownych upałach przedwcześnie dojrzało.

Targi więc zaczęły się poprawiać, i stracone od wiosny 20 tal. znowu się odzyskały. Lecz gdy przyszło do zbioru, takie gwałtowne burze i tak ulewne deszcze spadły w południowéj Anglii, że zboże mokre w najgorszym stanie do stogów lub stodół zwozić musiano, a część zbioru zupełnie do młyna okazała się niezdatną.

Mówimy o południowéj Anglii, bo prowincye północne i Szkocya mniéj ucierpiały.

To dało nowy popęd poprawie targów, a gdy we wrześniu bezustanne ulewy, powodzie, burze, przerwały zasiewy i roboty około roli; targi zbożowe podniosły się do nieznanéj od lat kilku wysokości,

i w Gdańsku za piękną lubelską pszenicę płacono do 183 tal., a kontrakta na wiosenną dostawę zawierano od 166 do 182 tal. za łaszt.

Musieliśmy się nieco rozszerzyć nad powodami fluktuacyi, a w ogólnych uwagach poniżéj, przedmiotu tego obszerniéj dotkniemy się.

Ostatni zbiór pszenicy w pruskich prowincyach, Królestwie Polskiém i na Wołyniu, zadowalniający co do obfitości, odznacza się szczególną wagą i pięknością ziarna.

Żyto. Cośmy powiedzieli o pszenicy, ściąga się również do żyta, jako głównego artykułu wewnętrznéj niemieckiéj konsumcyi. Z początkiem roku tutejsi i królewieccy spekulanci kupowali na dostawę wiosenną łaszt po 133 do 135 tal.; za piękne zaś z lądowych dowozów ziarno można było od młynarzy i piekarzy otrzymać wyżéj 140 tal. Z wiosną jednak wywóz do Niemiec ustał; ceny spadły do 105 tal., potém na chwilę podniosły się do 120, lecz znowu zaczęły się zniżać i zeszły przed żniwami, pięknie przedstawiającemi się, na 80 tal.

Chybiony zbiór jarzyn i wielki niedostatek słomy w naszych okolicach wpłynął na poprawę cen żyta. Rolnicy zmuszeni zabezpieczyć paszę, bardzo oszczędnie dostawiali na targi. Ceny więc powoli z 80 tal. podniosły się do 90, 100, 110, a w wyjątkowych drobnych tranzakcyach do 115 tal. za łaszt.

Zbiór żyta co do ilości ziarna, w pruskich prowincyach nic do życzenia nie zostawuje, ale pod względem słomy niepomyślnie wypadł.

Za *jęczmień* płacono w ciągu roku od 72 do 100 i 106 tal.

Owies od 56 tal. podniósł się ku końcowi 1852 do 64 i 66 tal.

Zbiór owsa i jęczmienia najsmutniejszy w zachodnich Prusach wydał wypadek. W wielu okolicach zaledwo zasiéw się wrócił, a były pola, na których wcale nie żęto.

Groch również wydał plon słaby i od robactwa ucierpiał. Ceny od 93 tal. w 1851 r. podniosły się w ciągu bieżącéj kampanii do 100, 110, a nawet 116 tal. za łaszt.

Rzepak zimowy i letni w naszych prowincyach piękny i obfity plon wydał. Przy łatwym odbycie, tutejsze fabryki olejów płaciły chętnie za łaszt od 140 do 160 tal., a za jednę partyą ofiarowały 170 tal.

Siemię lniane otrzymało 126 do 133 tal. za łaszt.

Olej rzepakowy nierafinowany przynosił 10, a lniany 11 tal. za centnar.

Makuchy rzepakowe dla ogólnego braku paszy podniosły się do wysokiéj ceny 1 tal. 16 sr. gr., a lniane do 2 tal. 5 i 10 sr. gr. za cent.

Mięso solone. W tym roku dla braku wieprzów zabito tylko 2,732 sztuk (w zeszłym 6,301 sztuk).

Wywóz do Anglii wynosił:

1,150 beczek po 318 funt.
2,800 „ „ 200 „
5,000 wędzonych szynek
200 centnarów szmalcu.

W piérwszych miesiącach roku fabryka tutejsza płaciła za funt surowéj wieprzowiny 13 pol. gr., a w ostatnich podniosła cenę do 19½ pol. gr. za funt; lecz i to nie zachęciło do dostarczeń.

Produkta te gdańskiego wyrobu bardzo są w Anglii poszukiwane i przed innemi mają pierwszeństwo. Ceny od 67 do 85 szyl. za beczkę 200-funtową w ciągu roku się podniosły, co czyni od 22 do 27 gr. pol. za funt.

Drzewo.

Polskie dowozy drzewa w tym roku po cenach nader korzystnych łatwy znajdywały odbyt.

Belki sosnowe. Za stopę kubiczną miary angielskiéj płacono od 6 sr. gr. 6 fenig. do 8 sr. gr. 2 fen. Tę ostatnią cenę przyniosły belki wyjątkowéj piękności; średnie jednak gatunki łatwo po 7 sr. gr. dawały się realizować, a w jesieni pozawierano znaczne kontrakta na dostawę w roku 1853 po 6 sr. gr. 8 fen. i 7 sr. gr. 2 fen.

Murłaty tojest belki od 7 do 11 cali grubości, sprzedawano od 4 sr. gr. 8 fen. do 6 a nawet 6 sr. gr. 6 fen. za stopę angielską kubiczną.

Okrąglaki stosownie do długości i grubości odchodziły po 3, 4, najgorsze, średnie od 5 do 8, a celne od 9 do 13 tal. za sztukę.

Sosnowe długie dyle były nader za granicą poszukiwane, szczególniéj na potrzeby marynarki rządowéj francuzkiéj i angielskiéj.

Płacono tu za sztukę 40 stóp długą, 11 do 13 cali szeroką, 3 cali grubą, najpiérwsze gatunki 5 tal. 10 sr. gr. średnie po 2 tal. 20 do 3 tal.

Wywóz dylów wynosił w tym roku 254,256 sztuk.

Dyle krótkie i cienkie do Holandyi, Belgii, Bremy i Hanoweru odchodzące, płacono na grubość 1½ cala za biegącą stopę 1 sr. gr. za koronę ⅔, ¾ za drugi gatunek.

1-cal. za biegącą stopę ⅔ sr. gr. za koronę ½ sr. gr. brak.

Podkładki do kolei ważną gałąź tegorocznego handlu w Gdańsku stanowiły. Wysłano do Anglii 286,053 sztuk w rozmaitych rozmiarach: długość od 9 do 10 stóp, grubość 4½, na 9 cali ⅝ ⅝ ⅝ ¹⁰⁄₁₀ ¹²⁄₁₂ 12½ 12½ ¹³⁄₁₃ cali. Sztuki 12½ i 13-calowe przerznięte dwa razy na krzyż ukośny × dające 4 podkładki formy trójkąta, były poszukiwane.

Ceny za stopę kubiczną utrzymywały się od 5 do 6 sr. gr. Żądania były ciągłe, w ostatnich czasach gwałtowne; ale dla braku towaru nie mogły być zaspokojone w zupełności.

Belki jodłowe lepszy jak w dawniejszych latach znajdowały odbyt, i za stopę kubiczną 5 sr. gr. można było otrzymać.

Na *dyle dębowe* nie było wiele pokupu, i ceny za 720 stóp kub. z 565 zniżyły się do 505 tal. Na ten rodzaj dylów i z Francyi i z Anglii żądanie było ograniczone.

Belki dębowe proste i krzywki powolny miały odbyt i sprzedający musieli często z wyraźną stratą przyjąć ofiarę. Stopa kubiczna stosownie do gatunku i rozmiaru od 6 do 20 sr. gr. przynosiła.

Klepka pipówka była poszukiwaną, ale ceny w porównaniu z zeszłorocznemi o 4 tal. na kopie zniżyły się i sprzedaże tegoroczne od 28 do 30 tal. przynosiły.

Dla lepszego przedstawienia obrotu drzewnego handlu, podajemy z ostatnich lat czterech dowóz, wywóz, i pozostały towar na składzie w Gdańsku.

Dowóz.

	Belki sosnowe	Murłaty	Okrąglaki	Dyle dębowe	Belki dębowe krzywki	Klepki
1849	70,364	21,149	61,890	18,962	9,372	3,532
1850	42,334	20,368	53,100	22,571	7,188	8,174
1851	86,115	27,314	79,260	38,331	21,526	7,787
1852	75,055	84,230	144,000	53,101	7,030	11,766

Wywóz.

			Dyle deski sztuk			
1849	58,707	12,801	142,371	32,297	6,227	9,820
1850	74,395	18,208	233,059	32,553	12,844	10,151
1851	119,360	34,895	256,988	24,366	11,206	14,903
1852	85,589	34,403	254,256	35,742	8,710	9,995

Zostawało na składach gdańskich.

1849	108,693	62,547		40.469		4,030
1850	87,540	42,350		28,133	7,908	2,218
1851	54,295	34,769		36,972	18,228	1,407
1852	49,060	54,860		60,423	10,604	10,053

Handel drzewny w Anglii wszedł w ostatnich dwóch latach na zupełnie nową drogę: 1) przez zniesienie praw żeglugi; 2) przez obniżenie do połowy cła wchodowego.

W niedawnym jeszcze czasie, okręty zagraniczne tylko z własnemi produktami mogły przybywać do Anglii, i statkom angielskim wyłącznie prawo służyło wszelkiego rodzaju i ze wszystkich krajów dostarczać ładunki.

Prawo to zostało zniesioném, i porta Wielkiéj Brytanii dla zagranicznych okrętów stoją otworem. Zrazu przepowiadano upadek marynarki handlowéj angielskiéj, która i w budowie i służbie okrętowéj musi droższych używać materyałów i drożéj płacić ludzi. Skutek jednak zawiódł przepowiednie, bo od zniesienia praw nawigacyjnych, marynarka handlowa angielska do nieznanéj podniosła się potęgi: liczba okrętów ciągle się powiększa, a warsztaty krajowe nie mogą wystarczyć potrzebom. Anglicy w portach stałego lądu zakupują gotowe okręty lub każą je budować.

Cło wchodowe do Anglii pobierane od load, tojest 50 stóp kub. ang. (miara ta jest jednością w sprzedaży, frachcie i rachunku drzewa), znacznie zostało zniżoném.

Redukcya była następująca:

1 load belek ciosanych zagranicznych z 15 szyl. zniżono do 7½
1 „ „ „ z kol. angiel. „ 5 „ 1
1 „ dylów, desek, bali zagraniczn. „ 20 „ 10
1 „ „ „ z kol. angiel. „ 2 zostało 2

Klepka w rozmiarach przepisanych była i jest wolną od cła; nad rozmiary wchodzi do kategoryi dylów i ulega opłacie wchodowéj.

Pod wpływem, jakeśmy wyżéj rzekli, zniesienia praw żeglarskich z jednéj strony, a zniżenia cła na drzewo z drugiéj, fracht morski bardzo się obniżył; co znowu zachęciło do przesyłki drzewa do Anglii. Tym sposobem mimo cen niekorzystnych, handel przybrał bezprzykładne rozmiary, jak to z urzędowych przez ministra handlu ogłaszanych liczb wykazuje się.

Wprowadzono	1849	1850	1851	1852
Do Wielkiéj Brytanii z kol. ang.	1,054,246	1,056,987	1,119,000	„
Belek, dylów z zagranicy	578,468	609,692	868,000	„
	1,632,714	1,666,679	1,987,000	„
Klepek	79,882	82,588	88,000.	

Do samego tylko portu londyńskiego, liczba przybyłych okrętów z drzewem przeszła poprzednie lata, a stosunek w jakim rozmaite kraje dostawiały, następna przedstawia tabelka:

	1846	1847	1848	1849	1850	1851
Porta Norwegskie i Gothenburg.	69	127	119	91	105	226
— Szwędzkie i Finlandzkie..	103	101	138	154	122	220
— Rossyjskie	146	91	113	134	146	174
— Pruskie	109	167	108	100	136	339
— kolonij angielsk.	313	382	300	320	281	256
	740	868	778	799	790	1,215

Tak ogromny dowóz ucisnął ceny; jednakże w początkach już 1852 r. roboty publiczne, tudzież budowa okrętów we Francyi, Anglii i Hiszpanii tak się rozwinęły, że i zapasy nagromadzone w Wielkiéj Brytanii i dowozy po przybierających cenach weszły na konsumcyą. Żądania ku jesieni jeszcze bardziéj wzrosły i składy w portach zaledwo mogły wystarczyć obstalunkom; niektórych zaś gatunków zabrakło. Następna więc kampania pod najpomyślniejszą otwiera się wróżbą tak co do cen, jak i łatwości odbytu.

Handel wywozowy i expedycyjny do Polski w upłynionym roku nie wyszedł ze szczupłych obrębów. Pomimo ułatwień i pośpiechu, jakie przedstawia z nieocenioném poświęceniem utworzona przez hr. Andrzeja Zamojskiego żegluga parowa na Wiśle, ruch towarów nie powiększył się, i Gdańsk niegdyś jeden z najpierwszych placów handlu świata, z każdym dniem widzi upadającą ważność swoję. Dziś cały obrót sprowadzony tylko do kupna i sprzedaży pszenicy i drzewa, bo wartość wysłanych a poniższym wykazem objętych przedmiotów nie odpowiada ani zamożności, ani położeniu, ani historycznéj wielkości takiego jak nasz portu.

W całéj kampanii wyprowadzono do Królestwa Polskiego, Austryi i wołyńskich prowincyj:

Wina szampańs.	cent.	1,062
— różnego	—	4,272
Rumu	—	1,244
Araku	—	160
Koniaku	—	12
Wódki	—	22
Likierów	—	124
Octu winnego	—	3
Porteru	—	1,091
Piwa	—	1,383
Oliwy prowan.	—	1,163
Oleju kokosow.	—	61
Tranu	—	192
Śledzi holen	—	625
— ordynar.	becz.	29,733
Ryb	centn.	36
Żywicy	—	7,002
Kalafonii	—	108
Sody	—	9,894
Potażu	—	924
Saletry	—	776
Salmiaku	—	70
Amoniaku	—	10
Ałunu	—	881
Chlorku	—	37
Gorzkiéj soli	—	25
Gumy	—	38
Antimonium	—	20
Lakmusu	—	67
Braunsteinu	—	416
Piany morskiéj (bimsteinu)	—	73
Politury	—	25
Grynszpanu	—	41
Minium	—	264
Sadzy	—	3
Boraxu	—	38
Terpentyny	—	25
Smoły kamiennéj	pół beczek	2
Jabłek galasowych	centn.	90
Atramentu	—	9
Siarki	—	7,223
Bursztynu	—	8
Farbier. wyrobów.	—	8
Ziemi farbierskiéj	—	200
Kredy malarskiéj	—	737
Białéj kredy (Szteinkreide)	—	3,247
Indygo	cent.	15
Koszenilli	—	1
Kukurydzy	—	6
Kopalu	—	28
Szellaku	—	27
Drzewa błękitn	—	1,449
— czerwon.	—	45
— żółtego	—	279
Migdałów	—	64
Rodzynków	—	67
Wanilii	—	2
Imbieru	—	31
Szafranu	—	1
Gwoździków	—	5
Kakao	—	22
Kwiatu muszkat	—	7
Cynamonu	—	18
Pieprzu	—	557
Pimentu	—	260
Musztardy	—	22
Liści bobkowych	—	2
Korzeni różnych	—	4
Ryżu	—	4,522
Kawy	—	883
Cukru	—	241
Syropu	—	20
Oliwków	—	35
Kaparów	—	462
Serdeli	—	110
Serów	—	165
Grochu zielonego	—	8
Orzechów	—	22
Wody mineralnéj	—	10
Krochmalu	—	4
Aptekar. towarów	—	162
Senesu w liściach	—	20
Magnezyi	—	25
Porcelany	—	50
Fajansu	—	186
Szteingutu	—	5
Cymentu	—	4,260
Gliny w bryłach	—	621
— białéj	—	14
— do fabr. fajek.	—	16
Kamieni młyńskich	sztuk	2
186 sztuk szlifier	centn.	67
Cegieł ognio trwał	szt.	98,000
1 komin marmur	centn.	10

Tafli marmurowych.	cent.	70	Narzędzi robotnicz.	cent.	155
Komin i wyr. feldsp.	—	65	10 młock. przenoś..	—	282
Tytuniu w liściach .	—	1,881	1 sieczkarnia	—	10
Kardów.....	—	191	Warsztatów tkack..	—	31
Bawełny.....	—	6,913	6 bab do pali	—	154
Worków.....	—	313	Machinek do kork..	—	7
Skór surowych....	—	1,453	Rozmaitych machin.	—	10,020
Mat słomianych ...	—	4	Części machin.....	—	186
Guano.....	—	297	Kowalskiéj roboty..	—	8
428 bloków miedzi.	—	111	Gwoździ żelaznych ..	—	81
Ołowiu.....	—	8,716	Towarów żelaznych.	—	871
Cyny.....	—	458	Żelaza w sztabach ..	—	1,032
Blachy mosiężnéj...	—	16	Drutu żelaznego ...	—	8
— pobielanéj ..	—	426	Kół do kolei żel...	—	1,003
Stali.....	—	712	14,407 szyn do kolei	—	53,091
Drutu stalowego...	—	2	Węgli kamiennych	łasztów	790
Narzęd. roln. i gosp.	—	83	Koksu (Coacks)....	—	33
Nożyc do strz. owiec	—	6	Kogutów zagranicz.	sztuk	7
Pił.....	—	4	Kur	—	12
Rydlów.....	—	11	Owiec angielskich..	—	28
Sierpów.....	—	132	Świń angiel. i chiń. rasy .	—	10
Nożów do sieczkar.	—	38	Kiernozy	—	3
Kowadeł.....	—	196			

Dowóz zboża i drzewa Wisłą miał miejsce na:
1026 berlinkach,
28 jachtach,
107 galarach,
9 cylach i dubasach,
56 gabarach żeglugi parowéj z 12stu parostatkami.
Tratew rozmaitego drzewa było 1,184.

Port królewiecki.

Handel królewiecki w upłynionych dwóch latach nader wiele z ważności swojéj utracił, i wywóz za granicę nie przestawał zniżać się, jak to następujące liczby okażą:

	Pszenicy	Żyta	Jęczm.	Owsa	Wyki grochu i bobu	Lnu cent.	Pieńki cent.	Siem. ln. i rz.
w r. 1850	14,328	28,344	5,055	4,808	6,256	29,192	3,672	5,101
— 1851	8,756	22,447	2,890	1,055	2,502	30,605	2,554	4,411
— 1852	8,956	5,118	308	—	3,006	27,673	2,130	3,107

Ceny pszenicy w miesiącu styczniu trzymały się od 168 do 173 tal.; w ciągu lata zeszły na 160 i 150, stosownie do gatunku, a w zimie z ogólną poprawą handlu do piérwszego wróciły stanowiska.

Żyto w Królewcu jak i wszędzie wielkim ulegało zmianom cen; od 140 tal. za łaszt zeszło latem do 80 tal., lecz słaby plon jarzyn, tudzież żądanie do Norwegii, ku zimie wartość żyta od 108 do 110 tal. podniosły.

Za jęczmień na potrzeby krajowe płacono od 80 do 100 i 104 tal. Groch 106 do 115 tal., stosownie do gatunku.

W piérwszéj połowie roku na len małe z zagranicy okazywało się żądanie; gdy jednak z Anglii do Ameryki i Australii ogromny wywóz płótna otworzył się, zapasy wszelkie po przybierających cenach zostały wyczerpane i z pewnością na łatwy i korzystny w następnéj kampanii odbyt można rachować. Dziś już nawet wszelkie gatunki lnu 15% drożéj się płacą.

Targ na pieńkę w tém samém znajdował się położeniu; sprzedaż była łatwa i korzystna, a na przyszłą kampanią widoki najlepsze; gdyż wiadomo, że w Rossyi na wiosenną odstawę przeszło milion pudów po wysokich cenach do Anglii i Francyi skontraktowano, a zbiór ostatni ani obfitością, ani gatunkiem nie odznacza się.

Po 31 grudnia zostało na spichrzach królewieckich:

Pszenicy	łasztów	6,600
Żyta	—	2,400
Jęczmienia	—	350
Owsa	—	750
Grochu	—	300
Bobu i wyki	—	330
Siemienia lnianego	—	400
Lnu 1go gatunku	kamieni	13,500
— 2go —	—	13,000
Konopi 1 gatunek	—	100,000
— 2 gatunek	—	28,500
Mat pak	—	70,000

W dowozach królewieckich było z prowincyj litewskich i wołyńskich:

		1852	1851
Potażu	cent.	1,438	—
Lnu wszel. rodz	—	65,564	92,068
Pszenicy	łasz.	880	2,700
Żyta	—	6,121	10,974
Jęczmienia	—	38	567
Owsa	—	156	60
Siem. konop.	cent.	490	1,854
— lnianego	—	120,431	2,148
Skór surowych	—	1,464	976
Smoły dziegciu	—	863	8,253
Opału	sąż.	130	6,028
Belek	sztuk	4,872	174,036
Dylów desek	łasz.	107	

Port Memelski.

Port ten pod względem obrotu zbożowego zaledwo na wzmiankę zasługuje; cały albowiem dowóz tak z prowincyj litewskich jako i Prus Wschodnich wynosił:

w roku 1852	Pszenicy. . . .	łasztów	241
— —	Żyta	—	370
— —	Jęczmienia. . .	—	112

Ale obrót drzewa tudzież innych produktów był nader znaczny, mianowicie: wysłano

Lnu 1go gatunku	kamieni	33-funt.	418,128
— 2go.	—	—	9,500
Konopi 1go gatunku . . .	—	—	5,910
Siem. lnian. do siewu . . .	beczek.		10,094
Oleju —	—		3,481
Makuchów	cent.		124,262
Kości	—		27,814
Szczeciny	funt		65,780
Belek sosnowych.		sztuk	116,372
Murłatów.		—	1,361
Desek		—	312,876
Dylów.		—	414,192
Podkładek do kolei.		—	64,522
Spierów		—	393
Masztów		—	34
Belek dębowych		—	7,327
Desek		—	2,160
Wagenszossów.		—	5,873
Klepki pipówki		kop	18,203
Innych różnych.		—	9,483

Drobniejsze gatunki drzewa i produktów opuszczamy.

Port odeski.

Upłyniona kampania handlowa do najświetniejszych w dziejach Odessy, policzoną być może, jak to poniższa, dziesięcioletni dowóz i wywóz obejmująca tabelka, wykaże:

w roku	Wartość wywozu w rub. sr.	Wartość dowozu w rub. sr.	Ilość okrętów przybyłych	Ilość okrętów odeszłych
1843	10,338,483	3,828,799	780	736
4	15,578,931	3,742,695	952	917
5	18,125,912	8,064,690	1,235	1,208
6	22.763,052	7,745,407	1,413	1,331
7	34,764,962	11,113,298	1.662	1,642
8	20,873,078	9,188,803	1,082	1,045
9	19,177,626	10,373,360	911	909
50	16,894,534	8,731,627	814	774
51	13,192,900	7,710,023	705	746
52	24,777,717	9,827,359	1,288	1,292

Summa wywozu składała się głównie z artykułów następnych:

	1852	1851	1850	1849	1848
Łoju.. pudów	50,208	91,153	131,413	145,634	452,841
Wełny —	203,273	157,831	226,741	248,278	103,161
Pszenicy cent.	1,953,090	1,141,535	1,542,170	1,714,138	2,059,097
Żyta —	297,094	99,816	8,051	864	30,026
Kukuryd. —	311,435	148,159	54,851	54,336	3,697
Jęczmienia—	52,724	7,612	—	2,154	3,173
Owsa —	9,942	50	—	—	2,522
Bobu gro. —	5,015	2,116	721	—	2,276
Siem. ln. —	202,576	94,966	62,238	45,962	147,397
Mąk.wor. —	16,157	23,076	34,907	47,907	22,707

Wywóz produktów w r. 1852 rozdzielił się w następny sposób:

	do Anglii	morza Śród.	morza Pół.	Szwecyi i Norwegii
Łoju.. pudów	—	49,662	546	—
Wełny pudów	51,002	68,269	83,945	57
Pszenicy cent.	791,997	1,056,065	98,588	6,440
Żyta . . . —	5,062	27,908	208,172	55,952
Kukurydzy—	308,718	2,717	—	—
Jęczmienia—	33,160	—	18,164	1,400
Owsa —	1,800	8,142	—	—
Bobu gro. —	575	4,326	114	—
Siem.lnian.—	116,737	38,249	47,590	—
Mąki wor. —	16,157	—	—	—

Rzut oka na powyższą tabelkę wykazuje, że z wyjątkiem kukurydzy i siemienia lnianego, Anglia dla produktów odeskich nie jest głównym placem odbytu, i że znaczniejsza część wełny, zboża, łoju, w portach morza Śródziemnego dogodniejsze znajduje targi.

Porównywając pozostałe na spichrzach po dzień 31 grudnia zapasy, widzimy że było:

		1849	1850	1851	1852
Pszenicy	cent.	345,000	579,400	621,000	939,300
— twardéj	—	20,000	36,000	67,000	95,000
Żyta	—	18,000	23,000	25,500	110,000
Owsa	—	5,000	5,700	26,000	20,000
Jęczmienia	—	20,000	23,700	14,000	25,000
Kukurydzy	—	3,000	500	45,500	120,000
Siemienia lnianego..	—	25,000	19,000	43,000	90,000
Wełny	bali	2,500	1,300	1,200	2,000
Łoju	beczek	1,500	1,500	1,200	300

Co do pszenicy winniśmy objaśnić, że po 1 stycznia b. r. tylko 386,000 czetw. było niesprzedanych, reszta zaś zostawała w rękach spekulantów miejscowych, lub była własnością zagranicznych kupców.

Ziarno ze zbioru 1851 do Odessy dostawione, w ogólności pod względem wagi i gatunku należało do słabszych; nadto handel był utrudniony albo zupełnym niedostatkiem okrętów, albo nader wysokiemi frachtami.

Ceny na targu odeskim nie ulegały wielkim zmianom. Celna pszenica w najwyższych peryodach odchodziła od 21—23 rubli assygnacyjnych za czetwiert, a podrzędne ziarno przy słabszych targach od 18 do 21 rub. sr. za czetwiert dawało się realizować.

Uwagi ogólne.

Nie ulega wątpliwości, że zniesienie praw celnych zbożowych w Anglii zmieniło cały stosunek produkcyi w konsumcyi nietylko w tym kraju, ale i na całym świecie. Codziennie jesteśmy świadkami zjawisk nowych nieznanych, wszelki rachunek i wszelkie przewidzenia mieszających.

Przed niewielą jeszcze laty Francya corocznie zagranicznem ziarnem musiała dopełniać niedostatek własnéj produkcyi, a Anglia co lat kilka otwierała świetny odbyt dla nagromadzonéj pszenicy w spichrzach baltyckich, które peryodycznie w niewielu miesiącach, często w niewielu tygodniach wypróżniały się, zbogacając miejscowych kupców i zostawiając im środki wchodzenia w nowe spekulacye i oczekiwania cierpliwie zręczności korzystnego zrealizowania.

Plac gdański najważniejsze zajmował stanowisko: raz dla piękności swoich produktów, powtóre dla blizkiego położenia. W chwilowém często otwarciu targów angielskich, porty morza Czarnego mały i niepewny udział brać mogły.

Ten stan rzeczy zupełnie się odmienił, bo Francya nietylko że nie potrzebuje przywozu, ale ogromne massy zboża i mąki rzuca na wszystkie strony Wielkiéj Brytanii. Ameryka północna również rozwinąwszy rolnictwo, ciśnie się do Anglii z produktami. Prowincye nad morzem Czarnem i Śródziemném, produkcyą pszenicy i kukurydzy z każdym rokiem zwiększają, a nawet Hiszpania, tudzież południowa Ameryka w wywozie do Anglii ważne zaczynają zajmować stanowisko; lecz co jest najgłówniejsze, że Anglia wewnątrz wszelkie wytęża siły, aby poprawą gospodarstwa i pomnożeniem zbioru, nietylko współzawodnictwo innych rolniczych krajów wytrzymać, ale nawet o ile można własną produkcyą potrzebom konsumcyi wydołać.

W jak znacznym stosunku postępuje we Francyi produkcya pszenicy, dość jest rzucić okiem na liczby przywozu i wywozu z lat 1849 i 1850 (późniejszych konsulat francuzki w Gdańsku dotąd nie otrzymał).

Francya wprowadziła zagranicznéj pszenicy:

w roku 1849	455,000	hektolitrów (1)
— 1850	924,000	—

Wywieziono zaś:

w roku 1849	1,667,000	hektolitrów pszenicy
	1,872,000	cent. mąki
— 1850	2,306,466	hektolitrów pszenicy
	3,128,000	cent. mąki

(1) Hektolitr równy 100 kwartom polskim.

Rok 1851 wyższe jeszcze zapewne przedstawi liczby, ale i z tego co poprzedza można widzieć potęgę krajowéj produkcyi, tém bardziéj uderzającą, że ledwo od lat kilku rozwinęła się, a już olbrzymie przybiera rozmiary.

Wywóz francuzki głównie opiera się na mące, którą do wysokiéj doskonałości posunięte wodne młyny i taniéj i lepiéj jak w Anglii wyrabiają. Rząd zachęcając ten rodzaj przemysłu, dozwolił wprowadzać bez cła ziarno zagraniczne, z obowiązkiem wyprowadzenia go w stanie mąki; to objaśnia pozwolenie wprowadzania pszenicy, bez któréj Francya już dziś zupełnie obejść się może.

Tym sposobem ziarno tanie odeskie przeszedłszy przez młyny Marsylii, Hawru, Diepy i Dunkierki, wchodzi jako mąka na konsumcyą Wielkiéj Brytanii w tak pięknym gatunku i po tak nizkiéj cenie, że krajowi młynarze nie mogąc wytrzymać konkurencyi, zmuszeni są młyny swoje z ogromnym kosztem na sposób francuzki przerabiać.

Widzieliśmy ogromny tegoroczny obrot zbożowy w porcie odeskim. Inne morza Azowskiego i Śródziemnego porty równie ważną w świecie handlu zbożowego zajęły stanowisko; a co najdziwniejsza, że coraz nowe nazwiska i nowe źródła wywozu objawiają się. Jestto również prosta następność wolnego handlu, bo przy pewności odbytu, wszyscy rzucają się do produkcyi, a żadna część Europy w lepszych ku temu nie znajduje się warunkach, jak prowincye południowe rossyjskie i mołdawskie. Obszerne, niewyczerpanéj żyzności łany, klimat łagodny, robotnik tani, ziemia za bezcen: jedném słowem koszta produkcyi zaledwie wchodzące w rachunek. Dlatego na 6,600,000 kwarterów rozmaitego ziarna do Anglii w tym roku wprowadzonych, porty azowskie tudzież Czarnego i Śródziemnego morza dostawiły w rozmaitém ziarnie 3,350,000 kwarterów; a na 3,076,000 kwarterów pszenicy, dowóz z powyższego źródła wynosił 1,700,000 kwarterów. W ogólnym więc zbożowym i w szczególnym pszenicznym handlu, produkcya Czarnego i Śródziemnego morza zajmuje 60 na 100 całego dowozu.

Niedawno jeszcze, bo w roku 1841 na 2,400,000 kwarterów wprowadzonych do Anglii, powyższe porty dostarczyły tylko 230,000 kwarterów, tojest mniéj niż $^1/_{10}$. Nadto kukurydza wówczas nie była znaną jako artykuł handlowy, gdyż ledwo po głodnym 1846 roku użycie jéj w Irlandyi i Anglii dało się upowszechnić. Otóż więc w krótkim przeciągu czasu dowozy z morza Czarnego i Śródziemnego co do pszenicy o siedm razy, bo z 230,000 do 1,700,000 kwarterów podniosły się, a oprócz tego Anglia z tamtych stron odbiera przeszło półtora miliona kwarterów kukurydzy. Lecz południowy handel nie samą tylko ilością naszemu zagraża: coraz podnoszące się gatunki ziarna, zaczynają stawiać czoło produktom Wisły, Niemna, Odry i Elby.

Dawniéj polska czerwona odeska pszenica stanowiła główny, jeśli nie jedyny przedmiot handlu morza Czarnego; dziś już ledwo że nie trzecie zajmuje miejsce.

Porta Maryanopolu, Taganrogu i berdyański dostawiły do Anglii w r. 1851 100,000, a w 1852 już 350,000 kwarterów pszenicy zwanéj „ghirka", która u młynarzy coraz chętniejsze zaczyna znajdować przyjęcie.

Ziarno mołdawskie i wołoskie, poprawiające się w gatunku, lepiéj oczyszczone, w zdrowszym przybywa stanie; a przed dwoma laty notowane 15% niżéj od odeskiego, dziś już ma przed ostatniém pierwszeństwo i wyższe otrzymuje ceny.

Zboże egipskie stosunkowo jeszcze większy zrobiło postęp, bo w 1850 cena jego o 30% niżéj od odeskiego stała, a dziś kupujący żadnéj różnicy nie robią.

Ładunki pszenicy ze Smyrny przybywały dawniéj zmieszane z inném ziarnem, słomą, piaskiem, kamieniami; ostatnie zaś proby okazały się w normalnym stanie.

Lubo po zniesieniu cła, klassyfikacya pochodzenia zboża w portach angielskich nie robi się z taką jak dawniéj dokładnością, i zebranie statystycznych dokumentów daleko jest trudniejszém; jednakże z papierów przedstawionych parlamentowi możemy wyprowadzić następne liczby dowozu wszelkiego rodzaju ziarna z Czarnego i Azowskiego morza:

		1849	1851
Egipt	kwarterów	392,727	958,995
Syrya i Palestyna	—	24,058	54,199
Wołoszczyzna i Mołdawia	—	325,128	624,242
Porty ros., Czarn. i Azow. morza.	—	572,735	762,160
Tureckie państwo	—	399,918	420,768
		1,714,566	2,820,364

Porty greckie, włoskie i Archipelag nie są tu wymienione.

A zatém tylko w dwóch latach wywóz z powyższych krajów o 60 na % się powiększył.

Schodząc do saméj pszenicy, jako głównie port gdański i mieszkańców królestwa polskiego, tudzież prowincyj wołyńskich obchodzącéj, znajdujemy, że wywóz do Anglii był

Pszenicy rossyjskiéj:	w 1849	1851
z portu odeskiego	453,700	546,501
— morza Azowskiego. . . .	326,050	
z Moldawii i Wołoszczyzny. . .	85,000	14,476
z Egiptu	276,500	128,273
z Rumelii i Syryi	34,650	12,699
Włoskiéj.	30,500	106,092
Tureckiéj	68,000	103,716

Liczby te jakkolwiek niekompletne, lecz z urzędowych czerpane źródeł okazują niesłychany postęp produkcyi rolniczéj tak południowych rossyjskich prowincyj, jako téż krajów nad morzem Śródziemném położonych. Wprawdzie gdańskie ziarno doskonale wyrobione, po większéj części piękniejsze w kolorze, zawsze znajdzie odbyt; ale rzecz

niezawodna, że pod względem ceny, z południowém konkurować nie będzie mogło, bo produkcya w Królestwie, tudzież dostawa do portu znacznie wartość jego podnoszą.

Dowóz ogólny zboża do Wielkiéj Brytanii był jak następuje:

		1852	1851
Pszenicy	kwarterów	3,068,892	3,812,009
Jęczmienia	—	626,737	829,564
Owsa	—	995,480	1,198,529
Żyta	—	10,023	24,609
Bobu	—	107,017	99,399
Grochu	—	371,250	318,224
Kukurydzy	—	1,479,891	1,807,636
Gryki	—	8,085	1,477
Różnych	—	—	1,955
		6,667,375	8,093,402

		1852	1851
Mąki pszennéj	cent.	3,889,583	5,314,414
— jęczmiennéj . .	—	212	34
— owsianéj. . . .	—	512	2,525
— żytniéj	—	92	6,493
— grochowéj. . .	—	14	295
— kukurydzowéj	—	742	9,561
— gryczanéj . . .	—	40	48
		3,891,395	5,333,370.

czyli zamieniając wszystko razem na kwartery, cały dowóz wynosił:

w roku 1851 9,617,222
— 1852 7.779,145;

a zatém dowóz zagraniczny w roku upłynionym zniżył się o $^1/_3$ część.

Dowóz ostatnich lat dziesięciu tak się przedstawia:

	Ilość pszenicy zagranicznéj wprowadzonéj do Anglii w kwarterach	Ilość mąki zagranicznéj wprowadzonéj do Anglii w centnarach	Średnie całoroczne ceny pszenicy w Anglii za kwarter
1843	932,866	440,955	50 szyl. 2 pen.
4	1,097,963	987,744	51 — 3 —
5	844,533	924,256	50 — 9 —
6	1,437,336	3,363,810	54 — 9 —
7	2,650,058	8,637,377	69 — 5 —
8	2,477,366	1,731,974	50 — 6 —
9	4,507,626	3,778,435	44 — 6 —
50	3,936,514	3,858,332	40 — 4 —
51	3,812,009	5,314,414	38 — 7 —
52	3,068,892	3,889,583	41 — — —

Oto jest tabelka porównania cen w ostatnich trzech latach w grudniu, na główniejszych portowych targach, rachując na miarę i monetę angielską, za kwarter pszenicy władowany na okręt:

	1850		1851		1852	
Gdańsk piérwszy gatunek	40	do 45	41	do 46	52	do 54
— drugi —	35	— 40	43	— 46	42_6	— 51
Królewiec	34	— 40	36	— 41	49	— 51_6
Szczecin	35_6	— 38	41	— 42	45	— 49
Rostok	37	— 40	40	— 43	46	— 48
Nowy York (w Ameryce)	31_2	— 41	36	— 41	43	— 47_4
Hamburg	36	— 40	40	— 44	41	— 46
Bilbao (Hiszpania)	35	— 39	38	— 41	41	— 46_6
Marsylia	29	— 33	36	— 44	36	— 46
Nantes	34	— 37	38	— 40_6	40	— 45
Bordeaux	36	— 37_6	37	— 41	43	— 46
Filadelfia	32	— 36	37	— 40	42	— 44_8
Tryest	24	— 33	27	— 35	34	— 43
Neapol	30_6	— 33	32	— 38	39	— 43
Genua	26_6	— 35	32	— 38	39	— 43
Ankona	31	— 32	32	— 34_6	36	— 40
Montreal (Ameryka)	30	— 36	27	— 31	36	— 40
Petersburg	32	— 34	34	— 36	36	— 39
Alexandrya	16	— 17_9	26_9	— 27	31	— 35_9
Galacz	19_1	— 24_6	18	— 24	27	— 33
Taganrog	28_2	— 29_6	26	— 28_6	28	— 34_6
Konstantynopol	21	— 24	21	— 29	27_6	— 34_6
Archangielsk	25	— 27	25_6	— 26	29	— 34
Odessa	24_2	— 30_{10}	25_3	— 30_{10}	23_4	— 33

Rozpatrzenie się w powyższych liczbach przedstawia nader ciekawy ruch cen pszenicy rozmaitego pochodzenia. Uderzający szczególniéj jest postęp ziarna egipskiego, mołdawskiego, które w tak krótkim czasie, produkta odeskie do ostatniéj klassy zepchnęły.

Chociaż Anglia ze wszystkich stron otrzymuje dostarczenia, rolnictwo jednak krajowe położyło sobie zadanie, już przez wprowadzenie machin, już hojniejszym wykładem powiększyć o ile można wydatek zbiorów, bo płacąc drożéj robotników, a 20 % taniéj sprzedając zboże, bez nadzwyczajnych wysileń nie mogłoby ruiny uniknąć.

Te wysilenia jednak nie zostają bez skutku; produkcya kraju z każdym rokiem się wznosi i zapełnia potrzeby silnie wzrastającéj konsumcyi.

W Irlandyi tylko stosunek się zmienił, przez zmniejszenie się ludności przeszło o 2 miliony w ostatnich pięciu latach. Głód i cholera w 1847 i 1848 r. zabrały przeszło półtora miliona, a pół miliona emigrowało do Stanów Zjednoczonych, Kalifornii i Australii, tak, że z 8 milionów dziś tylko 6 zostało.

Tak straszny upadek ludności zmienił cały stan rzeczy w Irlandyi, dozwalając wprowadzić poprawne gospodarstwo, urządzić i podzielić role, znieść do nieskończoności rozdrobnione szachownice, i uprawę kartofli do normalnego zredukować stosunku.

Przeprowadzenie tych zmian największą dziś spotyka trudność w braku ludności wiejskiéj; ale gdy się nowy stan rzeczy ustali, Irlan-

dya nietylko własném ziarnem się wyżywi, ale i angielskie targi zasilać będzie mogła. Rolnictwa angielskiego przyszłość leży dziś głównie w osuszaniu gruntów podziemnemi rurami, przez co już w pierwszym roku zbiór od 10 do 15 na % się powiększa; do jakiego to z czasem rezultatu może doprowadzić, dosyć jest spojrzéć na klassyfikacyą urzędową gruntów całéj Wielkiéj Brytanii w r. 1846 dopełnioną, podług któréj znajdowało się:

	Akrów uprawnych (*)	Akrów nieuprawnych, ale do uprawy zdolnych	Akrów do uprawy niezdolnych
w Anglii	28,749,000	3,984,000	4,361,000
— Szkocyi	5,205,000	5,950.000	8,528,930
— Irlandyi	12,125,280	4,900,000	2,416,664
— Wyspach angiel. . .	383,690	166,169	560,469

Z 34 milionów akrów w Anglii i Szkocyi pod pługiem lub pastwiskiem będących, 15 milionów akrów potrzebuje osuszenia podziemnego a nieuprawne, dziś 9,000,000 akrów z pewnym nakładem dałyby się do uprawy doprowadzić.

Rząd angielski pożyczkami na nizki procent ułatwia podziemne osuszenie, ale tam i na prywatnych kapitałach nie braknie; a przy wiadomej zdolności i wytrwałości mieszkańców, tudzież coraz zniżającéj się stopie procentowéj, kapitały koniecznie ku rolnictwu się obrócą. Wówczas jeżeli stosunek ludności się nie zmieni, produkcya tak się podnieść może, że w latach tylko wyjątkowych Anglicy obcego chleba potrzebować będą.

A jakażto ogromna produkcya tego kraju! W roku 1846 ceniono zbiór:

Pszenicy. . . .	kwarter.	18,225,000	wartości	34,591,784	funt. szterl.
Żyta i owsa. .	—	20,889,049	—	20,869,049	—
Jęczmienia . .	—	7,940,476	—	10,502,499	—
Bobu i grochu.	—	1,735,715	—	2,430,000	—
		48,770,240			
Kartofli, turnipsów, koniczyn				41,200,000	
Ogrodowizn.				10,310,000	
				119,903,332	

tojest 120 milionów funt. szterlingów czyli 4 miliardy dziewięćset milionów złotych polskich, a jeszcze w to nie wchodzi blizko 10 milionów kwarterów rozmaitych nasion olejnych.

W takiéj ogromnéj produkcyi, nieurodzaj a nawet zbiór tylko niższy od średniego przerażający odkrywa ubytek tak w ilości ziarna, jako i summie na zastąpienie jego użytéj; lecz z drugiéj strony poprawa gospodarstwa i podniesienie plonu o 10 do 15 na %, dowóz zboża z zagranicy może niepotrzebnym uczynić; a kto zaprzeczy, że przy rozsądnym nakładzie i poprawie gospodarstwa, powiększyć zbiór o 15 na % jest niepodobna lub trudno?

(*) Akr równy jest 217 prętom polskim.

Nie możemy dość powtórzyć, że wobec takich usiłowań handel zbożowy zostaje niejako w peryodzie przejściowym, i z każdym dniem się przeobraża; a lubo ostatecznych wniosków, a mniéj jeszcze praw ekonomicznych na przyszłość wyciągnąć niepodobna; mamy wszakże obowiązek ze stanowiska naszego zwrócić uwagę właścicieli polskich i rossyjskich, że przy zmieniającym się trybie gospodarstw na całym świecie, i nasze rolnictwo z dawnéj rutyny wyjść musi, urożnorodniając się stosownie do miejscowości i natury roli. Uprawa lnu, konopi, chów bydła, fabrykacya solonego mięsa, otworzyłyby nowe drogi i środki.

Bardzoby było rzeczą pożądaną, gdyby polska pszenica, choć w części w stanie mąki mogła być do Anglii wywożoną; bo nietylko koszta przeróbki zostałyby w kraju, ale otręby i poślady w karmie inwentarzów przyczyniłyby się do podniesienia gospodarstwa, ujmując właśnie ten ważny zasiłek Anglikom.

Wprawdzie robione w Gdańsku proby nie odpowiedziały oczekiwaniu, bo mąka po większéj części w złym stanie przybywała do Anglii; ale nie wypadałoby się tém zrażać, a z wytrwałością i energią możnaby zwalczyć trudności, w piérwszych krokach każdego nowego przemysłu nieodstępne. Zboże w naszym kraju główny stanowi produkt, młyny warszawskie żadnym innym w Europie nie ustępują, a żegluga parowa rychłą do portu odstawę zapewnia. Mąka 1széj klassy, zwłaszcza z pośledniejszego zboża mogłaby się w Anglii opłacić; idzie tylko o zastosowanie sposobu używanego w Stanach Zjednoczonych, zkąd z najodleglejszych prowincyj sprowadzoną mąkę w baryłkach wysyłają do Anglii i takowa nietylko zawsze w dobrym stanie przychodzi, lecz na spichrzach angielskich długo bez szkody przechowywać się daje.

W ostatnich trzech latach byliśmy świadkami dziwnego zjawiska, tojest, że targi gdańskie często wyżéj stały od angielskich, a warszawskie od gdańskich.

Rezultat takiego stanu rzeczy koniecznie być musi ze szkodą, a w końcu ruiną i krajowych i portowych kupców; zdaję się nawet, że rozwój zeszłorocznych operacyj w tym kierunku nastąpił. Wszakże długo to trwać i powtarzać się nie może, a kupcy ostygłszy z gorączki spekulacyjnéj, będą zmuszeni przyjąć za zasadę w tranzakcyach ceny w Anglii lub Gdańsku istniejące, nie zaś idealne, spodziewane.

Cały bieg handlu zbożowego w ostatnich trzech latach najdotykalniéj usprawiedliwił cyrkularzami naszemi objęte zasadnicze twierdzenie: że po zniesieniu praw celnych zbożowych w Anglii spekulacya istnieć nie może, i ceny na stopie średniéj ustalić się muszą.

Pod względem zjawisk atmosferycznych, rok upłyniony do nader rzadkich, jeśli nie bezprzykładnych należy. Mówimy o Anglii.

Po burzliwym i dżdżystym styczniu nastąpiły zimne wschodnio-północne wiatry, które aż do czerwca bez przerwy trwały. Czerwiec

był zimny i mokry, dészcz w 28 dniach padał, a średnia temperatura 12° nie przeszła.

W kwietniu i maju niezwykłe zmiany temperatury miały miejsce. Dnia 14 kwietnia termometr wskazywał 20°, a 15go 6 stopni ciepła; 3go maja 3 stopnie mrozu.

Lipiec odznaczył się niepamiętnemi w Anglii błyskawicami i grzmotami, a po sześciu miesiącach zimna lub chłodu, równikowe przyszły upały, bo termometr do 30, 32 i 36° w cieniu podniósł się. Pod wpływem palącego słońca, angielskie zboże gwałtownie dojrzało, przedstawiając nadzieję najświetniejszego zbioru; ale w dniu 3 sierpnia deszcze zaczęły padać, i z wyjątkiem dwóch tygodni w październiku, bezprzestannie do lutego trwały, przy częstych i silnych burzach, grzmotach i wichrach. Temperatura tak się ociepliła, że 6 grudnia termometr wyżéj stał o 4 stopnie jak d. 6 czerwca.

W listopadzie i grudniu może większa część Anglii była pod wodą, a nawet krajowe dzieje podobnych wylewów nie podają.

Uznaliśmy stosownem przebiedz powyższe fakta, aby pokazać, że w podobnych warunkach atmosferycznych plon w najgorszym stanie musiał być zebrany, i przygotowanie roli pod zasiéw ozimy stało się materyalnie niepodobném. Pszenica tylko na wyższych i lżejszych gruntach mogła być we właściwym czasie zasianą.

Położenie więc Anglii pod względem żywności, jeżeli nie było zagrażającém, to niewątpliwie zasługiwało na uwagę, i pewną mogło wywołać trwogę. Anglia bowiem produkuje u siebie $^9/_{10}$ całkowitéj konsumcyi chleba, a na pozostałą $^1/_{10}$ cały świat się składa; gdyby więc z powodu źle zebranego plonu i niedopełnionych zasiewów $^3/_{10}$ lub $^2/_{10}$ tylko od zagranicznych zasobów zażądać musiała, prawdziwie nie wiemy, gdzieby się to znalazło. Wśród tak ważnych okoliczności, spekulacya jednak nie odważyła się otwarcie wystąpić. Targ londyński rządzący cenami świata regulował się dowozami z dnia na dzień, a subsystencya całéj Anglii wobec znikających zapasów spichrzowych nie miała i nie szukała żadnéj rękojmi, spuszczając się ślepo na możebne dowozy.

Wyznać musimy, że Anglicy dotychczas przynajmniéj w rachunku swoim się nie zawiedli, bo i potrzeby konsumcyi były pokryte, i dostarczenia z coraz nowych, przedtém nieznanych źródeł, przybywały.

Sąto naturalne lubo w niezmierności swojéj zaledwo pojąć się dające skutki wolnego zbożowego handlu. Dzięki nowemu prawodawstwu, Anglia dawniéj ciśniona sztuczną drożyzną chleba, często głodem, dziś jest punktem, na który wszyscy producenci zboża zwracają oczy, spichrzem, do którego się wlewają płody całéj kuli ziemskiéj.

Dawniéj musiała się troszczyć o zabezpieczenie żywności, i ogromnym kapitałem gromadzić zapasy; teraz ziarno zagraniczne do niéj samo się wciska, niejako przez wszystkie pory.

Właściciele ziemi znad brzegów morza Azowskiego i Ameryki południowéj, w Egipcie i Hiszpanii, na Archipelagu greckim i w Sta-

nach Zjednoczonych śmiało uprawiają pszenicę, bo Anglia stoi dla nich otworem, i nie tylko odbyt po bieżących cenach zapewnia, ale i od kaprysów dawniéj ruchomej taryffy zasłania.

Jakieżto nowe źródło dostatku wewnętrznego i handlowych zysków, jakie zajęcie dla marynarki i jaka handlowa ważność! Przed kilką jeszcze laty, ludność Wielkiéj Brytanii była zmuszoną wcześnie za granicą skupować żywność; teraz i sama ma dość i innym w pomoc przyjść może. W roku przeszłym widzieliśmy jak Niemcy i Holandya potrzebując pszenicy nie szukały jéj w Polsce lub krajach produkcyjnych, ale się udawały do Anglii, gdzie taniéj i prędzéj zaopatrywać się mogły; bo kraj ten stał się centralnym zbożowym placem, na który ze wszystkich stron zboże przybywa, i z którego po zaspokojeniu wewnętrznej konsumcyi, pozostałość gdzieindziéj umieszczenia szukać musi.

Ale ten porządek rzeczy od kilku lat zaledwo istniejący nie ma jeszcze za sobą powagi doświadczenia, a nawet przy obfitych domowych i francuzkich urodzajach nie przechodził dotąd przez ważne próby. W tym roku jednak to się stanowczo okaże, bo Anglia i Francya przynajmniéj co do gatunku mają niższe od średnich zbiory, a co najważniejsza, że w Anglii zasiewy ozime w znacznéj części nie zostały dopełnione; zbiór zatém 1853 nowy odkryje deficyt, który aż do zbioru 1854 rozciągnąć się musi. O ile więc wolny handel zdoła ludność Wielkiéj Brytanii od niedostatku i drożyzny ochronić—przepowiedzieć trudno; wszakże z ogólnych obrotów sądząc, możemy wnosić, że targi w ciągu lata 1853, a może i 1854 roku dobremi cenami, tudzież łatwym odbytem odznaczyćby się powinny.

Alexander Makowski.

Gdańsk, d. 1 marca 1853 r.

Krótka wiadomość o przygotowaném do druku dziełku, przez Fryderyka Kanigowskiego, pod tytułem:

O skrzypcach i innych instrumentach strunowych.

Kiedy rozmaite instrumenta muzyczne nadzwyczajnym w ostatnich czasach uległy zmianom, i Bóg wié jakich jeszcze w przyszłości doznać mogą; jedne tylko skrzypce od kilkuset lat nie zmieniły postaci swojéj, i zdaje się, że jéj nigdy nie zmienią. Jestto jedyny instrument muzyczny, uważany za skończony, do którego nic dodać, któremu nic ująć nie można. Ztémwszystkiém instrument tak prosty w swoim składzie, tak łatwy napozór do wykonania, mniéj daleko liczy mistrzów znających tajemnicę jego budowy, niż jakikolwiek inny, więcéj bez porównania skomplikowany; tak dalece, że gdy wybornych fabrykantów fortepianów w każdym nieledwie kraju na setki liczyć można, skrzypcowych mistrzów niewszędzie natrafiamy; a i między górującemi nad

innych imiona Madżini (1), Amatich, Guarnerego, Stradivarego (2) dotąd na czele stoją. Ztąd między zapaleńszemi miłośnikami sztuki utrwaliła się niemal bałwochwalcza cześć dla imion wyżéj wspomnianych mistrzów, tak dalece, iż w uniesieniu swojém twierdzą, że sztuka budowania doskonałych skrzypców wraz z bresciańskiemi i kremońskiemi mistrzami wstąpiła do grobu, i niepodobna, aby kiedykolwiek w całym blasku swoim zmartwychwstała. W istocie, nietrzeba zbyt delikatnego muzykalnego ucha, aby za piérwszém pociągnięciem smyczka nie uczuć różnicy między starym kremońskim instrumentem, a dzisiejszym i dawniejszym Francyi lub Niemiec wyrobem; wszakże nie idzie za tém, aby to, co wyższy umysł jednego człowieka wynalazł i jako tajemnicę z sobą zabrał do grobu, miało już na wieki tajemnicą pozostać: temu zdrowy rozsądek wierzyć nie pozwala.

Nie chcę bynajmniéj twierdzić, aby sztuki i umiejętności ze stopnia na jakim dziś stanęły, zdolne były rozwiązać wszystkie zagadki w praktycznem działaniu nastręczyć się mogące; lecz zdaje mi się, że nie bez zasady przypuścić można, iż umysł praktycznego badacza mniéj dzisiaj ślepemu trafowi zawdzięcza, niż to być mogło przed laty; wiele przeto w sztukach jest przedmiotów, których niegdyś mozolną pracą, rozlicznemi probami dochodzić trzeba było, a do których dziś udoskonalona teorya i umiejętności pomocnicze, prędzéj, łatwiéj i pewniéj doprowadzają. Jeżeli do tego mistrz sztuki, obok zamiłowania swojego zatrudnienia, wyższe ku temu posiada zdolności: wówczas może pokusić się o wykrycie tajników za zgubione poczytanych, i czemużby nie mógł tego dokazać, czego pierwotny wynalazca przy więcéj ograniczonych środkach dokazał?

Ależ naturalne z tego wypływa pytanie: w czém się ukrywa ta poczytana za zatraconą na wieki tajemnica? czy w drzewie, czy w formie, czy też może w powierzchownéj powłoce, albo werniksie? Że w drzewie nie mieści się wcale, mimo zdania niektórych, mamy na to dostateczne, jak się zdaje, dowody. Jeżeliby włoskie świerki i jawory wyłącznie zalecały się tą szczególną i podziwianą wibracyą, toćby skrzypce w innych miastach włoskich wyrobione z włoskiego drzewa, powinny mieć zalety pożądane, a tymczasem te znajdujemy głównie tylko w Kremonie i Brescyi. Co większa, mamy niezaprzeczone podanie, że zamożny dom handlowy w Amsterdamie zakupił drzewo pozostałe po Guarnerim z Kremony i powierzył je znakomitemu holenderskiemu fabrykantowi; czemuż skrzypce z tego drzewa, według zasad zbudowane, nie równają się w dźwięku z kremońskiemi? Obok wyżéj wspomnionych mistrzów, poszukiwane są skrzypce i prawie na równi z tamtemi cenione Stajnera ucznia Amatich, Mejera (3) ucznia Guarnerego, i Groblicza ucznia szkoły bresciańskiéj; a przecież Stajner Tyrolczyk wyrabiał swoje skrzypce z drzewa tyrolskiego, Majer brał je z lasów salcburskich, a Groblicz w Krakowie pracując, polskie brał

(1) Maggini. (2) Stradiuarius. (3) Mayer.

świerki i jawory; mimo to skrzypce jego za bresciańskie uchodzą tak, jak Meyera za Guarnerego sprzedają.

Gdy więc drzewo nietylko we Włoszech, lecz i w innych krajach może się znaleźć z pożądanemi przymiotami; gdy nie w niém kryje się tajemnica dźwięku włoskich skrzypców: tedy może szukać jéj wypadnie w formie instrumentu.

W istocie, forma nie może być rzeczą obojętną, tak jak i dobór drzewa; lecz spostrzegane różnice w budowie skrzypców rozmaitych mistrzów, nie pociągają za sobą nadzwyczajnych różnic co do dźwięku. Stajner odstępował od formy nauczycieli swoich Amatich (1), Guarneri, a za nim Meyer własne mieli zasady, a Groblicza skrzypce naśladują zupełnie formę bresciańskich; jednak instrumenta z rąk tych mistrzów wyszłe, zalecają się dźwiękiem włoskich. Chociaż postać zewnętrzna nie jest tak łatwa do naśladowania, wszakżeż można zdjąć wszystkie rozmiary w najdrobniejszych nawet szczegółach, dokonać rysunku najściślejszego i zachować formę bez najmniejszéj różnicy; i tak się też dzieje: nietylko w Paryżu, lecz i po innych wielkich miastach wyrabiają skrzypce co do formy niczém nieustępujące włoskim, wyrobić wszakże dźwięku włoskiego nie mogą. Skoro zatém ani drzewo, ani forma nie kryją w sobie téj tajemnicy, musi ona więc koniecznie tkwić w zwierzchniéj powłoce, czyli werniksie. Nad tém właśnie zastanawia się głębiéj p. Kanigowski w dziele do druku przygotowaném, któregośmy tytuł na początku przywiedli. Praca tém ważniejsza, że dotąd, ile nam wiadomo, wyłącznego badacza nie znalazła. Być może, iż niejednego odstręczyła myśl niepodobieństwa odkrycia zgubionéj tajemnicy; może niejeden wolał łatwiejszemi wyrobami zarabiać na kawałek chleba, niż wytężać zdolności, tracić czas na wynalazek, który go nie nasyci i którego mu przesąd zaprzeczyć gotowy. Oh! bo to prawda, że gienialni ludzie po największéj części głodni na spoczynek idą, a nawet nieraz promień sławy ich nie ogrzeje, bo ten dopiéro na grób ich pada. Ztąd też ludzie praktyczni ślepo się trzymają rutyny, bo ta ich karmi, a często nawet i tuczy, jeżeli do niéj potrafią nieco przymieszać szarlataneryi. Niemałą to więc jest zaletą p. Kanigowskiego, że się puścił na to niewdzięczne pole, a tém większą, że na niém zebrał plon pożądany.

Niech wszakże nikt nie sądzi, że to jest kruk biały jakiegoś poczynającego artysty; bynajmniéj, p. Kanigowski jako korrektor instrumentów smyczkowych, znany już zaszczytnie ze swojego talentu wszystkim znakomitościom muzykalnym, jakie się w przelocie swoim na horyzoncie warszawskim pojawiły, w ich dziękczynieniach ma tego liczne dowody. Chlubne o nim wzmianki wyczytać można w pismach zagranicznych, niebardzo skorych do pochwał dla Polaków. Tu między innemi odsyłamy czytelników do nru 178 z r. 1841 „Berliner Figaro", do nru 48 z tegoż r. „Allgemeine Musikalische Zeitung" i t. d., nie wspominając już o naszych pismach, jako o rodaku napomykających. Strawił on długie lata na mozolnéj pracy w swojém powołaniu, nie-

(1) Antoni i Hieronim bracia Amati.

mały przeciąg czasu szukał nauki za granicą, i obfite jéj owoce przyniósł na ziemię rodzinną (1).

Kto miał sposobność czytać uczoną rozprawę p. Savart, o budowie skrzypców i innych instrumentów strunowych, czytaną na posiedzeniu Akademii umiejętności w Paryżu i drukiem ogłoszoną r. 1844, temu zapewne zdawać się będzie rzeczą błahą werniks, którym się zajmuje p. Kanigowski; w rozprawie bowiem wyżéj wymienionéj, p. Savart podawszy ścisłe zasady budowy instrumentów smyczkowych, nie wspomina nic o werniksie. Nie godzi się atoli przypuszczać, aby to czynił przez lekceważenie; lecz że wszystkie instrumenta przez francuzkich sztukmistrzów przedstawiane, powleczone były właściwym im lakierem: trudno mu więc było coś stanowczego wyrzec o téj powłoce, a potępiać jéj nie chciał, by przez to nie zaszkodzić wyrobom swoich krajowców. Że tak jest, dowodem tego być może artykuł o wystawie paryzkiéj, umieszczony w *Illustration* z r. 1849 nr. 337, tom XIII na str. 379 (2), w którym autor ubolewa nad zatratą włoskiego werniksu, choć oddaje pochwałę swoim mistrzom, za usiłowania ku jego wykryciu podjęte.

Żeby wszakże dobitniéj okazać ważność werniksu, przytoczę własne p. Kanigowskiego wyjaśnienie, wyjęte z dzieła na początku wzmiankowanego. Autor dla łatwiejszego pojęcia rzeczy, osądził za rzecz niezbędną napomknąć o niektórych zasadach akustycznych.

„Drganie ciała elastycznego, mówi p. Kanigowski, nie należy brać za jedno z falami powietrza, nasze ucho uderzającemi, a to z powodu, że ruchy powrotowe ciała drgającego tworzą jednę falę powietrzną, która stanowi aliquot tonu (3).

Dźwięk i ton. Różnorodność ciał elastycznych i różnorodność regularnych i ściśle połączonych drgań ciała, wyradza dźwięk; liczba

(1) P. Kanigowski za przedstawione nowe instrumenta rznięte, oraz smyczki własnoręcznego wyrobu, na wystawie przemysłowéj w Warszawie roku 1841 zaszczycony został medalem.

(2) Przytoczymy tu w dosłownem brzmieniu ustęp o werniksie włoskim, czyli, jak go autor zowie, kremońskim:

„Aussi nos meilleurs luthiers se sont ils bornés à découper leurs instruments, avec l'éxactitude la plus rigoureuse possible, sur les patrons des anciens maîtres célèbres de la luthérie; et ont—ils mis tout leur soin, tout leur zèle à la recherche du secret précieux de ce beau vernis, qu'on admire tant sur le divers crémonais, et qui semble perdu."

(Dlatego też wyrabiający u nas najlepiéj skrzypce, ograniczyli się na daniu kształtu swoim instrumentom z najściślejszą dokładnością naśladując wzory dawnych sławnych mistrzów, i usiłowali z całą gorliwością dojść nieocenionéj tajemnicy tego pięknego werniksu, który podziwiamy na różnych instrumentach kremońskich, a który zdaje się być zatracony).

(3) W Doręczniku muzycznym p. J. Sikorskiego z r. 1852 po raz piérwszy, o ile mi wiadomo, natrafiamy na wyraz polski *przyton*, przez który p. Sikorski wyraża aliquot. W praktycznéj muzyce p. Sikorski szczęśliwie obrał tę nazwę, lecz tu, w tém miejscu rozumiem nadto, że aliquot oznacza falę po fali, mieszczące się między jednym a drugim tonem, np. na strunie skrzypcowéj E, w 2éj oktawie od tonu *c* do tonu *cis*, taką stanowią różnicę, że w jednéj sekundzie *c*=4,096 drganiom, a *cis*=4339,5.

fal powietrznych w równym czasie o ucho odbijających się, stanowi ton; i tak: jeżeli w tym samym przeciągu czasu, naprzykład w jednéj sekundzie, 512 fal powietrznych uszy nasze dotyka, słyszymy ton *C* fizyczny. Jeżeli ten sam ton *C* wydamy przez śpiéw, przez flet, klarnet, trąbkę, nawet pomiędzy rzniętemi instrumentami, na skrzypcach, altówce, wiolonczeli, będzie on za każdym razem miał 512 fal (drgań) powietrznych, lecz każde ucho pozna, że jest jakaś odmiana w tym samym *C*, i ta odmiana stanowi dźwięk.

Każde muzykalne ucho rozróżni pewne stopniowanie dźwięku, bo czy śpiewane *C* przez rozmaite głosy, czy przez rozmaite rznięte lub dęte instrumenta tego samego rodzaju przez jednego i tegoż samego artystę wydane, słyszymy, że tak pomiędzy śpiewanemi *C*, jak niemniéj pomiędzy wydawanemi przez instrumenta jednorodne, jak to na kilku skrzypcach, klarynetach, fletach, jedno najprzyjemniejsze sprawia wrażenie dla ucha, a wszystkie rozmaite stopnie wrażenia nazywamy kolorem dźwięku.

Wracając do ciał elastycznych, które dźwięk wyradzają, ważném naszém zajęciem przy rzniętych instrumentach są deski mające pewną powłokę.

Deski wydające jeden i tenże sam ton bez powłoki, z różnorodną powłoką rozmaite dźwięki wydają; dowodem tego jest znamienita różnica odznaczająca włoskie klassyczne instrumenta od wszelkich innych.

W różnych krajach zręczni i umiejętni rękodzielnicy wyrabiali instrumenta rznięte, które napozór miały zupełne podobieństwo do włoskich, czasem nawet zasady budowy tychże w sobie mieściły, lecz kolor dźwięku nawet tych ostatnich, różnił je zupełnie od włoskich.

Zbyteczną byłoby rzeczą wymieniać wszelkie lakiery, politury i powłoki, jakie napotykamy na instrumentach, bo i te, które widziałem na najlepszych, nawet lakier francuzki zbliżający się najbardziéj pozornie do włoskiego, nie pozwala w dźwięku równać się instrumentowi z klassycznemi włoskiemi; z tego téż względu o włoskim werniksie mówić zamierzam, tém bardziéj, że napotykamy instrumenta choć nie we Włoszech robione, lecz powleczone werniksem włoskim, a tém samém wydające ten sam kolor dźwięku.

Do liczby tych należą instrumenta robione przez Jakóba Stajner w Absam pod Insbrukiem, Andrzeja Ferdynanda Mejer (koło 1745 r.) w Salcburgu, Groblicza w Krakowie, z których każdy w innym charakterze pracował.

Wszelkie lakiery, werniksy i t. p. jako składające się z różnorodnych żywicznych, bursztynowych i kopalowych części, tamują właśnie wielkość i jakość drgań (siłę i kolor dźwięku), gdyż ich massy po wyschnięciu, odmienny od drzewa charakter mają. Zpomiędzy tych powłok, jedne są tak niezgodne z drzewem, że za dotknięciem żeń odpryskają, a nawet i same przez się pękają; albo téż takie, które ciepłą wodą zmyć można, i to nawet nie ze świéżo zrobionego instrumentu; są znowu inne zawierające kopal dobrze rozprowadzony, przechodzący twardość drzewa.

Powyższe dostrzeżenia były przyczyną badania werniksu Stradivarego, gdyż kolor dźwięku instrumentów jego jest najpiękniejszym i najmocniejszym (1).

Po 14to-letnich badaniach w tym przedmiocie, otrzymałem werniks, który powierzchownie jest podobny do werniksu Stradivarego, a którego podobieństwo przez rozmaitych znawców uznaném zostało, jak niemniéj przez gazety miejscowe, petersburskie i zagraniczne (2).

Werniks ten ma tę główną zaletę, iż nie zawierając w sobie żadnych żywicznych, kopalowych lub bursztynowych części, okrywa drzewo tak przezroczysto, że wszelkie przed werniksowaniem piękności drzewa niewidzialne, przez niego na jaw występują; główną zaś własnością jego jest, że się wciela i łączy z drzewem, albowiem zarysowawszy jakim twardym przedmiotem nawet dość głęboko, werniks tak w zagłębieniu zrobionéj rysy, jako i powierzchownie okaże się nieodłączonym: co dowodzi, że twardość i elastyczność jego jest zupełnie podobną do drzewa. Alkohol na nim pozostawiony żadnego wpływu nie wywiera nawet i po ulotnieniu się, a kwas saletrowy pozostawiony na kilka sekund, lubo kolor werniksu zmienia, jednakże w przeciągu kilku dni wraca on do stanu normalnego, tak dalece, że nie można poznać w którém miejscu był napuszczony.

Zdarzają się jednak przy skrzypcach Stradivarego miejsca pozornie ogołocone z werniksu, a te są, w których ciało ludzkie ma bezpośrednią styczność z instrumentem, tojest tam, gdzie się styka z brodą lub ręką; miejsca te wszakże nie są pozbawione werniksu.

Chcąc bowiem doprowadzić do tego, aby na powierzchni nowego instrumentu ślad werniksu okazał się widzialnym, potrzeba kilkanaście razy drzewo tym werniksem napuszczać, dopóki nie dojdzie stanu nasycenia, a następne kilkokrotne powłoki okażą się dopiéro oku widzialnemi; a zatém chociaż zwierzchnia powłoka przez pot, częste dotykanie i tarcie się odłącz: to wszakże części werniksu służące do nasycenia drzewa, temuż odjętemi być nie mogą, a nadają mu właściwą elastyczność i miąższość.

Toż samo, co przy powłoce instrumentów Stradivarego widzieć się daje, dostrzegać można na instrumentach przezemnie werniksowanych; lecz jeżeli te same instrumenta lub inne włoskie, a nawet instrumenta Stradivarego, straciwszy zewnętrzną powłokę, pokryte zostały lakierem spirytusowym, bursztynowym, kopalowym lub t. p.: wtedy okazało się, że utraciły ten świetny kolor dźwięku, który właśnie nadaje im wysoko cenioną wartość.

Nie poprzestając na tém powierzchownem podobieństwie tegoż werniksu, starałem się jego rzeczywistą wartość zbadać; w tym celu

(1) Odtąd mówiąc o instrumentach Stradivarego, będę li tylko mówił o skrzypcach tegoż autora.

(2) Odwołuję się w tym względzie do zdania dwóch miłośników, niezaprzeczonych znawców muzyki i wielkich w niéj mistrzów, których imiona wymieniać, piastowane przez nich wysokie w państwie godności nie pozwalają. Ś. p. Franciszek Rzehaczek znany znawca w Wiedniu oddawał mi w tym względzie sprawiedliwość w całém znaczeniu tego wyrazu.

wziąłem jednę deskę jaworową, a drugą świerkową: przerznąwszy każdą z nich na dwie deszczułki, otrzymałem je z równym zupełnie słojem, dostroiłem każdą do jednego i tego samego tonu, poczém przelakierowawszy jednę, lakierem nateraz uważanym za najlepszy, którym powlekają tegoczesne francuzkie instrumenta, drugą zaś moim werniksem, po dokładném wyschnięciu obudwóch okazało się, że dźwięk tych deszczułek był różnym; tojest: deszczułki powleczone moim werniksem mają daleko śpiewniejszy, ciąglejszy i dźwięczniejszy ton.

Jeszcze lepszą miałem sposobność przekonania się o tém, albowiem skrzypce nienowe, kształtnie i z dobrego drzewa zbudowane, tak francuzkie, niemieckie jako i polskie, po dokładném wykorrygowaniu i dostrojeniu do tonu *ces*, a następnie po należytém ograniu, nie wyrównały kolorowi dźwięku Stradivarego; lecz po zdjęciu z nich lakieru, i nadaniu wzwyż wspomnionego werniksu, po wyschnięciu i niedługiém ograniu, nabrały siłę i kolor dźwięku podobnego instrumentom Stradivarego.

Nie ulega to żadnéj wątpliwości, że granie na instrumencie wydoskonala dźwięk jego; lecz mylném jest zdanie, jakoby przez częste i mocne granie na instrumencie, choćby nie podług zasad budowanym, tenże zrobił się dobrym. Albowiem ton instrumentu nie podług zasad zbudowanego, przez ogranie w tak małym stopniu się poprawiał, że ztąd urosło mniemanie, iż nowe instrumenta dla wnuków dopiéro mogą być użyteczne. O ile zaś to uprzedzenie jest mylném, dowodzą skrzypce p. Sivori, które podług zasad budowane na wzór Józefa Guarnerego, zaledwie miały lat dziesięć, kiedy ten artysta wykonywał na nich koncerta, a instrument ten odznaczał się mocnym i pięknym tonem.

Równocześnie ze Stradivarym, przed nim i po nim robiono instrumenta, które okazują ślady zużycia, iż nie można zaprzeczyć, aby nie były przez długi czas ogrywanemi; a jednakże dźwięk ich nie może być wcale porównanym z dźwiękiem instrumentów Stradivarego. Moglibyśmy więcéj podobnych przytoczyć przykładów, dowodzących, że warunkiem doskonałości instrumentu jest zasada budowy jego, a ogranie w rychłym czasie się uskutecznia; i jeżeli Savart w rozprawie swéj czytanéj w Akademii umiejętności paryzkiéj twierdzi, że skrzypce których skrzynka niestrojna do tonu *ces*, nie mają żadnéj wartości; to twierdzenie jest uzasadnione na praktycznem przekonaniu z instrumentów Stradivarego i Guarnerego, oraz na prawach akustycznych (1).

Dzisiejszy muzyczny ton *ces*, odpowiada tonowi *C* fizycznemu, o którym powyżéj była wzmianka: że powtarzany przez jednorodne instrumenta, różnorodnym dźwiękiem się okazał (2); tak różnorodny dźwięk wydają deszczułki rozmaitemi lakierami i werniksami powle-

(1) Udało mi się skrzypce Antoniego i Hieronima braci Amatich, jako téż Mikołaja Amatego dostroić do tonu *ces*, przez co instrumenta te przy swoim właściwym pięknym dźwięku nabierały i siłę tonu.

(2) Jeżeli tu w moich dowodzeniach trzymam się tonu *ces* lub *C* fizycznego = 512-drganiom wibracyjnym w sekundzie, to z téj przyczyny, że ton ten składa się z całkowitéj liczby drgań bez ułamku; wszystkie bowiem inne tony w oktawie dzielą się na setne i dziesiętne części drgań.

czone, pomiędzy któremi, jak już powiedziano, powleczone moim werniksem najśpiewniejszym dźwiękiem i najswobodniejszą wibracyą się odznaczały. Toż samo co się okazuje w deszczułkach, okazuje się w całym instrumencie, albowiem instrumenta nieczyniące zadosyć powyższym zasadom, mogą wprawdzie służyć do grania, lecz dźwięk ich jest niepiękny i nieprzyjemny, i nigdy przez najsilniejsze i najdłuższe ogrywanie nie nabędzie wymagalnych zalet. Wprawdzie przez powtarzanie tonów, instrument takowe łatwiéj wydaje, lecz one zawsze swoję barwę zachowują, gdyż jeden i ten sam ton powtórzony chociaż milion razy, nie odmieni tonów części instrumentu, ani wyżéj, ani niżéj; a zasada jaką nam Savart podał, okazuje nam jawnie, że tony części skrzypców powinny być w takim stosunku do siebie strojone, aby razem połączone wydawały ton *ces* lub *C* fizyczne, a zatém przez ogranie tego nie nabierają, co jest koniecznie wymagalném. Lubo tedy Savart twierdzi, że skrzypce dostrojone do tonu *ces*, wydają ton najpiękniejszy i najmocniejszy; przekonałem się jednak, iż nie nabierały li z téj zasady i koloru dźwięku odznaczającego instrumenta Stradivarego, lecz wtedy gdy zostały, jak wyżéj nadmieniłem, przewerniksowanemi. Albowiem różnorodność drgań desek przy rzniętych instrumentach,o których wyżéj traktowano (1) przekonywa, iż aby instrument wszystkie tony czysto wydawał, takowe potrójne uginania uskuteczniać powinny, tojest: jedno w kierunku długości strun, drugie prostopadłe przeciwko dekom, a trzecie tangentalne (styczne), które instrumentowi nadają własność największych możności drgań; oprócz tego, w całéj obszerności dek, dusza perpendykularne trzęsienia wywołuje. Jeżeli zatém deszczułki werniksowane odznaczały się piękniejszym dźwiękiem od innych, tém bardziéj odznaczają się deski skrzypcowe łączące w sobie powyższe uginalności, które przez werniksowanie nabyły większéj elastyczności i łączności różnorodnych drgań, i stosunek znaleziony pomiędzy deskami skrzypcowemi odznaczał całkowite instrumenta werniksowane wyższym i piękniejszym daleko stopniem koloru dźwięku od lakierowanych, lubo jedne i drugie dostrojone były do tonu *ces*" (2).

Wyjątek powyższy z dzieła p. Kanigowskiego dostatecznym będzie do przekonania o ważności werniksu na instrumentach strunowych, a zarazem posłuży za dowód talentu i ukształcenia autora, równie jak jego gorliwości o postęp sztuki, któréj się z takiém zamiłowaniem poświęcił.

Dla nas nieobojętną powinno być rzeczą, że rodakowi naszemu powiodło się wykryć tajemnicę, którą uczony narodu w wysokim stopniu przemyślnego, za zginioną na wieki poczytał. Zapewne nie tak prędko jeszcze p. Kanigowski cieszyć się będzie owocem swojego tryumfu. Wszelki pomysł wielki mnóstwo zwykle napotyka niedowiar-

(1) W dziełku na wstępie przytoczoném autor objaśnia obszerniéj w tym przedmiocie.

(2) Widziałem na deszczułce u p. Kanigowskiego proby 32 gatunków werniksów, którémi powleczone bywają instrumenta kremońskie i inne włoskie. Proby rzeczone mogą służyć za skalę porównawczą do rozpoznania wszystkich gatunków werniksów na instrumentach włoskich.

ków, i to jeszcze pospolicie tak upartych, że potępiają naprzód, nie rozebrawszy rzeczy; co większa, nie chcą nawet zwrócić uwagi i choć na chwilę zastanowić się. Obok tego, długim przeciągiem lat zakorzenione bałwochwalcze uwielbianie włoskich instrumentów, choć w nich czasem nic więcéj włoskiego nie ma, prócz napisu tak u nas jak i za granicą wybitego, nie pozwoli żadną miarą na oddanie sprawiedliwości talentowi nad brzegami Wisły wzrosłemu. Doświadczenie przekonywa, że łatwiéj mur granitowy skruszyć, niż złamać przesąd zastarzały. Szczęście przynajmniéj, że uczeni wszystkich narodów pozbyli się uprzedzeń i zawiści rodowych, oddając cześć należną talentom bez względu na ziemię, na któréj je Opatrzność postawiła. To jedno może być dostateczną pobudką dla p. Kanigowskiego do wytrwania w pracy i zabiegach. Niech się odezwie na jego korzyść głos nad Spreą, Dunajem lub Sekwaną, a niezawodnie echo jego odbije się nad brzegami Wisły i zasłużoną wziętością otoczy artystę.

Słyszałem u księcia Lubomirskiego na wieczorze, w ten sposób werniksowane instrumenta p. Kanigowskiego, i te zupełnie mnie i słuchaczy zadowolniły.

Antoni Kątski.

Grałem na rozmaitych instrumentach wyrobu p. Kanigowskiego w ten sposób werniksowanych; wszystkie odznaczały się pięknym dźwiękiem i siłą tonu. Niemniéj miałem sposobność widzieć instrumenta włoskie, u których czasem zniszczone części przez tegoż były dorobione i takim samym werniksem przez niego powleczone, jaki okazał się na innych częściach tegoż instrumentu, a które tak samo doprowadzone były do pożądanego tonu.

Kazimiérz Baranowski.

PTAKI.

IMPROWIZACYA (*).

Gdy przez powietrzne błękity
Płynie obłok złotolity;
Człowiek goniąc go oczyma
Smuci się, że skrzydeł nie ma!

Gdy wśród mgły świtu bladawéj,
Nakształt żeglarza olbrzyma
Słońce, z dna różowéj nawy
Pluska wiosłami promieni;
Człowiek chcąc z niém biedz w przestrzeni,
Drzy z żalu—bo skrzydeł nie ma!

On wié, że wzbić się nie może;
Lecz tęsknoty nie pokona,
Bo czuje, że choć bez siły,
Ma w swéj duszy skrzydła boże,
Któreby go w słońce wzbiły,
Gdyby nie ziemska osłona:—
Ciało z więzy żelaznemi
Co go przykuwa do ziemi!.....

Tomasz Morus rzekł żałosno:
„Świat cały jest klatką ciemną,
Gdzie ten, komu skrzydła rosną
Rozbija się nadaremno"!...

Wyście szczęśliwsze, o ptaki!
Cóż wstrzymuje waszą wolę?
Wam otwarte modre szlaki
W ukochanym wam żywiole!....

Ciebie najprzód, nad obłokiem
Gonię wyobraźni okiem,
Kolibrze, złoty atomie,
Coś tu spadł jak klejnot żywy
Z anielskiego naszyjnika!

(*) Improwizacya ta tylko co nadesłana, umieszcza się chociaż przy końcu zeszytu. *P. R.*

Twa postać, w stworzeń ogromie,
Równie drobna jak błyszcząca,
Przechodzi wszystkie ich dziwy!
Bo jak punkt, w sobie zamyka
Węzeł uroków tysiąca.

Blaskom, barwom twojéj szaty
Chyba jeden zrównać może
Ten, co gdy leci w przestworze,
Zdaje się jak kwiat skrzydlaty!

Gdy swe wachlarze roztoczy,
Puch z ognia zpod nich wypływa...
Pył złoty, jak złota grzywa
Spada mu na drobne oczy...
Dziwny blask pod jego szyją
Jak młoda trawka się mieni;
Ku ziemi, nakształt promieni
Dwa długie pióra się wiją.

Taką on pięknością błyska,
Tak wysoko mknie w chmur dali,
Że ludzie, myślą nieśmiałą
Próżno szukając nazwiska
Coby tym cudom zrównało,
Ptakiem rajskim go nazwali!...

Jednak chociaż tak bogato
Syny Edenu się stroją,
Wolę cię, z twą ciemną szatą,
Z niewidzialną lutnią twoją
Ty, co wśród bzów, przy strumyku
Wiecznie się żalisz słowiku!

Gdy owiany w blask księżyca,
Srebrnym dzwonkiem budzisz gaje;
Wędrowiec idący drogą
Jak posąg pod drzewem staje.
Wtedy marząca dziewica
Zwolna wychodzi na ganek,
I aż do łez się zachwyca!
I już się bieli poranek,
A oni odejść nie mogą!....

Lecz gdy świt wzlata na wschodzie,
Już, czujny w godzin rozmiarze,
Dajesz się słyszéć w zagrodzie
O ty żyjący zegarze,
Którego głos duchy woła!
Ten głos, co dźwięcząc przestrogą,

Tak gorzką przeniknął trwogą
Najstarszego apostoła!
Na twoje głośne wyzwanie
Chór gajów wita zaranie.

W gospodzie, w rannéj godzinie
Budzą się Rzymu zbawczynie,

I paw', godło blasków ziemi,
Roztacza źrenic tysiące;
Pewnie, by mógł lepiéj niemi
Widzieć swe szaty błyszczące!

Bór swe gęstwiny przewiewa,
Woń z nich wznoszą leśne ziółka,
A skryta w zieleni drzewa
Gdzieś się odzywa kukułka...

Zpod cienia listnych osłonek,
Już nad polem się przemyka
Wierny towarzysz rolnika,
Swawolne dziécię: skowronek.
Nie nuci on w gęstwi drzewa,
Lecz kąpiąc się w zorzy złocie,
Im dłużéj, radośniéj śpiewa,
Tém chyżéj wzbija się w łocie!....

Tak wpośród życia jutrzenki,
Prostota serca szczęśliwa,
Jak dźwięk radosnéj piosenki
Przed słońcem się nie ukrywa!
Lecz gdy ciężkie życia boje
Omylą tę ufność błogą;
Dusza wstrzyma pieśni swoje
I w sobie się zamknie z trwogą.....
Pogrążając się w dumanie
Wzrok badawczy zwróci wszędzie,
I smutną, milczącą będzie;
Lecz milcząc, mądrą się stanie.

Tak sowa w nocy zbudzona
Pod pustelniczém ukryciem,
Daleka od ptaków grona,
Jak martwa myśli nad życiem.
A jéj ponura źrenica
Mądrością zadziwia ludzi;
Bo im głębsza tajemnica,
Tém potężniejszą cześć budzi!

Lecz gdy tęsknocie badacza
I nauka nie odpowié:
On, podobny puszczykowi,
Nie rozważa, lecz rozpacza.
I jako ten ptak złowrogi
W ruinach jęcząc z żałobą,
W groby zrzuca pióra szare;
Tak dusza co traci wiarę,
Z drżeniem, już ciągle przed sobą
Widzi zimne śmierci progi....

O! nie tak się trapi srogo,
Chociaż pod krzyżem boleje,
Ten, co zachowa nadzieję
I zdąża Kalwaryi drogą;
Drogą, gdzie zakończył życie
Z łonem boleścią szarpaném
Ten, którego wieszcz w zachwycie
Nazwał boskim pelikanem;
Bo On strumieniem krwi swojéj,
Drogie dziécię:— ludzkość poi!

Ach! czemuż w uczuciach ptaków
Widzę tyle smutku znaków?

Smutny jest ten, co w jeziorze
Podrzuca perłowe piany;
Ten sfinx wodny, niezbadany,
Biały jak marmur w Luxorze.
Ludzkość, jak on nieszczęśliwa,
Jak on piękna i milcząca,
Wśród bladych wieków tysiąca
W głębiach tajemnicy pływa....
Lecz przy wielkiéj śmierci swojéj,
Gdy się zbudzą pokolenia,
Gdy świat w gruzy padać będzie;
Ona się nagle ukoi,
I wzniesie hymn przemienienia,
Jak pożegnanie łabędzie!

I ty z smutnym skrzydeł świstem
Mierzysz łzawe chmur otchłanie
Kruku! żyjący hebanie!
Twój przelot w powietrzu mglistém
Zwiastuje nam, jak błysk w burzy,
Tyle gromów, tyle trwogi,
Ile szczęścia, ciszy błogiéj
Przybycie gołąbka wróży!

Gołąb gdy w lazurach buja,
Muzyką piór brylantową
Zda się szeleścić to słowo:
„Alleluja! Alleluja!....”
On w osłonce piór śnieżystéj,
Przyjaciołom nosi listy;
Bo wzrok jego drogę bada,
I lube miejsca poznaje.
I nieraz gołębi stada
Mają dwa rodzinne kraje;
W równym pór roku rozmiarze
Lecąc, wracając koleją,
Jako wahadło w zegarze
Wpośród dwóch krain się chwieją!

Wśród tych wędrownych orszaków
Widzę i tłum innych ptaków:
Wspaniałe w locie bociany,
Co zwiedzają dwór drewniany
I w gnieździe błyszczącém rosą
Bieląc się nad wierzby szczytem,
Cieszą ludzi swym pobytem:
Bo te ptaki szczęście niosą!

I ty, drobna jaskółeczko,
Pierwiosnku ptaków radosny,
Co piérwsza dźwięczną piosneczką
Przyśpiewujesz pląsom wiosny!
I ty mkniesz nad wieże grodów,
I nad stepowe bezdroża,
Wśród lekkopiórych narodów
Co mierzą lądy i morza!....

Inne, niestrudzone lotem,
Koczują w pogodzie, w burzy
Pod skrzydeł swoich namiotem,
Bez stałych celów podróży:
Tak strusie w rodzinném kole,
Gdy przez libijskie pustynie,
Po wrzącéj piasków głębinie
Nawpół lecą, nawpół biegą;
Rzucają na wiatrów wolę
Zwoje puchu srebrzystego,
Niby biały płaszcz Farysa.
Czasem na piramid szczycie
Ujrzą smętnego ibisa,

Co dziś na swój los się żali:
Bo świetniejsze wiódł on życie
Niegdyś, gdy go ubóstwiali
Wielbiciele Ozyrysa!

Lecz to wy, o albatrosy!
Najwytrwalszy lot wznosicie....
Wam pielgrzymką całe życie!
Wam gniazdem całe niebiosy!
Bo nawet wśród nocnéj pory
Gdy świat się nurza w marzenie,
Wy, jak żywe meteory,
Śniąc o różach i Edenie,
Nad czołem znikoméj ziemi
Same w powietrznym ogromie,
Skrzydłami rozwiniętemi
Zwieszacie się nieruchomie!

Lecz dziwna istota taka
Rączo przed ludźmi ucieka....
Gdy więc strzała z rąk człowieka
Zdobyczy zgonić nie może;
Wtedy strzelec na przestworze
W pogoń ptaka, puszcza ptaka.

Czy słyszycie? w głuchym borze
Zabrzmiał szelest.... dzwonią trąbki....
Już wystrzały
Się ozwały!
A bażanty i jarząbki
Kryją się za chmur osłonką....

Zjawia się orszak wspaniały:
Jeźdzcy majowo ubrani,
Wśród nich na rumaku, pani
Strojna ciemną amazonką.
Nad alabastrem jéj czoła
Strzela zlekka czaple pióro....
Welon ją owiewa chmurą,
A na ręku ma sokoła.
Gdy ni strzał, ni lot rumaka
Zbiegów doścignąć nie zdoła,
Pani puści swego ptaka:
On wnet gniewem się zapali
I obłok rozedrze w dali....
Lecz ona znów go przywoła.
Wnet tknięty głosu słodyczą,
Wróci do niéj z swą zdobyczą.

Kiedy sokół z swoją panią
Skończył zabawę myśliwską;
Ona wraca w swe zamczysko,
Gdzie ptak inny czeka na nią:

W lasach dziewiczych Brazylii,
Gdzie szumią potoków smugi,
Wśród kokosów i wanilii
Iskrzą się w liściach papugi.

Te ptaki w obcą im stronę
Do pałaców przeniesione,
Z wesołością i pokorą
Uczą się mowy człowieka;
Lecz on napróżno docieka,
Czy zeń szydzą, czy wzór biorą?

Jest inny ptaszek domowy,
Milszy niż ptaki mówiące,
Bo pełen uczuć wymowy!
Wnet go ujrzycie: na łące
Pląsa gromada owieczek;
A z łąki wznosi się wzgórze,
A na wzgórzu rosną róże,
A wśród róż stoi domeczek.

W domu nadobna panienka
W srébro i w jedwabne kwiaty
Wyszywa białe ornaty
Wetknięte w zgrabne krosienka;
A przy kryształach okienka,
W upleci klatki przezroczéj,
Wśród rezedy i zieleni
Połyskują czarne oczy,
I skrzydełko się promieni.
Wpośród wonnego ukrycia
Śpiewa pieszczona istota,
Rozkosz domowego życia!
W skarbcu uciech perła złota!....
Ptaszek z kanaryjskiéj ziemi,
Z wysp nazwanych Szczęśliwemi!....

Ptaszyno! godło pokoju!
Tyś dziewicom ukochana,
Tak, jak orzeł, godło boju,
Jest drogim sercu młodziana!

Orzeł! on ma świat za państwo!
Za obłok, chorągwie chwały!

I pogaństwo i chrześciaństwo
W laurach go wykołysały!....
—Jowisz z pioruny wiecznemi
Wezwał cię, monarcho ptaku!
I syn Macedońskiéj ziemi
Nosił cię na swym szyszaku!
—Uczeń Zbawiciela drogi
Obrał cię za godło swoje!
Tass, śpiewa żeś zdobił zbroję
Rynalda, męża bez trwogi!

Gdy orzeł w powietrzu bieży,
Wiodąc walecznych rycerzy
Na krwawe chwały igrzyska;
Już pożerczy sęp, zdaleka
Przeczuwając śmierć człowieka,
Pochodniami źrenic błyska,
I zdąża tam, gdzie go czeka
Biesiada pobojowiska.

Sęp! to czarny paź mogiły—
Któż mu klucz śmierci wziąć może?
Chyba ty jeden, kondorze,
Przewyższyłbyś jego siły!...
Twoje skrzydła dotąd strzegą
Wrót świata zapomnianego,
Świata, gdzie olbrzymy żyły!...

Ty, kolej wieków przebywszy,
Sam zostałeś z tych kolosów;
Więc ci smutno wśród niebiosów.....
Ale postęp wszystko zmienia:
Kiedyś jeszcze, w czas szczęśliwszy,
Człowiek do niebios się zbliży
Lekki lekkością sumienia;

Wtedy, jak hipogryf chyży
Ty go w przestworzu dalekiém
Będziesz niósł wśród fal promieni...
Natenczas, razem z człowiekiem
I natura się przemieni.

Jak niegdyś w potopu fali,
Tak wtedy w ognia powodzi
Ziemia się cała odrodzi;
Duch miłością się przepali;
I wchodząc w drugie zaranie
Świat, jak Fenix zmartwychwstanie.....!

Deotyma.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1847.

120. Księcia don Żuana Mannuela Rady Patroniuszowe czyli historye i przykłady opowiadane hrabi Lukanorowi. Z hiszpańskiego wydane po polsku przez L. S. 2 tomy. Poznań. 1847. W księgarni i drukarni Nowéj. Tom I str. 156. II 148. Rs. 1 k. 20.

121. Katechizm rolniczy, oparty na zasadach chemii i geologii. Tłómaczony z angielskiego przez Maxymiliana Oborskiego członka czynnego Towarzystwa gospodarskiego. Wydany nakładem Towarzystwa gospodarskiego. 8ka. Lwów. 1847. W drukarni Stauropigiańskiéj. Napisu i przedmowy kart 2 i str. 74. Rejestru karta 1.

122. O chłopach. Przez *** Wydanie J. N. Bobrowicza. 8ka. Lipsk. 1847. Nakład księgarni Zagranicznéj, druk F. Reclama. Str. VIII i 191. Rsr. 1 kop. 20.

123. Rozprawy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego. Tom drugi i trzeci. 8ka. Lwów. 1847. Druk Piotra Pillera. T. IIgi napisów i rejestru kart 2 i str. 180. T. IIIci kart 2 i str. 204. (Na końcu tego tomu dodano lit. arkusz młocarni).

1853.

36. Antygona. Tragedya Sofoklesa. Tłumaczył z greckiego Kazimiérz Kaszewski. 8ka. Warszawa. 1853. Druk St. Strąbskiego (nakład autora). Kart 3 i str. 50.

37. Ewangelie i Epistoły na niedziele, Wielki post i wszystkie święta, które w kościele katolickim według rzymskiego porządku, w całym roku czytają. 12ka. Wilno, 1853. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 396. Kop. 45.

38. Kazania na niedziele całego roku, przez ks. Józefa Wilczka, Professora Teologji Pastoralnéj w Tarnowie. Wydanie nowe. 2 tomy. Wilno. 1853. Nakład Rubena Rafałowicza, druk Józefa Zawadzkiego. T. I str. VIII i 228. II 196. Rsr. 1 k. 80.

39. Księga natury. O stworzeniu świata (,) według dzieła francuzkiego Despreaux i Desdouits. 16ka. Wrocław. 1853. Nakład Zygmunta Schlettera (bez wymienienia drukarza). Str. 148. Kop. 30.

40. Mechanika życia ludzkiego, czyli budowa ciała i sprawy żywotne, przez A. Kryszkę Doktora Medycyny. 8ka. Warszawa. 1853. Henryk Natanson. Druk J. Ungra. Kart 2, str. III i 290. Rejestru kart 2. (Na okładce dodano: z licznemi drzeworytami w tekscie). Rsr. 1 k. 50.

41. Missya domowa czyli książka do nabożeństwa i nauki dla katolików. X. A. Xięcia Hohenlohe. Wydanie nowe poprawne. 12ka. Wilno. 1853. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 392 i rejestru kart 2. Kop. 50.

42. Nowe mowy pogrzebowe przez ks. Kajetana Gawińskiego. 8ka. Wrocław. 1853. Nakład Zygmunta Schlettera, druk C. H. Storcha i Spółki. Str IV i 129. Rsr. 1 kop. 15.

43. Nowy Harpagon. Komedja we dwu(óch) aktach, Felixa Wicherskiego. 12ka. Petersburg. 1853. Nakład B. M. Wolffa, druk C. Wienhöbera. Kart 4 i str. 116. Rsr. 1.

44. Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym, przez Oskara Flatt. (Na okładce dodano: z planem miasta i ośmiu rycinami). 12ka. Warszawa. 1853. W drukarni Gazety Codziennéj. Str. 149 i rejestru karta 1 (do stron. 8 znaczono rzymskiemi liczbami). Rsr. 2.

45. Pieśni nabożne w kościele katolickim używane. 16ka. Wilno. 1853. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. IV i 584. Kop. sr. 50.

46. Piotr Krempa (,) powieść z czasów Bolesława Śmiałego, przez Ignacego Werowskiego Artystę Teatrów Warszawskich (z portretem i życiorysem autora). 12ka. Warszawa. 1853. Druk Gazety Codziennéj (Henryk Natanson). Kart napis. 2, str. XI i 221. Rsr. 1.

47. Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach (.) Opowiadanie historyczne przez Alexandra Przezdzieckiego. Z pięcioma litografiami. 8ka. Warszawa. 1853. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart napis. 2, str. 114 i rejestru karta 1.

48. Teatr dla dzieci przez Z. H. 12ka. Warszawa. 1853. Nakład G. L. Glücksberga, druk Strąbskiego. Kart 3 i str. 272. Rejestru karta 1. Rsr. 1.

49. Wybór rozrywek dla różnego wieku płci obojéj, ze wzorowych pisarzy polskich dawnych i teraźniejszych. Zebrany przez H. S. 2 tomy. 16ka. Warszawa. 1853. Druk J. Jaworskiego. Część piérwsza kart napis 2, rejestru kart 4, str. IV i 335. II, kart 2 i str. 253. Rs. 2.

50. Życie jenerała Tomasza Dumas. Wydane przez syna jego. 12ka. Warszawa. 1853. Nakład S. M. Merzbacha, druk Ungra. Kart napis. 2 i str. 388. Rsr. 1 k. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Powieść J. Korzeniowskiego: *Kollokacya*, wyszła w tłumaczeniu rossyjskiém przez *Afanasiewa*.

(*Z listu*).

„P. M. Hryszkiewicz wykończył: „Rys historyczny ekonomii szawelskiéj, od jéj początków do połowy XIXgo wieku, z opisem czynów Antoniego Tyzenhauza, jego portretem i podobiznami." Z podziału dzieła można pojąć wartość i ważność téj pracy. Wstęp zawiera wiadomość o początku dóbr stołowych królewskich, czyli ekonomij. Ośmnaście następnych rozdziałów obejmują: Opis szczegółowy włości szawelskiéj za każdego króla od Jagiellonów aż do Augusta Po-

niatowskiego; daléj za czasów cesarzowéj Katarzyny IIéj i za zarządu księcia Platona Zubowa. Opis majętności szlacheckich wewnątrz ekonomii: wsie téj ekonomii z oznaczeniem, jakim zmianom uległy niektóre ich nazwania od 1649—1795 r., niemniéj wspominka o wsiach niektórych, pod względem ich nazwań, ich gór, kościołów i kaplic. Miasta i miasteczka. Sądownictwo. Język, postać, charakter, oświata, przysłowia, obyczaje, zwyczaje, ubiór, mieszkanie, narzędzia gospodarskie i uprząż. W ostatku rys biograficzny Antoniego Tyzenhauza. Głównem źródłem pracy p. Hryszkiewicza były nieznane rękopisma, jak np. starożytne szczątki archiwum ekonomii szawelskiéj, a które niemałe rzucają światło na dzieje Żmudzi."

— W teatrze Alexandryjskim w Petersburgu, przedstawioną była w r. b. na benefis pożegnalny panny Samojłow, tłumaczona z polskiego komedya w 3 aktach J. Korzeniowskiego: *Panna mężatka.* Pisarz ten wygotował dla sceny lwowskiéj nową sztukę p. n. *Reputacya w miasteczku.*

— Znany archeolog, członek Towarzystwa naukowego w Krakowie, Józef Łepkowski, przedsięwziął zająć się szczegółowym opisem *Wawelu*, i sprawdzić, poprawić podane napisy grobowe w katedrze krakowskiéj, lub opuszczone i nieznane wydobyć z zapomnienia. Jestto praca wielce mozolna, ale niemało nas obchodząca: bo wiele nieznanych szczegółów dziejowych mogąca wyjaśnić. Tak szczegółowego opisu, jednéj z najbogatszych świątyń naszych w pomniki historyczne, pismiennictwo nasze dotąd nie posiada.

— Franciszek Kowalski znany jako wyborny tłumacz komedyj Moliera, przygotował do druku w 4 tomach: *Archiwum J. Tarła*, z 67 podobiznami.

— T. Morawski napisał historyą polską w 3ch sporych tomach. Podaje w niéj jak najwierniejszy obraz całego pasma IX wieków Polski. Chwycił się metody chronologicznéj i opowiada rok za rokiem.

— P. Łuszczkiewicz młody krakowski artysta, wykończa wielki oryginalny obraz olejny, przedstawiający uniwersytet Jagielloński w końcu XVgo wieku. Zebrani na podwórzu kollegium członkowie uniwersytetu przygotowują się do dysputy. Zatopieni nad dziełem *Piotra Lombarda*, scholastycy stanowią środek obrazu: pomiędzy nimi znajdują się: *Jan Eccius, Jakób z Gostynia, Jan z Oświecimia* rektor; w tyle nich *Jan ze Stobnicy.* Przód obrazu zajmują humaniści, z prawéj Niemce, z lewéj Polacy. Z piérwszych są: *Konrad Celtes, Eobanus Hessus, Henryk Bebel,* wszyscy siedzący w katedrze. Obok nich *Aventinus* kronikarz bawarski. Z lewéj strony obrazu *Kopernik* z *Wapowskim*, w głębi nieco *Brudzewski.* Na prawo od przodkowéj gruppy: *Jan z Głogowy* z młodym Gasztoldem, danym mu na wychowanie od Kazimiérza Jagiellończyka i *Michał z Wrocławia.* W głębi obrazu widać otwarte lektorya, napełnione uczniami; a na gankach goście zwiedzający. Sam przód obrazu zajmują na lewo dwaj drukarze zbierający rękopisma akademików do druku; obok nich leżą na ziemi porozrzucane narzędzia astronomiczne, dodziśdnia

przechowywane w obserwatoryum. Na piérwszy rzut oka uderza siła kolorytu, poprawność rysunku, a nadewszystko prawda, jaką artysta usiłował nacechować postaci wywołane z przeszłości.

— Autor *Kirgiza*, Gustaw Zieliński, wykończony poemat: *Stepy*, ma wkrótce ogłosić drukiem.

— Jużeśmy wspomnieli o wydaniu piérwszego zeszytu *Teki Michała Kuleszy*. Jestto zbiór widoków krajowych rysowanych z natury, a litografowanych w Paryżu u Lemercier'a. Z sześciu widoków, szczególniéj uderza sławny domek w Mereczowszczyznie o podwójnym dachu, w porze zimowéj. Domek ten już nam podał w swojém Album p. Wilczyński, z innéj strony zdjęty i w letniéj porze, wśród zielonego zagaju. P. Kulesza zwrócił go czołem; widzim tu w całości ganek i pół tylko progu kamiennego, bo druga połowa posłużyła za grobowy pomniczek temu, co się tu urodził. Śnieg dach i ziemię okrywa. Otwarte wnijście w ganku, ale domek zdaje się samotny; dym tylko z jednego komina prosto bijący, znak mroźnéj pogody, zwiastuje, że w nim żyją mieszkańcy. Kaleka bez nogi, zdaje się stary inwalid, jedyna z ludzkich postaci tylko, przechodzi podwórzec tego dworu. Dokoła pusto w ciszy zimowéj. — Ruiny wspaniałego niedawno zamku Pieskowéj-skały smutném przejmują uczuciem. Pomnimy, jak przed kilką laty był jako całość przechowana z przeszłości, celem pielgrzymek tych, co umieją czcić stare pomniki; jak te komnaty, sprzęty staroświeckie, rozlewały urok tajemniczy i wymownie przemawiały głosem przeszłości. Dziś, jak tyle innych zamków i grodów, i zamek Pieskowéj-skały do gruzów należy, a na tych nam nie zbywa. Wszakże i one mają swój głos, tylko rzewniejszy i łzawy. Gdyby wcześniéj taki artysta jak p. Kulesza, i taki troskliwy wydawca jak p. Wilczyński zjawili się u nas: pożar Pieskowéj-skały nie byłby nam tyle szkody przyniósł, bobyśmy w ich zbiorach mieli przechowane wnętrza komnat, sprzętów i pokoi tego pomnika.

Oczekujemy 2go zeszytu Teki p. Kuleszy, która dostępnością ceny może się bardzo upowszechnić u nas w chwili, gdy zamiłowanie w sztukach pięknych liczy coraz więcéj zwolenników.

— Księgarz Gustaw Sennewald wkrótce rozpocznie druk powieści w 2ch tomach p. Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj p. n.: *Wianek głogowy*.

---

† Dnia 28 marca (n. s.) r. b. umarł w majętności swojéj w Postawach (gubernii wileńskiéj) Konstanty hr. Tyzenhauz, znakomity ornitolog polski.

†. Dnia 14 kwietnia (zapewne v. s.) r. b. przeniósł się do wieczności w Żytomierzu, w 68 roku życia, Maxymilian Jakubowicz professor emeryt, znany grammatyk i autor świeżo drukującego się dzieła: „Filozofia chrześciańskiego życia".

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Marzec, 1853.

Marzec 1853. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obse watoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morz jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1ᵍ. 14ᵐ. 45ˢ., 7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wsch względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHHOMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
1		746.52	746.65	746.36	745 27	— 2°.6	— 0°.3	+ 0°.6	+ 0°.1	99.3	pochmurny	pochmurny	poch. d. ze ś.	poch. śnieg	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		5.4
2	☾.	743.77	741.23	739.48	739.29	+ 0 3	+ 4.6	+ 5.0	+ 2 0	90.5	poch. mgła	poch. mgła	poch. dész.	pochmurny	PnW.	W.	PdW.	Pd.		
3		741.58	743.94	745.44	746.98	— 0.9	+ 0.8	+ 1 9	— 1.6	85.5	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	Pd.	PdZ.	PnZ.	PdZ.		4.4
4		748.77	751.00	752.80	754.67	— 4.6	— 2.8	— 0.6	— 4.6	92.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
5		755.19	755 93	754.76	755.72	— 6.9	— 1.5	+ 0.9	— 4.8	94.5	lek. poch.	lek. pochm.	napół pog.	pogodny	Z.	PdZ.	Z.	Pd.		
6		754.18	754.06	753.84	753.76	— 7 0	— 2.1	+ 1.9	— 4.0	89.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	PdZ.	Pd.		
7		754.42	755.73	756.30	757.02	— 5.2	— 0.2	+ 1.9	+ 0.1	88.0	lek. pochm.	napół pog.	pogodny	pochmurny	Pd.	Pd.	Z.	PdZ.		
8		756.52	756.72	755.53	755.85	— 0.6	+ 2.7	+ 3.6	— 0.9	84.5	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	Pd W.		
9	●.	756.76	757.71	758.97	761.07	— 3.1	+ 0.5	+ 2.9	— 0.2	83.5	pogodny	pogodny	lek. poch.	pochmurny	PdW.	W.	W.	PnW.		
10		761.75	762.45	761.95	762.58	— 0.7	+ 2.1	+ 2.4	— 1.1	79.0	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pogodny	W.	PdW.	PnW.	Pn.		
11		762.69	762.77	761 64	761.34	— 1.3	+ 2.1	+ 3.2	+ 0.1	89.5	pochmurny	pr. pochm.	lek. pochm.	pogodny	PnW.	PnW.	Z.	Pn.		
12		759.87	759.81	758.64	757.56	— 2.3	— 0.5	+ 0.9	— 0.7	95 2	pr. pogodny	mgła	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	Pn.	Z.		
13		753.99	752.03	749.84	748.87	— 2.5	— 1.1	— 0 3	— 1.1	98.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.		
14		748.42	748.61	749.69	751.28	— 1.5	+ 1.2	— 4.7	— 7 1	93.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.		
15		752.26	752.53	750.98	751.24	— 10.1	— 7.7	— 3 8	— 6.1	83.2	pogodny	pogodny	lek. pochm.	lek. zamat.	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
16		749.91	749.20	746.72	745.84	— 9.3	— 6.1	— 2.8	— 6.5	91.3	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	poch. śnieg	PnW.	PnW.	PnW	PnW.		
17		743.57	742.43	741.87	740.74	— 7.8	— 6.2	— 5.9	— 6.0	99.0	śnieg gęsty	pochmurny	śnieg gęsty	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		11.2
18	☽.	742.27	744.44	746.74	748.80	— 8.3	— 7.1	— 6.0	— 8.2	99.0	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.		2.9
19		749.83	751.13	752.25	753.34	— 8.2	— 5.6	— 3 1	— 8.9	93.5	poch. śnieg	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Pn.		4.2
20		752.42	751.20	748.04	745.99	— 9.3	— 4.8	— 5.1	— 4.8	99.2	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		8.2
21		741.30	739.64	737.45	736.18	— 5.0	— 3.1	— 2.9	— 4.2	100.0	śnieg gęsty	śnieg zad.	pochmurny	poch. śnieg	PnW.	PnW.	W.	Pn.		8.4
22		736.28	737.14	738.40	740.48	— 3.3	— 1.6	— 1.9	— 4.6	95.5	śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ	PnZ.		2.8
23		741.38	742.06	742.49	742.46	— 4.7	— 2.1	+ 0 4	— 2.7	88 8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnW.		
24		739.29	737.78	735 64	735.88	— 3.5	— 1.6	— 3.5	— 5.9	98.2	pochmurny	poch. śnieg	śnieg	poch. śnieg	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		7.6
25	☾.	736 93	738.57	741.96	745.86	— 7.1	— 4.8	— 3.6	— 7.8	95.0	poch. śnieg	poch. śnieg	poch. śnieg	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		5.6
26		749.48	751.46	752.87	754 38	— 10.4	— 7 3	— 4 6	— 11.4	92.3	pochmurny	poch. śn. dr.	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
27		756.72	757.36	756.17	756 97	— 18.0	— 6.8	— 3.4	— 10.3	93.7	lek. pochm.	lek. pochm.	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	PnW.	PnW.		
28		756.74	757.27	755 78	755.87	— 15.6	— 7.0	— 3.6	— 9.7	97.0	pogodny	smugi	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
29		755.43	755.86	753.37	754.06	— 16.4	— 11.2	— 4.0	— 10.2	97.0	pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	Pn.	Z.	Z.	Z.		
30		754.87	756.01	754.26	752.90	— 4.2	— 0.2	+ 2.7	+ 0.0	94.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
31	☾.	750.77	750.86	750.71	752.38	— 6.3	— 0.9	+ 3.6	— 1.0	88.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Z.	Z.	Pn.		
Śre.		750.125	750,438	750.030	750.472	—6°.01	— 2°.57	—0°.90	— 4°.26	92.5										60.7

		mm.	c.	l.	
Średnia wysokość barometru miesięczna		750.266	27	8.590	
Najwyżéj dochodził — d. 11 o g. 10 r.		762.77	28	1.826	
Najniżéj — — d. 24 o g. 4 w.		735.64	27	2.107	
Średnia zmiana dzienna barometru		3.970		1.760	
Największa zmiana dzienna barometru d. 25—26 o g. 10 r.		12.89		5.714	
Średnia wysokość barometru jest wyższą o		1.328		0.590	
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających		748.938	27	8.000	
Średnia temperatura marca wynosi:	—	3°.43	C.	— 2°.75	R.
i ta jest niższą o		4.02	„	3.22	„
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	+	0.59	„	+ 0.47	„
Największe ciepło dochodziło d. 2 o godz. 4 wiecz.	+	5.0	„	+ 4.0	„
Największe zimno d. 27 o g. 6 r.	—	18.0	„	— 14.4	„
Średnia zmiana dzienna temperatury		2.1275	„	1.702	„
Największa zmiana dzienna temperatury d. 29—30 o g. 6 r.		12.2	„	9.76	„

Termometrograf wskazał:
Maximum: +6°.8 R. d. 2 po połud.
Minimum: —14°.8 „ d. 27 i 29 rano.

Ilość wody spadłéj z śniegu wynosi co do wysokości: 60,7 milim. czyli 26,91 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 10.06 lin. par., od całéj ilości wody jaka średnio w marcu z deszczu i śniegu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 92,5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4,04 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0,05 większa od normalnéj.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 6, pochmurnych 20.
— dészczu 1 (d. 2).
— śniegu 12 (d. 1, 3, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 24, 25, 26).
— deszczu ze śniegiem 3 (d. 1, 2, 3).
— gradu (krup) 1 (d. 17).
— mgły 2 (d. 2, 12).
Wiatrów mocnych 5 (3 PnW., 2 Pn.).
Wiatr panujący: południowo-wschodni; częste były zachodnie.

Miesiąc Marzec r. b. był dosyć pogodny, wilgotny, mroźny i nadzwyczaj w śnieg obfity i on jeden stanowił u nas w tym roku właściwą zimę; był bowiem zimniejszy o 4.29 stop. R. od grudnia r. z.; o 1.59 stop. R. od stycznia r. b., a o 0.17 stop. R. od lutego, a zatém przeciw zwykłemu postępowi temperatury rocznéj. W piérwszych dwunastu dniach był niezbyt zimny, w następnych dziewiętnastu, mroźny; osobliwie w czterech dniach 26, 27, 28, 29; w ogóle przeszło o 3 stop. R. zimniejszy niż zwykle, a o 9.01 stop. R. od najcieplejszego marca w r. 1836. Najcieplejsze dni były d. 2, 8, 11; najzimniejsze d. 26, 27, 28, 29; między pełnią i ostatnią kwadrą. Lubo w latach 1785, 1789, 1796, 1799, 1808, 1821, 1825, 1845 miesiąc ten był nierównie zimniejszy, jednakże przy końcu marca w dniach 27, i 29 mrozu blizko 15 stop. R. dochodzącego w żadnym z lat poprzednich nie było. Ze względu częstych i obfitych śniegów miesiąc ten należy do wyjątkowych. Śniegi najobficiéj padały w dziesięciu dniach od d. 16 do 26 przy wietrze północno-wschodnim i północno-zachodnim; spadły zaś w takiéj massie, iż woda z nich zebrana wynosi co do wysokości 26.9 lin. par. tojest trzy razy więcéj niż zwywle. Zadymki śnieżne były częste osobliwie d. 17, 24; najdłużéj trwały d. 20 i 21, śnieg bowiem począwszy od d. 20 godz. 12 w południe, prawie bez przerwy padał do d. 22 godz. 8 z rana; ilość wody ze śniegu z tych dwóch dni, wyrównywa ilości całomiesięcznéj wody w stanie normalnym. Elektryczność atmosferyczna w dniach pogodnych, przy znacznych mrozach i spokojném powietrzu, osobliwie d. 29 i 31 była bardzo silna, elektrometr bowiem pokazywał 50 stopni natężenia.

Dnia 7 o wpół do piątéj z południa przy wysokości wody 14 stóp 2 cale, lody na Wiśle powyżéj mostu ruszyły i część mostu z sobą uniosły.

Dnia 9, 15, 28, 31 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 28 o g. 8½ w. zorza zodyakalna widzianą była blado-różowego koloru.

SWEWI, SŁOWIANIE, NIEMCY.

PRZEZ

W. A. Maciejowskiego.

Śledząc i porównywając z sobą najdawniejsze zabytki praw słowiańskich i niemieckich, zrobiłem wniosek: że Swewowie, którzy po połączeniu się z ludami germańskiemi (1) w jedno polityczne ciało, zadali cios śmiertelny Rzymowi, nie z niemieckiego, ale słowiańskiego pochodzili rodu. Nie powiedziałem przez to nic nowego; dawno już bowiem uczeni niemieccy zwrócili byli uwagę na to, że większa część dzisiejszych Niemiec wschodnich ma w sobie ludność niegdyś słowiańską, którą zniemczywszy, wcieliła w siebie (twierdził to Schlözzer, Hentze, Anton); że wielka część krajów, dzisiejsze Niemcy stanowiących, a rozciągających się aż po Men i Dunaj, i w kraju wircburskim, bamberskim, bajrajtyckim i wyższym Falcu obecnie rozciągających się, nazwiskami wsi, gór, rzek, dowodzi: że słowiańska ludność musiała je pierwotnie, a nie w owych dopiéro zamieszkiwać czasach, gdy władnący w tych stronach Frankowie sprowadzali sobie r. 724 znad Łaby osadników słowiańskich. Bo czyż przypuścić można, pyta Dawid Popp, czy można temu wierzyć, „ażeby rządzący krajami temi Niemcy, mieli dozwolić garstce przez siebie sprowadzonych osadników, no-

(1) Przez Germanów rozumiem zbieraninę różnych (celtyckiego, słowiańskiego, litewskiego, niemieckiego plemienia) ludów, razem zrzeszonych; o czém się w Piérwotnych Dziejach, tudzież w Rocznikach i Kronikach przezemnie wydanych, rozwiodłem.

wy porządek zaprowadzać w kraju, odmieniać nazwiska miejsc dawne, a dawać im nowe? A więc (kończy on swój wywód temi słowy), prawdę mówią ci, którzy utrzymują że nie dopiéro w czasie wędrówek ludów, że nie w Vtym lub nawet VIIIym po Chrystusie wieku, ale spółcześnie z Cymbrów i Teutonów napadem na Galią (od r. 113—101 przed Chrystusem), a może i wcześniéj, Słowianie pod imieniem Swewów napłynęli do dzisiejszych Niemiec, i zamieszkali je pierwotnie" (1).

Wszystkie atoli przywiedzione przez uczonego męża na poparcie swojego twierdzenia dowody, jak we względzie historycznym zdały mi się ważne, tak w lingwistycznym błahe; gdyż dostrzegłem, że mało znał języka słowiańskiego ten, który nim tak ważnéj prawdy dowodzić chciał. Innéj drogi chwycili się Aug. Wersebe i Just Möser. Dowodził piérwszy, że gdy też same kraje, które niegdyś zajmowali Swewowie, zamieszkiwali poźniéj Słowianie; przeto sama ta okoliczność naprowadza na wniosek, że drudzy są potomkami i dziedzicami piérwszych, i że nietylko tam, gdzie ich sadowi Dawid Popp, lecz i w Czechach, w piérwszym już przed Chrystusem wieku, musieli rzeczeni Swewi pod imieniem Markomanów mieszkać nieochybnie. Dowodził drugi, że Swewi są pra-starym narodem, że już Arystoteles zaznał podobno ich polityczny stan takim, jak go Cezar opisał (2). Z wyjątkiem p. E. Th. Gaup, który nawiasem o zdaniu Aug. Wersebe wyrzekł: „że coś podobnego twierdzić jest to samo, co dzieje z gruntu obalać," wszyscy pisarze żadnego na owe o Swewach twierdzenie nie dając baczenia, byli snadź powodem p. Szaffarzykowi, że i on w obszernem swém dziele, poświęconém badaniom piérwotnéj słowiańszczyzny, rzecz tę zupełnie pominął. Czém ośmielony C. F. Fabricius wystąpił r. 1841 z rozprawą przeciwko tym, którzy: „o Słowianach w północnych Niemczech odwiecznie osiedlonych" kiedykolwiek rozprawiali. Atoli wnet dał się r. 1844

(1) Patrz twierdzenia, które dał Schlözzer, Hentze, Anton, w dziełach przywiedzionych od Dawida Popp w rozprawie: „Abhandlung über einige alte Grabhügel welche bei Amberg (im Regen-Kreise Bajerns) entdekt wurden. Ingolstadt u. Nürnberg. 1821." Porównaj dowody jego historyczne na stronnicach 63, 67, 69, a filologiczne na stronnicach 71 i nstępn.

(2) Aug. v. Wersebe: Ueber die Völker und Völker-bündnisse des alten Teutschlands. Hanover, 1826. Porównaj str. 23, 208.

słyszéć głos jego zdaniu przeciwny. Objawił go F. Boll, utrzymując: „że i owszem mieszkali w tych stronach Europy Słowianie, już w czasach niepamiętnych“ (1). — Wśród tych sporów nie spuszczono z uwagi Swewów; w tymże albowiem roku, w którym dzieło Szaffarzykowe wyszło, wystąpił Kacper Zeuss z swojemi: „o rodowości niemieckich ludów i sąsiadów ich“ badaniami, i w nich za niemieckiém pochodzeniem Swewów oświadczył się stanowczo. Co nie uznawszy być prawdopodobném, sprostowałem go r. 1846 w ten sposób: „że lubo rdzeń Swewów z niemieckiéj ludności z czasem utworzony został, wszakże ogół miał w sobie zawsze słowiańskości i litewskości wiele“, i prawdy téj dowodziłem politycznemi tychże Swewów urządzeniami. We dwa lata poźniéj pokazało się nowe p. Jakóba Grimma dzieło, wykazujące: „że *Swewi* i *Sławi* znaczą jedno, że nazwisko ich wychodzi na to, co *Swowi*, i *Swoi*, znamionujące wolnych czyli od nikogo niezawisłych ludzi; któreto miano nadali Sarmatowie wschodnio-niemieckim sąsiadom swym, podobnie jak na Zachodzie dawali takimże Belgowie lub Galowie Germanów nazwę; że w wyrazie *Swewi* pierwotne *e* przeszedłszy z czasem na *o*, a *w* na *l*, spowodowały nowe kształty, zkąd *Swów* lub według łagodniejszéj mowy *Suaw*, *Swab*, przez zamianę *w* na *b*, tudzież *Słow*, *Sław*, *Slaw* powstał. To powiedziawszy p. Grimm, zganił p. Szaffarzyka za to, że dobrze Ptolomeuszowych Suowenów za Słowian wziąwszy, nie zbliżył do siebie wyrazów *Suevi*, *Slovi* (2).

Badania więc uczonego Niemca na drodze filologicznéj czynione, wychodzą na to, co badania moje zrobione na drodze prawnéj, tojest: „że Swewi z słowiańskiego pochodzą rodu, że zrzeszywszy się z Niemcami, nosili własne ludowe miano już wówczas, kiedy Germanowie takiego nie mieli jeszcze: gdyż mianem, które nosili, nie nazywali się sami, ale nazywano ich

(1) Das alte Gesetz der Thüringer von E. Th. Gaupp. Breslau 1834. Porów. 33. Szaffarzyka Starozitn. slovanske, w Praże 1837. Rozprawy Fabriciusa i F. Boll znajdują się na czele tomu VI i IX, pisma zbiorowego, które pod napisem *Jahrbücher des Vereins für meklenburgische Geschichte* wychodzi.

(2) Porów. Die Deutschen und Nachbar Stämme von Kaspar Zeuss. München, 1837, tudzież moje, Pierwotne dzieje Polski i Litwy 18, nakoniec artykuł o Swewach według Grimma, do Bibl. Warsz. III, 1 nstęp. z r. 1852 przezemnie podany.

niém" (1). Wszyscy téż, którzy mój a p. Grimma czytali wywód, zgodzili się na to powszechnie: że źródła dziejów widocznie to okazują, iż Swewów lud obcy Niemcom rodem, zławszy się z niemi w jedno polityczne ciało, stanowił rzeszę taką, która niemiecką nie była. Atoli jakąby była rzeczywiście, czy słowiańską? tudzież czy słowiańskości téj piętno zaraz przy piérwszém na widowni dziejów wystąpieniu na sobie nosiła?—pokaże się (mówili mi) dopiéro wtedy dowodnie, gdy się przekonają o tém, że polityczne Swewów owych urządzenia nie były niemieckie. Bo gdy w wiekach, o których mowa, nie było innych w Europie narodowości prócz celtyckiéj, słowiańskiéj, niemieckiéj i litewskiéj; przeto skoro się wykaże różnica niemieckich a słowiańskich instytucyj, i zarody drugich, cechą narodowości własnéj oznaczone, oprą się o Swewów; wtedy przez to samo udowodnione będzie, że oni Słowianami, a bynajmniéj Niemcami piérwotnie nie byli.

Do takich dowodów zabierając się teraz, zwracam raz jeszcze uwagę czytelnika na to: że gdy pod ogólną nazwą Swewów na Wschodzie (u Sarmatów), a Germanów na Zachodzie (u Galów), rozumiano Niemców i Słowian; przeto właściwego swewizmu czyli słowianizmu nietylko w tych politycznych urządzeniach, które się germańskiemi, lecz i w tych, które niemieckiemi pospolicie zowią, śledzić należy. Przedewszystkiém zaś potrzeba wywieść na widok dziejów początek tak Swewów jak i Niemców; potrzeba stosunek ich do siebie i zespolenie się wykazać; potrzeba nakoniec choć słówko powiedzieć o tém, jakie koleje przeszedłszy z czasem południowi Swewowie, odstrychnęli się od Słowian, a północni zaś częścią zlali się z Polską, częścią zniemczywszy się, przepadli dla narodowości słowiańskiéj. Nad wszystkiém tém już tu, już w innym artykule, który po tym tu wkrótce (*o słowiańskości w prawach germańskich*) nastąpi, zastanawiać się będę.

We wstępie do Roczników i Kronik zwróciłem uwagę czytelnika na nieodgadnioną żądzę ludów, przenoszenia swych siedzib ze Wschodu na Zachód, i przeciwnie. Takową powodowani Celtowie, Słowianie, Niemcy, przesiedlali się z Azyi do Europy, w przestworze wielu wieków jedni po drugich, i owi tamtędy, ci tędy wędrując, zeszli się z czasem na Północy

(1) Eichorn: Deutsche Staats und Rechtgeschichte § 12.

w okolicy niewiadomej, a na Południu u górnego Dunaju i Renu. Że Celtowie, a po nich wespół ze Scytami Wenedowie, następnie zaś sami przez się, bez spólnictwa innych ludów, Swewowie, wędrówki te rozpoczęli; świadczy Pliniusz starszy, który dawne pozbierawszy podania, opowiedział: „że przed wieki stykały się na Zachodzie Scytya z Celtyą, że Północ cała zajętą była przez Scytów, a na Wschodzie daleko poza ich krajem Sarmatowie mieszkali". Dodał Plutarch: „że gdy za Renem rozciągająca się Celtya przeludnioną będąc, zmusiła część swoich mieszkańców do szukania sobie nowych siedzib: wtedy ci dwoma pochodami udając się na wędrówkę, jedni poszli przez Italią na Wschód, drudzy na Północ" (1). Zkąd wypada wniosek: że gdy się z czasem zetknęli razem na Północy z Celtami Scytowie, przeto piérwsi albo wyprzedzili w pochodzie drugich, albo wespół wędrowali z niemi. Mniemanie owe podobniejsze jest do prawdy; rozciągłość bowiem celtyckich posiadłości, aż do morza rozpostartych, mówi za najwcześniejszym ich ze wszystkich ludów azyatyckich do Europy pochodem, gdy oni wszystkie prawie poza krańcami dzisiejszych Niemiec leżące na Zachodzie kraje posiedli. Nikt im nie przeszkadzał w podbojach, bo piérwsi byli co z Azyi przybyli w te strony. Wypada ztąd i ten wniosek: że musiało z czasem osłabnąć scytyjskie na Północy państwo, gdy się w jego krańce celtyckie mogły wdzierać ludy. Więcéj jeszcze musiało osłabnąć poźniéj, gdy i to wiadomo, że się Scytów mieniem podzielili opodal od nich dotąd siedzący, tudzież nowo (po Celtach i Scytach) nad Renem zjawieni Germanowie (2).

Herodot, który piérwszy, na pięć wieków przed Chrystusem, ponad Dnieprem wędrował, i północ Europy odsłonił nam piérwszy, zauważył o Scytach, że się dwojako: na królewskich, czyli (jak to wyrozumiewamy) na wojowników i na rolników dzielą. Drudzy byli oczywiście ujarzmionym i wcześniéj od tamtych w Europie osiedlonym ludem. Mówiąc o tychże Scytach rzeczony historyk, podał o nich wiele szczegółów takich, jakie następnie Tacyt o swewskich pokoleniach, tudzież o Germanach czyli Niemcach swewizmem nasią-

(1) Porównaj pisarzów tych przywiedzionych w Ukerta Geographie der Griechen und Römer. III, 2. Na stron. 101, 349.

(2) Pliniusz Hist. nat. IV, 12, § 81 mówi: *Scytharum nomen* (państwo) *usque quaque transiit in Sarmatas atque Germanos.*

kłych udzielił, napomknąwszy między innemi i to, że tak zwani w górach na zachodzie Scytyi mieszkający Argipejowie (Chrobaci?), różnéj od scytyjskiéj używając mowy, stroili się po scytyjsku (1). Mamy w tém ślad wędrówki ze Wschodu na Zachód wespół ze Scytami przedsięwziętéj ludu takiego, który po scytyjsku nie mówił. Któż w nim nie dopatrzy słynnych przed wieki na Północy Wanów, których za Winidów, tych zaś za Słowian, pokładają pomniki dziejów, i których stawiają obok Niemców, nieodstępnych wspólnéj doli towarzyszów, wyrażając się o obudwu, że raz przyjaźnią, drugi raz nieprzyjaźnią tchnęli ku sobie wzajemnie. Że zaś Niemcy owi, jakiekolwiek oni niegdyś nosili miano, wespół z Scytami nie przybyli na Północ, i że poźniéj od nich i wcale inną przyszli drogą: naprowadza na ten wniosek wszystko, co o pierwiastkach narodu tego wiemy. W Skandynawii, nad morzem Baltyckiém i Północném pojawił się on w czwartym przed Chr. wieku, pod niewiadomém (Gotów?) imieniem, dokąd snadź ponad Wołgą i Wołchowem idąc, przybył (do dzisiejszéj Szwecyi); co następnie dało powód do bajania o zimnéj Szwecyi, czyli o krajach na Wschodzie położonych, gdzie piérwsze, zapewne w czasie pochodu swego z Azyi, miał niemiecki naród staczać boje, skoro zastąpiwszy mu snadź drogę przemagający w tych stronach Scytowie, nie dozwolili wprost udać się na Zachód. Przy końcu drugiego przed Chryst. wieku, wespół z Cymbrami (scytyjskim ludem?) Celtyą i Włochy pustoszył tenże czyli niemiecki naród, tojest w tę właśnie dobę, gdy się w Germanii pojawili Swewowie (2).

Wieść o chyleniu się do upadku rozlanych na Zachodzie, za Pirenejskiemi górami, za Renem, w Anglii, Irlandyi i w południowych Niemczech Celtów, zwabiła snadź tychże Suewów

(1) Tak od Herodota zwani *Agathirsi*, religii i prawa (które, nie znając pisma, wyśpiewywali, by nie zaginęło, mówi Arystoteles) czciciele, Hermundurom Tacyta (Germ. 41), czyli poźniejszym Turyngii mieszkańcom poniekąd odpowiadali. Zresztą powiedział tenże Herodot o Scytach, że lubią grę na lutni i gorące trunki; że popiwszy się radzą o rzeczypospolitéj, a trzeźwi rozbierają co po pijanemu uradzili. Toż samo Tacyt (Germ. 22) zauważył o Germanach. Dowody na wszystko podał Ukert tamże 299, 418, 419, 543.

(2) Szaffarzyk Staroż. 325 i nstęp. E. Kunik w dziele: *die Berufung der Schwedischen Rhodsen* I, 67, nstęp. Dawid Popp 63.

w te strony. Wypędziwszy naprzód z dzisiejszych Czech celtyckich Bojów, posiedli je Markomanowie czyli swewscy ukraińcy (od *margo, kraniec*, snadź tak nazwani). Łupili następnie Swewi siedziby Celtów między Dunajem, Menem i Renem leżące. Ztąd posuwając się daléj przeszli Ren, wezwani od powaśnionych między sobą Galów. Zaprosili ich mieszkający ponad rzeką Ligierą (dzisiejszą Loar) Eduowie, przeciwko rozłożonym ponad Sekwaną swoim plemiennikom; co téż oni uczynili chętnie. Kierował idącą w pomoc Celtom swewską wyprawę Aryowist (Jarowit?), i uczyniwszy o co proszono, rozgościł się w Eduów kraju, uwieczniając swój w nim pobyt biciem monety, która nawet do naszych snadź doszła czasów (1). Nie ścierpiał tego zarządzający podówczas częścią Galii Rzymianom podległéj Juliusz Cezar, bojąc się, by ściągnąwszy do siebie więcéj Germanów, nie pokusił się wódz swewski o zagarnienie całéj Galii; zwłaszcza, gdy świeżo sprowadził tamże dwadzieścia cztery tysięcy Harudów (Cymbrów?), i gdy mu znowu szły nowe na pomoc Germanów roje. Właśnie wtedy zamieszkujący po lewym brzegu Renu celtyccy Trewirowie, donieśli (roku 57 przed Chr.) wodzowi rzymskiemu, „że sto powiatów swewskich nowo osiadło prawy brzeg téj rzeki, pod dowództwem dwóch braci Nazwy i Cymbra, i gotuje się do przeprawy téj rzeki" (2). Powiaty owe znaczyły stotysięczną armią, którą, jak niżéj powiemy, rok rocznie Swewowie wysyłali w pole. Natężywszy swe siły zwyciężył Cezar nieprzyjaciela i wyparł go za Ren. Odtąd dawała czujne oko polityka rzymska na Swewów, zwłaszcza gdy głosili o nich Germanowie, „że są tak mężni, iż im sami nawet bogowie podołać nie są w stanie" (3). Z tego powodu coraz w większe brani od Rzymian kluby rzeczeni Swewowie, gdy się wciąż cofali od Renu, usadowili wreszcie główną swą potęgę w kraju tym, gdzie wytryska, płynie, i w morze wpada Łaba (Elba), nie puszczając się atoli Dunaju, którego się trzymali usilnie. Tak więc w Czechach, tudzież w nadłabańskich, czyli tak poźniéj zwanych, słowiańskich nad Łabą położonych, a do Wisły

(1) P. Lelewel w dziele swém: Etudes numismatiques et archeologiques 187 w przyp. przywodzi monetę z napisem *Sui*, nieodgadnionym. Przypuściwszy, że napis ten ściąga się do Swewów, i wyraża ich, według Grima, imię, byłaby rozwiązana zagadka.

(2) Julius Caesar de bello gallico. I, 31, 37.

(3) Jul. Caes. tamże IV, 7.

rozciągających się krajach, zjednoczyła się swewska potęga za czasów Tacyta. Historyk ten opowiedziawszy w swém dziele kim i jacyto byli Germanowie, (któremuto opisowi trzydzieści siedm, według jego w drukach rozkładu, poświęcił rozdziałów), zaczął trzydziesty ósmy rozdział temi według przekładu Naruszewicza słowy: „mówmy teraz o Swewach, którzy większą część Germanii zastąpili. Nie jest to jeden lud, lecz składa sie z wielu różnych od siebie rodem i nazwiskami ludów, lubo się wszyscy powszechném imieniem Swewów nazywają. Właściwy narodu zwyczaj, zaczesane włosy na tył węzłem ujmować. Tém się oni od innych Germanów, tém się u nich wolni od poddańców różnią. W drugich narodach, bądź dla pokrewieństwa jakiego ze Swewami, bądź, co często bywa, przez naśladowanie, rzadka ta moda, chyba u młodzieży. Swewowie aż do siwizny zadarty włos z przodu na tył zawięzują; a częściéj sobie chochoł z kudłów na wierzchu ciemienia robią. Znaczniejsi pilniéj i kształtniéj około włosów chodzą. To u nich jedyne piększydło, lecz niewinne, nie tak dla ponęt miłosnych, jak żeby idąc do boju, roślejszemi się i okropniejszemi w oczach nieprzyjacielskich wydawali".

Pokazuje się ztąd, że w swewskiéj rzeszy były różnych rodów ludy, że jedne z nich dla pokrewieństwa, drugie przez naśladowanie, trzymały się owego zwyczaju zaczesywania włosów, a wszystkie jedno nosiły imię. Do piérwszych policza Tacyt Gotynów, którzy po celtycku, tudzież Osów, którzy po panońsku mówili; w poczcie drugich Marsygnów i Burów kładzie, zauważając to o nich, że się noszą i mówią po swewsku. Z tego téż co daléj o Sujonach (skandynawskich ludach?) i o Sarmatach, tamże i na początku dzieła swojego mówi, widać, że od północy okalało swewską rzeszę morze, na którém położone wyspy, królestwo duńskie dziś stanowiące, lubo zamieszkiwały germańskie ludy, jednakże do germańskiéj niekoniecznie liczyły się rzeszy; a na wschodnio-południowéj Swewów stronie, rozciągająca się tak szeroko, jak tego sąsiad dozwalał, ukraina, stanowiła im o tyle pewną granicę, o ile sąsiada tegoż potrafił w bojaźni utrzymać ich oręż. Sąsiadem tym był Sarmata, który na lewym brzegu Wisły panując, wespół z Kwadami, swewskiego snadź pochodzenia będącym, ale do Swewów rzeszy nie należącym narodem, (od Dunaju aż po lasy dzisiejszéj Morawii miały się rozciągać Kwadów siedziby), w kraje téjże wpadał rzeszy,

i na krańcach ich mieszkających Gotinów i Osów, jako ludzi obcych sobie rodem (dodaje Tacyt) łupił, haracz wybierając od nich; lub też spór o posiadanie tychże ludów ze Swewami tocząc, swojemu ich, czyli sarmackiemu przywłaszczał władztwu. Były zresztą oba te, Gotynów mówię i Osów ludy, jak się wyraził Tacyt, nikczemne, czyli jak ja wyrozumiewam jego słowa, ubogie i uciśnione; zamieszkiwały bowiem kraje mało równego pola mające, i najwięcéj się po wierzchołkach gór i po lasach sadowiły: kopały żelazo, a użyć go do własnéj obrony nie umiały, lub nie mogły. Taka jest postać górnego Szlązka nawet i dzisiaj: role ma płonne i nieurodzajne (1).

Resztę ludów swewską stanowiących rzeszę, wyszczególnia historyk i dokładnie opisuje. Zaczyna ich poczet od siedzib Cymbrów (w dzisiejszéj Jutlandyi). Na czele kładzie Anglów i Warynów. Za któremi sadowiąc różne ludki, i w nieprzerwanym je ciągu ku wschodowi, tam prawie, gdzie obecnie miasto Gdańsk leży, przez Meklenburgią i Pomorze wiodąc, spuszcza następnie na dół w kraje Turyngii i Markomanii (Czech). Ztąd znowu prowadzi je daléj ku granicom Sarmacyi, w okolice dzisiejszego Oświecima, Zatora i Bytomia na Szlązku, gdzie Osów i Gotynów osiedla. I znowu ztąd do góry w kraje Lugów (na łęgach, łongach, łukach mieszkających ludów) postępuje, wyszczególniając siedziby Nadnarwian (*Nanarhavali*) świątynią Kastora i Poluxa słynne. Ztąd nakoniec posunąwszy się wyżéj, i o skandynawskie zawadziwszy ludy, zauważa wreszcie, że po prawéj stronie swewskiego Baltyckiego) morza mieszkają Estyowie, odzieniem i zwyczajami do Swewów, językiem do Bretonów podobniejsi (mieszaniną oni byli różnych ludów). Raz jeszcze o skandynawcach, zapewne z powodu dzisiejszéj wyspy Bornholm, wspomniawszy z tą uwagą, że z Swionami, za któremi inne morze gnuśne i prawie martwe rozlegać się miało, graniczą Sytonowie, (przypominam, że zapewne i to był lud skandynawski), zamknął rzecz temi słowy: „a tu się już skończyła Swewia". Wprzód nim to wyrzekł, pospisywał wszystko, co mu opowiadacze o Germanii włożyli w uszy, i uwiadomił o tém, że za owém martwém morzem jest koniec, ostatni zakres okręgu

(1) O granicach od strony Sarmatów i Sujonów, tudzież o ludach w mowie będących, podaje Tacyt w Germ. 1, 43. Porównaj też moje Roczniki i Kron. 30.

ziemskiego, gdzie blask zachodzącego słońca styka się ze świtem, i zapałem swoim inne zorza sępi. Przydaje gmin mniemanie (tak rzecz prowadzi daléj), że tam słychać dźwięk jakiś kiedy się (słońce) ponurza, że widać postaci bożków i wieniec promienisty na głowie (tegoż słońca); co go naprowadziło na wniosek, że się tam kończy przyrodzenie! Widać ztąd, że się nie mógł w tém pojąć Rzymianin, co mu o zorzy północnéj i o skandynawskich prawiono bóstwach.

Dwadzieścia ośm ludów swewską zamieszkujących rzeszę narachował Tacyt, których znaczenie historyczne odgadując uczeni, usiłują wykazać zachodzący między niemi a poźniejszemi tutejszych krajów mieszkańcami stosunek. O sześć więcéj podał ich liczbę Boguchwała, i zapisał to o nich, że kraje te ponad morzem północném leżące, i ztąd ku Westfalii, Saksonii, Bawaryi, Turyngii rozciągające się, posiadając Leszek trzeci, mąż Julii, Juliusza Cezara siostry, Lechitów książę, podzielił je między dwudziestu swych synów (według Mateusza miał to rozdawnictwo uczynić Popiel piérwszy). Dla lepszego wyjaśnienia rzeczy dodał kronikarz, że więcéj krajów niż synów było, przeto iż na niektórych po kilka grodów (civitates, castra) przypadło. O trzy więcéj dało się ich wyśledzić p. Szaffarzykowi, zkąd liczba tychże krajów u Boguchwały do trzydziestu czterech, a u niego do trzydziestu siedmiu urosła (1). Cóż to ma znaczyć?

Ma to znaczyć, że odwieczne było między narodem polskim podanie, iż panujący im Lachowie czyli szlachta wodziła niegdyś rej nad Łabą, posiadając obszerne ziemie, od północy o morze (niemieckie, Baltyckie), od południa o rzeki Lech i Dunaj opierające się. O panowaniu narodu nic nie wiedząc lud prosty, od politycznego w kraju znaczenia usunięty, przywiązywał panowanie nad owemi ziemiami nie do ogółu, lecz do pojedynczego człowieka, i w miejsce Lechów, szlachty, kładł Lecha, jak to szeroce gdzieindziej (2) opowiedziałem. Instynktowo nie mógł tu nikt prawdy historycznéj, która miała swoję podstawę w dziejach, odgadnąć, gdy granice władztwa Leszka i (mniemanych) synów jego zakreślił z Tacytem zgodnie.

(1) Porównaj wypis z kroniki Boguchwały w Pierw. Dziej. 588 nstp. Szaffarzyk: Staroż. I 868 nstp.

(2) W Pierwotnych dziejach Polski i Litwy, tudzież w Rocznikach i Kronikach, a mianowicie w drugiéj tamże umieszczonéj rozprawie, obszernie to wyłożyłem.

Albowiem nie czytał ani lud, ani nawet kronikarz historyka owego, lub jeżeli czytał, nie mógł z podaniem owém zgodnie wyrozumieć go, nie wiedząc o tém, że Swewy a Słowiany znaczą jedno. Ot, ten sam zachodzi tu przypadek, co z nabożeństwem Swewów a Słowian nadłabańskich, przez Dytmara, Helmolda, Saksona Gramatyka opisaném, które w głównych się zasadach z opisem Tacyta zgadza. Jak nikt dowodzić ztąd nie może tego, iż pogańscy Słowian tych kapłani, wyczytawszy o niém u rzymskiego historyka, na wzór jego ułożyli rzeczone nabożeństwo; tak też wyprowadzać ztąd wniosku nie ma prawa, że na Tacyta zapatrzywszy się Mateusz i Boguchwała, swewskie dzieje pierwiastkom historyi polskiego narodu lekkomyślnie podsunęli.

Po ścisłéj rozwadze wywodu mego zgodził się nań uczony Lelewel, aczkolwiek przed ukazaniem się Pierwotnych dziejów Polski i Litwy, tudzież Roczników i Kronik był mu przeciwny. Oceniając on dzieło p. Augusta Bielowskiego, w którém zupełnie przeciwny mojemu o Polanach i Lechach czytamy wywód, w którém autor Wstępu do dziejów Polski krytycznego poczytał podania Boguchwałowe za bajanie kronikarza, „za brednie, za banialukę śmiechu godną, za wyszydzenie dziejów", po ścisłém rozważeniu tego wszystkiego otworzył p. Joachim o moich a p. Bielowskiego wywodach zdanie w tych słowach: „Boguchwał czy Baszko, który dokładnie znał i wymienił Popielowiczów imiona, otworzył Maciejowskiemu szerokie do badań pole"; krótką uwagą tą zwaliwszy budowę dzieła, lubo, jak nasz Bartoszewicz powiedział, w szczegółach wybornego, jednakże w ogólnym na rzecz poglądzie grzeszącego wszędzie, wiążącego wypadki dziejów sztuczną nicią, bez związku, bez organizmu w całości i częściach, bez logiki historycznych zdarzeń; tą mówię uwagą usunąwszy na bok krytyczny Wstęp do dziejów Polski, rzekł zgodnie ze mną w najnowszém swém dziele; „udało się podobno Lechitom założyć i utrzymać dynastyczne rządy nad Polanami i sprzymierzeńcami tychże Kujawianami, którym około r. 750—860 panował Leszek i Popiel" (1).

(1) Lelewela Polski średnich wieków Tom IV na str. 500, w Poznaniu 1851 wydanéj. La Geograph. III. 57; tudzież pismo Juliana Bartoszewicza: O pomysłach historycznych Augusta Bielowskiego, w Warszawie 1852 r. drukiem ogłoszone, porównaj z Wstępem krytycznym do dziejów Polski p. Augusta Bielowskiego str. 224.

Nazwiska ludów jednakowo brzmiące są próżnym dźwiękiem, z którego, jak dobrze zauważył dzisiejszy ziemiopisiec niemiecki, mylne będziesz o tożsamości wyprowadzać wnioski, jeżeli ich niczém więcéj nie poprzesz (1). Zwróciwszy już uwagę na to, jak sami Germanowie odrębną od swojéj przyznawali swewskiéj narodowości cechę, a Rzymianie geograficznie ich i etnograficznie wyosobnili od tamtych; zwrócę uwagę na inne, ważniejsze od tych okoliczności. A naprzód wezmę pod rozwagę rolnictwo, którego stan inny był u Swewów, a inny u Niemców, i odrębne pojęcie o własności czyli raczéj posiadłości roli u obudwu ludów; powtóre wojskowość; potrzecie religijność tu i tam różna zastanawiać mnie będzie; poczwarte prawa niektóre, w pomnikach najdawniejszych niemieckiego prawodawstwa napotykane, zwrócą uwagę moję na siebie dlatego najwięcéj, że chodząc one samopas w rzeczoném prawodawstwie i nie przystając mu do twarzy wcale, na sam rzut oka okazują, że się przypadkowo zabłąkały do niego, czyli że z niego nie rozwinęły się. Gdy zaś prawa te z duchem narodowości naszéj zgodne, w pomnikach słowiańskiego prawodawstwa górują; przeto udowodniając to, udowodnię tém samém, że one za pośrednictwém Swewów musiały przejść do niemieckiego prawodawstwa. Ostatniemu szczegółowi osobny, jak rzekłem, poświęcę artykuł; trzy piérwsze w tém tu miejscu rozważać będę.

Aż do nastania wojsk stałych, prowadziły słowiańskie ludy zaczepne i odporne wojny, pospolitém ruszeniem głównie. Każdy posiadacz roli musiał, gdy go powołano, stanąć pod bronią. Obce atoli ludy, które nad Słowianami panowały, nie powoływały do wojska krajowców, nagłą potrzebę wyjąwszy. Kazały im pilnować roli, a same z pocztem utrzymywanych od siebie wojennych drużyn prowadziły boje. Tak czynili Waragowie na Rusi w czasach najdawniejszych swojego tamże panowania. I Scytowie kazali pilnować roli, tak zwanym od siebie Scytom-rolnikom, czyli, jak się słusznie dorozumiewają uczeni, scytyjskiéj władzy podległym ludom słowiańskim, a sami stanowili armią, czyli krajowém byli wojskiem. Jedni atoli i drudzy w braku sił własnych, w braku drużyn, brali do wojska krajowców; co o Waragach wyraźnie mówią ruscy kronikarze, a o Scytach dorozumiewać się każą bizantcy pisarze, mianowi-

(1) Ukert. Geogr. III, 2, str. 19, 286.

cie cesarz Maurycy, z tą o nich uwagą, że nie mieli wielkiéj pociechy z takowego żołnierza, gdyż ten opuszczał chorągwie ich (jako swych wrogów), i do nieprzyjaciela przechodził (1). Siłę wojskową Swewów a Germanów osobno przedstawił Cezar, i o sposobie wojowania piérwszych podobnie jak o wojsku słowiańskich ludów cesarz Maurycy opowiedział. Powiada bowiem: że Swewowie mając sto powiatów, z każdego rocznie tysiąc wyprowadzali wojowników, na których ci, którzy w domu pozostali, pracowali, czyli potrzeby ich opatrywali; po upłynionym zaś roku zastępowali tamtych na wojnie, co się kolejnie rok rocznie odbywało; że u nich występowali do walki jeźdzcy głównie, mający w równéj liczbie pieszych do pomocy, których sobie po jednemu wybierał każdy wojownik, i na nim mocno polegał; że konne staczając boje, umieli i pieszo wojować, zeskakując z koni, które, przyuczone k'temu będąc, czekały ich opodal, i cofających się przyjąwszy na swój grzbiet, znowu jako jeźdzców niosły do walki. Podobnie o Słowianach zeznaje Maurycy, zauważając: że ich młodzież zwinna, skrada się między wojujących i pomoc im niesie dzielną, zasłaniając od nieprzyjaciela (2). Przeciwnie, siłę wojskową Germanów opisując tenże Cezar, mówi: że gdy im przyjdzie zaczepną lub odporną prowadzić wojnę, wybierają wtedy wodza naczelnego, a w każdym czasie gotowi są do napaści na obce kraje dla rabunku, by przez to utrzymać młodzież w ustawicznym ruchu; że zazwyczaj ogłasza na publiczném zgromadzeniu jeden ze znakomitych obywateli (*ex principibus*), iż gotów jest dowodzić chciwym łupu, a wtedy zgłosiwszy się do

(1) Herodot dzieli Scytów na rolników i królewskich czyli wojowników; piérwszych uważają uczeni za podbity lud słowiański, drugich za ujarzmicieli, o czém rozwiódł się p. Sienkiewicz w swém pismie II, 484 nstp. O scytyjskiéj armii mówi cesarz Maurycy: *nam cum sint animi inconstantis et cupidi lucri, et ex multis generibus collecti, non curant magnopere cognationem* (polityczną, rozumié się) *et benevolentiam, quam erga se habere debeant, cumque paulum coeperunt deficere et humaniter habentur* (od nieprzyjaciół do których przechodzą) *ingens numerus sequitur*. Porówn. moje Roczniki i Kron. 253.

(2) O wojsku swewskiém mówi Cezar de bell. gal. IV, 1; o sposobie wojowania konno i pieszo I, 48. O Słowianach mówi cesarz Maurycy, w moich Roczn. i Kron. 261: *Cumque juvenes eorum sint expediti, data ocasione clam militibus superveniunt, ut sic non multum nocere possint eis hostes.*

niego ci, którzy sobie wyprawy życzą, iść na nią są obowiązani pod karą utraty czci i wiary. Dodaje Tacyt: „że ciż Germanowie wybierają na wojnę po sto młodzieży z każdego powiatu, i że wybrani noszą to (czyli jak ja rozumiem setników) imię, stawając na czele wojska, czyli w piérwszym jego szeregu stojąc, i wespół walcząc z jazdą, któréj wyrównywają w biegu; że znakomici obywatele i w rzemiośle wojenném biegli, otaczają się młodzieży rycerskiéj hufcami, na czele jéj staczają boje, utrzymując i wynagradzając ją zebranym na nieprzyjacielu łupem (1)." Zkąd się pokazuje, że u Swewów szli na wojnę popisowi, u Germanów wybrani, czyli że u tamtych szedł każdy z przeznaczenia, u tych z wyboru. Rzecz zastanowienia godna, że u wszystkich ludów, które do swewskiego należały pokolenia, każdy posiadacz ziemi musiał służyć w wojsku z mocy prawa (2), czego nie znały germańskie ludy, drużynami, z przyczyny, którą następny objawi artykuł, wojujące. Tyle o wojskowości; rozważmy religią Swewów.

Pierwotne siedziby dawnych Słowian, kraje Scytów, Getów i Daków, miała starożytność za gniazdo głębokich uczuć religijnych, za siedlisko guseł i czarów w czasach pogańskich, a w chrześciańskich zoczyła tu piérwsze na północy biskupstwa i różne liturgie, a nawet sekty, w tutejszym kościele katolickim dostrzegła. Dosyć będzie przypomnieć sobie owych myślicieli, którzy poganami będąc, wielkie prawdy głosili; dosyć na Tertuliana, jednego z ojców kościoła zachodniego wspomnieć, który o biskupstwie scytyjskiém w trzecim po Chrystusie wspomina wieku; dosyć na służbę bożą w ojczystym u Biesów, a w słowiańsko-cerkiewnym języku u zakarpackich i przedkarpackich Słowian za czasów Cyryla i Metodyusza odprawianą; dosyć na Bogumiłów sektę dzisiejszych, jak się zdaje sekt rossyjskich rodzicielkę wspomnieć, ażeby się o prawdzie téj przekonać całkowicie (3). Łatwo ztąd wytłumaczyć sobie można,

(1) Juliusz Cezar de bell. gal. VI, 23. Tacyt Germ. 6, 13, 15. Gdzieindziéj wytłumaczymy trudne do zrozumienia wyrazy: *centeni ex singulis pagis sunt idque ipsum inter suos vocantur, et quod primo numerus fuit, jam nomen et honor est.* Znaczyż to, że tacy następnie na setników wybierani bywają?

(2) Eichorn Deutsche *Staats und Rechtsg.* 48.

(3) Ukert Geogr. III, 2 str. 19, 313, 315. Porównaj Piśmiennictwo moje I, 37 nstp. 62 nstp. Pamiętniki I, 172. Bielowskiego Wstęp krytyczny.

dlaczego nabożeństwo pogańskich Germanów inną miało postać, gdy się ze Swewami zrzeszyli, a inną gdy chodzili samopas, błędne prowadząc życie. Kiedy bowiem Juliusz Cezar spółczesnych sobie Germanów jako feteszyzmu przedstawia czcicieli (1), przeciwnie w sto kilkanaście lat piszący po nim Tacyt (zamordowany został Cezar r. 44 przed Chr., a w r. 97 po Chr. pisał o Germanach Tacyt), podaje o kapłanach germańskich i wielkiéj ich u narodu powadze, o niewiastach wieszczych, o wróżbach z rzucania prątków i parskania koni ciągnionych, o świątyniach wreszcie i czci bóstw: co wszystko miało wiele podobieństwa do scytyjskiego, getyckiego i dackiego nabożeństwa. Wielkie mieli znaczenie germańscy kapłani, a osobliwie goccy, stroiąc się po królewsku w kapelusze, jak u Scytów, Getów i Daków. Wróżono u Germanów i Scytów z prątków drzewa; kraj drugich pełen był wróżbitów przepowiadających przyszłość. Rumak u nich do wróżby również używany, bliższy miał ze scytyzmem i sarmatyzmem, niż z germanizmem związek. Miał bowiem u Scytów obszerne do bujania stepy, i był nieodstępnym zamieszkałego na nich człowieka towarzyszem. Konnicą tak Scyta jak i Swew, a przeciwnie Niemiec piechotą, według uwagi Tacyta, przeważał w boju. Samo położenie skandynawskiego kraju (który był piérwotną siedzibą Niemca europejskiego) stawało na przeszkodzie konnéj jeździe, dozwalając głównie pieszo przebywać pagórkowate, pełne jezior ziemie, suwać się po nich na czółnach latem, zimą ślizgać po lodzie. Owe więc konie białe (kolor to słowiańskim ludom ulubiony, Niemcom właściwy jest czarny) w świętych chowane gajach, i prócz wróżb do żadnéj nieużywane pracy, wskazują na to, że Germanowie ci, którzy ze Swewami spółkowali, przejęli od nich nabożeństwo, i że nabożeństwo to odprawiane według zasad religii narodowéj, miało ceremoniał okazały, którego pilnie strzegła hierarchia kapłanów, wielkie znaczenie u narodu mających. Dorozumiewam się, że hierarchią tę zaprowadzili na Północy władnący w niéj przed wieki Celtowie, że od nich przejąwszy ją Scytowie, Swewom zostawili w puściznie, ci zaś Germanom ją przekazali. Zastanawia bowiem, że w Skandynawii nie było jéj

(1) *Deorum numero eos solos ducunt, quos cernunt, et quorum opibus aperte juvantur, Solem et Vulcanum et Lunam: reliquos ne fama quidem acceperunt.* Julius Caesar de bello gallico, VI, 21.

ani śladu, u Swewów zaś aż do przyjęcia przez nich ś. chrztu ostatecznie, (co w XIIym po Chr. nastąpiło wieku) trwała bez ustanku. Właśnie podobny rodzaj wróżb przez rumaka, ale na inny dochodzonych sposób, znajdujemy u Redaryów, którzy tenże sam kraj co Tacytowi zamieszkiwali Swewowie: właśnie cześć bogini Nerthus ziemię wyobrażającą, która miała wielkie u wszystkich Słowian, a u Tacytowych tylko Germanów wzięcie, u Scytów popłacała głównie. Z innych bogów zasługuje na uwagę: Mars, Herkules, tudzież czczeni nad Czarném morzem i u Nadnarwian (*Nanarhawalli*) Kastor z Polluxem, którzy na to samo co nasz Lel i Polel wychodzą (1). Zastanawia daléj, że Swewowie z postępem czasu na celtycki sposób nastrajali swoje nabożeństwo, co właśnie przyczyniło się z czasem do tém większéj ich u chrześcian ohydy.

Nie wchodzę w to, że tak zwani Estyowie czyli dzisiejsi Pomorzanie i wschodni Prusacy, swewskie czyli staro-scytyjskie wyobrażenia religijne z przeciwnemi im wprost mieszali, że oddając cześć matce bogów czyli ziemi, nosili na znak tego nabożeństwa obrazy wieprzów, które jako nieczyste zwierzęta, od ofiar wykluczyli Scytowie (2); nie wchodzę w to, powtarzam, gdyż ludy te, nie będąc czysto swewskie, ale z swewskich i litewskich pokoleń zmieszane, musiały dwoistéj narodowości mieć religijność: ale zastanawiam uwagę czytelnika nad tém, że ofiar ludzkich używali tam, gdzie ich używać nie byli powinni, i przy tym zabobonie obstawali statecznie. Kiedy Scytowie i kaukazcy Albanowie wojennym tylko bóstwom, jak: Marsowi i Dyannie, ludzi na ofiarę zabijali; tymczasem Swewowie przynosili takowe ofiary bogom swym rok rocznie na publiczném zebraniu się całego ludu, tudzież podczas przejażdżek, które matka bogów odbywała po kraju, a któréj obraz po odbytéj wędrówce myjąc w tajemném jeziorze, topili w niém oraz

(1) O pogaństwie Germanów przed czasami Tacyta mówi Juliusz Cezar de bel. gal., VI, 21. Takoweż opisuje Tacyt w Germ. 7—10. Świadectwa greckich, mianowicie pisarzów o pogaństwie Scytów, Getów, Daków przywodzi Grimm R. A. 271 i w mitolog. pierwszych rozdziałach, najwięcéj atoli Ukert w dziele *Geographie der Griechen und Römer bis auf Ptolomaeus, Weimar* 1846. Porównaj 19, 303, 306, 313, 315, 453, 501, 563. O Redaryach mówi Dytmar u Pertz. V, 812. O Nerthus, Lelu i Polelu, porów. Pierwot. dzieje 133, 145, 356.

(2) Tacyt Germ. 45. Herodot przywiedziony od Ukerta, tamże 315.

niewolników, do obmycia go użytych. Tacyt, który nam to opowiada, napomyka zdala przyczynę zabobonu, niby że Swewowie sądzili, iż gdy bóstwo nad wszystkiém panuje, a reszta mu służy i podlega, przeto człowiek właśnie z tego co ma najdroższém, z życia, ofiarę przynieść mu powinien. Miało to być przypomnieniem może odwiecznego u Scytów zwyczaju, obwożenia po kraju ciała zmarłego króla, a następnie zabijania na ofiarę usługujących mu i niejako dotykających się za życia, otaczających go osób. Dorozumiéwać się i tego każe Tacyt (1), że ohydny ten zwyczaj, który u nadłabańskich Słowian (potomków tychże Swewów, co przypominam), panował i wówczas, gdy zewsząd otaczające ich ludy, chrześciańską wyznawały wiarę, był wymysłem kapłanów, ażeby w gminie rosło im poszanowanie „przez ukrytą bojaźń i świętą niewiadomość tego, co tylko śmierć sama objawia". Jakoż uszanowanie takie, jakie u kaukazkich ludów, tudzież u Celtów i druidyzmem przesiąkłych Burgundów, Litwinów i t. p. odbierali od narodu rzeczonych Słowian kapłani, których głowa czyli naczelny kapłan, miał takie co monarcha kraju znaczenie, i według świadectwa Helmolda (um. po r. 1170 po Chr.) bogom na ofiarę ludzi, ale poźniéj chrześcian tylko, zabijał.

Rozważmy, co się stało ze Swewami, gdy na nich, jak rzekliśmy, baczne zaczęła miéć oko polityka rzymska; co nastąpiło z nimi po upadku Rzymu, aż do wznowienia cesarstwa zachodniego w osobie Karola Wielkiego, i co, gdy następnie cesarstwo to, przeszedłszy w ręce Niemców, dostało się i Swewom?

Po śmierci Tacyta (r 100 po Chr.) było cesarstwo rzymskie dosyć spokojne od napaści Germanów: szereg imperatorów utalentowanych i szczęśliwych w boju (Trajan, Hadryan, Antonin) trzymał ich na wodzy. Atoli w drugiéj połowie tego wieku dała się mocno we znaki swewskich Markomanów rzesza Markowi Aureliuszowi. Po skonie tego cesarza, gdy słońce dawnéj starożytnego Rzymu bohaterskiéj sławy ostatecznie zgasło, wszczęte nowo u germańskich ludów ruchy, zapowiedziały niewątpliwy upadek zachodniemu cesarstwu. Występowały i wsławiały się orężem różne ludów tych drużyny, a mianowicie: na początku trzeciego wieku Alemanowie, w środku tegoż wieku Gotowie, w IVym Wandalowie i Burgundowie,

(1) Germ. 39, 40.

w Vtym Frankowie; a wespół z drużynami temi snuli się wszędzie Swewy, stojąc na stronie téj, która im większe zapewniała korzyści. Gdy na początku tegoż czyli Vgo wieku przeszedłszy jedni z Wandalami Ren rzekę, usadowili się w Hiszpanii (gdzie osobne założyli królestwo), a inni wyciągnęli z temiż do Afryki, inni zaś awanturując się z Attylą, walczyli z nim pod Chalons przeciwko Rzymianom i z tymiż połączonym celtyckim i niemieckim ludom; tymczasem główna Swewów ludność trzymała się stale dawnych swych w Germanii siedzib nad Dunajem i Łabą, mając za sąsiadów różne drużyny, z których się z czasem Alemanowie, Bawarowie, Saxonowie w odrębne ukształtowali ludy. Z piérwszemi najbliżéj się zetknęli południowi, z trzecimi północni Swewowie, co miało ważne w ich dziejach następstwa. Wywyższyło to bowiem a oraz upośledziło ich ród nad Dunajem, nad Łabą zaś wyniszczyło go ze szczętem (1).

Przy końcu V po Chr. wieku, obalone przez Herulów cesarstwo zachodnie rzymskie, wznowione zostało w samym końcu ósmego w osobie Karola Wielkiego, które i Germanią zawładło. Po wygaśnieniu rodu cesarza tego, w samym początku Xgo wieku, przeszła korona w dom frankońsko-niemiecki, a następnie w saski. Około tego czasu, r. 918, powstało księztwo alemańskie (szwabskie), którego władcy posiedli na początku w XII wieku tron cesarski, mimo oporu stawianego temu wyborowi ze strony Sasów. Świetny szereg wielkich cesarzów dał ten dom Niemcom, ale nieszczęśliwy miał koniec. Ostatni z niego cesarz imieniem Konradin, uwikłany w wojny z papieżem, dostawszy się przez zdradę w ręce swych nieprzyjacioł, skończył życie na rusztowaniu r. 1268 (2).

W złą chwilę powiedzieli Niemcy o Swewach przed głównym ich nieprzyjacielem, przed Juliuszem Cezarem: „że oni to są, którym nawet bogowie nieśmiertelni podołać nie są w stanie"; w złą mówię, powtórzyli tę snadź przez samychże Swewów rozsiewaną o sobie przechwałkę (3), która miała

(1) Porówn. Eichorna Deutsche Staats und Rechtsg. § 21 a. b. c. d. i § 22.

(2) Eichorn Deutsche Staats und Rechtsgesch. § 221, 235, 240, 251.

(3) Odpowiadając Aryowist Cezarowi na czynione sobie o Galii przedstawienia, rzekł między innemi: Cum vellet congrederetur,

ten skutek, że naprzód, na samym wstępie uświetnienia się przez cesarski majestat, poszło ich imię w pośmiewisko na południu czyli w dawniejszéj Szwabii, a teraźniejszéj Bawaryi zachodniéj i w Witembergii; następnie zaś wespół z narodem zostawszy zatracone na północy, gdy z karty geograficznéj Europy, że się tak wyrażę, wymazane zostało, wtedy tłukąc się w ludowéj mowie aż do wieku XII. z poważnego w szyderskie przeszło miano. Z czasem bowiem nikt nie znał *Swewa* lecz *Szwaba*, i przez ten wyraz rozumiał chytrego, na cudzą szkodę czyhającego człowieka, naśmiewał się z imienia niegdyś pełnego dziejowéj sławy, i natrząsa z ludu, który nie tak z własnéj winy, jak raczéj z przypadku popadł w nieszczęście, przywiedziony k'temu będąc naprzód od serdecznych swych przyjaciół niemieckich Saksonów, następnie od reszty Niemców, a nakoniec od Słowian, swoich plemienników. Jak to się stało, opowiem w krótkości.

Zaraz przy wstąpieniu na tron cesarski książąt, którzy od Swewów ród swój wywodzić mieli, poszło w pośmiewisko narodu swewskiego imię. Jeżeli się nie mylę, byli Saksonowie tego sprawcami; których uczeni, w ślad niby Tacyta, dzielącego germańskie ludy na głupie i mądre, (1) wstępując. policzyli do głupców lud swewski, przyczynę tego w dziejach upatrując. Potomność zapomniawszy lub nawet nie wiedząc o przyczynie, powtarzała i dotąd na oślep powtarza, co raz wzięto na języki: zkąd powód oszczerstwa bez znajomości właściwéj przyczyny. Zastanawia, że po raz piérwszy w XII wieku niemieccy pisarze imieniowi Swew łatkę, jak to mówią, przypinają jedni, gdy przeciwnie drudzy gorzkie nad tém rozwodzą żale, że wzięci na tron cesarski szwabscy książęta, samemi się tylko otaczają Szwabami (2). W czémżeto i przez co poniżyli Swewowie królewską władzę u starożytnych Niemców?

Ażeby na to odpowiedzieć, wiedzieć potrzeba, że musieli z czasem pójść w pośmiewisko Swewowie u Słowian, gdy prócz nazwisk miejsc, gór, rzek; prócz syczącego *s* i grubego *l*

intellecturum, quid invicti Germani exercitatissimi in armis, qui inter annos XIV tectum non subissent, virtute possent. Julius Caesar de bell. gall. VI, 36.

(1) Tacyt. Germ. 36.

(2) Lambert u Pertz. X, 230 mówi o *Svevus hypocrita*. Porównaj też Ekkehardi chron. Lamberti ann. u Pertz. VIII, 202. VII, 195.

czyli *l* (1) nic u nich nie przypominało słowiańskiéj narodowości: albowiem wszystko zniemczało, i nawet imiona własne brzmiąc niegdyś po narodowemu, zmieniły się teraz u Swewów na obce kształty (2). Niemiecka narodowość ogarnęła ze wszystkiém słowiański żywioł, i dziś, według uwagi tegoczesnych pisarzów (3), w samém tylko wiejskiém gospodarstwie możesz dostrzedz u Szwabów nieco dawnéj narodowości. Musiało téż u Niemców, zwłaszcza po wyniesieniu na tron cesarski szwabskich książąt, wzbudzić niechęć to imię i pójść w obmowę powszechną, gdy sobie przypomniano, że ci, którzy piérwsi poniżyli monarszą godność w Germanii, mieli teraz nad nią panować. Jakoż, chyląc się do upadku Rzym starożytny, używszy téj broni, którą niegdyś gardził, podkopał potęgę Swewów, i ułatwił nad nią zwycięztwo niemieckiéj narodowości.

Rzymianie, którzy niegdyś brzydzili się zdradą, walczyli nią poźniéj i do politycznych przebiegów używali jéj dzielnie. W celu poklócenia z sobą swewskiéj rzeczypospolitéj rządzących i rządzonych stanów, nadawał senat rzymski znakomitym jéj obywatelom tytuł królewski, lub namawiał do przywłaszczania go sobie; a przeciwnie umacniał naród w przywiązaniu do republikańskiego rządu, przyrzekając mu szanować go, jeżeli

(1) Jak wszyscy Słowianie, tak pewno i Swewowie sycząco wymawiali *s*, wyrażając je przez *sz*, co już Arystofanes komik grecki r. 430 przed Chr. żyjący, za charakterystykę mowy Iliryjczyków położył. (Porównaj moje Piśmiennictwo II, 322). W górno-niemieckim téż dyalekcie syczące *s* panowało, gdy przeciwnie we właściwym czyli dolno-niemieckim ciche *s* brzmiało; co dotąd ma miejsce. Atoli Szwaby syczące *s* zbytecznie podnoszą wbrew górno-niemieckiemu dyalektowi: mówią więc *Kreisch* za *Kreiss*. Także *l* grubią, za *Alle*, (wszyscy), wymawiają *Alle*. Po tém właśnie poznaje dziś Szwaba każdy Niemiec.

(2) *Arivvistus* wojewoda swewski od Jul. Cezara często wymieniony, *Jarowita* (u Rugian *Gerowit*) przypomina. Owi *Marobud*, *Vannius*, *Tudr*, *Sido*, o których Tacyt mówi (patrz Bibl. Warsz. z r. 1852 III, 9, tudzież Taciti histor. III, 5), noszą oczywiście słowiańskie imiona. Piérwsze złożone jest z *mor*, *buditi* (budzę) (porów. Szaffarzyka Starożytności 164). Drugie od wyrazu *wajanie* (dłutem wyrabiać) pochodzi. Trzeci jako imię własne, bardzo się często w dyplomatach Słowian zakarpackich znachodzi. Czwarte brzmi po słowiańsku całkowicie (*żyto*,) greckie σιτον. Porównaj inne wyrazy w Pierw. dziejach. 18. przyp. 5.

(3) Przywiedziony w Pierw. Dziej. 207. Haxthausen.

z Rzymem w zgodzie żyć będzie. Tym tytułem rzeczony senat, na przedstawienie Cezara, uczcił nieznanego sobie zresztą Aryowista, i darami go obsypał: za co gdy z czasem domagał się wdzięczności, oświadczył tenże gotowość zwrócenia tego, o co bynajmniéj nie prosił. Inaczéj myślał wychowany w Rzymie Marobud, tudzież jego następcy. Przywłaszczywszy sobie królewską władzę, nadskakiwali senatowi, wiedząc dobrze o tém, że tylko w miarę jak przez niego posiłkowani będą, władzę swą sprawować mogą. Bo jak dobrze zauważano, niczém inném królowie ci, jak wykonawcami obcéj woli, tudzież uciemiężycielami własnego narodu nie byli; których, jeżeli niec hcieli czynić co kazano, zrzucał senat, a narzucał Swewom innych obcego nawet rodu, jak się Tacyt wyraził, monarchów (1). Miało to ważne nadal dla narodu skutki. Podzielony na stronnictwa, nie chciał się nigdy pod władzą jednego monarchy w wielkie zjednoczyć państwo, i albo po republikańsku żył, albo na małe podzielony państwa, podlegał królom, krępowanym w swéj władzy przez starszyznę ziemską. Nawet w czasie ruchów, podczas wędrówek germańskich ludów, zamiast stawiać na swém czele, jak insi Germanowie, wodzów z władzą silną, wolał się przyczepiać do drużyn innych i z nimi awanturować po świecie, aniżeli na swoję działać rękę, by tak nie dać sposobności swym wodzom wykierowania siebie na potężnych królów, a naród na wazalów swoich. Z téj przyczyny Swewowie ci, którzy się w Germanii pozostali, nie poszedłszy za pirenejskie góry, najsilniéj do Franków, a następnie do Saksonów przylgnęli. Ci téż piérwsi z Niemców, że się tak wyrażę, oszwabili, zgnietli i wynarodowili ich.

Królowie Franków przeczuciem odgadując przyszłość, dostrzegli łatwo, że jeżeli się z władzą rzymsko-katolickiego kościoła ściśle nie zjednoczą, i polityką się jego kierować nie będą, rozpłynie się ich państwo w massie niemieckich ludów, rozdrobni i upadnie przez to. Królowie więc ci i wojsko ich, przejąwszy się katolicyzmem, przylgnęli duchem i ciałem do rzymsko-katolickiego duchowieństwa, które jedyném było podówczas światła przechowywaczem, i według rad, jakie od niego

(1) Jul. Caes. de bell. gall. I, 43. Tacyt. Germ. 42. Siebelis w dziele, które Wajtz Vfg. II, 207. nstp. przywodzi. Porównaj mój artykuł o Swewach w Bibl. Warszaw. z r. 1852, III, 1 nstp.

odbierali, stawiali swe kroki. Zwrócili naprzód uwagę na Saksonów, którzy przesiedliwszy się ze Skandynawii do Germanii w II po Chr. wieku, z Swewami północnemi pokumali się i żyli ich trybem. Najwięcéj kwitła zamieszkała przez swewskie ludy Turyngia: uderzyli więc na nią Frankowie, i przeciągnąwszy na swoję stronę część Sasów, podzielili się z niemi tym krajem r. 531 po Chr. Wtedy z ziemian swewskich czyli tak zwanych Lachów (siedzących na lesze, na udziale roli danéj sobie, według narodowego zwyczaju w posiadanie) z tych Lachów mówię, ci, którzy niewoli znosić nie chcieli, przenosili się na Wschód do swych plemienników słowiańskich. Jedni, jak mówi podanie, (które piérwszy z naszych kronikarzów Boguchwała spisał, a rozwinął je Długosz), przeszedłszy ogromne lasy (hercyńskie, dodaje Długosz), osiedlili się nad jeziorem (Letnicą, blizko dzisiejszego Gniezna w Wielkopolsce, mówi Długosz), i zaczęli się rozgaszczać ponad rzekami Wartą i Wisłą, zakładając księztwa; drudzy, wyszedłszy z dzisiejszéj Luzacyi, czyli, jak ją dziś jeszcze tameczni nazywają mieszkańcy, z Syrbska, usadowili się (mówi Dalemił XIV wieku pisarz, u którego owe o czeskiego Lecha przybyciu podanie czytamy) w Czechach, w tak obecnie zwanym cyrkule rakonickim (leży nad Łabą). I znowu była zgoda między potomkami Swewów i Saksonami, i znowu duch jedności panował, który się głównie w nienawiści ku chrześciaństwu objawiał, a tchnął zemstą przeciwko Frankom. Chcąc go złamać ostatecznie, rozpoczął Karol W. z Saksonami krwawe boje, które pomyślnym uświetnił skutkiem, przeciągnąwszy na swą stronę Bodryców, kraje dawnych swewskich Warynów i t. p. zamieszkujących. Król Franków, ochrześciwszy rzeszę saską, dozwolił się jéj, pod nadzorem swoim, rządzić (oddawszy ten nadzór pod pieczę katolickich, z ramienia swego poustanawianych biskupów (1); zkąd znowu wielkie nań i na duchowieństwo katolickie powstało oburzenie. Podniecali gniéw narodu przeciwko Frankom Lachowie, pogaństwa zaślepieni zwolennicy; co trwało

(1) § 34 ustawy, którą zawojowanym Saksonom dał w Paderbornie r. 785 tak brzmi: *Interdiximus ut omnes Saxones generaliter conventus publicos nec faciant, nisi forte missus noster de verbo nostro eos congregare fecerit. Sed unusquisque comes in suo ministerio placita et iustitias faciat. Et hoc a sacerdotibus consideretur, ne aliter faciat*; u Pertz. III, 50.

wciąż i pod następcami Karola W. Biedni ci zagorzalcy, nie chcąc odgadnąć pytania, jakie im, niby ów Sfinks, co niegdyś zaległ Tebów bramy, dawał duch czasu; nie chcąc usłuchać rady, jaką im dawały ochrzczone Czechy i Polska: trwali w uporze i poginęli. Korzystając z ich zaślepienia (które wszystkie swewskiemi dawniéj, a poźniéj słowiańskiemi nazywane ogarnęło kraje) naprzód z domu frankońskiego a następnie saskiego pochodzący, nad dawną Germanią władnący cesarze, użyli przeciwko nim za sprężynę do politycznych przebiegów szlachty, ludu, nakoniec samych nawet słowiańskich książąt. Piérwszéj otworzyli widok na łupieztwo majątków ludzi, którzy prawdziwego Boga uznać nie chcąc, chrześciaństwu ciągle w głównych, mianowicie w Arkonie i Retrze stojących bożnicach swych urągali. Drugiemu dali otuchę, że skoro się wytępi pogaństwo, posiędzie jego wybornie doprawione role, zasiędzie kwitnące handlem miasta i grody. Trzecich zwrócili uwagę na to, że lepiéj im będzie, gdy, nawróciwszy swój lud na chrześciaństwo, poddadzą go pod prawo niemieckie feudalne, przez co od woli starszyzny ziemskiéj daléj zależéć nie będą. Pomagali przebiegom politycznym i poza krańcami Niemiec panujący królowie. Katolicki król Franków Lotaryusz, chcąc zagarnąć kraje swych braci, dał, około r. 841, przyrzeczenie Lachom i niższego rzędu saskiéj szlachcie, że jeżeli mu pomogą zwyciężyć swych wrogów, dozwoli im, gdy tron obejmie cesarski, wrócić do pogaństwa. Katoliccy monarchowie, cesarz niemiecki Henryk II i Bolesław Chrobry król polski, wojując z sobą, dawali pogaństwu otuchę. Piérwszy dozwolił posiłkującym sobie Łużyczanom nosić z sobą podczas boju swe bóstwa i miéć je, jak było za Tacyta, w miejscę wojennych znaków; drugi poburzał nadłabańskich Słowian do powstania przeciwko Niemcom, dla obrony swych bogów. Wreszcie gdy spostrzegli Niemcy i Polacy, że im osłabione pogaństwo nie będzie więcéj stawiać mogło oporu, kazali się nadłabańskim Słowianom ochrzcić bez żadnéj wymówki, co téż nastąpiło.

Com tu króciuchno wyrzekł, opowiedziałem obszernie w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy, tudzież w Rocznikach i Kronikach, dokąd ciekawego bliżéj rzecz tę poznać czytelnika odsyłam. Kończę ją tą uwagą, że los, który spotkał Swewów, powtórzył się nieraz w dziejach i powtarzać będzie, ilekroć ludzie nad sobą zastanawiać się i ducha czasu swojego odgady-

wać nie zechcą. Tak poźniéj zwani Swewowie, otarłszy się o wysoce oświeconą Grecyą i w jednostkach swych (Anacharsis, Zamolksis niech staną za dowód), zbliżywszy się do jéj kultury, gdy nie chcąc przyjąć chrześciaństwa, nie mogli dlatego trafić na drogę, która w średnich wiekach jedynie wiodła do szczęścia; przeto mimo wielkiéj potęgi swéj upadli na zawsze, i Słowianom, dla których narodowości żyć zaprzestali, wróceni już nie będą. Zastanawiając się nad tém, jeden z dzisiejszych niemieckich uczonych, który lubo historykiem, jak to sam zeznał, nie jest, jednakże historyą pisze; nad tém mówię zastanawiając się tenże, oświadczył wręcz, „że dobrze się stało Słowianom, że ich taki los spotkał, gdyż (słowa są jego) dopiéro od czasu połączenia się z Niemcami, zaczęli być ludźmi, gdyż dopiéro przez niemieckie mieszczaństwo uzyskali stan średni, gdyż dopiéro wtedy uorganizowały się u nich miasta i wsie, nastały wyższe sądy i nowe z niemieckich rozwinięte powstały miejskie, górnicze, morsko-handlowe prawa". Powiedział daléj: „że wojny z temiż Niemcami naprzód dla błahéj przyczyny (z powodu poswarek i burd sąsiedzkich), następnie zaś dla przyczyny ważnéj (by rozszerzyć granice państwa) przez Słowian prowadzone będąc, powinny pogodzić ich z losem, który ich spotkał, albowiem owych ważnych, o jakich wyżéj nadmienił, korzyści, nie byliby dostąpili inaczéj (1). *Voila comme on ecrit l'histoire!* wyrzekł niegdyś więzień stanu na wyspie św. Heleny, w niewoli u Anglików zostając.

Słówko jeszcze o zmianie Swewów imienia ostatecznem powiedzmy.

Kiedy germańskie i swewskie ludy, wiążąc się w drużyny, szły burzyć państwo rzymskie: wtedy zachodziły różne z ich siedzibami zmiany. Albowiem jedne nie wracały do nich więcéj, gdzieindziéj osiedliwszy się; drugie wracając, zastały je przez nowego posiadacza zajęte i od niego przezwane; inne znowu przyczepiwszy się do jakowéj drużyny, przyjęły nazwisko przemagającego w niéj ludu, swoje własne redukując na miano zajętego kraiku, a nieraz powiatu, który teraz częścią był wielkiéj jakowéj przez całą drużynę posiadanéj ziemi. Tak w dzi-

(1) Der Weltkampf der Deutschen und Slaen von Dr. M. W. Heffter. Hamburg und Gotha 1847 r. Porównaj IV, 8, 114, 116, 462, 466.

siejszém księztwie brunświckiém za rzeką Bodą osiedleni Saxonowie, poszedłszy na wędrówkę z Longobardami, zastali kraik swój zajęty przez tych Swewów, którzy przyczepiwszy się do Franków, znowu się od nich odczepili, i kraik ów, niegdyś sobie snadź wydarty, a teraz opróżniony, zająwszy powtórnie przy pomocy przemagających w północnéj Germanii Franków (Sigeberta króla r. 574 zmarłego), nie dopuścili do niego Saxonów owych, skoro zmierziwszy sobie włóczęgę, chcieli wrócić znowu do dawnych siedzib. Tak figurujący w Tacytowéj Germanii Usipetowie, Tenchterowie, Titubautowie, wsiąkli w Alemanów rzeszę. Tak Brukterów i Chamawów imię przeszedłszy w miano Franków, zeszło na powiatowe, będąc niegdyś kraju imieniem (1). Owi brunświccy Swewowie, w dawnéj ojczyznie swéj nowi teraz przybysze, są jedyni z wielkiego Swewów ludu, który w mowie książkowéj swoje zachował miano w późne wieki; który gdy z czasem stał się znowu częścią Saxonii, własnemi a od saskich różnemi prawami się rządził (2). Zresztą nigdzie a nigdzie imienia Swewów na Północy nie dopatrzysz się w uczonéj czyli pismiennéj mowie: ogólne bowiem imię ludu znikło, czyli na nowe Słowian miano przeszło, szczególne zaś czyli powiatowe jego nazwiska, które wymienił Tacyt, na nowe zamieniły się. Wyliczywszy je IXgo wieku pisarz (tak zwany Geograf bawarski) zakończył, czy sam, czy jego dopisnik, (drobniejszém bowiem pismem wyrażony jest ten dopisek) tą uwagą: *Suevi non sunt nati sed seminati*; co według wyrozumienia mego znaczy: „że nazwę Swewów opuszcza, jako nie rodową, nie miejscową, lecz nadaną im od innych ludów, rozsianą, czyli wszędzie (po Niemczech, po Europie, po świecie?) znachodzącą się.“ Właśnie te wielkiego ludu nazwy, które między owemi jakie Swewom nadał Tacyt, a temi, jakie

(1) Zeuss 90, 353, 584 i uwaga do roczników Rudolfa fuldeńskich u Pertza I. 368.

(2) Porówn. przywiedzione wyżéj Roczniki tudzież Witukinda (pisaną w X wieku) kronikę u Pertza V, 424 który mówi: *Suavi vero Transbadani* (t. j. trans Badam, Bode, in pago Suevego habitantes) *aliis legibus quam Saxones utuntur*; daléj roczniki kwedlinburskie u Pertza V, 81, które krainę ową *Saxonicam Sueviam* nazywają; nakoniec Zwierciadło saskie i uwagę do niego C. G. Homeyera (na stronie 372 wydania drugiego tegoż Zwierciadła, przez niego drukiem ogłoszonego).

im Boguchwała naznaczył pośredniczący, wiążą się z niektóremi polskich ziem najdawniejszemi nomenklaturami; te nazwy, mówię, przywieść w harmonią z pierwotnemi dziejami Polski jest rzeczą nader trudną, ale do uskutecznienia podobną, zwłaszcza, gdy coraz nowsze otwierają się źródła, tam właśnie, gdziebyś się ich najmniéj spodziewał. Jeden na to przytoczę dowód.

Wiadomo, że przebywający na dworze Rogera króla sycylijskiego Edrisi, rodem Nubijczyk, kierował wykonaniem wielkiego zamiaru, jaki powziął tenże monarcha, tojest, ażeby pozbierawszy jak najdokładniejsze o wszystkich krajach i ludziach wiadomości, wygotować ztąd krajobraz i statystykę ówczesnego świata, któreto przedsięwzięcie w przeciągu lat piętnastu (od r. 1139 do 1154) pomyślnym zostało uwieńczone skutkiem. Pozostawione dzieło w rękopisie, przełożył na język francuzki p. Amadeusz Jaubert i wydał w Paryżu 1837—1840; które co do Polski dał nam dwakroć poznać uczony Joach. Lelewel w ojczystym i francuzkim języku; raz krótko, kraj nasz i okalające go państwa głównie na uwadze mając (1); drugi raz obszernie wyraziwszy się w dziele czterotomowém, które o ziemiopistwie średniowiekowém wydał (2). W obudwu dziełach ubolewa nad tém „że odmęt wielki, trudny i do rozwikłania niepodobny, doszedł Edrisego w wyrozumieniu danych mu o Szwecyi wiadomościach, którą na ląd polski namknął, i wtoczył ją między ujścia Wisły (3); że daremniebyś u ziemiopisca upatrywał Pomorza i Prus, daremnie Szwecyi na swojém miejscu, gdyż w Skandynawii, tam właśnie, gdzie ona leżéć powinna, kładzie Nubijczyk kraj *Sfada*, tak przez siebie od miasta tego imienia nazwany, nie wiedząc o tém, że *Sfada* owa jest istotnie *Szwecyą*, a bynajmniéj *Zvada*, ta, którą obok Polski położył (4). Mniemam atoli, że nie ma tu co rozpaczać, i że z odmętu owego, zdaniem p. Lelewela do wyjaśnienia niepodobnego, łatwo można na jaśnią wyprowadzić geografa.

(1) W drugim tomie swego dzieła, które pod nazwą: *Polska średnich wieków* w czterech częściach w Poznaniu 1846—1851 wyszło. Porówn. II, 341 nstp.

(2) *Goégraphie du moyen age, etudiée par Joachim Lelewel. Accompagnée d'Atlas et de cartes dans chaque volumes. Bruxelles*, 1852, tomów cztery.

(3) Polska wiek. śred. II, 361

(4) Porówn. La Geograph. III, 111, 63, 180.

Lud ma inne od uczonych geografii pojęcie: jest bowiem tego zdania, że gdzie językiem ojczystym prosty mówi naród, tam jest kraj narodu tego, bez względu na to, kto w nim panuje. Z tego powodu Szląsk nazywano Polską w XVym jeszcze wieku, chociaż w nim nie panowali Polacy (1). Dla téjże saméj przyczyny ówczesne Pomorze i Prusy *Suabią*, *Suevią* nazywał lud przeto, że się istotnie aż potąd Tacytowa rozciągała Suevia, i że wciąż swewskim czyli słowiańskim mówiono tu językiem, lub przynajmniéj rozumiano go w okolicy nawet rzeki Pregli (2). Ci, którzy o krajach tych Edrisemu opowiadali, a bylito prości kupcy, żołnierze, awanturnicy, bajali mu o Niemcach nazywanych Słowianami wybornych jeźdzcach, o Alemanach którzy w Almanów mieszkają kraju (dawnéj Swewii naznaczyli temu krajowi granice), o Amazonkach i złém obejściu się ich z niewolnikami; mieszając w kupę wszystko, cokolwiek o Swewach, ich bóstwie matką bogów zwaném, tudzież o Scytach posłyszeli (3). Ci téż bez wątpienia prawiąc mu o Pomorzu i Prusiech, wymienili mu dawne krajom tym niegdyś powszechne nazwisko (4); które zapisując geograf przekręcił literę, czyli *d* za *b* (*Zvada* za *Zvaba*, Svaba, Svava), bądź sam, bądź jego rękopisu kopiista, położył. Podobnego rodzaju omyłki znajdują się często w rękopisach, które nietylko litery, lecz nawet imiona ludów przekręcają (5). Jak więc zdrowa krytyka nie poczyta Szwedów za Suewów dlatego, że się ich tak na-

(1) Dowód u Stenzla w Urkundensamml. 136.

(2) Wojciecha św., który w Xtym wieku apostołował w tych stronach, gdy zapytali tutejsi mieszkańcy, coby za jeden był? odpowiedział im mąż św.: „jestem słowiańskiego rodu" i t. d. Vita s. Adalb. u Pertza VI, 594.

(3) Porówn. la Geograph. III, 49, 91, 176.

(4) Zapisał o tém taką uwagę p. Lelewel w la Geogr. III, 98, *L'usage populaire remontant par habitude aux traditions anciennes, cet usage populaire predomine sur les recits et les renseignement que les marchands apportaient aux geographes de Sicile, sur les regions formant les dependances d'Allemagne, et sur les pays ulterieurs.*

(5) Przekona się o tém kto pisownią wyrazów *Suevi*, *Sueci*, w kronikach przez Pertza wydanych rozważy, zajrzawszy do rejestru. Jeszcze w XII i XIII wieku pisano niekiedy *Suevi*, *Sueves* za *Sueci*; *Suevonia* za *Sueonia* u Pertza XI, 319, 361; IX, 304, 305. Dzirzwy warszawski rękopis pisze *Sueci* za *Suevi*, (Porów. Bielowskiego Wstęp krytyczny 209); a mnich sacawski *Suavienses* za *Suevi* u Pertza XI, 159.

zwać, lub imię ich napisać podobało kronikarzowi lub jego przepisywaczowi; tak téż nie powié, że się pomylił Edrisi, gdy *Zwudów* (za *Zuabów*, Suabów, Suavów) w okolicy Gdańska i Królewca pomieścił, zwłaszcza gdy tenże położył *Sfadów* (Szwedów) odrębnie i we właściwém miejscu. Dziwno więc, powtarzam, że krytyczny i na wszystko oględny objaśniacz Edrisowego ziemiopisu nie wpadł na tę myśl, iż gdy geograf nubijski imię Szwedów i położenie ich kraju podwójnie (*Zvada*, *Sfada*) napisał, przeto téż dwa przez to, a nie jeden lud rozumieć musiał. Zważając atoli, że kluczem do odgadnienia téj zagadki jest właśnie Tacyt, który aż w te strony siedziby rozciąga Swewów, i że p. Lelewel nie wpadł na to, że *Suevi*, *Suavi* a *Slavi* jedno znaczą; przeto dziwić się znowu nie można temu, iż nie mógł uczynić téj poprawki w Edrisego tekscie, która nader prostą i naturalną dla mnie i dla p. Jakóba Grimm wydaje się. Bądź co bądź, nie można o Edrisim powiedzieć z uczonym mężem: „że patrzał na morze Baltyckie i na kraj Szwedów, a jednakże nie widział siedziby ludu tego właściwéj" (1).

Widać ztąd, że pytanie owo o Sueonach, w Prudencyusza rocznikach, u Pertza I, 434 wzmiankowanych, nad którém szeroce się rozwiódł p. Kunig w dziele *Die Berufung der Schwed-Rhods.* II, 195 nstp. dotąd rozstrzygnione nie jest ostatecznie.

(1) *On remarque* (mówi p. Lelewel) *une connaissance de la Baltique peu commune pour cette epoque, mais en meme temps une cruelle confusion.* Porównaj la Geograph. III, 163, tudzież mappę Edrisego na końcu piérwszego i rysunek położenia Szwecyi osobny w tymże czyli III, 178 tomie.

MAŁY ŚWIATEK.

„Wsi spokojna, wsi wesoła,
Jakiż głos twéj chwale zdoła?"
Jan Kochanowski.

Jakto ja sobie
Domek ozdobię,
Ten modrzewiowy,
Dworzec ojcowy!

Najprzód przed drzwiami
Lipę zasadzę,
Wkoło płotami
Sad oprowadzę.

Stawię przy wodzie
Świętego Jana,
A na ogrodzie
Gniazdo bociana.

Będą przy stawie
Chodziły pawie,
Pod stodołami
Na ziarno pszenne
Białe gołębie,
Goście codzienne.

Jeśli kto do mnie
Łaskaw przyjedzie,
To słup przed sienią
Stoi na przedzie.

Przy nim mosiężne
Wiszą kółeczka,
Gdzie się przewleka
Długa uzdeczka.

A zechce bawić,
To jak zwyczajnie:
Konia postawić
Każę się w stajnie;
Gdzie koniczyną
Poza drabiną,
Przy czystym żłobie
Przegryzie sobie.

A że wypędzić
Pragnę lenistwo,
A lubię ryby
Oraz myślistwo;
Więc już psów chmara
Bo od ogara,
Aż do jamnika
Co lisy dusi,
U mnie być musi.

A mam u siebie
Starego dziadka,
Co sieci robi:
To będzie siatka.

Słowem, co chcecie
U mnie znajdziecie:
Ryby i grzyby,
Mąka i łąka.

* * *

Teraz we dworze,
Jak ja ułożę!

Wszedłszy do sieni,
To być powinna
Zaraz najpiérwsza
Izba gościnna.

W niéj stół dębowy,
Szafa u ściany,
W któréj cynowy
Dzban pobielany.

A zaś na ścianie
Obraz Łazarza,
Co to psy liżą
Rany nędzarza.
By mieć w pamięci:
Że w szczęściu jedni,
A drudzy ludzie
Straszliwie biedni....

A w drugiéj stancyi,
W mojéj siedzibie,
Co kto ukochał
Z tém się tam zdybie.

Nad mojém łóżkiem
Stefan Czarniecki
Pogromca szwedzki,
I Jan Zamojski,
I ten pan wojski
Jan Kochanowski.

A zaś nad niemi,
Nad dziećmi swemi,
Twarz Matki Boskiéj
Jaśnie; a wdali
Zbroja ze stali.

* * *

Teraz broń moja,
Myśliwska zbroja:
Fuzya wyborna,
Choć niepozorna.
Siéć dla ptasznika,
Berło tarogu,
Szabla ma droga,
I nóż na dzika.

* * *

Stara kronika,
Rymy Janowe,
Oto czém moję
Zasilam głowę.

„Tam człowiek prawie
Widzi na jawie"
Cne ojców sprawy,
Bitwy, zabawy.

Żelazna wiara,
Husarya stara,
Skrzydły sępiemi
Rwie się od ziemi.

Tam sejmy sławne
I zjazdy dawne,
Za świętą sprawą
Bożych aniołów,
Toczą się żwawo
W murach kościołów.

Zbroje i łuki,
Zgiełk różnéj broni,
Widać tam jasno
Jakby na dłoni.

* * *

Myśl moja cicha,
Jak moja chata,
Nad dym ojczystéj
Wioski nie wzlata.

Oko nie sięga
Daléj i szerzéj,
Jak do tych lasów,
Jak do tych krzyży,
Jak do téj wody,
Co płynie srebrna.
Czyż większa mądrość
Człeku potrzebna?

* * *

Teraz co drogi
Domek otacza:
Domek ubogi
Człeka oracza.

Kościół za wioską
Z czerwonéj cegły;

Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły.
A na kościele
Bocian gniazdo ściele.

A w téj świątnicy
Cudnéj roboty,
Boga Rodzicy
Jest obraz złoty:

Co tak łaskawie
Patrzy na człeka,
Że jeno prawie
Słóweczka czeka,
Żeby nędznemu
Pomódz w niedoli,
W chorobie temu,
Temu na roli.

Tam szczęście moje,
Tam grób i chata;
Tam w troski, znoje
Dusza ulata.

Tam ojców ciała
Leżą we zbroi;
Tam myśli moje,
Tam wszyscy moi!

Przy drodze zdala
Karczma dla gości,
Już się obala
Z wielkiéj starości.

Przed nią w niedzielę
Jedzie wesele.
Druchny na wozie
Pięknie śpiewają,
Grajki na kozie,
Na skrzypcach grają.

A państwo-młodzi,
Jako się godzi,
Cieszą się, śmieją;
Z wielkiéj radości
Flaszka koleją
Krąży śród gości.

Wszystko się wali
W progi karczemne.
I tylko wozy,
Szkapki nikczemne
Przed karczmą stoją;
Gdzie dużo siana,
Owies i słoma
Gęsto rozsiana.

A z niéj pociechy
Dość mają kury,
Wróble zpod strzechy
Spadają z góry.
Ani spostrzeże
Zkąd się to bierze.

W karczmie wesoła
Tańczy drużyna:
Wysmukły chłopak,
Przy nim dziewczyna.

On patrząc na nią
Wesoło pląsa,
Czapką baranią
Dumnie potrząsa.
A przyśpiewuje,
W podkówki krzesze!
Wszyscy szczęśliwi
Na téj uciesze.

Starzy ojcowie
Siedząc pod ścianą,
Piją do siebie
Kwartą blaszaną:

—„Wypijcie kumie!“
—„Bóg zapłać, kumie!“
I coś tam marzą
W tęsknéj zadumie.

Dzieci gromada
Komin obsiada;
Wszędzie się miesza
Krzykliwa rzesza.

I tak od zmroku
Do białéj zorzy,
Taniec nie strudzi,
Sen ich nie zmorzy.

Smutek w wieśniacze
Nie wchodzi wrota:
Smieje się, cieszy
Szczera prostota.

Jeśli Bóg daje
Zdrowie i siłę;
To wszystko człeku
Dobre i miłe.

* * *

Po drodze stare
Stoją chałupy,
Nad niemi dymu
Ciągną się słupy.

Przy jednéj gruszka,
Lipa przy drugiéj,
I tak tam drzémią
Po drodze długiéj.

* * *

Zaraz poznacie
Gdzie rażna dziewka:
Bo przy téj chacie
Ogródek, drzewka.

W ogródku lilia
I mak czerwony,
Słonecznik żółty,
K'słońcu zwrócony.

Po drodze w dali
Bieli się piasek;
Krzyż nade drogą,
I zaraz lasek.

Pod lasem woda
Po łące płynie,
Z szumem na koła
Spada przy młynie.

I daléj leci,
Snuje się, świeci:
To blaskiem słońca,
To gwiazdy blaskiem,
Światłem miesiąca,
I zorzy brzaskiem.

* * *

A teraz moje
Codzienne sprawy,
Prace i znoje,
Troski, zabawy.

Ledwie skowronek
Przywita dzionek:
Oglądam ráno
Co, gdzie zorano;

I po staremu,
K'rolnictwu cnemu
Rękę przyłożę,
I ziemię orzę.

Słońce dogrzewa,
Ludzie het orzą;
Skowronek śpiewa
Na chwałę Bożą.
Choć zniknie oku
W srébrnym obłoku,
Jakby z innego
Czystszego świata,
Piosenka jego
Perłami zlata.

Tak ślicznie dzwoni
W błękitnéj toni
Ptaszyna droga;
Jakby tam, w górze,
W czystym lazurze
Zobaczył Boga!

Gdzie zwrócę oko:
Czy na te niwy,
Czy tam, wysoko,
Takim szczęśliwy!
Oczy łzawemi
Patrząc przed siebie,
Nie wiem czy'm w niebie,
Czy téż na ziemi.

Wkoło piosenka
Brzmi wciąż radosna!
Tu brzoza pęka,
Tam pachnie sosna;
Tu woda wzbiera,
A zpod téj wody,
Złoty świat młody
Z fali wyziera.

Tam klucz żorawi
Ciągnie zdaleka;
Tu płochych kaczek
Para ucieka.

Lecą bociany,
Drozdy, słowiki;
Pełno przedziwnéj
Żywéj muzyki.

W górze rozlane
Błękitne morze,
Powietrze szklane,
Czyste! Ach Boże!
W jakiémże słowie
Człowiek wypowie
Rozkosze wiesne
Polne, i lesne.

Przy końcu lata
Pracy zapłata.

Dojrzało zboże.
Więc dziatwa żywo,
Daléj na żniwo,
Bo grad spaść może.

Spieszyć się trzeba
Po dary nieba.
Złote zagony
Zda się kołyszą,
Brzęczą jęczmiony,
Pszenice wiszą.

Sieką kosacze.
Śmiechy, ochota,
Choć w słońca skwarze;
Ciężka robota.

Żniwa skończone,
Snopy zwiezione;
Żeńcy się spieszą,
Skaczą, a cieszą.

Więc przodownica,
Krasna dziewica,
W złotym prześlicznym
Wieńcu pszenicznym,
Z sierpem na przedzie
Żniwiarzy wiedzie.

Przy brzękach kosy,
Skrzypieniu stron,
Gromadne głosy:
„Plon niesiem, plon"!
Miłe dla człeka,
Słyszę zdaleka.

Och! komu oczy
We łzach nie staną,
Słysząc tę szczerą
Piosnkę śpiewaną!?

Kto się nie cieszy
Z niemi jak dziecię:
Nie ma co robić
Na Bożym świecie!

Do poźnéj nocy
Pod lipą starą,
Tańcuję z moją
Poczciwą wiarą.

Brzęk wiejskich skrzypiec,
Stary miód lipiec,
I siwych ludzi
Do tańca budzi.

* * *

Koniec dożynek,
Czas na spoczynek.
Zorza na wschodzie
Złoci się w wodzie;
Noc księżycowa
Perłami rosi,
Mgła lazurowa
Z wód się podnosi.

Szerokie pole.
Spią chaty w dole,
Gwiazdy migocą,
W wodzie się złocą.

Tam brzoza biała
Włosy rozwiała;
Tu olchy błotne
Rosną wilgotne.
Noc wonna, cicha,
W liściach wiatr wzdycha.

Tam bębnią bąki
Z zielonéj łąki;
Z jezior głębokich,
Z niebios wysokich
Rybka zaświeci:
Z niebios wysokich
Gwiazdka przeleci.

W długiéj dolinie,
W dalekim jarze,
Pastuch za bydłem
Gra na fujarze.

O nocy cicha
W ojczystéj stronie!
Łąk świeżych wonią
Powiéj na skronie!

Niech jak liliana
Zamknę się w siebie,
I śnię do rana
O jasném niebie.

Aż się rozwinie
Dusza tęskniąca,
W najczystsze światło
Wiecznego słońca.

* * *

Zródlany, czysty,
Jak wonny kwiatek,
Domek ojczysty
Mój mały światek.

Burze, pioruny,
Co biją w dali,
Znane mi tylko
Z deszczowéj fali.
Z drzew wywróconych,
Zmokłych paproci,
Z tęcz zakreślonych
Na chmur wilgoci.

Inna tu burza
Dnia nie zachmurza!

Zabiegi marne,
Podstępy czarne,
Mowy złośliwe,
Słowa zelżywe:
Anioł stróż cnoty,
Srébrnemi loty
Od wioski cichéj
Odpędza grzechy.

* * *

Już jesień dżdżysta!
Liść spada z drzewa,
W nagich gałęziach
Ptaszek nie śpiewa.

Pod stopą liście
Szronem zwarzone,
Jak dni młodości
Marnie stracone:
Bezbarwne, suche,
Wiotkie a kruche,
Płochy wiatr niesie
Po ciemnym lesie.

A drzewa! drzewa
Ludziom podobne:
Bezlistne, zmokłe,
Jakieś żałobne.
Czarne, w niebiosa
Wznoszą konary:
Jak człek, co wraca
Na drogę wiary.

Bocianie gniazdo,
Zębata brona,
Na wierzchu drzewa
Osamotniona.

I nago, chłodno,
I nic już nie ma:
Mroźna, pogodna,
Nadchodzi zima.

Jak brylantowe
Drzewa się świecą,
Pyłki srébrzyste
W powietrzu lecą.

Zamarzły wody,
Białe zagony.

Po drodze głodne
Włóczą się wrony.

Śniegi ubite
Pod nogą skrzypią,
A wiatry szczypią
Lice odkryte.

Więc się na komin
Drzewa nakłada,
I z starą księgą
Przed ogniem siada.

Dwa psy ogary
Przyległszy blizko,
Drzémią spokojnie,
Patrząc w ognisko.

To ogień buchnie,
To iskra pryśnie,
Szabla na ścianie
W półksiężyc błyśnie.

Na okna kwiaty
Zaszły śnieżyste:
Na które miesiąc
Promienie czyste
Rzuca z wysoka,
I brylantuje:
Na szklistéj kanwie
Srébrem haftuje.
Izba w półcieniu,
Wszystko w uśpieniu.

O jak to miło
Przy tym kominie,
Wędrować myślą
W marzeń krainie!

Płomień opada,
Węgle się złocą,
Popiół osiada,
Iskry migocą.

A człowiek sobie
Bóg wié co snuje:
Z żaru, z popiołów
Zamki buduje;
Kościołów dachy
Ze złotéj blachy,
Jasne, przeczyste
Chaty ojczyste.

I sam ze sobą
W milczeniu gwarzę,
O jakichż cudach
Wówczas nie marzę!?

Cisza wokoło.
Tylko piosenka
Z chałup, gdzie drobne
Świecą okienka,
Jakby z za świata
Do mnie dolata.

Tam prządki ciągną,
Pod strzechą starą,
Ze lnu, konopi,
Długą nić szarą.

A z serca ciągną
Nici srebrzyste:
Długie powieści,
Pieśni ojczyste.

To o księżniczce
Zaczarowanéj,
To jak Pan Jezus
W ludzkiéj postaci
Schodzi do chatek,
Do biédnéj braci.
I między dzieci,
Trzódkę maleńką,
Rozdziela dary
Najświętszą ręką.

* * *

Tak marzy wioska
W cichéj dolinie;
A Matka Boska
Co górą płynie,
Nad schylonemi
Dwory i chaty,
Wiodąc aniołów
Orszak skrzydlaty,
Z niebios wysokich
Zniża się w locie,

I błogosławi
Cichéj prostocie.

A wtedy ludzie
Snem słodkim zdjęci,
Po dziennym trudzie
Schylają głowy
I śpią jak święci.

I czego ludzkie
Nie dojrzy oko,
Tam nad gwiazdami
W niebie, wysoko,
Widzę tę Panią
W jasności złotéj;

A dusze zmarłe,
Dzieci, sieroty,
Starce, dziewczyny,
W liliowéj bieli;
I ci co w wojnie
Walcząc zginęli,
Przy swéj królowéj
W śnieżnym obłoku,
Jak pełne róże
Jawią się oku.

Matka królowa
Z świętą dzieciną,
Przy niéj szczęśliwe
Po niebie płyną.

A wyciągnięte
Ku ziemi dłonie,
Ziarenka złote
Sieją na błonie.

I w serca ludzkie
Temi ziarnami,
Co to się zowią
Bujnemi łzami.

I okrywają
Tą lamą złotą,
Co to się zowie
Na świecie cnotą.

I oczyszczają
Tym jasnym zdrojem,
Co to się zowie
Serca spokojem.

Duch prosty słyszy
Ten głos w przestrzeni:
„Ubodzy, ciszy,
„Błogosławieni!“

T. L.

IMIONNIK CUDZOZIEMCÓW

ADAMA KAZANOWSKIEGO.

PRZEZ

Edwarda bar. Rastawieckiego.

Imionniki, z cudzoziemska zwane sztambuchy i albomy, księgi pamiątkowe do zapisywania się przyjaciołom i znajomym podawane, szacownemi nieraz stać się mogą pomnikami. Jeżeli w ich utworzeniu przodkuje myśl wyższa; jeżeli gromadzą imiona znamienite położeniem lub zasługami, w naukach czy sztukach odznaczone: nabędą one wtedy niezaprzeczenie wartości niezwykłéj, z upływem czasu zostaną na przyszłość ciekawym ubiegłéj epoki zabytkiem, i powabnym a zajmującym jednéj współczesności obrazem. Księgi tego rodzaju, jako rozrywki umysłów ukształconych, weszły dziś w zwyczaj dość pospolity; nie są one przecie naszego wieku szczęśliwym wymysłem. Tworzono je w krajach zagranicznych zdawna; w Niemczech zwłaszcza pamięć ich odnosi się do wcale odległych czasów, bo w wiek aż XVty zasięga. Odtąd miały ciągle mnogich zwolenników, a niekiedy ze względu na pierwotnych właścicieli i osoby w nich zapisane, wchodzą one w poczet piérwszego rzędu ciekawości: są téż i po bibliotekach, a zwłaszcza osobliwości zbiorach troskliwie przechowywane.

Obyczaj kształcenia podobnych ksiąg pamiątkowych, nie był téż oddawna i krajowi naszemu obcym: zabawiali się niemi chętnie nieraz światli nasi przodkowie, a pomimo bolesnego zatracenia u nas tylu szacownych przeszłości zabytków, przytoczyć dziś przecie można kilka dochowanych

dawnych imionników. Dwa z nich znajdowały się przedtém w zbiorze Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, których opisy podali uczeni: Łukasz Gołębiowski w zdaniu sprawy r. 1825 na posiedzeniu tego Towarzystwa czytaném (Roczniki T. P. N. XIX, 153 — 155), tudzież Antoni Waga w pięknéj rozprawie w Bibliotece Warsz. w roku 1845 (IV, 645 — 648) zamieszczonéj. Piérwszy a najdawniejszy znany u nas sztambuch jest Jana Blejdnera; posłużyła mu do tego książka: „Andreae Alciati emblemata" w 8ce, białemi kartami przekładana, na których różne znamienitsze osoby, Polacy i cudzoziemcy, pomiędzy latami 1579 a 1583 zamieścili zapisy swoje. Z Polaków między innemi wpisali się tu r. 1581 dwaj młodzi hrabiowie Ostrorogowie, Jan i Mikołaj bracia, na zagranicznéj podróży podtenczas bawiący, z których ostatni poźniejszy kasztelan bełzki, dziedzic na Kryłowie, tamten podczaszy kor., kasztelan, potém wojewoda poznański, starosta malborski i garwoliński, znamienitym jest pisarzem dzieł historycznych, gospodarskich i innych. Imionnik drugi był własnością wierszopisa Mateusza Głoskowskiego, takoż z drukowanego dzieła utworzony: „Horatii Flacci emblemata. Antverpiae 1612, fol." Z niewielu podpisów tu znajdujących się, z lat 1624—1641, kilka jest takoż polskich; lecz szczególną uwagę zwraca rysunek i własnoręczne napisanie słynnego malarza Piotra Rubensa w Bruxelli r. 1624. Trzecim, a od tamtych obu nieskończenie ciekawszym jest imionnik Adama Kazanowskiego, który przeszedłszy różne koleje, dostał się w końcu do zbiorów moich, a o którym bliższą wiadomość podać zamierzam. Atoli uprzednio nie będzie od rzeczy przypomnieć, kto był ten jego piérwotny właściciel i twórca Adam Kazanowski, jak niemniéj przytoczyć niektóre owoczesne zdarzenia, z jakiemi sama ta książka ścisły okazuje mieć związek.

Kazanowscy. Przemożna rodzina w Polsce w piérwszéj połowie XVIIgo wieku, z włoskiego pochodzenia komesów medyolańskich di Casanuova wywodząca się, która za rządów Zygmunta IIIgo i Władysława IVgo wzbiła się była do silnego wpływu u dworu, a w Rzplitéj znaczenia. Posłużyły jéj ku temu niezaprzeczenie wyższe przymioty i zasługi, męztwo i zdolność wojenna, ukształcenie umysłowe, gotowość nieszczędzenia krwi i mienia w potrzebach publicznéj sprawy; daleko przecie więcéj przyjazna nad wyraz i stała Władysława życzli-

wość. W rodzie tym, obok przeważnych zalet, łączyły się też i niemałe wady: domni, wyniesienia się i piérwszeństwa w kraju chciwi, zawistni ku drugim, bezwzględni na ojczystą szkodę, zuchwali niekiedy do zgorszenia, łaknący dostatków, a gdy się w nie wzmogli równie łatwo je trwoniący: takieto były rodu tego, w naczelnych jego członkach, wybitne przywary. Głową i początkiem wyniesienia się tego domu stał się Zygmunt Grzymalczyk Kazanowski, pułkownik a w końcu podkomorzy koronny. Mąż ukształcenia wyższego, zdolny i waleczny, w sztuce wojennéj zawołany, zjednał ztąd sobie wysoki Zygmunta IIIgo szacunek, który mu też powierzył rycerskie najstarszego syna królewicza Władysława kształcenie. To dało mu wpływ u dworu, a umiał go zabiegle obracać na korzyść własną i swoich. Wyniosły, przodkowania chciwy, będąc na wyprawach wojennych przydany królewiczowi jako stróż i doradca, nieznośną mu tu była najwyższa hetmana władza; w niechęci i zawiści ku Chodkiewiczowi na wyprawie do Moskwy, szedł mu intrygami na przekorę i psuł najlepsze jego zamysły. Na starość oddał się pobożności; jako zaś mąż światły, skreślił dzieje panowania Zygmunta III. Po zejściu tego króla, na sejmie elekcyjnym był jeszcze w legacyi przedstawiającéj stanom do wyboru królewicza Władysława, który wstąpiwszy na tron, mianował go podkomorzym koronnym; gdy zaś król na nową wyprawę północną wyruszył, z przywiązania do jego osoby, chociaż już sędziwy starzec, zostawał i teraz przy nim nieodstępnie. Umarł r. 1634, lat 71 liczący. Dla dumy, wywyższania się nad innych i podstępstw, miewał on nieprzyjaciół wielu; przecież ludzkością i kiedy chciał osobliwszą przyjemnością w obejściu, umiał jednać sobie umysły. Prócz godności podkomorzego kor., uzyskał dla siebie starostwa soleckie, kokenhauzkie, kłobuckie, mucharowskie i inne; dopomagał też czynnie do wyniesienia i bogacenia rodziny. Jegoto zabiegami bracia i synowcy dostępowali stopni u dworu, i zasiadali za czasem senatorskie krzesła. On zwłaszcza usłał drogę do bogactw i znaczenia bratu Marcinowi. Ten w rodzie Kazanowskich drugą jest a już dziejową znakomitością, człowiek takoż niesłychanie dzielny. Urodzony r. 1563, wiek cały strawił w obozach, we wszystkich niemal potrzebach wojennych za Zygmunta IIIgo wyborny żołniérz i rot przywódzca; kilkakrotnie w bojach ranny, jeniec nawet chwilowo tatarski po cecorskiéj

klęsce, wszędzie waleczny, świetnemi czyny i zwycięztwy odznaczony. Był on na wszelkie niebezpieczeństwa odważny, ale przytém dumny i sporny, wyższéj nad sobą władzy często niecierpliwy; łączył się w postępkach zuchwałych z bratem Zygmuntem, ztąd wielu zakłóceń, strat i zgorszenia stał się powodem. Dokuczywszy poprzednio hardością hetmanowi w. kor. Żółkiewskiemu, na wyprawie do Moskwy wyłamywać się chciał także zpod powagi hetmańskiéj Chodkiewicza; lecz srodze przezeń zgromiony, uledz musiał i zaledwie wpływem przyjaznego mu królewicza Władysława, od twardszych następności uchroniony został. Przyszło było wszakże do tego, że Chodkiewicz słusznym zapalony gniewem, złajawszy Kazanowskiego zelżywemi słowy, w obliczu całego wojska rzucił nań buzdyganem, że go nim po czapce zajął. Ukorzyła się jego zuchwałość, nie zaniechał przecie złości, którą w dalszych postępkach z publicznéj sprawy szkodą, zostawał hetmanowi przeciwny. Smutne te zajścia a Kazanowskich mnogie intrygi, wichrzenia i swawole, opowiada dokładnie w dziwnie ciekawym dzienniku naoczny świadek Jerzy Ossoliński, niemniéj w żywocie Karola Chodkiewicza Adam Naruszewicz. Zatargi owe przez Kazanowskich wzniecane, oburzały żywo ludzi statecznych, o dobro ojczyste dbałych. Powiada Ossoliński, sam na Kazanowskich rozżalony, że wtedy kasztelan bełzki Stanisław Żórawiński, jeden z dodanych królewiczowi konsyliarzy, człowiek wojenny, rozsądku wielkiego a uczony i w literaturze obcéj obczytany, stosował do starego Kazanowskiego czy raczéj do jego syna Stanisława, owe poety włoskiego z *Pastor Fido* wiersze:

O! villano, indiscreto e importuno!
Mezzo huomo, mezza capra, e stolta bestia.

Z szczodrobliwości królewskich otrzymał Kazanowski Marcin bogate starostwa bohusławskie, zwinogrodzkie, tłumackie, przedborskie, niżyńskie. Długoletni pułkownik, został kasztelanem halickim, potém r. 1632 wojewodą podolskim i hetmanem polnym koronnym, któréjto godności pragnął zdawna nad wszystko. Stargany od wojennych znojów, pochylony wiekiem, umarł r. 1636, lat 73 życia domierzywszy.

Lecz jeżeli wpływ Zygmunta Kazanowskiego przeważny był dla rodziny, skuteczniejszym stał on się ku wyniesieniu własnych synów. Przydany królewiczowi od lat jego dziecinnych,

umiał pozyskac jego serce i ufność; łatwo mu było zamieścić przy młodym panu równego mu prawie wieku synów, do jego łaski i poufałości ich przypuścić. Posiadł je wkrótce starszy Stanisław, a stał się piérwszym Władysława ulubieńcem, wszystkich spraw tajemnych jego młodości, w obozach i podróżach nieodstępny powiernik. Schlebiając jego słabościom, główną był do nich pomocą, a przytém czynném chytrych sztuk ojca i stryja Marcina narzędziem. Oskarżony przed królem, iż młodego Władysława do rozpustnego życia zaprawia, oddalony od dworu został. Rozwiozłość skróciła mu żywot, a zgasł w kwiecie wieku; nie ominęły go przecie łaski, z których otrzymał starostwa krosieńskie i przedborskie. Zręczniejszym a szczęśliwszym był młodszy brat Adam, który po tamtym zająwszy w sercu Władysława miejsce, potrafił utrzymać się w niém do śmierci, wzbić się w najwyższe króla względy, a potężne w państwie znaczenie. Na czele przedniejszych królewicza dworzan, jako piérwszy jego pokojowiec przez ojca Zygmunta postawiony, zgrabny, wszelkim młodego pana zachceniom skwapliwie dogadzający, umiał zwrócić ku sobie jego skłonność: rządził téż jego umysłem i mieniem. Chciwy i nienasycony, pochłonął mniéj o nie dbałego książęcia dochody i skarby: tak bogate starostwo borysowskie dane synowi przez króla, przeszło w jego dzierżenie; wyłudził téż kosztowne rzeźby, posągi, obrazy, złote i srébrne naczynia, wielkiéj wartości klejnoty, pierścień nawet drogocenny od mątki przez Władysława otrzymany. Zdarzyło się, że królewicz wyjechał był na poratowanie zdrowia do wód egierskich, Kazanowski zaś udał się tymczasem dla spraw do Królewca; korzystali z nieobecności takowéj obu stateczniejsi przy Władysławie urzędnicy, przełożyli królowi jego rozrzutność, i ze zbytniéj szczodrości wynikający własny niedostatek. Zniespokojony król Zygmunt, postanowił powściągnąć bezrząd synowski, i drapieżność Kazanowskiego poskromić. Obrażała najbardziéj króla zbytnia tegoż śmiałość, który wiele z rzadszych i wielce kosztownych sprzętów i ozdób królewskich, do domu swojego potajemnie był przeniósł: dom ten więc jego zapieczętować rozkazał. Skoro wieść o zagniewaniu królewskiém doszła Kazanowskiego, przejęty bojaźnią w lot do Warszawy wraca, a uciekając się do pokory, błaga u dworu przedniejszych panów o wstawienie się za nim, i niewinność swoję tłumaczy. Wtedy-

to, mówi współczesny kasztelan gdański Kobierzycki, całe to zdarzenie opisujący, widzieliśmy tego, co w rok potém był na szczycie potęgi, gnącego się na wszystkie strony, uniżającego się tym, którzy poźniéj za szczęśliwych się mieli, kiedy od jego odźwiernych postrzeżeni byli. Przecie za powrotem królewicza wyjednał przezeń ubłaganie królewskie, a wkrótce śmierć Zygmunta usunęła wszelką nadal obawę; nie ugasiła w nim przecie żądzy pomszczenia się, którą długo oskarżycieli swych ścigać nie zaniechał.

Zasiadłszy na tronie Władysław, wzmógł ulubieńca swego do najwyższego u dworu znaczenia, podnosił go na urzędy, opatrywał hojnie w dostatki. Postanawiając nowy urząd stolnika koronnego, piérwszego nim Kazanowskiego mianował; w krótkim czasie postąpił on na podkomorzego kor. po ojcu, na kasztelana sandomiérskiego r. 1637, w końcu r. 1642 na marszałka nadwornego kor. Zamożność jego była ogromna: wszystkie niemal przychody królewskie do wiernych rąk mający powierzone, zawiadował bogatemi dochodami żup solnych i ceł morskich (1); trzymał starostwa kozienickie, borysowskie, bielskie, soleckie, nowotargskie, krośnieńskie, wareckie; pan dziedziczny, jak go pisze arcybiskup lwowski Solikowski, na Czaśnikach, Czepielowie i Pradze nad Wisłą; prócz tego ożeniony bogato na Litwie r. 1634 z wojewodzianką trocką Elżbietą Słuszczanką. Umiał téż Kazanowski odpowiednio do swych godności, stanowiska u dworu i posiadanych dostatków, otoczyć się całym blaskiem przepychu i wystawności; nikt od niego na dworze polskim okazaléj nie żył, nie mieszkał. W obu stolicach pyszne gmachy były jego własnością: w Krakowie posiadał pałac Krzysztofory zwany; w Warszawie był jego pałac na Przedmieściu Krakowskiém obok kościoła ks. Bernardynów przez niego wzniesiony; miał tu inny jeszcze obszerny dworzec na Reformackiéj ulicy. Wspaniałość tamtéj prawdziwie książęcéj siedziby, opowiadają z podziwem współcześni: Polak Adam Jarzemski i Francuz Laboureur towarzyszący poselstwu marszałkowéj de Guebriant, królową Maryą Ludwikę przywożącéj. Olśniły Francuza i owi u wchodu zbrojni w liczbie trzechset

(1) Jegoto światłém staraniem i przełożeniem się wyszły po raz piérwszy plany kopalni wielickich r. 1645 w Gdańsku przez Wilhelma Hondiusa sztychowane.

bajducy, a kilkudziesięciu szlachty pysznie w atłasy strojnych, marszałka jako dworzanie otaczający; i szereg komnat od złocistych Wschodu jedwabiów, posągów, malowań i nieprzeliczonych kosztowności, blaskiem, powiada, jakby wschodzącego słońca uderzających; i szafy klejnotami całe założone, a na pamiątkę pani posłowéj drogie szkatuły do wolnego wyboru wskazane; i przy uczcie gnące się stoły pod złotem i srébrem najsztuczniejszego wyrobu, i owa srébrna fontanna to pachnącemi wody, to winem hojnie tryskająca; i ten wielkości człowieczéj szczerosrébrny Bachus, siedzący na takiéjże beczce złotemi obręczami obwiedzionéj: i wreszcie mnogość wykwintnych potraw przez kilkudziesiąt suto barwnych dworskich przy odgłosie szumnéj kapeli podawanych. „Przyznam się, dodaje, żem był omamiony, i żem się mniemał przeniesionym we śnie do jakiego czarodziejskiego pałacu. Włochy, któreśmy potém zwiedzili, nic tak okazałego nie mają, ani prawdziwie pańskiego". Takimto wspaniałym panem umiał się okazywać Adam Kazanowski. Niedziw, że ta jego okazałość, te nagromadzone ogromne bogactwa, a niezmienna ku niemu łaska królewska, ściągały nań zazdrość i nienawiść wielu, zarzuty o nienasyconą chciwość, o pychę, intrygowanie u dworu, szafowanie wpływem swym u króla najpierwszemi w rzeczypospolitéj urzędami, posuwanie naganne cudzoziemców; obwiniano ztąd króla samego o słabość powodowania mu się ślepego. Sarkania bywały na to częste: wyraża to dobitnie Albert książę Radziwiłł w pamiętnikach, kiedy r. 1637 w sprawie Kazanowskiego z Firlejem, król poszedł był przeciwko zdaniu senatorów, ulegając faworyta swego podszeptom; mówiono przeto, że odtąd w wyrokach nie należy pisać: „my z senatorami przy boku naszym siedzącemi", ale raczéj: „my z podkomorzymi przy boku naszym stojącemi." Cóżkolwiek w łaskach tych i ufności króla było nagannego zbytku, przyznać trzeba, iż Kazanowski zasługiwał na nie nieograniczoném do Władysława przywiązaniem, nie szczędząc nigdy ani zdrowia i życia swego w obozach, ani majątku w wydarzonych potrzebach, kiedy szło o dobro królewskie. Gdy razu pewnego upominał go król Władysław, iż na usługi jego dobra swe pohartował, odrzekł mu na to chlubnie: „Królu, fortuna moja jest z twoją złączona: przy łasce twéj nie mogę być ubogim, a bez niéj bogatym być nie chcę". Przywiązanie to szczere do króla stwierdził Kazanowski, gdy po śmierci Władysława z wielkiego

smutku poszedł niedługo na tamten świat za panem swoim, a nie pozostawił po sobie majątku nadzwyczajnego w gotowiznie lub dobrach, ale więcéj tylko w kosztownych pańskich przyborach i ruchomościach. Trzeciato z rodu Kazanowskich, a najokazalsza historyczna postać. W młodości przystojny, układny, ukształconego umysłu, stał się w poźniejszym wieku światłym, pełnym smaku, nad wyraz dostojnym panem. Jak król Władysław często na podagrę zapadał, a nie doczekawszy starości, lat 50 wieku licząc, paraliżem tknięty, umarł w Warszawie d. 25 grudnia 1649 r. Z nimto właściwie gaśnie w dziejach krajowych ród ten za dwóch panowań przemożny i wielce odznaczony. Krewny jego, takoż Adam kasztelan halicki, roku 1651 poległ śmiercią walecznych w bitwie przeciw Kozakom i Tatarom pod Beresteczkiem. Z dwóch zaś synów stryja Marcina hetmana polnego, Adam obożny kor. starosta tłumacki i czerkaski, mąż w bojach doświadczony, umarł bezdzietnie; drugi Dominik Alexander, pisarz polny kor., potém r. 1646 wojewoda bracławski, starosta bohusławski, takoż wielce rycerski człowiek, nie miał synów: dwie tylko zostawił córki, i zstąpił do grobu r. 1648. Adam marszałek nadworny nie pozostawił potomstwa, a wkrótce po jego śmierci runęły téż, poszły w rozsypkę i wszystkie owe domu jego nieocenione kosztowności. Całe swe mienie zapisał on był ukochanéj żonie, Elżbiecie Słuszczance: ta zapomniawszy prędko po mężu żalu, weszła niebawem w powtórne związki z Hieronimem Radziejowskim podkanclerzym kor. Smutnego w dziejach wspomnienia niewiasta, stała się płochością swoją powodem zgorszeń w państwie, rozszarpania dostatków męża piérwszego, haniebnéj drugiego zdrady, a ztąd najazdu Szwedów, srogiéj wojny, łupieztw i zniszczeń niewypowiedzianych bogatego jeszcze w te czasy kraju.

Podróż zagraniczna królewicza Władysława w latach 1624 i 1625. Po szczęśliwie odbytych dwóch wyprawach wojennych, królewicz Władysław rok dwudziesty dziewiąty wieku liczący, przejęty uczuciem ówczesnéj, a po wszystkie czasy zbawiennéj pobożności, zamierzył odbyć podróż do Loretu, by w przybytku świętym Przeczystéj Dziewicy Zbawiciela Matki złożyć dziękczynne modły, o dalsze dopraszać się łaski, oraz znajdować się w Rzymie w porę nadchodzącego jubileuszu. Zapragnął wszakże przytém odwiedzić obce dwory, poznać spokrewnionych z sobą monarchów i ich rodziny,

doznać miłych a pouczających wrażeń przeglądem krajów i miast znakomitych, widokiem różnych narodowości, odmiennych zwyczajów. Długo atoli z przyzwoleniem na tę podróż wahał się ojciec Zygmunt III, wyniosłości i powagi królewskiéj a domu swego troskliwie przestrzegający. Nie płonne zachodziły też powody do obawy jakowych dla osoby dostojnego wędrownika przygód i niebezpieczeństw, których przewidywanie trafne sprawdziło poźniéj tyle cierpkie więzienie we Francyi królewicza młodszego Jana Kazimierza. Wrzała podówczas, lubo z chwilowém mniejszém natężeniem, krwawa religijna, tak zwana trzydziesto-letnia wojna; król Zygmunt nie miał w niéj wprawdzie bezpośredniego udziału, ale jako arcygorliwy katolik sprzyjał z serca orężowi wyznania swojego. Z dozwoleniem jego już jawném, już zamilczoném, ajenci cesarscy zaciągali po Polsce licznego ochotnika, który tworząc silne zastępy pod nazwą Lisowczyków znane, przeważnym dla katolickiéj strony stawał się posiłkiem. Cito Lisowczycy zawsze dzielni, do podziwu w walce natarczywi i zuchwali, dwakroć przynieśli odsiecz Wiedniowi, odznaczali się świetnie w stanowczéj bitwie pod Pragą, jak niemniéj w stukrotnych innych utarczkach i bojach. Atoli obok niezaprzeczonego męztwa, byłato zbyt często zgraja niesforna, łupieżna i rozpasana, dokuczliwa i gnębiąca w pochodach, postrach i jakby niszcząca burza spokojnego mieszkańca. Ztąd też, jeżeli stronnictwu katolickiemu pożyteczni byli w wojnie i ciągle nowe ich szeregi zwabiano, jeżeli szerzyli sławę waleczności polskiéj: wzniecali też z drugiéj strony ku imieniowi polskiemu niechęć i nienawiść, a to nietylko w krajach protestanckich, lecz nawet i w katolickich, gdzie się równie broić nie powściągali. Wiedział to dobrze Zygmunt III, wiedział, że jego własna rozgłośnie znana do rzymskiego kościoła przychylność, obudzała przeciwko niemu niemało niechętnych i przeciwników; zamierzona więc podróż pierworodnego syna, mogła wzbudzać w nim pewną troskę: przedewszystkiém dbał nieskończenie o przynależne królewiczowi dostojne wszędzie przyjęcie. Pozwolił w końcu, a w pieczołowitości ojcowskiéj otoczył Władysława świetnym orszakiem, na którego czele postawił światłego i doświadczonego męża Albrechta Stanisława księcia Radziwiłła kanclerza W. X. Lit., którego charakterem posła do zwiedzić się mających dworów opatrzył, dając mu dokładne co do kierunku całéj podróży przepisy, a nadto

polecił, by w wielu miejscach królewicz zakrywał się Radziwiłła nazwą. Za dalszych towarzyszów jazdy wybrał król z dworzan swych, znamienitych z wykształcenia i znajomości języków Stefana Paca i Łukasza Żółkiewskiego synowca hetmana; z dworzan zaś zwyczajnych królewicza: Adama Kazanowskiego, Gerarda Denhoffa, Samuela Rylskiego i Mikołaja Pigłowskiego. Podróż ta cała przecie powiodła się jak najpomyślniéj, z niepoślednim dla osoby Władysława zaszczytem, który jako już wojennie odznaczony z chwałą, a pan wspaniałomyślny i wysokiéj ogłady, potężnego państwa królewicz i domniemany następca, znalazł wszędzie u książąt i narodów najpochlebniejsze przyjęcie. Musiała téż podróż owa wzbudzić i w kraju zajęcie niemałe, kiedy ją z upodobaniem opowiadają współcześni: biskup przemyślski Piasecki, niewiadomy dziejopis przez K. W. Wojcickiego wydany, zwłaszcza zaś szczegółowo kasztelan gdański Kobierzycki. Wassenberg historyograf królewski, Samuel Twardowski rymotwórca dziejopis, wreszcie wędrówki saméj uczestnik Stefan Pac w dzienniku onéj bezimiennie, a szkoda, że tylko w wyjątku w Bibl. Warsz. z r. 1841 T. II zamieszczonym (1). Tamto znajdzie czytelnik zajmujące opisy wspaniałego przyjęcia monarchów, rozlicznych zabaw, uczt, widowisk, rycerskich szyków, przykładnego takoż zwiedzania miejsc świętych i relikwij, żywotne a na dziś wcale oryginalne obrazy owoczesnych dworów, społecznego życia, zwyczajów. Nie tu byłoby miejsce powtarzać to wszystko obszerniéj; odsyłając więc w tém do pierwotnych źródeł, z małym jedynie wyjątkiem szczegółów żywszego zajęcia, ograniczymy się na przywiedzeniu główniejszych dat, miejsc i osób, jako obecnego badania przedmiot zblizka objaśniających.

(1) W dzienniku rzeczonym powiada bezimienny pisarz, iż z Kolonii wysłany był przez królewicza do arcy-księżnéj infantki do Bruxelli; jechał w towarzystwie przydanego królewiczowi do przejazdu do Belgii przez elektora kolońskiego hrabiego Ernesta a Linden in Rekem, którego mu Władysław przyłączył. Wracając z Bruxelli po dopełnieniu zlecenia z tymże panem Rekem, spotkali krolewicza w Diest. Owóż Wassenberg opisując tęż podróż, powiada, że z Kolonii do Bruxelli wyprawił królewicz z hrabią de Rhekem Stefana Paca, którzy wracając z Diest, z nadjeżdżającym Władysławem złączyli się. O wysłaniu owém do Bruxelli Paca, mówi podobnież Kobierzycki. Z tego okazuje się jasno, że pisarzem ciekawego podróży dziennika w Bibl. War. w wyjątku umieszczonego, jest nie kto inny tylko tenże Stefan Pac, pożniejszy pisarz lit., od r. 1633 podskarbi, a w końcu r. 1635 podkanclerzy lit.

Dnia 19 maja 1624 r. wyjazd z Warszawy.

Dnia 21 maja Częstochowa, gdzie nazajutrz królewicz odbywa spowiedź, i u cudownego obrazu o opiekę Matki Boskiéj niesie modły.

Dnia 24 maja Nissa w Szlązku; rezydencya biskupa wrocławskiego. Pobyt tutaj dwudziesto-dniowy z powodu opatrywania orszaku królewicza w ubiory cudzoziemskiego zwyczaju. Podejmowany gościnnie przez wuja arcy-księcia Karola biskupa wrocławskiego; ztąd dnia 8 czerwca robi wycieczkę do Wrocławia.

D. 14 czerwca wyjazd do Wiednia w towarzystwie arcy-księcia biskupa. Cesarz Ferdynand IIgi brat obu z kolei żon Zygmunta IIIgo, Anny i Konstancyi, przyjmuje siostrzeńca okazale, z oznakami największéj przychylności krewieńskiéj. Na cześć jego wyprawiane są codziennie rycerskie zabawy i różnego rodzaju rozrywki: zpośród tych odznaczała się zabawa wieczorna, w któréj cesarzowa Eleonora wraz z piętnastą paniami odprawiła taniec figuryczny wielce zajmujący. Gdy takowy ściągał do sali wielu ciekawych, cesarz stanąwszy w drzwiach obok królewicza, wpuszczał tylko wybranych lub do orszaku Władysława należących. Przepych ubiorów, zgrabność miarowego tańca zachwycały wszystkich, lecz ogólnie przyznać musiano pierwszeństwo saméj cesarzowéj co do wdzięku, sztuki i zręczności. Następnie dały się słyszéć pieśni ku chwale cesarza, królewicza i dwóch arcy-książąt braci; poczém resztę nocy zapełniły tańce zwyczajne, do których cesarzowa wzywała panów z orszaku księcia, a szczególniéj Radziwiłła. Innego dnia cesarz w towarzystwie cesarzowéj i arcy-książąt okazywał Władysławowi tajny skarbiec rakuzkiego domu, gdzie podziwiać mu przyszło nagromadzone lat pasmem bogactwa i osobliwości. W ciągu téj bytności Władysława w Wiedniu zaszły téż układy familijne, w skutek których arcy-książę Karol biskup wrocławski wybierając się do Hiszpanii w widokach zostania wielkorządcą czy królem portugalskim, a mając z biskupstwa wrocławskiego ustąpić, przybrał na koadyutora jedénastoletniego siostrzeńca królewicza polskiego Karola Ferdynanda, czwartego syna króla Zygmunta.

D. 15 lipca wyjazd z Wiednia: cesarz z arcy-książętami wyprowadza Władysława o pół mili za miasto i najczuléj go

żegna. W dalszéj przez germańskie kraje podróży, królewicz zakrywa się nazwą Radziwiłła.

D. 19 lipca Lintz.

D. 23 lipca Salcburg; przyjęcie okazałe przez arcybiskupa.

D. 28 lipca Monachium. Na wstępie do Bawaryi zachodzi drogę królewiczowi marszałek nadworny baron Tering w towarzystwie piérwszych panów krajowych i prowadzi go do stolicy. Tu w nieobecności elektora przyjmuje go w pałacu księżna elektorowa wraz z księciem Wilhelmem elektora ojcem, z klasztoru Kartuzów zpod Ratyzbony, gdzie był osiadł, na ten cel umyślnie przybyłym. Niebawnie zjechał téż sam książę elektor Maxymilian, pospieszywszy na wiadomość o przyjeździe królewicza.

D. 8 sierpnia Augsburg. Książę przyjmuje wspaniałą ucztę i zabawę z tańcami u Fuggera zamożnego tamecznego pana; sam kilkakrotnie tańcuje.

D. 14 sierpnia Norymberga. Daléj przez Frankonią i Wirzburg, gdzie książę przez biskupa przyjęty z uszanowaniem, na Frankfurt nad Menem przybywa do Moguncyi. Ztąd płynie Renem i podziwia okolice. W Baccarach, miejscowości z wybornych win słynnéj, podejmuje go okazale Verdugius gubernator Geldryi i Palatynatu. W pochodzie dalszym ku Bopport, zatrzymany jest z szczególną gościnnością przez arcybiskupa elektora trewirskiego. Wysiadłego ze statku na ląd królewicza, oczekiwał arcypastérz u bramy pałacu swego; nastąpiła wytworna uczta, szczególniejszą wystawnością odznaczona. Nazajutrz na strojnym statku tegoż elektora odpłynąwszy królewicz, spotyka niebawem kommissarzy elektora arcybiskupa kolońskiego, księcia bawarskiego Ferdynanda. Sam elektor z bratem Albertem księciem bawarskim u brzegu rzeki czekając, wprowadza uroczyście dostojnego gościa do Bonn d. 25 sierpnia.

D. 26 sierpnia przybywa do Bonn do królewicza Adolf Metternich kommissarz Wolfganga Wilhelma Neuburgskiego księcia Juliaku, Kliwii i Bergu, z uprzejmém od tegoż pismem, wymawiając się, iż go osobiście dla wyjazdu do Hiszpanii przyjmować nie może. Do Kolonii płynie Władysław Renem, prowadzony przez arcybiskupa elektora i kommissarzy księcia Neuburgskiego.

D. 28 sierpnia Kolonia. Pobyt czterodniowy; podejmowany okazale przez miasto, zwiedza gmachy i świętości. Że się królewicz zatajał przed zbiegowiskiem ludu, poznany zostaje w katedrze, a zaraz przy okrzykach tłumnego zgromadzenia włożono mu na głowę koronę od zwłok Trzech-Królów Magów tamże przechowywanych. Skazanego ubogiego za kradzież na powieszenie, wyprasza książę od kary.

D. 1 września wyjazd z Kolonii do Juliaku. Metternich kommissarz przeprowadza go przez całe księztwo; w Juliaku samym gubernator składa klucze miasta. Dla bezpieczeństwa towarzyszy w drodze oddział wojska księcia Neuburgskiego i gwardya elektora kolońskiego. W pochodzie po wioskach dziewczęta zatrzymują Władysława przeciągając sznurki przed jego koniem, a poznawały go po piórach białych i czarnych u kapelusza, jak im to było wskazane; okupuje im się podarunkami.

D. 2 września Akwisgran. Oglądanie rzadko okazywanych relikwij. Tu czeka na królewicza wysłany przez wielkorządczynią Belgii infantkę hiszpańską arcy-księżnę austryacką Izabellę Klarę Eugenią, hrabia de la Valle, celem powitania w jéj imieniu dostojnego gościa. W Viset powzięto wiadomość, że Holendrzy w pięćset żołnierza poczynili na królewicza zasadzkę, przeto puściwszy rozgłos innego kierunku jazdy, obraca spiesznie przy dodanéj zasłonie wojskowéj na Diest, gdzie przybywa dnia 5 września. Ztąd zbacza do słynnego cudami obrazu Matki Boskiéj asprykoleńskiéj, przed którym ugiąwszy kolana, w kornéj modlitwie oddaje się dalszéj Najświętszéj Dziewicy opiece. Przed miastem Lowanium (Louvain) hrabia de Noyelles mistrz obrzędów dworu infantki, w licznym gronie panów i dworzan, wita książęcia i do miasta okazale wprowadza. Tu przed obiadem dostojny Hiszpan podaje królewiczowi przyklęknąwszy wodę do umywania; zaproszony do książęcego stołu hrabia de Noyelles wzbrania się, mówiąc, iż wolałby śmierć ponieść, jak taką zuchwałość uczynić.

Wrzesień, Bruxella. Z Lowanium do Bruxelli pochód jakby tryumfalny, wpośród napływu panów i wszech stanów gromadzących się ciekawych; hr. Octavius w. koniuszy czeka na drodze z wspaniałym powozem. Zjechał królewicz do Bruxelli samym już wieczorem, a lubo wjazd ten bardzo był oka-

zały przy huku dział, rzęsistém oświetleniu miasta, a takim nacisku ludu, że zaledwo powozy postępować mogły; przecie wjazd ten odznaczył się przykrém dla książęcia zdarzeniem. Jechał on w karecie otoczony szlachecką strażą; gdy kareta wchodziła w pałacową bramę, jeden z owéj straży obok książęcia samego znajdujący się, między murem a powozem ściśnięty, traci przypadkiem skówkę od pochwy swéj szpady, którą książęcia w stopę do krwi ugadza. Uczuł ból królewicz, na widok krwi zatrwożyli się jego dworzanie; przecież pragnąc zataić zdarzenie, a zwłaszcza uniknąć winnemu jakowéj kary, wziąwszy od Radziwiłła do podpierania się laseczkę, postąpił na wschody i odbył uroczyste infantki przywitanie. Dopiéro potém odprowadzony do swych pokojów, dał opatrzyć ranę, która mu wszakże przy małém zważaniu, konnéj jeździe i tańcach, dość długo jeszcze dokuczała. Szczególnym obyczajem względem pokrewnych infantki zachowywanym, złożone były w mieszkaniu księcia dwie aksamitem obite skrzynie, pełne najwytworniejszéj bielizny, krezów, kołnierzów i tym podobnych do jego użytku przyborów, a tegoż zaraz wieczora hr. de Noyelles przyniósł od nich klucze złociste, które Kazanowskiemu jako piérwszemu pokojowcowi doręczone zostały. Pobyt dwu-tygodniowy w Bruxelli był pasmem świetnych zabaw i uczt ku czci królewicza przez infantkę, przedniejszych panów i grandów hiszpańskich wyprawianych: odznaczali się w tém zwłaszcza książę d'Aumale w Bruxelli, po wydaleniu się z Francyi osiadły, książęta Arschot, Croi, Borneville, hr. Embden, margrabia d'Haute; hr. d'Egmont. Tak wytworna gościnność ujmuje wielce królewicza; zachwyca go też wysoki polor towarzystwa, którego pamięć miłém mu została i w dalszém życiu wspomnieniem. Zdjęty ciekawością wojenną, wybiéra się na zwiedzenie sławnego, przez wojska hiszpańskie oblężenia Bredy. Jedzie tamże na Mechlin.

D. 22 września Antwerpia. Przyjęcie najokazalsze; trzy dni spędza na oglądaniu gmachów i ciekawości miasta; podziwia celujące obrazy, zwiedza odznaczające się zakłady: drukarnią Plantiniego, pracownią słynnego mistrza Piotra Rubensa (1), tudzież Piotra Breughel.

(1) Wtedy też Rubens malował wizerunek królewicza Władysława, który zaraz powtórzony został tamże w Antwerpii wybornym sztychem Pawła Pontiusa z podpisem: Vladislaus Sigismundus D. G. Po-

D. 4 przybywa naprzeciw książęcia z silnym hufcem hr. de Salazar don Luy de Velasco.

D. 26 września obóz pod Bredą. Wódz naczelny margrabia Ambroży Spinola wyjeżdża na powitanie przybywającego księcia; przed szańcami przedstawia mu wojsko w szyku bojowym Henryk hr. Bergu dowódzca jazdy; przy wstępie do obozu zagrzmiały wszystkie oblężnicze działa. Zdarzyło się właśnie pod przybycie królewicza zaćmienie księżyca. Spinola wróży mu ztąd nowe nad niewiernemi zwycięztwa. Wprowadziwszy książęcia do obozu, składa mu Spinola naczelne dowództwo, a u stołu przy którym sam książę siedział, usługuje mu wraz z piérwszemi swemi przywódzcami wojska.

D. 27 września królewicz zwiedza obóz i działa oblężnicze, bezwzględnie na ciągłe strzały z twierdzy, tak, że kule około głów przelatywały, a koń od infantki księciu dany i inny Stefana Paca, ugodzone padły.

D. 28 września ukończenie przeglądu oblężnego.

D. 29 września obejrzenie zapasów i porządków obozowych.

D. 30 września przy trzykrotnéj z dział salwie, Władysław opuszcza obóz i wraca do Antwerpii, odprowadzony przez hr. Salazar, któremu przy pożegnaniu, zdjęty z palca pierścień na pamiątkę daje.

D. 2 października powrót do Bruxelli. Dni pięć królewicz nie opuszcza łoża, z powodu doznanego poprzednio zranienia nogi; przystawia bańki. Ponowione zabawy. Przy odjeździe rozdaje hojne podarunki, znamienitszym panom łańcuchy złote z wizerunkiem swoim. Upominki podobne otrzymują od Izabelli, Polacy: Radziwiłł, Pac, Żółkiewski, Denhoff i Kazanowski dostają medaliony złote kamieniami drogiemi okolone, na złotych łańcuchach wiszące.

D. 14. października pożegnawszy z synowskiém poszanowaniem infantkę (1) opuszcza królewicz Bruxellę, odprowadzo-

loniae et Sueciae princeps, elect. magn. dux Moscoviae, Smol. Sever. etc. Ex archetypo Petri Pauli Rubenii Paulus Pontius fecit anno 1624. Fol.

(1) P. Julian Bartoszewicz wielce pracowity biograf, lecz do rzutkich o ludziach i rzeczach sądów nickiedy nieco pochopny, w żywocie królewicza polskiego Karola Ferdynanda biskupa, wzmiankując o podróży zagranicznéj Władysława (Królewicze biskupi str. 193), tłu-

ny do granicy Luxemburgu przez dostojników państwa, którzy po drodze w Nivelle wyprawiają mu jeszcze zabawę wieczorną.

W dalszym pochodzie przez Lotaryngią, zapragnął książę zwiedzić warowne miasto Metz; z małym pocztem nie bez trudności wpuszczony tamże, obchodzi ciekawości miasta i opuszcza je niepoznany. Przez Nansy jedzie do Sawerny, gdzie dnia 24 października przybywa, przyjęty najuprzejmiéj przez wuja, arcy-księcia Leopolda, który z Wiednia już tu był wrócił, a naczelnie w tamtych krajach wojskiem cesarskiém dowodził.

D. 25 października z w. koniuszym arcy-księcia odwiedza Strasburg. Dni kilka następnych spędza przy gościnności wuja na zabawach i objeździe pobliższych miast, które pod względem zwłaszcza strategicznym uważa: Molscheim, Reinfeld, Schlestadt, Rodemach, Einscheim, Brisac.

Przejazd do Włoch przez Szwajcaryą, na Bazyleę, Solurę, Lucernę, górę Ś. Gotarda: ogląda miejsca historyczne.

Włochy: odwiedza prywatnie Medyolan i Genuę; przyjmowany wszędzie w pochodzie z największém odznaczeniem, przez przedniejszych panów, a zwłaszcza książąt Parmy, Modeny i Urbino. Jedzie do Rzymu na Bolonią i Rimini, gdzie d. 10 grudnia książę Karol Magallotti krewny papiezki, dowódzca jego straży, doręcza mu list zapraszający od papieża Urbana VIIIgo. Przez Ankonę przybywa do Loretu, wywiązując się z uczynionego ślubu: tu przy wzniesieniu gorących do Matki Najświętszéj modłów, składa w ofierze patrona swego św. Władysława posąg szczero-złoty. W Castelnuovo spotyka go wysłany przez papieża kardynał de Torres, przedtém nuncyusz w Polsce, nateraz kardynał Polski protektor.

maczy przyjęcie go uprzejme w Bruxelli temi słowy: „Księżna gubernatorowa była kobietą, a Władysław w kwiecie lat młodych.” Zdanie takowe cokolwiek dwuznaczne, objaśnić i sprostować tu należy. Księżna infantka owdowiawszy przywdziała suknię zakonną Panien Karmelitanek: tak ją malował Rubens, w takiém ubraniu przyjmowała przy wjeździe Władysława; liczyła zaś wtedy lat wieku 58. W ciągu całego tam królewicza pobytu, uważała go jakby ukochanego syna, gdy on sam mianował ją zwykle matką. W przerzeczonym jeszcze żywocie powiada p. Bartoszewicz, iż królewicz w Nissie nie zastał arcy-księcia biskupa, który był do Wiednia odjechał; atoli właśnie było przeciwnie, bo go tam zastał i wraz z nim jazdę do Wiednia odbywał. Tamże jeszcze druga Zygmunta III żona Konstancya, nazywana jest ciągle Katarzyną.

D. 20 grudnia Rzym. Wysiadłszy do wyznaczonego na jego mieszkanie pałacu Ammerini-Capponi około bramy del Popolo, pospiesza na powitanie papieża. Dwaj kardynałowie: de Torres i Barberini wprowadzają książęcia do Ojca Św.; po trzykrotnym pokłonie upadłszy na kolana królewicz, całuje stopy papieża; ten podniósłszy klęczącego, i tkliwie ucałowawszy w głowę, sadowi obok siebie na taborecie. Przez trzy kwadranse trwała poufna rozmowa, wielce w umyśle papieża i kardynałów swobodę i wyniosłość duszy królewicza podnosząca. W końcu Polacy z orszaku książęcia przypuszczeni do ucałowania stóp papieża, zpomiędzy których tenże przypomniał sobie zaraz Radziwiłła i Paca, jako mu z Polski jeszcze, gdy tam był legatem, znajomi. W dniach następnych królewicz przyjmuje kardynałów, zwiedza osobliwości, pałace a zwłaszcza kościoły, wszędzie z uszanowaniem przyjmowany. W wigilią Bożego Narodzenia, dopełniając drugiego ślubu podjętéj podróży, obecny jest otwarciu złotéj bramy przy rozpoczęciu roku jubileuszowego. Znajdował się w bazylice watykańskiéj przechowywany przedmiot czci osobliwéj, rańtuch św. Weroniki, co go była podała krzyż niosącemu, krwią i potem zlanemu Chrystusowi Panu, a na którym pozostały zarysy oblicza Zbawiciela. Przystęp do téj świętości samym tylko kanonikom św. Piotra służył; uzyskał go był wyjątkowo jedynie cesarz Karol Vty. Na tę więc świętą ciekawość zwrócił uwagę królewicza Radziwiłł i zachęcił go do zażądania podobnie tamże wstępu. Poszła rzecz pod rozstrzygnięcie samego papieża, który wyrzekł, iż jak każdy w trzydziestu bitwach Turków pogromca, królewicz zrównany być tu może z cesarzem Karolem. Przeto otrzymawszy przywiléj kanonika kościoła św. Piotra, przywdziany w dalmatykę, wprowadzony jest do miejsca przechowywanéj świętości, którą ogląda z poszanowaniem i z podwyższonego miejsca tłumowi pobożnego ludu sam okazuje.

D. 2 stycznia 1625 r. wyjazd do Neapolu. U granic państwa wita w imieniu vice-króla księcia d'Alby, ochmistrz hr. Jan Deodati.

D. 8 stycznia Neapol. Odwiedzony z uszanowaniem przez vice-króla, ogląda osobliwości i okolice. Ku uczczeniu książęcia, vice-król przez dni dwa wyprawia okazałe zabawy, uczty, igrzyska rycerskie, turnieje i tańce.

D. 13 stycznia wyjazd z Neapolu; ochmistrz Jan Deodati odprowadza do granic, u których znowu przyjmuje, czekając z powozami papiezkiemi, Karol Magallotti.

D. 17 stycznia Rzym. Książę wysiada do pałacu św. Piotra, na mieszkanie dla niego przez papieża naznaczonego. Ojciec Św. postanawia, miecz i czapkę w czasie jubileuszu poświęcone, a przesyłane zwykle któremu z katolickich książąt, Władysławowi doręczyć. Obchód ten odbył się w kaplicy przybocznéj mieszkania papiezkiego, wedle umyślnie na ten raz ułożonego ceremoniału; przy stosownych modlitwach, Ojciec Św. własnoręcznie przykłada do boku Władysława miecz obosieczny, podobnież kładzie mu gronostajową czapkę na głowę. Następnie zaproszony jest królewicz do obiadu z papieżem: był w sali przyrządzony stół wywyższony pod baldachimem, a inny opodal po stronie prawéj nieco niższy; królewicz przyklęknąwszy podał przy umywaniu rąk papieżowi ręcznik, poczém papiéż zajął miejsce u stołu wyższego, u drugiego zaś usiadł książę na prostym taborecie drewnianym. Tak rzadkiéj uroczystości wielu znalazło się ciekawych, którzy dopuszczeni zapełnili salę. W ciągu uczty papiéż ze swego stołu posyłał królewiczowi potrawy, a rozmowa toczyła się między nimi przez pośredników. Kiedy Ojciec Św. spełniać miał kielich, wszyscy przytomni padali na kolana: królewicz powstawał odsłaniając głowę; jemu podawane było wino z ręki w kieliszku przez Kazanowskiego. W końcu uczty dała się słyszéć melodyjna muzyka i śpiewy na cześć zwycięztw króla polskiego, tudzież królewicza. Wtedy papiéż wziął z sobą książęcia do wewnętrznych pokojów, gdzie długo trwała poufna obu rozmowa. Tegoż dnia jeszcze wieczorem wrócił królewicz do papieża z pożegnaniem. Gdy obok niego zasiadł, osoby z jego orszaku przypuszczone są do ucałowania stóp Ojca Św., poczém kiedy królewicz składa najgłębsze swe uszanowanie, Ojciec Św. objąwszy jego głowę, tkliwie ją całuje i żegnając błogosławieństwa udziela. Przy samém odejściu kardynał Barberyni doręcza księciu i jego dworowi hojne dary, w relikwiach świętych i kosztownościach. W sam wieczór wspaniała uczta u Barberyniego.

D. 20 stycznia wyjazd z Rzymu, przy assystencyi do granic Karola Magallotti.

Toskania. Panował pod tę porę w Etruryi ród w dziejach zawołany Medyceuszów, z królewiczem blizko spokrewniony. Wielkim-księciem był młody piętnasto-letni Ferdynand II, mający przy sobie liczne rodzeństwo, tudzież matkę Wielką-księżnę, od lat kilku wdowę, Magdalenę, z rakuzkiego domu, cesarza siostrę, a Władysława po matce ciotkę. Zaproszony królewicz przez Wielkiego-księcia, znaléźć miał w Toskanii najokazalsze z całych Włoch przyjęcie. U granic czeka nań w świetnym poczcie Don Coloredo, daléj przyjmuje go stryj Wielkiego-księcia Don Lorenzo, w końcu wyjeżdża naprzeciw sam młody Ferdynand Medyceusz z braćmi: księciem Don Karolem i Don Maciejem. Po drodze, w pałacu Orsinich zastawiony był dla królewicza stół osobny, do którego po usilnych dopiéro jego prośbach, zasiąść takoż przystał z braćmi sam Wielki-książę. Wjeżdżają razem do Florencyi. Tu idą bez przerwy najrozmaitsze zabawy: wojenne ćwiczenia, gonitwy konne, walki dzikich zwierząt, widowiska sceniczne. Te ostatnie zwłaszcza odznaczały się wystawnością niezwykłą, z muzyką, śpiewem i tańcami przez osoby z dworu i samych książąt wykonanemi, urozmaicone dziwnemi zjawiskami: to szturmu Kolonii, to piekła i raju, to wzburzonego morza, to okazujących się rzek a między niemi Wisły.

D. 13 lutego w towarzystwie Wielkiego-księcia i jego rodziny, jedzie Władysław do Pizy, ztąd zaś do Liworno, gdzie po przeglądzie siły morskiéj, wszystkie okręty dają widowisko obrotów wojennych po morzu. Zdarzyło się, że na statkach toskańskich znajdowało się wielu niewolników do ciężkich robót skazanych, a bylito na morzach pojmani korsarze Polacy rodem, którzy dostawszy się do niewoli tureckiéj i tatarskiéj, przejściem do islamizmu wolność swą okupili, następnie zaś korsarzami zostawszy, w rozbojach morskich na chrześcianach niecnego wzbogacenia się szukali. Dowiedział się o nich królewicz, i uzyskał od Wielkiego-księcia udarowanie ich wolnością, przyczém wszyscy na łono prawéj wiary wrócili.

D. 20 lutego. *Wenecya.* Pobyt kilko-tygodniowy, w pośród rozlicznych zabaw i widowisk przez dożę z senatem wyprawianych. Odznaczyła się tu szczególniéj bitwa wodna na kanale wielkim, przez patrycyuszowską młodzież z wielką okazałością wykonana.

Marzec. Wyjazd z Włoch, jazda powrotna na Graetz miasto rodzinne matki, Wiedeń i Nissę.

Zbieg trafunkowy przybycia Władysława do Nissy, a wkroczenia do Szlązka silnego Lisowczyków oddziału, rzuciwszy postrach na kanoników wrocławskich, staje się powodem, iż obrali spiesznie biskupem Władysławowego brata, dwunastoletnie pacholę, królewicza Karola Ferdynanda.

Z Nissy w lecie 1625 r., po tak świetnie dopełnionéj podróży, powrót królewicza do Polski.

Opis i treść imionnika Kazanowskiego. Widzieliśmy wyżéj, że kiedy królewicz Władysław wybierał się na zagraniczną podróż, do składu jego orszaku wskazany został takoż piérwszy jego pokojowiec młody dwudziesto-pięcio letni Adam Kazanowski. Okoliczność ta otwierała mu zaiste pełne powabu widoki; odgadywać mógł łatwo, że będzie świadkiem okazałych zdarzeń, że się znajdzie w blizkiéj styczności z osobami w świecie podtenczas najwyżéj znaczeniem, rodem i ogładą wyniesionemi. Zapragnął przeto z góry utrwalić sobie nadal tego wszystkiego miłe przypomnienie, i zamierzył w przygotowanéj potemu księdze, uzyskać zawartych po obcych krajach znajomości pamiątkowe zapisy. Pomysł ten, niosący już w sobie dla usposobień umysłowych młodego człowieka tyle zaletne świadectwo, powiódł mu się téż najzupełniéj w skutku. Jakoż księga rzeczona w ciekawym zbiorze nazwisk, staje się pobytu owego za granicą królewicza jawném odbiciem, całego pasma jazdy jakby żywotnym wskazodrogiem. Wróciwszy do kraju, w dalszych czasach, kiedy sam Kazanowski wzmagał się coraz w znaczenie i wzrósł wkrótce w państwie na największego wpływu męża, nie zapominał, jak się okazuje, o imionniku swoim; trwając zaś w raz nadaném mu przeznaczeniu obejmowania wyłącznie obcokrajowych podpisów, podawał go w tym celu przybywającym do Polski znakomitym cudzoziemcom, którzy tu znowu nazwiska swe kładli. Tak więc z założenia nie mieli tam znajdować przystępu krajowcy; nie ma téż ich w imionniku wcale, prócz jednego tylko królewicza Władysława, który łatwym do wyrozumienia wyjątkiem, jako podróży owéj główny, że tak powiemy, bohater, a Kazanowskiego najłaskawszy pan i dobrodziéj, podpis swój w Wiedniu obok arcy-książąt położył. W zewnętrznéj postaci swojéj książka ta, małego podłużnego rozmiaru, w aksamit karmazynowy oprawna,

składa się obecnie ze 125 kartek pargaminowych, w większéj połowie zapiskami zapełnionych; miało zaś ich tam być o pięć więcéj, lecz takowe, jak to poucza poźniejszéj ręki w końcu zamieszczona uwaga, z niemałą zapewne dla całości ujmą, wydartemi ztąd kiedyś zostały. Przejrzawszy wewnątrz, uderza zrazu tak wielki zbiór najokazalszych nazwisk, lubo rozrzuconych tu w bezładzie: bo, jak się to zwykle w imionnikach dzieje, i tutaj zapisujący się nie zachowali po sobie następstwa, mieszcząc podpisy swe dowolnie gdzie się zdarzyło. Dawność rzeczy, a skład jéj ów nieco chaotyczny, utrudniają téż na wstępie całości ocenienie właściwe; atoli przy rozpatrzeniu się bliższém wychodzi na jaw jasno i myśl zbiorowi przewodnicząca, i zapisów samych znaczenie. Owoż zapisy te rozpadają widocznie na dwie odrębne epoki: piérwsza z nich obejmuje czas zagranicznéj królewicza podróży w latach 1624 i 1625, a druga ośm lat następnych z życia i pobytu w kraju Kazanowskiego; ciągnie się przeto od roku 1627 do 1644 włącznie. Z okresu piérwszego zapisy są najliczniejsze, bo téż podróż rzeczona była pobudką do utworzenia imionnika samego; podpisy są tu więc wszystkie po obcych krajach zebrane, a jest ich z téj pory razem 144. Z okresu drugiego podpisy dodatkowo już tylko uzyskiwane, wciągnięte wszystkie w Polsce, w małéj okazują się ilości: zaledwie 21 doliczyć ich można. Całość przeto zapisek w imionniku, ogólną liczbę 165 onych wykrywa. Epoka podróży królewicza, jak się rzekło, odbija się tu znamienicie; powtarzają się wiernie daty i miejscowości: od Nissy począwszy, widzimy pasmo jazdy: Wiedeń, Salzburg, Augsburg, Kolonią, Belgią, kraje nadreńskie, Alzacyą i Włochy. Zapisy w Niemczech i Belgii są najzasobniejsze, i znakomitością osób wielce zajmujące; za to Włochy odznaczone są tu słabo. Zastanawia to przecie niemało, bo kiedy z miejscowości innych tak silny dał się zebrać zapas głośno-brzmiących imion, z pobytu we Włoszech natrafia się ich tu ledwo kilka, a nie dopatrzy ani odwiedzonych tylu tam udzielnych władców, ani dostojników ich dworów, ani téż rzymskich książąt kościoła, nawet owego Poiski protektora kardynała de Torres, ani wreszcie weneckiego doży i senatorów. Być może, że w wydartych pięciu kartach znajdowało się takowych nazwisk cokolwiek, ale zawsze nie mogło ich tam być wiele; coby zaś dało powód do

tego ich prawie zupełnego braku, odgadnąć dziś już nawet przy. trudno.

Co do formy zapisek, panuje w nich pewna jakby za wzór przyjęta jednostajność; w najzupełniejszych dają się spostrzedz szczegóły następujące: naprzód krzyż, pod nim rok niekiedy krzyżem tamtym przedzielony, niżéj kilka lub więcéj początkowych głosek, znać tajemniejszéj myśli znaki, zagadką nam téż pozostające; potém jakaś rzucona myśl, zdanie religijne, moralne czy uczuciowe, dopiéro podpis i tytuły, w końcu miejsce i dniem oznaczona data. Szczegóły te niekiedy okazują się wszystkie, czasem niektóre tylko; bywa téż sam wyłącznie podpis.

Od śmierci Kazanowskiego, z upływem wieków, ileżto w kolejach ludzkich zmian i upadków! Z potęgi tyle w kraju przeważnego męża, co tak kiedyś rodem, wpływem i bogactwy błyszczał, cóż pozostaje? — oto jedyna, szczęśliwszym trafem dotrwała drobna pamiątka. Jak się i to zdarzyło, nie wiemy; to tylko pewna, że ta książka, z rozsypki wszelkich Kazanowskiego dostatków wyszła, błąkała się potém różnie w zmianie właścicieli. Jeden z nich, ten sam co nas o ubytku kilku jéj kart ostrzegł, wyższą ciekawością onéj może pobudzony, umyślił ją objaśnić, i różne téż tam przypiski pokreślił ale miasto ubogacenia, błędnością twierdzeń zrządził tylko książce szkodę: tak między innemi głosi, że Adam Kazanowski był marszałkiem wielkim koronnym, że roku 1624 wysłany został przez Zygmunta III do Wiednia jako nadzwyczajny poseł. Zaprawdę imionnik Kazanowskiego godzien jest gruntowniejszego rozbioru: takim się on i nam wydawał; staraliśmy się przeto objaśnić go bliżéj, w poglądzie na powiązane z nim zdarzenia i ludzi. Jestto bowiem bezsprzecznie cenny z tamtéj przeszłości zabytek, zbiór niezwykły rozgłośnych w świecie imion, podróży królewicza Władysława odbitny kommentarz, wreszcie dawno zagasłych czasów miłego wrażenia pamiątka, jak każdy od ich dochowany szczątek, bo to były jeszcze czasy świetności i chwały!...

Oto jest szereg zapisek imionnika, w następstwie dat i miejscowości ułożony, z dodaniem krótkich wyjaśnień co do osób samych.

Nissa.

†

1. *1624.*

13 Junii.

Desiderat anima mea ad te Deus.

Carolus A. A.

Brat cesarza Ferdynanda II, arcy-książę austryacki, mistrz zakonu teutońskiego, biskup wrocławski. Urodzony r. 1590 † 1624 w grudniu w Hiszpanii.

2. *Fortuna, chel restro ebaja.*

Fra Rudolpho da Collore baron de Walsa. Nissa l. 13 junij 1624.

3. *16 C. 24.*

Sic erat in fatis.

Rudolphus comes in Lichtenstein. Nizae, 13 Juni.

4. *Anno 1624 gli 13 Juni.*

Gasparo de Neihaus

Vendetta non fu mai tarda.

5. *1624.*

Ich Hanss Franz Ratsaubt sraib diss meinen vilgeliebten herren bruedern zur imerwerrender gedechtniss. Zur Neiss den 13 Junij.

6. *1624 den 13 Junij, Neiss.*

Die Augen in gemein

Das Herz vor eine allein

Joachim Beess Scherr.

7. *A. 1624 13 Junjj.*

Altri tempi, altri cure.

Nicolaus L Baro de Burckhaus et Stolz.

8. *16 S G L 24.*

Quidquid agis prudenter age et respice finem.

Zu..... Gedehtniss schrieb diss den 13 Junij.

Georg Ludwig Herr..... henberg.

9. *A dineros pagados braços quebrados.*

Henrique de Bibran. A° 1624 alli 13 di Gun.

10. *A Et M.*

Frisch und unvertzagt

Wer weis wer den andern jagt.

Hermann Burggraff zu Dohna. Nissae, den 13 Juny A. 1624.

Wszystkie powyższe podpisy są z jednéj daty 13 czerwca 1624, dnia poprzedzającego wyjazd z Nissy do Wiednia. Osoby zaś są widocznie należące do dworu arcy-księcia biskupa.

Wiedeń.

†

1624.

11. *Pietas ad omnia utilis*
Leopoldus Arch. Aust.

Brat cesarza Ferdynanda II, arcy-książę austryacki, hrabia Tyrolu, biskup strasburski i passauski, naczelny dowódzca wojsk cesarskich w Alzacyi w wojnie 30sto-letniéj. Ur. r. 1586 † 1632.

†

12. *1624.*
Consilio et industria.
Ferdinandus Ernestus.

Syn cesarza Ferdynanda II, następnie sam cesarz Ferdynand III, Ur. r. 1608, więc gdy to pisał, lat 16 wieku liczący. † r. 1657.

†

13. *1624.*
Timor Domini.
Leopoldus Wilhelmus.

Syn młodszy cesarza Ferdynanda IIgo, ur. r. 1614, zatém wówczas 10cio-letnie dziecko; poźniéj biskup passauski, strasburski, halberstadski, ołomuniecki i wrocławski, mistrz zakonu teutońskiego, wielkorządca Niderland; † 1662 r.

14. *16 A 24.*
D. J. F. C. O. L. O.
Vladislaus Sigismundus Prin. Pol. Se.

Jedyna zapiska krajowca; łatwy do zrozumienia względem królewicza wyjątek.

15. *16 † 24.*
W. B. W.
Maria Anna.

Córka cesarza Ferdynanda II, ur. 1610 r.; r. 1635 zaślubiona elektorowi bawarskiemu Maxymilianowi I; † 1665 r.

16. *16 † 24.*
J. C. B. Cecilia Renata.

Młodsza córka cesarza Ferdynanda II, ur. 1611 r., poźniéj królowa polska, zaślubiona r. 1637 Władysławowi IV, † 1644 r.

17. *1624.*
Quo fata volent.
Carolus ab Harach.

18. *16 MF 24.*
Quanto mayor os la fortuna
tanto menos es segura.
Leonardus Carolus ab Harrach. Viennae Austriae 12 Julij A° vos.

19. *16 C 24.*
Alles nach gotes willen
Maria Elisabet frau von Harrah freij.

20. *16* L *24.*
Maria Francisca frau von Harrah Geborne fürstin von Eggenperg.

21. *16* † *24.*
W. G. W.
Maximiliana von Harrah.

Ród hrabiów Harrahów bardzo znakomity; z niego współczesny Ernest Albert syn Karola ur. 1598, arcybiskup pragski, kardynał od r. 1626, † 1667.

22. *1624.*
N. M. B. B. Mansfeldt.

Bruno II hrabia Mansfeldt, ur. r. 1576 † 1644, w. koniuszy cesarza. Był z téj odznaczonéj rodziny ze stronnictwa katolickiego.

23. *1624.*
W. S. L. Francissga Gräffin zu Manssfeldt.

24. *Anno* † *1624.*
Deus ipse dabit virtutem.
Johann Gefürster Graff zu Hohen Zollern.

Jan Jerzy hrabia Hohenzollern posiadał łaski trzech cesarzów: Rudolf II mianował go szambelanem i radcą stanu, Maciéj prezesem rady cesarskiéj, Ferdynand II r. 1623 księciem Imperyi.

25. *1624.*
W. W. W. W. W. W.
Maria Renadia Greffe undt Frele zu Hohen Zollern.

Córka poprzedniego Jana Jerzego, zamężna Hugonowi hr. Königsegk.

26. *16 M 24.*
W. W. W. W. N. R. S.
Egon Graff zur Fürstenberg.

Ur. r. 1588, znakomity wojownik, dowódzca wojsk cesarskich, † 1635 r.

27. *16 E 24.*
J. B. F. G. A.
Anna Maria Grefin zu Fürstenberg geborne Greſin zu Zollern.

Żona poprzedniego, z domu księżniczka Hohenzollern, córka Jana Jerzego, którego podpis powyżéj.

28. *1624.*
HE
W. U. V. Z.
K. M. U. W.
Jacob Ludwig Graff zu Fürstenberg HE.

Brat poprzedniego Egona, wielki mistrz artyleryi bawarskiéj, w wojnach wielce odznaczony, † 1626 r., licząc lat 34 wieku.

29. *16* L *24.*
G. M. H. B.
Helena Elleonora Groffin zu Fürstenberg.
Żona poprzedniego Jakóba Ludwika, córka Wilhelma Schwend pana zu Hohenlandsberg.

30. *16* (F *24.*
J. Hanibal Graff zu Hohen Embs, Gallara und Vadutz mpria.
Jakób Annibal hrabia Embs.

31. *16* HF *24*
A. J. W. G.
Francissca Graefin zur Hohen Embsz Geborne Gräfin zur hohen Zoller.
Córka Jana Jerzego, a siostra Maryi Renaty i Anny Maryi, których wszystkich podpisy powyżéj.

32. *16 M. 24.*
S. C. E. A.
Ernest Graff von Montecuccoli.
Generał artyleryi wojsk cesarskich.

33. *9 Julij.*
16 W. W. W. W. 24.
Ferben et bufello nel mare
Sico el pesce nollo coignosce
Coigno seriullo il credifural.
Gabriel Pachum (?) *von der Schönau Erbherr zu der ähs undt Rgau*
Königl. Pl. Majest. bestelter Obrister..... (?)

34. *Qui non habet quod speret desperet nihil.*
Christophorus Teufel L. Baro in Gunderstorf. Viennae 14 Julj 1624.

†

35. *16 S 24.*
G. S. M. T. Y. M. N.
Barbara von Gundersdorf geborne Haunaltire Witib.

36. *1624.*
Anna Eusebia Teuflin.

37. *Effrosinna Maria Teufflin.*

38. *16 X 24.*
A. N. D. W. H.
Anna Maria Erbthruchsässin Frewlin zu Walpurg.

†

39. *Fortuna dara lugar.*
Wenceslaus Baro de Werbna et Frejdenthal.

40. *1624.*
G. A. J. E.
Maria Sidonia freille von Starhemberg. (?)

41. *1624.*

Edlers auf erden habe ich nie gefunden
als E..... von herzen und stile von munde.
Elisabet frauw von Ditrichstein geborne Berekin wittib.

Dietrichsteiny wielki ród z Karyntyi, u dworu wiedeńskiego ciągle wysoko położony i znaczący.

†

42. *A° 1624.*

Nach got mein verlangen.
Anna Maria greſin von Rosdrasoff geborne Beckin.

43. *16 o 24.*

Ein gedreies herts ist zu lieben in ewigkeit.
Mari greſin von Rossdrazav.

Znakomita rodzina czeska, z któréj gałąź kwitnęła w Polsce. Rozrażewscy hrabiowie na Ponsdorf, dobrach w Czechach posiadanych, dom w Polsce możny i wyniosły. Z niego Jan na Krotoszynie kaszt. poznański † 1628 r., Jan kaszt. rogoziński i syn jego Hieronim biskup kujawski † 1600 r. w Rzymie, mąż wielce odznaczony.

Salzburg.

44. *N. D. C. D.*

Paris Archiepiscopus Salisburgensis.

Monachium.

45. *16 E 24.*

Dominus Virtutum Nobiscum.
Maximilianus utriusque Boivariae Dux S. R. Imp. Archidapifer et Princeps Elector.

Maxymilian I przezwany Salomon, książę bawarski elektor, ur. r. 1573 † 1651; poźniejszy przez drugą żonę Austryaczkę szwagier króla Władysława IVgo.

46. *16 M 24.*

En Dieu gesper.
Elisabet Duchesse de Bauier Electrice.

Żona Maxymiliana I elektora bawarskiego, córka Karola II księcia Lotaryngii, poślubiona r. 1595 † 1635.

47. *16* R *24.*

Agnosce dolce emenda.
Gulielmus Bauariae Dux.

Wilhelm Vty przezwany Młody, książę bawarski ur. 1548; zdał rządy państwa synowi Maxymilianowi I r. 1596, a sam osiadł w klasztorze Kartuzów pod Ratyzboną, gdzie † 1626 r.

Augsburg.

Następne cztery podpisy zdają się być z téj miejscowości, jako razem pisane, a między niemi Függerowa, którato rodzina jest augsburg-

ską; a widzieliśmy, że w Augsburgu królewicz Władysław w domu Fuggera ugaszczany był świetnie.

48. *Maria Elisabetha Freyin von Terring.*

49. *Catharina Sidonia Függerin Freijin.*

50. *Anna Elisabet freyin von Fraunhofen.*

51. *Anna Catharina von Closen zu Heidtenburg.*

Kolonia.

52. *Es major perder haziendo virtud*
que ganar dexandola de hazer.
J. Baron de Virmond. Colonia 1624 d. 28 d'Augusto.

53. *Candor et Sinceritas Deo et hominibus grata. 1624.*
Joannes Jacobus Baro in Königsegg Dnus Comitatus Rottenfelss, Praepositus Labecensis, canonicus Coloniensis et Salisburgensis. Die 30 Augusti, Coloniae.

Koningseck miasteczko Szwabii i hrabstwo, z którém połączone państwo Rottenfels.

Belgia. Bruxella.

54. *16 † 24.*
Isabel. Clara Eugenia.

Infantka hiszpańska, wielkorządczyni Niderland, córka Filipa II króla hiszpańskiego, ur. 1566 r., zaślubiona r. 1598 arcy-księciu austr. Albertowi, wdowa od r. 1621 † r. 1633.

55. *16 L 24.*
Christoffle Conte et Seigneur D'ost Frise.

Syn Edzarda II z Ostfrise hrabiego Embden; wielki wojownik, kawaler Złotego Runa, gubernator Luxemburgu.

56. *Neulle gloire sans honneur.*
Lamberte de Ligne.

Ród książąt de Ligne bardzo znakomity i w świecie rozgłośny, w Belgii podówczas i poźniéj wyniosłe położenie posiadający. Lamberta córka Lamorata piérwszego księcia de Ligne, żona naprzód Filiberta de la Baume, potém Krzysztofa Ernesta d'Ostfrise hr. Embden, a od r. 1640 Jana Chrzciciela de la Baume. Szczególnie, że się nie pisze po mężu.

57. *Un seul au coeur.*
Alberte Marie de la Baume.

Rodzina de la Baume bardzo odznaczona. Alberta Marya córka Filiberta de la Baume margrabiego Saint-Martin i Lamberty de Ligne poprzedniéj; żona naprzód Ernesta Krzysztofa hrabiego Ostfrise, potém od r. 1642 Karola de la Baume w służbie hiszpańskiéj w Niderlandach zostającego.

58. *Philippus Dei gratia Princeps Comes Arenbergius Dux Arschotanus.*

Filip Karol książę Aremberg, Duca Arschot i Croy, hrabia Porceau, kawaler Złotego Runa, w. sokolnik niderlandzki od r. 1627, † w Madrycie r. 1640.

59. *Isabelle de Berlaymont par la grace de Dieu princesse contesse darenberghe duchesse darschot.*

Córka Floryana hr. de Berlaymont, druga żona od r. 1621 poprzedniego Filipa Karola księcia Aremberga, † r. 1630.

60. *1624.*

Claire Eugene Darenberghe.

Córka Filipa Karola poprzedniego z piérwszéj żony Hipolity Anny de Melun; wyszła za mąż za Alberta d'Aremberg Duca de Croy, księcia de Chimay swego ciotecznego brata; † 1660 r.

61. *1624.*

Anne Marie Darenberghe.

Siostra poprzedniéj z téjże matki, panna. Była u dworu infantki Izabelli przyboczna jéj osoby, ménine.

62. *Isabelle Francoise daremberghe.*

63. *Anne Carline darembergue.*

64. †

16. W. J'ayme qui m'ayme Cij. 24.

Carolus Alex^r Dux à Croij Sac^i Rom^i Imperij Princeps Marchio de Havre.

Karol Alexander sire i duca de Croy, markiz d'Havré, książę i marszałek dziedziczny cesarstwa, hrabia de Fontenoi, vice-hrabia d'Havrache, grand hiszpański, kawaler Złotego Runa; ur. r. 1581 † 1624 w listopadzie, zabity w swoim pałacu.

65. *Mejor alto mirar que baxo alcançar.*

Geneure d'Orfé Duchesse de Croij.

Genowefa d'Urfé zaślubiona r. 1617 Karolowi Alex. księciu de Croy poprzedniemu, potém Antoniemu hr. de Mailli vice-admirałowi francuzkiemu; zmarła r. 1664.

66. *16 † 24.*

Marie Claire de Croy.

Córka poprzedniego Karola Alexandra z piérwszéj żony Yolandy de Ligne. Była zaślubioną Karolowi Filipowi de Croy markizowi de Renti, powtórnie Filipowi Franciszkowi de Croy vice-hrabiemu de Langle. † w Nancy 1664 r.

67. *1624.*

Jenne Francoyse De Croy.

68. *Una sola aurora ha de uencer noche.*

Madeleine d'Egmont.

Z rodu wielce znakomitego hrabiów Egmontów. Córka Karola II hr. d'Egmont, ks. de Gavre; zaślubiona r. 1613 Alexandrowi księciu de Chimai i d'Aremberg. Dziwno, że się nie pisze nazwiskiem męża.

69. *Jusqua la morte.*
Philipe Sabine Degmont.

Siostra poprzedniéj, żyła w stanie panieńskim.

70. *Juliaijne Sabine de Hornes.*

Starożytny ród niderlandzki.

71. *La perseverança*
Toda cosa aliança.
Maria van Peck S.
1624.

Piotr Peck pan de Bouchaud, de Borsbeque, radca w Malines, potém kanclerz Brabantu, mąż uczony, † 1625 r. Zapewne owa Marya należała do téj rodziny; może tamtego żona albo córka.

72. *1624.*
Fidelite oblige S.
Isabelle de Vertain.

73. *Luisa Osorio.*

Wielki i bardzo starożytny ród hiszpański.

74. *1624.*
Isabelle Albertine de Brouay.

75. *1624.*
Jaqueline de Lalaing.

76. *1624.*
Dona Margarita Coloma.

77. *1624.*
Ysabelle Coloma.

78. *1624.*
Louise de Noielle.

Ród znakomity w Belgii; widzieliśmy w podróży królewicza, jak był przez hrabiego de Noyelles w imieniu infantki przyjmowany; podpisu jego przecie nie ma.

79. *1624.*
Marie Adriane de Boassu.

80. *1624.*
Vertu pas tout.
Anna Maria Baronne de Batenburch.

Batenbourg, Arx Batavorum, miasteczko Geldryi, baronia. Roku 1568 dwaj bracia barony de Batenbourg ścięci zostali z rozkazu księcia d'Alby, który wtedy powiedział, że lepsza głowa jednego łososia, jak mnogość drobnych rybek.

81. *1624.*
Anne Caterine de St. Aldegonde.
Znakomita rodzina belgicka, pochodząca z Sabaudyi.

82. *Marie Lenor de Balanso.*

83. *Mi firmeca esla mudanca.*
Dona Madalena de Pereda y salinas.

84. *Audaces fortuna vollat.*
Ferdinand Dandelot Mre (maitre) d'ostel de son Al. la senissime Infante dona Isabel. 14 8bre 1624.
Ta zapiska ma datę dnia wyjazdu Władysława z Bruxelli.

Kraje nadreńskie, Alzacya.

85. *Plustot mourir que changer.*
Herman Fortunat Marquis de Baden.
Syn młodszy margrabiego Edwarda, brat margrabiego Wilhelma; ur. 1596 r., † 1664. Mieszkał w Rodemach; miejscowość przywiedziona w podróży w końcu października 1624 r., zatém i z téj daty musi być ta zapiska.

86. *1624.*
P. P. Q. D.
Johann Casimir Wildt undt Rheingraff, Graff zu Salm, undt Herr zu Vinstingen, Obrister und Ritter.
Wielka a rozgałęziona rodzina Wildt i Rheingrafów czyli hrabiów Lasów i Renu. Jan Kazimiérz zdaje się syn Ottona, początkujący linię Kirburg.

87. *1624.*
Tout pas amitié, rien par force.
Otto Wildt undt Reingraff zu Salm, undt Herr zu Vinstieng, dess heilig reichs Ritter undt ob.
Brat poprzedniego, syn Ottona z linii Merching i Kirburg; ur. r. 1578, † 1637.

88. *1624.*
Tout avec le temps.
Wilhelm Ludwig Graf zu Nassau Sarbrücken.
Ród wielki i rozgałęziony. Ten hrabia Wilhelm Ludwik ur. 1590 r., † 1640 r.

89. *1624.*
Cader non puo chi ha virtu per guida.
Johann Graf zu Nassau Sarbrücken.
Brat poprzedniego, ur. 1603, † 1668 r.

90. *16 M 24.*
Tout à temps.
Jorge B. de Flecktinstein.

91. *Sufra quien penas tiene con*
tiempo tras tiempo viene.

Pod tém podpis niemiecki nie do wyczytania.

92. *Curage sans rages.*
Francois Ernest baron de Crehange.

93. *Corage sans rage.*
Lotharius baron de Crechange.

94. *16* M *24.*
Mort au Meuilieur sort.
Georg Friderich L. B. Rapolfstein.

Baronia Rapolfstein zowie się po francuzku Ribaupierre, a leży w Alzacyi powyżéj Schelestatu.

95. *16 S. 24.*
G. B. M. H.
Anna Ottilia Freilein zu Rappolstein.

96. *16* A. *24.*
Prudentia virtutis rector.
Eberhardt Herr zu Rappolstein.

97. *16* E *24.*
Agatha Frauw zu Rappolstein Geborne Grefin zu Solms.
G H G F D M G

Żona poprzedniego, córka Jana Jerzego hrabiego Solms z linii Laubach; ur. 1585, zaślubiona 1609, † 1648 r. Jéj siostra Dorota była za Janem Kazimierzem Rhingrafem.

98. *Ehr, wahr, und gute Lehr*
Kein Edelman bedarf nit mehr
Georg Thieltrich von Wange, Sr. Röm. Kai. May. Camerer, höchst D..... Ertzh: Leopoldi zu Oesterreich Geheimer Rhat, Obrist Cammer....., und Landevoge in der Ortenale. 6 9ber A° 1624.

99. *1624.*
Mon delice s'esclost de la difficulté.
Zur dienstfreundtlichen gedechtnies schrib diss in Einheim den 8 octob. Hannsz Georg von Seebach.

W dacie widoczna myłka piszącego, bo to musiało być 6 listopada, równocześnie z podpisem poprzednim. W opisie podróży widzieliśmy królewicza w Einscheim, a bytność tam jego wypada właśnie na ową datę piérwszych dni listopada; 8 października był jeszcze w Bruxelli.

100. *1624.*
Esperence avec patience.
Wolff Ludwig Böckhle von Böckhlinssaw. hochedl. Ertzhertzog Leopold zu Oestreich Cammerer.

101. 1624.

Krigen wigen undt schwigen.

Ritter Ernst von Lützelburg; der Rem. Kej. Maj. bestelder haubtman der hoh. furst. dh. Ertzhertzog Leopoti zu Ostereich Kammerrad obrister Falckenmeister.

Cztery powyższe osoby przyboczne arcyksięcia Leopolda, brata cesarza Ferdynanda II, który w Alzacyi był naczelnym wodzem wojsk cesarskich, a pod tę porę przejeżdżającego siostrzeńca królewicza Władysława w Sawernie przyjmował.

102. *16 Ut seminaveris metes 24.*

Franciscus comes à Lodron.

103. *16 † 24.*

La Esperanca me entretiene.

Joannes Georgius Liber Baro in Froberg.

104. *Dum spiro spero: 162te.*

Joannes Fridericus Liber Baro à Holtig.

105. *16 A. A. A. 24.*

Maria Elisabetha Graffin zu Sultz.

Sultz w Alzacyi niedaleko Kolmaru.

106. *1624.*

e l h j d n v w v j doff.

Maria Gräffin von Arh.

W Alzacyi.

Włochy.

107. *1624.*

Propriis nitor.

Franciscus de Caretto Marchio Gran.

†

108. *1624.*

ME.

Lux orietur justo et recto corde laetitia.

Illmo Dno Adamo Kasanowsky Dno et Amico suo veteri hęc in sui recordutionem posuit Johannes Philippus Furrianus S. R. J. et Vallissaseinę Comes.

Ten podpis objaśnia najwyraźniéj, że imiennik był Adama Kazanowskiego.

109. *16 HF 24.*

Leonora Maria Gonzaga.

Którato była księżniczka z owego wielkiego rodu, trudno jest dojść obecnie: współczesnych jest kilka, to Maryj, to Eleonor. Zdaje się podpis w Mantui.

110. *Id equius quod validius*

Ferdinandus de Capua.

Ferdynand z Kapui książę di Termoli. Bratem jego młodszym był Annibal z Kapui arcybiskup neapolitański, nuncyusz w Polsce w latach 1587—1590, którego korrespondencyą z téj epoki wydał i uczenie objaśnił Alex. hr. Przezdziecki. Zapis zdaje się w Neapolu. Termoli miasto w królestwie neapolitańskiém.

Miejscowości wątpliwe.

111. *16 † 24.*
Amor et vigioia non conportan corporia; Carlo di Strosoldo.

†

112. *16 A 24*
In alem Unglik pestandig (?)
Anna Julia grafin zu Vallmarana wittib. geporne grafin von Porcia.

113. *P. V. H.*
Margarita Con^{ssa} de Porcia.

†

114. *16 C 24.*
Anna Maria Formentina freijn angeporne freyin von Rorbach Wittib.

115. *16 † 24.*
Elisabeta Scolastica Formentina.

116. *1624.*
O. G. W.
Aurora Catarina Formentina.
Pięć powyższych podpisów dam może w Bruxelli.

117. *Anno 1624.*
Omnia tentate.
Georg Wilhelm..... Felssenstein.

118. *16 A. P. A. 24.*
Christoforo Simon Barone di Thonno.

119. *1624.*
Antes muerto que mudado Wo. Sig. G. bundszlosensteid (?).
Podpis niemiecki trudny do odczytania.

120. *16 M 24.*
A. M. Q. M.
..... Jacob..... Graf zu Go.....
Pismo trudne do odgadnienia.

121. *1624.*
Anna lisell von Churstein (?)

122. *A. H. E. E.*
Hipolita Franszisska frielle von Hos ..... (?)

123. *16 † 24.*
Perpetua freile von Pas.

124. *1624.*
I. M. H.
Pollixena freile v ..... (?)

125. *16 H 24.*
g. m. h.
Maria .... Grefin zu Got ..... (?)

126. *1624*
Warbora ff von Rehberg geporne von Hosling wittib.

127. *Catharina Maria freyin von Tering zum Stein.*

128. *Eva Christina freyin von Tanberg.*

129. *1624.*
Antonia W greuin uf zu Isanbourgh wythe geborne gffg von Arenbergh.
Ród Arembergów kilkakrotnie powyżéj w Belgii.

†

130. *16 H 24.*
Wie gott will
Urssula Frau von Klimissein geborne Breinerin Freyin Wittib.

131. *1624.*
Wie gott vil scho ist mein.
zil zu gott unser frau.
Mari Falinite Pranek frein (?)

132. *16 † 24.*
Zu gott mein hoffnung
Ursula Marina Echerig.

133. *16 † 24*
C. I. W. A.
Anna Constanita Zöllern (?)

134. *16 † 24.*
Gott hilft aus not
Anna Apolonija freile von Hoijm (?)

135. *A 16 † 24*
Mich erfreut was ewig bleibt
Cunigunda Proskowskin geborne graffin von Guffenstein.
Prosskau na Szlązku około Opola.

†

136. *Ano 1624 Jarrss.*
Wie Gott wiel soh ist mein Ziel
Catharina Polexima freielein von Prosskau.

137. *Anno 16 † 24 Jarss*
Nach Gott und Ehr-stedt mein begar
Cunigunda Franzischke Freillein von Proskau.

138. *Anno 16 † 24 Jars.*
Wie Gott wiel wer werden
Anna Juliana Proskowskin geborne Frein von Kochliz.

139. *Anno 16 † 24 Jars.*
Mein verdraun hab ich auf got
Eusebia Raidt haubtin (?)

140. *1624.*
Gott wendt mein Elendt
Elena Marttha geborene Saffgottschein auss dem hauss Wilschin undt . . . . frein auff Glessen wittib.

141. *A. 16 † 24.*
Auff gott undt unser libenn frauen
ist meine beste hofnung undt fertrauen.
Elisabet Euzebie zasticzlin (?) geborene frey frau Pinske.

142. *1624.*
Al mein Anfang mietel und entstet ales in gotes hent.
Marie Matelene Ratabien geborne Bruskhefien.

143. *16 M 24.*
Hilf gott mit freundt, zu ehren und Seligkeit
Dorothea Cristiana Strachwitzen geborne von Panowitz map.

144. *1624.*
Hoffnung hab ich,
Gott erfreij mich.
Sibilla Maximiliana von Strachwitz mp.

Zapisy z lat poźniejszych w Polsce.

145. *1626.*
Jean de Croy Comte de Solre.

Bardzo wielka rodzina we Francyi i Belgii. Jan de Croy hrabia de Solre, baron de Molembais i de Beaufort, kawaler orderu Złotego Runa, † 1640 r. Nie wiadomo co robił w Polsce podtenczas.

146. *Quien no miro y piensa, premero q intente,*
Un vano suspira, tarde se arrepiente. 1626.
L. Baron d' Auchy.

Baron d'Auchy był posłem Filipa IV króla hiszpańskiego do Zygmunta III w czasie wojny ze Szwedami wyprawiony, a przyrzekał w imieniu swego monarchy silne posiłkowanie.

147. †
Constant en foy, fidel au Roy
Franc en discour, et en amour
Entier amy, sans jalousie
Sera Custine, toute sa vie.
Loüis de Custine Sr de Villerlerond 26 Juing 1626.

Znakomita i starożytna rodzina belgicko-francuzka. Który był ten Ludwik? dojść trudno, bo tego imienia było ich kilku współczesnych. Również nie wiadomo, co go zaprowadziło wtedy do Polski.

148. *Potius mori quam fędari.*
Annibal Gonzaga filius Hypoliti Marchionis Castandolarum, Comitis S. Pauli, equitis Redemptoris Sque R. I. P.
Die 18 Decembris 1627.

Ze świetnego domu Gonzagów, krewny Maryi Ludwiki Gonzagi księżniczki Niwerny i Mantui, poźniéj żony Władysława IV. Kto był ten Annibal, jako téż co w Polsce robił, nie jest wiadomo; zdaje się, że musiał być wtedy młodzieńcem, kiedy wypisuje tytuły nie swoje, ale ojca.

149. *Quo percusus eo resurgit.*
Dominus Antonius Maluzzius nobil.
Bononiensis Eques Santi (sic) Jacobi.

Zapewne poprzedniemu towarzyszący w Polsce, gdyż zapiska jego widocznie równoczesna z poprzednią, zaraz pod nią jednymże atramentem skreślona.

150. *Omne solum forti patria*
16 Vive la guerre 28
Julius Heinrich Herzog von Sachsen.

Książę sasko-lawemburski, syn Franciszka II, urodzony r. 1586 † 1665. Jako katolik, służył cesarzowi wojennie. Drugą jego żoną była Radziwiłłowa po księciu Januszu wdowa, z którą się ożenił d. 27 lutego 1628 r. W czasie wojny w Polsce ze Szwedami, wojsko cesarskie posiłkowało Zygmunta III pod wodzem hr. Arnhejm; że nie był przychylny sprawie polskiéj, Zygmunt III zażądał zmiany dowódzcy od Waldsteina księcia Friedlandu, naczelnego wojsk cesarskich dowódzcy. Ten w miejsce Arnheima przysłał Henryka Juliusza księcia Sasko-Lauenburskiego, ale i ten nie był szczery sprawie polskiéj, a choć się tak w zapisce za wojną ogłasza, źle się bił wtedy. Po nim przysłany znowu na dowódzcę Niemców Filip Mansfeld.

151. *16 H 28.*
A. N. G. W.
Elisabeth Sophia Geborne Marggraffin aus Kuhrfurstlichen Stam zu Brandenburgk Herzogin zu Sachsen mp.

Córka Jana Jerzego elektora brandenburskiego, urodzona r. 1589, poślubiona r. 1613 Januszowi księciu Radziłwiłłowi zmarłemu r. 1621, z którym miała syna Bogusława. R. 1628 zaślubiona powtórnie z księciem Juliuszem Henrykiem sasko-lawemburskim powyżéj podpisanym, zmarła r. 1629.

152. *16 ⨯⨯ 28.*
H. N. D. W.
Louys Philippe Prince Palatin du Rhin Duc de Baviere.

Zdaje się Ludwik Filip syn Fryderyka IV księcia bawarskiego, hrabiego palatyna Renu, elektora; urodzony r. 1602 † 1655. Coby robił wtedy w Polsce? nie wiadomo.

153. *1628.*
Emitur sola virtute potestas
Gottofredus de Martnis.

154. *1633.*

Quien bien ama tarde olvida
E. Pg. Descruela.

Poseł króla hiszpańskiego z powinszowaniem wstąpienia na tron Władysława IV przysłany; przybył do Krakowa d. 26 lutego 1633 r., a Radziwiłł w Pamiętnikach; a za nim K. Kwiatkowski w Dziejach panowania Wład. IV, piszą go Cerevella.

155. *A° 1633 Martij 12 Cracoviae.*
Virtus post funera vivit.
Wenceslaus Michna Comes de Vatzinona.

156. *Anno 1633 diae 12 Martij*
Moderata durant
Felix Marchio Pallavicinus Cracoviae.

Ród starożytny i bardzo znakomity rzymsko-genueński, liczący kilku kardynałów, dożę genueńskiego i wielu odznaczonych mężów.

157. *Festina lente.*

Franciscus Fugger Comes in Kirchberg et Weissenhorn Dns in Dollweib Illmae Dnis Vrae servus semper obsequentissimus. 1633.

Zapewne ten sam Fugger, który r. 1624 w domu swym w Augsburgu wspaniale podejmował królewicza Władysława podróżującego. Obecnie był on zdaje się posłem bawarskim, wstąpienia na tron winszującym.

Fuggery rodzina bardzo zamożna i odznaczona z miasta Augsburga. Byli początkowo kupcami, którzy się na handlu ze Wschodem wielce wzbogacili, a doszli do ogromnych bogactw i obszernych posiadłości ziemskich, tak, że w Niemczech poszło w przysłowie: bogaty jak Fugger. Cesarz Maxymilian I nadał temu rodowi szlachectwo, a Ferdynand II tytuł hrabiowski. Gdy cesarz Karol V znajdował się w Augsburgu, stał w ich domu, przyjmowany z największym przepychem: między innemi założyli komin cynamonem, a okazawszy cesarzowi rewers jego na bardzo znaczną summę, którą im wypłacić zobowiązał się był, podpalili nim ów cynamon w kominie, racząc cesarza tyle mu przyjemném światłem i wonią.

158. *Levius fit patientia quidquid perferre est nequam. 1633.*
Agustinus Leonardus Hispanus.

159. *Ozar morir de la vida*
D. Alegretto Alegretti.

160. *Todo el dinero lo alcanza, todo lo consume el tiempo todo lo acaba la mureto. 1633.*
Don Diego de Quiroga Espannol.

Powyższe podpisy z r. 1633 są zapewne poselstw od zagranicznych dworów, z powinszowaniem Władysławowi IV wstąpienia na tron.

161. *Salvor ut vincar*

Alfonzius Amoroltus Andreazius Marchio Trevillę Legatus Ser^mi D. Ducis Mantue ad Majestatem Regis Polonię.

Zapiska bez daty, niewiadomo czy wysłannik z r. 1633, czy może poźniejszego roku, a być może, iż jeszcze do króla Zygmunta III w ostatnich latach jego panowania.

†

162. *Ni merecer, ni alcançar puedo, amando lo, que quiero mas quanto mas desespero menos me puedo mudar.*

Don Antonio de Meneses y Vendugo.

Ten podpis bez daty, zapewne jakie poselstwo hiszpańskie. Z rodziny Meneses byli mężowie odznaczeni w Hiszpanii i w Portugalii: Alexy arcybiskup Goa w Indyach, potém Bragi w Portugalii, vice-król portugalski, † w Madrycie 1617 r.

163. *Multum interest in quae quis tempora incidit Interim tamen Adhuc coelum volvitur.*

E. F. A.

Haec paucula ad conservandam sui memoriam lubens meritoque reliquit Serenissimi ac potentissimi Daniae et Norwegiae Regis Christiani IV ad S. R. M. Poloniae Legatus Dionysius von Pudewelss auff Pudewelss Dominus in Grani. Warsowie Octavo Id. Novemb. A° 1644.

Roku 1644 posłował od króla duńskiego, prosząc o pomoc przeciwko Szwedom w Holsztynie.

164. *A piu fedele.*

Vicconte Deflecelles Bregy et Corbeil. Fratello realissimo. Servitore fedele del Monseignor Mareschalco Cazanoski.

Hrabia de Bregy de Flécelles generał lejtnant francuzki, radca stanu od szpady; r. 1644 był posłem króla francuzkiego do Władysława IV, wysłany z obżałowaniem po śmierci królowéj Cecylii Renaty, a z tajném zleceniem ofiarowania nowego związku z którą z księżniczek francuzkich.

Ta zapiska jak inna powyżéj znajdująca się, udowadnia kto był właścicielem książki.

165. *Carola de Saumaise Chasans.*

Podpis umieszczony obok nazwiska poprzedniego. Jestto żona hr. de Flécelles, Karola Saumaise de Chazan, dama honorowa królowéj francuzkiéj Anny Austryaczki. Byłato pani niepospolitego rozumu, któréj zbiór listów i wierszy został drukowany w Lejdzie r. 1668, a zostawała w korrespondencyi z najpiérwszemi znakomitościami umysłowemi swego czasu, jak również z królowemi owéj epoki. † 1693 w Paryżu licząc lat 74 wieku. Widać, że towarzyszyła mężowi do Polski.

GŁOWA I SERCE.

OPOWIEŚĆ

Adama Pługa.

Są ludzie, co światowe księgi rozumieją.
Widziałem ja tych ludzi własnemi oczyma:
Świecą, jak zimny kamień przysypany żarstwą.
Ich księgi—mocny Boże! ach czegoż tam nie ma!
Cha! cha! cha!.. .. tylko prawdy ani na lekarstwo!
Nad niemi mędrcy łamią swe uczone głowy,
Nie wierząc w innych ludzi doświadczenia stare;
A chcąc wszystko wyłożyć przez rozum książkowy,
Tylko serce swe suszą, tylko tracą wiarę!
Ejże! źle im bez serca..... ich oschła nauka
Sama im wykazuje swą lichotę biedną;
Czuje mędrzec ból w sercu i w głowę swą puka....
Ej panie! głowa, serce, to nie wszystko jedno!

Wł. Syrokomla.

Niegdyś, za błogich studenckich latek, podczas wakacyj, namówiłem kilku kolegów na artystyczno-naukową wędrówkę z Kijowa ku Czarnemu morzu. Łatwo mi to przyszło; bo w młodości jeśli o co trudno, to pewno nie o wykonanie awanturniczych projektów. Wprawdzieto awantura awanturze nie równa, i więcéj jest takich, którym zielony stolik milszy niż akkermańskie stepy, a sok winogrona w butelce powabniejszy niż malownicze jego wieńce na krymskich wzgórzach i zwaliskach. Ale i takich nie brak, którym wspomnienie Złotéj Hordy, Zaporoża, Cecory, Żwańca, Owidiusza, elektryczną iskrą serce przejmuje i żądzą wielkich czynów zapala. Takich téż wezwałem z sobą; i z tłumoczkami na plecach, z pielgrzymiemi kosturami w ręku, z bujném marzeniem w głowie, wyruszyliśmy w imię Boże malowniczemi brzegami Dniepru.

Było to w połowie maja, cała więc Ukraina i Podole zdawały się jednym kwitnącym ogrodem, a raczéj owemi bajecznemi Hesperydami Greków. Malownicze wzgórza okryte cudnemi gajami i sadami w kwiecie, rozrzucone po żyznych łanach żyta i pszenicy, jakby zalane bujającą modrawą falą, były podobne do malowniczych wysp śród igrającego oceanu. Dodajcie jeszcze do tego urok wielkich pamiątek, które w tych krajach człek na każdym kroku spotyka; a łatwo pojmiecie, dlaczego wspomnienie téj wędrówki do najmilszych w życiu zaliczam.

To lądem, to wodą, stosownie do piękności okolicy, przenosząc się to na brzegi Dniestru, to Bohu; prosząc o gościnę to u wieśniaka, to u księdza proboszcza, to u poczciwego ziemianina; obozując to z Czumakami, to z rybakami; zbierając baśnie i pieśni i stare podania, monety, medale, kwiaty i zioła; wszędy mile witani, żywiąc się mleczywem i chlebem, krzepiąc się źródlaną wodą, piosnką i gawędą, nie czując znużenia: — we trzy tygodnie ubiegliśmy ze sto mil drogi. Pęczniały tłumoczki i teki, pejzażów i rymów mnożyło się bez liku, bo mieliśmy zkąd czerpać; a jeśli w utworach naszych niedość kunsztu było, to nie okolicy wina:

Bo piękne to kraje! tam niebo bez chmurki,
Tam ziemia się zdaje rozkosznym ogrodem;
Tam winna latorośl przystraja pagórki,
A rzeki tam płyną i mlekiem i miodem.

Tam wiatr, co od Krymu przynosi tumany,
Pieśń nuci bojową i dumy rzewliwe;
A wtórem mu dźwięczą dwa bardy sędziwe:
Dniestr z Bohem, w skaliste bijąc teorbany.

A w dumach i pieśniach brzmią wielkie imiona
Sobieskich, Żółkiewskich, Jeremich, Bohdana;
Drży ziemia rączemi kopyty zdeptana,
Od wrzasku dzikiego drży niebios zasłona!

A dumy szeroko wciąż płyną i płyną;
Jak niegdyś krwi wrzącéj płynęły potoki
Szeroko, rozgłośnie imiona te słyną,
Co stoją niezłomne, jak groźne opoki.

Od *złotéj* tam *bramy*, po morską głębinę,
Od Dniepru wybrzeży, po śnieżne Krępaki,
Z mogiły w mogiłę, z ruiny w ruinę
Pieśń płynie, płynie w staréj sławy szlaki.

Jednego wieczoru stanęliśmy nad prześlicznym stawem, utworzonym przez bystrą rzeczułkę, co zrazu płynąc wązkiém korytem między dwoma rzędami skalistych pagórków, zlewała się w obszerną głęboką dolinę. Wyniosłe jéj brzegi zalegał brzozowy gaj, którego ostatnie drzewa stojąc u saméj zwierciadlanéj wody, nurzały w nią wielkie swe konary, jak gdyby serdecznym uściskiem chciały się połączyć z siostrzycami swemi widnemi w błękitnéj toni: tak drobna dziecina wyciąga rączęta do własnéj postaci w szybie zwierciadła; tak dziecię-poeta pieści się z swym ideałem.

A wieczór był godny pióra poety! Dlatego téż opisywać go nie myślę, aby go swą prozą nie sprofanować.

Długośmy stali w niemém zachwyceniu, wodząc oczyma to po gwiazdzistych niebiosach, to po gwiazdzistych lazurowych toniach, słuchając wielkiéj rozmowy natury z Bogiem. Gdyby to nie były rzeczy oklepane, tobym coś wspomniał i o powiewach przesiąkłych wonią lip kwitnących i pieśnią słowika, i o rozmarzającém szemraniu fali, w którém zachwycone ucho mogło dosłyszéć i tkliwych a rzewnych miłosnych szeptów i pocałunki serdeczne; i jeszcze o wielu, wielu innych ślicznościach; ale to wszystko tak się już zużyło, dzięki poetom, że myśl w tym stroju wygląda jakby złodziejka, a przynajmniéj żebraczka. Wolę więc nie poetyzując wrócić do rzeczy.

Tak tedy po chwili niemego zachwytu, przerywanego tylko kiedyniekiedy głębokiém westchnieniem, Ignaś rzekł cichutko, jak gdyby się lękał głośniejszą rozmową zakłócać uroczystą zadumę natury:

— O jakżeś piękny, biédny ty zapoznany kraju! Czemuż Bóg dobry, co cię tak hojnie wdziękami obdarzył, co cię prawdziwie rajskim powabem otoczył, odmówił ci najcelniejszéj ozdoby:—nie dał człowieka, w któregoby duszy wdzięk twój się odbijał, nie jak zimna skała w zimnéj szybie lodu, lecz jak ideał w sercu poety, zkąd dźwiękiem i barwą na cały świat odbrzmiewa, odświeca, czarując, unosząc słuchaczy i widzów!

— Poetyzujesz, mój panie — rzekł Gustaw—i niełatwoby kto obcy z twojéj gawędy zrozumiał, czego ci się zachciewa; lecz ja, przywykły do podobnych bredni, domyślam się nieco ich sensu. Nie na brak duszy natchnionéj skarżyć się nam trzeba, lecz na brak zamiłowania w rodzinnych stronach, na nieszczę-

sną ślepotę uprzedzenia, co nie przypuszcza nawet, by we własnym kraju było coś godnego wzroku podróżnika, pióra poety, pędzla malarza... Stara to piosenka, i tém smutniejsza, że stara. Pokaż mi kogo z zamożnych właścicieli téj malowniczéj okolicy, coby ją choć raz w życiu przebył od końca do końca, coby zechciał spojrzéć na te urocze obrazy, jakie tu na każdym kroku podziwiamy! O zakład poszedłbym z tobą, że nie znajdziesz ani jednego; a dziesiątkami naliczysz takich, co najmniejsze zaułki paryzkie znają, co i na egipskie piramidy łazili. Wszak Zofiówka ztąd niedaleko, wszak prawie każdy wié o tém, że jestto jeden z najpiękniejszych ogrodów w Europie; a znam niemało tutejszych przezacnych turystów, co ani razu tam nie byli, choć w najpiękniejszéj porze roku można ją w całym blasku oglądać!.... Cóż więc tu podoła natchniony artysta? Przypuśćmy, że ja nim jestem, że mam pełną tekę najpiękniejszych szkiców, a pełną duszę poetycznego zapału. Wracam do Kijowa, ostatni grosz wydaję na najęcie izdebki z dogodném światłem, na materyały malarskie; a żywiąc się chlebem i wodą, i grzejąc się swoim zapałem, przy najusilniejszéj pracy, w przeciągu roku tworzę kilka obrazów. Udało mi się najlepiéj, porównywam je z moim ideałem, i z rzewnemi łzami radosnego uniesienia padam na kolana, dziękując Bogu za skarby méj duszy! Cóż daléj? Termin lokalu upłynął, zjadłem już ostatni suchar; chcąc nie chcąc trzeba na targ prowadzić świętości swoje! Oto nastają kontrakty: najmuję sobie w kupieckiéj sali kawałek kolumny, i jak pod pręgierzem stoję pod nią z drogą dziatwą swoją..... i otom jak prawdziwy złoczyńca, za to, że się nie nazywam Wernetem lub Owerbekiem.... Powiecie, żem słusznie ukarany, jako tandeciarz świętości? A więc nie potrzebuję powszedniego chleba, ale potrzebuję światłego sądu, aby stromą drogę artysty rozjaśnił; czyż inaczéj będzie?

— Dobrze zapowiedziałem — rzekłem — że starą piosnkę zaśpiewasz; oklepane to rzeczy, którym czas tylko może zaradzić. Czekajmy, nim przyjdzie moda na lubowników narodowego kunsztu; a teraz nic nie zdziałamy ani słowem, ani pismem, bo ci, na których piorunujemy, mowy naszéj nie słyszą, pism nie czytają. Chcąc do nich trafić, trzeba chyba zostać spółpracownikiem Illustracyi, lub jakiéj innéj ulubionéj im gazety, i pod przybraném francuzkiém imieniem, prawić im o rzeczach krajowych i zachęcać do ich zamiłowania.

— A tymczasem myślmy o noclegu — przerwał Teodor — bo te wasze poetyczne uniesienia tak mnie rozmarzyły, że ledwie się na nogach trzymam, a tu jeszcze śliczna perspektywa: zimno, wilgoć, żaby, komary!.... No! już drugi raz nie dam się złapać!....

Głośny śmiéch był odpowiedzią na skargę biédnego Teodora. Oleś z Ignasiem pobiegli do lasu i wkrótce wrócili z potężną wiązką chrustu; skrzesałem ognia, i wnet na brzegu stawu wesoły płomień strzelił w obłoki i złocistym słupem zanurzył się w zwierciadlanéj toni. Dobyliśmy z tłumoczków podróżne zapasy, a zajadając ogórki, małgorzatki, przepyszne podolskie czereśnie, piekliśmy w popiele młodziuchne kartofle. Rozmowa tymczasem nie ustawała.

— Mówcie co chcecie—prawił poczciwy Oleś—a ja swoje powtarzać będę, choćby mnie miał ukamienować kochany Teodor: że im bliżéj natury, tém człek szczęśliwszy, a ztąd prosty wniosek, że wygórowana cywilizacya bynajmniéj nie przykłada się do szczęścia ludzkiego.

Teodor uśmiechnął się szydersko.

— To tak cię ujmują gruszki i czereśnie? Winszuję dobrego smaku; lecz sambym wolał brzoskwinie i ananasy.

— Zapewne — odrzecze Oleś — i jabym to wolał; szkoda tylko, że podobno nie dożyjemy tych błogich czasów, kiedy te smakowite Boże dary całe gromady nasycać będą!

— Śmieszni-bo jesteście! — zawołał Gustaw — z cywilizacyi zrobiliście kucharkę.

— A cóż mam z nim gadać? — rzecze zapérzony Teodor — możeż on wznieść się do wysokości téj idei?

— Mogę, mój lubciu, dzięki koleżeństwu z tobą, i rozumiem co jest cywilizacya. Jestto professor transcendentalnéj filozofii!

— Jużciż pewno nie kucharka! — odrzekł Teodor.

— Nie kucharka, mój drogi — rzecze znów Oleś — lecz poczciwa matka z najlepszém sercem, oświeconém natchnieniem Bożém, z zdrowym rozsądkiem, wzmocnionym długiemi laty doświadczenia. Ona jednako wszystkie dzieci kocha, karmi, odziewa, nagradza i karci; ucząc wzajemnéj miłości, pracy i modlitwy, ucząc starych dziejów i pieśni. Oto mój ideał prawdziwéj cywilizacyi.

— Niezły ideał!—zawołał Ignaś—dodaj tylko jeszcze, że owa matka zarywa trochę cygańskiéj natury, bo i rzemiosła nie są obce jéj wcale, i własności ziół rozmaitych dobrze jéj są znane, i wszystkie tajemnice natury poczęści przed nią odkryte.

Znowu się Teodor szyderczo uśmiechnął, a Oleś prawił:

— W żart moję mowę obracasz, kochany Ignasiu; ale czyż mi zaprzeczysz, że najpożyteczniejsze wynalazki, tojest takie, które całą ludzkość obchodzą, winniśmy prostaczkom, a nie zaś piśmiennym mędrcom. Wszystko co nas karmi i odziewa, wszystko czém pokarm i odzież sobie zdobywamy, tradycyonalna praktyka, a nie książkowa teorya nam dała. A co się tyczy tajników natury, nie przeczę, że nauki przyrodzone olbrzymiemi krokami ciągle postępują; ale podobno z większemi skarbami wybrały się w drogę, niż dotąd na niéj zdobyły. A nawet i dzisiaj, czyliż nieprawda, że są tak zwane *znachory*, co umieją leczyć od wścieklizny i ukąszenia żmii tajemniczemi środkami, nad których docieczeniem nauka daremnie pracuje. Wszystkośmy to winni owéj cywilizacyi, którą matką nazwałem, matką z najlepszém sercem, oświeconém natchnieniem Bożém. Władzę tego natchnienia wszystkie narody uznają: znajdziecie ślad jego we wszystkich gminnych podaniach: wszędy pospólstwo wspomina te czasy, kiedy Bóg po świecie chodził i ludzi uczył. Możeście słyszeli o tém, jak człek sklecił sobie chałupkę bez okna; a że markotno mu było siedzieć w ciemnicy, więc kazał swéj żonie przetakiem światła do chatki nanosić. Wyszła nieboga na podwórko: trzymała, trzymała przetak przeciw słonku, i żwawo zakrywszy fartuchem, skoczyła do swojéj kletki; lecz światło uciekło! Znowu więc do dzieła i znowu napróżno; i tak raz po razu, bo mąż się gniewa i łaje. Stoi więc biedaczka przed słońcem z przetakiem i gorzko płacze; aż idzie Pan Bóg: „Cóżto moja matko robicie, i czego tak płaczecie?" pyta kobiéty. „Ej, mój panie! poradźcie co zrobić: całutki dzień biegam z przetakiem, a słonka do chatki nanosić nie mogę, a mąż się gniewa i łaje." Uśmiechnął się Pan Bóg dobrotliwie, a wziąwszy siekierę, wyrąbał w chatce okienko i słonko wprowadził. Prosta to i śmieszna z pozoru baśń, ale niepospolitą myśl zawiera i piękne daje świadectwo o głębokiéj pobożności naszego ludu w najdawniejszych czasach. Wierzył on, że bez pomocy Bożéj żadnego

dzieła pomyślny skutek nie uwieńczy; a razem, że wprzód samemu pracować trzeba, a potém już téj pomocy wyglądać. Dzisiaj inaczéj sądzimy; dziś wszystko odnosim do samych siebie, do potęgi swego rozumu: dlatego dzisiejsze mądre wynalazki, szczęśliwi mędrcy wystawiają na sprzedaż, żądając summ ogromnych za swoje sekreta, które całą ludzkość uszczęśliwić mają. Wątpię jednakże, czy ten, co piérwszy odkrył dobroczynną własność zboża i chléb robić zaczął, sprzedał swój sekret współbraciom? czy miał przywilej kilkunastoletni na wyłączne sianie i pieczenie chleba? Pewno że nie; bo czyliżby wtedy te błogosławione ziarna zbożem nazywano? Wówczas wierzono w opiekę Boga, i wszystko pożyteczne uważając za święte Jego dary, nie śmiano ich profanować sprzedażą. A jednak byłoby lepiéj, gdyby cywilizacya nazawsze pozostała poczciwą matką, nie przybierając roli mądrego professora.

— A jednak—rzecze Teodor — ona czém inném nie jest i być nie może, jak professorem, mistrzem całego świata. Bo jużciż śmiéch i pomyśleć, by owa matka, coto uciera nosy swoim bachorom i prawi im baśni o strachach i upiorach, i leczy ich szeptami i załamaniem dziewanny; była zarazem owym cudotworczym gieniuszem, co to błyskawice wydarł niebiosom, i kazał jéj swoje myśli w mgnieniu oka z końca w koniec świata przenosić; co ulotną parę zaprzągł do dźwigania olbrzymich ciężarów nieścignionym pędem; co za pomocą gazów, niedostępnych tępym profanów zmysłom, wzbił się ku niebu; co gwiazdy policzył i zbadał tajemne ich drogi, i zjawienie się nowych na całe wieki co do sekundy przewidział; co ziemię po kosteczce rozebrał i wydarł jéj tajemnice przedpotopowe, oraz tajemnice jéj powstania i przejść rozmaitych, nim w obecne formy się ulała; co wreszcie wcielony w Kanta, w Hegla, Szellinga zbadał duszę ludzką i samego Boga, nauczył nas bóstwo swéj piersi rozwikłać i stać się Bogiem-człowiekiem!

— I raj nam odebrał! — zawołał Oleś. — Stare to dzieje, mój Teodorku. Przypomnij sobie, że ojciec nasz Adam, chcąc stać się Bogiem-człowiekiem, sięgnął po owoc wiadomości złego i dobrego, i że kilkadziesiąt wieków ludzkość się miotała w srogich cierpieniach, szukając drogi do utraconego raju, nim wreszcie Bóg się ulitował i Syna własnego posłał, aby nas przykładem nauczył, jak mamy z upadku powstać. Czemuż téj świętéj a jasnéj nauki zrozumiéć nie chcemy? Bóstwo wcielo-

rozum klęczący pod krzyżem, rozum wzbijający się do nieba nie po to, by się w niém Bogiem uznawać, lecz aby się odświeżać i poświęcać się zetknięciem ze swojém najświętszém źródłem; rozum, jakim obdarzeni byli uczniowie Chrystusa, a nie doktorowie żydowscy, Faryzeusze..... A nasz Teodor o czémże prawił? o telegrafach, o wagonach, o teleskopach, o geologii i filozofii wreszcie; zapominając o tém, że olbrzymia większość nawet i z imienia nie zna tych cudów gieniuszu, a nietylko nie korzysta z ich dobroczynnych skutków. Takieżto być mają dary cywilizacyi twojéj?... O! prawdziwie, serce się kraje, gdy człek pomyśli, że wielu jest takich, co podobnież sądzą; że wielu jest bogów-człowieków, co ze szczytu swojéj boskości pioruny rzucają w profanów i w niebogłosy wrzeszczą, zwiąc ich obskurantami, fanatykami, barbarzyńcami, za to: że rozumem oświeconym przez religią, nie hołdują rozumowi oczyszczonemu aż do boskości przez filozofią!..... Smutne to dzieje, okropne zasady, za które kiedyś Bóg srogą ześle nam karę!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus—ozwał się obcy głos za nami. Obejrzeliśmy się i spostrzegli przy blasku ogniska nawpół zanurzoną w mroku jakąś ludzką postać; ale tak złamaną, tak wykrzywioną, żeśmy z pomimowolnym wstrętem odwrócić oczy musieli.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—raz jeszcze wyrzekł przybylec, czołgając się ku nam.

— Na wieki wieków—odpowiedział Oleś, a za nim Ignaś i Gustaw, i przezwyciężając odrazę, wszyscyśmy bacznie przyglądać się nieznajomemu zaczęli.

A byłto jakiś nieszczęsny kaleka bez nogi, z powykręcanemi rękami i z jedném tylko okiem w czerwonéj, jakby oparzonéj twarzy. Jednakże chłopska odzież jego była czysta i cała, a w obliczu mimo kalectwa, znać było wyższe nad stan obecny ukształcenie.

Wszyscyśmy, prócz Teodora, dobyli po kilka groszy, ofiarując je kalece; lecz on, nie przyjmując datku, lekko skinął głową i rzekł czystą polszczyzną:

— Bóg zapłać, mili panowie! nie po jałmużnę, ale z jałmużną do was przyszedłem.

A widząc, że z zadziwieniem nań spoglądamy, smutnie się uśmiechnął i daléj prawił:

— Już się dziwicie i gotowiście wziąć mnie za waryata; ale poczekajcie chwilkę, a rzecz się wyjaśni. Pozwólcie mi usiąść i posłuchajcie co powiem.

Zrobiliśmy miejsce u ogniska, gdzie gość nasz przypełzał na klęczkach, bo miał wpół goleni nogi ucięte, i usiadł też przy mnie.

— Rzekłem wam tedy, że nie po jałmużnę, ale z jałmużną przychodzę; a co dziwniejsza, najwięcéj dać jéj zamyślam temu, co nic mi ofiarować nie raczył,—panu Teodorowi, zwolennikowi czystego rozumu.

Zadziwienie nasze nie miało granic; zdumionym wzrokiem spoglądaliśmy po sobie, jakbyśmy wzajem w obliczach swoich szukali rozwiązania téj zagadki. Gość nasz prawił daléj:

— Słyszałem wasze rozprawy o cywilizacyi, religii, głowie i sercu, a wreszcie uwagę o karze Boskiéj; bo tuż nad waszą głową, na wzgórku, w gęstéj krzewinie stoi moja buda do skały przyparta; słyszałem i przyszedłem do was, by dopełnić waszych filozoficznych dysput, historyą mojego życia.

Z pędzlem, piórem szukacie poetycznych wrażeń w pielgrzymce swojéj; dobrze więc rzekłem, że z jałmużną do was przychodzę: niech malarz odszkicuje mą nadobną postać, pisarz nakreśli życiorys, a filozof wyprowadzi wniosek z tego, co powié niedawny zwolennik czystego rozumu. Słuchajcież tedy, a najpilniéj słuchaj panie Teodorze, abyś zbłąkaną owieczkę mógł siłą swego rozumowania wprowadzić znowu na prawą drogę, z któréj ją smutne doświadczenie zbiło.

Urodziłem się w ubogim litewskim zaścianku. Rodzice moi bylito sobie ludzie prości, ale pobożni i poczciwi; a choć w krwawym znoju na chléb powszedni pracując, nigdy pokoju nie znali, ścigani ciągłém niepowodzeniem: jednak się nie skarżyli na smutną dolę, prosząc tylko Boga, aby się opiekował losem ich dzieci, które zawczasu uczyły zgadzać się z jego wolą, przestawać na swojém, w pracy szukać pomocy, a w modlitwie pociechy. Dwoje nas było. Brat młodszy ochoczo brał się do pracy, i w dziesiątym roku był już niemałą pomocą rodzicom; ja zaś, choć starszy i silniejszy od niego, nie powiem że byłem leniwszy, ale wolałem się książką zabawiać, do któréj on znowu niewiele miał sprytu i częste odbierał plagi od zaściankowego bakałarza, u któregośmy się razem z inną dziatwą uczyli.

Rodzicom nie po sercu było to moje upodobanie, które mię od pracy właściwéj stanowi, często odrywało; lecz ja to jakoś umiałem złagodzić, umiałem dać pozór, że książka wcale mi nie zawadza w innych zatrudnieniach. Bo trzeba wam wiedzieć, że od maleństwa byłem dziwnie roztropnym i przebiegłym chłopcem; umiałem więc zawsze cudzemi rękami żar zagrzebywać, umiałem dobrodusznego braciszka rozrzewnić, rozczulić, a nim się wyręczywszy w pracy, przed ojcem zgrabnie okazać, jakobym sam się mozolił; umiałem u niego wyłudzić gdy miał ostrzejszą kosę, albo cep lżejszy; a gdy do nauki przyszło, i on méj pomocy potrzebował, wtedy byłem ślepy i głuchy.

Tak we wszystkiém i z każdym radzić sobie umiałem. Ojciec niby nie zważał na to, lecz matka, która kobiecym instynktem lepiéj te rzeczy pojmować umiała, frasowała się srodze nieboga, napominając mię i strofując za moję przebiegłość i brzydką nieczułość. Ja to mimo ucha puszczałem, a szedłem swą drogą, wykręcając się od ciężkiéj pracy, a biegnąc do książek, któremi obdarzał mnie poczciwy proboszcz, ucieszony moją zdumiewającą pojętnością i ochotą do nauk, która nareszcie przeszła w prawdziwą namiętność, odkąd przeczytałem życie Syxtusa V. Bo mi się rozgorzała głowa, bo się marzyć zaczęły zaszczyty, bogactwa, do których mi nauka drogę otworzyć miała.

Raz gdym do proboszcza przyszedł, zastałem tam jakiegoś podróżnego pana, który dowiedziawszy się, żem przyszedł prosić o książkę, z pilną bacznością długo się we mnie wpatrywał; a potém pogadawszy z plebanem obcą mi mową, spytał mnie z dobrocią:

— A nie chciałbyś chłopcze chodzić do szkoły?

Twarz mi się krwią oblała, a z oczu zrazu się iskry sypnęły, a potém łzy bujne wytrysły; dreszcz jakiś dziwny całego mnie przejął i mowę w piersiach zadławił. Nieznajomy z uśmiechem zbliżył się do mnie, pogłaskał mnie pod brodę, rozgarnął włosy na czole, na które z upodobaniem spoglądał, jak gdyby pod niém widział bujne myśli moje, i znowu spytał:

— Czemuż mi nie odpowiadasz? Czy się ucieszysz, jeżeli cię wezmę z sobą i na nauki oddam?

Zamiast odpowiedzi, ze łkaniem do nóg mu padłem. On mnie dobrotliwie podniósł i do serca przytulił; i znów obcym

językiem pogadawszy z księdzem proboszczem, kazał zaprzęgać. Gdy zaszły konie, posadził mnie z sobą i plebanem do pięknego powozu i ruszyliśmy do rodzinnego mego zaścianka.

Domyśliłem się, że dobry pan jedzie prosić rodziców moich o pozwolenie zabrania mię do szkół; a nie wątpiąc, że je otrzyma, już się rozkosznie pieściłem z myślami o przyszłéj swojéj wielkości. Chylące się kłosy na niwie pod tchnieniem wiatru, zdawały mi się tłumami ludu, bijącego mi czołem; przelatujący ptak nademną, przywodził mi na myśl orła Tarkwiniuszowego: a byłto kruk przeciągający z złowieszczém krakaniem..... I dąłem się jak paw', kiedy spotykani po drodze ludzie z mojego zaścianka z podziwem mi się przyglądali, witając księdza i pana nizkim pokłonem, który téż i do siebie brałem, nie racząc nawet poruszyć głową; choć proboszcz i mój nieznajomy raz po raz przyjaźnie się kłaniali, odpowiadając: *na wieki!*

Przybyliśmy wreszcie przed rodzicielski dworek. Ojciec z pośpiechem wybiegł na próg chaty i nie wiedział jak witać swoich niespodzianych gości, tylko się kłaniał i kłaniał; a brat, co parobkowi pomagał woły wyprzęgać, drapnął w konopie, przestraszony niezwykłém zjawiskiem.

Nie wiém dlaczego wszystko to mi jakąś przyjemność sprawiało: i pokłony ojca, i trwoga brata. Zdawało mi się, że gdy osiągnąwszy marzone zaszczyty, przyjadę kiedyś do swojéj rodziny podobnymże cugiem, to miło mi będzie patrzéć na jéj zakłopotanie i zadziwienie!.....

Weszliśmy do chaty. Ojciec z pośpiechem zamknął drzwi od alkierza, bo tam matka leżała w ciężkiéj niemocy; pościerał ręcznikami ławy i usiąść gości zaprosił; a nakrywszy stół białym obrusem, dał w polewanéj misie twaróg ze śmietanką, a na drewnianych talerzach lipiec i młode ogórki, i znowu z nizkiemi pokłony do gości przystąpił.

Podziękowali uprzejmie za gościnność i skosztowali nieco bożych darów, a potém proboszcz się odezwał:

— Kochany panie Macieju! Przyjechaliśmy was prosić o wielką łaskę, z któréj i wam samym niemała korzyść i pociecha będzie. Bóg wam dał chłopca niepospolitego umysłu, który przy pomocy nauki może wznieść się bardzo wysoko; szkoda więc skarb ten marnować, szkoda dla lichego pożytku z sił fizycznych poniewierać siły moralne: bo trudniéj o głowę, niżeli o ręce.

Pozwólcież waszemu dziecku korzystać i z darów Opatrzności, i z Jéj dobrotliwéj opieki; bo oto ten pan chce podać rękę pomocną waszemu chłopcu, i jeżeli zezwolicie, weźmie go z sobą do szkół i wykieruje na niepospolitego człowieka, który i ludziom i wam większą korzyść przyniesie nauką, niż pługiem.

Ojciec ucałował rękę proboszcza, skłonił się do kolan nieznajomemu, i rzekł pokornie, ale stanowczo:

— Wybaczcie ojcze dobrodzieju i wy miłościwy panie, że łaski waszéj przyjąć nie mogę: niech ryba pilnuje wody, a kret swojéj nory, jeśli im życie miłe. Najlepiéj pono będzie chłopcu mojemu pod rodzinną strzechą: a przytém łatwiéj światu o porządną głowę, niż mnie o parę rąk do cepa i pługa. Sam już niewiele mogę, żonka mi cherla i cherla, a gospodarce dozoru potrzeba. To jak mnie starszy mój chłopiec porzuci, z młodszym nie damy rady i w świat pójdziemy z torbą.

— A czyż się godzi—rzekł nieznajomy—dla marnéj tymczasowéj korzyści, zagradzać drogę do szczęścia rodzonemu dziecku? czyżto tak wielka pomoc z dwunastoletniego chłopca? Nim z niego tu silny parobek wyrośnie, prędzéj się w szkołach i stopnia i korzystnéj posady doczeka, a wtedy całą rodzinę przygarnie.

Ojciec się gorzko uśmiechnął.

— Wybaczcie miły mój panie, ale niech Bóg mię strzeże od łaskawego chleba, choćby u rodzonego dziecka! Tém bardziéj, że mówiąc wam szczerze, Bóg dał temu chłopcu zanadto w głowie, zamało w sercu; jedno buja kosztem drugiego. Ciężkobym więc zgrzeszył, gdybym się przyczynił do wzrostu tego kąkolu, gdybym go zpod sielskiego płota wysadził na bujną rolę wielkiego świata! Prostak ja sobie, to prawda; ale bywałem po świecie, widziałem ludzi niemało i niejednego zdybałem co ze mną prosięta pasał, a potém, gdy mu fortuna przyjaźnie mrugnęła, to nie chciał poznać ni ojca, ni brata! Nie chcę więc sprowadzać bożego palca na tę wybujałą głowę, co się obłąkawszy książkową pychą, gotowa takoż rodzonemu ojcu pokłonu odmówić!

Ja stałem w kącie świetlicy, błyskając zpode łba łzawemi oczyma, i gryząc w gniewie paznogcie. Serce mi się ścisnęło w bezsilnéj, dzikiéj zawziętości, i złorzeczyłem swemu urodzeniu, złorzeczyłem własnemu ojcu, co niepojętym oporem, najświetniejszą przyszłość mi wydzierał.

I poczciwy pleban, i mój nieznajomy, nie zrażając się odmową, wszelkiemi sposobami nalegali na mego ojca, starając się zmienić jego postanowienie i w najpiękniejszych kolorach malując korzyści, jakie miały wyniknąć z mojéj nauki; lecz wszystko było nadaremno! Ojciec całował ręce proboszcza, ściskał kolana mego protektora, kłaniał się pokornie, a na mój wyjazd zezwolić nie chciał.

Gdy się tak certowali z sobą, dał się słyszéć z alkierza bolesny głos schorzałéj matki, która mnie wzywała do siebie. Dwa razy udałem że nie słyszę, a za trzeciém wołaniem, gdy się ociągałem jeszcze, ciekawy końca rozmowy; ojciec oburzony, porwał mnie z gniewem za kołniérz i popychając ku drzwiom, krzyknął popędliwie:

— Nie słyszysz, smarkaczu, że cię matka woła? A widzicie panowie—dodał zwracając się do gości— co to za serce! Szczenię posłucha, gdy suka zaskomli, a ten wyrodek na głos konającéj matki poruszyć się nie chce!... Dajcież mu jeszcze honory!

Rozjuszony jak dziki niedźwiadek, wpadłem do alkierza, porządnie stuknąwszy drzwiami.

— Czego mama chce?—krzyknąłem opryskliwie.

— Julusiu!—rzekła matka łagodnie, zwracając ku mnie łzami zalane oczy i wyciągając wynędzniałą rękę, od któréj się usunąłem z niechęcią—dzieckoż ty moje drogie! czyż tobie czego braknie do szczęścia pod rodzinną strzechą? czyż my cię nie miłujemy? czyliż ci nie dogadzamy we wszystkiém? Czemuż ty mnie chcesz porzucić na śmiertelném łożu, a iść do cudzych, gdzie może i znajdziesz bogactwo i honory, ale nie znajdziesz macierzyńskiego secra, nie znajdziesz takiéj miłości, takiego szczęścia!.....

I łkanie głos jéj stłumiło.

— Oj to to mi szczęście,—mruknąłem opryskliwie,—paść świnie, albo po całych dniach cepem wywijać!

— Cóż począć? moje dziécię!—rzekła znowu matka z dobrocią—tak Bóg nam przeznaczył!

— Dobrzeto na Boga składać! Nibyto Bóg nie puszcza mnie z tym panem, co chce mnie wziąć do szkoły.

— I tybyś z nim pojechał? tybyś nas porzucił starych, schorzałych, umierających prawie!—wołała matka z żałością.

— A czegoż mam siedzieć? Jeżeli macie umrzeć, to ja waszéj duszy za nogi nie złapię!

— Dzieckoż ty wyrodne!—jękła matka z boleścią, zrywając się na łożu i załamując dłonie w rozpaczy—i tobieżto myśléć o zaszczytach i pomyślności! Jakże ty śmiész błogosławieństwa Bożego wyglądać?

I wysilona gwałtownem wzruszeniem, upadła na pościel z bolesném łkaniem; a ja nadąsany wyszedłem z alkierza.

Ojca nie było w świetlicy; nim powrócił, nieznajomy szepnął mi na ucho, abym nazajutrz raniutko przyszedł do plebanii.

Wkrótce wyjechali goście, a rozgniewany ojciec najsurowiéj mi zalecił, żebym już odtąd ani się ważył do książki zaglądać, chyba tylko, żeby paciérz zmówić. Udałem pokorę i oświadczyłem, że jutro raniutko odniosę proboszczowi wszystkie jego książki; bo jeśli tatko uważa, że nauka mi szkodzi, to zapomnę i tego, czegom się dotąd nauczył.

Noc mi zeszła prawie bezsennie, bo głowę paliły rozigrane myśli, bo przeczuwałem na co mnie do plebanii wzywano.

O brzasku zerwałem się z pościeli, i bez pacierza czémprędzéj wybiegłem z chatki, nie pożegnawszy ani jedną łezką świętych rodzinnych progów, za któremi rzucałem, może na wieki, najlepszą, najtkliwszą umierającą matkę, najzacniejszego choć surowego ojca, i poczciwego brata, i wszystkie skarby uroczych wspomnień dziecinnych!.... Wybiegłem z bijącém sercem, drżąc tylko z bojaźni, by ojciec moich zamiarów nie odgadł, by mię nie zatrzymał czasem; i ani w myśli nawet nie wezwałem rodzicielskiego przebaczenia i błogosławieństwa.

Nazajutrz o świcie, już byłem o kilkadziesiąt mil od rodzinnéj strzechy; a wieczorem dnia tegoż, jakem się poźniéj dowiedział, matka moja oddała Bogu ducha.

Biorąc rzeczy pod ścisłą rozwagę, nic głupiego nie popełniłem; owszem, nad lata rozumu dowiodłem, umknąwszy szczęśliwie od wszelkich przeszkód, stojących mi na zawadzie w dopieciu chlubnego celu. Bo cóż w tém złego było, żem pragnął nauką dobić się bogactw i zaszczytów, z których i dla rodziny mojéj widoczna korzyść wyniknąć mogła? Nieprawdaż, panie Teodorze?

Mój nieznajomy opiekun był professorem uniwersytetu; podczas wakacyj odbywał naukową wycieczkę w nasze okolice i takto ze mną się spotkał.

Gdyśmy na miejscu stanęli, oświadczył mi, że chcąc mnie zawczasu nauczyć, jak wszystko samemu sobie być winnym, żąda, abym mu za naukę i opiekę wypłacał się posługą; na co naturalnie z ochotą przystałem, rozdzieliwszy czas między książki i szczotki.

Nie mam potrzeby mówić, żem się uczył dzielnie. Bóg mnie obdarzył niepospolitą głową; a wrodzony zapał do nauki, podsycała żądza wzniesienia się nad stan swój, żądza górowania choć w szkole nad temi, co mię za szkołą tak srodze chłostali najdotkliwszą pogardą, najboleśniejszém prześladowaniem za moje ubóstwo, za urodzenie, służbę. To też najwyższe szkolne zaszczyty na mnie spadały; a ja pyszny zasługą, władzą, zausznik professorów, nienawistny kolegom, za ciężkie zniewagi jakie doznawałem od nich, mściłem się zawzięcie w obrębie swego urzędu, wydając ich i skarżąc za najlżejsze psoty, za które w owe błogosławione czasy, ostre spotykały ich cięgi; a niejednemu nawet tak opinią zepsułem, że musiał szkoły opuścić. Kiedy młode sumienie czasem się ozwało, mój sprytny rozumek umiał mnie przed niém zasłonić, umiał czarną nienawiść i mściwość ubarwić najszlachetniejszym pozorem mojéj niezłomnéj prawości dla dobra kolegów, których dziecinne swawole puszczone bezkarnie, mogłyby się z czasem w zbrodnie przemienić!..... Tak samo tłumaczyłem swoję nieuczynność: bo gdy mię który kolega prosił o pomoc w rozwiązaniu jakiego zadania, w ułożeniu ćwiczenia; odmawiając mu, z tajemną radością rozumowałem przed sumieniem, że spełniając prośbę, protegowałbym fałsz i lenistwo!

Widzicie więc, że już w dzieciństwie byłem prawdziwym potworem, dzięki rozumowi bez serca. Wprawdzie nie sam jeden byłem tu winien; bo mój zacny opiekun, wielki filozof, słynny z wysokiego rozumu, niemało się do tego przyczynił, wyłączną zwracając uwagę na głowę, a nie dbając o serce. Treścią jego częstych rozmów ze mną było założenie: że człowiek rozumny powinien sam sobie wystarczać, nigdy na ludzką pomoc nie liczyć, nie polegać na niczyjém sercu, nikomu nie wierząc, do nikogo się nie przywiązując. Bo wszelkie tkliwe uczucia, to bajka wierutna! bo przywiązania bezinteresownego nie ma na świecie, bo rodzice w dzieciach, mąż w żonie, kochanek w kochance i nawzajem, to tylko miłują, co może dogodzić ich miłości własnéj, co im zysk, chlubę lub rozkosz przynosi; je-

dném słowem—miłują siebie. A więc tylko głupiec poświęca się dla drugich; rozumny to tylko daje, co odebrać może i to jeszcze z lichwą. Bo wszystkie zdolności i uczucia dadzą się zredukować do czystego grosza; a więc ludzie sąto mniejsi lub więksi kapitaliści. Kto tedy nie chce zostać bankrutem, powinien rozważnie swoim kapitałem obracać i na niepewny los go nie stawić.

Odemnie samego nie żądał żadnéj wdzięczności, dając za podstawę wzajemnych naszych stosunków, wzajemną korzyść materyalną. — Wziąłem cię do siebie—mówił mi nieraz— bom widział żeś sprytny chłopak, a potrzebowałem sługi; za służbę daję ci chléb i naukę; twoim zaś interesem jest służyć mi pilnie, aby nie być odpędzonym.

Rozum i naukę wysoko mi cenić kazał, lecz nigdy o nich nie mówił jak o świętych darach Przedwiecznego, służących do poznania i uwielbienia cudów Jego ręki, do pojęcia obowiązków swoich względem Niego i bliźnich; ale jak o nabytku własnym, jak o czarodziejskim mieczu, ukutym mozolną pracą, zahartowanym niezłomną wolą, którym możemy podbić świat cały, całe przyrodzenie, przełamać niebieskie bramy i zasiąść na bożym tronie; słowem, wszystko sobie shołdować, i ze wszystkiego materyalną korzyść osiągnąć, a zawsze jedynie dla samych siebie!

Nie sądźcie jednak, aby mię nie uczył służyć społeczeństwu; przeciwnie, kazał mi pilnie pracować w całém swojém życiu nad zbadaniem nieodbitych potrzeb i tajemnych pragnień ludzkości: ale wyłącznie oczy moje zwracał na materyalną stronę jéj bytu, a jako główny cel i ostateczny rezultat wszystkiego, ognisko wszystkich promieni rozumu, nauki, pracy i zasługi, wskazywał mi zawsze moję własną korzyść.

Spytacie mnie może, jaka téż była wiara tego człowieka? Sądził, że wierzy po chrześciańsku; ale z nauki Chrystusowéj przyjmował to tylko, co się zgadzało z jego rozumem, co się opierało na głównéj jego podstawie, tojest na korzyści; a więc mówiąc właściwie, nie było u niego wiary, tylko przeświadczenie. Jednakże pozornie ulegał wszystkim przepisom religii: modlił się, pościł, bywał w kościele, a nawet u spowiedzi; gdyż był przekonanym, że prawo Chrystusowe jest najpraktyczniejsze w zastosowaniu do ogółu ludzkości, że najkorzystniéj, gdy

ciemny motłoch mu ulega; a więc nie chcąc dawać złego przykładu, dla korzyści spełniał ustawy, których mu do serca rozum przyjąć nie pozwalał.

Pan Teodor gotów powiedzieć, że rozum mego professora nie był czystym rozumem. Jakiż więc rozum będzie czystym? Czy ten, co drogą rozumowania dojdzie do wiary w dogmata chrześciańskie? O! radbym widzieć takiego mędrca! Niewiele pono znajdziemy podobnych, i bodaj że lepiéj jest wierzyć, nie rozumiejąc; bo nie każdemu Zbawiciel pozwoli kłaść świętokradzką rękę na rany swoje.

Ale odbiegłem od rzeczy, zagadawszy się o swoim nauczycielu. Łatwo pojmiecie, że najzupełniéj przejąłem jego zasady, gdy jeszcze dodam, że przez lat jedénaście żyliśmy z sobą prawie nierozdzielnie; bo w wyższych klassach i w uniwersytecie byłem instruktorem uczniów stołujących się u niego.

Wybrałem sobie zawód lekarski jako najkorzystniejszy, i najchlubniéj kursa odbywszy, po dwóch leciech świetnéj praktyki w témże mieście, otrzymałem stopień doktora. Władza uniwersytecka ofiarowała mi posadę adjunkta; byłato propozycya bardzo zaszczytna, ale niedość korzystna; więc ją odrzuciłem, by się udać na wieś z jednym magnatem, z którym się umówiłem jako domowy lekarz za 2,000 rubli, przy wolnéj praktyce w sąsiedztwie.

Znając moje zasady, nie powinniście się dziwić, żem nie pomyślał o rodzinnéj chatce, o starym ojcu, poczciwym bracie, i o grobie matki, którą pewnie moja ucieczka dobiła. Jednak w piérwszych latach mojego pobytu w szkołach, gdy jeszcze rozumowanie nie wszystkie uczucia wymroziło w sercu, bywały chwile męczeńskie, i błogie chwile rzewnéj, głębokiéj tęsknoty do swoich. Nieraz podczas zabawy, gdy moi koledzy w braterskiéj zgodzie wesoło igrali gwarliwą drużyną, lub podzieliwszy się na pary, na trójki, poufnie szeptali z sobą, a ja tylko jeden odepchnięty od wszystkich pogardą i nienawiścią, chmurny siedziałem na stronie: nieraz mi w duszy budziło się wspomnienie błogiego zaściankowego życia, gdy z swobodną myślą i lekkiém sercem bujałem szczęśliwie po zielonych błoniach z wesołą rówieśników zgrają, dmąc w dźwięczne fujarki, skacząc przez ognisko, uganiając się za rozigraném jagnięciem, przewracając kozły na miękkiéj murawie z poczciwym kundysem, lub pnąc się na drzewa po młode ptaszęta. I serce mi

się ściskało boleśnie, i gorzkiemi łzami zachodziły oczy, i gotów już byłem wyrzec się mądrości, sławy i zaszczytów, a wrócić pod rodzinną strzechę, i zaskrzepłą duszę choćby na mogile matki odegrzać! Lecz dzwonek wzywał do klassy i bujne marzenia znowu budził w głowie, a mściwość i dziką nienawiść w sercu.

Nieraz uwieńczony najchlubniejszą nagrodą na egzaminie publicznym, osypany oklaskami, upojony dumą, wróciwszy do mieszkania i widząc jak moi koledzy, na których przed chwilą patrzałem z pogardą, w rodzicielskich objęciach, w tkliwych pieszczotach rajskiéj słodyczy kosztując, wszystkich trosk zapominali; z rozpaczą ciskałem nagrodę pod nogi, i skrywszy się gdzie w ciemnym kącie, krwawemi płakałem łzami! Ach! bo mój tryumf nikogo nie cieszył, bo nie było komu do serca mię przytulić i na rozumném czole tkliwy pocałunek złożyć! I grobowym głosem odzywały się w méj duszy słowa konającéj matki: „znajdziesz bogactwa i honory, ale nie znajdziesz macierzyńskiego serca, nie znajdziesz takiéj miłości, takiego szczęścia!“

Ale niedługo to rzewne usposobienie trwało. Po kilku latach zlodowaciałem zupełnie; rozumowanie zagasiło ostatnią iskierkę czułości, a raczéj żelazną dłonią ujęło wodze wszystkich uczuć i wzruszeń. Oto macie dowód:

W drugim roku praktyki mojéj, kiedy jeszcze dla pozyskania wziętości i dla nauki, nieraz leczyłem bezpłatnie, wezwano mnie do małego dworku na przedmieściu.

Na zielonem tle ogrodu rysował się skromny domeczek z firankami i wazonikami w oknach, pod któremi jaśminy i róże kwitły; a powoje i purpurowe fasole z obu stron ganeczka pnąc się pod daszek po sznurach między kolumnami i ścianą, tworzyły uroczą kwiecistą altankę. Tu właśnie, w starym fotelu siedziała chora. Musiała mieć około lat czterdziestu; wybladłe jéj lica, szlachetnych, niegdyś dziwnie pięknych rysów, nosiły ogniste plamki, ślady powitalnych pocałunków śmierci; na krucze jéj włosy przedwczesna siwizna srébrną narzuciła siatkę; bielutkie, delikatne jéj ręce porysowane błękitnemi żyłkami, wycieńczone, przezroczyste prawie, leżały bezwładnie na kolanach; w jednéj trzymała różyczkę, do drugiéj przylgnął usteczkami kilkoletni, jasnowłosy, śliczny jak aniołek chłopczyna, na stołeczku u nóg jéj siedzący. Szafirowe, smętne jéj oczy,

błyszczące gorączkowym ogniem pod ciemną, gęstą i długą rzęsą, z rzewliwém, nieruchomém spojrzeniem spoczywały na nim; a na szkarłatnych plamkach oblicza, drżały dwie łzy ciche, jak dwie krople rosy na różanych listkach, rzuconych burzą na marmurową twarz posągu. Tuż na ławeczce, pod kwiecistą ścianą powojów i fasoli, siedziało młodziuchne dziéwczę, na którego widok jakieś niepojęte uczucie, całą mą istność przejęło. Niepojęte powiadam, bo nie mogę pojąć, dlaczego ta twarzyczka nieporównanéj piękności, któréj świeża śnieżysta białość, przy czarnych pierścieniach jedwabnych włosów zdawała się światłość rozlewać, ożywiona leciutkim rumieńcem, jak gdyby tylko odblaskiem różyczek zatkniętych w jéj warkoczu; dlaczego te oczy, jak mówi poeta, *wielkie i słodkie, czarne i błyszczące*, te usta, za których pocałunek rycerz średniowieczny sam jeden rzuciłby się na całe wojsko olbrzymów, a trubadur dałby się żywy ze skóry obedrzéć, lub w ziemi się zakopać; nie pojmuję, powtarzam, dlaczego cała ta postać, mogąca posłużyć za najdoskonalszy wzór plastycznéj piękności, obudziła we mnie nie zwierzęcą żądzę, lecz jakieś uczucie rzewne, uroczyste, święte, jakiego niegdyś, dawno, bardzo dawno doznałem, kiedy małém dziecięciem raz piérwszy z rodzicami byłem w wiejskim kościołku, gdzie w ołtarzu był śliczny obraz Matki Boskiéj słynącéj cudami.

Lecz wracam do rzeczy. Dziewica odziana w białą muślinową sukienkę, skromnie zachodzącą pod szyję, z różyczką w czarnym warkoczu, z cichym smutkiem i uroczystą powagą w pięknéj twarzyczce, głośno czytała matce; a gdym się zbliżył i stanął niepostrzeżony, wstrzymany jakąś czcią niepojętą czy trwogą, doszły mię słowa Pisma Świętego:

„I rzekł do nich: baczcież, a strzeżcie się wszelakiego łakomstwa; gdyż nie w dostatku czyim żywot jego jest, z tego co ma“.

I daléj, aż do wzniosłych wierszy:

„Przypatrzcie się liliom, jako rosną: nie pracują, ani przędą, a powiadam wam, ani Salomon we wszystkiéj swéj chwale nie był ubranym, jako jedna z tych. A jeśli trawę, która dziś jest na polu, a jutro bywa w piec wrzucona, tak Bóg przyodziewa: jakoż więcéj was małéj wiary!“ (1).

(1) U Łukasza ś. r. XII.

Wtém brytan, leżący u nóg dziewczęcia, warknął gniewliwie i skoczył w tę stronę, gdzie stałem ukryty poza sztachetkami ogródka. Chcąc nie chcąc musiałem się zbliżyć, bo wszystkie oczy na mnie się zwróciły. Dziéwczę zaczęło wołać na swego wiernego stróża, który stanąwszy przed furtką, zagrodził mi drogę, warcząc zajadle i wyszczerzając zęby; ale jéj wołanie było daremne. Wtedy chłopaczek rzucił się na niego, i objąwszy rączętami jego kudłatą szyję, powalił się z nim razem na murawę, wołając do mnie:

— Niech się pan nie boi; ja mocno trzymam!

Postąpiłem tedy, a brytan leżąc przy swawolnym chłopcu, podnosząc głowę, śledził mię zaiskrzonemi oczyma i błyskał ostremi zębami, a razem wachlował ogonem i żałośnie skomlił, jak gdyby prosząc o pozwolenie, by mnie mógł przywitać po swojemu. Ale dziéwczę przywołało sługę i mój napastnik jak niepyszny poszedł na łańcuch, protestując żałosnym piskiem i gniewném warczeniem.

Stanąwszy na ganku, oznajmiłem choréj kim jestem. Podziękowała mi z ujmującą godnością, żem raczył usłuchać jéj prośby. Skinęła ręką, zapraszając mnie do pokoju; a wsparłszy się na ramieniu córki, poszła powolnym krokiem za żwawym chłopaczkiem, który drzwi przed nami otwierał.

W małym saloniku było czysto i świeżo, aż lubo. Wszystko prawie skromne, ubogie nawet; ale niewoskowana podłoga tak czysta, ale jesionowe meble przykryte prostym perkalikiem, takie milutkie, ustawione tak zręcznie; muślinowe firanki u małych okienek zawieszone tak zgrabnie, kwiatki w wazonikach i bukiety w szklankach takie rozkoszne, sztychy na ścianie w kartonowych ramkach takie gustowne: słowem, we wszystkiém tyle wykwintności i smaku, nawet w rzuceniu kilku książek na okrągłym stoliku napozór niedbale; we wszystkiém tyle powabu, tyle uroku, że w najbogatszych salonach nic podobnego nigdy nie spotkałem!

Po kilku słowach obojętnéj rozmowy, przystąpiłem do badania choréj. Mój Boże, mój Boże! jakimże wzrokiem jéj córka najmniejszy wyraz mego oblicza śledziła! Cóżto za potęga tego anielskiego spojrzenia, gdzie miłość i śmiertelna trwoga, skarga i modlitwa, rozpacz i nadzieja, w jedno niewysłowione zlały się uczucie! Wyraźnie czułem, jak mi się wdzierało do głębi mózgu i piersi, i potrzeba było mego zimnego rozumu, mo-

jéj władzy nad sobą, aby mimowolną zmianą oblicza nie zabić téj biednéj dziewczyny. Matka miała suchoty, i nie było już środka obronić ją od śmierci!

Zapisałem pektoralne zioła, a zalecając zwykłą w podobnych razach dyetę i spokojność umysłu, pocieszałem dobrą nadzieją. Chora z cichém westchnieniem i smutnym uśmiechem nieznacznie wstrząsnęła głową; a gdy córka wyszła odesłać receptę do apteki, ona wyprawiwszy chłopaczka niby po wodę, rzekła mi głosem pełnym niewymownéj wdzięczności:

— O! dziękuję panu, z całéj duszy dziękuję za te pocieszające słowa, bo może one wrócą spokojność mojéj Olesi; ale sama im wierzyć nie mogę!.... Czuję aż nadto dobrze, jak z każdym dniem sił mi ubywa; a te chwile wolne od cierpień, to tylko wybuchy gasnącéj już lampy życia mojego!..... Biédna Olesia! biédny mój Antoś!..... Wiem, że wrócić mi zdrowie już nie w ludzkiéj mocy; ale są środki mogące choć chwilę przedłużyć konanie..... O panie, dobry mój panie! przedłuż je, choćby w najsroższych męczarniach, na kilka miesięcy, choć na parę tygodni, na kilka godzin wreszcie!..... Może Bóg dobry w końcu się zlituje, może im ześle jaką pociechę i opiekę w ich ciężkiém sieroctwie i da mi umrzéć spokojnie!.... Zrobisz to pan? zrobisz? nieprawdaż? — pytała, wpatrując się we mnie smutnemi oczyma. A potém, załamując ręce w największéj boleści i zalewając się rzewnemi łzami, dodała:

— Ale czémże panu za to dobrodziejstwo odwdzięczę, biédna, zapomniana, odepchnięta od całéj rodziny!... A choćbym wszystko, co tylko posiadam, oddała panu: tobym i za jednę chwilę darowanego mi życia nie zapłaciła! Proszę więc, błagam jak żebraczka o jałmużnę i jak żebraczka błogosławić cię będę, wzywając z niebios zapłaty.... I Bóg ci zapłaci, o! hojnie zapłaci; bo mi to życie nie na uciechy potrzebne!.... Ja zaś, co tylko zdołam.....

I wysilona mową i wzruszeniem, zamilkła ciężko oddychając i oczyma tylko wzywając litości.

Prawdę powiedziawszy, tą razą mój zimny i egoistyczny rozum nie dotrzymał placu; ależ bo wszystko nań się spiknęło: i ten uroczy obraz na ganku, i to anielskie dziéwczę, i prośba nieszczęśliwéj matki, i głos samego Boga wołający na mnie z ewangelii przez usta czystéj dziewicy. A więc w dziwném jakiémś usposobieniu, w jakiéjś szczególniejszéj drażliwości ner-

wowéj, niezadowolony z samego siebie, czując coś nakształt kataru w oczach i nakształt palpitacyi w sercu, starałem się uspokoić pacyentkę, przyrzekając odwiedzać ją często i wyleczyć zupełnie.

Wróciły dzieci, a ja wkrótce pożegnałem ten cichy domek, choć mi się serdecznie chciało popatrzéć jeszcze trochę na piękną Olesię. Ale musiałem spieszyć do chorego, który mi po dukacie za wizytę płacił.

A jednak Olesia mocno mię zajęła, i gdyby nie ona, tobym nie wrócił do chorój, któréj uleczyć niepodobna było, a która nie mogła dostatecznie moich trudów opłacić. Widoczna więc, żem się zakochał, bo już głupstwa robić zaczynałem i miałem leczyć zadarmo, będąc pewnym, że nie wyleczę; a więc i czas traciłem, i reputacyą narażałem. A dawniéj zazwyczaj, gdy mię do podobnych chorych wzywano, to bez ogródek komukolwiek z rodziny oświadczałem, że leki będą daremne, i przepowiedziawszy dzień śmierci pacyenta, odchodziłem z lekkiém sumieniem, z mocném przekonaniem, żem łaskę biedakom wyświadczył, nie narażając ich na próżne wydatki, a razem cieszyłem się serdecznie, że mi się trafiła zręczność okazania wielkości mojéj nieomylnéj nauki! I miałem rozum; a tą razą zgłupiałem.

Nazajutrz odwiedziłem znowu chorą suchotnicę. Jak i dnia poprzedniego, całą rodzinę zastałem na ganku. Antoś u nóg matczynych, oparłszy książeczkę na jéj kolanach, czytał, a Olesia szyła. Brytan mi znowu zagrodził drogę, i powtórzyła się scena wczorajsza.

Powitano mnie z niewymowną radością, zwłaszcza Olesia; bo moja pacyentka czuła się zdrowszą, a biédne dziéwczę sądziło, że to skutkiem mego lekarstwa. Z pół godziny przeszło mi bardzo przyjemnie na pogadance, bo pominąwszy wdzięki Olesi, nowe moje znajome, przy piękném umysłowém ukształceniu, pełne były słodyczy i dowcipu. Kiedy je chciałem pożegnać, zatrzymały mnie, prosząc na herbatę, i jeszcze u nich godzinkę spędziłem; bo tą razą nie miałem dukatowych wizyt, a zyskałem widok Olesi i parę szklanek herbaty.

Odtąd codziennym stałem się gościem u pani regentowéj, (tak się tytułowała moja pacyentka), a co dzień trafiałem na herbatę, którą bez najmniejszego skrupułu spijałem, jako milionową cząstkę należnego mi honoraryum. Myślałem sobie:

niewielki im ztąd uszczerbek, a mnie lepiéj coś, jak nic; ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka.

Cała rodzina coraz się mocniéj do mnie przywiązywała, i coraz nowe, drobne napozór przysługi mi czyniąc, starała się swą wdzięczność okazać; coraz więc miléj było mi w tym domku, coraz śmielszém okiem na Olesię patrzałem, któréj wdzięczność najtkliwszą była.

Brytan tylko zawzięcie mnie ścigając, gniewał niewymownie, aż w końcu go otruć musiałem; lecz potém żal mi go było, bo sam sobie przykrość zrobiłem. Byłto ulubieniec i pieszczoch domowy, a więc jego strata wszystkich niezmiernie strapiła. Regentowa mocniéj zapadła, Antosiowi oczki zapuchły od płaczu, a biédna Olesia tak zesmutniała, że aż mnie złość brała, spoglądając na nią. I tak kilka wizyt miałem bardzo nudnych.... Dziwne ludziska! tak się do psa przywiązać! Co mi téż nagadały o jego zaletach! ileto wspomnień z nim się łączyło!... Dziwne ludziska!... A jednak niedawno, gdy mi mojego brysia wilki porwały, to ja, mężczyzna, ja rozumny człowiek, co tak zimném okiem na świat i na uczucia innych niegdyś patrzałem,—cóż powiécie?— płakałem moi panowie! płakałem jak dziecko!

Lecz wkrótce zapomniano trochę o stracie, i wszystko wróciło do dawnego trybu.

W tym czasie jakiś stary urzędnik, który w domku pani regentowéj najmował dwa pokoiki, opuścił służbę i wyniósł się na wieś. Dowiedziawszy się o tém, zrobiłem projekt bardzo rozumny. Postanowiłem prosić regentową o wynajęcie mi opuszczonego mieszkania; a myślałem sobie: powinnaby nie żądać odemnie zapłaty, a przynajmniéj wziąć mniéj niż od kogo innego. W ostatecznym zaś razie choć to będę miał w zysku, że pod jednym dachem z Olesią zamieszkam.

Kiedym się wybrał z tą propozycyą i zbliżył do ganku, nie wiem dlaczego przyszły mi na myśl słowa ewangelii, które tu, przy piérwszych moich odwiedzinach, słyszałem: „Baczcież, a strzeżcie się wszelkiego łakomstwa!“

Zrazu coś nakształt wstydu uczułem; lecz wkrótce, dzięki ścisłemu rozumowaniu, uśmiechnąłem się z swego dzieciństwa, i jeszcze bardziéj umocniłem się w przedsięwzięciu, z którego wywnioskowałem korzyść dla pacyentki. I oświadczając jéj swoje żądanie, dodałem, że właściwie mówiąc, chciałbym

w jéj domu zamieszkać dlatego tylko, by większe mieć o niéj staranie; bo zresztą mam wygodne mieszkanie, które opuszczając, oddalę się nawet bardzo od innych pacyentów swoich.

O gdybyście wiedzieli, jaką radością błysły na te słowa oczęta Olesi! jakim uroczym rumieńcem jéj liczko się powlokło! z jaką niespokojnością czekała odpowiedzi matki! Nie dziw więc, że widząc to, takem zgłupiał, że gdyby była regentowa nawet podwójnéj ceny za mieszkanie żądała, na gorącym razie i na tobym był przystał.

Ale rozumowanie moje tym razem mię nie zawiodło. Pani regentowa z rozrzewnieniem ściskając dłoń moję, jak o największą łaskę prosiła, bym raczył u niéj zamieszkać bezpłatnie, a zarazem, bym nie gardził jéj chlebem i solą.

Zrazu nibym się wzdragał; ale spostrzegłszy dwie brylantowe łezki na oczkach Olesi, przesłałem jéj spojrzenie pełne głębokiéj myśli i przyjąłem ofiarę.

Nazajutrz wprowadziłem się do nowéj kwatery, gdzie prawdziwy raj ziemski znalazłem.

Otoczono mię najtkliwszém staraniem, najczulszą opieką i nietylko spełniano moje najmniejsze chęci, ale zgadywano najskrytsze myśli. Syn najpoczciwszy u najlepszéj matki nie doznałby tyle troskliwości, ile ja u tych zacnych niewiast. Ale pomijając wszelkie wygódki, ileżto miałem niewymownéj rozkoszy!.....

Prawda to niezaprzeczona, że i najzimniejsze serce bez powiernika obejść się nie może; bo jeśli nie współczucia, to podziwiania potrzebuje. Otóż ja dotychczas nie miałem nikogo, nikogo, coby się moim rozumem zachwycał, mojém powodzeniem cieszył; coby łechtał pychę mojego umysłu szczerém uwielbieniem i potakiwał zuchwałym rojeniom moim. Pani regentowa z Olesią tę mi rozkosz sprawiały.

A cóż mam mówić o miłości tego anioła! o tych zachwycających chwilach, opromienionych jéj uroczém spojrzeniem, zaczarowanych harmonią jéj głosku, serdecznym jéj uściskiem i pocałunkiem rozkosznym!..... Wszystko to miałem, a jednak serce nie wzięło góry nad głową, nie dało się rozrzewnić prawie błagalném zwierzeniem się matki, domyślającéj się naszéj skłonności, że dlatego pragnie tylko swe nędzne życie przedłużyć, by znaléźć dla Olesi poczciwego męża, a w nim opieku-

na Antkowi; nie usłuchało głosu samego Boga, odrzuciło jego świętą łaskę, gdy tak piękną drogę przed niém otwierał! Bo czyż nie chwalebnie było osłodzić ostatnie chwile męczennicy, a biédną jéj dziatwę od straszliwéj klęski opuszczonego sieroctwa ochronić, i to jeszcze tak łatwym sposobem, zaślubiwszy tylko osobę kochaną i kochającą!..... Dobrowolnie tego szczęścia wyrzekłem się; bo głowa uczuła, że głupstwo zrobię, gdy się samochcąc w jarzmo zaprzęgę i na samym wstępie świetną karyerę zagrodzę, skazując się na wieczne trudy i kłopoty.

A więc po roku rajskiego szczęścia, gdy mi ów magnat zrobił propozycyą, o któréj wspomniałem: raz w nocy, cichaczem wymknąłem się zpod tego dachu, gdzie tyle rozkoszy doznałem, a gdzie za kilka tygodni miała zawitać okropna śmierć z nędzą i rozpaczą, i z całym swoim straszliwym orszakiem!

I cóż, przezacni politycy-filozofowie! czy jest w waszych rozumnych prawach kara na taką zbrodnię, i czy byłem zbrodniarzem w oczach ludzkiego prawa?.....

Professora swego także nie pożegnałem, bo *rachunki* nasze zupełnie były skończone. A przytém nie chciało mi się słyszéć zwykłéj jego piosenki, którą od roku ciągle powtarzał: „pojedź do ojca i zapłać mu za straty, jakie w gospodarstwie ponosi z powodu twéj ucieczki.“ Sam byłem przekonany, że tak zrobić trzeba, ale to odkładałem napotém, gdy większy zapas uzbiéram.

Na nowém miejscu praktyka szła mi bardzo szczęśliwie. W kilka miesięcy nabyłem takiéj wziętości, że z najodleglejszych okolic chorzy do mnie się po radę udawali; a wszyscy moi koledzy poprostu „w łeb wzięli“. Bo téż nie oszczędzałem ich wcale, i gdzie tylko mogłem, najsurowszą krytyką ćwiczyłem. Byłato podłość nielada; ale mój rozum i tu mię przed sumieniem bronił i w płaszczyk szlachetności stroił, dowodząc: że dla dobra społeczeństwa musiałem wykryć niecnych szarlatanów, co życiem ludzkiém frymarczą. I kilka rodzin pozbawiwszy powszedniego chleba, spałem spokojnie na zdobytych laurach, uchodząc za najporczywszego człowieka!

Byli nawet i tacy, co mię litościwym zwali, bo kilka razy jeździłem bezpłatnie o mil kilkanaście; chociaż mówiąc prawdę, nie litość mię wiodła, ale chęć zbadania symptomatów dość rzadkiéj choroby. Jednak bywały zdarzenia, że i bez tego

bodźca nie odmawiałem biednym pomocy, gdy mię podtenczas bogaci nie potrzebowali; lecz gdy w jednym czasie bogacz i ubogi wzywał, choćby piérwszy tylko do pryszcza na nosie, a drugi do krupu jedynego dziecka: bogacz miał zawsze piérwszeństwo. Bo rozumowałem, że biédni, przyzwyczajeni do nędzy wszelkiego rodzaju, łatwiéj znieść mogą najcięższą i fizyczną i moralną boleść, niżeli bogaci najlżejsze cierpienie; a przytém życie wielkich panów potrzebniejsze jest światu, niżeli życie owego motłochu. Dzięki tym mądrym zasadom, głos arystokratów przeważający zwykle w opinii publicznéj, aż pod niebiosa mię wynosił i wszystkim wierzyć kazał, żem najlitościwszy z ludzi!

W takim stanie rzeczy rychło zebrałem spory kapitalik, który się ciągle pomnażał i ze stałych dochodów, i z praktyki nieustającéj. Mogłem już bez najmniejszego prawie uszczerbku w najszczęśliwszym bycie rodzinę moję postawić; lecz zupełnie wyszła mi z pamięci. A gdy się i przypomniała, jam się jéj zaparł nikczemnie, odtrącił żebrzącą litości, i rózga Bożego gniewu chłostać mię wreszcie zaczęła.

Raz, gdym się zabawiał w salonach pryncypała, dano mi znać, że jakiś nędzarz zwąc się moim bratem, chce widzieć się ze mną. Ze zwykłą sobie przytomnością umysłu, ani się zmarszczywszy na przykre uczucie, co mi jak nożem wskróś serce przebodło, zaśmiałem się wesoło, wołając:

— Waryat być musi; ale ciekawym poznać tego braciszka, którego mi Pan Bóg tak niespodzianie z niebios tu zsyła. Niech go zaprowadzą tam, gdzie zwykle chorych przyjmuję: ja zaraz przyjdę.

Wkrótce się udałem do audyencyonalnéj sali. Brat mój w szaréj kapocie, przepasany krajką, w powykrzywianych i dziurawych butach na nogach, z borsuczą torbą na plecach, stał smutny u progu, wsparłszy się na kiju, na którym zawiesił wyszarzaną czapkę. Poznałem go odrazu, choć tyle lat zeszło w rozłące; poznałem i po rysach twarzy i po rodzinném znamieniu, które miał na czole. Gniewném spojrzeniem na pokłon jego odpowiedziawszy, spytałem groźnie: czegoby żądał?

On się wpatrzywszy we mnie osłupiałym wzrokiem:—Julusiu!—jęknął ze łkaniem, i rzuciwszy kij swój na ziemię, padł mi na piersi, zachodząc się od płaczu.

Odtrąciłem go z gniewem, i powtórzyć nie zdołam owego potoku najdotkliwszych wyrzutów, jakiemi go, wściekły ze złości, przyjąłem. A on stał załamawszy ręce w niewymownéj boleści, i zanosząc się od płaczu, nieruchomych, błagających oczu nie spuszczał ze mnie.

— Julusiu! — wyjęknął wreszcie—bracie mój drogi! daruj mi! daruj!.... to nie ze złego serca, to prosto z głupoty wstyd tobie zrobiłem!.... Sam nie wiem jak się to stało, że się twym bratem przed ludźmi nazwałem: bo gdzież mi do ciebie!..... Ale już nigdy tego nie powtórzę, samemu sobie nie powiem; chyba tylko Bogu, modląc się za ciebie!..... Jabym tu nawet nie przyszedł, ale bo widzisz, ojciec się zapisał w *jednodworcy*, i ot niedawno *starszyna* mu powiedział, że na przyszły nabór *oczered* na mnie przypada. Boć to Jędrzéj starszyną, a on, jak wiécie, zdawna z tatulem w przyjaźni; to go i ostrzegł, żeby coś pomyślał, żeby się dla mnie zastępcy wystarał. Ot się tatuś dowiedział przez księdza proboszcza od tego pana, co to was był zabrał, kędy was szukać, i posłał mnie tu do was, czy nie zaratujecie nas jakim groszem. Ale to tak wiele, tak wiele na ten interes potrzeba, że i wymówić straszno! Dwa tysiące złotych! Może wy i sami tyle nie macie!.... Ale gdybyście mieli, gdybyście dali; to ucałowawszy wasze drogie stopy, poszedłbym sobie natychmiast, błogosławiąc was i modląc się za was, póki życia stanie!

Szczerze wyznaję, że ta głęboka boleść prostodusznego brata trochę mię wzruszyła; i gdyby nie był mym bratem, albo gdybym mniéj miał rozumu, tobym mu dopomógł: a tak— odszedł tylko z rozpaczą i łzami!...

Nic mu nie dałem, bo mi na rękę było, że go wziąć mieli w rekruty; bo mi rodzina moja wadziła na świecie, przypominając ludziom moje pochodzenie, i wstyd mi przynosząc. Myślałem tedy: jak go wykupię, to temu i końca nie będzie, bo w lada kłopocie, w imię braterstwa do mnie się przywlecze. A jak zostanie żołnierzem, to już nazawsze będę spokojnym, bo staremu ojcu niedługo tu już popasać. Prócz tego. czemużby on miał uchylać się od służby publicznéj, do któréj go prawo zobowiązuje? i kiedy inni temu uledz muszą, dlaczego on ma wyjątek stanowić? A więc, dlatego odmówić mu trzeba, żeby bezprawia nie wspierać!.....

I brat mój poszedł w rekruty, a stary ojciec sam jeden w walącéj się chacie pozostał!

A za tę drugą najczarniejszą zbrodnię, czy można mnie było w obliczu rozumu do sądu pociągnąć?—Nie, moi panowie! ludzkie prawa ukarać mię za to nie mogły: i Bóg to wziął na siebie.

W kilka tygodni po tém zdarzeniu, w przyległém miasteczku, gdzie miałem kilkunastu przyjezdnych pacyentów; jednego dnia czterech umarło, i to takich, o których mówiłem, że wkrótce będą już zdrowi! Napozór nic w tém nadzwyczajnego nie było, bo każdy z tych rekonwalescentów dał sobie powód do zgubnéj recydywy: jeden się przeziębił, drugi nie zachował przepisanéj dyety, trzeci to, czwarty owo; słowem, stało się to bardzo naturalnie. Lecz moi koledzy, których tak nielitościwie zabijałem w opinii publicznéj, skwapliwie pochwycili tę okoliczność, by mi z naddatkiem odpłacić za swoje. Łatwe znaleźli ucho u strapionych krewnych, a zwłaszcza u pokrzywdzonych testamentami; i daléjże góry na mnie walić i trąbić na cztery wiatry o mojem niepowodzeniu.

Ja się uśmiechałem z pogardą na te pociski, bo wtedy i na myśl mi nie przychodziło, że to Boża ręka kieruje niemi; lecz w parę miesięcy znowu kilkunastu chorych za moim paszportem na tamten świat się przeniosło. Coraz więc straszliwiéj szarpano moją sławę i coraz gorzéj szły mi interesa. Coraz mniéj miałem pacyentów, a kto się tylko udał do mnie po radę, niebawem do wieczności się przenosił. Zdawało się, że każde lekarstwo przezemnie podane, trucizną się stawało! Nie zdołam wyrazić jak mnie to jątrzyło; tém bardziéj, że po najściślejszém zbadaniu przyczyn, musiałem się przyznać przed sobą, żem się omylił w rozpoznaniu choroby, i nie tak ją traktował, jak było potrzeba!

Na dobitkę, jedynak mego pryncypała, jedénastoletni chłopak, z obżarstwa dostał niestrawności, i ni z tego ni z owego podziękował mi za opiekę i ruszył *ad patres*.

To mnie do reszty zgubiło. Żal nie zna miary; a przytém straciwszy najdroższego jedynaka i słysząc kilkunastu lekarzy wołających: „zabity! zabity!“ można się unieść, można się zapomnieć!..... Wypędzono mię tedy nietylko z domu, lecz nawet z okolicy.

Nie koniec na tém: posunięto zemstę aż do podłości, bo mi zatrzymano trzyletnią pensyą z procentami. Nic mi tu nie pomógł najformalniejszy kontrakt; jeszcze mię nawet potępił, bo się zobowiązałem dwa razy na tydzień objeżdżać wszystkie włości mego pryncypała, a świadkowie zeznali, że i raz w miesiąc nie byłem! Zobowiązałem się usposobić trzech cyrulików, i usposobiłem; lecz na egzaminie kazano im nic nie umieć! Rzuciłem się do procesu, bo w zawziętości zgłupiałem, a raczéj, według przysłowia, Bóg chcąc mię ukarać, odebrał mi ten rozum, z którego tak się pyszniłem. A że pryncypałowi mojemu nie szło o pieniądze, lecz tylko o zemstę; wygrał więc sprawę, i jeszcze karę pieniężną ze mnie złupił.

Zebrawszy tedy szczątki ogromnego niegdyś kapitału, przeniosłem się w te strony, jako najodleglejsze od miejsc nieszczęściem i hańbą moją pamiętnych.

Leki i tutaj mi się nie wiodły, i sumienie groźnym wołało głosem, bym praktyki zaprzestał; ale mi rozum stać kazał przy swojém. Jednak gdy medycyna niewielki czyniła mi dochód, postanowiłem jeszcze spekulować. Nająłem sobie obszerny folwark w prześlicznéj a żyznéj naddnieprzańskiéj okolicy, i w złotodajnym pszenicznym kraju zostałem rolnikiem. Mając łąk dostatek, kupiłem kilkanaście par wołów, tak do uprawy gruntów, jak i do wynajęcia pod odeski transport; również zaprowadziłem, niewielką wprawdzie, ale najlepszéj rasy owczarnię, liczna zaś pasieka i piękne ogrody dopełniały mego gospodarstwa.

Prócz tego urządziłem Prysznicowskie kąpiele, które ściągały wielu amatorów; bo latem w moim folwarku prawdziwie rajskie życie było. Okolica urocza, przechadzki czarujące, nabiał przewyborny, szparagi, ogórki, sałata, kurczęta, jagody i owoce wszelkiego rodzaju, od prostych czereśni do najpyszniejszych brzoskwiń i winogron; i miód bieluchny z balsamiczną wonią, prawie tak dobry jak litewski lipiec, a wreszcie kąpiel, czyto pod *tuszą*, czy w rzece, taka rozkoszna, że się i nasycić trudno było! Trzymałem kilka dzienników, nająłem trzech wędrownych Czechów muzykantów, sporządziłem dwa prześliczne baty, na stajni miałem kilka doskonałych wierzchowców, w domu wyborny bilard, w ogrodzie piękne huśtawki; a kawa, lody i różne chłodniki, były na zawołanie. Calutkie

więc lato, mój szpital brzmiał wesołą wrzawą licznych pacyentów, których kuracya majowa nieraz aż do września trwała.

W takim stanie rzeczy potrzebowałem gospodyni, i prędko ją znalazłem. Byłato osoba niemłoda i wcale niełądna; lecz cicha, łagodna, uległa, a co ważniejsza, mieszkając przy bogatych krewnych i rządząc ich domem jako ochmistrzyni, znała się na gospodarstwie i miała oprócz tego kilka tysięcy rubli posagu. Łatwo mi było podobać się biednéj dziewczynie, która może nigdy tkliwego słówka nie słyszała; i z sercem zimném jak marmurowa tablica, stanąłem wkrótce przed ołtarzem.

Trzy lata zeszły niepostrzeżone w najzupełniejszém szczęściu. Wszystko mi sprzyjało: rola rodziła obficie, pasieka i owczarnia wiodły się wybornie, handel pszenicą, wełną i miodem szedł najkorzystniéj, kąpiele ogromny zysk mi dawały, praktyka lekarska znów poszła szczęśliwie; a żona kochająca mię do ubóstwienia, nie miała innéj myśli i chęci, jak tylko moje myśli i chęci zgadywać i uprzedzać. Na domiar mojego szczęścia, dwoje ślicznych dzieteczek miłém szczebiotaniem ożywiając mój domek, napełniały me serce nieznaną dotąd rozkoszą!

Bóg litościwy spełniając wszystkie moje życzenia, probował, czy kiedykolwiek będę miał zadość? czy téż zobaczę świętą Jego rękę w tych darach, i czy mi przyjdzie na myśl, podzielić się niemi z swym bliźnim? Niestety! jam wszędy widział tylko swój rozum, zwąc nieszczęśliwych głupcami; a w przekonaniu żem wszystko sam sobie winien, nie czułem potrzeby dopomagania innym, i srodze powstawałem na tych, co biednych wspierali, dowodząc, że tym sposobem protegują próżniactwo. Miłość zaś bliźniego zasadzałem na tém, aby mu nie czynić tego, co mi niemiłém, ale nie na tém, by mu to czynić, co mi samemu miłe. Dobroczynność na tém, by nic nikomu nie odbierać; a nie zaś na tém, by swoje oddawać. Ofiary nie znałem wcale, bo rozum mnie uczył, że to ostatnie głupstwo; bo dopomagać biedniejszym nawet *podług możności*, to znaczy ze wszystkiego się wyzuć. Gdyż mając naprzykład sto złotych, jeślim obowiązany jeden z nich oddać bliźniemu; to i z dziewięćdziesięciu dziewięciu setną część także ofiarować muszę, i tak bez końca, aż póki z niczém nie pozostanę. A nawet i wtedy, według tych mądrych zasad postępując, pozbywszy się wszystkiego i mając tylko pracę, jeszczebym powinien dopomagać temu,

kto i chleba nie ma i pracować nie może. Nie życząc sobie dojść do téj ostateczności, nikomu nigdy nic nie dałem; a mieniłem się najpoczciwszym z ludzi dlatego tylko, żem nic nikomu bezpośrednio nie wydarł, nikogo nie oszukał, słowa nie złamał, sługi nie skrzywdził; słowem, żadnéj powinności nie chybił. Nie chciałem wierzyć, że w tém tylko zasługa, co człek nad powinność, w ludzkiém znaczeniu braną, uczyni; że cnota w uczuciu, a nie w rachubie. A gdy mię zimne rozumowanie w takie ciemności zawiodło; Bóg sprawiedliwy błyskiem piorunu oświecił.

Czwartego roku zaraza wybiła mi owce i woły, i połowa pasiek wymarła; piątego, zatonęły galary z pszenicą, zginęła reszta pasieki, grad oziminę zniszczył; a w praktyce lekarskiéj znowu zabijać zacząłem, i to od własnego najmilszego dziecka! Słowem, jak dawniéj wszystko się wiodło, tak teraz na każdym kroku jakaś fatalność mię gnała!

Poczciwa moja żona widząc we wszystkiém wolą Pana Boga, znosiła te ciosy z rezygnacyą prawdziwie chrześciańską, w modlitwie tylko szukając pociechy; a jeżeli się trapiła, to nie poniesionemi stratami, ale opłakanym stanem méj duszy: bo zimny mój rozum w ciągłych przeciwnościach nie umiał zachować stoickiéj powagi, lecz miotał się i zżymał w dzikiém rozjątrzeniu. Pyszny wielkością, ufny w własne siły, cierpiałem piekielne katusze, widząc, że wszystkie moje zabiegi, wszystkie najlogiczniejsze wysiłki dawnego szczęścia sprowadzić nie mogły!... W czarnéj rozpaczy chodziłem jak obłąkany... a gdy się zdarzyła jaśniejsza chwila, to żona ostrożnie, trwożliwie starała się myśl moję obrócić ku Bogu, i skłonić mię do szukania pociechy w modlitwie. Ja się uśmiechałem jak pan Teodor przed chwilą. Ona, w bolesném zażaleniu odważała się czasem przypomnieć mi karę za grzechy, i płakała i modliła się znowu, szukając pomocy u Boga; a ja się gryzłem i jątrzyłem, domagając się jéj u swego rozumu!

Jednak bywały chwile, gdy myśl o karze boskiéj pomimo woli wdzierała mi się do głowy, stawiąc przed oczy i biédną rodzinę i biédną Olesię i wszystkich odepchniętych nielitościwie od mojego serca zimną wolą rozumu; wtedy, zamiast skruchy, jakaś mię wściekłość przejmowała, i zamiast cobym miał zniżyć w pokorze pyszne czoło, wznosiłem je zuchwale, wyzywając do walki swego Stworzyciela bluźnierstwem

i niewiarą!.... I usłuchał mię groźny przeciwnik, lecz nim rzucił piorun w potępioną głowę, jeszcze ostrzegał, jeszcze nieprzebrany w dobroci, jako równemu, jak bratu, podawał świętą swą prawicę na znak pojednania; a ja szalony odepchnąłem ją z pogardą!....

Tyle tu okropnych, nieprawdopodobnych wypadków się zgromadza, żeście mię gotowi o fałsz posądzić, i bolesne dzieje mojego żywota wziąć za niezgrabną powiastkę jakiego świętoszka; ale niestety, wszystko to prawda! o, straszliwa prawda!

Raz pod koniec lata, właśnie po owéj klęsce gradobicia wracałem z pola wieczorem, smutny i gniewny, bo na dwa wozy cały zbiór zabrano: aż oto w dąbrowie zastąpił mi drogę jakiś.... co tam jakiś! poprostu brat mój, w żołnierskiéj szaréj *szynieli*, kulawy i jednooki.

Tą razą bez prostaczéj trwogi, bez łez i uniesień, zbliżył się do mnie i rzekł ujmując za rękę, drżącym wprawdzie głosem:

— Jak się masz bracie! Teraz nie zrobiłem ci wstydu, nie byłem w twoim folwarku i nie nazwałem się bratem przed twoją żoną; powinieneś mi za to ślicznie podziękować! Gdybym był zdolny do pracy, tobym poprzestał na prostém „Bóg zapłać“, ale nędzny kaleka więcéj potrzebuje. Oto, miły bracie, daj mi chléb łaskawy u siebie, weź na jakiego stróża, czy do pasieki, czy do ogrodu; a ja ci poczciwie po bratersku służyć będę i nikomu nie powiem, że jestem twym bratem. Nie prosiłbym o tę łaskę, gdyby nie to, żem nietylko ojca, ale nawet śladu po jego chacie nie znalazł w naszym zaścianku. Sam, powiadają, poszedł po żebraninie; grunt mu odebrali, bo czynszu nie miał czém płacić, a naszą chatkę zwalili! Ja zaś mam taką głupią naturę, że nabiedowawszy się do syta, chcę przynajmniéj skonać przy swoich. Oj! niemało téż świata schodziłem, szukając ciebie, aż tu nakoniec znalazłem: pozwólcie teraz odpocząć mojéj biédnéj nodze! Jeżeli się wstydzisz człowieka, to może wyczytasz w mądrych książkach jaki czarodziejski sposób, żeby mię w psa obrócić; ja ci i za to nogi lizać będę, bylebyś pozwolił pozostać przy sobie!

— Nie znam cię—rzekłem—i nie rozumiem twéj mowy, biédny człowiecze!

Dwie bujne łzy wybiegły mu na ogorzałe lica, opuścił mą rękę, westchnął głęboko, zachwiał smutnie głową i spojrzawszy ku niebu, powlókł się daléj nieborak..

W kilka dni potém wezwano mnie do jakiegoś pana w sąsiedztwo, który niedawno przybył w nasze okolice, sądząc, że zmiana miejsca uleczy jego żonę.

Wybrałem się jednokonną bryczką, sam się powożąc. Może o milę od domu, gdy puściwszy stępo znużonego konia, w zamyśleniu nie zważałem co się wkoło dzieje; nagle posłyszałem jakiś głos jękliwy:

— Oj, dobry panie! na miłość Boga, podwieźcie mię do wioski, żebym tu w lesie nie umarł!

Spojrzałem. Przy drodze, oparty o zwalone drzewo, leżał stary żebrak, którego oblicze przypominało mi kogoś, jak gdyby z sennych widziadeł..... Naturalnie, żem udał głuchego i zaciąwszy konia, umknąłem czém prędzéj: bo jużciż głupstwobym zrobił, gdybym się woził z jakimś włóczęgą! A jadąc z jednym, gdybym spotkał drugiego, to już raz puściwszy się na filantropią, musiałbym sam iść piechotą, by i jego podwieźć; a jakby poszło szczęśliwie, to trzeciego wziąłbym na ręce!.....

W takich rozmysłach stanąłem u celu mojéj podróży. Dwór wcale porządny i znać że dostatni, ale pustką trąci i po wszystkiém widać, że długo był niezamieszkany i że niedawno się zaludnił. Oddawszy konia jakiemuś kozakowi, wszedłem do domu.

Przedpokój pusty, piérwszy pokój także; lecz obłoki dymu cygarowego wskazują sąsiedztwo ludzi. I w saméj rzeczy, w trzecim pokoju zastałem dwóch mi znajomych lekarzy, grających w preferansa z jakimś zgrzybiałym, trzęsącym się, obrzydliwym starcem, który był gospodarzem domu, a mężem choréj.

Jeden z doktorów rzekł mi po łacinie, że mię wezwano na konsylium, ale właściwie tylko dla formy, bo choréj nic już niepotrzeba, prócz gromnicy w rękę, gdyż najdaléj o świcie suchoty zabiorą swoję ofiarę.

Po zwykłych ceremonialnych słowach, szanowny gospodarz zaprosił mię do choréj, a przeprowadziwszy przez kilka pustych pokoi, wskazał mi drzwi zamknięte i wrócił do preferansa.

Z jakiémś niezwykłém wzruszeniem duszy wszedłem do sypialni; ale zaledwie spojrzałem na chorą, pociemniało mi w oczach, zaszumiało w uszach i serce piérwszy raz w życiu serdecznym ścisnęło się bolem, piérwszy raz w życiu gorzkie, palące łzy na twarz wybiegły..... byłato Olesia! Oparłem się

o ścianę, bo czułem, jak nogi podemną się chwiały, i w niemej boleści załamawszy zdrętwiałe ręce, oczu od konającéj oderwać nie mogłem.

I stanął mi w myśli ów uroczy dworek, i poczciwa matka w starym fotelu, i mała dziecinka tuląca się u nóg jéj z pieszczotą, i anioł-dziewica, anioł mego raju ziemskiego, wołający bożą przestrogę: „Baczcież a strzeżcie się wszelakiego łakomstwa!“ Dowiedziałem się poźniéj, że po śmierci matki biédna dziewczyna zostawszy bez żadnéj opieki z małym Antosiem, jako najwyższe dobrodziejstwo przyjęła rękę owego chodzącego trupa, by ofiarą życia, los brata zapewnić!.....

Wynędzniała, blada jak marmur, z posiniałemi ustami, z wyrazem niewymownéj boleści na czole, jakby zamyśloném, leżała biédna suchotnica, opuszczona od wszystkich; a osłupiałe, szeroko rozwarte oczy, a oddech ciężki i prędki, i konwulsyjne rąk poruszenia, okropną zwiastowały prawdę! Ach! już te oczy w oblicze anioła śmierci tak się wpatrują, te ręce za jego uściskiem gonią, a te usteczka, pod jegoto pocałunkiem zsiniały..... O! nie tak to było, nie tak w owych czarodziejskich chwilach naszego szczęścia!.....

Drzwi przeciwległe zwolna się rozwarły i cichuteńko, na palcach wszedł dwunastoletni chłopaczek z jakąś flaszeczką mikstury. Spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem, żywy rumieniec oblał mu wybladłe lice, oczy łzami zabłysły.....

— Olesiu!—krzyknął pan Julian!

Chora zerwała się na łożu, skrzyżowała ręce na piersiach, spojrzała na mnie i z rzewliwym, bolesnym jękiem upadła na pościel..... i zgasły szeroko rozwarte oczy, a jęk się skończył długiém, okropném, chrypliwém westchnieniem!

Porwałem się jak obłąkany i nic nie widząc, prócz tych osłupiałych oczu, i nic nie słysząc, prócz jéj ostatniego tchnienia, wybiegłem z tego przeklętego domu, rzuciłem się na bryczkę i ćwicząc biédnego konia, pędziłem galopem, jak gdyby śmierć za mną goniła.

Wśród lasu, nagle koń rzucił się w stronę, i zaczepiwszy osią o drzewo, stanął parskając z trwogą.

Na drodze leżał ów żebrak, którego podwieźć nie chciałem; leżał bez duszy, twarzą ku niebu; a na rozwartych oczach stały dwie łzy bujne.... A wiécież kto był ten żebrak?—byłto mój rodzony ojciec!....

Cóż uczyniłem? jak się wam zdaje?—Naturalnie, że uspokoiwszy konia i odpłątawszy bryczkę, ruszyłem daléj szczęśliwie, rzuciwszy trupa na drodze. Bo głowa mi rzekła: że *umarłemu kadzidło nic nie pomoże*; a wziąwszy zwłoki do domu, biédę sobie ściągnę i śledztwo sprowadzę, które niemało wyciągnie mi grosza! Zimny więc jechałem daléj do domu.

Zimny!.... zimny napozór tylko, bo od śmierci Olesi, całe piekło w mém sercu wrzało; ale szalony, jużem stanął do boju z mym Bogiem!.... jużem się nie wypierał, że widzę jego karzącą rękę, ale postanowiłem nie uledz pod nią!...

W powrocie do domu, już poźnym wieczorem, zaskoczyła mię w połowie drogi straszliwa burza. Niebo i ziemia gorzały od błysków, od gromów się trzęsły; a wicher gruchotał drzewa i rozwalał stérty na polu.

Nie mając gdzie się przytulić, jechałem daléj powolnym krokiem, bo dészcz zalewał mi oczy, a wiatr konia z nóg walił. Już byłem niedaleko swego folwarku, wtém błysk okropny oślepił mię prawie, i w téjże chwili ogłuszony straszliwym gromem, runąłem z koniem na ziemię.

Gdy się podniosłem i przetarłem oczy, zgrzytnąłem z dzikim jękiem zębami, i jak szalony, rzuciłem się pieszo do folwarku, który stał cały w płomieniach.

Przybiegłem. Czeladź, załamując ręce i wrzeszcząc w niebogłosy, snuła się naokoło domu, a nikt nic ratował; bo się nie godzi gasić piorunowego pożaru!... Żony ani dziecka na dworze nie było; rzuciłem się w płomień, i po gorejących schodach wbiegłem na drugie piętro, by się do gabinetu dostać, gdzie leżał cały mój kapitał w papierach; lecz tu już wszystko ogień ogarnął!... Chciałem wracać napowrót, lecz schody już się zawaliły!.... Nieprzytomny przypadłem do okna, wyparłem je pięściami, i zapomniawszy że stoję na piętrze, skoczyłem...

Kiedy odzyskałem zmysły, ujrzałem się w chłopskiéj chacie, na prostém ale wygodném łożu; przy mnie siedział brat mój poczciwy, płacząc gorzkiemi łzami.

Cóż wam mówić daléj? Straciłem wszystko: i żonę, i dziecko, i pieniądze. Dziedzic mego folwarku, wielki mój admirator i bardzo rozumny człowiek, zabrał mi resztę co ogień oszczędził, i jeszcze chciał nawet zarwać trochę z żoninego posagu, za poniesione straty w budynkach; lecz ten przywłaszczyli krewni méj żony, składając się jakimś zapisem. Tak więc zostało

mi tylko kalectwo, bo w szalonym skoku połamałem nogi, powykręcałem ręce i wybiłem oko!

Kilka miesięcy przeleżałem w najokropniejszych męczarniach duszy i ciała; a brat mój, po dwakroć odtrącony nikczemnie, nieodstępnie czuwał przy mojém łożu, strzegąc mnie, jak najtkliwsza matka strzeże drogiego dziecięcia.

Gdy wreszcie ustały bole, gdy czarna rozpacz nieco przycichła, a wróciła rozwaga; przebiegając myślą całe moje życie i zastanawiając się nad smutnym obecnym stanem, musiałem wyznać przed sobą: że główną przyczyną wszystkich moich cierpień był rozum nieoparty na wierzącém sercu, rozum ubóstwiany, z którym dziś zginąłbym w ostatniéj nędzy, gdyby nie ludzkie serce prostodusznego brata mojego, który mnie czynem nauczył, że nie każdy w drugich siebie jedynie kocha, i dał mi poznać wielkość i świętość ofiary. Przekląłem więc ten nieszczęsny rozum, i z pokorném sercem upadłem na twarz przed miłościwym Bogiem, żebrząc, by mię swą łaską oświecił; i uczułem święty głos w duszy: pokuta!

Pyszny i nielitościwy, postanowiłem w pokorze wzywać ludzkiéj litości; a modlitwa, którą niepotrzebną zwałem, dzisiaj daje mi ten chléb powszedni, co mnie przy życiu trzyma. Ale, niestety! i dzisiaj dusza z niéj pociechy nie ma; bo wiara, zabita rozumowaniem, dotąd nie odżyła.

Bratu mojemu, jakiś pan poczciwy dał tutaj służbę w pasiece. Przyjął mnie do swojéj budy, dzieli się ze mną swą strawą i szatą, i biédny kaleka niańczy biédniejszego nędzarza!

Otóż i wszystko. A teraz bądźcie mi zdrowi, i zachowajcie w pamięci smutne dzieje mojego żywota. Dobranoc! a jak sobie kto pościele, tak się wyśpi."

Rozesłaliśmy burki, wzięli tłumoczki pod głowę, i wkrótce smaczno zasnęli, poleciwszy się Bogu; tylko Teodor długo się kręcił i przewracał: lecz pewnie to komary spać mu nie dały, a nie powieść żebraka.

STEFAN CHMIELECKI.

PRZEZ

Seweryna Gołębiowskiego.

Cny Chmielecki, mężu sławny
Jakiego czas nie miał dawny!
Nie jeden wiek ni dwa minie,
A twa sława nie zaginie.

Stefan Chmielecki herbu Bończa, szlacheckiego rodu, lecz małego majątku, żył w wierze katolickiéj, i z garścią odważnych a serdecznych ludzi bronił Ukrainy od tatarskich najazdów. Nie znała nigdy Ukraina głębokiego pokoju, ale za regimentarstwa Chmieleckiego można było spać spokojnie w domu, bo na granicy czuwał mąż rycerski, co zawczasu ostrzegał o grożącém niebezpieczeństwie. Czuwał z wytężoném okiem i uchem, z jedną nogą w strzemieniu; a gdy zwietrzył Tatarów, nie czekał aż po kraju rozniosą spustoszenie, ale spotykał ich na granicy z szablą w garści, na czele pancernych i kozaków, a sprawiwszy im dobrą chłostę, gnał za niemi w Dniestr i w dzikie pola.

„Powiadają, że uciekającemu nieprzyjacielowi trzeba złoty most budować", mawiał nieraz Chmielecki; „ja zaś, że mam sprawę z Tatarami, którzy mostów nie potrzebują, zawsze muszę wpław za niemi."

Dawniejsza część życia Stefana Chmieleckiego ze źródeł przezemnie posiadanych, nie może być zupełnie rozjaśniona. Tyle tylko wiadomo, że za Zygmunta IIIgo był na Moskwie, a kiedy wojsko stołeczne zawiązało konfederacyą, jako poseł od

koła generalnego, jeździł na sejm warszawski 1613 r., dopominając się o żołd zaległy (1).

Gdy Humanai w Siedmiogrodzie trzymając stronę cesarską, chciał coś czynić przeciw wojewodzie Betlem Gaborowi; pociągnął do siebie z Polski zaciężnych ludzi, a w téj liczbie Stefana Chmieleckiego. Omyliły go nadzieje, i Węgrzy do niego łączyć się nie chcieli; więc wojsko rozpuścił, tylko Chmieleckiego ze 180 ludźmi przy sobie zostawił, bardziéj dlatego, że się obawiał kłopotu od Węgrów, niż żeby miał co myśléć przeciw wojewodzie (2).

Od roku 1618 mieszkał w Krasnem, trzymając, jak się zdaje, w dzierżawie włość krasniańską od księżnéj Ostrogskiéj wojewodziny wołyńskiéj.

Na wiosnę 1620 r. Stefan Chmielecki z Krasnego i żołnierze kwarciani chodzili za Tatarami, którzy plondrowali koło Szarogrodu i Morachwy; za niezgodą swą nic nie sprawili (3).

D. 6 sierpnia 300 konnych Tatarów wpadło pod Buszę; nabrali niemało ludzi i plonu, ale Stefan Chmielecki szczęśliwie ich rozgromił, plon odbił i języka dostał (4).

Kiedy Żółkiewski wkroczył na Wołoszczyznę, Stefan Chmielecki prowadził 800 konnych Ukraińców, oddział w części złożony z ochotników, a w części wystawiony przez księżnę Ostrogską wojewodzinę wołyńską.

Hetman stanął na Cecorze w starym okopie; obok niego położyło się wojsko tureckie i tatarskie. Rycerstwo polskie rwało się do bitwy, więc w sobotę 19 września 1620 r., hetman wojsko wyprowadził z okopu i bitwę wydał. Chmielecki ze swoimi ludźmi stał na lewém skrzydle, które sprawował książę Korecki: a gdy Tatarzy w tył wojsku zaszli i z wielkim impetem uderzyli, przez kilka godzin na sobie trzymał nawałę pogańską, i bynajmniéj z tamtéj strony do przegranéj się nie nachyliło, tylko na prawém skrzydle, gdzie Tatarzy rozerwali tabor i piecho-

(1) Instrukcya na sejm walny warszawski z koła generalnego lubelskiego od wojska J. K. M. stołecznego, panom posłom Stefanowi Chmieleckiemu i Adamowi Łodzińskiemu dana dnia 26 marca roku 1613. W rękopismie znajdującym się w archiwum Magistratu warszawskiego pod nr. 177.

(2) Stanisław Żółkiewski do Zygmunta III, 23 czerwca 1616.

(3) And. Chrząstowski do Tom. Zamojskiego, 20 maja 1620.

(4) Woj. Miaskowski do Tom. Zamojskiego, 14 sierpnia 1620.

tę wycięli. Ku wieczorowi wojsko ustąpiło do okopu; lewe skrzydło w porządku i bez szkody, na prawém hetmanowie piersiami swojemi zasłaniali odwrót. Uprowadzono ich z pola, konie porwawszy za cugle, już między hufami pogańskiemi.

Żółkiewski widział, że z małemi siłami nie podoła nieprzyjacielowi; nie spodziewając się ani posiłków, ani odsieczy, kazał wojsku sposobić się w drogę, żeby je uprowadzić taborem do ojczystéj granicy. Ale znaleźli się tacy, którzy nicowali zamiary hetmańskie, powiadając, że hetmanowie chcą uciekać, a rycerstwo wydać na mięsne jatki; niechże sobie sami uciekają, a my póki czas przez Prut konno ruszajmy na Bukowinę. Hospodar wołoski, który bał się, żeby go Turkom nie wydano, na żałosną śmierć pokazał drogę do Prutu.

Popłoch padł na wojsko, ciemność wieczorna podwajała zamieszanie. Darmo hetmani rzucali się w tłum uciekających, wstrzymując prośbą i groźbą; wszystko pierzchało w zawody. Powódź powszechna porwała i Stefana Chmieleckiego; zastawiał się zrazu i drugich wstrzymywał, już mu nawet Żółkiewski powierzył rząd taboru, chcąc jakkolwiek uprowadzić wojsko; lecz potraciwszy umysły szlacheckie, tłumnie uchodzić zaczęli. Darmo Chmielecki wołał: „na swoję szyję biorę, że was uprowadzę bezpiecznych"; nie słuchali dobréj rady, porzucali chorągwie, i każdy o sobie radził. Dwóch nas było szlachciców, powiada Chmielecki, cośmy stali mocno przy intencyach hetmańskich; nie mogliśmy przeciw wszystkiemu wojsku przemódz, a nikt nie chciał przy swoich hetmanach za króla i Rzplitę sławnie umiérać: wszyscy za Prut na Bukowinę uchodzili w bród, na którym trzeba było pływać, a z tamtéj strony Tatarowie i Wołochy zdrajcy jako trzcina z ziemi wyrastali. W takiém zamieszaniu zebrał co było ludzi pod ręką i sprawiwszy ich, za drugimi puścił się do Prutu. Nacisk był wielki na bród i wszędy; ciskali się w wodę gdzie kto mógł: jedni potonęli, drudzy poszli w łyka pogańskie. Chmielecki tych, którzy się go trzymali, uprowadził szczęśliwie.

Zdając sprawę przed Tomaszem Zamojskim z téj haniebnéj ucieczki, Chmielecki tak się wyraża: „Niestało żołnierzów ojca Waszmości sławnéj pamięci, a choć téż jeszcze i są, zapomnieli powinności swéj; co ja patrząc po ludziach i po rzeczach, niczemu inszemu nie przyczytam, jedno wielkiemu karaniu Pańskiemu i cudownemu przejrzeniu jego. O czém więcéj pisać sfatygo-

wany będąc i krwawemi się łzami zalewając, nie chcę, żałując zginionych braci, krewnych i miłego towarzystwa, więc i ubogich dostatków, którychem tam wszystkich pozbył, ubezpieczony będąc taborem a nie przebijaniem się przez wojsko. Bo choć mię już Tatarowie porzucili, znowu mię Wołosza wzięła, a chcąc tę garstkę wcale uwieść, bijąc się aż do samego Dniestru, obronną ręką uchodziłem pod Jarugę. Teraz Pana Boga tylko proszę, aby prędko zdarzył pomścić się nad pogaństwem, odbić i odebrać swoje" (1).

W lipcu 1621, Tomasz Zamojski wojewoda kijowski, który ożenił się z księżniczką Ostrogską i wziął Krasne w posagu, przyjął go do swéj służby, naznaczył mu 2000 zł. rocznego jurgieltu, dał mu w dożywocie miasteczko Nowy Międzyboż i dwa sioła Szczuczyńce i Dewce, puścił mu włość krasniańską w łaskawą arendę, i ludzi ukrainnych oddał pod jego władzę. Z Krasnego mogło stanąć do boju trzysta koni, z Szarogrodu drugie tyle, a wszyscy chłop w chłopa lud dobrany, na dzielnych koniach, w ciągłych harcach z Tatarami zaprawieni do boju. Z takim ludem i ze szlachtą, co chętnie szła pod jego rozkazy, Chmielecki dziarsko się zwijał, a gdzie się zwinął—pierzchał, ginął wróg psubrat.

Zamojski kazał Chmieleckiemu z Ukraińcami ciągnąć do Tarnopola, gdzie zbierał swoje wojsko, dla połączenia się z hetmanem Chodkiewiczem, który obóz zatoczył pod Chocimem. Zatrudniło Chmieleckiego przejście przez wieś krasniańską kozaków zaporozkich, którzy ze swoim dowódzcą zuchwalcem i wielkim pijakiem Borodawką ciągnęli do Wołoch, i pustoszyli kraj gorzéj nieprzyjaciela. Przeszli kozacy, a Chmielecki zebrawszy 600 Ukraińców spieszył do Tarnopola. Właśnie wtedy wpadli Tatarzy; trzeba było bić się z nimi po drodze. Chmielecki zniósł jeden zagon, nabrał więźniów i połączył się z Zamojskim. Nim wyruszyli zpod Tarnopola wieść nadeszła, że już pokój stanął pod Chocimem; więc Chmielecki Ukraińców nazad odprowadził, i zasiadł w Krasnem na straży od dzikiego pola.

Przybył z pola kozak i dał znać Chmieleckiemu, że widział Tatarów na suchym Jahorliku. „Nie spodziewam się ich prędzéj aż na niebie ujrzą nowy miesiąc. Tak mi się już ta trybulacya

(1) Stefan Chmielecki do Tomasza Zamojskiego, 26 września 1620.

naprzykrzyła, pisał Chmielecki, żebym rad im co prędzéj, żebym się z nimi bił. Sześćset ich, powiada, koni; prawie jeno wczas do zabawy, panie Boże racz tylko dać fortunnie" (1).

Pod mohilewski jarmark Chmielecki spodziewał się gości: jednych Tatarów z pola, drugich z za Dniestru. Porozsyłał więc szpiegów w pola i na przeprawy, a sam był w gotowości z ludem zebranym. W takich miejscach umyślił zapadać, zkądby mu widno było na wszystkie strony, a jego żeby nikt nie widział, bo inaczéj nie ułowić Tatarzyna; jak tylko poczuje gdzie może wziąć po żebrach, pewnie się tam nie pokaże.

Rozeszła się na Ukrainie pogłoska, że Kantymira do Porty wzięto za ostatni najazd. „Bajki to poetyckie, powiadał Chmielecki, nie takto łatwo wziąć Kantymira: nie mieszka w murach choć baszą jest; tak latem jak zimą w polu koczuje z żonami, z dziećmi, ze stadami i z bydłem, w polu cały jego dobytek, a codzień na innéj paszy. Gdyby czuł że go karać będą, zapadłby na miejscu niewiadomém. Ja téż chcąc się akomodować panu Kantymirowi, uprzykrzyłem sobie dachy kraśniańskie, i tak jak Tatar wywróciłem kożuch. Ci dwaj, Kantymir basza i Tomża hospodar nie chcą wiedzieć o przymierzu, i Rzpta przenigdy nie będzie w pokoju, póki na ich karkach nie wjedzie za Dunaj".

Chmielecki odebrał list od Kantymira z prośbą, żeby mu odesłał obiecanego sokoła. A to tak było: w Winnicy, kiedy był gościem u pana starosty Jana Odrzywolskiego, przyniesiono list od Kantymira, który wymawiał staroście, że komu innemu daje upominki, a o nim zapomina. Nie dbam ja o to, pisał daléj, tylko bądź mi przyjacielem, a po tém to poznam, jeśli mi sokoła przyślesz, o którego cię proszę, i za któregoć oddaruję.—Odrzywolski na razie nie miał sokoła, a do tego wybierał się na Zaporoże; więc Chmielecki w jego imieniu przyrzekł Kantymirowi, że mu sokoła przyśle. Jakoż odebrawszy list w którym mu Kantymir przypominał obietnicę, odesłał mu przez swego posłańca dwa sokoły od pana starosty winnickiego, dwa sokoły od siebie, a posłańcowi przykazał pilnie się przypatrywać, w jakiéj gotowości zastanie sąsiada (2).

Dano mu znać, że Kantymir z wielką potęgą wali do państw koronnych, a w stepie zostawił Tenachtar Agę, żeby Chmiele-

(1) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 7 czerwca 1622.
(2) Stef. Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 11 czerwca 1622.

ckiemu mgłę w oczy puszczał. Chmielecki ostrzegł szlachtę o grożącém niebezpieczeństwie. Niektórzy nalegali, żeby w pole wyszedł koczować; aż musiał im odkryć, że orda idzie nie po naszéj sile. „Trzeba żeby był i wilk syty i owca na baranie spełna; czas swój upatrzywszy nie będę i ja za parkanem siedział". Więc na Tenachtar Agę ostrzył ząb, powiadając: „jużem mu raz kożuch wyprał; nadzieja w Panu Bogu, że i drugi raz się uda" (1).

W tym czasie spotkała go przygoda dla rycerza bardzo niemiła. Kilkudziesiąt łotrów z Wołoch, upatrzywszy czas kiedy straż w dészcz zasnęła, skradli mu konie z pastewnika. Gonił za niemi, i aż w Dniestr wjechał na tych łotrach; siedmiu pojmał, ale drudzy z końmi za Dniestr uciekli. „Jeśli mi tych koni nie wrócą, albo inszych tak prędko kupić nie dostanę, zamawiam sobie miejsce choć na jeden koń pod chorągwią Waszmości", pisał do Tomasza Zamojskiego (2).

Starając się o odzyskanie koni zjeżdżał się nad Dniestrem z burkulabami, którzy go zapewniali o pokoju, zwłaszcza od Turków; ale jeden z nich na stronie radził strzedz się kałgaja i Kantymira, to téż powiadając, że Kantymirowi od cesarza przysłano szabel siedm, i łuków, i kaftanów i buław siedm, i pieniędzy moc wielką dla niego, dla trzech braci i trzech synów, na wojnę go do Polski wyprawując (3).

Tomasz Zamojski zapytywał go, czy się nie chce zatrudnić gospodarstwem i osadzeniem spustoszałych osad. „Nie wymawiałbym się, odpowiedział, gdybyś mnie Waszmość zapytał, jeśli się chcę załebkiem z Tatarami bawić. Wolne W. M. żarty, bo gospodarstwo w dalekiém sąsiedztwie z cesarzem tureckim niebardzo nadaje, a nuż pod bokiem. Do wybierania czynszów trzebaby zawsze trzymać kilkuset posługaczów, a dziesięcinę płacić głowami" (4).

Wezwany przez Zamojskiego, żeby spiesznie przybywał do Zamościa i stanął przy jego boku jeśli przyjdzie do jakich zatargów; we trzy dni zebrał sto koni i puścił się w drogę, zostawiwszy dla obrony od nieprzyjaciela tych, którzy do téj drogi nie byli sposobni, i dawszy im starszego ze swojéj czeladzi (5).

(1) Stef. Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 30 czerwca 1622.
(2) i (3) Stef. Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 11 lipca 1622.
(4) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 27 wrześ. 1622.
(5) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 8 lutego 1623.

W czerwcu 1623 r. weszło wielkie wojsko tatarskie, i położywszy kosz pod Medyką, rozpuściło zagony ku Tarnowu, Sandomierzowi i w Podgórze; bełzką i lwowską ziemię ze szczętem splondrowali.

Nadeszły wieści o nowych na Rzplitą następujących trwogach; Chmielecki według zwyczaju przesyłał je Tomaszowi Zamojskiemu, który ostrzegł króla, że car tatarski z wielkiém wojskiem przeszedł już Dniepr u Oczakowa (1). Pokazało się poźniéj, że to były płonne strachy; Zamojski wymawiał Chmieleckiemu, że go w błąd wprowadził: „Co mi dają znać, to ja W. M. piszę, odpowiedział, a niegodzi się zmyślać wiadomości z swéj głowy“ (2).

Nastąpiły zamieszki w ordzie; Szahin Giraj zostawszy kałgajem bronił Tatarom najazdów. Niesłychane rzeczy się działy: Tatarowie za łeb z sobą chodzili o wzruszenie pokoju z Polską (3).

Han we 40,000 wojska przyszedł na pole budżackie, Tatarów Kantymirowych zagnać do Krymu, i dopomnieć się upominków u króla. Brat hana Sioban Giraj prosił go, żeby mu pozwolił wtargnąć do Polski: han nie pozwolił; drugich téż wielu murzów prosiło, powiadając, że bez zdobyczy nie mają po co wracać (4). Han stanął w polu przeszedłszy Dniestr u Majaka; Tatarów wyganiał, chaty, zboża im palił. Prosiło się wojsko, żeby je puścił na zdobycz do ziemi lackiéj; jednak pozwolić nie chciał (5). Pomimo zakazu wpadło do Polski trochę Tatarów, ale koszem Dniestru nie przechodzili, i zagony tylko się jeden dzień bawiły, i to niedaleko chodząc. Ani Chmielecki, który ruszył się dosyć spiesznie, ani hetman, który z częścią wojska padł niedaleko Kamieńca, nie mogli ich doścignąć (6).

Hetman wziąwszy pewną wiadomość od szpiegów o wojskach tatarskich, które szły z potęgą niemałą, z Ali-murzą, Kotłuczaj-murzą i z synem Kantymirowym Isztemir-murzą, skupiwszy wojsko ruszył z Ukrainy pod Skałę. Posyłał Sefera w kilkadziesiąt koni dla języka, ale ten straciwszy kilku kozaków, ledwie sam uszedł. Więc hetman nie mogąc inaczéj ję-

(1) Tomasz Zamojski do Zygmunta III, 21 lipca 1623.
(2) i (3) Stef. Chmielecki do T. Zamojskiego, 31 sierpnia 1623.
(4) Stef. Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 8 września 1623.
(5) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 6 paźdz. 1623.
(6) Stan. Koniecpolski do Tom. Zamojskiego, 16 listop. 1623.

zyka dostać, wyprawił Stefana Chmieleckiego, przydawszy mu cztery chorągwie kozackie. Stefan Chmielecki chodził noc całą przechodząc szlaki tatarskie, a nie mogąc na Tatarów napaść. Nazad idąc, napadł na syna Kantymirowego Isztemir-murzę, który stał koszem w Zalesiu, o trzy mile od Skały, mając z sobą półtora tysiąca Tatarów, a więcéj niż trzy tysiące więźniów. Sprawiwszy wojsko, Chmielecki z szablą w ręku wpadł rezolutnie na Tatarów, piérwszy sadził na czele nie mając z sobą więcéj nad trzydzieści koni, a potém go nieprędko chorągwie posiłkowały. Uganiając się mężnie z Tatarami i siekąc ich, odniósł postrzał w prawy bok. Legło na placu więcéj niż dwieście Tatarów, żywcem wzięto kilkunastu (1). Po wygranéj Stefan Chmielecki wyprawił swojego stryjecznego brata Krzysztofa do hetmana z więźniami i z pocieszną nowiną, gdzie téż przyprowadził z sobą kozaków hetmanowych, wziętych w niewolę, gdy chodzili na podjazd z Seferem.

Chmielecki osłabiony upływem krwi zdał dowództwo Janowi Dzikowi dzierżawcy szarogrodzkiemu, który napadł na drugi zagon tatarski w nocy, kiedy Tatarzy spoczywali przy ogniskach; nasłał ich trupem i żywcem wziął niemało. Sam hetman z wojskiem kwarcianém nastąpiwszy na kosz tatarski, odniósł świetne zwycięztwo i gromiąc nieprzyjaciela, gnał go przez trzy mile w zimna tak ciężkie, że żołnierzom do ręku bronie przymarzały.

Nie odnieśli Tatarzy pociechy; wróciwszy do ordy nie dorachowali się czterech tysięcy, a Kantymir nie oglądał z powrotem dwóch synów i dwóch braci (2). Zagrała w nim chęć zemsty; kupił wojsko pod Białogrodem, żeby o trawie wpaść w państwa koronne. Turczyn starszy nad janczarami w Białogrodzie ostrzegał, że Tatarzy przechwalają się: teraz jak po Wielkanocy

(1) Krzysztof Chmielecki, brat stryjeczny Stefana zdając sprawę z téj bitwy, w liście do Wojciecha Miaskowskiego, 7 lutego 1624 tak o sobie pisze: „I mnie Pan Bóg zdarzył, żem znacznego więźnia pojmał, ale mi go chłopi w ręku zabili. Przypatrzyli się jednak panowie rotmistrze i towarzystwo, jakem tam stanął..... Dostał mi się po tym więźniu bachmat bardzo rączy, gniady, z kulbaką zielonym falendyszem krytą. Drugiegom Tatarzyna z krótkiéj rusznicy zabił, i wziąłem kary bachmat niezły z kulbaką czerkieską.

(2) Stefan Chmielecki do Tomasza Zamojskiego w niedzielę Przewodnią 1624.

ruskiéj pójdziemy, całą Ruś wygubimy. Z Humania téż dano znać, że niemałą ordę widziano koło Sinéj wody. Ukraina była w ustawicznéj trwodze (1).

Kantymir zebrał potężne wojsko i puścił się do Polski wołoskim szlakiem z chorągwią cesarza tureckiego, z muzyką i pompą wielką. Stanisław Koniecpolski rozesłał uniwersały ostrzegając o grożącém niebezpieczeństwie, a sam z wojskiem kwarcianém szedł drugim brzegiem Dniestru, prawie równo z Tatarami, aż do Martynowa, gdzie Dniestr przebyli. Tatarzy rozpuścili zagony; hetman dla małości wojska nie mógł dać im wstrętu, nie mógł za nimi w kopyto następować; zatrzymał się i czekał na posiłki. Szlachta ze zbrojnemi oddziałami wciąż się do niego garnęła; komu dom spalono, w obozie miał pewny przytułek.

Hetman dowiedziawszy się od Odrzywolskiego, który we dwieście koni ustawicznie się nad Tatarami wieszał, że już wracają obciążeni łupami i prosto idą na bród martynowski; nastąpił ku brodowi i stanął w miejscu obronném, ściśnioném taborem, wozy ciężkie do zamków odesławszy. Pokazali się Tatarzy i stanęli koszem za górami o dwie mile. Kilkuset nadbiegło wieczorem, a widząc mały taboreczek i lekce go sobie ważąc, ustąpili. Obawiał się hetman, żeby go nieprzyjaciel harcami nie zabawiał, plon za górami uwodząc; ustąpił więc od brodu, a idąc przez noc całą, zatrzymał się pod Bełzowcem, między Haliczem a Boliszowem. Uczynił to dlatego, żeby Tatarów wywabić w szerokie popławnickie pola. Podstęp szczęśliwie mu się powiódł: Kantymir w kilkanaście tysięcy ordy puścił się za nim w pogoń, a widząc na drodze porzucone wozy z beczkami i szmatami, utwierdził się w przekonaniu, że Polacy ze strachu ustępują, i z całą siłą zapalczywie przypadł. Hetman sprawił tabor w ośm rzędów i zaczął szykować wojsko; ledwie godzina na dzień było, kiedy się pokazali Tatarzy (20 czerwca 1624); miasto przespania i odpoczynku, chętnie wysypało się wojsko z taboru. Przed bitwą nasi mieli dobrą wróżbę, bo gdy Tatarzy wioskę w blizkości zapalili, z płomieni i z dymów na powietrzu krzyż się uformował, i ku temu krzyżowi przebijało się wojsko; hetman trzymał je w kupie, na harc nie wypuszczając,

(1) Stef. Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 20 marca 1624.

a w szerokie pole szykiem i taborem dobrze sprawionym powoli ustępując. Kantymir uderzył całą potęgą; nasi wzięli na szable według rozkazu hetmańskiego, strzelbę na ostatni wypadek zachowując. Środek szyku zajmowały konne chorągwie, na skrzydłach stał tabor, którego rogi równały się z czołem wojska, a działa w taborze ustawione krzyżowém ogniem strychowały pole. Godzinę bitwa trwała; nieprzyjaciel potężnie rażony z dział i od wojska, ustąpić musiał. Hetman puścił w pogoń dwanaście chorągwi z Odrzywolskim i Chmieleckim, a sam za nimi w szyku następował; nasi wsiedli na karki Tatarom i do Dniestru ich zapędzili. O milę od Dniestru na polskim brzegu był kosz, a w nim niezliczona moc bydła i owiec, stada koni, tłumy więźniów. Część Tatarów uciekając wpadła do kosza, a pogoń tuż za nimi. Ludzie w jassyr zabrani, jak gdyby znowu na świat się porodzili, krzyżem padając dziękowali Bogu. Było też kilkaset chłopów ściętych, lecz lepsza śmierć, niż przez wiele lat co godzina umierać. Tatarzy uchodzili ciasnemi miejscami na las Bednarowski, nie wiedząc o tém, że hetman w lesie kazał porobić zasieki. O ośm mil od pola bitwy padł ostatek tego pogaństwa; kiedy ludzie na zasadzce zostawieni rzucili się na nich z okrzykiem, Tatarzy jak kto mógł poszli w rozsypkę, a chłopi bili rozpierzchłych po lesie. Nie kazał hetman żywcem ich wodzić, żeby się wojsko więźniami nie zabawiało, ale spiesznie naprzód postępowało. Trzy chorągwie wzięto, z czwartą cesarską uciekli. Kiedy już konie przez 26 godzin bez pokarmu i bez odpoczynku dłużéj iść nie chciały i noc ciemna zapadła, hetman ze starszyzną zgłodzeni i zmorzeni, upatrzywszy w lesie polanę, rozłożyli się na niéj, a napiwszy się trochę wody z błotem skłóconéj, zasnęli twardym snem na niekoszonéj trawie. Nazajutrz pojechali do Halicza i tam złożyli Bogu powinne dzięki.

Z Carogrodu nadeszły skargi z domaganiem się przykładnego ukarania Kozaków, którzy ustawicznie napadali na wybrzeża morza Czarnego. Król chciał utrzymać dobre sąsiedzkie porozumienie z cesarzem tureckim, przytém miał w świeżéj pamięci gwałty popełnione przez Kozaków w Kijowie; kazał więc hetmanowi Koniecpolskiemu powściągnąć ich i ukarać.

Hetman ruszył obóz (16 września 1625). Kozacy też zaczęli się zbierać. Wyprawił do nich z poselstwem Krzysztofa Chmieleckiego, stryjecznego brata Stefana. Gdy Krzysztof no-

cował u niego w Nowym Międzybożu, zrozumiał Stefan, że niesmaczne dla Kozaków niesie poselstwo i że hetman naprawdę myśli munsztuk im podebrać. Nie miał jeszcze wiadomości czy będzie na téj kommissyi Zamojski. „Sam podobno nie wytrwam, powiada, powlokę się za wojskiem, choćbym rad zdrowie poszanował i wytchnął sobie; ochotka nie dopuści, żeby téż tam być, gdzie niebezpieczno i za jakieś straszydło ludzie te rzeczy mają.“ (1).

Kiedy hetman na Kozaków nastąpił i 28 października stoczył z nimi bitwę na Cybeliku, Zamojski trzymał prawe skrzydło. Trzysta koni Kozaków wysunęło się na harc, a za nimi w bujnéj ukraińskiéj trawie czołgała się na brzuchach piechota. Zamojski postrzegł zasadzkę i wyprawił Chmieleckiego ze swoimi ludźmi, do których dodał dwie chorągwie kozackie, ale dobre, Kruszyńskiego i Łąckiego. Skoczyli naprzód, wygnali Kozaków z zasadzki i siekli goniąc ich pod sam tabor. Tam dopiéro wstręt im uczyniono, strzelając z działek i ze strzelby.

Na drugi dzień w nocy, Kozacy rozłożywszy ognie, cicho wyszli taborem. Dowiedziawszy się o tém, hetman złożył radę i postanowił iść za nimi; przodem wyprawił Chmieleckiego, żeby ich zabawił i zatrzymał. Chmielecki uderzył na tabor i część jego rozerwał, a wziąwszy kilkunastu więźniów, odesłał ich hetmanowi. Kozacy zarzucili się znowu kolasami. Chmielecki ciągle się nad nimi wieszał, a upatrzywszy porę, kiedy się zmieszali przy niedobréj przeprawie, znowu na tabor uderzył, którego znaczną sztukę urwał i znowu niemało ich nabił. Tak jak i piérwéj kolasami się związali i pozostałego taboru potężnie bronili. Nadciągnął hetman; Kozacy sprawiwszy tabor, wbród przeszli rzeczkę Kalnik i szli daléj, bijąc się ciągle przez pół mili aż do uroczyska Niedźwiedzie-łozy. Tam zatrzymali się między błotami a kłodziną, a korzystając z czasu, który im hetman do namysłu zostawił, okopali się, zataborzyli i zawalili kłodami.

Na drugi dzień, hetman z kilku stron szturm przypuścił do taboru. Przez cały dzień trwał bój uparty, ku wieczorowi hetman wojsko do obozu sprowadził. Więc zaczęły się układy: Kozacy przyjęli podane sobie warunki, a hetman wyprawił do nich Jakóba Sobieskiego krajczego kor. i Bałabana starostę trembowelskiego, dla odebrania przysięgi. Potém oba wojska rozeszły się, każde w swoję stronę.

(1) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 17 wrześ. 1625.

Muhamed Giraj han wszedł do Polski z potęgą wielką, kuczmeńskim szlakiem, mimo Krasne, Stanisławów, Bar, a minąwszy Tarnopol o milę położył się koszem i zagony szeroko rozpuścił. Koniecpolski mając tylko kilka chorągwi, pod Barem ścierał się z Tatarami, a poźniéj szedł za nimi tymże szlakiem, kupiąc do siebie wojsko kwarciane i ochotnika. Chmieleckiego posłał przodem, dodawszy mu trzy chorągwie, żeby dostał języka. Chmielecki śmiało puścił się naprzód, nocą ordę pominął i pod Tarnopolem w dębniaku zatail swoich. Pan Bóg strzegł ich cudownie, że ich Tatarzy nie postrzegli. Czekali aż do nocy, w głębokiém milczeniu przeszli przez Tarnopol i wpadli na kosz tatarski bez huków i bez krzyków. Siekli bez miłosierdzia, a potém okrzyk uczyniwszy, puścili ręczną strzelbę i tak spłoszyli Tatarów, że sam han uciekł na błota nieubrany. Janczarowie zebrawszy się do kupy, poczęli się odstrzeliwać; więc drudzy gdy postrzegli małą liczbę naszych, gdyż nie było więcéj nad 800 koni, nabrali serca i wpadając oklep na konie, wysunęli się w pole. Chmielecki w dobrym szyku powoli uprowadził swoich, odstrzeliwając się przez milę aż do grobli tarnopolskiéj, gdzie od miasta z armaty rażono nieprzyjaciela. Chmielecki nie stracił dziesiątka ludzi, koni zabrał moc wielką, więźniów niemało uwolnił, a samego hana tak przepłoszył, że téjże godziny kosz ruszył, i stanął daléj o trzy mile. Dowiedziawszy się od więźniów, że zagony z wieczora poszły w ziemię, Chmielecki dał znać o tém hetmanowi, a sam ruszył daléj ku Żółkwi i ku Busku, żeby znieść jaki zagon tatarski. Szczęśliwie napadł na zagon wracający z ziemi bełzkiéj z plonem wielkim ludzi szlacheckich i poddanych; odbił więźniów, a pogaństwa tyle nabił i nabrał w łyka, że mało co z pogromu zostało. Z saméj dzierżawy rzeczyckiéj uwolnił wtedy do 5000 brańców.

Hetman tymczasem poszedł na kosz tatarski, i o pół mili od niego nocował; nazajutrz ze dniem miał dać bitwę, ale han o północy ruszył wojsko i przeprawił się przez Dniestr w krę wielką. Hetman szedł za nim spiesznie, ale na téj stronie nikogo już nie zastał jedno dział cztery, które han porzucił i rydwan jego ze szkatułką, w któréj były listy i rzeczy aptekarskie. Nie gonił go daléj, bo wielka kra szła na Dniestrze i trudno było się przeprawić.

W lipcu 1626 orda przeszła Dniepr i groziła napadem od Czarnego szlaku. Hetman zatoczył obóz na Płoskiéj za Winnicą. Chmielecki przyłączył się do niego ze swoimi ludźmi.

Wówczas kiedy niebezpieczeństwo wisiało nad karkiem, hetman za częstemi pisaniami od dworu, postanowił odciągnąć z wojskiem do Prus, część ludzi i Kozaków zaporozkich zostawiwszy pod rozkazami Chmieleckiego. Chmielecki wymawiał się od regimentarstwa, nie dla nieochoty do służby Rzptéj, ale dla samego niedostatku, gdyż ubogiemu podejmować się regimentarstwa niebardzo do rzeczy (1).

Bajbuza wróciwszy z pola dał znać, że wielka orda idzie ponad Bohem. Nie było z nimi hana ani Szahin Giraja, ale Nuradyn sułtan z Kantymirem (2). Chmielecki z wojskiem kwarcianém, do którego przyłączyło się 2000 Kozaków zaporozkich pod dowództwem Michała Doroszenki, w biały dzień, w samo południe, pod Białącerkwią uderzył na ordę uszykowaną i gotową do boju: pobił ją, rozgromił i uwolnił wielkie mnóstwo brańców. Po zwycięztwie dzieci drabiniastemi wozami odwożono do miast i miasteczek, żeby je tam swoi poznawali i odbierali (3). Na placu legło 11,000 Tatarów; było nad kim sypać mogiły. Chmielecki przez kilka dni Tatarów ścigał i brańców odbijał (4).

Po tém zwycięztwie pokój od Tatarów był na Ukrainie; a gdy w polach budżackich Selman-Szach-murza brat Kantymira począł kupić ordę; han wyprawił z wojskiem Nuradyna sułtana, który go przepłoszył ku Dunajowi.

Minął rok, a w drugim zanosiło się znowu na wielkie niebezpieczeństwo od Tatarów; Chmielecki stał w gotowości z wojskiem kwarcianém. Udawali przed nim, że w inne kraje zmierzają, lecz pies głodny nie przebiera (5).

Kienaan pasza mając kilka tysięcy wojska zaczął coś kłecić u Tatarbonii; Tatarów białogrodzkich i dobruckich chciał wysłać w państwa koronne, ale od hospodara Mirona Bernawskiego zaleciała go nowina, że jak Tatarzy wpadną, Chmielecki

(1) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 3 sierpnia 1626.
(2) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 8 sierpnia 1626.
(3) Fabian Birkowski w Kazaniu na śmierć Stefana Chmieleckiego.
(4) 18 października 1626 r., w liście do Tomasza Zamojskiego, Chmielecki wspomina o odniesioném zwycięztwie, o którém szczegółową relacyą przesłał Zamojskiemu Jan Dzik dzierżawca szarogrodzki, który czynny udział miał w bitwie.
(5) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 16 lutego 1628.

przez pole puści na niego Kozaków z Ukrainy, i że ma już przysposobionych kilka tysięcy (1). Więc rozmyślił się pasza, że i Tatarzy niewiele sprawią, i sam w strachu być może. Chmielecki czuwał na wszelkie zamysły nieprzyjacielskie, przestrzegając, żeby ani od kwarcianych, ani od Kozaków nie było zaczepki.

A u dworu rosły trwogi, które rozsiewali ci, co życzyli na Ukrainie innego regimentarza. „Daj Boże żeby to prędzéj nastąpiło, pisał Chmielecki, bo mi już niestawa o czém służyć. Więcéjbym wskórał pługa pilnując, niż odważnie piersi nadstawiając, czego nikt nie chce widzieć i rozumieć“ (2).

Od szpiegów Chmielecki otrzymał wiadomość, że Tatarowie białogrodzcy, dobruccy i krymskich też trochę, wszystkich kilka tysięcy, przeprawili się poniżéj Tehini, mając zamiar wtargnąć w Ukrainę; o czém panów obywateli obwieścił i stał z wojskiem w gotowości, żeby pospieszyć ku miejscom zagrożonym (3). Z obozu wyprawił Jana Mieleszka z chorągwią kwarcianą i Dobrzyńskiego rotmistrza nad ludźmi księcia Dominika Ostrogskiego, razem koni trzysta, rozkazawszy im w pewnych miejscach między nowemi osadami ukrainnemi czatować na Tatarów. Jakoż po przyjściu ich w naznaczone miejsca, w kilka dni wpadli Tatarzy udyckim szlakiem. Nieopatrznością przyszło szwankować jednéj chorągwi, przez to, że zaraz z miejsca rzuciwszy się na Tatarów, rozdwoili się; Dobrzyński w inną stronę się udał, napadł na zagony które gromił i więźniów dostał, a Mieleszko z chorągwią swoją w tył nieprzyjacielowi zabiegłszy, uderzył na koszyk tatarski, rozbił go, i zaraz też na wracające zagony trafił, z któremi bijąc się mężnie, dostał się w niewolę razem z trzema towarzyszami; chorąży i jedénastu towarzyszów zginęło na placu, czeladzi zabitéj było 28, pojmanych 12 (4).

Chmielecki pomknął się w Ukrainę i stanął z wojskiem u Krykliwego jeziora (5). Tatarzy posłyszawszy o tém zaniechali dalszych napadów. Czata jedna tatarska z rozkazu Kienaan paszy wpadła pod Zwienihoródkę; Kozacy wcześnie ją postrzegli i zbili na głowę. Zapobiegł także kozackiéj swawoli; kilka ty-

(1) Stefan Chmielecki do Zygmunta III, 1 września 1628.
(2) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 7 września 1628.
(3) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 27 wrze. 1628.
(4) Stefan Chmielecki do Zygmunta III, 3 października 1628.
(5) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 16 paźdz. 1628.

sięcy zbieranéj drużyny już się miało puścić pod Białogród, ale za nastąpieniem Chmieleckiego i za obesłaniem w imieniu królewskiém rozejść się musieli. Potém wojsko sprowadził z pola, zostawiwszy na straży kilka chorągwi (1).

Pogaństwo tatarskie przez zamieszki i waśni domowe znędzniałe i wygłodniałe, miało zamiar rzucić się do Polski jak na pastwę. Chmielecki skupił chorągwie pod Bracławiem, chcąc na granicy spotkać się z Tatarami nim rozpuszczą zagony. Więc Tatarzy, którzy dobrze rozpytywali się o gotowości wojska, zatrzymali się, czekając aż Chmielecki ubezpieczony wojsko na leże rozpuści. Ale wódz, który znał dobrze tatarskie przebiegi, nie ubezpieczył się, i rozdzieliwszy wojsko na trzy pułki, postawił je pobliżu od siebie: jeden przy szlaku kuczmeńskim, drugi przy szlaku udyckim, trzeci przy szlaku czarnym. Jednego dnia mógł całe wojsko zebrać (2).

Powziąwszy wiadomość, że nieprzyjaciel zbliża się Czarnym szlakiem, Chmielecki skupił chorągwie i stanął nad uherskim Tykiczem. 21 maja 1629 r. Tatarzy wpadli w ziemię i zpod Humania po futorach pochwyciwszy zdobycz, tegoż dnia uszli. Działo się to o sześć mil od wojska; jak tylko dano znać, Chmielecki wybrawszy się w godzinę, na całą noc ruszył z wojskiem. Drugiego dnia wziąwszy wiadomość, że kosz leży nad Witołdowym-mostem, zwrócił ze szlaku tatarskiego i przeprawił się przez Boh na Kaniowski-bród, o milę od Witołdowego-mostu. Nieprzyjaciel nic o nim nie wiedział i bezpiecznie na koczowiskach spoczywał. Na biédę, w dąbrowie, gdzie na godzinę koniom dał wypoczynek, wyrostek jednego rotmistrza zasnął w trawie, a obudziwszy się i goniąc za wojskiem nie postrzegł, że ze szlaku tatarskiego wojsko zwróciło, i jak głupi wjechał między koczowiska tatarskie. Od niego nieprzyjaciel wziął wiadomość o wojsku, i postanowił kosz i plon uprowadzić, którego było dwadzieścia kilka ludzi, pięćdziesiąt wołów i owiec dwa tysiące, a komunikiem pozostać i sprobować się z wojskiem królewskiém. Tatarzy ruszyli od Bohu i o trzy mile na Kodenicy na nocleg stanęli; mało co po nich przed zachodem słońca nadeszło wojsko i stanęło o ćwierć mili za górą. Chmielecki miał zamiar na noclegu konie nieprzyjacielowi odgromić, i otoczywszy

(1) Stefan Chmielecki do Zygmunta III, 30 października 1628.
(2) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 24 lutego 1629.

obóz tatarski, z szablą w ręku dnia nad nim czekać. Z góry za którą stanął, kosz jak na dłoni widać było. Tatarzy mieli się na ostrożności; przygasiwszy ognie, kosz na całą noc wyprawili, a sami pozostali na miejscu. Nazajutrz równo z zorzą spojrzeli po sobie; oba wojska stały w gotowości do marsowéj zabawy. Chmielecki w imię boże puścił pięć chorągwi i część ochotnika; jak wsiedli na karki Tatarom, tak nie dając się poprawić, jechali na nich trzy mile aż do Czaplaklica, którędy kosz z plonem uchodził. W ślad nimi następowało wojsko. Ci, którzy mieli rącze konie, wysforowawszy się naprzód, uganiali za koszem, a Tatarzy porzuciwszy owce i bydło, wyrzucając kulbaki zpod siebie i oręże dla lekkości, uciekali co tchu w koniach stało. Wojsko zatrzymało się w polu i wytchnąwszy koniom, wróciło nazad. W wojsku taka była zawziętość, że żywego więźnia mało kto przyprowadził. Przeszli Boh blizko Witołdowego-mostu; nad Bohem nocowali. Nazajutrz, gdy szli ku włości, dano znać Chmieleckiemu, że koło Sinéj-wody i wyżéj przy Czarnym szlaku widziano nieprzyjaciela. Rycerstwo zgłodzone niesposobne było do drogi. Na to podał sposób: zpod każdéj chorągwi zabić jednego konia albo dwóch, a oszacowawszy, sam obiecał zapłacić wiele za nie przyjdzie. Więc rycerstwo nabrało odwagi i deklarowało się dwa dni trwać nie jedząc. Bili konie po chorągwiach, nie wymagając, żeby regimentarz za nie płacił. Stanąwszy nad Siną-wodą, Chmielecki straże rozesłał, a Tatarzy przepłoszeni uciekli (1).

Kantymir z rozkazania hańskiego umyślił wpaść do Polski; orda jego i Tatarowie budżaccy już byli w pogotowiu, na Majaku i po inszych uroczyskach koczując. Kozacy ze wszystkich miast gdzie jeno mieszkali, na listy Chmieleckiego odezwali się zgodnie, że są gotowi stawić się do służby królewskiéj, w posłuszeństwie być i powinności na nich włożonéj dosyć czynić (2).

Chmielecki lada dzień wyglądał Dewlet Giraja kałgaja i Kantymira. Wojska miał z sobą cztery tysiące; Kozacy nadciągali w ośm tysięcy, starszym nad nimi był Hrehory Sawicz Czarny. Wszystka starszyzna i co najdawniejsi mołojcy znali i słuchali Chmieleckiego, który ich w grozie trzymał i prowadził do zwycięztwa, a przed królem dawał o nich świadectwo,

(1) Relacya Stefana Chmieleckiego.
(2) Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 10 lipca 1629.

że są skłonni do porządku i posłuszeństwa, a gdy za łeb z Tatarem iść przyjdzie, rzeźko dopomogą (1).

Tatarzy ostatnich dni sierpnia 1629 przeprawili się przez Dniepr, część pod Oczakowem, część na Tawani, poszli na bród Pieszczany na Bohu, i zmierzali ku Czarnemu szlakowi. W stepie pojmali pasieczników, którzy tam swoje pasieki mieli i od nich otrzymali dobrą przestrogę. Na mękach szczerą prawdę powiedzieli: nie radzimy wam iść Czarnym szlakiem, bo się na was pan Chmielecki ze szlachtą dobrze nagotował; także i Kozacy zaporozcy po miastach ukrainnych leżą wszędzie. A gdy spotkali silny podjazd z rotmistrzem Bajbuzą, przekonali się, że pasiecznicy prawdę mówią; więc zaraz się cofnęli i złożyli radę nad Siną wodą, którędy się udać. Radzili dzień cały, potém poszli wpoprzek przez pole, przeprawili się przez Dniestr wyżéj Raszkowa na Żabczyn-bród i szli po tamtéj stronie Dniestru, a po téj stronie szedł Chmielecki ze swoim ludem i z ochotnikami, mając wojska z pięć tysięcy. Kozacy tuż w trop za nim następowali; wszystka Ukraina się ruszyła (2).

21 września Tatarzy stanęli w głowie kuczmeńskiego szlaku, między Biełoczą a Kamienicą rzekami. Chmielecki przestrzeżony o tém, ruszył wojsko zpod Stefanowskiéj. Dowiedział się o tém chytry nieprzyjaciel, a wojując podstępem i prędkością, znowu zmienił kierunek i puścił się wołoskim szlakiem. 28 września Dewlet Giraj i Kantymir przebyli Dniestr pod Kołodrubką i rozpuścili zagony w obwodzie czortkowskim. Tatarzy bachmaty mieli schudzone, bo szli dniem i nocą, żeby im Chmielecki nie zabieżał z boku. Kałgaj o nim powiadał: „Chmielecki gdzieś pod Barem leży z małém wojskiem; wrócimy z płonem, nim się o nas dowié“ (3).

Chmielecki 28 września połączywszy się z wojskiem zaporozkiém pod Biłą, przeszedł Zbrucz i stanął na górze, oczekując na wojsko Stanisława Lubomirskiego wojewody ruskiego; rzucił przed sobą miecznika bracławskiego z dwiema chorągwiami i z dwoma stami Zaporożców na podjazd pod te dymy, które się ukazywać zaczęły. Napadł pan miecznik, uszedłszy od wojska dwie mile, na dobry zagon tatarski, za łaską bożą rozgromił go,

(1) Stef. Chmielecki do Tom. Zamojskiego, 13 wrześ. 1629.
(2) Kożuchowski do Jana Iwaszkiewicza, 20 września 1629.
(3) Inkwizycya z 1629 r.

odbił kilkaset więźniów, języków dobrych dostał, z których powziął pewną wiadomość o kałgaju i o ordzie. Zatém Chmielecki nie czekając dłużéj, pospieszył z kwarcianemi i z Zaporożcami i stanął o dwie mile od kosza, który był natenczas pod Jagielnicą. Tatarzy przestrzeżeni od uciekających o pogromie zagonu przez jakąś czatę, wyruszyli ku Białobożnicy. Chmielecki patrzał na kosz, ale natrzéć nie śmiał, bo miał rozkaz wyraźny od wojewody ruskiego, żeby bez niego nic nie poczynał; zatém musiał czekać, żeby wszystkie siły złączyły się w kupę. Jakoż 30 września Lubomirski nadciągnął. Chmielecki przed północą ruszył z wojskiem kwarcianém i zaporozkiém, dopędził Tatarów i już przednia straż ścierała się z nimi. Trwoga padła na pohańców. Chmielecki naglił przez gońców, że już straż ze strażą się ściéra, lecz nim wojewoda nadciągnął, Tatarzy porzuciwszy bydło i owce, z lekkim plonem uszli; z czego bardzo był żałosny Chmielecki, bo kosz upuścili za sprawą wojewody. Kiedy wojsko zeszło się do kupy, dość było wielkie i ozdobne. Nie tracąc czasu, poszli w pogoń za Tatarami. Naprzód pod Dobrowodami, Kantymir syn młodszy Kantymira z potężnym zagonem zbity na głowę, samotrzeć do lasu uciekł. Popędził ten pogrom tém spieszniéj kałgaja ku Dniestrowi. Szła za nim straż wojskowa, szarpiąc go z tyłu aż do Dniestru, który przeszedł 1 października u Ścianki, w miejscu przykrém i brzeżystém, odbieżawszy wszystkich zagonów na téj stronie. Wpadł do Polski w 60,000 i ledwie cztery dni gościł, czujność i pośpiech Stefana Chmieleckiego zegnały go z pola. Chmielecki ze swoimi poszedł nad Dniestr; pan wojewoda dodał mu cztery chorągwie kozackie, dragonów swoich i dwieście husarzów; sam został w Monasterzyskach. Po górach za Dniestrem stały straże tatarskie; na odwiedki Chmielecki wyprawił w kilkadziesiąt koni rotmistrza Bajbuzę, który dość długo i dobrze Tatarów na sobie trzymał, a odparty wielością pogaństwa, przez Dniestr do swoich uszedł. Na radzie zgodne były głosy rycerstwa i ochota wielka, żeby przejść przez Dniestr i na kosz uderzyć; ale pan starosta tarnogórski i pan podczaszy bracławski oświadczyli, że nie mają pozwolenia od pana wojewody, żeby z ludźmi jego za Dniestr iść mieli. Chmielecki porachowawszy się ze swojemi siłami, nie śmiał się na to odważyć. Znoszono więc pojedyncze oddziały.

Chmielecki jak zwykle dziarsko się zwijał; 4 października pod Uściem rozbił mocny zagon; Mambet sułtan bej syn Kantymira dostał się do niewoli, a ponieważ panowie towarzysze zgodzić się nie mogli, czyim ma być więźniem, zabili go w ręku. Z 6 na 7 drugi oddział tatarski rozłożył się na nocleg w Koniuszkach pod Bursztynem. Kozak od wojska zapędził się za żywnością; schwytali go Tatarzy i wzięli na męki, ale na mękach nie wyznał, że wojsko jest w blizkości. Dzielna wiara! Chmielecki kazał koniom wytchnąć, ogni nie rozniecać i dobrze przed północą stanął nad karkiem Tatarom. Stanął w szyku i czekał świtu, żeby więźniów nie rąbać. O świcie dał się widzieć ruch w obozie tatarskim: wiązali juki i tłumoki, sadzali więźniów na koń. Nasi huknęli im dzień dobry witaném kopytem i pognali przed sobą nie dając oddechu. Szło rycerstwo ochotnie, póki sił i tchu stawało, i na trzy mile było téj pogoni. Gdy Chmielecki zobaczył że konie słabieją, pchnął zpod chorągwi towarzysza Komorowskiego do wojewody ruskiego, żeby Tatarom od brodu zachodził. Komorowski przyjechał na godzinę przed Tatarami, którzy tak byli zaślepieni, że gdyby nie trochę namiotów, które stały nad brodem, wpadliby w sam obóz. Lubomirski dał im dobrą chłostę i do reszty rozgromił, tak, że z tego zagonu mało co uszło, a było, jak więźniowie powiadali, do 7000 wyborowego ludu. Islam Giraj dostał się do niewoli, ten co poźniéj w Polsce z Chmielnickim wojował. Plon wielki, samych więźniów 10,000 odbito, a zacnych białychgłów liczbę niezmierną. Takiemi posługami Chmielecki imię swoje rozsławił.

Chmielecki wyprawił do króla posłów wojskowych z wiadomością o zwycięztwie. Głowę Mambet-beja syna Kantymirowego, szablę jego i sahajdak ze strzałami u nóg królewskich złożył.

Po tym pogromie nieprędko skrzydła odrosły Tatarom, tak wielką stratę ponieśli w ludziach i w koniach. Długo potém plując powtarzali: „Chmielecki sabak.“

Dobrze to dawnemi laty powiadano: u dworu wielkiego trzymaj się choć klamki. Dzisiaj ledwie wyobrażenie mamy czém były dawne dwory i dawni panowie. Dawne wieki w przeszłość zapadły, życie społeczne przyjęło inne formy, z dawnego ledwie ślad jaki został w dziejach i w podaniu. Dawne dwory były szkołą, w któréj młodzież sposobiła się do zawodu publicznego, i nieraz z téj szkoły wychodzili znakomici ludzie. Da-

wni panowie pojmowali, że sława przodków tylko zasługami osobistemi utrzymać się może. Bogaty czy ubogi, o klejnocie szlacheckim miał wysokie wyobrażenie; wiedział, że kto urodził się szlachcicem, ten jest zapisany do bractwa, a obowiązkiem jego serdeczna pomoc drugim, praca i ofiara. Z owego wieku jeszcze wiele pięknych wspomnień zostało; poźniéj wszystko zaczęło się rozprzęgać i dążyć do upadku.

Cnotą i pracą, szablą i odwagą, sprytem i statkiem i można było jeszcze zajść wysoko, daléj czasem, niż człowiek sobie zamierzył. Starsi bracia podawali rękę ubogim a zasłużonym. Najlepszy przykład mamy na Chmieleckim, który na granicy uganiając się z Tatarami, ani wiedział o tém, że z chudego pachołka panem zostanie.

Tak się rzeczy miały. Tomasz Zamojski podkanclerzy koronny jadąc z Warszawy do domu, w Milanowie otrzymał wiadomość o śmierci Alexandra księcia Zasławskiego wojewody kijowskiego. Wnet konie zawrócić kazał, i zamiast do Zamościa pojechał do dworu; a wiedząc jakiego człowieka potrzebuje to miejsce pograniczne dla obrony od Tatarów i powściągnienia swawoli kozackiéj: proponował królowi na wysokie krzesło w senacie, które sam niedawno zajmował, swego sługę Stefana Chmieleckiego chorążego bracławskiego (1), człowieka bogobojnego, trzeźwego, poważnego, a przedewszystkiém biegłego w dziełach rycerskich. Było wielu starających się o ten urząd (2); namyślał się król przez dni kilka, nie chciał obrażać ludzi znakomitego rodu i znaczenia, przekładając nad nich jakiegoś szlachetkę, co wyrósł nie z soli, nie z roli, ale z bolu, z krwawéj pracy. Odradzali mu zazdrośni cudzéj sławy, przekładając, że nie przystoi aby krzesła senatorskie słudzy panów zasiadali; ale Zamojski gorącemi prośbami tyle dokazał, że król nadał województwo Chmieleckiemu, który nic o tém nie wiedział i nie spodziewał się tego. Zamojski nie pierwéj z Warszawy wyjechał, aż król przywiléj podpisał; zatém wziął przywiléj, uniżenie królowi podziękował, a wróciwszy do Zamo-

(1) Chmielecki został chorążym bracławskim w r. 1626.

(2) Między innemi Adam Alexander Sanguszko wojewoda wołyński, pan starego imienia i rozległych włości. Ad. Al. Sanguszko do Tomasza Zamojskiego, 23 listopada 1629.

scia, posłał do Chmieleckiego prosząc, żeby go odwiedził. Chmielecki przyjechał ze swoją żoną i z dwoma synami Łukaszem i Adamem. Nie miał jeszcze żadnego oznajmienia o łasce królewskiéj; jednak wiedział o tém, bo wieści prędko latają, i przystojnie, ze słuszném towarzystwem przyjechał do Zamościa. Zamojski był chory, zaraz jednak posłał do niego, żeby się nie bawił, bo już do stołu czas było siadać. Tego dnia nic mu nie powiedział; na drugi dzień dopiéro po mszy wielkiéj, oddał mu przywilej przez ręce Piotra Oleśnickiego sekretarza królewskiego, i już na obiedzie pana Chmieleckiego nie jak sługę swego, ale jak senatora wyżéj od siebie sadzał, ciesząc się z nim, ile mu zdrowie pozwalało. Chmielecki kilka dni w Zamościu zabawił, a potém miał do króla jechać dla podziękowania mu za okazaną łaskę; ale że niebezpieczeństwo groziło od Tatarów, pojechał na granicę, żeby po staremu kraj piersiami zasłaniać i okazać się godnym łaski królewskiéj.

Mianowanie Chmieleckiego wojewodą wywołało wielką niechęć u dworu. „Daj go djabłu, powiedział Żbaraski kasztelan krakowski, piękna sztuka, pan podkanclerzy sługę swojego wyżéj posadził w senacie niż sam siedzi.“ Koniecpolski hetman koronny skarżył się przed królem, że Chmielecki, kiedy wojewodą został, już i słuchać nie chce, pomimo rozkazu zjeżdża z Ukrainy i zostawia ją na łup Tatarom. Król brwi zmarszczył, czoło nachmurzył, zawołał Żerońskiego rejenta kancelaryi, i tak mu powiedział:

— Powątpiewam ja o panu wojewodzie że się odmieni. *Honores mutant mores.*

— Niezawsze, miłościwy królu, odpowiedział Żeroński. Pan podkanclerzy będzie go do tego prowadził, aby powolnością, i życzliwością, i wiarą zasługował tę łaskę W. Kr. M.

— A co wiedzieć, jeżeli on potém i pana podkanclerzego słuchać będzie?

— Będzie miłościwy królu; nieraz dał tego dowody.

— Wątpię ja o tém. *Honores mutant mores.*

— Pan wojewoda musi sobie i teraz zarabiać na łaskę W. Kr. M., choćby dlatego, że ubogi. Dawszy honor, trzeba dać i chleba, miłościwy królu.

— Toć to jest. Lepiéj było podobno trochę niżéj sieść, ale że się tak panu podkanclerzemu zdało, a tom ja uczynił.

Napisz w. m. do pana podkanclerzego, i do niego napisz, niech się nie odmienia, niech mi będzie przychylnym, jeśli chce łaskę moję zachować.

Wiedział o tém król Zygmunt, że nowemu wojewodzie sprawiedliwie należy się chléb dobrze zasłużonych; jakoż nadał mu starostwo owruckie. Na schyłku życia błysło słońce. Ledwie przybył do Nowego-Międzyboża zachorował niebezpiecznie na wrzód w gardle, i ta choroba o śmierć go przyprawiła.

20 lutego 1630 równocześnie przyniesiono do Zamościa przywiléj od króla na starostwo owruckie i żałosną wiadomość o śmierci Chmieleckiego. Synów jego król zatrzymał przy Taborowie i inszych wioskach w województwie kijowskiém; Zamojski wziął ich na nauki do Zamościa. Majętności, które nieboszczyk trzymał, zostawił wdowie gwoli wychowaniu dziatek, kazał jéj wypłacać większą połowę jurgieltu, i pozwolił wybierać powołowszczyznę. Za tak wielkie łaski, Teofila z Chocimierza Chmielecka uniżenie mu dziękowała, oświadczając, że jeśli kto po kim doznał dobrodziejstwa, ona go dziś doznała po panu podkanclerzym.

Ciało Chmieleckiego pochowane w Barze. Na jego pogrzebie Fabian Birkowski miał kazanie, w którém porównywa go z Alexandrem Macedońskim. Nie zapędzając się tak daleko, śmiało możemy przyznać, że nie było na Ukrainie wodza, coby tak przeważnie gromił lotne chmury Tatarów. Tak był dla nich straszny, że Tatarki w ordzie dzieci swoje Chmieleckim straszyły.

Dzieciom nie zostawił majątku, ale dobre imię i chlubne wspomnienie, że ojciec krwawo wysługiwał się Rzplitéj. Milszy mu był bój z wrogiem, jak ciche życie pod domową strzechą. A gdy konia na wiatr wypuścił i rzucił się tam, gdzie niebezpieczno, to mu lżéj było na sercu; rąbiąc na prawo i na lewo, znakiem krzyża świętego niebezpieczeństwo od siebie odganiał.

Jako żyw pozwu nie miał, oprócz od pana Mitka, i to niesprawiedliwy, bo go pierwéj przejednał (1). Gospodarstwa

(1) Stefan Chmielecki do Wawrzyńca Juszyńskiego, 5 lipca 1618.

niebardzo pilnował; dla dopilnowania w Krasnem zasiewów, Zamojski posyłał swoich urzędników (1).

Opowiadanie moje zakończę słowami Joachima Jerlicza: „O tym zacnym kawalerze i dbałym a czułym mężu, drudzy opiszą i świadectwo lepsze wydadzą czasu swego, którym ja miejsca ustępuje i pisać przestaję“ (2).

O Chmieleckim pieśni rycerskie śpiewano. Oto jedna z takich pieśni:

Cny Chmielecki, mężu sławny,
Jakiego czas nie miał dawny!
Niejeden wiek ni dwa minie,
A twa sława nie zaginie.

Jako drzewa w okrąg świata,
Cicho rosną w swoje lata;
Tak twe dzieła znamienite,
Pójdą w głosy pospolite.

Jako rzeki nabierają,
Im się daléj oddalają;
Tak odważne twe posługi,
Czas pamięci weźmie długi.

Nie ustaną twojéj siły
Opowiadać te mogiły,
Których bardzo gęste kupy
Bisurmańskie cisną trupy.

Z tychże trupów krwawe wały,
Miasto kopców przez cię wstały,
Żeby za nie Turek srogi
Nie zanosił swojéj nogi.

Krew, która się z trupów lała,
W regestr wieczny zapisała
Twe zwycięztwa i pogromy,
Żeby ich był świat wiadomy.

Przeciw mnóstwu z tobą Polska
Posyłała małe wojska;
Przecie zawsze przy wygranéj
Sławę miała otrzymanéj.

(1) Tom. Zamojski do Stef. Chmieleckiego, 9 sierp. 1623.
(2) Kronika Joachima Jerlicza wyd. p. K. W. Wojcickiego. Tom I str. 38.

Szczęśliwies ty granic bronił,
Mężnie Turki w polach gromił,
Śmiele wielkie kosze znosił;
Słusznie cię też każdy głosił.

Twe Europa chwali męztwa,
I dziękuje za zwycięztwa;
To i która cnotę dusi,
Sama zazdrość przyznać musi.

Takie ludzi wszystkich głosy,
Staną tobie za kolosy;
Stanieć to za piramidy,
Żeś tureckie łamał dzidy.

Cny Chmielecki, mężu sławny,
Jakiego świat nie miał dawny!
Niejeden wiek ni dwa minie,
A twa sława nie zaginie.

KILKA LISTÓW ZE ZBIORU ŹRÓDEŁ

O

STEFANIE CHMIELECKIM.

I.

Stefan Chmielecki do Tomasza Zamojskiego wojewody kijowskiego.

(Z oryginału).

Jaśnie Wielmożny a mnie wielce miłościwy
panie a panie wojewodo kijowski!

Oznajmuję w. m. memu mił. panu, żem z tej nieszczęsnej bitwy z pogaństwem uszedł; zachował mię Pan Bóg na dalszą posługę Rzptej i w. m. mego mił. pana. W przeszłą sobotę porażenichmy od pogaństwa, a z niedziele na poniedziałek wojsko j. kr. m. mało co nadrażone potraciwszy umysły szlacheckie, gdzie kto mógł uchodziło. Już mi byli ichm. panowie hetmani regiment taboru poruczyli, chcąc jeszcze jakokolwiek sławę

j. k. m. i Rzplitej wcale zatrzymać i wojsko uwieść, com ja na szyję swoję brał, chcąc ich i obiecując ocalonych (1) Rzplitej oddać, ale próżno. Dwaj nas tylko szlachciców przy intencyach hetmańskich mocno stojąc, nie mogliśmy wszystkiemu przeciw wojsku przemódz; nie chciał już nikt przy swych hetmanach za sławę Rzplitej i króla pana swego sławnie umierać; wszyscy za Prut w Bukowinę uchodzić, w bród na którym trzeba było pływać; a z tamtej strony kilka tysięcy Tatar i wołoszy zdrajców, jako trzcia. Skoro gdy się zmierzchło, w takiem zamieszaniu i konfuzyi nacisk był wielki, nietylko do tego brodu, ale wszędy do Prutu, tonęli, i tak rozumiem że ich mało na tamtą stronę nszło, gdyż drudzy przez ufy pogańskie przechodzili, między którymi i jam też był, i którzy się mnie trzymali uwiodłem. Żaden usarz kopiej nie skruszył, wszystkie uciekając pomiotali, i tem samem mając podobieństwo wygrać, przegraliśmy, gdyż jeśli nie mniej ale więcéj nie było Tatar nad trzydzieści tysięcy, a Turków nad dwa, z którymi jeden tylko Wrzeszcz usarski rotmistrz jako dobry mąż i zacny szlachcic potkał się; insi kozaccy rotmistrze niektórzy czynili z siebie dosyć, o inszych nie piszę, będziesz to w. m. mój mił. pan wszytko dobrze wiedział, a zwłaszcza kto i jako na tym tam placu stanął. Jakoż i czasu nie było przypatrować się, gdyż tył lewego skrzydła z ludźmi swymi trzymając, wielki impet tatarski miałem na się, któremu za pomocą bożą dobrze wytrzymałem i namniej się z tej tam strony do przegranej nie nachyliło, tylko z prawego skrzydła; także i czoło niepotkawszy się uciekło, i na placu hetmanów swoich odbiegło, których aż za wodza porwawszy z placu uwodzono, między już ufami pogańskiemi. Niestało żołnierzów ojca w. m. sławnej pamięci, a choć téż jeszcze i są, zapomnieli powinności swej; co ja patrząc po ludziach i po rzeczach niczemu inszemu nie przyczytam, jedno wielkiemu karaniu Pańskiemu i cudownemu przejrzeniu jego. O czem więcej pisać sfatygowany będąc i krwawemi się łzami zalewając, niechcę; żałując zginionych braci, krewnych i miłego towarzystwa, więc i ubogich dostatków, którychem tam wszytkich pozbył, ubezpieczony będąc taborem a nie przebijaniem się przez wojsko. Bo choć mię już Tatarowie porzucili, znowu mię wołosza wzięła, a chcąc tę garstkę w cale uwieść, bijąc się aż do samego Dniestru, obronną ręką

(1) Salvos.

uchodziłem pod Jarugę. Teraz pana Boga tylko proszę, aby prędko zdarzył pomścić się nad pogaństwem, odbić i odebrać swoje. Teraz tam gałga poszedł korzystając ze zwycięztwa (1) hory Prutem, a Skinder w kanclerskich namiotach stanął. Są sposoby nieprzyjacielowi temu dać odpór, by cokolwiek ludzi w kupie było, gdyż nie tak jest mocny któregobyśmy potędze dobrze wydołać nie mogli. Jakoż i bez szkody też w ludziach swoich nie jest; więcej tych psów pogańskich w sobotę leżało na placu niż naszych, gdyż nie w rozsypkę szli do potrzeby, ale wielką ciżbą, prawie dobrze mogli ich kopijami połamać. Dłuższem pisaniem nie chcąc bawić, oddawam się powtóre w łaskę w. m. mego mił. pana jako najpilniej. Dat z Krasnego 26 septembris a. 1620.

W. m. mego mił. pana na wszem życzliwy powolny sługa
Stefan Chmielecki.

II.

Stefan Chmielecki do Tomasza Zamojskiego wojewody kijowskiego.

(Z oryginału udzielonego mi przez K. W. Wojcickiego).

Jaśnie Wielmożny a mnie wielce miłościwy
panie a panie wojewodo kijowski!

Już będzie.... dał mi znać pan Dzik, że dla swéj sprawy jedzie do Lublina, za pisaniem pana Krzyżakowskiego, które mi i do przeczytania przysłał. Barzo żałuję, że od tej drogi oderwał mi się kompan dobry; i on pisząc do mnie żałuje, ale tak prawni każą, musi, aby zaś chcąc owdzie zarobić na sławę, tam na niej nie szwankował. Ja w tym tygodniu spodziewam się dobrej zabawy, z pola jednych pogan, a drugich z za Dniestru, pod mohilowski jarmark; zkądkolwiek się wprzód pojawią, za pomocą bożą będziem się witać. W takich miescach umyśliłem zapadać, aby mi na wszytkie strony było widno, a mnie żeby nikt nie widział, bo inaczéj tego psiego pogańskiego nasienia nie ułowi, kiedy już poczuje kędy ma wziąć po dzorbach, ani tam nadezry. Już się w. m. m. m. pan przez niedziel dwie nie racz spodziewać odemnie wiadomości, chyba

(1) prosequendo victoriam.

żeby co gwałtownego a godnego do wiadomości w. m. m. m. pana, rozkazałem podstarościemu memu dawać znać w. m. m. m. panu. Powiadają mi ci, co z tamtych górnych krajów przyjeżdżają, że tam ustawiczne zbiegi, trwogi; racz w. m. m. m. pan rozkazać swoim poddanym się uspokoić. Pilno ja około tego chodzę, nie może bez wieści nieprzyjaciel zbieżeć; będzie u mnie wiadomość kiedy gałga przystąpi pod Oczaków i kiedy przez pole pójdzie, i teraz są jeszcze ci, co na to pilnują na polu i przepraw nadglądają; kiztuwozt (1) też na kilka miescach są iwfaiz (2). Była tam u nas wiadomość, jakoby Kantymira wziąć miano do Porty o teraźniejszy najazd, ale onegdajszego dnia miałem od niego list, z Soroki mi go przysłano, o sokoła; posłałbym go był w. m., ale nie masz więcéj nic tylko: „Pisał mi przyjaciel i brat mój j. m. pan starosta winnicki, iż w. m. obiecał zań sokołem mię obesłać; proszę daj mi znać jeżeli mam się go od w. m. spodziewać". A to tak było: na wyjeździe jego na Zaporoże byłem w Winnicy i tam przyniesiono przy mnie list od Kantymira, sługa jego niejaki Sulejman; formalia w tym liście..... przypomina, że to co teraz komu innemu dajesz, mnie należało, a po tém to poznam jeżeli mi sokoła przyszlesz, o którego cię proszę i oddarujęć. Że natenczas nie było go kędy wziąć, do tego i droga przed j. m. panem starostą była pilna i nie o sokole myśl, jam się podjął imieniem j. m. sokoła posłać i posłałem za jednego dwóch, a od siebie dwóch przez posłańca swego i drugiego za nim.... jeżeliby zatrzymał tego; najwięcej, żeby się wiedzieć mogło w jakiéj postaci teraz nasz pan sąsiad. Ci co się nie barzo na rzeczach znają rozumieli że wziął do Porty, że zbili sąsiada; ale nie trzeba się frasować..., pojedna temi sokołami cesarza i wezyra wielkiego. Pamiętam dobrze przypowieść w. m. m. m. pana: ci dwaj charci p. Kantymir basza i p. Tomsza hospodar nie wiedzą o przymierzu, i póki na tych frantach Rzpta nie wjedzie za Dunaj, przenigdy nie będzie w pokoju; a snadniejby teraz, bo ich w tym roku Turcy żadną miarą posiłkować potężnie nie mogą. Most że budują jest wiadomość i tu, ale pewniejszej spodziewam się wy kotuw kiztur (3). Do tego i z tej miary nie masz podobieństwa do wzięcia Kantymira do Porty: nie mieszka w murach choć baszą jest, w polu koczuje z stady, z by-

(1) szpiegowie. (2) dobrzy. (3) od swego szpiega.

dły, z żonami, dziećmi, tak w lecie jak i zimie, a coraz na inszej paszy codzień; by to czuł, zapadłby na niewiadomej, ażeby o ten występek nie był karany u Porty. Owo widzę, że nas poczęli teraz uczyć fabuł poetyckich, a po prostu skoro niestało świętéj pamięci pana ojca w. m. m. m. pana, trzebaby znowu na pogany takiż wywrócić kożuch. Ja też chcąc się akkomodować panu Kantymirowi, uprzykrzyłem sobie dachy krasnianskie; daj Boże z sławą w. m. m. m. pana i nas sług w. m., czego z serca życzę, oddając się przytem w łaskę w. m. m. m. pana jako najpilniéj. Dan z Pikowa 11 junii a. 1622.

W. m. m. m. pana uniżony sługa

Stefan Chmielecki.

III.

Krzysztof Chmielecki do Wojciecha Miaskowskiego podstolego podolskiego.

(z oryginału).

Mnie wielce miłościwy panie szwagrze dobrodzieju mój.

Oznajmuję w. m. memu m. p. że j. m. pan hetman wziąwszy pewną wiadomość od szpiegów swoich o wojskach tatarskich, którzy szli z potęgą niemałą z Ali murzą, Kotłuczaj murzą i z synem Kantemirowym Isztemir murzą, w państwa j. k. m., skupiwszy wojsko ruszył się z Ukrainy pod Skałę. Gdzie przyszedszy posyłał w kilkadziesiąt koni Sefera dla języka, ale straciwszy kilku kozaków j. m. pana hetmanowych, ledwo i sam uszedł. A nie mogąc inaczej języka dostać, wyprawił j. m. pan hetman brata mego j. m. pana Stefana Chmieleckiego, który był z ludźmi j. m. pana wojewodzinemi przybył. Przydał mu był cztery chorągwie kozaków. Chodzilichmy za nimi całą noc przechodząc szlaki tatarskie, a nie mogąc na nich napaść. Nazad szlakiem wielkim idąc napadlichmy na syna Kantemirowego Isztemir murzę, który stał koszem w Zalesiu, trzy mile od Skały; miał z sobą półtora tysiąca Tatar, a więcej niż trzy tysiące więźniów, i tych kozaków j. m. pana hetmanowych miał w więzieniu przy sobie. Wpadlichmy rezolucie na nich z szablami,

pan brat wprzód, nie mając z sobą więcéj trzydziestu koni, wpadł między Tatary, a potém nas chorągwie nierychło posiłkowały. Uganiając się z nimi mężnie i siekąc ich, odniósł postrzał szkodliwy w prawy bok; w panu Bogu nadzieja, że może być zdrów. Legło na placu więcéj niż dwieście Tatarów, żywcem wzięlichmy kilkanaście, i mnie był pan Bóg zdarzył, żem znacznego więźnia pojmał, ale mi go chłopi w ręku zabili. Przypatrzyli się jednak panowie rotmistrze i towarzystwo jakom tam stanął. Po wygranéj potrzebie zaraz mię pan brat wyprawił z więźniami i z pocieszną nowiną do j. m. pana hetmana, gdziem téż z sobą przywiódł tych kozaków j. m. pana hetmanowych, którzy już byli w więzieniu. Wdziecznymem gościem był u j. m. pana hetmana, i zaraz się z wojskiem ruszył przeciwko koszowi, o którym ci więźniowie powiadają pod Jagielnicą. Ma z sobą j. m. pan hetman więcéj niż trzy tysiące wojska, krom piechoty na saniach z armatą. Pan starosta bracławski w piąciset koni przybył. Cokolwiek sprawi j. m. pan hetman, nie omieszkam oznajmić w. m. memu m. p. Jam musiał przy bracie barzo chorym zostać. Dostało mi się przecie po tym moim więźniu bachmat barzo rączy gniady, z kulbaką zielonym falendyszem krytą; drugiegom tatarzyna z krótkiéj rusznice zabił, wziąłem kary bachmat niezły z kulbaką czerkieską. Nie mając z to czasu gwoli choremu, więcéj teraz nie piszę. Oddaję się z tém w łaskę w. m. mego mił. pana. Dan w Skale 7 februarii a. 1624.

W m. mego mił. pana i dobrodzieja we wszem powolny sługa i szwagier *Krzysztof Chmielecki.*

Proszę mój dobrodzieju racz w. m. do pana ojca mego ten list do przeczytania odesłać, bo nie mam czasu pisać do niego, z rąk niespuszczając pana brata.

IV.

Stefan Chmielecki do Wojciecha Chmieleckiego.

(Z oryginału).

Miłościwy panie stryju!

Posyłając tam w tamte kraje, pisaniem swem dobrego zdrowia w. m. nawiedzam, a oznajmuję w. m. że pan brat pan

Krzysztof a syn w. m. wyprawiony jest od j. m. pana hetmana z legacią do Kozaków. Wczorajszej nocy u mnie nocował, zrozumiałem, że niesmaczne im poselstwo niesie, jakoż dobrze tak na nich, że im téż teraz przybiorą munsztuk. Od j. m. pana wojewody (1) nie mam żadnej wiadomości, jeżeli będzie na tej komissiej. Sam podobno nie wytrwam: powlokę się też za wojskiem, choćbym rad zdrowia poszanował i wytchnął sobie; ochotka nie dopuści, żeby też jeno tam być, gdzie, jak to powiadają, niebezpieczno, i za jakieś straszydło ludzie mało rzeczy wiadomi mają. Dłuższem pisaniem nie bawiąc, oddawam przytem służby moje w łaskę w. m. Dat z Nowego-Międzyboża d. 17 septembris 1625.

W. m. życzliwy synowiec i sługa

Stefan Chmielecki.

V.

Stefan Chmielecki do Tom. Zamojskiego wojewody kijowskiego.

(Z oryginału).

Jaśnie Wielmożny a mnie wielce miłościwy panie a panie wojewodo kijowski.

Za kożdą okazyą wysyłając wiadomości należące królowi j. m. i j. m. panu wojewodzie sendomirskiemu (2), który mię sam na miescu swem zostawił, i w. m. memu mił. panu i dobrodziejowi o wszytkiem dawać znać przez pisania moje nie zaniechiwam, i co i teraz mam w. m. memu mił. panu wypisuję. Kinan pasza mając kilka tysięcy wojska już zaczął coś klecić u Tatarboni, Tatarów wszytkich, ile ich ma przy sobie, chciał wysłać pozwoliwszy im wtargnąć w państwa koronne; lecz przeczuwając, iżby mało sprawił, i puściwszy od siebie mógłby i sam w strachu być, zatrzymuje ich, i jako zrozumiewam z tych wiadomości ktore miewam, że się nam tej jesieni małemi tylko czatkami probować przyjdzie. Jednak niczem się nie ubezpieczając jestem gotów na wszelakie zamysły nieprzyjacielskie, przestrzegając niemniej i tego, żeby żadnych za-

(1) Tomasza Zamojskiego wdy kijowskiego.
(2) Stanisławowi Koniecpolskiemu.

datków pogaństwu od wojska które pod moim regimentem jest, także i od kozaków nie było. A u dworu iż z Ukrainy trwożą, życząc inszego regimentarza, daj Boże co prędzej, bo też nie stawa o czemby służyć. Tę daninę o którąm się ja starał w. m. mój mił. pan p. Kruszyńskiemu zjednać raczyłeś. Lepiejbym był wskórał pługa pilnując, niż odważnie, czego nikt nie chce widzieć i rozumieć, służąc. Ja póki jeno żyw i bez Nowego-Międzyboża sługą być chcę w. m. mego mił. pana, boć on też z Tatary i z sąsiady wojować nie wydoła. Przytem moje uniżone służby jako najpilniej oddawam w łaskę w. m. mego mił. pana. Dan z obozu pod Tatarzyszczami 7 semptembris a. 1628.

W. m. mego mił. pana uniżony sługa
Stefan Chmielecki.
chor. woj. bracław.

VI.

Piotr na Żeronicach Żeroński kuchmistrz koronny, rejent kancelaryi koronnéj, do Tomasza Zamojskiego podkanclerzego koronnego.

(Z oryginału).

Na Jazdowie 26 stycznia 1630. Dalibógem się nigdy tego nie ważył, abym w. m. m. m. panu albo komukolwiek inszemu miał co imieniem j. kr. m. pisać, czegom od samego króla j. m. nie słyszał. A cóżby mi po tem, co mi ztąd za pożytek, nic zgoła. Czytałem ja i ten list królowi któryś w. m. pisać do mnie raczył, dubitując jeżelim ja nie z swego domysłu napisał j. m. panu wojewodzie (1), aby się na Ukrainę wrócił. Rozśmiał się na to król j. m. i rzekł: a po cóż dawali znać o niebezpieczeństwach ukrainnych i posyłali przepisy listów hospodarskich. Do tego (król j. m. mówił) miałem ja i zkądinąd przestrogi, i pan hetman (2) do mnie pisał i frasował się, że się Chmielecki nad rozkazanie jego z Ukrainy ruszył. Atoż bądź w. m. tego pewien, że to wola była króla j. m., a pewniem ja sam z siebie tego nie pisał. Na kilka dni przed pisaniem w. m. rozgłosiło się to, że pan chorąży wojewodą został. A naprzód

(1) Stefanowi Chmieleckiemu. (2) Stanisław Koniecpolski.

żydzi celnicy ceł wołyńskich pisali o tem do księdza Grochowskiego, a zaraz w też tropy i pan hetman pisał do pana wojewody derpskiego właśnie w te słowa: Pan Chmielecki jedzie do dworu i z panią, albo prosić o województwo, albo za nie dziękować, gromadą i assystencyą niemałą; a bardzo mi w tem nie wygodził, bom mu ja nie kazał zjeżdżać z Ukrainy, ażbym tam był sam przyjechał. Znać podobno że już wojewodą został, bo mię nie chce tak słuchać, jako przedtem. Znać że z komentem wielkim czytał ten list królowi pan wojewoda derpski, bo król przede mną powiedział, jakoby powątpiewał o panu wojewodzie że się odmieni, wspominając po kilkakroć: *honores mutant mores.* Powiedziałem ja na to, żeś w. m. miał mu być manuduktorem, aby powolnością i życzliwością i wiarą zasługował tę łaskę królowi j. m. Replikował na to król j. m.: A co wiedzieć jeżeli on potem i pana podkanclerzego słuchać będzie. Jam powiedział że będzie. Znowu powątpiewając replikował i powtarzał: *honores mutant mores.* Jam i to przydał, że musi sobie i dalej zarabiać na łaskę w. kr. m.: dawszy honor trzeba będzie dać i chleba. Tu rzekł król: Toć to jest, i podobno było lepiej mu trochę niżej sieść, ale iż się tak panu podkanclerzemu zdało, atom ja to uczynił; ale napisz do pana podkanclerzego i do niego napisz, niech się nie odmienia, niech mi będzie przychylnym. Czyniąc tedy rozkazaniu j. kr. m. dosyć, piszę do w. m. m. m. pana i do samego pana wojewody napiszę. A w. m. m. m. pan pamiętaj, że *cacta est alia*, gotuj się w. m. na wielką inwidią. Pan krakowski (1) tu napisał, jako pan marszałek (2) mówi, jam listu nie widział, bo mi go nie ukazał; ale jakom słyszał od pana marszałka miał napisać: A daj go diabłu, piękna sztuka, że sługa jego będzie wyżej siedział niżeli sam pan podkanclerzy. Pani też wojewodzina tu mówią, żeby bardzo miała mostek ukazować; jeżeli tu będzie trzebaby ją uformować; ale to ani mojej głowy, ani w. m., raczejby mogła pani podkanclerzyna w to potrafić. Wracam się do tego co głównem jest (3), żebyś w. m. sposabiał się na subiekta grzeczne, któreby mogły w. m. fortiorować, a panu wojewodzie sekundować. Co się tycze sądów kijowskich król j. m. tak rozumie, że tam na jurysdykcyą przysiądz może pan wojewoda, gdyż w senatorskiej przysiędze i słówka nie ma o sądach...

(1) Janusz Zbaraski. (2) Mikołaj Wolski. (3) quod caput est

i tak podpisał już król j. m. list do pana wojewody w którym mu rozkazuje sądzić, i uniwersał do szlachty tamecznej, żeby się dali sądzić, deklarując zgodnie ze zdaniem (1) panów rad przy sobie będących, że to być może i nie należy na tem, aby porządek był w tych przysięgach zachowany. Dałem ten list do księdza kanclerzowej pieczęci i uniwersał, dla zmniejszenia zawiści (2). Nie wiem dla czego tak nieprzychylny panu Dzikowi król j. m., ile jedno wspomnę, zawsze niechętnie (3) tego imienia słucha. Domyślam się, że podobno rozumie, że to Dzik rokoszanin który panu wojewodzie krakowskiemu (4) służył. Jeżeliby nie tak było, wywiedz w. m. z tego erroru króla j. m.; jeżeliby też było, zaleć w. m. jako najbardziej, i że tam nic nie masz rokoszowego upewnij. Ja też te chorąstwo przez królowę jejmość otrzymywam (5), która na prośby w. m. i stolnikostwo...bo mi panna (6) kazała już po dwa razy list czytać sobie, coś w. m. do królowej j. m. o to pisał, i widzę, że jest staranie (7). Rzekła mi, że królowa jejmość prosi i prosić będzie i król j. m. wziął to na rozwagę (8).

(1) Ex senatus consulto.
(2) Ad minuenda m invidiam.
(3) Aversa fronte.
(4) Mikołajowi Zebrzydowskiemu.
(5) Jan Dzik dzierżawca szarogrodzki po Chmieleckim został chorążym bracławskim.
(6) Urszula Mejerin.
(7) Laboratur.
(8) Ad deliberandum.

USTĘP Z 3ciéj CZĘŚCI POEMATU:

STEPY.

Wszedł śpiewak.... Miejsce zaszczytne mu dali
Obok sułtana; bo choć niewidomy,
W stepach szeroko z pieśni był znajomy:
Jak Chodźżę, szatę jego całowali.
Gdzie się ukazał, zbierały się tłumy,
W ślad za nim biegły, kędy się obrócił,
Bo im do serca były tęskne dumy.
Ślepy—wesołych już dawno nie nucił,
I gwar umilkał, skoro piérwsze dźwięki
Zpod jego biegłéj wypłynęły ręki.

Tam widziéć trzeba, jak stepu synowie
Pojmują wieszcza, gdy im go Bóg zdarzy;
Ile radości błyszczy w każdéj twarzy,
Jaka potęga w jego jedném słowie!
Niebo, step, konie, i życie pastusze
Tłem jego pieśni; z którego ciąg zdarzeń
Snuje w natchnieniu, i proste ich dusze
Porywa z sobą do krainy marzeń.
Ich lica—to jak zwierciadło bez skazy,
Na którém, władzą słowa czarnoksięzką
Pieśń, w rzeczywiste kształci się obrazy.
Zaledwie nutę posłyszą zwycięzką,
Im się wydaje, że już nogą jedną
Stoją w strzemieniu; oczy blaskiem świecą,
Jurta i śpiewak zprzed ich wzroku bledną:
Bo duszą w stepie, na swych rączych koniach
Ich oczy, myśli, ich uczucia lecą
Niedoścignione, jak wichry po błoniach.
Pieśń brzmi:—i długo tłumiony w płuc cieśni
Okrzyk wojenny, co dotąd nieśmiało
Z piersi słuchaczów zrywał się—nawałą,
Jak wtór piekielny, wybuchnął śród pieśni.

Śpiewak łagodniéj struny gęśli trąca,
I niby jutrznia majowéj urody,
Na dzikie lica zstąpił blask pogody;
Uśmiéch—jak promień wschodzącego słońca,
Na chmurne czoła złoty połysk ciska.
I pieśń wesoła, z różnych stepu końców,
Przed chwilą wrzących, rozproszonych gońców
Zbiéra, i w jurcie sadzi u ogniska.

Znów śpiewak ujął w posłuszeństwa karby
Słuchaczów serca; lecz niechże ton zmieni,
Niech do obrazów żywsze weźmie farby,
Niech do swéj pieśni dorzuci płomieni:—
A jak w noc ciemną kiedy stepy płoną,
Niebo się smugi krwawemi oświeca,
Takim pożarem wre namiętne łono,
I taka łuna oświetla ich lica.

Śpiewak—to jedna dusza pośród koła,
Która wszechmocnie każdą cząstką włada.
Dotknie strun—piosnka popłynie wesoła,
I zaraz radość huczy jak kaskada.
Uderzy w smutne—już obraz odmienny:
Jak gdyby wicher zaszumiał jesienny,
Każda twarz, rysy przybiéra posępne;
I oko, w bolu na łzy niedostępne,
Widzisz—jak rzewnym zanosi się płaczem.

* * *

Do was się zwracam, wieszcze mojéj ziemi!
Gdy Bóg w twą duszę, piękności zarody
Rzuci, jak gwiazdy palące—któremi
Wiecznie masz świecić; słuchaj bracie młody!
To ogień niebios, tyś jego kapłanem:
Jak ołtarz Westy, chroń go nieskalanym,
Strzeż—jako córki dawnego przymierza.
I piérwszych iskier, myśli twojéj plonów,
Nie rzucaj płocho na pastwę salonów.
Boś ty skowronkiem w cudne odzian pierza,
Nad poziom martwy masz wzlatać i śpiewać,
I wiosną tonów skrzepły świat ogrzewać.
A tu, z złoconém czekają cię sidłem,
Wabią; i skoro uplączesz się skrzydłem,
Olśnią cię blaskiem nieszczeréj pochwały,
Lot twój wyłamią dowcipy ostremi,
Z piórek oskubią—z tych marzeń, co miały
Wznieść się pod niebo—byś pełzał po ziemi,
A potém puszczą. Cóż poczniesz?..... bez pióry,

Rozczarowany, czyż wzlecisz do góry?
O! lepiéj dręcz się wiecznym niepokojem,
Że śród swych braci żyjesz zapoznany;
Boś ty oazą, tą palmą nad zdrojem.

W ogromie pustyń, liczne karawany
Ciągną i miną; a rzadko zbłąkany
Przyjdzie wędrowiec spocząć pod twym cieniem,
I zwilży usta spalone pragnieniem.
Królestwo twoje nie jest z tego świata:
Nic tu, lecz wyżéj namaszczeń zapłata.
Tu—nędza, zawiść i szyderstwo czelne.
Chcesz być wyjątkiem, chcesz dostąpić cudu?.....
Masz serce ludu?—więc śpiewaj dla ludu,
A pieśni twoje będą nieśmiertelne!

Bo pieśń—to boskie w dziejach ludu słowo!
Jako piastunka nad dziécięcia głową,
Tak lud-niemowlę, kołysze i pieści,
Czarownym wątkiem cudownych powieści!
Poźniéj—jak dziéwczę w dniach piérwszéj miłości,
Namiętną iskrą jednego spojrzenia,
Młodzieńcze piersi ludu rozpłomienia,
Urokiem szczęścia, sławy i wielkości!

Gustaw Zieliński.

KRONIKA LITERACKA.

KOMPOZYCYE DO ŚPIEWU STANISŁAWA MONIUSZKI:

Trzeci śpiewnik domowy. Maciek, Kozak, Łódka, dwie piosnki z Nowych wędrówek oryginała.

Ostatnie tylko z wymienionych kompozycyj (piosnki z Wędrówek oryginała, nakładem warszawskiego Friedleina w Lipsku) świeżo są wydane. Inne od roku, od dwóch lat nawet przeszło już wyszły; niemniéj jednak dla tych i owych nowością zdawać się będą, jeśli ich nie znają. Są też między niemi i takie, które choćby i znane, powab nowości na długo jeszcze zachowają, bo co istotnie piękne, nieprędko się starzeje; zaniedbane być może na czas jakiś, odłożone raczéj ale niełatwo zapomniane. Wielu wprawdzie i dorosłych postępuje jak dziecko, któremu zawsze nowego cacka potrzeba. A jak dziecko rwie się do takiego raczéj bawidełka, które się świeci lub cudacko wygląda, a do tego jeszcze skacze, piszczy i skrzeczy choćby jak najszkaradniéj, a nie do tego, które ma poważną i skromną minę i więcéj do pojęć niż zmysłów przemawia; tak też i większość dorosłych dzieci muzykalnych robi. Koncept arlekina na jakąkolwiek osadzony nutę, rulada najniedorzeczniéj umieszczona, czułostka najoklepańsza więcéj mają zwolenników, niż z uczuciem pomyślana melodya, z rozwagą rozwinięty pomysł, rys charakterem bogaty. I cóż za tém idzie?—oto dziecko sponiewiera swoje cacko i za inném pogoni, a od cacka do cacka przebiegając, nazawsze dzieckiem pozostanie, tojest: za bawidełko uważać będzie wszystko, jako nienawykłe do poważnego roztrząsania. Ale gdy mu zręczny mentor pokaże cuda mechaniki lub fizyki w prostém i skromném cacku znajdujące się nieraz, gdy mu opowié o tożsamości działaczów w wielkiém i małém: to z poszanowaniem cacko przechowa, nieprędko o niém zapomni, widząc w niém model arcydzieł człowieka, które mu się poźniéj oglądać zdarzy. Pieśni zwykle uważa ogół za cacka muzyczne, za coś tak lekkiego, jak tańce naprzykład: bo większa liczba pieśni i tańców nie czém inném jest w istocie, jak cackiem dla chwilowéj za-

bawy obmyślonem, bez myśli i po partacku zlepionem. A przecież taniec, pieśni, sąto konieczne każdéj opery części; mówiąc właściwie, opera niczém inném nie jest jak zbiorem pieśni różnéj formy i różnego rozmiaru (1), tak jak poematem zwie się zbiór ustępów. W tém różnica, że w operze, poemacie, części są połączone choćby pozornie jednéj myśli nicią i należą do siebie, a pieśń luźna, samoistny płód poetycznéj chwili, ma w sobie początek i koniec. Mimo to, możnaby zbiór pieśni muzycznych, np. jeden Śpiewnik Moniuszki w operę zamienić, wziąwszy się dowcipnie do textu i dopełniwszy rzecz słowem i muzyką; więc pieśni lekceważyć nie należy.

Z takiém pojęciem zabierając się do sprawozdania z wymienionych w nadpisie kompozycyj, przyjdzie pewnie nad niektóremi dłużéj się zatrzymać; tem chętniéj to uczynimy, jeśli nastręczy się sposobność do rozważania szczegółów godnych obszerniejszego i oddzielnego opracowania, na które jednak okoliczności nie pozwalają niekiedy.

Śpiewnik domowy nr. 3 szlachetnie się otwiera muzyką do słów poety zmarłego blizko dwieście siedmdziesiąt lat temu, owego wieszcza z Czarnolasu, co tak tkliwie płacze po stracie ukochanéj Orszuli, co tak rzewnie rozbiera pozostałe mu po niéj pamiątki, co tak żałośnie dopomina się u wszystkich i u wszystkiego powrócenia mu skarbu, o którym wié, że go niepowrotnie stracił, a powiedzieć sobie tego nie chce, uwierzyć w to nie może. Pan Moniuszko obrał tren dziesiąty, w którym stroskany ojciec nieoswojony jeszcze ze swém nieszczęściem pyta się ukochanego cienia: „Orszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziała?" i jakby naszukawszy się jéj wszędzie, gdzie zbłąkanego dziecka szukać można, rozważa gdzie téż może być miejsce pobytu dzieciny: czy do liczby aniołków się dostała, czy do raju, czy na jakie szczęśliwe wyspy, czy zamienioną została w słowika, czy się w czyścu czyści, a nawet czy jéj Charon za Styx nie przewiózł i czy nie piła z rzeki zapomnienia, że mimo jego żalów się nie zjawia? Chrześcianin, poeta, filozof, wysilają się, by pomódz ojcu w odszukaniu dziecka; jego żal głęboki szuka ulgi w różnych naukach, jakiemi wieki i ludy niezbadane przyszłości krainy rozjaśnić pragnęły. A boleść niezmierna, wiecie to wy, coście jéj doświadczyli, rada się błędu chwycić, by cień nadziei zyskać: „gdzieśkolwiek jest, *jeśliś jest* (mówi poeta), lituj méj żałości... a staw się przedemną". Przedstawiliśmy tu treść tego trenu, by przypomnieć czytelnikowi szczegółowy jego charakter: ten żal cichy, lecz tém głębszy i trwalszy, że na wątpliwości, na cieniu nadziei oparty. Większa część tego trenu w formie pytania ulana; a ile myśli i domysłów, tyle pytań

(1) Pojęcie nasze opery, jako poematu muzyczno-dramatycznego, nie jest tego rodzaju, abyśmy ją tylko za zbiór ustępów uważali, tak jak ją uważa większa część autorów muzyki i słuchaczów; dlatego téż nie ma podobno rodzaju dramatu lichszego w ogóle jak opera. Innym razem szerzéj się wytłumaczymy.

oddzielnych jedném uczuciem smutku zjednoczonych. Czyto kompozytor tak samo jak my tutaj text ów rozważał, czy tylko instynktem artystycznym był wiedziony, dosyć, że jego muzyka tak samo na pytania rozdzielona i różne między sobą pomysły, ale jedną smętności powleczone barwą, jednéj formy przygrywką sprzęgnięte. Przygrywka ta wijąc się po różnych harmonii modulacyach, sama przez się zdaje się przedstawiać dwa główne poezyi będącéj przedmioty. Jednym jest niewidomy cień Orszuli, przytomny ciągle ojcowskiéj myśli, to téż uprzedza jéj sformułowanie w wyrazy; drugim jest przebijające się wszędzie echo boleści ojcowskiéj, równie smętną i ucinaną melodyą przygrywki oddane, jak melodya któréj text podłożony został. Nie narzucamy tu nikomu urojeń moze naszéj fantazyi, ale nawykli szukać w formie dotykalnéj powodu wrażeń, które z dzieł sztuki odbieramy, nie umiemy niczemu innemu przypisać niewypowiedzianego uroku téj kompozycyi, jak właśnie obrazowi zbliżenia się ku sobie dwóch istot: jednéj z tamtego świata ku ziemi, gdzie ją głos ojca przyzywa, drugiéj wydzierającéj się do krain nieśmiertelnych, ku którym ją smutek podnosi. Któż dowiódł braku stosunków między dwoma owemi światami? kto się poważy utrzymywać, że tęsknota i żal z najszlachetniejszego uczucia, bo z miłości pochodzące, nie są właśnie magnesem zbliżającym ku sobie dwie siedziby istnienia? Jeśli tak nie jest, czemuż czujemy ulgę we łzach i żalu? Wszak ciału naszemu nic się nie stało i tylko dusza cierpi i jęczy za jego pośrednictwem, bo to ono ją tu zatrzymuje; inaczéj wzleciałaby w krainę innego bytu, który odgaduje. Patrzcie! oto szlachetny wieszcz wytężony wzrok posyła na zwiady w przestrzenie, bo czuje, że jego Orszula blizko być musi, gdy tak za nią tęskni!....

Głębokie pojęcie uczucia i prawdę w jego przedstawieniu tak daleko p. Moniuszko posunął, że fantazyą swoję zupełnie fantazyi poety poddał. Gdy ten, przestawszy myślą skołataną szukać w prośby się udaje, i muzyk zmienił ducha swych orzeczeń w melodyi, swego widzenia w przygrywce, dając jednéj błaganie rozpaczne prawie, drugiéj odejmując owe echo myśli rodzicielskiéj, o którém wyżéj mówiliśmy, zostawiając ją ruchomą, ale potulniejszą. Tak się przejął swym przedmiotem, że nawet zapomnieć się zdawał o formie; on, który z taką starannością wykończać ją lubi! Ale nie! przedmiot każdy właściwą formę niesie z sobą w szczegółach, z których całość powstaje; rzeczą tylko jest artysty biorącego przedmiot już gotowy, ulać go w całość i jedność. Że forma muzyczna tego trenu nie mogła być podobną do formy zwykłéj pieśniom tak niedługiego rozmiaru, z saméj już treści textu wynika. P. Moniuszko wydobywszy się z owładnień zwyczaju, lubo na myśli filozoficznéj opartego, dowiódł owszem, że posiadł ducha formy, a przypadłości jéj wedle okoliczności stosuje. Zbyt widoczny jest w duchu textu ów podział na szukanie i błaganie, by w nim nie dostrzedz naturalnego dla muzyki podzia-

łu; że jéj części nie są ulane w zaokrąglone peryody, ale tylko po frazesach płyną, znów zgodne jest z poezyi duchem, i pokazuje, że autor muzyki zrozumiał różne stopnie boleści. Że te a nie inne obrał kierunki modulacyjne, nikomu z tego zdawać nie potrzebuje sprawy, i w ogóle zadowalnia; ale czemu nie uznał praw tonacyi głównéj i w niéj nie skończył? Czy upodobawszy sobie w piérwszym odlewie nie chciał go już przerabiać, czując, że toby mu szkodę przyniosło? Uważałże ten tren w dwoistéj pozornie jego treści za dwie odrębne części? miałże na myśli obyczaj muzyków tego wieku, w którym kwitł Kochanowski, i jak to oni niekiedy czynili, skończył w tonacyi plagalnéj co w autentycznéj rozpoczął, chcąc tym sposobem lepiéj samego poetę przedstawić? Byłobyto nader materyalném wieku pojęciem, przepomnieniem, że tu nie indywiduum, ale ojciec przemawia, że nie pojęcia i wyobrażenia, ale uczucia na plac występują. Gdyby p. Moniuszko podobnemu widzeniu rzeczy hołdował, to winien był nagromadzić wiele rysów jeszcze, któremiby muzykę wieku XVI przedstawić można lepiéj, jak grzechem przeciw dzisiejszemu formy muzycznéj pojęciu, przeciw piérwszemu jéj warunkowi podobno:—jedności. Jestto lekceważenie czy śmiałość ze strony kompozytora tak daleko posunięta, że umyślnie tu na nią nastajemy, nie widząc nic w naszéj tak burzliwéj epoce, coby nas wyniosło nad dotychczasowe estetyki pojęcie.

Przyglądając się jeszcze téj kompozycyi, dostrzegamy nową zasługę autora muzyki, a poniekąd tłumaczymy sobie niektóre w jéj odlewie szczegóły. Oto p. Moniuszko miał do czynienia z trzynasto-zgłoskowym wierszem i to nie miarowym. Jestto jedna więcéj trudność pokonana, ale nas nie dziwi, bośmy nawykli w pracach pana M. widzieć tyle zręczności w kręceniu techniką muzyki, ile uczucia i prawdy w pomysłach. Że jednak nie zdarzyło się nam podobno jeszcze mówić o szczegółach formy poezyi muzykę obchodzących, rzucimy tu naprędce kilka wyrazów.

Mówiliśmy wyżéj, że każdy pomysł właściwą sobie niesie formę muzyczną; dodamy teraz, że forma poezyi skończonéj narzuca także muzyce pewne kierunki, które w duchu właściwym się rozwijając, muszą zarazem wiersza budowie dogodzić. Dla kompozytora umiejącego władać zasobami swéj sztuki rzecz to nietrudna w ogólności; z kilku nieraz sposobów poradzenia sobie obiera jeden, który najlepiéj jego indywidualności odpowiada i stopniowi zagłębienia się w przedmiot. Ale tak natura, jak więcéj jeszcze krój pojedynczych myśli z których się rozleglejsza forma składa, wiele zależy od natury pomysłów i formy, w jakiéj je poeta oddał. Rytm muzyczny musi dla siebie miarę wyrazów wiersza urobić, albo się jéj poddać; dlatego to tyle wołano i wołają o miarowość poezyi. Dowiedzioną przez praktykę jest rzeczą, że rozległość frazesu muzycznego w ogóle najkorzystniejszą jest, gdy od dwóch do czterech taktów wynosi (ale to w ogóle, bo zawisło od szybkości ruchu (tempo) i od rodzaju taktu). Dosyć to

już miejsca, by szlachetnie pomysł rozwinąć, i niezbyt wiele, by go baczność słuchacza, niby jeden rys objąć mogła. Więc budowa textu do śpiewu przeznaczonego mniéj więcéj roztaczać się powinna w wierszach od czterech do dziewięciu zgłosek długich. Myśli tak winny być uszykowane, by znaki pisarskie niezbyt odległe od siebie wypadały, by zatém i spadki (kadencye) muzyczne odwłóczone być nie musiały, i do rozciągłości mącącéj jasność nie wiodły, albo wbrew wszelkiéj logice nie padały tam właśnie, gdzie na to myśl wiersza nie pozwala. Ważniejszym prawie jak to wszystko zdaje się być peryodyczny powrót długich wiersza zgłosek i zjednoczenie ich z mocnemi częściami taktu (1). Wprawny kompozytor wszędzie sobie jednak radzić umié i wydobędzie nieraz z textu sposoby, wybiegi, a nawet pomysły na któreby przy innym wierszu nie wpadł może. Niemniéj jednak jest prawdą, że jedna i ta sama myśl ośmio lub trzynastozgłoskowym oddana wierszem, w jednym ściśniona albo na dwa rozwałkowana, w tym a nie innym porządku wyrażeń wyrzeczona, na wyrazach téj lub innéj miary osnuta, do wielkich różnic w odtworzeniu muzyczném poprowadzi, a nieraz niezmiernie ułatwia, drugi raz bardzo utrudnia pracę kompozytora. Więc znów ucieczka do poezyi miarowéj o tylu a tylu stopach, takich a takich. To dobrze! bo tak przygotowany wiersz wiedzie muzyka do łatwego wynalezienia grupp, odpowiadających sobie wzajemnie, na czém właśnie polega równowaga wyrażeniom muzycznym niezbędna. Ale to odbiera kompozytorowi siłę, tępi jego energią, usypia wynalazczego ducha i do bladych pomysłów go wiedzie. Przeciwnie, brak miarowości jest mu bodźcem jak każdy opór, który pokonać przychodzi. Alboż nie ma licznych radzenia sobie środków? rozliczonego taktu i rozliczniejszego jeszcze rytmu? sposobności mnożenia części taktu mocnych (za pomocą podziału wartości muzycznych na dowolną prawie liczbę mniejszych), zmniejszania ich liczby (zebraniem po kilka części taktu w jednę wartość)? nie ma-ż przygrywki więcéj niż głos od wpływu słowa wolnéj? A samże text, nigdy wreszcie zupełnie z miarowości nie obrany skoro w formę wiersza się ulał, nie może-ż być bez szkody powtarzany, skracany, przekładany? Więc trudności napozor wielkie nikną jedne po drugich, byle tylko kompozytor umiał się wziąć do ich pokonania. Więc miarowość poezyi dobrą jest raczéj dla poetów, bo im muzycznego żywiołu udziela, mniéj dla muzyków, bo ci na jedno wyrażenie poety kilka znaléźć mogą. Niewiele się podobno wykroczy przeciw prawdzie, utrzymując, że nie ma miary, którejby muzyk do jakiéjkolwiek budowy wiersza zastosować nie mógł. Dlatego liczymy do mniéj korzystnych wysilenia muzyków i wier-

(1) I to jest właśnie największy szkopuł dla tłumaczów textu pod muzykę podciągniętego: obojga są niewolnikami, a nadto jeszcze muszą pamiętać o szlachetności języka, wierności przekładu, a mało kto mozoł ich ocenić umié, mało téż który zadaje go sobie.

szopisów swego czasu, usiłujących koniecznie słowu i muzyce pewną miarę z góry narzucić. Oto muzyka do trenu Kochanowskiego głęboka i czująca, osnutą jest na wierszu trzynastozgłoskowym, w którym prócz cezury i to niezawsze z przecinkiem padającéj, żadnego podobieństwa do metryczności nie ma. Nie jestże to dowód, że ona mniéj potrzebna? Gluck kiedyś pisał muzykę potężną do oper, które Quinault aleksandrynami wypełniał; prozę nieraz muzycznie przedstawiano: trzebaż nowych dowodów? Każdy praktyczny muzyk sam sobie więcéj ich nazbiera.

„Czaty“ ballada ukraińska, najdłuższym jest ustępem tego Śpiewnika. Już niejednokrotnie w formie ballady pan M. się doświadczał i zawsze z zupełném powodzeniem. Tak i w tym ustępie pełno żywości pojęcia, szczęśliwego przedstawienia charakterystyki, szczególniéj gdzie o wojewodę i niewiastę chodzi. Kozak echem jest myśli pańskiéj w muzyce, lubo nie jest niém w texcie, gdzie choć króciótko przedstawiony, jasno pokazuje opozycyą zamiarom mściwym wojewody, i winien był być stosownie ucharakteryzowany, aby przygotować rozwiązanie, którego stał się powodem. Możnaby jednak ten brak wydatności tłumaczyć umyślném ukrywaniem się ze swemi zamiarami Kozaka, chociaż zadaniem muzyki właśnie jest głębie serc ludzkich rozświecać. Ale nie możemy się zgodzić na muzyczny obraz kochanka; prawda w texcie on także nieco blado wygląda, ale jest tam dosyć wyrażeń naprowadzających na myśli, dzielniejszego przedstawienia żądające, dosyć miejsca na wykonanie tego. Pan M. nie dał mu ani ponętnego ognia owego strzelca w Świteziance (1), ani kipiącego gniewu, ani pokonywającéj opór czułości, co wszystko według naszego zdania znaléźć się tam powinno było. Obowiązkiem było muzyka dorzucić przynajmniéj kilka rysów męzkości, by przecież było dla kogo wykrzyknąć tak tryumfalnie: „i ugodził w sam łeb wojewody“.

Po sentymentalnie pobożnéj pieśni „Dwa słowa“, ciężką nieco muzyką odzianéj, następuje jakby dla sprzeczności zgrabny duet na sopran i alt, któremu textem jest zastosowana w *Dziadach* pieśń gminna: „Jakże kocha dziewczyna i t. d.“ Duet to wypracowany misternie z drobiazgowością miniaturową, lekki, igrający i nader zręcznie pomyślany. P. Moniuszko jedynym podobno jest u nas kompozytorem, który od czasu do czasu daje coś miłośnikom tego rodzaju, by przecie nie musieli koniecznie uciekać się do

(1) Śpiewnik Iszy St. Moniuszki. Po zupełném od lat kilku wyczerpaniu piérwszego wydania tego Śpiewnika, prawdziwą uczynił nam przysługę R. Friedlein (w Warszawie) wydaniem drugiém. Sama „Świtezianka“ godna już tego była: zawsze to jeszcze najpiękniejsza z ballad Moniuszki; ale jest tam nadto prześliczny tryolet: „Komu ślubny splatasz wieniec?“ „Panicz i dziewczyna“ Odyńca, „Żal dziewczyny“ E. Styrmer. „Dziad i baba“ Kraszewskiego i wiele innych pieśni mniejszych, a jedna ponętniejsza jak druga. Wydanie Friedleina tak piękne, jak u nas nie bywało nigdy, a zagranicą rzadko bywa; takie są wszystkie prawie tego nakładcy wydania. O wielu mówić nam przyjdzie, bo wiele mają interesu.

oper lub prac zagranicznych autorów, gdy chcą duet zaśpiewać. Ten o którym mówimy, stosowniéjby brzmiał w ustach męzkich, jako natrząsanie się z lekkomyślności kobiecéj; tenor i baryton równie dobrze jak sopran i alt jąć się go mogą.

Pieśń wschodnia: „I cóż milszego jak lulka w cieniu?“ uboga jest w humor prawdziwy, ciężka miejscami raczéj niż buńczuczna. Zaraz piérwsze dwa takty wstępu instrumentalnego igrają wprawdzie, ale to igraszka bez swobody i prostoty; możeby zyskały więcéj prawdy, gdyby je był autor powtarzał niekiedy z właściwém tematu urobieniem, ale nie wpadł na tę myśl, albo zastosować jéj nie chciał. Że jednak wszystko co p. Moniuszko robi, choć czasem słabsze, nie jest bez miejsc szczęśliwych, i tu ich także nie brakuje; tylko że się utrzymać nie może ciągle na jednéj wysokości. Widzimy to: najczęściéj text złego nabroi swą budową niestosowną do pomysłu, pod który wypadałoby kompozytorowi go podłożyć. Czasem treściwość jego zbyteczna, nagromadzenie wyrazów różne względy znaczących i żądających w muzyce oddzielnego frazesu, więc skończenia poprzedniego pierwéj, niż tok melodyi pragnie: są powodem kłopotów, których pokonać nie chciał kompozytor, jakby mniéj przywiązywał wartości do igraszki humorystycznéj, a raczéj do tego wybuchu fantazyi wyznawcy Alego, podnieconéj przez opium; niesłusznie, skoro już raz wziął się do niego.

„Prząśniczka“ piosnka niewielkiego rozmiaru, ale wartka i krzepka, należy do najwydatniejszych w oddziale, któremu autor położył nadpis: Pieśni rozmaite. Kilka z nich jeszcze jak „Ej latał słowiczek“ (Czeczotta), „Nawrócona“ (Brodzińskiego), „Hulanka“ nieporównane. Tu znać zaraz jak jednym tchem, jednym błyskiem cała pieśń wstała i to w chwili szczęśliwéj. Sąto drobne arcydzieła, którym nic zarzucić nie można, choćby się niewiadomo jak nasmażyć. Wymieniając najwięcéj uderzające, nie godzi się pominąć milczeniem innych, a właściwe posiadających zalety, jak: „Księżyc i rzeczka“, dwie piosnki obłąkanéj z Dziewicy Jeziora Walterskotta (tłum. A. E. Odyńca), „Wyjazd“, Krakowiaczek“, nakoniec „Luli (niewinnéj duszeczce)“ Syrokomli. Na tém koniec Śpiewnika wydanego w Wilnie w litografii Ant. Klukowskiego.

Z kompozycyj pojedynczo wydanych mamy przed sobą trzecią już edycyą piosnki pod tytułem: „Kozak“ (1). Zaleca się prostotą i łatwością muzyki i tym smętnym dumki ruskiéj stylem, dojmującym do żywego tęskną monotonią i żałosném zawodzeniem głosu. Słowa wzięte są ze zbioru piosnek wieśniaczych znad Niemna i Dźwiny (Czeczotta), zbioru pełnego klejnotów, które p. Moniuszko po mistrzowsku oprawia.

Zupełnie z innych stron pochodzi „Maciek“, pieśń należąca do najszczęśliwszych, jakie panu M. obrabiać muzycznie się zda-

(1) Dwa piérwsze wydania są wileńskie, ostatnie warszawsko-lipskie Friedleina.

rzyło. Charakterystyka, główną cechę tego kompozytora stanowiąca, odróżniająca między sobą jego prace, w Maćku pełna jest zasługi. Żeby ją pojąć nie słysząc muzyki, trzeba znać jego historyą. Urodził się on gdzieś w stronach, które Wisła jak kolumna pacierzowa utrzymuje, i tam się też scena odbywa, miarkując po muzyce złożonéj po większéj części z mazura i z krakowiaka. I wyszedł z Maciusia na Macieja czy tam Maćka, i był sobie gospodarzem, jak się tego domyślamy: miał chałupę i pole, a więc stodołę, a więc woły, a więc żonę i dziécię. Bo to wszystko w życiu wieśniaka tak naturalne i konieczne, że bez jednego już biéda; cóż dopiéro, gdy mu wszystkiego naraz braknie! A tu się na biédnego Maćka zlały różne karystye, i to jedna po drugiéj; więc chciałby się rozerwać i poszedł do karczmy:

„Hej, do tańca dziewuchy!
Grajże dudko Jaśkowa!
Cóżto grajku, czyś głuchy
Że tak siedzisz jak sowa?
Ano żywo, do licha,
Cóżto wam się przydało?
Każdy siedzi i wzdycha:
Czy złe ludzi spętało?"

Oj! bo biédnażto rozrywka, gdy troska dopieka! Mająż się weselić, gdy wiedzą co Maćka spotkało. Więc:

„Bartek z boku poziéra,
Łzy rękawem obciéra;
A dziewuchy, parobcy,
Jak nie swoi, jak obcy."

Ale cóż robić! Maciek potrzebuje się otrząsnąć: chce pohulać, to może się i rozerwie!

„Gdy tak Maciek ochoczy,
Każdy przetarł swe oczy;
A Jan stary z za stoła:
— Grajże grajku!— zawoła.
Chwycił Józef za basy,
Żwawo smykiem potoczył:
Ognia dały obcasy,
Maciek w taniec wyskoczył.
— Oj da dana, oj dana!
Dołoż moja kochana!"

Ale jak śmiech rozciągniętemu na torturach, tak muzyce muzyka nie idzie. Więc zawzięty Maciek woła:

„Cóżto Jaśko tak smutnie?
Wesołego niech utnie,

Bo ja na złość muzykom,
Śmieję się i wykrzykom.
Oj da dana, oj dana!
Dolo-ż moja kochana!

Cóż mam nie być wesoły,
Kiej mi zdechły dwa woły!
Niechaj zdychają sobie;
Za to w polu nie robię,
Jeno w karczmie tańcuję,
Weselę się, raduję.
Oj da dana, oj dana! i t. d.

Co mam nie być wesoły,
Spaliły się stodoły:
Kłopot sobie nie zadam,
Kędy zboże poskładam,
Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.
Oj da dana, oj dana!.....

Co mam nie być wesoły,
Mój majątek dwa doły,
A w onych dołach żona
Z małém dzieckiem złożona.
Oj da dana, oj dana!.....

Grajże dudko wesoła,
Bo nikt na mnie nie woła,
Nikt nie czeka stęskniony,
W méj chałupie spalonéj.
Żywa dusza nie żąda,
Próżno człek się ogląda,
Więc tańcuję najszczerzéj,
Jutro pójdę w żołnierzy.
Oj da dana, oj dana!"....

Oj! takie wesele, to się pogrzebowi równa; poczuli to wszyscy w karczmie obecni:

„Gdy tak śpiewa ochotnie,
Cóżto grajko tak potnie?
Kropla z kroplą przez oczy,
Z twarzy grajka się toczy.

Znać się zmachał od grania,
Skrzypki rzucił, podeptał,
Otarł lice sukmaną,
I coś mruczał i szeptał;
A dziéwki się spłakały.....
Że skrzypki grać przestały."

Widzi Maciek, że to jakoś nie idzie po jego myśli, więc mówi:

„Bądźcie zdrowi wy starzy,
Niechaj Pan Bóg wam darzy.
A gdy skrzypków niestało,
By się w karczmie hulało:
Śpiewam sobie: oj dana,
Dolo-ż moja kochana!"

Czyż potrzeba jeszcze tłumaczyć, co się z Maćkiem dzieje? potrzebaż opisywać muzykę p. M. po tém cośmy wyżéj o zdolności jego do charakteryzowania powiedzieli? Zwracamy uwagę na dwoistą barwę textu: powściąganą rozpacz i wesołość udaną; a przypominając inną pracę p. M., gdzie także dwulicy charakter jest rozwinięty: „Magdę karczmarkę" (w drugim Śpiewniku), przypominamy tém samém szczególną siłę, jaką autor niekiedy swym obrazom nadaje. Text, jak to z niego widzieć można, daje niejako scenę dramatyczną, z tą różnicą, że w dramacie nie ma opowiadania tylko działanie, a tutaj ustępy wtrącane między wyrazy Maćka, osłabiają muzykowi jego tok, i do naśladownictwa dramatycznego zmuszają. Mimo to, p. M. szczęśliwie i tę trudność pokonał, i utworzył scenę pełną wartości pod względem charakteru i prawdy. Żeby ocenić całą autora zasługę, należy słuchać jego pracy, bo wyraz nie jest tu dostateczny. Dość, że dwóch dzielnych pieśniarzy: autor textu i autor muzyki, połączyło swe siły. Piérwszy odrysował konturna i rozmiary oznaczył; drugi wypełnił kolorytem, głębokość wykazał i wyrazem niewątpliwym nacechował oblicza.

Gdzie tyle wydatności w texcie, gdzie widno jak na dłoni o co chodzi; tam mniéj się dziwić potrzeba trafnym wyrażeniom muzyka. Ale wysokiego talentu potrzeba, silnéj indywidualności, głębokiego widzenia, by się wyswobodzić z owładnień pociągającego textu, a za to owładnąć go i zmusić, by mówił co się autorowi pewnie ani marzyło, coby rad jednak za podstawę myślną swéj pracy przyjąć. To właśnie spotykamy w pieśni zwanéj „Łódka" nakładem Friedleina wydanéj. Treść wdzięcznego wiersza jest bardzo prosta: młody włóczek płynie Wisłą do swéj Halki i śpiewa to o łódce, to o Halce, to o sobie, to trochę o Wiśle. Niemal każdy muzyk biorący się do opracowania téj pieśni, zrobiłby z niéj coś na podobieństwo barkaroli weneckiéj, tego arcy-typu wszelkich muzyk, do których dał powód text o wodzie mówiący, typu wykręcanego na różne sposoby, naśladowanego, rozciąganego, ale rzadko szczęśliwie, szczególniéj téż odkąd Auber w swéj Niemé j z Portici dwie piękne barkarole umieścił. I pan M. doświadczał się kiedyś w tym rodzaju, ale teraz pojął, że zrobić barkarolę z wiersza tak doskonale naszego, jak „Łódka", byłoby to coś podobnego jak anachronizm w historyi. Że ojczyzną włóczków są mniéj więcéj okolice Krakowa, więc to co p. Moniuszko włożył w usta swego bohatera mocno na krakowiaka zakrawa, ale jego rytmy płyną na falach przygrywki, jak sam włóczek na falach rzeki, którą zna

doskonale. Zdaje się, że kompozytor miał zrazu zamiar figurą instrumentalną nieprzerwanym płynącą potokiem, nadać życie i ruch swemu obrazkowi, a może i naśladować dla ucha wrażenie, jakie oko odbiéra, patrząc na ciekącą kroplę po kropli, na przelewającą się po fali falę, na spychające się bałwany—i cel najdoskonaléj osiągnął. Ale jąwszy się wykończenia, tyle nakładł urozmaiceń w melodyjne przygrywki zakręty, w harmonijne jéj głębie, tak ją tym sposobem sporną lub potulną dla melodyi krakowiaka uczynił; słowem, taki roztoczył szereg poszukiwań, że z téj przygrywki urosł nie już kommentarz prosty do słów włóczka, ale rodzaj traktatu tłumaczącego w swój sposób szczegóły w texcie zawarte. Ktoby chciał wysłać swoję fantazyą na splondrowanie téj przygrywki, toby dostrzegł może, że nasza Wisła nietylko ma powierzchnią, ale i głębię żywą; włóczek płynący po niéj nietylko ją jasną, ale i burzliwą widywał i groźną nabrzmieniem; on wié że nietylko rybki są w jéj łonie, ale i skała i ławica się trafia. Jego życie w łódce jak w domku odbić w sobie musiało narowy kaprysnéj rzeki; więc jego pogląd na rzeczy pełen ruchliwości—jak ciekące głębie Wisły; czasem obłędu mącącego jasne pojęcia—jak mętną jest woda téj rzeki; powagi—jak jéj ogrom; a jak jéj wody niedostrzeżonym prawie ruchem się toczą: tak w myśli włóczka rój marzeń się przesuwa między rozstrzelonemi myślami, któremi się tłumaczy.

Innego rodzaju, ale nie mniejszéj siły zagłębienie się w texcie, spotykamy w dwóch śpiewkach Agatki: Niedziela i Kotek, wyjętych z Nowych wędrówek oryginała, a wydanych nakładem Friedleina. Nie znając powodu, który te piosnki Agatce nasunął, ani jéj charakteru, nie możemy rozstrzygać: o ile autor muzyki schwycił prawdziwego ducha. Ten, którym muzykę swą odział, mówi wyraźnie więcéj jak text, który niezupełnie nam jest jasny, jako oderwany od całości. Wnosząc z muzyki, Agatka musi być jakaś cicha marzycielka, może obłąkana, bo jasny obrazek ślubu jakimś kirem muzyka okryła, a blizkie szczęście zbyt gwałtownie pierś wzrusza. Tak w texcie jak i w muzyce, szczególniéj w téj drugiéj jest coś, co przypomina Upiora (Vampyr) Marschnera, a raczéj jeden z téj opery ustęp grobowéj melancholii. Piosnka druga „Kotek", znacznie pogodniejsza od tamtéj i w stylu zbliżającym się do pieśni ludu (w texcie i muzyce), mimo lekkości i śpiewu i przygrywki, owiana jest jakiémś tchnieniem smętności, jakby uroczystą przepowiednią miłéj, ale stanowczéj chwili. Nie śmiemy tu daléj zapuszczać się w badania wyobraźnią tylko; język muzyczny zbyt jest nieokreślony, aby nie należało się lękać pomyłki, gdy o zgadnięcie szczegółów idzie; zatrzymujemy się więc, ogólne wrażenie opowiedziawszy. Jakiekolwiek ono jest, wyraźnie pochodzi z zagłębienia się kompozytora w przedmiocie, który go zajmuje.

W wielu kompozycyach p. M., można dostrzedz tę cechę ducha w dojrzałości swéj szperającego; nietylko z praktyki życia,

z boleści i rozkoszy wydobył sobie owoc spostrzeżeń, i na nich oparty, sięga w krainę tajemną, którą tylko zgadywać można; ale nadto spostrzeżenia wiedzy z tamtemi łączy, by, jakeśmy to powiedzieli, nie piosnkę, ale traktat stworzyć. Rzecz jasna: indywidualność która takie płody rodzi, zbyt się czuje, zbyt jest bogata, by wpaść mogła w martwe naśladownictwo cudzych manier i nie dać w każdym płodzie dowodu wewnętrznie nagromadzonych własnych zasobów. Jednéj wszakże rzeczy lękać się trzeba: by ta indywidualność zagłębiona w saméj sobie, nie zapragnęła zerwać z ogólném usposobieniem, w abstrakcyą nie wpadła. Groźne to niebezpieczeństwo, bo ciągły na téj drodze postęp, wyłączyłby nakoniec marzącego ducha z obrębu mniemań i poglądów, do jakich ludzie nawykli; a choćby arcydzieła w swym rodzaju stworzył, im więcéjby one z tego kierunku wypływały, tém mniéj pojęteby były. Dziś jeszcze płody takie jak p. M., wybierają ze skarbnicy sztuki coraz nowe bogactwa. Pogląd filozoficzny, jaki autor w nie wlewa, nadaje im znaczenie, cechujące rzeczy głęboko pomyślane, i karłowatemi czyni płody innych, obok tamtych postawione. Ale z tego przymiotu łatwo wpaść w uchybienia przeciw istotnym a więc koniecznym warunkom, w jakie płód sztuki uwinięty być winien; i jeśli nie w excentryczności utonąć, to wpaść w manierność swego rodzaju. Tu liczymy częstą nieoględność kompozytora na potrzeby śpiewającego tak co do oddychania, jak co do ułatwienia mu deklamacyi rozdzieleniem na osobne frazesa muzyki wszędzie, gdzie text inne względy przedstawia; brak tu i owdzie przegrywki między ustępami, inną chwilę dramatyczną, inny odcień uczucia opowiadającemi; niekiedy, chwilową wprawdzie i charakterystyczną, ale niezawsze konieczną twardość z kollizyi śpiewu i przygrywki powstającą, a nadewszystko traktowanie textu raczéj przygrywką instrumentalną, niż śpiewem. To ostatnie zachodzi nieraz tak daleko, że autor nie daje melodyi wybitnéj oryginalności, jaką jéj dać umiał tyle razy, że melodya zanucona sama bez przygrywki, tém więcéj bez znajomości textu, nie uwydatni charakteru, jaki z tego trojga razem powstanie. Wprawdzie nikt w ten sposób nie sądzi, i nie powinien brać się do użycia muzyki do śpiewu przeznaczonéj; ale i to pewna, że każda część oddzielna w swój sposób do całości przykładać się winna, i sama w sobie zawiérać dowód swéj ważności. W rzadkich bardzo zdarzeniach, głos ludzki może być spędzony do podrzędnéj roli wygłaszania textu. Obok téj koniecznéj posługi, winien ile można sam wszystko zrobić, jako instrument wymowny, pełen zasobów i bezpośredni organ uczuć ludzkich; przygrywka niech dopełnia, cieniuje, wyręcza chwilowo. Gdybyśmy potrzebowali szukać dowodów w kompozytorach zagranicznych, tobyśmy wymienili najznakomitsze i głośne imiona, choć uważamy i to także, że z postępem czasu źródło pomysłów melodyjnych wysychać się zdaje w nich, a każdy stara się zastąpić ten ubytek wyrozumowaniem muzyczném. Ale po co się na

innych oglądać, gdy w licznych do śpiewu pracach samegoż p. Moniuszki, spotykamy mnóstwo miejsc dowodzących, ile melodya śpiewu jest mu ważną, gdy w tych nawet, któremi się niniejszém zajmujemy, są takie, w których żywioł melodyjny góruje do tego stopnia, że braku nieprędko obawiać się należy; tém mniéj, że łatwość z jaką p. M. swój przedmiot muzykalnie pojmuje, zdolność do charakteryzowania, łatwo mu nasuną właściwy melodyjny pomysł, byle o nim pamiętał.

Dziesiąty to już rok ubiega od czasu, jak poznawszy piérwszy Śpiewnik domowy St. Moniuszki, pospieszyliśmy donieść o nim czytelnikom Biblioteki Warszaw. (1844 t. IV). Odtąd nie było podobno roku, byśmy o pracach tego autora nie wspominali czasem kilka razy, choć skwapliwsi jesteśmy do poznania wszystkiego, co się u nas na polu muzyczném pojawia, niż do rozprawiania o tém; bo nawet samego Moniuszki prace i to nawet wydane, nie wszystkie publicznemu podaliśmy poglądowi. Zrobimy i to z czasem, boć to jest także przyjemnością roztrząsać rzeczy zacne, zawierające myśli i budzące do nich. Tymczasem czujemy wewnętrzną pociechę, żeśmy piérwsi w naszych stronach zwrócili uwagę na talent i szlachetne dążności, i może przyłożyli się cokolwiek do upowszechnienia jego płodów, choć zaiste upowszechnienie to zbyt jeszcze jest małe w stosunku do wartości. Czém się dzieje naprzykład, że u nas na koncertach piosnki Moniuszki nie posłyszy? czy dlatego, że włoskie istnieją? Ależ to cacka z małym wyjątkiem! niech się bawi komu myśl ciężarem. Kto umié zagłębić się w sztukę i zamiłowanie swoje poprzeć myślącego ducha płodem, tego użycie będzie istotniejsze i coraz się odświeżać. I samo też dzieło myślące niełatwo spowszednieje, bo przywiązuje nas wspomnieniem rozkoszy jakich nam dostarczyło; a jako głębsze i do coraz nowych prowadzące odkryć, pociąga nas obietnicą coraz nowych rozkoszy tém ponętniejszych, że jeszcze urokiem tajemnicy osłoniętych..

J. Sikorski.

Nowe wydanie Słownika języka polskiego B. S. Lindego.

Piérwsze wydanie znanego Słownika Lindego jest już zupełnie wyczerpane: egzemplarze jakie się pojedynczo pojawią, płacone są daleko wyżéj od ceny piérwiastkowéj. Już ten brak wskazywał potrzebę nowego wydania; ale każdy, kto pomyślał o niém miał przekonanie, że potrzeba Słownik ten powiększyć, zbogacić, stosownie do obecnego rozwoju i stanu literatury naszéj. W tém powiększeniu i zbogaceniu Słownika Lindego właśnie leżą wielkie trudności, które przedsiębierczych naszych księgarzy wstrzymywały.

Trudności, jakie przewidywali, nie leżały w niemożności zebrania współpracowników i redaktora, bo gdzież łatwiéj jak w Warszawie znaléźć naukowych pracowników, którzyby sumiennie wykonali to zadanie; wstrzymywał ich wielki nakład i przeciąg czasu długi, jaki był konieczny w przygotowaniu nowego wydania. Koszt obliczali od 150,000 do 200,000 zł. pol. Koszt zaś naprzód na zaliczenia przez ciąg przygotowania słownika do druku, obliczali od 40 do 60,000 zł. pol. Przestraszeni więc wielkością kapitału, który trzeba było naprzód wydać, zanim jakikolwiek okazałby się przychód z przedpłaty, odkładali zamiar na poźniéj, licząc na to, że nikt ich w tém nie uprzedzi.

Piérwsza myśl przecie co do wydania w poprawnéj i powiększonéj edycyi Słownika Lindego, wyszła z redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Zajęto się ułożeniem programu całéj pracy; okoliczności czasowe przerwały w początkach ten zamiar, który chciwie dopiéro pochwycili księgarze warszawscy. Ale i ci, jak mówiliśmy, rzecz puścili w niepamięć.

Opowiadamy rzecz jak była, nie w innym celu, jak tylko dla pokazania, że okazała się widomie potrzeba nowego wydania słownika języka polskiego. Od czasu bowiem Lindego, literatura nasza zrobiwszy olbrzymi postęp, wymagała odpowiedniego sobie słownika. Przez zgłębianie i badanie języka pokazały się niedostatki i braki już w samym Słowniku Lindego, łatwe do pojęcia temu, kto zna ogrom pracy, jaki wymagał ten słownik. Od czasu Lindego wiele odkryto dzieł i broszur starożytnéj literatury naszéj, w niektórych znalazły się wyrazy nieznane mu, lub inne nadające znanym wszechstronniejsze znaczenie. To, co dokonał sam Linde było tak wielkiém i tak trudném zadaniem, że w kraju naszym, gdy odwykniono od żelaznéj pracy i wytrwałości, powszechnym był odgłos, że Linde słownika nie pisał, tylko go znalazł po zakonie jezuickim, to znowu w jakimś klasztorze. Śmieszna ta bajeczka nie potrzebuje żadnego zbijania.

Wiadomo, że Linde pracę nad Słownikiem swoim zaczął pod okiem M. Ossolińskiego, mając otworem zasobną jego bibliotekę, która dziś mieści się w oddzielnym gmachu we Lwowie. Obecnie kurator tego zakładu hr. Dzieduszycki, łącznie z bibliotekarzem A. Bielowskim, powzięli myśl piękną wydania powiększonego Słownika Lindego, który oddawszy się innéj pracy, do wydanego żadnych poprawek ani uzupełnień nie zostawił.

Według ścisłych obliczeń, praca cała potrzebuje 6 do 9 lat czasu i około 5000 dukatów na sam druk i papiér. Aby dzieło tak ważne zrobić przystępném dla ogółu, cena nie ma być wyższa od 4 do 5 dukatów.

Zanim jednakże wydawcy przystąpili do rzeczy, przedewszystkiém powodowani sumiennem przekonaniem, szanując prawo własności literackiéj, zgłosili się do pozostałéj rodziny ś. p. S. B. Lindego, ofiarując 100 egzemplarzy nowego słownika z żądaniem, aby, jakkolwiek ten nie będzie prostym przedrukiem, mogli od

niéj otrzymać pozwolenie nowego wydania, gdyż imię Lindego zawsze na czele umieścić zamierzają. Rodzina ś. p. Lindego nietylko ochotnie przyjęła podane sobie warunki, ale pomnąc na to, że zgasły autor Słownika polskiego, pod okiem M. Ossolińskiego rozpoczął to ogromne dzieło i czerpał z jego bogatéj biblioteki obfitą pomoc; bacząc, że podejmuje drugie wydanie słownika zakład tegoż Ossolińskiego własnemi funduszami: ofiarowała bez żadnego wynagrodzenia pozostałe przygotowawcze rękopisma ś. p. Lindego do słownika porównawczego narzeczy słowiańskich, nad którym dwanaście lat ostatnich życia pracował.

Tak więc prawo własności rodzina ś. p. Lindego przelała na Zakład imienia Ossolińskich we Lwowie.

Nie wątpimy, że wydawcy przejmą się ważnością samego dzieła i zwrócą wszelkie usiłowania, aby nowe wydanie Słownika Lindego, odpowiadało wszelkim wymaganiom i potrzebom naszego okresu. Mniemamy, że odezwa z ich strony i podany plan szczegółowy, którego trzymać się w redakcyi zamierzają, byłyby konieczne, aby zyskali pomoc w zbogaceniu słownika. Pomoc ta wiele może im ulżyć pracy i skrócić nawet czas w wykończeniu.

Jakkolwiek wielkie zasoby znajdą w drukowanych dziełach, potrzebaby, aby nowy słownik powszechność obznajmił i z żywém słowem narodu. Tu mamy na myśli całą literaturę ludową, która ma wyrobiony język *rolniczy*, *flisowski*, *pszczelniczy*, *tkacki*, *myśliwski*, *bursztyniański*, *rybołowczy*, *górniczy*, i w. i. wraz z całém bogactwem prowincyonalizmów, które już się objawiają w wielu utworach literackich. Do bogactwa nowego słownika należałoby wykazanie różnicy w narzeczach języka polskiego (wielkopolski, mazowiecki, szlązki, kaszubski i ruski ludowy w starém Podlasiu, Galicyi, Wołyniu i Ukrainie); tu wniknąć powinien cały zasób znanych przysłów w wyliczonych narzeczach, których jest bardzo szczupły zbiór w Lindem. Oczywiście, że w takim planie potrzeba pomocy korrespondentów sumiennych w różnych stronach kraju i okolicach; ale ufamy z całą wiarą na doświadczeniu niewątpliwém wspartą, że znajdą się tacy, co bez widoków zapłaty, pojmując całą ważność przedsięwzięcia, z ochoczém sercem wezmą współudział w poczciwéj pracy.

K. W. W.

Zakłady ku ulżeniu cierpieniom bliźnich, obecnie w Krakowie istniejące; z krótką wzmianką o dawniejszych a dziś nieistniejących instytucyach tego rodzaju. Kraków, czcionkami Czasu przy ulicy Szczepańskiéj. 1852. 8*ka. Str.* 365.

W roku zeszłym, p. Józef Głębocki wydał w Krakowie dzieło pod powyższym tytułem. Jest ono, jak sam wyznaje we wstępie, uzu-

pełnieniem szczegółów opisu Krakowa, które Ambroży Grabowski pominął, a Józef Mączyński niezupełnie wyczerpał.

Praca ta na chlubną zasługuje wzmiankę tak pod względem obrobienia swego, jak i poczciwéj myśli, kierującéj jéj wykonaniem. Nie możemy się tu wdawać w szczegółowy rozbiór rzeczy należycie opracowanéj, ani podawać wszystkich, choćby główniejszych tylko, liczb i dat statystycznych w administracyi ekonomii funduszów, urządzenia wewnętrznego i składu urzędniczego każdego z wymienionych zakładów; ciekawych, do dzieła p. Głębockiego odsyłamy, gdzie ścisły wywód, któremu zdrowy sąd, miłość przedmiotu, duch krytyczny i wyższy pogląd towarzyszą, poparty różnemi historycznemi dowodami z właściwych źródeł czerpanemi, nic nie pozostawia do życzenia. Przestaniemy tylko na samém wyliczeniu opisywanych zakładów z dodaniem uwag, jakie nam się czytającym dziełko p. Głębockiego, nasunęły.

Zakłady opisywane, w dwóch zamknięte są oddziałach: Iszy zawiera opis istotnych zakładów dobroczynnych; 2gi mówi o szpitalach.

Zacznijmy od ostatnich. Szpitalów w Krakowie jest obecnie 5: Iszy szpital św. Łazarza właściwie główny i ogólny szpital krajowy, a w szczególności szpital dla chorób wewnętrznych, zewnętrznych, tudzież dla położnic i podrzutków; 2gi szpital starozakonnych; 3ci szpital św. Ducha dla chorych wenerycznych i obłąkanych; 4ty szpital Bonifratrów czyli Braci miłosierdzia; 5ty zakład kliniczno-akademicki. Do tych przydać należy szpitale dodatkowo otwierane, np. dla cholerycznych, gorączkowych i t. d.

Zakładów dobroczynnych, mających na celu niesienie pomocy podupadłym majątkowo jest nateraz 11cie, a mianowicie: 1) Arcybractwo miłosierdzia i banku pobożnego (fundacyi jeszcze Piotra Skargi), z przeznaczeniem wspierania wstydzących się żebrać. 2) Towarzystwo dobroczynności, niejako dopełnienie zamiarów arcybractwa z kierunkiem pielęgnowania niedołężnéj starości, kalek i sierot. 3) Ogólny dom zarobku i pracy przymusowéj z celem zapobiegania włóczęgostwu i oszustwu, zmyślającemu nędzę a niechcącemu pracować. 4) Domy ochrony dla małych dzieci z celem wiadomym: dopełnienia systemu wychowania dzieci ubogich rodziców niemogących wywiązywać się z opieki rodzicielskiéj dla niemożności rozciągania nad niemi nadzoru, i konieczności zdawania swego potomstwa na łaskę przypadku. 5) Ochronka dla dzieci starozakonnych. 6) Zakład moralnie zaniedbanych chłopców, końcem poprawy moralnéj i wychowania do pewnego zawodu w życiu uliczników, których dla wieku już posuniętego do zakładu sierot przyjąć nie można było. 7) Dom schronienia dla dziewcząt, przyjmowanych od 6ciu do 12stu lat, aby je przysposobić do różnego rodzaju robót kobiecych i należytego gospodarstwa domowego, i wychować na służące do zamożniejszych domów. 8) Zakład szwaczek dorosłych dla dawania sposobności do pracy i zarobkowania dziewczętom niemogącym takowéj wynaléźć. 9) Sklep ubogich, gdzie nabywa się i pozbywa z małą korzyścią różnych przedmiotów wyrobionych przez ubogich. 10) Kassa oszczędności. 11) Bursy

na mieszkanie dla ubogiéj uczącéj się młodzieży. Prócz tego są jeszcze parafialne zakłady: Św. Floryana, Św. Piotra i Panny Maryi dla starców i niedołężnych; zapisy dobroczynne kapituły krakowskiéj, i różne specyalne fundusze w celu wspierania uczącéj się młodzieży, jakoto: Borkarne, Raciborne, pod zarządem władzy szkolnéj, tudzież prywatne, pod zarządem rodziny Hallerów zostające.

Widzimy z tego, iż na miasto nieliczące nad 50,000 mieszkańców, pozbawione wszelkich prawie źródeł dochodów, tylą ścieśnione potrzebami; na miasto ani handlowe, ani przemysłowe, i tylko samą prawie tradycyą swojéj starożytności żyjące: zakładów dobroczynnych nie jest wcale zamało. Cześć ztąd głęboka poczciwym Krakowianom, spieszącym skwapliwie na pomoc cierpiącéj braci. Cześć dobroczynnym bogaczom, obudzającym swoją dobroczynnością w podźwignionych z nędzy, a doszłych do pewnéj zamożności, uczucie wdzięczności i składających z lichwą odebrane niegdyś przez nich wsparcie do funduszów, z których je czerpali! Dzieło p. Głębockiego uwiecznia ich imiona, robi je historycznemi i to w najpiękniejszej widowni świata, bo w widowni serca, które także jest czemsiś na wadze życia ludzkości. Wskazuje w niém p. Głębocki, co zdziałano w Krakowie małemi środkami, więc coby można zdziałać i gdzieindziéj przy większych zasobach; łatwy ztąd zrobić wniosek, gdyby zważano na postęp cywilizacyi, podniesioną drażliwość uczucia honoru, rany czasowe z konieczności położenia towarzyskiego pootwierane, potrzeby rozmaite wieku i tysiące nowych warunków życia dawniéj nieznanych.

W epoce naszéj, gdzie wielka część ludzi choruje na odrętwienie woli, gdzie wielu uskarża się na brak obrębu działania, z powodu, że nie ma potrzeby pracować dla chleba; w epoce, gdzie świat znużony *gonieniem za myślą, znużony bezwierstwem lub formalizmem religijném zrażony, szuka treści dla ducha i uspokojenia serca*: najlepszém lekarstwem jest zakładanie i pielęgnowanie instytutów dobroczynnych. Jakże się tu nowe a obszerne pole działania przedstawia! Jakiżto rozległy świat odkryć, podbojów: ale podbojów miłości!. Ubóstwo, choroba, kalectwo, demoralizacya, ciemnota, zły smak mogą się stać przedmiotem osobnéj troskliwości i pamięci. Okazywanie poprostu litości nad chorym, któremu potrzeba lekarstwa, nie uzdrawia chorego. Wspieranie datkiem choćby nawet i znaczniejszym cierpiącego, niewiele pomaga; najczęściéj może dostają go tacy, co tego nie warci lub nie potrzebują: instytucye dobroczynne jako osoby moralne są najlepszym do tego środkiem, pewniejszém, niezmieniającém miejsca i dostępniejszém są źródłem dla wielu, których uczucia nie tak dotkliwie rani potrzeba wzywania o pomoc. Instytucye dobroczynne są rodzajem powszechnego rezerwoaru dobroczynności i dopełnieniem zamiarów czynnéj Opatrzności, która dopuszczając różnorodnéj niedoli, zostawia pole zasługi i heroizmu cnocie miłości. Do nich to jest przywiązane, że podając rękę prawdziwie cierpiącym nie demoralizują nikogo, nie odejmują chęci do pracy i starania się na swoję rękę o siebie, ale podają pomoc upadającym i dźwigają ich

z upadku, aby o swoich siłach własnych mogli kroczyć dalej i nie stali się ciężarem dla społeczności. Im więcéj takich instytucyj będzie, tém zdrowszém moralnie społeczeństwo zostanie.

A. K.

Mappa Królestwa Polskiego, obejmująca wszystkie miasta ze statystyką, wsi znaczniejsze, miejsca fabryczne i trakty pocztowe, podług najnowszych urządzeń ułożona i wydana przez Józefa Herkner. 1853 *r.*

Trudno uwierzyć, ażeby wydawca wiadomości do ułożenia mappy potrzebne, z najlepszych a wiarogodnych czerpał źródeł; znajdujemy bowiem na téj mappie oznaczone jako drogi bite, trakt z Warszawy przez Nadarzyn do Mszczonowa, na którym dotąd zaledwie dwie wiorsty wyszabrowano, i trakt z Włocławka przez Nieszawę do granicy Królestwa, gdzie się dotąd tylko pięć wiorst ukończonéj drogi lichéj znajduje. Nie wykazano zaś 29 wiorst drogi bitéj, wybudowanéj w kierunku z Przyborowic przez Nasielsk do Pułtuska, oraz takiéjże drogi między miastami Opatowem i Ostrowem urządzonéj; a opuszczono zupełnie trakt od stacyi drogi żelaznéj w Rokicinach przez Ujazd do m. Tomaszowa Mazowieckiego prowadzący, na którym nawet przeszło 10 wiorst drogi bitéj jest już wybudowanéj i t. p.

Samo wreszcie oznaczenie dróg bitych w taki sposób, jak gdyby te w całéj swéj długości drzewami były wysadzone, nie zdaje się być trafném: bo przy drobnéj podziałce mappy wpływa to tylko na większe zagmatwanie przedmiotów.

Nie posiadamy już obecnie do powszechnego użycia dokładnéj mappy Królestwa. Dawniéj wydane, skutkiem nastąpionych zmian o wiele różnią się od dzisiejszego stanu rzeczy; nowsze zrysowane na zbyt drobną podziałkę, dają zaledwie ogólne wyobrażenie o położeniu kraju, i jego wewnętrznych podziałach.

Mamy jednak niezaprzeczone prawo domagać się, ażeby wydawcy podobnych mapp, zamiast nowych odbić będących poprostu zmniejszeniem lub powiększeniem dawnych niedokładnych wydań, różnych między sobą tylko zewnętrznemi upiększeniami, dali nam raz przecie mappę kraju do istotnego mogącą posłużyć użytku.

J.

ROZMAITOŚCI.

Andrzej Lisiecki.

(Przypis do artykułu p. Seweryna Gołębiowskiego, zamieszczonego w Bibliotece Warszawskiéj za miesiąc marzec r. b.).

Od niejakiego czasu jakaś gorączka, usprawiedliwiona zresztą, pchnęła nas silnie do badań nad życiem zmarłych pokoleń: wskrzeszamy teraz obrazy pleśnią wieków przykryte, obrazy nierzadko błyszczące prawdziwą poezyą; grzebiemy pośród rozwalin i zgliszczów, a historyka widzimy nieraz jak mozoląc się śród stosu ksiąg zapylonych, niby mól jaki, z całym zapałem, namiętnością i zamiłowaniem oddaje się zmudnemu zajęciu. Zdarzy mu się naprzykład, że znajdzie jaką datę nieznaną, czasem nawet jaki barwny ustęp z przeszłości zrysuje się w jego umyśle w całéj świeżości i pełni życia: wtedyto cieszy się badacz, że znalazł nowość, że martwemu rękopismowi, co lada chwila miał pójść na pastwę zniszczenia, wydarł chociaż jeden rys zajmujący, że przecież nużąca praca przyniosła jaki taki owoc. I pieści się on wtedy swém odkryciem; a jak malarz-artysta z zniszczonego obrazu mistrza, stara się odgadnąć pierwotną myśl jego twórcy: tak i historyk szuka wszędy, w najdrobniejszym nawet szczegółku, tego, coby mu mogło uwydatnić fakt jaki lub też czasy, któreby chciał poznać a duchem swym przejrzéć. Z konieczności zatapia się on na czas pewien w szczegółkach.

Nie dziwią nas zatém te liczne drobiazgowe badania zwykłe ludzi, którzy *con-amore* zajmują się przedmiotem. Badania drobiazgowe są nawet potrzebne, powiemy owszem,—konieczne. Prawda, że daleko nam miléj spotkać się z całością artystyczną: aleć ta całość dopiéro z cząstek może być zbudowaną; dlatego nie pojmujemy tych, co gwałtem domagają się, abyśmy przed niewodem ryby łowili. Całości można tylko wyjątkowo żądać, tam mianowicie, gdzie niewielka już pozostaje nadzieja odszukania czegoskolwiek; albo tam także, gdzie nagromadzono już znaczną ilość materyału, z którego da się coś jako-tako odtworzyć.

Zbierając więc materyały i cząstkowo je obrabiając, chociaż opoźniamy się nieco, zda nam się jednak, że właściwą idziemy drogą. Dowodem tego świetne odkrycia, co jakby na zaklęcie wskrzeszają z martwych ubiegłe czasy; dowodem ogłoszenie takich nieoszacowanych Commendonich, Maszkiewiczów, Pasków, Kitowiczów, dyplomataryuszów i innych pism. Widocznie toruje się powoli droga dla talentu połączonego z pracą.

Ale nam o to głównie idzie, że to nasze tak zwykle utrudzające i mozolne ślęczenie, nieraz doprawdy jest zbytecznem. Kiedy zbieramy materyał, kiedy ślęcząc nad pargaminem, foliałem lub broszurą, staramy się wniknąć w zagadkowe dla nas czasy: powinniśmy pamiętać, że i przed nami byli ludzie, co się tym samym trudnili przedmiotem, dla których dzieje były również zajęciem i rozrywką, rozwiązywanie miejsc ciemnych w historyi zabawą; i oni podobnie jak i my ślęczeli, pracowali w pocie czoła, a pozostałość po nich może być wielce szacowną, a może nawet szacowniejszą, niźli niektóre nasze niezawsze fortunne poszukiwania. Było niemało tych pracowników, tak, że w wielu razach potrzeba tylko sięgnąć ręką po te ich prace, a przez pół umniejszymy sobie mozołu. Pisma te jeśli nie wytrzymują dzisiejszéj krytyki, jeśli z tego powodu nie będzie można wprost z nich użytkować: toć przynajmniéj mogą posłużyć jako upragniony drogoskaz w badaniach. Niektóre i bardzo ważne dzieła tych naszych poprzedników są nawet drukowane, a jednak nie wiemy o nich; pisaliśmy w zeszłym roku o Kraszewskiego Daniela *Żywotach*, dziele prawie nieznaném, które przecież powinno było być podręcznem jużto jako materyał, już jako wskazówka przy układaniu takiéj naprzykład *Starożytnéj Polski* (1). A znowuż moc rękopismów naszych praojców spoczywa śród pyłu bibliotek; i zdaje nam się, że na te rękopisma winniśmy przedewszystkiém zwrócić naszą uwagę:—krytyczne ich wydanie jest wielce pożądaném.

Te nasze mniemania staramy się poprzeć jeszcze jednym małym przykładem. Pan Seweryn Gołębiowski, który ku pożytkowi ogółu ogłosił już kilka ważnych ustępów z dziejów, umiejętnie korzystając z nieznanych dotąd rękopismów, dał nam teraz znowuż artykuł p. n. „*Wezwanie na tron króla Henryka; opowiadanie ułożone z dyaryusza utrzymywanego przez dworzanina Andrzeja Górki kasztelana międzyrzeckiego*". Dyaryusz ten przepisany jest w rękopiśmiennem dziele p. n.: „*Fragmenta mortis Augusti et expeditio polonorum pro Henrico, Andrzeja Lissieczkiego, anno dni* 1612". Więc Andrzej Lisiecki jest jednym z takich zbieraczy na polu dziejów, spisywał co mu się nawinęło ciekawego, gromadził materyał, składał tak zwane *silva rerum*. A w artykule pana Gołębiowskiego mamy jawny dowód, że praca Lisieckiego całe przydała się; na tle fragmentów spodziewamy się, że i więcéj ułoży nam jeszcze p. Gołębiowski opowiadań równie zajmu-

(1) O *Kraszewskim Danielu* i jego dziele *Żywoty*..... patrz artykuł nasz w *Dzienniku Warszawskim* na r. 1852.

jących jak i poprzednie, bo umié on korzystać ze źródeł, rękopis zaś Lisieckiego to nowość całkiem nieznana.

Ale wiemy o innéj jeszcze pracy tegoż Lisieckiego, opisującéj czasy *Zygmunta* III (1). Rękopis był kiedyś w księgozbiorze Załuskich; gdzieby zaś dziś się znajdował, z pewnością nie wiemy. Otoż mamy znowu dzieło niemal gotowe, potrzebujące jeno przejrzenia; nawet nie żywy materyał, ale rzecz już obrobioną. Wielkąby wyświadczył przysługę ten, ktoby upowszechnił go drukiem w oryginale łacińskim, lub co lepiéj, w przekładzie polskim.

Andrzej Lisiecki h. Drya jestto postać z czasów Zygmunta III. W *Obrazie wieku Zygmunta*, właściwe naznaczył mu miejsce Siarczyński. Czém był ojciec Andrzeja, Stanisław Lisiecki, nie wiemy; może piastował jaki urząd sądowy, gdyż syn mówi o sobie, że wychowany z lat młodych przy trybunale. Andrzej jako człek świadomy praw krajowych, używany był często do posług obywatelskich (2). R. 1631 mianowany surrogatorem grodzkim kaliskim (3), a niebawem w tymże roku powołał go król Zygmunt III po Laskowskim na instygatoryą koronną (4). Umarł r. 1639, zapisawszy bibliotekę kollegium jezuickiemu w Kaliszu (5).

Pan instygator miał niezawodnie kiedyś sławę uczonego, a niedawno jeszcze Siarczyński pozostawił mu to imię człowieka nauki. Dzieło jego: *Trybunał główny koronny siedmią splendorów oświecony* (wyd. w r. 1638) (6) jawnie to okazuje, że miał wielkie pretensye do erudycyi; znajdziemy tam historyą, prawo, starożytności, nawet moralizacye i niby jakiś głębszy pogląd na rzeczy; słowem, jest tam wszystkiego potrosze. Nigdzie nie wzniósł się wyżéj nad czas, ale przeciwnie niżéj stoi od spółczesnych mu krajowych pisarzy; bardzo rzadko tylko możemy znaléźć w rozumowaniach jego nieco więcéj trafności, a i te różnorodne porozrzucane w dziele myśli nie zdaje nam się aby były jego własne, samoistne, bo zawiele pan instygator posiada erudycyi zagranicznéj. Najciekawsze ustępy w *Trybunale* Lisieckiego są te, w których autor opisuje rzecz tak, jak ją widział; słowem tam, gdzie jest prostym opowiadaczem faktów, bez dodania swych własnych niesmacznych uwag i rozumowań; dlatego rękopism Lisieckiego czasy Zygmunta IIIgo opisujący, zapewne największą będzie miał wartość zpomiędzy wszystkich dzieł jego, bo pan instygator miał wydać kilka innych jeszcze broszur; tak przynajmniéj utrzymuje Siarczyński, tylko że na Siarczyńskim nie możemy polegać, bo

(1) Wiszniewski t. I.
(2) O tém w Metr. kor. nr. 162 fol. 51 i 328 nr. 170 fol. 589.
(3) Metryka koronna nr. 178 fol. 350.
(4) (Tamże) nr. 178 fol. 384.
(5) Niesiecki wyd. Bobr. t. VI str. 131.
(6) Napis zupełny taki: „Trybunał główny koronny siedmią splendorów oświecony przez Andrzeja Lisieckiego instygatora koronnego, roku Pańskiego 1638 do druku podany (z godłem): Non judices contra judicem: quoniam secundum quod justum est judicat. (Ecclesias. 8,17) W Krakowie, w drukarni Franciszka Cezarego" (folio).

co chwila łapiemy go na rażących pomyłkach. I tu np. kazał mu być autorem rymu: *Łódka kościoła katolickiego rzymskiego błędy kacerzów ukazująca* (Krak. 1613), gdy tymczasem napisał go nie nasz Andrzéj Lisiecki, ale Andrzéj *Liszewski*. Zrzucamy więc z poczciwego instygatora zarzut, że kuł kiedyś wiersze.

Lisiecki na prawdziwą zasłużył sobie wdzięczność za swój *Trybunał*. Że zaś zpomiędzy pra c pana instygatora znamy tylko to jedno pismo, a więc o niém choć słów kilka.

Przypisał *Trybunał* królowi Władysławowi IVu, a przedmowa datowana ze wsi Kiszów (1).

Mówi że „.....trybunał koronny polski obroną uciśnionych i wymierzaną im jaśnieje sprawiedliwością, którato jasność przeszedłszy od króla do trybunalskich deputatów, na wspaniałym animuszu i doświadczonym ich polega rozumie, broniąc czterech najdroższych szlachty klejnotów: zdrowia, majątku, nieskazitelności i poczciwości obyczajów dobrych, i przestrzegając tego, ażeby zawsze zostawały w całości, niczém skażone nie będąc. Tym końcem strzeże, aby i to także nie poniosło żadnego szwanku, co trybunału godność utrzymuje nienaruszoną, pilnie doglądając przysiąg, jako najgłówniejszego dowodu popierania praw w sądzie, tudzież nic nie mitrężąc napróżno czasu poświęconego na odbywanie się sądowych posiedzeń“ Dobre ma chęci pan instygator; sam prawy i dlatego chciałby wszystkich widzieć równie prawemi; pisał, jakim powinien być deputat, więc tworzył ideały sędziów, więc rozbiérał ich postępowanie obecne, a ztąd zaczepiał w opisach o swe czasy, napomykał o niedawno minionéj przeszłości trybunału, zasięgał początków jego ustanowienia. I, rzecz dziwna! to co powiedział Lisiecki o czasach Zygmunta IIIgo i Władysława IV, znajdujemy we wszystkich pismach mówiących o trybunale aż do ostatnich lat panowania Poniatowskiego. Szczególna to zgodność, prowadząca wprost do wniosku, że w trybunale przez cały przeciąg półtora wieku prawie nic się nie zmieniło; że to, co się działo za Zygmunta IIIgo, pomimo nowych praw i ludzi z innemi pojęciami, pozostało jednostajném aż do ostatnich chwil Rzplitéj, tak, że kreślić charakterystykę jednéj epoki trybunału, jestto niemal toż samo, co opisywać całą jego przeszłość.

Pan instygator mówiąc publicznie o stanie sądownictwa w Polsce przed ustanowieniem trybunałów, utrzymuje *a priori*, że ten stan był smutny; dlatego najwyższy parlament Rzplitéj, (jak zwali czasami spółczesni trybunał) uważa jako instytucyą wielce pożyteczną; ztąd o założycielu jéj królu Stef. Batorym mówi z całém uwielbieniem, że on „w Rzplitéj większy niźli król, w sentencyi większy niż senator, w sądach większy niż juris consult; w kościele większy niż kapłan, w wojsku większy niż hetman, a we wszystkiém życiu swém większy niż filozof“ (str. 33). Trybunał zaś ustanowiony przez Stefana, jest według niego: „nakształt areopagu ateńskiego sprawiedliwy, nakształt senatu Romulusowego ojcowski, nakształt francuzkiego parlamentu poważny,

(1) *Kiszowy* w wiwie kalis peie koniuskim.

kształt onego starozakonnego sądu pobożny" (str. 36). „Na sądy, mówi, mają być obierani nie lekkomyślni gołowąsowie, których obyczaje bywają płoche i zmienne, nie pędziwiatrowie ustawiczni, którzy w sądzie dosiedzieć i sprawy poważnie wysłuchać nie mogą, nie piórkowscy, u których w głowie tak wiele próżnego wiatru, jako wiele piór za czapką, nie owi też nieunoszeni dzieciuchowie, którzy laty i obyczajami więcéj poważnemu sądowi hańby czynią, niżeli w uważaniu rzeczy sądowi należących pomocy dawają, nie owi też nowicyuszowie, których miasto szkoły, do izby trybunalskiéj posyłają, którzy gdy się uczą, sprawy ludzkie gubią" (str. 55); ale żąda męża dojrzałego, roztropnego, bogobojnego i cnotliwego (*nb.* że cnota deputata na ostrożnościach w rzeczach honorowi szlacheckiemu należących, zawisła) (str. 61); potrzebna jest deputatowi znajomość statutów, konstytucyj, zwyczajów, processus et stili (str. 67). „Niechaj tylko bankietów nie pilnują, a niechaj się nie dadzą pańskiemi poléwkami zaléwać" (str. 71).

Przestaniemy na tych kilku wyjątkach, a o dziele to jeszcze powiemy, że formą nieznośne, zwyczajnie jak większa część spółczesnych mu; ale za to dla treści, dla rozproszonych szczegółków i ciekawych anegdot, może się wielce przydać temu, ktoby chciał pisać o najwyższym areopagu dawnéj Polski.

Lisiecki oświecił trybunał siedmią splendorami; Franciszek Lewalt Powalski wydał w r. 1669 ósmy splendor, jakby dopełniając pracę Lisieckiego (1). Powstaje w nim przeciwko nadużyciom palestry. A powód do wydania ósmego splendoru, był taki: „Wielu widząc się ciężko skrzywdzonemi od panów jurystów trybunalskich i widząc mnie także podobnież napastowanego, molestowali mnie prożbami swojemi, abym był przeciwko przewrotnéj palestrze i podniósł głos do trybunału o ulepszenie professyi procuratorów (causarum)".... Do czytelnika mówi: „Ty przydaj więcéj i popraw lepiéj, mnie zaś racz przebaczyć, żem nie więcéj przyniósł ojczyznie, niżelim zdołał; ale i to com przyniósł..... racz wyższego rozsądku swego dexternitate cribare."

Kiedyś i o Powalskim będziemy może mieli sposobność powiedzenia kilku słów więcéj; bo byłto prawy i rozsądny obywatel, godny poczciwego wspomnienia.

D. 14 marca, 1853 r. *Władysław Wieczorkowski.*

(1) „Ósmy splendor Jaśnie Oświeconego Trybunału głównego koronnego albo process sprawy względem poprawienia professyi pp. Jurystów Trybunalskich. Astraciey polskiey w sądach tegoż Trybunału zasiadającey, za prezent oddany przez urodzonego Franciszka Lewalta Powalskiego, komornika Granicznego Podolskiego, dworzanina pokoiowego Jego Kr. Mości. Przydane są do tegoż niektóre do Exorbitancyi i do potomnéj elekcyi Króla Considerationes (z godłem) Ipsa sibi Virtus dum caret auxilio. W Gdańsku drukowano przez Dawida Friderücha Rheta. Anno MDCLXIX" 4ka.

Sprostowanie opisu dóbr po-jezuickich Kobełka z przyległościami.

Kalendarz popularno-naukowy pana Józefa Unger z upłynionego 1852 r., zawiera opis wsi po-jezuickiéj Kobyłka w okręgu stanisławowskim dwie mile za Pragą położonéj, podany przez pana Juliana Bartoszewicza. Autorowi tego artykułu należy się wdzięczność za jego napisanie, bo uczynił to w tym celu, aby pamiątki, które mogą być materyałami do pomnika historycznego świątyń Pańskich, w pomroce czasów nie poszły w zapomnienie.

Aby jednak każdy opis do wiadomości publicznéj podany, zawierał w sobie prawdę: winienem sprostować to, co mylnie w rzeczonym opisie zostało zamieszczone. W tym celu przytaczam:

1) Opisana wieś mylnie została nazwaną *Kobyłką*. Jéj prawdziwe nazwisko jest *Kobełka*, dawnemi urzędowemi aktami stwierdzone, i tylko z powodu łatwiejszego wymawiania Kobyłka przez gmin zostawszy zamienioném, weszło niewłaściwie w użycie.

2) Podany za właściciela zmarły sławnéj pamięci Paschalis Jakóbowicz, nigdy nim nie był; prawda jest, że w niéj miał fabrykę pasów litych staro-polskich, przy któréj znajdował się znakomity ogród obfitujący w hodowane wino, co wszystko w czasie wojny przy schyłku dawniejszego rządu polskiego zniszczoném zostało. Nie jest mi wprawdzie wiadomo, jakie zaszły umowy między nim, a właścicielem hrabią Unrug pod względem téj fabryki; ale to jest rzeczą niezawodną, dokumentami na gruncie tych dóbr znajdującemi się stwierdzoną, że najpiérwszy dobrami temi obdarowany książę Sułkowski przedał je Unrugowi staroście hamersztyńskiemu, po którym odziedziczył je syn jego w Kargowie mieszkający, i przedał je generałowi Rautenstrauch, od tego zaś prawo wieczysto-dziedzicznego dóbr tych posiadania przeszło na osobę moję.

3) Twierdzenie pana Bartoszewicza „że niegdy ksiądz Marcin Załuski biskup, fundator miejscowego kościoła, zdobył się na ten pobożny koncept, żeby miéć ryby gotowe na każdy post, i że istotnie znajdowała się sadzawka na zewnętrznych szczytach świątyni, gdzie był dach płaski i ocembrowany jak studnia, i że woda spuszczała się do tego miejsca umyślnie sporządzonemi rurami (*chyba z obłoków*) a ryby złapane w rzece puszczano do téj sadzawki, w któréj się mnożyły, i rosły": to mówię twierdzenie dosłownie tu wypisane, jest bajeczką przez wiejskie niewiasty skomponowaną, a przez gmin w obieg puszczoną.

W Kobełce nie znajduje się żadna rzeka; jest tylko mały stawek, ani przypływu ani odpływu widocznego niemający, a ten od szczytów kościoła niższy jest o trzydzieści kilka łokci. Z tego stawku woda nie mogła być inaczéj przenoszona na dach wysokiego kościoła, jak tylko przez pompy, na kilkadziesiąt łokci wysokie, których tu nigdy nie było, bo ani śladu nie ma bytności takowego olbrzymiego przyrządu, ani dogodnego do tego celu miejsca spostrzedz nie można. Gdyby wo-

na tak wysoko na kościół pompowaną być mogła, to musiałby być rezerwoar miedziany, bo ocembrowanie czyto z drzewa, czy z muru, nie potrafiłoby utrzymać wody tak, iżby nie przesiąkała. Zresztą na zbicie powyższéj bajeczki dość jest przytoczyć tu, że woda ciągle stojąca i od saméj atmosfery psująca się, niemająca ciągłego przypływu i odpływu dla odświeżania jéj, nie jest zdolną utrzymać ryby przy życiu; aby zaś ryba (jak to autor twierdzi) jeszcze rosnąć i mnożyć się mogła, potrzeba do tego wielu warunków, a szczególniéj potrzebuje mieć pożywienie na dnie, świeżą wodą zasilane, któregoby dno metalowego rezerwoaru w żaden sposób dostarczać nie mogło.

Wincenty Matuszewski.

Miesiąc marzec r. b. uważany pod względem stanu powietrza.

Marzec r. b. ze względu szczególnego stanu powietrza, tak dla znacznych mrozów jako też i obfitych śniegów, zasługuje na bliższą uwagę i porównanie ze stanem w innych latach. Podług prawidła przyjętego przez meteorologów, miesiące: grudzień, styczeń, luty, należą do zimowych; marzec, kwiecień, maj do wiosennych i t. d. W roku bieżącym marzec a nawet piérwsza połowa kwietnia, stanowiły u nas właściwą porę zimową, a to z przyczyny znacznych mrozów i obfitych śniegów. W stanie normalnym średnia temperatura marca wynosi u nas + 0,47 stop. R.; w roku bieżącym taż temperatura wynosiła — 2,75 stopni R., a zatém była niższą o 3,22 stopni R. od normalnéj. Największe ciepło dochodziło + 6,8 stop. R. d. 2 po południu; największe zimno — 14,8 stop. R. d. 27 i 29 zrana. Piérwsze dwanaście dni były niezbyt zimne, następne dziewiętnaście mroźne, osobliwie cztery dni: 26, 27, 28, 29 między pełnią a ostatnią kwadrą księżyca. Porównanie marca z zimowemi miesiącami, pokazuje znaczne różnice, jakoż:

Temperatura normalna z 27 lat		średnia	różnica.
Grudnia	— 1°.91 R.	w r. 1852 + 1°.54 R.	cieplejszy o 3°.45 R.
Stycznia.	— 4.51 „	w r. 1853 — 0.93 „	cieplejszy o 3.58 „
Lutego	— 2.38 „	w r. 1853 — 2.58 „	zimniejszy o 0.20 „
Marca.	+ 0.47 „	w r. 1853 — 2.75 „	zimniejszy o 3.22 „

Średnia temperatura upłynionéj zimy, jest — 0.66 stopni R., to jest wyższa o 2.27 stop. R. od normalnéj. Widzimy z tego, iż początek zimy był niezwykle łagodny i ciepły, gdyż grudzień r. z. i styczeń r. b. były o 3,5 stop. R. cieplejsze; przeciwnie luty o 0,20 stop. R., a marzec o 3.22 stop. R. zimniejszy niż zwykle. Również powyższe liczby okazują, iż marzec r. b. był zimniejszy o 4.29 stop. R. od grudnia r. z., o 1.82 stop. R. od stycznia, a o 0.17 stop. R. od lutego r. b., co jest przeciw zwykłemu postępowi temperatury rocznéj.

Dla porównania temperatury marca, podajemy tu dwie tabelki, przedstawiające w różnych latach stan najzimniejszy i najcieplejszy tego miesiąca.

Marzec najzimniejszy.

W roku	Średnia temperatura miesięczna	Największe ciepło	Dnia	Największe zimno	Dnia	Uwaga.
1785	—5°.00 R.	+ 4°.0 R.	10	—17°.0 R.	12	Z dostrzeżeń ks. Bystrzyckiego na zamku.
1789	—4. 33 „	+ 5. 0 „	17	—15. 5 „	5	
1796	—3. 50 „	+ 5. 0 „	17	—14. 5 „	4	
1799	—3. 00 „	+ 3. 0 „	15	— 8. 5 „	30	
1804	—2. 30 „	+10. 0 „	28	—14. 0 „	22, 23	Z dostrzeżeń Magiera przy ulicy Piwnéj.
1808	—5. 64 „	+ 0. 0 „	12, 13, 14	—22. 0 „	1	
1809	—2. 33 „	+ 5. 0 „	8, 31	—12. 0 „	25	
1821	—3. 00 „	+ 9. 0 „	18, 29, 30, 31	—22. 0 „	5	
1825	—3. 33 „	+ 8. 0 „	25	—13. 0 „	14	
1839	—2. 63 „	+ 6. 3 „	24	—12. 6 „	6	Z dostrzeżeń w Obserwatoryum Astronomicznem.
1840	—2. 34 „	+ 3. 5 „	31	—12. 6 „	1	
1845	—5. 48 „	+ 3. 0 „	27	—16. 5 „	13	
1853	—2. 75 „	+ 6. 8 „	2	—14. 8 „	27, 29	

Marzec najcieplejszy.

W roku	Średnia temperatura miesięczna	Największe ciepło	Dnia	Największe zimno	Dnia	Uwaga.
1779	+3°.00 R.	+12°.5 R.	28	— 7°.3 R.	5	Z dostrzeżeń ks. Bystrzyckiego na zamku.
1780	+3. 33 „	+12. 8 „	30	— 4. 2 „	26	
1794	+2. 83 „	+12. 5 „	20	— 7. 3 „	1	
1798	+2. 17 „	+10. 0 „	18	— 3. 5 „	13	
1818	+2. 17 „	+12. 0 „	6	— 5. 0 „	16	Z dostrzeżeń Magiera przy ulicy Piwnéj.
1822	+3. 00 „	+13. 0 „	17, 24	— 4. 0 „	13, 14, 15	
1826	+1. 51 „	+ 9. 7 „	29	— 4. 0 „	19	
1827	+2. 44 „	+13. 0 „	29	— 5. 7 „	17	Z dostrzeżeń w Obserwatoryum Astronomicznem.
1828	+1. 95 „	+ 9. 3 „	30	— 6. 4 „	5	
1835	+1. 70 „	+ 9. 4 „	31	— 4. 9 „	29	
1836	+6. 26 „	+16. 4 „	24	— 0. 3 „	28	
1846	+3. 86 „	+10. 0 „	18	— 1. 2 „	1	
1848	+3. 10 „	+11. 2 „	31	— 2 8 „	9	

Z tego widzimy, iż najzimniejszy marzec był w latach: 1785, 1808, 1845; najcieplejszy w r. 1836. Różnica między stanem najzimniejszym w r. 1808 a najcieplejszym w r. 1836 wynosi 11.9 stop. R.

W roku bieżącym marzec, pod względem temperatury, zbliżał się do stanu w latach: 1804, 1809, 1839, 1840. A lubo w ogóle były lata w których mrozy w marcu dochodziły aż do — 22 stop. R., jak w roku 1808 d. 1, 1821 d. 5; jednakże mrozu blizko 15 stop. R. dochodzącego, jak w ostatnich sześciu dniach marca r. b., żaden rok lat poprzednich nie przedstawia.

Co do ilości śniegów, tych spadło w r. b. taka massa, że ilość wody z nich wynosi co do wysokości 26, 91 lin. par., to jest trzy razy więcéj niż zwykle.

Stan atmosfery pod względem ciśnienia wskazanego barometrem, podlegał częstym zmianom, osobliwie podczas zadymek śnieżnych. Średnia wysokość barometru miesięczna wynosi 27 cali 8.59 lin. par., wyższa o 0.59 lin. par. od normalnéj.

Największa zmiana dzienna barometru wynosiła 5.71 lin. par. d. 25 na 26 z rana. Najwyżéj barometr stał w dwóch dniach: 9, 10, po nowiu księżyca przy wietrze wschodnim i północno-wschodnim; najniżéj d. 24 i 25 koło pełni księżyca, w czasie padających śniegów.

Pod względem hygrometrycznym marzec r. b. był wilgotniejszy niż zwykle. Średnia jego wilgotność wynosi 92.5 na 100, tojest większa o 5 setnych od normalnéj.

Co do stanu nieba, ten był mniéj pogodny niż zwykle. Dni pogodnych było 5; napół pogodnych 6, pochmurnych 20. W stanie normalnym stosunek tych dni jest jak 4,4;9,2; 17,4. Dni śniegu było 11, deszczu ze śniegiem 3, gradu 1, mgły 2, wiatrów mocnych 5, tojest: północno-wschodnich 3, północnych 2; wiatr panujący, który był główną przyczyną mroźnego stanu powietrza, był północno-wschodni, częste były wszakże i zachodnie. Śniegi najczęściéj i najobficiéj padały w dziesięciu dniach od d. 16 do 26, przy wiatrach północno-wschodnich i północno-zachodnich, co się rzadko trafia. Zadymki śnieżne były także częste, największe dnia 17 i 24; najdłużéj zaś trwały d. 20 i 21: śnieg bowiem począwszy od. d. 20 godziny 12 w południe, prawie bez przerwy padał do d. 22 godziny 8 z rana. Ilość wody ze śniegu z tych dwóch dni, wyrównywa ilości całomiesięcznéj wody w stanie normalnym. Elektryczność atmosferyczna po spadłych śniegach, przy znacznych mrozach, pogodnéu niebie i spokojném powietrzu, osobliwie w dniach 29 i 31 była bardzo silna, gdyż elektrometr pokazywał 50 stopni natężenia.

Dnia 28 między godziną 8 i 9 wieczór, jaśniała słabém bladoróżowém światłem *zorza zwierzyńcowa.*

D. 9, 15, 28, 31, pokazywały się plamy na słońcu.

Dnia 7 o godzinie 4½ z południa ruszyły lody na Wiśle pod Warszawą powyżéj mostu, przy wysokości wody 14 stóp 2 cale.

J. B.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Teorye wirowania stolików.

Chociaż wirowanie stolików nie może być zaliczoném do doświadczeń czysto naukowych; jednakże mając to na uwadze, że niektórzy wyjaśnienie tego powszechnie dziś znanego fenomenu, oparli na zasadach czerpanych z fizyki: zamierzyliśmy i w naszéj kronice dać krótką wiadomość o tém dziwném zjawisku. Zresztą, pismo mające odbijać ruch umysłowy naszéj miejscowości, winno zawiérać ślad o fenomenie, który przez pewien czas wyłącznie zajmował naszę społeczność, skierował umysły na drogę badań, tworzenia hypotez naukowych, a przez to samo, choć biernie, przekonaniem o małém upowszechnieniu nauk fizycznych w kraju naszym, przyczynił się może do ogólnego uznania ich ważności;—a i to stanowi postęp.

Doświadczenie nazwane wirowaniem stolików nie jest nowo odkryte; dawno już było znane w Europie, a jeszcze dawniéj u ludów napół dzikich Azyi. Lamy buddystów we wschodniéj Syberyi dotychczas, proszeni przez swych wyznawców o odszukanie rzeczy skradzionych lub sprawcy kradzieży, używają tego tajemniczego obracania stolików do wskazania miejsca lub kierunku, gdzie szukać zguby należy. W Europie jednak to spostrzeżenie puszczono w niepamięć. Na początku zeszłego miesiąca Augsburska gazeta umieściła nadesłaną z Bremy od Dra Andree wiadomość o obracaniu się mahoniowego stolika za przyłożeniem doń rąk kilku osób, w znanym przez wszystkich porządku. Zrazu poczytano to za nowy dziennikarski wymysł, kaczkę, i przyjęto fakt z niedowierzaniem; gdy jednak wszystkie niemal organa prasy niemieckiéj stwierdziły rzeczywistość tego zjawiska: wówczas dopiéro to niewiele warunków wymagające, a jednak tak mistyczne doświadczenie, szybko znalazło powszechny rozgłos w Niemczech. Od nich, jak zwykle, do nas się dostało. W tém przejściu pośredniczył głównie Kraków, wystąpiwszy z relacyą poparta

[illegible] wszechnicy krakowskiéj. Rzucono się więc i u nas do stolików: doświadczano, urozmaicano, bawiono się w te proby przez dni kilkanaście; w końcu znudziwszy się, zapomniano o nich, pozostawiając, jak się wyrażano, do dalszych badań „ludziom fachowym". W tym krótkim, bo zaledwie miesiąc trwającym przeciągu czasu, bardzo wiele o tém zjawisku napisano; zdawałoby się więc, że przedmiot tak szeroko traktowany musi być poznany ze znaną ścisłością i wszechstronnością, odznaczającemi badania uczonych niemieckich. Jednakże rzecz ma się przeciwnie: dziś o niém to wiemy, co przy piérwszych niemal ogłoszeniach. Zdaje się, że fakt ten podawany zrazu za pewne fizyczne doświadczenie, następnie wykrzywiony przez rozmarzony ogół, wyszedł w końcu na dziwadło, które uczeni za niegodne swych zajęć uznali.

Jakkolwiekbądź, pełniąc rolę referenta tego fenomenu, chcemy poniżéj przedstawić w krótkości wymyślane tłumaczenia, opuszczając opis samego zjawiska i jego warunków, jako wszystkim już znane. Te tłumaczenia podzielić można na: fizyczne, mechaniczne i magnetozwierzęce.

W piérwszych zaraz chwilach pojawienia się w Niemczech ruchów stolikowych, niejaki Dr. Löw (z Wiednia) wynalazł tłumaczenie na nieuzasadnioném niczém przypuszczeniu, jakoby u każdéj istoty żyjącéj, a więc i u człowieka, w skutek jakiegoś układu, z dwóch połów ciała płynęły przeciwno-imienne elektryczności; prawa połowa ma odpowiadać zynkowi, lewa miedzi. Gdy więc kilka osób na stolik lub inny przedmiot działają przez dotykanie, wtedy stolik podobnie jak żelazo, w skutek strumieni elektrycznych ma się zmieniać w magnes, i stół obdarzony biegunami magnesowemi, naokoło swéj osi obracać się będzie, póki południowa jego strona nie zwróci się ku północy. Taki ruch ma trwać ciągle, jeżeli nie nastąpi jaka zmiana w jego elektro-magnetyczném nastrojeniu.—Zbytnią zdaje się rzeczą dodawać, że autor pominąwszy już brak zasady, puszczając w świat swe tłumaczenie, nie obliczył się ze swemi fizycznemi wiadomościami.

Wkrótce potém wystąpili ojciec i syn Carus ze swemi teoryami. W. Carus syn, dla dokładnego zbadania tego wirowego biegu stolika, urządziwszy stół (3-stopowéj średnicy) lekko się obracający na słupie szklanym, otaczał go łańcuchem osób układających swe ręce w znanym porządku. Po kilku minutach (4—5) poruszał się stolik w różnych kierunkach, a to stosownie do połączenia małych palcy dwóch stykających się osób. Opierając się następnie na probie z tym stolikiem o szklanym czopie, zakwalifikował ruch stolików do dalszych badań naukowych.— Nadmienimy tu nawiasowo, że przy podobnie urządzonym nadzwyczaj lekko poruszającym się stoliku, mieliśmy sposobność w siedm osób siedzieć, jednakże nietylko po kilkunastu minutach, ale nawet po ¾-godzinném i to dwa razy powtarzaném posiedzeniu, ale przy pilnéj uwadze na nasze ręce i wsparciu ich poprzedniém na poręczach stołków, aby nie tak uległy znużeniu, nie mogliśmy go w ruch wprawić.

Carus ojciec, powtarzając probę ze stolikiem syna i otrzymawszy ruch żądany, jako tłumaczenie przywodzi, że tu zachodzi zupełnie toż samo, co w znaném doświadczeniu Pfaffa, polegającém na obracaniu się kręgu miedzianego, nurzającego część swego obwodu w merkuryuszu i ustawionego między biegunami silnego magnesu, tak, aby jeden biegun bateryi galwanicznéj dotykał się merkuryuszu, a drugi osi kręgu metalowego. Lecz że brakło strumienia galwanicznego do zupełnego zrównania stolikowego obrotu z przytoczoném doświadczeniem, Carus przyznaje jakimś strumieniom inerwacyjnym, powstającym podczas tworzenia łańcucha, rolę prądów elektrycznych, i opierając się na tém przypuszczeniu, poczytuje wpływ strumieni inerwacyjnych na obrot drewnianego kręgu za *bardzo ważny nabytek* dla fizyologii. Szanując zasługi jakie położył w anatomii Carus (ojciec), musimy jednak zaliczyć go do ideologów w fizyce. Wprawdzie elektro-magnetyzm, zjawiska elektro-magnetyczne i wzajemne działania na siebie strumieni galwanicznych, posiadają wiele doświadczeń, w których ruch magnesów, kręgów metalowych, następuje w skutek strumieni, i odwrotnie; jednakże trzeba mieć wiele imaginacyi, aby doświadczenie stolikowe przyrównać do obracania metalowych kręgów. Tu i tam jest ruch wirowy, ale tam jest magnes silny i strumień galwaniczny; tu stół drewniany, suchy, zwykle polituru powleczony i żadnego śladu prądu galwanicznego.

W powyżéj wzmiankowaném gronie z 7 osób, podczas trzymania się za ręce, probując bytności strumienia na delikatnym galwanometrze, nie znaleźliśmy żadnego śladu elektryczności; podobnie przeczący otrzymaliśmy wypadek, chcąc sprawdzić wpływ kurczenia muszkułów na wzbudzanie strumieni galwanicznych. Słowem, powyższe dwa niby elektryczne tłumaczenia poczytać należy za nieprawdopodobne analogie, za pozbawione zasady przpuszczenia.

Przystąpmy do prawdziwego tłumaczenia tego zjawiska. Piérwszy (w tych czasach) Dr. Lichtenstadt za przyczynę ruchu stolika poczytał mimowolne drgania muszkułów rąk i palcy, trzymanych przez pewien czas w niewłaściwém im położeniu.

Zdanie podobne ogłosił A. Siebert, a podobno i Hoffer w Wiedniu. Będąc sami tego przekonania jako jedynie prawdziwego, umieściliśmy dawniéj (1) tłumaczenie szczegółowe tego zjawiska, które nakształt epidemii umysłowéj przebywszy Niemcy, zatrzymało się pewien czas u nas, a dziś we Francyi swe panowanie rozpościera.

Do wykonania proby niepotrzeba warunków początkowo za niezbędne uważanych. Oprócz stolika mahoniowego, każdy stół drewniany, stołek, toaleta, talerz, kapelusz i t. d. otoczone stosowną liczbą osób, w ruch wprawione być mogą; niepotrzeba nawet robić łańcucha ciągłego przez pośrednictwo małych palcy, byle tylko osoby otaczające stół, mniéj więcéj w równych między sobą ustawiły się odstępach i ręce swe (najlepiéj) z pewną bezwładnością na przedmio-

(1) Gazeta Warszawska z d. 22 kwietnia (4 maja) 1853.

cie złożyły. Głównym motorem ruchu są tu drgania muszkułów, objawiające się zawsze gdy czynność nerwów w nich rozgałęziających się przez niewłaściwe natężenie członków ulega zmianie, osłabieniu. Zresztą o drganiu palców złożonych na stoliku świadczy każdy lekki pręcik na nich osadzony, jako też poczytywany za nadzwyczajność fakt wahania się kulki zawieszonéj na nitce i wybijającéj odpowiedzi o ściany szklanki. Te drgania muszkułów często się ponawiające, wspierane przez lekkie uderzenia krwi czuć się dające w tętnicach rozciągających się wzdłuż palcy, zrazu odbywają się nieregularnie; powoli jednak, w skutek oddziaływania znacznéj massy martwéj materyi, nastrajają się w sposób jednostajny i jakby w takt uderzają o stolik, który doświadczając tak często po sobie następujących szarpnięć, musi w końcu uledz i przyjąć ruch w pewnym kierunku. Zwykły kierunek biegu jest kutkiem mocniejszego rozwinięcia prawéj połowy ciała naszego. Zresztą ten kierunek jest jakby dowolny, gdyż zależy od silniejszego nalegania rąk. Tak np. gdy osoby bawiące się w obracanie stolika staną wszystkie na lewych nogach, ruch odbywa się i prędzéj i w lewą stronę; stając następnie na samych prawych nogach, ruch natychmiast zmienia swój kierunek. Podobny skutek sprawia zmiana połączenia małych palcy stanowiących spojenie łańcucha.

Jeżeli do tego zważymy, że ręce zwykle przy samym trzymamy obwodzie, tojest w miejscach najdogodniejszych do przyłożenia sił mających obracać stolik; że osoby winny być w równych odstępach umieszczone; że stolik nigdy odrazu w ruch nie wejdzie, lecz potrzebuje pewnego czasu dla nagromadzenia siłek poruszających: łatwiéj pojmiemy tajemniczy bieg tego sprzętu, nowém w tych czasach obdarzonego znaczeniem, bo podniesionego do roli przyrządu i organu jakiéjś tajemniczéj siły.

Pomijając tłumaczenie szczegółów dotyczących tego obrotu, bo te każdy łatwo wyprowadzić sobie może, zastanowimy się chwilowo nad podnoszeniem nóg, językiem stolikowym. Przypomnijmy sobie najprzód, że stolik jeszcze niepytany, w początkach ruchu pochyla się, jak gdyby chciał coś mówić; i tak być rzeczywiście musi, bo trudno przypuścić, aby w gronie zasiadających wszyscy jednakowo silnie ręce swe na stoliku trzymali, a więc aby każda część obwodu posiadała jednakie siły szarpiące i jednaki ciężar przyłożenia rąk. To samo dzieje się z kulką trzymaną na nitce przez kilka osób: wtedy kulka nie bieży według woli, ale w stronę z któréj działa największa z pozornie spoczywających siłek. Stolik chętniejszy jest do podnoszenia nóg gdy jest w biegu, gdy za nim zdążają osoby łańcuch tworzące, bo też wtedy i przypuścić nawet nie można, aby wszyscy pomimo chęci jednakowo go naciskali.

Dla wytłumaczenia liczby uderzeń stanowiących trafność odpowiedzi ducha stolikowego, wziąć należy na uwagę zależność naszych poruszeń od woli, któréj każdy co chwila doświadcza. Niech osoby zabawiające się w rozmowy ze stolikiem, zastanowią się tylko nad pisaniem; jak tu drobne ruchy palców posłuszne są nietylko głośno wymówionym zdaniom, ale i cichym myślom; często gdy obficie płyną

myśli, ręka zdaje się je wyprzedzać, jakby sama stawia wyrazy, rozpoczyna słowa, które następnie umysł każe jéj wykreślać. A jakże często doświadczamy pomimowolnych ruchów rąk, muszkułów twarzy i t. p. stanowiących akcyą? Czyż więc co dziwnego, że ręce znając język stolikowy odpowiadają własnym myślom lub cudzym znanym albo domniemanym? Jestto prosty fakt fizyologiczny, którego niektórzy nie są w stanie pojąć, a wielu pozostających pod urokiem nie chcą przyznać w tém łudzącém doświadczeniu, woląc zapuszczać się w przypuszczenia tajemnych związków między nami a martwą materyą.

W Niemczech tak jak i u nas wielu w tém zjawisku upatruje wpływ siły magneto-zwierzęcéj, „powszechnéj niby w naturze, potężniejszéj od elektryczności, magnetyzmu i zdolnéj nawet pokonywać działanie siły ciężkości". Za Justusem Koerner, niejaki Tesche stosując ogólne, bardzo giętkie zasady magnetyzmu zwierzęcego do powyższego zjawiska, twierdzi, że podczas trwania łańcucha osób naokoło stolika „powstają *odyczne* strumienie udzielające się drzewu w miejscach dotykania palców i nadają mu odpowiednie napięcia, które objawiają dążność do poruszenia stolika w kierunku strumieni, i że wypadkowa tych usiłowań sprowadza ostatecznie ruch wirowy". Wiele jest jeszcze innych przypuszczeń, których podawanie uznajemy za rzecz zbyteczną, jako niemających najmniejszego prawdopodobieństwa i na niczém nieuzasadnionych.

Nieraz słyszeliśmy zarzut, że magnetyzmu zwierzęcego lekceważyć nie należy, i na jego obronę przytaczają znane a dziś bardzo często powtarzane wyrazy poety: „są rzeczy na świecie" i t. d. Wielu także za powód niewiary i milczenia osób przywykłych do dokładniejszego zapatrywania się na zjawiska natury poczytują to, że ludzie którzy cały swój czas i chęci poświęcili i poświęcają naukom fizycznym, niechętnie przystają na nowość, która ma zmienić wszystkie przez wieki i gieniusze zdobyte prawdy, wzruszyć cały gmach nauki tak mozolnie wzniesiony! Ale niech raczą zwrócić uwagę w ubiegłe lata od czasu istnienia, a raczéj odżycia magnetyzmu zwierzęcego: czy znajdą choć jeden pewny fakt, który byłby zdolny zachwiać przekonanie ludzi zajmujących się umiejętnością, czy przez te ostatnie pół wieku swego żywota nauka ich jakikolwiek zrobiła postęp, jakiekolwiek odkrycie? Niech zważą, że dziś nie są średnie wieki, z których tak chętnie czerpią przykłady chwilowego uporu w przyjmowaniu nowych prawd obalających dawniejsze teorye. W naszym wieku najdrobniejsza, byle prawdopodobna myśli, przedstawiająca pole do poszukiwań, chciwie jest wydzieraną, badaną; czyż więc można przypuścić taki upor w uznaniu bytności siły nowéj, gdyby za nią cokolwiek pewnego przemawiało? Sąto tylko czcze ubolewania ludzi chcących wszędzie cudowność upatrywać, i w swém uprzedzeniu niedopuszczających jawnych dowodów, obalających ich ulubione marzenia.

S. P.

CHEMIA.

PP. Michea i Alvara Reynoso, ogłosili: że przekonali się o bytności cukru w moczu osób po napadzie u nich wielkiéj choroby. Dla wyśledzenia jednak tegoż cukru, potrzeba użyć właściwych sposobów, bo roztwór potażu, który wykrywa zwykle cukier w moczu dyabetowym, tutaj okazuje się niedziałającym; jedynie fermentacya i ciecz P. Bareswil'a (1) skutecznie zastosowane być mogły, ale i to z pewnemi ostrożnościami. Należy bowiem nalać nasamprzód do moczu octanu ołowiu dla osadzenia ciała nieżywotnego, a potém dolewać węglanu sody dla wydzielenia znowu octanu ołowiu; wreszcie zgęścić mocz, i dopiéro dodać do niego cieczy Bareswil'a, a naostatek wszystko zagotować. (*L'Institut*, w treści).

* *Ficyt* (Phycite) *nowe ciało cukrowe*, wykryte zostało przez p. Lamy professora fizyki w Lille, w roślinie *Protococcus vulgaris*, (krwotoczek), i nazwane od działu roślin, do których wspomniona powyżéj należy.

Ciało to ma: smak chłodzący, słodki, tak jak cukier zwyczajny; ale przez swój skład ostateczny, łatwość krystalizowania się w piękne graniastosłupy przezroczyste, i jeszcze niektóre cechy, zupełnie się odróżnia od innych cukrów lub ciał słodkich do dziś dnia znanych.

Z rozbiorów tego ciała wypadło, iż składa się z węgla, wodorodu i kwasorodu ($C^4 H^5 O^4$); jednak nie tworzy żadnych połączeń oznaczonych i stałych ani z zasadami, ani też z kwasami. Jestto istota w najwyższym stopniu obojętna.

Najlepszy sposób rozróżnienia powyższego ciała od cukrów lub ciał cukrowych z któremi mogłoby być porównane, polega na ogrzaniu ostrożném kryształów w miseczce porcelanowéj; wtedy w cieple około 112° C. zaczyna się ono roztapiać, i wydawać woń odznaczającą się, która może być porównana do mąki prażonéj. Jeżeli jednak ciecz tę daléj się ogrzewa nad lampką wyskokową, ale w ten sposób, aby nie zawrzała; ciało to zupełnie zniknie, i zaledwo w miseczce ujrzéć niekiedy można pozostałe ślady węgla. Ficyt przeto może przynajmniéj cząstkowo być ulotniony jak kwas szczawiowy. Własność powyższa odróżnia go zupełnie od ciał podobnych, np. od mannitu.

Z doświadczeń p. Lamy okazuje się: że ficyt w części się ulatnia jak kwas szczawiowy, ale wypadki tego rozkładu są bardziéj złożone; i że z powodu lotności, smaku, a nawet i kształtu pozornego, ciało to zbliża się do orcyny Dumas'a; że zupełnie się różni od cukrów i istot cukrowych jak np. mannitu; że nie fermentuje z drożdżami piwnemi, a tylko z kwasem saletrowym tak się zachowuje jak cukry i t. p. (Treść z pisma *L'Institut.* 13 *Avril* 1852).

* Jeden z znakomitych chemików, Laurent, w ciągu miesiąca kwietnia r. b. zakończył życie. (*L' Institut* 20 *Avril*).

(1) Jestto jak wiadomo roztwór alkaliczny miedzi, zrobiony za pośrednictwem kwasu winowego. *J. B.*

* *Amonia w powietrzu.* B. Boussingault zawiadomił Akademią umiejętności paryzką w imieniu p. Izydora Pierre, o nowych poszukiwaniach tyczących się amonii znajdującéj się w powietrzu.

Już dawniéj p. P. robił powyższego rodzaju doświadczenia w okolicach miasta Caen, starając się, aby w czasie ich, przez wpływ wiatru oddalone zostały wyziewy z miasta pochodzące; wtedy znalazł jako średnią z miesięcy zimowych przeszło 4 ½ miligramów amonii, na metr sześcienny powietrza. Doświadczenie wykonywano przez 118 dni, w miesiącach grudniu 1851 r., styczniu, lutym, marcu i kwietniu 1852 r. na 2,720 kwartach powietrza. Ponieważ praca ta ze względu agronomicznego mogła mieć pewną ważność, przeto p. P. postanowił ją powtórzyć. Robił więc nowe poszukiwania przy nieco różnych warunkach, i na większéj ilości powietrza, tojest na 4015 kwartach czerpanych w 169 dniach, w których robiono doświadczenie w 9 miesiącach w różnych godzinach dnia; a to począwszy od 15 maja 1852 r. do 1. kwietnia 1853 r. włącznie. Z położenia miejsca obranego do wykonywania doświadczeń, i kierunku wiatrów panujących w czasie brania powietrza, okazuje się: że przynajmniéj połowa jego użyta do dochodzeń, naczerpaną została nim przeszła ponad miastem Caen. Przy użyciu tych samych sposobów i przyrządów w doświadczeniu piérwszém, p. P. przyszedł do następnych wypadków. W 4015 kwartach powietrza, znalazł $0,^{\text{gram.}}00262$ amonii, czyli blizko 65 setnych miligrama na metr sześcienny. Powyższa ilość amonii, wyobraża, jak się to pokazuje, *siódmą* część stosunku poprzednio znalezionego przez powyższego chemika; jakiż więc z tego wyprowadzić wniosek: czy że powietrze mniéj w drugim okresie otrzymało amonii niż w piérwszym? czyli téż, że do doświadczenia w drugim razie brane było z wysokości o 1^{metr}, i przenoszącéj tę, jak w razie piérwszym i z miejsca mniéj osłoniętego?—Stanowczo trudno tu coś powiedzieć; dodać jednak potrzeba, że w drugim okresie spadło stosunkowo więcéj wody (deszczu), niż w piérwszym. Wreszcie może i to na uwagę tu zasługuje, że część powietrza czerpaną była do drugiego doświadczenia w porze, gdy liście roślin mogły już na nie działać widocznie. Cóżkolwiekbądź, taka zmiana znakomita w ilości amonii, jest wypadkiem zasługującym na bliższe zbadanie. (Treść z powyższego numeru *L'Institut*).

J B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

120. Cantionale locupletissimum nec non processionem ecclesiasticum continens ea omnia cantica, quibus ecclesia catholica per annum praecipua in provincia Polonica uti solet; ex veteribus hujusmodi operibus per Poloniam usitatis fideliter desumpta per Mathiam Dembiński. 8vo. Posnaniae. Typis Schirmeri (Wojkowski). MDCCCL. Część I str. 317, II 178. Rejestru str. VI. Rsr. 3.

1851.

149. Dokładny słownik polsko-angielski i angielsko-polski, czerpany z najlepszych źródeł krajowych i obcych, a mianowicie ze słowników polskich: Lindego, Mrongoviusa i Ropelewskiego; z angielskich: Johnson, Webster, Walker, Fleming-Tibbins, i innych. Ten tom polsko-angielski głównie przeznaczony dla pomocy Polaków zaczynających pisać i mówić po angielsku, zawiéra pod każdym wyrazem przykłady jego użycia i zwroty języka powszechnie przyjęte tak w piśmiennictwie jak i w potocznéj rozmowie obu narodów. 8ka wielka. Berlin. 1851. W księgarni B. Behra.... Kart 2 i str. 536. Objaśnień karta 1. Rsr. 3 k. 30.

150. Przegląd literatury ludów wschodnich, poezyi greckiéj, średniowiecznéj, polskiéj XVI i XIX wieku. Odczyty publiczne Dra Karola Mecherzyńskiego z miesiąca maja i czerwca r. z. 8ka. Kraków, 1851. Kart 2 i str. 291. Rsr. 1.

1852.

158. Epitre adressée aux Dames de Varsovie, par leur trés-humble et trés obéissant serviteur, Ch. Péreyra. 12mo. Varsovie. 1852, a l'imprimérie de la rue Rymarska. 744. Str. 38. Kop. 30.

1853.

51. Bajarz polski. Zbiór baśni, powieści i gawęd ludowych. Opowiedział A. J. Gliński. Tom I. 16ka. Wilno. 1853. W drukarni gubernialnéj. Str. 254. (Do stron. XVIII znaczono rzymskiemi liczbami).

52. Bajki. (Na okładce i odwrotnéj stronie dodano: Podarek dla Anusi). 8ka. Poznań. 1853. Nakładem J. K. Żupańskiego, druk L. Merzbacha. Stron. 60 i rejestru karta 1. (Wydanie ozdobne z drzeworytami).

53. Critique de l'Epitre. Adressée aux dames de Varsovie. 12. Varsovie. 1853. A l'imprimérie de la rue Bielańska. 600. (J. Tomaszewski). Str. 74. Kop. 45.

54. Dziennik podróży do Tatrów przez autora Sobotki. 12ka. Petersburg. 1853. Nakładem B. M. Wolffa, druk C. Wienhoebera. Kart 2 str. IV i 294. Rsr. 2.

55. Kazania na uroczystości i święta całego roku dla użytku chrześcian wyznania katolickiego i wygody XX. kaznodziejów. Wybrane z dzieł drukowanych i niedrukowanych znakomitych kaznodziejów nowszych. Wydał X. Franciszek Wróżewski. Za pozwoleniem zwierzchności duchownéj. 8ka. Wrocław. 1853. Nakładem Zygmunta Schlettera, druk C. H. Storcha. Kart 2 i str. 238. Rsr. 1 k. 50.

56. Obraz świata pod względem geografii, statystyki i historyi wszystkich krajów, skreślony podług najlepszych zródeł przez P. E. Leśniewskiego b. Professora Nauk Przyrodzonych. Z mappami (,) herbami wszystkich państw i rycinami. Wydanie drugie poprawione, pomnożone i do najnowszych czasów doprowadzone. 8ka. 2 tomy. Warszawa. 1853. (Tom Iszy wydany w r. 1852). Nakładem S. H. Merzbacha, druk J. Unger. T. I. str. 754 i rejestru str. V. T. II, str. 799 i rejestru str. XII. Rsr. 7 k. 50.

57. Ogólny rzut oka na jedwabnictwo. 8ka. Warszawa. 1853. Druk St. Strąbskiego. Str. 16.

58. Skarbiec arcydzieł pismienniczych Europy. Jonathan Swift. Podróże Gulliwera do nieznanych krain. Przekład W. Szymanowskiego. Illustracya H. Emy. 4ka. Warszawa. 1853. Nakład S. H. Merzbacha, druk J. Jaworskiego. Str. 72. Kop. 90.

59. Skarbiec arcydzieł pismienniczych Europy. Bernardin de Saint-Pierre. Paweł i Wirginia. Illustracya Bertalla. 4ka. Warszawa. 1853. Nakładem S. H. Merzbacha, druk Strąbskiego. Str. 32. Kop. 40.

60. Skarbiec arcydzieł pismienniczych Europy. Chateaubriand. Atala. Przekład H. Skimborowicza. Illustracya Ferdynanda Philippoteaux. 4ka. Warszawa. 1853. Nakład Merzbacha, druk Jaworskiego. Str. 28. Kop. 40.

61. Skarbiec arcydzieł pismienniczych Europy. Goldsmith. Wikary Wakefield'ski. Przekład W. Noakowskiego. Illustracya Edwarda Frère. 4ka. Warszawa. 1853. Nakład S. H. Merzbacha, druk Strąbskiego. Str. 48. Kop. 60.

62. Wizerunki książąt i królów polskich od VI do XVIII wieku, podług najdawniejszych rysunków i pomników zebrane, a teraz w drzeworytach wydane. Kraków. (Zaczęły wychodzić w zeszytach w r. 1852, ukończono w r. 1853). Nakładem D. E. Friedleina (druk zapewne jego). Napisów i objaśnień kart 2 i 52 rycin na drzewie. Rsr. 3.

63. Wybór najciekawszych podróży i odkryć w różnych częściach świata, dla nauki i zabawy młodzieży. Z rycinami na stali. Oddział I. Podróże po Azyi południowéj, przez E. Garnier. Przekład Wojciecha Szymanowskiego. 12ka. Wilno. 1853. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Kart 3 i str. 312. Oddział II. Podróże i odkrycia w Afryce przez Henryka Lebrun. Kart 3 i str. 256. Oddział III. Podróże i przypadki trzech braci Szkotów, przez Duchaine. Kart 2 i str. 236. Oddział IV. Rozbitki na Szpicbergu czyli zbawienne skutki ufności w Bogu. Kart 2 i str. 240. Za 4 tomy rsr. 4 k. 80.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Gustaw Zieliński, autor „Kirgiza", wkrótce ogłosi drukiem napisany oddawna poemat w trzech częściach „Stepy".

— Księgarz Orgelbrand ukończy w ciągu bieżącego roku w drugiém powiększoném wydaniu „Bibliotekę starożytną pisarzy polskich" K. Wł. Wojcickiego.—Tenże wydał trzy tomy historyi powszechnéj Cezara Cantu: całe dzieło składać się będzie z 10 dużych tomów.

— G. Sennewald ukończy wkrótce „Wybór kazań", jako ciąg dalszy już wydanych.

— P. Tymoteusz Lipiński pracuje obecnie nad słownikiem geograficznym dawnéj Polski, nie pomijając i Szlązka; ma on obejmować nietylko miasta, lecz i wsie, a to szczególniéj te, o których jest wzmianka w Dyplomataryuszach Dogela, Raczyńskiego, Rzyszczewskiego i Muczkowskiego, w Dyplomataryuszach Pomorza, Szlązka i w innych dziełach, do których są dołączone w dodatkach dawne akta i przywileje, jak np. w dziełach Ignacego Daniłowicza, Michała Wiszniewskiego i w. i.

— Życiorys naszego wiolonczelisty Samuela Kossowskiego zamieściła Gazeta moskiewska (Moskowskija Wiedomosti) w nr. 49 na r. b. (*Z listu*).

„Uniwersytet moskiewski zapatrzywszy się na Dorpat, postanowił obchodzić uroczyście stuletni swój jubileusz w r. 1855. Już dzisiaj przygotowują się do tego aktu. Komitet z tego powodu ustanowiony rozdaje temata do rozpraw, jakie mają być czytane. Między innemi, poruczono A. Korowickiemu, który tam wykłada kodex dla uczniów, napisanie uczonego żywota naszego Podlasianina Ignacego Daniłowicza. Udzielił do téj pracy wiele materyałów b. professor Józef Jaroszewicz."

— Znany historyk Jędrzéj Moraczewski po ciężkiéj chorobie zaczyna wychodzić, ale straszliwie się zmienił: wygląda na starca 80-letniego, wychudł jak szkielet, osiwiał, i chodzi skulony o kiju. Jest przecież pewna nadzieja że wróci do sił i zdrowia.

— W Wilnie Józef Zawadzki drukuje tom 2gi Podań Ignacego Chodźki. Tom ten zajmie opowieść p. n. *Milanowski*, znaną z Gazety Warszawskiéj.

(*Z listu*).

Lwów. „W drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich wyszły piérwsze poszyty Józefowicza Historyi miasta Lwowa, z łacińskiego oryginału, który dotąd jest w rękopiśmie, na język polski przełożonéj. — Karol Szajnocha w obszernéj rozprawie, którą drukował przy Gazecie Lwowskiéj b. r., na zasadzie współczesnych źródeł objaśnił dokładnie stare podanie o grobach w Krosnie Stanisława i Anny Oświecimów. Jeżeli w téj krytycznéj pracy dużo utraciło romansowe podanie, zyskała wiele prawda historyczna. Znalazł p. Szajnocha w bi-

bliotece Ossolińskich gruby foliał dyaryusza po łacinie pisanego w roku 1641, którego autorem jest właśnie sam: Stanisław z Kunowy Oświecim, tak głośny (wedle podania) z nieszczęśliwéj swéj miłości ku siostrze Annie. — Pięć pism polskich wychodzi obecnie we Lwowie: „Dziennik literacki" pod redakcyą Felic. Łobeskiego, do którego piszą Bielowski, Szajnocha i inni; „Przyjaciel domowy" pismo zbiorowe dla gospodarzy: „Wianki" dla kobiét, z dodatkiem „Bławatka"; „Gazeta Lwowska" z dodatkami literackiemi. Oprócz tego po niemiecku pod redakcyą Mateusza Szrzeniawa Sartyni wychodzi gazeta p. n. „Lemberger Zeitung". Od r. 1848 wychodzi także „Zora Halicka", organ Rusinów galicyjskich. Przez lat cztery była polityczném pismem, ale w r. b. zamieniła się w literackie. Redaktorem téj „Zory" jest p. Guszalewicz."

— W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego wyszły „Bajki" w nader ozdobném i staranném wydaniu: każda stronnica illustrowana. Druk piękny i papiér. Bajki same zastosowane do pojęcia dzieci, a główną myślą moralna nauka.

— P. Zygmunt Helcel przygotował do druku: „Statuta Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły, w texcie pierwotnym, krytycznie z dawnych rękopism przywróconym, wraz z historycznym wywodem tychże dwóch prawodawstw, niemniéj, nieznane dotąd prawa polskiego zródła, jakoto: Statuta mazowieckie książąt linii płockiéj z XIVgo i XVgo wieku; statuta synodalne dyecezyi krakowskiéj od początku XIVgo wieku; wypisy z najdawniejszych ksiąg sądowych ziemi krakowskiéj od r. 1388; wreszcie nadania i wyroki dawne, jako poparcie dowodów w historycznym wywodzie stawionych". Text statutów Kazimiérza Wgo i Jagiełły będzie miał obok siebie najdawniejsze tłumaczenie polskie, poprawione na nowo przez p. Helcla i podane w pisowni nowéj, aby rzecz i większéj publiczności przystępną uczynić. Dodane będą do nich dwie starożytne „summy", dotąd nieznane po łacinie, a arcy ważne. Wydawca użył do téj pracy nieznanych J. W. Bandtkiemu rękopismów cztéry, a znanych mu sześć.

— Księgarz J. Czech w Krakowie wydał dzieło p. n. „Wady Staropolskie". Jestto przedruk książki wydrukowanéj w połowie XVIIgo wieku, a mającéj tytuł: „Robak sumienia złego, człowieka niebogobojnego, i o zbawienie swoje niedbałego, żeby mu się każdy przypatrzył, jako jest brzydki, a bardzo szkodliwy, z pewnych autorów i z saméj experyjencii, wszystkim stanom na widok wystawiony". Dzieło pisane czystą polszczyzną, rzucające niemałe światło na życie domowe przodków naszych.

—D. E. Friedlein księgarz krakowski wydał 8 obrazów świętych Pańskich, znajdujących się w kościele katedralnym przy zamku królewskim: 1) Pan Jezus na krzyżu przez Dolabellę, i św. Stanisław; reszta z obrazów malowanych przez T. Kunze Krakowianina w Rzymie, jako św. Wacława, św. Jacka, św. Wojciecha, św. Kazimiérza, św. Floryana, i św. Wincentego.

— Roman Zamarski przygotował do druku: „Domowe powiastki" złożone z podań tak ludowych jak i szlacheckich; oraz przekład

bohaterskich pieśni ludowych serbskich, które nową seryą w dwóch tomach stanowić będą. Przekłady więc jego najzasobniejsze, bo kilkaset pieśni wynoszące, połączone z tłumaczeniami wybornemi A. Bielowskiego i B. Zaleskiego, dokładnie czytelników polskich obznajmią z duchem i treścią ludowéj poezyi serbskiéj.

—Znany uczony czeski p. Fr. Palacki znajduje się obecnie w Paryżu i w tamtejszych bibliotekach miał odkryć znakomitéj wartości dokumenta historyczne, tyczące się Czech. Wkrótce wraca do kraju, ale zatrzyma się czas jaki w Kolmarze, gdzie znajdują się ważne źródła do dziejów soboru bazylejskiego.

—Utalentowany pianista i kompozytor Fontana, zamierza wydać wszystkie pieśni polskie do których Fr. Szopen ułożył muzykę. Pieśni tych jest 17. Będzie to piękny pomnik długiéj przyjaźni, jaka łączyła p. Fontana z gienialnym pianistą naszym.— P. Szlezinger ma oddzielnie wydać w Paryżu razem zebrane wszystkie kompozycye Szopena.

OD REDAKCYI

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Spełniając oznajmione w zeszycie styczniowym 1846 roku Biblioteki Warszawskiéj życzenie jednego z członków swoich, który przeznaczył złotych **1000** na nagrodę za napisanie najlepszéj powieści; redakcya w zeszycie lutowym 1846 roku Biblioteki Warszawskiéj oznaczyła następujące warunki ubiegania się o rzeczoną nagrodę:

„Za należące do spółubiegania się przyjęte będą tylko powieści, najprzód: napisane w języku polskim; powtóre, osnowane na miejscowości krajowéj; potrzecie, obejmujące przynajmniéj pięć arkuszy druku; poczwarte, złożone w redakcyi Biblioteki Warszawskiéj najpoźniéj do dnia 1 maja n. s. 1847 roku włącznie; popiąte, opatrzone godłem tém samém na tytule, co i na osobnym opieczętowanym liście, zawierać mającym imię, nazwisko i zamieszkanie autora, jako téż oświadczenie jego, czy w razie przyznania nagrody waruje sobie zachowanie bezimienności“.

„Do wyznaczonéj przez jednego z członków swoich nagrody złotych *tysiąc*, doda redakcya autorowi powieści za najlepszą

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Kwiecień, 1853.

Kwiecień 1853. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser- watoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1ᵍ. 14ᵐ. 45ˢ, 7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé szczu	śnie- gu
1		752.53	751.82	749.21	747.45	— 4°.9	+ 2°.2	+ 5°.7	— 0°.6	84.5	smugi	pr. pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	PdW.	PdZ.		
2		743.62	742.79	742.19	744 27	— 2.9	+ 4.6	+ 9.6	+ 1.4	82.5	pogodny	lek. poch.	pogodny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdZ	Z.		
3		745.79	747.22	748.59	749.22	+ 0.6	+ 1.5	+ 1.3	+ 0.6	97.0	mgła	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z	Z.	1.4	
4		749.08	749.95	750.57	751.49	+ 0.2	+ 1.2	+ 1.9	+ 0.7	96.2	mgła	mgła	pochmurny	pochmurny	Z	Z.	Z.	PdZ.		
5		751.52	752.04	750.17	745 95	+ 0.5	+ 4.5	+ 6.6	+ 2.3	85.5	pochmurny	pochmurny	napół pog.	pochmurny	PdW.	PnW.	PnW.	PdW.		
6		743.00	745.58	749.24	752.11	+ 2.3	+ 3.9	+ 8.3	+ 2.1	90.5	poch. l. mg.	poch. l. mg.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PnW.	PnW.	Pd.	3.4	
7		750.80	749.34	745.99	741 56	+ 1.2	+ 4.9	+ 5.2	+ 5.9	92.0	poch. mgła	pochmurny	poch. d. mg.	pochmurny	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.	2.6	
8	●	741.61	741.98	742.10	743.13	+ 3.6	+ 7.5	+ 9.6	+ 4.0	83.8	pochmurny	napół pog.	pochmurny	napół pog.	Z.	Z.	Z.	PdZ.	1.8	
9		742.15	742.88	743.56	745.75	+ 3.6	+ 6.2	+ 8.1	+ 4.2	76.0	mgła	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.		
10		747.60	748.33	747.70	747.16	+ 1.6	+ 2.9	+ 2.5	— 0.5	79.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
11		747.46	748.36	749.21	749.47	— 1.2	+ 0.8	+ 0.8	— 2.1	89.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		1.8
12		746.49	744.15	740.49	739.08	— 3.3	+ 1.3	+ 3.2	+ 0.6	86.8	pogodny	smugi	poch. śnieg	dész. ze śn.	PdZ.	PdZ.	PdW.	Pd.		2.0
13		738.34	739.00	739.82	742.00	+ 0.8	+ 3.8	+ 4.9	+ 1.4	92.5	poch. śnieg	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PnZ.	Pn.	3.8	1.2
14		744.43	746.07	746.39	745.92	— 0.8	— 0.2	+ 0.0	— 1.1	99.5	poch. śnieg	śnieg	śnieg	pochmurny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnW.		6.8
15		745.19	745.63	746.20	747.54	— 3.1	— 1.4	— 0.5	— 2.5	84.5	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		2.6
16	☽	748.45	749.11	749.43	750.57	— 3.7	— 0.6	— 1.1	— 2.5	88.5	smugi	lek. pochm.	śnieg	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		1.4
17		750.15	752.20	751.63	750.95	— 3.0	+ 0.0	+ 5.0	— 0.2	85.2	pogodny	pogodny	napół pog.	lek. pochm.	Pn.	Pn.	Pn.	PnZ.		1.2
18		747.57	746.50	746.07	747.81	— 0.2	+ 2.5	+ 1.2	— 0.9	84.8	pochmurny	napół pog.	poch. kr. śn.	pogodny	Z.	PdW.	PnZ.	Pn.		
19		747.43	746.59	745.88	745.89	— 1.6	+ 0.9	+ 2.5	— 0.2	94.0	poch. śnieg	poch. śnieg	pochmurny	poch. śnieg	Z.	Z.	Pd.	PdW.		3.2
20		746.10	747.00	745.67	745.15	— 1.1	+ 3.9	+ 5.0	— 0.8	77.2	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pogodny	W.	PdW.	PnZ.	Pd.		1.8
21		743.69	743.46	743.17	744.62	— 1.3	+ 4.5	+ 7.8	+ 3.9	71.8	pogodny	chm. miejs.	pochmurny	lek. pochm.	PdW.	PdW.	W.	W.		
22		744.39	744.13	743.96	743.92	+ 2.1	+ 7.4	+ 8.1	+ 2.5	80.7	lek. poch.	pogodny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdZ.	PdW.		
23	◐	743.03	742.93	742.43	742.45	+ 2.5	+ 7.6	+ 7.7	+ 7.6	90.0	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.	0 6	
24		742.96	744.04	744.67	747.30	+ 6.0	+ 12.6	+ 10.2	+ 4.6	86.5	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	PnZ.		
25		748 22	748.62	747.80	747.89	+ 2.7	+ 5.8	+ 10 3	+ 4.4	75.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnZ.	Z.	W.	W.	2.8	
26		746.11	746.30	746.02	746 64	+ 5.0	+ 8 1	+ 12.1	+ 8.7	83.0	pochmurny	pochmurny	pogodny	pr. pogodny	PnW.	Pn.	PdW.	PdW.		
27		745.57	745.35	744.58	743 26	+ 9.6	+ 12.7	+ 12.3	+ 11.4	94.3	lek. pochm.	pochmurny	poch. dész.	dészcz	PdW.	PdW.	PdW.	W.	6.0	
28		742.39	743.33	744 43	745.64	+ 8.0	+ 7.7	+ 11.9	+ 7.4	84.7	dészcz	dész. b. dr.	pochmurny	pogodny	PdZ.	PdZ.	W.	Pd.	1.2	
29		745.75	745.90	746.67	748.24	+ 6.3	+ 10.0	+ 9.5	+ 8.7	84.5	lek. pochm.	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	Z.	PnZ.	Z.	PdZ.	2.0	
30	☾	749.74	750.55	749.86	750.30	+ 6.5	+ 13.1	+ 16.9	+ 10.7	71.5	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
Śre.		746.039	746.372	746.123	746.424	+1°.20	+4°.66	+6°.22	+ 2°.72	85.7									31.6	22.0

		mm.	c.	l.	
Średnia wysokość barometru miesięczna		746.239	27	6.805	
Najwyżéj dochodził — d. 1 o g. 6 r.		752.53	27	9.594	
Najniżéj — — d. 13 o g. 6 r.		738.34	27	3.303	
Średnia zmiana dzienna barometru		3.050		1.352	
Największa zmiana dzienna barometru d. 11—12 o g. 10 w.		10.39		4.606	
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających		2.279		1.009	
		748.518	27	7.814	
Średnia temperatura kwietnia wynosi:	+	3°.70	C.	+ 2°.96	R.
i ta jest niższą o		3.70	„	3.02	„
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	+	7.47	„	+ 5.98	„
Największe ciepło dochodziło d. 30 o godz. 4 popoł.	+	16.9	„	+ 13.52	„
Największe zimno d. 1 o g. 6 r.	—	4.9	„	— 3.92	„
Średnia zmiana dzienna temperatury		2.194	„	1.755	„
Największa zmiana dzienna temperatury d. 2—3 o g. 4 w.		8.3	„	6.64	„

Termometrograf wskazał:
Maximum: +13°.9 R. d. 27 i 30 pp połud.
Minimum: — 4°.4 „ d. 1 rano.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości: 31,6 milim. czyli 14,01 lin. par.; z śniegu 22.0 mil. czyli 9.75 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 53.6 mil. czyli 23.76 lin. par.; ilość ta wody jest o 6.83 lin. par., większa od normalnéj.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 85,7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 5,77 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0,11 większa od normalnéj.

Dni pogodnych było 1, napół pogodnych 8, pochmurnych 21.
— dészczu 12 (d. 3, 6, 7, 8, 13, 22, 23, 24, 25, 27, 28, 29).
— śniegu 11 (d. 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20).
— deszczu ze śniegiem 1 (d. 12).
— gradu 2 (d. 13, 18).
— mgły 5 (d. 3, 4, 6, 7, 9).
Wiatrów mocnych 12 (5 Pn., 5 PnZ., 2 Z.).
Wiatr panujący: południowo-wschodni.

Miesiąc Kwiecień r. b. był niepogodny, chłodny, nadzwyczaj wilgotny, w dészcz i śnieg obfity, o 3 stop. R. zimniejszy niż zwykle, a o 6.02 stop. R. od najcieplejszego stanu tegoż miesiąca w r. 1848. Piérwsze dwadzieścia dni były szczególnie zimne. Najcieplejsze dni były: d. 24, 26, 27, 28, 29, 30. Najzimniejsze d. 11, 14, 15, 16. Od dnia 10 do 20 śnieg prawie codzień padał. W żadnym z lat poprzednich tyle wody z deszczu i śniegu nie spadło co w r. b. Pod względem wilgotności miesiąc ten bardzo się różnił od lat innych cały bowiem miesiąc był niezwykle wilgotny. Z przyczyny długo trwających mrozów, życie roślinne znacznie téj wiosny było spóźnione. W końcu kwietnia, łąki nie były jeszcze zielone.

Dnia 1 między godz. 8 a 9 wieczór świeciła zorza zodyakalna.

Dnia 1, 12, 16, 17, 18, 20, 21, 30 pokazywały się plamy na słońcu.

Wisła w tym miesiącu dwa razy znacznie wezbrała i okolice nadwiślańskie zalała.

Dnia 14 z rana wysokość wody pod Warszawą dochodziła 17 stóp i 5 cali.

Drugie wezbranie przypadło d. 29 przy którém wysokość wody dochodziła 17 stóp i 9 cali.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :

Digital-Center
Ul. Ostatnia 17
60-102 Poznań
www.digital-center.pl
biuro@digital-center.pl
tel./fax (0-61) 665 82 72
tel./fax (0-61) 665 82 82